Bibljoteka Sejmu Śląskiego
4620
1906 | 3

499

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Ogólnego zbioru Tom 263.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1906.—Tom III.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1906.

4620. 1906. 3
II
Biblioteka Główna
30.000/-
X-14364
4620/II 3.
/1906

Warszawa. Druk A. Ginsa. Nowozielna 47.

Waleryan Łukasiński.

1786—1868.

„...O swoich cierpieniach sam już nic nie wiedział.
Nie pomniał. Jego pamięć zapisana cała,
Jak książka herkulańska pod ziemią spróchniała..."
Dama młoda: „Czemu to o tem pisać nie chcecie panowie?"
(*Dziady*).

I.

Któż w Polsce nie słyszał o majorze Łukasińskim? Ale któż o nim ściślejszą powziął wiadomość? On był z szarego tłumu. Nie był wodzem, był tylko sługą swego narodu. W tej służbie on zginął dla współczesnych i potomnych. Odtąd pokryło go milczenie. O jego sprawie śledczej niewiele więcej dziś ogółowi wiadomo ponad tamtą rozmowę salonową z *Dziadów*. Pozostał on po dziś dzień czemś w rodzaju Maski Żelaznej. Imię jego dzwoni głuchym brzękiem wiecznych kajdan. Sama postać błąka się na uboczu naszych dziejów porozbiorowych, jak blady, mglisty, zagadkowy cień. Pewnego dnia wzięto tego człowieka od swoich, od ludzi, gdzieś go męczono, gdzieś pogrążono na pół wieku, na zawsze, i gdzieś wreszcie pochowano. Ciemnia więzienna, która go pogrzebała za życia, wchłonęła również wszelkie po nim ślady zagrobowe. Wydobyć je stamtąd — rzecz niełacna, w części tylko wykonalna; tak te ślady zostały głęboko ukryte, tak starannie zatarte. Jednak trzeba to uczynić. Będzie to nietylko akt prostego pietyzmu. Spłynie stąd niejedno światło na doniosłe zagadnienia dziejowe, związane tajnemi nićmi z okropnym, bezprzykładnym losem tej nieszczęśliwej ofiary.

Waleryan Łukasiński urodził się w Warszawie 14 kwietnia 1786 r. Ojciec jego, Józef, stanu szlacheckiego, skromnej fortuny, poślubił Łucyę Grudzińską z Płockiego; z tego małżeństwa, oprócz najstarszego syna Waleryana, urodziła się córka, Józefa, i drugi syn, kaleka. Rodzice, wśród rosnących, jak się zdaje, z biegiem czasu kłopotów materyalnych, przemieszkiwali naprzemiany bądź w Warszawie, na Starem Mieście, gdzie zmarł ojciec, bądź też na wsi w Płockiem, gdzie w Pawłowie zmarła matka. Chował się Waleryan w trudnych warunkach domowych a w dobie najcięższych katastrof publicznych. Dzieckiem kilkoletniem patrzył się na rzeź Pragi i ostateczny upadek kraju; urastał na młodzieńca pod twardą ferułą rządów pruskich. Jednak wychowanie odebrał nader staranne. Władał dobrze, w słowie i piśmie, językiem francuskim i niemieckim; w późniejszych urzędowych zaświadczeniach służbowych wyróżniany był ze swoich wiadomości w zakresie matematyki, statystyki, geografii. Posiadał dość rozległe i gruntowne oczytanie, i to nietylko w piśmiennictwie swojskiem, lecz oraz zagranicznem, zwłaszcza francuskiem. Zamiłowany w naukach ścisłych, nie zaniedbywał przecie zarówno poważnej lektury treści historycznej, społecznej, prawnej; znał dobrze i trafnie z pamięci powoływał Plutarcha, Monteskiusza, Czackiego. Skoro zaś następnie, w wojnie i pokoju, całą duszą obowiązkom żołnierza oddany, pod koniec niebezpieczną a mozolną robotą organizacyjną pochłonięty, mniej miał czasu na studya, zapewne więc podstawę główną swojej kultury duchowej w młodości założyć sobie musiał. A pracować nad sobą musiał tem usilniej, że nie był bynajmniej człowiekiem talentu. Uzdolnienie miał mierne, umysł raczej ociężały i powolny, choć zresztą na swój sposób, kosztem większego wysiłku, dostatecznie otwarty, przenikliwy, niekiedy bardzo nawet subtelny. Umiał też, bez intuicyi, drogą natężonej refleksyi, dochodzić do koncepcyj głębszych, do inicyatywy kierowniczej. Cechowała go nietyle lotność, ile spokojna, oględna rozwaga, cechowało nadewszystko wielkie poczucie odpowiedzialności. Myślał logicznie, surowo, ściśle, a co raz w myśli przetrawił, to z żelazną konsekwencyą, bez litości dla siebie i innych, wcielał w czynie. W tem tkwiło niebezpieczeństwo: ta konsekwencya logiczna mogła kiedyś, w chwili beznadziejnej, doprowadzić go do zwątpienia, mogła naprężoną jego wolę nagłej poddać depresyi, i tym sposobem, czego żadne zewnętrzne nie dokonałyby środki, złamać go raptem przez wewnętrzne przesilenie i własną decyzyę. W stosunkach z ludźmi była w nim z natury, a bardziej jeszcze z czasem wyrobiła się przez doświadczenie, jakaś trzeźwa i sceptyczna,

niekiedy wprost wzgardliwa nieufność, niedopuszczająca spospolicenia się i poufałości. Była też pewna zaciętość, we własnej twardej prawości mająca swe źródło, a niedarująca nikomu, aż mściwa. Zrażano się też częstokroć do niego, nawet śród towarzyszów i spółpracowników, wyrzucano mu obejście „zimne,“ maniery „tyrańskie.“ W rzeczywistości, pod chłodną powłoką gorzał w nim skupiony zapał, chowała się tajona tkliwość. Niełatwo oddawał swój szacunek, ale wtedy chętnie sercem i głową się korzył. Ambicyi osobistej nie miał, żywił tylko szlachetną ambicyę służenia w pierwszym szeregu swemu narodowi. Biło z niego duże sumienie, wytrawność, hart, duch zupełnego poświęcenia dla sprawy kraju i wolności. Te cechy skarbiły mu zaufanie i wysuwały go na czoło, aczkolwiek znów brak istotnej intelektualnej przewagi, obok wad temperamentu, odbierał mu możność utrzymania rządu dusz w całej pełni i równowadze. Był zamknięty, małomówny, a kiedy głos zabierał, bezwzględny; zwykle panujący nad sobą, lecz z nienacka wybuchający niepohamowaną zapalczywością. Typowa to, z wielu względów, była dusza mazurska. Rysów był regularnych, twarzy ściągłej, nosa miernego, czoła wysokiego, oczu szarych, włosów ciemnoblond. [1])

Rozbicie Prus przez Napoleona w 1806 r. a wraz wyzwolenie podległej im dzielnicy otworzyło młodemu Łukasińskiemu drogę służby wojskowej, dokąd, pod podniesiony znak narodowy, prowadziły go odezwy Dąbrowskiego i Poniatowskiego. Dochodził on wtedy pełnoletności, a bawił u swoich w Płockiem. Formował się tam pod dowództwem Ignacego Zielińskiego batalion strzelców pieszych, złożony z leśniczych, borowych, gajowych lasów skarbowych departamentu płockiego, oraz okolicznych dworów prywatnych. Do skromnej tej formacyi, w pierwotnym punkcie zakładowym w Płocku, zaciągnął się Łukasiński (15 kwietnia 1807 r.), „z ochoty, jako furyer.“ W tym batalionie, późniejszym pułku piątym strzelców, przydzielonym do legii II generała Zajączka, odbył kampanię letnią przeciw Prusakom, postępując wkrótce (7 czerwca) na adjutanta podoficera, a następnie, już po zawarciu pokoju w Tylży, na podporucznika (1 lutego 1808 r.). Przy reorganizacyi wojska Księstwa Warszawskiego przeszedł niebawem (1 marca 1808 r.) do szóstego pułku piechoty, sformowanego

[1]) Rysopis według Rodowodów oficerów, podof., żołn., dyw. II, bryg. II, pułk 4-ty piechoty liniowej, I, № 323. Wizerunek na litografii spółczesnej, przejęty u Straszewicza, I, oczywiście imaginacyjny.

z Kaliszan, pod komendą Juliana Sierawskiego, dokąd już wcześniej wcieloną była część strzelców Zielińskiego. Kantonował odtąd w Częstochowie i Kaliszu. Tutaj zawarł pierwsze bliższe znajomości i przyjaźnie kaliskie, które później tak wydatną rolę miały odegrać w jego życiu. W tym też czasie powołany został do Łomży na adjutanta przy inspektorze popisów, Konstantym Jabłonowskim. Ale pokojowe prace organizacyjne trwały niedługo. Wybuchła wojna austryacka 1809 r. Arcyksiąże Ferdynand na czele sił przeważających wtargnął do Księstwa; Poniatowski, po walnej z nim rozprawie raszyńskiej, przerzucił się z armią polską do Galicyi. Od pierwszej zaraz chwili otwarcia działań wojennych, w kwietniu, maju i czerwcu, pułk szósty piechoty potrafił odznaczyć się w bitwie pod Raszynem, w nocnych szturmach bagnetowych na przedmieście Góry i przyczółek mostowy sandomierski, a zaraz potem przy obronie Sandomierza. Trudno określić dokładnie, o ile zajęcia biurowe w inspekcyi rewiów pozwoliły Łukasińskiemu uczestniczyć osobiście w tych wszystkich pięknych akcyach jego pułku. Tyle pewna, że powinność swoją spełnił, skoro wtedy właśnie, w pochodzie (7 maja), posunięty został na porucznika. Rozwijała się tymczasem coraz szerszym i świetniejszym tokiem kampania galicyjska ks. Józefa, zagarniając niebawem wszystką niemal dzielnicę austryacką. Natychmiast też wzięto się do organizacyi wojsk narodowych w oswobodzonej Galicyi; wnet jakgdyby cudem kilkanaście nowych pułków, kilkadziesiąt tysięcy nowozaciężnych stanęło tu pod bronią. Celniejsze to jeszcze było dzieło, aniżeli dokonane przed dwoma laty w dzielnicy pruskiej, bo wszak teraz własnym wyłącznie, bez obcej pomocy, zdobyte wysiłkiem, pod samej tylko polskiej, nie francuskiej broni prowadzone osłoną, dzieło z natury swojej rewolucyjne w najdodatniejszem słowa znaczeniu.

Formacya galicyjska, robota nietyle czysto wojskowa, ile narodowo-powstańcza, porywające wrażenie wywrzeć musiała na młodym umyśle Łukasińskiego. Zeszedł się on w tej porze w Galicyi z kołem ludzi, zbliżonych do dawnej emigracyi po powstaniu Kościuszkowskiem, albo nawet do niej należących, którzy ideę powstańczą, utożsamiwszy ją ze związkową, spiskową, byli piastowali na obczyźnie, na bruku paryskim i w legionach, potem przenieśli napowrót do kraju, do Księstwa Warszawskiego, a pozostając odtąd ustawicznie, z temperamentu i z zasady, w jawnej lub tajnej opozycyi względem rządu Księstwa wogóle i względem Poniatowskiego w szczególności, obecnie z zapałem przyłożyli rękę do insurekcyjnej akcyi galicyjskiej, trafnie ocenili jej doniosłość,

ale też ze stronniczem uprzedzeniem i przesadą przeciwstawiali ją czysto rządowej, a koniec końcem bądźcobądź najgłówniejszej akcyi militarno-wojskowej. Wydaje się wielce prawdopodobnem, że młody oficer inspekcyjny zetknąć się musiał podówczas między innymi z ruchliwym referendarzem cywilno-wojskowym w sprawach galicyjskich, Andrzejem Horodyskim, jednym z wybitniejszych i zagorzalszych tej grupy przedstawicieli, a nietylko wtedy za Księstwa, ale później jeszcze za Królestwa, będącym cichą a wpływową sprężyną wielu tajnych w kraju robót. Zdaje się też, że wówczas to wprowadzony został Łukasiński do wojskowej loży wolnomularskiej. Znalazł w tem wszystkiem płodną dla siebie pobudkę, skąd świeża i czysta jego dusza umiała wydobyć i przechować zdrowe ziarno, odrzucić fakcyjne plewy. Tak czy owak, wraz z całem gronem nowych swoich przyjaciół, jednego dnia (5 lipca 1809 r.) wszedł w stopniu kapitana do pierwszego formującego się pułku piechoty galicyjsko-francuskiej. Nietyle chyba żołnierską, ile obywatelską powodował się intencyą, opuszczając swój szósty pułk liniowy, mający już reputacyę ustaloną, a wstępując do nowej, bardzo wątpliwej wartości, formacyi. W istocie, ów pułk pierwszy galicyjsko-francuski, późniejszy trzynasty pieszy Księstwa, organizowany początkowo w samej Łomży, sumptem obwodów: siedleckiego, bialskiego i poczęści lubelskiego, przedstawiał osobliwszą zbieraninę ochotników, dezerterów i jeńców, składał się w pierwszym batalionie z cudzoziemców: Niemców, Francuzów, Włochów, w drugim — z Litwinów, w trzecim — z Rusinów, przeważnie nawet nie mówiących po polsku, i samym już bodaj strojem łatanym, przerobionym poprostu z austryackiego, białym z granatowemi wyłogami mundurem, wyróżniał się niekorzystnie od reszty wojska. Ale, być może, właśnie naoczny widok tej różnolitej rzeszy prostego żołnierskiego ludu pod jednym wyzwoleńczym sztandarem, tych chętnych głów rusko-litewskich, silących się zrozumieć polską komendę, stał się dla Łukasińskiego szczególniejszą podnietą i zachętą, może oświecił go i rozgrzał tembardziej do wielkiej idei zjednoczenia, zestrzelenia wszelkich zróżniczkowanych, rozdartych żywiołów we wspólnem narodowem ognisku? W podobnych głębszych myślach mógł go utwierdzać i wogóle silny wpływ na nim wywrzeć musiał człowiek niepospolity, z którym spotkał się jeszcze w Łomży, a odtąd kolegował pod bronią, z którym na życie całe mocną zawarł przyjaźń, któremu jednemu spełna powierzał się i ulegał, którego może jednego aż do końca bez zastrzeżeń szanował. Człowiekiem tym był Kazimierz Machnicki, z rodziny wielkopolskiej, syn Antoniego

i Zuzanny z Gniazdowskich, urodzony w Poznaniu, a w owym czasie zamieszkały w Łomży i urzędujący tam jako sędzia trybunału. Tędy to zapewne, z Podlasia, najpierw trafiła bliższa o nim wiadomość na Litwę, skąd odbiła się dalekiem echem w bolesnej wizyi poetyckiej. „Był on wtenczas młody, Żywy, dowcipny, wesół i sławny z urody; Był duszą towarzystwa; gdzie się tylko zjawił, Wszystkich opowiadaniem i żartami bawił; Lubił dzieci...“ Nie był to wtedy jeszcze ów „waryat Machnicki,“ obłąkany „król zamczyska,“ jakiego po Mickiewiczu odmaluje Goszczyński, wyniszczonego po tylu przebytych mękach, ponurego dziwaka i szaleńca, lecz jeszcze z piętnem niezwykłości na czole. Był to w istocie, ile dziś sądzić można — bo zawsze uparcie trzymał się w cieniu, za kulisami — umysł niezwyczajny, samodzielny, wysoko ukształcony, charakter z natury dziwnie wyrobiony i jak stal hartowny. Jeśli bywał przystępny i rozmowny w towarzystwie i z dziećmi, w sprawach publicznych natomiast był milczek, nadzwyczaj ostrożny, wróg próżnej gadaniny, „nieprzyjaciel niepotrzebnego gryzmolenia,“ jak zaświadcza o nim sam Łukasiński, nawykły w każdej trudniejszej potrzebie „naradzić się z Machnickim, którego mnie jedynie zdanie obchodziło, bo o resztę hałastry *(canaille)* nie dbałem.“ [1]) Obecnie, latem 1809 r., na odgłos pobudki wojennej, trzydziestoletni Machnicki rzucił krzesło sędziowskie i razem z Łukasińskim wstąpił tegoż samego dnia do tegoż pułku w stopniu porucznika, aby uczestniczyć odtąd z odznaczeniem we wszystkich następnych kampaniach, gdzie dosłuży się majorostwa i kawalerskiego krzyża polskiego. Razem z nimi

[1]) Zeznanie protokólarne Łukasińskiego, 5 (17) paźdz. 1825 r. W autografie *Dziadów* pierwotnie wszędzie było „Machnicki;“ podobnież w kopii Domejki; później dopiero w tej kopii Mickiewicz własnoręcznie (w Pamiętn. Tow. Mick., T. VI, 245, Stan. Estreicher mylnie podaje, jakoby ta poprawka zrobiona była obcą ręką) nadpisał „Cichocki“ (Cichowski); podobnież w wierszu „Oni (Machniccy) są z Wielkopolski“ podstawił „z Galicyi,“ stosownie do zmiany nazwiska. Ta część *Dziadów*, jak wiadomo, powstała wiosną 1832 r. w Dreznie; druk rozpoczęty w Paryżu w listopadzie t. r.; był już wtedy na emigracyi Machnicki; być może nie bez jego udziału nazwisko jego zostało usunięte — odpowiadałoby to jego charakterowi; por. odmiany tekstu w ed. krytycznej *Dziadów* (1905), 347. Co się tycze „Króla Zamczyska,“ to jakkolwiek Goszczyński wziął bezpośrednie szczegóły tej postaci z innego, Jana Machnickiego, obłąkańca istotnie przemieszkującego na zamku odrzykońskim, niewątpliwie jednak do przędzy poetyckiej wprowadził rysy psychiczno-polityczne, należące do indywidualności Kazimierza.

wszedł tutaj jako porucznik Jakób Szreder, rówieśnik Machnickiego, też prawnik, adwokat trybunału, rodem z Augustowskiego, mniejszej nierównie od nich obu wartości, projektowicz, gaduła, wielkiego o sobie rozumienia, niewytrzymały, w późniejszych chwilach próby bardzo nawet niepewny, choć zresztą śmiały w polu, ozdobiony niebawem za waleczność złotym krzyżem polskim, gorący patryota i nie bez głębszej myśli politycznej w sprawach tak doniosłych, jak włościańska. [1]) Dołączyli się do nich wniesieni jednocześnie do listy pułkowej dwaj bracia Kozakowscy, Franciszek kapitan i Władysław podporucznik, rodem z Litwy, żołnierze odważni, starszy zwłaszcza, uczestnik kampanii 1806, 7, 9, 12 i 13 r. a następnie rewolucyjnej, w bliższej zażyłości z Łukasińskim i Machnickim, jakkolwiek i on, tak samo jak Szreder, najcięższej podobno nie wytrzyma próby. [2]) Pokrewnego mniej więcej typu był podporucznik Tomasz Skrobecki, służbista całą duszą, wzorowo pełniący swe obowiązki, człowiek honoru, lecz zdolny też dla powinności służbowej wyższy poświęcić obowiązek. Ale najfatalniejszym nabytkiem dla tego grona był sam pierwszy dowódca tego pierwszego pułku galicyjsko-francuskiego, zresztą po kilku już miesiącach szczęśliwie wydalony z komendy i wojska, pułkownik Augustyn Sznayder, [3]) dawny żołnierz Kościuszkowski, potem legionista Dąbrowskiego, dzielny rębacz, a zarazem upodlona z gruntu figura, „stary rabuś chcący skorzystać z zamieszania“ — powie o nim później, poznawszy go lepiej, Łukasiński [4]), — nikczemny, zwyrodniały okaz emigranta krzykacza i pseudo-jakóbi-

[1]) Nie należy go mieszać z imiennikiem a zapewne krewnym, porucznikiem Jakóbem Szretterem (1771—1842), o którym podana wiadomość w Dzienniku narod., 1842, № 73, str. 293, w relacyi z Poitiers, 15 sierpnia 1842 r. „Zgon J. Sz.“

[2]) Pamflet apologetyczny J. B. Ostrowskiego, Franciszek Kozakowski, pułkownik wojsk polskich, Paryż 20 sierpnia 1832 r. (też w ed. franc.) mógłby raczej cień rzucić na charakter Kozakowskiego, gdyż okoliczności główne zostały tu przemilczane; Kozakowski zmarł w Grasse, 18 kwietnia 1846 r., Demokr. Pol., VIII, 184.

[3]) Nazwiska podane tu z reguły według własnoręcznej pisowni osób. Sznayder, w liście oficerów I legii z 1797 r. figuruje jako kapitan trzeciego regimentu Grabińskiego; za Księstwa wstąpił do pułku ósmego piechoty Cypr. Godebskiego jako kapitan; pułkownikiem pierwszego pułku galic.-francus. został 5 lipca 1809 r., uwolniony 17 lutego 1810 r.; porówn. u Gembarzewskiego, Wojsko Księstwa Warszawskiego (1905), 95, 100 i lista imienna, XL.

[4]) Pismo własnoręczne Łukasińskiego (z d. 17 paźdz., w Zamościu).

na, który w chwili sposobnej zamieni się odrazu na sprzedawczyka i denuncyanta. Wspomnieć tu także należy o poczciwym i nieszczęśliwym Ignacym Dobrogoyskim: był on wtedy szefem batalionu w wystawionym przez ks. Konstantego Czartoryskiego pułku piątym galicyjsko-francuskim, potem szesnastym Księstwa; rodem z Leśniewa w Poznańskiem, zeszedł się z Łukasińskim przez swego spółziomka Machnickiego; zacna dusza, lecz głowa słaba, choć wiekiem i doświadczeniem od nich znacznie starszy, weźmie później serdeczny udział w ich pracach i niebacznie do wspólnego przyłoży się nieszczęścia. Wzmiankować wreszcie wypada o podkomendnym Dobrogoyskiego, Karolu Wierzbołowiczu, kapitanie tegoż pułku piątego; człowiek zręczny, mający stosunki, posunie się wkrótce na adjutanta sztabu głównego i podpułkownika, a dalej, już za Królestwa, zajmie wybitne stanowisko w administracyi cywilnej; mizerna w gruncie i trwożliwa indywidualność, skojarzy się przecie w następstwie z Łukasińskim ścisłym węzłem współpracownictwa a nawet rodzinnego powinowactwa. W ostatecznej konkluzyi, jak się okazuje przy bliższem wejrzeniu w niniejszy najpierwszy genetyczny zawiązek przyszłego przedsięwzięcia Łukasińskiego, sam materyał ludzki, jakim on rozporządzał bezpośrednio, z wyjątkiem tylko Machnickiego, dużo pozostawiał do życzenia: i w tej okoliczności poniekąd tkwił już zarodek niepowodzenia samego tego przedsięwzięcia.

Tymczasem wojna francusko-austryacka a wraz i kampania galicyjska miały się na ukończeniu. W tydzień po wstąpieniu Łukasińskiego do formacyi galicyjsko-francuskiej nastąpił rozejm na głównym, naddunajskim terenie wojny; po dwóch zaś tygodniach i w armii polskiej ustały wszelkie czynności wojenne. Po kilkomiesięcznem jeszcze wyczekiwaniu pokój został zawarty, wojska polskie wróciły do Księstwa Warszawskiego, zwiększonego przez przyznaną mu w traktacie pokojowym część swojej zdobyczy galicyjskiej. Pułk trzynasty stanął odtąd załogą we wcielonym do Księstwa Zamościu. Łukasiński, pełniąc obowiązki płatnika pułkowego, a niebawem znowuż wzięty do zajęć administracyjnych bądź w dyrekcyi popisów, bądź w biurze funduszów, nie brał też osobiście udziału w wyprawie moskiewskiej 1812 r. Nadszedł krytyczny rok 1813. Zniweczona Wielka Armia spiesznie uchodziła ku Zachodowi; w ślad za nią zwaliła się na Księstwo Warszawskie ścigająca armia rosyjska. Szczątki wojska polskiego pod ks. Józefem, opuściwszy Warszawę, przystanęły w Krakowie, gdzie odbywała się gorączkowa ich reorganizacya po straszliwej klęsce moskiewskiej. Tutaj, do Krakowa, wiosną 1813 r., wraz

z całą administracyą wojenną, ściągnięty został dla czynności organizacyjnych Łukasiński, kiedy tymczasem najbliżsi jego towasze broni z pułku trzynastego, zamknięci w Zamościu, uczestniczyli pod generałem Haukem w długotrwałej obronie tej twierdzy. Trudne niezmiernie było położenie żołnierza polskiego w Krakowie w ciemnej, dwuznacznej chwili ówczesnej, trudne bardziej jeszcze pod względem obywatelskim, niż wojskowym; zawahali się wtedy, zatrzymali, wycofali ludzie najlepsi, jak: Kniaziewicz, Chłopicki, Chłapowski. Łukasiński nie dał się zbić z tropu, wbrew wszelkim wątpliwościom poszedł za prostym głosem obowiązku, poszedł do końca za wodzem naczelnym, odbył całą kampanię saską, jeszcze po bitwie pod Lipskiem uczestniczył w obronie Drezna i tutaj, przy upadku stolicy saskiej, wzięty został do niewoli przez Austryaków (12 listopada 1813 r.). Wyprawiony z innymi więźniami na Węgry, był tam pół roku przeszło trzymany. Tymczasem cesarz Aleksander I po zajęciu Paryża wiosną następnego roku, i przyjęciu deputacyi od wojska polskiego, wziął je pod swoją opiekę i otworzył mu powrót do kraju. Skończyła się tym sposobem i Łukasińskiego niewola; wypuszczony przez Austryaków (8 czerwca 1814 r.), tegoż lata został z Węgier na Kraków skierowany do Warszawy.

Rozpoczęła się w Warszawie, zrazu faktycznie, a od jesieni 1814 r. prawidłowo reorganizacya nowego wojska polskiego pod bratem cesarskim W. Ks. Konstantym, jako wodzem naczelnym, a pod bezpośrednim kierunkiem polskiego Komitetu Wojskowego. Ale los kraju, a tem samem i samego organizującego się wojska, jeszcze przez blisko rok cały pozostał wątpliwym. Czy w rzeczy samej zostanie urzeczywistnionem przyrzeczone przez Aleksandra odbudowanie Królestwa Polskiego i w jakich mianowicie granicach i postaci? To pytanie dla całego narodu, a zwłaszcza dla wojska, najwyższą w tej chwili przełomowej posiadało doniosłość. Nie wiedziano, o ile liczyć można na Aleksandra. A wiedziano napewno, że trzeba liczyć się z oporem Prus, Austryi, a i przeważnej opinii publicznej rosyjskiej. W takiem położeniu z konieczności narzucić się musiała myśl, iż należy przedewszystkiem liczyć na siebie, skoro liczenie na innych, nawet na rzekomą wszechpotęgę Napoleona, tak okrutnie zawiodło. Są skazówki, że taka mianowicie świadomość i wynikające z niej konsekwencye kiełkowały już w ciągu 1813 r., podczas oblężenia Zamościa, śród obrońców twierdzy, najpewniej w głowie Machnickiego. Odpowiadało to nastrojowi chwili. To też pomysły w tym kierunku zjawiały się wtedy z różnych stron jednocześnie a nawet krystalizowały się

w postaci dość konkretnej, a przeważnie w kole osób, skąd mogły bezpośrednio oddziałać na Łukasińskiego. Tak więc Horodyski, który w 1813 r. razem z Łukasińskim był w Dreznie, a w roku następnym wrócił do Warszawy, zaczął tu obecnie, już w ciągu lata 1814 r., formułować na piśmie pewne nader znamienne wskazania tajne, mające na celu „utrzymanie nadziei o przyszłych kraju losach, ożywienie narodowego ducha, oswojenie z wielkiemi zamiarami," a będące w gruncie rzeczy zarysem organizacyi powstańczej [1]). Niebawem Horodyski, w dalszem rozwinięciu tego zarysu, nakreślił obszerny projekt organizacyi tajemnej, złożonej z „wy-

[1]) Pismo bez daty (początek lata 1814): „Mieć osoby w każdym powiecie dla utrzymania nadziei o przyszłych kraju losach, dla ożywienia narodowego ducha, oswajania z wielkiemi zamiarami, oraz dla utrzymywania wszędy komunikacyi i zebrania celniejszych wiadomości wskazanych w 15 następujących punktach. Takowe należy zebrać w postaci materyałów rachunkowych, służących do ułożenia budżetu ogólnych przychodów i wydatków. Zbiór takowy przesłać do kałkulatora Januszowskiego z I (zby) O (brachunkowej): 1. Wiele jest w departamencie oficerów zdatnych do używania? [to oznaczyć przez Rachunki miejskie]. 2. (1) Wiele jest gwardyi narodowej? (2) w jakiej części użyta być może? (3) czy ma broń? [1-o oznacza przychody miejskie, 2-o superata od etatowych wydatków pozostająca, 3-o wydatki municypalne. Ile na podniesienie miast z ruiny wypadałoby dać funduszu. Ludzi oznacza się złotemi, a jeden znaczy dziesięć]. 3. Wiele jest strzelców w puszczach narodowych, jakoteż w lasach partykularnych? Wiele ich użyć można? [liczba strzelców oznacza się przez przychód z dóbr i lasów narodowych, a część użyć się mająca oznaczy się przez superatę od miejscowych wydatków pozostającą. Tysiąc złp. oznacza dziesięć]. 4. Wiele jest wojska polskiego w departamencie? Czy jest ubrane i uzbrojone? Jaki jest sposób myślenia pułkowników i oficerów? Wynaleźć osoby, któreby ich gotowały do zamiaru w zdarzonej porze. [Liczba wojska oznaczoną będzie przez dochody z podymnego. Tysiąc złp. oznaczać ma 20 żołnierzy. Czy uzbrojeni — wyraża się, czy etaty ułożone. Jaki jest sposób myślenia oficerów, pisze się przez dobre lub złe urządzenie poboru. Przychód *ante lineam* oznacza kawaleryę, przychód w rubrykach umieszczony oznacza piechotę]. 5. Jak wielka jest ludność męska, mogąca wystąpić do dźwignienia narodu siłą fizyczną, bez oderwania potrzebnej liczby do prowadzenia rolnictwa i profesyj miejskich? [To wyraża się przychodem z Ofiary. Złp. 1 oznacza jednego człowieka]... (Dalej idzie kwestyonaryusz względem wojsk obcych, artyleryi, broni, koni, gotowizny i t. d.). ...14. Data na przyszłość oznaczy się 20 dniami później, a na przeszłość 20 dniami pierwej..." Pismo to odnosimy do początku lata 1814, gdyż widocznie już po powrocie części wojska polskiego do kraju, a jeszcze przed jego organizacyą przez Komitet Wojskowy; potwierdza to również brak wszelkiej wzmianki o generałach polskich.

branych i podwybranych“ a obliczonej na ogarnięcie kraju całego „w stukilkudziesięciu punktach“ jednym zawiązkowym „łańcuchem w celu zupełnego odrodzenia się narodu,“ pod przewodem pięciu „dyrygujących wybranych.“ Przebijała wyraźnie w tych planach lekkomyślna, nazbyt pochopna powierzchowność i lubująca się we frazesach wielomówność, rysy charakterystyczne dla całej niemal działalności publicznej tego ambitnego projektowicza, jakim był z urodzenia Horodyski. Ale przebłyskiwała też w samem założeniu niejedna myśl trafna, którą ten uczeń Kołłątaja zapożyczyć mógł od zmarłego mistrza, tam mianowicie, gdzie wystawioną była zasada wytyczna, iż nie należy dłużej „oglądać się jedynie na stosunki i wypadki zagranicznej polityki, nie zasięgać stamtąd zachęceń do postępowania w swej pracy, ale to zachęcenie czerpać jedynie w swem własnem sercu, wpośród krajowych samego narodu żywiołów.“ [1]) W tem było sedno rzeczy. W tem mieścił się ważny zwrot zasadniczy w uświadomieniu pewnej przynajmniej części narodu, wynikający zarówno i z okropnego zawodu położonych w Napoleonie, a rozwianych przez jego upadek nadziei, i z widoku pomyślnej walki narodowej Hiszpanów oraz porywu wyzwoleńczego Prusaków przeciw Napoleońskiej przemocy, i wreszcie z samej istoty spółczesnego położenia sprawy polskiej. *Polonia farà dà se* — to hasło, w absolutnem dosłownem znaczeniu, bez względu na okoliczności i możność fizyczną, zapewne fikcyjne i niewykonalne, lecz w samej zasadzie, w przeciwstawieniu do biernego zdania się na los i Europę, najrealniejsze i konieczne, podówczas to, w chwili tragicznego epilogu epopei Napoleońskiej, a w przededniu założenia Królestwa Polskiego, uświadomione zostało przez celniejszych przewodników narodu. Przedewszystkiem zaś przez najcelniejszego, generała Dąbrowskiego. W odezwie, przez niego samego najpewniej inspirowanej, zapytywało się go wojsko, po co właściwie ma się ono organizować, póki przyszłość kraju nie została zabezpieczoną. Podczas wynikłych z tego powodu zatargów między Komitetem Wojskowym a W. Ks. Konstantym, Dąbrowski przedstawił W. Księciu szczegółowy projekt akcyi woj-

[1]) Własnor. koncept Horodyskiego „Wybrani i podwybrani;“ przepisane tu dosłownie przemówienie „wybranego“ do „podwybranego“ przy jego przyjęciu do związku zaczyna się od deklaracyi, iż „znajduje się na ziemi polskiej *niewidoma władza* (kursyw tekstu), która całej rzeczy ruch i kierunek daje.“ Ten pomysł z pewnemi modyfikacyami znalazł później zastosowanie we wszystkich następnych próbach związkowych.

ska polskiego na własną rękę przeciw Prusakom albo też i przeciw Austryi, o ile te mocarstwa stanęłyby na przeszkodzie odbudowaniu Królestwa. W tym samym duchu samodzielnym, ofiarując się własną bronią polską wywalczyć podniesienie Polski i żądając od cesarza jedynie przyznania sobie swobody ruchów w tym względzie, a conajwyżej skromnego zasiłku pieniężnego i trochy artyleryi, był zwrócił się Dąbrowski już wcześniej, latem tegoż roku, do samego Aleksandra. Śmiałe te propozycye Dąbrowskiego, jak było do przewidzenia, nie z najlepszem spotkały się przyjęciem i wywołały tylko podejrzliwość monarchy i wodza naczelnego względem zbyt przedsiębiorczego generała polskiego [1]).

To też niezawiśle od tych wynurzeń poufnych pod adresem Rosyi, podjętą została na wszelki wypadek przez niektórych młodszych oficerów, zbliżonych do Dąbrowskiego, tajna inicyatywa organizacyjna w samem wojsku polskiem, w bardzo ostrożnej zresztą, próbnej i ewentualnej postaci. A mianowicie, pod koniec 1814 r., pod kierunkiem podpułkownika inżynieryi Ignacego Prądzyńskiego, przy udziale Klemensa Kołaczkowskiego i Gustawa Małachowskiego, powstało Towarzystwo Prawdziwych Polaków. Oparte było na zasadzie t. zw. „*société de quatre*," bo więcej nad 4 osoby razem należeć nie mogły, czyli jedną lożę formować. Nie przyjmowali w maskach, lecz tak głęboko furażerki nasadzali na czoło i płaszczami z stojącemi kołnierzami obwijali się, że ich twarzy poznać nie można było." [2]) Z liczby trzech przyjmujących, dwaj, nieświadomi nazwiska osoby przyjmowanej, oczekiwali na nią w ciemnem miejscu recepcyjnem, trzeci, wprowadzający, z latarnią pod płaszczem, rzuciwszy jej światło na twarz wprowadzanego, przekładał mu pięć obowiązków nowego powołania: że będzie zawsze prawdziwym Polakiem; że będzie rozszerzał ducha narodowego; że nie

[1]) Aleksandrowi propozycye Dąbrowskiego były zapewne doręczone przez szefa szwadronu artyl. konnej Wład. Ostrowskiego na audyencyi 14 sierpnia 1814 r., jakkolwiek w pełnej relacyi Ostrowskiego z jego misyi petersburskiej, ogł. u Chodźki, II, 480., brak wyjaśnienia w tym względzie; porówn. natomiast wiadomość w depeszy Kollera do Metternicha, Petersb. 7 sept. 1814, Wczasy histor. I, 148. Opinia Dąbrowskiego w Komitecie Wojskowym 4 déc.: „que l'armée s'organise et qu'elle prenne aussitôt position entre la Warta et la Noteć," por. Ministeryum Wielhorskiego, 7; Dąbrowski do W. Ks. Konstantego, 26 nov. (8 déc.) 1814 r. wraz z dołączonym memoryałem (Arch. Sztabu Warszawskiego, zakom. nam przez p. Gembarzewskiego).

[2]) Zeznanie protokół. Łukasińskiego, 6 (18) paźdz. 1825 r.

będzie szczędził starań w tym celu; że będzie przysposabiał nowych członków Towarzystwa według obrzędu, jakim sam przyjęty został; że nie będzie się starał poznać przyjmujących, nie będzie nigdy pisał ani nawet bez potrzeby mówił o Towarzystwie. Członkowie nosili pierścień biały z amarantową emalią, trzema punktami wewnątrz oznaczającemi liczbę przyjmujących, i pięcioma punktami zewnątrz, oznaczającemi liczbę zobowiązań. Przyjmowanych zapewniano, że związek istnieje oddawna i że wyższym jego stopniom wiadome są ostateczne cele i środki. Do tego Towarzystwa, ile wiadomo, byli przyjęci: brat Prądzyńskiego, podpułkownicy Bojanowicz i Koss, major i kapitan Płończyńscy, konduktor inżynieryi Skibicki, kapitan artyleryi konnej gwardyi Kołysko, szef wydziału komisyi skarbu Domżalski, obywatele Męciński z Żarek i Ludwik Sobański z Ukrainy, a podobno też kapitan Krzyżanowski, Bruno Kiciński, Teodor Morawski i inni [1]). Niebawem przekonał się Prądzyński, że „w Towarzystwie, gdzie się razem nie zgromadzają członkowie, łatwo ślad stracić można;“ było ono zresztą zawiązane głównie z uwagi na ówczesną chwilę przesilenia w sprawach krajowych. W istocie, właśnie w chwili jego zawiązania, z końcem 1814 a początkiem 1815 r. zanosiło się na wielką wojnę europejską, na zbrojny zatarg pomiędzy Rosyą a mocarstwami zachodniemi o sprawę polską. Sam W. Ks. Konstanty w grudniu 1814 r. w rozkazie dziennym do „żołnierzy Polaków“ dziwnie gorącym przemawiał językiem: „przybywajcie pod ojczyste chorągwie, uzbrójcie dzielne ramiona ku obronie ojczyzny i utrzymaniu politycznego jej bytu.“ W takiej chwili związki patryotyczne polskie, o ile przyłożyłyby się do poparcia Aleksandra przeciw Europie, mogły mu nawet być na rękę. Wkrótce jednak, wiosną 1815 r., po nagłym powrocie Napoleona z Elby, w niespodzianej i niebezpiecznej dobie Studniowej, wypadało kierownikom wojska polskiego brać na uwagę również i ewentualność ponownego zwycięstwa francuskiego oręża i wyzyskania sposobnej chwili na rzecz własnej niepodległości. Miał podobno i taką ewentualność wtedy na oku czujny Dąbrowski, kiedy w tym

[1]) Zezn. własnor. (franc.) Prądzyńskiego, 30 nov., 1 déc. i jego raport do Haukego, 3 déc.; jego zezn. protokół., 2, 12 grud. 1825 r. Raport własnor. (franc.) Kołaczkowskiego do Haukego, 21 janv. (relacya jego podana we Wspomnieniach, II 146 str., III, 17, 85, mieści znaczne nieścisłości, już co do samej daty, odniesionej do 1816 roku); raporty Kossa, 12 stycznia, Bojanowicza, 30 stycznia 1826 r.

czasie przez zaufanego pułkownika Biernackiego komunikował się potajemnie z więzionym królem saskim, księciem warszawskim. Z ogłoszeniem Królestwa Polskiego na Kongresie Wiedeńskim i upadkiem Napoleona pod Waterloo, latem tego roku, wszelkie z tej strony widoki zostały narazie zamknięte. Wtedy też, po niedługiem trwaniu, Towarzystwo Prawdziwych Polaków przerwało swoje czynności a niebawem całkiem zostało zwinięte w początkach Królestwa Kongresowego.

Łukasiński do Towarzystwa tego nie należał. Po powrocie do kraju wszedł on do reorganizującej się armii polskiej i rozkazem dziennym W. Ks. Konstantego (2 lutego 1815 r.) przeznaczony został w stopniu kapitana do czwartego pułku piechoty liniowej pod komendą pułkownika Ignacego Mycielskiego, w składzie drugiej brygady drugiej dywizyi piechoty, pod dowództwem Stefana Grabowskiego, późniejszego ministra sekretarza stanu, a następnie Ignacego Blumera, obudwu mających zupełne zaufanie wodza naczelnego i monarchy. Sam pułk czwarty w szczególnych był łaskach u Cesarzewicza Konstantego; kantonował stale w Warszawie, dyzlokowany w koszarach pałacu Sapieżyńskiego przy ulicy Zakroczymskiej; kościołem pułkowym był kościołek księży Bonifratrów przy ulicy tegoż nazwiska. Popularni „czwartacy,“ wsławieni później podczas wojny rewolucyjnej, składali się przeważnie z dzieci Warszawy, rekrutowani głównie w samej stolicy między rzemieślnikami, wyrobnikami, służbą prywatną i t. zw. „brukową młodzieżą,“ byli też naogół niższego wzrostu od innych pułków liniowych, lecz przewyższali wszystkie, nie wyłączając gwardyjskich, zgrabną postawą, sprawnością ruchów, precyzyą w mustrze, doprowadzoną do doskonałości, a nawet elegancyi. Natomiast nie brakło śród nich „filutów, figlarzy, oszustów, nawet złodziei“—wiadomo, że razu jednego świsnęli dla dowcipu płaszcz samemu W. Księciu, — ale nawet swoje grzechy okupywali taką wesołością i sprytem, że mimo wszystko, byli zdeklarowanymi ulubieńcami Warszawy. W. Książe poprostu miał słabość do tego pułku, dawał mu wszędzie pierwszeństwo, stawiał za wzór samej gwardyi, co wywoływało kwasy w innych pułkach, gdzie oskarżano „czwartaków“ o wysługiwanie się Cesarzewiczowi, o przekupywanie jego szpiegów, i twierdzono, że sam W. Książe we wszystkiem im pomagał i zawczasu ostrzegał, jak co ma być wykonane na rewii, paradzie, manewrach. Łukasiński, warszawiak z urodzenia, znalazł się w tym pułku specyficznie warszawskim śród żywiołu dobrze sobie znanego, a choć surowością zasad i ostrą powagą usposobienia odbijał od lżejszej atmosfery pułkowej, zy-

skał sobie wkrótce szacunek i przełożonych i kolegów, przywiązanie podkomendnych, a zwłaszcza szeregowców. Niebawem (30 marca 1817 r.) posunięty został na majora. Z sumiennością drobnostkową zajęciom służbowym oddany, pędził szare życie utrzymującego się ze szczupłej pensyi oficera liniowego, zdala od świetnego wiru salonów warszawskich, gdzie bardziej uprzywilejowani majątkowo lub przez stosunki koledzy, Skrzynecki, Prądzyński i inni, łatwy mieli przystęp, a poniekąd łatwiejszą też drogę karyery, bliżej będąc rządu, Komisyi wojny i wielkiego ołtarza w Belwederze. Skromny major czwartacki, znajdował się po za obrębem tego kołowrotu. Nie brakło zresztą smutków domowych. Stracił matkę; opiekować się musiał bratem kaleką. Ciężkiem też zapewne przejściem dla człowieka honoru była drażliwa sprawa sercowa jedynej siostry z dawnym towarzyszem broni Wierzbołowiczem, obecnie referendarzem przy Radzie Stanu, pokryta wreszcie spóźnionym związkiem małżeńskim. Sam zaręczył się koło tego czasu z panną Fryderyką Stryjeńską, lecz z roku na rok wypadało odkładać małżeństwo, czekając awansu i lepszego uposażenia; nie doczekają się ślubu oboje, i napróżno potem przez długie lata, aż do zgonu, wiernie będzie wypatrywała narzeczona powrotu więzionego żywego trupa, zabranego jej nazawsze ukochanego człowieka. Miał po za tem Łukasiński w Warszawie kongresowej grono ściślejszych przyjaciół: zamieszkał tu Machnicki, prywatyzując po wzięciu dymisyi z wojska; Szreder praktykował jako adwokat przy Sądzie Apelacyjnym; kręcił się, również po cywilnemu, dwuznaczny Sznayder; bywali bracia Kozakowscy, starszy teraz na wydatniejszem stanowisku podpułkownika kwatermistrzostwa, i Dobrogoyski, teraz podpułkownik w pułku czwartym strzelców pieszych [1]). Nadto, zażylszą przyjaźń zawiązał w tym czasie Łukasiński z muzykiem Fiszerem, dymisyonowanym oficerem, jak się zdaje byłym urzędnikiem dyrekcyi popisów za Księstwa, nieznanym skądinąd, któremu niejedno powierzał, a który musiał być powiernikiem tem pewniejszym, im mniej o nim wiadomo, im bardziej przeto dyskrecyę zachować potrafił.

Nie zamykał się Łukasiński w samej tylko, zabijającej ducha, służbie koszarowej i obozowej. Bacznie śledził i żywo odczuwał sprawy życia publicznego Królestwa w ogólnym ich przebiegu i rozwoju, a nawet w poszczególnych objawach. Interesują-

[1]) Rozkazem dziennym 4 lutego 1815 r. przeniesieni zostali do tego pułku Dobrogoyski i kapitan Kozakowski.

cem w tym względzie świadectwem jest ogłoszone w tym czasie pismo, jedyne, jakie z pod jego pióra ukazało się w druku, dotyczące sprawy żydowskiej. Sprawa ta rozmaite i bardzo już ostre przechodziła koleje za Księstwa Warszawskiego; zaogniła się w okresie przechodnim pomiędzy upadkiem Księstwa a założeniem Królestwa; obecnie zaś, od pierwszych lat Królestwa kongresowego znowuż weszła na wokandę w prasie, opinii, prawodawstwie i życiu. Już w 1815 r. zabrał głos w duchu naprzód dla żydów przyjaznym wpływowy *Pamiętnik Warszawski*; wnet tamże w duchu gwałtownie potępiającym odezwał się Staszic „O przyczynach szkodliwości Żydów i środkach usposobienia ich, aby się społeczeństwu użytecznymi stali;“ środkującym, spokojnym i bezstronnym sposobem wystąpili w następnym 1816 r. ks. Łętowski w Warszawie z rzeczą „O Żydach w Polsce“ i Stanisław Kaczkowski w Kaliszu z „Rzutem oka na Żydów.“ Narazie wyczerpała się dyskusya. Tymczasem w lutym 1817 r., przy pierwszym normalnym poborze z Królestwa weszli do wojska polskiego nowozaciężni Żydzi, dotychczas, od pierwszej nieudanej próby w początkach Księstwa, zwolnieni zupełnie od służby wojskowej, teraz ponownie w pewnym stosunku do niej pociągani. Zarazem w całej rozciągłości wchodziła ponownie sprawa żydowska pod obrady nadchodzącego pierwszego sejmu Królestwa 1818 r. Wnet nanowo w prasie otworzyła się dyskusya. Generał Wincenty Krasiński wydał w Paryżu po francusku, i ogłosił po polsku w *Gazecie Korespondenta Warszawskiego*, poświęcone Namiestnikowi Zajączkowi ostre pismo *Apercu sur les Juifs*. Uznawał Żydów za „obywateli świata całego, nie przywiązanych do żadnego kraju, nie przyznających żadnej ojczyzny,“ twierdził, że Żydzi polscy podlegają „naczelnikowi głównemu, rezydującemu w Azyi z tytułem Księcia Niewolnictwa,“ wypowiadał powątpiewanie co do skuteczności ich uobywatelenia, jakkolwiek zresztą w zakończeniu podawał dość liberalne „wskazania ogólne“ celem reformy Żydów polskich, wzięte z odpowiedniego projektu z czasów Sejmu Czteroletniego oraz z pracy Czackiego o Żydach. Zastrzeżenia generała doprowadził do ostateczności bezimienny autor *Sposobu na Żydów*, doradzający poprostu, aby zwrócić się do Aleksandra I z żądaniem przymusowego wysiedlenia wszystkich Żydów z Królestwa i osadzenia ich „na granicach Wielkiej Tartaryi.“ W stosunkowo łagodniejszym, lecz pokrewnym naogół duchu, trzymane były wywody bezimiennej broszury *O Żydach*, gdzie autor, powątpiewając o wykonalności emigracyi przymusowej, zalecał zamykanie Żydów w osobnych siedzibach, „albo raczej nowych miastach,“ obok stosownej „reformy

religii żydowskiej.“ Z całkiem innych natomiast zasad, bardziej umiarkowanych, na głębszem poczuciu sprawiedliwości i interesu krajowego opartych, wychodził Józef Wyszyński w rzeczy *O reform e ludu Izraela*, domagając się systematycznej, stopniowej pracy około podniesienia ludności żydowskiej pod względem kulturalnym i obywatelskim. Owóż z powodu tych czterech pism,—które zresztą wywołały całą powódź innych w tym samym przedmiocie—ogłosił Łukasiński w 1818 r. *Uwagi pewnego oficera nad uznaną potrzebą urządzenia Żydów w naszym kraju i nad niektóremi piesenkami w tym przedmiocie teraz z druku wyszłemi*. „Nie byłem nigdy — powiada skromnie we wstępie — autorem żadnego pisma. Zatrudniony ciągle wypełnianiem obowiązku mego powołania, nie mogłem nabyć tylko niektórych i to bardzo ogólnych we względzie prawodawstwa i administracyi krajowej wiadomości.“ Jednak *Uwagi*, pisane dorzecznie, spokojnie, zwięźle, świadczyły zarówno o należytem zgruntowaniu przedmiotu i o dojrzałej, przewidującej myśli obywatelskiej. „Żydzi są szkodliwi krajowi, a nawet mogą stać się niebezpiecznymi.“ Ale „trzeba nam przekonać się jeszcze, czyli mogą kiedyś stać się użytecznymi.“ Na to pytanie odpowiada Łukasiński twierdząco. Ostro wytyka Żydom ich błędy i winy, ich „obojętność dla kraju, w którym mieszkają;“ „Żydzi naród przemyślny, zepsuty długiem oszukiwaniem naszych włościan, nieprędko opuszczą to zyskowne rzemiosło.“ Lecz zarazem stwierdza okropną nędzę mas żydowskich, odpowiedzialność całego społeczeństwa za „wzgardę, którą Żydom okazujemy, wziętą w najobszerniejszem znaczeniu... Dopóki nie przestaniemy Żydom okazywać tej pogardy,... dopóty nie spodziewajmy się, aby mogli stać się czem innem, jak są dzisiaj... Co to jest miłość Ojczyzny i dlaczego to uczucia są Żydom obcemi?... Połączenie się z pewnym narodem, przywiązanie się do pewnego kraju, są istotnemi i jedynemi ogniwami tych uczuć. Kto w całym kraju niema krewnych i przyjaciół, ten pewno nie będzie do niego przywiązanym.“ Takie pokrewieństwo, przyjaźń i zespolenie duchowe należy tedy wytworzyć. Dalej stawia autor doniosłe wnioski względem edukacyi narodowej Żydów, dopuszczania ich do cechów i korporacyj. Wreszcie podnosi z naciskiem, że sprawa żydowska związana jest jaknajściślej ze sprawą ogólnej reformy społecznej, a mianowicie w zakresie sprawy włościańskiej. „Epoka poprawienia Żydów w naszym kraju zacznie się z epoką oświecenia włościan.“ Co się tyczy czterech pism omawianych, Łukasiński surowo potępia obiedwie bezimienne broszury, jedną, jako „zupełnie niedorzeczną,“ gdzie mowa o przymusowej eksmisyi, drugą, jako przeciwną poję-

ciu wolności, gdzie mowa o *ghettach* i zmianie wierzeń religijnych; podnosi z uznaniem rady Wyszyńskiego; ostro natomiast zwraca się przeciw pismu generała Krasińskiego, w którem nie podziela założeń, a z wniosków, co dodatniejsze, uznaje za przejęte z cudzych prac i pomysłów. Generał replikował w *Odpowiedzi na Uwagi pewnego oficera*, zarzucając Łukasińskiemu „niechęć“ dla szlachty i występowanie „razem z Jeremiaszem“ w obronie żydowstwa „przeciw zdaniu całego kraju.“

Zbliżała się tymczasem stanowcza w życiu Łukasińskiego epoka, punkt wyjścia jego roli historycznej i tragicznego losu. Powołany został Łukasiński do objęcia przewodnictwa w służbie narodowej, jednej z najtrudniejszych i najniewdzięczniejszych, wymagającej zupełnego zaparcia się siebie, a połączonej z odpowiedzialnością niezmierną: w tajnej robocie związkowej.

Istnieje dość rozpowszechniona legenda o osobliwszem jakoby uzdolnieniu i skłonnościach polskich, szczególnej niejako predestynacyi polskiej do dążeń i działań spiskowych. Wyszła ta opinia ze źródeł sąsiedzkich, trójrozbiorczych, od gabinetów, polityków uczonych i publicystów pruskich, austryackich i rosyjskich, tam dla zohydzenia Polski i Polaków została wynaleziona, wymotywowana i stamtąd w świat puszczona [1]). Jestto legenda fałszywa. Nie masz bodaj na świecie narodu, który miałby mniej pociągu, mniej talentu do czynności spiskowych, aniżeli naród polski. Nie nadaje się do tego sama natura polska, usposobienie narodowe *par excellence* indywidualistyczne, ekspansywne, otwarte, mowne, aż wpadające w łatwowierność i niekarność, a połączone z głębokiem, wrodzonem poczuciem prawności, z dochodzącym, aż do formalistyki instynktem legalizmu i jawności. Jestto do tego stopnia prawdą, że tutaj w Polsce wymyśloną, udoskonaloną i urzeczywistnioną została owa rzecz pod względem prawno-państwowym tak w swej naiwnej konsekwencyi logicznej sama w sobie antynomiczna i dziwaczna, żywa *contradictio in adjecto*, spisek legalny i jawny, konfederacya i rokosz. To też w wolnej Polsce spiskowała naprawdę, potajemnie i nieprawnie, magnaterya przeciw królowi, krajowi lub pomiędzy sobą; spiskowała nieraz korona przeciw oligarchii albo i przeciw krajowi; naród — nigdy. Właściwa akcya konspiracyjna została dopiero temu narodowi narzuconą przez przemoc obcą, przez wyż-

[1]) Sformułowanie jej „naukowe“ zostało, między innemi, dokonane w całej pełni przez prof. Łamańskiego w pięknym denuncyacyjnym wywodzie poprzedzającym jego wielką monografię o konspiracyach weneckich.

szą nad jego wolę konieczność samozachowawczą, pod jarzmem cudzoziemskiem, pod groźbą upadku i zguby. Ale jeszcze konfederacya barska, choć przygotować się do wystąpienia musiała w ukryciu, jednak od początku aż do końca starannie przestrzegała form publicznych i legalnych, jeżeli nie w szczegółach, to przynajmniej w centralnych swoich czynnościach. Następnie, już po pierwszym rozbiorze, wypadło za Sejmu Czteroletniego, pod fizycznym przymusem okoliczności zewnętrznych, działać konspiracyjnie dla uzyskania jakiej-takiej swobody ruchów i uskutecznienia zbawiennej reformy Majowej. W wyższej jeszcze mierze pod podobnym przymusem odbywały się przedpowstańcze czynności cywilno-wojskowe 1793—4 r. oraz związane z niemi bezpośrednio usiłowania popowstańcze 1796—1801 r. Stąd wypłynęły z kolei próby organizacyjne 1806—7 r. zwłaszcza w dzielnicy rosyjskiej; prace 1809 r., mające punkt wyjścia w kampanii galicyjskiej, oraz rozliczne, po części krzyżujące się, niekiedy wprost sobie przeciwne pomysły 1811, 1812 i 1813 r.; wreszcie wzmiankowana inicyatywa związkowa 1814 r. Ucichło narazie z chwilą założenia Królestwa Polskiego; kraj łaknął wypoczynku, chciał mieć wiarę w normalną ewolucyę życia konstytucyjnego w Królestwie, a zarazem, co główna, w urzeczywistnienie zasadniczych przyrzeczeń monarszych, tyczących się stopniowego, dalszego rozwinięcia Królestwa pod względem nietylko ustawodawczym, lecz i terytoryalnym. Tymczasem jednak surowa rzeczywistość z dniem każdym coraz nielitościwiej tłumiła tę wiarę. Jeszcze nie było powodu do zupełnego zrozpaczenia. Ale już mnożyły się opłakane objawy, które musiały rozsiewać rozczarowanie i zwątpienie. Najdotkliwiej odczuwało to wojsko polskie. W. Ks. Konstanty, wódz naczelny armii, a faktycznie nieograniczony wielkorządca kraju, rozpoczynał swoje żelazne, arbitralne, z początku prawie prowokujące rządy, nieznane dotychczas broni polskiej, a zgoła dla niej nieznośne, bo gwałcące systematycznie to wszystko, co dla niej było najświętszem: uczucie miłości ojczyzny i uczucie honoru. Wnet nastąpiły haniebne i smutne wypadki 1816—17 r., oddalenie ministra wojny Wielhorskiego, znęcanie się nad wojskiem na Placu Saskim, liczne skutkiem tego samobójstwa pokrzywdzonych oficerów, masowe dymisye wielu zasłużonych, cieszących się powszechnym szacunkiem, przedstawicieli generalicyi i ciała oficerskiego polskiego [1]). Śród ludzi nawet najdoświadczeńszych i najrozważniejszych zaczynało mimowoli wyrabiać się przekonanie, że tak

[1]) Por. Ministeryum Wielhorskiego.

dalej iść nie może, że samą bierną wiarą wobec warunków podobnych wyżyć nie podobna, że należy zawczasu, choćby w postaci oględnej i ewentualnej, pomyśleć o ubezpieczeniu na własną rękę zagrożonych interesów ogólno-narodowych. Uznany naówczas, zwłaszcza od zgonu Kościuszki, moralny naczelnik wojska polskiego, Henryk Dąbrowski, generał dywizyi i senator—wojewoda Królestwa Polskiego, trzymający aż do zgonu rękę na tętnie życia narodu i Królestwa, choć przeważnie zdala od Warszawy przesiadujący w swojem zaciszu winnogórskiem w Poznańskiem, udzielił, jak się zdaje, pierwszej pozytywniejszej pobudki w kierunku takiej mianowicie czynnej i samoistnej oryentacyi sił narodowych na wszelki możliwy wypadek. „Niedługo przed śmiercią swoją (1818 r.) generał ten oświadczył jednemu z dawnych swoich podwładnych: „ile żałować należy, że naród polski, którego waleczność tyle chwały dowódcom niegdyś mu przewodniczącym zjednała, tak mało z poświęcenia się swojego i wysileń dla samego siebie odniósł korzyści. Że teraz nawet istnienie i kształt konstytucyjny jego rządu nie znajdując dostatecznego, w tak wątle ustalonym Europy stanie, zabezpieczenia, niepewni bytu swojego Polacy, żadnym między sobą nie połączeni węzłem, któryby ich zabezpieczał przeciw niestałym zawsze przyszłych wydarzeń kolejom, mogliby znowu, gdyby los wojny był sprowadził Napoleona nad brzegi Wisły po jego z wyspy Elby powrocie, ujrzeć się jeszcze w potrzebie poświęcenia nowych wojnie ofiar bez żadnej nadziei otrzymania innych dla siebie samych warunków nad te, jakieby zwycięzcy podobało się im narzucić. Że zatem życzyć należy, aby starano się ożywić działalność Narodu polskiego i natchnąć go ufnością we własne jego siły, gdyż tym sposobem, jednocząc go dążnością, bez względu na różność rządów, pod jakiemi się teraz znajduje, możnaby nietylko zwrócić całe jego działanie na korzyść Naszego Monarchy, lecz oraz, gdyby los wojny nie był dla Niego pomyślnym, zachować własną niepodległość i wolność poddania siebie królowi, któregoby Naród chciał wybrać.“ Myśli te generała Dąbrowskiego mocne uczyniły wrażenie na tym, któremu je udzielił; ten zaś, usiłując stosować się do otrzymanego od niego wezwania, aby one rozkrzewiał, powierzał je różnemi czasy... innym osobom, zachęcając je do działania ze swej strony dla dopięcia zamierzonego przez generała Dąbrowskiego celu.“ [1])

[1]) Zdanie sprawy Komitetu Śledczego do J. C. M. W. Ks. Konstantego Cesarzewicza, Naczelnego Wodza wojsk polskich, 3 stycznia 1827 r.

O ile do tych osób, nasampierw wtajemniczonych bezpośrednio lub pośrednio w powyższe myśli i wskazania twórcy legionów, należał Łukasiński,—nie daje się stwierdzić z pożądaną ścisłością. Do Winnogóry, odwiedzanej dość często przez niektórych oficerów konsystujących w Warszawie, on nie zajeżdżał nigdy; mógł conajwyżej za bytności Dąbrowskiego w stolicy Królestwa, w pierwszej epoce organizacyi wojska i rządu lub podczas pierwszej kadencyi sejmowej, odwiedzić go w skromnem jego mieszkaniu na piętrze gmachu Starej Poczty na Krakowskiem, dokąd stary generał lubił spraszać młodszych kolegów na kawałek śledzia z serem i polityczno-wojskową gawędę; mógł zresztą zasłyszeć o jego poglądach przez swego pułkownika Mycielskiego albo też przez Machnickiego, mającego z Poznańczykami bliższe stosunki. W każdym razie ta pobudka idąca od Dąbrowskiego stanowiła czynnik jedynie dodatkowy i pochodny w ukształtowaniu inicyatywy związkowej, która, z różnych źródeł zasilana, dojrzewała samoistnie w głowie Łukasińskiego. [1]) Sam on później zaznaczył w swych pełniejszych zeznaniach niektóre z prowadzących go w tym kierunku pobudek psychicznych, a jakkolwiek wszystkie owe późniejsze świadectwa więzienne, nadzwyczaj subtelnie, z uwzględnieniem niezmiernie skomplikowanych okoliczności, przez niego układane, muszą też jaknajostrożniej być użytkowane, przecież mieści się tutaj niejedna całkiem naturalna i pra

[1]) W zezn. własnor. (franc.) Wierzbołowicza, 30 listop. 1825 r., jest taki ustęp: „Łukasiński, chcąc nadać więcej znaczenia Masoneryi Narodowej, powziął myśl okrycia jej powagą imienia starego generała Dąbrowskiego, wystawiając go jako twórcę tego pomysłu. Ja nawet użyłem tego udania, kiedy generał Umiński w pierwszem widzeniu się w Łazienkach chciał wiedzieć, kto pierwszy podał myśl Towarzystwa Masońskiego, lecz zdawało mi się, że nie przywiązywał on wiele wagi do sławy imienia gener. Dąbrowskiego.“ Jednak fakt inicyatywy Dąbrowskiego znajduje potwierdzenie pozytywne w zeznaniach Ant. Jabłonowskiego i Mich. Mycielskiego, który słowa, słyszane przez niego od Dąbrowskiego, tak podaje: „iż korzystnem byłoby dla Polaków starać się o utrzymanie ducha i energii narodowej w Polsce i w prowincyach pod obce panowanie przeszłych, ażeby tym sposobem, na własnej sile oparci, niezawsze od losu zmiennego wojen zawiśli.“ Skądinąd widać, że Wierzbołowicz nie we wszystko był wtajemniczany. Z drugiej strony jest prawdopodobnem, że dla zdjęcia odpowiedzialności z żywych, tem silniej podkreślano inicyatywę zmarłego Dąbrowskiego; leżało to zarówno w intencyach badanych związkowców, jak poniekąd i samego W. Ks. Konstantego w czasie śledztwa.

wdziwa skazówka. „Przychodzi mi często na pamięć — pisze tu Łukasiński, — kiedy w r. 1814 nam, będącym w niewoli austryackiej na Węgrzech, kazano powracać do kraju. Wieść była prawie pewna, że wrócimy nazad pod to panowanie *respective*, z którego myśmy wyszli. Niepewność naszego losu, połączona z myślą ujrzenia zniszczonego kraju od mściwego nieprzyjaciela, taką mnie zgrozą napełniły, że ze wstrętem zbliżałem się do granic dawnego Księstwa. Ale jakież moje było zdziwienie, kiedy, przybywszy do Krakowa, widziałem twarze wesołe i ukontentowane; wszędzie, wszędzie mówiono o wspaniałomyślnej opiece N. Cesarza, której w tym osieroconym stanie doznali. Chwalono członków Tymczasowej Rady Najwyższej, szczególniej p.p. Łanskoy, Wawrzeckiego i ks. Lubeckiego, cieszono się nadzieją wskrzeszenia Polski i przyszłej pomyślności, którą im łaskawy monarcha mieć kazał. Nic nie wyrówna radości, jaką serca nasze napełnione były, że Nieba litościwe zesłały nam taką niespodzianą pomoc i opiekę. Zaczęto spisy wojskowe, wypłacono żołd oficerom; ta nowa hojność, nigdy niepraktykowana, dawania płacy nieczynnemu wojsku, zrobiła nas zupełnie przychylnymi. Byłem przez ten czas w stolicy pomiędzy zborem różnego stopnia i broni oficerów, mogłem przeto najlepiej o ogólnym duchu wówczas przekonać się. Nadeszła epoka tworzenia pułków: tu nagle wszystko, jakby czarodziejską różdżką dotknięte, zmieniło dawną postać. Nieznana dawniej ścisła karność i ponawiane często przykłady surowości — może bardzo potrzebne, bo któż z prywatnych może znać widoki i zamiary Rządu? — napełniły duszę moją niewypowiedzianym smutkiem. Kara wykreślenia z kontrol, nigdy u nas przedtem niesłyszana, zdała mi się być za surową. Szczęśliwym trafem dostałem się do pułku czwartego liniowego; ze znajomością wszelkich szczegółów organizacyi umiałem się stać potrzebnym i pomocnym pułkownikowi Mycielskiemu i pozyskać jego zaufanie. Ten szanowny dowódca, przejęty swojemi obowiązkami, odpowiedzialny i Rządowi i nam samym za nasze złe prowadzenie się, zalecał mi często, abym z obowiązku mego mając sposobność obcowania ze wszystkimi oficerami, napominał ich często i prosił, żeby się spokojnie zachowywali. Przykład wyższych oficerów i moje starania w dopełnieniu danych mi poleceń, odpowiedziały zupełnie oczekiwaniu dowódcy. Słysząc wokoło mnie narzekania, strzegłem się pomnażać liczbę tych płaczących panów, lecz pomiędzy zaufanymi, jako to Machnickim i Kozakowskim, wynurzałem często swe żale, litując się nad tylu nieszczęśliwymi oficerami, których najwięcej całą winą jest gadanie. Ta wada jest prawie w charakterze Polaków

i, jeśli się nie mylę, nigdy wykorzeniona nie będzie. Przypominaliśmy sobie, jak powszechnie przeklinano Napoleona i Francuzów, słusznie poniekąd, a jednak jaknajlepiej im służono; jak czerniono Ks. Poniatowskiego, a jednak jak go kochano... W r. 1819 utworzyliśmy Mularstwo Narodowe, mające, oprócz Narodowości, obowiązek wzajemnego wspierania się..." [1])

Wolnomularstwo, zorganizowane nasamprzód w początku XVIII wieku w Anglii,[2]) niebawem poparte przez arystokracyę tameczną, wysunięte ze skromnych swych początków mieszczańskich i uczynione modnem, zaniesione do Francyi,[3]) Niemiec, Prus,[4]) do Saksonii,[5]) przeszło stąd jednocześnie za drugiego Sasa, Augusta III, do Polski[6]). W drugiej połowie XVIII wieku poczęto, jak

---

[1]) Pismo własnor. Łukasińskiego j. w.

[2]) Wielka loża londyńska założona 1717; książę Montagu wielkim mistrzem 1721; pierwsza konstytucya 1723, odtąd (od czerwca) pierwsze protokóły; ustalenie rytuału angielskiego trzech stopni symbolicznych, ucznia, czeladnika, mistrza, w drugiej konstytucyi 1738; w 1729 lóż 54, w 1770—402; wielkim mistrzem 1767—72 był ks. Beaufort, 1790—1803 ks. Walii, por. Gould, The hist. of Freemasonry, 6 vol. (Lond. 1887).

[3]) Pierwsza loża paryska 1725; wielka loża narodowa, Grand Orient de France, od 1773; ustalenie rytuału francuskiego siedmiu stopni, trzech symbolicznych i czterech wyższych aż do Rose-Croix—w 1787; w 1814 lóż 886; wielkim mistrzem 1771—93 ks. Chartres-Orléans, 1804—14 król Józef Bonaparte (faktycznie jego zastępca Cambacérès); Napoleon przyjęty zdaje się około 1798.

[4]) Fryderyk Wielki przyjęty do wolnomularstwa w nocy 14/15 sierp. 1738; wielkim mistrzem pierwszej Wielkiej loży pruskiej 1744; Wielka loża narodowa państw pruskich 1772; loża berlińska Royal Jork od 1765, ogłoszona Wielką lożą 1798; Fryderyk-Wilhelm II należał do wolnomularstwa od 1770; Fryderyk-Wilhelm III edyktem 20 paźdz. 1798, zakazującym towarzystw tajnych, nadał koncesyę trzem lożom głównym pruskim, pod obowiązkiem dostarczania corocznych spisów członków (potw. w publicandum 6 stycz. 1816), sam przyjęty do loży pułkowej rosyjskiej przez Aleksandra I w Paryżu, w kwietn. 1814; por. Flohr, Gesch. d. Gross. Loge Royal Jork (Berl. 1898).

[5]) Pierwsza loża drezdeńska Trzech Orłów Białych 1738, założona przez Rutowskiego, naturalnego brata króla.

[6]) Filia loży Rutowskiego w Warszawie 1739; tegoż roku pierwsza lokalna polska (Jan Mniszech, dwaj Potoccy, Ogiński, Wielhorski, Moszyński) w Dukli. Korzystamy z akt oryg. Wielkiego Wschodu polskiego oraz zapisek Eliasza Aloy; por. Goldbaum, Rudimente einer Gesch. der Freimaurerei in Polen, (1897); Allgem. Handb. d. Freimaurerei II, (Leipz., 1901); Zalęski, O masonii w Polsce (Krak., 1889), nie bez niektórych cennych szczegółów, lecz z mnóstwem błędów i tendencyjnych spaczeń. W przemówieniu Stanisława No-

w innych krajach, tak i w Polsce, nabywać pewnej doniosłości politycznej. Założona przez Jędrzeja Mokronowskiego w jego domu pierwsza loża warszawska Trzech Braci (1744 r.) została następnie, przez Fryderyka Brühla generała artyleryi kor., syna ministra, mającego od Wielkiego Wschodu londyńskiego godność wielkiego mistrza prowincyi saskiej, przekształconą pod nazwą Cnotliwego Sarmaty (1767 r.), z której niebawem (24 czerwca 1769 r.) powstała pierwsza Wielka loża polska pod wielkim mistrzem Augustem Moszyńskim, stolnikiem w. kor., spowinowaconym dość blisko, jako syn hrabiny Cosel, z domem saskim, z własnym statutem (4 sierpnia 1769 r.); obchody odbywały się (od św. Jana 1770 r.) we własnym domu łożowym na Bielanach. Była to pierwotnie pańska pusta zabawka, lecz nie bez zabarwienia politycznego w krytycznym okresie konfederacyi barskiej i sejmu podziałowego. Stanisław-August, sam nieco później posiadacz najwyższego stopnia wolnomularskiego, kawaler *Rose-Croix*, usiłował wyzyskać tę organizacyę przeciw hasłom katolicko-barskim, i przez swego szwagra, Mokronowskiego, przeciągnąć ją na stronę swoją a zarazem prusko-rosyjską; *ex*-Barzanie, śród których, pomimo owych haseł, sporo było wolnych mularzy, ciągali przez Brühla w stronę swoją, opozycyjną, a zarazem sasko-francuską. W 1774 r. powstało w Warszawie i Krakowie kilka lóż nowych przy udziale byłych Barzan, Karola Heykinga i Józefa Zajączka, oddanych jednak za pośrednictwem loży berlińskiej, Royal Jork w zawisłość od Wielkiego Wschodu londyńskiego, przyczem przyjęto naogół konstytucyę masońską angielską; zarazem przecie powstała w Warszawie założona przez kupca Miège loża francuska, w zawisłości od Wschodu paryskiego, zaczątek późniejszych, związanych bezpośrednio z Francyą, organizacyj wolnomularskich polskich. Wzrost wolnomularstwa w Polsce zwrócił uwagę Katarzyny II; ambasada rosyjska w Warszawie zaczęła wpływać przez Jerzego Wielhorskiego i innych na zbliżenie masoneryi polskiej z rosyjską;[1]) po-

wakowskiego, reprezentanta loży Węzeł Jedności w Nowogródku, wygłoszonem na posiedzeniu Wielkiego Wschodu warszawskiego 20 kwiet. 1820, znajdujemy twierdzenie, jakoby masonerya wprowadzoną była do Polski jeszcze za Zygmunta I, przez Brancaccia Włocha, dworzanina królowej Bony; powoływał się na to obrońca Krzyżanowskiego, mecenas Krzywoszewski, przed Sądem Sejmowym; jest to oczywiście wierutna bajka.

[1]) Pierwsza loża petersburska 1750, w stałej czynności właściwie dopiero od 1771; loża prowincyonalna, z ramienia Wielkiego Wschodu londyńskiego, pod. powiernikiem cesarzowej Jelaginem, od 1772; zamieniona na Wiel-

wstała pod Ponińskim loża Katarzyny pod Gwiazdą Północną (1779), do której wstąpili dwaj synowie posła Stackelberga; do nowej, niebawem najwybitniejszej loży warszawskiej, pod Tarczą Północną, dostało się kilku szpiegów ambasady. Równocześnie jednak Ignacy Potocki, stanąwszy na czele dyrektoryum z przedstawicieli głównych lóż krajowych (grudzień 1779 r.), podjął sprawę unarodowienia wolnomularstwa polskiego; doprowadził do skutku konwencyę wszystkich lóż polskich (kwiecień 1780 r.), uzyskał uznanie ich związku przez Wschody zagraniczne, został pierwszym wielkim mistrzem wszystkich lóż zjednoczonych Korony i Litwy (grudzień 1781 r.), przeprowadził, głównie przy pomocy Heykinga i podsuniętego mu przez króla Glayra, rewizyę ustaw dotychczasowych i utrwalenie nowej konstytucyi stałej (26 lutego 1784 r.), poczem nastąpiło urzędowne poświęcenie Wielkiego Wschodu Narodowego polskiego (4 marca 1784 r.). Cechę charakterystyczną nowej konstytucyi, będącej kompilacyą rozlicznych systematów zagranicznych, stanowiło oddzielenie władz i czynności „symbolicznych“ lóż Wielkiego Wschodu Narodowego od kompetencyi „mistycznej“ Kapituły Najwyższej, będącej jedyną nazewnątrz reprezentacyą jawną, tak, że tym sposobem działalność wewnętrzna lóż mogła odbywać się na własną rękę, bez kontroli, w tajemnicy zupełnej. Zachował sobie zresztą ponadto Potocki organizacyę naczelną, niewidzialną, niewymienioną w konstytucyi [1]). Po Ignacym piastował wielkie mistrzostwo przez lat kilka (1785—1789 r.) Szczęsny

---

ką lożę przy udziale Panina, 1776; Wielki Wschód petersburski ustanowiony w maju 1779. Przynależność Pawła do wolnomularstwa nie została pozytywnie stwierdzona; Aleksander niewątpliwie odwiedzał loże wojskowe; dyplom W. Ks. Konstantego przechowany został w archiwum prywatnem pewnej, blisko spokrewnionej z nim rodziny w Petersburgu.

[1]) Ustawa Wielkiego Wschodu polskiego 1784, § 7, Granice władzy: „Najwyższa Kapituła... nie wdziera się do władzy Wielkiego Wschodu“; Ustawa Najw. Kapit. 16 sierp. 1786: „Tous les travaux du Grand Orient National, de son Atelier, des loges provinciales et des loges symboliques sont hors du régime du Sublime Chapitre Supérieur pour tout ce qui concerne le physique de l'Ordre.“ O organizacyi naczelnej tajnej znaleźliśmy jedną tylko późniejszą ważną wzmiankę w protokóle sesyi 45 Najw. Kapituły Wielkiego Wschodu, 15 lut. 1812, pod prezydencyą Rożnieckiego: „... § 5, Le T. E. frère Jean Potocki présenta l'acte authentique et en original, attestant l'existence dans notre Ordre d'un degré plus elevé (t. j. ponad siódmy stopień), composant le Conseil Invisible et Secret, dont feu l'Illustre et Premier Grand Maître Ignace Potocki avait été le président“; samego dokumentu nie ma w aktach.

Potocki; po jego rezygnacyi w styczniu 1789 r.—Kazimierz Nestor Sapieha; w tym czasie należeli do Wielkiego Wschodu wszyscy niemal najwybitniejsi zwolennicy reformy i roboty lożowe były w ścisłym związku z akcyą polityczną Sejmu Wielkiego. Działalność wolnomularska Wielkiego Wschodu polskiego, zahamowana w 1792 r. przez zwycięstwo Targowicy, znów ożywiona w czasie powstania Kościuszki, zgasła całkowicie z końcem 1794 r. Pod rządem pruskim na miejsce rozwiązanego Wielkiego Wschodu powstał szereg lóż w Toruniu, Kaliszu, Białymstoku, Płocku, Poznaniu, Gnieźnie, Łomży, Warszawie, lecz wyłącznie inicyowanych przez Niemców, z ramienia wielkich lóż berlińskich. Z powstaniem Księstwa Warszawskiego nasamprzód założoną została przez generała Aleksandra Rożnieckiego (23 grudnia 1807 r.) loża francuska Braci Zjednoczonych Polaków i Francuzów z ramienia Wielkiego Wschodu paryskiego; zaczęły się następnie bądź odnawiać stare loże polskie Tarczy Północnej, Eleusis, Izys i inne, bądź też pruskie wyzwalać od Berlina i oddawać na nowych zasadach w zależność od Paryża, aż nareszcie wznowiony został (22 marca 1810 r.) Wielki Wschód Narodowy polski pod Ludwikiem Gutakowskim prezesem Rady Stanu jako wielkim mistrzem, a po jego zgonie, (od marca 1812 r.) pod Stanisławem Potockim. W ciągu 1811 i 1812 r., przeważnie pod prezydencyą zastępczą Rożnieckiego, popierana była energicznie robota około unarodowienia Wielkiego Wschodu, zawarty konkordat z Braćmi Zjednoczonymi, uskutecznione spolszczenie czynności, dotychczas w języku francuskim odbywanych, zarówno w Kapitule Najwyższej, jak i w lożach, zreformowane loże niemieckie lub w razie oporu przez pośrednictwo rządu zamykane, oznaki narodowe wprowadzane do rytuału, słowem nastrojono wolnomularstwo na dyapazon oczekiwanej wielkiej akcyi wskrzesicielskiej Konfederacyi Generalnej 1812 r. Upadek Księstwa był również epoką upadku wolnomularstwa, choć tym razem formalnie nie doszło do zamknięcia Wielkiego Wschodu i jeszcze po zajęciu kraju przez Rosyan, przez cały przeciąg 1813 r. odbywały się w Warszawie prace Najwyższej Kapituły i niektórych lóż. Oficyalne podniesienie pierwszego młota odbyło się w sierpniu 1814 r. po powrocie Stanisława Potockiego, który w dalszym ciągu, mocą reelekcyj corocznych, pozostał na stanowisku wielkiego mistrza aż do r. 1821, przy Rożnieckim, jako namiestniku. Wielki Wschód polski we władzach swoich naczelnych stanął odrazu w stosunku ściśle lojalnym względem nowego monarchy, Aleksandra I, oddalił się od Wschodu paryskiego, zbliżył się natomiast do Wschodu petersburskiego. Zarazem ściśle podkreślał w swych czynnościach

ducha narodowego, o tyle, o ile to w pierwszym okresie Królestwa kongresowego zdawało się odpowiadać intencyom liberalnym cesarza a króla. Taką inspiracyę w tym mianowicie pierwszym czteroletnim okresie dawał nawet Rożniecki. Aliści w lożach symbolicznych, niektórych zwłaszcza warszawskich, bądź napoły wojskowych, jak Tarczy Północnej—gdzie zasiadali Prądzyński, Krzyżanowski, Kołaczkowski, Jabłonowski i inni,—bądź też z młodych postępowych żywiołów miejskich, jak Eleusis lub Izys, kierunek narodowy w samodzielniejszej występował postaci, co ułatwione było przez starą konstytucyę 1784 r., zabezpieczającą niezawisłość tych lóż. Rząd, t. j. właściwie W. Ks. Konstanty i Nowosilcow, a przez nich Aleksander, był doskonale informowany o każdym kroku Najwyższej Kapituły. Miano tam delatorów aż nadto; dość powiedzieć, że już w 1814 r. nadano stopień najwyższy *Rose-Croix* Henrykowi Mackrottowi ojcu, który wraz ze Sznaydrem zasiadał w wielkiej kapitule prowincyonalnej Braci Zjednoczonej; zresztą, wszak namiestnik wielkiego mistrza, a w końcu sam wielki mistrz, Rożniecki, należał do szefów policyi tajnej. Ale chodziło jeszcze o to, co się dzieje w lożach. Z tego też powodu z inicyatywy Rożnieckiego podniesiona została w 1817 r. kwestya reformy ustawy 1784 r., przyczem miano na widoku zmodyfikowanie jej w ten sposób, aby skończyć z autonomią lóż i poddać je pod każdym względem pod kontrolę Kapituły Najwyższej. Było to zresztą zastosowanie zasady, stosowanej przez Napoleona względem Wielkiego Wschodu francuskiego. Wynikłe z takiej myśli projekty konstytucyjne wywołały gwałtowną walkę między lożami, reprezentowanemi we Wielkim Wschodzie polskim a Kapitułą Najwyższą. Stanisław Potocki, czyniąc w tej mierze najdalej idące ustępstwa rządowi, nie uniknął zupełnej scysyi w łonie wolnomularstwa, skutkiem czego, podkopywany z drugiej strony od rządu, równocześnie utracił ministeryum oświecenia i zrzec się miał wielkiego mistrzostwa. Następcą jego został Rożniecki po to tylko, aby przeprowadzić zniesienie Wielkiego Wschodu polskiego.

Rdzeń rzeczy, klucz położenia, mieścił się dla tych zagadnień podczas pierwszej epoki dziejów Królestwa kongresowego, w ogólniejszych i odleglejszych okolicznościach wyższego rzędu, które tutaj narazie mogą tylko zostać zwięźle zaznaczone w swoich punktach stycznych z wypadkami związkowemi polskiemi. Aleksander I, po pacyfikacyi powszechnej na Kongresie wiedeńskim 1815 r., stanął wobec trzech wielkich spraw, czekających rozwiązania: wschodniej, rosyjskiej i polskiej, t. j. obalenia Porty przez wyzwolenie narodowości słowiańskich półwyspu bałkańskiego

i Greków; reformy wewnętrznej w Rosyi na podstawach federacyjno-konstytucyjnych obok usamowolnienia włościan rosyjskich; rozszerzenia granic Królestwa Polskiego, bądź na wewnątrz od strony Litwy, bądź na zewnątrz od strony Galicyi i Poznańskiego. We wszystkich tych sprawach miał przeciw sobie Europę kongresową, w dwóch ostatnich—żywioły reakcyjne rosyjskie. Wszystkie trzy piastował on w swej głowie po swojemu, t. j. zarazem gotując się do ich rozwiązania i do wyparcia się ich, stosownie do okoliczności. Owóż potężnem przygotowawczem narzędziem w tym względzie, w tej pierwszej dobie pokongresowej, winna była zostać w jego ręku opinia publiczna rosyjska i polska, którą pragnął nastroić w duchu liberalnym, reformatorskim, wyzwoleńczym, używając w tym celu, jako dźwigni, tajnych związków wogóle a wolnomularstwa w szczególności. Podczas walki z Napoleonem przekonał się on naocznie o potędze opinii narodowej, zwłaszcza zaś uderzył jego wyobraźnię *Tugendbund* pruski, który nawet znacznie był przeceniony przez cesarza, co do swej akcyi realnej, ale który istotnie odegrał wybitną rolę moralną w walce oswobodzicielskiej Prus przeciw Napoleonowi. Otóż *Tugendbund*, wzniesiony pod opieką rządu pruskiego, według zasadniczej definicyi swego twórcy winien był zostać „wpływowem stowarzyszeniem narodowem w ręku króla, mającem przygotować dla niego (Fryderyka-Wilhelma III) potęgę narodową na wypadek potrzeby.“ [1]) Kiedy następnie już po powrocie Napoleona, Arndt, Hoffmann i inni patryoci niemieccy rzucili w 1814—1815 r. hasło tworzenia związków narodowych, natychmiast rząd pruski usiłował zużytkować te związki dla sprawy nadzwyczaj doniosłej, już wtedy postawionej na porządku dziennym: zjednoczenia Niemiec pod berłem pruskiem, t. j. dla celów specyficznie rządowo-politycznych.[2]) Aleksander podówczas, za swego pobytu w Niemczech na dwóch ostatnich kampaniach Napoleońskich, zbliska patrzył się na te rzeczy. Wtedy

[1]) „Eine wirksame Volksgesellschaft sollte es werden in der Hand des Königs, ihm eine Volksmacht zu bereiten, wenn er sie nöthig habe.“

[2]) Organem rządu pruskiego był tu dyrektor policyi Gruner; por. jego pismo do Gneisenaua, 18 Juni 1815 (z powodu założonego wtedy „Hoffmannscher Bund“): „...ich habe... eine geheime Verbindung eingeleitet, welche die Einheit Deutschlands unter Preussen zum Ziele hat,“ Pertz, I, 614, Delbrück, 566; rola Grunera, czynnego jeszcze w poprzedniej dobie *Tugendbundu*, odpowiada poniekąd roli Orłowa albo Benckendorfa, późniejszego szefa żandarmów a w 1816 r. razem z Pestelem członka loży rosyjskiej Przyjaciół Zjednoczonych, oraz roli Rożnieckiego względem Wolnomularstwa Narodowego polskiego.

też, podczas swoich odwiedzin w Anglii w towarzystwie Czartoryskiego, latem 1814 r. rzucił naczelnikowi wigów, lordowi Grey, to pytanie tak zdumiewające w ustach cesarza-samodzierżcy: „jakby stworzyć w Rosyi ognisko opozycyjne“ (*un foyer d'opposition*)?“ Po powrocie do Petersburga z Kongresu wiedeńskiego i z Warszawy, gdzie był podpisał liberalną konstytucyę Królestwa Polskiego, kiedy równocześnie już tworzyły się pod jego protekcyą pierwsze tajne związki rewolucyjne greckie na ziemi rosyjskiej, w Odesie i Moskwie, — przystąpił cesarz zarazem w samym Petersburgu do tworzenia onego „ogniska,“ nie sposobem naturalnym i jawnym, bo do tego nie było podstaw w jego państwie i temu sprzeciwiała się jego metoda działania autokratyczna, połowiczna i cofająca się przed decyzyą nieodwołalną, — ale sztucznym, potajemnym, rezerwując sobie tym sposobem możność zaparcia się w każdej chwili tej inicyatywy i stłumienia dalszych jej konsekwencyi wedle swego uznania. Użył do tego instytucyi, dobrze sobie znanej (z której i *Tugendbund* był powstał w Prusiech) i, jak sądził, najmniej niebezpiecznej: wolnomularstwa. Przez osoby, najściślej do Aleksandra zbliżone, zostały ośmielone, jeśli nie wprost zainicyowane, pierwsze tajne organizacye rosyjskie w ścisłem znaczeniu słowa, nasamprzód masońsko-wojskowe. Pierwszy związek powstał pod postacią „arteli“ oficerskiej w mającym szczególniejsze łaski u Aleksandra pułku Siemionowskim gwardyi w 1816 r.: jednocześnie większa liczba oficerów sztabowych i gwardyjskich założyła dwie loże wojskowe Przyjaciół Zjednoczonych i Trzech Cnót; w tej ostatniej ukazywał się sam Aleksander. Jak się zdaje, było w zamiarze powierzenie W. Ks. Konstantemu wielkiego mistrzostwa nad powszechnością wolnomularstwa w Rosyi. Zarazem pod koniec 1817 r. zorganizował się z tych samych żywiołów gwardyjsko-dworskich Związek Ocalenia, który jednak z powodu nadanej sobie nadspodziewanie radykalnej ustawy 1817 r. skłoniono do rozwiązania się i zamiany na utworzony w 1818 r. Związek Dobra Publicznego, któremu z kolei podsuniętą została bezpieczniejsza — nieautentyczna zresztą — ustawa *Tugendbundu*, przy udziale osób z najbliższego otoczenia cesarza, jak Orłow, Łopuchin, Dołgoruki, jako wzór dla własnej ustawy, kierującej odtąd przez dwa lata czynnościami Związku. Skutkiem dokonanego tymczasem zwrotu reakcyjnego w poglądach cesarza, zwłaszcza po nagłym buncie pułku Siemionowskiego w 1820 r., Związek zaczął odbierać ostrzeżenia, iż nie jest już dobrze widzianym przez cesarza; niebawem też, w styczniu 1821 r. na zjeździe w Moskwie, założyciele i kierownicy główni uchwalili zwinięcie Związku.

Uchwała ta była fikcyjną; fikcyą było samo zwinięcie, mające cel podwójny: uczynić zadość życzeniom rządu i pozbyć się członków przez rząd wprowadzonych; w rzeczywistości odtąd dopiero zaczęła się organizacya naprawdę tajna, skąd powstały Towarzystwa Północne i Południowe późniejszych Dekabrystów. Stało się, co się stać musiało: duch wolności wieku wziął górę nad pierwotną inspiracyą rządową; Aleksander, jak ów czarownik, rozpętał duchy, których stłumić następnie nie było już w jego mocy. Ten sam proces, *mutatis mutandis*, lecz z uderzającą naogół analogią, dokonał się w Królestwie Polskiem.

Szymon Askenazy.

NAD GŁĘBIAMI.

XI.

August przedłużał swój pobyt w Zakopanem.

Na zebraniach w mieszkaniu pani Stawulskiej rozwijał tysiące myśli, które miały związek z jego przyszłą pracą. Po błękitnych mostach złud poetycznych wiódł swoich słuchaczy w wyśnione krainy piękna duchowego. Roztaczał przed nimi blaski przyszłego, nowego życia...

Sam dziwił się nieraz, skąd brała mu się taka moc obrazowania, takie żywe płomienie słów, taka siła i logika w dowodzeniu.

Kama pomimo protestów Angielki stale przychodziła na zebrania. Jej oczy, gorejące jak dwa szafiry, ani na chwilę nie spływały z jego twarzy. Czuł ich blask na sobie... czuł, że wieszają mu się na ustach i chłoną każde słowo, które miał do powiedzenia.

Próżno odwracał głowę. Widział je migoczące w szkłach obrazów, wiszących na ścianie, widział je w szybach okien, za któremi kąpały się świerki ciemnozielone w białych welonach śniegu.

— Dla niej mówię — powtarzał nieraz w myśli — między mną a tymi, którzy mnie słuchają, niema żadnej wspólnoty. Między mną a nią jest przeszłość, a ja z przeszłości wydobyłem prawdy przyszłe. Nie dociekania oderwane nauczyły mnie myśleć tak, jak teraz myślę, ale nauczyły mnie przeżyte cierpienia. Ona brała w nich udział... ona rozumnie mnie najlepiej...

Powoli wytwarzał się między nimi związek tajemny. Były słowa w jego przemówieniach, były obrazy, były niedopowiedzenia, które wywoływały śmiech radości lub bólu na jego i jej us-

tach. Czasem w jego i jej oczach zaświeciły łzy wzruszenia. Oni jedni wiedzieli dlaczego...

Rankami spotykali się u pani Stawulskiej. Popołudniu szli na dalekie przechadzki, błąkając się po zaśnieżonych drogach i polach.

Słońce wysrebrzało im ścieżki i zamieniało w drogie kamienie każdą skałę oprawioną w lód i śnieg. Zadumane świerki, topiące białe głowy w nieskalanym błękicie, zasnuwały nad nimi czar swoich gałęzi, na których iskrzyły się miliony zamarzłych kryształów.

Między nimi a przyrodą nawiązywał się serdeczny związek. Tęsknili do tych ogromów niebotycznych, które stawały się świadkami ich rozmów zaufanych i ich spojrzeń pełnych najczarowniejszych zwierzeń.

Nie mówili o miłości.

W kaplicach cudów białych, uczucia ich stawały się czyste, jak te błyskające śniegiem kapitele skał, na których słońce przędło złotemi promieniami leciuchne mgły. Stali nieraz długo w kotlinach górskich zasłuchani w uroczyste milczenie, które grało dokoła nich wszystkimi tonami barw począwszy od aksamitnej czerni borów, wiszących na stokach, i szmaragdowej zieleni wyżartych deszczem granitów aż do przezroczystego szafiru sklepienia niebieskiego, wspartego na zuchwałych arkadach szczytów górskich kutych z blasków, cieni i marmurowej mozaiki plam. Przez okrągłą szybę wprawioną w kopułę, potok światła oślepiającego buchał z zaświatów na ten gród zamarzłego piękna.

Stawali się podobni dzieciom. Każdy bulgoczący potok, który przelewał swoje srebrne łuski po mchach zczerniałych, każdy krzak jałowca, siedzący w grubym kożuchu śniegu i wystawiający czarne kędziory włosów na ciepło słoneczne, każdy próg śniegowy, który rzucił wicher na hale, niby stopień alabastrowy wiodący w górę do wyższych, białych pięter zamku — budził w nich zaciekawienie, podziw i radość.

Nie mówili o sobie.

Czar niepojęty przyrody wiązał ich mocniej ze sobą niż wszelkie słowa, wytwarzał między nimi przedziwną ufność wzajemną i oddanie. Stawali się bliższymi sobie, niżby mogły zrobić to wszelkie prawa, dogmaty i formy życia.

Nie zdawali sobie już sprawy z tego, co czynili. Zapomnieli o tem, że poczęto ich śledzić. Zapominali o tem, że wszędzie, gdzie pokazali się w Zakopanem, spoglądano na nich z zakłopotaniem lub ciekawym uśmiechem.

Między Kamą a Miss Terry przychodziło z tego powodu do coraz gwałtowniejszych utarczek.

— I know all—rzekła raz do niej Angielka, kiedy Kama wróciła późno w nocy z wycieczki. I have written a letter to Mr. Sobica.

— Nie napisałaś do Sobicy! — krzyknęła Kama.

— I did, you know.

— Kłamiesz!!

— I had to do. He will come tomorrow.

— Kłamiesz!! nie przyjedzie jutro.

Szał owładnął Kamą. Gotowa była rzucić się na Angielkę, obalić ją na ziemię i bić bez upamiętania, dopókiby nie przestała mówić. Mściwe oczy miss Terry przyprawiały ją o utratę przytomności. Z nadmiernego jednak wzruszenia nie mogła ani mówić, ani zrobić najmniejszego ruchu. Czuła, że stoi na dnie, które leci z nią w głąb coraz straszliwszą i zimniejszą.

Zacięła usta.

Sztywnym krokiem przeszła do swego pokoju. Chciała zebrać myśli.

Padła na łóżko w ubraniu.

— Sobica... Sobica... — powtarzała machinalnie.

— Czego może chcieć odemnie?

— Niech przyjeżdża. Powiem mu wszystko. Będzie widział, że odeszłam od niego całą duszą.

— A jeśli nie ustąpi?

Usiadła na łóżku. Myśli rozpaczliwe za myślami przelatywały przez jej mózg. Z bólu pękały jej skronie. Zrozumiała, że burza zrywa się nad nią i nad Augustem, której już nic zażegnać nie zdoła.

— Skończyło się wszystko — szepnęła do siebie.

— A teraz co??

Splotła ręce na głowie i chodziła wkoło po pokoju aż do umęczenia. Nie zapaliła lampy. Przez okno wpadał białawy odblask nocy zimowej. W głowie jej zamęt huczał i rwał na strzępy każdą myśl, która nadlatywała z ratunkiem i pocieszaniem.

— A teraz co??—rzuciła pytanie w świat, przypierając płonące czoło do zimnej szyby.

Rozszerzone źrenice wbijały się w tę bezmierną dal śniegów, którą na krańcu zamykały góry, tonące w mlecznej światłości księżyca.

— Tam żyła nasza miłość—ze łzami mówiła do siebie—a teraz gdzie z nią pójdziemy?

— Rozstać się??

Dłoniami ścisnęła głowę, bo napływ krwi rozsadzał jej czaszkę.

Na piersiach usiadł straszliwy ptak bólu i szponami rozpruwał jej serce. Jęk dusił ją w gardle.

— Nigdy!! nigdy!! — powtarzała po tysiąc razy. Z każdą sekundą wyczuwała coraz bardziej straszliwą prawdę, która kryła się w tem „nigdy.“ Odchodziła od zmysłów.

Padła na kolana przed krzyżem, który wisiał nad jej łóżkiem i migotał srebrnem światłem. Odblask śniegu całował rozpięte ramiona Chrystusa.

Wybuchła płaczem i w szlochu nieutulonym wołała:

— Ty widzisz Boże, jaka jest nasza miłość! Ty patrzysz na nas codzień!! ulituj się!! ratuj nas!! bo ja go nie opuszczę aż do śmierci!! i wolę potępienie, jak zbawienie duszy, a nie opuszczę go nigdy!! wysłuchaj mnie!! nie chciej mojej zguby Chryste!! nie chciej mojej zguby!!

Biła głową w łóżko, załamywała ręce.

Oczy jej wreszcie wyschły. Skulona zasłuchała się w ten krzyk rozpaczy, który szalał w jej piersiach. Mętne obrazy snuły się przed jej wzrokiem i nabierały fantastycznych kształtów, czepiając się powały i okien. Dokoła niej chichotały wykrzywione cienie, które miały rysy raz ojca, to matki, to znowu miss Terry, pani Stawulskiej i znajomych... Wszyscy wyciągali nad jej głową zaciśnięte pięści i wołali:

— Idź za nim w błoto! idź w błoto!

Naraz migła jej przed oczami dzika, rozczochrana głowa Sobicy... widziała jak ciągnął za włosy Gandorfa i jak oczy jego świeciły żółto... Drugą ręką sięgał po jej włosy.

Zerwała się. Chciała krzyczeć o pomoc.

— Precz!! precz!!

Złuda pierzchła.

Zapaliła gorączkowo świecę i z nagłem postanowieniem wyszła na kurytarz. Stanęła przed drzwiami wiodącemi do pokoju miss Terry. Nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Pchnęła je lekko i weszła cicho na palcach. Ręką zasłoniła światło świecy, aby nie padało na twarz śpiącej.

Podeszła do stołu. Gorączkowo przerzucała papiery. Szukała dowodu.

Szukała jakiegokolwiek bądź świstka, któryby jej potwierdził słowa Angielki. Na tej myśli zawiesiła się całą swoją istotą. Rozumiała, że ani chwili nie miała na wahanie.

— Nie ma nic, nie ma nic — szeptała, wywracając książki, listy i notatki.

— Zbudzę ją. Niech jeszcze raz powtórzy to, co mówiła. Musi mi przysiądz... musi...

Złemi oczami spojrzała na śpiącą.

Jak widmo podeszła do niej.

— Miss Terry.

Chciała krzyknąć na nią głośno, ale z gardła wyszedł tylko szept zduszony.

Pochyliła się nad łóżkiem. Lecz w tej samej chwili zatrzęsła się z przerażenia. Na kołdrze leżał rozdarty telegram.

— Nie budź jej — zimne jak lód ostrzeżenie instynktu przeleciało przez jej głowę.

Chwyciła telegram w dygoczące palce. Zdmuchnęła świecę. Bała się, że światło może ją teraz zdradzić. Na palcach szła do drzwi. Dopadła klamki, zawiasy zgrzytły.

— Who is here — spytała nagle miss Terry.

Kama zaparła dech w sobie. Angielka obróciła się po chwili na bok i zasnęła.

Przymknęła drzwi i wpadła do swego pokoju. Przy blasku księżyca odczytała telegram. Pan Kolecki zawiadamiał miss Terry, że on i doktor Sobica przyjeżdżają z Warszawy do Zakopanego najbliższym pociągiem.

Spojrzała na datę i godzinę nadania.

— Są już w drodze — szepnęła.

Zamroczyło się jej w oczach. Krew powoli ściekała do serca, zmrożonego strachem. Wszystkie kształty wydały się jej być jakieś dziwnie sztywne. Cisza otoczyła ją taka, że wyczuwała bicie pulsów w skroniach...

— A teraz co??

Ogarnęła ją rozpacz, poczęła gryść palce—padła na podłogę i łzami zalewała dywan, który miękkimi dotykami łasił się koło jej ciała. Targała włosy bujne i zatykała sobie usta niemi, aby jęk nie pobudził śpiących.

Ocknęło ją zimno, które szło od drzwi otwartych.

— Jutro na tym progu stanie mój ojciec i Sobica... Wejdą... mówiła do siebie słowo po słowie, powoli.

Przerażenie ściągnęło jej włosy w tył. Ustami chwytała powietrze, dysząc.

— Wejdą... — powtórzyła machinalnie.

Wtem od drzwi otwartych skoczyła nagle ku niej myśl straszna, mocna jak wicher burzy, podniosła ją z ziemi i postawiła na nogach.

— Uciekaj z nim!...

Zadrżała.

— Drzwi otwarte — ten sam głos szeptał — Miss Terry śpi. Wszyscy śpią, klucz od bramy wisi na dole.

Szybko przypięła kapelusz, wdziała futro i na palcach wyszła na kurytarz. Stanęła pod drzwiami Angielki. Uchem chwytała echo oddechu miarowego.

— Śpi.

Po omacku zeszła na dół. Ręką wyszukała klucz wiszący na ścianie. Otworzyła bramę. Uderzyło na nią powietrze świecące, białe, mroźne. W ciemnych błękitach migotały złotymi punktami niezliczone archipelagi gwiazd.

Zaśmiała się cicho. Była wolna.

Dokoła niej w niezmąconej ciszy stała przyroda, pod tchnieniem mroźnej nocy ścięta w kryształowe kształty i blaski. Światło księżyca szło od domu do domu, od drzewa do drzewa niebieskawo srebrne i kojące.

Kama jęła iść w dół ku Nowotarskiej. Skrzyp własnych kroków przeraził ją. Echo leciało przed nią daleko i zapowiadało czarnym cieniom drzew wybiegającym na gościniec, że idzie samotna dziewczyna...

Serce tłukło się w jej piersiach, jak zmordowany ptak, wylękły i ścigany. Za żadne skarby świata nie oglądnęłaby się wstecz po za siebie. Strach szeptał jej do ucha, że wszystkie cienie stają się żywymi, każdy je mija, i podają sobie czarne ręce i idą za nią krok w krok.

Chwilami biegła, dopóki jej tchu nie brakło. Ale wtenczas jeszcze większe przerażenie plątało jej nogi w fałdach sukni. Każda latarnia, każdy płot i każda willa zdawały się gnać naprzeciw niej i wołać:

— Już są w drodze!
— Pociąg dyszy!
— Bramę zostawiłaś otwartą!
— Dostrzegą ucieczkę!
— Słyszą skrzyp twoich trzewików.
— Widzimy ich!
— Biegną za tobą!
— Nie uciekniesz im!

— Pośliźniesz się, padniesz na ziemię!

— Hahaha! Haha!

Na zakręcie oglądnęła się za siebie. Droga wybielona śniegiem błyszczała pod górę jak srebrny chodnik, po którym od olbrzymich gór zstępowało uroczyste milczenie i światłość niebieska. Ani żywej duszy nie było nigdzie.

Odetchnęła. Była już u celu. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i stanęła przed willą, w której mieszkał August.

Zapukała do okna.

— Może niema go w domu — pomyślała.

Opuściły ją siły. Było jej już wszystko jedno. Choćby miała zmarznąć, nie ruszyłaby się z pod jego okna.

Ostatnim wysiłkiem zastukała mocniej w szybę.

— August, August — szeptała napół z płaczem.

W pokoju błysnęło światło. Ktoś szedł do okna. Ujrzała twarz jego.

— To ja — rzekła.

Spazmatycznie chwyciła się ramy. Na nowo krew poczęła w niej krążyć przyspieszonym ruchem. Oczy jej się śmiały do niego.

— To ja.

Otworzył okno. Jeszcze jej nie poznawał.

— Kama? ty tu? — zawołał zdumiony.

— Sobica przyjeżdża — mówiła gorączkowo. — Uciekłam.

August zbladł. Cofnął się.

— Natychmiast się zbiorę — zawołał z głębi stłumionym głosem.

A ona stała w śniegu zdziczała bólem, oszołomiona wysiłkiem, z zaciętemi ustami. Nie zastanawiła się nad niczem. Obojętne jej było wszystko. Z przenikliwym niepokojem wsłuchiwała się w szmer, który dolatywał do niej przez półotwarte okno.

Usłyszała kroki. Klucz zazgrzytał w zamku. Wyszedł na werendę.

— Chodź — rzekł.

Poszła za nim posłusznie.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią i znalazła się już w jego pokoju, dreszcz począł nią trząść, jak we febrze. Oparła się o ścianę. Przymknęła oczy.

— Stąd mnie już nikt żywą nie weźmie — pomyślała z uśmiechem dzikiej radości.

Upłynęła chwila milczenia. August zbierał myśli. Gwałtowny krok Kamy uderzył w niego obuchem siekiery i wyrywał go brutalnie z marzeń. Czysta myśl wytężona w zaświaty, która przyzwyczaiła się do ciągłej obecności Kamy, jak do swego echa,

otwierała zdumione oczy na nagą rzeczywistość. Miłość, która narkotyzowała się pięknem dziewczyny i jej subtelną intuicyą, odsuwając od siebie każdy podszept nerwów i zmysłów, całą siłę ducha szybującego w niedostępnych regionach rewolucyjnej metafizyki — nagle stawała przed nim w całej realnej wyrazistości i wołała przejmującym głosem:

— Oto twoja kochanka... ta zwykła... z krwi i ciała rzeźbiona... niewolnica zmysłów...

Stał jak człowiek, który patrzy na pustoszący, przeraźliwy widok jesieni, kiedy pod sinemi chmurami wicher gna nieprzeliczone roje czerwonawych liści, zdartych z macierzystych gałązek uderzeniem śmierci i dzwoniących po kamiennych drogach szelestem zeschłych, złotawych serduszek... kiedy ginie życie bez odwołania, bez protestu na nieprzejrzanych przestrzeniach... kiedy zamiera bez łez nawet i bez słońca gorejącego purpurą...

Smutek zerwał się w nim, jak motyl o czarnych skrzydłach, i powoli wzlatywał w górę nad głębiami zmartwiałemi duszy, a skrzydła rosły mu coraz większe i ogromne tak, że przesłaniał sobą świat cały.

— Kamo, czy wiesz, co robisz?—rzekł nakoniec August.

— Wiem — odpowiedziała zaciętym głosem.

— Czy zapomniałaś, co nas dzieli?

— Nie.

— Masz rodziców, krewnych, wszystkich tych, pośród których wyrosłaś.

— Nie mam nikogo.

— Ale łakniesz przecież tego zwykłego szacunku, jaki daje świat tym, którzy stosują się do jego wymagań.

— Nie łaknę żadnego szacunku — mówiła z podnieceniem — żadnego dobrego imienia, żadnej względności.

Spojrzał na nią zamglonemi oczami od wzruszenia.

— Mówię to dla tego, bo wiesz, że nie żądałem tego od ciebie...

— Tak, wiem...

— Dlaczego chcesz zniszczyć ten piękny kwiat miłości, który począł rość ku uciesze naszej? Nie wystarczałyż nam jego kształty i kolory wzięte od zachwyconego ducha?

Kama milczała. Słuchała go z ponurym błyskiem w oczach.

— Dlaczego mamy koniecznie — mówił dalej — wejść w ten związek, który ludzie ochrzczą brutalną nazwą? dlaczego motłoch ma poniewierać moimi ideałami z tego tylko powodu, że miłości zapłacimy dług naturalny? Nie chciej mnie Kamo źle rozumieć.

Nie nakłaniam cię do skrytego zadosyćuczynienia prawom natury — pierwszy powiedziałbym ci wtenczas, kiedy bym żył tylko dla naszej miłości: „chodź za mną,“ tak jak ty teraz to czynisz — ale ja ukochałem coś więcej jeszcze w mojem życiu, bardziej namiętnie, bardziej żywiołowo. Ukochałem moje myśli, którym chcę życie zapewnić. Zabiję je w oczach pospólstwa, jeżeli uczynię to, czego żądasz odemnie, bo pospólstwo utożsami hołdowanie zmysłom z ostatecznym celem mojej nauki. Chciej to zrozumieć.

— Zatem wypędzasz mnie?—zapytała go zdziwionym głosem.

— Nie.

— Ale chcesz, abym opuściła cię na zawsze.

August zwiesił głowę. Skowyt bólu huczał w jego sercu.

Przez zamknięte powieki czuł na sobie piekące spojrzenie Kamy... Wyobraźnia rzucała mu jej usta rozkoszne na jego usta zaciśnięte męką. Instynkt wyprężał muskuły w jego ramionach i chciał zwalić go do jej nóg z krzykiem zwycięskiego buntu.

Ale utajona myśl krzyknęła nagle:

— Powrotna fala życia idzie na cię! pianą zaleje ci gardło... na grzbiecie niesie ciało Kamy...

— Jakie cudowne, złote ciało!—szepnęła krew—szaty z niej zedrzej, a padniesz bez zmysłów...

Kama oderwała się od ściany i podeszła ku niemu:

— Powiedz słowo to jedno — rzekła.

Wyprostował się.

— Wrócić potrafię — mówiła oschle, ale każde słowo padało w niego, jak kamień rzucony z głuchym pluskiem w wodę — noc jasna... droga prosta... tylko powiedz to jedno słowo... „idź“...

Popatrzył w jej rozszerzone oczy z bolesnym smutkiem.

Przypomniał mu się cień ogromny Kamy, który wieszał się u nóg jego omdlały z miłości, a którego odpędzić od siebie nie miał siły...

Nie mógł zdobyć się na żadne słowo. Wahał się. Wiedział, że cokolwiekbądź powie dopełni strasznego czynu... bo nieodwołalnego.

— Nie myśl — mówiła Kama po chwili—że uratujesz tem pozory, jeżeli mnie się pozbędziesz, o nie. W oczach wszystkich jestem twoją kochanką. Oni nie rozróżniają między faktem dokonanym a niedokonanym... wiedzą to jedno, że zapomniałam dla ciebie o całym świecie, że dniami całymi przestajemy ze sobą. Wiedzą to także, że ożeniłeś się, i że ja dlatego targnęłam się na swoje życie... a teraz ty i ja ślepo lgniemy do siebie... Czyż

trzeba czegoś więcej? To wystarczy! O to wystarczy, aby w ich oczach stracić raz na zawsze prawo do dobrego imienia.

— Czyż to być może? — zapytał zdumiony.

— Jakto? — zaśmiała się szyderczo — nie spostrzegłeś, jak nawet najgorliwsi twoi przyjaciele odsunęli się od ciebie, odkąd ze mną przestawać zacząłeś zbyt często? jakto? nie dostrzegłeś tej ironii, tych bazyliszkowych uśmiechów, tych szeptów trujących dokoła nas? to mało jeszcze? nie dostrzegłeś, jak wyludniały się twoje odczyty z dnia na dzień coraz bardziej? aż poczciwa, moralna pani Stawulska zasłoniła się nakoniec odnajęciem pokoju, byle zerwać z tobą i ze mną wszelką łączność??

August cofnął się. Te ciężkie oskarżenia Kamy uprzytomniły mu nagle całą nagość prawdy i nędzoty ludzkiej.

— A ty wiedziałaś o tem wszystkiem i milczałaś?? — zapytał ją złamany zupełnie na duchu.

Kama podniosła dumnie głowę do góry.

— Tak, milczałam — odpowiedziała mu — bo mi to było obojętną rzeczą. Coby mi przyniósł szacunek ludzi, coby mi dało przyzwoite zachowanie się? Co wzamian za ciebie? powiedz, co? To samo podłe spychanie z dnia na dzień, to samo wypatrywanie oczu, czy nie nadchodzisz? ten sam niepokój na każdy szelest, na każde słowo niedosłyszane, bo ty możesz być w pobliżu?? nie chcę tej męki znać i dlatego przyszłam do ciebie.

— Jak mnie tu żywą widzisz — mówiła z akcentami bezgranicznej rozpaczy — nie wrócę ani do miss Terry, ani do rodziców, ani do Sobicy, ani do nikogo, kto żywym jest na świecie. Ty albo nikt. To dokonało się już wtenczas we mnie, kiedy ciebie słuchałam mówiącego po raz pierwszy przed kilku tygodniami. Może to dobrze, może to źle, może to nieszczęście, nie wiem, ani o tem nie myślę. Chcę być twoją bez żadnych zastrzeżeń. Niech to cały świat widzi. Nie będę wstydziła się, choćby mi własna matka powiedziała w oczy wobec wszystkich, że jestem twoją nałemnicą. Ciebie kocham!! za tobą nie istnieje dla mnie ani życie, ani radość, ani szczęście...

Głos jej złamał się. Załkała, dusząc przemocą w sobie jęk, który rozdzierał jej piersi. Złożyła ręce i bełkotała nieprzytomna:

— Wyrzuć mnie... bo nie pójdę stąd... wyrzuć mnie... nie ruszę się... za progiem zmarznę... uderz mnie mocno, bij mnie, ja tego łaknę... u nóg ci się uwieszę... depcz...

Przypadła mu do nóg, a potem w płaczu przejmującym osunęła się na ziemię.

August ukląkł przy niej i z wysiłkiem podniósł jej głowę do góry.

Pękły w nim napięte struny wysilonego ducha, który z obosiecznym mieczem wiódł go przez życie. Na widok tej ludzkiej, straszliwej rozpaczy, która wiła mu się u nóg, owładnięta miłością, zamarł w nim krzyk fanatycznej idei:

— Nie płacz — szeptał, — okrywając pocałunkami jej włosy.

— Stało się. Myślałem, że człowiek może wydobyć ze swego życia ten najwyższy ton duszy, który, jak błyskawica, przelatuje z chmury do chmury przeogromnych natchnień, nie dotykając się ziemi... Kamo... nie płacz... stało się... to była pewnie złuda. Przepadła we mnie, jak meteor zapada się na krańcach widnokręgu. Już cię nie opuszczę. Jeszcze przed chwilą gotów byłem zaprzeć się tej miłości, co mi na usta kładła swoje imię... gotów byłem z pobladłemi ustami patrzeć, jak przestąpisz próg tego domu nieżywa od bólu... byle nikt nie rzucił w twarz tych słów: fałszerz idei!!... Teraz wszystko mi już jedno.

Rękami oplotła się około jego szyi, jak powój młody i zielony. Szalona radość zaświeciła w jej oczach mieniąc się w łzach ciemnych, które wisiały na jej powiekach.

— August—August—wyrzucała z ust jego imię, oszołomiona i wylękła — nie mów, nie mów tak okropnie, bo powinnabym raczej popłynąć w dół razem z tym strumieniem, który wołał mnie do siebie, jak być ci ciężarem... ale ja na to niemam sił... mnie nie stać na takie poświęcenie. Wiem, że to podłość, ale ja kocham... co począć mogę, kiedy kocham ciebie bez pamięci? Zabij mnie, jeżeli potrzeba, a ja jeszcze będę całowała twoją rękę, zabij mnie. Sama nie potrafię... ręka mi zadrży... strach mnie obali. Ty mój najdroższy... ty mój kochanku złoty... po co tak żyć marnie... po co im wszystkim w oczy patrzeć . . .

— Utracisz go, utracisz go—wołały zmysły rzucając jej płomienie krwi do twarzy.

Spazmatycznym ruchem zwinęła się koło jego ciała. W szalonym uścisku ramion trzymała jego głowę i ustami przypiła się się do jego warg.

— Weź mnie — szeptała, dysząc obłąkanem pragnieniem — weź mnie całą... jestem twoja... tylko twoja... wyssij ze mnie młodość moją, miłość moją... a potem zabierz mi życie... wpierw mnie, potem sobie... August, August...!!

Dziki szept Kamy wżarł się w jego mózg, jak rozpalony do białości drut żelazny.

— Słodką jest miłość — podnosiły się w niej głosy przejmujące — słodszą jest jeszcze śmierć... weź jedno i drugie póki czas.

— Twoja jestem, twoja jestem — mówiła nieprzytomnie Kama, powtarzając najgorętsze zaklęcia.

Krew zalała mu głowę i roznosiła gorejące iskry po wszystkich tętnicach. Utopił twarz w jej włosach zwichrzonych i obalił ją na ziemię silnemi ramionami.

— Hahaha—krzyknął w nim śmiech rozszalałej ironii — taki twój czyn? miłość twoja lęka się dnia i szuka śmierci??? czy można niżej upaść??

— Mistrzu Auguście — syczały koło niego wykrzywione cienie - kochaj dziewczynę, a my na grobie waszym zatańczymy kankana! hahaha!

August żelaznym uściskiem zdusił ręce Kamy tak, że krzyknęła z bólu i wyrwał się z jej objęć.

Blady podszedł do okna. Do krwi zagryzł wargi. Patrzył na mrące światło nocy zanglonemi oczami.

— Dzień się zaczyna Kamo — rzekł po chwili cichym głosem — my z nim razem zaczniemy wspólne życie.

Podszedł do niej. Kama ukryła twarz rozpaloną wstydem na jego ramieniu.

— Uciekajmy stąd — błagała.

Dlaczego? — zapytał ją smutny.

— Mój ojciec przyjeżdża i Sobica. Po co mamy spotykać się z nimi? Dlaczego nie mamy uniknąć tej okropnej rozmowy? Schrońmy się do jakiego ustronia za granicą, uczyń to dla mnie... błagam cię...

— Nie, Kamo. Skoro tak stało się, że obok mnie iść będziesz, musisz nauczyć się patrzeć życiu prosto w oczy.

— Ale ty nie znasz Sobicy!

— Człowiek, jak inni.

— Boję się go.

— Dlaczego? Prędzej bój się go, jeżelibyśmy uciekli, bo mówiłabyś przez to, iż popełniłaś zbrodnię przeciw niemu. Pamiętaj, że ja mam żonę i muszę także z nią mówić. Trzeba mieć odwagę bronić swych własnych czynów...

— Uciekajmy — zaklinała go ze łzami i z przerażeniem — jeszcze mamy czas. Saniami wyjedziemy do Nowego Targu, a stamtąd w świat.

— Nigdy Kamo, nigdy.

Czerwony wschód słońca rzucał krwawe strzępy na lodowe sarkofagi i kolumny Tatr i gnał przed sobą po dolinach wystraszone, sine tabuny mgieł. Kama zalana łzami, oparła głowę na jego ramieniu — i patrzyła na wstający, rozpalony świetlną gorączką dzień ze ściśniętem sercem.

— Stało się — szepnął August.

*

* *

Doktor Sobica siedział wtulony w kąt wagonu. Zgasłemi oczami patrzył na słupy telegraficzne, które pociąg mijał nieustannie. Druga bezsennie spędzona noc wsączała w jego organizm palącą truciznę. Dokuczliwy ból łupał go w obu skroniach.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał go sennie pan Kolecki.

— Minęliśmy Chabówkę — odparł doktor sucho:

— Kiedy będziemy na miejscu?

Sobica słyszał pytanie, ale nic nie odpowiedział. Zerwał się tylko z miejsca i podszedł nagle ku drzwiom.

Chciał zawołać:

— Za całą wieczność nie dojedziemy — lecz zapanował nad sobą i milczał. Nie chciał zdradzić się ze swem wewnętrznem wzburzeniem.

— Co się stało? — zagadnął go pan Kolecki.

— Głupstwo — odrzekł Sobica — zdawało mi się że pociąg stanął.

Usiadł na swojem miejscu.

Byli sami.

Pan Kolecki przymknął oczy i zasypiał powoli. Czasem na zakręcie wagon silniej przechylił się i zakołysał, czasem zgrzyt hamowanych kół przechodził w piekielną muzykę, która przedzierała się przez ściany wozu i w dygotanie wprawiała ciała podróżnych...

— Szatańska jazda—mruknął pan Kolecki i zasnął na dobre.

Sobica patrzył na niego z pod oka. W piersiach począł mu tłuc się nieukojony żal do tego człowieka, który przytulił głowę siwizną przyprószoną do poduszki i zapomniał z lekkiem sercem o wszystkiem, co go czekało.

— Byłeś mi wrogiem—jęczały w nim zadawnione skargi — może nie wiedziałeś o tem, ale byłeś.

— Między mną a Kamą wykopałeś przepaść różnic błahych, nędznych ale straszliwych...

— Tyś winien.

— Twardą pracą zdobyłeś majątek, ale zapomniałeś o tem. Za przykazanie dałeś swojej córce ten fałsz, że zbytek i egoizm jest wszystkiem na świecie.

— I dlatego Kama wyrosła tak źle...

— I dlatego ja nie mogłem stanąć odrazu koło niej i upomnieć się o swoje prawa...

— Tyś winien.

— Żyłem męką od jej pierwszego poznania, żyłem żądzą zdobycia złota w każdej sekundzie, stępiłem sumienie, byle być bliżej twojej córki.

— Tyś winien...

— Siwe masz włosy, zmarszczki haniebne na twarzy, umęczone ciało, aleś ten sam.

— Nie przyznam ci się, czem jest dla mnie Kama. Nie usłyszysz mojego jęku... nie dowiesz się, że cierpię tak jak ty, tylko mocniej, tylko straszniej od ciebie...

— Zbudzisz się wyspany, ale za progiem wagonu hańba czekać będzie na Ciebie. Będziesz chciał głowę podnieść w górę, ale łzy cię zniżą...

— Nie zaśpisz nieszczęścia... czeka na ciebie.

Pociąg wił się pod górę. Huk maszyny rozdzierał powietrze i dymem zasłaniał gwiazdy. Czerwone, świecące latarnie, jak olbrzymie oczy żelaznego potwora, mknęły tuż po nad ziemią, jakby szukały drogi pośród skamieniałych zasp śnieżnych, pośród urwisk, ubranych w łachmany lodu i zdziczałych, walczących z mrozem potoków. Olbrzymie płuca wciągały w siebie górski wicher, dysząc ciężko, złowieszczo i wyrzucając co chwila z czarnej gardzieli spalony balsam powietrzny razem z pióropuszami ognistych iskier, które ważyły się czas jakiś na skrzydłach pędu i zapadały potem z sykiem w śnieg, lub uciekały w las, osmalając gałęzie.

Ziemia drżała. Gwiazdy zniżyły się w błękitach ciemnej nocy i mocno migocąc, patrzyły ze zdziwieniem na stalową gąsienicę, która zdobywała wyżynę bez odpoczynku i z zaciekłością.

Sobica przytknął czoło do zamarzłej szyby. Oddechem stopił irysy zlodowaciałe na szkle i wsłuchiwał się w ten pomruk, jaki szedł od ziemi, i w te przestrzenie zdziczałe, które uciekały od niego wstecz, jak olbrzymie kry na szalejącej rzece.

Pociąg pędził przez las. Czarne świerki ubrane w całuny białe przelatywały koło jego okna, jak szkielety wyniosłe... wszystkie spoglądały na niego ciemnymi otworami wyżartych przez śmierć oczu:

— Dokąd tak gnasz?—pytały go znienacka—z nami wstecz uciekaj... po co bliżej męki, kiedy można być dalej od niej?...

— I my przebolałyśmy niejedno... i nam nie obca rozpacz... patrz, jakie ciemne jesteśmy, i odarte z uroku i wynędzniałe...

— Zostań z nami.

— Bój się szukać dróg, po których chodzi nieszczęście.

— Dlatego my trwamy na miejscu i ani uśmiech błogosławionej wiosny, i ani słońce palące naszą zieloną krew, ani ryk nawałnicy, która łamie nam ręce i pazurami rozpruwa grzbiety, ani nagły mróz rozdzierający żywotne tkanki... nie zdołają nas uwieść...

— Trwamy na miejscu, nie idziemy za niemi...

— Wszystko mija koło nas...

— Dlaczegoż ty nie miałbyś trwać tak na miejscu, jak my? Dlaczego i koło ciebie nie mają przechodzić nieszczęścia tak jak koło nas i przepadać w przestrzeniach czasu?

— Zostań z nami.

— Pod głowę podścielimy ci iglaste liście. Spoczniesz. Z naszych koron otrząśniemy śnieg na ciebie i powoli zakryjemy cię puchem naszych srebrnych łez... będziesz leżał spokojnie... wypatrzysz oczy, tak jak i my, i będziesz potem patrzył tylko dołami ócz... tak lepiej... tak już się nie płacze... tak już się nigdy nie zamyka powiek...

— Stalowy potwór zwalnia w biegu i dyszy, bo mu ciężko piąć się pod stromą wyżynę... wyjdź... stań na ostatniem stopniu... wicher rzuci ci pod nogi miękkie, grube, białe dywany...

— Tylko ręce wyciąg przed się na błękitne powietrze... a zejdziesz cicho między nas...

— Spokój ci damy...

— Wiem, wiem — powtarzał Sobica zaciśniętemi ustami.

Zamknął oczy. Szept po przez szybę wysrebrzoną tajemnymi znakami szedł na niego i wnikał mu w duszę, jak krople kojącego balsamu. Jakaś siła dobra brała go na ręce i pociągała ku drzwiom.

Wstrząsnął się. Spojrzał na las. Świerki poczęły szybciej mknąć wstecz i skomlały coraz natarczywiej i coraz głośniej...

— Patrz, jak uciekamy od twego nieszczęścia. Lotem ptaków wystraszonych. Tak wiele nas jest, takie obojętne jesteśmy, a uciekamy precz od tego miejsca.

— A ty??

Stał wybladły. Skóra na twarzy jego napięła się, jak twardy pergamin. Na posiniałych wargach tańczył strach przed tem, co go czekało. Żywiołowa rozpacz wyrwała go z Warszawy i rzuciła w pociąg, ale po co, dlaczego, teraz dopiero począł sobie to uświadamiać.

Łomot kół rósł z każdą chwilą. Las przepadł za oknami, a teraz leciały koło szyb rozpięte pola śniegowe, rozdarte kilofami urwiska i ciemny błękit nocy z coraz większą, straszliwą szybkością...

— W dół zjeżdżamy ku Zakopanemu — myśl załopotała się w jego głowie połamanemi skrzydłami.

Spojrzał z przerażeniem na drzwi przedziału. Zdawało mu się, że ktoś stał za niemi i patrzył na niego mocnemi, błyszczącemi oczami. Nie było nikogo.

Przypadł do okna wagonu. Całem ciałem zawisł na niem. Paznogciami i oddechem zdzierał ze szyby skrzepnięte hieroglify... Wytężył wzrok na rozświeconą księżycem dal widnokręgu.

Lodowe piramidy Tatr leżały przed nim, jak przeogromne bałwany morza skamieniałego nagle w czasie najstraszliwszej burzy. Z wierzchołków zamarzłych fal ociekła woda ścięła się w wały białej piany. Strzeliste, potargane grzywy kolosów od promieni świetlnych stały się aż przezroczyste na krawędziach i wyrzynały się na szafirowej ścianie widnokręgu z bolesną wyrazistością. Bezgraniczny smutek i cisza siadły u nóg Tatr, nad któremi przerażony księżyc wbił się w sklepienie niebios, jak lampa płonąca w katakumbach.

Ból odżył w sercu Sobicy i rozkrwawiał się wspomnieniem:

— Wyjeżdżałem z pod tych gór oszalały szczęściem... i radością.

— Zostawiłem ją samą, aby wrócić po cud mojego życia.

— Hahaha...

— I nie wiem jak się to stało inaczej...

— Hahaha...

— Ludzie mi donieśli, bo im już wstyd nie pozwalał milczeć...

— Od miss Terry miałem list, że August posiadł mój cud... hahaha.

— Arcymistrz!

Zgiął się w kabłąk i syczał zaciskając palce:

— Jadę, jadę... ucieszycie się...

— Przecież mnie brak pośród was.

— Jak wy poznaliście się na tych pięknych górach... hahaha... ślicznie obrane gniazdo na rozkosze...

— Jaki kontrast subtelny!

Pociąg spadał jak gigantyczny wąż po stalowej ścieżce w dół przez to morze zmartwiałych śniegów, co raz niżej i niżej. Lodowe szczyty podnosiły się w górę, wyciągając w niebo zrozpaczone, spiczaste łby i konwulsyjnie załamane ręce.

Sobica wyczerpany opadł na poduszki siedzenia. Zamknął oczy, bo myśli jego rozlatywały się, jak stado wypłoszonych ogniem gołębi.

— A kiedy spojrzę im oko w oko — pytał sam siebie z dziką zawziętością — co się stać ma??

Zatrząsł się cały. Otworzył wystraszone oczy i spojrzał na Koleckiego, jak by się bał, że ojciec Kamy mógł zobaczyć to samo widmo, które dotknęło się jego ramienia.

Ponuro patrzył na śpiącego.

— Panie Kolecki—mówił w myśli—nie jestem zły człowiek, tylko jestem człowiek, który cierpi, a taki zapomina o wielu rzeczach...

— Szkoda panie Kolecki, że tak spać nie możesz dłużej, choć pociąg już stanie na miejscu.

— Chcesz córkę ratować od hańby... to dobrze... ty będziesz ją ratował i ja...

— Hahaha.

Jeszcze raz stanął przy oknie. Olbrzymi widnokrąg skurczył się i przepadł. Koło szyb migały znowu dygoczące świerki, przetrzebione, rzadkie i sztywne. Uciekały przed jego oczami szybko, nieustannie.

— Łaknieny spokoju — szeptały do niego — i dlatego tam nas nie będzie...

— Po co??

— Czyż nie jest szczęśliwym ten, kto zamknąć może oczy na wszystko tak, jak my??

— Czyż nie lepiej uciec od swojego czynu, jeżeli czyn ten ma krew na rękach?

— Wyskocz z pociągu...

— Bój się samego siebie...

— Nie wiesz, czy zmysłów nie stracisz, zanim broń podniesiesz.

— Nie wiesz, czy nie zadrży ci ręka w chwili czynu.

— My damy ci spokój pośród siebie.

— Patrz! coraz nas więcej, bór coraz gęstszy, tyle miejsca w nim!

— Wyskocz z pociągu...

— Wiesz już wszystko, czy możesz dowiedzieć się czegoś więcej?

— A jeśli wina jej cała jest to, że go kocha?

— Co im powiesz wówczas?

— Uciekaj przed tą siłą, która rwie cię za włosy i ciągnie na ich próg...

— Uwolń się!

— Wstań i chodź...

Sobica pochylił się nad Koleckim. Bielmem rozszerzonych oczu świecił nad nim długo, jakby chciał go obudzić.

— Panie Kolecki — szepnął — mnie już czas...

Śpiący jęknął ciężko. Śniły mu się widać niespokojne czasy.

Sobica poszedł na palcach ku drzwiom przedziału. Otworzył je, wyszedł na kurytarz. Uśmiechał się do siebie.

Stanął na ganku wagonu. Łupot targanego powietrza wpadał mu do uszu. Dokoła po obu stronach rzęził bór umęczony wichrem.

Jakieś cienie ogromne szły na niego. Może to były cienie chmur, może drzew, ale cienie były żywe.

— Las się kończy — wołały na niego — a potem droga prosta do nich.

— Otoczą cię wielkie pola i będą śmiały się z twojej małości.

— Las się kończy...

— Pociąg zwalnia w biegu.

— Czas już na ciebie.

Uśmiechnął się dziwnie. Zeszedł na stopień ostatni. Skoczył... Zakołysał się w powietrzu i runął w zaspę śniegu.

Leżał chwilę oszołomiony.

Wstał. Nie było nikogo wokoło. Zdaleka tylko do jego uszu dochodził głuchy mruk pociągu, który cichł coraz bardziej.

Wszedł w las.

Stanął.

Martwota czarnych słupów, które górą zlewały się w jeden dach bez końca otaczała go dokoła. Wsłuchiwał się, czy z tej nawy umarłego kościoła podpartej tysiącami pni, nie dojdzie do jego uszu jakie echo.

Milczenie.

— My spokój dajemy — powtarzał machinalnie.

Przycisnął głowę do pnia młodego świerka.

— I on i ona czekają na mnie — myślał — miss Terry powiedziała im, że jadę...

— A Sobica nie przyjedzie...

— Pan Kolecki wytłómaczy im, dlaczego nie mogłem przyjechać.

Zaśmiał się smętnie, słodko.

Błysnął strzał...

Wystraszona kuna skryła się głębiej w norze. Dojrzała, jak jakieś ciało długie, czarne runęło pod drzewem.

— Łakniemy spokoju—szeptały świerki i wyżej pięły korony białe w mroźny, gwiaździsty błękit.

*

* *

Upłynęło kilka miesięcy. August wyjechał z Kamą z Zakopanego do południowych Włoch. Nigdzie niemógł jednak ani jednego dnia zatrzymać się i wypocząć. Nieugaszona wewnętrzna gorączka przeganiała go z miejsca na miejsce. Nowa linia wybrzeża, nowy zrąb kryształowego nieba, lub nowe kształty i barwy krajobrazu pociągały na chwilę jego oczy, ale wkrótce zapadał znowu w ponurą zadumę, z której nic nie mogło go wyrwać.

Kama snuła się koło niego, jak cień. Nie odstępowała go ani na krok. W skrytości serca myślała, że August przeboleje ostatnie wypadki i zmieni się znowu.

Ciężko jej było i nieswojsko z jego zamkniętym duchem. Wyobraźnia coraz częściej przywodziła jej na pamięć godziny przeżyte z nim w Blackenbergu. Zaczęła tęsknić i żałować niepowrotnych chwil przeszłości.

Nie mogła też zagłuszyć wewnętrznych podszeptów, które czasem późno w noc budziły ją i nagle dotykały się jej serca:

— Wszystko uczyniłaś dla niego co może uczynić kobieta, czegóż on więcej chce?

— Wiedziesz z nim szare życie, tak szare, że lepszem byłoby więzienie.

— Biedny Sobica... Ten kochał ciebie, jak szaleniec.

— A ciebie chwila porwała.

— Gdybyż przynajmniej koło Augusta burza szalała tak jak wtenczas... gdybyż kochano ciebie lub nienawidzono razem z nim.

— Dałaś się unieść nerwom... sądziłaś, że stała się rzecz wielka. Sądziłaś, że August da ci upojenie miłości nowe, szalone i nieokiełzane, jakiego dotąd nie znałaś.

— Pustka, milczenie.

Olbrzymi cień pochylił się nad jej głową i zimnym oddechem wionął na jej dyszące pożądaniem piersi.

— A jeśli to człowiek, który popadnie w obłęd?

Skurczyła się przerażona. Paniczny lęk przebiegł po niej dreszczem. Wytężyła słuch.

Przez szpary drzwi przekradał się z drugiego pokoju blask płonącej lampy. Do uszu jej doleciał skrzyp pióra.

— Pisze — szepnęła.

Od tego czasu przestała narzucać mu się z miłością. Zbrzydł jej słodki lazur południowego nieba i kwitnące gaje pomarańczowe. Nie opierała się już temu, aby przenosić się z miejsca na miejsce. Przeciwnie, sama z gorączkowym kaprysem zaczęła wydłużać drogi dzielące jedną miejscowość od drugiej. Przyspieszała podróż ku Alpom.

Kiedy pewnego dnia stanęli nakoniec w Wenecyi i Kama ze drżeniem myślała o tem, w którą stronę skierują następnie swoją drogę, August odezwał się do niej niespodziewanie:

— Jedziemy jutro do Zakopanego.

Kama zbladła. Zadygotało w niej serce jak wówczas, kiedy dowiedziała się z ust ojca o samobójstwie Sobicy.

Nie odpowiedziała mu nic, ale w duszy postanowiła uciec od Augusta przy najbliższej sposobności. Ze łzami w oczach wczytywała się w listy rodziców, którzy błagali ją na wszystko, aby upamiętała się i poczęła prowadzić uczciwe życie.

— Ludzie ci przebaczą. Masz majątek — pisali do niej.

Rzeczy swoje wysłała skrycie wprost do Warszawy. Przerażenie obejmowało ją na myśl, że w ostatniej chwili braknie jej siły, lub że August odkryje jej plan.

— A wtenczas co? — pytała się niecierpliwie w duszy — a jeśli w nim ta myśl kiełkuje, która wtenczas nad strumieniem wyciągnęła do mnie i do niego ręce z zimnej, okropnej wody??

Mimowoli twarz zasłoniła ręką.

Przeżyła całą dobę w gorączkowem podnieceniu. Wypieki na twarzy paliły ją. Liczyła stacye i słupy telegraficzne byle zabić czas i niepokój, który wgryzał się w całą jej istotę.

Minęli Wiedeń i Bogumin.

Przewiesiła przez ramię torebkę podręczną, przypięła kapelusz, włożyła futro. Zrobiła to z dzikim strachem w oczach, choć usta wydęła wzgardliwie. Odsunęła przytem drzwi na kurytarz. Niespokojnie patrzyła przez okno.

— Jeszcze nie Kraków — rzekł August.

— Tak? zapytam się... — odpowiedziała.

Wyszła na kurytarz.

— A jak myślisz — zapytała po chwili zduszonym głosem — czy długo zabawimy w Zakopanem?

— Nie wiem — odparł i zamglonym wzrokiem spojrzał na okolicę.

Rozległ się przeraźliwy świst lokomotywy. Koła wagonu poczęły gwałtownie zgrzytać, ściany dygotać i jęczeć, wreszcie pociąg zakołysał się i stanął:

— Trzebinia! — odezwały się nawoływania konduktorów.

Kama oglądnęła się na Augusta. Podparł głowę i drzemał. Chciała podejść do niego i pożegnać go choć jednem słowem. Ale słowo zamarło na jej wargach, lęk zaś porwał ją za ręce i ciągnął ku drzwiom.

Wyszła na peron. Wmieszała się w tłum. Serce biło jej gwałtownie. Każda sekunda wydawała jej się wiecznością. Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała oczy Augusta pilne i nielitościwe. Drżała z przerażenia na myśl, że może zawołać na nią po imieniu i że ona ten głos usłyszy i nie będzie miała siły uciekać.

Dano sygnał. Czarne wagony drgnęły i poczęły toczyć się powoli a potem coraz szybciej, jak uciekające widma. Nakoniec cały pociąg przepadł w otchłaniach przestrzeni i tylko długo po nim drżało rozkołysane powietrze.

Kama odetchnęła głęboko. Z rozkoszą wciągnęła w płuca wilgotne powietrze. Oczy jej zaśmiały się do ludzi.

*

* *

August zaszedł na grób Sobicy, porastający trawą.

Płakał rzewnie.

— Stanąłeś na mojej drodze — szeptał — wielki i potężny, jak przejmujący cień góry. Powiedziałeś mi przez śmierć swoją, jak silną jest moc życia.

— Powiedziałeś mi, że duch ważący się na skrzydłach pada, kiedy podpłyną pod jego lot szalejące fale.

— I zdjął mnie lęk przed moim czynem...

. . . . . .

Wieczór wiosenny rozwlókł nad mogiłą mroczne mgły.

D-r T. Konczyński.

O KSIĄŻCE i OKOŁO KSIĄŻKI.

GABRIEL SARRAZIN:

O wielkich poetach romantycznych Polski.

II.

Słabe jest to, co Sarrazin o Słowackim ma do powiedzenia.

Te skąpe wyrazy, w których życie poety zawiera, mają coś ubogiego, coś szarego w sobie: Jakiś niedostatek barw, świateł, woni, ruchu, jakiś brak plastyki, jakąś obojętną, leniwą pośredniość.

Mniejsza, że są to wszystko rzeczy dobrze znane. Innemi być one nie mogą. W tem błąd, że nie zostały przeniknione, przejęte na nowo żywem ciepłem, żywym blaskiem słowa. To właśnie daje im pozór tej szarości, tego ubóstwa, tego zaniedbania.

Autor wyrzucił już, wydmuchał — że tak powiem — pierwszą siłę pary i pęd jego osłabł. Znużył go, wyczerpał ten gwałt zapału, z jakim malował wielkie swoje rewolucyjne obrazy, swoje bohaterskie tła dla postaci Mickiewicza. Na postaci tej skupił całe bogactwo blasków i kolorów, jakie na palecie miał.

Teraz, wielka fanfara europejskiej Marsylianki przegrzmiała, gwiaździce komet pogasły, a życie jakby cofnęło się w siebie.

Teraz trzeba iść w jakieś szerokie cisze zadumania, w jakieś witrażowe przezrocza, pod jakieś gotyckie kopuły natchnienia.

Trzeba iść w sfery głosów echowych, przywianych skrzydłem lecących żórawi, trzeba iść nad dalekie morze, nad zgubione, gdzie przybijają i skąd odbijają łodzie pełne duchów. Trzeba iść na ziemie, które jęczą, i na ziemie, które w rozpaczy posnęły. Trzeba iść „w niebo, w piekło, wszędzie.“

Teraz uczyć się trzeba mowy „giętkiej, jak stal,“ a „jak marmur twardej,“ mowy, która „zabija i wskrzesza,“ która nie należała do żadnego narodu świata, ani przedtem, ani potem, ale zrodzona w kryształowej lutni, z nią razem rozbitą zaś była, i zasypała gwiezdnym pyłem drogę, po której odtąd pieśniarze w desperacyi chodzą, zbierając tęczowe okruchy.

Nie, tego nie może zrobić cudzoziemiec. Tego nawet najbardziej swój zrobić nie zdoła. Wymagać tego nie można, nie trzeba.

Sarrazin powie nam za tym lub owym z Ciceronów swoich, że Słowacki pierwsze ofiary natchnień spalił na ołtarzu Bajrona. Że ani w Mnichu, ani w Lambrze, ani w Janie Bieleckim nie trzeba szukać tonu własnej duszy młodego poety.

Możnaby to powiedzenie poddać w wątpliwość. Bo jednak dusza ta musiała mieć ton pokrewny Bajronowi, kiedy poszła za nim, kiedy tonowi bajronizmu oddźwiękła. Może więc być, że zamiast mówić: Słowacki w dziele swem naśladował Bajrona, powiedziećby należało: Słowacki miał duszę do duszy Bajrona podobną. Przynajmniej wówczas podobną, kiedy pisał Hugona, Lambra, Jana Bieleckiego.

Bo dusze nie są niezmienne. One biorą różny blask i ton, i różny kolor, w różnych epokach swojego rozwoju. Zasada duszy—wieczna. Tak. Ale im dusza ma być nieśmiertelniejszą, tem więcej odmian przebyć musi, zanim odnajdzie sama siebie i spocznie w swej pełni.

Odmiany te nie są czemś przypadkowem tylko, czemś całkiem przychodzącem z zewnątrz. One leżą w pączku-duszy zwinięte, w potencyalnym stanie, mogą się rozwinąć, albo nie rozwinąć, a rozwijają się, jako listki płonne, z czasem opadające, póki nie zakwitnie duch-kwiat, ten właśnie, który ma wydać owoc swej nieśmiertelności.

Odmiany takie ciągną się czasem od żywota do żywota, w bezkresnych przestrzeniach czasów. Czasem następują po sobie nagle, dokonywają się szybko, na przestrzeni jednego krótkiego życia, owszem, na przestrzeni małej cząstki jego. Znak to, że duch-kwiat gwałtownie prze, dociera do wyjawienia swej nieśmiertelności.

O te więc ofiary, Bajronizmowi palone, spieraćby się można. Bo to, że po Bajronie przychodzi Szekspir, popiera tylko powyższe twierdzenie. Ale — późno już. Tylu krytyków zawyrokowało o Słowackim: był naśladowcą Bajrona, był naśladowcą Szekspira—że gdy to za nimi raz jeszcze Sarrazin powta-

rza, nie budzi już żadnego do zaprzeczeń pędu, przemija obojętnie całkiem.

Za to spierać się można z autorem, gdy mówi, że Słowacki w „Żmii“ odkrywa dopiero właściwą sobie duszę. To nie jest prawda. W „Żmii“ spalają się tylko lekkie a świetne ognie tej duszy, błyskają łuny jej kolorów, ale ona sama nieodkryta jeszcze. Mówi też, że Słowacki, południowiec Polski, rzucił się z upodobaniem na jej kresy, na ten step siny, tabunem dzikich koni tętniący, gdzie pędzi Żmija, Beniowski, Mazepa. Owszem, to rzucenie się w fantastyczną sferę egzystencyj takich, „w girlandę awantur,“ poprostu przypisuje jakiemuś atawizmowi, który tu blizkość Wschodu wyjawia w mocnem czuciu wschodniego przepychu barw, wschodniego bogactwa fantazyi, wschodniego nieokiełznania.

Przytacza Żmiję. Przytacza Dumę o Rzewuskim. Poczem maluje nam poetę, jako rycerza-trubadura, którego niesie koń wierny, a on sobie tymczasem na lirze przygrywa.

Bardzo ładnie pomyślany ten obrazek. Ale to jeszcze nie on, nie Słowacki.

„Beniowskim“ nie chce się Sarrazin zajmować. Powiada to, powiada owo, powiada wreszcie, że Beniowski jest „niedokończony.“

A jednak, jakieby tam kawały duszy poety mógł zobaczyć! Gdyby — mógł.

Zdaje mi się, że Sarrazin poprostu w Beniowskiego nie został wtajemniczony, że go nawet i z przekładu dobrze nie zna. Bo gdyby znał, pytam się, czy mógłby nie drżeć cały od szalonej wibracyi tych dwóch, razem u serca poety naciągniętych strun, z których każda gra z osobna pieśń swoją, jakąś ogromną fugę, w której razem grzmi organ i flet śpiewa razem, w której trąby i bębny wrą, a jęczy wiolonczela; pieśń, której dysonanse mają aksamitne tony, a harmonia zgrzyta; pieśń, która pędzi na złamanie karku przez kraje wojny, miłości, rozterki, przez kraje wzgardy, uniesień, goryczy, wprost na przepadłe, na zerwane, na właśnie i żadną miarą nie mogące być skończonem.

Koniec Beniowskiego? Nie! Tego nawet pomyśleć nie można. Struny musiały pęknąć. Nazbyt je naciągnęło szalenie bijące serce.

Wszakże to tam, w Beniowskim, w tym potężnym wyścigu dwóch strumieni rozpalonej lawy grzmi ten „język nie mówiony, lecz z ducha błyskany;“ tam jest ta mowa, co „śpiewa, jak słowik, a jak piorun błyska.“ Wszak to tam huczą wybuchy strof

niesłychanej, wulkanicznej siły; tam omdlewają muzyczne dźwięki zaświatowych i echowych głosów; tam jest upadek królewskiego Syna pieśni i owo boskie zatrzaśnięcie za sobą drzwi, na jakiemś osobnem, własnem swojem słońcu.

Sarrazin wszakże postanawia nie mówić o Beniowskim, którego zresztą treść natrąca z lekka.

Natomiast obszerniej mówi o dramatach.

Zaznacza przedewszystkiem, że dramaty Słowackiego, to okrutne wizye mordów, żądz potępionych, postaci fenomenalnych lub potwornych, wydarzeń bajecznych, niesłychanych, strasznych, jak zmora tłoczących i że Słowacki jest w tem do Schelley'a podobny. Obaj ci marzyciele, ci eteryczni wizyonerzy o ciałach wątłych, oba te widma samotne, bezbratnie i jak gdyby bezdomne na ziemi, jak gdyby niezdolne do życia w zwykłych warunkach jego, przywiązywali się w szczególny sposób do przedmiotów strasznych, zbrodniczych, pełnych okropności. Obu im było wspólne łaknienie czegoś niemożliwego, czegoś monstrualnego, czegoś chimerycznego. Jakieś ostre zerwanie z proporcyą rzeczy i faktów, jakiś głód nadnaturalnych wymiarów postaci, charakterów i wydarzeń, głód — idealności. Świat wszakże najbardziej nawet chimeryczny, świat—wielkie bezdroże, którego pożąda wybujała fantazya poetów, ma dwa stałe punkty, do których przylega i których dotyka. Dotyka nieba i dotyka piekła. Właściwie, cały się rozwija, koncentruje i obraca około tych punktów. Wszystko tam jest boskie, albo jest piekielne. Wszystko stoi w anielskich lub szatańskich światłach. Wszystko jest po za ziemskie i po za człowiecze.

Tam się rodzi Balladyna, Rosa Weneda, Gwinona, tam przy strasznych narodzinach Beatrix Cenci, schodzą się Słowacki i Shelley.

Nic pośredniego i nic kojącego. Nic rzeczywistego nadewszystko.

— Ilekroć zetknę się z rzeczywistością—mówi Słowacki w liście do Irydiona—skrzydła moje się łamią i taki mnie smutek napełnia, jakbym miał umrzeć lub oszaleć.

Żeby więc żyć i nie oszaleć, trzeba było uciekać od tej łamiącej skrzydła rzeczywistości, w jakiś świat bardzo różny i bardzo daleki. W świat — idealny trzeba było uciekać, i świat ten zaludnić istotami, z rzeczywistością ową mającemi jak najmniej wspólnego. Musiały się tam one ścierać z sobą, walczyć, kochać, cierpieć i doznawać rozkoszy, żyć jakiemś nadludzkiem, wysilonem życiem i umierać jakąś nieprawdopodobnie bohaterską i okro-

pną śmiercią. Śmierć nawet sama w swej istocie inną tam być musiała. Dawno już zagasł wielki stos Wenedów, a jeszcze popioły jego ruszają się, jeszcze zapładniają straszliwą kapłankę.

Na to nie wystarczała liryka. To musiało być dramatem.

Słuszną uwagę robi Sarrazin, że namiętna dusza Słowackiego nie mogła zadowolić się liryką samą. Nie uzasadnia jednak głębiej tego sądu. Nie mówi czy to był urodzony geniusz dramatyczny, czy geniusz-liryk, pchnięty jakiemiś przeważnemi czynnikami psychicznemi w dziedzinę dramatu. Mówi wprost: „Il était étonnament doué pour le théâtre.“ Tak właśnie, jak mówił o Towiańskim: „Był święty.“

Jest to wszakże materya ważna, której się zbyć i zepchnąć takiem powiedzeniem nie da i która istotnie ma swój głęboki, psychologiczny podkład, ściśle związany z tragedyą duszy Słowackiego. A przytem odnosimy wrażenie, że takie krótkie świadectwo „nadzwyczajnego uzdolnienia“ wydane wielkiemu poecie, przez — niewielkiego krytyka, ma coś niemile rażącego swą niestosownością. Że o Słowackim inaczej mówić trzeba. Że sam przedmiot wymaga subtelniejszego, mniej banalnie grubego dotknięcia.

Bo jeżeli Słowackiemu nie wystarczała liryka, to wspaniałe ujście jednolitej duszy twórczej do morza wiecznego piękna, dowód to, że Słowacki duszy jednolitej nie miał. I to jest prawdą.

Dusza Słowackiego była istotnie bardzo złożona, więc bardzo rozdzielna. Nigdy, na całej przestrzeni bogatej twórczości swojej, od źródeł do ujścia, nie utworzyła ona jednego, potężnego wartu, któryby wyjawił jej głąb i jej siłę. Ona do owego wiecznego morza piękna uchodziła tysiącem srebrzystych ruczajów, buchała tysiącem grzmiących kaskad, wodospadów. Potrzebowała, aby się wyrazić, tysiąca form, tysiąca postaci, tysiąca coraz nowych pobudzeń, które wypierając się wzajem, nie mogły ustalić w duszy poety żadnej głębokiej, nieprzemiennej fali.

Mickiewicz wcielił w duszę swą naród cały. Pełna ona była po wręby swej bolesnej, swej umiłowanej treści.

Słowacki nie uczynił tego. Nie umiał wznieść się do tej namiętnej syntezy, która mówi: Ja i ojczyzna — jedno. Słowacki analizował. Nie miał w sobie tego ogniska czucia stapiającego szlachetne i podlejsze kruszce w jeden dzwon, którego sercem jest serce poety. Słowackiego te podlejsze kruszce raziły zawsze. On je odrzucał ze wstrętem. Nigdy też narodu, jako całości, nie ujął i duszy całością tą niewypełnił — nawet w Anhellim. Nie mógł uczynić tego.

Nadzwyczajna złożoność, wprost bajeczna wielokrotność duszy poety, rzuciła ją w cały szereg wcieleń, któreby wielokrotność ową wyczerpać mogły i zapełniła duszę tę całym szeregiem patetycznych postaci, którym poeta użyczał tchnienia swego życia. I ten to jest tragiczny powód, dla którego Słowacki był „étonnament doué pour le théâtre."

W potężnej, namiętnej, ale nieskomplikowanej duszy Mickiewicza, odegrał się jeden tylko dramat. Dramat Konrada. On go tworzył i przeżywał razem.

Pojedyńcze sceny dramatu tego rozrzucone są na całej przestrzeni Mickiewiczowskiego dzieła. Wszakże prometejska treść całości zawsze jest ta sama. I osoby są zawsze te same: Ojczyzna i duch poety.

Oddzielne akty dramatu różne noszą imiona. One się nazywają: Wallenrod, Dziady, Księgi, Prelekcye, Trybuna. I dekoracye miejsc także są różne. Jest Wilno, Petersburg, Rzym, Drezno, Paryż.

Bez względu przecież na różność miejsc i na różność czasów, wielki ów dramat ma w sobie doskonałą jedność. Taką jedność, o jakiej świat klasyczny pojęcia mieć nie mógł: jedność miłości natchnienia i czynu.

A to począwszy od bazyliańskiej celi, aż do owej mszy polnej w Burgas, przy obozowym ołtarzu z bębnów i lawet uczynionym, w której było ostatnie podniesienie kielicha męki i ofiary.

Zaczem zapadła zasłona.

Ale dramaty Słowackiego odgrywają się czas długi, po za nim, gdzieś na rubieży wieków, na rubieży ludów, na rubieży wyobraźni i rzeczywistości. Jedyną ich jedność stanowi geniusz poety.

Mendog, Lilla Weneda, Marya Stuart, Mazepa, Beatrix Cenci, Balladyna, albo nic zgoła nie mają wspólnego z wielkiem teatrum ówczesnych wypadków w kraju; albo, jeśli jest jakaś wspólność, to zgoła luźna i bardzo daleka. Poeta wyrzuca tutaj swój owoczesny Szekspiryzm raczej, zużywa swoją nieokiełznaną fantazyę, aniżeli daje wyraz swojej polskiej duszy.

Przemijają przed nami postacie czarowne, wizye niemające równych sobie w całym świecie słowa; upajają nas, topią w jakiejś bajecznej mgle pół-snu i pół-jawy. Ale są to kochania poety jednodniowe. Każde z nich posiadło duszę jego na czas i na moment, żadne nie zapełniło jej sobą.

I to właśnie razem z szeregiem następstw, jakie za tem szły, było istotą tragedyi w życiu Słowackiego.

Śpiewał, tworzył, a przecież wciąż jeszcze, nawet po stworzeniu arcydzieł, po wyśpiewaniu swej przedźwięcznej duszy, był jak ów „obłok błędny, który górnie pała,“ a nie wie, „czyli w niebo, czy w piekło uderzy.“

Jedno wiedział przecież — wiedział, że nie uderzy w serce swego ludu. Że mimo tego wspaniałego gniewu, z jakim zapowiada: „lud pójdzie za mną,“ zapowiedź ta nie ziści się wcale.

Gdy jednak, a czuł to Słowacki bardzo żywo, takie właśnie wszechmocne skinienie byłoby zdobyciem sławy, tej jedynej „żądzy jego życia,“ gdy „być sławnym“ znaczy to mieć nad duszami ludzkiemi moc, władzę, pomyślmy, jaka to była tragedya dla poety, któremu zdawało się, że promieniami tej sławy ma nakryć coś bardzo drogiego, a pokrzywdzonego.

Owa przecież z natury samej duszy Słowackiego wynikająca konieczność coraz nowych wcieleń, owa niemożność oddania się całości najbliższej sobie i wzięcia tej całości w siebie; owo przeżywanie życia i śmierci, wzlotów i upadków całej galeryi swoich dramatycznych figur tak bardzo nieraz dalekich od tego, co się paliło pod stopami ludzi i tętniło w pulsach czasu, musiało zrodzić w Słowackim „jaskółczy niepokój,“ musiało mu zasłonić sobą, uczynić czemś niewyraźnem, czemś mglistem — cel życia, musiało odjąć życiu temu — duszę.

Aż buchnął z piersi poety krzyk krwawy:

— Niech grom uderzy w moją głowę i jakąś myśl wielką w niej zapali!

I uderzył grom, i zapłonęła myśl wielka:

— Polska! Winkelried żyje! Ty jesteś Winkelriedem narodów! Do mnie, Polacy!

Ta jest księga rodzaju Kordyana, w którym Słowacki dobrał się do głębokiego szybu narodowego ducha. I ta jest księga rodzaju Anhellego, w którym poeta wzniósł się do wysokiej Golgoty narodowego cierpienia.

Kordyan wszakże wołał o myśl wielką. O czyn wielki—nie wołał.

Czyn nie leżał w naturze samego poety—i to jest słabością Kordyana. Kordyan hamletyzuje w godzinie czynu—i to jest słabością poety.

Jakoż ani Kordyan, ani poeta nie spełniają czynu.

Przecież, iżby wagę myśli wyrównać jak tylko się da najbardziej z wagą czynu, Kordyan, za myśl samą—ginie.

Oficer niosący ułaskawienie na końcu szpady, w śmiertelnym galopie padającego konia, musiał się z niem spóźnić. Kordyan

musiał zginąć za myśl niespełnioną. Ta siła, która go cisnęła w śmiertelnym skoku, ponad błyskawicę bagnetów, ta siła rzutu polskiego ducha, wysoko, gdzieś w błękity lecąca, została bezpłodną. A tak rozpoczął się długi, smętny pochód „ofiar cichych,“ i „ofiar spokojnych.“

Sarrazin, przytoczywszy parę fragmentów z Anhellego, porównywa jego wędrówkę po ziemi mogił z wędrówką Danta, co leżało zupełnie na drodze i było nie do uniknienia, oraz z zakończeniem monologu Konrada, co już leżało trochę dalej i na co uwagę zwrócić warto.

W monologu Konrada—mówi Sarrazin — łagodzi ową boleść za miliony coś jak gdyby radosny tryumf twórcy-wieszcza, twórcy-barda, który czuje się ogarniętym, porwanym, uniesionym natchnieniem tak potężnem, iż zdaje mu się, że samo przeznaczenie musi mu ustąpić. Ale w Anhellim wspaniałe to złudzenie nie istnieje. To przepaść rozpaczy i żałoby, przepaść, z której się zgoła nie podnoszą jęki podobne do tych „suspiria de profundis,“ które słyszy w piekielnej swej wędrówce Dant z ust potępionych na wieki.

Bardzo dobrze zaznaczone, ale pozwolę sobie rozszerzyć to nieco.

Uderzają mnie mianowicie dwie groźby: Konrada i Anhellego. Moc ich jest miarą najwyższego napięcia boleści, ale siła napięcia wcale nie jest równą. Groźba Konrada jest bardziej wybuchowa, ona istotnie ma błysk i huk wystrzału. Groźba Anhellego jest jakby skargą tylko.

Anhelli nie poszedł z nią aż przed sam tron Boga, jak to uczynił Konrad. Głos jego unosi się zwolna, z rozdzierającą melancholią śmiertelnej rezygnacyi, pod zlodowaciałem, ołowianem niebem męki i wygnania. Niema w nim tej bezpośredniości, niema tego stawienia się twarzą w twarz przeciw nadziemskim mocom, niema buntu, niema gwałtu, który musi wyrzucić z siebie piorun, co w nim pała.

Wszystko to zaś ma swój łańcuch przyczyn.

Cierpi Konrad i cierpi Anhelli. Wszakże Anhelli ma przed sobą cały niezmierny obszar narodowego cierpienia, wielkie przestrzenie ziemi mogił i ziemi wygnania. Ma więc możność rozłożenia ciężaru swej męki, tak, że żaden z jej momentów nie może być dla niego momentem śmiertelnym. Przechodzi on ten obszar dantejski zwolna, prawie że beznamiętnie. Zdawaćby się mogło, że nie cierpi sam, a tylko na cierpienia patrzy z niebieską ciszą

rozpaczy. Te wielkie, śnieżne przestrzenie pochłaniają coś z żarów tej męki i z płomienia buntu.

Konrad przeciwnie. On wszystkie te cierpienia ma razem wbite w jedno własne serce. Jestto piekielny i męczeński nabój, którego siłę czuł Konrad wołając: „Strzelę.“

Ale na ową siłę napięcia oddziaływała nie sama przestrzeń tylko. Oddziaływał i czas także.

Anhelli miał ten czas przed sobą. Długi, ślepy czas, którego chwile padają, jak krople roztopionego ołowiu na żywe serce, ale między jedną kroplą a drugą jest jakaś przerwa męki, jakaś cisza.

Ale Konrad ten czas zostawił daleko za sobą. On zaraz, tu, musi mieć wyrok w swej sprawie. On wie, że dziś jeszcze „moc jego się przesili,“ że bicie jego serca liczy minuty wieczności — w tej jednej wyrocznej godzinie, że w niej musi powiedzieć wszystko i żądać wszystkiego, że ta piorunowość przesilającego momentu jest jednem więcej dociśnięciem korby w napięciu śmiertelnego łuku.

Więcej jeszcze.

Anhelli nie był sam. On spotykał w swej drodze całe tłumy skarżących się i płaczących ludzi, którzy też część ciężaru męki na sobie dźwigali. Anhellego wiódł Szaman. On go ukrzepiał mądrością swoją, on mu tę ziemię tłómaczył. A kiedy odszedł na północ, była z Anhellim Ellenai, która go rzucić nie chciała. Otaczała go przytem natura. Jakakolwiek ona była, wśród niej przecież żył i oddychał, na nią patrzył. Były śniegi, były gwiazdy sine, były łuny polarne, były reny. Ale Konrad jest sam. „Samotność. Cóż po ludziach?“ A nie tylko jest sam, ale „poza granicami świata.“ On wyleciał za gwiazd kołowroty, tam, gdzie natura nic już z siebie nie udziela stworzeniu i gdzie tylko graniczy z nią Stwórca. Było to więc straszne sam na sam z męką, z rozpaczą, z żarem pożądań i — z Bogiem.

A jednak Konrad się nie cofnął, choć cofnął się Anhelli, którego dusza, gdy go Szaman uśpił, odłączyła się od śpiącego i otuliwszy się skrzydłami odejść chciała z ziemi jęku i z ziemi nieszczęścia.

Otóż te różnice pobudzeń stanowią o różnicy napięcia wybuchu.

Męka Konrada cała jest wrzeniem, cała buntem, cała pożądaniem czynu. On nietylko chce żyć, ale chce tworzyć życie. I nietylko pożąda potęgi narodu, ale szczęścia jego. On chce stworzyć „pieśń szczęśliwą.“ A siła tej żądzy jest tak wielka,

tak płomienna, że ona to ostatecznie rozstrzyga o sile wybuchu, ona jest groźby Konrada piorunem.

Znamy tę groźbę. Znamy wark tego pocisku, który zanim padł, strzaskał działo samo. Znamy to warunkowe jeszcze, jeszcze niewysłowione jako twierdzenie, a już wstrząsające niebem i ziemią przeczenie, które było więcej niż zaparciem się Boga, bo było zaparciem się w nim — Ojca. Znamy i słowo, co padło tuż z ust szatana i tylko z ust szatana paść mogło.

Ale Anhelli pełen jest omdlewającej, biernej rezygnacyi, owej to „niebieskiej rozpaczy," która niczego od życia nie żąda, a którą wyjawia Anhelli jednym jękiem: „Chciałbym umrzeć!" Groźba też jego nie jest natychmiastowem postawieniem sprawy na błysku pioruna. Ulatuje ona jak westchnienie, jak rozdzierające westchnienie agonii, w jakąś w najwyższym stopniu patetyczną dalekość rzeczy, o których nikt nic nie wie, a które przecież stają się gdzieś — straszliwe.

— Bóg sam pożałuje tego, co uczynił ze mną! — mówi Anhelli — a jakiś dreszcz wieczności czuć w tem słowie.

Niby ciche i niby spokojne, niż do groźby, do skargi podobniejsze raczej, a jest w niem przeraźliwość większa niemal, niż w groźbie Konrada.

Bo dobrze! Niechby się było stało. Niechby Konrad nazwał Boga tak, jak go nazwał szatan. Więc cóż?

Zapewne, słowo strzeliłoby jak sto piorunów w niebo. Ale czyliż nie jest powiedzianem, że i pioruny mu służą?

Padłby grom, możeby pół świata zapalił, możeby wymiótł w proch jakąś mleczną drogę, możeby słońce jakieś strącił i zagasił. Ostatecznie wszakże sam poszedłby w odruzgi, w jakieś rozbicie archanielskich skrzydeł, a zawsze i nadewszystko pozostałby winą człowieka.

Ale — wina Boga?

Bo jeśliby tak naprawdę Bóg pożałować miał tego, co uczynił? Więc jakaś omyłka? jakaś krzywda? jakaś wina?

Otóż ten żal, ta możność żalu w czuciu Boga, to jest przecież okropne poprostu! To mrozem idzie aż do szpików kości. To sięga przez wieki, przez światy, przez wszystkie atrybucye bóstwa aż do samej zatajonej istoty jego i jakiś straszny tragizm w niej odkrywa. Tragizm rzeczy, które się stały, i które się odstać nie mogą.

Więc kiedy przyjdzie wielka noc sybirska, a zorza polarna zapali na niebie krwawe płomienisko, gdy rycerz rozmiatający

śniegi piersią konia swego przyleci na mogiłę Anhellego wołając: — Tu był żołnierz! Niech wstaje! Niech żyje! Bo jest czas życia ludzi silnych! — gdy tak rycerz zawoła, Eloe otuli skrzydłami mogiłę i budzić uśpionego w niej nie da. Iż jest ofiarą cichą i spokojną, a dość mu męki jednego żywota.

A wtedy Bóg obaczy niezmierny smutek tej mogiły, która już nawet zmartwychwstania nie chce, i „pożałuje tego, co uczynił.“

*

* *

Z pietyzmem zatrzymuje się Sarrazin przed tajemniczą treścią Króla-Ducha. Możeby nawet wcale nie miał odwagi przystąpić do niej, gdyby mu Maryan Zdziechowski nie stał ku pomocy.

Bo jeżeli wszystko, co Słowacki dotychczas stworzył, było szeregiem czarujących wizyj, „bez tezy“—jak mówi autor—Król-Duch cały stoi na idei, na mistycznej tezie, dotyczącej predestynacyi Polski. Nie wizyą jest, ale widzeniem z pewnego historyozoficznego punktu wziętem, jest poglądem bardzo określonym i bardzo zaakcentowanym, poglądem na sprawy Ducha i Ojczyzny. Wyniósł się tu Słowacki na wyżynę natchnień, puścił wzrok orli przez szeregi wieków i wypatrzył stawanie, — stawanie się Polski.

I zobaczył przy tem stawaniu się straszliwego Ducha pracownika, który krwawemi rękami ugniatał zaczyn dziejowego życia. Ugniatał lud niewolników, iżby narodem został; ugniatał ziemię niewolnicę, iżby się stała ojczyzną.

A był Duch-pracownik, odziany królewską purpurą, a pełnił rzecz kata.

Ten ci był „Król-Duch,“ Duch-kat, Duch-ciosacz zrębów i podwalin najpierwszej budowy Polski. Acz drzewiej inszy żywot miał, a zaś się znów w inszym wyjawi. Teraz rozmiłował się w czarownym „Widzie;“ i poszedł za nim na bławatkowe pola i na żytnie, iżby oraczy na rycerzy zmienić.

Dociskał, docierał ów zaczyn narodu męką niesłychaną, iż tylko przez mękę kształt nieśmiertelny, kształt wolny miał wziąć. Dociskał, docierał niesłychanym gwałtem ziemię, iż tylko przez gwałt ojczyzny kształty brała.

Czyniąc zaś, czekał znaku.

Czekał znaku, czy Bóg jest w niebie i czy na męki ziemi tej i tego ludu patrzy.

Wiedział, że znak, gdy przyjdzie, będzie śmiercią jego. Ale dyszał za nim, bo on miał zwiastować dokończenie okropnego dzieła. Piętrzy zbrodnie na zbrodniach, a ziemia krwią spływa. Padają najlepsi, najświętsi. Sama nawet pieśń jest zabita.

A wtedy niebo zadrżało, przelękło się o tę ziemię i ukazany jest znak gniewu.

Padł krwawy Król-Duch, ale już lud i ziemia zrosły się, stopiły w ogniach męki—w jedno.

Wzięła ziemia męczeńskiego ducha ludu w siebie i dostała oblicza-ojczyzny.

Wziął lud chryzmat ukochania ziemi pełnej ducha i dostał oblicza-narodu.

I zaczęły bić godziny dziejowe i uczynioną jest i sprawioną w przejrzeniu wysokich powołań swoich „Polska—na ból skała."

Zaś przyjdą czasy innych zrodzeń i innych przebudzeń Ducha, który katowski topór zmieni w berło spokoju. Bo już otworem stała droga widzeń dalekich i wysnuwało się złotokrwawe pasmo z onego to straszliwego wątku, którym Duch zapoczynił wielki dziejowy postaw na warsztacie wieków.

I szły już po drodze widzeń czasy inne i jeszcze inne, słoneczne i piorunowe, bohaterskie i nieszczęsne, ale—nie przyszły.

A ową drogę przecięła inna, która z dróg wszelkich wywodzi.

I przyszedł nią sen wieczny na oczy Jasnowidza, na oczy, które wypatrzyły stawanie się ojczyzny.

Przyszło wieczne milczenie na usta pieśniarza, który oznajmił, że nie jesteśmy już niewolnikami Ducha, ale rycerstwem jego.

Przyszło ukojenie wieczne na serce prorocze, na serce, które uczuło, że niebo drży o tę ziemię i gwiazdy do niej swoje śle, iżby czuwały nad nią. Przyszła śmierć poety.

Król-Duch, Duch Polski, gwałtownik królestwa bożego, kat gliny więżącej w sobie nieśmiertelne siły, wódz drużyny pasowanej męką na dziejowe życie! Pomysł olbrzymi, ognisko natchnienia rozpalone szeroko, niebosiężnie, przy którego krwawej, przeraźliwej łunie uczyniły się widne pierwsze wiązania ojczyzny i narodu.

Król-Duch! Tors niewykończony, zamachem śmierci rozbity, po którego boskich liniach, długo my jeszcze — Winkelmany ślepe — w oczarowaniu będziemy wodzili drżącą i niepewną dłonią,

odgadując skroś ich nieśmiertelnego piękna, straszliwą potęgę ducha, który się w nich przed nami zawarł i zataił.

Wielu już potęgę tę odgadywało i uwielbiło słowem. Wielu probowało pochwycić ją i postawić w świetle własnych widzeń. Oblicza jej wszakże nie oglądał nikt na żywe oczy.

Może błądzić przewodnik, może błądzić i ten, co za nim idzie.

Jeden będzie w prawdzie: Który moc Ducha czuje w „umiłowanej teraz i na wieki."

*

* *

Trzeba jednak przyznać, że Sarrazin utrudnił sobie sprawę teoryą bardyzmu.

— Ils sont tous bardes — powiedział mu Edward Schuré o naszych trzech wielkich poetach romantycznej doby, a Sarrazin powiedzenie to nietylko przyjął bez zastrzeżeń, ale natychmiast, wprost od tego punktu, wykreślił linię swej książki.

Linia była piękna i niezwykła.

W studyum o Mickiewiczu padła sama skroś przedmiotu, jak słoneczna smuga. Nie trzeba było jej naginać, nie trzeba było prowadzić jej niemal. Przynosił ją z sobą przedmiot sam i trzymał na sobie własną swoją mocą.

Wszakże już mówiąc o Słowackim, poczuł Sarrazin coś jakby opór, coś jakby wahanie. Wahanie tkwiło w nim samym, opór tkwił w przedmiocie. Rzuciły się na niego wizye czarujące, rozwiane w kwietne puchy i w muzyczne tony; rozszumiały się nad nim jakieś wielkie, pełne duchów chmury, o których nie wie nikt, skąd idą albo dokąd dążą. Pochwyciła go jakaś czarodziejska, jakaś niesłychana moc twórcza, która wywoławszy cudne i okropne mary, strącała je w przepaść, aby wywoływać nowe, nie zatrzymując się ani na życiu ich, ani też na śmierci. Chwyciło go coś potężnego, coś niespodzianego.

Byłże to bardyzm? Byłoż to wyjawienie się królewskiej i kapłańskiej władzy?

A tuż głos powątpiewania.

Byłożto sprawowanie najwyższej misyi w narodzie? W tym właśnie narodzie i właśnie wtedy, kiedy poeta wizye owe tworzył?

Sarrazin waha się. Bo i to o Słowackim wie, że nie skupiał się przy nim tłum oczarowany, aby pieśni jego słuchać, że zatem nie miał nad duszami mocy; pieśni te — a sam poeta uczuwał to gorzko — długo padały w jakąś przepaść czarną i bez echa.

Byłże więc bardem? Wahanie autora, zrazu dyskretne, staje się wyraźnem.

Mówi o poematach, w których dusza Słowackiego się nie wyjawiła i mówi o poematach, w których się wyjawiła z obcą jakąś twarzą. Mówi o dramatach „sans thèse“ i o tych, które są tylko wzniosłem widowiskiem. Szuka poprostu wyjścia z bardyzmu. Obchodzi go wkoło. Samo nawet słowo bard, znika na czas dłuższy z książki. Natrącone w Kordyanie, wyraźniejsze w Anhellim, w Królu-Duchu dopiero odzyskuje pełne swoje brzmienie.

Zanim wszakże przyszło do tego, wahanie udziela się czytelnikowi. Jest mu natrętne, przykre.

Jakże? Więc Mickiewicz był bardem, a Słowacki nie był? I zaraz czuje, że się tu Anhellemu krzywda wielka dzieje. Więc myśli: Mickiewicz był bardem, a Słowacki może bywał nim tylko? Bo wszak miał na lutni owe struny złote, a tylko niezawsze ich dotykał? Ale zaledwie tak pomyślał, widzi, że to na nic. Bo albo się jest bardem, albo się nim nie jest; pośredniej drogi niema. Więc pytanie obraca inaczej.

Czy Słowacki miał równie silne poczucie wysokiej misyi w narodzie, jak je miał Mickiewicz? Odpowiedź pada sama, jasna, niewątpliwa: tak. Tylko, że to poczucie parło Mickiewicza do natychmiastowego spełniania tej misyi, słowem to słowem, pieśnią to pieśnią, czynem to czynem; że parło go do oddziaływania bezpośredniego, do służby zaprzysięgłej, osobistej, bez wyboru jej rodzaju. Że było w nim nietylko celem życia, ale samą istotą i osnową życia. Słowacki zaś, trawiąc się nadmiarem fantastycznych natchnień, które mu przesłaniały najbliższe plany życia i najbliższe zadania życia, nie miał instynktu działania. Nie miał popędu do czynu. Zapowiadał wprawdzie, że powiedzie lud „w piekło, w niebo — wszędzie,“ ale to było złudzenie.

Aby działać, trzeba się nietylko dotknąć rzeczywistości, trzeba się z nią poprostu wziąć za bary. A wszak jemu od samego dotknięcia łamały się skrzydła. Chociaż więc miał silne poczucie wysokiej misyi swojej w narodzie, było ono w nim jakby bierną siłą. Było właśnie tą „siłą fatalną,“ o której wiedział, że zosta-

nie po nim, że będzie zjadaczy chleba przerabiać w aniołów, że wszakże jemu jest „na nic.“

Byłże więc Słowacki bardem? Czytelnik czuje się wprost udręczony zmorą pytania tego. Przypomina te czasy spokojne, kiedy mógł myśleć o Słowackim, jak się myśli o burzy, która błyska, o wiośnie, która kwitnie, o morzu, które toczy niezmierzone fale. Kiedy mógł się nim upajać, kochać go, płonąć i płakać z nim razem. Kiedy mu jeszcze nikt tego klina bardyzmu nie zabił w głowę.

A wtem powstaje groźny w swej wielkości Król-Duch, a teorya bardyzmu wchodzi w swoje prawa.

— Słowacki był bardem! — woła teraz Sarrazin całkiem przekonany.

— Był jednym z trzech wieszczych Jasnowidzów Polski, którzy świadczą i duchem i dziełem, iż rasa wielkich Natchnionych nie wygasła w XIX wieku. Oni to podjęli, współcześnie nam prawie, tę pieśń czarodziejską i magiczną, której powierzone są nieśmiertelne prawdy.

Tak. Ale gdy się zejdziemy gdzieś bratnią drużyną, drużyną wierną, jak ta, o której opowiada Klaczko; gdy drzwi będą już zaryglowane, a okiennice zamknięte, gdy dusze nasze zechcą pałać, a serca bić wysoko, wtedy pochylą się razem głowy nasze nad małą książką, na której karty będą padały łzy nasze i będziemy czytali, będziemy pochłaniali Anhellego, nie troszcząc się o teoryę bardyzmu.

III.

Szeroką podstawę do studyum o Zygmuncie Krasińskim pozyskał Sarrazin w listach jego do Henryka Reeve pisanych. Dwutomowa księga tych listów jest źródłem pierwszorzędnej piękności i wagi, jest dokumentem żywym, który ma głos, ruch myśli, uczuć i słowa samego poety.

I słowa! W tym wypadku nie jest to rzecz drobna.

Krasiński, niedość że mówi w listach tych obszernie o sobie i o dziełach swoich, ale mówi—po francusku. — Et le francais en est remarquable! — woła Sarrazin z zachwytem.

Otóż uważmy, że dla esciety, który w pocie czoła ledwo się przedarł przez litewskie knieje Mickiewicza, który ledwo że przepłynął chmurne morze Słowackiego i to przy pomocy objaśniaczy,

tłómaczy i oprowadzaczy,—że dla krytyka, który zamierzył zbadać i przedstawić nieznanego ducha nieznanego narodu i jego nieznanej sobie twórczości w nieznanym języku — znaleźć tak ot na równej drodze duszę poety, która się przed nim sama otwiera, sama o sobie przemawia w jego rodzinnem słowie, to przecież jest niesłychana szansa!

Jeżeli dodamy ważną pracę Juliana Klaczki o poecie bezimiennym, pracę, która jest subtelną analizą dzieł a wspaniałą, szeroko ujętą syntezą ducha Krasińskiego, a z której nietylko Francya, ale i Europa cała wyczerpywała dotąd swoje o Krasińskim sądy, pojmiemy łatwo, na jak mocnym gruncie mógł tu stanąć Sarrazin.

Prawda, że listy obejmują dość krótką epokę życia poety; prawda, że pisze on je w tych najpierwszych latach, które zazwyczaj zowiemy młodością. Perspektywa jednak jaka się z nich na życie dalsze otwiera, cała stoi w lśnieniu wewnętrznych świateł ducha tak potężnych, że przy nich życie to wyjawia się w najczystszych i w najszlachetniejszych liniach.

Co do młodości zresztą, to czoło poety naznaczone było piętnem geniuszu i piętnem cierpienia tak wcześnie, tak silnie, że lata, które szły, mogły piętna owe pogłębić tylko, ale ich zatrzeć i zmienić nie mogły.

Właściwie, to o młodości Krasińskiego mówi się tylko formalnie. Zapewne, że i dla niego biły te godziny, które u innych młodością się zowią. On w nich jednakże już był myślicielem, już arcydzieł twórcą, już odkrywcą ogromnych, zatajonych jeszcze przed okiem współczesności pokładów dziejowego jutra.

Ten Górny Duch wyjawił się odrazu skończonym w swym rozwoju duchem. Odrazu był to już ten kwiat ciężki od nasion swej nieśmiertelności. Kwiat, stojący w ogniach i kolorach wiecznych.

Młodość Krasińskiego?... Nie wiem! Może ją przeżywał gdzieś na innym globie, gdzieś na innych brzegach mórz nieskończoności. Tutaj, na ziemi, nikt go młodym nie znał. Ten wielki Obdarowany wszystkiem, co jest wieczne, był oraz wielkim Wydziedziczonym z wszystkiego, co przemija z wiosną. Próżno on mówi przyjacielowi, że sięga po dobre swoje prawo, że bierze na czoło „koronę młodości i szału.“ Nie było kwiatów dla niego na koronę taką. Starość świata szła za nim przez ogrody życia i otrząsała kwiat, po który sięgał. Starość świata szła za nim zimna, bezlitośnie mądra, i gasiła każdą iskrę szału. Ona to rzucała na drogę poety cień groźny, surowy; jej to szept był cichym

piorunem, trzaskającym w sercu poety, gdy na niebie było dla innych słońce i pogoda. Od pierwszego zbudzenia się świadomej siebie myśli, był Krasiński stary tą starością świata, która go gniotła całym wieków swych ciężarem.

Wszystko więc jedno, ile lat miał poeta, kiedy listy owe do młodocianego przyjaciela pisał. On był już Irydionem, już widział śmierć wiecznego Rzymu w szaleństwie orgii i rozpaczy. On stał już na ostatniej baszcie Świętej Trójcy i widział dwa światy prące przeciw sobie w śmiertelnym boju—bez zwycięstwa.

I wszystko jedno kiedy to przeżył. To są sprawy ducha i geniuszu. Nie będzie też może paradoksem twierdzenie, iż Krasiński dlatego nie mógł mieć młodości, bo miał wieczność w sobie.

To pewna, że niewidziano dumniejszej głowy, skłonionej w głębszem dumaniu nad losami świata, w dumaniu, z którego bije tragiczne przejrzenie, obejmujące wszak kolisko ziemskie.

Gdy zaś dwutomowa księga tych listów, obejmująca znaczną przestrzeń czasu pomiędzy 1829 a 37 rokiem, mówi nietylko o wydarzeniach dotyczących wewnętrznego życia poety, ale także o pełnych wagi wypadkach krajowych i europejskich, — gdy nadto ukazuje nam ona rozległe pomysły twórcze i błyskawicznie ujęte zarysy dzieł samych, z całą bezpośredniością chwili, która je wydała, pojąć łatwo, jaki skarb, jakie czyste, żywo bijące źródło znaleźćby w niej mógł wyznawca geniuszu Krasińskiego, któryby w świątynię ducha jego za jej przewodem szedł.

Sarrazin wszakże stwierdził raz jeszcze tę doznaną prawdę, iż każdy bierze z książki tyle, ile z niej wziąć zdoła. Więc choć ten pierwszorzędny dokument ma w ręku, niezawsze sobie radzić z nim potrafi, zostawiając czytelnikom studyum swego całą niemal pracą zestawień, porównań, roztrząsań, wniosków i wywodów.

Gdyby tak Klaczko znał Listy te, w których, jak z przetwartego skarbca, buchają z duszy poety wszystkie jej żywioły i moce, wszystkie jej płomienie i żary; w których bucha miłość i ból, męka i natchnienie, w których jest filozofia, religia, stoicyzm i chrystyanizm razem, razem estetyka i historyozofia, spojrzenie na sprawy, światy wizyonerskie i prorockie razem, gdyby Klaczko te listy był znał, jakżeby wzbogacił swoją pomnikową pracę, ich najgłębszą, najbardziej duchową istotą!

Sarrazin wszakże za mało się w nie wmyślił i do owej ich duchowej istoty dobrać się nie umiał. Cytaty listów podaje wręcz na surowo, nie zawsze umiejąc pomiędzy subtelnemi drgnieniami duszy poety dobrać takie, któreby użyczały najsilniejszego światła i poparcia własnym założeniom krytyka. A przecież

na tej to Księdze właśnie buduje on całe niemal studyum o Krasińskim.

— Nigdybym, mówi, nie odważył się uzupełniać studyum niniejszem ważnego i skończonego w sobie dzieła Klaczki, gdyby od ukazania się tej świetnej pracy przed czterdziestu laty w „Revue des deux Mondes," literatura europejska nie była zbogaciła się w 1902 r. nieporównaną publikacyą listów poety, które aż dotąd wydane nie były.

Znano idee Krasińskiego, jego doktrynę, bystrość jego psychologii socyalnej, jego poetycki geniusz, ale osobistości samego poety nie znano. Nie wiedziano, jak się uginał i prężył pod ciosami losu, jak się dźwigał i prostował w rzadkich chwilach szczęścia. Listy te dopiero pokazały nam w Krasińskim człowieka z całem wrzeniem uniesień, buntów, wyrzutów, omdleń i upojeń duszy.

*

* *

Obaczmy teraz, co wyczerpał autor z tej księgi listów i jak mu się Irydion nasz w świetle ich przedstawia.

Krasiński przedstawia się Gabryelowi Sarrazin, jako najgłębszy z duchów i geniuszów Polski.

Podstawą jego charakteru jest żołnierska niemal, a zarazem zakonna jakby karność, panowanie nad sobą i rząd własnej duszy niezmiernie surowy. Zdolność przezwyciężania się nietylko w porywach osobistych ku jakiemuś upragnionemu szczęściu, ale nawet w takich, które z egoizmem pragnień podobnych nic wspólnego nie mają, — posunięta do najwyższych granic.

Krasiński ujarzmia swoją duszę, swoje żądze, swoje heroiczne zapędy. To jakiś święty Jerzy, który pod stopą i pod błyskiem lancy trzyma wijącego się u stóp swoich smoka.

Źródłem siły do walki tej jest poecie wiara. Jestto wyznawca chrystyanizmu—aż do męczeństwa. Heroizm wiary i wzniosłości, to przyrodzona atmosfera jego. Żyje twardo, ze stalowej zbroi zakonnika-rycerza nie rozdziewając duszy.

Byłaż to wola czynu? Nie. To była wola wytrwania w męce do ostatka.

Krasiński to bohater duchowy o tragicznej linii życia. Wierzy w Opatrzność rządzącą światem i to mu daje siłę prawie —

fatalisty. Tylko, że ten fatalizm nie prowadzi go do uznania ślepej jakiejś mocy, ale prowadzi go do uwielbienia sądów Bożych i do zaufania im.

Życie jego jest milczącem ofiarowaniem się na ołtarzu uczuć synowskich. Dźwiga on niezmierny ciężar woli ojca i własnego zaparcia się siebie. Dźwiga krzyż swój i wstępuje na Golgotę świata. Niekiedy ogarnia go znużenie śmiertelne. Łzy i niespanie odbierają mu niemal wzrok. Niekiedy pragnie choć kropli rosy na orzeźwienie umęczonej duszy. Stacza się na niego jakaś fala buntu, jakiś upał do niezwyciężenia. Jest słaby, jest wyczerpany, jest znicestwiony i upadający. Ciemności i pustkę konania ma w duszy. Wypręża wtedy ramiona instynktem jakimś party i zrzuca krzyż, który go druzgoce.

— „Nienawidzę swojej cnoty!“ — krzyczy, wyciąga ramiona do słońca, do szczęścia, do rozkoszy życia.

Zaledwie jednak czarę upojeń do ust przychylił, ledwo się rozprostował i podniósł głowę znękaną, kiedy już rozgrzmiał mu w duszy twardy nakaz woli.

Sumienie jego jest tak czułą wagą jego czynów, że nie śmie poprostu być ani chwili szczęśliwym. Jeśli nim jest, za winę to sobie liczy. Pochyla się tedy, krzyż na barki bierze i idzie. Coraz dalej idzie, coraz wyżej, wyżej.

Gdyby nie był geniuszem poezyi, byłby geniuszem świętości. Ale byłaby to świętość tragiczna.

Bo rzecz dziwna! Ten wniebowstępny duch miał silne poczucie ziemskiej rzeczywistości.

Jeżeli wznosi się ponad nią, to nie dlatego, żeby się od niej odwrócić, oderwać, ale dlatego, żeby tem potężniej ogarnąć z wysoka całość jej walk, jej win, jej cierpień i jej upadków.

Krasiński, to wielki symbol walczącej i cierpiącej ludzkości.

— Nic bardziej uderzającego — mówi Sarrazin, a jest tu zapewne mowa o znanym wizerunku Ary-Szeffera — nic bardziej uderzającego, jak spojrzenie Krasińskiego w portrecie z r. 1843. To nie marzycielskie, ulatujące w fantastyczne światy spojrzenie Romantyków. To jest wzrok przenikliwy, bystry, silnie utkwiony w wielkich sprawach ludzkiego świata, wzrok sondujący je do ostatnich głębin.

Istotnie. Takiego wzroku badawczego, wzroku sądnego nie ma ani Mickiewicz, ani też Słowacki. Ani ten orzeł, mierzący w słońce okiem, bez zmrużenia powiek, ani ten łabędź zagubiony, zaczarowany w cudownej swej pieśni.

Wzrok Mickiewicza, jakby w głąb czaszki, w tajne pokłady ducha cofnięty, sam na sobie oparty, jest jak piorun, który nie rozbłysł jeszcze.

Wzrok Słowackiego, w dal gdzieś od rzeczywistości zwrócony, goni jakąś czarodziejską wizyę i w niej się roztapia.

To są wzroki natchnione, wzroki-duchy, pełne najwyższego subjektywizmu, z których pierwszy ma potęgę odśrodkową wybuchu, a drugi potęgę dośrodkową—chłonienia.

Wzrok Mickiewiczowski zapowiada grom-czyn, grom-cud, wzrok Słowackiego — opętanie przez Anioła pieśni. Żaden z nich nie jest wzrokiem badacza i sędziego razem.

Krasiński wszakże nie zadowolił się ani pieśnią, ani cudem. Nie rozporządzał raczej ni pieśnią, ni cudem w tej sile, jak niemi rozporządzali tamci Nieśmiertelni. Danem mu za to było od natury owo potężne, szekspirowskie spojrzenie na sprawy świata, które obejmuje, przenika, ocenia całą wielką widownię „Nieboskiej Komedyi“ walk jego. Od losu zaś, od najcięższego z przeznaczeń, danem mu było stanąć samotnie, zdala od walki tej, zamętu i wrzawy i to było ciężkości tej królewskim okupem.

Bo kto stoi w wirze walki, choćby jak wódz jej i choćby jak jej archanioł, oślepiony warem bitwy, nie może widzieć całego jej przebiegu, całego jej pola. Ale widzi je ten, kto odsunięty od niej, jest świadkiem jej tylko.

Takim świadkiem oddalonym i samotnym, świadkiem nieobojętnym, owszem, rzucającym ostrzegawcze hasła tym, którzy walczyli, jest właśnie Krasiński. Samotny i samotnością tą silny, bo wolny od ciśnienia intellektualnego epoki, przejrzał on daleko poza sprawy najbliższe i poza współczesność, od której żyć musiał w oderwaniu bolesnem. Miał czas szerokiego, badawczego rozejrzenia się w sprawach ludzkości bez tych bezpośrednich wrażeń i pobudzeń, które są czynnikami omamień i błędu.

Wyćwiczony filozoficznie w analizie zjawisk, rozporządzając genialną potęgą twórczej syntezy, nie uląkł się Krasiński powołać przed trybunał swej badawczej myśli najpiękniejsze, najszlachetniejsze sny poetów, utopistów, marzycieli, zważył obietnice szczęścia, jakiemi kołysali świat, a także samych siebie, i przeciwstawił snom tym nieubłaganą logikę życia i ludzkiej natury.

Nie zaufał pieśniom, nie zaufał cudom, ale dotarł aż do ich rdzenia, zatargał wnętrzem i sprawdził ich tragiczną niemoc. Owszem, miał ponurą odwagę pozwać na sąd całą cywilizacyę i obnażyć ohydę jej dna, z pozorów świetności.

Myśliciel i wizyoner potężny, ze straszliwą intuicyą, obaczył, iż zbliża się godzina wielkiego, społecznego dramatu.

Zaostrzył wzrok, przeznał, przeniknął zrywające się do walki światy. Przypatrzył się tłumom i wodzom ich; przypatrzył się koryfeuszom i komparsom; dotarł do najgłębszych pobudzeń namiętności i zobaczył krwawe znamię tych, którzy w imię postępu, braterstwa, równości, poprawy losu mas, ulgi dla proletaryatu i sprawiedliwego podziału bogactw, mszczą się i nasycają własne, drapieżne instynkty.

Przypatrzył się rycerzom bez duszy, zbrojom bez bijącego pod niemi serca, mieczom, które wypadały z rąk walczącym, hasłom rozlegającym się grobowo w pustkach ducha. Przypatrzył się dumie bez siły, przysięgom bez wiary, twierdzom bez obrony. Przypatrzył się — niemocy czynu.

A tak powstała „Nieboska,“ ów „Dramat przyszłości,“ jak ją nazywa Klaczko, ogromna wizya prorocza, wizya naraz psychologiczna, dramatyczna, heroiczna, a tak rozległa, tak dalekonośna, że dziś aktualniejszą jest prawie, niż była przed osiemdziesięciu laty.

Przyznaje Sarrazin niemały wpływ książkom i okolicznościom zewnętrznym na jej powstanie. Pomysł rozwinął się niezawodnie na tle rozczytywania się w Fourrierze, w Ovenie, w Saint Simonie. A i o tem zapominać nie trzeba, że w 1831 r. zaszły w Lyonie krwawe wypadki, których echo odbiło się dość silnie w Genewie.

— Już wtedy, przy najbardziej legalnych żądaniach—mówi— obok istotnego głodu, istotnej nędzy, występowały żądze nizkie, mściwe, zaborcze. Już wtedy chciano raczej rabować, wydzierać, używać, nasycać się, zabijać, niż rewindykować słuszne ludzkie prawa. Nadewszystko wszakże było tu decydującem własne głębokie wejrzenie poety w samą istotę społecznych zagadnień i w samą naturę ich czynników.

Zdumiewa się Sarrazin, że żaden z współczesnych wielkich poetów nie przeczuł tego, co przeczuł Krasiński. Jeden Lamartine może, gdy mówi:

— Wieki przejdą i przeminą nad naszemi grobami, zanim idea równości, wolności znajdzie swój kształt w życiu. Wszystko jednak zwiastować się zdaje, że dojdzie tam kiedyś przez fale krwi i nędzy, a wtedy przekształci się świat.

Więc powziąć zamiar stworzenia dramatu o tak nieprzeczuwanej osnowie, dramatu, którego treścią jest wyjawienie się demokracyi, walczącej o swoje prawa, w nieuniknionem współdzia-

łaniu z potworną karykaturą demagogii, dramatu walki ludzkiego prawa z przywilejem rodu i złota, to było przecież rzeczą niezmiernie nową. Krasiński przeczuł w nim ten straszny ruch chłopski, który Austrya rzuciła na Galicyę; przeczuł wypadki lipcowe, komunę, zrozumiał głos podziemnych grzmotów.

Syn tragicznego narodu i sam pełen tragicznego zmysłu, tragicznej intuicyi, z krwawem szyderstwem spojrzał na wieczną komedyę polityki, pominął ją całkiem i poszedł wprost na wielkie pola dramatu, na grzmiące dnie burzy i wywrotu. Pod czerwonemi błyskami pióra jego, wstali aktorowie straszliwi, wstali tłumnie, groźnie i wśród okrzyków śmierci przeszli przez scenę natchnienia w wizyach przerażających.

A stworzył to genialny poeta w dniach młodości swojej. Wtedy właśnie, kiedy płomień twórczego ducha podsyca się złudzeniami.

Wtedy już zrozumiał, że idea, póty boska i czysta, póki mieszka w mózgu i w sercu poety. Ale jak tylko wpadnie w tłum, w proch powszedniości, natychmiast zbezczeszczoną jest i pokalaną.

Wtedy już pod kątem szekspirowskiego widzenia spojrzał na ludzi i rzeczy. Spojrzenie tragiczne, odsłaniające wieczne przeciwieństwo między ideałem a życiem. Spojrzenie objektywne, chłodne, przenikliwe, zadziwiające w epoce namiętnego liryzmu, liryzmu literackiego, liryzmu socyalnego, kiedy pocci przez pryzmat ideału patrzyli na świat rzeczywisty i—oprócz może jednego Balzaca—nikt nie widział zwierzęcości ludzkiej, która tylko cudem jakimś, cudem podobnym do wybuchu chrystyanizmu, zażegnaną być mogła.

Otóż—słuszną uwagę czyni Sarrazin—że epoka, w której powstała Nieboska, była zgoła nieprzyjazną powstaniu dramatu.

W epoce romantycznej, wszystko jest indywidualne. Każdy duch, to ognisko buchające własnym swym płomieniem. Każdy mózg jest oczadzony jakby własnym entuzyazmem i własnem marzeniem. Nikt nie ogarnia wzrokiem ludzkości całej. Cud wstępuje w szranki życia, jako czynnik pierwszorzędnej wagi; rzeczywistość usuwa się, wyparta z nich gwałtownie, a cała atmosfera myślenia i czucia sprzeciwia się jaknajmocniej istocie dramatu, który powstać może tylko z syntetycznego spojrzenia na świat.

Nietylko więc przez wyjątkowe położenie swoje, ale i z natury umysłowości i twórczości jest Krasiński w epoce swojej wielkim samotnikiem. Jest samotnikiem czuwającym na wysokiej strażnicy ducha, wpatrzonym w tragiczne falowanie życia i ostrzega-

jącym uśpionych, że morze wzbiera, że wały swe toczy, że za chwilę śmiertelnym gwałtem o brzegi uderzy.

Wszakże Irydion jest także takim ostrzegawczym krzykiem.

— Irydion—mówi Sarrazin—to zagłębienie się poety w ducha Polski i słowo nauki dla Polaków. Zapuścił Krasiński w tragiczne losy narodów myśl, jak stal zimną i zdjął go dreszcz.

— Oto dzieło, które przyszło w porę!—powiada o Irydionie Klaczko i tak powiedzenie to uzasadnia:

— Rozbiór Polski stworzył położenie osobliwe, całkiem po za naturalnemi warunkami życia i rozwoju ludów istniejące. Położenie w najwyższym stopniu napięte, gorączkowe, które podkopywało w wielu względach etykę narodu i wprost groziło zwyrodnieniem pojęcia sprawiedliwości i prawa. Jakoż, panowanie obce może się stać dla podbitego narodu fatalnem nietylko przez to, do czego samo względem zwyciężonych uprawnionem się czuje, ale, i to w pierwszej linii, przez to, do czego się zwyciężeni uprawnionymi czują względem niego.

I to był ów dreszcz szlachetny, w którym został poczęty Irydion.

Szczęśliwą myśl miał Sarrazin, że zamiast streszczać „Nieboską“ i „Irydiona“ sam, przytoczył listy Krasińskiego w materyi tej do Henryka Reeve pisane. Dało to studyum temu parę kart niezwykłej piękności i siły. Każde słowo godzi tu w cel, każde jest ruchem i obrazem. Każde też nosi ogniste piętno pióra rozgorzałego jeszcze od twórczego pędu. Mniejsza już, że te dwa naszkicowane przez Krasińskiego skróty dają doskonałe wyobrażenie o dziełach samych, o ich linii, o ich górujących punktach, o ich duchu, ale pokazują nam one, jakby sam akt twórczości wielkiego poety. Ten żar, ta precyzya malarska języka, te słowa mocne, szybkie, z jakąś niezawodnością ciskane, ta gra przedmiotu pod ręką, pod dotknięciem myśli, ta umiejętność pokazania odrazu całości, ta podniecona i podniecająca wymowa są niezmiernie interesującym dokumentem, w jaki sposób ten mózg genialny tworzył i pracował.

Wielka za to krzywda stała się „Niedokończonemu poematowi,“ którego treść dantejską Sarrazin interpretuje sam. Bo właśnie owych górujących punktów nie umie on w nim znaleźć i pokazać. Coś formalnego, coś kancelaryjnego jest w tem co mówi, posługując się słowem bezbarwnem i ociężałem, które dowodzi, jak bardzo nasz essesista traci na fantazyi, gdy mu dobrego przewodnika braknie.

Bo jeśli jest gdzie „spodlenie wszystkiego“ i wyrok grzmiący na okopy swiętej Trójcy ze wzgardą rzucony, to tam, na tej strasznej giełdzie krwi żywej.

I jeśli jest gdzie zaprzedanie, zdeptanie ciał i dusz ludzkich, to także tam.

Tam niema jeszcze Leonarda ani Pankracego. Niema koryfeuszów i komparsów. Niema chóru rzeźników i chóru lokajów, tam niema motłochu.

Tam jest tłum pokrzywdzony, w nędzy swej zaparty. Tam jest głód, tam jest pot krwawej, nieżywiącej pracy, tam są ciemności podziemia, tam jest wołanie miliona głosów o pomstę do nieba.

Tam też wybucha ta niepokalana jeszcze idea, zanim padła w proch i w błoto ziemi. I tam tkwią potężne merita sprawy, która się rozegrała w ostatniej instancyi — w „Nieboskiej.“

Tam... O tem wszakże trudno jest tu mówić.

Ale i „Sen“ szczęśliwszym nie był na tych kartach. Sarrazin ma dziwny dar powlekania kolorem szarzyzny wszystkich tych rzeczy, w które mu wniknąć trudno. Jakiś styl leniwy, zamglony, jakieś zatarte kontury pojęć, jakieś wypłowiałe wyrazy, jakaś bladość ekspresyi składa się na to wrażenie szarzyzny. A przecież niczem ona innem nie jest, jak tylko brakiem oryentowania się w zbyt wysokiej dla krytyka sferze myśli.

Mistycyzm? Zapewne. Ale przecież są duchy, które tam żyły, żyją i żyć będą. To już nie jest kraina tak całkiem nieznana, żebyśmy, wymówiwszy jej nazwę, mieli prawo sądzić, jako wszystko o niej powiedzianem zostało, co do powiedzenia było. Mistycyzm—to za dni naszych prawie że szósta część świata.

Tam wcale nie jest tak mglisto, jak się to komu zdawać może. Tam są światła. Wielkie, wieczne światła.

Więc że—mistycyzm—to jeszcze nic. To ogólnik tylko. Bo każdy duch ma swój osobny, swój indywidualny mistycyzm. I to są właśnie te „złote schody,“ na których dusze harfiane stoją tam, gdzie wznieść się miały siłę.

Więc choćby Sarrazin tyle tylko rzekł, iż mistycyzm Krasińskiego jest historyozoficznym, jużby czytelnicy wiedzieli, że im gdzieś ku szczytom owych złotych schodów oczy trzeba wznieść, żeby tam poetę zadumanego nad losem ziemi zobaczyć.

Sarrazin jednak mówi nam, że go tam spostrzega. Że go spostrzega z harfą psalmisty w ręku.

Niezawodnie, że to jest harfa psalmisty. Ale jakże się myli co do jej tonu, co do jej brzmienia, gdy jej wielkie, szerokie

psalmodye modlitwą tylko zowie, tylko Dawidzką pieśnią skruchy, uwielbienia!

Na Boga — nie!

Na harfie tej jest struna, której Dawid nie miał na swojej, której mieć nie potrzebował w osobistej ze Stwórcą sprawie i rozprawie!

Ale—gdyby pomyśleć, że Izajasz, tak jak chadzał, w żrącej mu ciało włośnicy, powrozem po lędźwiach pasany, z czołem odkrytem na upalenie dnia i na żar gniewów Jehowy — gdyby tak pomyśleć, że Izajasz, zamiast proroczyć gromem słowa, harfę taką wziął i na niej miał pieśnią proroczyć,—tę właśnie, tę jedyną, tę łkającą nie za siebie strunę targałby, aż do jej zerwania.

... O Sion!... Sion!...

*

* *

Zamykam książkę.

Kto to mówił do nas?

Ha, jeśli chcemy być z sobą na czysto, to jasno trzeba nam powiedzieć, że mówił tu do nas Klaczko, Maryan Zdziechowski, Tretiak, Małecki, Władysław Kozłowski, Michelet i jeszcze inni.

Ale Krasiński? Ale Mickiewicz? Ale Słowacki?

Krasiński — tak. Słyszeliśmy żywy głos jego, gdy do przyjaciela przemawiał. Wprost do nas wszakże, tak jak poeta do duszy narodu swego przemawia, tak żywo i bezpośrednio, nie mówił tu do nas.

Nie mówił też Mickiewicz, nie mówił Słowacki. Mówili za nich tłómacze. Słyszeliśmy głos syna poety-barda, słyszeliśmy głos Gasztowta, Lacaussade'a, Gaszyńskiego. Ani ich proza wszakże, ani wiersze nie miały dla uszu naszych, dla serc naszych tego bicia orłowych i słowiczych skrzydeł, tego boskiego rytmu nieśmiertelnej pieśni, którą tylko ojczysta mowa wydać może.

Prawda jest! Książka była nie dla nas pisana. Prawda, i z przekładów tych uderzy w cudzoziemca błysk i grom twórczego ducha Polski. Z tem liczyć się trzeba.

Ale Sarrazin? Co mówił Sarrazin sam?

Sarrazin wymalował nam kipiące życiem tło czasów, ludzi i wypadków. Dał obrazowi ramę szeroką, bogatą. Gdy jednak

na tle tem wystąpiły duchy-bardy, duchy-wieszcze i prorockie nasze, sam był oczarowany, porwany i razem z nami słuchał, co przewodnicy jego mieli do powiedzenia o nich.

Prawda! On jeszcze mówi tak:

... O Francyo północy, o nieszczęsna siostro! O Polsko, ziemio bohaterów! Nie umarłaś ty i nie umrzesz, bo umrzeć nie chcesz! Dzień przyjdzie, kiedy ukażesz się w przemienieniu swojem, jako cię widywali natchnieni Bardowie twoi. Kiedy się ukażesz płomieniąca od żaru nadziei tej co cię nieśmiertelną trzyma. O Polsko!...

To mówi Sarrazin.

Więc jakże my to przyjąć, jak wysłuchać mamy?

Ha, może tak, jak owej zimy zeszłorocznej w Paryżu, kiedy w natłoczonej ludem, wrzącej od zapału, burzliwej od oklasków sali, z trybuny, którą otaczały wyniosłe, znaczone sławą głowy, podniósł się Anatol France i zawołał:

„Niech żyje Polska!“

A my, garść wędrowców, zgubiona w tym tłumie powstali z miejsc naszych we łzach, pobladli, wzruszeni...

Marya Konopnicka.

Pod znakiem tymczasowości.

Prowizoryum trwa w teatrach warszawskich, wzorując się na tymczasowości, trzymającej całe państwo w stanie drażniącego wyczekiwania. Municypalność odegrała w stosunku do naszej sceny rolę petersburskiej Dumy, sformułowawszy cały szereg liberalnych postulatów, z samorządnym ustrojem na czele; a tymczasem wszystko dzieje się po dawnemu; anarchia urzędnicza dokonywa swego dzieła rozkładu, wciskając się naturalnie i do stosunków artystycznych, ku czemu zresztą miała tam grunt oddawna przygotowany. Wypielęgnowały ją długoletnie rządy aktorskie, nie liczące się z niczem, prócz osobistych fantazyj, interesów korporacyjnych, indywidualnej prywaty—i dziś na gruzach rozpadającej się instytucyi odbywa się formalna licytacya owych aktorskich „ideałów.“ Mógłby ktoś, kto przysłuchywał się płomiennym tyradom, wygłoszonym przed rokiem na słynnym wiecu teatralnym, wnosić, że to będzie licytacya *in minus*, że trybuni ówcześni prześcigać się dziś będą w obniżaniu swych wymagań, byle tylko wzmocnić zachwiane fundamenty sceny polskiej, na której zdobyli uznanie i dobrobyt. Co za złudzenie! To formalny przetarg *in plus* na najlepsze warunki dezercyi do innych teatrów; to, w chwili wstrząśnienia finansowego, stawianie w operze śmiesznie fantastycznych żądań, a w dramacie spekulacya na zakordonowe współzawodnictwo; słowem,—w dobie, kiedy niema w kraju warstwy społecznej, stanu, zawodu, niema prawie jednostki, któraby nie poniosła jakiejś ofiary — to nietylko obawa, żeby czegoś nie stracić, ale próby czyby coś nie dało się na tem zarobić.

Powiadają, że wszystkiemu winna fatalna tymczasowość, szerząca od góry biurokratyczną demoralizacyę. Zapewne. Wiemy aż nadto dobrze, kto doprowadził nasze teatry nad brzeg przepa-

ści materyalnej, kto scenę warszawską, pierwszą niegdyś w Polsce, zepchnął na szary koniec. Ale wiemy i to także, że nieznośne warunki stanu przejściowego ciężą nad całym krajem, który jednak z potężniejszą niż kiedykolwiek energią odtrąca od siebie hasło *ubi bene ibi patria*. Czyżby u nas teatr jeden miał je sobie przyswoić jako ideę przewodnią?

I.

Prowizoryum trwa. Czuć to, widać, nietylko w administracyi teatralnej ale i w falowaniu linii kierowniczej repertuaru. Usprawiedliwia je poniekąd czynnik tymczasowości, który cechuje dziś nawet psychologię widza. W duszy publiczności, chłonącej różne opary ze sfermentowanego do głębi środowiska, kłócą się najsprzeczniejsze pierwiastki. Porwana aspiracyami narodowemi, śpieszy gorączkowo do krainy historyi, gdzie dotąd, jako straż pograniczna, czuwała cenzura, sprawdzając podejrzliwie paszporty prawomyślności i przetrząsając zawzięcie bagaż idei, uczuć, pragnień i marzeń; to znów dusza owa pociągnięta „ruchem wolnościowym,“ dobaduje się wszędzie motywów społecznych; na poezyę patrzy naprzemian pod kątem politycznym albo socyalnym: w „Nowej Dejanirze“ Słowackiego dziwi ją Czerkies; w „Esterce“ Kozłowskiego zajmuje się „kwestyą żydowską;“ a miłość, wybuchająca z żywiołową siłą w „Młodości“ Halbego, jest dla niej przedewszystkiem ponętną formą rewolucyi, która druzgocze wszystkie na swej drodze przeszkody i dokonywa „przewartościowania“ pojęć etycznych. I tak, szukając sama siebie w życiu, pragnęłaby odnaleźć się bodaj na chwilę w teatrze — a reżyser ma sobie nad tem głowę łamać jakim sposobem stałby się to powinno.

Że zadanie jego nie będzie łatwem, na to już w swoim czasie zwracałem tu uwagę; dziś stwierdzić trzeba, że jest ono trudniejszem niż kiedykolwiek. Patryotyzmu używać za przynętę nie zechce żaden sumienny kierownik ani rzetelny artysta — zresztą po pierwszem upojeniu i na tę atrakcyę z poprzednią pewnością liczyć nie można; inna zaś — musi po dawnemu odbywać kwarantannę w cenzurze, która naprzykład z „Balladyną“ i z „Lillą Wenedą“ dotychczas rozstać się nie może. A kiedy się rozstanie, kiedy arcydzieła Słowackiego ukażą się na scenie, kto wie, jaki je los spotka? Nie znam publiczności tak nieobliczalnej, jak warszawska; nie znam tak nawskroś zdenerwowanej, jak ta, z któ-

rą ma doczynienia dzisiejsze kierownictwo teatralne. Cudowna jest zapewne moc wielkiej poezyi; ale czy tej mocy dorówna w natężeniu wrażliwość teraźniejszego widza, przytępiana systematycznie brutalstwem bieżących wypadków! Najwznioślejszy tragizm musi dziś walczyć na deskach teatralnych z sytuacyami ulicznego dramatu; najwytworniejszy komizm musi mierzyć się z cynicznym śmiechem zaułkowej literatury; widz przychodzi do teatru przesycony krwawemi widowiskami, z któremi spotykał się w ciągu dnia, przepojony żółcią nienawiści, którą mu naokoło podawano na ugaszenie gorączkowego, chorobliwie rozwiniętego pragnienia wrażeń. I z takim widzem liczyć się trzeba, takiego widza zainteresować czemś wypada. Ale czem? Przed trzema miesiącami zdawało się, że ukojony, swobodniej oddycha w atmosferze pogody, otaczającej „Candidę.“ Lecz w dobie, jaką teraz przeżywamy, nietylko „umarli prędko jadą“ — pędzą za nimi i żywi w galopie tak szalonym, że mknie przed nimi szereg dni, tygodni, miesięcy, jak jedno mgnienie oka. Więc gdy zostawili daleko poza sobą pastorską siedzibę, chodziło o to, gdzie ich znów na odpoczynek zatrzymać. Taki etap repertuarowy mógł być oczywiście tylko przygodnym, bo jak tu myśleć o planach na dalekie mety w teatrze, który nie wie czy jutro istnieć będzie i w jakich znajdzie się warunkach dalszej egzystencyi? Okres fermentu nie może być okresem krystalizacyi zarówno dla repertuaru, jak dla duszy publiczności, szukającej odbicia własnych kształtów, własnej fizyognomii w skrystalizowanych ideałach literatury i sztuki. Wszystko tedy odbywa się po omacku, w jakichś przedświtowych mrokach; i jeżeli w tych ciemnościach, zawzięcie podtrzymywanych przez biurokracyę, która najwęższe szczeliny zasłania przed wdarciem się jutrzenki, dusza widza spotka się z lepszą kierowniczą intencyą, to trzeba ten przypadek skwapliwie zanotować, jako istotną zasługę reżyseryi.

Trwa tymczasem prowizoryum—i jedynie na tem tle można dziś oceniać objawy życia repertuarowego. A życie to miewa czasem szczególne zwroty: oto z plebanii protestanckiej w Anglii zaprowadziło nas prosto do plebanii katolickiej w Prusiech Wschodnich. I tu pogoda dnia majowego rozlewa radosną jasność; i tu zapachy łąk, pól, sadów obezwładniają myśli i uczucia rozkosznem upojeniem; i tu natura uśmiecha się do człowieka z wyrozumieniem matki, nieuznającej grzechu dziecka w posłuszeństwie jej rozkazom. Tylko inaczej tu wyrósł człowiek i grzech jego inaczej wygląda. Kultura różni ludzi, rzeczy, wypadki, uczucia i namiętności. Kiedy romantyczny lord-poeta bez ceremonii oznajmia

pastorowi, że kocha jego żonę; kiedy Candida z całą prostotą oświadcza mężowi, że tylko miłość dla niego powstrzymuje ją od oddania się całkowicie zakochanemu w niej marzycielowi, szczerość obojga jest owocem tej wyrafinowanej dojrzałości stosunków ludzkich, wśród których każdy ocenia mądrze i wartość moralną czynu, jaki gotów byłby spełnić i doniosłość jego następstw dla siebie i dla innych. To też szczerość nie przekracza tam granic dysputy akademickiej, ludzie pozostawiają przedziwne wrażenie dusz spokojnie świadomych swej siły i czyn żaden nie przychodzi do skutku. Wybucha natomiast katastrofa w środowisku, gdzie szczerość ma bezpośredni, samorzutny rozpęd mocy żywiołowej, gdzie musi wydostać się na zewnątrz w zwycięstwie instynktu, który jest pączkiem młodości na drzewie kultury. „Młodością“ też słusznie nazwał Max Halbe swój dramat.

Kipi ta młodość lawą, szukającą sobie ujścia u studenta w miłości dla siostrzenicy proboszcza; i wre żądzą nawpół zwierzęcą w biednym idyocie, przyrodnim bracie dziewczęcia; i goreje tajonym ogniem w wikarym plebana, popychającym dziewczynę z samolubstwem namiętności do klasztoru, byleby w żadne nie padła objęcia — i ją samą, rozmiłowaną w studencie aż do zapomnienia, miażdży w tym troistym splocie miłosnym. Z promieni słonecznych i woni kwiecia utkana, przepojona miękkiem, ciepłem tchnieniem burzy wiosennej, tęskni i pieści, przekomarza się i dąsa, całuje i drży, boi się i pożąda, odbiera się i oddaje z ciałem i z duszą ta pierwsza, gorąca, niewinna a świadoma winy miłość. Stary, dobroduszny, pogodny proboszcz Hoppe; fanatyczny, nieubłagany w swym ascetyzmie, wikary; uległa, słodka bezwiedną zmysłowością Anusia; zazdrosny i podstępnie złośliwy kretyn Amandus, a przedewszystkiem student Janek, ten embryon współczesnego nastrojowca, którego samowiedza i rozwaga, na pokaz ciągle przez młodość wystawiana tak doskonałym uderzają kontrastem psychologicznym z ognistą niefrasobliwością zalotów i z późniejszą bezradnością a samolubną trwogą kochanka; cała ta plebania, cała ta atmosfera wiosny, gdzie miłość dwóch młodych serc, jak kwiat pośpiesznie rozwinięty, ginie, spalona żarem skwarnego południa, — wszystko daje widzowi wrażenie, że przemówił do niego poeta, że mu powiedział to, co miał najlepszego i najpiękniejszego do wypowiedzenia.

Tragedya „młodości“ odegrała się dla Halbego nietylko na scenie; musiał na nią patrzeć i we własnem życiu, kiedy twórczość poety napróżno usiłowała wzbić się ponad ciasny światek owej idylicznej plebanii. Do nastroju sielanki, do obcowania z mało-

miejskim lub napółwiejskim ludkiem tchu jej jeszcze starczyło; ale padała bezsilna w każdym wzlocie ku „dramatowi wyżyn," gdzie z powikłań krzyżujących się instynktów, trzeba było snuć jakiś ideowy wątek. Ucierpiało na tem i cierpi, dziś zwłaszcza, najszczersze dzieło Halbego; patrzy się na tę „Młodość" pod wrażeniem późniejszych jej omdlewań. U nas, do tych wrażeń, o ile ich kto doświadczał, czytając inne utwory autora „Matki ziemi," przybywa jeszcze jakaś niedociągnięta, niedoczuta gra artystów. Inaczej to wyglądało przed kilku laty w secesyjnym teatrze „Münchener Schauspielhaus." Wszystko tam, przy ulicy Neuturmstrasse Nr. 1, występowało pod hasłem „młodości:" począwszy od sąsiadującej z teatrem modernistycznie przystrojonej kawiarni; od widowni i sceny, umieszczonych w tymczasowym widocznie lokalu na drugiem piętrze, w zwykłej kwadratowej sali, zastawionej zwykłemi fotelami i krzesłami — aż do aktorów, którym nie wystarczały ani wysłodzone à la Fulda illustracye młodości w rodzaju „Jugendfreunde," ani kopiowane gdzieindziej przez schyłkowców secesyi gobelinowe obrazy starej młodości Maeterlincka z całą swoją pozą zrobionej, prerafaelickiej naiwności. Świetny kwartet artystyczny: Centa Bré, Fryderyk Krampert, Emil Linda i August Weigert, rwał się do takich żywych malowideł o gorących barwach, jak „Jugend" Halbego, — a tyle było w tym zespole młodej, porywającej szczérości, że pragnęłoby się wszędzie, ach wszędzie! z taką spotkać secesyą. Na naszej scenie stało na wysokości zadania tylko dwoje najszczerszych artystów: Frenkiel, nieoceniony jako proboszcz w swej prostocie, pogodzie, wśród której jednak piorun z jasnego nieba uderza z wielką dramatyczną siłą, i pani Tekla Trapszo, w roli Anusi, jak zawsze pełna smętnego wdzięku, który poezyą opromienia każdą kreacyę artystki. Nie trafił tym razem do publiczności pan Roland — zwykła jego szczerość miała w sobie coś sztucznego, zrobionego. Pan Nowicki, przedstawiając wikarego-ascetę, umiał być tylko szorstkim, nie uwydatniwszy przekonywająco ani fanatycznego nastroju, ani tłumionych erotycznych porywów; p. Wostrowski akcentował w postaci Amandusa jedynie zewnętrzne cechy kretynizmu. W utworze, odpowiadającym charakterem swoim „muzyce pokojowej," najważniejsze głosy nie zestroiły się harmonijnie; nuta „młodości" nie wszędzie czysto w nim dźwięczała.

II.

Historya literatury europejskiej XIX wieku jednego dotąd znała „poetę bezimiennego“ — był nim Zygmunt Krasiński; cenzura dla Warszawy stworzyła drugiego — Juliusza Słowackiego. Przez lat kilkadziesiąt zwał się J. S., a towarzyszył mu na scenie *incognito*, jako „książe,“ król Jan Kazimierz. I rzecz dziwna, gdy przyszło nareszcie do uregulowania aktu stanu cywilnego poety, kiedy mu przywrócono nazwisko, wypuszczony został z więzienia na deski teatralne pod eskortą... Majora. Zamiast harfy Derwidowej, zamiast korony Popiela... szlify oficera Mikołajewskiego! Doprawdy, trudno oprzeć się kuszącej myśli, że się to stało nie bez pewnej, oficyalnej intencyi. Ale zwalczmy tę pokusę, zaznaczmy raczej, że gdyby nawet taka intencya istniała — chybiła celu w zupełności. Ów Czerkies, odbierający sobie po bohatersku życie w otoczeniu „Niepoprawnych,“ kończący melodramatem komedyę „Nowej Dejaniry,“ zadziwił tylko, jak to już poprzednio zaznaczyłem. Skończyło się jednak na zdziwieniu, które nieraz jeszcze zaskoczyć może dzisiejszego widza, odsuniętego w sztuce przez długi czas od obcowania z pewnymi, gnębiącymi go w życiu upiorami. Widocznie jednak to niespodziane wrażenie nie stanęło na przeszkodzie wyrabianiu się „bezinteresownego uwielbienia formy artystycznej,“ którego brak w naszej kulturze literackiej zaznaczył p. Lorentowicz, konferując z publicznością o Słowackim, przed przedstawieniem jego utworu — skoro „Nowa Dejanira“ miała istotne, rzetelne powodzenie. Sukces zaś tem był znamienniejszym, że chwila doprawdy nie sprzyjała ocenianiu czynów tego rodzaju bohaterów ze stanowiska czysto artystycznego. I to właśnie, że się publiczność przezwyciężyła, że się okazała wyższą nad ów „moment psychologiczny,“ zwiastuje może dojrzewanie w niej zmysłu, o który prelegentowi tak bardzo i tak słusznie chodzi. Pan Lorentowicz scharakteryzował zresztą bystro i trafnie, stosunek narodu polskiego do poetów polskich z doby romantyzmu: „Czciliśmy poetów jako proroków, jako wyobrazicieli pragnień i dążeń społecznych narodu, jako nauczycieli i wodzów. Pomiędzy nimi a społeczeństwem utworzył się i na długie lata utrwalił szczególny, mistyczny związek; naród czerpał z poetów-bardów najistotniejszą karm duchową, szukał w nich najpewniejszej zbroi do walki o czystość ideałów...“ „czcił w poezyi i na piedestał wznosił własne instynkty samoza-

chowawcze...“ „Kultura nasza, wciąż rwana i szarpana przez klęski i wstrząśnienia polityczne, wymagała od pisarza-artysty takiego gatunku talentu, jaki był jej potrzebny w wysiłku nieustannego skupiania rozpraszanych przemocą atomów. Tragedya życia Słowackiego na tem właśnie polega, że natura wyposażyła go w czary, jakich nikt nigdy nie miał, ale nie zbudowała mu ramienia, które mogło wojować mieczem czynu.“ Stąd jakoby „głębokie wśród nas wszystkich nieporozumienie“ — stąd, mówiąc wyraźniej, niedocenienie Słowackiego przez poprzednie pokolenia.

Czy tak było istotnie? Czy tu nie zachodzi raczej nowe „nieporozumienie“ wytworzone przez młodszą generacyę, która zająwszy względem Słowackiego odmienne stanowisko wyprowadza z tego faktu dwa niedość uzasadnione wnioski: że dawne stanowisko było niższem i że obecne jest wyższem, a nie chce zwrócić uwagi na okoliczność: że do nowego kryteryum wcisnęły się motywy zależne od przemijających, może bardzo krótkotrwałych prądów? Czy zatem dzisiejsze poglądy na twórczość wielkiego poety dają istotną rękojmię owej *bezinteresowności* w „uwielbianiu formy artystycznej?“

Nie samą formę zresztą ogarniają te poglądy. Gdyby tak było, nie różniłyby się między sobą pokolenia wielbicielów Słowackiego. „Epoka żądała haseł i pobudek — mówi prelegent o minionej dobie — a on ją czarował.“ Więc ją czarował; jeżeli zaś czarował, nie odpowiadając na owe hasła i pobudki, to oczywiście panował nad nią czarodziejstwem formy. Ale genialny malarz „Szwajcaryi“ jest też twórcą „Króla-Ducha;“ a „Król-Duch“ to nietylko „wieniec obłoków płomiących apokaliptycznemi barwami w promieniach zachodzącego słońca i za lada powiewem zmieniających przezroczyste kształty;“ to w poetyckiem założeniu twórcy „symboliczna, subjektywna synteza dziejów narodu polskiego.“ Tu już z przepastnych głębin treści wynurza się dusza poety i wzlata na takie zawrotne wyżyny, których, gdybyśmy wierzyć mieli dzisiejszym apologetom, nie dosięgnął żaden z największych poetów polskich. Nie wierzymy — i jest sporo takich, którzy, wielbiąc Słowackiego — nie wierzą również. Że zaś wiara z jednej a niewiara z drugiej nic nie rozstrzyga, więc też sprawa zostaje i na długo zapewne zostanie jeszcze otwartą. I nie dla rozstrzygnięcia podniosłem ją na tem miejscu; chodziło mi poprostu o zaznaczenie na jakim gruncie stanął p. Lorentowicz w swej konferencyi, która w bardzo umiejętnej i wytwornej formie w pełnem blasków oświetleniu przedstawiwszy twórczość poety, przygotowała zasadniczy ton nastroju, potrzebnego do przyjęcia wrażeń,

jakie wywrzeć miało na publiczność przedstawienie „Nowej Dejaniry.“

Zadanie nie było łatwem, bo w tym nastroju różne nuty odzywać się muszą; nawet komiczna. Przedewszystkiem komiczna. Wiadomo przecież, że z pomysłu „Nowej Dejaniry“ zamierzał Słowacki wysnuć komedyę. I komizm usiłuje śmiać się do nas romantycznym grymasem hrabiny Respektowej, zrównoważoną humorystyką szlachcica Rzecznickiego, koszarową wesołością starego majora. A odpowiedzieć na ten śmiech trudno. Coś paraliżuje usta, coś za krtań chwyta. Jakaś niedostrzegalna chmurka przemknęła między widzem a tym promykiem wesela; chmurka przezroczysta, która nie przesłania zupełnie komicznych postaci, ale fantastycznie zmienia rozkład świateł i cieni, przekształcając w oka mgnieniu fizyognomie bohaterów tak, że śmiech szuka coraz nowych punktów oparcia i nim je znajdzie, już komizm gdzieś daleko uleciał.

Czem jest ta chmurka? Czy skondensowanym smutkiem poety, szybującym gdzieś na wysokościach, nad szczytami życiowemi, czy gniewem satyryka unoszącym się oparami z nizin nędzy moralnej? Jest w niej jedno i drugie; że zaś nigdy niewiadomo kiedy przejdzie jedno a przyjdzie drugie, więc śmiech gotowy już do wyfrunięcia, gnieździ się w kątach ust wyczekująco. I nic nie pomoże cała „komedya pomyłek“ zaimprowizowana przez dobrodusznego majora, który w mniemaniu, że wyświadczy przysługę swoim przyjaciołom Respektom, każe ordynansowi porwać hrabinę Idalię, bałamucącą im przyszłego zięcia; nic nie pomoże pocieszne *qui pro quo*, narzucające rolę „Nowej Dejaniry“ pani Rzecznickiej zamiast Idalii; śmiech boi się odezwać wśród tych ludzi, na których spoczął wzrok poety; boi się tembardziej, że musiałby dotknąć takie dwie dusze, jak hrabina Idalia i hrabia Fantazy.

Żąda tego wprawdzie Słowacki, ale jakże delikatnie, subtelnie, z jakiem poczuciem artyzmu musi być spełnione to żądanie, żeby dyskrecya widza odpowiedziała tej wytworności ironii, tej finezyi dowcipu, temu wykwintowi sentymentu i wszystkim nieuchwytnym cieniowaniom linij i barw, jakiemi mienią się te dwie niezrównane kreacye. Popatrzmy na nie, gdy snują się w noc księżycową po wiejskim cmentarzu. Na tle grobowców i pomników wyglądają jak mary powracające do nas ze świata zamarłych oddawna myśli, uczuć, pragnień, ideałów. Cienie pokutującego romantyzmu mają w sobie coś tak rozwiewnego, że za najlżejszem tchnieniem życia, wyrzuconem z rozśmianej dzisiejszej piersi, powinnyby rozpłynąć się bez śladu. Ale oto przemówiły;

cudowne słowa z ust widmowych brzmią dziwnie dźwięcznym metalem; i za mgłą prześwietloną srebrem miesiąca, błyszczą zakrzepnięte w spiżu kształty; i gdzie widzieliśmy mary, cienie, stoją przed nami posągowe figury. Tarnowski postawił je „na grobie skończonej, zamkniętej epoki, na grobie romantyczności byronizującej.“ Tam zapewne stoją dla nas, kiedy zwiedzamy ten cmentarz dziejowy, który zwie się „historyą literatury;“ ale czy takie im miejsce przeznaczał poeta, rzeźbiąc mistrzowskiem dłutem obie postacie w materyale współczesnej doby; czy dla niego mogła być zamkniętą, do grobu złożoną, byronizująca romantyczność? Od odpowiedzi na to pytanie zależy i stosunek Słowackiego do Fantazego i Idalii, i stosunek dzisiejszej publiczności do tej pary romantycznych kochanków i wreszcie oddźwięk, jaki wśród widzów wywołać może śmiech poety.

Oddźwięk musiałby być słaby, gdyby całkowity komizm tych dwóch postaci miał się opierać, jak to zapewne zamierzył Słowacki, na wspólnym Fantazemu i Idalii i bez zaprzeczenia najwydatniejszym rysie ich fizyognomii — na egzaltacyi. Wątpliwy to motyw do śmiechu, gdy na ten temat ironizuje—poeta; wątpliwszy u Słowackiego, u którego egzaltacya jest jedną z twórczych potęg. W jednym wypadku śmiaćby się można razem ze Słowackim wobec Idalii i Fantazego: gdyby nam ich pokazał egzaltujących na zimno. Ale tu właśnie trudność oryentowania się w psychologii zarówno bohaterów, jak ich twórcy. Cokolwiek jest szlachetnego w tych arystokratycznych naturach, wzięło początek z egzaltacyi, oskrzydlającej duszę samego poety. Cześć dla nieskalanych uczuć, dla wzniosłych idei, pogarda dla pospolitości, kult piękna, wszystko to ze swoich skarbów wydzielił Słowacki Fantazemu i Idalii, przetopiwszy na czyste złoto w ogniu własnej egzaltacyi. Gdzie tu punkt ostudzenia tego ognia aż do stopnia, od którego zaczyna się „egzaltacya na zimno?“ Gdzie ten kąt akustyczny, z którego piękne słowa brzmią tylko jak słowa? Gdzie ów kąt optyczny, skąd wytworne giesty sprawiają wrażenie pozy? Gdzie wreszcie da się uchwycić taki moment, kiedy błędni rycerze romantyzmu „wmawiają w siebie“ jego idealne aspiracye, zwłaszcza, gdy się o tem pamięta, że „wmawianie w siebie“ pewnych stanów,—autosuggestya—jest może zasadniczą siłą twórczości poetyckiej. Zawiele tu wątpliwości opanowywa odrazu widza, żeby mógł zająć wyraźne, zdecydowane stanowisko względem tych przepięknych zjawisk, którym na imię Idalia i Fantazy; zawiele Słowackiego jest w Fantazym a nawet w Idalii (Brückner z przedziwną trafnością zaznaczył „kobiecość“ podmio-

towej, kapryśnej i fantastycznej jego muzy), ażeby publiczność nie brała w tych dwóch typach więcej rysów na seryo, aniżeli życzył sobie może sam poeta. Jest więc wstrzemięźliwą i dobrze na tem wychodzi, bo z całą swobodą poddaje się czarom poezyi, której uśmiech działa, jak owe iskry świetlne, rozpalające w brylantach tęczobarwne ognie. W tych migotliwych kolorach Idalia i Fantazy są przedewszystkiem tak piękni, że otaczający ich światek zdaje się przygasać, choć świecą w nim takie gwiazdki, jak Dyanna Respektówna, cudnie nakazująca respekt zbałamuconemu podbojami arystokracie; choć tam żarzą się takie uczucia, jak miłość wygnańca Jana dla sybirskiej towarzyszki banicyi. W tytule dramatu „Niepoprawni," uznanym, słusznie zresztą, za nieodpowiedni, jest jednak odrobinka prawdy; tylko ta okruszyna stosuje się nie do bohaterów Słowackiego, lecz do tej, niestopniałej jeszcze garstki widzów, którzy nie umieją dopatrzyć nic śmiesznego w romantyzmie, nawet wtedy, gdy poeta radby przesadną romantyczność w komicznem przedstawić świetle. Ale za takich „niepoprawnych" odpowiadać mogą tylko wielcy romantycy; za swoich musi wziąć na siebie winę Słowacki: nie potrafił w nich wmówić, że „Nowa Dejanira" jest komedyą.

Nie potrafił tak dalece, że nie wierzą w to i aktorzy, przedstawiający jego utwór w teatrze: porwani wielkim wzlotem poezyi, tracą z pod stóp ziemię i nędzne życia powszedniego małostki. Nie było i niema na scenach polskich takiej Idalii, ani takiego Fantazego, o jakich może marzył Słowacki, jeżeli wogóle, tworząc, marzył o teatrze i aktorach. Wszędzie i zawsze wcielając te dwie postacie, artyści narażają się na zarzut, że je „tworzą zbyt na seryo." Widzieliśmy, określając stosunek publiczności do bohaterów Słowackiego, jak trudno ten zarzut uzasadnić w jakiejś pozytywnej charakterystyce, a trudności te wzmagają się jeszcze dla aktora, który w akcie odtwórczym potrzebuje właśnie oprzeć się na takiej pozytywnej charakterystyce. To też nie wymagajmy pod tym względem więcej od artysty niż sami daćbyśmy mogli; a jeżeli trafimy na takiego, jak pan Śliwicki, u którego owo „wzięcie zbyt seryo" wyraża się w gorącem odczuciu poetycznych piękności przedstawianej postaci, przyklaśnijmy bez pedanteryi takiemu traktowaniu Fantazego. Pragnąłbym tę samą miarę zastosować do gry pani Siennickiej, ale artystka sama uniemożliwiła ocenę z tego stanowiska, zacierając właśnie owe piękności w postaci Idalii przesadą najniefortunniejszą, bo mimowiedną, a stosowaną w przekonaniu, że się przemawia patosem wielkiej poezyi. Pani Siennicka poprostu niezrozu-

miała typu i wypaczywszy dziwacznie jego psychologię, zrobiła go nieznośnie nudnym. Nierównie szczęśliwiej powiodło się pannie Helenie Sulimie, zdolnej artystce sceny krakowskiej, która roli Idalii zawdzięcza zaangażowanie przez tutejszą dyrekcyę na scenę warszawską. Panna Sulima, nie kusząc się o uwydatnienie nieuchwytnych odcieni psychologicznych, do czego zresztą nie dano jej niezbędnego czasu, dostrajała się w tonie do gry p. Śliwickiego i dzięki widocznej inteligencyi, czystej i dobrze w wierszu akcentowanej dykcyi, dzięki estetyce warunków zewnętrznych i poczuciu stylu, zajmującą naszkicowała figurę. Pani Irena Trapszo, jako Dyanna, silne i artystyczne wywarła wrażenie w kapitalnej scenie z Fantazym; dzielnym Janem był p. Nowicki. Panie Lüdowa i Tekla Trapszo, pp. Leszczyński, Siemaszko, Wojdałowicz dopełnili harmonijnej całości.

III.

Charakteryzując na tem miejscu przed pół rokiem kryteryа, stosowane przez cenzurę do różnych tworów literatury, zaakcentowałem, między innemi, odmienne w tej „instytucyi“ traktowanie książki i sceny. Takie różniczkowanie przy rewizyi myśli ludzkich odbić się musiało na twórczości nietylko różnych poetów, ale często i na rozmaitych kreacyach jednego i tego samego poety. Doświadczywszy liberalniejszej stosunkowo kontroli w książce, dramatopisarz, zajęty myślą o druku, nie trzymał tak lękliwie na wodzy twórczych rozpędów, jak marząc przy tworzeniu o scenie; stąd dziwna czasem przestrzeń między rozmachem, który się z niczem nie liczył, a zapędem, który się na wszystko oglądał. Talent jednakowy był tu i tam, lecz narzucony przemocą oportunizm podcinał mu skrzydła.

Z pod tej przemocy scena zaczyna się zwolna wydobywać: dramat z książki zstępuje coraz częściej na deski teatralne; byliśmy niedawno świadkami takiego wcielenia na przedstawieniu „Esterki“ Stanisława Kozłowskiego. Wiadomo, że nie wszystkie utwory Kozłowskiego dopuszczano do repertuaru; najlepsze tkwiły dotąd na zadrukowanych stronicach z przyczyn niezależnych od poety. „Kiedyś, może te przyczyny miną“ — pisaliśmy z powodu „Komandora“ — a wtedy autor „Alberta Wójta“ wystąpi przed publicznością w charakterze dramaturga historycznego w szerszym stylu.“ Przyczyny minęły, ale nastały za to inne,

które znów przyćmiły widzom jasność wejrzenia na dzieło rzetelnej wartości.

Dziwna rzecz, jak ten teatr warszawski ogniskuje w sobie otaczające go życie! Administracya jest tam zwierciadłem urzędowego zamętu; scena i sala teatralna przedstawiają osobliwszy widok wzajemnej suggestyi i hypnotyzowania drgającemi w powietrzu hasłami, dzięki którym pierwsze reprezentacye „Esterki“ odbyły się na tle sporów nie o to, czy dramat jest pięknym, ale o to, czy jest antysemickim czy filosemickim! I stało się to, co się w tej chwili dzieje w życiu, naokoło nas: na wspaniałą kartę dziejów Polski patrzano, jak na tło dekoracyjne, na którem najważniejszym momentem miała być „kwestya społeczna.“ Gdy wobec tego przypomnimy sobie fakt, że dramat napisany był przed dwudziestu laty, kiedy „sprawa żydowska“ u nas nie istniała — pomyślmy, jak na tem wyszedł dziś poeta!

Poeta był młody. Myśli i uczucia jego rwały się ku wszystkiemu, co historya zakładała, jako fundamenty wielkości Polski; wyobraźnia śledziła z zapałem kształtowanie się tej świetnej przeszłości, która nic i nigdy na krzywdzie cudzej nie budując, jeden tylko znała cement, spajający dusze ludzkie w społeczeństwo, w naród: miłość i sprawiedliwość. Zapragnął tedy Kozłowski wskrzesić taki właśnie moment dziejowy, gdy te ideały zadrgały pierwotnem, żywiołowem życiem w faktach historycznych, gdy wcieliły się w postaci potężnego budowniczego, dźwigającego państwo od podwalin ludowych ku szczytom kulturalnym, skąd światło nauki rozlewać się miało na wszystkie dzierżawy rosnącej w siłę ojczyzny. I wszedł na scenę Kazimierz Wielki.

Poeta był młody. Nie troszcząc się zatem wiele o autentyczność legendowej kochanki króla — a poezya rozgrzeszyła go z tej niefrasobliwości — tchnął życie w postać pięknej żydówki, lecz odrazu na twardym gruncie postawił Łobzowską idyllę. Dla króla—to wypoczynek po znojach i troskach rządzenia; dla tej, przy której słodkich zażywa wczasów — to treść życia. Posłuchajmy jej tylko.

„Kiedy na łonie mojem głowę złoży
Wonczas chełpliwa rosnę w słusznej dumie,
A pierś faluje i, zda się, rozumie,
Że na niej spoczął pomazaniec Boży!
Gdy z ust gorące pocałunki bierze
Majowy robi się dokoła ranek,
Słońce jaśnieje, pachną kwiaty świeże

Bo to królewski całuje kochanek!
Miłość mu niosę, by ognistą różę
Jak niewolnica cicha panu służę!"

Poeta był młody — a jednak nie po to zaprowadził nas do Łobzowa żebyśmy tam słuchali miłosnego gruchania. Bohaterowie jego mają coś do powiedzenia w historyi. Więc kochanek umie zawsze w porę rozpleść ramiona więżące go w słodkim uścisku; kochanka nie zapomina na chwilę, że jest orędowniczką swego upośledzonego ludu. W nim odzywa się, nawet wśród pieszczot, mąż żelaznego charakteru, mądry twórca Statutu Wiślickiego; w niej pod wabnym uśmiechem drga utajony typ biblijnych niewiast, niosących z siebie ofiarę dla szczęścia braci. Ostrożnie, niepostrzeżenie nić sercowego stosunku króla i jego miłośnicy wplata się do spraw państwowych i wysnuta z sielanki wikła się w węźle dramatycznym, który tylko katastrofa rozciąć może. Zbliżając się ku niej, bohaterowie obnażają swe dusze. Kazimierz na wielkiej radzie w zamku krakowskim jest królem w każdym calu. Zamierzonego zatwierdzenia statutu dla Żydów broni z męzkiem przeświadczeniem o słuszności sprawy, bez cienia obawy, aby go o prywatę nie posądzono. Wie, że to, co robi, dobre jest, sprawiedliwe, żadnym więc nie poddaje się skrupułom — Polskę ma na myśli. Przed chwilą wszak powiedział z mocą:

„Polskę ze stali dźwignę i granitu
I w twierdz warownych opaszę ją kręgi,
Aby sięgnęła do samego szczytu
Swej narodowej chwały i potęgi."

A gdy mu Spytek życzy

„Oby plon żyzny był tej wielkiej pracy!"

odpowiada świadomy potężnej siły twórczej:

„Plon będzie, — bo mi pomogą prostacy!
Chłopki i żydzi są tronowi wierni,
Zatem z przekąsem zwą mię królem czerni
Jasne wielmoże. O to niema strachu,
Choćby niechętne pany trupem legły,
Zmuszę ich ponieść do wielkiego gmachu
Razem z innymi budulec i cegły."

A Esterka?

Esterka jest w każdym calu kobietą. Miłuje ukoronowanego kochanka, więc nie pójdzie, jak Judyta, zgładzić w jego obo-

zie wroga swych współwyznawców, ale da milczące, wymuszone niby przyzwolenie szalejącemu za nią dworzaninowi królewskiemu Kochanowi Rawie do prowadzenia ciemnych knowań, do zarzucenia z Łobzowa na zamek krakowski niewidzialnej sieci, która ma oplątać zastęp nieprzyjaciół żydostwa. W sytuacyi nawskroś psychologicznej słychać uderzenia serc ludzkich, widać ideowe wzloty ku szczytom sprawiedliwości i dobra; — publiczność tylko co innego snać wyławia z niej uchem i okiem, skoro tak wyraźnych mają adherentów wtórujący królowi w obronie krzywdzonych poważny statysta kanclerz Suchywilk i trzeźwo-praktyczny podskarbi Wierzynek; skoro znajdują też stronników namiętny biskup Bodzanta i patetyczny Spytek z Melsztyna w swoich przeciwko Żydom wystąpieniach; oklaski padają na jedną i na drugą stronę i milkną tylko, gdy król ze stopni tronu rzuca horoskop:

„Żydzi chcą z nami trud dzielić pospołu,
Dolę, niedolę wraz z nami uprzędą
I pragną zasiąść do wspólnego stołu,
Kiedyś wiernymi Polakami będą!“

Milczenie zaiste charakterystyczne — i powinno było mieć wagę argumentu, jeżeli już narzucone zostało teatrowi znaczenie trybuny do dyskutowania „kwestyi żydowskiej“ wbrew intencyi i woli poety, który przedewszystkiem Żydom samym pozostawił ocenienie roli odgrywanej przez „wybrany naród“ w historyi świata. Zanim ją określili panowie radni na zamku krakowskim, już usłyszeliśmy w Łobzowie zwierzenia dwóch żydowskich pokoleń.

— Powiedz — mówi stary żupnik Lew, nakłaniając Esterę do orędownictwa:

„... że odtąd gdyśmy porzucili
Wonnego gaje cedrowe Libanu,
To jednej jasnej nie mieliśmy chwili,
Chociaż, jak jeden mąż, stoim przy Panu;
Ponad głowami kruk nieszczęścia kracze,
Jesteśmy wieczni, bezdomni tułacze.
Powiedz mu, żeśmy oczy wypłakali,
Gdy struny pękły na ojczystej lutni,
Że po rozdrożach świata błądzim smutni,
Bo roshartował się hart naszej stali,
Powiedz, że coraz cięższe plagi bierzem
Nadzy pod świata stoimy pręgierzem!

. . . . . .

Powiedz, że stwórca złamał różdżkę cudów
I świat dokoła cały nas przeklina,
Że piętno nosim na czole Kaina,
Żeśmy wydani na pomiotło ludów!"

Kiedy zaś na zapytanie wnuka dla czego wszędzie „gdzie postanie ślad żydowskiej stopy, duch nienawiści kroczy przed nią przodem" starzec odpowiada:

„. . . . . bośmy nieszczęśliwi,
Bośmy tułacze, syny bez ojczyzny!"

odpowiedź ta nie wystarcza Lotanowi i pacholę żałośnie odpiera:

„Nie tak mój dziadku, nie ta jest przyczyna
Tej nienawiści i tej wielkiej wzgardy.
Sami los sobie ukuliśmy twardy—
Niezawsze świat nas niesłusznie przeklina;
Ja to wam mówię w wielkiej tajemnicy
I niech to będą zachowane słowa,
Żeśmy przeciwko Panu buntownicy
I że nas pomsta dosięgnie surowa
Za to, że w sobie zabiliśmy ducha
I żywe węgle na popiół spalili,
I że jest wielka wśród nas serc posucha."

U „dzisiejszych Lotanów wnuk żupnika nie znajduje oczywiście posłuchu; ale powtórzmy raz jeszcze: poeta był młody i pisał wtedy, gdy wszyscy wszystkiego spokojnie wysłuchaćby mogli; kiedy każdemu wydawałoby się naturalnem, żeby obok sporów nad prawami odezwały się nawoływania do obowiązków; żeby prawa stanowiono w Krakowie, a o obowiązkach rozmyślano w Łobzowie; kiedy wreszcie z tych głosów artystycznie zespolonych na podstawie twórczej harmonii historycznej, mógł się dla słuchacza wysnuć piękny motyw dziejowy polski. Że zamiast tego wystąpiła aktualna „kwestya żydowska," to już wina nie poety, lecz tych dwudziestu lat, w ciągu których wymarło pokolenie Lotanów, a po których upływie rewizya statutu księcia Bolesława odbywa się nie na Wawelu, lecz w Dumie petersburskiej. Co na tem zyskali potomkowie starego Lwa — przyszłość pokaże; to pewna, że stracił dramat Kozłowskiego; bo w pościgu za społeczną sensacyą nie dość baczną zwrócono uwagę na całokształt utworu; bo sztucznie przesunąwszy gdzieindziej jego środek cięż-

kości, mniej pilnie śledzono rozwój charakterów, które w napiętej tragizmem sytuacyi, dźwigają się psychologicznie coraz wyżej.

Popchnięty zmysłowym obłędem Kochan nie cofnął się przed zbrodnią i ręką trucicielа, usunął Żydom z drogi najzaciętszego ich wroga, Spytka z Melsztyna. Kasztelan skonał podczas uczty w pałacu Łobzowskim; wystarczyło to, żeby podejrzenie padło tam, kędy z natury rzeczy skierować je musiała rzymska maksyma *is fecit, cui prodest*. Prawdy szuka się w ówczesnym sposobie: męki wydobyć ją mają z tych, których król spotykał w najbliższem otoczeniu Estery, a i nad nią samą straszna zawisła groźba. Sprawiedliwość wymierzyć chce nie kochanek, lecz opancerzony królewskością obrońca ładu w państwie; łaskawa dłoń zaciska się w stalowym, miażdżącym kurczu, który wtedy dopiero wolnieje, gdy szarpany wyrzutami sumienia Kochan, wyznał panu swemu prawdę i stwierdził ją przed nim samobójczą śmiercią. Ale Łobzowskie *olia* już nie wrócą; nie wróci usunięta od boku królewskiego Estera. Ocknął się Kazimierz; oddala jednak od siebie nie kochankę, nie matkę swoich dzieci; oddala nie dla tego że fanatyczny ksiądz naznaczył ją przed paru dniami w zuchwałej apostrofie piętnem wszetecznicy, a jemu, pomazańcowi, śmiał grozić klątwą Avinionu za rozpustne życie;—z ascetą poradził sobie Kazimierz przy pomocy „racyi stanu“ i nawet prosząc papieża przez posły o absolucyę za utopienie księdza, akcentuje, że wikary targnął się na majestat monarszy i że on, król, „inaczej nie mógł postąpić;“ — oddala Kazimierz moralną choć może nieświadomą wspólniczkę gwałtu, który miał dopomódz Żydom do zdobycia praw. Pożegnanie z Esterką wzrusza prostotą i głębią uczucia, a jednocześnie interesuje psychologią obojga bohaterów. W niej odzywa się z całą siłą kochająca kobieta; on pasuje się ze wspomnieniami, jak mąż, pewny panowania nad sobą. A gdy, po odniesionem zwycięstwie, zwraca się do kanclerza ze słowami „Statut natychmiast podpiszę!“ odbiera się wrażenie, że to wypowiedział nie król, który romansuje z miłośnicą, ani też król, który rozwiązuje „kwestyę żydowską“ — tylko król, który tworzy Polskę.

— Wielki król! — woła przy końcu mądry Wierzynek.

I tak istotnie Kazimierz wygląda w dramacie Kozłowskiego.

Wiele się dziś mówi o „syntezie“ dusz historycznych, o zewnętrznych, dekoracyjnych i wewnętrznych, psychologicznych herosach. W tej wielomówności trafiają się oczywiście nadużycia frazesu i mgliste definicye owej syntezy, która przecież bywa dwojaka: przedmiotowa, unosząca się samoistnie nad czynami bo-

haterów i subjektywna, wytworzona w duszy dramaturga z wizyi poetyckiej. Na pierwszą zdobywa się dramatopisarz ze skłonnościami do eposu, drugą wnosi z sobą poeta-liryk. Obie mają na scenie jednakową racyę bytu i dzisiejsza przewaga subjektywizmu nie jest bynajmniej argumentem, stwierdzającym wyższość liryki nad epiką sceniczną. Kozłowski więc spokojnie może patrzeć na antagonizm dwóch syntez, bo tymczasem jego bohaterowie żyją życiem, które z wnętrza ich dusz wyszło na jaw w dotykalnych epickich kształtach.

Lirykiem w stosunku do dziejów jest Adolf Nowaczyński. Wydaje się to paradoksem dla tego tylko, że przywykliśmy mianem liryzmu nazywać wylewy pewnego, dość jednostronnie określonego gatunku uczuć, poza któremi rzadko śledzimy inne łożyska, jakie żłobi sobie temperament, namiętność, czy też wyrafinowany intellektualizm pisarza. Lirykami są poeci, dystylujący wonie „śmiertelnych kwiatów“ pessymizmu przez filtry własnej jaźni; lirykami są powieściopisarze, z których duszy sączy się do odtworzonych pod pewnym kątem stosunków życiowych, sentyment socyalny; lirykami wreszcie są satyrycy, wyładowujący oburzenie na czasy w których żyją iskrą miłości lub nienawiści. W akcie twórczym te rodzaje liryzmu rozmaite zostawiają ślady. Berent, chłodny pierwotnie realista w „Fachowcu,“ zamyka się jako twórca „Próchna“ w egzotycznej psychologii schyłkowców; Żeromski patrzy na historyę okiem socyologa i pewne struny duszy narodowej przemocą nastraja aż do pęknięcia na ton własnej, społecznej liryki; natomiast Reymont, natchniony poeta wobec natury, namiętny erotyk w zetknięciu z miłością — przedziwnie jasnem i trzeźwem okiem ogarnia codzienną rzeczywistość; a Nowaczyński, lirycznie pieszczący się z pewnemi, sympatycznemi dla siebie typami, maluje dla nich tło farbami wprost z palety życia zgarnianemi.

Liryzm Nowaczyńskiego wyraża się przedewszystkiem w wyborze typów, które, bądź w książce, bądź na scenie, na pierwszo wysuwa plany; wybór zaś ten jest zazwyczaj wykładnikiem osobistego stosunku pisarza do całej kategoryi figur, budzących w nim żywsze zajęcie. Są to najczęściej indywidualności, zbuntowane w jakiś sposób przeciw własnemu środowisku, i przebiegające całą skalę buntu od spokojnego, pogodnego „kacerstwa“ dyssydenta z Naglowic zacząwszy, a skończywszy na groźnej swawoli „Dyabła Łancuckiego.“ Natura talentu Nowaczyńskiego rozstrzyga tu o stopniu sympatyi dla bohaterów; oczywiście więc że poeci, artyści, a zwłaszcza satyrycy w stanie „rewolty“ cieszą się najgo-

rętszem jego współczuciem, które tem tylko grzeszy, że nie zawsze usprawiedliwione dźwiga piedestały. I tu liryzm staje się winowajcą, bo w rozpędzie swoim stawia na piedestale takie wyrzeźbione w wyobraźni poety figury, jakiemi chciałby je widzieć Nowaczyński, nie takie, jakie chwili obecnej przekazała historya lub nawet blizka teraźniejszość.

Nie trzeba jednak utożsamiać tego z ową literacko-archiwalną manią „rehabilitacyi“ różnych zdecydowanych potępieńców, która na mocy „dokumentów“ z akt dawnych mozolnie zestawia *pro* i *contra*, „credit i debet“ i wszystko pilnie zbilansowawszy, rzuca z zadowoleniem gorliwego referenta białą gałkę do urny wotów historycznych. Nie. Nowaczyńskiego samorzutnie coś ciągnie do pewnych osobistości; ciągnie go wcielony w nie jakiś przeciw czemuś protest. Protestują — więc jest w nich coś wyższego; sam bunt świadczy o tej wyższości, trzeba zatem szukać jej i znaleźć za jaką bądź cenę. I szuka — i znajduje zawsze, własnym liryzmem wyolbrzymiając to co jest, wypełniając to czego niema, często według złudnej optyki rozkładając światła i cienie. Szuka, igrając z czasem i przestrzenią, byle tylko spotkać gdziekolwiek i kiedykolwiek odpowiednik dla swoich indywidualnych nastrojów. Więc go nęci w piętnastem stuleciu oderwany od szubienicy francuski piosenkarz Villon swawolnie satyrycznem zacięciem swojego „Małego“ i „Wielkiego testamentu;“ więc mu imponuje w szesnastym wieku „nietzscheański“ typ renesansowego gwałtownika w osławionym Stadnickim; więc w naszych czasach zapala się do Bernarda Shawa za jego nieubłaganą walkę z angielską tartuferyą, a w fizyognomii Oskara Wilde'a nie chce widzieć zwyrodniałego zgnilka, staczającego się przez wszystkie londyńskie portowe spelunki do najbrudniejszej kałuży, tylko podziwia arystokratycznego twórcę paradoksów literackich i artystycznych, któremi autor „Salome“ broni „czystej sztuki“ od najazdu filistrów.

Na takiem stanowisku stojąc, co właściwie dopatrzył Nowaczyński w Kajetanie Węgierskim, kiedy go promował na bohatera swej 4-aktowej komedyi „Starościc ukarany?“ Zwykle w podobnych wypadkach, decydował albo satyryk, albo artysta i od takiej decyzyi zależało oświetlenie naczelnej w utworze figury; tu widzimy wyraźnie wahanie między malarzem tła, lubującym się w wytwornych liniach, w dystyngowanym kolorycie, a rewolucyonistą duchowym, werbującym w literaturze czy też w sztuce sojuszników do buntu. Artysta miał zadanie pociągające. Ten XVIII wiek ma nawet w swojem zepsuciu pewien osobliwy wdzięk, z którym kojarzą się rozkoszne dla dzisiejszych kochanków śmierci

„dreszcze“ konania. Polska, uwijająca się około Stanisława Augusta, podobna jest do wielkiej damy, przylepiającej sobie nawpół już zastygłą ręką muszkę na urożowane policzki, z ostatnią myślą, żeby w trumnie wykwintnie wyglądać. Z wielkich idei, które mają wkrótce świat odrodzić w olbrzymim kataklizmie to tylko bierze, co z niej zdejmuje normalne pęta. Gotowa już z uśmiechem dać się zakuć w kajdany Wschodu, kokietuje tymczasem z mędrcami Zachodu i, w poufnej przed Encyklopedystami spowiedzi, w alkowie doprasza się filozoficznej za swe grzechy absolucyi. Niewiele ma już czasu przed sobą, więc pilno jej wychylić do dna czarę rozkoszy, tę szczególniej, do której poezya pewnego gatunku dolewa podniecającego kordyału. Wszyscy z tej czary piją; kobiety zwłaszcza pilnują, żeby puhar był zawsze pełen, a nie brak poetów dystylujących kantarydowe eliksiry.

Jednym z nich jest Kajetan Węgierski — to wszystkim wiadomo. Niechętnie o tem myśli tylko Nowaczyński, bo on wie o autorze „Organów“ coś więcej, wie też co innego; i to „coś więcej“ i to „coś innego“ chce przedstawić nam na scenie w postaci Starościca. Jest zupełnie w swoim prawie; tylko niechże nie dziwi się widzom, którzy, umiejąc na pamięć „najsekretniejsze“ wiersze Węgierskiego, z pewnem zdumieniem znajdują się odrazu w towarzystwie „zbuntowanego ducha,“ pracującego nad naprawą Rzeczypospolitej. Oczywiście, że nie jestto rys fikcyjny w psychologii Węgierskiego; notuje go i historya, tylko w trochę odmiennem chronologicznem oświetleniu. Zmężnienie ducha obywatelskiego w charakterze pamflecisty dokonało się zagranicą, zdala od kraju, gdzie więcej bawił, śmieszył i ekscytował, aniżeli publicystował. Nowaczyński antycypuje trochę ten przełom w duszy bohatera, co mu również wolno; jeżeli zaś o tem wspominam, to dlatego tylko, że uniósł go liryczny rozpęd sympatyi dla autora „Portretów Pięciu Elżbiet“ ze szkodą dla plastyki wizerunku Węgierskiego. Nęciła Nowaczyńskiego myśl przedstawienia swawolnego poety w kontrastowem oświetleniu dwóch zmagających się z sobą w śmiertelnych zapasach światów: kosmopolityzmu, który się łudził że jest światem nowym i sarmatyzmu, który nie czuł, jak już jest starym. Z jednej strony Szydłowscy, Tepery, Piotrowscy, Łubieńscy, ze swoją francuską polityką, z drugiej Radziwiłł Panie kochanku, ze swojemi dykteryjkami, facecyami, konceptami, z wiarą we własne zmyślenia, tak charakterystycznie cechującą indywidualność, której wola jednostkowa, upojona swobodą bez hamulca potrzebuje tworzyć sobie w życiu nadzwyczajne okoliczności, sztuczne przeszkody, zmyślone niebezpieczeństwa, aby

wyjść ze stanu bierności, na który skazaną jest zawsze, ilekroć jej upór do czynu nie budzi. Co za obraz i jakie w nim doskonałe pierwszoplanowe miejsce dla Węgierskiego, gdyby mógł i jednym i drugim powiedzieć: z „was się rodzę; jest we mnie i wasza lekkomyślność, i wasze zepsucie, i wasza otłuszczona sobkostwem niefrasobliwość; ale jest też we mnie coś, co tylko do mnie samego należy, co na własnych poczujecie skórach, grzesznicy przeciw ojczyźnie!“ Otóż Węgierski nie ma czasu tego powiedzieć. Nowaczyński kazał mu niemal za pierwszem podniesieniem zasłony zająć obywatelski posterunek w scenie, kiedy odrzuca proponowaną przez sekretarza Rady nieustającej rękę ex-kochanki króla pułkownikowej Dahlke. Wyobraźmy sobie, że ten akt początkowy jest aktem środkowym i że stanowi punkt zwrotny, do którego Węgierski dochodzi drogą ewolucyi charakterowej od rozpustnego wierszopisa do „polskiego Juwenala;“ jakby to wszystko inaczej wyglądało! Ale ewolucyę można śledzić na gruncie nie tego, co ma dopiero być, lecz tego, co jest: tym sposobem zrobił ktoś zajmującym na scenie włoskiego paszkwilistę z XV wieku Aretina; tym sposobem z plątaniny awanturniczych, nie zawsze czystych spekulacyj, wynurza się genialna postać twórcy „Wesela Figara“ i nazwisko pamflecisty Beaumarchaise'go na wieki związane jest z wielką rewolucyą Francuską. Pośpiech Nowaczyńskiego i nieliczenie się z koniecznością pewnych na scenie gradacyj sprawiły, że Węgierski nie budzi w dalszych aktach interesu; że obojętnie się słucha opowiadanej przez poetę pięknym damom bajki, pełnej politycznych aluzyj i mało zwraca się uwagi zarówno na jego pojedynek z Łubieńskim jak i na kończące sztukę uwięzienie bohatera; — pozostaje tylko estetyczne wrażenie po barwnem malowidle, któremu język epoki, kunsztownie przystosowany, dodaje żywego kolorytu.

IV.

Ocena gry naszych artystów w obu utworach i definicya wrażenia, jakie w tej grze całość wywołać mogła, dałaby się łatwo w zwykłych streścić ogólnikach, gdyby nie fakt, pod wielu względami doniosły, który wydarzył się przed wystawieniem „Esterki“ i „Starościca“ — gdyby nie zjawienie się w tutejszym Teatrze Wielkim Moskiewskiej trupy Stanisławskiego, znanej już obecnie w całej Europie pod nazwą „Teatru artystycznego.“ Na-

zwa należy się słusznie tej scenie; kto wie — czy nie należy się dziś wyłącznie i jedynie teatrowi, który wszędzie, dokąd zawitał, dał w kilku wieczorach objawienie „nowej sztuki.“ Przed tą rewelacyą schylono głowę tam nawet, gdzie wraz z filozofią, historyą, literaturą i sztuka nie waha się głosić „wyższości rasy germańskiej“—w ojczyźnie Meiningeńczyków. Trzeba było kapitulować, trzeba było przyznać że frazes, jakoby Stanisławski i Niemirowicz-Danczenko byli tylko epigonami księcia Jerzego meiningeńskiego i Chronegka, — jest w najlepszym razie fortelem, który nie zdoła zasłonić wyższości trupy rosyjskiej.

Zaznaczmy odrazu, że punkt wyjścia reformatorów meiningeńskich i moskiewskich był niewątpliwie jeden i ten sam: dążność do wywołania wrażenia całością obrazu przez barwność tła dekoracyjnego i sharmonizowanie na tem tle gry w ten sposób, żeby poskramiane artystyczną karnością wirtuozostwo aktorskie nie mięszało z sobą dalszych i bliższych planów obrazu, nie psuło perspektywy scenicznej. Dzieło poety, wyswobodzone z pod despotyzmu aktorów-solistów, odzyskać miało swoją literacką niezawisłość, swoje artystyczne dostojeństwo. Ale tu koniec analogii. Drogi reformatorów rozbiegają się tam, kędy później przepływał prąd ewolucyjny w literaturze i sztuce. Powiedzieć że Stanisławski i Niemirowicz-Danczenko poszli dalej, — nie wystarcza; rzec raczej wypadnie że poszli gdzieindziej, a przedewszystkiem głębiej, poszli za tymi, którzy szukając w duszy człowieka syntezy życia świadomego i nieświadomego, a w duszy narodu syntezy dziejów widomych i utajonych, znaleźli w sztuce nastroje psychologiczne, jako niemateryalny wyraz tej syntezy. A gdy w tym kierunku podążyli, pokazało się dopiero, jak daleko poza nimi została się meiningeńska formuła i jak ją zdradziły te właśnie środki, któremi pragnęła osiągnąć idealne cele; pokazało się że poeta, wyzwolony z pod jednego despotyzmu, musiał się poddać innemu i stać się niewolnikiem rozmaitych tyranii. I tak, tło chłonęło obraz natarczywością dekoracyi i jej absorbujących złudzeń; natręctwem kostiumu i jego rezurekcyjnych pretensyj; narzucaniem się rekwizytu i jego archeologiczno-archiwalnych manii; zaś do obrazu samego, na miejsce obalonej arystokracyi talentów, wtargnęła demokracya tłumów i tak zawładnęła sceną, że się przed nią najtragiczniejsi bohaterowie cofać musieli na dalsze plany, a z nimi dusza kryła się coraz dalej w głąb dzieła, zostawiając je na igraszkę zmysłów, które również demokratycznej szukały w dziele sztuki uciechy. W „Juliuszu Cezarze“ Szekspira, oczy cieszyły się illuzyą... deszczu padającego ulewnie w pierwszym

akcie; podczas mowy Antoniusza, uszy łowiły nie słowa mówcy tylko pomruki wzburzonego ludu; w „Matce rodu Dobratyńskich,“ przeciąg, otwierający podwoje tragicznej komnaty, dawał widzom fizyczną sensacyę „gęsiej skórki;“ w „Krwawem Weselu“ zapach zatrutych świec, od którego umierali kochankowie, przedostawał się do sali i ostrą wonią działał odurzająco na widza. Do kompletu brakowało tylko efektów... smaku i ten brak był istotnie decydującym symbolem absurdu, do którego epigonowie Meiningeńczyków doprowadzili prawdziwą w swej treści zasadę.

Moskiewski „Teatr artystyczny“ tchnął w nią nowe życie, zaczerpnięte z atmosfery, przekształcającej całą literaturę i sztukę. Środki się nie zmieniły—cel tylko jest inny. „Moment malowniczy,“ a raczej malarski, narzucony scenie przez Meiningeńczyków pod wpływami monachijskiej szkoły Pilotego, wiedeńskiego historyzmu Mackarta i londyńskiej dekoracyjności Irvinga przestał być decydującym u Stanisławskiego, który nie z zewnętrznej plastyki, lecz z wewnętrznej psychologii dzieła wydobywa „moment dramatyczny.“ Nie wyrzekł się przez to rosyjski reformator współdziałania tego, co w powszedniej gwarze teatralno-dziennikarskiej przywykliśmy nazywać „wystawą;“ ale zobaczmy, do czego w moskiewskim „teatrze artystycznym“ służy ta wystawa.

Oto staje przed nami syn Iwana Groźnego i rozpoczyna się w naszych oczach ujarzmianie nikłego spadkobiercy strasznej doby, cara Teodora, przez przyszłego jego następcę, Borysa Godunowa. W jakim że to tajemniczym świecie znaleźliśmy się od pierwszego podniesienia zasłony; ile dziejowego egzotyzmu w tej bizantyńskiej sceneryi! Po nizkich komnatach carskiego zamku osobliwszej struktury, uwijają się postacie, odziane w złotogłów i drogie kamienie, głowami dotykające prawie zaklęsłych sklepień a łamiące się we dwoje we drzwiach, jakby rozmyślnie tak budowanych, żeby przyzwyczaić karki do zginania, kolana do klękania, czoła do tarzania się w prochu. Wszystko to uderza wzrok mięszaniną renesansowych form ze wschodnią treścią, ale w niczem nie znać uzurpowanego panowania materyi nad duchem, który ma tu do odegrania tragedyę walki między duszą ludzką, pełną szlachetnych instynktów, a duszą dziejową, wykuwającą w ogniu cierpień narodu ideę „racyi stanu.“ Ten pojedynek psychologiczny więzi przedewszystkiem naszą uwagę; od tych moralnych zapasów płyną wszystkie nastroje; reszta jest tem, czem być powinna: sztafażem w obrazie, trzymanym zresztą, mimo swej barwności w tonie Maeterlinckowskich malowideł. O podciągnięciu gry pod niwelujący strychulec, jak w płaskorzeźbach

scenicznych meiningeńskiego stylu, nie może tu oczywiście być mowy, jest natomiast wrażenie doskonałej harmonii między twórczością indywidualną i zbiorową artystów, ta zaś harmonia podnosi całe przedstawienie do godności skończonego dzieła sztuki.

Po ogniwie z trylogii Tołstoja, — arcydzieło Gorkiego. Odbiegliśmy daleko od wszelakiego „historyzmu“ i jego dekoracyjnych efektów; odbiegliśmy nawet, mimo współczesną na scenie dobę, od wszystkiego, coby przypominało społeczeństwo; jesteśmy „na dnie,“ w podziemnym etapie nędzy ludzkiej, gdzie ustrojona w łachmany „naga dusza,“ wyswobodzona niedolą z jakiejbądź więzi socyalnej, wypoczywa chwilowo w ciągu swej wygnańczej wędrówki, nazwanej życiem. Gdyby o malowniczość tylko chodziło, nie brak nawet bardzo jaskrawej w tem bogactwie typów, w tej przedziwnej rozmaitości charakterystyki. Ale teatr „artystyczny“ wznosi się wysoko ponad odtwarzanie konturów i kolorytu w tych dantejskich obrazach. Sensacya fizyczna w zetknięciu z owym światem, jest tylko refleksem głębszego wrażenia, przygnębiającej zadumy nad mnóstwem zmiażdżonych w tej otchłani głów i serc, nad tragizmem bezwiednego i świadomego buntu myśli uczuć, nad grozą uśmiechniętej we dnie, a marzącej w nocy o nadejściu „swego dnia“ — anarchii. Wyszedłszy w tym nastroju z widowni, długo na jasnem świetle pozbyć się go nie można — i to jest tryumf „teatru artystycznego.“

Między szczytami dziejowemi a przepaściami społecznemi, szmat życia codziennego, przyziemnego ciągnie się w sztuce Czechowa „Wujaszek Wania.“ Ani śladu w tem malarskich motywów; ani śladu tej wydatności charakterystycznych rysów w ludziach, rzeczach i wypadkach, któraby ułatwiała odtworzenie fizyognomii utworu. Odegrać symfonię szarości oto artystyczne zadanie odtwórców. I to zadanie najświetniej może spełniło towarzystwo Stanisławskiego. Przez willę podmiejską, gdzie senną egzystencyę prowadzą istoty zahypnotyzowane myślą o bezcelowości życia, przeciągnęła burza namiętnych uczuć. Mężatka, przykuta do znienawidzonego męża, rozpala miłość w sercach dwóch naraz blizkich mu domowników. Jednego z nich kocha, drugi nie może się pogodzić z obojętnością ubóstwianej; stąd konflikt i wyjazd małżeństwa z willi, w której pozostaje tylko odepchnięty wielbiciel, z młodziutką, po zmarłej żonie pozostałą córką, ze starą świekrą, starą niańką i starym rezydentem. I powraca wszystko do dawnego, z przed burzy, pogodnego bezruchu. Wania automatycznie z suchym klekotem przesuwa na *szczotach* kostki; świekra, kiwając głową robi pończochę; niania pod piecem drzemie; rezydent wal-

czy ze snem, przygrywając na harmonii; za ścianą świerszcz powtarza uparcie swoją skrzypiącą piosenkę; w powietrzu drgają jakieś westchnienia niewiadomo za czem, jakieś protesty niewiadomo przeciw czemu, jakieś pragnienia niewiadomo czego i te wszystkie nieuchwytne prądy, krążące wśród rozproszonych w atmosferze atomów beznadziejnej nudy, które duszę rosyjską zalewają bezprzedmiotową tęsknotą nomada. „Boże! za co mnie carem zrobiłeś“—skarży się ta dusza na stopniach tronu przez usta Teodora Ioannowicza. „Mogę jeszcze żyć trzynaście lat; co ja z tem życiem poczną?“ wzdycha z Wujaszkiem Wanią na równinach egzystencyi. I dziwna ironia! Tylko „na dnie,“ w przytułku noclegowym, wśród odpadków społecznych nikt nie rzuca tego pytania; natomiast w podchmielonej kompanii straceńców moralnych wznosi ktoś toast „na cześć człowieka,“ jako najdoskonalszego wyrazu życia. I tego człowieka odczuwa się wszędzie w teatrze Stanisławskiego: tętnią uderzenia jego serca; przelatują przez scenę dreszcze jego bólów; dostojeństwo jego cierpień imponuje o każdej godzinie dziejów, na wszystkich szczeblach drabiny socyalnej; a do wypowiedzenia w plastyce tego ideału Terencyusza *homo sum et humani nihil a me alienum puto*, „teatr artystyczny“ znalazł takie środki ekspresyi dramatycznej, że postawić go wypadnie na czele scen europejskich. A gdy go tam postawimy, jakie miejsce zajmie nasza scena w stosunku do takiego wzoru?

Możnaby na to pytanie nie odpowiadać; wrażenia, jakie pozostawił teatr Stanisławskiego, wstrząsnęły szczupłem tylko gronem krytyków; zdala od nich pozostała publiczność, rozumiejąca niewczesność bratania się w sztuce nad otwartą jeszcze księgą rachunków dziejowych, których „młoda Rosya“ dotychczas zbilansować nie potrafiła. I dla tej publiczności lepiej się może stało, jeżeli ją zadowolniła aktorska reprodukcya „Esterki“ i „Starościca ukaranego;“ jeżeli jej wystarczyła ta suma talentu, jaką włożyli w to przedstawienie pojedyńczy artyści, tworzący, jak zwykle u nas, każdy na swoją rękę; jeżeli brak stylowej całości, brak utajonej w dziele duszy zastąpiły jej „momenty,“ które zawdzięczała w dramacie Kozłowskiego paniom Marcello, Tekli Trapszo, panom Frenklowi, Bednarczykowi, Rolandowi i Śliwickiemu, — a w komedyi Nowaczyńskiego panom Śliwickiemu i Rapackiemu. Ale krytyka nie ma prawa przejść tak do porządku dziennego nad zjawiskiem artystycznem, którego była świadkiem; owszem, ma wprost obowiązek liczyć się z niem, choćby dlatego, że spotkała się z pierwszym od wielu lat teatrem rosyjskim, stojącym na gruncie sztuki czystej, nie splamionej żadnem rusyfikatorskiem piętnem, i że ta-

jemnica doskonałości tej sztuki tkwi tam właśnie, skąd jedynie przyjść może odrodzenie naszej sceny.

— Czy wiesz Pan, dlaczego nasz teatr tak prosperuje?—mówił Stanisławski do jednego z naszych artystów. — Oto, niema u nas ani śladu „świecących guzików.“

Przetłomaczone na mniej obrazowy język znaczy to: nie rządzą u nas urzędnicy, generałowie, nie rozpościera się cenzura. Niemamy nic do czynienia z biurokracyą.

To wiele. To tyle co własny dom, własne pieniądze, własna swoimi środkami gospodarka; to wewnętrzny samorząd z rozumnem rozgraniczeniem administracyi i artyzmu; to niekrępowana niczem inicyatywa kierownika z konieczną supremacyą literatury nad aktorstwem; to repertuar w szerokim stylu, ogarniający arcydzieła wszystkich czasów, narodów i drgający życiem współczesnem; to swobodny wybór sił odtwarzających i powierzanie im najodpowiedniejszych zadań bez oglądania się na jakiebądź zewnętrzne wpływy. To sztuka wolna i wielka swą wolnością.

To bardzo wiele. Ale czy wszystko? Wiem, że gdyby w ten sposób zagadnięto naszych artystów, odpowiedzieliby bez wahania: „tak, to wszystko.“ Wiem, że odpowiedzieliby w tym sensie — nawet nie artyści. Bo niewola wyrobiła w nas nałóg rozgrzeszania się z naszych własnych win wymówkami przemocy. Nastają jednak chwile kiedy trzeba mieć odwagę powiedzieć sobie prawdę w oczy. Taka chwila bardzo poważna, bardzo dla naszego teatru krytyczna, nadeszła właśnie; w imię zatem tej prawdy przyznajmy: że wyswobodzenie się teatru Stanisławskiego z pod niewolniczej hypnozy „świecących guzików“ i różnostronna emancypacya, która za tem idzie, nie wyczerpała jeszcze wszystkiego. Nie. Oprócz autonomicznego ustroju, oprócz finansowego poparcia bogaczów moskiewskich, oprócz niezawisłej od nikogo dyrektywy literackiej, oprócz publiczności rozkochanej w swoim teatrze, ma jeszcze Stanisławski zwarty zastęp aktorów, przeniknionych poczuciem obowiązku. I nie jestto obowiązek urzędników, odbywających czynności, za które wypłaca im się pensya; nie jestto uległość podwładnych, liczących się z fantazyami swoich zwierzchników; i nie jestto dyplomacya kabotynów, polujących na efektowne role; — to świadomość duchowej przynależności do instytucyi, dążącej do kulturalnych celów; to umiłowanie sztuki, które łączy kierowników z kierowanymi; to kult dla literatury, uznanej za duszę teatru.

A teraz uderzmy się w piersi: czy poczucie „takiego“ obowiązku istnieje w naszym teatrze? Czy może zaświadczyło o niem

niedawne handlowanie talentami z przyjezdnym spekulantem? I gdzie naprawdę ono przemówiło: czy tam, gdzie artyści tygodniami obcowali z zakazanemi figurami z „siennego rynku," z „pasażerami" przytułków noclegowych, jedynie dla tego, żeby „na dnie" prawda dotkliwiej i wymowniej się odezwała; czy też tu, gdzie dla kilku rubli celniejsze siły opuszczają swój teatr w potrzebie, uciekają wtedy właśnie, kiedy mu najciężej, kiedy zostać jest powinnością artysty i obywatela?

Powiedział Stanisławski o naszym teatrze:

— W talenty i zdolności jesteście zasobni; możnaby ze sceny polskiej zrobić europejską.

Możnaby, — tembardziej, że była już europejską. Przykro, gorzko, boleśnie jest usłyszeć to „możnaby," skierowane ku warunkowej tylko przyszłości, a pośrednio wydające wyrok stanowczy na teraźniejszość; boleśnie,—zwłaszcza, że to małe a drażniące słówko pada ze strony, którą najwygodniej byłoby oskarżyć o tę przepaść między „wczoraj" a „dzisiaj." Ale żyjemy pod znakiem tymczasowości; więc miejmy nadzieję, że „jutro" skasuje nareszcie wszelkie tryby warunkowe.

W. Bogusławski.

H. BALZAC

w świetle ostatnich badań.

I.

Literatura o Balzac'u jest olbrzymia. Istnieją szczegółowe biografie, poświęcone autorowi „Komedyi Ludzkiej“ [1]), istnieje historya dzieł jego [2]), są gruntowne rozbiory i streszczenia jego utworów [3]), są nawet słowniki biograficzne postaci romansów Balzacowskich, informujące jaknajdokładniej o ich pochodzeniu, stosunkach rodzinnych i t. p. [4]) Nie brak ogólnych charakterystyk twórcy i dzieła, studyów, portretów, wspomnień i wrażeń, pisanych przez znakomitych krytyków wieku — przez Sainte-Beuve'a [5]), H. Taine'a [6]), T. Gautier'a [7]) i w. innych.

Cenne „dokumenty“ do życia Balzac'a znajdujemy w formie „Korespondencyi“ jego, zarówno jak i w listach pisanych do „Nie-

---

[1]) Siostra Balzac'a, p. L. Surville, napisała o nim książkę, na podstawie jego korespondencyi, „*Balzac, sa vie et ses oeuvres;*“ sumiennym biografem jest Ed. Biré w książce „*Honoré de Balzac*“ (1897 r.).

[2]) Ch. de Spoilberch de Lovenjoul — „*Histoire des oeuvres de Balzac*“ (1888).

[3]) Marcel Barrière — „*L'oeuvre de H. de Balzac, étude littéraire et philosophique sur la Comédie Humaine*“ (str. 502, r. 1890).

[4]) A. Cerfbeer i J. Christophe — „*Répertoire de la Comédie Humaine de H. de Balzac*“ (1893 r.).

[5]) „*Causeries du Lundi*,“ t. 2-gi (str. 346—362).

[6]) „*Nouveaux Essais de critique et d'histoire*“ (szkic ten istnieje w polskiem tłómaczeniu).

[7]) „*Portraits Contemporains*“ (str. 44—131).

znajomej“ (*Lettres à l'Etrangère*), których tom drugi został świeżo wydany (1906 r.).

Mówiono już, zdaje się, o wszystkiem, co stało w związku z nim samym i rodzajem jego twórczości. Opowiadano jego miłości i miłostki, nieudane przedsiębiorstwa, walkę z wierzycielami, dziwactwa wszelkiego rodzaju; analizowano geniusz twórczy, sądzono wady i ułomności olbrzymiego dzieła, wyczerpano wszelkie zarzuty i zachwyty.

Mimo to nie przestaje być Balzac, dla badaczów literatury, przedmiotem ulubionym studyów, nie przestaje jego organizacya twórcza i dzieło osobliwe, pociągać urokiem czegoś niezbadanego jeszcze, psychologów i krytyków literackich.

Pomijam tu zuchwałe i aroganckie niedorzeczności Maxa Nordau'a np.[1]), który bez względu na to, co już się ustaliło o Balzac'u i jego twórczości, gotów jest dowodzić, że „dzieło jego absolutnie nic nie zawdzięcza obserwacyi, wszystko odgadywaniu i intuicyi,“ gdyż tego rodzaju oryginalne poglądy nic wspólnego z sumiennem badaniem i krytyką integralną nie mają.

Ostatnio zajęli się Balzac'iem dwaj historycy literatury francuskiej — André le Breton[2]), autor gruntownych studyów nad powieścią w w. XVII, XVIII i XIX — i Ferdynand Brunetière[3]), który zarówno z dobrej, jak i złej strony znany jest czytelnikom polskim. Książki ich o Balzac'u nie należą do zbytecznych. Są rzeczy wprawdzie, gdy mowa o nim, których powtarzania uniknąć niepodobna, lecz są i takie, co nie zostały jeszcze należycie zbadane, jak np. pochodzenie i początki romansu Balzacowskiego — czem właśnie między innemi zajął się gorliwie Le Breton — jak wpływy twórczości jego na literaturę europejską i t. p.; zresztą i o człowieku samym jest jeszcze nie jedno do powiedzenia, nie jeden sąd o nim do zmienienia, bądź lepszego ugruntowania.

Zanim zwrócę uwagę na to, co nam w tej mierze przynoszą najnowsze studya i poszukiwania historyków i krytyków literatury, pragnę zatrzymać się chwilę na historyi sądów o Balzac'u — na tem, jakie stanowisko zajmowała w obec niego opinia literacka.

[1]) „*Vus du Dehors.*“ Essais de critique, scientifique et philosophique. Szkic o H. Balzac'u (1903 r.).

[2]) A. le Breton. „*Balzac. L'homme et l'oeuvre.* 1905 r., str. 294.

[3]) F. Brunetière. „*Honoré de Balzac*“ (1799—1850) 1906 r., str. 330.

II.

Współcześni, z małymi wyjątkami, nie wiele sobie robili z twórczości Balzac'a, w każdym razie dalecy byli od uwielbiania. To, co Sainte-Beuve np. pisał kilkakrotnie o Balzac'u (1834 r.—1838 r. i t. d.), miało wprawdzie sporo słuszności, zwłaszcza w podkreślaniu ujemnych stron jego utworów, było jednak zbyt chłodne, zaprawne często szykaną, a przedewszystkiem wypowiedziane tonem strofującej wyższości. Dopiero ostatni szkic znakomitego krytyka o autorze „Komedyi Ludzkiej," pisany nazajutrz po jego śmierci, chociaż także nie bez licznych zastrzeżeń, zrównoważył błędy dawniejsze i przyznał to zmarłemu, czego za życia wystrzegał się krytyk mówić—uznał w Balzac'u niezwykłe zjawisko twórcze, wyznaczając mu wśród twórców w. XIX pierwszorzędne stanowisko. Oporność S.-Beuve'a miała powody osobiste, przytem krytyk zanadto sam się czuł wielkim pisarzem, sądząc więc sobie współczesnych, nawet największych, stawał z nimi zawsze na równej stopie.

Bądź, jak bądź, nie psuto Balzac'a pochwałami, częściej spotykał się on z sądem bagatelizującym jego pracę, z krytyką cierpką i stronniczą, niż z wytrawną i bezstronną. Podrażniony i dotknięty do żywego tem wszystkiem, obruszał się nieraz Balzac na swoich napastników, z właściwą sobie krewkością. Gdy Alfred Nettement, zasłużony badacz literatury z czasów panowania Ludwika-Filipa, napisał o nim (1836 r.) dość życzliwe i bezstronne studyum, tak się z tego powodu wyraża Balzac o swoich krytykach: „Ostatnio, człowiek pięknego talentu, krytyk energiczny, nie kryjąc swej myśli o dziełach moich, potępiając je lub uznając podług własnego upodobania, stanął po mojej stronie przeciw tym nikczemnym, co to rozsiadają się zuchwale u mnie, nie wchodząc tam nigdy (*qui viennent effrontément s'asseoir chez moi sans y être jamais entrés*), opowiadają, co tam się dzieje, co się robi... Krytykować umeblowanie autora, żeby uwolnić siebie od mówienia o jego książkach, jest jedną z postaci polemiki literackiej." Ten ton podrażniony niech będzie miarą tego, z jakiemi krytykami Balzac podówczas się spotykał. Odskakuje od nich sąd A. Nettement, który pierwszy zdefiniował trafnie wybitne cechy twórczości Balzacowskiej, zwrócił uwagę na jej mocne strony, miał już poczucie tego, na czem polega jej osobliwość i wyższość nad wieloma innemi w zakresie powieściopisarstwa. Sąd wszakże tego krytyka jest jeszcze zbyt ogólnikowy, przytem powściągliwy, dbały głównie o bezstronność, czuć, że to mówi człowiek, który niechce

się do niczego zobowiązywać, piszący w dodatku o pisarzu nie ugruntowanej jeszcze sławy. Są tu objawy sympatyi i pogląd bardzo jasny, nie ma wszakże podziwu, nie ma tego wzruszenia, jakiego się doznaje w obliczu rzeczy, porywających nas swoją potęgą, albo bardzo kochanych [1]).

Ciepłem, serdecznem uczuciem przeniknięte są stronice, poświęcone Balzac'owi przez T. Gautier'a, jednego z istotnych przyjaciół twórcy „Komedyi Ludzkiej." Jest to rzewne wspominanie chwil wspólnie przeżytych, chwil szczęśliwych, lubowanie się w kimś dla tego, że nam było z nim dobrze, że rzuca on urocze światło na nasz własny żywot. Poza tem jednak szkic Gautier'a, jest bardzo głębokiem wniknięciem w istotę geniuszu Balzac'a, szczęśliwą próbą wykazania jego cech szczególnych, dotarcia do ukrytych źródeł twórczości. Psychologia umysłu Balzac'a jest tu po raz pierwszy z całą przenikliwością zarysowana, sposoby tworzenia i właściwości procesów twórczych wybornie określone i odczute — rewolucya, dokonana w powieści przez Balzac'a, trafnie zcharakteryzowana. Wspomnienie Gautier'a jest bardzo dużym krokiem naprzód w rozumieniu i sprawiedliwem ocenieniu zarówno twórcy samego, jak i dzieła jego. Nie narzuciło się to jakoś świadomości ogółu, ani krytyki literackiej, może dlatego, że w studyum wytwornego autora *„Emaux et Camées"* zbyt wiele było pierwiastku osobistego, własnego żalu i rozrzewnień, że wyszło od przyjaciela i zanadto w tonie pobłażliwości przyjacielskiej było utrzymane.

Kto inny, w tym samym czasie, w którym Gautier wspominał Balzac'a, medytował na temat jego osoby i jego twórczości, zachwycał się nią w sposób bardziej przedmiotowy, badał jej przyczynę z sumiennością przyrodnika, zbrojnego w metodę naukową, z ukrytem w duszy uwielbieniem dla niezwykłości okazu badanego. Temu to badaczowi właśnie — a był nim H. Taine, który w 1858 roku drukował w „Journal des Débats" swoje znakomite studyum o Balzac'u — danem było popchnąć opinię krytyki o nim na tory właściwe, postawić go na tym stopniu, z którego wielkość i chwała jego stawała się wszystkim widoczną—niewątpliwą. Światło rozproszone przez Gautier'a, na postaci Balzac'a, w słynnym *Essais* Taine'a zostało skupione, podniosło blask wielkiego twórcy, aureolą nieśmiertelności osiadło na jego czole. Uwagi mówione nieraz mimochodem, zostały tu ujęte w formuły jasne i pełne zna-

[1]) Artykuły A. Nettement o Balzac'u, drukowane w *„Gazette de France,"* (1836 r.) przedrukował V. de Lovenjoul w swojej książce *„Un roman d'amour."*

czenia, ułatwiające zrozumienie wewnętrznej istoty twórczości Balzac'a. Zachwytom dano podstawę mocną, można było już się nie obawiać, że są w złą stronę zwrócone, można było im się oddać — bez ryzyka większego. Stąd wychodziło się z mocnem przeświadczeniem, o niezwykłości dzieła Balzacowskiego w porównaniu z tem wszystkiem, co w podobnym rodzaju istniało przed nim i współcześnie z nim—rozumiało się doniosłość dzieła tego.

Droga krytyce fachowej została wskazana, sądom powszechnym dodała opinia Taine'a pewności i polotu. Przeciętny czytelnik potrafi dziś, gdy mowa o Balzac'u, nazywać go: Napoleonem literatury, Tacytem epoki swojej, wie, że tak samo jak Szekspir, jest on „jednym z największych magazynów z dokumentami, dotyczącemi natury ludzkiej."

Od czasu wystąpienia H. Taine'a do dni dzisiejszych, studya nad Balzac'iem postąpiły bardzo, ramy ich rozszerzyły się znacznie; przybyło mnóstwo szczegółów, rozwiało się sporo wątpliwości i uprzedzeń. Nie zawsze wprawdzie te studya wypadają na wyłączną korzyść Balzac'a, nie zawsze bywały wywołane niezachwianem uwielbieniem dla twórczości jego. Ale, pomimo to, nie znać na nich obniżenia tego poziomu, do jakiego dociągnął krytykę literacką H. Taine. Owszem znać, że nawet wówczas, gdy czyni liczne zastrzeżenia i wytyka błędy, jest ona w stosunku do Balzac'a przejęta podziwem i uczuciem czci, że wzrusza się widokiem tytana zapracowanego na śmierć, ocenia męstwo, z jakiem wznosił swoje dzieło ogromne — i, pełna głębokiego zdumienia, umie stać przed niem i poddawać się jego urokom. W każdym razie przestał Balzac być, jak dla swoich współczesnych, owym *Monsieur de Balzac*, którego nawet dusze bratnie — jak pani de Girardin — pozwalały sobie traktować zbyt żartobliwie i anegdotycznie, którego można było klepać poufale po ramieniu—nawet kopać nogami brutalnie. Minęło to wszystko! Dziś stoją ludzie przed Balzac'iem, nie tylko jak przed postacią szczególniejszą, o której wiele rzeczy ciekawych da się powiedzieć, lecz jak przed wielkim pomnikiem, wzniesionym na cześć życia, jego żywiołom i prawom niezłomnym, na którego stopniach tłoczy się tłum ludzki, poruszany elementarnemi siłami istnienia, z odbiciem wiernem i przejmującem na obliczu jego niepokojów i cierpień, smutków ciężkich i radości znikomych, upadku i wielkości.

III.

Już Sainte-Beuve zaliczył Balzac'a do tego rodzaju pisarzy, których talent nie może być należycie zanalizowanym bez poznania tego, co nazywa ich „fizyologią i hygieną.“ Należy on do tych twórców, którzy całych siebie wkładają w dzieło własne, co tworzą mięśniami i nerwami swemi, krwią i duchem, wszelkiemi ich zaburzeniami i przypadłościami, nie zaś wyłącznie jakąś jedną najwyższą, oczyszczoną z wszelkich pierwiastków fizycznych, temperamentowych, siłą duchowej ich istoty. Bez poznania kompleksyi fizycznej Balzac'a, jego temperamentu, jego procesów fizyologicznych oraz ich związku z jego umysłowością, niepodobna wniknąć, jak się należy, w rodzaj jego twórczości, wyrozumieć charakter jego dzieła. Zajmowano się tą stroną przedmiotu dostatecznie; badania nie przeczą sobie, owszem przybywające coraz nowe szczegóły i fakty z życia Balzac'a, potwierdzają pierwsze obserwacye. Zwracam uwagę na wyniki tych poszukiwań, podkreślam rzeczy najważniejsze.

Temperamet namiętny i gwałtowny, wstrząsający się łatwo, o reakcyi wewnętrznej, niesłychanie intensywnej i szybkiej, o wyładowywaniach nerwowych, niezwykle obfitych, często powierzchownych. Z żywością temperamentu łączy Balzac wolę energiczną, charakter uparty, wytrwały w walce i skłonny do ataku, do działalności gorączkowej, wspieranej niewyczerpującym się zapałem wewnętrznym. Żyje bez przerwy, rzekłbyś, w ciągłem napięciu nerwów i wytężeniu mięśni, w jakimś paroksyzmie woli, myśli, uczuć.

Odciska to osobliwsze piętno na całej jego istocie moralnej, wytwarza odpowiednią wrażliwość, uczuciowość, pamięć, wyobraźnię, określa stopień i barwę wszelkich przymiotów duchowych.

Wrażliwość fenomenalnie czuła, odczuwająca życie świata zewnętrznego, innych ludzi, jakby swoje własne, wcielająca się z niesłychaną łatwością w duszę wszystkiego i wszystkich, aż do zupełnej zamiany własnej osobowości na inną. Opowiadają o Balzac'u, że raz, zauważywszy kogoś pokrytego dziurawemi łachmanami, zaczął siebie samego oglądać i dotykać, doznał bowiem uczucia, iż sam jest okryty podobnemi łachmanami. Zdając sobie sprawę z tego rodzaju wrażliwości na życie innych ludzi, pobudzanej tem, na co patrzał, słuchał, obserwował, powiada o tem w jednym z utworów swoich (*Facino Cane*): „przysłuchując się rozmowom tych ludzi (robotników), zlewałem się z ich życiem, czułem ich łachmany na swoich plecach, szedłem w ich trzewikach

podartych; ich pragnienia, ich potrzeby — wszystko to wchodziło w duszę moją, albo moja wstępowała w ich duszę.“

Rodzaj pamięci, jaką był obdarzony, charakteryzuje doskonale, kreśląc portret duchowy jednego ze swoich bohaterów (*Louis Lambert*): „pochłanianianie idej drogą czytania było u niego zjawiskiem nader ciekawem: wzrok jego obejmował od siedmiu do ośmiu wierszy odrazu, umysł zaś z podobnąż bystrością zdawał sobie sprawę z ich treści. Częstokroć jedno słowo zdania wystarczało mu dla uchwycenia jego sensu. Pamięć jego była cudowna. Przypominał sobie z jednakową dokładnością myśli, nabyte przez czytanie, zarówno jak i te, które mu podsunęła refleksya, bądź rozmowa. Posiadał wszelkie pamięci: miejsc, nazw, słów, rzeczy, postaci; nie tylko przypominał sobie na zawołanie wszelkie przedmioty, ale jeszcze oglądał je w sobie, w takiem oświetleniu i zabarwieniu, w jakiem były w chwili, gdy je po raz pierwszy zauważył. Władzę tę posiadał również, gdy chodziło o najmniej uchwytne akty myślenia...“

Niema w tem ani cienia przesady. Pamięć ma Balzac niepospolicie pakowną, żywą, wchłaniającą wszystko, długo utrzymującą w stanie świeżym, niezatartym to, co raz do niej przylgnie. Przytem sprawność niebywałą wszelkich zmysłów, chłonie wrażenia wszelkiemi porami, nasiąka niemi, jak gąbka—czy chce czy niechce. Cóż dopiero, gdy chce, gdy świadomie, z zamiarem z góry powziętym, zatrzymuje się na pewnych przedmiotach i zjawiskach. Dar asymilacyi ma ogromny, dar spostrzegania również, i to obserwacyi bardzo prędkiej, chwytającej w lot, to co mu trzeba, obejmującej od jednego rzutu oka całość rzeczy, przenikającej ją do rdzenia. Gdyby nie ta szybkość i przenikliwość, nie miałby możności odtworzenia i opisania takiej masy przedmiotów i ludzi, on, co nie wiele czasu mógł poświęcać ich oglądaniu, co znaczną część życia spędził przy biurku, oddany pracy zabójczej, która go pochłaniała zupełnie. Ciśnięty wcześnie w wir życia, przerzucany od jednego środowiska do drugiego, obciążany wszelkiemi ciężarami, kłopotami i troskami, nie ma umysłu swobodnego na studya, we właściwem tego słowa znaczeniu, jak Flaubert np., Zola i t. p., na obserwowanie staranne, uważne, systematyczne. A mimo to potrafił uzbierać zdumiewający zasób doświadczenia, nie ma prawie rzeczy, o której nie umiałby czegoś pewnego powiedzieć, którejby odbicia nie nosił w umyśle swoim. Zdobywał tę swoją olbrzymią wiedzę o ludziach i rzeczach w przelocie, mimochodem: tu w oko wpadnie mu jakiś przedmiot, bądź szczegół, ułamek jego jakiś, tam ucho dźwięk jakiś uchwyci, a już z tego powstają

w umyśle jego obrazy całkowite, dokładne. Skutkiem tego, dzięki potędze swego daru spostrzegania, jego rzutkości i obrotności, był bardziej zmieszany z rzeczywistością, niż nie jeden z tych, którzy mniej od niego byli z niej wyodrębniani.

Dar wnikania w dusze ludzkie, uprzytomniania sobie stanów ich życia ścisłego, posiadał w takim samym stopniu, jak i władzę spostrzegania świata zewnętrznego. Wchodził w dusze najrozmaitszych ludzi, utożsamiał się z niemi, odczuwał, myślał tak, jakby był z nimi. Zastanawiając się nad tem, powiada: „Jest-że to podwójne widzenie? jest-że to jeden z tych przymiotów, których nadużycie prowadzi do obłędu? Nigdy nie poszukiwałem przyczyn tej mocy; posiadam ją i posługuję się nią—oto wszystko.“ (*Facino Cane*). Jak w jednym, tak i w drugim wypadku, czy to chodzi o cechy zewnętrzne przedmiotu, czy też o jego duszę, nie potrzebują ogarniać całości rzeczy, wyczerpywać do dna jej treści, żeby ją poznać i przeniknąć. Byle miał o co zaczepić się, byle miał punkt wyjścia, resztę dorobi, uzupełni, we własnym umyśle wykończy, takim potężnym darem intuicyi był obdarzony, taką moc podwójnego widzenia posiadał.

Był wizyonerem, w sobie nosił i wciąż wytwarzał, na podstawie surowych materyałów masami napływających weń z zewnątrz, ludny świat istot żywych, obdarzając je pełniejszem i intensywniejszem życiem, niż to, jakie wieść mogły w rzeczywistości. Tak go stwarzanie ich nieustanne wciąż pochłaniało, tak był wytworami własnego umysłu przeniknięty, że stawały się one dla niego czemś rzeczywistszem, niż sama rzeczywistość, że zajmował się niemi, jakby należały do koła jego najbliższych znajomych. „Wszystko to bardzo pięknie—powiada do J. Sandeau, który opowiadał mu o chorobie siostry swojej — ale *powróćmy do rzeczywistości*, mówmy o Eugenii Grandet.“

Tu spotykamy się z jedną potężną władzą umysłu Balzac'a, która nie tylko na dziele jego wyciska znamienne piętno, nie tylko na niem odbija się często ujemnie, lecz i życie jego własne psuje nieraz i naraża je na klęski i wykolejenia rozmaite. Mam tu na względzie jego wyobraźnię—jej rodzaj. Niewchodząc w genezę wyobraźni Balzac'a, która ma swoją kolebkę tajemniczą w atawizmie, procesach psycho-fizyologicznych, poniekąd w psychologii pokolenia, do którego sam Balzac należał i t. p., gdy się zastanowimy nad nią w oderwaniu od tego wszystkiego, wyda się nam od pierwszego wejrzenia, jako zjawisko, zdumiewające swoją siłą, niezwykle złożone, chaotyczne i sprzeczne.

Rozwinięta na tle instynktów dość grubych, pozytywnych, na podścielisku temperamentu krewkiego, wulkanicznego, pozbawiona jest wyobraźnia Balzac'a miary, w równowadze rzadko się da utrzymać, przesadza i zmienia naturalne rozmiary wszystkiego. Żyje wstrząśnieniami gwałtownemi, jak opętana pędzi naprzód, zaludnia umysł halucynacyami i przywidzeniami wszelkiemi, potwornie wyolbrzymia kształty.

Jest materyalna, praktyczna, oddana ziemskim zabiegom, a zarazem dziecinnie marzycielska, nieprzewidująca, łudząca się na zabój, fałszywa.

Wierzy Balzac jej urojeniom, jej chimerom, wciąż je w życiu urzeczywistnia, niezraża się niepowodzeniem, gdy w zetknięciu z surową rzeczywistością rozsypują się w gruzy wzniesione przez nią konstrukcye fantastyczne, owszem zastępuje je uporczywie nowemi, upajając się z góry, eskontując odrazu wszelkie zyski, wszelkie rozkosze, jakiemi go mami, porywa i do karkołomnych przedsięwzięć zachęca. Tak było, gdy chodziło o urzeczywistnienie jego ideału dobrobytu materyalnego, gdy dążył do zaspokojenia ambicyi i pragnienia sławy, potrzeby miłości i t. p.

I jakże wreszcie ma nie wierzyć jej mirażom, kiedy one z taką siłą plastyki występują w jego umyśle, takim ognistym zarysem są tam obramione, tak żyją i krwią gorącą pulsują, że wprost ich pozbyć się z mózgu niepodobna, że, raz zrodzone, rządzą nim niepodzielnie, stają się czemś tak oczywistem, przekonywającem, że przeciwna im rzeczywistość nie może z nimi się mierzyć, nie posiada wobec nich najmniejszej wymowy. Z chimerami wyobraźni swojej tak się zżywa, tak z niemi bez ustanku obcuje, że gdy go ktoś od nich chce na chwilę odwieść, zdaje mu się, że go chce od życia, od ziemi oderwać – wówczas powiada: „powróćmy do rzeczywistości...“

Wyobraźnia Balzac'a jest dziwnem połączeniem kilku rodzajów wyobraźni. Jest ona plastyczną, t. j. taką, której cechą zasadniczą jest jasność i dokładność kształtów, składającą się z obrazów wyraźnych, z postrzeżeń, sprawiających wrażenie rzeczywistości. Przeważają w niej skojarzenia rzeczowe, dające się ściśle określić, pracuje ona z upodobaniem w sferze realnej, w dziedzinie interesów i zabiegów życiowych, praktycznych. Pomimo to, jest na wskroś romantyczną, układającą najosobliwsze historye i przygody, na rachunek pierwszej lepszej osoby spotkanej, na temat byle zdarzenia. Co więcej jest ona chimeryczną, usiłującą każdą konstrukcyę wewnętrzną – urzeczywistnić, zobjektywizować.

Nie trudno wyobrazić sobie, jaką będzie praca człowieka, który ma taką wyobraźnię niepohamowaną, bezładną i oszukańczą, umysł przeciążony miliardami faktów, wrażeń, odczuć, temperament wieczyście podniecony, który wreszcie stosuje fatalną hygienę, pracuje w nocy i zalewa się kawą czarną... Łatwo wyobrazić sobie, czem będzie dzieło jego—ile halucynacyj urzeczywistni, ile koszmarów wyprowadzi na scenę, jak kształty ludzkie wyolbrzymi i jakiem światłem uwodnem, łudzącem je otoczy. Szczęściem, że nie jedna z tych halucynacyj odbija świat rzeczywisty w sposób potężnie prawdziwy, że nie jeden koszmar wydobywa z głębin duszy ludzkiej, gdzie wzrok powierzchowny nie sięga, nieśmiertelną treść bytu, że nie raz, wbrew dążnościom stałym tej wyobraźni przesadnej, hypertroficznej, niektóre jej czynniki, jak ów cudowny dar wcielania się w życie istot najrozmaitszych i dar obserwacyi trafnej, w przerosłe kształty tworów Balzac'a wrzucą kruszec drogocenny, wyrwany z łona życia, mówiący o niem wprost, bezpośrednio, wyobrażający jego wartość najprzedniejszą.

IV.

Pochodzeniem romansu Balzac'a, wykazaniem wpływu wzorów swojskich i obcych, analizą początków jego twórczości, zajmuje się bardzo Le Breton w swojej pracy. Zagadnienie niewątpliwie ciekawe; można jednak doskonale wyrozumieć ducha twórczości Balzacowskiej bez odwoływania się do jej źródeł historycznych. Okazuje się, że w pierwszym okresie swojej działalności pisarskiej, w którym pisuje pod przybranemi nazwiskami lorda R'hoone'a albo Horacego de Saint-Aubin, miał Balzac mistrzów rozmaitych, których naśladuje. Są niemi przedewszystkiem popularni autorowie francuscy, twórcy romansu dla ludu, raczej dla pospólstwa, fabrykanci hałaśliwych lub ponurych ramot, wypełnionych cudownościami i nieprawdopodobieństwami wszelkiemi, Pigault-Lebrun i Ducray-Duminie, a także jeden z książąt melodramatu, autor cieszący się przez kilka pierwszych dziesiątków XIX w. niezwykłą sławą, Guilbert de Pixérecourt. Przejmuje się Balzac tem wszystkiem, co stanowiło podstawę romansu popularnego, wprowadza do swoich: patos brutalny, sentymentalizm łzawy, sytuacye naciągane, niespodzianki, nadzwyczajności wszelkiego rodzaju. Po za tem przejmuje się również manierą głośnych podówczas rozczochrańców angielskich, przedstawicieli twórczości koszmarowej, autorów po-

wieści straszliwych, wyładowanych niemożliwemi okropnościami i okrucieństwami wyrafinowanemi. Pani Anna Radcliffe, Lewis i Maturin, słynny autor „Melmoth'a czyli człowieka błędnego," którym za naszych czasów zachwycał się Oskar Wilde, dostarczają Balzac'owi natchnienia i pomysłów.

Z dokumentami w ręku wykazuje Le Breton, ile przyszły autor „Komedyi Ludzkiej" zawdzięcza tym niewybrednym pisarzom, o wyobraźni ordynarnej i przerażającej, jak ich sposoby twórcze i substancya przeszły do początkowych utworów Balzac'a, co więcej, że wyraźne ślady ich oddziaływań, ich machinacye tajemnicze, cudowności i okropności wszelakie, intrygi misterne i spiski zdradzieckie, możemy z łatwością rozpoznać na wielu arcydziełach nawet Balzacowskich; wykazuje ile wogóle miejsca zajmują w późniejszej jego twórczości, kiedy doszedł do pełni jej rozwoju i uświadomienia sobie tego, czem jest.

Wszystko to prawda! Tworzył pod wpływem tych autorów, przejmował się ich rodzajem popularnym, zapewniającym powodzenie w masach mało wymagających, naśladował ich nawet wówczas, gdy miał świadomość, iż tą drogą stwarza jakąś „*véritable cochonnerie littéraire.*" To wszystko widocznie oddziaływało na jego wyobraźnię i, jako środek, odpowiadało jego widokom praktycznym, chęci wybicia się na wierzch. Ale—można być przekonanym, i jest to moje zdanie, że bez tego rodzaju wzorów, bez większego przejęcia się niemi, Balzac tworzyłby tak, jak tworzył w zaraniu swojej karyery pisarskiej i niepotrzebowała jego twórczość nasiąkać tem wszystkiem za młodu, żeby tchnąć tem w okresie dojrzałym. Kto miał taką wyobraźnię, jak Balzac, kto naturalnym popędem własnej swej istoty był zwrócony do tematów i pomysłów, stanowiących istotę produkcyi literackiej wspomnianych autorów, ten mógł sam przez się stwarzać rzeczy podobne, lubować się w czarnych intrygach, duchach i peripetyach nadzwyczajnych. To, co przychodziło z zewnątrz, harmonizowało z jego własnemi upodobaniami, niewątpliwie zachęcało go i nastrajało odpowiednio, decydowała wszakże o wszystkiem wyobraźnia Balzac'a, znany jej rodzaj. Zresztą jakie wpływy i czynniki zewnętrzne, jakie wzory nie oddziaływały na Balzac'a w rozmaitych fazach jego życia twórczego!

Ot i sam badacz skrupulatny źródeł twórczości Balzac'a, zaraz może nam zaświadczyć, jak naśladowca potępieńczych romansów pani Radcliffe i Maturin'a, przejmuje się utworami realistów i romantyków angielskich, powieściami Richardson'a i Goldsmith'a, Godwin'a i Sterne'a, Walter Scott'a i Fenimore Cooper'a, ile im

zawdzięcza, jak „prawie na pamięć“ zna „Tristram Shandy“ i „Podróż sentymentalną“ Sterne'a. Następnie wykaże nam Le Breton; jak Balzac smakuje w dziełach naturalisty Rabelais'go i klasyka Molière'a, jak się sam chętnie wywodzi od Le Sage'a, i co mógł mu dać Diderot; jak bardzo odpowiada jego wrodzonym skłonnościom rozwichrzona romantycznie twórczość W. Hugo, i jak się przenika „naukowym“ duchem Cuvier'a i Geoffroy Saint-Hilaire'a, a nawet Gall'a, Lavater'a, nie gardząc... Brillat-Savarin'em...

To wszystko tylko wzmacnia nasz pogląd. Balzac'a można sobie doskonale wyobrazić bez tych tak rozmaitych i przeciwnych sobie oddziaływań i wpływów. Tem czem był—byłby, co do istoty swojej, i bez tego wszystkiego. W jego bujnej, wypełnionej aż nadto naturze, tkwiły najróżnorodniejsze usposobienia i skłonności, napięte były niezliczone struny. Właściwie był nieco albo w znacznym stopniu tem wszystkiem, co na niego z zewnątrz nacisk wywierało, ku czemu traf go zbliżał. Odzywał się na to wszystko—miał w sobie wszelkie klawisze, po których raz mocniej, raz słabiej uderzały rozmaite czynniki, okoliczności, wypadki. Przejmował się i wchłaniał wszelkie pierwiastki, jakie były w jego atmosferze, nigdy jednak nie dał się przeniknąć jakąś jedną treścią do tego stopnia, żeby wyrobić sobie jednostajność życia wewnętrznego, w jednem jakiemś usposobieniu skrzepnąć.

I czem sobie wytłómaczyć tego rodzaju niespodzianki w jego twórczości?

Oto jeszcze tkwi w „romansach“ popularnych i straszliwych, a już pisze tak rzecz niepodobną do nich, jak „Le Chouans“ i „Fizyologię małżeństwa“ (1829 r.). Zaledwie zaczął przejmować się utworami wybujałej romantyki, stwarza rzeczy tak odbijające jej ducha, jak „La Peau de chagrin,“ „Jésus-Christ en Flandre“ (1831) a potem „Louis Lambert,“ „Les Marana“ (1832) i t. p., aż tu nagle, jak Minerwa z głowy Jowisza, wychodzi arcydzieło realistyczne Balzac'a—„Eugenia Grandet,“ odznaczające się zrównoważeniem sił twórczych, czystością rodzaju, brakiem rozwichrzenia. Nie przeszkodzi mu to jednak w roku następnym znowu wsiąść na innego konika, nawet odrazu na dwa, gdyż w 1834 r. daje i „Poszukiwanie absolutu,“ i „Ojca Goriot.“ Zdaje się już dojrzał, już uświadomił sobie czem jest, w jakim kierunku ma iść i jakiemi siłami wojować. Takby się zdawało, ale jest zupełnie co innego, on jeszcze nie raz powróci do rozmaitych wzorów w rodzaju „Melmotha“ Maturin'a albo „Mumii“ Lewis'a, sam nawet, po arcydziełach swoich, napisze powieść „Melmoth pojednany“ i wiele innych utworów, stojących prawie na tym samym poziomie, przy-

pominających to wszystko, co pisywał pod przybranem nazwiskiem, będąc jeszcze początkującym, mało znanym autorem. Więc tak: wpływy wyraźne były, a on tymczasem tworzył rzeczy, nie noszące na sobie ich śladów; wpływy ustępowały, a on właśnie wówczas pisał tak, jakby one dopiero co zaczęły nań działać.

Szczególniejsza, przebogata, ale i bezładna nad wyraz organizacya twórcza, w której zmieszane było wszystko; czasami tylko następował w niej względny porządek i wówczas tworzyło się arcydzieło. Zresztą nie z tych lub innych wpływów czerpał on to, co uczyniło go jednym z największych twórców, nie tylko wieku swego, nie ze źródeł obcych wziął on to, co go czyni niezrównanym malarzem obyczajów. To wszystko było w nim, to zawdzięcza swoim samorodnym zasobom, swemu nieomylnemu zmysłowi życia, genialnej jego intuicyi.

W każdym razie nie wpływy obce i naleciałości zewnętrzne stanowią o znaczeniu historycznem dzieł Balzac'a, o ich doniosłości społecznej i wartości estetycznej.

V.

To wszystko rozważa, bardzo gruntownie i metodycznie, Ferdynand Brunetière. Można się nie godzić na autorytarno-akademicki rodzaj krytyki Brunetière'a, w tym wypadku wszakże nie jeden jego punkt widzenia należy uznać, tembardziej, że Balzac'a potraktował bez właściwego sobie pedantyzmu profesorskiego, że nawet, z całą niezawisłością zdania, umiał zasłonić dzieło jego przed zarzutami „niemoralności," on co tak zżymał się na tę twórczość literacką, o której powiada poeta-krytyk:

„Il n'est pas de *serpent* ni de *monstre odieux*
„Qui par l'art imité ne puisse plaire aux yeux..."

Pomimo swoich zewnętrznych związków z doktryną romantyzmu i skłonności romantycznych wyobraźni Balzac'a, sztuka jego zasadniczo różni się od sztuki romantycznej. Wyobrażenie życia obchodzi ją przedewszystkiem, nie zaś urzeczywistnianie pewnej postaci piękna. On, jakby zdawał sobie sprawę, że w dziedzinie sztuki „realizowanie piękna" odbywa się kosztem wierności w odtwarzaniu życia. Był on, w całem znaczeniu tego słowa tem, co dzisiaj nazywamy „naturalistą." Wychodził z zasad, że „istniały i istnieć zawsze będą gatunki społeczne, tak samo, jak istnieją ga-

tanki zoologiczne;“ że społeczeństwo stwarza z człowieka, zależnie od środowiska, w którem działalność jego się rozwija, tylu ludzi różnych, ile jest odmian w zoologii.“

Naturalistycznemi są powieści Balzac'a, co do intencyi i co do istoty swojej, godzą się z rzeczywistością życia naprzód dla tego, że wprowadzają na scenę rozmaitość warunków życiowych. Poprzednicy i współcześni Balzac'a (Chateaubriand, p. de Staël, G. Sand, Merimée i t. p.) jakby nie przeczuwali tego. Ich „bohaterowie“ są wyrzuceni za nawias życia, nie wiadomo w jakich warunkach, w jakim obrębie rzeczywistości rozwija się ich działalność. Oryginalność Balzac'a polegała na tem, że zrozumiał on, iż nie ma wiernego odtworzenia życia, bez wyobrażenia codziennej tkanki rozmaitych istnień ludzkich. On umiejscowił powieść w czasie i przestrzeni, on wywalczył dla ludzi i dla przedmiotów prawo stawiania ich we właściwem dla każdego otoczeniu, zlewaniu ich z tłem odpowiedniem, słowem istotne prawo „wyobrażania“ ich— prawdziwego przedstawienia. Sztuka jego wyróżnia się głębokiem poczuciem objektywności i bezosobowości, czem zwłaszcza powinien odznaczać się taki rodzaj literacki, jak powieść. Siebie samego nie bierze Balzac za przedmiot dzieł swoich, nie przywołuje stale nieznanych czytelników na świadków swoich marzeń niezisz-czonych i ambicyj chybionych. „Nigdy, od czasu jak istnieję — pisze do pani Hańskiej — nie mieszałem myśli mego serca z myślami umysłu mego, z wyjątkiem kilku wierszy napisanych jedynie dla tego, żeby pani je przeczytała, nigdy nie wyraziłem czegokolwiekbądź z serca swego. Byłoby to nikczemnem świętokradztwem.“ Pod tym względem jest przeciwieństwem romantyków. Jego wysoce inteligentna i nieustannie czynna ciekawość zwraca się do tego wszystkiego, co mogło interesować człowieka jego czasów; w ten sposób zwiększał podobieństwo zewnętrzne dzieła swego z życiem, dawał dziełu swemu podstawę, którą można nazwać „naukową,“ w tem znaczeniu, że powieści Balzac'a są po za opowiadaniem, również poszukiwaniami, badaniami. To czem są jego postacie, ich wygląd i sposób bycia, nie jest zdane na samowolę wyobraźni autorskiej. Ani ich mowa, ani czynności nie wyskakują raptem, jakby z jakiegoś pudełka z niespodziankami, lecz wypływają z całego ich istnienia, którego są przedłużeniem, dalszym ciągiem normalnym.

Z poczucia przedmiotowości i bezosobowości wynika to, że Balzac, jako malarz życia, abdykuje ze swoich osobistych upodobań i z zasady, unikając wyobrażania tego, co sam lubi, lub pragnie upiększyć, odtwarza przedewszystkiem „to, co jest“ i „dla

tego, że jest.“ Poddanie się bezwzględne obserwatora przedmiotowi obserwowanemu jest metodą, która odnowiła naukę. Tą samą metodą Balzac rozpoczął odnowienie sztuki teatralnej i powieściowej. Wynikają z tego poddania najrozmaitsze następstwa, między innemi to, że wybór przedmiotu, jego gatunek, stopień wartości i t. p. nie posiada tego znaczenia, co w sztuce klasycznej, a tembardziej romantycznej. Wszystko staje się „przedmiotem“ godnym artysty, byleby umiał tylko właściwie doń przystąpić—i to, jak ów przedmiot zostanie ujęty, zadecyduje o jego wartości i znaczeniu.

Balzac, wciągając w zakres i rodzaj sztuki swojej wszelkie pierwiastki, uznane niegdyś za niegodne jej majestatu, dokonał w swojej dziedzinie rewolucyi, podobnej tej, jaką malarze holenderscy XVII w., dokonali w malarstwie. Jak ci niezrównani naturaliści, którzy robili „portrety“ swoich współczesnych, niedających się poruszać niezgodnemi z ich zdrowym zmysłem życia chimerami, czy też obrazami przeszłości, od której co dnia się oddalali, tak samo postępował i Balzac, coraz bliżej podchodząc do rzeczywistości, co raz więcej wciągając w zakres swojej twórczości jej pierwiastków, nie oglądając się na to, skąd pochodzą i jak się mienią. Rolę swoją ściągnął do wyobrażania życia takiem, jakiem je widział, albo jakiem ono mu się wydawało, czyniąc nas sędziami realności swego widzenia. Dla tego, po to, żeby sąd nasz był bezstronnym — czynił je możliwie zupełnem, starał się, żeby można było przyznać wszelkim częściom życia nie jednakową wartość, gdyż to byłoby najmniej zgodne z rzeczywistością, lecz jednakowe zainteresowanie podczas obserwacyi, żeby w chwili oglądania nie można było zainteresować się bardziej jednem—mniej znów innem. Z takiego „poddania się autora przedmiotowi“ wynika najważniejsze następstwo, mianowicie to: że ponieważ żaden „przedmiot“ nie ma w sobie wartości bezwzględnej, interes jaki w nas dla niego się budzi, zależy w znacznej mierze od jego stosunku do innych przedmiotów. W oczach samego Balzac'a przedmioty jego utworów nabierają istotnego, zupełnego znaczenia swego dopiero w łączności ze sobą, w akcyi wspólnej.

Dlatego przypisuje taką wagę podziałowi swojej „Komedyi Ludzkiej“ na szereg scen: „Sceny życia paryskiego,“ „Sceny życia prowincyonalnego,“ „Sceny życia politycznego“ i t. p. Racya bytu ich polega na tem, że, oświetlając się wzajemnie, pozwalają szczegółom uczestniczyć w życiu całości; odtąd nie tylko to, co uważano za nic nie znaczące nie jest niem więcej, lecz w ogóle, jak w zoologii, niema rzeczy nic nie znaczących, wszystko staje na swojem miejscu, rozmieszcza się, porządkuje.

Oto głębokie, radykalne przeobrażenie powieści dokonane w XIX w. przez Balzac'a—oto szereg wartości literackich i estetycznych jego dzieła. Zostały one przez krytyka bardzo trafnie zdefiniowane, ale Brunetière, zachwycony przedewszystkiem „bezosobowością“ dzieła Balzacowskiego, tem, że jest ono przeciwieństwem „literatury osobistej“ „zarozumiałych nieuków,“ jakimi podług krytyka są romantycy, którym się zdawało, że ich własny geniusz wystarczy, zbytnio na to wszystko naciska, nie dostatecznie oświetlając inne strony sztuki Balzac'a. Komuś mogłoby się zdawać, że poddanie się przedmiotowi, pragnienie wyobrażania życia takiem, jakiem jest—równa się u niego jego niewolniczemu naśladownictwu, zbieraniu dokumentów, przepisywaniu dokładnemu poniekąd poszczególnych stronic księgi życia. Tu trzeba odrazu nieporozumienie rozproszyć. A naprzód, co do tego, że Balzac unikał mówienia o sobie, nie spowiadał się przed czytelnikiem. Niewątpliwie, nie zostawił ani jednego utworu, który byłby bezpośredniem wyznaniem, „konfesyą,“ w rodzaju „Delfiny“ p. de Staël, „Walentyny“ G. Sand'a, „Adolfa“ B. Constant'a i t. p. Do tego nie był stworzony, zanadto był pociągany światem szerokim, zanadto rozmiłowany w jego rozmaitości, żeby miał na sobie wyłącznie się zatrzymywać. Był geniuszem rozlewnym, prawdziwie bohaterskim, promieniejącym radośnie, patetycznie na wielką przestrzeń, w klatce „ja“ własnego nie potrafiłby długo przebywać—wyrwałby się natychmiast! Niemniej lubił siebie wspominać w dziele własnem, pośrednio mówił nawet o swoich „marzeniach niezisziczonych i ambicyach zawiedzionych,“ lubował się nawet w sobie, ale tak szczerze, naiwnie, hałaśliwie, bezwiednie, że chociaż go się łapie nieraz na tem, chociaż czuje się tu próżność i zarozumienie o sobie, nie mamy mu tego za złe, nie oburza to nas, gdyż nie ma w tem arogancyi, narzucania się dokuczliwego całemu światu.

Słynny portret własny, rozpoczynający się od słów: „*Une tête superbe: chevcux noirs*“ i t. p., tchnący zakochaniem się w sobie, wprost rozbroić może swoją dobroduszną, ciężką naiwnością. Bardzo często mówił o sobie i swoich sprawach w rozmaitych utworach. Echo jego burz miłosnych rozchodzi się po „*Le lys dans la vallée*;“ w „*Albercie Savarus'ie*“ znajdujemy jego ambicye polityczne; w „*Illusions perdues*“ mówi o swoich przedsiębiorstwach nieudanych, a i o straconej w zetknięciu się z życiem, wierze w czystość zamiarów ludzkich; w „*Gobseck'u*,“ „*Père Goriot*,“ „*Un homme d'affaires*“ i t. p. opowiada swoją walkę z wierzycielami, swój bój o pieniądz; w „*Le Cousin Pons*“ zwierza się ze swojej manii kolekcyonowania dzieł sztuki, pięknych sprzętów i t. p.

Wszędzie go znać, wszędzie cząstkę swej duszy zostawił, wszędzie się ona rozlewa za brzegi własne.

Po za tem jednak sztuka jego w istocie wspierała się na „bezosobowości“ i objektywizmie jaknajszerszym. Trzeba to wszakże należycie wyrozumieć. To „poddanie się przedmiotowi“—na co słusznie zwraca uwagę Brunnetière — nie było niewolą Balzac'a względem wzorów rzeczywistości, względem prawdy życia, którą chciał wyobrażać. Prawdę życia podpatrywał Balzac, obserwował, zbierał dokumenty, żeby ją uczynić zupełniejszą, ale te wszystkie szczegóły, świadectwa, materyały przerabiał w sobie, dodawał do nich siebie, słowem stwarzał je na nowo. Prawda ta była prawdą sztuki — nie zaś nagą prawdą natury. Balzac tę prawdę, to wszystko co wziął z życia w stanie surowym, umieszcza w odpowiedniej perspektywie, tu rzuci światło zbyt jasne, tam zbyt ciemne, tu coś podkreśli, tam powiększy, ówdzie rozszerzy, rzuca na to lub inne tło, podnoszące wyrazistość kształtów, akcentujące cechy i właściwości wybitne przedmiotów. Postacie jego utworów, ich charaktery są napiętnowane krańcowością. Odbijają rzecz poszczególną i ideę jego powszechną, łączą indywidualność z abstrakcyjnością, nie są to zwyczajne portrety, lecz zebrane w całość wszelkie cechy danego charakteru, pewnego typu gatunku ludzkiego.

Odczuwał doskonale ten rodzaj prawdy utworów Balzac'a taki nieposzlakowany artysta, jak T. Gautier, który twórczość autora „Komedyi Ludzkiej“ zestwiał z twórczością Michała-Anioła. Ludzie nie mają tylu i takich mięśni, jakiemi obdarza ich Michał-Anioł, jednakże wielki mistrz używał tego sposobu, żeby lepiej uwydatnić ideę siły. To samo robi Balzac — u niego mamy to stałe zastosowanie powiększania użytecznego. Nie było w tem fałszu, był tylko kąt widzenia artystyczny, użycie środków zgodnych z celami sztuki. Była przedmiotowość i prawda, ale nie obserwowana beznamiętnie, skopiowana niewolniczo, bez zmiany rozmiarów i stosunku wzajemnego, składających ją pierwiastków, lecz spotęgowana, doprowadzona do najwyższego stopnia swego wyrazu.

O sobie właściwym sposobie korzystania z rzeczywistości, z danych i faktów życia, które miał pod ręką, mówi Balzac doskonale w przedmowie do powieści „*Cabinet des antiques*.“ Wspominając o materyałach, które weszły w skład tego utworu, powiada, że „początek jednego faktu prawdziwego i koniec znów innego złożyły się na całość.“

Tak powinien postępować—dodaje—historyk obyczajów: *zadaniem jego jest zlewać w jeden obraz fakty analogiczne; czyż nie*

jest to jego obowiązkiem dawać raczej ducha, niż literę wypadków? on je syntetyzuje. Bardzo często trzeba wziąć kilka charakterów podobnych, żeby z nich stworzyć jakiś jeden. W tak złożonych całościach zdarza się często, iż głowa jakiegoś dramatu bardzo jest oddaloną od jego ogona. „*Questa coda non è di questo gatto*“— ten ogon nie należy do tego kota — powiada przysłowie włoskie. Tę samą uwagę można zrobić o postaciach powieści Balzac'a. Kto będzie tam szukał „swoich znajomych“ albo znajomych autora—co zdarza się często nawet ludziom, mającym pretensyę do rozumienia procesów twórczych, kto będzie dopatrywał się „rażących“ podobieństw pomiędzy postaciami utworów Balzac'a i ludźmi znanymi podówczas, ten nie raz dozna zawodu.

Oni tam są i nie są — nie są, gdyż Balzac zacierał zbyt indywidualne rysy swoich portretów, są — jako wcielenie pewnych idej, pewnych typów ludzkości.

Nie opisywał więc wyłącznie życia i wypadków, nie wciągał do utworów swoich, bez odpowiedniego przerobienia jej w sobie, rzeczywistości otaczającej. On zawsze tworzył, t. j. rozwijał logicznie dane doświadczenia, od prawdy szczegółowej wznosił się do prawdy ogólnej, stwarzał nieśmiertelne typy życia bieżącego i ujmował jego prawa. I dla tego to przedewszystkiem twórczość jego jest „przedmiotową i bezosobową,“ jest ona najwyższą postacią spostrzegania życia rzeczywistego, jego prawdy.

Doniosłość społeczna dzieła Balzac'owskiego wiąże się ściśle z powyższym charakterem jego twórczości. Nie polega ona na tych lub innych przekonaniach politycznych, religijnych, społecznych, jakim dawał wyraz w „Komedyi Ludzkiej,“ lecz na jego pojmowaniu życia i sztuki.

Balzac, jak to już zaznaczaliśmy, nie jest zbieraczem faktów i szczegółów życia, w guście zbieraczy marek i t. p., nie jest maniakiem kolekcyonistą „dokumentów“ życia, zgartującym ich jaknajwięcej dla samej przyjemności zbierania, dla tego, żeby mieć ich dużo, dla każdej sprawy i czynności ludzkiej, na wszelki wypadek. On zbierał te wszelkie „dokumenty,“ obserwował to wszystko, co było potrzebne dla urzeczywistnienia tego świata, którego koncepcyę nosił w głowie własnej. Posiadając swoją własną wizyę, niezawsze dokładną, niekiedy nawet chaotyczną, w każdym razie jednak całkowitą, „społeczeństwa we wszystkich jego fazach“—jak się wyraża w liście do p. Hańskiej z 1833 r.—dbał o to, by obserwacya dostarczyła mu środków, umożliwiających nadanie ciała wizyi owej. Obserwacya Balzac'a, będąc naturalistyczną, pod względem faktycznym, jest co do intencyi swojej społeczną, gdyż

ma zwróconą uwagę na człowieka społecznego, związanego tysiącem nici i więzów ze środowiskiem, w którem powstał. Bohaterowie Balzac'a żyją życiem, które można nazwać *par excellence* społecznem, którego wypadki nie zależą od nich samych, lecz od wpływów, okoliczności, warunków, w jakich są postawieni. Czynności ich wszystkich wzajemnie oddziaływają na siebie, nie ma tu uczuć, namiętności, myśli danego człowieka, funkcyonujących niezależnie, w oderwaniu od myśli, uczuć i namiętności innych ludzi, wchodzących w skład danego ogółu, stanu, zawodu.

Powieści Balzac'a są społecznemi w tem znaczeniu, że jednostki ludzkie nie istnieją tam niezależnie, po za tą sferą, której są reprezentantami, po za tem środowiskiem, z którego się wywodzą. Są one i dla tego jeszcze, że społeczeństwo odtworzone w jego dziele jest społeczeństwem całkowitem, zaopatrzonem we wszelkie organy, z których żaden nie jest rozważany oddzielnie lub dla niego samego lecz w stosunku do innych i w związku z całością.

Wszelkie elementy, z jakich się składa społeczeństwo współczesne, zostały w dziele Balzac'a postawione na właściwem każdemu miejscu, żadna ze sprężyn, poruszających życiem społeczeństwa, niezostała pominięta. Wszystko tu zostało związane w łańcuch przyczyn i skutków, źródła sił społecznych wykryte, kierunek ich działania—nakreślony, następstwa i przeobrażenia przyszłe przeczute.

To związanie wszelkich czynników życia ludzkiego w jeden system solidarny, głębokie poczucie ich zależności wzajemnej, ustrzegło Balzac'a od błędu przypisywania jakiemuś jednemu czynnikowi przewagi absolutnej nad innemi, uchroniło słowem od fałszywego wyobrażania życia. Takiego rozumienia życia, społeczeństwa i jego funkcyj, sztuki wreszcie — nie znała powieść przed Balzac'iem.

Twórcy, który tak jak on wszystko, co się działo w danem społeczeństwie—i w ogóle wśród człowieczeństwa—który wszystkie jego siły i czynniki widział we wzajemnej zależności, co życie rozważał, jako splot przyczyn i skutków, związanych solidarnością konieczną—próżną jest rzeczą czynić zarzuty „niemoralności," próżnem jest pytać, co się nieraz i obecnie krytykom przytrafia — czy dzieło jego jest szlachetnem, budzącem uczucia wzniosłe, dającem przykłady budujące?

Do Balzac'a i jego sztuki takich miar stosować niepodobna i niewypada. To dobre jest dla tych, którzy po za życiem stoją, co po za jego sferą wznoszą te lub inne budowle, wypełniając je subjektywnością własną, swojemi fantazyami, kaprysami i zbocze-

niami. Kto, tak jak on, ogarniał całość życia, kto jak wulkan wyrzucał z niego wszystko, całą jego lawę roztopioną, popioły, błoto—temu inna miara się należy!

To życia przedewszystkiem pytać należy, czy jest moralnem czy niem nie jest, czy jest w niem coś, co naszą wiarę krzepi, naszą duszę oczyszcza z brudu i uszlachetnia? Czyż wyobrażenie życia ma być moralniejszem od niego samego? Nie było winą Balzac'a, że to wyobrażenie życia, jakie znajdujemy w jego dziele, nie dociąga się do tego ideału moralnego, na jakim stoją nieraz ci, co nie licząc się z jego koniecznościami wszelkiemi, ze źródłami, skąd tryska i prawami, które niem rządzą, roją, żeby było w każdym instynkcie swoim bezinteresownem, w każdym czynie swoim szlachetnem, w każdej myśli—wzniosłem.

A zresztą, gdy chodzi o dzieło Balzac'a, o jego postaci poszczególne, nie o koncepcyę życia, która jest taką, jaką jest całość jego, t. j. naturalną i konieczną, zgodną z jego przyczynami genetycznemi, to w nich jest nieraz tyle wysokiej, budującej moralności, że w obec nich wszelka abstrakcyjna moralność blednie.

Czy jest coś bardziej budującego np. jak bohaterska rezygnacya i bezwzględna uczciwość szlachetnego bankruta, Cezara Birotteau, albo tragiczna, idealnie wierna, pełna zaparcia się siebie miłość Ojca Goriot dla córek swoich; czy jest coś bardziej czystego i wzniosłego w swojej skromności, jak uczucia Eugenii Grandet, albo bardziej podniosłego, skłonnego do cichych, bezgranicznych poświęceń, jak serca Ewy i Dawida Séchard'ów z „Illusions Perdues“ i t. p. Gdzie więcej podniosłości, pracy dumnej i wysiłków nieobliczonych na zysk, niedbałych o rozgłos i zapłatę, jak nie wśród tego koła młodych talentów, któremu przewodniczy d'Aither? („Illusions Perdues.“) Takich „moralności,“ całkowitych, nietkniętych, utrzymujących się w ogniu największych podłości i zbrodni życia, nie znajdzie się dużo w najmoralniejszych dziełach ludzkich!

Próżną rzeczą jest również dowodzić i skrzętnie wykazywać—w czem także krytyka się lubuje — ile razy i w jakich miejscach obserwacya Balzac'a nie zgadza się z rzeczywistością, odskakuje od prawdy życia. W szczegółach chybiał często, gdyż nie zawsze miał czasu tyle, by rzecz ze wszystkich stron obejść, nie zawsze miał myśl wolną, by drobiazgami wszelkiemi się zaprzątać. Ci, co tryumfują, gdy go przyłapią na jakimś błędzie zewnętrznym, co mu przebaczyć np. nie mogą tego, że jego hrabiny i księżniczki z wielkiego świata tak nieraz zachowują się, jak pomywaczki—zasłaniają sobie widok na istotną prawdziwość obserwacyj i in-

tuicyi Balzac'a. Jego księżniczki mogą wprawdzie nie raz wyrażać się niewłaściwie i zachowywać się niezgodnie ze zwyczajami sfery własnej, niemniej, gdy chodzi o ich duszę, o to czem są w istocie, czem są siły poruszające ich życiem głębokiem—są kreacyami, które tchną najczystszą prawdą, są nadto znakomitemi wykładnikami tych sił i czynników, jakie rządzą życiem ich sfery, w danej epoce i stadyum cywilizacyjnem. A przytem, te lub inne postacie jego utworów, są jeszcze nieskażonem wcieleniem tego, co w tym lub owym gatunku człowieka, w jego instynktach i uczuciach, jest pierwiastkowego, tego co nie przemija i obsłonkami zmiennemi nie da się przykryć.

Na przerost jego fantazyi, na jej dywagacye wszelkie, nie kładźmy również zbytniego nacisku. To, co było jej ujemnym wynikiem, nie stanowi bowiem o wielkości jego dzieła, zresztą bez tej przesady imaginacyjnej nie byłoby twórczości powieściowej.

Wogóle nie przywiązujmy wielkiego znaczenia do poprawności doskonałej, gdyż ta jest często cechą jałowych i bezpłodnych.

Nie był Balzac doskonałym — to prawda! Był jednak wcieleniem potęgi twórczej — dzieło zaś jego jaśnieje pięknem mocy rozrzutnej i głębi zawrotnej. To jest zasadnicze i najważniejsze!

Wł. Jabłonowski.

GOSPODARCZE NIEDOBORY
naszego kraju.[1])

Cechą gospodarczych potrzeb naszego kraju, zwłaszcza w zakresie rolnictwa (a ten mianowicie zakres obejmuje niniejsze studyum), jest to, że nie są one wynikiem normalnego funkcyonowania organizmu gospodarczego, lecz wyrosły na gruncie zastarzałych, chronicznych wad, niedomagań i chorób, które tak głęboko zaszły w sam rdzeń funkcyj życiowych, że i te potrzeby nie noszą charakteru codziennego odżywiania, lecz raczej są podobne w swej całości do potrzeby radykalnej kuracyi.

Organizm bowiem jest chory.

---

1) W połowie r. z. ukazało się wydawnictwo w języku rosyjskim, pochodzące ze specyalnego komitetu dla badania potrzeb rolnictwa. Nosi ono tytuł: *„Zbiór prac komitetów rolniczych w guberniach Królestwa Polskiego“* (po rosyjsku *Swod trudow* i t. d.), zestawił L. B. Skarzyński.

Publikacya ta zawiera wyniki prac komitetów rolniczych, które, składając się z ziemian naszych, przedstawiły w autentycznem oświetleniu stan rolnictwa naszego i jego potrzeby. W ten sposób dzieło to jest zbiorową księgą, w której każdy fachowy głos znalazł uwzględnienie.

„Zbiór prac“ jest pierwszorzędnem źródłem dla oświetlenia stanu kraju, posiada on bowiem w równej mierze autorytet publikacyi, pochodzącej od powołanych rzeczników sfer interesowanych, jak i powagę urzędowej publikacyi.

Z tego obfitego źródła czerpałem wszystkie *faktyczne dane*, zużytkowane w niniejszem studyum. Nie sięgałem z umysłu po inne źródła, aby nie zmienić faktu, że cały rzeczowy materyał, tu podany, pochodzi z urzędowej instancyi, specyalnie powołanej przez władzę najwyższą do zbadania potrzeb naszego rolnictwa.

I. Symptomy.

Tak jest. Nasz organizm gospodarczy jest chory, a symptomy świadczą, że nie jest to przemijająca dolegliwość, ale ciężka organiczna choroba.

Nasz kraj, w olbrzymiej swej większości posiadając ludność oddaną rolnictwu i związanym z niem gałęziom wytwórczości, opiera swe gospodarcze istnienie przedewszystkiem na rolnictwie. Symptomom choroby przeto należy się przyjrzeć przedewszystkiem w sferze produkcyi rolniczej.

Tu rzuca się w oczy niezwykły, a nawet wszelkiej logice wręcz przeczący stosunek rozmiarów wywozu i dowozu produktów rolnych [1]). Wywóz stale się zmniejsza. W r. 1894 wynosił (w liczbach zaokrąglonych i w milionach pudów)—4,2 miliony. W roku 1896 spadł na 3,5, a w r. 1898 na 1,8!

Natomiast dowóz do Królestwa nieproporcyonalnie wzrasta. Z 7,3 milionów pudów w r. 1894 skoczył na 21,5 w r. 1896, aby osiągnąć w r. 1898 imponującą cyfrę 25,6 mil.

Teorya czynnego bilansu handlowego, wedle której o zdrowiu i bogactwie gospodarstwa krajowego świadczy przewyżka wartości wywozu nad dowozem, jest błędną i uznana słusznie za taką w nauce została. Że jest błędna, doznała tego na sobie ku swej szkodzie Polska w XVI wieku, gdy swój świetny bilans handlowy, będący prawie unicum w rozwoju handlu wszechświatowego, okupiła stratą nie do powetowania: zanikiem drobnej własności ziemskiej.

Więc liczby powyżej przytoczone nie świadczyłyby jeszcze, same przez się, o rozstroju gospodarczym naszego kraju, gdyby w ogólnym bilansie sił i środków znalazły równoważnik. Znajdują zaś go tylko częściowo, w postaci wywozu produktów przemysłu krajowego. Lecz w ocenie liczb, illustrujących nasz wywóz i dowóz, uwzględniwszy nawet i ten czynnik, jak również i to, że pewna część, figurująca w pozycyi dowozu, jest faktycznie tylko tranzytem, zauważyć musimy nielogiczność tego dowozu w stosunku do potrzeb krajowych: wzrasta on bowiem szybciej i obficiej, niż wzrasta zapotrzebowanie.

---

[1]) Podług danych zebranych za okres 1894—97 przez W. Żukowskiego i za 1898 r. przez warsz. oddział T-wa pop. handlu i przem.

Siła spożywcza Królestwa Polskiego odnośnie do zboża powiększać się może rocznie najwyżej o dwa miliony pudów. Roczny przyrost naturalny ludności w naszym kraju, podług spisów dokonanych w r. 1890 i 1897 — wynosi 1,45%, czyli rocznie przybywa około 130 tysięcy mieszkańców. Licząc po 14 pudów rocznie na osobę, wzrost zapotrzebowania wyniesie najwyżej dwa miliony pudów. Ale chociażby dowóz wynosił tylko owe dwa miliony pudów, to i wtedy nawet stanąćbyśmy musieli wobec pytania, które dziś, gdy dowóz jest w rzeczywistości daleko większy, siłą rzeczy nam się narzuca: *czy wzrost spożywności nie mógłby być pokryty własnemi siłami kraju?*

A odpowiedź na nie brzmi, że niechybnie siły wytwórcze kraju wystarczyłyby na pokrycie wzrostu zapotrzebowania. W tem więc znaczeniu dowóz z Rosyi jest nieusprawiedliwiony i w tem właśnie tkwi fatalne, złowrogie znaczenie zestawienia cyfr dowozu i wywozu produktów rolnych.

*

* *

Czy kraj mógłby rozszerzyć, spotęgować zakres wytwórczości w sferze rolniczej!

Do spotęgowania wytwórczości prowadzi — w powszechnie przyjętem znaczeniu — jedna tylko droga: intensywniejszy system gospodarowania. Sztuka wydobycia z jednego i tego samego kawałka roli plonów o kilka, a czasem i kilkadziesiąt procent obfitszych, nie jest nową. Zastosowanie udoskonaleń technicznych, zastąpienie, choć w części, tańszą maszyną, drogiej pracy rąk ludzkich, wzmocnienie sił produkcyjnych roli, za pomocą sztucznych nawozów, zastosowanie wyników najnowszych zdobyczy wiedzy na polu wyboru nasion, rasy, inwentarza i t. d., wszystko to razem składa się na intensywność gospodarstwa i prowadzi do zwiększenia wytwórczości.

O tem wiemy. O tem wiemy również, że gdyby nie tysiączne przyczyny, składające się na całość, która nas oplata i ubezwładnia, to ten system, któremu na imię przedewszystkiem *oświata*, a na drugie imię *oświata zawodowa*, znalazłby drogę do naszego kraju. Na tym samym warsztacie rolniczym, który nam dziś dostarcza tysiąc ziarn zboża, osiągnęlibyśmy może tysiąc pięćset,

może dwa tysiące i zaspokoilibyśmy nasze potrzeby naszemi siłami.

Ale niemoc gospodarcza na polu rolnictwa ujawnia się u nas w zupełnie innej, bardziej lapidarnej, bardziej nieubłaganej formie. Już nie o zastosowanie środków, potęgujących intensywność chodzi, ale o umiejętność gospodarowania wogóle. W pewnych warunkach system ekstensywny może być bynajmniej nie gorszy od intensywnego. U nas zaś, na wielkich obszarach kraju, a mianowicie wśród drobnej włościańskiej własności, nie panuje *żaden* system: gospodarowanie jest nieekonomicznem marnotrawieniem sił produkcyjnych kraju. Przy wszelkim, aby tylko racyonalnym, systemie gospodarowania, moglibyśmy np. osiągnąć większą wytwórczość, gdybyśmy pod pług zajęli całą ziemię, jaka jest nam dana.

Jak świadczą obliczenia rad rolniczych Król. Polskiego, około 400 tysięcy morgów naszej ziemi, która dziś leży nieprodukcyjnie, możnaby zająć pod pług... Jesteśmy doprawdy, jak ów gospodarz, co swej roli nie obsiał, a piecze chleb z pożyczanego zboża.

Zresztą, to jeden przykład. Przykładów takich jest więcej.

*

* *

Jakim sposobem tyle ziemi marnuje się w kraju, w którym tylu bezrolnych i tylu emigrujących?

Na wytworzenie tej całej przestrzeni znacznych rozmiarów składają się rozmaite czynniki; rozmaitem jest zatem pochodzenie tej ziemi, co jak wyrzut sumienia staje nam na myśli, gdy czytamy o wzroście wychodźtwa z kraju.

Część, wielka część jej powstała po wycięciu lasów. Rabunkowy system gospodarki leśnej powstrzymało dopiero prawo 1 (13) lipca 1898 r. Ale tymczasem na obszarze Królestwa potworzyły się znaczne obszary po wycięciu lasów, obszary, leżące absolutnie nieprodukcyjnie, serwitutowe prawo włościan do wypasania bydła po lasach i nieużytkach uniemożliwia w danej miejscowości zalesienie na nowo tych obszarów, jak również nieużytków: bydło chętnie obgryza młode pędy i latorośle... A więc te setki tysięcy morgów leżą bezpłodnie, choć podatek skarbowy od nich się opłaca. W samej gub. warszawskiej obszary te wynoszą przeszło 34 tysiące morgów.

Drugą część ogólnej przestrzeni ziemi nieprodukcyjnej zajmują nieużytki w postaci zarówno błot i bagien, jak dróg, rowów, miedz i t. d.

Podług danych statystycznych T-wa Kredytowego Ziemskiego, w końcu 1892 r. wyłącznie tylko w majątkach obciążonych pożyczką Towarzystwa (a więc jeszcze nie wszystkich) było 409,940 morgów gruntów albo zupełnie niezdatnych do uprawy albo dających conajwyżej słaby urodzaj żyta. Całą tę przestrzeń, po osuszeniu objętych nią bagien i błot, możnaby zalesić.

Stosunek procentowy tych nieużytków do ogólnej przestrzeni waha się pomiędzy 4,2% (w guberni piotrkowskiej), a 6% (w guberni suwalskiej). W warszawskiej guberni stosunek ten wynosi 4,37% (t. j. 131,593 morgów), a w kieleckiej 4,4%.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Są okolice, w których, z powodu nieuregulowania rzek, zdarzają się systematyczne powodzie, zagarniając i niszcząc rolę na wielkich obszarach, uniemożliwiając wszelką na niej produkcyę. A dalej dla niektórych okolic są plagą piaski lotne, które, nie natrafiając zapory, przenoszą się z piasczystych ławic na urodzajną rolę i niweczą jej siły wytwórcze, tworząc z niej wydmy. W powiatach ostrołęckim i makowskim (gub. łomżyńskiej) piaski zajęły ogromne przestrzenie. W gminach Potok i Szydłów (stopnickim powiecie) setki morgów gruntów włościańskich zostały pochłonięte przez piaski lotne, przesuwające się powoli, lecz stale, wciąż dalej i dalej, jak powódź, wypierając, jak i ona, człowieka i jego pracę...

Lecz idźmy dalej, bo to jeszcze nie wszystko. Ziemia jest warsztatem, o który trzeba dbać, aby nie rdzewiał, a zarazem i kanwą, na której ręce ludzkie powinny zapełnić swą pracą każdy kącik, każdą piędź.

Tymczasem statystyka nam powiada, że oprócz tych wszystkich, wyżej wyszczególnionych, rodzajów nieużytkowania z tego warsztatu, jest jeszcze jeden. Łomżyńskie Towarzystwo rolnicze obliczyło, że miedze i drogi, prowadzące do oddzielnych działów gruntów włościańskich, zajmują w Królestwie około 760 tysięcy morgów, wartości 76 milionów rubli.

Wielka część tego obszaru, dziś nieprodukcyjna, dałaby się zużytkować przy zniesieniu szachownicy pól; te niezliczone bowiem, wąskie a długie paski miedz i dojazdów, przecinające wszerz i wzdłuż nasze role, są wynikiem rozrzucenia roli, należącej do jednego i tego samego właściciela, na dziesiątki cząstek, z których każda musi mieć swój dojazd i miedzę. Komasacya, znosząc sza-

chownicę, oddałaby pod pług dziesiątki tysięcy ziemi, dziś leżącej odłogiem...

Myślałby kto doprawdy, że my mamy tyle ziemi, iż możemy być rozrzutni i setki tysięcy morgów w naszym bilansie możemy pomijać, jakby ich nie było!

A tymczasem jesteśmy krajem, który niemal całemu światu dostarcza swych wychodźców, krajem, który posiada zaludnienie 89 ludzi na wiorstę kwadratową i musi sobie sprowadzać obce zboże...

A więc z jakichże powodów to wszystko dzieje się tak, jak się dzieje? Dlaczego olbrzymie przestrzenie po wyciętych lasach nie zostają zalesione? Dlaczego nie osuszamy błot i bagien! Dlaczego nie przeprowadzimy komasacyi, któraby nam pozwoliła oszczędniej szafować z przestrzenią pod drogi, dojazdy i miedze? Dlaczego lotnych piasków nie umiejscowimy przez przytwierdzenie ich do ziemi zapomocą drzew? Dlaczego nie przeprowadzimy regulacyi rzek? Dlaczego?

Ileż to takich „dlaczego“ od pół wieku i dawniej napróżno wydostaje się z naszych ust, nie budząc żadnego echa, jak dźwięk w próżnię rzucony!

Przestrzeni po wyciętych lasach zalesić nie można, bo serwituty przeszkadzają.

Do osuszenia błot i bagien zabrać się nie możemy dlatego, że dzieło to przerasta ogromem swoim siły jednostek. Do tego potrzeba zrzeszeń, trzeba kooperacyi. I te nawet w wyjątkowych razach mogą coś zdziałać, o ile rząd nie przyjdzie z pomocą czynnie i biernie. Przecież niema dotąd prawa, regulującego używanie wód, odprowadzanie wód z bagien, przekopywanie kanałów! A jeśli mowa o zrzeszeniach, któreby takiej olbrzymiej pracy podjąć się miały, jak osuszanie błot i bagien, to czyż wolno nam w praktyce myśleć o tem, jeśli nawet zawiązywanie mizernych kółek rolniczych natrafia na przeszkody?

A to samo, co się tyczy tu bagien, tyczy się i regulacyi rzek, i zahamowania ruchów piasków lotnych... Tu jednostka jest bezsilna; zagranica nam jest przykładem, gdzie do tego rodzaju zadań zaprzęga się i inicyatywa prywatna, i działalność kooperatywna, i opieka prawodawcza, i czynne współdziałanie rządu; a te wszystkie czynniki zaledwie starczą do przezwyciężenia trudności...

Po brzegach Narwi, Bugu, Bobra i innych rzek, ciągną się smugą odwieczne moczary: coby z nich można było zrobić za łąki, jak powiększyć majątek narodowy, jak rozszerzyć zakres wytwórczości krajowej! Lecz próżne marzenie, wszystko rozbija się, jak o mur.

Fryderyk II przed stu laty z okładem, zagarnąwszy część naszej ziemi, znalazł takie obszary błotniste, nieproduktywne nad Notecią. Olbrzymią smugą nadnoteckie trzęsawiska ciągnęły się w poprzek prowincyi, którą sobie był przywłaszczył. Ale on wiedział, co z tem zrobić. On się tem zajął, aby je osuszyć i po niewielu latach sam, oglądając swe dzieło, mógł rzec o sobie, że stworzył z niczego nową prowincyę. Dziś te obszary nadnoteckie to najbogatsze przestrzenie Księstwa, najlepsza ziemia, najlepsze łąki... Złoto się tam rodzi pod nogami.

*

* *

Nasz warsztat rolniczy, jak widzimy, poczęści rdzewieje, poczęści jest nieczynny. Przyjrzyjmy się teraz ludności, dla której rola jest tym właśnie przyrodzonym warsztatem.

W gospodarstwie społecznem tkwi ta sama żelazna logika, która rządzi w dziedzinie nauk ścisłych. I ta żelazna logika właśnie sprawia, że pomiędzy stanem uprawy ziemi, a wszechstronną sytuacyą ludności, której ta ziemia jest matką, istnieje współmierność. Na roli w ten sposób uprawianej, jak widzieliśmy, nie może siedzieć ludność zamożna, silna i dobrze się odżywiająca, bo pomiędzy rolą a człowiekiem, drogą ciągłej pracy i oddziaływania wzajemnego na siebie, zadzierzgnąć się zawsze musi tajemny węzeł: losom jej odpowiadają, aczkolwiek w innej sferze, losy jego, a jej krzywda—krzywdą jego stać się musi niechybnie.

Czyż więc w tem co dziwnego, gdy statystyka nam powie, że z pomiędzy 7,4 milionów [1]) ludności naszej, związanej z rolą i jej losami, aż 5 milionów albo wcale nie posiada roli, albo też posiada ją w rozmiarach poniżej 15 morgów?

Stosunek liczebny tak się przedstawia: bezrolnych jest około 2-ch milionów; prawie 1 milion mieszkańców (na 156,721 zagrodach) posiada mniej, niż po 3 morgi na zagrodę; zaś dwa miliony (334,244 zagród) posiada od 3-ch do 15 morgów.

Dla wszystkich tych ludzi ziemia jest w najlepszym razie macochą, bo ich nie nakarmi do syta: chłop, posiadający mniej

[1]) W r. 1897.

niż 15 morgów, nie może się z samej roli wyżywić, mui szukać ubocznego zarobku.

Pomiędzy „najedzeniem się do syta“ w znaczeniu pospolitem, a „najedzeniem się do syta“ w znaczeniu nauki o gospodarstwie społecznem, zachodzi kapitalna różnica. Należy tu tę różnicę podkreślić. W pierwszym przypadku chodzi o wrażenie subjektywne, w drugim o objektywne. Najeść się do syta można i kartoflami i, jeśli o to chodzi, to nasz chłop przyzwyczaił się już nawet do tego. Ale subjektywne wrażenie najedzenia się nie jest jeszcze miarodajnem dla ekonomisty. W ekonomii chodzi w danym przypadku o to, aby organizmowi ludzkiemu dostarczyć tyle substancyj odżywiających, aby z nich organizm wydobył wystarczające pokrycie wyekspensowanych zasobów, nie potrzebując naruszać żelaznego kapitału zdrowia.

Tu formuła chemiczna decyduje o wszystkiem, i formuła chemiczna tego, co nasz chłop jeść powinien, a co je faktycznie, wykazuje stały niedobór. Niedobór ten pokrywa się tem właśnie naruszaniem żelaznego kapitału zdrowia, o którem mówiliśmy powyżej. Źle odżywiający się chłop podatniejszy jest wobec wszelkiej choroby; krócej żyje. U nas śmiertelność dzieci jest większą, niż w innych krajach, które nam zazdroszczą silniejszego pędu do przyrostu naturalnego ludności; śmiertelność wogóle jest większą, a tłómaczy się to, jeśli nie w większej, to przynajmniej w równej mierze, niedostatecznem odżywianiem się ludności i brakiem wszelkich warunków sanitarno-hygienicznych.

A przedewszystkiem — chłop źle odżywiający się, źle pracuje. Aby mieć siły do pracy, trzeba dobrze jeść. Żaden dorożkarz nie zapomina o tym aksyomacie, bo prędkoby się poznał na nim po szkodzie, gdyby chciał kosztem głodzenia konia robić oszczędności. Takim koniem, który nie może szybko ciągnąć wozu, bo jest niedostatecznie odżywiany, jest nasz chłop. Leniwym z natury nie jest, a jednak do pracy bierze się ospale, wydajność więc pracy jest niewielka przy niewielkiej intensywności: najlepszym dowodem fakt, że umowy akordowe, t. j. od sztuki, są niepopularne wśród robotników rolnych.

Najlepszem świadectwem posuwającej się degeneracyi jest okoliczność, że Królestwo Polskie dostarcza najwyższego w Państwie rosyjskiem procentu niezdolnych do służby wojskowej; a śmiertelność (wskutek chorób infekcyjnych) jest dwa razy większa, niż w całej Rosyi.

Tymczasem, czem być może nasz chłop przy pracy, gdy warunki pracy, życia i zwłaszcza odżywiania się, są lepsze, o tem

przekonywujemy się z życia wychodźców naszych np. w Ameryce. Tam chłop polski uchodzi za najbardziej energicznego, niezmordowanego pracownika, który zapałem do pracy i zdolnością wytrwałości w pracy fizycznej przewyższa nie tylko Włocha, ale Irlandczyka i Niemca.

Degeneracya fizyczna jest objawem z punktu widzenia ekonomii społecznej równie ujemnym, jak np.: brak komunikacyi, wyjałowienie ziemi i t. d. Największym bowiem kapitałem w gospodarstwie społecznem jest sam człowiek. Bogactwo narodów zależy nie tylko od tego, jakie one u siebie zastosują ulepszenia techniczne w produkcyi, jaki system gospodarowania wprowadzą, ale bardziej jeszcze od tego, czy wychowają sobie ludność zdrową, pracowitą, silną. Jeśli degenaracyę rasy koni zapisujemy na rachunek strat gospodarstwa krajowego, to o ileż słuszniej mamy prawo zapisać symptomy fizycznego skarłowacenia rasy ludzkiej na to samo konto!

*

* *

Jeśli uznamy za zasadę, że dopiero od 15 morgów wzwyż drobna własność może istnieć, nie dorabiając na utrzymanie drogą ubocznych zarobków, to się okaże, że około 3 milionów mieszkańców zaliczyć należy do małorolnych, do proletaryatu rolnego, który nie jest w stanie utrzymać się ze swej pracy na swym kawałku roli, niezależnie od tego, że istnieje 2 miliony ludności bezrolnej.

Jakiż jest los tej ludności, jakaż jej rola w gospodarstwie społecznem? Część przechodzi do zajęć przemysłowych (przytem nadmiar sił w przemyśle wytwarza z proletaryatu rolnego - proletaryat miejski); część opuszcza granice kraju nazawsze; a część, nie mając dość przedsiębiorczości, aby zdecydować się na jedno lub drugie, przymiera głodem.

W pierwszym dokonywa się proces, którego wyniki w ogólnym bilansie gospodarczym zależą od konjunktury przemysłowej; w drugim wypadku widzimy zupełną utratę części sił produkcyjnych kraju; w trzecim—częściową ich utratę przez złe odżywianie się ludności.

Ankiety, dotyczące odżywiania się ludności naszej na roli, wykazują, że odżywianie to jest niewystarczającem: prowadzi ono prostą drogą do zmniejszenia sił produkcyjnych kraju.

Do tego samego wyniku—aczkolwiek inną drogą—prowadzi emigracya. I ta jest na naszym gruncie jedną z form zmniejszenia sił produkcyjnych kraju, a zarazem symptomem organicznej choroby ustroju gospodarczego.

Na emigracyę nie można i nie należy zapatrywać się apodyktycznie: nie jest to objaw, który bezwzględnie, w każdem stadyum rozwoju, należy uważać za szkodliwy lub korzystny. Ocena w każdym przypadku opierać się winna na uwzględnieniu warunków organizmu, na którego tle emigracya się dokonywuje. W pewnych bowiem okolicznościach emigracya zarobkowa może być przejawem tkwiącej w każdym normalnie się rozwijającym organizmie siły ekspansywnej. Nie inaczej jak drogą emigracyi, drogą zakładania kolonij po za granicami kraju ojczystego, rodzaj ludzki opanował kulę ziemską. Ale emigracya, podobną będąc do upustu krwi, tem się też odznacza, że na nią bez szkody pozwolić sobie mogą organizmy zdrowe, którym ten upust będzie raczej podnietą do szybszego przekształcania materyi, niż osłabienia. Dla organizmów anemicznych upust krwi zabójczym stać się może.

Przedewszystkiem parę liczb.

Widzimy dwa zasadniczo różne rodzaje emigracyi: wewnętrzną i zewnętrzną. Wewnętrzna, w postaci odpływu ludności rolnej ze wsi do miast, nie wchodzi tu w rachubę. Zewnętrzna, t. j. emigracya za granice kraju przedstawia kilka typów: 1) stałe przesiedlenie się na zachód i do Ameryki, 2) sezonowe wychodźtwo do Niemiec na lato, 3) wychodźtwo w głąb Rosyi.

Emigracya ludności wiejskiej do Niemiec zaczęła się szybko rozwijać po r. 1885, t. j. po wprowadzeniu ceł na nasze zboże, co wywołało zniżkę cen na nasze produkty rolne. Niezależnie od tego, w okresie 1889—1892, rozwinęła się silnie emigracya do Ameryki. W jednym tylko 1889 r. wyemigrowało do Ameryki 17 tysięcy ludzi. Ruch ten jednak słabnął stale aż doszedł liczby 4½ tysięcy w okresie 1895—1898.

Natomiast stale się zwiększał ruch emigracyjny do Niemiec (zarówno w formie emigracyi stałej, jak sezonowej). Miarą tego wzrastania niech będzie fakt, że w r. 1890 wyemigrowało 19,836 ludzi, zaś w r. 1901 już 139,796 — słabnięcia zaś tego ruchu nie widać.

W emigracyi tej bierze udział przeważnie ludność bezrolna i małorolna. Największego kontyngensu emigrujących dostarczają

gubernie: płocka i kaliska, te zaś posiadają najwięcej małorolnej ludności.

Równolegle z tem wychodźtwem na zachód rozwija się wychodźtwo—na wschód, w głąb Cesarstwa. Jest to ruch, datujący się od niedawna i dlatego mało zbadany. Popularnem jest u nas zapatrywanie, że jest to emigracya przeważnie inteligencyi, która otrzymuje w Cesarstwie dobre posady na urzędach. Jest to złudzenie, gdyż liczebnie najsilniejszą warstwę wśród wychodźców stanowią bynajmniej nie urzędnicy lecz klasa pracująca fizycznie, z małymi wyjątkami, nie uświadomiona narodowo.

Spis ludności z r. 1897 wykazuje na obszarze rdzennej Rosyi (po za granicami dawnej Rzeczypospolitej) 370 tysięcy Polaków. Zważyć jednakowoż należy, że liczba ta jest bezwarunkowo przynajmniej o połowę za niską, ponieważ opiera się na odpowiedziach na zapytanie: jaki język ojczysty? Wobec braku uświadomienia w klasie robotników, a zależnego stanowiska (na urzędach) w inteligencyi, nie ulega wątpliwości, że co najmniej połowa nie została przypisana do narodowości polskiej, jakkolwiek do niej faktycznie należy. Z drugiej strony liczbę tę zredukować należy w stosunku do Królestwa, tyczy się ona bowiem zarówno Królestwa, jak Litwy, Rusi i Podola.

W każdym bądź razie ta wszechstronna emigracya jest uderzającym symptomem ciężkiego przesilenia gospodarczego, nikt bowiem kraju nie opuszcza, kto ma w kraju dość pola do pracy i stworzenia dobrobytu.

Wychodźtwo należy uważać za objaw bezwarunkowo szkodliwy (jakkolwiek nieuchronny wynik sytuacyi) zarówno z narodowych, jak i ekonomicznych względów. Z narodowych — ponieważ skazuje on na wynarodowienie się setki tysięcy członków społeczeństwa; — z ekonomicznego dlatego, że zabiera ono krajowi ludność przedewszystkiem energiczną, rzutką, przedsiębiorczą, a zatem taką która najpożyteczniejszą byłaby w kraju. Zabiera ją przytem i w latach kiedy człowiek jest najproduktywniejszy. Emigrują przeważnie ludzie młodzi—od 18 do 28 roku życia.

W ten sposób, przez masową emigracyę zmienia się na niekorzyść kraju liczebny stosunek pracujących członków społeczeństwa do tych, którzy z powodu swej młodości, lub starczego wieku, już w produkcyi udziału nie biorą. Narody słowiańskie i tak odznaczają się tem, że na każdą setkę mieszkańców przypada więcej dzieci i starców i wogóle nie biorących udziału w produkcyi, niż u innych narodów. Stosunek ten zmienia się wskutek emigracyi jeszcze bardziej na niekorzyść kraju.

A przytem zauważyć trzeba, że emigracya zabiera z kraju pewną liczbę, powiedzmy wręcz, *wartości*. Wartością bowiem niezaprzeczoną jest w bilansie gospodarstwa krajowego *człowiek*, zwłaszcza w latach, gdy jest w pełni sił i zdrowia. Społeczeństwo w ten lub inny sposób poniosło nań pewne koszta od samej chwili jego przyjścia na świat, aż do chwili kiedy zaczął brać udział w wytwórczości. W ten sposób każda jednostka reprezentuje wobec kraju jakby pewien dług, zahypotekowany na niej, który powinien przynosić procenty i amortyzować się z biegiem czasu. Emigracya, odprowadzając z kraju te żywe kapitały, faktycznie kraj uboży i w niczem się nie różni od emigracyi kapitałów martwych.

*

* *

Wszystkie symptomy, któreśmy omówili dotychczas, dotyczyły prawie wyłącznie klas pracujących fizycznie. Zachodzi zatem pytanie, czy wszystkie ujemne objawy należy zapisać na rzecz ogólnej sytuacyi całego kraju, czy też na rzecz upośledzającego pewne klasy ludności podziału wyników produkcyi. Czy ta nędza ludności prowadzi przynajmniej do bogactw klasę wielkich właścicieli? czy jest ona wynikiem nienormalnego podziału produktów wytwórczości krajowej i upośledzenia jednych warstw na rzecz innych, czy też wynikiem rozpaczliwej sytuacyi gospodarczej *całego* kraju, — sytuacyi, która swym ciężarem legła na warstwach wszystkich i prowadzi do zubożenia wszystkich?

Należy bez wahania dać odpowiedź twierdzącą na to ostatnie pytanie: sytuacya większej własności jest zupełnie tak samo smutna, jak drobnej.

Przedewszystkiem rzuca się w oczy fakt, zawsze dający do myślenia: niezmiernie *częste przechodzenie* własności ziemskiej z rąk do rąk, nie oparte bynajmniej na spekulacyi ziemią, lecz wywołane niemożnością utrzymania się. Objaw to zawsze dla losów rolnictwa krajowego zgubny, ziemia bowiem nie może przechodzić, jak pieniądz, z rąk do rąk, lecz wymaga zrośnięcia się z nią, przylgnięcia do niej, jak do żywego organizmu.

Ręka w rękę z częstą zmianą właścicieli idzie inny objaw zastraszający: *dewastacya*. Ta oznacza już bezpośrednią szkodę gospodarstwa krajowego. W równym szeregu z nią idzie *likwi-*

dacya wielkiej własności, po bezowocnych wysiłkach utrzymania się przy ziemi — po wysiłkach, w których natężeniu sił po jednej stronie odpowiada w tych warunkach najczęściej nietylko zupełna bezowocność, ale wręcz szkodliwość stosowanych rozpaczliwych środków utrzymania się przy własności.

Likwidacya przybiera u nas coraz wyraźniej formę parcelacyi pomiędzy włościan. Sam Bank włościański rozparcelował już około 8% obszaru wielkiej własności (po rok 1899).

Dalszym znamiennym objawem wypadku jest wzrastające *odłużenie* wielkiej własności. Według obliczeń T-wa kred. Ziem. w Królestwie dobra ziemskie (których oszacowanie wskazuje sumę 299,181, 411 rb.) obciążone były d. 14 listopada 1903 długiem samego tylko Towarzystwa w wysokości 122,776,297 rb.

Wysokość pożyczek po za Towarzystwem wynosi według szacunku niektórych, drugie tyle.

Wszystko najwymowniej świadczy o nienormalnych warunkach produkcyi. Gdyby w normalnych warunkach odpłynęła za granicę w postaci emigracyi taka ilość rąk robotniczych, jaką zabiera emigracya naszemu rolnictwu, stawiając je w bardzo kłopotliwe położenie, — to niechybnieby wpłynęło na podniesienie skali zarobkowej w kraju. U nas zaś ta emigracya do tego wyniku nie doprowadziła, bo niska skala zarobkowa pozostaje w zależności zupełnej od obecnego przesilenia w rolnictwie i podnieść się nie może, gdyż produkcya przestaje już gdzieniegdzie się opłacać.

*

* *

Wszystkie te niepomyślne objawy składają się na całość, której na imię: *cofanie się wytwórczości rolniczej, zanik produkcyi rolniczej kraju.*

Zanik ten ujawnia się w całej pełni, jeśli pod innym kątem widzenia spoglądać będziemy na stan rolnictwa w naszym kraju,— a mianowicie, gdy się przyjrzemy poszczególnym gałęziom wytwórczości.

Przedewszystkiem zaznaczamy, że wydajność jest u nas niższa niż gdzieindziej. W Królestwie wynosi ona 4—5 ziaren, w Prusach—7, 5; we Francyi—8; w Belgii 12,7, w Anglii 13,6.

Najważniejszem źródłem dochodu we współczesnej gospodarce rolnej są zawsze gałęzie pomocnicze, które w dobrze zorganizowanej całości składają się na budowę sharmonizowaną, opartą na nawzajem uzupełniających się wszystkich działach, przez co produkcya staje się ekonomiczną t. j. koszta obniżają się do minimum.

Racyonalnie prowadzone gospodarstwo rolne opierać się więc musi na hodowli bydła. Wobec niskich cen zboża konieczność uwzględnienia hodowli bydła w Królestwie występuje tem jawniej. A jednak ta niezmiernie ważna gałęź gospodarstwa rolnego u nas upada.

W gospodarstwach intensywnie prowadzonych na Zachodzie wartość produktów hodowli bydła wynosi przynajmniej 40% całej wartości. U nas wartość ta dochodzi najwyżej, (i to tylko w większej własności) do 15%. Co się tyczy włościańskich gospodarstw, to wiadomo, że wielka ich liczba jest zupełnie pozbawiona krów i koni.

Od roku 1870 do 1899 ilość bydła rogatego wzrastała o trzy razy powolniej niż dokonywa się przyrost ludności, zaś w Niemczech przyrost bydła dokonywał się w tymże czasie dwa razy szybciej niż u nas.

Co do jakości—to zaznaczyć należy, ze przeciętna waga żywej odchowanej sztuki wynosi w Królestwie najwyżej 700 funtów, podczas gdy w Niemczech przeciętna dochodzi do 1,100. Zaś roczny przeciętny udój nie przenosi 1000 litrów, podczas gdy w Niemczech dochodzi do 2000 litrów.

To samo widzimy i w hodowli trzody chlewnej. W ciągu lat trzydziestu (1870—1899) przyrost wynosi zaledwie 8% [1]). W tymże czasie w Niemczech przychówek ten był *dziesięćkroć* liczniejszy.

Co się tyczy hodowli owiec, to liczba owiec nietylko względnie, ale absolutnie się zmniejsza. W omawianym okresie (1879—1899) liczba owiec zmniejszyła się o 33,8%. Zmniejszanie to wciąż postępuje. W gub. kieleckiej w r. 1893 było jeszcze 144,085 szt. podczas gdy w r. 1902 pozostało już tylko 89,000 sztuk.

Jedynie hodowla koni wykazuje znaczniejszy przyrost (2,8% rocznie), co się jednak tłómaczy większem zapotrzebowaniem na cele przemysłu fabrycznego.

Pomocnicze gałęzie gospodarstwa rolnego, jak np. ogrodnictwo, sadownictwo, uprawa jarzyn, również są w zaniku. Jak stwierdza memoryał T-wa roln. kieleckiego, rozmiary produkcyi

[1]) W r. 1870 było 1,194,415 sztuk, w r. 1899 zaś 1,192,752.

w tych gałęziach nie wystarczają nawet na pokrycie miejscowych potrzeb gubernii, skutkiem czego wiele owoców dowozić trzeba co rok z zagranicy. Mniej więcej to samo da się powiedzieć i o innych guberniach Królestwa.

Również w opłakanym stanie znajduje się w Królestwie gospodarstwo nabiałowe. Istnieją pewne zaczątki w miejscowościach podmiejskich, ale zakładów mleczarskich na większą skalę, obliczonych na zaopatrywanie dalszych rynków zbytu, jest zaledwie kilka.

2. Przyczyny.

Wszystko, cośmy dotychczas powiedzieli, dotyczyło właściwie symptomów. Rozważania nasze rozpoczęliśmy od twierdzenia, że gospodarcze potrzeby Królestwa nie należą do rzędu potrzeb, wynikających z normalnego rozwoju życia, lecz dadzą się umotywować jedynie nienormalnym jego biegiem.

Widzieliśmy symptomy choroby. Wskazują one jasno na zastarzałe organiczne cierpienia ustroju gospodarczego.

Z natury ich opłakanych skutków wynika, że muszą to być przyczyny, które działały w ciągu całych dziesięcioleci, tworząc trwałe a wadliwe podłoże dla całego ustroju gospodarczego.

Przyczyny te w jednem słowie dla nas zamknąć się dadzą: *polityka gospodarcza państwowa*, a raczej *brak jej*.

Dotykając tego przedmiotu wtrącić na wstępie tu trzeba kilka zasadniczych uwag w kwestyi stosunku władzy państwowej do gospodarstwa społecznego.

Tylko nieznajomość istotnego stanu rzeczy może zrodzić, dość popularne zresztą, przypuszczenie, że społeczeństwo w drodze samopomocy jest w stanie zaspokoić wszystkie swe potrzeby gospodarcze, byleby tylko — jak się u nas dodaje w tym razie — rząd nie przeszkadzał zdrowej akcyi społeczno-gospodarczej, rozwijającej się samorodnie w społeczeństwie.

Twierdzenie to jest zasadniczo i faktycznie błędnem. Zasadniczo dlatego, że wskutek coraz bardziej skomplikowanego ustroju życia gospodarczego państwo nowoczesne tem się właśnie różni od dawnego, że podczas gdy dawne było kreacyą tylko polityczną, dzisiejsze, właśnie z tytułu tego rozwoju, objęło funkcye gospodarcze. Faktycznie zaś twierdzenie to jest błędne dlatego, że na każdym kroku napotykamy w naszym organizmie gospodarczym zadania, które się inaczej rozwiązać nie dadzą, jak tylko przy współdziałaniu rządu. Jak sobie np. wyobrazić przeprowadzenie

melioracyj rolniczych w wielkim stylu bez udzielenia kredytu melioracyjnego przez państwo? Jak przeprowadzić osuszanie błot i moczarów bez prawnego uregulowania tej kwestyi, która potrąca o tysiączne, a sprzeczne interesy prywatne, i tak samo, jak i zniesienie szachownicy, uwzględnić musi możliwość przymusowego wywłaszczenia?

Zapewne, sfera w której społeczeństwo samo drogą samopomocy może kwestye swego bytu gospodarczego rozwiązać, nie jest mała; prawdą jest również, że najlepsza opieka państwowa nie wprowadzi społeczeństwa na drogę rozwoju, o ile społeczeństwo samo o sobie nie myśli, ale z drugiej strony polityka gospodarcza władz państwowych jest dzisiaj jednym z czynników, które określają bieg rozwoju—jednym z warunków, na których się on opiera.

Gdy porównamy z państwami zachodnio-europejskiemi Rosyę pod tym mianowicie względem, ujrzymy (mowa tu o całem państwie, nie wyłącznie o Królestwie) że w państwach Zachodu gospodarcze względy nadają niejako ton całej polityce wewnętrznej i (zewnętrznej nawet),—podczas gdy w Rosyi polityka trzyma się dawnych fiskalno-biurokratycznych tradycyj i dąży do gospodarczych celów tylko zgrubsza. Podczas, gdy na całym świecie podatki przestają być sposobem napełniania skarbca rządowego, a stają się najważniejszym w polityce społecznej środkiem proporcyonalnego rozłożenia ciężarów, stosownie do zamożności — w Rosyi względy fiskalne przeważają.

A co przedewszystkiem rzuca się w oczy przy tem porównaniu — to ogromna ruchliwość polityki społeczno-gospodarczej na Zachodzie, a zupełny jej brak w Rosyi.

W państwie rosyjskiem na każdym kroku potrącamy o różne przepisy prawne, dziś przestarzałe i stające się zawadą i przeszkodą życiu, które je dawno wyprzedziło. A z drugiej strony spotykamy na każdym kroku pełno luk w prawodawstwie, zwłaszcza ekonomicznem—luk, które pochodzą stąd, że życie wysuwa coraz to nowe sytuacye i wytwarza coraz to nowe formy, które wymagają uwzględnienia w prawodawstwie. Prawodawstwo powinno być zawsze odbiciem samego życia, gdyż całokształt norm prawnych w zasadzie powinien być syntezą istniejących warunków, na ich gruncie zrodzoną i do nich przystosowaną. Prawo powinno się dać życiu wyprzedzać stale o krok jeden, ale nie o stulecie. A czyż nie o stuletnim zastoju świadczy np. w państwie rosyjskiem brak należytego ustawodawstwa ochronnego robotniczego? Czyż nie na bolesną ironię zakrawa fakt, że np. dla Królestwa obowiązującem jest wciąż jeszcze prawo z 1818 r. w kwestyi ure-

gulowania upustu wód na roli. Od tego czasu technika rolnicza olbrzymie zrobiła postępy, — okazała się potrzeba nietylko odprowadzenia zbytecznej wody z roli (ten wypadek jedynie przewiduje prawo), ale i rozprowadzania wody w celu wzmocnienia żyzności, — a tego wypadku prawo z r. 1818 oczywiście nie zna.

Ta apatya prawodawstwa gospodarczego, które zbywa wszelkie nowe potrzeby rozwoju poprostu niczem, jest cechą polityki ekonomicznej rosyjskiej.

Ale tylko wobec Cesarstwa. Wobec Królestwa polityka ta jest bezczynną i brak jej tylko o tyle, o ile nie jest wręcz wrogą.

Tak więc na tle polityki gospodarczej kwestye zasadnicze bytu naszego przedstawiają się w dwóch grupach: grupę pierwszą stanowią potrzeby, wyrosłe na gruncie *braku* polityki państwowej; zaś grupę drugą stanowią potrzeby i bóle, wywołane bezpośrednio przez *szkodliwą* politykę rządu.

Do kwestyi pierwszej kategoryi należą: *serwituty; szachownica; brak kredytu* melioracyjnego dla własności większej i dla drobnej; *komunikacya*.

Do kwestyi drugiej kategoryi należą: ograniczenia prawne własności włościańskiej, taryfy kolejowe, polityka podatkowa, przeszkody stawiane samopomocy w formach współdzielczych.

3. Serwituty.

Któż nie zna, kto nie słyszał o tej bolączce naszego rolnictwa? Istnienie serwitutów, bardziej niż jakakolwiek inna nienormalność, zaciężyła na rozwoju rolnictwa krajowego.

Serwituty, których wprowadzenie datuje od ukazu 2 marca 1864 roku, są przeżytkiem fazy pańszczyźnianej. Polegając na nadaniu włościanom prawa częściowej używalności dworskich pastwisk i dworskich lasów, są zrozumiałe na tle ustroju pańszczyznianego i emfiteutycznego prawa władania ziemią — lecz są rażącym anachronizmem w fazie, która opiera się zasadniczo na uznaniu całkowitych praw własności prywatnej. W systemie własności prywatnej istnienie serwitutów wytwarza wyłom, który się z ogólną zasadą pogodzić nie da. Naszym współczesnym pojęciom obce jest pojęcie takiej własności prywatnej, co do której po za właścicielem przysługuje komu prawo używalności.

Jako taki anachronizm, wytwarzają serwituty na każdym kroku sytuacye, sprzeczne z zasadniczym prądem i myślą przewodnią ustroju gospodarczego.

Jedną z tych najogólniejszych szkodliwych konsekwencyj jest osłabienie pojęcia i poczucia własności prywatnej wśród szerokich mas i to mas najmniej inteligentnych. Pojęcie własności prywatnej z natury rzeczy osłabiać się musi, napotykając na każdym kroku taką rażącą sprzeczność z zasadą własności, jaką tworzą serwituty.

Ale to jest tylko najogólniejsza strona kwestyi.

Istnieją bardziej realne, bardziej namacalne wyniki serwitutów w sferze stosunków społecznych. Serwitut, jako prawo używalności, przysługujące włościanom w stosunku do gruntów dworskich, prowadzić musi siłą rzeczy do ciągłych zatargów pomiędzy obiema stronami interesowanemi. Zatargi te, powstając na tle ekonomicznem, wskutek stałego trwania podsycających je przyczyn, przeradzają się wreszcie w antagonizm całych klas społecznych — w antagonizm drobnej, chłopskiej własności przeciwko własności wielkiej, dworskiej.

Obie te warstwy, związane wspólnością zadań gospodarczych i glebą, która dla nich wspólnym jest przyrodzonym warsztatem, zamiast utrzymywać braterstwo, odpowiadające charakterowi ich pracy, z tytułu serwitutów sztucznie wytworzoną waśnią się dzielą.

I trzeba było zaiste wiele poczucia obywatelskiego w klasie naszych właścicieli większych, wiele poświęcenia interesów własnych na rzecz dobra społecznego, i wiele dążenia do oświaty, aby przynajmniej choć w części sparaliżować te zgubne wyniki waśni klasowej, aby utrzymać znośne stosunki i zapobiedz nieobliczalnym niebezpieczeństwom, które dla kraju wyłonić się będą mogły z tej waśni chaty i dworu, opartej na sztucznem podłożu serwitutów.

Przechodząc do charakterystyki wyników ekonomicznych istnienia serwitutów, nie chcemy stawać na stanowisku interesów jednej warstwy. A więc pomijamy wyniki serwitutów dla wielkiej własności, a to tembardziej, że uzasadniać ich szkodliwość dla gospodarstw folwarcznych, byłoby to wybijać drzwi otwarte.

Na jedno wszakże należy zwrócić uwagę: a mianowicie, że serwituty uniemożliwiają przeprowadzenie jakiejkolwiek ekonomicznej gospodarki na obszarach, których dotyczą. Jakiż bowiem właściciel będzie się starał o zapobieżenie wyjałowieniu pastwisk, jeśli plony z tej jego pracy nie on, lecz ktoś trzeci będzie zbierał? Jakiż właściciel będzie się starał o zalesienie nadających się do tego obszarów, jeśli wie, że mu włościanin wpędzi niebawem swoje bydło na te obszary?

W ten więc sposób, li tylko z punktu widzenia ogólnej produkcyjności naszej ziemi, serwituty prowadzą do wyników ujemnych.

Czy zaś dają korzyści włościanom, którym przysługują?

Znawcy naszych stosunków rolniczych twierdzą, że nie — i niewątpliwie mają racyę.

Praktyka wykazuje, że większość gospodarstw włościańskich, posiadających prawo serwitutowe na pastwiskach dworskich, dąży do utrzymania nie takiej ilości bydła, któraby odpowiadała rozmiarom jego gospodarstwa, a tem samem jego potrzebom, lecz przez nieekonomiczną chęć wyzyskania swego prawa w całości, utrzymuje największą ilość bydła, jaką na dworskich pastwiskach wypasać może, nie myśląc o tem, że nie posiada wcale wystarczających zapasów paszy suchej dla wyżywienia inwentarza w zimie. To też prowadzi to nietylko do obciążania gospodarstw włościańskich ciężarami ponad siły, ale do głodzenia bydła i wreszcie sprzedaży za bezcen.

Ale i w czasie używalności pastwisk serwitutowych bydło się głodzi, ponieważ właściciel pastwiska nie zajmuje się wcale jego melioracyą, wskutek czego następuje wyjałowienie. Degeneracyę naszego inwentarza, zwłaszcza w gospodarstwach włościańskich, przedewszystkiem serwitutami objaśnić można. Źle odżywiane bydło nie daje zaś roli w postaci nawozu tego zasiłku, który dla niej jest niezbędny, zwłaszcza wobec przyjętego u włościan systemu trójpolnego, który sam ze siebie prowadzi do wyjałowienia roli.

Pomiędzy gospodarstwami, korzystającemi z praw serwitutowych, a temi, które praw tych nie posiadają, zachodzi pod względem dobrobytu i stanu gospodarki tak wielka różnica na korzyść ostatnich, że bez wahania uważać należy zniesienie serwitutów za konieczność, od której zależeć będzie poprawa bytu samychże włościan.

Serwituty zostały zaprowadzone jako *tymczasowy* środek uregulowania sytuacyi włościan po uwłaszczeniu. W artykule 12 ukazu zapowiedziano nawet specyalne przepisy, które zapewnią właścicielom majątków, obciążonych serwitutami, możność ich usunięcia.

Tymczasem minęło tak lat czterdzieści z okładem a serwituty w dalszym ciągu krzywdzą kraj zarówno materyalnie, przyczyniając się do zmniejszenia jego sił wytwórczych, jak i moralnie, wytwarzając wreszcie źródło waśni między dworem a chatą.

Drogą dobrowolnej umowy od r. 1864 do 1869 zniesiono około 10% serwitutów. Lecz następne lata nie posuwały rozwiązania

tej sprawy w tem samem tempie, tak że dziś z pierwotnej ogólnej liczby pozostało nieuregulowanych serwitutów pastwiskowych — 41,24% i leśnych — 33,4%.

Liczby te są dowodem, że na rozwiązanie kwestyi serwitutowej drogą dobrowolnej umowy liczyć nie można. Kraj ma zatem prawo żądać i wymagać, aby znaleziono inne drogi.

4. Szachownica.

W gubernii Łomżyńskiej istnieje wieś—mniejsza o jej nazwę—w której do gospodarzy włościan należy 1200 morgów roli. Gospodarstw jest 27, ale części roli są tak podzielone i przemięszane w szachownicę, że każdy z gospodarzy posiada po kawałku roli przeciętnie w 30 miejscach. Ogółem jest 810 działów najrozmaitszego kształtu.

Przytoczony przykład jest uderzający, ale nie jest wyjątkiem, aczkolwiek za typ go uważać nie można. W gubernii Łomżyńskiej trzy czwarte całego obszaru (a więc przeszło 1,300,000 morgów na 1,756,206 m.) stanowi szachownicę.

Wprawdzie w innych guberniach Królestwa szachownica nie wżarła się tak głęboko w ustrój rolnictwa, jak w Łomżyńskiej, niemniej jednak stanowi wszędzie poważny czynnik, którego wyniki na każdym kroku spotykamy.

Wyniki to opłakane.

Przedewszystkiem bezpośrednim wynikiem szachownicy jest utrata znacznych obszarów ziemi na drogi, dojazdy i miedze, wskutek rozległości granic. Łomżyńskie Towarzystwo rolnicze obliczyło, że miedze i drogi, prowadzące do oddzielnych działów gruntów włościańskich zajmują w Królestwie około 760 tysięcy morgów. Obszar ten wskutek szachownicy nieproduktywny, przedstawia wartość 76 milionów rubli.

Dalszym wynikiem szachownicy jest niepotrzebne zużywanie energii wytwórczej na dojazdy. Gospodarz posiadający rolę nie w jednym kawałku, lecz w dwudziestu cząstkach, rozrzuconych po całym obszarze wsi, marnuje nieproporcyonalnie wiele czasu na przejazdy z jednego na drugi kawałek. Ponieważ zaś w celu dokonania sprawiedliwego podziału, spadkobiercy dzielą się rolą zazwyczaj krając ją wzdłuż, na wąskie paski, szerokości nieraz jednej skiby, a długości wiorst paru, — prowadzi to do nowego marnotrawstwa roli: w różnych okolicach bowiem wąskość pasków jest tak znaczną, że sąsiedzi się dzielą—jednego roku obsiewa je-

den, a na drugi rok drugi, obaj bowiem obsiać nie mogą, gdyż nie miałby dostępu do swej roli pierwszy, gdyby obsiał swoją drugi. Co więcej, wskutek wielkiej rozciągłości tych pasków, części bardziej oddalone obsolutnie nie opłacają kosztów przewozu i utraty czasu, zużytego na drogę. Nader częstym jest fakt, że bardzo oddalone od zagrody cząstki pozostają odłogiem, bo korzyść, jaką z ich obsiania możnaby osiągnąć, nie pokrywa kosztów dowozu nawozu i drogi, którą musiałaby odbyć czeladź dla uskutecznienia robót rolnych.

Wyniki pośrednie szachownicy są jeszcze gorsze. Przy szachownicy, zwłaszcza przy utrudnionym dojeździe, jest rzeczą wręcz niemożliwą dla pojedyńczego gospodarza wprowadzenie jakichkolkolwiek korzystnych zmian do tego systemu gospodarowania, jakiego się trzyma gromada, ponieważ, gdyby się chciał wyłamać z pod przyjętej tradycyi i wprowadzać nowe ulepszenia, jego zasiewy musiałyby ulegać uszkodzeniom przy uprawie gruntów sąsiednich. System gospodarowania staje się zależnym od systemu w działkach sąsiednich, a to unicestwia wszelką inicyatywę energiczniejszych jednostek i stawia nieprzezwyciężone przeszkody w podniesieniu ogólnego poziomu produkcyi.

Już w r. 1841, przy oczynszowaniu włościan w majątkach skarbowych zaprojektowano i faktycznie osiągnięto „usunięcie szkodliwej dla rolnictwa szachownicy," ponieważ przy jej istnieniu nie jest możliwe prawidłowe płodozmienne gospodarstwo na roli.

Szachownica jest dla rolnictwa zjawiskiem tak szkodliwem, że Towarzystwo kredytowe ziemskie ocenia ziemię, będącą w szachownicy, o 50% niżej, niż ziemię, która stanowi jedną całość. Odpowiada to zresztą zupełnie doświadczeniom gdzieindziej robionym: według oficyalnych pruskich źródeł rola po przeprowadzeniu komasacyi, a więc zgrupowaniu w jedną całość, daje przeciętnie 30% dochodu więcej, a wydatki na uprawę zniżają się o 4 m. 28 fen. na hektarze, co odpowiada 91 kop. na mordze.

Szachownica pośrednio oddziaływuje szkodliwie i w innym kierunku. A mianowicie, wobec zmian i chwiejności granic, wytwarza się chwiejność samego stanu posiadania, znajdująca smutny refleks w postaci ciągłych zatargów sąsiedzkich, procesów i pogwałceń praw własności.

Szachownica, oczywiście, nie jest zjawiskiem, naszemu tylko rolnictwu właściwem; przyczyny, które ją u nas wywołały, a mianowicie działy spadkowe, parły w tym samym kierunku i wszędzie indziej. Ale różnica pomiędzy krajem naszym, a innymi krajami jest ta, że podczas, gdy za granicą rządy uznały całą donio-

słość kwestyi tej i zajęły się interwencyą z ramienia państwa, u nas władze rządowe pozostały bezczynnym świadkiem wżerającego się zła.

Ta indolencya zresztą jest charakterystyczną cechą polityki państwowej w państwie rosyjskiem, o ile chodzi o sprawy gospodarcze.

Usunięcie szachownicy bez pomocy państwa jest rzeczą prawie niemożliwą, wymaga bowiem specyalnych norm prawodawczych, ułatwiających uchwałę a w danym razie przymusowe wywłaszczenie. O ile tych norm niema, o tyle każda komasacya rozbić się może o opór jedynej jednostki, nie chcącej zamienić swych działków na inne. Dodać trzeba jeszcze, że komasacya natrafia na wielką trudność w postaci zakazu nabywania ziemi włościańskiej przez niewłościan, — jak niemniej w postaci wielkich kosztów technicznych nieodłącznych od komasacyi.

Interwencya państwa jest więc w tych warunkach niezbędną, a samopomoc może mieć znaczenie tylko półśrodka.

Lecz, jak się okazuje, nawet na samopomoc w tym razie, jak i w wielu innych, rząd patrzy podejrzliwie: znane są wypadki, że tranzlokowano księży za to, gdy się gorliwie zajmowali oświecaniem włościan, jak wielką krzywdę rolnictwo ponosi przez szachownicę... A przecież oświecenie ich właśnie co do tego punktu jest warunkiem niemniej koniecznym, jak interwencya władz państwowych!

Czyż można zatem się dziwić, że olbrzymia większość włościan w naszym kraju sprzeciwia się z uporem, zrozumiałym u mas ciemnych, wprowadzeniu jakichkolwiek zmian w istniejącym stanie rzeczy?

5. Kredyt.

O ile zgodzimy się na zasadnicze stanowisko, uznane już zresztą powszechnie przez naukę, że państwo należy do rzędu kategoryj gospodarczych, a władza państwowa ma—obok innych swych zadań—do spełnienia zadania i funkcye ekonomicznego charakteru, to uznać musimy prawidłową organizacyę kredytu za jedną z najważniejszych funkcyj nowożytnego państwa w sferze jego gospodarczych funkcyj.

Istnieją bowiem w wytwórczości krajowej niejednokrotnie takie warunki, wśród których dalszy rozwój i byt całych gałęzi produkcyi, staje się zależnym od tego, czy one się zdobędą na

przeprowadzenie kosztownych reform i zmian produkcyi, które dziś pochłaniają olbrzymie sumy, a oddają je w formie stopniowego zwiększenia produkcyi bardzo powoli, nieraz w okresie dłuższym, niż życie jednego pokolenia.

Tak się przedstawia np. sprawa melioracyj w rolnictwie, które wymagają olbrzymich nakładów, a których plony nie są widoczne natychmiast, jakkolwiek jeszcze nawet i wnukowie dzisiejszego pokolenia korzyści z nich będą odbierać.

W tych więc warunkach, gdy wchodzi w grę przyszły rozwój i gdy pokolenia przyszłe nie mniej będą zainteresowane od współczesnych tem, jak się wywiąże teraźniejszość wobec nastręczających się zadań, do których rozwiązania siły prywatne nie starczą, musi państwo zająć się sprawą i przeprowadzenie niezbędnych inwestycyj ułatwić.

W niedawnej przeszłości naszego kraju mamy żywe dowody, że nasze autonomiczne władze w ten właśnie sposób zadanie władz państwowych pojmowały i zadaniom na tem polu potrafiły sprostać.

Po powstaniu 1830 r. rolnictwo nasze przechodziło ciężkie przesilenie. Że nie doprowadziło ono do ekonomicznych katastrof, zawdzięczać to należy jedynie interwencyi władz krajowych.

Hr. Henryk Łubieński, kierownik Banku Polskiego z wielką energią rozpoczął działać w myśl potrzeb kraju. Zapomocą umiejętnej organizacyi kredytu potrafił nietylko ożywić przemysł fabryczny, ale i podnieść rolnictwo. Jak wszechstronną i żywą była działalność Banku Polskiego w tym kierunku, widzimy z tego, że dla zaradzenia brakowi żywego inwentarza u rolników, Bank sprowadzał z południowo-zachodniach gubernij Cesarstwa ogromnemi partyami bydło rozpłodowe i sprzedawał je na kredyt, na najprzystępniejszych warunkach, miejscowym rolnikom. W ten sam sposób dopomagał do zaprowadzenia ulepszonych narzędzi rolniczych i dachów ogniotrwałych. Niemniej energicznie popierał budowę kolei podjazdowych i wogóle gospodarczych ulepszeń. Z kredytu melioracyjnego, utworzonego na potrzeby rolnictwa w Banku Polskim przez Radę państwową Królestwa Polskiego, rolnicy korzystali w tak szerokim zakresie, że na pożyczki w celu zakupu wyłącznie tylko narzędzi rolniczych wyasygnowano blisko 5 milionów rubli od r. 1833 do 1879.

Że działalność ta w wysokim stopniu przyczyniła się do dobrobytu kraju, zbytecznem byłoby dodawać.

I w dzisiejszych czasach rolnictwo nasze znajduje się w sytuacyi, która wymaga włożenia olbrzymich kapitałów w melioracye, wytwórczość warsztatu rolnego bowiem dlatego jest nikła,

że z ogólnego obszaru gruntów ornych przynajmniej trzy czwarte wymaga ulepszeń i sztucznych nawozów.

To samo da się powiedzieć i o łąkach, które w ogólności są wyczerpane, w wielkiej części zaś wymagają drenowania, osuszania i t. p. technicznych a kosztownych inwestycyj.

Zdaniem powołanych rzeczników naszej klasy ziemiańskiej, rolnictwo w Królestwie przechodzi obecnie przesilenie, w którem dalszy rozwój rolnictwa staje się niemożliwym, o ile nie zostaną przeprowadzone potrzebne melioracye.

Przy obecnem położeniu własności ziemskiej, zarówno wielkiej jak drobnej, niepodobna liczyć na przeprowadzenie melioracyi z własnych funduszów właścicieli. Podniesienie rolnictwa związane jest nierozerwalnie z kwestyą kredytu melioracyjnego, któryby dał możność przeprowadzić: drenowanie pól i łąk, zalesienie gruntów nieprzynoszących dziś dochodu, pokrycia kosztów komasacyi, wkładów w ulepszone narzędzia rolnicze i inne wydatki, związane z intensywną gospodarką, zakupem rasowego bydła i t. d.

Kredytu w tych rozmiarach dostarczyć może tylko państwo.

*

* *

Jeśli tak się przedstawia sprawa kredytu melioracyjnego dla wielkiej własności, to czegoż oczekiwać w sferze własności drobnej? A przecież w ręku włościan znajduje się obecnie $^2/_3$ całej przestrzeni ziemi ornej.

Otóż własność drobna jest w nierównie gorszem położeniu, niż własność wielka. Wielka posiada bowiem hypoteki i może korzystać z prywatnych źródeł, jakkolwiek to jest półśrodkiem, i to niebezpiecznym, gdy chodzi o kredyt melioracyjny; drobna własność zaś i z tego korzystać nie może, hypoteki włościańskie bowiem nie istnieją, sytuacya majątkowa w tej sferze jest często sporna, a z reguły prawnie nie uregulowana i nie zabezpieczona. Dla właściciela nieruchomości, nie posiadającego wielkich sankcyj prawnych władania ziemią, kredyt oczywiście jest jeszcze bardziej drogim i utrudnionym, niż w warunkach normalnych.

Tymczasem potrzeba korzystania z taniego i łatwego kredytu nastręcza się w naszej sferze włościańskiej jeszcze częściej, niż wśród ziemiaństwa, a niezaspokojenie jej oddaje włościanina w ręce

ce wiejskiego lichwiarza, prowadząc prostą drogą do ruiny gospodarstwa.

Wskutek zakazu podziału gospodarstw włościańskich na części niżej sześciu morgów, a jednocześnie obowiązkowego podziału spadków na równe części pomiędzy spadkobiercami, włościanin nasz znajduje się w tem położeniu, że musi objąć spłaty reszty rodzeństwa i to na najniedogodniejszych dla siebie warunkach. Spłaty te, przechodząc siły jego i gospodarstwa, stają się zazwyczaj przyczyną ruiny, włościanin pracuje bowiem na procenty lichwiarza, a długu pozbyć się nie może.

Analogiczną sytuacyę wytwarza cały szereg innych potrzeb, wynikających z warunków produkcyi rolniczej — a więc zaprowadzenie ulepszeń wszelkiego rodzaju, przebudowywanie gospodarskich budynków połączone ze zniesieniem szachownicy, zakup inwentarza, jak niemniej rozmaite krytyczne przejścia, jak nieurodzaj, pomór bydła, gradobicie i t. d.

W tych wszystkich wypadkach włościanin nasz dostaje się zazwyczaj w położenie bez wyjścia, w tych razach bowiem normalne rozwiązanie trudności polega na użytkowaniu kredytu, jako środka rozdzielenia jednorazowych wielkich wydatków na szereg lat dalszych, — a włościanin nasz korzysta jedynie z kredytu takiego, który nie stawia go na nogi, lecz dusi.

Zaprowadzenie hypotek włościańskich dałoby możność otworzenia prawidłowego, długoterminowego kredytu dla włościan, choćby drogą rozszerzenia działalności Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i na gospodarstwa poniżej dzisiaj obowiązującej normy rozmiarów.

*

* *

Obok długoterminowego kredytu, potrzeba naszym włościanom także korzystania z krótkoterminowego drobnego. O ile pierwszy typ kredytu powinien dawać rolnikowi kapitał zakładowy, w formie długoterminowej pożyczki hypotecznej, o tyle drugi dostarczać ma jedynie kapitału obrotowego, w formie krótkoterminowych pożyczek osobistych.

Jedyną instancyą (po za lichwiarzem), która czynić może zadość potrzebom tego drobnego krótkoterminowego kredytu — są

kasy gminne. Instytucye te jednakowoż w praktyce potrzebom wcale nie odpowiadają. Zgodnie z przepisami o tych kasach włościanin, posiadający 10 morgów gruntu, może otrzymać kredyt do 70 rb. na przeciąg 12 miesięcy, z dalszem odroczeniem o pół roku. Lecz po spłaceniu długu może otrzymać pożyczkę dopiero po upływie roku od dnia spłaty.

Kasy gminne (oparte na ustawie z r. 1884) potrzebom drobnego kredytu nie odpowiadają. W r. 1901 funkcyonowało ogółem 1320 takich kas z kapitałem zakładowym, zapasowym i wkładami około 24,472 tysięcy rb. Wynosi to przeciętnie na jednego mieszkańca Królestwa 2 rb 70 kop.

Tymczasem w Austryi przeciętnie każdy może korzystać z drobnego kredytu do wysokości 11 rb., we Włoszech—do 7·5 rb. Porównywujemy z Królestwem te dwa państwa, ponieważ sytuacya majątkowa w sferze włościańskiej w tych trzech krajach jest do siebie zbliżona.

Wielka różnica zachodząca pomiędzy Królestwem a tymi krajami da się wytłómaczyć jedynie działaniem prywatnych instytucyj wzajemnego kredytu. Wyższość tych instytucyj polega na tem, że powstają one z inicyatywy grupy osób, która sama odczuwa potrzebę tego; że sami uczestnicy stwarzają tu kapitał zakładowy, zarząd jest obieralny i działa samodzielnie, jednem słowem zastosowana jest w praktyce zasada pomocy wzajemnej, samopomocy i samorządu, podczas gdy w kasach gminnych wójt gminy jest zarazem zarządzającym kasą, a cały ustrój nosi cechę biurokratyczną. Z kredytu w instytucyach prywatnych mogą korzystać w ich okręgu operacyjnym wszyscy bez ograniczeń, a wszyscy uczestnicy związani są ze sobą wzajemnem poręczeniem.

W r. 1895 zostało w państwie rosyjskiem wydane po raz pierwszy prawo, określające zasady, na których opierać się powinny tego rodzaju instytucye kooperacyjne. Ogłoszono dwie ustawy normalne, jedną dla towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych, drugą dla stowarzyszeń kredytowych.

Los tych ustaw w zastosowaniu do potrzeb naszego kraju jest jednakowoż zupełnie analogiczny do losów kredytu melioracyjnego dla wielkiej własności: oto rząd, zezwalając na zakładanie tego rodzaju instytucyj w miastach i miasteczkach, nie rozszerzył jednakże zakresu ich działalności na wieś. Wieś została wzięta za nawias.

Nietrudno domyśleć się przyczyn. Z przyczyn natury ekonomicznej może odgrywać tu rolę co najwyżej obawa o zwycięską

konkurencyę z kasami gminnemi; a więc polityczne motywy muszą być miarodajne.

Istotnie, praktyka ościennych krajów wskazuje, że tego rodzaju stowarzyszenia kredytowe, otwierając szerokie pole do pożytecznej działalności warstw inteligentnych między mało uświadomionemi, zarazem staje się silnym cementem, który spaja najróżnorodniejsze warstwy.

6. Komunikacya.

Wśród warunków produkcyi krajowej jedno z ważniejszych miejsc zajmuje komunikacya wszelkiego rodzaju.

Nie mówiąc już o przemyśle — rozwój rolnictwa w znacznej mierze zależy od systemu komunikacyi. Brak środków komunikacyjnych, lub zły stan dróg, uniemożliwia terminową dostawę produktów rolnych na rynki zbytu, jak również staje na przeszkodzie dowozowi tego wszystkiego co w dzisiejszych czasach jest niezbędnem dla prowadzenia intensywnego gospodarstwa.

Jak władza państwowa zrozumiała doniosłość swych zadań na tem polu, świadczy maleńkie a pouczające zestawienie:

W okresie od 1838 do 1870 roku wybudowano w Królestwie Polskiem 2612 wiorst dróg bitych, czyli przeciętnie 81½ wiorsty rocznie. Od 1870 do 1900 r. przeciętna obniżyła się na 53 wiorsty rocznie.

A więc cofanie się, zamiast postępu! I to w okresie, gdy kraj żył gorączkowem życiem gospodarczem!

Przytoczony przykład tyczy się tylko dróg bitych, ale można go uważać za typowy w zastowaniu do środków komunikacyi wogóle. I w kwestyi kolei żelaznych, i dróg dojazdowych, i drugorzędnych kolejek, i poczty, i telefonów, i telegrafów, i komunikacyi wodnej — wszędzie, na każdym kroku napotykamy tu charakterystyczne nieliczenie się z potrzebami kraju, które jest wogóle cechą rządów w Królestwie Polskiem.

Koleje przecinają kraj nader nierównomiernie a w całości swej nie wystarczają na wytworzenie normalnych warunków komunikacyi handlowej. Nadto, wskutek powolności transportu, produkty łatwo ulegają zepsuciu a wydatki np. na karmienie bydła i koszt przewodnika w drodze nieproporcyonalnie wzrastają.

Szos i innych dróg ruchu kołowego jest nietylko za mało, ale znajdują się one w złym stanie. Wogóle kwestya dróg w Królestwie Polskiem przedstawia obraz zupełnej dezorganizacyi. Gło-

wną przyczyną tego jest okoliczność, że ukaz z 1870 r., na którym się opiera system komunikacyi u nas, zupełnie nie odpowiada zmienionym oddawna warunkom i potrzebom kraju. Przepisy z r. 1870 zamierzano pierwotnie wprowadzić na lat trzy—obowiązują one zaś po dziś dzień.

Niektóre linie, zaliczone niegdyś do dróg pierwszego rzędu i odpowiednio uposażone, straciły oddawna swe znaczenie; inne powinnyby koniecznie być zaliczone do pierwszorzędnych, aby oprzeć się na odpowiednich funduszach, lecz należą do trzeciego rzędu;—na inne zaś kraj musi łożyć znaczne fundusze, a posiadają one znaczenie tylko strategiczne, handlowi nie przynoszące żadnych korzyści.

Budowa kolei i wytwarzanie się nowych środowisk ruchu ekonomicznego zawsze wymaga nowego podziału dróg—o potrzebie tej u nas nikt nie pamięta.

W państwach zachodnio-europejskich, np. we Francyi i Niemczech, sprawę drogową doprowadzono do pomyślnego rozwiązania dzięki temu, że związano ją ściśle z organizacyą instytucyj samorządnych. Jedynie kontrola należy do rządu.

I u nas kwestya ta może być rozwiązana w zadawalniający sposób tylko w drodze samorządu. Działania administracyi rządowej na polu urządzenia i uporządkowania dróg, są wymownem świadectwem, że tą drogą do poprawy stosunków dojść nie można.

Reorganizacya zarządu drogowego w myśl samorządu krajowego jest jedynem wyjściem, a tem samem i nieodłącznym postulatem w szeregu ekonomicznych żądań kraju.

*

* *

Niemniej radykalnej reformy wymaga i komunikacya pocztowo-telegraficzna.

Doniosłość komunikacyi pocztowej i telegraficznej dla dzisiejszego rolnictwa jest ściśle związana z przemianą, jakiej uległa cała techniczna strona produkcyi rolniczej. Rolnik dziś musi być nietylko wytwórcą, lecz i kupcem. W tej zmianie tkwi główna przyczyna, dla której poczta i telegraf posiadają w obecnej chwili dla rolnictwa to samo znaczenie, jakie posiadały przed 20 laty wyłącznie dla handlu i przemysłu fabrycznego.

Komunikacya pocztowa i telegraficzna nie odpowiada otóż tym wymaganiom, jakie kraj słusznie stawiać musi. Ilość stacyj pocztowych i telegraficznych jest za mała, sieci telefonicznej brak zupełnie, liczba pociągów rozwożących pocztę jest za skromna a co gorsza, rozkład ich nie jest uzgodniony, wskutek czego korespondencya w węzłowych stacyach oczekuje kilkanaście godzin na dalszą ekspedycyę, — większość stacyj pocztowych na prowincyi nie otrzymuje przesyłek codziennie, lecz co drugi dzień — jednem słowem na każdym kroku i w każdym kącie kraju spotykamy w urządzeniu komunikacyi poważne luki.

W tych warunkach stosunki handlowe ze wsią nie mogą się rozwijać prawidłowo; nabywca, zbyt daleko mieszkający od poczty, otrzymuje za późno listy frachtowe i musi opłacać składowe za przechowanie towaru. Gospodarz wiejski musi pocztę odbierać przez umyślnego, ze znacznemi opóźnieniami.

Wskutek tego w zawieranych tranzakcyach handlowych znać brak wszelkiego systemu — wszystko staje się bowiem dziełem przypadku. Zdarza się też często, że produkty rolne dwóch najbliższych sąsiadów są nabywane przez handlarzy po różnych cenach i na odmiennych warunkach.

*

* *

Wykaz wad biurokratycznego systemu w załatwianiu spraw komunikacyi krajowej nie byłby zupełny, gdyby nie wspomnieć o zaniedbaniu komunikacyi wodnej, która w naszym kraju wobec niezbyt gęstej sieci dróg żelaznych mogłaby i powinnaby odegrać ważną rolę w rozwoju gospodarczym Królestwa. Na uregulowanie Wisły kraj czeka oddawna—napróżno i wątpić można, czy od tych instancyj się doczeka, które dziś o tem decydują. Ruch spławny na Wiśle wynosi zaledwie 15 milionów pudów rocznie na całej rozciągłości, podczas gdy ruch spławny na tak małej rzeczce, jak Sprewa pod Berlinem, wynosi 420 milionów pudów, pomimo, że tam gęsta sieć kolei żelaznych pochłania główne artykuły przewozu.

Uspławnienie rzek w Królestwie wytworzyłoby nader tanie i ożywione arterye ruchu handlowego, przyczyniając się tem samem do ożywienia wytwórczości rolniczej w licznych okolicach.

Klątwa zaniedbania interesów krajowych i na tem polu jednak wycisnęła swe znamię.

7. Ograniczenia prawne własności włościańskiej.

Cechą polityki gospodarczej władz państwowych wobec naszego kraju jest — jak już widzieliśmy — wysoko posunięta bierność i bezczynność. Na licznych polach życia gospodarczego kraj oczekuje, że władza będzie czynną; tam wszakże, gdzie jej potrzeba, niema jej.

Na tem ogólnem tle bezczynności ujawniają się jednak pewne działania sfer rządzących; a w stosunku do naszego kraju na dwa typy podzielić je można: albo płynąc z dobrych zamiarów w wynikach swych są jednak szkodliwe dla nas; albo ku jawnemu upośledzeniu kraju zmierzając, *tego* celu nie chybiają.

Do pierwszej kategoryi zaliczyć należy ograniczenia prawne własności włościańskiej.

Według artykułu 18 ukazu 1864 r. ziemia, nadana włościanom, może przechodzić wyłącznie w ręce włościan. Motywem ograniczenia tego jest oczywiście obawa, że wielka własność ziemska zacznie pochłaniać drobną. Stąd sztuczne zabezpieczenie stanu posiadania własności włościańskiej. Zabezpieczenia podobne odznaczają się zawsze jednem i tem samem: że chybiają celu, i że wychodzą na szkodę najpierw całego społeczeństwa, później zaś i samych tych, na czyją korzyść były wydane. A dzieje się tak dlatego, że wspólną cechą wszystkich takich zarządzeń i ograniczeń prawnych jest powierzchowne, mechaniczne, a nie organiczne ujęcie biegu życia ekonomicznego.

Gdyby prawodawca, chcąc zabezpieczyć stan posiadania drobnej własności, rzekł: dajmy włościanom kasy pożyczkowe, szkoły zawodowe, stacye doświadczalne, kółka rolnicze, kredyt melioracyjny, wędrownych instruktorów rolnictwa i t. d. — byłby dał dowód organicznego pojmowania rozwoju i cel swój by osiągnął, czyniąc stan włościański w walce konkurencyjnej silniejszym, odporniejszym.

Zamiast tego wprowadzono ograniczenie prawne, jakgdyby życiem ekonomicznem można było tak komenderować, jak pułkiem huzarów!

Więc też wyniki są po temu.

Przedewszystkiem umotywowanie było błędne — gdyż własność wielka u nas nie ujawnia wcale tendencyi pochłaniania gospodarstw drobnych: owszem, raczej drobna pochłania wielką. Za pośrednictwem samego tylko Banku Włościańskiego rozparce-

lowano (do r. 1899 włącznie) około 8% obszaru wielkiej własności i ruch ten parcelacyjny w przyszłości przybierze niewątpliwie jeszcze większe rozmiary.

Tymczasem ograniczenia prawne krępują włościan pod względem ekonomicznym i wywołują wśród nich stanowcze życzenie ulegania ogólnym przepisom prawa. Należy bowiem pamiętać, że prócz gruntów włościańskich stworzonych ukazem 1864 r. i objętych tem ograniczeniem, istnieją w posiadaniu włościan obszary innego pochodzenia, nie ulegające żadnym ograniczeniom w sprzedaży.

Wyrobiło się otóż wśród ludności wiejskiej przeświadczenie, że obszary nabyte w drodze prywatnego przywłaszczenia, są w większym stopniu ich własnością niż „ukazowe."

Nasz chłop bowiem nie może uważać się za zupełnego właściciela ziemi, jeśli mu tej ziemi nie wolno dzielić, jak mu się podoba, i sprzedać, komu się mu spodoba.

Władze rządowe również uważają grunta „ukazowe" za własność niezupełną. W kwestyi rozszerzenia działalności Banku Włościańskiego w celu zorganizowania kredytu długoterminowego dla włościan, ministeryum Finansów zajęło stanowisko nieprzychylne, wychodząc z zupełnie słusznego założenia, że ziemia, należąca do włościan, nie daje dostatecznej gwarancyi pożyczkom, ponieważ w razie wystawienia na licytacyę za długi, gruntów tych nie może nabyć osoba, nie należąca do stanu włościańskiego, a więc zakres nabywców—a zatem i pokupność ziemi—jest sztucznie ograniczona.

Przytem zauważyć należy, że kwestya stosowania tego ograniczenia w praktyce daje pole do licznych nadużyć, ponieważ zazwyczaj wójt gminy jest instancyą, która stwierdza o przynależności czyjejś do stanu włościańskiego.

Jednem z dalszych, a przy obecnych warunkach równie bezcelowych, jak szkodliwych ograniczeń, jest zakaz dzielenia. Postanowienie Komitetu Urządzającego z 30 XII 1865 r. zabrania włościanom dzielić swe posiadłości na części mniejsze niż 6 morgów, tak, że dzielenie w naturze nie następuje, o ile każdy ze spadkobierców nie dostałby najmniej 6 morgów.

Wskutek tego zazwyczaj jeden ze spadkobierców obejmuje gospodarstwo w całości, z obowiązkiem spłacenia innych. Nie mając zaś możności korzystania z długoterminowego kredytu hypotecznego, najczęściej wpada w ręce lichwiarzy.

Przytem zakaz dzielenia aż nazbyt często pozostaje na papierze. Czterdziestoletnia praktyka wykazała, że włościanie używają z powodzeniem sposobów obejścia tego ograniczenia. Naj-

częściej używanym sposobem jest ten, że spadkodawca za życia oddaje aktem rejentalnym gospodarstwo swe w posiadanie jednego ze spadkobierców, z zastrzeżeniem dożywocia dla siebie i zapłacenia pewnych sum współspadkobiercom. Po śmierci spadkodawcy nie chcą jednak uznać tych aktów za prawne i wszczynają proces. Tego rodzaju spraw spadkowych włościańskich w samym tylko sądzie okręgowym kieleckim i to w ciągu jednego tylko roku 1901-go było 96. Licząc wydatki obu stron tylko po 100 rb., otrzymamy pokaźną sumę 10 tysięcy rubli rocznie, dla jednej tylko gubernii, czyli około stu tysięcy, wyciśniętych corocznie z ubogiej warstwy włościańskiej na koszta sądowe.

Często się też zdarza, że spadkobiercy, wbrew ograniczeniu, dzielą się w naturze. Nielegalne, a jednak dokonywane te działy, wprowadzają nieopisany zamęt do majątkowych stosunków włościan.

Niepodzielność gospodarstw włościańskich wytwarza przytem w okręgach fabrycznych (Łódzkim, Zgierskim, Pabianickim, Dąbrowieckim i t. d.) niezmierne przeszkody w rozwoju tych okolic.

Wreszcie zauważyć trzeba, że norma 6-iu morgów (o ile byśmy nawet zgodzić się mieli na samą zasadę niepodzielności) przyczynić się może chyba tylko do wytworzenia proletaryatu rolnego, bo na 6-io morgowem gospodarstwie nikt się utrzymać nie może.

8. Taryfy przewozowe.

Gdyby polityka gospodarcza państwa rosyjskiego wobec Królestwa była bez zarzutu,—gdyby na każdem polu pracy zbiorowej znać było dodatnie wyniki pieczołowitości rządu, to jedna tylko polityka taryfowa t. j. sposób unormowania opłat przewozowych, stosowana wobec Królestwa tak, jak dziś to widzimy, wystarczyłaby, aby, bez względu na wszelkie możliwe inne zasługi, nadać tej polityce gospodarczej cechę akcyi, zwróconej specyalnie na niekorzyść kraju i faktycznie go ubożącej.

Obecna polityka taryfowa rosyjska datuje od r. 1889. Wówczas to konkurencya zboża amerykańskiego na rynku wszechświatowym zaczęła zagrażać zbożu rosyjskiemu. Aby konkurencyę ułatwić, rząd zreformował taryfy przewozowe. Reforma ujawniła się w obniżeniu opłaty za przewóz zboża i mąki przy znacznych odległościach, a w podwyższeniu opłat za przewóz na małych odległościach. Im większa odległość, tem mniejsza opłata.

Rozpatrywanie kwestyi, o ile dla zboża rosyjskiego, przeznaczonego na eksport zagranicę, trafnie zastosowanym środkiem jest

obniżenie taryfy za przewóz, wykraczałoby po za ramy, zakreślone naszym przedmiotem; bądź co bądź taryfa taka, o ile jest wogóle uzasadniona — mogłaby być taką w zastosowaniu do eksportu zagranicę.

Tymczasem dotyczy ona i wewnętrznego handlu zbożem — a w ten sposób musi deprymująco oddziaływać na produkcyę zbożową tych okolic, gdzie koszta produkcyi są wyższe. A przytem nizka taryfa stosuje się i do przewozu mąki. Dlatego też zboże nadpływa z głębi Rosyi do nas przeważnie już pod postacią mąki. Producenci rosyjscy mogą robić na tem wielkie oszczędności, trzy pudy mąki bowiem odpowiadają 4,3 pudom pszenicy i 4,8 pudom żyta w ziarnie i przewóz ich odpowiednio taniej się oblicza. Bezpośrednim wynikiem tego jest więc nietylko nadmierny napływ rosyjskiego zboża, ale i zupełny upadek młynarstwa w naszym kraju, nasze zboże bowiem odpływa w postaci ziarna, a nadpływa rosyjskie — już zmielone.

Wyniki tej polityki taryfowej dla naszego rolnictwa są fatalne. Doprowadzają one do stanu tak nienormalnego, tak pozbawionego wszelkiej logiki gospodarczej i ekonomii sił wytwórczych, że podobnego przykładu daremnieby szukać na całej kuli ziemskiej.

Dodać tu jeszcze bowiem trzeba, że wedle przyjętej praktyki, zboże rosyjskie, zwiezione do magazynów do Warszawy, korzysta z ulgowej taryfy i przy dalszym przewozie wewnątrz Królestwa, podczas gdy zboże miejscowego pochodzenia opłaca taryfę bez porównania wyższą.

Naprzykład przewóz wagonu zboża pochodzącego z Cesarstwa, na dystansie Warszawa-Łódź, kosztuje 13 rb. 72 kop., gdy tymczasem polski wytwórca zboża musi zapłacić za przewóz tegoż wagonu na tym samym dystansie 68 rb. 85 kop. czyli pięć razy drożej. Dystans Warszawa-Aleksandrów (210 wiorst) kosztuje producenta polskiego 67 rb. 21 kop., a producenta z Uralu tylko 13 rb. 72 kop. [1])

Wskutek tego rolnik rosyjski ma otwarty dostęp na rynki wewnętrzne Królestwa i korzysta z nich obficie, podczas gdy nasz, krajowy producent, wskutek niepomiernie wysokich opłat, jest albo przykuty do najbliższego miejscowego rynku zbytu, albo musi eksportować zagranicę, ustępując pola we własnym kraju — obcemu producentowi. Wywóz zboża z Królestwa Polskiego zagranicę pochłania większą część wytwórczości, podczas gdy wewnątrz

[1]) Obliczając wagon po 750 pudów.

kraju zboże miejscowej produkcyi rozchodzi się w minimalnych ilościach.

Produktów zbożowych miejscowego pochodzenia przewieziono kolejami żelaznemi w obrębie Królestwa Polskiego:

w r. 1893 — 11,184 tysiące pudów t. j. 5,6% produkcyi rocznej,
„ „ 1894 — 8,159 „ „ „ „ 4,3% „ „
„ „ 1895 — 6,819 „ „ „ „ 3,7% „ „

Zestawienie powyższych liczb z liczbami podanemi poprzednio, a illustrującemi stopniowy wzrost przywozu zboża rosyjskiego [1]) do Królestwa, wykazuje dostatecznie przymusowy związek pomiędzy napływem zboża rosyjskiego, a stałem zmniejszaniem i zacieśnianiem miejscowego rynku zbytu dla zboża krajowego.

Objawu tego nie należy rozpatrywać oczywiście wyłącznie ze stanowiska producentów i nie należy mniemać, jakoby chodziło tu wyłącznie o presyę wywieraną na ceny zboża w kraju przez zboże sprowadzane z Rosyi, a przewożone nawpół darmo. W ocenie tego zjawiska należy zająć stanowisko ogólnej użyteczności i ogólnych interesów gospodarstwa krajowego. Oczywiście, gdyby producenci rosyjscy byli w możności ofiarować nam swe zboże zupełnie darmo, ile go u nas dusza zapragnie, to powinniśmy się na to zgodzić z ochotą, jakkolwiek nasi ziemianie napewnoby wtedy nie mogli liczyć na nabywców nawet po cenie kosztu produkcyi. Więc nie o cenę tu chodzi. Podkreślić to należy tem silniej, że w polskiej prasie socyalistycznej oraz rozmaitych proklamacyach zjawiły się już zarzuty, że klasy „posiadające“ żądają zniesienia taryfy ulgowej na zboże rosyjskie, aby *podrożyć cenę chleba* dla ludności ubogiej w kraju.

Otóż nie o cenę tu chodzi. Chodzi tu o zmarnowanie energii gospodarczej, dokonywujące się na koszt naszego ubożejącego kraju w formie zupełnie niepotrzebnych opłat transportowych. Jeśliby ktoś, mając u siebie w domu zapasy, zechciał te zapasy stale wysyłać do sąsiedniego miasta, a z innego sąsiedniego sprowadzał nowe zapasy na własną potrzebę i po tej samej cenie, na-

[1]) Dowóz mąki również stale się zwiększa. Według Departamentu dróg żelaznych dowóz mąki do Królestwa wynosił:

w r. 1890 — 47,876 tysięcy pudów,
w r. 1894 — 72,269 „ „
w r. 1899 — 95,747 „ „

zwalibyśmy go półgłówkiem. Dla czego? Dla tego, że przez niepotrzebne koszta transportu marnowałby część swego majątku.

Otóż taryfy przewozowe stawiają nas w tej właśnie sytuacyi. Własnego rynku nie zaopatrujemy w zboże, lecz wysyłamy je zagranicę; a z Cesarstwa sprowadzamy zboże na własną potrzebę, czyli obciążamy nasz budżet podwójnymi kosztami transportu. Jest to strata niewątpliwa już nie ze stanowiska producentów zboża, lecz ze stanowiska ogólnych interesów krajowych.

Niestety, to przymusowe marnotrawstwo sił naszych stało się *systemem* wskutek polityki taryfowej rządu: obejmuje ona bowiem nietylko zboże i mąkę, ale i kilka innych produktów krajowych.

Naprzykład sztuczne nawozy. Jest to artykuł najniezbędniejszy dziś w rolnictwie, które wytęża siły, aby przejść do systemu intensywnego. Każdy rząd w każdem państwie czułby się obowiązany do zrobienia jaknajwiększych ulg w przewozie tego produktu, zapewniającego przyszłość rolnictwu. Lecz u nas inaczej. Na obszarze Królestwa w jednym tylko 1902 roku towarzystwa rolnicze nabyły w samych tylko Nadazowskich zakładach metalurgicznych 2 tysiące wagonów tomasówki i innych sztucznych nawozów. Za przewóz zapłaciliśmy 260 tysięcy rubli. Jest to koszt tak wielki, że taryfa ta staje wręcz na przeszkodzie rozwojowi rolnictwa i pozbawia go najważniejszego artykułu.

Nic dziwnego, że ta polityka taryfowa, w połączeniu z innymi, omówionymi już czynnikami, prowadzi do upadku nasze rolnictwo. W ostatnich czasach bardzo wiele majątków ziemskich nie dało literalnie żadnego dochodu.

9. Polityka podatkowa.

Koroną polityki gospodarczej rosyjskiej, pod której brzemieniem ugina się nasz kraj — bo tam, gdzie jej potrzeba, tam jej niema, a gdzie jest, tam jest szkodliwą — koroną tej polityki jest opodatkowanie.

Na całym świecie przyjęto dziś zasadę, że skoro państwu w nowożytnym ustroju społeczeństw przypada rola instancyi gospodarczej, mianowicie rola przedewszystkiem regulatywu gospodarczych nierówności, to środkiem najcenniejszym i najpewniejszym w dopięciu tych celow państwa nowożytnego, jest polityka podatkowa. Polityka podatkowa powinna być jednym ze środków ogólnej polityki społecznej. Jako taka, nie kieruje się — w myśl

postulatów postawionych zarówno przez teoryę, jak uznanych w praktyce — względami fiskalnymi, lecz dąży do równomiernego rozkładu ciężarów na rozmaite warstwy ludności i części terytoryalne; dąży do rozkładu różnomiernego nie w znaczeniu mechanicznem, lecz w znaczeniu wyższej sprawiedliwości, nakładając na silniejszych ekonomicznie tem większe ciężary, aby módz przyjść z pomocą słabszym.

W ten sposób polityka podatkowa na usługach ogólnej polityki socyalnej staje się jednym z czynników niwelujących ostre kanty społecznych różnic; staje się korektywem dzikiej walki o byt, opartej na zasadzie wolnej konkurencyi.

Jakże daleką jest polityka podatkowa u nas od tego typu polityki! Fiskalizm jest jej gwiazdą przewodnią, a nieliczenie się z siłami opodatkowanych warstw, jej cechą najbardziej charakterystyczną.

Dane Departamentu Rolnictwa wykazują, że opodatkowanie wytwórczości rolniczej w Królestwie wynosi (r. 1890) 1 rb. 90 kop. z morgi, w środkowych zaś guberniach Cesarstwa zaledwie 29 kop.

Cyfry powyższe dotyczą jedynie roli, zajętej pod uprawę zboża. Ale stosunek opodatkowania Królestwa a Cesarstwa pozostaje ten sam, jeśli porównamy wysokość podatków (skarbowych, gminnych i ziemskich razem), przypadających na 1 morgę ziemi wogóle.

Opodatkowanie 1 morgi wynosi:

W Królestwie	51 kop.
Okręg średni czarnoz.	17,8 „
„ północny „	17,4 „
„ południowo zachodni . .	13 „
„ przemysłowy	8,6 „
„ południowy stepowy . .	8,5 „
Nadbałtyckie prowincye . . .	7,2 „
Okręg nadwołżański	5,8 „

Analogiczne wyniki otrzymamy, porównywując wysokość wszystkich podatków, opłacanych przez Królestwo, z podatkami, pobieranymi w Cesarstwie.

Zauważyć przytem należy, że urodzajność ziemi w Królestwie jest bezporównania słabsza, niż w Cesarstwie. Dochód z ziemi w gub. Kijowskiej jest o 2,16 razy wyższy niż w Królestwie wogóle, a 1,51 razy wyższy niż np. w gubernii Radom-

skiej. Jednakowoż Radomska płaci 4,7 razy wyższe podatki od Kijowskiej.

Dla ścisłości dodajmy, że Królestwo sprawniej opłaca podatki; wynika to stąd, że władze podatkowe stosują wobec dłużników skarbu całą bezwzględność, w tysiącznych wypadkach doprowadzając ludzi do ruiny.

Liczby i fakty powyżej podane są tak wymowne, że od komentarzy zwalniają.

Gdyby ktoś, umyślnie podciąwszy warunki wytwórczości kraju, chciał go do reszty pogrążyć w nędzy przez nadmierne ciężary, nie mógłby tego zrobić lepiej, niż zrobiono z nami.

10. Krępowanie samopomocy społecznej.

Statystyka porównawcza dostarcza nam kilku liczb, które w swem zestawieniu są tak wymowne i dobitne, że gdybyśmy w jednem zdaniu, w kilku słowach, streścić chcieli pogląd na stan naszego rolnictwa, nie moglibyśmy tego uczynić lepiej, jak przez przytoczenie tych liczb.

Oto one.

Według publikacyi ministeryum rolnictwa przeciętna wydajność roli (w pudach i z 1 morgi nowopolskiej) w Królestwie a w Prusach, przedstawiała się (w ciągu siedmiolecia 1893—1900), jak następuje:

	żyto,	przenica,	jęczmień,	owies
Prusy	49	57	56	60
Królestwo Polskie				
większa własność	35	42	35	31
włościanie . . .	31	36	31	28

Wszystko, cały stan rolnictwa naszego, odbija się w tem zestawieniu. Słaba wydajność u nas wogóle, a w szczególności u włościan, — w porównaniu z wydajnością w Prusach, świadczy wymownie o naszym poziomie oświaty. Oświaty wogóle, a w szczególności oświaty zawodowej.

A stwierdzając ten fakt, stajemy tem samem u zasadniczej, głównej przyczyny naszego ekonomicznego upadku.

W kraju, w którym własność drobna przedstawia tak poważną część własności ziemskiej wogóle, kwestya uzdrowotnienia

gospodarstwa krajowego sprowadza się więc poniekąd do kwestyi szerzenia oświaty zawodowej wśród włościan.

Jak kwestyę tę rozwiązano na Zachodzie?

Rozwiązano ją w myśl potrzeb i warunków drobnej własności, przez skojarzenie dwóch czynników, współdziałających w tym kierunku: opieki rządu oraz inicyatywy prywatnej, przyobleczonej w formy samopomocy i kooperacyi.

Z jednej więc strony swego rodzaju polityka protekcyjna, dopomagająca wszelkim usiłowaniom i dążeniom do szerzenia oświaty zawodowej i stwarzająca dogodne warunki dla tych usiłowań—z drugiej zaś strony samopomoc społeczna. Te dwa czynniki, dopełniając się wzajemnie, stanowią siłę, która jest zdolna poruszyć z miejsca i wprowadzić na drogę postępu najbardziej zacofane masy. Gdy potrzeba stacyj doświadczalnych, rząd je wyposaża. A organy samopomocy społecznej w postaci kółek rolniczych, wieść o wynikach tych doświadczeń podają szerokim kołom. A gdy potrzeba dokonać zakupów, na które stowarzyszeniom rolniczym brak kapitałów, rząd udziela kredytu.

Skojarzenie tych obu czynników, t. j. pomocy rządu i samopomocy społecznej, niezbędnym jest warunkiem postępu na polu szerzenia oświaty zawodowej. Żaden rząd na świecie nie zdoła napompować wiedzy fachowej w interesowane sfery ludności, jeśli te sfery same ku oświacie dłoni nie wyciągną.

Czy można zarzut obojętności zrobić naszej ludności? tej ludności, o której statystyka szkolna mówi, że w ciągu dziesięciolecia 1860—1870, gdy nauka w szkołach gminnych odbywała się po polsku, liczba uczących się wzrosła o 134%?

Zaiste, nie.

Ludność ta czyniła więcej niż mogła. Smutne doświadczenia szeregu lat nauczyły ją utożsamiać „rząd“ z „policyą;“ więc nie oczekiwała od rządu pomocy i nie domagała się polityki gospodarczej, popierającej interesy kraju. Była w swej skromności przeświadczona, że kto silnie pragnie i wszystkie siły chce natężyć, sam o własnych siłach drogą samopomocy wszystkiego dokona, i nie żądając już wcale opieki i pomocy znikąd, żądała jedynie, aby pozwolono jej samej pracować dla siebie: zakładać stowarzyszenia, spółki, związki i kółka rolnicze, skierowane ku podniesieniu dobrobytu i poziomu wiedzy wśród włościan.

Lecz wydano rozporządzenie hamujące tę pożyteczną działalność, jako niepożądaną dla „interesów państwowych“...

II. Postulaty.

Jednym z warunków rozwoju gospodarczego jest polityka gospodarcza. Ta zaś się składa z dwóch czynników: polityki gospodarczej rządu i polityki gospodarczej samego społeczeństwa.

Spoglądając na opłakany stan gospodarczy naszego kraju wogóle, a w szczególności rolnictwa, stwierdzić bez wahania możemy, że jest on wynikiem braku polityki gospodarczej, odpowiadającej potrzebom kraju. Widzieliśmy, że polityki gospodarczej rządu brak zupełnie tam, gdzie jej najwięcej potrzeba; o ile zaś jest, jest szkodliwą dla interesów krajowych. Co zaś do samopomocy społecznej, to polityka rządowa zwalcza wszystkie jej przejawy. W ten sposób brak wszystkich czynników, składających pożyteczną, rozumną politykę gospodarczą.

Jakież więc stąd nasuwają się postulaty?

Ani słowa, łatwą byłoby rzeczą z tego, cośmy dotychczas powiedzieli, wynotować długi spis potrzeb naszego rolnictwa: rozwiązanie sprawy serwitutów i szachownicy, cały szereg praw ochronnych, urządzenie kredytu, reformy na polu polityki taryfowej, podatkowej i na polu oświaty.

Lecz wszystkie te potrzeby i wiele innych są właściwie przejawami jednej zasadniczej potrzeby: *potrzeby rządu.*

System biurokratyczny, który się u nas rządem nazywał, nie potrafił w kraju naszym nic pozytywnego zbudować, nie potrafił w żadnej dziedzinie życia uwzględnić potrzeb naturalnego rozwoju.

Przez cały czas swej działalności w Królestwie był tylko policyą, nigdy zaś rządem. Dlatego też niema takiej dziedziny naszego życia gospodarczego, któraby się nie domagała wielkim głosem—*rządu autonomicznego.*

Autonomia Królestwa jest w równej, albo i w większej mierze koniecznością, wskazaną przez potrzeby gospodarcze kraju, jak i przez potrzeby kulturalno-polityczne.

Bo w gruncie rzeczy autonomia oznacza dla nas naprawę dróg i mostów, zwiększenie sieci szos, zaprowadzenie poczt po wsiach, uporządkowanie miejskiej gospodarki, postęp na polu rolnictwa przez powołanie do życia setek stowarzyszeń zawodowych, ochronę melioracyi, zniesienie szachownicy i serwitutów, rozwiązanie sprawy parcelacyi i drobnego kredytu, — prawodawstwo ochronne dla robotników i zorganizowanie krajowego pośredni-

ctwa pracy,—usunięcie tysiącznych istniejących wciąż *jure caduco* przeżytków prawnych, które rozwój kraju hamują.

Autonomia — oznacza w jednem słowie i potrzebę gospodarstwa krajowego i podwalinę jego przyszłego rozwoju.

Autonomia—to znaczy jednem słowem—*porządek* zamiast nieładu,—*rozwój* zamiast zastoju,—*oświata* zamiast ciemnoty,—*prawo* zamiast bezprawia,—*dobrobyt* zamiast nędzy.

Kazimierz Rakowski.

ROZMAITOŚCI.

Materyały do życiorysu Joachima Lelewela.

Joachim Lelewel—to jeden z wielkich mężów naszych XIX w., niedoceniony wogóle, a dzisiaj zapomniany. Do tego zapomnienia przyczynia się niezawodnie język Lelewela, który czytanie pism jego utrudnia, a nawet może czytelnika zniechęcić i odstraszyć. Najbardziej popularne z pism Lelewela „Dzieje Polski, które stryj synowcom opowiedział," coraz więcej z mody wychodzi, ile że przestarzałe nieco, i lepszemi wydawnictwami, lepszymi podręcznikami szkolnymi zastąpione zostało. Ogół Lelewela nie zna, i nic dziwnego; domagać się, aby 20 tomów „Polski, dziejów i rzeczy jej" czytał, byłoby niedorzecznością; pozostaną one zawsze skarbcem, z którego czerpać będą wiadomości badacze dziejów ojczystych, ale czytelników wielu mieć nie mogą. Jeżeli zatem uznaje się potrzebę zaznajomienia ogółu z Lelewelem, a raczej potrzebę przypomnienia roli, jaką Lelewel w życiu naszem naukowem, politycznem, społecznem odegrał, innych imać się trzeba środków. Trzeba przez wydanie monografii o Lelewelu wykazać, co mu zawdzięczamy, jakie zasługi położył dla nauki polskiej, jaką była działalność jego obywatelska i polityczna. To mu się należy, to dług, który społeczność polska, prędzej czy później, spłacić musi Lelewelowi.

W piśmiennictwie polskiem, po dziś dzień, po za „Przygodami w poszukiwaniach i badaniu rzeczy narodowych polskich" (rodzaj autobiografii, jako wstęp do „Polski, dziejów i rzeczy jej;" także w odbitce, Poznań, Żupański, 1858), po za pracą: „Joachima Lelewela zasługi na polu geografii" (napisał St. Warnka, Poznań, Żupański, 1878), po za kilkoma ulotnymi drukami i artykułami

dziennikarskimi, nic więcej niema; a te źródła nie są wystarczające dla poznania całkowitej działalności Lelewela.

Brak odnośnej pracy łatwo wytłómaczyć sobie można: przedewszystkiem tem, że w zaborze rosyjskim przez dłuższy czas o Lelewelu pisać nie było wolno, a następnie, że były i są trudności w korzystaniu z istniejących materyałów rękopiśmiennych. Materyały te przeważnie znajdują się w archiwach polskich zagranicznych (Muzeum Narodowe Polskie w Rapperswylu posiada przeszło 1000 listów Lelewela, i około 2000 listów do Lelewela pisanych, Biblioteka Polska w Paryżu również dużo autografów Lelewela w archiwach swoich przechowuje), po za tem w zbiorach prywatnych, a zapewne częściowo i w rękach spadkobierców i rodziny Lelewela. Wydanie tej korespondencyi, jako „Archiwum Lelewela," nietylko dałoby możność opracowania monografii o Lelewelu, ale uprzystępniłoby materyał pierwszorzędnej wagi do historyi naszej emigracyi, która w epoce owej ściśle z historyą kraju jest związana.

Zbliża się pięćdziesiąta rocznica śmierci Lelewela (maj 1911). Czy nie wartoby dla jej uczczenia wydawnictwo to podjąć i dzisiaj już o niem pomyśleć? Możeby się znalazł wydawca jaki, któryby, rozpoczętą w r. 1878 przez Żupańskiego publikacyę (Listy, Oddział I-szy i listy do rodzeństwa pisane, T. I i II, Poznań 1878—79 r.) w ciągu dalszym poprowadził?

Od lat paru zajmując się sprawą puścizny literackiej po Lelewelu i zawdzięczając ludziom dobrej woli, a między innymi dr. Zygmuntowi Celichowskiemu, któremu na niniejszem miejscu składam podziękowanie, niejedno już zdołałem dowiedzieć się; chętnie tym, którychby sprawa ta zajęła, informacyami, jakie posiadam, służę; również wdzięczny będę posiadaczom autografów nieznanych Lelewela, ile mi o tem łaskawie donieść zechcą (9, rue de Poissy, Paris 5e).

Z wielu bardzo notatek autobiograficznych, znajdujących się w Zbiorach Rapperswilskich wybrałem kilka ciekawszych, i ogłaszam je w *Bibliotece Warszawskiej*. Do Lelewela zwracano się często z prośbą o podanie szczegółów z jego życia, czem tłómaczą się notatki tego rodzaju przez niego pisane. Ta, którą dzisiaj ogłaszam, redagowana na dwa lata przed śmiercią, odnosi się do epoki powstaniowej i czasów emigracyjnych; ciekawą jest ocena własna działalności Lelewela podczas rewolucyi i pojmowania przez niego obowiązków względem kraju, kiedy znalazł się na obczyźnie.

Kazimierz Woźnicki.

Nota pisana w Brukselli w końcu sierpnia 1859.

(28 sierpnia, dod. ręką L. Chodźki).

W śród największej zabieżności swej naukowej wszedł do jizby z gminy warszawskiej, jako poseł powiatu Żelechowskiego. Na sejmie mało mówił, a wielce był czynny prezydując komisiji (bureau) organiczno-administracyjnej, przez którą rożne projekta przechodziły. Wnet jednak doznał, że sposób jego widzenia niebył do myśli tych co do aristokrackich tęsknili wyosobnień, zaczym uzyskał miano republikanina.

Wkrótce dośpiewała rewolucja 29 listopada, która wywołała powstanie narodowe. Młodzież zasięgała rady L., który mógł ją upewnić, że naród ruszy cały: co się też stało. Ale młodzież niewzięła kierunku sprawy. Rada administracijna niestawiając oporu poruszeniu narodowemu, wzywała do pomocy kilka osób z Senatu i jizby poselskiej, w liczbie których znajdując się L. miał niemały udział w rozwinięciu rewolucji i powstania narodowego.

Gdy się z rady administracijnej 2 grudnia udali do Wierzbna do Wks. Konstantego delegowani, L. był tam bardzo potrzebny. Należał potym do składu rządu tymczasowego. Projektowanej konfederaciji zjednoczenia (ta konfeder. zjednoczenia była wymysłem Gustawa Małachowskiego) niedopuścił: po co było zjednoczenie tworzyć dla rozjednoczenia? A gdy uzurpacja diktatury 5 grudnia przyjętą została: Lelewelowi poruczono doglądania ministerstwa oświecenia. Kiedy po otwarciu Sejmu 18 grudnia w parę dni — 20 grudnia— Sejm Chłopickiego na diktatora powoływał: L. niedając na to głosu, przeciw temu oświadczył się, zostając przy kontroli ministerstwa oświecenia. Z sejmu samego w komissiji pełnomocnej do napisania manifestu był wespół z Konstantym Świdzińskim, głównym tego manifestu redaktorem. Manifest 5 Stycznia 1831.

Gdy po usunięciu 25 stycznia Mikołaja, projektowano przysięgi, odparł takowe: bo gdzie naród swój obowiązek dopełnia, przysiąg niepotrzeba. (Później Skrzynecki obmyślał przysięgi dla wojska: ale się skończyło na dorywczej paradzie i dał pokój). Stosownie do projektu i decizji komissij Sejmowych (bureaux) redagował ustanowienie rządu. Chciał, aby rząd był odpowiedzialny: na to nieprzyzwolono; chciał, aby członkowie jizby, co do rządu wejdą, w jizbie zasiadać nie przestali: to odrzucono; doktrinery przemogli, wielom wydało się to zbyt rewolucijne. Udało mu się umorzyć ordery, zostawując tylko krzyż wojskowy; udało się nadać rządowi miano narodowego. Od początku widział w zaszłej rewolucij powstanie narodowe, i utrzymywał, że z powszechnego wrażenia, wyniknąć muszą zmiany w socijalnych stosunkach. Nieprzesądzając więc przyszłości, życzył, aby nierozprawiano czy Królestwem, czy Rzecząpospolitą Polska będzie; a wszystko przyodziać wyrazem narodu. Mimo tego, gdy uchwalono rząd pięciu, poszukiwano do składu jego reprezentantów rojalizmu, doktrinerji i republiki. Wola Sejmu z lutego usadziła L. w rządzie jako reprezentanta principjum republikańskiego.

Przeciwności dla niego wzmagały się, dawał dowody obojętności na nie, mianowicie, kiedy przyaresztowanie swe za diktatora, puścił mimo siebie. Dostrzegał jednak, że jego wziętość podkopaną została, wpływ wycieńczony. Ujrzał się w rządzie i w sprawie narodowej wyosobnionym.

W Sejmie już 8-go lutego podniesiono uchwałę królestwa konstitucijnego.

Życzył, aby Sejm na ciągłe niezasiadał, tylko dorywczo w razie potrzeby, polecając swym komissjom (bureaux) surowy nadgląd władz wykona(w)czych. To się nie stało, Sejm zużył się.

Utrzymywał, że rząd drogą administracijną może w dobrach narodowych pańszczyznę umorzyć i dał do tego przykład. Niestało się tak, rzecz nieszczęściem wniesiono do Sejmu.

Widział, nietylko poznański, ale i galicijskie powstanie zupełnie umorzone; zgubne rachuby na fałszywą dyplomację, źle prowadzoną rzecz na polu boju; niemoc rządu; był jednak dobrej myśli,—nie tracił otuchy, powtarzając wszędzie: zmaga się wysilenie narodu z paraliżowaniem jego. Że sparaliżowano, wyznał to z czasem prezes rządu narodowego sam.

Powstanie Ukrajinne i Litwy pobudziło L-a do wygotowania ustawy o wprowadzenie reprezentacji powstańskiej do Sejmu: a ta mimo dyplomatycznych przeciwności utrzymaną została. Wskutek tego 1 lipca, 8, 10 i 12 sierpnia odbywały się Sejmiki powstańców już exulanckie. (Dokazało się tego niesłychanym przebojem!)

Poczęły się ostatecznie rozwijać klęski i wewnętrzny niepokój a obrady sejmowe zajęte zostały projektem zmiany i obalenia rządu.

W pierwszych dniach rewolucji zjawił się był klub, co swym prezesem ogłosił Lelewela, choć ten ani razu nie miał czasu przewodniczyć jemu. W czasie diktatury klub swe obrady zawiesił, a po upadku diktatury, organizując się w towarzystwo patrioticzne, do przewodniczenia obradom swym wezwał kilku z jizby poselskiej. Z tych jeden L. tę partikularną towarzystwu usługę czynił.

Kiedy zamierzono rząd obalić i wady w składzie jego rozważano, uderzono głównie na stanowisko Lelewela. Rząd się utrzymał: a L. spokojny, a dość uparty, nie tak łatwy był do strawienia. Usiłowano towarzystwo patrioticzne, wówczas prawie nieczynne, rozwiązać. L. go utrzymał. Insinuowano L-owi, aby sam z rządu się usunął, odpowiedział: w przepaść jego wtrącony, z nim razem przepadnę, usunięciem się pojedyńczym wichrzycielem niebędę.

Gdy znacznie w sejmie jego jimienia nadużywano, wygotował dziełko porównania tych konstitucij, i takowe kollegom jizby 22 lipca rozdał.

Bolał nad toczącemi się zdarzeniami; nic jedna rzecz (?) stawała się dla niego gorżka; kojił rosnącą drażliwość wiedząc, że wiele rzeczy działo się bez jego udziału i wiedzy. Wygotowanego w rządzie w jimieniu narodu, do gabinetu wiedeńskiego pisma, niepodpisał, poczytując go za niegodne. Było to 4 sierpnia.

Obrady towarzystwa patrioticznego, wraz z dziennikarstwem, stan rzeczy na polu boju i dyplomacji głośnej rozważano (powodem do atakowania dyplomacji były pisemka: Coup d'oeil sur la question polonaise (L. Platera (?) i Wielopolskiego: Mémoire presenté à lord Palmerston). Było to w dolegliwym już stanie rzeczy oburzeniem się opinji powszechnej i przestrogą dla rządu i Sejmu. Tymczasem magistrat miasta oświadczał, że nieodpowiada za spokojność stolicy. Towarzystwo tej patrioticzne 5 sierpnia rząd ostrzegało.

Radził naostatek tłum obywateli stolicy, a 15 sierpnia zaledwie o naglącym niebezpieczeństwie rząd zawiadomili, wybuch nastąpił, lud sobie sprawiewość wymierzył.

Nazajutrz 16 sierpnia, w rządzie pozostałym L., zdaniem magistratu wsparty, zaledwie przewiódł roztropną do ludu odezwę. (Narada o to trwała od 5-ej rano do południa). Wykreślono przecież z redakcji wyrazy: lud sobie sprawiedliwość wymierzył: za utrzymaniem czego z magistratu obstawali się; to było ostatnią jego czynnością, nazajutrz 17 sierpnia z kollegami abdikował.

Od tego czasu, gdy się wszystko jiściło co przepowiadał, lubo zasiadał niekiedy w kole sejmowym, ale się zupełnie od czynu uchylił. Szedł z wojskiem do Prus ustępującym i przemknął się potym przez Niemcy i stanął w Paryżu (dnia 29 października 1831).

W Paryżu wnet powołany był przez tułaczy do przewodniczenia komitetowi narodowemu. Nalazł się wprawdzie sejm w komplecie, ale niemożna go było przywieść do czynnej manifestacyi: przemawianie w sprawie Polski dopełniał komitet narodowy. Strzegł się, aby niebył hostile au gouvernement français: ale aby mógł bez jego obrazy swobodnie przemawiać, oparł się na oppozicji i nalazł wsparcie w życzliwości Lafayette. Po wielomiesięcznej usłudze zostawił L. dalsze tych manipulacij powodowanie Dwernickiemu i innym, a sam na ponawiane reklamacje i nalegania Rossji z Francji ustąpić musiał.

Osiadł w Belgium, w Bruxelli. Bez resursów, nietykając niczyjego grosza, nieraz dans une pénurie extrême, pędząc życie skromne, austère, a wszystkim przystępne. Nie mógł żadnego obowiązku na siebie przyjąć, albowiem taki zagroziłby mu dopełnienie obowiązków tułacza, kiedy długo jeszcze niewolony był pełnić usługę publiczną emigracyi; w latach 1844 i następnych jeszcze przewodniczył wielkiemu wydziałowi republikańskiej demokratycznej emigracyi.

Powoli rozwinął sobie pracowite naukowe zatrudnienia: pracę Histoire de Pologne, wydał parę dzieł numizmatycznych; la Géographie du Moyen Age. Dzieła te niemogły mu potrzebnych do utrzymania środków dostarczyć. Dostarczył mu takowych własny do tych dział sztych: rysunek monet i kart geograficznych na stukilkudziesięciu płytach do tych dzieł dołączonych. Wydawcy niemiał, wydawał sam.

Po dziesięciu leciech dopiero poczęło mu przychodzić w pomoc wydawnictwo dzieł we własnym polskim języku, których odbyt we własnym kraju, mianowicie pod rossijskim panowaniem, długo zupełnie był wzbroniony i dotąd niesłychanych trudności doznaje. Julian Bartoszewicz w pierwszych latach w Warszawie za pozwoleniem cenzury w publikacie swej wspomniał imie L. za to Paszkiewicz na lat kilka wygnał go z Warszawy na prowincję.

[Joachim Lelewel].

PIŚMIENNICTWO.

Moje przeprawy. Pamiętnik Andrzeja Zamoyskiego. Tom II. Z autografu wydał, opatrzył wstępem i epilogiem Aleksander Kraushar.

Wyrzekania, niezadowolenie z ludzi i okoliczności, lekceważący a czasem lekkomyślny sąd, spotykamy i w dalszym ciągu pamiętnika Zamoyskiego. Wyznaje on po raz wtóry czy trzeci, że przez cały czas tej biednej sprawy (listopadowej) nie czuł ani na chwilę zapału. Nie mógł przylgnąć do niej, gdyż go dręczyła pamięć o zbrodniach 29 listopada, a nie pocieszały częste błędy, nieznośne przechwałki, zarozumienie, junakierya, głupota. Zamoyski wyrzeka, że Sejm odjął w Bolimowie dowództwo Skrzyneckiemu i to właśnie, gdy Paskiewicz w Łowiczu desperował, że nieczynności Skrzyneckiego pojąć nie mógł. Zdaniem hr. Andrzeja Paskiewicz go się bał i miał gotowe rozkazy dla wojska rosyjskiego do wymarszu na zimę do Prus. Następnie, przypuszcza Zamoyski, że możeby i wtenczas nie było owego fatalnego 15-go sierpnia i z żalem wspomina, że ks. Adam osobiście do Bolimowa wyjechał dla zrzucenia Skrzyneckiego, a Prądzyński wodza oskarżył i to oskarżenie w gazetach wydrukował. W r. 1840 Zamoyski widywał często Prądzyńskiego w Freywaldau, gdy był ciężko chory. Czytywał on Zamoyskiemu swoje wspomnienia o 1831 r. i gdy doszedł do Bolimowa, zapytał go, czy się zgadza na jego surowy sąd o Skrzyneckim. Zamoyski wahał się długo z odpowiedzią, gdyż Prądzyński był biedny, słaby, sparaliżowany, ale gdy nalegał, powiedział mu, „jeżeli kto sprawie zaszkodził, to ty, bo wciąż psułeś w wojsku zaufanie do wodza.“ „Miałem do niego urazę, odpowiedział. Chrzanowskiego przedemną generałem mianował.“ „Jakżeś mógł być tak zawziętym, żeby naczelnego wodza pod Bolimowem oskarżać, kiedyś wiedział dobrze, że innego nie

było na zastępcę.“ Musiał mi to przyznać, pisze Zamoyski, bo i dla siebie nie pracował, czuł to, że gabinetowym raczej jest oficerem i dowództwa byłby się nie podjął, choć w końcu z Warszawy dobrego wojska 26,000 wyprowadził na ekspedycyę niepotrzebną do Międzyrzeca dla próbowania sił swoich. Okropny żal się robi, kończy Zamoyski, myśląc o tak uzdolnionym człowieku, że podlegał zawistnej namiętności i zamiast pomagania dzielnie, wciąż intrygował, że obok tak wielkiego światła, tyle brzydki cień się mieścił.

Niespodziewanie ks. Adam kazał się przygotować Zamoyskiemu do powtórnego wyjazdu do Wiednia. Zamoyski położył jeden warunek, że napisze projekt i że ks. Adam w jego przytomności poda rękę Skrzyneckiemu i Ostrowskiemu, marszałkowi Sejmu, na znak przyrzeczenia, że się we trzech do końca wzajemnie porozumiewać i wspierać będą. Ks. Adam na powyższe warunki przystał i obiecał je wypełnić. Zamoyski przygotował sobie nie tylko instrukcyę, ale i list do księcia Adama, w którym domagał się bon na 50,000 dukatów, które w danym razie mógłby użyć dla przeprowadzenia swych planów w Wiedniu. Dnia 26 czerwca ks. Czartoryski podpisał zobowiązanie razem ze Skrzyneckim, Ostrowskim i Horodyskim. Po tej sesyi, pisze Zamoyski, podczas której każdy z obecnych, wierząc w możność przekupienia rządu austryackiego, zawczasu już targował się, byle najwięcej wymódz za swoje pieniądze, wziąłem się do pisania drugostronnych instrukcyj. Wyznaję, że najmniejszej nie miałem nadziei, żeby się ten środek mógł udać. Zaszedłem potem do naczelnego wodza, dla rozmówienia się sam na sam i poznania jego widoków oraz intencyj. W ciągu długiej rozmowy wyraził się: silni jeszcze jesteśmy, wszelako muszę ci powiedzieć, że obecnego wojska będę strzegł, jak oka w głowie, bo straciwszy jedno wojsko pod Grochowem, drugie pod Ostrołęką, wątpię, żebyśmy potrafili, obecne straciwszy, nowe uformować. Kraj dużo już dał, czy jeszcze dać może? nie wiem. W takiej niepewności największa mi przystoi ostrożność, będę Fabiuszem: cunctando restituit rem. Z Paryża generał Sebastiani, minister spraw zagranicznych, tyle nam tylko na nasze zapytania odpowiedział: durez, durez. Myślą więc moją jest nie szukać nieprzyjaciela, unikać bitwy walnej, stanowczej, wytrzymywać go. Będziemy manewrowali, niechaj męczy swoje wojska. Dam mu przejść przez Wisłę, a będę na niego czekał nad Bzurą, w okolicy Łowicza, tam jeżeli mnie będzie atakował, przyjmę bitwę; jak się uda, skutek okaże. Jeżeli mnie pobije, cofnę się pod Warszawę i pod szańcami stanowcza będzie rozprawa.

Taki mój plan, od niego nie odstąpię. Przypuszczając, że ja nieprzyjaciela pod Łowiczem pobiję, to go do Prus wpędzę. Zapytałem go, czy nie myśli niepokoić nieprzyjaciela w czasie flankowego marszu pod Łowiczem? Odpowiedział Skrzynecki: niepokoić mógłbym, ale na co męczyć wojsko? Przejścia przez Wisłę nie mogę mu wzbronić. Kiedy mu Prusacy pomagają, wolę się trzymać mojego planu. Dodałem, że jedno drugiemu nie przeszkadza. Zobaczymy, co się da zrobić, odpowiedział.

Zamoyski pożegnał się jeszcze z ks. Adamem. Cały wieczór spędziłem u niego, pisze hr. Andrzej. Rozbierając wszechstronnie stosunki nasze, biedny książe jednostronnie je tylko chciał widzieć. Ile razy odzywałem się, pisze Zamoyski, że jednak przewidzieć trzeba i tę ostateczność w razie nieudanej, że się poddać wypadnie, ani słyszeć o tem nie chciał. Przedstawiałem w przypuszczeniu, że do Wiednia zajść potrafię, że jednak radzić się, ani odwoływać nie będę mógł, że dla tego chcę wiedzieć, co w najgorszym razie czynić powinienem. W końcu odpowiedział, jakby te wyrazy z serca wyrwał: radź wtedy, jak potrafisz. Jeszcze go wtedy prosiłem, błagałem, aby do końca wspierał Skrzyneckiego, z nim trzymał, bo ta pewność doda mi śmiałości. Przyrzekł, pożegnałem się i nazajutrz 26-go po otrzymaniu podpisu na instrukcyi i na bonach, wyjechałem.

Zamoyski zatrzymał się w Krakowie, rozmyślając nad sposobem dostania się za granicę. Przedstawił konsulowi austryackiemu, że miał upoważnienie od księcia Metternicha do powrotu do Wiednia. Pisma jednak nie było i konsul odmówił. Dnia 8-go lipca napisał Zamoyski z Krakowa list do Metternicha, ale odpowiedzi żadnej nie odebrał. Pojechał do Bobrku i tam wśród wielu przygód nie bardzo przyjemnych, przeprawił się przez Wisłę. Razem z księciem Lichnowskim, jako jego sekretarz, przybył Zamoyski do Wiednia d. 6 sierpnia. Dnia 9 sierpnia napisał list do Metternicha, ale Lichnowski zawiadomił go, aby się przedewszystkiem poznał z Gentzem. Dnia 12 sierpnia Zamoyski pisze powtórny list do Metternicha, upraszający go o audyencyę, a gdy i ten nie skutkuje, wysyła trzeci d. 18 sierpnia. Nie dowierzając jednak skuteczności trzeciego listu, pobiegł osobiście na zwiady i wtedy kazał mu Metternich powiedzieć, że go przyjmie nazajutrz wieczorem. Nareszcie więc Zamoyski doczekał się upragnionej audyencyi, na której został obojętnie przyjętym przez Metternicha. Kanclerz oświadczył Zamoyskiemu najwyraźniej, że nie pozostaje Polakom nic innego, jak poddać się, co im już dawniej radził uczynić. Rozmowa przybierała obrót coraz to niechętniejszy, a gdy Metter-

nich zauważył, że niewątpliwie Rosya jest sojusznicą Austryi i że kwestyę uważa za wyczerpaną, nie pozostało Zamoyskiemu nic innego do oświadczenia, jak tylko to, że kwestya ta wniosła rozpacz do jego serca i że prosi o paszport. Metternich zapytał obojętnie, kiedy myśli wyjechać, dodając: nie dojedziesz pan do Warszawy, a już będzie koniec sprawy. Zamoyski zaryzykował jeszcze jedno rozpaczliwe zapytanie: więc Austrya nie uczyni żadnego kroku dla przywrócenia pokoju? i odebrał spokojną odpowiedź: nie! to niemożebne. Wszystko zapóźno już i nie na czasie obecnie. Wszyscy zapaleńcy już umknęli, są w Krakowie, usiłowali nawet wejść do Galicyi, zobaczymy ich tutaj, wtedy poddadzą się.

Po 20 sierpnia Zamoyski zobaczył się z Gentzem, ale i jego objaśnienia nie dodały mu otuchy, udał się więc do biura dyliżansów, dla przekonania się, czy znajdzie miejsce do Ołomuńca i Troppawy. Ponieważ miejsca nie znalazł, przeto uważał to za wymówkę dla samego siebie i postanowił zostać na czas jakiś w Wiedniu. Wkrótce wysłał nowy list do Metternicha, prosząc o audyencyę i rzeczywiście kanclerz przyjął go z miną człowieka znudzonego i przeświadczonego, że sprawa polska zbliża się do kresu. Metternich zapewnił z góry, że cesarz austryacki nie poróżni się nigdy z Rosyą, że ostatecznie na wszystko zapóźno i wszystko stracone. Metternich był zawsze zdania przeciwnego z księciem Adamem. Ks. Adam oddał złą przysługę Polsce i Rosyi. Gdyby był się chciał połączyć z Metternichem podczas Kongresu Wiedeńskiego, być może, że utworzyliby Polskę niepodległą, ustanowiłoby się granicę przyzwoitą, byłaby ona państwem pośredniem, poduszką między olbrzymami Rosyi, Austryi i Prus, taką jakąśmy utworzyli z rzeszy niemieckiej między Francyą, Austryą i Prusami. Nic innego dla Polski obmyśleć nie mogę. Ale to chwila nie po temu. Rozmowa trwała dość długo. Słuchając wyjaśnień Zamoyskiego, Metternich wyrzekł kilkakrotnie: biedny kraj! Wreszcie odezwał się do Zamoyskiego: nie uważam pana za agenta polskiego. Jako takiego, nie przyjąłbym cię wcale. Rozmawiam z panem, jako z siostrzeńcem księcia Adama, mego starego przyjaciela. Mówię do pana, jako do człowieka myślącego i uczciwego. Dotychczas widywaliśmy się często, otóż obecnie będziemy udawać, żeśmy się nigdy nie widzieli.

Wkrótce po owej rozmowie z Metternichem, która zdawała się być ostatnią, przyszła do Wiednia wiadomość o dymisyi Skrzyneckiego i o mianowaniu na jego miejsce Dembińskiego. To woda na mój młyn, pomyślał sobie Zamoyski. Zmiana w takiej chwili wodza umiarkowanego na człowieka stanowczego, niesz-

częściem, zdolności miernych, który się właśnie odznaczył rejteradą po przez armie rosyjskie od granicy pruskiej. To nasunie księciu Metternichowi obawę oporu rozpaczliwego; być może, że mi wyjedna warunki lepsze. Nie mogłem sobie zdać sprawy z tego, co mogło spowodować ową zmianę wodza armii w obec nieprzyjaciela. Im więcej się nad tem zastanawiałem, tem silniejsze obawy nachodziły na mnie, iż jest to może wynik niecnych intryg, uknutych przez kilku zazdrosnych ambicyuszów, którzy poświęcali w ten sposób sprawę publiczną. Zamoyski otrzymał jeszcze jedną, tym razem ostatnią audyencyę u Metternicha. Kanclerz rozpoczął mowę od zauważenia, że Warszawa jest zupełnie osaczoną i lada chwila będzie koniec. „Niema innego środka, rzekł Metternich głosem nieco wzruszonym, trzeba wam się poddać. Widzisz pan, należy być praktycznym i nie uwodzić się teoryami. Jestem starym znawcą ludzi. Pan jesteś młodym, sprytnym, masz zdolności, uważam cię za zdolnego do traktowania w sprawach doniosłych. Kocham pana z całego serca; cóż chcesz, bym ci powiedział? gdybym cię nie miał za takiego, byłbym cię tak traktował, jak dwudziestu innych. Przedstawiłem pańską pracę, pańską ideę mojemu cesarzowi. Pan wiesz, że interweniować nie chce. Oświadczył, gdyż to są jego słowa, że poddanie się jest koniecznem, że w tym razie kongres zbyteczny, że o niepodległości waszej myśleć nie może. Odczuwam i podzielam nieszczęścia wasze—tylko ta chwila! W każdym innym czasie sprawa wasza byłaby rosyjsko-polską lub też polsko-austro-pruską. Lecz dzisiaj stała się ona jedną z wielkich spraw Europy.“ Na tem się pamiętnik kończy, choć autor miał dość czasu, ażeby go uzupełnić opisem swego spotkania z feldmarszałkiem Paskiewiczem pod Warszawą. Wydawca nadmieniając, że w pamiętnikach Metternicha niema najmniejszej wzmianki o rozmowach z Zamoyskim, przychodzi słusznie do tego przekonania, że pamiętnik Zamoyskiego nabiera wobec tego podwójnej wartości. Ocenią niewątpliwie przyszli historycy epoki 1830—1831 roku taką doniosłość dokumentu, jako wzór obserwacyi i przenikliwości męża, który, nie pozując na dyplomatę, oceniał ludzi i stosunki trafnie, kierowany jedynie miłością ku swemu społeczeństwu i poczuciem obowiązku prawdomówności, ciążącego na każdym, kto pisze pamiętnik dla pokoleń przyszłych, z poza grobu niejako do potomności przemawia.

Pamiętnik Zamoyskiego, o ile zawiera negocyacyę dyplomatyczną z Metternichem, jest rzeczywiście dokumentem historycznym, dla nas specyalnie doniosłym i rzec można bez przesady pierwszej wagi. Do charakterystki Metternicha, choćby ten pamiętnik nie

dodawał ani jednego wybitniejszego rysu, stwierdza jednak wybornie, wszystko to, co podały swego czasu pamiętniki wybitniejszych mężów stanu o Metternichu. Zimny jak głaz, lubował on się w przemówieniach, któremi się sam zachwycał, a ufny w swe rozległe doświadczenie, przybierał, zwłaszcza wobec takich samozwańczych dyplomatów, jak Zamoyski, ton nieomylności i absolutnej pewności. Wobec lirycznego nastroju, z jakim Zamoyski przedstawiał nieustanne skargi i narzekania, w których Metternich nie mógł dostrzedz najmniejszego realnego interesu Austryi, trzeba przyznać, że wytrawny dyplomata umiał się zmusić do cierpliwości i choć niejednokrotnie szczerze znudzony, pozwalał sobie okazywać zainteresowanie, współczucie, coś w rodzaju połowicznego rozrzewnienia, które zwykle występowało wtedy, kiedy była odmowa najkategoryczniejszą. Wtedy, kiedy Metternich oświadczył Zamoyskiemu, że go nie przyjmował bynajmniej w charakterze agenta polskiego, osłodził mu ową gorzką pigułkę tem zapewnieniem, że go uważał zawsze za siostrzeńca swego starego przyjaciela księcia Adama i wreszcie, czegoby nikt się nie mógł spodziewać, że go kocha z całego serca. Co się tycze memoryałów Zamoyskiego, składanych Metternichowi i argumentacyi dyplomatycznej, jaką Zamoyski rozwinął w swych rozmowach z kanclerzem Austryi, to jedynie nadmienić należy, że Zamoyski ograniczył się na chęci poruszenia uczucia, a zaniedbał wskazać realnego interesu, któryby Austrya mieć mogła w interweniowaniu, naruszającem dobre stosunki z sojuszniczką Rosyą. Zarzut to zresztą, którym obarczyć należy więcej księcia Adama, że tak niedoświadczonemu w dziedzinie dyplomacyi mężowi nie dał należytych instrukcyj i rad doświadczeńszych.

Co się zaś tyczy sądów o ludziach i zdarzeniach 1830—31 r., jakie Zamoyski w pamiętniku swoim później zapisywał, to niewyrozumiałość ich, porywczość i bezkrytyczność wprawia rzeczywiście czytelnika w zdumienie. Będąc względnie łaskawym dla księcia Adama i dla generała Skrzyneckiego, Zamoyski jest nieubłaganym sędzią dla wszystkich innych. Prądzyński jest dla niego jedynie oficerem gabinetowym, nie mającym kwalifikacyi żadnej na wodza, jak tego dowiodła wyprawa do Międzyrzeca. Dla Zamoyskiego więc nie istniały Iganie ani Ostrołęka, ale istniała wyprawa do Międzyrzeca, za którą bynajmniej na Prądzyńskiego nie spada żadna odpowiedzialność. Uporczywe twierdzenie Zamoyskiego, że jedynym możliwym wodzem był Skrzynecki i że innego kandydata nie było, gdyż Dembiński był ograniczonym, nie ma w sobie siły przekonywającej i świadczy jedynie o roznamiętnie-

niu, z którego ochłonąć nie był w stanie, nawet w roku 1840. Poza negocyacyą z Metternichem, pamiętnik Zamoyskiego należy traktować z dużą ostrożnością.

A. R.

ALEKSANDER KRAUSHAR. *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk.* Księga IV. Czasy polistopadowe. Epilog 1831—1836, z ilustracyami. 1906.

W przedmowie zaznacza autor, że po wybuchu powstania listopadowego, Towarzystwo przedstawiało obraz powolnego dogasania ogniska wiedzy i obywatelskich usiłowań grona mężów, którzy w zaraniu XIX w. stanowili nie tylko mózg, lecz i serce społeczeństwa polskiego. Podczas epoki listopadowej, Towarzystwo znajdowało się w położeniu wyjątkowem. Stronnictwo rewolucyjne zarzucało Towarzystwu konserwatyzm, zaśniedziałość i martwotę, drugie stronnictwo rządowe upatrywało w jego działalności wszelkie cechy wywrotowe, radykalizm i krańcowość narodowo-patryotyczną. Zarzut uczyniony Towarzystwu przez stronnictwo ruchu podniesionym został po niewczasie. Dnia bowiem 3 maja 1831 r. na ostatniem posiedzeniu publicznem zerwało Towarzystwo z dotychczasowym konserwatyzmem, a powołując Mickiewicza do swego grona, nadało prawo obywatelstwa odrzucanemu przedtem od siebie romantyzmowi. Jednocześnie powołaniem do swego grona wybitniejszych przywódców wojska polskiego oraz najgłówniejszych wówczas w Europie mężów stanu, poetów i pisarzy krzewicieli zasad politycznej swobody narodów, Towarzystwo zaciągnęło się otwarcie pod sztandary ruchu. W chwili obrachunku zwycięzca wysunął na pierwszy plan hasło rewolucyjne wygłaszane przez Towarzystwo i uznał je za dostateczny powód do wygłoszenia przeciw niemu wyroku zagłady. Już w początkach marca 1831 r. cesarz Mikołaj w liście do feldmarszałka Dybicza wydał rozkaz opieczętowania, na wypadek wzięcia stolicy, wszelkich zbiorów bibliotecznych i następnie przesłania ich do Petersburga.

Jedynie z przemówienia Niemcewicza na posiedzeniu publicznem (3 maja) okazuje się, że wśród szczęku oręża prace naukowe członków nie uległy przerwie, Niemcewicz zaprotestował przeciw zarządzeniu Węgrzeckiego, pełniącego obowiązki prezydenta municypalności, w sprawie nałożenia składki w kwocie 3737 zł. na członków Towarzystwa z przeznaczeniem tego funduszu na umundurowanie dwóch pułków tak zwanych dzieci warszawskich. W protestacyi swej zamieścił Niemcewicz następujący ustęp: upraszam

o odwołanie rozkazu tego. Towarzystwo nie jest w stanie dać i szeląga, bo jest bez funduszów; chyba, jak Wizygoty weźmiecie książki nasze i Kopernika. W słowach uprzejmych lecz stanowczych odpowiedział Niemcewiczowi Węgrzecki, czyniąc alluzyę do niewłaściwego przypomnienia municypalności gwałtów wizygockich. Zresztą, jak gdyby w czasach najspokojniejszych, zgromadziła się deputacya Towarzystwa złożona z prezydującego, biskupa Prażmowskiego, księdza Szweykowskiego, prof. Brodzińskiego i Mitego, przedstawiła obecnym sprawozdanie ze składu dotychczasowego członków, potrzebę jego uzupełnienia nowemi wyborami i poświęciła wspomnienie zgasłym w ostatniem półroczu kolegom. Wybory kwietniowe w r. 1831 pozostały tylko na papierze bez następstw praktycznych. Były one wyrazem uznania dla wybitniejszych osobistości w dziedzinie literatury i sztuki, ze strony instytucyi na zagładę skazanej. Najliczniejszym był jednak poczet osobistości, wybranych z wojska, w którego ręku spoczywały losy kraju. Członkiem honorowym wybrano Jana Skrzyneckiego, Prądzyńskiego, Chrzanowskiego, Paszkowskiego, Kołaczkowskiego i braci Sierawskich, generała i pułkownika.

Nielicznie i tylko za imiennymi biletami zapraszającymi, zebrała się publiczność na uroczystem posiedzeniu Tow. Przyjaciół Nauk d. 3 maja. Na tak słabą frekwencyę wpłynęła odezwa prezesa Rządu, z powodu grasującej w stolicy cholery. Po ogłoszeniu nazwisk nowowybranych, na posiedzeniu centralnem wstąpił na mównicę w mundurze artylerzysty prof. Romuald Hube i odczytał rozprawę o konstytucyi 3 maja, w której rozebrał kardynalne jej zasady, dowiódł, że wypłynęła z potrzeby i ducha czasu i jest najpiękniejszym pomnikiem upadającej ojczyzny. Przeszedł następnie do późniejszych ustaw rządowych i okazał, że dobrodziejstwa z nich pozyskane winna Polska konstytucyi 3 maja, która przygotowała liberalne wyobrażenia. Radził, aby w ustawie nowej tak pojąć czas i naród, jak je pojęli nieśmiertelni autorowie konstytucyi 3 maja: umocnić władzę królewską, zaprowadzić prawa municypalne i przedewszystkiem nadać włościanom własność ziemi. Zabrał następnie głos prof. Brodziński i obszernie, z wielką wymową, czuciem i fantazyą mówił o narodowości Polaków. Prawdziwie wyborny ten głos, pisali współcześni sprawozdawcy, pełen nowych i uderzających myśli, pełen serdecznej i tkliwej prostoty, która wszystkie pisma autora cechuje, może posłużyć za wzór dla wielkich mów akademickich, jakich dotąd prawieśmy nie znali. Mowę Brodzińskiego, wbrew przyjętemu zwyczajowi, ale z przepełnieniem uczuć i radości, przyjęto hucznymi, długo powta-

rzającymi się oklaskami. Zakończył posiedzenie wiersz Niemcewicza osnuty na rozdziale XXII pieśni Dawida, a odczytany przez prof. Osińskiego. W dni dziesięć po posiedzeniu publicznem Towarzystwa oddano mu hołd w Izbie poselskiej, gdzie Świdziński wystąpił z projektem, by z powodu wakansu pięciu miejsc w Senacie, godność senatora nadano Niemcewiczowi.

Od ostatniego posiedzenia majowego do schyłku r. 1831 nie było zgoła żadnych zajęć w gmachu Towarzystwa. Jeden jedyny ślad uczonego grona zachował się w pamiętnikach Skarbka, który podczas rewolucyi bawił w Petersburgu, a kiedy powrócił do Warszawy, już zastał w niej rządy feldmarszałka Paskiewicza. Otóż, powróciwszy z Petersburga, Skarbek objął napowrót obowiązki kustosza biblioteki i muzeów Towarzystwa i zrazu żadnej w sprawowaniu ich nie doznawał przeszkody. Towarzystwo zaczęło się zbierać na zwykłe posiedzenia swoje i nawet jedno centralne, pod prezydencyą biskupa Prażmowskiego. Odbyło się ono w obecności dwóch generałów rosyjskich na to posiedzenie zaproszonych, którzy z widoczną ciekawością, ale udanem współczuciem, przysłuchiwali się naukowym rozprawom. Pewnego poranku jednak zjawił się w gmachu Towarzystwa wyższy urzędnik rosyjski i zażądawszy kluczy od wszystkich lokalów, opieczętował takowe i dokonał aktu rozwiązania Towarzystwa i to bez żadnego uprzedniego zawiadomienia i ogłoszenia.

Faktyczne rozwiązanie Towarzystwa poprzedzał szereg środków zarządzonych w drodze korespondencyi do Towarzystwa dopiero w drugiej połowie stycznia 1832 r. Wtedy dopiero ukazała się odezwa ks. Gorczakowa, główno-komenderującego armią, do generał-lejtnanta Rautenstraucha, będącego członkiem rady tymczasowej, stanowiąca o losie zbiorów Towarzystwa. W odezwie powyższej, zawiadomił Gorczakow, że ks. Lieven, minister oświecenia, z polecenia cesarskiego posyła do Warszawy dwóch bibliotekarzy biblioteki publicznej w Petersburgu, Krassowskiego i Popowa, dla odebrania i ułożenia ksiąg dwóch bibliotek: publicznej i Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W parę tygodni później nadeszła pod adresem Łukasza Gołębiowskiego odezwa od dyrektora Ossolineum, Słotwińskiego, zapowiadająca nadesłanie uzupełnień do spisu medalów polskich, przez Feliksa Bentkowskiego sporządzonego. W liście tym, zamieszczony został powyższy ustęp: „Racz W. Pan wyrwać nas z tej niepewności i objaśnić łaskawie o położeniu naukowości w Warszawie. Zostajemy w niepewności o bycie Towarzystwa. Nie wiem czy? i do kogo? w stosunkach naukowych udać się mamy.“ Była to już ostatnia w spra-

wach naukowych Towarzystwa korespondencya. Miejsce jej zajęła inna, zapoczątkowana przez dwóch założycieli tegoż Towarzystwa i jego najdawniejszych członków: Józefa Kalasantego Szaniawskiego i Bogumiła de Linde, którzy sobie zgodnie podali ręce w celu usypania mogiły nad instytucyą, której przed 30 latami kolebkę zbudowali. Szaniawski wezwał Lindego a Linde Gołębiowskiego, aby zbiory Towarzystwa zostały doręczone urzędnikom, z Petersburga przysłanym. Łukasz Gołębiowski zawiadomił o tem biskupa Prażmowskiego, który uważał za stosowne wyjaśnić władzy naczelnej w kraju, iż mienie Towarzystwa ze składek publicznych i z legatów osób postronnych nagromadzone, podlega przepisom prawa i konfiskacie uledz nie powinno.

Towarzystwo, pisał Prażmowski, trudniąc się wyłącznie naukami, nie mieszało się nigdy do spraw politycznych, nie brało udziału w zaburzeniach krajowych i dla tego w czasie rewolucyi ostatniej wystawione było na prześladowanie piór wyuzdanych. Gdy Naj. Pan, Cesarz i Król, przebacza najłaskawiej jako ojciec tym, którzy rzeczywiście zawinili, Towarzystwo ma niepłonną nadzieję, iż mu nie odmówi Swej Najwyższej protekcyi, kiedy toż, jako zgromadzenie, nie dopuściło się winy, któraby go Jego Najwyższej łaski niegodnem czyniła. Rada Administracyjna, pod prezydencyą feldmarszałka Paskiewicza, zważając, że wierne ustawie swojej Towarzystwo, nie oddaliło się od niej w ciągu rewolucyi i z tego powodu ze strony dzienników rewolucyjnych czynione mu były zarzuty, postanowiła upraszać Naj. Pana o przychylenie się do rzeczonej prośby. Lecz wkrótce nadeszła odpowiedź od Czernyszewa, ministra wojny, zawiadamiająca, że Cesarz uznał postępowanie Towarzystwa za nielojalne. Członkowie tego Towarzystwa, Czartoryski, Niemcewicz, byli pierwszymi działaczami nieszczęsnego przewrotu i nie ma wątpliwości, że wielu innych członków Towarzystwa znajdowało się w szeregu buntowników. Z tych powodów J. C. Mość uznać raczył: nie uznawać już Towarzystwa Przyjaciół Nauk za istniejące. Następnie należy na Najwyższe uznanie dostarczyć wykazu osób, które zastrzegły sobie prawo odebrania darów na wypadek rozwiązania Towarzystwa i wtedy będzie można ocenić, o ile wykonanie tego warunku dopuszczonem być może. Wreszcie przystąpiono do opieczętowania dokumentów, przyczem obecni byli: Bandtkie, hr. Skarbek i Łukasz Gołębiowski.

Po ogłoszeniu statutu organicznego dla Królestwa, administracya mienia Towarzystwa, w osobach Szweykowskiego, Bandtkiego i Bentkowskiego, w powołaniu się na siłę statutu organi-

cznego starała się uratować bibliotekę i zbiory Towarzystwa, a to z zasady, iż statut organiczny zabezpiecza świętość i nietykalność własności wszelkiej, nietylko osób wszelkich, ale i stowarzyszonych. Motywów powyższych jednak nie uznał w zasadzie były członek i założyciel Towarzystwa de Linde, zawiadamiając administratorów, że rozkazy Naj. Pana bezzwłocznie wykonane być muszą. W razie dalszej zwłoki zagrożono administratorom represaliami. Pretensye zapisodawców lub ich sukcesorów oddalono z zasady, że wszystkie z darów pochodzące zbiory winny być odesłane do Petersburga, jako należące prawem wojny Cesarstwu rosyjskiemu, które swem wojskiem i mocą oręża zajęło Warszawę. Urzędnicy przysłani z Petersburga odebrali też całe zbiory i biskup Prażmowski, trzykrotnie wezwany, oddać musiał 23 volumina manuskryptów Towarzystwa, które się u niego znajdowały. Autor zamieścił prócz tego w ostatnim tomie swej sumiennej pracy ważniejsze wyciągi z protokułów Towarzystwa i sporo interesujących ilustracyj.

Mamy więc obecnie przed sobą cały obraz działalności Towarzystwa Królewskiego Przyjaciół Nauk, który dotychczas był tylko znany z pobieżnych i krótkich wzmianek pamiętnikarskich. Obraz ten został przez autora przedstawiony na bogatem tle cywilizacyjno-politycznem i dlatego nie ma w nim oschłości, ale przykuwa uwagę czytelnika niezwykłym interesem od początku do końca. Niewątpliwie zakradły się do sumiennej i gruntownej pracy Kraushara drobne niedokładności w tekście i w ilustracyach, ale te nie odejmują dziełu naukowego znaczenia i wysokiej pożyteczności dla naszej literatury, za co się autorowi szczera podzięka należy.

A. R.

MIECZYSŁAW SROKOWSKI. *Krew.* Warszawa 1906. Nakładem Jana Fiszera str. 269.

P. Mieczysław Srokowski przed rokiem zwrócił już na siebie uwagę krytyki powieścią p. t. *Epigoni.*

Nie była to powieść wolna od zarzutów, nie była to kompozycya artystyczna, stojąca na wysokości wymagań współczesnej techniki powieściopisarskiej, ale z tych kart, rzuconych w świat niedoświadczoną jeszcze ręką, bił szczery talent, wiała szczera poezya. Język był piękny, styl łatwy i potoczysty, bogactwo obrazowania i porównań wcale niepoślednie. Nadewszystko zaś w powieści tej można było wyczuć „konieczność tworzenia,“ t. j.

to właśnie, co stanowi najlepszą legitymacyę dla artysty, wstępującego na trudną drogę sztuki. Autor pisał, bo musiał pisać, bo dusza jego musiała się wypowiedzieć, musiała wyrzucić z siebie gorącą lawę swego wewnętrznego, nie dość jeszcze skupionego, ale już głębszego i dojrzewającego życia.

Od tej pory minął z górą rok i oto na półkach księgarskich ukazała się nowa książka p. Srokowskiego p. t. *Krew*.

Jestto zbiór nowel o podkładzie erotycznym, a może właściwiej będzie powiedzieć — *seksualnym*. Tętni tu bowiem nietyle krew zdrowych i mocnych namiętności, ile rozsnuwa się mgła lubieżnej tęsknoty, wypełniającej pożądaniem zmysłowem młode, a już przeżyte, już tknięte zarazą niemocy, dusze.

Ten erotyzm nie jest nam obcy. Znamy go z twórczości najmłodszych, płynął on i płynie szerokim strumieniem przez literaturę naszą i przez piśmiennictwa obce, wkraczając często w dziedzinę patologii płciowej.

Takim nawskroś patologicznym utworem u p. Srokowskiego jest pierwsza zaraz w tomiku nowela — ta właśnie *Krew*, od której cały zbiorek zapożyczył tytułu. Historya to straszna, smutna i nieprawdopodobna, wzięta zapewne nie z życia, ale z fantazyi, która chcąc stworzyć okaz *bydlęcia ludzkiego* przekroczyła w śmiałości swojej granice najdalej idącego zwyrodnienia.

I gdybyśmy na podstawie tej jednej noweli mieli sąd wydać o p. Srokowskim, to musielibyśmy powiedzieć: połóż pióro, bo sączy się z niego trucizna, której za pomocą sztuki niewolno jest podawać choremu i rozbitemu społeczeństwu.

Na szczęście jednak autor zaraz w następnym fragmencie (Maryjka — z pamiętnika narkotysty) uderzył w ton zgoła inny. Tu już dusza jego, wydobywając się z błota, woła jakby *excelsior* i podnosi się do krain jaśniejszych i światlejszych, garnąc się do tego, co czyste, nieskalane, nietknięte przez rozpustę. Nie trwa to „odrodzenie“ długo, ale — jest niewątpliwie objawem dodatnim.

Wogóle znać u p. Srokowskiego pewne, niedość mocno jeszcze uświadomione, dążenie do wyłamania się z pod przemożnej władzy instynktu płciowego, który go trzyma w mocnych swoich kleszczach i prowadzi nad brzegiem kałuży, jeżeli bowiem spostrzeże jakikolwiek, drobny nawet i nikły kwiat, który przypadkiem wyrósł na grzęzawicy, to zatrzymuje się natychmiast i spogląda w tę stronę z łagodnym i spokojnym smutkiem, który w nim budzi poczucie własnego upadku.

Fakt, że takie chwilowe refleksye mają przystęp do organizacyi duchowej artysty i budzą w nim lepsze, a drzemiące jeszcze

uczucia, pozwala przypuszczać, że kiedyś wstaną one i zadźwięczą innym, szlachetniejszym akordem. Wróżbą tego jest poniekąd ostatnia w zbiorku nowela p. t. „Izba na czwartaku.“

Ale narazie przeważa w p. Srokowskim erotyzm.

Jego usposobienia, nastroje, cierpienia i smutki mają swój pełny wyraz w wierszu Stanisława Brzozowskiego, przytoczonym, jako motto, do utworu *Bez duszy*.

Wiersz ten brzmi:

„Dusza ma cierniem uwieńczona
Na białym krzyżu twego ciała,
Przybita pragnień mych gwoździami,
Schyliwszy głowę, zwolna kona....
Ja sam, jak Judasz Iskaryota,
Za twój namiętny pocałunek
Na dreszcz wydałem ją konania....
. . . . . .
Jak mnie przeraża ta Golgota....

Tak. Niewątpliwie *przeraża* ona autora *Krwi*, ale to przybijanie duszy gwoździami pragnień do „białego ciała“ powtarza się ciągle, powtarza z jakąś zastraszającą monotonią.

Jakto?—pyta czytelnik, zamykając książkę—więc nic już niema ponad to, więc dusza artysty żadnem innem życiem nie żyje, po innych drogach nie chodzi, ku żadnym szczytom się nie wzbija, żadną nie karmi się ideą, niema odczucia żadnych innych spraw ludzkich i jednej tylko służy Afrodycie?

Niestety.

Ale — ma ona na swoje usprawiedliwienie dwie rzeczy — popierwsze swoją współczesność, podrugie—swój talent.

P. Srokowski należy do tego pokolenia, które jest chore na „niemoc kochania,“ które nie mogąc wykrzesać z siebie iskry głębokich umiłowań społecznych, karmiło się i karmi surogatami miłości. Pokrewieństwo jego z liryką ero — i egotyczną ostatniej doby jest bardzo blizkie i więcej jest w nim poety niż nowelisty, więcej marzyciela niż obserwatora, więcej tęsknego trubadura niezaspokojonych pożądań zmysłowych, niż objektywnego badacza ich objawów, kierujących duszą, wydaną na mękę rozpłomienionej krwi.

Drugim motywem, łagodzącym sąd ostry i bezwzględny — jest talent.

P. Srokowski ma go w takim stopniu, że można mu wybaczyć wiele, naturalnie z wiarą, że ten szczery, prawdziwy talent,

rozporządzający wszystkiemi środkami twórczemi, w przyszłości otrząśnie się z dotychczasowego omdlenia lubieżnego i potrafi pójść w służbę idei zdrowych i wielkich, które nie mieszkają w buduarach, ale wypełniają świat cały i biją skrzydłami o niebo.

Te idee prowadzą ludzkość i odradzają, a świadkami ich mocy i potęgi jesteśmy obecnie w przełomowej chwili dziejów naszego narodu. Ta chwila nie powinna też pozostać bez wpływu na młodych artystów polskich.

Słabszych zdruzgota ona i wyrzuci za nawias, silniejszych wprowadzi na inne, nowe i daleko prowadzące drogi — i ci zwyciężą.

Z. D.

Pamiętnik literacki. Rocznik IV. Zeszyt IV. Pamięci Mikołaja Reja z Nagłowic 1505—1905.

Towarzystwo literackie im. Adama Mickiewicza we Lwowie, którego organem jest *Pamiętnik literacki*, pięknie uczciło pamięć Reja, poświęcając mu całkowicie ostatni zeszyt swego cennego wydawnictwa.

Na czele prac, które złożyły się na tę bogatą w treść książkę, stoi rozprawa d-ra St. Dobrzyckiego, określająca stanowisko Reja w literaturze polskiej i rzucająca jego postać na szerokie tło ogólno-europejskich zmian duchowych w jego epoce.

Będąc produktem tych dążeń ogólno-europejskich — mówi dr. Dobrzycki — w jeszcze wyższym stopniu był jednak Rej produktem warunków i stosunków specyficznie polskich i typowym „wizerunkiem“ Polski ówczesnej.

I to właśnie sprawiło, że ta Polska ówczesna z takim zapałem Reja przyjęła. Wszak to była krew z jej krwi i kość z kości, był to „jeden z nich,“ przychodził do swoich i swoi go przyjęli. Dawał Rej ówczesnemu społeczeństwu literaturę żywotną i idącą z życiem, ale równocześnie pokazywał mu jego własny portret, myślał i mówił tak samo i to samo, co myśleli i mówili wszyscy. Orzechowski lub Modrzewski także poruszali kwestye żywotne i aktualne, a jednak nie było tak wielkiej tożsamości ich ducha z duchem ówczesnej Polski, więc tylko jeden był Rej i tylko jemu jednemu tak wysokie wyznaczono miejsce. I przez to właśnie Rej ma dla nas dziś taką wartość, gdyż jest on doskonałem „zwierciadłem,“ w którem możemy zobaczyć sprawy i ludzi Polski w połowie XVI wieku.

Na dalszych kartach „Pamiętnika“ znajdujemy niezwykle ciekawą pracę Bronisława Chlebowskiego o „najdawniejszych kancyonałach protestanckich z połowy XVI w.“ Jest to cenny przyczynek do dziejów polskiej liryki religijnej, tak niedostatecznie jeszcze zbadanej, a w czasach Reja kwitnącej wskutek rozbudzenia uczuć religijnych pod wpływem ideału ewangelicznego, psalmów i opowieści biblijnych.

Z kolei zabrał głos p. Józef Ujejski, mówiąc w obszernej i wyczerpującej pracy o „pojęciach Reja, dotyczących Polaka i Polski.“

Studyum to, jako więcej popularne od poprzednich, zasługuje na baczną uwagę nietylko kół fachowych, ale i szerszego koła miłośników literatury ojczystej.

Autor przedstawia nam tu Reja takim, jakim był, jakiemi oczami na Polskę patrzał, co dla niej czuł, co w niej widział, czego dla niej pragnął i prowadząc nas przez szereg dzieł „Ojca literatury polskiej“—na podstawie licznych przytoczeń i wyimków stwierdza *obywatelskość* Reja, polegającą na tem, że główną jego tendencyą, głównym jego celem zawsze i wszędzie była „użyteczność ojczyźnie i współziomkom, chęć ich poprawy i uszlachetnienia.“

Że ta chęć wypowiadała się w sposób pod względem formy nieudolny, pod względem treści nieraz ułomny, że lot ideałów Reja zawsze był przyziemny — to prawda. Ale już chęć sama świadczy o nim bardzo dobrze, a te ideały, nawet tak „niziuchne i nienadziemske,“ jak były, kto wie, czy nie najłatwiej trafić mogły do przekonania ludzi, stojących na tym poziomie kultury duchowej, na jakim stali ówcześni Polacy.

Grożąc piekłem lub obiecując wielkie rozkosze w niebie, malując fizyczne i doczesne złe skutki różnych grzechów i namiętności, lub przeciwstawiając im również doczesne i materyalne przyjemności wolnego od nich t. zw. „żywota pomiernego“ — kto wie, czy w ten właśnie sposób nie używał Rej bezwiednie argumentów daleko silniejszych, niż gdyby był przemawiał w imię jakiegoś duchowego piękna i wzniosłości. Zachęcał zaś przeważnie do rzeczy dobrych, zachęcał w języku ojczystym i z tych wszystkich powodów na polu poprawy obyczajów powinien był zdziałać więcej niż inni.

Na pisarza politycznego — twierdzi p. Ujejski słusznie — Rej powołania nie miał. Umiał widzieć bardzo dobrze złe strony wielu urządzeń Rzeczypospolitej, umiał je nawet wytknąć, ale, aby na nie także zaradzić, na to był umysłem niedość potężnym i nau-

ki miał za mało. Mimo to czuł konieczność rady i dla tego probował radzić. Dobra ta intencya wydała ledwie kilka rozumnych rad politycznych, a jednak i na tem polu nie można mu całkowicie odmówić zasług, bo trafne ukazanie złego i rozumne dowodzenie konieczności poprawy samo już powinno być bodźcem do poprawy...

W stałej rubryce „Notatek“ dr. Franciszek Krček zastanawia się nad oryginalnością „Warwasa“ Rejowego, domyślając się, że jest on przeróbką czeskiego. To samo twierdzi i o tak zwanym „Hejnale“ Rejowym.

W tejże rubryce dr. Dobrzycki pisze o „Psałterzu Kochanowskiego w stosunku do innych jego pism.“

„Materyały“ tym razem przynoszą nam pięć listów nieznanych Andrzeja Frycza Modrzewskiego, oraz dwa listy Jana Zamoyskiego do Pawła Manucyusza.

Uzupełnienie zeszytu stanowi nader bogaty dział recenzyj i sprawozdań, wśród których znajdujemy oceny niemal wszystkich książek o Reju lub Reja dotyczących, jakie w ciągu roku ubiegłego z pod prasy drukarskiej wyszły, a więc między innemi omówiono tu cenną pracę prof. Brücknera, rozprawkę Chlebowskiego, dwa studya Ign. Chrzanowskiego, d-ra Giedroycia „Poglądy lekarskie Reja,“ Plenkiewicza „Etykę Reja,“ d-ra Sinki „Rej i Dante,“ d-ra Sobieskiego „Rej a Zamoyski“ (praca ta była drukowana w „Bibl. Warsz.“ w roku ubiegłym), Nowaczyńskiego, Glogiera i t. d.

Nadto dr. Wiktor Hahn ze zwykłą sobie pracowitością zestawił „Bibliografię o Mikołaju Reju za rok 1905,“ gdzie nie pominięto nawet drobnych artykułów dziennikarskich, poświęconych Rejowi w 400-tną rocznicę jego urodzin.

W ten sposób powstała „księga pamiątkowa“ o niewątpliwej wartości naukowej, co przynosi zaszczyt redakcyi „Pamiętnika“ i jego wydawcom.

Czytająca publiczność polska powinna to ocenić.

Z. D.

Kronika miesięczna.

Walka partyjna. Terror ekonomiczny a bandytyzm. Perspektywy anarchii. „Macierz szkolna.“ Towarzystwo kursów naukowych w Warszawie.

W okresach, kiedy budzi się na szerszych zorganizowane podstawach życie polityczne, następuje różniczkowanie się narodów i społeczeństw na partye i obozy. Jasno sformułowane hasła, wyraźnie określone dążenia i aspiracye, sprzyjają grupowaniu się jednostek dokoła pewnych sztandarów i sztandarom tym zapewniają poparcie ze strony zwartej i karnej masy „jednomyślnych,“ idących sprawnie w szeregu i spełniających posłusznie nakazy przewodników. I niby mieć nie można przeciw temu „zrzeszaniu“ się do wspólnej pracy w imię jednakowych wierzeń i przekonań; niedobrze jednak i smutnie przedstawia się wzajemny stosunek tych stronnictw politycznych do siebie, stosunek, na który niejednokrotnie już zwracaliśmy na tem miejscu uwagę, a który ciągle jeszcze nastręcza tematy do gorzkich rozmyślań.

Oto nietylko, że stronnictwom naszym brak porozumienia w działaniu tam, gdzie porozumienie takie jest możliwe, to znaczy w wypadkach, kiedy idzie o rzeczy i sprawy wspólne wszystkim, ale — obok tego braku, a właściwie wskutek niego, wystąpił absolutny brak jakiejkolwiek tolerancyi cudzych dążeń i przekonań. Hasło barbarzyńskie, które brzmi „kto nie z nami, ten przeciw nam“ znalazło gorliwych wyznawców we wszystkich partyach i popchnęło je do walki, w której nie wahano się nawet uciekać do najohydniejszego teroru.

Pamiętamy wszyscy cały szereg smutnych epizodów niekulturalnej walki partyjnej na pięści, noże i rewolwery, pamiętamy cały szereg ofiar, które padły w imię tej zaciekłości i nienawiści, jakie ogarnęły niedość jeszcze rozwinięte etycznie masy robotnicze i przeciw braciom obracały braci. Wszystkie niemal większe fa-

bryki polskie w Warszawie, w Łodzi, w Pabianicach, Zgierzu i t. d. były widowniami takich zapasów bratobójczych, zbryzganych krwią ofiar, nietylko że niewinnych, ale w wielu wypadkach godnych nawet podziwu za siłę swoich przekonań i za niezachwianą wiarę w prawdę swoich ideałów. Bez względu na partye, do których należeli, ginęli tu niewątpliwie ludzie, których życie mogło być dla społeczeństwa pożyteczne.

Ale — zaślepienie obozów walczących było tak wielkie, że na interes społeczny nikt nie zwracał uwagi — na wszystko zaś patrzono jedynie pod kątem chwilowych interesów partyi, chwilowych jej tryumfów i przewagi. Nadeszła wszakże chwila, w której zdawało się, że łuska spada zaślepionym z oczu.

Oto przed kilku tygodniami ukazała się znamienna odezwa robotników z fabryki Kindlera w Pabianicach, wzywająca do zaniechania dalszego bezpożytecznego przelewu krwi „w imię tych praw człowieka," o które właśnie toczy się walka. Odezwę tę podpisało 18 delegatów, należących do czterech najbardziej rozgałęzionych organizacyj: Polskiej partyi socyalistycznej, Socyalnej Demokracyi, Proletaryatu i Związku robotników nar. demokratycznych.

W odezwie tej między innemi powiedziano, co następuje:

„Deptaliśmy stale prawo wolności słowa i niesłusznie przywłaszczaliśmy sobie prawo rozporządzania życiem ludzkiem, ceniąc je niżej od zwierzęcego. Musimy sobie powiedzieć tę smutną prawdę, że niejednokrotnie zabijaliśmy ojców rodzin w oczach tychże ze strasznie spokojnem sumieniem."

„Przekonaliśmy się już chyba dostatecznie, że teror i droga, znaczona śladami krwi, oddala nas coraz bardziej jednych od drugich, odgradza murem, którego w końcu nie będziemy w stanie przekroczyć, bo zamiast z cegieł będzie on wystawiony z trupów."

„Bracia robotnicy! opamiętajmy się póki czas jeszcze. Zmyjmy z siebie te ślady krwi. Raz na zawsze zapomnijmy sobie urazy wzajemne! Podajmy sobie dłonie i niech każdy z nas stara się być człowiekiem, nie takim człowiekiem, któryby się różnił od zwierzęcia tylko swym wyglądem zewnętrznym, lecz istotą kulturalną."

„Pamiętajmy przedewszystkiem i szczególniej o tem, że fabryki nie powinny być miejscem waśni partyjnych, w fabryce jesteśmy wszyscy współtowarzyszami pracy i najlepiej byłoby, żebyśmy w fabrykach wcale rozmów politycznych nie prowadzili. Wiele nieszczęsnych starć dałoby się przez to uniknąć, bo przy tak licznem skupieniu ludzi rozmaitych przekonań, rozmaitego

charakteru bardzo łatwo o nieporozumienie, a przytem i sama praca staje się nadzwyczaj nieprodukcyjną.“

„Mając to wszystko na względzie, postanowiliśmy zrobić pierwszy krok, dążący do złagodzenia wzajemnych stosunków partyjnych pomiędzy robotnikami, aby nasza fabryka nie była za przykładem innych napiętnowana tą haniebną plamą zabójstw bratnich.“

„A więc precz z niekulturalną walką partyjną! Niech żyje wolność słowa i zgoda!“

Zdawałoby się, że po tej pięknej odezwie, której krótki zaledwie wyjątek przytoczyliśmy powyżej, podobne uchwały zapaść powinny na rozmaitych zgromadzeniach robotniczych i że hasło zgody i tolerancyi przekonań politycznych powinno sobie znaleźć szerokie koła zwolenników wśród walczącego o lepszą, kulturalniejszą przyszłość proletaryatu polskiego.

Niestety — z inną podobną uchwałą nie spotkaliśmy się jeszcze na łamach żadnego z pism.

Przeciwnie—przez cały ciąg czasu, jaki nas dzieli od wydania tej odezwy, podawnemu nadchodziły wiadomości i z Łodzi i z Ozorkowa i z samej Warszawy, że i tam i owdzie i jeszcze gdzieindziej odbyły się krwawe starcia robotników z robotnikami, narodowców z socyalistami lub odwrotnie, że są ranni, a nawet zabici.

Głos szlachetny pozostał więc bez echa i teror polityczny nietylko nie wygasł, ale coraz nieoględniej i w coraz straszniejszych formach podnosi głowę, grożąc zupełną anarchią moralną krajowi, wystawionemu na tyle prób w tej ważnej, przełomowej dobie dziejowej, która albo otworzy przed nim jasną i świetlaną drogę rozwoju, albo — uwstecznі go kulturalnie na długie lata.

Niewątpliwą też jest rzeczą, że owocem tego teroru politycznego, stosowanego przez gorące i zapalne jednostki w rozstrzyganiu sporów i nieporozumień partyjnych — jest teror innego gatunku, objawiający się od dłuższego już czasu z jednej strony w postaci załatwiania wszelkich porachunków osobistych robotnika z pracodawcą przy pomocy rewolweru, z drugiej — w postaci bandytyzmu, który nie ma dla swego rozwoju żadnej tamy, ani ze strony niemogącego zdobyć się na odpór społeczeństwa, ani ze strony zniedołężniałej, trwożnej i zupełnie nie pojmującej swoich obowiązków istotnych, policyi.

Tę łączność pomiędzy wyszczególnionemi powyżej trzema gatunkami terroru musiano też spostrzedz w sferach, kierujących polskim ruchem socyalistycznym, gdyż na łamach *Robotnika*, który jest organem P. P. S. ukazały się jednocześnie trzy charakterystyczne komunikaty, zmierzające do tego, aby zrzucić z partyi

odpowiedzialność za ten posiew, który nadspodziewanie szybko krwawy i hańbiący plon wydał i postawił społeczeństwo wobec groźnego pytania „być albo nie być.“

W jednym z tych komunikatów jest mowa o terrorze ekonomicznym. „Terror ekonomiczny — pisze *Robotnik* — jest nietylko środkiem bezcelowym, ale nadto szkodliwym. Wszak łatwiej zabić fabrykanta, niż przeprowadzić strajk — to też użycie terroru wpływa *kasująco* (?) na rozwój uświadomienia i solidarności proletaryatu, odwracając jego uwagę od właściwych dróg i celów. Dla tego terror ekonomiczny jest bezwzględnie potępiony przez wszystkie partye socyalistyczne.“

Bardzo smutne, że P. P. S. swoim wyznawcom ogłasza dopiero teraz tę wielką prawdę. Dotąd, niestety, pokrywała ona milczeniem cały szereg zabójstw, dokonanych podczas „walki ekonomicznej“ na osobach Kunitzerów, Schönów, Jankowskich i innych. Krwawe cienie tych ofiar zapóźno przemówiły do twardego sumienia przewodników ruchu socyalistycznego. Tymczasem zaś przykład zaraźliwy działał i szerzył zbrodnie po kraju, przenosząc je z miasta na wieś i znacząc swój pochód okrucieństwem i zezwierzęceniem duszy ludzkiej.

Jaskrawemi z tej dziedziny faktami są świeże wypadki terroru morderczego w Dobrzelinie i pod Komorowem. Nie opisujemy tu tych faktów wstrząsających, zbyt dobrze są one bowiem jeszcze w pamięci ogółu, aby je powtarzać należało, ale zwracamy na nie uwagę, gdyż nie można wątpić, że podłożem tych zbrodni jest właśnie ów *terror ekonomiczny*, podkreślony przez komunikat P. P. S.

Tak oto zrodziła się na ziemi naszej anarchia, a zbrodnia kroczy po niej tak śmiało, jak nie kroczyła nawet za czasów zupełnego barbarzyństwa. Plon przeszedł wszelkie oczekiwania, nic też dziwnego, że wszelkiego gatunku Piłaci corychlej umywają teraz ręce.

Wracamy jednak do dalszych komunikatów *Robotnika*.

W drugim z nich P. P. S. zajmuje się sprawą bandytyzmu.

„Ponieważ uporczywie — mówi komunikat — krążą pogłoski, rozsiewane przez ludzi nikczemnych, że partya nasza stosuje do osób prywatnych zasadę przymusowego wywłaszczenia, więc oświadczamy kategorycznie, że jest to świadomem oszczerstwem, obliczonem na odstraszenie od socyalizmu ludzi nieświadomych sprawy. Partya nigdy nie dawała swej sankcyi na wymuszanie pod groźbą rewolwerów pieniędzy, nigdy nie wysyłała wyroków śmier-

ci tym, którzy nie słuchają jej nakazu. Ktokolwiek to czyni, jest bandytą, podszywającym się pod naszą partyę."

Trzeci wreszcie komunikat ma treść następującą:

„Na żądanie towarzyszy jednego z okręgów przypominamy następującą zasadę naszego wydziału bojowego: Każdy członek bojówki, otrzymując do ręki rewolwer, powinien pamiętać, że w myśl obowiązującego regulaminu, ktokolwiek nadużyje broni partyjnej w celach osobistych: zemsty, rabunku i t. p. podpisuje na siebie wyrok śmierci."

Jeżeli istotnie posądzano socyalistów polskich o to, że stosują do osób prywatnych zasady „przymusowego wywłaszczenia," to jest w tem także wina ich samych, wina, polegająca na tem, że socyalizm rewolucyjny nie zajął określonego stanowiska do tej pory wobec powtarzających się nadużyć, ale tolerował je milcząco i że czyniły to nietylko organy partyjne, ale nawet prasa postępowo-demokratyczna. Wskutek tego w społeczeństwie tworzyła się pewnego rodzaju niepoczytalność rewolucyjna i bardzo wielu ludzi przestało odróżniać anarchię od rewolucyi i odwrotnie. Czyny rewolucyjne podporządkowywano pojęciu anarchii, bandytyzm zaś uważano za jeden z objawów ruchu rewolucyjnego, skierowanego przeciw własności prywatnej.

Wyraźne wyjaśnienie stanowiska socyalistów nastąpiło dopiero teraz i nie należy wątpić, że od tej pory społeczeństwo zyska na skrajnej swojej lewicy poparcie w walce z klęską anarchii. Porozumienie się i współdziałanie w tym kierunku są tem konieczniejsze, że sytuacya jaka wytworzyła się obecnie w państwie rosyjskiem jest pełna grozy, a rewolucya, ciągnąca się drugi już rok, zdaje się wchodzić obecnie w nową fazę, gorętszą i krwawszą od poprzednich. O ile bowiem początkowo nosiła ona charakter ruchu wolnościowego, skierowanego głównie przeciw samowoli rządów biurokratycznych i dążącego do przewrotu politycznego, o tyle dzisiaj, po dwumiesięcznych obradach Dumy, zarysowuje się coraz wyraźniej fakt, że postulaty polityczne, nawet przy dobrowolnych ustępstwach rządu na rzecz stronnictw liberalnych i demokratycznych, nie będą w stanie zadowolić większości, która zupełnie świadomie prze do rewolucyi ekonomicznej i społecznej, mającej na celu gruntowne i zasadnicze przekształcenie ustroju dzisiejszego. Fala ta, która wznosi się obecnie coraz wyżej w Petersburgu, a jednocześnie burzy się i pieni na Ukranie, w guberniach środkowych, na Kaukazie i t. d. w tej lub innej formie przyjdzie także i do nas i mocno uderzy o nasz byt narodowy.

Chwila jest więc taka, że mowa o odwróceniu rewolucyi, o zatrzymaniu jej na progu naszego kraju, jak to chciano niedawno jeszcze uczynić, przeciwstawiając ład i porządek polski anarchii rosyjskiej — byłaby dziś dyskusyą bezpłodną. Należy raczej bardzo poważnie zastanowić się nad tem, jak tę rewolucyę przeżyć, jak się wobec niej zachować, aby nie przeszła ona przez kraj, jak orkan, zmiatający wszystko i pozostawiający po sobie gruzy, ale jak dech nowego życia, budzącego kraj do czynów dodatnich, do pracy, na rzecz przyszłości.

Takiej pracy w nowych, szerokich ramach pragną zapewne wszystkie stronnictwa polityczne, zgrupowane na podstawie rozumnych dążeń społecznych bez względu na swoje zabarwienia teoretyczne i doktrynerskie. Wrogiem zaś takiej pracy jest hydra anarchii, która nurtuje w mętach społecznych i, korzystając z ciemnoty, męty te uzbraja przeciw kulturalnemu dorobkowi narodu, przeciw jego sile moralnej, płynącej z długich wieków cywilizacyi.

Dzisiejsze rozpętanie instynktów nizkich w masach, jest już dla naszej kultury narodowej bardzo niebezpieczne i grozi jej zalewem barbarzyńskim, dalsze zaś wyzwalanie się tej energii zbrodniczej, drzemiącej w tłumie ciemnym i nieświadomym swoich czynów, może nas strącić w otchłań. I dla tego wspólne działanie wszystkich stronnictw w kierunku przeciwstawienia anarchii silnych i spoistych organizacyj politycznych o całej skali zabarwień rewolucyjnych, ale spiętych w jedną całość zasadą *Dobra narodu*, powinno obecnie zwrócić na siebie uwagę zarówno socyalistów, jak i nie socyalistów, bo jednym i drugim anarchia grozi zalewem.

Tymczasem, jak to zaznaczyliśmy powyżej, niema jeszcze śladów takiego działania wspólnego — przeciwnie zażarta walka między stronnictwami trwa na całej linii. A wobec takiego stanu rzeczy, wobec tego, że robotnik socyalista rzuca się z nożem i rewolwerem na robotnika narodowca i zabija go za to, iż ma inne przekonania, trudno wymagać od zwykłych bandytów, aby oszczędzali życie bliźnich i nie zabijali ich za to, iż mają po kilka lub kilkadziesiąt rubli w kieszeni.

Czas wielki, aby zrozumiano nareszcie w obozie socyalistycznym, że zły przykład działa zaraźliwie i że walki bratobójcze robotników są nie mniejszą hańbą dla cywilizacyi od pogromów żydowskich. Tymczasem u nas pogromy się piętnuje i ocenia z zupełnie właściwego stanowiska. Mówimy nawet z pewną dumą o tem, iż w kulturalnej Polsce nie mogą się odgrywać takie sceny, jak w Białymstoku, iż niema u nas miejsca na zbrodniczą

agitacyę czarnych secin, a jednocześnie tolerujemy tyle zbrodni po fabrykach, walkę na pięści o zasady, zabijanie przemysłowców i całą ohydę zbrodni politycznej.

Doprawdy, że wobec tego można sobie zadać pytanie, czy anarchia nie zapuściła już u nas korzeni tak głęboko, że nic jej nie powstrzyma i że przyjdzie chwila, kiedy krwawa jej fala zmiecie wszystko i pogrąży Polskę w nieszczęścia, jakich jeszcze nie doznawała. A wtedy polepszenie bytu proletaryatu znów odroczone zostanie na długo, a urzeczywistnienie naszych ideałów narodowych i kulturalnych na jeszcze dłużej.

Straszna i smutna perspektywa, której oby rzeczywistość co rychlej kłam zadała.

*

* *

Dzień 11 czerwca r. b. powinien być dniem pamiętnym dla dziejów oświaty w Polsce kongresowej, bo oto w dniu tym po długich staraniach zatwierdzona została ustawa *Polskiej Macierzy Szkolnej*.

O tej pięknej instytucyi oświatowej marzyliśmy oddawna. Z zazdrością spoglądaliśmy na Czechów, kiedy ich *Matica* wystąpiła do walki z germanizacyą i pokryła kraj siecią szkół, w których dzieci czeskie uczyły się kochać przeszłość i pracować dla przyszłości ziemi rodzinnej. Wspieraliśmy potem, o ile nas stać było *Macierz Polską* i Tow. *Szkoły ludowej* w Galicyi, a dzieje oświaty na Śląsku cieszyńskim związane są niewątpliwie bardzo ściśle z materyalnem współdziałaniem Królestwa Polskiego, które nie szczędziło ofiar ani na szkoły ludowe, ani na gimnazyum polskie w Cieszynie. U siebie jednak, w domu własnym, nie mogliśmy jawnie nad sprawą oświaty pracować. Wszelkie w tym kierunku próby były paraliżowane, wszelkie instytucye zbiorowe niedozwolone, cała więc praca z konieczności musiała się odbywać pod ziemią i mimo surowych kar za „nauczanie tajne“ zapełniała, jakotako bolesną lukę w rozwoju naszego życia narodowego. Największa jednak ofiarność i największe bohaterstwo jednostek, z poświęceniem niosących „oświaty kaganiec“ pod strzechę wieśniaka i pod dach rzemieślnika i robotnika miejskiego, nie mogły nawet w części zaspokoić potrzeb istniejących. Pragnienie oświa-

ty z roku na rok rosło, szkół w kraju nie przybywało, a te, które istniały były znienawidzone przez lud, bo zupełnie nie odpowiadały jego potrzebom. I w ten sposób pod względem oświaty ludowej i pod względem szkolnictwa ludowego byliśmy i jesteśmy upośledzeni do dziś dnia. Dopiero zasadnicza zmiana warunków politycznych naszego bytu narodowego może nam zapewnić uregulowanie tej ważnej i palącej kwestyi.

Na razie jednak, dopóki nie mamy autonomii, dopóki nie istnieje Rada Szkolna, złożona z obywateli, rozumiejących potrzeby i życzenia ludu, dopóki kraj nie ma funduszów własnych na szkoły—jesteśmy pozostawieni sami sobie. Inicyatywa prywatna i praca prywatna muszą zastąpić szkołę polską krajową. I dla tego Macierz Szkolna jest wszystkiem, co na tę ciężką chwilę otrzymujemy. Dokoła niej musimy się też skupić i rychło ją postawić na nogi tak, aby, stojąc wobec ogromu zadań, jakie na nią oczekują, miała ona środki do swego rozporządzenia i mogła budować odrazu.

Powstanie tej instytucyi było życzeniem powszechnem i życzeniem najpierwszem społeczeństwa, które po ogłoszeniu manifestu październikowego, łudząc się narówni z innemi ludami państwa, odetchnęło pełniejszą piersią i zapragnęło żyć w ramach konstytucyi. Natychmiast poruszono myśl utworzenia *Macierzy Szkolnej* i natychmiast płynąć zaczęły na ten cel ofiary. Jednocześnie robiono próby zorganizowania nauki dla analfabetów i kursów uniwersyteckich dla szerokich kół słuchaczów ze sfer rzemieślniczych i robotniczych. Wszystko to jednak musiało być odroczone z chwilą, gdy stan wojenny, rozciągnięty w grudniu na Warszawę i na kraj cały, pozbawił nas wszelkich złudzeń co do konstytucyi październikowej.

Odroczenie to trwać musiało do chwili uzyskania oficyalnego pozwolenia na założenie *Macierzy*, a chwila ta niestety, opóźniała się ciągle. Na mocy przepisów ustawa instytucyi złożona została w początkach kwietnia do zarejestrowania w warszawskim rządzie gubernialnym i podług tych przepisów powinna być w ciągu miesiąca albo zatwierdzona, albo odrzucona. Tymczasem okazało się, że w chwili złożenia ustawy, nie istniała jeszcze przy rządzie gubernialnym odpowiednia komisya i że z górą miesiąca czasu trzeba było na jej sformowanie. Tak więc dopiero dn. 11 czerwca r. b. nastąpiło urzędowe zarejestrowanie ustawy *Macierzy*.

W ustawie tej powiedziano już jasno i wyraźnie, że Towarzystwo Macierzy Szkolnej ma na celu krzewienie i popieranie *oświaty w duchu narodowym*, że stoi ono poza wszystkiemi stron-

nictwami, a jedynem jego zadaniem jest rozwój polskiego szkolnictwa i oświaty wogóle.

Dla urzeczywistnienia tego celu Towarzystwo pomiędzy innemi ma prawo zakładania, popierania i utrzymywania ochronek, szkół ludowych, kursów dla dorosłych analfabetów, szkół ochroniarek i seminaryów nauczycielskich, czytelni ludowych i bibliotek, wreszcie szkół średnich i wyższych wszelkich typów. Dalej Towarzystwo może zakładać domy ludowe dla celów oświaty i zabawy towarzyskiej, urządzać odczyty i wykłady z rozmaitych dziedzin wiedzy, wydawać i rozpowszechniać polskie podręczniki i czasopisma naukowe, pedagogiczne i ludowe, udzielać kształcącej się młodzieży stypendyów, zapomóg i wszelkich pomocy naukowych, układać projekty budowy szkół i urządzeń szkolnych, jako też mieć nadzór nad ich wykonaniem, wreszcie ogłaszać konkursy, potrzebne do osiągnięcia celów Macierzy.

Siedzibą Towarzystwa jest Warszawa — działalność jego rozciąga się jednak na całe Królestwo Polskie. Nie można też wątpić, iż z chwilą, kiedy kraj cały dowie się o jawnem istnieniu *Macierzy*, nie będzie na ziemi naszej miasteczka, w któremby nie istniało miejscowe Koło Macierzy miejskie lub powiatowe i nie będzie wsi, w której nie byłoby chociaż jednego czynnego członka tej Macierzy, płacącego *jednego rubla składki rocznej*.

Sądzimy też, że od tej pory ofiarność na cele oświaty popłynie u nas szerokim i nigdy nie wysychającym strumieniem, że na ten cel będą szły nietylko ofiary i zapisy znaczniejsze, ale owe drobne grosze ubogich i maluczkich, owe codzienne ofiary, przy których pomocy tak dzielnie rozwijała się Matica czeska, ów dobrowolny podatek społeczeństwa, składany na kapitał jego lepszej przyszłości. W ten sposób Macierz Szkolna w Król. Polskiem rychło rozpocząć będzie mogła swoją działalność, skierowaną ku istotnemu dobru narodu, jakiem jest oświata, ta prawdziwa *oś świata* i jedyna droga do wolności i rzeczywistego odrodzenia narodu.

*

* *

Bolesna sprawa szkolnictwa, czekającego ciągle jeszcze na swoje rozwiązanie, stawia nas wobec bardzo poważnych zagadnień chwili. Szkoła prywatna musi zastąpić szkołę rządową. Jakoż

w dziedzinie wykształcenia średniego społeczeństwo jako tako potrafiło zaradzić złemu, acz nie bez pewnych i poważnych zastrzeżeń. Co jednak będzie ze szkołą wyższą? Uniwersytet drugi już rok jest nieczynny, młodzież zamożniejsza wyjechała za granicę, młodzież uboższa z konieczności zerwała z regularnemi studyami i albo dała się porwać całkowicie ruchowi rewolucyjnemu, albo zaprzęga się do ciężkiej pracy zarobkowej bez żadnych widoków na jutro. W ten sposób społeczeństwo, które i tak nie ma nadmiaru sił inteligentnych, pozbawione jest na dłuższy przeciąg czasu normalnego dopływu ludzi wyżej wykształconych, a tym czasem potrzeba tych ludzi jest większa niż była, bo już sama reorganizacya szkolnictwa pochłonie w niedalekiej przyszłości liczne zastępy pracowników, stawiając ich na ważnych i odpowiedzialnych stanowiskach wychowawców i kierowników duchowych pokolenia, które po nas przyjdzie.

Zamknięcie uniwersytetu może tymczasem trwać jeszcze rok i dwa nawet, bo rozwiązania kwestyi szkolnej przyspieszyć nie możemy, gdyż wiąże się ona ściśle z zasadniczą sprawą autonomii Królestwa, o którą zapewne niejeden jeszcze ciężki spór reprezentacyi naszej w Dumie stoczyć wypadnie.

I w zakresie więc wykształcenia wyższego dla zaspokojenia najpilniejszych potrzeb chwili uciekać się musimy do samych siebie.

Jakoż inicyatywa prywatna i tutaj usiłuje chociaż częściowo zaradzić złemu.

Jeszcze na jesieni roku ubiegłego, jak wiadomo, komitet Muzeum Przemysłu i Rolnictwa podjął za inicyatywą grona osób starania w celu zorganizowania systematycznych wykładów z zakresu kilku nauk i otrzymał na to pozwolenie na początku roku bieżącego.

Wykłady, utrzymane na poziomie uniwersyteckim, rozpoczęto w połowie stycznia z programem następującym: p. Sosnowski — biologia ogólna i fizyologia, p. Mahrburg — psychologia, p. Kalinowski — fizyka, p. Tur — zoologia i embriologia, p. Dickstein — analiza algebraiczna, p. Banachiewicz — astronomia, p. Zarzecki — geometra analityczna, p. Lewiński — geologia, pp. Miłobędzki i Bielecki — chemia i p. Weyberg — mineralogia.

Najwięcej słuchaczów uczęszczało na wykłady pp. Sosnowskiego, Mahrburga i Kalinowskiego. Ogółem zapisanych było 808 słuchaczów,

Wobec rezultatu tej pierwszej próby uniwersytetu powszechnego, Stowarzyszenie techników postanowiło również ogłosić szereg wykładów z dziedziny wiedzy technicznej. Wykładów ta-

kich odbyło się 16 przy 256 słuchaczach. Wykładano rachunek różniczkowy, całkowy, mechanikę techniczną, zarys elektrotechniki, zajęcia praktyczne z wytrzymałości materyałów, statystykę: konstrukcyę budowlaną, kompozycyę architektoniczną, historyę architektury starożytnej, ogrzewanie i przewietrzanie, wreszcie kurs matematyki średniej. Przedmioty te rozdzielili pomiędzy siebie pp. Obrębowicz, Tołwiński, Domaniewski, Straszewicz, Radziszewski, Szczeniowski, Pożaryski i Grabowski.

Zamiarem inicyatorów tak jednych jak i drugich kursów po dokonanej próbie stało się zawiązanie oddzielnego Towarzystwa, które zbliżałoby się swoim charakterem do typu „uniwersytetu wolnego“ i było ogniskiem wiedzy wyższej i warsztatem pracy naukowej w Warszawie.

Jakoż w kwietniu r. b. skoro tylko wydane zostały przepisy prawa o związkach i stowarzyszeniach, inicyatorowie kursów naukowych zawiadomili władzę o zawiązaniu w myśl ogłoszonych przepisów *Towarzystwa Kursów Naukowych.*

Zarząd tego Towarzystwa, który na pierwszem, niedawno zwołanem zgromadzeniu ogólnem członków nowej istytucyi już został wybrany, będzie miał za zadanie z początkiem roku szkolnego 1906/7, a więc już we wrześniu r. b. zorganizować szereg wykładów naukowych ze wszystkich ważniejszych dziedzin wiedzy, a więc z zakresu historyi, językoznawstwa, filozofii, sztuki, pedagogiki, prawa, nauk ścisłych, techniki i t. d.

Do zrealizowania jednak tych celów potrzeba znaczniejszych funduszów. Wykłady, prowadzone w czasie od stycznia do marca r. b. kosztowały 9,600 rb. przyczem koszta naukowe były minimalne, nie zakupiono żadnych przyrządów i wskutek tego niektóre wykłady ograniczano, a innych nawet zupełnie zaniechano. Na pokrycie tych wydatków użyto przedewszystkiem pieniędzy, które wpłynęły jako opłata od słuchaczów, co wyniosło około 9,000 rb. Niedobór zaś pokryli z własnej kieszeni członkowie Towarzystwa.

Takie warunki nie mogą jednak zapewnić instytucyi trwałego bytu. Powinna ona przedewszystkiem obniżyć wpis, który wynosił w półroczu ubiegłem rb. 3 za godzinę wykładu w tygodniu przez semestr. Zważywszy, że uniwersytety galicyjskie pobierają za taką godzinę 2 korony, czyli 80 kop. odczujemy łatwo wysokość tego wpisu. Następnie należy bezwarunkowo zwiększyć pomoce naukowe, gdyż inaczej wszystko będzie szło kulawo i niepodobna będzie utrzymać się na poziomie nauki uniwersyteckiej. Trzeba więc zakupić przyrządy, stworzyć i urządzić laboratorya,

zbiory i bibliotekę naukową, na co nie wystarczą 10 rublowe wkłady członkowskie.

Instytucya, o ile ma istnieć i rozwijać się ku pożytkowi ogólnemu, musi się tedy oprzeć albo o jakąś fundacyę większą jednorazową, albo o stały zasiłek i opiekę ze strony ogółu.

Ponieważ jednak Towarzystwo kursów naukowych nie prędko będzie u nas miało swojego Wessla i nieprędko poszczycić się zdoła takim zapisem, jak Filharmonia, więc pozostaje mu tylko droga odwołania się do opieki społeczeństwa, jako całości.

Zapisy na członków Towarzystwa, tudzież wszelkie składki i ofiary na jego rzecz tak jednorazowe, jak i deklarowane na czas dłuższy, przyjmują członkowie Zarządu: pp. Kazimierz Chełchowski, Ignacy Chrzanowski, Piotr Drzewiecki, Julian Eberhardt, Leon Kryński, Antoni Osuchowski, Tomasz Ruśkiewicz i Andrzej Świętochowski, a także kancelarya Stowarzyszenia techników, gdzie dotychczas Towarzystwo ma swoją siedzibę.

Tam też dowiedzieć się można o projektowanych na semestr zimowy wykładach i zgłaszać z zapisami przedwstępnemi na wybrane przedmioty. Tutaj nadmieniamy jeszcze że, oprócz wykładających poprzednio, projektowani są jako prelegenci, następujący panowie: Babiński, Boufałł, Biernacki, Chrzanowski, Dziekoński, Heurich, Holewiński, Jenike, Kętrzyński, Kochanowski, Korzon, Kozłowski, Kryński, Kontkiewicz, Lisiecki, Bol. Miklaszewski, St. Miklaszewski, Mańkowski, Okolski, Ruśkiewicz, Smoleński Sioma, Szyller Stefan, Stołyhwo, Wachowski i Wasiutyński. Nad to z wielu innymi toczą się w chwili obecnej rokowania.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Dnia 3 maja b. r. odbyło się w Akademii Umiejętności posiedzenie Komisyi historyi sztuki pod przewodnictwem prof. D-ra Maryana Sokołowskiego.

Na wstępie p. Przewodniczący poświęcił serdeczne wspomnienie pamięci współpracownika Komisyi, Floryana Trawińskiego, sekretarza generalnego Luwru, który zmarł w kwietniu b. r. Ś. p. Floryan Trawiński brał udział w pracach Komisyi i żywo interesował się postępem wiedzy na polu historyi sztuki w Polsce. W ostatnich czasach nadesłał fotografię ślicznego i bardzo cennego arrasu z florenckich Uffizi, na którym odtworzone jest przyjęcie poselstwa polskiego w Paryżu. Ś. p. Floryan Trawiński ogłaszał w pismach francuskich sprawozdania z prac Komisyi i wprowadził ją w stosunki z Societé de antiquaires w Paryżu.

Sekretarz Komisyi p. Julian Pagaczewski streścił protokół z XXI posiedzenia lwowskiego Grona Komisyi, zawierający sprawozdanie z referatu prof. D-ra Jana Bołoz Antoniewicza „O największym obrazie malarza lwowskiego Józefa Wolfowicza“ a następnie przedłożył cztery komunikaty D-ra Jerzego Kieszkowskiego „O kilku zabytkach polskich w Wiedniu.“ Pierwszym z rzędu jest medal Władysława IV, wykonany nader artystycznie, a znajdujący się w gabinecie numizmatycznym zbiorów ces. w Wiedniu w dwóch egzemplarzach: srebrnym i bronzowym. Autorem tego medalu, wykonanego zdaniem referenta w czasie podróży Władysława IV a więc w 1624 lub 1625 roku, jest zapewne Włoch, Alessandro Abondio, urodzony około r. 1580, zmarły około 1654 r. Temu samemu artyście przypisuje p. J. Kieszkowski inny jeszcze medal Władysława IV, opublikowany przez Raczyńskiego. Drugi komunikat dotyczył portretu królowej Anny Jagiellonki, znajdującego się w ces. zbiorach w Wiedniu. Portret ten ma niezwykłą wartość artystyczną. Królowa Anna Jagiellonka przedstawiona jest w wieku m. w. lat 70 i portretowana z wielkim realizmem.

Przedmiotem trzeciego komunikatu były dwie miniatury ze zbiorów hr. Harracha (starszego), przedstawiające królowę Annę, pierwszą żonę Zygmunta III i Eleonorę, żonę Michała Korybuta, II-do voto żonę Karola V, ks. Lotaryńskiego. Pierwsza z tych miniatur jest bardzo cennem dziełem sztuki. Wybitny realizm, z jakim malarz odtworzył swój model, żywość barw i dokładność, posunięta do najdrobniejszych szczegółów, pozwalają domyślać się flamandzkiego malarza, którego jednak nie znamy bliżej. Druga miniatura, przedstawiająca królowę Eleonorę, jest, jak się zdaje, dziełem Karola Herbla, malarza lotaryńskiego, pozostającego w usługach ks. Karola V, drugiego męża Eleonory. Czwarty komunikat p. Jerzego Kieszkowskiego dotyczył portretu Stefana Batorego, którego oryginał znajduje się w zbiorach hr. Lamberga w Otten Waldviertel, a kopia jest własnością hr. Wilczka, właściciela zamku Kreutzenstein, koło Korneuburga. Portret Stefana Batorego jest interesującym przyczynkiem do ikonografii królów polskich, nie należy jednak do dzieł mających większą wartość artystyczną.

Następnie prof. Dr. M. Sokołowski przedłożył Komisyi bardzo piękne zdjęcia architektoniczne p. Józefa Czekierskiego z zabytków w Kazimierzu Dolnym wraz z pracą jego o tym przedmiocie i fotografie z Kazimierza Dolnego nad Wisłą wykonane przez p. Zygmunta Skrobańskiego. Materyał ten, nader dla historyi sztuki w Polsce cenny, dotyczy domów Mikołaja i Krzysztofa Przybyłów z XVI w., domu przy ulicy Senatorskiej, o malowniczej i bogatej atyce, spichlerzy z XVII w. tak charakterystycznych dla Kazimierza a wreszcie pięknej fary, w której oprócz organów zwracają uwagę gipsowe ozdoby na sklepieniu beczkowem, mające pewien odcień swojski.

Prof. Dr. M. Sokołowski w dalszym ciągu streścił referat p. Aleksandra Szyszko Bohusza „O zamku czerskim.“ Zamek ten, w którym pewne części można odnieść—zdaniem referenta—do XIII w., należał do książąt Mazowieckich. Dziś pozostały z niego tylko trzy wieże, zachodnia, wschodnia i wjezdna a nadto część muru, łączącego baszty. Referat ilustrowany był szeregiem dobrych zdjęć architektonicznych, wykonanych przez autora komunikatu oraz pięknymi fotografiami roboty p. Stefana Zaborowskiego.

Prof. Dr. M. Sokołowski streścił sprawozdanie pp. Kazimierza i Tadeusza Mokłowskich z wycieczki odbytej po Galicyi wschodniej w celu zbadania zabytków architektury cerkiewnej na Rusi, oraz przedłożył jeszcze dwa komunikaty—X. kanonika Górzyńskiego „O relikwiarzu Jasieńskiego w Muzeum XX. Czartoryskich“ i p. Heleny d'Abancourt „O szerzynce królowej Anny Jagiellonki w kaplicy Zygmuntowskiej.“ Relikwiarz z muzeum XX. Czartoryskich, wykonany w 1543 r., a fundowany przez Józefa Jasieńskiego, archidyakona katedry wileńskiej, jest dziełem niepospolitego złotnika krakowskiego. Strona stylowa zabytku świadczy o starciu się na gruncie krakowskim dwóch kultur—włoskiej i niemieckiej.

P. Helena d'Abancourt, badając szerzynkę królowej Anny Jagiellonki, doszła na podstawie analizy porównawczej do przekonania, że haft ten wykonany na cienkiem płótnie, ma typ włoski. W ostatnich czasach opublikowano szereg podobnych haftów, których ojczyzną są Włochy. Szerzynka, haftowa-

na, jak chce tradycya, przez królowę Annę Jagiellonkę, może z pomocą jej fraucymeru, jest ciekawym i rzadkim przykładem tego rodzaju zabytków na północy.

NOWE KSIĄZKI.

— Józef Albin Herbaczewski. Odrodzenie Litwy wobec idei polskiej. W Krakowie Roku P. 1905.

Autor poświęca ten oderwany od narodowego poematu fragment tym, którzy, szukając ojczyzny, cierpią z nadmiaru tęsknicy... na cmentarzu bohaterstwa wzywając „ducha ruin“ (!?), w przedmowie zaś, powiadamia, że praca jego nie jest traktatem historyozoficzno-politycznym, wyczerpującym *cały materyał*, dotyczący kwestyi wszechstronnie pojętego stosunku Litwy do Polski.“ To objaśnienie zdaje się zbytecznem wobec małej objętości dziełka, które przy największej nawet treściwości na 79 str. formatu 8-o nie mogłoby całej tak obszernej sprawy wyczerpać. Wolimy więc pozostać przy pierwszem określeniu, że jest to „fragment poematu“ i idąc za autorem uznać, że jest ono wyrazem indywidualnych jego przekonań. Jakaż jednak jest idea tego „fragmentu,“ jaka tendencya tej przykrytej osłoną indywidualności teoryi?

Autor przemawia na dwie strony: Litwinów wzywa do jedności i walki o swe narodowe prawa, Polaków do zmiany stosunku *pyszałkowatego* wobec Litwinów i do zreformowania przestarzałej Unii.

Pragnąc wyzwolenia miłowanej przez siebie Litwy, jest on rzecznikiem pojednania wszystkich stanów narodu litewskiego w imię jednej narodowej idei, którą szukać należy w połączeniu kultury ludowej z kulturą szlachecką, I jest to nie jego pojedyncze zdanie, twierdzi bowiem, że lud litewski, a przynajmiej najinteligentniejsi jego synowie, odczuwają już potrzebę jedności ze szlachtą w ruchu wyzwoleńczym Litwy. Jednem słowem jakby za Krasińskim powtarza, zmieniając tylko dla okoliczności przymiotnik: z litewską szlachtą litewski lud. Dalej, pogłębiając tę pierwszą zasadniczą tezę swojej broszury, autor dochodzi do wniosku, że szlachta litewska spolonizowała się tylko zewnętrznie, że wnętrznie jest ściśle związana z ludem i ziemią litewską, a zatem z nim pracować powinna nad odrodzeniem litewskiem. I dalej jeszcze, zwracając się do Polaków, autor nie bez groźby przestrzega, że nie powinniśmy przeszkadzać Litwinom w tej pracy, że przeciwnie powinniśmy się wyrzec naszej hegemonii „pyszałkowatych uroszczeń, urągających godności osobistej szlachcica litewskiego, który nigdy nie był niewolnikiem Polski, lecz wolnym sprzymierzeńcem.“ Chociaż na tem miejscu dajemy objektywne sprawozdanie z książki, nie możemy nie wskazać, że twierdzenie owo jest błędnem, bo chociaż szlachcic litewski miał stały kontakt z własnym krajem i pewną odrębność w charakterze zachował, nie da się jednak zaprzeczyć, że przez pięć wieków wchłaniał on w siebie całą piersią kulturę polską i nią żył. To też, chociaż Litwin z urodzenia, stał się niebawem, dzięki wpływowi kulturalnemu, Polakiem i pomimo opacznych wywodów litwinomanów i dziś jeszcze ma w sobie więcej elementów kulturalnych polskich, niż litewskich. Hegemonia więc pol-

ska na Litwie jest zgoła naturalną, a wcale się nie sprzeciwia indywidualności narodowej Litwinów i lingwistycznym ich ambicyom, którym zresztą nie sprzeciwiała się zgoła w ciągu pięciu wieków współżycia.

W drugiej części swej broszury autor kreśli dzieje „Odrodzenia Litwy," dojrzałość jej kulturalną i polityczną, stwierdza jako dowód potęgi żywiołowej Litwinów—cytuje kapitulacyę rządu carskiego (!). Broszura kończy się rozpatrzeniem programu partyi Litewskiej Demokracyi, dążącej do niepodległości Litwinów w granicach Litwy etnograficznej oraz zupełnego ich równouprawnienia w granicach Litwy geograficznej. I tu znów wycieczka przeciw Polakom i parafraza już nie z Krasińskiego ale Monroe'go „Litwa nie dla Polaków, lecz dla Litwinów."

Z takich idej składa się konglomerat broszury, lśniący miejscami blaskiem poezyi i frazesu.

F. P.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Chimera. Tom IX, zeszyt 27. E. Norwid: Fortepian Szopena;—S. Żeromski: Powieść o udałym Walgierzu;—T. Miciński: Mewlana Dżelaleddin Rumi;—A. Hertzówna: Yseult o białych dłoniach;—D. Alighieri Piekła pieśń 1-sza i 2-ga;—E. Luskina: Anamorfozy;—W. Berent: Róże;—M. E. Bielecki: Syn człowieczy,—L. Eminowicz: Na wiejskiej drodze, Kolenda;—M. Komornicka: Cienie;—J. Lemański: Wieża śpiewająca;—M. i Ja: Szymonowi Zimorowiczowi;—J. Rundbaken: Uderzenia, Smutek życia, Tak mówi prorok, Psalm mojej wiary;—W. Tatarkiewicz: Melancholia;—M. Wikrzemski: Tyle chwil zgasło;—St. Wyrzykowski: Czarne tuje;—H. Zbierzchowski: Kamienny bóg;—M. Komornicka: Oskar Wilde, Apokryf idealny;—v. Hofmannsthal: Ballada życia powierzchnego, Wielu jużci musi;—G. Pascoli: Syrena, Pocałunek zmarłej, Kij pielgrzymi;—E. Verhaeren: Ta z relikwiarza.

— Kwartalnik historyczny. 1 i 2 za r. 1906. Oswald Balzer, z powodu nowego zarysu historyi ustroju Polski (Kutrzeba Stanisław: Historya ustroju Polski w zarysie) c. d.;—Antoni Prohaska: Dwa objaśnienia do dziejów Litwy, I. O Apostazyi Mendoga;—A. Kopystiański: Książe Michał Zygmuntowicz;—Stanisław Starzyński: Kilka słów o Stanach galicyjskich z okazyi książki d-ra Bronisława Łozińskiego: Galicyjski sejm stanowy (1817—1845);—W. M. Kozłowski: Rozstanie się Kościuszki z Niemcewiczem w Filadelfii (według dokumentów nieogłoszonych);—dr. Bronisław Łoziński: Z czasów i aktów domikalnych (Przyczynek do historyi administracyi w Galicyi);—Eugeniusz Barwiński: Bibliografia historyi powszechnej i historyi polskiej;—Polemika: Wiktor Wittyg przeciw A. Chmielowi;—Wilhelm Bruchnalski: Ś. p. Roman Pilat, wspomnienie pośmiertne;—Recenzye i sprawozdania przez E. Barwińskiego, H. Ułaszyna, J. Kallenbacha, L. Janowskiego, Z. B., M. Loreta, E. Kipę, A. Chmiela, Z. Gargasa, A. Brücknera, d-ra Krčeka, A. Prochaskę, M. Gawlika, A. M. Skałkowskiego i d-ra B. Łozińskiego;—Sprawozdanie z czynności Wydziału Towarzystwa historycznego za rok 1905.

— Miesięcznik Towarzystwa szkoły ludowej. Kazimierz Lutosławski: Trzeci maj;—Jan Świerka: Śpiew słońca;— Jan Sawa: Trzeci maj, wiersz;—M. St.: Konrad Prószyński, kartka jubileuszowa;—Sadownictwo w obrazach przez Stanisława Szerka;—Tematy do pogadanek: O konstytucyi 3 maja, do upadku powstania listopadowego, przez Maryana Gojskiego.

— Muzeum, maj. Dr. Jan Leciejewski: Ś. p. Antoni Kalina, wspomnienie pośmiertne;—Stanisław Kossowski: Ś. p. Roman Pilat, wspomnienie pośmiertne;— Marnowanie grosza publicznego; — dr Maurycy Maciszewski: Nasza szkoła średnia; — Antoni Karbowiak: Pierwiastek patryotyczny w pedagogice Komisyi edukacyi narodowej; — dr. Józef Flach: Szkolnictwo niemieckie w literaturze pięknej (dod.);—Oceny i sprawozdania, przez St. Gajczyka, T. Piniego, E. Barwińskiego, W. Krajewskiego, W. Rubczyńskiego, B. Dybowskiego, F. Krčeka, St. Leonharda i W. Barewicza;—Sprawy Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych za r. 1905/6.

— Polski Kraków. Zeszyt I, za r. 1906. J. W. Polski Kraków, organ Towarzystwa upiększenia miasta Krakowa i okolicy;—List otwarty do p. prezydenta miasta d-ra Leo; — Memoryał w sprawie pomnika Kościuszki, uwagi redakcyi oraz list w tej sprawie p. Ekielskiego;—R. S.: Noblesse oblige;—Memoryał wydziału Towarzystwa upiększenia miasta Krakowa do Rady miasta Krakowa w sprawie budynków przy kościele św. Idziego;—Kronika.

— Przegląd Historyczny. Marzec—Kwiecień. L. Gumplowicz: Z okazyi szkiców Tadeusza Wojciechowskiego; — St. Kutrzeba: Skład sejmu polskiego (1493—1793); — T. Smoleński: Wczesna młodość Stanisława Orzechowskiego;— St. Smolka: W drodze do Petersburga (z życia Lubeckiego);—Sprawozdania;— Miscelanea.

— Przegląd Polski. Maj. Teroryzm Paskiewicza. Relacya Niederstettera, jeneralnego konsula pruskiego w Warszawie z 20 września 1832 r., wydał dr. Alfred Stern; — Franciszek Morawski: Testament krwi; — dr. Józef Flach: Z najnowszej literatury dramatycznej Niemiec; — Zdzisław Jachimecki: Mozart (c. d.); — Swidwa: Dwudziestolecie komisyi kolonizacyjnej; — Sprawy krajowe, XXXIX. Społeczne zadania obecnej chwili, przez d-ra Józefa Milewskiego;— dr. Zygmunt Stefański: Teatr krakowski; — Kronika literacka, przez d-ra A. Krzyżanowskiego, d-ra W. Gieleckiego, d-ra B. Dembińskiego, T. W. i Zedyana; — Z literatury powieściowej, przez d-ra J. Flacha;—Przegląd polityczny, przez ***.

— Przegląd powszechny. Maj. Ankieta Przeglądu Powszechnego o obecnych zadaniach katolicyzmu w Polsce (c. d.);—Odpowiedzi: d-ra Rubczyńskiego, d-ra Romana Zawilińskiego, Ludwika Stasiaka, ks. d-ra A. Kopycińskiego, Delegacyi Stowarzyszeń tercyarskich w Królestwie Polskiem, Polskiego związku niewiast katolickich w Krakowie, Towarzystwa przyjaciół młodzieży, Krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej, Związku c. k. urzędników pocztowych w Krakowie, Związku katolickiej młodzieży robotniczej w Krakowie, Redakcyi czasopisma „Prąd“ w Warszawie; Zamknięcie ankiety w następnym zeszycie;— ks. Leonard Lipke T. J.: Problem socyologiczny Comte'a; — Ignotus: Z listopa-

dowych rozmyślań i doświadczeń (dok.); — ks. Władysław Szczepański T. J.: W Arabii skalistej. Wrażenia z podróży r. 1995; — ks. Wiktor Wiecki: Sprawy kościoła i angielski projekt nowej ustawy szkolnej;—Breve Quoniam in re biblica; — Ze spraw włoskich; — Jeszcze Maryawici; — dr. St. Z.: Stowarzyszenia wydawnicze u nas;—Z piśmiennictwa polskiego, przez d-ra A. Mazanowskiego;— Z czasopism polskich, przez d-ra St. Zdziarskiego.

— Przewodnik naukowy i literacki. Maj. Podróże królewicza polskiego, późniejszego króla Augustu III (Niemcy—Francya—Włochy) 1711—1717, z dyaryusza rękopiśmiennego wydał Aleksander Kraushar (c. d.);—dr. Maryan Goyski: Wzajemne stosunki Polski, Litwy i Zakonu w latach 1399—1404, studyum historyczne (c. d.);—dr. Tadeusz Troskolański: Andrzej Radwan Zebrzydowski, biskup krakowski († 1560), monografia historyczna. Część V. (c. d.);— Pamiętnik Napoleona Sierawskiego, oficera konnego pułku gwardyi za czasów ks. Konstantego (c. d.); — Kazimierz Pułaski: Z dziejów konfederacyi barskiej, teki Teodora Wessla, podskarbiego wielkiego koronnego (1769—1772) (c. d.);— Ludwika Dobrzyńska-Rybicka: Pierwsze studyum francuskie o poezyi romantycznej.

— Rodzina i szkoła z dodatkiem „Wiedza i Praca.“ Maj. Zygmunt Morawski: Rewolucya na polu dydaktyki w Niemczech (dok.); — Antoni Potocki: Wychowawcze zadania ogółu;—Jan Kazanowski: Przykład nauczyciela w wychowaniu; — Edward Pawłowski: Zjazd nauczycieli austryackich Seminaryów nauczycielskich odbyty we Wiedniu w dniach od 7 do 10 kwietnia r. b.; —Tenże: Czy język niemiecki ma być w naszych Seminaryach nauczycielskich obowiązkowym czy nadobowiązkowym przedmiotem nauki? (c. d.);—Mikołaj Haraszkiewicz: Rachunki pamięciowe a pamięć; — dr. Wilhelm Markstein: O słabościach infekcyjnych: Dyfterya (Dyphteritis), koklusz (pertussis, tussis convulsiva) (c.d.);— dr. Antoni Kalina, wspomnienie pośmiertne.—„Wiedza i Praca:“ Zygmunt Morawski: Rzadkie druki (c. d);—Tomasz Maryan Rafiński: Przegląd ważniejszych wypraw w celu zbadania morza (c. d.); — M. H.: Zużytkowanie elektryczności w przemyśle drobnym; — A. B. Brzostowski: Podręcznik Esperanto, według d-ra L. Zamenhofa (c. d.).

— Szkoła, za Maj. W interesie prawdy (c. d.);—F. Hollitscher: Rozwój stanu nauczycielskiego w Bułgaryi;—Tenże: Przyczynek do kwestyi kar cielesnych;—Z. Morawski: Gimnastyka a alkoholizm, Z terenu walki, Wiec nauczycielski w Kopyczyńcach; — J. B: Wiec nauczycielski powiatu Lwowskiego; — G. Z.: Jubileusz „Promyka;“ — Stanisław Polaczek: Demoralizacya młodzieży i brak opieki nad sierotami; — T. H.: Praca mózgu i życie ludzkie; — J. Mgr.: Echa słowiańskie, Volná škola w Czechach;—F. Hollitscher: Reformacyjny ruch pedagogiczny; — Wyniki ankiety; — Jan Magiera: Echa słowiańskie; — Ciernie i głogi, Sekatura nauczycielki; — Stanisław Polaczek: W czem leży przyczyna zdziczenia i demoralizacyi szkolnej? — Marya Suchocka: Wycieczki szkolne; — Edward Pawłowski: Zjazd nauczycieli seminaryów nauczycielskich w Wiedniu w czasie od 7—10-go kwietnia r. b.; —F. Hollitscher: Pestalozzi o kształceniu kobiet;—Stanisław Tokarski: Kilka uwag w sprawie zdziczenia młodzieży szkolnej;—Franciszek Świstak: Sprzeczne żądania;—il.: Samopomoc nauczycielska.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

Bełza Władysław: Królowa korony polskiej, żywot Najświętszej Maryi Panny, Matki Chrystusa Pana. Lwów, 1906. Wyd. Macierzy Polskiej, książeczka 20, wyd. 3. Nakład Macierzy, G. Gebethner i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 88 z ryc.

Berent Wacław: Źródła i ujścia Nietzscheanizmu. Warszawa, 1906. Nakł. J. Mortkowicza. Skład główny w księg. Centnerszwera. 8-o, str. 56.

Haeckel Ernest: Walka o teorye rozwoju. Trzy odczyty, wygłoszone 14, 16 i 19 kwietnia 1905 r. w Berlinie. Spolszczył Henryk J. Rygier. „Bibl. Naukowa.“ Wydawca St. Kucharski.

Tyszkiewicz Józef: Uwagi o chrystyanizmie i nauce, według Bellex'a, ułożył Iwanow, przetłóm. i uzupełnił ... Lwów, 1906. Nakład autora, Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. VII i 268.

HISTORYA.

Bałaban Majer: Żydzi lwowscy na przełomie XVI i XVII w. Konkurs naukowy im. H. Wawelberga, Monografie z historyi Żydów w Polsce III. Lwów, 1906. Nakł. Funduszu naukowego im. H. Wawelberga, H. Altenberg. 8-o, str. XXIV, 577 i 188.

Bąkowski Klemens Dr.: Kronika krakowska 1796—1848. Cz. II od roku 1816—1831. Biblioteka krakowska nr. 30. Kraków, 1906. Nakł. Tow. Miłośników historyi i zabytków Krakowa. 8-o, str. 260.

Tenże: Spisek mieszczan krakowskich przeciw Szwedom 1656—1657 r. Kraków, 1906. Spółka wydawnicza. 8-o, str. 28.

Jaworski Fr.: Obrona Częstochowy, wspomnienie dziejowe w 250 rocznicę. Wydawn. Macierzy Polskiej, książ. 85. Lwów, 1906. Nakł. Macierzy, G. Gebethner i Sp. w Krakowie. 8-o, str. 128 z ryc.

Kopystiański Adryan: Michał Zygmuntowicz, książę litewski, monografia historyczna. Lwów, 1906. H. Altenberg. 8-o, str. 95.

Morawski Szczęsny: Aryanie polscy. Lwów, 1906. Nakład autora. G. Gebethner i Sp. w Krakowie. 8-o, str. XXVII i 564 z 8 ryc.

Rembowski Aleksander: Pisma, tom III. Studya historyczno-polityczne. Krytyki naukowe. Z częściowej zapomogi Kasy pomocy imienia Mianowskiego. Warszawa, 1906. Nakładem autora. Księgarnia Jana Fiszera. 8-o, form. duży, str. 828.

Rudnicki Kazimierz: Biskup Kajetan Sołtyk, 1715—1788. Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. T. V. Kraków-Warszawa, 1906. Gebethner i Wolf. 8-o, str. IX i 298 z portr. Kajetana Sołtyka.

E K O N O M I A.

Karyszew N.: Pogadanki ekonomiczne. Z ósmego wydania rosyjskiego tłómaczyła Jadwiga Warska. Warszawa, 1906. Wydaw. St. Kucharskiego. „Biblioteka Naukowa.“ 8-o, str. 88.

Niewiadomski R.: Materyały i uwagi do oceny gospodarki finansowej państwa rosyjskiego. Warszawa, 1906. Skład główny w księgar. Gebethnera i Wolfa. 8-o, str. 64.

J Ę Z Y K O Z N A W S T W O.

Babiaczyk Adam Dr.: Lexikon zur Altpolnischen Bibel 1455 (Sophienbibel, Ausgabe von Małecki) bearbeitet sowie mit einer Textkritschen Einleitung werschen von ... Breslau, 1906. 8-o, str. 354.

Tenże: Textkritsche Einleitung nebst Probe A zum Lexikon zur altpolnischen Bibel. Inaugural Dissertation der. kgl. Universität zu Breslau zur Erlangung der philosophischen Doctor würde. Breslau, 1904. 8-o, str. 81 i 3 nl.

Brückner A.: Projekt ustalenia pisowni polskiej podany przez ... Kraków. 1906. Druk Uniw. Jagel. 8-o, str. 18.

HISTORYA LITERATURY I SZKÓŁ.

Antosiewicz Leon Władysław: Dzieje krośnieńskiej szkoły ludowej 1786 do 1906.

Chodyński Stanisław ks.: Seminaryum włocławskie. Szkic historyczny. Na podstawie akt. i dokumentów miejscowych. Zebrał i spisał ... Włocławek, 1905. „Kronika Rodzinna.“ 8-o, str. 413.

Doleżan Wiktor: Henryk Sienkiewicz, Krzyżacy, opracował ... Bibl. krytyczna arcydzieł literatury polskiej nr. 5. Tarnów, 1906. Nakł. Z. Jelenia. 8-o, str. 48.

Krzyżanowski M. St.: Contribution à l'histoire de la litérature politique du XV-e siècle. Cracovie, 1906. Extr. du Bull. de l'acad. des sciences. 8-o, str. 26 — 29.

Lack St.: Notatki i uwagi pisane w latach 1900—1906. I. Zawiera uwagi o Lelewelu, Wyspiańskim, oraz uwagi o tak zw. Samuelu Zborowskim, Słowackiego. Kraków, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 54.

Nowaczyński Adolf: Oskar Wilde. Studyum. Aforyzmy. Nowele. Kraków, 1906. Nakł. Wacława Wiedegera, G. Gebethner i Sp., E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 126.

PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

Baraniecki Maryan A.: Krótka arytmetyka z wielu zadaniami w dwu częściach, napisał ... Cześć pierwsza. Wydanie drugie. Warszawa, 1906. Nakładem M. Arcta. 8-o, str. IV i 140.

Cieślewski R.: Zbiór zadań arytmetycznych dla szkół ludowych i początkowych, jak również dla klas niższych, średnich zakładów naukowych. Ułożony stosownie do programu arytmetyki w szkołach ludowych, zaleconego przez ministeryum Oświaty. Wydanie pierwsze. Łódź-Warszawa, 1906. Nakładem Księgarni Ludwika Fiszera. 8-o, str. 153.

Dal-Trozzo Jan: Kurs geometryi dla szkół. Ułożył ... Część I, Planimetrya. Warszawa, 1906. Skład główny w księg. E. Wende i Sp. Wydaw. Szkoły techn. W. Piotrowskiego. 8-o, str. 92.

Durski Antoni i Durski Jan: Ćwiczenia wspólne, układ ćwiczeń wolnych na miejscu. Durski Jan. Lekcye praktyczne ćwiczeń wspólnych, ciężkami i laską, podręcznik do użytku nauczycieli Towarzystw Sokolich.

Kędzierski K.: Wypisy polskie. „O domu i świecie.“ Z illustracyami. Część pierwsza. Warszawa, 1906. Nakł. księgarni L. Fiszera. 8-o, str. 176.

(Kossowski Stanisław) St. K.: Kwestya syońska w murach szkoły. (Uwagi na czasie). Lwów, 1906. Nakł. „Słowa Polskiego.“ 8-o, str. 41.

Łagowski Florian: Wypisy polskie na klasę IV-tą szkół średnich, ułożył ... Wyd. drugie. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. XVI+456.

Okraszewski A.: Zbiór zadań arytmetych. Część II. Warszawa, 1906. Księgarnia L. Fiszera. 8-o, str. 136.

MEDYCYNA. — HYGIENA.

Comby Jules: Podręcznik chorób dzieci. Tom II. Choroby narządów trawienia i oddychania. Z IV przejrzanego i uzupełnionego wydania, spolszczył dr. Józef Zawadzki. Warszawa, 1906. Nakładem „Bibliot. Lekarskiej.“ Skł. gł. w księg. E Wende i Sp. 8-o, str. 290 + III.

Hamburger Alfred: Ćwiczenia z oporem współćwiczących. I. Ćwiczenia z oporem. II. a) Mocowanie wolne, b) Mocowania z przyborami. III. Zapasy do użytku polskich Tow. Sokolich. Lwów, 1906. Nakł. Tow. Sokolich. 8-o, str. 38 z illustr.

Janke O.: Zasady hygieny szkolnej. Podręcznik przeznaczony do użytku nauczycieli, kierowników szkół i lekarzy szkolnych. Opracował ... Z drugiego zupełnie przerobionego wydania niemieckiego z upoważnienia autora

przełożyli i uwagami zaopatrzyli dr. St. Kopczyński i dr. Br. Handelsman. Warszawa, 1901. Nakł. Księg. Naukowej. 8-o, str. 7 + 297.

Korczyński Ludomił Dr.: O dodatkowych skurczach serca i ich znaczeniu klinicznem. Odb. z „Przegl. Lekarskiego.“ Kraków, 1906. 8-o, str. 36.

Medycyna w samorządzie. Stan obecny lecznictwa publicznego w Królestwie Polskiem. Braki i potrzeby. Praca zbiorowa, podjęta i wydana staraniem grona lekarzy warszawskich. Warszawa, 1906. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 298.

Winogrodzki Alfred Dr.: Pogadanki z hygieny. Alkohol w organizmie i społeczeństwie. Hygiena skóry i ubrania. Pielęgnowanie jamy ustnej. Tytoń. Sambor, 1905. 8-o, form. mały, str. 66.

POWIEŚĆ. — POEZYA.

Andrejew Z.: Żywot Bazylego Fiwejskiego, przekład Stanisławy Kruszewskiej. 8-o, str. 136.

Czechow Antoni: Wybór 20 obrazków, satyr, humoresek i karykatur, z rosyjskiego przełożył Zygmunt Świątopełk-Słupski. Poznań, 1906. Nakładem Z. Słupskiego. 8-o, str. 148.

Homer: Iliada, przetłumaczył, preparacyą i uwagami opatrzył P. B. Księga XIII—XIV. Bibl. kasyków rzym. i grec. zesz. 252, 253, 254, 258. Lwów-Złoczów, 1906. Nakł. i druk W. Zuckerkandla. 8-o, str. 1—42.

Kochanowski Jan: Pieśni ksiąg czworo. Bibl. powszechna nr. 559—560. Lwów-Złoczów, 1906. Nakł. W. Zuckerkandla. 8-o, str. 142 i 2 nl.

(Kondratowicz Ludwik) Syrokomla Władysław. Janko cmentarnik, gawęda ludowa. Kęs chleba, gawęda z pól nadniemeńskich. Biblioteka powszechna 544. Lwów-Złoczów, 1906. Nakł. W. Zuckerkandla. 8-o, str. 82.

Meeterlinck Maurice: Joyzella, dramat w 5 aktach, tłómaczył Marceli Birnbaum. Bibl. powszechna 545. Lwów-Złoczów, 1906. Nakł. W. Zuckerkandla. 8-o, str. 77.

Morawska Z.: Zmierzch i świt. Powieść z czasów Stanisława Augusta III, t. II. Warszawa, 1906. Bibl. Dzień Wyborow. nr. 431—432. 8-o, str. 148.

Nałkowska Rygier Zofia: Kobiety, powieść. I. Lodowe pola. II. W czerwonym ogrodzie. III. Pieśń miłości. Warszawa, 1906. Nakładem Księg. Powszechnej. 8-o, str. 272.

Reymont Wł. St.: Chłopi, powieść współczesna. Tom III. Wiosna. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 480.

Rzewuski Henryk hr.: Listopad, romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku. T. I i II. Bibl. powszechna 546—555. Lwów-Złoczów, 1906. Nakł. W. Zuckerkandla. 8-o, str. 379 + 422.

Schiller Fr.: Dzieła poetyczne i dramatyczne w najlepszych przekładach polskich, zebrał i wydał dr. Fr. J. Albert Zipper. T. I i II. Poezye —

Semele — Zbójcy — Fiesko. Stanisławów, 1906. Nakład Wł. Doboszyńskiego. 8-o, str. nl. 6, 153 + 196.

Tenże: T. III i IV. Intryga i miłość — Don Karlos — Wallenstein. Stanisławów, 1906. Nakł. W. Doboszyńskiego. 8-o, str. 232 + 229.

Tenże: T. V i VI. Marya Stuart — Dziewica Orleańska — Oblubienica z Messyny—Wilhelm Tell. Stanisławów, 1906. 8-o, str. 204 + 166.

Sienkiewicz Henryk: Na polu chwały. Powieść historyczna z czasów króla Jana Sobieskiego. Z illustracyami St. Sawiczewskiego. Warszawa, 1906. Nakł. S. Orgelbranda i Synów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 4-o, str. 351.

Żeromski Stefan: Powieść o udałym Walgierzu. Napisał ... Warszawa, 1906. Nakł. redak. „Chimery.“ Gebethner i Wolff. 4-o, str. 67.

PUBLICYSTYKA. — BROSZURY POLITYCZNE.

Bauduin de Courtenay J.: Ze zjazdu autonomistów czyli przedstawicieli narodowości nierosyjskich. Odbitka z „Krytyki.“ Kraków, 1906. Nakł. „Krytyki.“ 8-o, str. 29.

Ch. I. X.: Co to jest bezrobocie i co o niem prawy chrześcijanin sądzić powinien? Napisał ... Przedruk z „Mazura.“ Płock, 1906. 8-o, str. 19.

Gimnazya. Nasze... i nasi synowie. Kraków, 1906. Spółka wydawnicza polska. 8-o, str. 16.

Lutosławski Maryan: Regulamin obrad. (Odb. rozdz. VIII książki: „O sztuce obradowania i przewodniczenia zebraniom.“) Warszawa, 1906. Nakład Firmy Komand. „Goniec Poranny i Wieczorny.“ Skład głów. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 16.

Marya: Etyka związku z odrodzeniem narodu. (Z rozmyślań nad teoryą Egoizmu Narodowego.) Kraków, 1906. 8-o, str. 28.

Mikłaszewski A. prof.: Strejki i kwestya społeczna. Prawo strejku. Spolszczył z upoważnienia autora K. Lu. Warszawa, 1906. Nakładem Księgarni Powszechnej. 8-o, str. 63.

Niemojewski Andrzej: Ludzie rewolucyi. Ptak. Zwidziska. Latawica. Maciej Bala. Święto wolności. Jur. Dziennikarz. Pan Jezus w Warszawie. Quovadisiana. Kraków, 1906. 8-o, str. 134.

Szech Antoni: Uwagi o socyalizmie. Wydawn. M. Jastrzębca. Kraków, 1906. 8-o, str. 106.

Szech Antoni: W sprawie mankietnictwa. Kraków, 1906. 8-o, str. 30.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

NA ROZDROŻU.

Opinia walczącego z rządem rosyjskiego społeczeństwa zarzuca nam, żeśmy odstąpili od sztandaru, pod którym ramię przy ramieniu było nam iść do zwycięstwa, żeśmy się myśli demokratycznej sprzeniewierzyli i odwrócili od wolności.

— Jesteście — mówią nam — w gruncie narodem szlacheckim, pragnącym władzy. Żądniście posiąść autonomię waszą, aby, umocniwszy się w odrębności, odwrócić się czemprędzej od naszych ideałów, gotowi nawet stanąć im w poprzek, jako obrońcy wstecznictwa.

Tak dziś do nas mówią ci, którzy wczoraj wypisali autonomię Polski na swoim sztandarze, jako postulat sprawiedliwości, nie zaś zatarg kompromisu.

Tak dziś myśli i mówi niejeden szermierz swobody w Rosyi, a raczej myśli niż mówi. Jesteśmy dla nich bodaj za szrankami „wolnościowego ruchu.“ I sądzą oni, że radzić o hasłach tych trzeba już z innymi Polakami, nie takimi, którzy nie idą do Wyborga.

Bądźmy wobec tego zarzutu jaśni. Nie myśmy ich zawiedli, zawiedli się sami. My wolność miłujemy i nie będziemy się tu powoływali na dzieje. Ale dajcie nam miłować ją w duchu myśli naszej i sumienia, powiedzmy śmiało—w duchu naszej dojrzałości.

Wierząc w słuszność swej sprawy, wiedzą Polacy, jak trudno otwierać wrzeciądze, któremi oddzielono ich od życia, jak ciężko odwalać głazy nad ciemnicami leżące. Radosnemi były więc dla nich słowa, jakiemi przemawiano do nich w Moskwie, a przedstawicielstwo polskie nie jechało do Petersburga, aby tam z umysłu odosobnić się od wszystkiego i wszystkich i z uprzedzeniem od wolnościowej Rosyi odgraniczyć. Ale też nie jechało, aby, wydobywając się z jednych, podać się bezmyślnie w drugie okowy. Jechało i żądać, i szukać—sprawiedliwości.

Dążyli i starali się Polacy zbliżyć możliwie do zapatrywania przeważnego odłamu w Izbie Państwowej. Możemy powiedzieć, że poszli w tym kierunku daleko, a nawet za daleko. W najważniejszej sprawie, którą kadeci rzucili Dumie na gorączkową dyskusyę, pragnąc mieć w niej taran do obalenia rządu—w kwestyi agrarnej—wyraziło Koło Polskie przez usta posła Steckiego zasadniczą zgodę na myśl wywłaszczenia większej własności prywatnej drogą przymusową, stojąc przy tem jedynie, aby w kraju naszym reforma ta zastosowana została w granicach, jakie jej krajowe oznaczy prawodawstwo. Przenosząc zatem rozwiązanie sprawy rolnej na grunt autonomiczny, nie zaprzeczył bynajmniej poseł lubelski postawionej teoryi, jako zasadzie, lecz pragnął jedynie taktycznie zastrzedz prawo wyjątku i to również raczej w zastosowaniu prawa, aniżeli in merito samej sprawy, co jeszcze wyjaśniły uzupełniające mowy posłów Nakoniecznego i hr. Tyszkiewicza.

Sądzimy, że takie postawienie rzeczy było błędem. A błąd był w tem, że było zejściem ze stanowiska wyższego, z dyskusyi rdzennej na poziom politycznego manewru. Są chwile, w których należy spojrzeć prawdzie w oczy i względy taktyczne, choć poważne i ważne, w chwilach takich ustępować winny głębszemu przekonaniu. Wówczas wyższe stanowisko zasady jest i najlepszem politycznem stanowiskiem. Posłowie polscy nie docenili tego, pragnąc, jak sądzimy, możliwie bliskie nawiązać stosunki z potężnem w Izbie stronnictwem kadetów. Wprowadzili w stosunek ten pewną niejasność i to im można zarzucić, ale nigdy złą wolę wobec rosyjskiej opinii i nie okłamywanie wolności.

Niejasność przecież była, a ta jest zawsze zadatkiem niewiary, i prawdą zawsze jest tak w polityce, jak w każdem między ludźmi zbliżeniu, że clara pacta claros faciunt amicos.

Dla nas Polaków clara pacta, to walka o wolność bez uszczerbku dla istotnej wartości narodu, bez zatraty tego, cośmy przejęli z przeszłości, jako narodowo i cywilizacyjnie żywe i zdrowe.

Tego nam uronić, ani umniejszyć nie wolno.

Dlatego wyraźnie musimy powiedzieć Rosyanom: możemy iść z wami, ale nie jako ślepi lub jako dzieci. W woli naszej jest przekonanie, które tej woli nakreśla granice. Jeżeli za to nazywacie nas wrogami wolności, to dowodzi jedynie, że się sami co do przekonań łudzicie i że wyobrażenia wasze są płynne.

Wierzymy, że ideałem prawdziwej demokracyi jest zdobycie jak najwyższej kultury przez ludzkość, a zapewnienie każdej jednostce możliwie największego udziału w szczęściu cywilizacyjne-

go światła i dobrobytu. A więc maksymalne wywyższenie człowieka, przy maksymalnem zrównaniu ludzi.

Rozum prosty wskazuje, że niebezpieczeństwem jest tu przechylenie jednostronne wagi i że nie można bezgranicznie równać, zostawiając pracę nad podźwignięciem na później, że trzeba tu i wielkiej pracy i wielkiej miary. Doświadczenie zaś mówi nam, że im młodsze i mniej wyrobione cywilizacye, tem pochopniejsi ludzie do teoretycznych rozstrzygań i wyroków, tem umysły skłonniejsze do bezwzględnego sądzenia a priori. Otóż powiedzmy Rosyanom, żeśmy od nich dziejowo starsi, jako społeczeństwo. A nie jest wiek nasz starszeństwa wiekiem starości. Nie potrzebujemy otwierać foliantów historyi, aby dowodzić, żeśmy zdolność samodzielnego myślenia kształcili oddawna, a wierzymy z Tocquevillem, że „w ustroju takim przez bezwzględne zrównanie zdolność ta spadłaby stopniowo poniżej poziomu Ludzkości“ (La démocratie en Amérique. 1888. Paris. III p. 536).

Bezwzględne zrównanie jest zaprawdę możliwem jedynie przy bezwzględnem poddaństwie. Zaś nad niedolą życia panują dwie moce i nie jedna cierpliwość jest tej niedoli panią. Jest nią nieraz potężniej niecierpliwość — do wysiłku nagląca. Z niej poczęły się wszystkie wielkie protesty duszy, z niej też począł się socyalizm. Pytać się można tedy, jakiem despotycznem zuchwalstwem zmusi ludzi do cierpienia bezdusznej równości.

Zasadę wysiłku, zasadę pracy wywyższył już w mitologii swej Zachód i przywiązał do niej pojęcia twórcze władzy — ładu i prawa. Wschód zlał dużo błogosławieństw na zasadę miłującej cierpliwości i połączył z nią szlachetną zadumę, ale też i nieszlachetne lenistwo. Ztąd duch czynny i duch bierny żyją w każdym z nas Słowian i źleby było, gdyby się zgoła wyłączały, ale wiedzieć trzeba, który przeważa i przewodzi i tu znów zdaje się, że w Słowiańszczyźnie panuje na nieszczęście duch bierny. Dlatego, gdy się zrywamy do czynów, jest to zwykle gorączka chwili, a nie stan wytrwały, jest to spazm, a nie wytężenie. Jeżeli tak bywało i bywa u nas, tembardziej w Rosyi, gdzie społeczeństwo od szeregu stuleci nie ma dziejowej tradycyi.

Gdyby było inaczej, nie byłby Cesarz Paweł odpowiedział na pytanie Dumourieza: „Dowiedz się Waćpan, że nie masz tu nikogo znacznego oprócz osoby, do której mówię i to tylko podczas, gdy z nią rozmawiam.“ Tenże Paweł I uwolnił sam z więzienia naszego bohatera Kościuszkę i długą z nim liberalnie raczył wieść rozmowę. Ale Kościuszko był już „kimś“ przedtem. A od czasu tego zaledwie wiek upłynął. Ani arystokracya feudalna,

ani szlachta demokratyczna, ani silne mieszczaństwo nie mogły sobie wyrobić w Rosyi istotnego wpływu i znaczenia. Nie przeszło Państwo Carów przez stopniowanie obywatelskiej samodzielności człowieka—przez wyzwolenie sumienia i sądu w społeczeństwie. Była masa poddanych starta na miazgę—i był biurokratyczny rząd w imieniu absolutnego Monarchy. A w całej tej olbrzymiej miazdze jedyne komórki społeczne, gminy („miry"), ustrojem radykalnie demokratyczne, charakterem wprost bierne, nosiły piętno porównie pierwotnego komunizmu, jak pierwotnej nieudolności.

Gdzie w takich warunkach mogło rozwinąć się poznanie i poczucie doskonalszych form życia, a tembardziej twórczą wyrobić umiejętność? Wyrastała za to bujnie albo apatya, albo krańcowa nienawiść do wszystkiego co było, trwało a ustąpić nie chciało, bezgraniczne potępienie przeszłości i bezgraniczna żądza nowatorstwa, wylewająca się w myśli i słowa raczej, niż w czyny. Skoro zaś przykładów do przeobrażeń brakło na miejscu, brano je żywcem z oddali, z obcych wzorów, z warunków najbardziej różnych, najbardziej innych, licytując nie większą możność zastosowania, wyższą, powiedzmy, zdolność kiełkowania, ale polityczny i społeczny radykalizm projektów. Anglik, gdy spostrzeże jaką niedoskonałość w domu, poprawia i uzupełnia, licząc się ostrożnie ze wszystkiem i tak prowadzi przebudowę swego gmachu, aby o ile można jak najmniej dawnych cegieł wyrzucić. Tak w starej czcigodnej katedrze barbarzyniec jedynie w gruz rozbija zabytki czasu, które nie mają w sobie nieubłaganego zniszczenia. W Rosyi atoli myślano tylko ciągle o nowych planach, o wielkiem budowaniu z niczego. I nic dziwnego, nie było umiłowanego domu, w którymby naród czuł własną pracę i troskę i własną chwałę. Ale ta groźna młodszość cywilizacyi, ciągle błąkająca się po teoryach, z niczem się nie licząca, na nic nie oglądająca, roiła i roi o stawianiu fundamentów olbrzymich. Ma ona bowiem chełpliwość, wierzącą szczerze ale naiwnie, że świat zadziwi i uszczęśliwi ludzkość. Zdaje jej się, że jest to siłą państwa i ziemi rosyjskiej, iż nie masz na niej starych wałów i przeszkód nagromadzonych i że myśl twórcza może być tu przestronna i potężna, jak nigdzie. Ale może prawdę powiada bystry krytyk rosyjskiego życia D. Mackenzie-Wallace, że wszelkie przemiany polityczno-społeczne, że wszelkie eksperymenta na ogromną zakrojone miarę, łatwiej znieść Rosyi, niż jakiejkolwiek subtelniej zorganizowanej potędze dopóty, dopóki trwa z jednej strony absolutyzm władzy, z drugiej bierność narodu (str. 367. La Russie, tom I. G. Decaux, Paris) a więc dopóki

trwa niewolnicza uległość duchowa. I tylko, póki trwa, można ludzi modo geometrico uszczęśliwiać, licytując się w krańcowości. Ale ta krańcowość wiedzie nie ku prawdziwej demokracyi, wiedzie ona ku demagogii i nowe wrota otwiera Cezarom—daleko, daleko od wrót błogosławionych Wolności.

Przykład takiego uszczęśliwiania, przykrojonego jak mundur, mamy w programie agrarnym.

*

* *

Według formuły kadeckiej przedstawia się kwestya agrarna ogromnie prosto: zrównać posiadanie ziemi i ziemię tę oddać rękom pracującym Pokrzywdzenia nie będzie, gdy wywłaszczeni właściciele otrzymają sprawiedliwy wykup.

Jestto proste i kategoryczne, wygodne, kategoryczne i proste okrutnie—jak Prokrustowe łoże. Jednakże wszelkie „proste“ rozwiązywania trudnych zagadnień społecznych tworzą zwykle najbardziej zawiłe położenia. Przyroda, której prawa wysławiamy, jest znacznie mniej prosta w swym układzie, ale dlatego nie urąga życiu, jak kategoryczne imperatywy społecznych geometrów. Formuła kadecka, nie mówimy już o „trudowickiej,“ odpowiada może ideałowi dekoracyi scenicznej i sztucznej, ale na życiowe pytanie: co jutro? nie ma innej odpowiedzi, tylko ta: après nous le déluge. I pomysły takie rodzić się mogą jedynie tam, gdzie fala zalewu łatwo zabiera wszystko, gdyż nie budowano na fundamentach.

Dla każdej cywilizacyi starszej jest projekt agrarny Dumy *zaprzeczeniem rozwoju*, zatem uwieńczeniem bezwładu. Jeśli demokracya, jak nam się zdaje, rozrasta się energią ludzi, jest projekt ten wysoce niedemokratycznym; jeżeli światło ze świadomego dążenia i wysiłku czerpie moc swoją ożywczą, jest radykalnie ciemnym. Nie mówimy tu już o sprawiedliwości i godziwości odbierania komuś tego, co uważa za swą własność bezsporną i trwałą, do czego przywiązał się tradycyą, życiem i pracą. Możnaby bowiem jutro równie dobrze usłyszeć wezwanie do oddania wogóle wszystkiego, co jest różnicą w posiadaniu. Na takie postawienie sprawy słyszy się odpowiedź, że prawa jednostki milknąć muszą wobec wyższej zasady społecznego dobra i szczęścia. Oto

argument wielki i decydująca *vis major*. Ale na to człowiek o poczuciu cywilizacyi odpowiada kategorycznie, że szczęście społeczne nie może się urodzić tam, gdzie się niszczy i niweczy doskonalsze formy pracy i lepiej skrystalizowane ośrodki rozwoju. Nikt nie bierze trudnej nagrody dobra, kto, zamiast dążyć naprzód, cofa się zapamiętale.

Ze stanowiska użyteczności ekonomicznej, oddanie ziemi pracującym na niej nie może mieć innego znaczenia, tylko przeniesienie z rąk słabszych w silniejsze. Inaczej jest nonsensem i można bronić tego jedynie z innego punktu widzenia socyalnej polityki. Na Zachodzie częstokroć, nawet zwykle, mocniejszą jest ręka włościanina, który swej pracy nie liczy i potrafi wyprodukować taniej i lepiej w stosunku do większej własności, a więc jest lepszą wartością wytwórczą. I tak byłoby, gdyby rozumował Anglik o podziale dóbr księcia Sutherlandu, posiadającego coś po nad 450,000 akrów ziemi w Zjednoczonem Królestwie. Możnaby tak w pokrewnych nam warunkach rozumować o podziale ziemi w Księstwie Poznańskiem, gdzie włościanin coraz to bardziej intensywnie umie gospodarzyć. I tam, gdzie tak jest, prawem naturalnej konieczności większa własność staje się coraz bardziej kruchą i nietrwałą. Ale widocznem i tam porównie, że praca rolnicza nie jest pracą dłoni jedynie, najprymitywniejszą i najgrubszą, i że w miarę doskonalenia się techniki, myśl coraz większe przezwycięża zapory i panuje nad trudem. Coraz bardziej siła myśli przeważa siłę dłoni. I z prostej formy trudu oracza, jak z podstawowych działań rachunku, tworzy zdobywcza energia postępu wyższą formułę pracy w gospodarstwie i przemyśle na roli. Im zaś bardziej złożoną jest twórczość, tem bardziej nakładową praca, tem więcej wymaga kapitału, tem na dłuższe oblicza nieraz okresy i dłuższej żąda wytrwałości.

Dlatego, obok silnych gospodarstw mniejszych, będą trwały i rozwijały się te gospodarstwa większe, które mają zasoby energii i w umiejętnem kierownictwie i w materyalnych środkach. A nikt im ściślej granic od własnej sprawności nie nakreśli. Nie ma bowiem żadnej racyi twierdzić, że energię gospodarczą uwięzić można stałą cyfrą przestrzeni. Gospodarstwo silne tworzy sobie samo granice; gdzie nie może rosnąć w terytoryum, rosnąć będzie w intensywność, wgryzie się lepiej w ziemię. Na ogromnej przestrzeni rosyjskiej są i wielkie i małe gospodarstwa, ale prawie zawsze i jedne i drugie są to gospodarstwa słabe. Większy właściciel nie siedział tam na roli, nie mówiło się o nim jak u nas, skąd się pisze, ale pytało o stopień „czynu,“ o rangę. Nie gospo-

darował sam, rzadko majątek w administracyi trzymał, lecz zwykle wypuszczał chłopom za wysokim czynszem. Porał się tedy mużyk równie na gruncie pańskim jak na swoim, a porał i pocił się może nieraz usilnie—ale robotą pierwotną. Nieraz zaś i usilnie się nie pocił. Wielkie wschodnie bożyszcze panowało i panuje nad nim złowrogo—Lenistwo.

Prawda, że mużyk zna zimy długie i ostre, w których nie wie, co robić, że ma gdzieniegdzie rolę rodzącą, jak ziemia obiecana, którą wyczerpuje doszczętnie, gdzieindziej zaś przytrudny grunt, do pracy niewdzięczny, że go chowano w ciemni pojęć i że przez wieki żył niezmiennie jednostajnem życiem, że wreszcie zasklepiony we wspólnocie gminnej, nie zdołał rozwinąć indywidualnej inicyatywy gospodarczej, prawda to wszystko, ale nie mniejsza prawda, że wskutek tego jest bez porównania bardziej obojętnym i zdającym się na los od włościanina na Zachodzie, a choćby od naszego Mazura. Mamy świadectwo bliskie w uderzającej różnicy pracy rolnika w Królestwie a na Rusi Białej, gdzie jeszcze niema wspólnoty gminnej i gdzie przecież wielka własność pracuje. Chłop polski wychodzi coraz bardziej z kurateli lenistwa. Już przedsiębiorczość, jaką ujawnia, idąc do Prus, na Sasy, dążąc do Ameryki, jest najlepszym tego dowodem. Nie pcha go często ostatnia bieda, gdyż są całe okolice, gdzie takiej rzeczywistej biedy nie zaznał, ale chęć zdobywcza poprawy bytu, lepszych zarobków, nawet pewna ciekawość, a wie, że tam za granicą zyskać można, ale i o tem wie dobrze, że tam trzeba zupełnie inaczej jak w domu pracować, pracą co do czasu krótszą może, ale o wiele intensywniejszą i sprawniejszą wysiłkiem. I pracować idzie i przyszłość swoją zdobywa.

Nad włościaninem rosyjskim przeciwnie, musi roztoczyć skrzydła jakaś wszechmocna opieka. Czy to będzie opieka gminy, czy rządów wczorajszych, czy jutrzejszych—czuwać ma, jako absolutyzm. Formuła kadecka nie jest zgoła innego ducha wyrazem i nie przynosi ona wyzwolenia z zaklętego koła fatalizmu. Nie odzywa się słowy: pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże, nie daje dźwigni samopomocy, ale patryarchalnie wydziedzicza Ezawa dla Jakóba. Jakób tedy będzie widział drabinę we śnie, ale się na nią piąć nie zechce. Bo po co, wszak i tak „gruntu przykroją.“ I wielkiemu będzie dalej hołdował lenistwu, obchodząc mnóstwo świąt jego. Nie na tej drodze wyzwoli się lud rosyjski ze swego *poddaństwa niedoli*. Tą drogą na światły szlak cywilizacyi nie wejdzie. Wręcz przeciwnie działaćby potrzeba, zachęcając i zasilając każdą produktywną inicyatywę, wspierając każdy objaw energii,

każdy ku lepszemu wysiłek. I tak czyniąc, dać włościaninowi chęć i możność naśladowania przykładów. Wszelkiemi siłami wesprzeć, ale nie brać go pod absolutną kuratelę. Ziemię rodzicielkę przeorać, ale nie zaorywać postępu, wydając lepsze łany przez utopijną sprawiedliwość na wyjałowienie. *Nie tworzyć równości w niemocy.*

Nie starczy wzgląd ściśle ekonomiczny. Rozdawnictwa ziemi bronią racyą stanu społeczną i koniecznością głodową. Już to, co powiedzieliśmy wyżej, odpowiada na pierwszą racyę dostatecznie jasno. Jeżeli jestem właścicielem większym, twórczym na roli, nie będę czynnikiem o słabej wartości społecznej. Ale własność większa ziemska jest jeszcze czemś więcej niż warsztatem. Różni się ona tem od innych form kapitałowej produkcyi, że z nią daleko więcej związanych obowiązków i ciężarów społecznych. Nie może mnie nie obchodzić ani szkoła, ani kościół, ani pożar i woda u sąsiada, ani cała ta suma czynników życiowych, która sprawia, że nie tylko posiadam ziemię, ale ją miłuję i poniekąd jej służę. I pytam się, dlaczego *rachunek wyrównawczy* mienia zacząć się ma od najbardziej może sprawiedliwego kapitalizmu a nie od plondrowania szaf bankierskich. Poprostu dlatego, że ziemia jest bardziej uchwytną. Dlatego też nie bardzo dziwnem, że kapitał płynny, spoczywający w znacznej mierze w rękach spekulacyi, nie tylko często przewrotom takim nie przeciwstawia zasadniczego odporu, ale im poniekąd i sprzyja.

Są inne projekta, broniące przed wyraźną spoliacyą a zastanawiające się, jak uczynić wielkie gospodarstwo *zbytkiem* jedynie, obciążając je nad miarę. To są również niedorzeczne, jak bezcelowe. Większa własność jest zarówno, jak mniejsza, społeczną potrzebą i czynnikiem rozwoju. Z chwilą, gdy nim być przestaje, daremnie ją oprzeć na „zamiłowaniu.“

Ale jest „konieczność głodowa.“ Nie pora, mówią, na refleksye. Czas nagli.—Konieczność głodowa? Gdzie? Jeżeli w całem Państwie, przeczymy najstanowczej. Cyfry i logika nie będą po stronie twórców przepastnego projektu. Przedewszystkiem stwierdzić trzeba, co się przez „kwestyę głodową“ pojmuje. Jeżeli głód *ziemi*, pożądanie gruntu, to jest ono tak ogólnem u każdego włościanina, tembardziej u małorolnych i bezrolnych, że na zaspokojenie tej chęci i tej potrzeby nie starczyłoby wszystkiej ziemi w Państwie. Tego pożądania, a nawet potrzeby, nie można identyfikować z koniecznością. Możnaby bowiem równie ogólnie twierdzić, że potrzeba środków materyalnych jest bezsporna i powszechna. Tu zatem wskazanem jest przedewszystkiem podnoszenie

całej wytwórczości krajowej, zapewniającej pole do pracy jak najwięcej rąk pracujących, nie zaś kategoryczny nadział roli, który nigdy wszystkich zadowolić nie może, a bezwątpienia sprawności twórczej kraju nie podniesie.

Wykazać można, że w gospodarstwie wyższego typu wytwórczość daje utrzymanie większej ilości ludzi, aniżeli na tej samej przestrzeni przy kulturze niedbałej. Idąc miedzą, widzę różnicę mego zboża i buraków z zagonkami opodal; w oborze sprawdzam różnice udoju szlachetniejszego bydła; w utrzymaniu robotnika rolnego—stwierdzam niejedno na korzyść w obec lichego gospodarza. Wykazać można dalej, że rozdrobnienie ziemi już w naturalnym przebiegu znaczne objęło przestrzenie i duże poczyniło postępy. Tak jest w Królestwie, gdzie rozdrobnienie w wielu stronach jest większe, niż po drugiej stronie niemieckiej granicy.

Wykazać wreszcie można, że rozdawnictwo takie krótkotrwałym tylko będzie paliatywem, gdzie nie wpoi się w ludność przekonania, aby sama o sobie radziła. Włościanie rosyjscy nie myślą bardzo o przyszłości swych rodzin, są ubodzy w zaradność, a bogaci w dzieci. Przemysł niedostatecznie jeszcze rozwinięty wchłania część ludności jedynie. Niema Rosya takiego korektywu, jak Irlandya, gdzie przy mizernym gruncie, mizernej gospodarce a dużym wzroście zaludnienia, ogromną rolę gra emigracya zamorska. Jeżeli w Anglii w rok jeden, w połowie minionego wieku, (r. 1844) 1,131,715 Irlandczyków wyprodukowało wartość 36 milionów funtów, to 1,055,982 rolników angielskich zdołało wyprodukować na 150 milionów. W Anglii zaś w r. 1881 mieściło się na kilometrze kwadratowym 187 dusz wobec 61 w Irlandyi i widzimy, że mimo przyrostu Anglia jest w stanie zmieścić i wyżywić coraz większą ludność, gdy Irlandya zachować może jaką taką równowagę jedynie przy mniej więcej stałej cyfrze, pozbywając się nadmiaru wychodźtwem.

W Rosyi atoli w r. 1883 mieszkało na kilometrze kwadratowym dusz zaledwie 17 (16.7). A Rosya ta ma otwarte pole do emigracyi wewnętrznej, olbrzymie, niewyzyskane, w znacznej mierze rolniczo korzystne azyatycko-sybirskie terytorya. Ale nie żyje w niej duch przedsiębiorczości Zachodu, który otworzył Amerykę kulturze, który w Stanach Zjednoczonych nawet ospałych Irlandczyków i miękkich Włochów na stalową hartuje wytrwałość. Czy to nie dowodem nie nędzy, ale niezaradności?

Czem innem jest atoli mówić o istotnym głodzie *na ziemi*. Tej nędzy rzeczywistej nie ma w Państwie w tym stopniu, aby

o chorobie módz mówić ogólnej. Choroba jest, bo gdzie jest zaniedbanie, jest nędza. Ale zło zbadać i określić trzeba, centra najgorsze ustalić i leczyć, choćby wyjątkowo heroicznemi środkami, lecz nie dawać tych środków tam, gdzie stosowane źle, same spowodują niezdrowie. Co może iść siłą własną, trzeba podeprzeć, ale nie brać na „gracyę“ społeczną. Powie kto: mówisz tak, gdyż mówić inaczej nie możesz. Odpowiem: nie przeszkadza mi własność, nie przeszkadza stare nazwisko do wiecznie młodej prawdy, ale stara kultura społeczeństwa i narodu pomaga. Chcemy pomocy słabszym i chcemy wzrostu świadomości i kultury zarazem. Sądzimy, że mechaniczne zrównanie nie jest żadnem szczęściem, że wyrzucenie poza nawias silniejszych i sprawniejszych jest wprost szkodą społeczną. Ale wiemy też, że silniejsi o tyle są warci, o ile poczuwają się do społecznego obowiązku. „Wymagania społeczeństw demokratycznych są jasne,“ mówi G. Bouglé, z którym czas jakiś byłem razem na ławach Heidelberskiej wszechnicy. „Potrzeba im bezwątpienia dla życia i postępu ludzi silnych, silnych ciałem i umysłem; lecz potrzeba im nadto i głównie silnych, którzyby nie nadużywali swej siły, którzyby potrafili poświęcić ją na usługi ogółu i ograniczyć w razie potrzeby swe żądania przez pamięć o prawie słabych, potrzeba im ludzi silnych świadomością“ (Demokracya wobec wiedzy, tłóm. d-r Felicya Nossig, Lwów 1907, str. 373).

A za tym samym autorem socyologiem powtórzę: „Niechajby maximum korzyści przypadało najsilniejszym, jeżeli to potrzebnem jest dla podniecenia ich czynności w interesie ogólnej produkcyi. Lecz niechaj minimum przynajmniej będzie zapewnione i słabym. W cywilizacyi, w której wszystkie czynniki indywidualne są tak ściśle pomieszane, jest to jedyny środek zabezpieczenia niezbędnego zezwolenia wszystkich i utrzymania w duszy ludu uczucia, iż warto żyć życiem społecznem. Z tego punktu widzenia staje się jasnem, że demokracya domaga się nie już tylko rozszerzenia lub uregulowania, lecz prawdziwego złagodzenia walki. Ideał jej nie ogranicza się do tego, aby wszystkie zdolności naturalne były jednakowo dopuszczone do konkurencyi i sprawiedliwie uklasyfikowane wedle swej wartości społecznej. Pragnie ona jeszcze, aby skoro konsekwencye tego ustroju są szkodliwe dla większości i prawdziwie nieludzkie, uczyniono wszystko, co możliwe dla ich ograniczenia. Żąda ona nie tylko zniesienia dawnych przegród zakazujących, lecz ustanowienia, wrazie potrzeby, nowych przegród ochronnych. Ścisłe trzymanie się prawa do integralnego produktu pracy jest jeszcze tolerowaniem prawa mocniejszego,

chociaż ujętego w ustawy; nawet istnienie przepisów regulujących współzawodnictwo, dowodzi jeszcze, że walka pozostaje prawem życia. Najoczywistszy interes społeczny wymaga niewątpliwie aż do zjawienia się nowych postępów organizacyi ekonomicznej i usposobienia moralnego, utrzymania systemu premiowania wyższości, które przeznaczone są do największej wydatności zdolności naturalnych. Lecz dobrze zrozumiany interes społeczny wymaga także i wymagać będzie coraz więcej, w miarę gdy się pogłębi świadomość społeczna, ażeby siła działała w interesie słabych, a nie przeciw nim, ażeby wyższość w jakimkolwiek kierunku, zamiast kuć dla siebie przywileje na tle nędzy powszechnej, stała się korzyścią i dla tych, którzy jej nie posiadają" (str. 372—3).

Jestto stanowisko socyologiczne, dalekie od laisser-fairyzmu, ale stanowisko rozumnej cywilizacyi. „Rzuciwszy okiem na mechanizm produkcyi w naszych społeczeństwach — mówi Bouglé — pojmiemy z łatwością, jak trudnym do urzeczywistnienia byłby program, który chce robotnikowi zapewnić integralny produkt jego pracy. Negatywny cel tego programu jest jasny. Rozumiemy co on zniszczyć pragnie. Ma on swą wartość przeciw „szerszeniom," przeciw tym, na których bogactwa spadają we śnie, lub którzy dla otrzymania majątku potrzebują tylko „zadać sobie trud przyjścia na świat." Do nich to odnoszą się słowa Św. Pawła: *Qui non laborat non manducet.* Lecz czy dla tego, że zasada ta zwraca się przeciw niechcącym pracować, ma ona już wartość pozytywną, charakter twórczy i można z niej wywieść taką organizacyę społeczną, w którejby w istocie dochód każdej jednostki był wymierzony i oznaczony przez jej własną pracę? Czyż w produkcie pracy nie należy odróżnić także akcyi sił materyalnych lub niematerialnych, wychodzących po za wysiłek osobisty?" (str. 359). To też wraz z francuskim socyologiem nie wierzymy, aby moralności abstrakcyjnie pojęte i abstrakcyjnie niwelujące ludzi lub przeciwnie głoszące wyłączność jakiejś klasy, kasty czy przywileju u góry, czy u dołu, miały i mogły ludzkość uszczęśliwić.

„Cała moralność naukowa — mówimy z nim — nie jest zamknięta w przypuszczeniach antroposocyologii, w przenośniach teoryi organicznej, w dwuznacznościach darwinizmu społecznego. Właśnie w chwili kiedy praktyczne konkluzye, wynikające z socyologii przyrodniczej, dochodzą do opinii szerszego ogółu, postulaty i metoda jej są już w szeregu badań naukowych ogólnie porzucone.

Studyujemy dziś społeczeństwa ludzkie same dla siebie nie zaś przez pryzmat upraszczający analogii biologicznej. Chcąc na-

uczyć się specyficzności ich form i sił, postawiliśmy stanowczo w miejsce abstrakcyjnej biologii — historyczną ich analizę (Année sociologique t. I—VI, Paris. Alcan. 1896—1902). Staramy się jednem słowem przez porównawczą obserwacyę rozmaitych społeczeństw, rozwijających się w historyi, wyłonić prawa natury społecznej, która ma cechy właściwe i nie jest tylko prostem odbiciem natury fizycznej“ (ibid. 394).

I oto z historyi naszej mamy i możność i prawo wydobyć prawdę wyższą nad zasadę poddańczą gnuśności i zdawania się na wolę losu, zasadę, której hołduje Wschód, który czasem potrafił wznosić budowy, ale ich utrzymywać nie umiał.

Dla tych racyj byłaby reprezentacya polska uczyniła lepiej, wypowiadając się przeciw retorom i teoretykom zasady wywłaszczenia, dopuszczając wyjątki od prawa, a nie zgłaszając prawo do wyjątku.

Wyjątkiem mogła być i wyniszczona gospodarka chłopska, tuż przy granicy głodowej (starvation minimum), grożąca klęską całym okolicom i bezmyślna gospodarka większej własności tam, gdzie od długich lat pozostawiano grunta prymitywnej, włościańskiej uprawie przy tak zwanych „niszczewych nadiełach,“ nie troszcząc się o nic ponad dochód. A zresztą całą siłą należało się oprzeć o prawo twórczości i wykazać, jak dotychczasowe warunki, nieskrystalizowana energia, nieuregulowane porządki osad włościańskich, przewlekłe trwanie serwitutów, rozrzuconej własności—te wszystkie zapory i przeszkody ze strony prawa i biurokracyi wszelką poprawę gospodarstwa utrudnić, jeżeli nie udaremnić, zdołały.

Nie czyniliby posłowie nasi wrażenia pewnej małości i bronienia się argumentem: dajcie nam pokój, a my wam nawzajem. Przemawialiśmy tam, Polacy, zbyt nikło. Nie chcę przez to powiedzieć, że należało mówić szumnie, ale powinni byli posłowie polscy wnieść na trybunę Dumy tę powagę i siłę, jaką nam daje cywilizacyjne starszeństwo, niewygasłe w myśli i uczuciu, i pamięć dużej obywatelskiej tradycyi. Powinni byli pamiętać, że broniąc haseł cywilizacyjnego postępu, bronią porównie pracy polskiej, myśli i dobra polskiego na Litwie i na Rusi, którym „reforma“ taka groźniejsze przyniosłaby następstwa, niż straszne czasy konfiskat.

Broniąc zasady stanęliby silnie i wyraźnie wobec opinii rosyjskiej Gdyby kadeci już wówczas oświadczyć mieli, że nas uważają za „wstecz ników,“ nie stracilibyśmy nic więcej nad to,

cośmy stracili obecnie, to jest wygłoszonoby urojony sąd o nas. Bowiem piętnowanie ludzi inaczej postęp pojmujących jest w czasach dzisiejszego chaosu wypróbowaną bronią.

*

* *

Reforma agrarna jest reformą rewolucyjną. I to nie w znaczeniu, że rewolucya obnażyła jej konieczność, ale że ma być tej rewolucyi taranem. Nie dla reformy tej wyłącznie podnieśli kadeci puklerze przeciw rządowi. Wprost przeciwnie, użyli jej, jako najdzielniejszego środka, aby rząd przyprawić o zgubę. Gdyby wcale sprawy agrarnej nie było, jeszczeby ją byli, jako konieczność, stworzyli. Ale potrzeba jest i tu dwóch zdań niema. Są głody w Rosyi, jest nędza agrarna, jest cierpiący, niezadowolony włościanin, dla którego rząd niewiele czynił w myśl oświaty, a nic dla krzepienia samodzielności, dla rozwijania własnych sił narodu, ale jedynie na paliatywach zapomóg i podatkowych opustów, opierał politykę „opiekuńczą.“ Nie potrzeba zatem zła szukać, ale je można powiększyć, uogromnić, a wreszcie rozbudzić i żywiołem rozpętać szalonym.

Nie szli zapewne kadeci z tem wyraźnem postanowieniem do Izby. Ale jak w czasach nagłych się dzieje, poniosły ich ku temu wypadki, a oni w sobie nie znaleźli już oporu.

Walka w Dumie zdecydować miała o wartości i szerokości konstytucyi rosyjskiej. Rząd, rozumując, że na biurokracyi opierać się już długo nie może, a widząc zszeregowane przeciw sobie całe prawie myślące społeczeństwo, uchwycił się wiary, że wielka, bierna masa włościańska da mu jedynie potrzebną podstawę legalnego działania. Szukać więc począł sposobów stworzenia sobie w Dumie stronnictwa *potakujących* i dla tego w ordynacyi wyborczej uprzywilejował chłopa, mówiąc mu pocichu o ziemi. Spostrzegli niebezpieczeństwo grożące przywódcy stronnictw lewicy i użyli taktyki stanowczej i skutecznej — wciągnięcia muzyka w orbitę „wolnościowego ruchu.“ Poszli na przetarg z rządem.

I udało im się to w zupełności, udało aż za dobrze, udało tak, że dostali się sami w niewolę u swych sojuszników. Z chwilą, gdy wnieśli projekt agrarny można było śmiało twierdzić, że już z równi pochyłej zejść nie mogą i muszą fatalnie albo do

rozwiązania Dumy, albo do rewolucyjnej doprowadzić konstytuanty.

Bowiem na tak postawionym projekcie nie mogło dojść nigdy z rządem do porozumienia. Ustępstwo ze strony władzy uświęcało szaloną zasadę spoliacyi, ustępstwo ze strony konstytucyjnych demokratów podawało ich wobec już rozagitowanej opinii, za zdrajców sprawy ludowej. Raz wywołanego Ducha ani sposób było się pozbyć. Dla tego też twierdzimy stanowczo, że mimo wszelkich wahań i niegasnącej może wiary w jakieś wyjście, może bezwiednie, ale niemniej niepowrotnie przez wniesienie swego agrarnego projektu przekroczyli kadeci Rubikon. Rząd popełniał ciągłe błędy nieumiejętnego wyboru ludzi w ministeryum, które miało współpracować z Dumą, zwlekań zamiast zdecydowanych czynów, szedł zwykłym zygzakiem między brakiem wiary w siebie a zbytnią pewnością. Rząd był zły, bo nie umiał wpoić przekonania, że słowo konstytucyi stanie się ciałem. Ale partye kierownicze w Dumie nie mniejsze błędy na drogi swoje zwaliły. Stworzyły one złowrogie *junctim* między utopią a ruchem wolnościowym i stworzyły położenie, w którem odsądzają ludzi od poczucia sprawiedliwości i pojmowania demokratycznego, jeżeli tylko ludzie ci nie chcą iść aż do granic absurdu. Czyż przez to, że ktoś w tej lub owej kwestyi absurd ten widzi i głośno stwierdza swe przekonanie, ma być odrazu poczytany za zwolennika rządu i obrońcę walącego się ustroju? A tak rozumowała Duma.

Gdyby umysły rosyjskie nie dążyły bardziej ku politycznej metafizyce, niż ku politycznej konstrukcyi, czućby musiały, że walcząc usilnie o *ustrój wyraźnie konstytucyjny*, można się równocześnie obawiać dla Państwa *wyłącznie parlamentarnego rządzenia*. Dwa to niewspółmierne pojęcia. Zastrzegamy się odrazu, że nie mamy na myśli twierdzenia, aby rząd nie wychodził z parlamentu, ale aby nie musiał absolutnie i bezwzględnie stać i upadać z każdą parlamentarną większością.

Kto badał dzieje parlamentaryzmu, choćby za ostatnie ćwierć wieku, może łacno i z prawdopodobieństwem twierdzić, że bezwzględnie parlamentarne rządy w Rosyi byłyby najmniej stałemi, że falistość ruchu żywej a niepogłębionej pracą opinii, strącałaby je rychło jedne za drugimi, że w tak wielkim przestrzenią państwie, o tak rozmaitej ludności, byłyby to rządy ciągłych zmian, niespodzianek i komplikacyj. Ustrój, wzorowany na Francyi, która od czasów Ludwika XI przechodziła ku coraz to lepszemu skupieniu w jednolitość, lub na Anglii, która przez szereg

wieków uczyła się zażywać wolności, nie miałby tu żadnego punktu porównawczego. Raczej już dałby się pomyśleć układ Zjednoczonych Stanów, o wielkiej decentralizacyi prawodawczej, a przy wielkiej przecież sile egzekutywy.[1]) Ale to są tworzenia ex nihilo i budowania teoryi. W polityce nie może chodzić o eksperymenta oderwania pomyślanych konstrukcyj, ale o możliwie dobrą budowę z danych materyałów. Inaczej buduje się z piasku. Tak więc, jeżeli warunki życia sprzecznemi są z abstrakcyą, nie można, choćby się chciało, wyprzedzić wszystkich form europejskich ustrojów politycznych dla tego, że się pragnie pójść dalej i zaimponować światu. Wraca się bowiem do starej historyi Ikara, jeżeli się tylko ludzi siebie, a jeśli bliźnich — do wiosek Potiomkina. Z tą różnicą, że w tym drugim wypadku były to względnie niewinne zabawy, tu zaś igra się z rzeczywistością straszną.

Rozwala się zły, zmurszały i zepsuty rząd, wali przegniłą biurokracyę, ale zarazem podrywa poczucie prawa, rozluźnia wszelkie wiązania i psuje konieczne hamulce. A ogromne, ciemne masy, patrząc na tę robotę, pomrukują inną groźbę, groźbę anarchii, groźbę wyzwolonego szału. I tu świecą złowrogie przebłyski tej rewolucyi rosyjskiej, której na imię nie *Myśl*, ale *Zniszczenie*.

Słońce nad takiemi pracami nie wschodzi. Słońce wschodzi nad panowaniem Ducha, który połączy ludzi do działań zgodnych, karnych i umiejętnych. I zwyciężają siły, które stworzą organizacyę i ład. Dla tego przewrotu rosyjskiego nie można równać z przykładami innych dziejów. Francya rewolucyjna, mimo wszelkich rozpasań i zboczeń, miała w sobie twardą potęgę twórczą, z tradycyi zachodniego Ducha wyrosłe dążenie do krystalizacyi, przeto wydała dużych kierowniczych ludzi, a gdy niebezpieczeństwo nad Ojczyzną zawisło, rzuciła przeciw całej prawie Europie swych synów bohaterów, a ci nietylko zasłonili ją piersiami, ale w imię swej wiary poszli przez Europę całą — zwyciężać. W Rosyi z potężnego również uczucia poczęło się wyzwolenie, przeżyty ustrój potępiano całą duszą. Ale przeszłość nie dała osi krystalizacyjnej społeczeństwu i lękać się można, że słowiański umysł nie stworzy tęgiej siły skupienia. Doktrynerska inteligencya, która nie w obec własnego kraju, ale w obec Europy całej chce być XX-tym wiekiem i mużyk, który jest w obec tejże Europy bodaj XIV stuleciem, oto janusowe oblicze prawdy rosyjskiej, oto wiel-

[1]) Autonomia oparta na *starem prawie*—por. artykuł Mienszykowa w Nowom Wremieni.

kiej dysharmonii nieszczęśliwego, przerażającego nieskładu i niedorozwoju—głęboka przyczyna. I wiekowa wina rządu, który narodowi szczepił *Niemoc*. Zdaje się, że rośnie tylko chaos coraz to powszechniejszy, że mnożą się wstrząśnienia mające w sobie tyle żywiołowości, ile bezładu. Zdaje się, jakby ziemia spękała pod nogami i płomienne z niej strzelały języki, ginące tu, to znów tam zjawiające się nagle. Jest w tem coś olbrzymiego i niedorosłego zarazem, coś potwornego, jakby się wszystkie członki ciała szamotały w szaleństwie, a nie objawiał się Człowiek. Jest coś przypominającego bezkształtne indyjskie Bogi.

I wierzyć można, że gdyby zjawiła się siła sprawna, świadoma celu i odważna, mogłaby wyrąbać sobie drogę przez Państwo, jak w puszczy, i nie napotkać oporu godnego owych bosych legionów, jakie zasłoniły Francyę, a potem poszły zadziwić świat.

Jest chwila dziejowa doniosła i odpowiedzialności ludzi olbrzymieją. Tak rząd, jak społeczeństwo rosyjskie, ma niezmiernie trudne zadanie. Sądzimy, że polega ono na zbliżeniu się wzajem. Żadne z nich bowiem niema pełnej siły i wątpić można, czy samo ją wytworzy. Rządowi brak wszelkiego społecznego zaufania i szacunku, społeczeństwo, które nie miało tradycyi władzy, zdaje się, ładu nie zbuduje. Istnieć bez siebie te dwie moce nie mogą już długo, muszą się szukać i muszą się znaleźć. Ale rząd musi umieć odtrącić jasno wszelką połowiczność zamysłów i działań i wyzbyć się ludzi dwuznacznych. Społeczeństwo zaś musi umieć odepchnąć od siebie anarchię i teoretyczny radykalizm, a spojrzeć w konieczność życia. Czy ludzie zdobędą się na to, czy to potrafią, tam, gdzie przeszłość mówiła jednym, aby się zawsze oglądali na innych, zamiast pytać sumienia, drugim zaś, by święcili wszechpotężne bezwładem słowo: *Niczewo?* Jeżeli zaś nie odmienią się dusze, próżnemi będą przestrogi i wezwania czasu i przyszłość może świtać nad gruzami dobrego i złego i przyjdzie, jako zmęczenie, jako rozpacz ogromna, bezserdeczna, bezsilna.

Waży się tedy godzina myśli dla Rosyan i czas, by ludzie społeczni powiedzieli sobie z cywilną odwagą: „Nie mamy prawa odwracać się od odpowiedzialności i nie wystarcza już sięgać jedynie do kopalni nieprzebranej zarzutów na walący się rząd i ustrój biurokracyi.“

A rząd powiedzieć sobie musi — *wahaniom koniec, koniec zwłoce.*

. . . . . .

Aby nie było powiedzianem, że niema mocy słowiańskie budowanie. Że wszelka Słowiańszczyzna nie ostoi się bez cementu — Waregów.

*

* *

Dla nas, Polaków, położenie nie jest ściśle to samo. Ale przeto chmury nad Rosyą wiszące zgoła obojętnemi nam nie są. Wciągnięci jesteśmy w dramat nie jako widzowie dalecy. Zbyt wiele czynników składa się na to, abyśmy nie mogli stać w obojętności, a zresztą nikt chyba, choć za daleką granicą, nie będzie wobec widowiska tego nieczułym świadkiem jednego z największych przeobrażeń dziejowych.

I myśmy poszli walczyć o wolność ludzką i o wolność narodu. Ale walkę naszą pojęliśmy inaczej. Postawiliśmy wobec państwa, to jest wobec społeczeństwa i rządu rosyjskiego, postulat autonomii, jako uzasadnioną potrzebę kraju i słuszne żądanie Polaków. Czujemy jak trudnem niezmiernie jest urzeczywistnienie tego postulatu, w którym upatrujemy nasz ład, nasz rozwój, nasze zdrowie.

Rząd, po za innymi względami, zdaje się być skrępowanym stanowiskiem zagranicy. I nic w tem dziwnego. Im więcej dręczony wewnętrznem wrzeniem w państwie, tem chętniejszym będzie do zacieśniania węzłów sąsiedniego porozumienia, tem ściślej musi się liczyć, dbać i rachować na życzliwość sąsiada, a przeto logicznie tem mniej skłonnym będzie do rdzennej reformy w Polsce. Nikt z nas nie wie, jak daleko sięga porozumienie się mocarstw. Wiemy jedynie, że Niemcy są gotowe, że są zbrojne, sprawne i przewidujące. Wiemy też z dziejów, że sąsiad ten zawsze umiał wyzyskać położenie i że się w chwili stanowczej nie krępował niczem. Czujemy, że zniszczenie naszej zasobności ekonomicznej, naszego przemysłu jest mu na rękę, że słabość Rosyi, o ile nie grozi jego kapitałom, jest jego wygraną, że anarchia u wrót byłaby mu poważnym powodem do wystąpienia z bierności, że wolnościowy rząd w Rosyi, uczciwy i silny, pociągający narodowości słowiańskie, byłby mu niewygodnym, czujemy to wszystko, dla tego, mimo urzędowych i nie urzędowych zaprzeczeń i zastrzeżeń, pamiętać o tem powinniśmy ciągle, nie oddając się bynaj-

mniej nastrojom chwili, ani też wyobraźnią nie powiększając niebezpieczeństwa.

Z drugiej strony, społeczeństwo rosyjskie, a przynajmniej dotychczas najbardziej sprzyjający nam obóz konstytucyjnych demokratów, odwraca się od nas niedwuznacznie, zarzucając Polakom wsteczność i odstępstwo sprawy wolnościowej. Wierzymy, że zarzut ten nie może ostać się długo w umysłach ludzi uczciwych i że jest u wielu pod wrażeniem politycznego momentu zrodzonym, wierzymy, że w społeczeństwie tem znajdują się i znajdą się ludzie pojmujący, że sprawiedliwość wobec narodu polskiego niezależną jest od kompromisu chwili.

Liczyć dziś atoli tylko na siebie możemy.

Obowiązkiem naszym jest tedy tak działać i tak przewidywać, aby to, co nam jest najświętsze, wartość nasza narodowa, cywilizacya, poziom moralny, twórczość i zasoby kraju, słowem, siła polska, jak najmniej nadwerężoną i narażoną być mogła. Gdyby pytanie brzmiało—co mamy dla szczęścia Ojczyzny poświęcić, odpowiedź mogłaby jedna być tylko: i życie. Ale pytanie dziś brzmi—jakie stanowisko wobec rewolucyi rosyjskiej ma zająć naród polski. A odpowiedź, zdaniem naszem: przetrwać siłą możliwie największą. Tem będzie stanowisko narodowej energii, bynajmniej nie bierności.

Przetrwać siłą, to jest przetrwać ładem, skupieniem, jaknajlepszą organizacyą. Musimy to wszystko w sobie i ratować i bronić przed upadkiem i doskonalić. Nie możemy dać się wciągnąć w wiry i pozwolić rozprzężeniu i anarchii, by nas zamieniła na bezduszne ilości.

Zadanie to jest trudnem, wielkiego żądającem hartu, wielkiej rozwagi. I u nas bowiem rozdźwięk między władzą a społeczeństwem jest dylematem sumienia. Nie możemy być z rządem, nie możemy zaś być przeciw ładowi. Czujemy, że społeczeństwo szarpane i wyprowadzane z równowagi cierpi. A cierpi z podwójnego złego. Władza, która ma obowiązek czuwania nad ładem, jest mu obcą. Odsuwa się od niej, gdyż przez lat długich koleje, ona je odtrącała. Była tą samą biurokracyą, która toczyła Rosyę, ale gorszą jeszcze, gdyż specyalnie hodowaną i wybraną. Więcej—tłumiła ona bezwzględnie wszelki objaw przyrodzonych uczuć społeczeństwa, poczytywała mu za występek, jeżeli przechowywało swoją polskość, jeżeli ją pragnęło ludowi i młodzieży przekazać. Była więc i jako władza złą i jako siła obcą i wrogą. Nic dziwnego, że gdy część ogniw łańcucha pękła z chwilą, gdy dawny stosunek rządzących do rządzonych, postrach, już dłużej

w pełni utrzymać się nie dał, przedział między społeczeństwem a władzą stał się oczywistszym jeszcze i bardziej nieuchronnym. Już ona jedynie ciężką i brutalną siłą być może, twórczym czynnikiem ładu nie stanie się choćby chciała, choćby nią uczciwa kierowała wola i dla tego rani zamiast leczyć. A wraz toczą nas przewrotowe żywioły coraz okrutniej i coraz bezkarniej, jakby pragnęły, by żywe ciało społeczeństwa zamieniało się na rozpad i na trąd.

Kraj nasz już dziś poczyna stawać się podobnym do półdzikiej prowincyi tureckiej. Nad wznowieniem ładu, nad umocnieniem poczucia prawa, lata całe trzeba będzie pracować.

Trwać w takim stanie długo żadne społeczeństwo bezkarnie nie może.

I tu też wyjście jedyne. Musi się ono wesprzeć na władzy, a władza znaleźć w niem moralne poparcie. Ale łączność taką nawiązać może tylko wzajemne zaufanie. A zaufanie mieć będzie kraj nasz jedynie do nieobcej mu duchem władzy. Tak więc dla nas sprawa istotnego i trwałego uporządkowania stosunków społecznych, jest sprawą zrozumienia przez państwo i ocenienia słusznych naszych potrzeb i postulatów, a zatem *wejścia na wyraźną drogę autonomicznej reformy*. Jak narzędzie bez dłoni, a dłoń bez narzędzia nie poruszy ziemi, tak ludność odcięta wprost od rządzących, a ci bez żadnego zgoła zaufania ludności, nie znajdą wyzwolenia z tragicznego iście bezwładu.

Największym błędem obecnego rządu i złem, które zaklęte koło utrzymuje, jest twierdzenie: najprzód wasz spokój, a potem reformy. Czyny tworzą światło, a klucze czynów w dziele reformy są w ręku państwa. Czekać aż się chwila nastroju sama wytworzy, byłoby podobnie, jak gdyby lekarz, uznający potrzebę operacyi, czekał wobec zakażenia krwi organizmu.

Na początku musi być czyn! Jeżeli w Rosyi dojrzewa już pora na rozumny i płodny czyn społeczeństwa wobec rządu, u nas jeszcze role odwrócone i pora, zaiste, aby rząd umiał czynami dowieść Polakom, że nas państwo nie jako ludzi jedynie, ale i jako naród zechce szanować.

Ale możemy się lękać, że nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje. Dlatego musimy być pełni panowania nad sobą i rozwagi, a zarazem czujnej i dzielnej mocy obronnej. Zło w jakąbądź stronę ostrze swoje zwraca, jest zawsze złem i sumienie potępić je powinno. Bezmózgiem jest zaś nierozróżnienie między istotnym przeciwnikiem—duchem reakcyi, a władzą, bez której żadne społeczeństwo obywać się nie może. *Polityczne* i *policyjne* porządki

nie są tem samem, a choć rządy rosyjskie nawskróś policyjnemi były, choć zrosły się te pojęcia w jedno uczucie krzywdy, przecież nietylko złą, ale i głupią jest krwawa walka przez przewrotowców podjęta, a najbardziej w społeczeństwo godząca. Już Taine powiedział, że nie wyobraża sobie życia w nowoczesnym ustroju, gdzieby przez 24 godzin brakło organów policyi, a nie zaprowadza się „nowego ładu," ćwicząc się w nikczemnych napadach i mordowaniu z nienacka.

Żadna kazuistyka plamy hańbiącej nie zmywa, nie okupuje morderczej ceny krwi.

Jeżeli chcemy zachować i ukrzepić tę moc, która nam pozwoli w dniu może szczęśliwego jutra rozpocząć odnowicielskie dzieło, zaprawiajmy ręce do pracy, ale patrzmy, by pracowite ręce były uczciwemi rękami. Inaczej nie wzniesiemy budowy.

Dlatego też wszystkie czynniki narodowe winny sobie podać dłonie i zewrzeć się w zastępy spoiste solidarnością, nie bezmyślną, narzuconą, ale jaknajbardziej świadomą solidarnością przekonań, wobec niebezpieczeństwa wspólnego.

Wiary nie tracąc, że jeżeli z chaosu rosyjskiego myśl jakaś zdrowa wykwitnie i przyjdzie jakieś „odnowienie" prawdziwe— i nasze postępowanie i kierujące nami zasady znajdą sprawiedliwą ocenę — nie schodząc z naszego autonomicznego stanowiska, dzierżąc sztandar wysoko i z godnością, możemy w spokoju sumienia i z uczuciem spełnionego obowiązku słuchać głosów odsądzających nas od wolności, skądkolwiekby głosy te pochodziły.

Powiedzieliśmy, że nie idziemy do rewolucyi.

To wyraziła jasno reprezentacya polska w Dumie zachowaniem się swojem w Wyborgu. I uczyniła dobrze, uczciwie i rozumnie.

Adam Krasiński.

WROGOWIE.

1. *Zakopane.*

Hej! hej! goście jadą! Mkną saneczki jedne za drugiemi, dzwonki brzęczą... Hejta! wiśta! Jadą.

Zakopane w śniegu. Góry niepokalanie białe, miejscami tylko otrząśnięte z zadymki śnieżnej i czerniejące nieżyczliwie w dalach; świerki śmiesznie opakowane niby watą puchem śnieżnym, który dopiero co upadł, jeszcze nie stężał; jeszcze wszystko miękkie, lekkie, przytulne i miłe. Hej! przyjdzie-ci mróz, przyciśnie, wypoleruje, roziskrzy się to wszystko brylantami w słońcu, wzmocni, zajaśnieje — będzie uciecha trwała. Bo to święta, Boże Narodzenie: Goście jadą. Zakopane odświętnie się ustroiło, gościom na radość.

Jadą.

Mkną saneczki jedne za drugiemi, dzwonki brzęczą...

Hejta! wiśta! Jadą goście. Na śnieg, na słońce, na ciche dzwonienie saneczek, na zapomnienie o męczących kłopotach, o dławiących smutkach...

Zachód. Różowa łuna, lepsza, łagodna rozlewa się dokoła. Śnieg się zrumienił, góry w mgłach liliowych stanęły, gdzieś w dali rzeka płynącego złota spływa po za światy. A potem nagle mrok. Tylko tam, pomiędzy szczytami czerniejącemi nieżyczliwie, w dalach, trochę czerwieni się zostało i powoli, niechętnie ustępuje. Mrok gęsty objął świat. Przez chwilę wszystko zgaszone, nic niema dokoła, jest się w przestrzeni nieokreślonej, dziwnej, gęstniejącej, pełnej szeptów tajemniczych: szumi potok pod pokrywą śnieżną żyjący, szepce lekki powiew wiatru jakieś słowa mistyczne, jęczy zcicha śnieg gnieciony ciężarem

saneczek, matowo dzwonią dzwonki przy uprzęży, jakby zdaleka szły te dźwięki, jakby w powietrzu im ktoś odpowiadał... Ale wnet, tam, w oddali, błyska jedno światełko, drugie, trzecie. Siedziby ludzkie. Ulica. Za spotniałemi szybami domów ludzie się krzątają koło obchodu wigilii. Prysł czar tajemniczości, umilkły szepty natury.

Ludzie *som jest.*

*

* *

Stary Gewont mruczy:

— Ludzie som jest. Rozsypało się mrowisko, paskudztwo się rozpełzło. A przyjdź-no tu który, a podejdź, będziem się zmagać, strząsnę cię w rozpadlinę, łepetek-se rozszczepisz, będzie ci dość. No!

Zaszumiały Regle gęstwą leśną, rozśmiały się wesoło; Siklawy w Strążyskiej z uciechy rozdzwoniły się niby kryształki, spadające na metalową płytę.

— No! — powtórzył Gewont, uśmiechnął się łaskawie, spojrzał na maleństwo u stóp swoich a potem do Gubałówki, naprzeciwko, zawołał:

— Hej! gaździnko, ścierpiciesz to mrowie, jak się wama boków uczepi, ścierpiciesz?

A Gubałówka na to spokojnie:

— Mój gazdo, cy mi ta ubędzie?

Stary Gewont splunął pogardliwie. Posypała się lawina śnieżna, zakurzyło w powietrzu, a Gubałówka rozumiała, że stary gniewa się przez zazdrość. Tak ci się jej zawsze czepia. Ale ona nic o niego nie dba. Że z natury swej leniwa była i ociężała nieco, o nikogo i o nic nie stała. Nikt jej nie przeszkadzał. Nikomu zła nie życzyła. Dobrze jej było. Lubiła wygrzewać się w słońcu, rozłożona niedbale, szeroko, a że ładna była, miła i spokojna, słońce lubiło świecić nad nią i ogrzewać ją ciepłem swego serca. Gubałówka uśmiechała się do słonka, w zimie przykrywała się pierzynką mięciutkiego śniegu, w lecie chłodziła się zielenią świerków, buków i modrzewi. Dogryzki Gewonta nie drażniły jej wcale. Po nocy gadać jej się z nikim nie chciewało, choć całe towarzystwo górskie za dnia milczące i nieporuszone, dopiero w nocy się ożywiało i rozpoczynało swe wiece.

2. *Noc.*

Znużona długą przechadzką, upojona dziwnie smacznem powietrzem górskiem, ledwie się położyła do łóżka i przymknęła powieki — już spała. Godzinę, dwie. Potem zbudziła się nagle. Serce jej biło gwałtownie, ręce drżały. Cisza dokoła i noc czarna. Uczuła w tej chwili wyraźnie, że więcej tej nocy już spać nie będzie, a uczuła to tak niezawodnie, że już nie próbowała przymknąć oczu i łudzić się, że w ten sposób sen napowrót przywołać zdoła. Wiedziała przecie, że u wezgłowia jej stanęła Bezsenność i śmiała się do niej wąskiemi usty. Czuła jej żarne tchnienie na swojej twarzy.

Więc się nie poruszyła na łóżku, tylko się uśmiechnęła do siebie zdjęta trwogą i ciekawością.

Dzisiaj jeździła w towarzystwie na Cyrhlę, drogą spokojnie się wznoszącą do góry, zasypaną śniegiem, ledwie trochę przetartą, po bokach obsadzoną smrekowym lasem, a potem górami o białych płaszczyznach ściśniętą. Zachodzące słońce jęło narzucać na nie farby w różowo-złotej tonacyi; wszystko dokoła różowiło się subtelnie, niebo złociło się również na różowo, a tam gdzie łuna gasła, stawało się smutne, zimne, zielonawo-niebieskie. Aż wreszcie nagle Murań. Taki odłączony od gromady górskiej, daleko, samotnie stojący, jednolity, foremny, jakby zdjęty z obrazka, cały śnieżny, odcinający się od tła pastelowego wprost trupim kolorytem, dziwnym, niepojętym, zielonawo-martwym.

I kiedy Halina patrzyła na Murań olśniona i trwożna, nagle na lewym jego zboczu niezwykłe widowisko. Ruch jakiś tam panował. Biegły gromady całe drobnych istot, popychały się, tłoczyły, chwilami zlewały się w masę bezkształtną i pchały razem aż na szczyt Murania. Tam jakaś postać wysmukła, z cudnym włosem niby mgła rdzawa rozwianym aż do stóp, której twarzy Halina z tak daleka dostrzedz nie mogła, pochylała się wdzięcznym ruchem ku małym istotkom, brała je w ramiona, chwilę tuliła je do siebie, a potem roztwierała ręce i wypuszczała ów drobiazg ze swoich objęć. Na świat wtedy leciało to z powrotem, ale drogą powietrzną. Kilkoro w stronę patrzącej Haliny żeglowało. Coraz bliżej, bliżej aż wreszcie dokładnie rozpoznać mogła, iż miały kształt potworków, na wydłużonem, wąskiem ciele giętkie odrostki w kształcie szponów, a na okrągłej, dużej głowie jedynie usta żarłoczne...

Zanim zrozumiała, już wszystko znikło jej z przed oczu.

Leżała teraz na łóżku nieruchoma, wpatrzona szeroko rozwartemi oczyma w noc czarną i czuła, że u wezgłowia jej siedzi Bezsenność i śmieje się do niej cicho suchemi usty.

Hej! dziwy...

Z początku Zakopane — nic, tylko sama rozkosz, cud, śmiech i wesele. Na pensyonacie, przy stole humor, zdrowie, ożywienie, po kolacyi muzyka, tańce. A potem — pewnego dnia jedna z pań nie schodzi do obiadu, to znowu jeden z panów. Co to? chorzy? A tak: gorączkują.

Gorączkują — idzie kolejka...

Zjawiają się wreszcie bladzi, mizerni, w podkrążonych oczach znać zmęczenie. Ale są jeszcze pełni złudzenia lub nieświadomości.

— Gardło pana boli?

— Tak, trochę, właściwie nie. Miewam ataki ściskania w gardle, czasem duszę się wprost. Jestem bardzo nerwowy, doktor twierdzi, że to nerwy.

— Ach, tak, naturalnie nerwy...

Młoda dziewczyna, nawpół już strawiona okrutną chorobą, ma jeszcze pozory zdrowia, wierzy w nie, chlubi się.

— Doprawdy nie wiem po co tu siedzę. Latem istotnie miewałam po dwa krwotoki dziennie, ale to było wskutek osłabienia: przepracowałam się przy zdawaniu matury. Teraz przeszło mi to zupełnie, płuca mam zdrowe, chciałabym wrócić do domu, ale doktor nie pozwala — taki pedant!

— Ach, tak...

Werandują wszyscy po kilka godzin.

Płuca mają wszyscy zdrowe. Każdy przechodził jakieś zapalenia płuc, jakieś wysięki, jakieś krwotoki, pokaszlują trochę, czasem gorączkują, ale to się nie liczy. To nerwy, albo anemia lub przeziębienie.

Więc śmiejmy się, więc bawmy się. Niech żyje życie!

A na Muraniu tajemnicza pani wysyła gońce na świat gromadami. Wracają do niej miliardami zniechęcone, głodne, skarżą się — odpędzone. Ale ona je utuli, upieści, pocieszy, zachęci...

— Przy was zwycięstwo ostateczne — cierpliwości!

A zwycięzcę, gdy w walce wytrwałej i owocnej dorośnie, nagradza pocałunkiem w rozkoszy swej śmiertelnym. Albowiem wszystko, co żyje, pożądaniu jej ulega i ginie.

Halina opędzić się myślom nie może.

— Przyjechałam tu na śnieg, na słońce, na ciche dzwonienie saneczek, na zapomnienie o męczących troskach, o dławiących smutkach.

— Che-che-che...

Halina zrywa się przerażona, drżącą ręką zapala świecę i myśli co to być może, przecie ktoś głośno zaśmiał się tuż obok?

Potem wstaje, ubiera się, zapala lampę, gasi świecę, idzie do stolika, rozkłada teczkę, wyjmuje papier, macza pióro w kałamarzu z czerwonym atramentem i pochyla się nad rozłożonym arkusikiem. Pióro biegnie szybko, nie ustaje, zda się jednym tchem arkusik się zapełnił drobnem pismem, nierównem, niby kroplami krwi serdecznej, czerwonej...

„Niech to Pana nie dziwi, że piszę, zresztą, niech to Pana dziwi, mniejsza o to. Na listy, na których nie zależy, nie odpowiada się wcale, więc list mój do niczego Pana nie obowiązuje, nawet do odpowiedzi nie. Może Pan go nawet nie czytać: spojrzeć tylko na podpis że odemnie, wzruszyć ramionami, albo uśmiechnąć się wyrozumiale i podrzeć, albo rzucić do kosza. Mimo to piszę — a Pan mój list przeczyta, bo sam fakt, że piszę, powie Panu, iż przeczytać go trzeba. Trzeba — bo sama myśl o tem, że przez chwilę choćby zajmę Pana mą osobą, że myśleć mu o sobie każę, sama myśl o tem sprawia mi ulgę. Ja się tak męczę strasznie, tak bardzo cierpię, tak beznadziejnie wyrywam się cała do Ciebie, drogi, tak tęsknię rozpacznie, tak tęsknię boląco, tak tęsknię gorzko do niepowrotnie minionych illuzyj, że mogłabym być Tobie bliską, tak pragnę Twoich oczu, rąk Twych małych i suchych dotknięcia, tak pragnę Twego słowa, Twego dobrego dla mnie słowa...

Tak, drogi Panie, tak, niestety!

Niema w tem winy Pana. Rozumiem. Ja się też nie skarżę. To tylko woła przezemnie ból, dla którego szukam ujścia, bo mię zdławi. Nic mię nie obchodzi, czy tak się robi, czy nie, czy to wypada! Ufam panu. Powierzam Panu „cudzą“ tajemnicę. O nic nie proszę i do niczego nie dającej Panu prawa swem zwierzeniem. Może Pan przyjąć ten fakt do wiadomości z uśmiechem lekceważenia lub współczucia. Raczej to ostatnie, prawda? Bo daleko łatwiej uczucia się zaprzeć, daleko wygodniej ukryć je na dnie duszy, skoro nieodwzajemnione i beznadziejne, daleko rozsądniej milczeć. Więc oto wołam do Ciebie: drogi, tęsknię!

Nie możesz nic zrobić dla mnie. Wiem o tem i niczego nie pragnę, cobyś mi mógł dać z litości.

Ale nie możesz mi też niczego zabronić.

Życie moje teraz się składa z chwil bezbarwnych, obojętnych, które być muszą, ale przechodzą bez śladu w mej pamięci i z chwil, które chcę żeby były, chwil gorących, obłędnych, w których jeżeli nie myślę o Tobie, to myślę o śmierci i o tem co z nią jest związane. Ale więcej myślę o Tobie. I zawsze jedno: milion rozmaitych, coraz innych kombinacyj, które wszystkie prowadzą do jednego rozwiązania, do jednego marzenia: kochasz mię. Nie wiem o tem, wszystko się jaknajgorzej układa dla mnie, jestem bliska rozpaczy i śmierci, a oto staje się cud: kochasz mię!

Wszystko cokolwiekbądź się staje w mym dniu bezbarwnym, a tak udręczenia pełnym, jest punktem wyjścia do nowego marzenia o Tobie, do nowych sytuacyj, do nowego romansu. Przebacz mi. Ciągle, nieustannie, aż do zawrotu głowy, aż do obłędu, myślę o Tobie, wyobrażam, marzę. Kocham Cię, tęsknię, zdobywam, tryumfuję, nienawidzę, odpycham, mszczę się. Jesteś moim przyjacielem, kochankiem, mężem, moim wrogiem, moim katem. Rozporządzam się Twą osobą, uśmiechasz się, patrzysz, mówisz, poruszasz się, myślisz, chcesz tak, jak ja chcę. Niema w tobie nic dla mnie tajnego, nic coby już nie było moje — znienawidzone tysiąckrotnie i tysiąckrotnie umiłowane. Przebacz mi!

Czasami nie starczy mi siły wyobrażać sobie, że mię kochasz. Czasami znużenie bezgraniczne mię ogarnia, bezwład chcenia taki ostateczny. Ale nawet wtedy nie przestajesz być dla mnie. Tylko wtedy myślę o tem, że chcę umrzeć, ponieważ mię nie kochasz i że świat cały nie istnieje dla mnie, skoro ja jestem dla Ciebie niczem.

I myślę o śmierci.

Chciałabym umrzeć... tak cicho, jak więdnie kwiat zerwany i obojętnie o ziemię rzucony.

Chciałabym umrzeć... tak łagodnie, jak kona powiew wiatru o zmierzchu w dzień letni.

Chciałabym umrzeć... bez jęku, bez gestu, z imieniem Twojem na ustach, Leonie!"

Przestała pisać, położyła pióro i oparła się głową o poręcz fotelu.

— Ach — myślała — przecież ja go tak bardzo nie kocham. Żyję.

Skoro świt zajrzał do pokoju, podarła list na drobne kawałeczki, wstała ociężale z krzesła i rzuciła się w ubraniu na łóżko.

Zasnęła zaraz snem twardym, bez marzeń.

3. *Zadymka.*

Śnieg sypie, wszystko dokoła zawiane śnieżną zadymką, omglone, nikłe; dachy domów rysują się miękko we mgle jasnej, kontury gór gdzieniegdzie przedzierają się linią ciemniejszą, bardziej zbitą. Wszystko rozwiane, zasypane, powietrze zda się dyszy tym wirem suchych, połyskliwych płatków śnieżnych, które opadają na ziemię, ciche, niezliczone, niestrudzone, bez końca. Cisza dookoła. Nawet odgłosy ruchu ludzkiego, zda się, stają się większe, subtelniejsze, cichsze. Chwilami wietrzyk łagodny się zrywa. Śnieg sypie bezustanku, monotonnie, jednakowo, niezmordowanie. Świat tonie w tej zadymie białej. Ludzie, których się spotyka, zdają się być dziwacznemi postaciami z bajki, tak ich ubiera pokład śniegu, który na sobie niosą.

Halina idzie samotnie drogą do Poronina. Droga jest gładka, spokojna, sunie się w dal prosto, nie widać jej końca. Można nią iść aż na skraj świata, aż do wyczerpania zupełnego sił, do ostatniego tchu. Rozwija się niby wstęga biała, matowa, tumanem płatków śnieżnych owinięta, majacząca w mgłach jasnych, ciągnąca za sobą oczy i duszę. Prowadzi do krainy szczęśliwości — nieinaczej. Iść tak niezmordowanie długo, a potem leđz z utrudzenia na śnieżnej pościeli i przymknąć znużone powieki. Niebawem tuman śnieżny przykryje cię, powoli będzie urastać w miękki kopiec nad ciałem zasypanem, które utraci kształt ludzki, w dziwotwór się zmieni, a wyzwolona dusza uleci, przed wrotami z pereł i opali stanie i drzwi uchyli —

Hej! drzwi uchyli...

Na drodze pusto i cicho. Rzadki przechodzień sunie, jak duch, tajemniczo, wśród zadymki śnieżnej, podobny do skradającego się potworu. Zmierzch zapada. Jakieś zabudowania pobok drogi, może ludzkie siedziby, może siedliska bajecznych tworów, przywalone śniegiem, niskie, przyziemne, głuche, nie rozświetlone jeszcze ognikami. Życie gdzieś znikło. Zapadły to kąt świata. Gdzieś daleko od życia. Góry odeszły. Pod tą kurzawą białą wierzchołki ich zginęły. Gór niema. Odeszły. Nawet po za temi mgłami ich niema. Albowiem kapryśne to stwory, zmienne,

złośliwe, urocze, okrutne. Ludziom się zdaje, że one tkwią nieruchome, obojętne i w majestacie swoim zmartwiałe, nie widzą mrowia ludzkiego u swych podnóży. Nieprawda. Góry żyją i poruszają się. To są nas tak bliskie w dzień ciepły, wilgotny, kiedy się ma na zmianę, że zda się ręką do nich sięgnie i są wtedy granatowe, oślizgłe, miękkie; to znowu uciekają w dal, błyszczące w słońcu, wyniosłe, ostre, nieprzystępne; albo znikają powoli i odchodząc majaczą niewyraźnemi kontury w mgłach sinych, lub też giną zupełnie bez śladu i oto żali się po nich zadymka łzami śnieżnemi i świat okrywa całunem niepokalanym a chłodnym.

Gór niema. Halina oddycha swobodniej, bezpieczniej spogląda przed siebie, ciężar jej spada z serca. Bo góry, ten cud bajecznie piękny i dziw zagadkowy, są to siły złe, człowiekowi wrogie, okrutne, mściwe i szydercze. Zdaleka — natrząsają się tylko z bezsilności ludzkiej i przygniatają przewagą swego ogromu i mocy. Zbliska — to wprost wrogowie. Na każdym kroku niebezpieczeństwo tem okrutniejsze, że oczarowana dusza ludzka pełną jest entuzyazmu i uwielbienia. Za miłość szczyty płacą śmiercią. Jeden krok fałszywy zabija. A wszystko dokoła pracuje, aby wytrącić z równowagi biedaka z dolin. Im większy wysiłek z jego strony, im dążność gorętsza do zdobycia szczytu, tem głębsza przepaść, tem ostrzejsze zbocza, po których się rozkrwawia staczające się, pijane górami ciało człowieka. Opijanione — aż do obłędu, urokiem czarów zdradzieckich i muzyką tajemniczych poszeptów dookoła.

...Ach! przeczytały myśli Haliny i oto zrywa się wicher-wysłaniec i niesie do niej poświst złośliwy, zawodzący a ostry i dmie jej w twarz kryształkami lodu; po chwili w ogniu staje twarz cała. Wnet i mróz przybędzie, już przybył, płatki miękkiego śniegu ścięły się na lód. Wichr taki w parze z mrozem chodzi — obaj to sprzymierzeńcy gór.

Hej!

Młoda kobieta zawraca czemprędzej, a wicher siecze jej twarz kryształkami lodu, niby rózgami, i wyje jej nad uchem:

— Uciekaj, hej! a chyżo. Głupie stworzenie, co ze mną nie poradzi, a sądzić się porywa, co nademnie mocniejsze. Hej! dokuczę-ci ja, igłami śnieżnemi kłuć będę, za kołnierz ci się wcisnę, krtań zduszę, oddech zmrożę, do szpiku kości przeniknę. Oto stajesz na środku drogi niemocna, odwracasz się odemnie, wzdychasz. A popatrz-no mi w oczy dziewczyno-kochanie! Hej! nocka się zbliża, droga twa przed tobą, iść do dom trzeba... Liczko mi swe nadstaw, niech cię popieszczę, niech rozgore płomieniem,

niech cię ścisnę a dobrze! Za to pomyślenie, za tę obrazę, za tę niechęć...

— Nie dam się — myśli Halina.

I kiedy do domu wreszcie dobija, gnana wichrem, wychłostana, staje na progu jadalni z twarzą uśmiechniętą i na pytanie odpowiada raźnie:

— Cudnie było.

4. *Wiec.*

A wicher rozproszył zawieję śnieżną, oczyścił w koło siebie drogę w stężałem powietrzu i pognał daleko, hen! aż na wiec górski.

Całe towarzystwo było tam zebrane. I stary Gewont, i Nosal, i Wierchy Czerwone, i Koźle i inne, Kopy przeróżne, i Gerlach, i Murań, i Koczyska, wszystkie, wszyskie szczyty i te bliższe i te dalsze i z Podhala i z za Węgier, z Tatr średnich i wysokich — wszystkie!

O czem mówiono, trudno było rozeznać, bo szum był taki i taki łoskot, jakby się burza pomiędzy szczytami przewalała. Hulały też wichry pomniejsze a i znaczniejsze, jakiego-takiego brakło, bo dokazywał po świecie, ale to nic. Dyskusya była mocno ożywiona.

Ale nagle w tę zawieruchę głosów wpadł wicherek z Zakopanego roześmiany na całe gardło, swawolny:

— Hej! góry, szczyty, wirchy a turnie, hej! hej!

Ozwał się jaki-taki z górskiej gromady, który był bliżej krzykacza:

— Cóż tak uciesznego, powiedaj.

A ten prawi:

— Idzie to takie chuchro-chucherko ludzkie, no! Wrogowie, mówi, na was, hej! wirchy a turnie, judasze, powieda, co człeka manią ku sobie, a potem płacą śmiercią, no! A pięknieście, a okrutnieście...

— Prawdę powieda — ozwała się sennie Gubałówka.

Tymczasem gowor wichra-krzykacza zwrócił powszechną uwagę. Pytano dokoła:

— Co jest?

Wicherek przywtarza:

— Takie chuchro-chucherko ludzkie, mizerota, a słabe to, a nikłe, a głupiuchne — i wam, gromado, wymyśla w duchu.

— No! i cóż?

— Dokuczyłem-ci jej...

— Kobiecie?

— No.

Zaśmiały się góry bezlitośnie, a Gubałówka westchnęła:

— Lód-ci lodem zostanie. Urok kobiecy jest dla was niczem. A przecie czem kwiat dla człowieka, tem dla natury jest kobieta.

— Gubałówka coś rzecze—poniosły wichry echa między góry.

Odbiło się echo o piersi szczytów:

— Czem kwiat dla człowieka, tem dla natury jest kobieta...

— Kwiatem natury jest kobieta...

— Kwiatem — westchnęły echa i ścichły.

— Nie słuchajcie bajdurzenia, przecieżeście nie ludzie. Senna Gubałówka mówi od rzeczy. Człowiek czy kobieta bez różnicy, marne to stwory. Zagładę im sprzysięgliśmy. Za zuchwalstwo, za deptanie nam po bokach, za zakłócenie naszej harmonii, za wkopywanie się w nasze ciała, za wydzieranie nam tajemnicy. Jak paskudne robactwo opadło nas to mrowie. Na wirchy drze się, słabizna!

— Dobrze powieda, hej!

— No!

— Kto? któryś? nazwij się!

Wszystkim w smak ta mowa. Oto huczą jeden przez drugiego:

— Jakeśmy dopierutko uradzili: Murań nie pomieści wszystkich nowozaciężnych, których-eśmy do naszej armii powołali. Kto część załogi rozkwateruje u siebie?

— Ja!

— I ja.

— I ja.

Przerwane rajcowanie zagaiło się ponownie.

I znowu burza potężnych głosów natury osamotnionej i w ciszy nocnej przemawiającej szumem, łoskotem, graniem żywiołów. Noc tylko ta i pustka język ten na słowa ludzkie przełożyć umiała.

Grzmiały wołania:

— Hej! wódz naczelny niech się przed nas jawi.

— Śmierci, przybywaj!

— Dowództwo bierz nad armią, którą-ć do pomocy przydajemy.

— Bywaj, kochanko bogów!

— Mistrzyni życia...

— Władna pani...

A Gubałówka szepnęła gniewnie:

— Zgniła poczwaro!

Nagle głos cichy, zmatowany, rzekł:

— Jestem.

I wszystko zmilkło.

Niewidzialna, ale wszystkim obecna Śmierć stanęła wśród świata.

— Jestem — powtórzyła. Cóż mi powiecie, czegobym wpierw sama nie postanowiła?

Ocknęły się głosy:

— Ze skargą idziemy!

— Że nie dość szybko idzie robota, żem opieszała nadto?

— No, nie!

— Nie jedną — legion śmierci posłalibyście na ludzi. Ale jam jedna. Strudzonam. Jam królową, ale niema wyrobnicy, któraby bardziej odemnie pracowała, niema roboty, którąby grubszą od mojej była, niema cięższej, okrutniejszej, beznadziejniejszej... Nie widać końca...

— Śmierci, więc składasz berło?

— Nie w mojej mocy — westchnęła cicho.

Poczem zaraz stała się widzialną i wyprostowana podniosła ramię.

Tu Gubałówka się ozwała:

— Czemu na się przybrałaś cudną postać kwiatu-kobiety, ty, poczwarna pani!

Nic nie odpowiedziała. Opuściła ramiona, zacisnęły się jej palce.

— Wstrętnaś-mi — rzekła Gubałówka.

Wichry zahuczały groźnie.

— Wiele sobie z was robię — na to Gubałówka. A ciebie, poczwaro, widziałam w innej postaci: jakeś piszczelami dzwoniła i wyszczerzała zęby bez warg, a łysa twoja czaszka świeciła, jak spróchniały pień.

Wichry się zaśmiały wszechwiedzące:

— Hej! i jako starą wiedźmę w prześcieradle, z kosą na ramieniu...

— Hej! i jako puszczyka złowróżbnie hukającego...

— Hej! i jako widmo z zieloną twarzą...

— Jakbyście wiedzieli — mruknęła Gubałówka pogardliwie i pogrążyła się w milczenie.

Śmierć przemówiła spokojnie:
— Do mnie, hufce!
Zaroiło się w przestrzeni. Do apelu szły zwarte szeregi.
— Choroby!
— Jesteśmy.
— Zbrodnie!
— Jesteśmy.
— Wojny!
— Jesteśmy.
— Starości!
— Jestem.
— Nędzo!
— Jestem.
— Nieszczęście!
— Jestem.
— Rozpaczy!
— Jestem.
— Obłąkanie!
— Jestem.
— Miłości!
Milczenie. Nikt się nie odzywa.
— Miłość nie walczy już przeciw życiu? — spytała Śmierć.
Ozwał się głos namiętny:
— Walczę dla życia, przeciwko tobie, Śmierci.
— Ach, nieporozumienie... ja wzywam miłość nieszczęśliwą.
Ozwał się głos Rozpaczy:
— Jużeś mię raz wezwała — to ja.
Śmierć zawołała donośnie:
— Na bój, na ciężką walkę, na zwycięstwo! Ja prowadzę.

5. *Zmaganie się.*

I cóż? znowu noc bezsenna, głucha, tylko tam w kącie cały tłum widm czających się, gotowych do skoku. Nie widne, ale Halina je czuje. Widma czające się, gotowe schwycić za gardło — upiory. Ale je trzyma wszystkie swą żelazną wolą i dopóki tak będzie chciała — nie drgną. Czy długo tak potrafi?

Noc długa, tajemnicza. Na progu jej pokoju straż trzyma Bezsenność. Ona zaś chce myśleć o *nim*. O tym, który jej nie kocha.

Chichot rozlega się w pokoju, stłumiony zaraz, tembardziej drażniący.

To jednak dość dziwne. W pustym pokoju swoim nie jest samotna, ale nie wie, co sobie myślą o niej jej milczący goście. Cóż, wstać, uczynić światło...

A jeżeli przy świetle lampy spojrzy na nią twarz widma?

Więc nie podnosi powiek i mówi głośno:

— Kochana pani, błagam cię, odejdź! Bezsenności, czyż nigdy nie łakniesz spoczynku? Widzę twe oczy czerwone, przepalone, suche. Nie wiesz, jak słodko jest przymknąć strudzone powieki, jak kojąco sen działa na nerwy. Spróbuj. Pozwól mi usnąć. Walcz o sen dla siebie. Dla wszystkich go starczy. Chciej tylko. Dobra pani, posłuchaj mojej rady. Zaznaj sama słodyczy snu. Widzę twą postać: jak łodyga kwiatu wiotką jest i słabą, zapadłe twe policzki rumieni żar gorączki. Wyschłaś cała. Trawi cię ciągły niepokój. Usta twe krzyczą. Nie przyznasz się, ale usta twe rozwiera rozpaczny krzyk męki. Jakkolwiek głos twój do świadomości mej nie dochodzi, widzę jednak twe usta krzyczące. Dobra pani, litują się nad tobą. Ale odejdź. Chcę usnąć. Nie odchodzisz? nie możesz? Więc wybacz mi, ale już więcej nie będę się panią zajmowała. Bardzo panią przepraszam, ale twe czerwone, gorejące oczy abominacyę mi sprawiają. Odwrócę się na drugi bok. Och, nie zaglądaj mi w oczy! Nie pragnę widzieć ust pani spieczonych, krzyczących, tragicznych ust pani. Myślę o czem innem. O sobie.

Jest jej tu wybornie w Zakopanem. To jakaś nadzwyczajna miejscowość. Żałuje tylko, że przyjeżdżając zabrała ze sobą swoją własną duszyczkę. Ale trudno było inaczej. No, i że daje się tak pognębić atmosferze, która tu panuje. Nie potrafi się wyzwolić z niej tak, jak inni, którzy zda się oddychają całkiem inną. Ale Halina zna przecie swoją bierność, wie, że nic nie potrafi... potrafi tylko pisać listy do *niego*, listy, których nie wysyła, gdy nadejdzie rano.

Potrafi jeszcze czekać obojętnie: co będzie dalej?

Hej! dziwy...

Oto rozpalony piasek pustyni pod słońcem zwrotnikowem. Nad obolałą głową Haliny strop ciemny i nieprzenikniony dyszy żarem. Spieczone jej wargi łaknią świeżości zdroju.

Marzy, że jest duchem, w którym potęga woli zgasiła wszystko, co ziemskie.

Marzy o nadludzkiej męce —
o krwawem poświęceniu —
o bohaterskiej pieśni.

Ale nuży się prędko.

Wola jej słabnie.

Czuje, jak tłoczą się z kąta upiory. Rozkołysała się fala skłębiona i prze naprzód. Ściska się serce strwożone w jej piersi, dławi ją w krtani. Przeciwko niej noc czarna, serce chore tęsknotą i wroga natura w postaci widmowej.

Byle tę noc przebyć, byle do rana. Jutro wyjedzie. Do domu, do swoich, od tej zmory do ludzi żywych, do niego... Na twarz jego drogą patrzeć znowu, słuchać jego słodkiego głosu, umierać rozkosznie z powodu każdej miększej intonacyi słów jego, do niej zwróconych.

Jutro! jutro!

6. *Na drodze.*

Wilia Nowego Roku. Afisze oddawna zapowiadały wielką zabawę kwiatową, z programem urozmaiconym, z tańcami na zakończenie. Tout Zakopane ma być na tej uroczystości. Radosne, gwarne spotkanie nowego roku.

Na sali popisy estradowe już skończone, bal się rozpoczął.

W loży, na galeryi, Halina przygląda się zabawie. Nie pojechała. Dzień przyszedł po nocy. Na zapomnienie tu przyjechała, na walkę zwycięzką z chorem sercem. Wytrwa. Od paru już godzin siedzi w loży, udaje zainteresowanie, a dość już ma tego widowiska. Scenka umajona zielenią i kwiatami, świerki udające przepych lasu, tłum strojny i gwarny, słodka muzyka targają jej nerwy aż do wyczerpania. Omglonemi oczyma spogląda na dół.

Nagle serce poczyna tłuc się niespokojnie w jej piersi.

Tęsknie, namiętnie walc panuje na sali. Wirują pary taneczne, wirują, a wkoło każdej kręci się splecіona uściskiem para szkieletów. Skrzypią rozhuśtane w tańcu stawy piszczeli, dzwonią głucho potrącane o siebie nagie kości, ostro zgrzytają sunące po posadzce kościste stopy. Szkielety tańczą. Wyszczerzone zęby bez warg śmieją się zjadliwym uśmiechem. Do zapachu świerków, perfum i ludzkiego ciała miesza się woń ostra, coraz przenikliwsza, zatęchła woń katakumb i zgnilizny.

Halina nie może oczu oderwać od tego cmentarza.

A oni z dołu do niej podnoszą nagie czaszki i oczodołami bez źrenic wwiercają się w jej twarz. Kiwają na nią i chichoczą:

— Do nas zejdź, tu, między nas! Suchemi cię obejmiemy ramiony, wzdłuż swego ciała poczujesz nasze kośćce, mogilny oddech owionie cię całą. Jutro jest nasze!

Halina wstała.

Wycofała się ostrożnie z loży.

Ci na dole będą myśleli, że do nich schodzi, że posłuszna ich wołaniu idzie na salę, a ona tymczasem...

Szła prędko, ale na palcach, tajemniczo mówiła do dziewczyny w szatni, że bierze tylko na chwilę okrycie, że zaraz wróci; chyłkiem wydostała się ze schodów i cała spocona mimo tęgiego mrozu, siadła do sanek.

— Do domu!

Przed drzwiami swego pokoju stoi chwilę z ręką na klamce, nasłuchuje, potem wchodzi, zapala świecę i śmieje się cicho, zaciskając usta ręką.

A jednocześnie całą siłą woli stara się opanować obłąkane myśli.

Starannie układa zdjęte ze siebie rzeczy, krząta się po pokoju, liczy pieniądze, które ma w portmonetce.

— Zjem mandarynkę — powiada półgłosem.

Potem decyduje:

— Ciemno tu jak w grobie.

Zapala wszystkie świece jakie znajduje w komodzie. W braku lichtarzy wkłada je w coniebądź. Wreszcie pokój wygląda jak katafalk, w koło którego piętrzy się las świec. Żółte płomyki palą się chwiejnie, migocą.

Halina wstrząsa się nerwowo...

„Co poczne, Leonie? Dotąd jedyną ucieczką moją była myśl o śmierci. W niej wszystkie miałam ukoić żale, zgasić pragnienia, uśmierzyć tęsknotę — zapomnieć. Podjęłam walkę ze sobą. Zwyciężona — miałam iść szukać śmierci.

Alem ją spotkała zawcześnie i kiedym ją na własne zobaczyła oczy, jak tchórz cofnęłam się z drogi. Bo choć jest cudną, jak królewna z bajki, ale ci, których wyzwala, stają się, jako cuchnące potwory. Jestem pełna wstrętu i przerażenia. Co poczne? Do śmierci szłam zrezygnowana. Ona mi była i ratunkiem i nadzieją. Gdzie pójdę teraz? gdy sił

mi zbraknie — gdzie pójdę? Przedemną jedna droga, a iść się boję po niej.

Jest druga. Pomimo woli wchodzę na nią.

Leonie, jak sądzisz, czy *to* mię od śmierci wybawi?“

7. *Wiatr halny.*

Porwał się wiatr halny ze snu długiego, zajęczał, zaszlochał, między legowiska szedł ludzkie, o domy się odbił gwałtownie, okiennicami jął potrząsać i wszystkiem, co mu było na drodze, hałasu naczynił, gorącym tchem swoim napełnił powietrze, śniegi ogrzał aż spływać jęły strugami mętnemi po ziemi śliskiej, świat się okrył mgłą siną, a z opon miękkich, wilgotnych wyjrzały cielska gór oślizgłe, granatowe. Podeszły pod samo Zakopane i przyglądały się z lubością, jak to igra wiatr halny.

Hej! dokuczy-ci on temu stworowi marnemu, temu człowiekowi z dolin, co to pnie się tam, gdzie mu nie dano. Hej! dokuczy. W nocy się porwał wiatr halny: niema snu tak mocnego, z któregoby druh-wicher nie obudził, niema nerwów tak silnych, któremiby nie potrząsnął. Na rano blade twarze wysuną się z pokojów. Każdej życie wydawać się będzie niemiłe, każda zniechęcona werandować będzie bez tej otuchy i nadziei, która ogień życia podtrzymuje w żyłach. Każda bliższa będzie grobu o krok cały i o krok cały dobrowolnie zbliży się sama upadkiem duszy. Hej! plon składa w dani druh-wicher górom-kochankom. Cieszą się też i rade przysłuchują jego hałaśliwej robocie. W legowisku swojem zaniepokoi się człowiek: wiatr halny po świecie chodzi.

Rankiem blade, pomęczone twarze wysunęły się z pokojów i zasiadły przy wspólnym stole. Milczące, zniechęcone, bardziej kaszlące i bardziej słabe niźli wczoraj.

Nierówna walka.

Ale oto przychodzi poranna poczta. Pisma przynoszą nadzwyczajne wiadomości. Zdumienie, niepokój, żal, otucha i nadzieja naprzemian przepełniają wszystkie serca. Polała się krew. Boli. Ale plon wzejdzie — to przywilej krwi bohaterskiej wytoczonej przemocą brutalną.

Rozpoczął się rok 1905.

Wiatr halny z wściekłości wyrwał z korzeniami co słabsze drzewo, pozrywał co lżejsze dachy, porozbijał saneczek kilkoro, gazdom guńki poszarpał, po śliskich ścieżkach ludzi popychał,

że padali, ten sobie nos rozkrwawił, ów ramię wywichnął, conajmniej.

Ale wieści rozbiegły się mimo to we wsze strony i silniej od wichru huczało po legowiskach ludzkich od mów płomiennych.

Buchnął płomień i w duszy Haliny. Przez chwilę była silna i pragnąca. Jakkolwiek czuła, że wypaliła się w niej dusza na popiół i że czegokolwiekbądź dokona — stanie się bez udziału jej serca, ale uczuła też jednocześnie, że wracać musi na pole czynu.

*

* *

Zahuczało na wiecu górskim, zakotłowało się:

— Umknie nam, umkła! Kpi sobie z naszej niemocnej potęgi! Wolą zwyciężyć!

Zawtórowały wichry. Zrobił się hałas piekielny.

Cichy głos pieściwy, jak najsłodsza harfa, rzekł:

— Pójdę za nią.

I uciszyło się na wiecu górskim. Sprawa załatwiona.

8. Dramat.

Cisza przedwieczorna na sali. Szarzeją w mroku rzędy jednakowo zasłanych łóżek. Chore drzemią lub usiłują usnąć. Zanim przyniosą lampki, w półmroku tonie cała sala. Czasem jęk cichy rozlegnie się w powietrzu, westchnienie jakiejś piersi udręczonej, albo zaszepczą czyjeś usta niecierpliwe i znowu cisza. Tylko w jednym kącie sali, najbardziej odosobniona chora jakaś bezustannie majaczy. Słychać jej szept nierówny, gorączkowy, czasem głos zamiera zupełnie, to znowu wybucha słowem namiętnem. Z pod obandażowanego szczelnie czoła patrzą w przestrzeń nieprzytomnie ogromne oczy czarne, płomienne, przepaściste. Szczupła, alabastrowa twarz niepokoju jest pełną. Drobne usta spieczone coś opowiadają niestrudzenie nieobecnym słuchaczom. Przy łóżku niema nikogo.

Chora skarży się:

— Ogromnie zimno... idę bez końca, nogi mam zlodowaciałe, krew mi krzepnie w żyłach... kiedyż dojdę?

Śniegi takie nieprzebyte... całe światy śniegów... w nogi mnie parzy lodowiec... Na sam szczyt idę... Księżyc siny nademną, srebrem wybita droga przedemną... pod memi stopami śnieg skrzypi i kłuje mnie w palce mróz. Twarz mi płonie.

Na sam szczyt idę. Ciężko. Skroń opasuje mi obręcz żelazna, soplo lodu stężały na mojem czole i palą mnie ogniem. Pić! Ani kropelki wody. Śnieg na lód stężały — ząb go nie bierze. Dotknęłam go ustami i okrwawiły się oń wargi moje.

Gdzież pójdę, Leonie!

Twe imię słodkie jest dla mnie, jak śpiew słowika, jak zapach róży, jak smak winnego grona. Pieszczę się niem i upajam. Dźwiękiem twego imienia koję tęsknotę.

Twe imię jest dla mnie, jak kropla rosy przeczystej, jak ziarno pszenicy chlebodajnej, jak promień słońca ożywczy. Nasycam się niem i ogrzewam. Dźwiękiem twego imienia koję ból mojej duszy.

Jak zimno... jaka noc groźna... jakie nieprzebyte lodowce. Nogi mi drętwieją. Księżyc siny natrząsa się nademną. Zgubiłam drogę. Czoło me ściska obręcz żelazna... krwawią mi się skronie... krople krwi czerwonej znaczą mi drogę...

Umilkła nagle i poruszyła się niespokojnie.

Przy łóżku, na krzesełku siedziała siostra miłosierdzia. W półmroku wieczornym kształty jej postaci rysowały się mglisto, niewyraźnie. Chora pałające oczy zwróciła na siedzącą.

Po chwili szepnęła:

— Na sam szczyt idę... na sam szczyt Murania...

— Pocóż tak daleko — odpowiedziała siostra. Na ulicy, tu, w Warszawie padłaś. Przy pierwszym niemal kroku twym na bruku ojczyzny. Jeszcześ twego wielkiego czynu nie zdążyła wykonać, a już cię kula dosięgła...

Chora wpatrywała się uparcie w siostrę u łóżka jej siedzącą, która ciągnęła dalej:

— ... pierwsza lepsza z brzega, z pośród szarego tłumu się wyrwała...

Ale Halina rzekła:

— Głos twój jest słodki jak najpieściwsza harfa, ale od ciebie wieje chłodem śmiertelnym...

— Tak, to ja — odpowiedziała siostra.

Wstała, zdjęła białe skrzydła, które jej głowę osłaniały, bujny włos złocisty rozsypał się na jej ramiona, twarz księżycowego koloru majaczyła nikło w półmroku.

Ręce Haliny zatrzepotały w powietrzu, jak skrzydła ranionego ptaka i legły na kołdrze niespokojne, błądzące bezradnie. Powieki opadły na gorejące oczy.

Złotowłosa pani mówiła:

— Posłałam po ciebie najmilszego mi pacholika z pomiędzy giermków moich. Zaszczepił ci w sercu miłość nieszczęśliwą. Na owoc czekałam niedługo.

Halina uśmiechnęła się i zaszeptała:

— Hej! zaszumiały wichry, zaśmiały się zjadliwie... hej! rade, rade... Poniosą-ci nowinę na wiec górski: idzie dziewczyna w drogę śmiertelną, mróz-ci się z nią pieści, lodowce najeżyły wszystkie swoje kolce: całują jej okrwawione stopy. Idzie mizerota. Hej! wrogowie mili... Dookoła drogę jej zastępują hufce armii śmiertelnej. Osaczonam. Hej! wrogowie mili, przyjaciele! Smutnaś śmierci? Czy-ć cię rączka rozbolała od koszenia? Hej! robota... Czy-ć niemiła? Cichaś, śmierci? Czyś się jęku nasłuchała skoszonych i głos ci zcichł omdlały? Hej! niesporo... niesporo...

Aleksandra Suszczyńska.

Waleryan Łukasiński.

1786—1868.

II.

Aleksander odwiedzał Warszawę za 8 nawrotami, w 1815, 1816, 1818, 1819, 1820, 1822, 1823 i 1825 r. Po najpierwszych odwiedzinach inauguracyjnych, upamiętnionych nadaniem konstytucyi, jeszcze trzy następne miały charakter dodatni, obiecujący, przypadając na początkową jeszcze dobę pokongresową rozległych reformatorskich zamierzeń monarchy. Drugi pobyt, we wrześniu i październiku 1816 r., poświęcony był w szczególności sprawom wojskowym; wynikiem odbytych wtedy narad był nadzwyczaj doniosły Ukaz, wydany w roku następnym (13 lipca 1817 r.) o utworzeniu oddzielnego korpusu litewskiego pod W. Ks. Konstantym, zrekrutowanego wyłącznie z pięciu gubernij litewskich, grodzieńskiej, wileńskiej, mińskiej, wołyńskiej, podolskiej, wraz z Obwodem białostockim, z odmiennym herbem — Pogonią litewską na piersi Orła rosyjskiego zamiast Św. Jerzego — na sztandarach i znakach, pierwszy krok pozytywny na drodze do należytego rozszerzenia granic Królestwa. Za trzecim pobytem, w marcu i kwietniu 1818 r., wygłosił monarcha słynną mowę sejmową, mieszczącą *sub rosa* zapowiedź przyłączenia rzeczonych jednostek administracyjnych litewskich do Królestwa, a zarazem — nadania urządzeń konstytucyjnych Cesarstwu. W rzeczy samej, za następnym czwartym pobytem w październiku 1819 r., rozważana już była w szczegółach ta ostatnia sprawa nadzwyczajnej wagi, a mianowicie był roztrząsany przez Aleksandra gotowy projekt konstytucyjny dla Rosyi, wypracowany z jego polecenia przez Nowosilcowa na wzór Ustawy konstytucyjnej polskiej; latem te-

goż roku wydany był nowy doniosły Ukaz (11 lipca 1819 r.) nadający W. Ks. Konstantemu, wodzowi armii polskiej, tytuł i władzę Naczelnego wodza w powyższych guberniach litewskich, stąd sprawy nietylko wojskowe lecz i ważniejsze cywilnego zarządu były odtąd w pewnej mierze centralizowane w Warszawie. Myślą Aleksandra było wtedy, wedle słów jego własnych, „mieć z Polski swoje Węgry," mieć z niej nietylko wzór i punkt wyjścia, lecz w razie potrzeby i punkt oparcia dla swoich intencyj reformatorskich względem Cesarstwa. Kiedy z końcem 1817 r., po usamowolnieniu włościan w guberniach nadbałtyckich, przemyśliwał o zniesieniu niewoli chłopskiej i w pozostałej Rosyi, fligeladjutant ks. Łopuchin zwrócił uwagę cesarza na niebezpieczeństwo takiego kroku i możliwość gwałtownego oporu ze strony reakcyjno-szlacheckich żywiołów rosyjskich, Aleksander odparł: „Jeśli szlachta (rosyjska) będzie się sprzeciwiała, w takim razie udam się z całą swoją rodziną do Warszawy i stamtąd poślę Ukaz."[1]) W tym samym czasie ujawniła się ze strony rządu, równolegle z organizacyą wolnomularsko-związkową w Rosyi, dążność do ujęcia w swoje ręce, skoncentrowania zarazem, zmodyfikowania i wzięcia pod swój nadzór wolnomularstwa polskiego. Te rzeczy, najpewniej traktowane ustnie podczas bytności monarszych w Warszawie, nie dają się śledzić w szczegółach; tyle niezawodna, że inicyatywa w tym względzie, która dała powód do wzmiankowanych zatargów spółczesnych w łonie wolnomularstwa polskiego, wyszła bezpośrednio od namiestnika wielkiego mistrza, generała Rożnieckiego, będącego prawą ręką W. Ks. Konstantego i najpowolniejszem narzędziem monarchy.

Łukasiński wraz ze swoim pułkiem czwartym, ową chlubą W. Księcia Konstantego, bywał oczywiście za każdym razem prezentowany Aleksandrowi na placu parady lub polu manewrów;[2]) wysoko ceniony przez swych przełożonych, przez szefa pułku Mycielskiego zbliżonego do naczelnego wodza, musiał też osobiście być dobrze znany Cesarzewiczowi, jako wybitny, cieszący się powszechnym szacunkiem oficer; skoro zaś w późniejszych swoich,

[1]) Dosłowne wyrazy cesarza. Zapiski ks. Trubeckiego, ob. Lemiowski-Boguczarski-Szczegolew, Dekabristy (Petersb., 1905), I, 23.

[2]) Jeszcze w Najwyż. rozkazie dziennym, z Warszawy, 10 wrześ. 1820, z powodu odbytych poprzedniego dnia manewrów, wyraził Aleksander szczególne zadowolenie pułkowi czwartemu, dowódcy tego pułku i dowódcom batalionów.

tak bardzo rozważnie stylizowanych zeznaniach parokrotnie stwierdza, że skutkiem następnych denuncyacyj stracił u W. Księcia „ufność w moim charakterze," zatem musiał uprzednio posiadać ją i to w znaczeniu jedynie dla siebie zaszczytnem. W wolnomularstwie brał udział żywy, ale najwyższego, siódmego stopnia *Rose-Croix* nie posiadał; nie zasiadał też w Kapitule Najwyższej. Jednakowoż o wszystkich sprawach wolnomularskich, a mianowicie o całym przebiegu podjętej reformy konstytucyjnej i wynikłych stąd zatargów w masoneryi polskiej, był on jaknajdokładniej informowany ze stron rozmaitych, a zwłaszcza przez jednego z celniejszych wolnych mularzy a zarazem zasłużonego patryotę, sędziego Stanisława Węgrzeckiego. W maju 1819 r., kiedy nadzieje, obudzone mową Aleksandra na minionym sejmie względem przyłączenia Litwy do Królestwa, zdawały się być blizkie urzeczywistnienia, a zarazem i inne, tak daleko sięgające, liberalne zamysły monarchy zdawały się dojrzewać, Węgrzecki zakomunikował Łukasińskiemu, „że mówiąc z JW. generałem Rożnieckim, słyszał od niego,... iż nasza masonerya, ile dla Polaków, nie jest tyle interesowna, jakby być mogła, gdyby w niej cośkolwiek narodowości było." Ta insynuacya Rożnieckiego, zaznaczona w powyższych ogólnych i ostrożnych wyrazach w jednem z najpierwszych zeznań Łukasińskiego, musiała niewątpliwie, jak wynika z innych świadectw — jakkolwiek wszędzie z umysłu osłabionych w tym ważnym punkcie przez władze śledcze — zostać wyrażoną przez Rożnieckiego w postaci całkiem konkretnej zachęty, skoro stała się bezpośrednią pobudką do założenia przez Łukasińskiego Wolnomularstwa Narodowego. „Myśl generała Rożnieckiego — oświadcza Łukasiński w późniejszem zeznaniu — iż wolnomularstwu należałoby nadać narodowość, tak mi do przekonania trafiła, iż, bojąc się, aby on mnie w tem nie uprzedził, jaknajśpieszniej urządzeniem takiego Towarzystwa zająłem się."[1]) Pierwsze narady odbyły się w mieszkaniu Szredera w obecności podpułkownika Kozakowskiego; zaraz w początkach między założycieli wprowadzony został — okoliczność znacząca — Skrobecki, mało wtedy Łukasińskiemu znajomy, a wówczas kapitan kwatermistrzostwa generalnego i adjutant generała Hauke, zarządzającego ministeryum

[1]) Zeznanie prot. Łukasińskiego, 26 paźdz. 1822 oraz wyżwymienione jego zezn. własnor. i prot. z 1825 r.; zeznanie Stan. Węgrzeckiego, 18 maja 1822. Raport Kom. Śledcz. 1827 r. tendencyjnie pomija inicyatywę Rożnieckiego.

wojny; dostarczył on nawet dla robót organizacyjnych pewnego manuskryptu niemieckiego o urządzeniach masońskich z papierów Haukego. Podział prac był następujący: Łukasiński miał zredagować projekt ogólny konstytucyi związku, Kozakowski—rytuały recepcyjne, Szreder — procedurę czynności, Skrobecki—instrukcyę względem wymaganych od związkowców kwalifikacyj. Przyjęto jako zasadę ogólną, że należeć do związku mogą jedynie wojskowi i wolni mularze. Jako cel — *quasi* jawny stowarzyszenia, wystawiono wspomaganie się wzajemne, oraz „utrzymanie Narodowości i sławy Polaków żyjących lub umarłych, którzy pismami lub czynem przyczynili się do wsławienia swego kraju.“ Rzecz jednak cała winna była zostać przygotowaną i wprowadzoną w wykonanie w najściślejszej tajemnicy, do czego sami założyciele zobowiązywali się pomiędzy sobą przedwstępną przysięgą. Narady organizacyjne odbywały się latem i jesienią 1819 r. w ciągu pół roku bądź u Szredera, bądź u Łukasińskiego i Kozakowskiego, bądź też—szczegół godny uwagi—w mieszkaniu pułkownika Mycielskiego pod jego nieobecność. Uczestniczyli doradczo Węgrzecki i Machnicki, jako posiadający wyższe stopnie wolnomularskie, wtajemniczeni przeto we wszystkie obrządkowe szczegóły masońskie. Bez względu na ułożony rozkład prac, właściwie całą najgłówniejszą robotę redakcyjną we wszystkich działach wykończał sam Łukasiński, najpewniej porozumiewając się na cztery oczy z Machnickim.

Wolnomularstwo Narodowe rozpadało się, jak zwyczajne, na kapitułę i lożę, lecz daleko silniej od siebie wyodrębnione aniżeli w masoneryi pospolitej. Kapitułę składali sami fundatorowie; była zupełnie tajemną; członkowie jej zamiast nazwisk swoich, używali pseudonimów według odpowiednich inicyałów: Łukasiński nazywał się Lykurg, Kozakowski—Katon, Szreder—Scypion, Skrobecki—Solon; Machnicki, obrany członkiem honorowym kapituły, trzymał się z zasady na uboczu i ani nazwiska swego do żadnego aktu nie przyłożył, ani pseudonimu nie używał. Konstytucya związku była pierwotnie opracowana w dwóch częściach odrębnych, dla kapituły i dla loży; pierwszą część ustawy podpisali czterej założyciele przybranemi nazwiskami; z drugiej wydawane były tylko wyciągi bez podpisu; później Machnicki zajął się ujednostajnieniem i zespoleniem obu części w jeden kompleks; nie zachował się ani ten całokształt ani najważniejsza część pierwsza, która zapewne była następnie interpolowana do ustawy Towarzystwa Patryotycznego; znalazł się tylko jeden ułamkowy wyciąg z części drugiej, resztę szczegółów wypada rekonstruować

z zeznań, więc z natury rzeczy fragmentarycznie. Przyjęto staroangielski najprostszy system wolnomularski podziału na trzy stopnie: ucznia, czeladnika, mistrza; każdy stopień posiadał swój rytuał, rozpadający się na oddzielne tytuły o dekoracyi loży, jej otwarciu i zamknięciu, katechizmie danego stopnia i t. d. Dekoracyę loży w pierwszym stopniu stanowił stół okryty niebieską materyą, na nim popiersie Aleksandra I, miecz, młotek, ustawa obrzędów i dwie świece. Do sakramentalnych wolnomularskich wyrazów zagajenia przez mistrza przełożonego: „oświecam tę sprawiedliwą i doskonałą lożę“ dodawano: „ogniem miłości ojczyzny i cnót obywatelskich;“ analogiczne dopełnienia i zmiany, ściągające się do narodowego charakteru loży, wprowadzono do pozostałych czynności obrządkowych, praktykowanych przy recepcyi ucznia. Odmawiano wiersze Krasickiego „Święta miłości ojczyzny;“ w katechizmie ucznia odpowiedź na zapytanie: „jak się nazywasz?“ zamiast masońskiego „Tubalcain,“ brzmiała pierwotnie „Stefan Batory,“ zmieniona następnie na „Czarniecki.“ W tym stopniu najniższym, więc dla najszerszych kół przystępnym, kładziono nacisk na stronę legalną; przełożony wskazywał uczniowi posąg Aleksandra ze słowami: „wyobraża on Ojczyznę i jej wspaniałego Wskrzesiciela.“ W stopniu drugim, na stole bez nakrycia, z napisem, wziętym z masoneryi a tu do Polski odniesionym: „*adhoc stat*,“ nie było już popiersia monarchy; imię, t. j. hasło czeladnika było „Bolesław Chrobry;“ w katechizmie czeladniczym na pytanie: „jak jest obszerna twoja loża?“ odpowiadało się: „wysokie góry, dna wielkie morza i dwie rzeki służą jej za granicę,“ a na pytanie „gdzie się zgromadzają towarzysze?“ — „przy ołtarzu Ojczyzny, który lubo z góry iest uszkodzony, atoli fundamenta jego stoją z napisem *adhoc stat*.“ Czeladnik zobowiązywał się przysięgą do „nieograniczonego posłuszeństwa“ kapitule i mistrzom, oraz że „tajemnic, teraźniejszemu stopniowi memu właściwych, nikomu obcemu ani też członkowi Towarzystwa niższego stopnia nie wyjawię, chociażby mnie to życie kosztować miało.“ Następowała przemowa mistrza przyjmującego, ułożona całkowicie przez Łukasińskiego: „...wznoś Narodowość, rozkrzewiaj użyteczne opinie, utrzymuj ducha, zagrzewaj twych spółbraci i utwierdzaj ich stałość w sprawie Ojczyzny, broń Towarzystwa zawsze i sławę narodową, a nadewszystko umiej być mężnym i nie uważaj na żadne niebezpieczeństwa, abyś z czasem mógł osiągnąć tę najwyższą cnotę dobrowolnego poświęcenia się dla pomyślności twego kraju. Dłonie, które Cię teraz ściskają, bronić Cię i wspierać nie przestaną gdziekolwiek znajdować się będziesz...“ W sto-

pniu trzecim dekoracyę loży stanowił stół nakryty czarną materyą, na nim trupia głowa, miecz, młot i urna; przyjmujący, przepasani jak i poprzednio wstęgą czarną z białemi brzegami i napisem „*vincere aut mori*," nosili nadto krepę na lewem ramieniu. Pytania i odpowiedzi katechizmu tego stopnia brzmiały: „Gdzie się znajdujemy, bracie...?" — „Przy grobowcach." — „Jaki jest czas?" — „Sama północ." — „Północ jest najsposobniejszym czasem a grobowce najdogodniejszym miejscem dla prac mistrzów..." — „Jak się nazywasz?" — „Żółkiewski czyli Poniatowski." — „Jakie są przymioty mistrza?" — „Poświęcenie się..."

Godną uwagi jest rzeczą, jak rozmaite czynniki psychiczne dostrzegać się dają w tych wszystkich pomysłach Łukasińskiego. Mamy tu do czynienia z głęboko obmyślaną transpozycyą obrzędu wolnomularskiego trzeciego stopnia. Według legendy, otwieranej w tym stopniu masonii zwykłej, w loży mistrzowskiej odpowiednio przybranej na czarno, z czaszką i trumną, chodzi tu o morderstwo owego alegorycznego Hirama, budowniczego świątyni Salomonowej, który napadnięty i potrzykroć ranny przez trzech czeladników-zdrajców u wrót zachodnich, południowych, wreszcie u wschodnich, pada ugodzony śmiertelnym ciosem, zostawiając swym następcom w najpóźniejsze czasy świętą sprawę pomsty a wraz odbudowania z gruzów świątyni. Przenosi tę alegoryę staromasońską Łukasiński do Polski trójpodzielonej. Był to umysł jasny, nowożytny; niedorzeczna formalistyka wolnomularska była dlań pustym dźwiękiem. Ale była w nim jakaś czułość poetycka szczególna, zdolna wydobyć z tych pustych kosmopolitycznych obrzędów pewne momenty, uderzające wyobraźnię i za ich pomocą wywołać w sercu polskiem specyficzne echa narodowe. Wchodziły tu także w grę pewne nastroje świtającego romantyzmu. Ten major czwartaków należał do generacyi, która jeszcze czytała Ossiana a już zaczynała wczytywać się w Byronie. A znów najniespodzianiej owe „grobowce" ponure wziął wprost od rewolucyjnego Volneya, ze słynnej inwokacyi „Ruin:" „Witajcie grobowce święte, równające niewolnika i króla, świadki świętej zasady Równości;" stamtąd wziął emblematy urny i miecza, alegoryę Prawodawcy-Lykurga, a niezawodnie też niejedną myśl goretszą z tej ognistej apologii troistego hasła „Wolności, Równości, Sprawiedliwości."[1]) Dziwna zaiste zbieżność tylu wpływów rozlicznych.

[1]) „Je vous salue ruines solitaires, tombeaux saints... C'est dans votre enceinte, qu'amant de la Liberté, j'ai vu sortir des tombeaux vos ombres et

Najczęściej odbywały się zgromadzenia lożowe pierwszego stopnia, drugiego rzadziej, trzeciego nadzwyczaj rzadko. Kapituła zbierała się w soboty, co tydzień lub co drugi. Zamiast dorocznych wolnomularskich uroczystości świętojańskich, zaprowadzono dwa obchody do roku, jeden radosny w dniu 3 maja na pamiątkę konstytucyi Wielkiego Sejmu, drugi żałobny w dniu 19 października dla uczczenia śmierci ks. Józefa; data pierwszej uroczystości była również wyznaczona na obiór urzędników związku. Pierwszym i jedynym kierownikiem Wolnomularstwa Narodowego, „przewielebnym mistrzem katedry“ był od początku Łukasiński, ale jedynie z tytułem „namiestnika Naczelnika;“ „na Naczelnika zaś — jak sam stwierdza — dopiero szukaliśmy znacznej jakiej osoby,“ a mianowicie miano zrazu na widoku obiór Węgrzeckiego, oczywiście dla powagi raczej i pozoru, gdyż przewodnictwo faktyczne spoczywało całkowicie w ręku Łukasińskiego. Składka uczestników wynosiła w pierwszym stopniu 6 złp., w drugim 12 złp., w trzecim 18 złp., a więc dość znaczna jak na skromne naogół ich fundusze; prócz tego Łukasiński w początkach awansował z własnej kieszeni znaczniejszą kwotę na pilne potrzeby, zrzekając się jej zwrotu i polecając zapisać ją do wpływów; pieniądze te używane były głównie na cele filantropijne, zwłaszcza dla ubogich wojskowych i ich rodzin. Przyjmowanie nowych członków odbywało się zazwyczaj przez prostą „komunikacyę,“ dla uniknięcia zebrań recepcyjnych; najwięcej osób przyjmował sam Łukasiński, wprowadzając i osoby cywilne (między innymi wszedł Brodziński) wbrew pierwotnemu założeniu związku i najczęściej nie zasięgając opinii kapituły. Postanowiono zakładać loże I a zdaje się i II stopnia we wszystkich miastach znaczniejszych, więc wojewódzkich, gubernialnych i regencyjnych w Królestwie, Kraju Zachodnim i dzielnicy pruskiej, aby, wedle słów Łukasińskiego, „wszędzie związek nasz rozszerzyć, gdzie tylko językiem polskim mówią;“ te loże filialne, w składzie nie-

---

par une faveur inespérée prendre son vol et rappeler mes pas vers ma Patrie ranimée;“ rzecz ciekawa, że tuż obok w przypisach mieści się surowe potępienie wolnomularstwa i wogóle stowarzyszeń tajnych: „en général toute association qui a pour base le mystère ou le serment quelconque d'un secret est une ligue de brigands contre la société,“ (éd. 1792), 298 egz., 300. Analogie z Volneyem uderzyły nas już dawniej; potwierdzenie jej pozytywne znaleźliśmy w zeznaniu Skrobeckiego, 25 avr. 1822: „Le major Łukasiński avait puisé dans Volney le symbole de ce degré“ (trzeciego).

więcej jak 9 osób każda, miały być pod kierunkiem „przewodników,“ przyjętych do loży głównej warszawskiej. W grudniu 1819 r. Łukasiński przyjął Dobrogojskiego, polecając mu założyć lożę w Kaliskiem i Poznańskiem i doręczył mu w tym celu spisane przez siebie własnoręcznie rytuały pierwszych dwóch stopni. Po Dobrogojskim z kolei został przyjęty w tym celu Mikołaj Dobrzycki, rodem z Poznańskiego, dzielny i szlachetny człowiek, który służył dawniej w szeregach Księstwa od 1806 r., walczył w Hiszpanii, wzięty pod Saragossą przez Anglików przesiedział na galerach na Cabrerze i w Szkocyi, uwolniony po pacyfikacyi zapisał się do wojska Królestwa lecz wkrótce wziął dymisyę, potem chwyci znowu za broń podczas rewolucyi, wzięty pod Ostrołęką, zesłany, potem zwolniony i wyprawiony w Poznańskie, będzie prowadził oddział chłopów poznańskich w 1848 r. i zginie starcem na służbie krajowej od kuli pruskiej, a który wtedy siedział jeszcze spokojnie w Kaliszu, jako kontroler naczelny kasy wojewódzkiej i na mocy otrzymanego polecenia zajął się założeniem jednej z pierwszych loży filialnej w Kaliszu. Szczególną uwagę zwracał Łukasiński na Poznańskie: przez Wierzbołowicza, wprowadzonego zaraz w początkach, przyjął Kwileckiego, byłego adjutanta generała Fiszera, i polecił mu założyć lożę w Poznaniu; polecenie to jednak zostało wykonane wcześniej przez przyjętego równocześnie Ludwika Sczanieckiego, b. adjutanta Dąbrowskiego. Litwę powierzył Łukasiński przyjętemu w początku 1820 r. Józefowi Grużewskiemu, który udał się zaraz do Wilna i przystąpił tam do działań fundacyjnych przy pomocy brata swego Stanisława oraz kilku obywateli: Romera, Białłozora, Mikulicza i Dowgiałły. Pomimo braku pozytywnych w tym względzie informacyj, przypuszczać należy, że affiliacya na Litwie została przeprowadzona pomyślnie; grunt był przygotowany o tyle, że istniało tam już podówczas 11 lóż wolnomularskich zwyczajnych, związanych z Wielkim Wschodem warszawskim. W samem Królestwie wiadomo pozytywnie o czynnościach affiliacyjnych w Radomiu i Kielcach; w wojsku polskiem, oprócz pułku czwartego, również i niektórzy oficerowie pułku drugiego i trzeciego piechoty oraz pułku grenadyerów gwardyi, przyjęci byli, przeważnie wprost przez Łukasińskiego, do loży głównej. Liczba ogólna bezpośrednich uczestników tej loży nie przechodziła kilkudziesięciu; liczba wszystkich członków affiliowanych nie daje się ściśle określić, lecz, zdaje się, nie była również zbyt wielka i napewno nie przekraczała paruset, gdyż śród tamtych uczestników bezpośrednich bardzo niewielka tylko była liczba „przewodników,“ t. j. założycieli wtórego rzędu.

Niezawiśle jednak od własnej, w sobie zamkniętej budowy organizacyjnej, Wolnomularstwo Narodowe miało doniosłość ogólniejszą przez swoje oddziaływanie na szersze warstwy społeczne, na sfery wojskowe i urzędnicze, na wolnomularstwo zwyczajne, a zwłaszcza na młodzież. To oddziaływanie zresztą z reguły nie dokonywało się bynajmniej wprost sposobem organizacyjnym, gdyż właściwe ramy związkowe były szczupłe. Wszelkie przesadne twierdzenia o jakiemś ogromnem rozgałęzieniu zarówno Wolnomularstwa Narodowego, jakoteż późniejszego Towarzystwa Patryotycznego, są bądź dziełem denuncyatorskich fałszów Nowosilcowa, bądź też partyjnej fikcyi i wyobraźni emigracyjnej. Chodziło tu więc z reguły — oprócz kilku ważnych wyjątków akcyi bezpośredniej, jak np. idącej przez Lelewela albo Zana — o pośrednią infiltracyę moralną, gdyż sam fakt istnienia zwartej organizacyi o podniosłych celach patryotycznych, której znaczenie i potęgę opinia skłonną była raczej w przesadnem widzieć świetle, stawał się silnym czynnikiem, podtrzymującym ducha narodowego a zarazem zachętą dla innych, w skromniejszem kole poczętych usiłowań związkowych. Takie usiłowania dawniej już podejmowane były w szczególności pośród uczącej się młodzieży, na wzór odpowiednich organizacyj niemieckich. Jeszcze za czasów napoleońskich w Niemczech filozof i patryota Fichte rzucił był w 1811 r. pierwszą myśl powszechnego niemieckiego związku akademickiego, podniesioną również z zapałem przez Arndta, w ciasnej staroniemieckiej postaci podjętą przez *Turnvatera* Jahna, popieraną przez rząd pruski dla swoich hegemonicznych na Niemcy widoków, a rozwijaną samodzielnie w duchu radykalnym i republikańskim przez Niemców południowych, braci Follenów, zwłaszcza przez niepospolitego Karola Follena, romansistę z zawodu a trybuna ludowego z ducha. Zawiązana już w 1815 r. (12 czerwca) pierwsza t. zw. *Burschenschaft* niemiecka na uniwersytecie jeneńskim, miała w pierwotnem swojem założeniu dużo zacofaństwa i barbarzyńskich zboczeń, lecz niebawem rozszerzona na inne uniwersytety niemieckie, wzmocniona przez wspólny zjazd Wartburski jesienią 1817 r., a na następnym zjeździe październikowym 1818 r. w Jenie skonsolidowana przez Statut powszechnej *Burschenschaft* wszechniemieckiej, doszła do ustalenia hasła wytycznego o niepodzielności idei akademickiej a idei narodowości.[1]) To wpły-

[1]) Pierwsze Grundgesetz Statutu miało takie brzmienie: „Die allgemeine teutsche Burschenschaft ist die freie Vereinigung der gesammten wissen-

wy najprostszą drogą oddziałały na młodzież polską przebywającą na uniwersytetach niemieckich, zwłaszcza w Berlinie i Wrocławiu, gdzie potworzyły się związki akademickie polskie, przeniesione stąd ze związkowych „knajp“ koleżeńskich, między innemi z „Polonii berlińskiej,“ do Warszawy; pierwszą tego rodzaju organizacyą na uniwersytecie warszawskim była założona w grudniu 1817 r. t. zw. „Pantakoina“ (Wszechspójnia). Na Litwę trafiały raczej echa dawniejszego *Tugendbundu* krótszą drogą na uniwersytet Albertyński w Królewcu, docierając stąd do uniwersytetu wileńskiego, gdzie inicyatywa akademicko-związkowa, poruszana już wcześniej, w 1816 r., na naradach Zana, Mickiewicza, Jeżowskiego, dojrzała pod koniec i z wiosną 1820 r. do formacyi Promienistych. Te i liczne inne stowarzyszenia uczniowskie niższego rzędu—rozmnożone w szkołach średnich na Litwie i w Królestwie, często z całym dziecinnym zbytkiem obrzędowym, właściwym młodocianej pulsacyi, z okrutnemi przysięgami, pistoletami w zanadrzu, nocnemi zebraniami w starych piwnicach i t. p.— były to w gruncie rzeczy organizacye bez żadnego charakteru rewolucyjnego, w których znajdowały sobie upust szlachetne instynkty uczącej się młodzieży, uczucie wzajemnego braterstwa, zapał dla ideałów wiedzy, piękna, cnoty, a przedewszystkiem gorącą miłość własnego kraju, porywy i dążenia pod każdym względem uprawnione do jawności jaknajszerszej, i jedynie śród niezdrowych warunków politycznych, pod groźbą prześladowczą i tajnością przymusową przybierające formę spiskową. [1]) Z Wolnomularstwem Narodowem warszawskiem wszystkie te formacye pozostawały w nader luźnym, a poczęści w żadnym związku, ale z sa-

schaftlich auf der Hochschule sich bildenden teutschen Jugend zu einem Ganzen, gegründet auf dem Verhältniss der teutschen Jugend zu rwerdenden Einheit des teutschen Volkes.“

[1]) Akta spraw studenckich warszawskich rozrzucone w kilku archiwach w Warszawie oraz Sztabu Główn. w Petersburgu; na genezę sprawy Pantakoiny rzuca światło dziennik założyciela, Ludw. Wanersbergera 1819—21; Zan, wprowadzony do wolnomularstwa zwyczajnego przez Chodźkę, należał później do gminy Towarzystwa Patryotycznego, zapewne więc pośrodku był również w styczności bezpośredniej z Wolnomul. Narodowem; por. względem tych i innych związków i procesów akademickich, nowsze, lecz ułamkowe i nie ujmujące całości przyczynki: Sborn. Zapadn. Ross. I (1885); Arch. lit. i ośw. VI (1890), IX (1897); Warsz. Uniw. Izw. (1897); Tygodn. Pol. (1898); Pogodin, Wil. Ucz. Okr., I (1901); Bibl. Warsz. (1888, 1904); Kwart. Histor. (1904); Przewodn. Nauk. i liter. (1905) i t. d.

mej natury rzeczy wszystkie ciążyły ku niemu w imię wspólnej sprężyny patryotycznej, wspólnej naczelnej zasady: Narodowości. Na tej zasadzie, jako na głównej, najogólniejszej podwalinie, oparł całą swoją koncepcyę związkową Łukasiński. Tem samem i ona nie była w gruncie bynajmniej rewolucyjną. Uznanie narodowości polskiej, jako powszechnego czynnika prawno-politycznego, łączącego wszystkie trzy dzielnice, stanowiło wszak jaknajdosłowniej część integralną ustaw kongresowych wiedeńskich. Wszak ten czynnik sankcyonowany był uroczyście w pierwszej odezwie Aleksandra do Polaków. „Polacy... otrzymują instytucye, które zapewnią zachowanie ich narodowości," głosiły traktaty; „zgodzono się, aby narodowość braci waszych... oddaną była pod rękojmię pieczołowitości rządów właściwych," głosił manifest 1815 r. Było w tem — szczególnie po zapowiedziach, dotyczących Litwy a zawartych w orędziu monarszem 1818 i Ukazach 1818 i 1819 r.— zupełne ulegalizowanie organizacyi, stojącej na fundamencie narodowości, i to nietylko w granicach Królestwa, lecz wszystkiej Polski porozbiorowej. W tem znaczeniu zasadniczem umieszczenie wizerunku Aleksandra w pierwszym stopniu związkowym było nie samym tylko pozorem, lecz odpowiadało istocie rzeczy, w przypuszczeniu, że monarcha zobowiązań swoich i przyrzeczeń dotrzyma. Tak rzecz pojmował Dąbrowski, ostrzegając z góry, „iżby wszyscy pod tym samym kierunkiem około wybawienia narodowego pracowali a nie porywali się lekkomyślnie do powstania." Ale zarazem chodziło o to, aby zachować na wypadek przeciwny samoistną energię narodową, i w takiem to dopiero ewentualnem znaczeniu w wyższych stopniach zjednoczenia winny były czysto polskie zapanować emblematy i hasła.

Tak tę rzecz pojmował Łukasiński. Chciał jednoczyć i wzmocnić ducha narodowego w całej Polsce. Chciał uzdatnić ją bądź do przyśpieszenia intencyj odnowicielskich Aleksandra najsampierw w zakresie litewskim, bądź też prowadzić ją do stanu gotowości na własną rękę. Ale wybuchu przedwczesnego nie chciał. Rozumiał, że chodzi tu o głębszą akcyę na dłuższy dystans, potrzebował dla niej czasu, potrzebował tedy bezpieczeństwa. „Na każdem posiedzeniu loży zalecałem jaknajmocniej skromność i dyskrecyę w mowach potocznych, aby najmniejszem słowem nieobrazić Rządu, lecz owszem mówić o nim zawsze z pochwałą. Kodeks nasz karny (lożowy) karę oddalenia z Towarzystwa wyrzekł na tych, którzyby po dwukrotnem napomnieniu trzeci raz temu obowiązkowi uchybili. Nie chcę bynajmniej szukać z tego zasługi, nie pochodziło to z przywiązania do Rządu, ale z ostroż-

ności.“ [1]) Ale była to rzecz niezmiernie trudna, jeśli nie niepodobna, utrzymać w teoretycznych karbach wstrzemięźliwości organizacyę tego rodzaju, rwącą się do praktycznego czynu. To jest nieunikniona słaba strona wszelkich organizacyj tajnych podobnego zakroju. Są one z samej natury swojej, jako zbiorniki energii i wysokiego napięcia, przystosowane do raptownego czynu, na krótką metę. Pomyślane bodaj jaknajroztropniej, lecz jako funkcya ciągła, na dłuższy dystans, na rozwojowe trwanie, na spokojne dojrzewanie, stają wnet same z sobą w sprzeczności, gdyż skupiają materyał psychiczny nazbyt ekspansywny, niedający się zahamować, wyrywający się do wyładowania swojej energii w postaci dotykalnej, w żywym, chociażby przedwczesnym i wybuchowym czynie. Tak stać się musiało i w niniejszym wypadku, a takim nadto sposobem, że do podobnej akcyi przedwczesnej, grożącej wykolejeniem związku, parły mianowicie najmniej poważne i pewne żywioły związkowe, ludzie, którzy niebawem mieli bądź splamić się słabością, bądź shańbić zdradą. Tak więc Skrobecki starał się działalność związkową skierować głównie na wojsko, przez wpływanie na ciało oficerskie i opiekę nad szeregowcami, co byłoby rzeczą piękną, lecz ze względu na W. Ks. Konstantego nader drażliwą. Szreder zajmował się już układaniem nowych ustaw konstytucyjnych dla narodu, a w szczególności domagał się pozyskania włościaństwa przez obietnicę uwłaszczenia. Najgwałtowniej poczynał sobie Szneyder, prawiący o republice i konieczności zrewolucyonizowania niższych warstw ludności miejskiej. „Nie znasz, widzę, Warszawy — mówił do miarkującego go Łukasińskiego—sądzisz o niej z wyższej klasy ludzi, z kupców i rozpieszczonych niektórych rzemieślników; poznaj tylko ludzi, trudnemi rzemiosłami zajętych, jako to rzeźników, kowalów i tym podobnych, a dopiero inaczej o Warszawie sądzić będziesz; trzeba, żebyś się, przebrawszy w wieczór, poszedł ze mną po różnych szynkowniach, gdzie ci ludzie przebywają, a tak dopiero ich poznasz, będziesz świadkiem zaufania, jakie oni we mnie mają.“ Co jednak najbardziej wprowadziło w zakłopotanie Łukasińskiego, to ta okoliczność, że loża utworzona przez Szanieckiego w Poznaniu, dostawszy się pod wpływ generała Umińskiego, postanowiła „zreformować się w Księstwie Poznańskiem i cele dawne, czcze i nieokreślone, na jawnie polityczne zamienić;“ wzięto się tam w tym duchu do rzeczy na sposób nadzwy-

[1]) Pismo własnor. Łukasińskiego 17 paźdz. 1825.

czaj nieoględny, wdano się w stosunki z organizacyami rewolucyjnemi zagranicą, zwłaszcza we Włoszech, puszczono się na wielkie gadaniny powstańcze, pogwałcono najprostsze wymagania ostrożności i dyskrecyi. W początku 1820 r. Sczaniecki, przybywszy do Warszawy, uprzedził Łukasińskiego o tak niepożądanym zwrocie w loży poznańskiej, „że tam tak jawne niedorzeczności dzieją się i już służący o tem Towarzystwie wiedzą,“ i że skutkiem tego on, Sczaniecki, usuwa się ze związku. „Rzecz ta, godna jest uwagi — to głębokie postrzeżenie czyni z tego powodu Łukasiński—i dalszego zgłębienia, dlaczego Wolnomularstwo Narodowe, mając cel tak jasny i dosyć pewny, jakim jest Narodowość, zostawiło członków swoich w niepewności i, jeżeli można powiedzieć, w zupełnej niewiadomości względem tego celu, dozwalając każdemu z nich tworzyć sobie inne podług upodobania? Co za przyczyna, że Wroniecki i Kiekiernicki w tem *Tugendbund*, Szneyder Rzeczpospolitą, Szreder środek moralny do połączenia Polski, Skrobecki zwrócenie wojska do stanu w jakim było za Księstwa Warszawskiego, Masłowski obalenie dawnego mularstwa, Wielkopolanie rewolucyę ukrytą dostrzegali? Chcąc na to dokładnie i krótko odpowiedzieć, przytoczę tu zdanie jednego z filozofów XVII wieku: „Dla ludzi grubych i nieokrzesanych potrzeba religii również grubej i nieokrzesanej, jak oni.“ Narodowość była nadto subtelną dla tych ludzi. „Był to duch, który zawsze ich dotknięciu umykał się; trzeba im było czegoś materyalnego; a tak każdy tworzył sobie osobny cel podług swego upodobania i swojej głowy, tak jak bałwochwalcy tworzą sobie bożyszcza. Wolnomularstwo Narodowe było w grzechu pierworodnym zrodzone, bo obrany do prac głównych przedmiot, jakim jest Narodowość, ani dobrze zdefiniowanym, ani rozwiniętym być nie mógł.“ Z tych słów smutnych niezawodnie pewną część potrącić należy na rachunek *reservatio mentalis* więziennego zeznania, gdzie wypadało jaknajdobitniej odrzucić stronę rewolucyjną samej idei związkowej; ale przebija w nich zarazem w niemałej mierze myśl rzeczywista Łukasińskiego, owoc gorzkiego doświadczenia, smak gorzkiej prawdy.

Wobec podobnych, trudnych warunków, zniewolony liczyć się z rozbieżnością dążeń i porywów oddzielnych związkowców, miarkować zboczenia różnostronne, zdolne w każdej chwili zwichnąć lub nawet wprost na zgubę narazić całe przedsięwzięcie związkowe, Łukasiński tembardziej musiał trzymać ster stowarzyszenia mocną, autokratyczną niemal dłonią, rządzić na własną rękę, niewiele oglądając się na spółuczestników. Przy jego cha-

rakterze, surowym z natury, nieugiętym, aż ostrym, musiało tym sposobem jego postępowanie wywołać kwasy, gniewy, zawiści, głuche pretensye o samowładność i zlekceważenie. Zarzucano mu, że kapituły nie zbiera, że bez pytania przyjmuje nowych członków bez form obrzędowych przez prostą komunikacyę osobistą, że wbrew ustawie przyjmuje osoby cywilne i w dodatku nienależące do masoneryi, że papiery najważniejsze u siebie trzyma, że rozkrzewianie związku na własną rękę prowadzi i t. p. „Łukasiński—tak te wszystkie zarzuty nader charakterystycznym sposobem streszcza jeden z jego przeciwników — zdawał się chcieć brać na siebie całą odpowiedzialność.“[1]) Tak było w rzeczy samej; i to cechuje najlepiej i Łukasińskiego i sytuacyę.

Sytuacya tymczasem stawała się coraz bardziej skomplikowaną i niebezpieczną skutkiem zbiegu najrozmaitszych okoliczności niepomyślnych, zarówno miejscowych, jak i innych, daleko wybiegających poza warunki i sprawy lokalne. Na Zachodzie gotowała się reakcya na całej linii. Nawoływał w tym kierunku kanclerz austryacki Metternich, który sprawę europejskiej polityki wewnętrznej łączył najściślej z zewnętrzną i który wszystkie swoje wpływy wysilił, aby sprowadzić Aleksandra równocześnie z drogi zamierzeń liberalnych i przedsięwzięć greckich i polskich. Już na kongresie akwizgrańskim 1818 r. piorunował Metternich przeciw związkom uniwersyteckim wogóle a niemieckim w szczególności. Niebawem, w marcu 1819 r. student niemiecki Sand zasztyletował w Mannheimie głośnego pisarza Kotzebuego, będącego zarazem niegłośnym radcą stanu i donosicielem rządu rosyjskiego w Niemczech; w lipcu t. r. nastąpił nowy zamach studenta Löninga na prezydenta Ibella w Schwalbachu; morderca pozbawił się życia w więzieniu. Metternich wyzyskał natychmiast te dwa wypadki. Względem Rosyi i Aleksandra żywił najgłębszą nieufność. Miał on równocześnie, w austryackich posiadłościach we Włoszech, do czynienia ze zreorganizowanem węglarstwem, *carboneria*. Związek ten miał swoje zaczątki jeszcze w czasach napoleońskich, i wtedy był klerykalny i bourboński, zwracał się przeciw francuskiemu jarzmu; obecnie, mianowicie od czasu powstania Murata w 1815 r., odmienił swój charakter, odnowił się i przetworzył, pod hasłami rewolucyjnemi i narodowo-włoskiemi, przeciw wrogim rządom austryackim. Owóż Metternich wprost oskarżał Aleksandra, że „agenci rosyjscy przesiadują w klubach karbonar-

[1]) Zeznanie Skrobeckiego j. w.

skich.“ A musiał mieć w tym względzie poszlaki dosyć poważne, skoro podówczas, w 1819 r., z powodu podróży W. Ks. Michała, brata cesarza, do Włoch, Franciszek I wystosował pismo poufne do Aleksandra, gdzie wyraźnie ostrzegał go „przed nadużyciem jego (Aleksandra) imienia“ we Włoszech. Również zaniepokoiła Metternicha podróż rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, Capo d'Istryi, do Korfu, gdzie też w rzeczy samej odbyły się wtedy tajne narady pomiędzy nim a wysłańcami Heteryi greckiej, gotującej się już do powstania. Wobec tego Metternich, omijając nazawsze Rosyę, zwrócił się do Prus, i istotnie na zjazdach z Fryderykiem Wilhelmem III w Cieplicach i Karlsbadzie w lipcu i sierpniu 1819 r. dopiął swego celu, uzyskał zgodę Prus na rozpoczęcie na wielką skalę wspólnej akcyi represyjnej przeciw związkom tajnym. Zaczęła się natychmiast osławiona pierwsza *Demagogenverfolgung*. Ustanowiona została w Moguncyi wielka Komisya Centralna Śledcza w sprawach o zdradę stanu (*Central-Untersuchungs-Commission über die hochverrätherischen Umtriebe*), właściwy pierwowzór wszystkich następnych komisyj śledczych tego gatunku w Królestwie Polskiem. Osobna Komisya Śledcza ustanowioną została równocześnie w Berlinie. Nastąpiły głośne rewizye u profesorów uniwersytetu w Bonn, liczne aresztowania śród młodzieży akademickiej, nowe, ostre ograniczenia cenzuralne, rozciągnięte po raz pierwszy na publikacye uniwersyteckie i nawet na Akademię umiejętności berlińską. *Burschenschafty* zostały zakazane, rój denuncyantów i szpiegów rozlał się po całych Niemczech, przenikając szczególnie do sfer akademickich; Karol Follen i liczni inni zbiegowie schronili się do Szwajcaryi i Francyi. Ale tymczasem i we Francyi zbierała się burza. Tam najwcześniej, wnet po powtórnym powrocie Bourbonów, po epizodzie Studniowym, była zaczęła się odwetowa gospodarka reakcyjna, „biały terror,“ nielitościwe prześladowanie ludzi i rzeczy, związanych z przeszłością rewolucyjną i napoleońską, gnębienie żywiołów republikańskich i bonapartystowskich. Zaczęła się niezwłocznie masowa epuracya wojska, bądź przez proste dymisye, bądź przez odsyłanie na reformę, t. j. wydalanie z armii na pół-żołdu. Odrazu dziesiątki tysięcy starych żołnierzy i tysiące oficerów znalazło się na bruku, bądź w Paryżu, bądź w miastach prowincyonalnych, tworząc tym sposobem potężny czynnik opozycyjny i wybuchowy.[1])

[1]) Por. znakomity obraz stanu psychicznych tych oficerów reformowanych francuskich w Balzaca Scènes de la vie militaires; mieści się tu niejedna

Należy zaznaczyć, że ten system został zaraz przeniesiony przez W. Ks. Konstantego do Królestwa celem epuracyi wojska polskiego od żywiołów patryotycznych. Bywało i dawniej, za Księstwa Warszawskiego, reformowanie oficerów, ale polegało ono na tem, że oficerowie dla braku zdrowia lub w podeszłym wieku przeznaczeni do stanu spoczynku ze stosowną randze i zasługom pensyą, szli na reformę; obecnie W. Ks. Konstanty z instytucyi nagradzającej uczynił instytucyę karną, na wzór praktyki stosowanej we Francyi przez Rządy Restauracyi. Ale we Francyi wczesna reakcya wcześnie też spotkać się musiała z oporem. Już w styczniu 1816 r. odkryty został w Lyonie spisek śród dymisyonowanych wojskowych; w maju t. r. nastąpiła nieudana próba powstania w Grenobli. Rząd odpowiedział krwawą represyą; nadzwyczajny sąd wojenny skazał na śmierć przeszło dwadzieścia osób, śród których, oprócz żołnierzy, znaleźli się też robotnicy i chłopi. Ze strony opozycyjnej nie zrażono się jednak a nawet żywiono daleko sięgające zamysły, obliczone między innemi na liberalne jeszcze podówczas intencye Aleksandra. Emigracya opozycyjna francuska, zgromadzona w Brukseli, powzięła myśl zrzucenia Ludwika XVIII i osadzenia na tronie francuskim najstarszego syna króla Niderlandów, ks. Oranii, Wilhelma, który poślubił właśnie (w lutym 1816 r.) W. Księżnę Annę Pawłównę, siostrę cesarza Aleksandra; w tym celu, za pośrednictwem przebywających stale w Warszawie Łazarza Carnota, znakomitego „organizatora zwycięstwa“ z czasów rewolucyjnych, oraz drugiego republikańskiego wygnańca Viel-Castela, zwrócono się z tajnemi wynurzeniami w tym względzie do W. Ks. Konstantego, dopraszając poparcia Aleksandra dla urzeczywistnienia tego zamysłu.[1]) Aleksander odmówił wdania się w tak ryzykowne przedsięwzięcie; lecz bądźcobądź podobna inicyatywa skierowana do niego ze strony człowie-

analogia do odpowiednich stosunków ściśle spółczesnych śród wyrzuconych na bruk byłych oficerów polskich w Warszawie i po miastach wojewódzkich.

1) W. Ks. Konstanty do Nowosilcowa, Varsovie, 13/25 aor. 1817: „Les communications que j'ai faites à V. E., l'ont mise à portée de connaître successivement les différentes ouvertures, qui m'ont été adressées par mess. Carnot et de Viel-Castel, touchant l'intention des réfugiés français d'écarter la maison de Bourbon du trône de France et d'y substituer, à l'aide de l'influence de la Russie, un prince, soutenu par le choix et la protection de l'Empereur.“ Że chodziło tu mianowicie o Wilhelma Orańskiego, wynika z depeszy Esterhazego do Metternicha, Pétersb., 6 juin 1817. Por. z tem wzmiankę u Sterna, I (1894), 118 str.

ka tej powagi i doświadczenia co stary Carnot, daje miarę, jak dalece w kołach liberalno-rewolucyjnych liczono podówczas na sympatye cesarza rosyjskiego a konstytucyjnego króla polskiego. Tymczasem wrzenie we Francyi trwało i rosło w dalszym ciągu. Nici inicyatywy opozycyjno-powstańczej zbiegały się niewątpliwie w ręku generała Lafayetta, który jednak rzecz całą prowadził z głęboką wytrawnością i ostrożnością nadzwyczajną, trzymając się w cieniu i wyczekując chwili sposobnej, kiedy sprawa wolności narodu istotnie dojrzeje. Z drugiej znów strony skrajne żywioły reakcyjne, ultrasi dworscy, życzyli sobie rozruchów, aby zalać je krwią i wraz z ich represyą obalić znienawidzoną *Charte* konstytucyjną, wyrwać z korzeniem ostatnie ślady urządzeń pozostałych po Wielkiej Rewolucyi i dojść do Restauracyi zupełnej, do bezwzględnego przywrócenia ancien régime. W takich widokach rozwijaną była z tej strony rozległa a najpodstępniejsza działalność prowokatorska, której kierownictwo trzymał w ręku prefekt policyi paryskiej, Franchet, pozostający w ścisłych stosunkach z Metternichem, a mający na swoje usługi całą armię szpiegów i agentów prowokacyjnych nietylko w stolicy, lecz oraz po głównych miastach prowincyonalnych. W tem wszystkiem pełno było analogii do stosunków w Warszawie i Królestwie Polskiem, do tamtejszej podziemnej roboty Nowosilcowa i kompanii. Tą drogą, czysto prowokatorską, wywołane zostało powstanie w Lyonie w czerwcu 1817 r., które pociągnęło za sobą liczne ofiary, okrutne wyroki sądów prewotalnych, skazujące na śmierć osób blizko trzydzieści, śród nich dzieci i kobiety posłane na gilotynę. Nastąpiły śledztwa i aresztowania w Paryżu, obostrzenia cenzuralne, zamykanie pism postępowych, których wydawcy, posłowie Etienne, Jay i inni radzić sobie musieli w ten sposób, że zaczęli je wydawać w formie wydawnictw nieperyodycznych, pod pozorem wydawnictw zeszytowych „*Minerve*," „*L'homme gris*" i t. p. — przykład, w tej chwili przejęty przez warszawskich wydawców prześladowanej „*Gazety Codziennej*" zamienionej na zeszytową „*Kronikę*." Wtem zaszedł wypadek, znamionujący do jakiego stopnia rozjątrzyły się namiętności: zasztyletowanie przez Louvela przed Operą paryską w lutym 1820 r. ks. Berry, przyszłego następcy tronu, wyobrażającego całą nadzieję sukcesyjną domu Bourbonów. Odrazu reakcya we Francyi przybrała formy najgwałtowniejsze. Ale równocześnie, w styczniu 1820 r. wybuchło zwycięskie powstanie w Hiszpanii, obwołaną tam została liberalna konstytucya Kortezów kadyskich z 1812 r.; w lipcu 1820 r. za tym przykładem poszła rewolucya neapolitańska, w sierpniu — portu-

galska, przyczem w obu wypadkach również obwołano konstytucyę kortezowską, będącą naówczas ideałem żywiołów postępowych w całej Europie Zachodniej. Pod wpływem tych wypadków powstał rozgałęziony spisek wojskowy w Paryżu, t. zw. konspiracya kapitana Nantila i adwokata Reya; na czele stał organizacyjny *Comité directeur*, będący niewątpliwie w stałem porozumieniu z Lafayettem; gotowano rewolucyę w Paryżu wraz z równoczesnym wybuchem w kilku miastach departamentowych. Rzecz wydała się skutkiem zdrady w sierpniu 1820 r.; część spiskowców zdążyła zbiedz; zaczęło się obszerne śledztwo; rząd koniecznie pragnął skompromitować Lafayetta, lecz — podobnież jak u nas z Kniaziewiczem — nie udało się dostarczyć dowodów namacalnych jego uczestnictwa; proces odbył się w 1821 r. przed sądem najwyższym do spraw politycznych, t. j. Izbą parów, która jednak, pomimo nacisku ultrasów, przy braku piśmiennego materyału dowodowego, ograniczyć się umiała do dwóch zaocznych wyroków na śmierć dla zbiegłych przywódców, skazała niektórych obwinionych na umiarkowane kary więzienne i pieniężne, innych uwolniła. Ten, stosunkowo łagodny wyrok Izby parowskiej z 1821 r., który znaleźliśmy w kopii śród papierów Nowosilcowa z własnoręcznemi jego uwagami, miał wielki wpływ na późniejszą procedurę wyjątkową i niekonstytucyjną w procesach politycznych Królestwa Polskiego i odbił się nawet na organizacyi Sądu Sejmowego. Niepowodzenie spisku 1820 r. nie powstrzymało bynajmniej dalszego rozwoju działalności związkowo-spiskowej we Francyi, zwłaszcza śród kół wojskowych i młodzieży akademickiej. Dwaj zbiegli do Neapolu członkowie tego spisku, wprowadzeni tam do węglarstwa, już w początku 1821 r. powróciwszy potajemnie do Paryża, wnieśli do związków francuskich system organizacyjny karbonarski z podziałem troistym na wenty gminne, okręgowe i Wentę Naczelną; na tej podstawie statutowej wynikła nowa organizacya z Komitetem Centralnym, odpowiadającym wencie górnej, na czele; Lafayette został członkiem honorowym; faktycznym kierownikiem Komitetu został Bazard. Od tej chwili formacya węglarska znalazła szerokie zastosowanie; trafiła też drogą na Paryż, przez Szwajcaryę i Niemcy, do związków polskich — gdzie zresztą mogła istnieć i bezpośrednia wiadomość systematu włoskiego z czasów pobytu wojsk polskich w Neapolu. Pomimo hamujących wpływów Lafayetta niepodobna było powstrzymać nowej organizacyi od dalszych przedwczesnych prób rewolucyjnych: tak doszło do nieudanych wybuchów w Saumur i Belforcie w listopadzie i grudniu 1821 i lutym 1822 r. oraz

do wywołanego przez prowokacyę policyjną wybuchu w Kolmarze w lipcu 1822 r. Wynikiem tych usiłowań była znowu krwawa represya i obostrzenie reakcyi. Poruszenia w krajach romańskich wywołały odpowiedni odgłos i w niemieckich. Z inicyatywy Follena, który po morderstwie ks. Berry musiał opuścić Paryż i schronić się do Bazylei, podjęta została reorganizacya zakazanych *Burschenschaftów* w formie tajnej. Założony został, więcej jednak na papierze niż w rzeczywistości, tajny *Männerbund*, oraz pozostający z nim w łączności tajny *Jünglingsbund*: ten ostatni związek akademicki, o nastroju już nawskroś radykalnym, przybrał postać realną, poczynał istotnie rozkrzewiać się po wszechnicach niemieckich, odbył dwa nocne zjazdy organizacyjne na polu pod Jeną w 1821 r. i pod Würzburgiem w 1822 r.; lecz nie znajdując należytego poparcia ze strony *Männerbundu*, nie dochodzącego do urzeczywistnienia, niebawem przygasł i rozluźnił się zupełnie pod koniec 1823 r. Istnienie tego związku w początku 1824 r. skutkiem zdrady doszło do wiadomości Komisyi śledczej w Moguncyi — jak się zdaje, przez Flanchetа z Paryża — co spowodowało natychmiast powtórną, ostrzejszą od pierwszej, *Demagogenverfolgung* w całych Niemczech, a zwłaszcza w Prusiech: w marcu 1824 r. ustanowioną została nowa Komisya śledcza w twierdzy Köpenich; nastąpiły nowe liczne aresztowania; nader surowe wyroki Wyższego Sądu Krajowego (*Oberlandergericht*) w Wrocławiu skazały dwudziestu kilku członków *Jünglingsbundu* na kary kilkunastoletniego ciężkiego więzienia w twierdzy. Komisya Śledcza Centralna w Moguncyi zamknęła swoje czynności dopiero w 1828 r.

Stosunek Aleksandra do tych wszystkich wypadków ulegał naprzód wahaniom, pod koniec zasadniczemu zwrotowi w duchu wstecznym. Jeszcze w październiku 1819 r. podczas pobytu swego w Warszawie, kiedy roztrząsał w najściślejszym sekrecie wygotowane przez Nowosilcowa projekty konstytucyjne dla Rosyi, wypadło mu zająć stanowisko wobec pierwszych zarządzeń represyjnych austryacko-niemieckich. Król Wilhelm wirtemberski, szwagier Aleksandra, od niedawna (od stycznia 1816 r.) żonaty z jego siostrą, W. Księżną Katarzyną Pawłówną, zjechał w tym czasie do Warszawy, a idąc sam natenczas, zgodnie ze skazówkami Aleksandra, w kierunku liberalno-konstytucyjnym w swojem Królestwie wirtemberskiem, oświadczył się stanowczo przeciw owym zarządzeniom; to też w rzeczy samej, w okólniku zredagowanym wtedy w Warszawie imieniem Aleksandra przez Capo d'Istryę i rozesłanym do posłów rosyjskich przy dworach zagranicznych,

mieściło się dość ostre potępienie surowych środków, postanowionych w Cieplicach i Karlsbadzie. Niebawem jednak nastrój Aleksandra uległ kardynalnej zmianie. Na zjeździe w Opawie, w październiku 1820 r., już pod wrażeniem wypadków francuskich, hiszpańskich, włoskich, na dobitkę dowiedział się Aleksander — i to z ust Metternicha, gdyż kuryer rosyjski uległ opóźnieniu — o buncie w pułku gwardyi Siemionowskim w Petersburgu. Pod głębokiem wrażeniem tej wiadomości Aleksander dał zgodę na protokół kongresowy opawski z listopada 1820 r., sankcyonujący zasadę obcej interwencyi celem przywrócenia porządku w krajach opanowanych przez rewolucyę. Tem samem zamknął sobie drogę dla własnych zamierzeń, przedewszystkiem dla greckich. Latem tegoż roku był stawił się w Petersburgu Xanthos, wysłaniec Heteryi celem omówienia szczegółów przygotowywanej rewolucyi greckiej; Capo d'Istrya, prowadzący te rokowania, odmówił objęcia ofiarowanego sobie naczelnictwa, funkcyi dość drażliwej dla rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, lecz natomiast podał na czelnika rewolucyi Aleksandra Ypsilantego, rosyjskiego generał-majora jazdy i adjutanta cesarza Aleksandra; wybuch wyznaczony został wtedy na listopad 1820 r. — lecz obecnie, skutkiem uchwał opawskich, musiał zostać odłożonym *ad feliciora tempora*. Rzecz jednak już powstrzymać się nie dała, poszła własnym pędem żywiołowym; i na następnym już kongresie lublańskim, w początku 1822 r., wraz z wiadomością o zwycięskiej interwencyi austryackiej we Włoszech przeciw rewolucyi tamecznej, doszła Aleksandra wiadomość o marcowym wybuchu rewolucyi greckiej przy urzędownem wezwaniu Ypsilantego o pomoc rosyjską. Już jednak Aleksander wepchnięty był ostatecznie na drogę reakcyi; w lipcu nastąpił upadek i dymisya Capo d'Istryi; system Metternichowski pełne święcił zwycięstwo. Aleksander wycofywał się ze wszystkich swoich pierwotnych rozległych zamierzeń i koncepcyi pokongresowych w całkowitym zakresie polityki zagranicznej i wewnętrznej—a tem samem w zakresie swojej polityki polskiej. Skutki takiego zwrotu musiały pośrednio i bezpośrednio odbić się jak na losach Królestwa Polskiego w ogólności, tak w szczególności — na tutejszej organizacyi związkowej, a stąd na losie głównego jej twórcy i kierownika, Łukasińskiego.

Przedewszystkiem w tem miejscu stwierdzić potrzeba, że podjęta przez niego robota miała z samej natury rzeczy niebezpiecznego przeciwnika: policyę tajną. Początki tej instytucyi odpowiadają ściśle początkom wpływów i rządów rosyjskich w Polsce; w miarę postępu i ustalania tych wpływów i rządów, rozwijała się

równolegle i doskonaliła się owa towarzysząca im instytucya. Istniała już policya sekretna, jako stałe narzędzie rządowe w drugiej połowie XVIII wieku na Zachodzie, w Austryi, Prusiech, Francyi; w Rosyi od czasów odwiecznych miała swoje tradycye w starodawnem „*Słowie i Dielie*," a już za Katarzyny II była ześrodkowana porządnie w ręku władzy generał-gubernatorskiej. Rzplta polska aż do końca swego istnienia zgoła obchodziła się bez tej instytucyi. Wcześnie jednak prokonsulowie rosyjscy w Warszawie, poczynając od ks. Repnina aż do Igelstroma, poczynali stale trzymać na swoje usługi agentów tajnych w Warszawie. Aliści twórcą zorganizowanej policyi tajnej w Polsce, jej ojcem prawym, został dopiero Nowosilcow. Stało się to w tym samym czasie, kiedy przystępowano do stworzenia Królestwa Polskiego przy Rosyi i w jednem tchnieniu uznano konieczność stworzenia kompletnego systematu policyi tajnej na ziemiach polskich z Rosyą złączonych. W wyczerpującym memoryale w tej sprawie, wygotowanym przez Nowosilcowa dla Arakczejewa, mającego podówczas nadzór naczelny nad interesami b. Księstwa Warszawskiego, (z 12 października 1813 r.), zostały opracowane zasady wytyczne tajnej policyi rosyjskiej, — jako kontrpolicyi przeciw jawnej polskiej,—złożonej, pod kierunkiem Rosyan, z osób pochodzenia niemieckiego i żydowskiego, w pierwotnej liczbie 20 szpiegów na Warszawę a 50—100 na prowincyę, przy pierwotnym koszcie utrzymania 250 — 300 tysięcy złp., przyczem również było już przewidziane urządzenie tajnego nadzoru nad strażą leśną i celną oraz biuro do otwierania listów na poczcie warszawskiej. Na tych zasadach urządzona została Wyższa Wojskowa Sekretna Policya w Warszawie; w okresie przechodnim 1813—1815 r. kierowali nią policmajster Swieczyn i generał-major Lewickij; zaś od 1815 r., po ustaleniu Królestwa,—pułkownicy Van der Noot i Jerzy Kempen. Pod ich kierunkiem istniały dwa biura tajnej policyi: jednem zarządzał Mateusz Szley, były porucznik ułanów za Księstwa Warszawskiego, użyty przez rząd polski w 1809 r. do niebezpiecznej misyi rozpowszechnienia w Galicyi proklamacyj patryotycznych wzywających do powstania przeciw Austryakom, człowiek śmiały, lecz następnie zaprzedany, od 1818 r. sekretarz Kempena, od 1823 r., po jego śmierci, następca; drugiem zarządzał Henryk Mackrott, syn fryzyera, będącego już z czasów dawniejszych szpiegiem Igelstroma w 1794 r., sam jeszcze w wieku chłopięcym, jako uczeń szkoły Pijarów, oddany przez ojca Kempenowi i zapisany na listę szpiegowską, czynny od 1817 r., odkąd zaczął denuncyować kolegów szkolnych, potem wstąpiwszy na wydział medyczny uniwer-

sytetu warszawskiego, stały stąd donosiciel spraw i związków akademickich. Mackrott, ile sądzić można z jego doniesień, rzeczowo i wnikliwie dobrą francuszczyzną redagowanych, był w swoim fachu szpiegowskim człowiekiem wyższych uzdolnień; od listopada 1819 r. donosił on wprost generałowi Kurucie dla W. Ks. Konstantego, a nawet osobiście składał raporty pisemne i ustne W. Księciu. Osobno stała policya tajna zewnętrzna, ściągająca informacye nietylko z pozostałych dzielnic polskich, lecz oraz z bliższych i dalszych państw zagranicznych. Główny jej kierunek był w ręku generała Rożnieckiego; miał on sobie w szczególności powierzone referaty z Austryi i Prus; dalsze kraje, Niemcy południowe, Szwajcaryę, Francyę Anglię, miał sobie powierzone pułkownik żandarmeryi Sass. Ten ostatni, przy dwóch pomocnikach, Cheregrois i Petrowie, miał zresztą inną jeszcze najtajniejszą funkcyę: zdawanie do Petersburga doniesień bezpośrednich o samym W. Ks. Konstantym. Było nadto oddzielne biuro perlustracyjne wewnętrzne, którym zarządzał, pod kierownictwem Kuruty, pułkownik Segtynskij; zajmowało się ono w szczególności perlustracyą korespondencyi ministrów Królestwa oraz konsulów: pruskiego, austryackiego, francuskiego i angielskiego, urzędujących w Warszawie; zresztą wszystkie listy podpadały rewizyi; jedyny tylko wyjątek uczyniony był na wyraźny rozkaz W. Ks. Konstantego, dla jego małżonki, księżnej Łowickiej, która tym sposobem, jak się okazuje, była jedyną osobą, mającą pełne jego zaufanie, gdyż nawet brat, W. Ks. Mikołaj, późniejszy cesarz, poddawany był nadzorowi z polecenia W. Ks. Cesarzewicza. Nakoniec była tajna policya municypalna pod wiceprezydentem miasta Lubowidzkim. Lubowidzki, pod kierunkiem Rożnieckiego, utrzymywał też urzędowe biuro najmu służących przy ratuszu, użytkowane w ten sposób, że, pod presyą odmawiania świadectw służbowych oraz za stosownem wynagrodzeniem, zaprowadzone zostało tą drogą systematyczne szpiegostwo domowe u osób podejrzanych lub choćby tylko wybitnych; używano także tego biura dla innych celów nienadających się do bliższego wyszczególnienia. Na utrzymanie policyi tajnej, a przedewszystkiem politycznej, wewnętrznej i zewnętrznej, obracana była kwota 180,000 złp. rocznie, wyznaczona ze skarbu Królestwa przyczynienia się do wspólnych wydatków „dyplomatycznych;“ prócz tego ze skarbu rosyjskiego płacono na ten cel 14,000 dukatów rocznie, nie licząc funduszów z własnej kieszeni W. Ks. Konstantego w wypadkach lub czasach wyjątkowych, nieraz po paręset dukatów dziennie; nadto, w szczególności na wydatki policyi Lubowidzkiego płacone były kwoty, częstokroć

znaczniejsze, po kilkanaście tysięcy złp., z nadzwyczajnych funduszów dyspozycyjnych ks. Namiestnika. Liczba sprawdzona agentów tajnych przenosiła 200 osób, a była to niewątpliwie zaledwo część, gdyż sprawdzenie ich dokonywane później, w pierwszych tygodniach rewolucyi listopadowej, było nader niekompletne. Jedno tylko biuro Mackrota, utrzymujące 10 agentów, wydatkowało już w czasie procesu Łukasińskiego przeszło 20,000 złp., pod koniec około 40,000 złp. rocznie; w tym obrachunku rozchodów polegał zapewne główny zarobek szefów, którzy nominalnie płaceni byli dość licho. Całkowity koszt utrzymania policyi tajnej nie daje się ściśle obliczyć; w okresie pełnego jej rozkwitu wahał się w przybliżeniu około półmiliona złp. rocznie. Biura Mackrota i Szleya pracowały przeważnie dla samego W. Ks. Konstantego; z drugiej strony istniała ścisła łączność pomiędzy policyami Rożnieckiego i Lubowidzkiego, którzy zresztą z reguły znajdowali się w stosunku solidarności, informacyi i usług wzajemnych z Nowosilcowem, kiedy natomiast sami byli dozorowani niewidocznie przez policyę W. Księcia, którą oni znów śledzili na własną rękę. Wywiązywała się z tego plątanina nieraz wprost nierozwikłana; ci sami agenci służyli rozlicznym gałęziom policyi i kontrpolicyi, częstokroć rywalizującym między sobą, krzyżującym się i zwalczającym zawzięcie. Do najsprytniejszych agentów Rożnieckiego i Lubowidzkiego należał Józef-Mateusz (Joel-Mojżesz) Birnbaum, używany w 1813 r. przez Lewickiego, potem wdrożony przez Van der Noota, wyspecyalizował się następnie w zakresie wymuszań pieniężnych, zwłaszcza na byłych swoich spółwyznawcach, na rzecz swoją, Lubowidzkiego i Rożnieckiego; lecz ceniony dla swego wszechstronnego sprytu, był też posyłany w sprawach politycznych zagranicę: między innemi on to, zapisawszy się na uniwersytet wrocławski, pod przebraniem akademika podał jeden z pierwszych ścisłe informacye o związkach akademickich [1]). Doniesienia Birnbauma łącznie z denuncyacyami Mackrota dały powód do

[1]) Niektóre szczegóły o urządzeniu policyi tajnej znajdują się w Raporcie Komitetu do przejrz. papierów policyi tajn. ustan. 18 stycznia 1831 r. (w Warszawie 1831 r.); w piśmie Bazyl. Mochnackiego, Sprawa Birnbauma, 11 grud. 1830 r.; w Polaku Sumiennym, 1831 r., № № 158, 171, 178, 179 (lista agentów); w Hubego Michała (prezesa Kom. Rozpozn.) Russ. Schreck. u. Verfolg.—System dargest. aus offiz. Quellen (Paris, Heideloff, 1832); znaczna część papierów policyi tajnej, zabrana podczas rewolucyi, znajduje się w archiwum publ. i prywatn. w Poznaniu i Krakowie; część koresp. w Arch. Sztabu Głów. w Petersburgu.

pierwszych śledztw w sprawach akademickich już w początku 1820 r. z powodu wykrytych, w najogólniejszych dopiero zarysach, organizacyj młodzieży polskiej we Wrocławiu, w szkołach kaliskich oraz na uniwersytecie warszawskim. Stąd jeden tylko krok był do odkrycia Wolnomularstwa Narodowego.

W istocie wiadomość o istnieniu związku niebawem przedostała się do sfer policyjnych. Bardzo wcześnie, w początku 1820 r., jeśli nie wcześniej, zwęszył sprawę Nowosilcow, bez żadnych bliższych atoli szczegółów; doniósł zaraz Kurucie, ale, jak skarżył się później, „nie zwrócono na to wówczas żadnej uwagi.“[1]) Najprawdopodobniej W. Ks. Konstanty jeszcze wtedy nie chciał „zwracać uwagi“ na związek, którego półjawna idea zasadnicza, „narodowościowa,“ nie była mu obcą, a zdawała się jeszcze odpowiadać ówczesnej oryentacyi Aleksandra. Zarazem jednak wiadomość o związku dostała się do innych sfer z innej strony: przyjęty przez Łukasińskiego porucznik czwartego pułku Masłowski, urażony w swojej ambicyi — (niedopuszczono go powyżej pierwszego stopnia, choć w masoneryi zwyczajnej posiadał czwarty) — zdradził egzystencyę Wolnomularstwa Narodowego, jako nielegalnej gałęzi masońskiej, Wielkiemu Wschodowi warszawskiemu. Dowiedział się o tem Kozakowski już od samego Lubowidzkiego; było więc jasnem, że tędy dopiero policya tajna znajdzie się na dobre na tropie. Postrach padł na związkowych; jednakowoż Łukasiński nie okazał bynajmniej niepokoju; ku zdziwieniu mniej wtajemniczonych, wziął on na siebie ułożenie tej sprawy za pośrednictwem Węgrzeckiego i uzyskanie od Wielkiego Wschodu legalizacyi związku przy Wschodzie zwyczajnym; miał widać powody liczyć na pomoc Stanisława Potockiego i Rożnieckiego, jako naczelników Wielkiego Wschodu. Tymczasem wszakże sytuacya ogólna zaczęła się raptownie pogarszać; wpływ wypadków niemieckich już dawał się odczuwać, represya stamtąd poczynała odbijać się na Królestwie; wreszcie wybuchy rewolucyjne w krajach romańskich wniosły niepokój i do rządu i do grona słabszych związkowców. „Rewolucya neapolitańska—tak lapidarnie wyraża się jeden z nich — położyła wszystkiemu koniec“ w Wolnomular-

1) Nowosilcow do Aleksandra, 27 apr. 1822: „Cette société secrète a pris naissance en 1818 ou 1819... J'avais eu vent, à cette même époque, de quelque chose pareil, et j'en avais parlé au général Kourouta, mais il paraît, qu'alors on (ten eufemizm stale jest używany przez Nowosilcowa w jego korespondencyi z Aleksandrem i Mikołajem, ilekroć chodzi o W. Ks. Konstantego) n'a prêté aucune attention à cet égard.“

stwie Narodowem. W istocie, wszystkie te najrozmaitsze względy musiały skłaniać w tej chwili Łukasińskiego do zwinięcia związku, przynajmniej formalnie, dla oka, w dotychczasowej jego postaci. Przemawiała zatem i ostrożność, i widoczna już zmiana w nastroju rządu, i konieczność pozbycia się wątpliwych żywiołów związkowych, konieczność epuracyi pod pozorem rozwiązania. Rzecz była nadzwyczaj drażliwa. Skorzystał Łukasiński, zapewne w porozumieniu z Machnickim, z istniejących w łonie związku zatargów; był w tem dla trwożliwszych dogodny pretekst do zamknięcia organizacyi. Skrobecki, imieniem tych trwożliwych malkontentów, zasięgnąwszy opinii Machnickiego, a nieświadomie przez niego inspirowany, zgłosił się do Łukasińskiego i żądał zwinięcia związku. Łukasiński udzielił zgody i zgromadziwszy założycieli i głównych członków, ogłosił Wolnomularstwo Narodowe za rozwiązane. Stało się to pod koniec lata (w sierpniu) 1820 r.[1]) Był to akt z wielu względów analogiczny do rozwiązania rosyjskiego Związku Dobra Publicznego: w obu wypadkach naprawdę chodziło o epuracyę, o otrząśnięcie się od żywiołów wątpliwych, wyzwolenie się z pod czujności rządowej, oddychanie swobodą ruchów, jakkolwiek zresztą w obu wypadkach, zwłaszcza zaś przy zamknięciu organizacyi warszawskiej, nie było pierwotnie dalszego konkretnego planu działania, lecz jedynie dążność do zostawienia sobie otworu ewentualnego na przyszłość, stosownie do dalszego ukształtowania się okoliczności. Loże w Królestwie istotnie zostały zwinięte, ale na Litwie i w Poznańskiem pozostały i nadal; zaś na miejscu kapituły pozostał faktycznie ściślejszy wydział, złożony z najbliższych Łukasińskiego osób i ograniczający swoje czynności w zakresie najpoufniejszego osobistego porozumienia.

---

[1]) Zeznanie majora Kindlera, 27 apr. 1822: „La révolution de Naples mit fin à tout," z tym dodatkiem, że dopiero wtedy „à l'époque de la révolution de l'Italie" usunął się ze związku. Wprawdzie w zeznaniach Łukasińskiego i Skrobeckiego powtarza się nieokreślone zapewnienie, że rozwiązanie Wolnomularstwa Narodowego nastąpiło „w pierwszych miesiącach 1820 r.," lecz wobec powyżej przytoczonej informacyi Kindlera należy je odnieść do czasu, kiedy wiadomość o rewolucyi neapolitańskiej (z lipca) doszła do Warszawy, t. j. najwcześniej na sierpień; jest zresztą jedna skazówka, iż jeszcze obchodzony był w 1820 r. obchód żałobny w loży głównej warszawskiej (t. j. w d. 19 października). Łukasińskiemu oczywiście musiało zależeć na tem, aby datę zamknięcia Wolnomul. Narod. jaknajbardziej oddalić od daty założenia Towarzystwa Patryotycznego.

Jednakowoż to, co wedle myśli Łukasińskiego utrzymywane być miało narazie w granicach koncepcyi wyczekującej i ewentualnej, niebawem, pod wpływem pobudki zewnętrznej, pchnięte zostało ponownie na drogę czysto organizacyjną, prowadzącą raptownie do przekształcenia, rozszerzenia i pogłębienia samej organizacyi, a tem samem do wprowadzenia jej na płaszczyznę pochyłą, gdzie ani zahamować jej nie było sposobu, ani uchronić od ostatecznego rozbicia. Pobudka owa przyszła z Poznańskiego. Naczelnikiem tamtejszego Wolnomularstwa Narodowego, odkąd odrzuciło ono miarkujące wpływy warszawskie i wstąpiło w ostrzejsze stadyum spiskowe pod nazwą Towarzystwa Kosynierów, został generał brygady Nepomucen Umiński, waleczny żołnierz, ale warchoł, brutal, krzykacz, zjadany przez ambicyę, gotowy poświęcić życie sprawie krajowej, lecz niezdolny poświęcić jej swoich namiętności, człowiek bez głębszego o rzeczach pojęcia, bez rozwagi i zupełnie bez poczucia odpowiedzialności. Umiński przybył do Warszawy (28 kwietnia 1821 r.) „w prywatnych interesach świętojańskich," w rzeczywistości jednak celem reformy związku i ujęcia go w swoje ręce. Zgłosił się on natychmiast do Wierzbołowicza i zażądał widzenia się z Łukasińskim, którego jeszcze nie znał. Poznanie nastąpiło nazajutrz (30 kwietnia) w Łazienkach: Umiński wyraził Łukasińskiemu cel swego przybycia i zażądał wspólnej narady względem przetworzenia resztek związku warszawskiego w duchu dokonanej w Poznaniu odmiany. Niewątpliwie nie było to na rękę Łukasińskiemu, który ani do „gaskonad" poznańskich wogóle, ani do Umińskiego w szczególności nie miał zaufania. Ale opierać się było trudno, jeśli nie było już niepodobieństwem. „Nie czas zatrzymywać łódkę—pisze Łukasiński z powodu tej decydującej interwencyi Umińskiego—którą pęd wody unosi. Sądziłem nawet, iż jest moją powinnością wejść tam i wprowadzić niektóre światlejsze i pełne umiarkowania osoby, aby utrzymać Wielkopolanów mocą perswazyi, a tem samem zasłonić nas wszystkich od odpowiedzialności, która nad nami wisiała." Zebrano się 1 maja 1821 r. o wschodzie słońca w Potoku pod Warszawą; stąd udano się do lasku bielańskiego. Obecni byli: Łukasiński, Umiński, Prądzyński, Kozakowski, Szreder, Oborski, Sobański, Morawski, Kiciński, Jordan. Po gorącem przemówieniu Umińskiego, Morawski doręczył Łukasińskiemu ustawę Towarzystwa Kosynierów, spisaną nader drobnem pismem napółarkuszu; Prądzyński zatknął w ziemię szpadę, na której zawieszono medalion Kościuszki; wszyscy obecni za Umińskim powtórzyli

odczytaną z owej ustawy kosynierskiej następującą przysięgę: „Przysięgam w obliczu Boga i Ojczyzny i ręczę słowem honoru, że użyję wszelkich sił moich do wskrzeszenia mojej nieszczęśliwej lecz lubej Matki, że poświęcę dla Jej wolności i niepodległości nietylko mój majątek, ale nawet i życie... Przyrzekam największe posłuszeństwo prawom Towarzystwa już istniejącym i tym, które później jeszcze ustanowionemi będą. Bez względu na żadne okoliczności nie będę oszczędzać krwi nietylko zdrajcy, ale i każdego, któryby działał przeciwko dobru mej Ojczyzny. Gdybym w przypadku został zdradzonym lub odkrytym, wolę raczej utracić życie, aniżeli zdradzić tajemnicę, albo wydać osoby do Towarzystwa należące. Nakoniec przyrzekam nie trzymać przy sobie żadnych papierów tyczących się Towarzystwa, a tem mniej takowych, w którychby imiona osób były wzmiankowane, chybaby mi to było przez zwierzchność moją poleconem. Gdybym się dopuścił złamania tej najświętszej przysięgi,... niech mnie, jako zbrodniarza, spotka śmierć najokropniejsza... i niech ciało moje na pastwę drapieżnym zwierzętom wyrzuconem będzie... Wzywam Boga na świadka, a Wy, cienie Żółkiewskiego, Czarneckiego, Poniatowskiego, udzielcie mi Waszego sposobu myślenia, abym mógł zostać stałym w mem przedsięwzięciu.“ Cała ustawa rozpadała się na cztery tytuły: o Władzy Najwyższej, o Prowincyach, o Okręgach, o Utworzeniu Gmin, obejmujących 44 artykuły; rota przysięgi pochodziła z tytułu czwartego i stanowiła artykuł 35-ty. Przewidziany w ustawie układ organizacyjny polegał naogół na trójstopniowym, trójwentowym systemacie węglarskim, przystosowanym atoli do lokalnych warunków krajowych. Niezawodnie jednak ustawa w tej formie kompletnej — w jakiej też następnie została podyktowana z pamięci przez Łukasińskiego podczas jego powtórnych zeznań — nie była jeszcze wyrażoną w przyniesionem przez Poznańczyków na Bielany piśmie, lecz rozwiniętą została dopiero na następnych zasadach, przy głównem spółpracownictwie Łukasińskiego, w związku z zasadami kapitularnemi Wolnomularstwa Narodowego. W istocie pierwsza tego rodzaju narada organizacyjna odbyła się tegoż dnia (1 maja) wieczorem w mieszkaniu Kozakowskiego, przy udziale wszystkich obecnych na Bielanach, a nadto Wierzbołowicza i Dobrogojskiego, pod prezydencyą Umińskiego. Na tem pierwszem posiedzeniu organizacyjnem rozbierano kwestyę zasadniczą: czy potrzebne jest dla związku ustanowienie natychmiast władzy centralnej w Warszawie? Łukasiński był przeciwny, ale jego i Kozakowskiego przegłosowano, skoro Umiński oświadczył, że tylko

pod tym warunkiem związek poznański połączy się z warszawskim. Niezwłocznie też obrano Komitet Centralny Tymczasowy. Do tego Komitetu, wyobrażającego tymczasowo ową Władzę Najwyższą Towarzystwa, weszli: Wierzbołowicz, jako prezes, oraz Łukasiński, Kozakowski, Prądzyński, Szreder, Kiciński, Morawski i Sobański; na miejsce tego ostatniego, który już po paru dniach wyjechał do siebie na Ukrainę, wszedł jako zastępca, Machnicki. Narady organizacyjne odbywały się czas jakiś bez przerwy: właściwie sprowadzała się ta czynność do tego, że pierwotny tekst ustawy, opracowany przez Morawskiego i Kicińskiego, został poddany krytyce i przeróbce przez Łukasińskiego. Przy dyskusyi dochodziło do zatargów gwałtownych, zwłaszcza między Łukasińskim a Prądzyńskim, którzy się osobiście bardzo nie lubili. „Przyszło już raz było—pisze Łukasiński—do takiej scysyi, iż chciałem wszystko porzucić. Morawski i Prądzyński obstawali, ażeby prowincye wybierały reprezentantów i przysyłały do Warszawy; ci mieli Komitet Centralny sami składać. Ja widziałem skutki takiej niedorzeczności, iż reprezentacya skończyłaby się była na studentach stosownych prowincyj, którzy w Warszawie do szkół chodzą... Najbardziej intrygował Prądzyński, żeby mnie od Komitetu odsunąć.“ Łukasiński właściwie od pierwszego zaraz posiedzenia pragnął scentralizować zarząd związku przez postawienie na czele generała Kniaziewicza, ale został przegłosowany przez Prądzyńskiego, przeciwnego tej myśli. Podług § 7 ustawy, „cały kraj polski podzielony jest na 7 prowincyj, siódmą prowincyę składa wojsko;“ na prowincye wyznaczono: Warszawę, Wilno, Poznań, Lwów, Kraków; szóste miasto na Wołyniu lub Ukrainie miało być obrane przez Sobańskiego. Utworzenie prowincyi wymagało conajmniej trzech okręgów; komitet prowincyonalny składał się z 5-iu osób; skład jego osobisty znany był tylko prezesom okręgów, podobnież jak skład Komitetu Centralnego znany był tylko prezesom i namiestnikom prowincyonalnym. Okręg stanowiły 3 gminy conajmniej a 9 gmin conajwyżej; za utworzeniem się dziesiątej tworzył się nowy okręg. Gminę składały 3 osoby pod jednym obranym przewodnikiem; *maximum* członków gminy wynosiło 10 osób; po przystąpieniu jedenastej tworzyła się nowa gmina. Za sprawowanie się członków odpowiedzialną była gmina. Od członków przyjmowanych pobierano jednorazowe wpisowe stosownie do zamożności (I klasa — 10 dukatów, II—5, III—1, IV wolna od opłaty); nadto pobierano składkę miesięczną stałą (I klasa 20 złp. miesięcznie, II—5, III—1, IV — wolna od opłaty). Żadna suma pienię-

żna nie mogła być wypłacona bez upoważnienia Komitetu Centralnego.

Nie wchodząc narazie w szczegóły dalszego rozwoju Towarzystwa Patryotycznego — (takie imię przybrał związek, albo raczej takie pomiędzy uczestnikami utarło się imię, gdyż wprawdzie na żądanie Łukasińskiego nie przyjęto poznańskiej, nazbyt kompromitującej nazwy Towarzystwa Kosynierów, ale innej urzędownie nie ustalono) — ograniczamy się do wskazania działalności samego Łukasińskiego. Był on oczywiście naczelnikiem całego związku, gdyż szwagra swego Wierzbołowicza usunął jedynie dla pozoru na tytularnego przewodnika Komitetu Centralnego; a był też zarazem prezesem najważniejszej prowincyi Wojskowej. W tym ostatnim charakterze urządził on cztery okręgi: pierwszy, pod prezydencyą podpułkownika Oborskiego, w pułku trzecim i siódmym piechoty: drugi, pod prezydencyą majora Kindlera, w czwartym i ósmym pułku piechoty, przyczem w pułku czwartym były dwie gminy pod kapitanem Kozakowskim i Majewskim, w ósmym jedna pod kapitanem Kleczkowskim; trzeci okręg, pod prezydencyą kapitana Bartkiewicza, w pułku grenadyerów gwardyi pieszej; czwarty pod prezydencyą majora Płonczyńskiego, krzewiony był w pierwszej dywizyi piechoty; prócz tego do rozkrzewiania związku w kawaleryi przeznaczony był kapitan strzelców gwardyi Krzyżanowski. Po za tem zresztą Łukasiński przez Wierzbołowicza kierował osobiście rozszerzaniem związku we wszystkich innych prowincyach; wydawane w tym celu ekstrakty z ustawy związkowej sporządzane były przez brata Łukasińskiego, kalekę, którego charakter pisma nie był znany, a następnie doręczane przez Łukasińskiego pełnomocnikom związku [1]).

Ledwo jednak powstało Towarzystwo Patryotyczne, ledwo przez kilka miesięcy letnich 1821 r. poczynało rozwijać się ustawodawczo i rozkrzewiać, a już ze stron różnych poczynała zbli-

[1]) Kwestye merytoryczne dotyczące rozwoju Towarzystwa Patryotycznego, zostają tu pominięte. Narazie stwierdzamy tylko, że rozkrzewienie związku nietylko w tej pierwszej fazie pod Łukasińskim, lecz i w późniejszej pod Krzyżanowskim, trzymało się faktycznie w granicach dużo skromniejszych od późniejszych bajecznych opowieści. Ilość członków faktycznych, czynnych, wedle przypuszczenia naszego, nigdy liczby kilkuset nie przekraczała. Podana przez Mochnackiego II, 203, cyfra 5,000 już na r. 1822 (w dodatku jakoby „po większej części sami naczelnicy gmin“!?!), — poprostu wyssana z palca (może pomieszał ją z informacyą wolnomularską, gdyż ogół Wolnomularstwa — zwyczajnego, nie Narodowego — w Wielkim Wschodzie polskim wynosił

żać się katastrofa, która jeszcze tym razem oszczędzi samą organizacyę, lecz pochłonie kierownika, Łukasińskiego.

Z jednej strony w ciągu 1821 r. coraz bardziej rozszerzało się i zaostrzało śledztwo policyjne w sprawie związków akademickich polskich, mających pośrednio dosyć punktów stycznych, jak z dawniejszą organizacyą Wolnomularstwa Narodowego, tak z nową Towarzystwa Patryotycznego. Śledztwem tem ze szczególną troskliwością zajmował się Nowosilcow; dzięki denuncyacyom Birnbauma, Mackrota i innych szpiegów, poczęści tylko polegającym na materyale realnym, w części zaś przeważnej na domysłach, plotkach, wierutnych fałszach, a nawet na pozytywnej, nieraz wcale misternej robocie prowokatorskiej, Nowosilcow potrafił na seryo zaniepokoić Aleksandra. Latem t. r. nastąpiły liczne aresztowania studentów polskich w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, pochwycono papiery mające udowodnić istnienie ligi akademickiej pomiędzy studentami wszystkich uniwersytetów dawnej Polski, więc Warszawy, Krakowa, Wilna, oraz studentów Polaków na uniwersytetach niemieckich. Aresztowanych studentów trzymano pierwotnie w ratuszu warszawskim i Marywilu; potem w klasztorze Dominikanów, wreszcie, w miarę napływu aresztantów, w klasztorze Karmelitów na Lesznie. Skutkiem naglenia Nowosilcowa, Aleksander zezwolił na utworzenie przedwstępnego Komitetu poufnego, dla zbadania tych rzeczy; ten Komitet, zrazu w formie nieurzędowej, odbywał od początku września 1821 r. narady w mieszkaniu Nowosilcowa we Frascati; jednak rozważniejsi członkowie tych narad, w szczególności minister spraw wewnętrznych Tadeusz Mostowski, oraz dyrektor generalny Komisyi sprawiedliwości Woźnicki, ten ostatni zwłaszcza z zaszczytną energią i odwagą, opierali się pierwotnie gwałtownym wnioskom represyjnym Nowosilcowa i sekundującego mu Stanisława Grabowskiego. Tem silniej napierał Nowosilcow: chodziło mu wszak nie o drobną stosunkowo sprawę studencką, ale o kwestyę największej wagi: o skompromitowanie ministra oświaty, a wielkiego mistrza Wielkiego Wschodu polskiego, Stanisława Potockiego, o zamknięcie całej masoneryi polskiej, zakaz wszelakich stowarzyszeń tajnych,

w chwili zwinięcia w 1822 r. około 5,000 osób). Warto obaczyć, jak skwapliwie fałszywą wiadomość Mochnackiego wyzyskuje Schieman, który z owej cyfry 5000 „naczelników“ wyrachował „mindestens 250.000, auf welche der Bund als auf brauchbare Werkzeuge... rechnete.“

ba, nawet o zawieszenie konstytucyi — o czem wszak było już napomknienie w odezwie pośrednio od tronu pochodzącej z maja t. r. — słowem o zainaugurowanie stanowczej i zupełnej reakcyi w Królestwie Polskiem. Rozwinął całą swą sztukę denuncyatorską, aby nietylko pociągnąć na tę drogę monarchę, lecz także, aby nastraszyć W. Ks. Konstantego, który okazywał mu bardzo wyraźnie pogardliwą nieufność. Wtedy to, w lipcu 1821 r., ukazały się naprzód na drzwiach Biblioteki Publicznej wypisane kredą, potem na kolumnach i szybach bibliotecznych nakreślone ołówkiem czerwonym tajemniczo zapowiedzi, iż „życie W. Księcia będzie w niebezpieczeństwie w 1822 r.“ — najczystsza oczywiście robota policyjna. Wszystkie te sztuki Nowosilcowa, jakkolwiek pierwotnie częściowo tylko cel swój osiągnęły, jednak wytwarzały atmosferę zatrutą, niebezpieczną, brzemienną dalszemi odkryciami śledczemi, do których każda pobudka zewnętrzna mogła dostarczyć pożądanego materyału [1]).

Z takim materyałem zgłosił się — jak się zdaje pod koniec lata 1821 r. — zdrajca Sznayder. Trudno określić, czy chodziło mu o zapłatę, czy też o pozyskanie poparcia w brzydkiej sprawie karnej o wielożeństwo, w jaką podówczas się wplątał. Dość, że stawił się przed Kurutą i odkrył istnienie Wolnomularstwa Narodowego, o którem miał wiadomość dokładną, oraz Towarzystwa Kosynierów, o którem posiadał informacye mniej ścisłe, lecz dostateczne, aby zgubić uczestników a zwłaszcza Łukasińskiego, gdyż przeciw temu głównie zwracała się jego denuncyacya. W. Ks. Konstanty jednakowoż postąpił w tym wypadku z wyrozumiałością i rozwagą nadzwyczajną, zgoła przeciwną jego temperamentowi, a tem samem już nasuwając przypuszczenie, że przynajmniej część odkryć Sznajdra była mu z góry wiadomą i że rozmazywania ich sobie nie życzył. W istocie, zażądawszy tylko relacyi od Skrobeckiego, W. Ks. Konstanty wezwał do siebie we wrześniu 1821 r. Łukasińskiego. Odbyła się między nimi rozmowa na cztery oczy. Co między nimi dwoma, W. Ks. Cesarzewiczem a majorem — naczelnikiem związku tajnego polskiego, było mówione na tej rozmowie w Belwederze w gabinecie Konstantego — tego stwierdzić autentycznie nie mamy sposobu, i to, być może, pozostanie zagadką. Tyle pewna, że Łukasiński wezwany był do tłómaczenia się nie jako winowajca, ale raczej jako przyjaciel. Wprawdzie

[1]) Nowosilcow do Aleksandra, 24 mai, 8, 29 juin, 6, 13 juill., 3, 14 sept., 2, 17 novemb. 1821.

pułk czwarty piechoty, który jeszcze w roku zeszłym za bytności monarchy był szczególnie odznaczony na manewrach jesiennych, obecnie właśnie, w sierpniu 1821 r. został skarcony po raz pierwszy rozkazem dziennym W. Księcia, obostrzającym w trójnasób wyrok sądu wojennego pułkowego na dwóch podsądnych szeregowców tego pułku [1]). Ale jeszcze do Łukasińskiego tym razem przemówił Cesarzewicz z względnością i zaufaniem. W paru z późniejszych zeznań Łukasińskiego mieszczą się niektóre oderwane szczegóły tej ciekawej rozmowy, nie zawierające oczywiście całej prawdy, bo obliczone na to, aby i nie narażać W. Księcia i nie narazić się mu w dokumentach zeznawczych, przeznaczonych dla zbiorowej wiadomości Komisyi Śledczej, ale bądźcobądź charakteryzujące nastrój owej rozmowy. Wzmiankuje tedy Łukasiński o „wspaniałomyślności, z jaką się ze mną obszedł W. Książe," a która „tak mnie wzruszyła, że chciałem się rzucić mu do nóg i wszystko wyjawić." „Wszystko" — znaczyło tu zapewne owe dalsze konsekwencye organizacyjne, pod postacią nieznanej niewątpliwie W. Księciu tegorocznej organizacyi kosynierskiej czy patryotycznej, wynikłej ze znanej mu prawdopodobnie organizacyi wolnomularsko-narodowej. Jednak tego ryzykownego kroku Łukasiński nie zrobił, „przywykły czynić rzeczy z rozwagą a pomnąc, że tajemnica ta nie jest moją własną." „Uważałem — dodaje—iż W. Książe obrażał się, gdym się namyślał, kiedy mi jakiego wyrazu brakowało; widać, iż to innej przyczynie przypisywał." Natomiast, jak się zdaje, na żądanie W. Księcia musiał dać mu „słowo honoru, iż już do niczego należeć nie będę." Musiał W. Ks. Konstanty udzielić Łukasińskiemu wynurzeń daleko idących oraz zapewnień pełnej bezkarności dla ogółu związkowców, skoro później mógł Łukasiński wyrazić zdanie, że „był to jeden moment zagodzenia wszystkiego, ...jeden moment byłby może zakończył wszystko." Jednakowoż — pomijając już kwestyę, o ile na przyrzeczeniach wielkoksiążęcych można było polegać, — nie o bezkar-

[1]) Najwyższy rozk. dzienny 10 wrześn. 1820 r.; rozkaz dzienny W. Ks. Konstantego 25 sierpnia 1821 r., № 45: „rozważywszy wszystkie okoliczności tyczące się ucieczki tych dwóch wojskowych (żołnierza Fryd. Rudolphi i niefrontowego Kaz. Krauze z pułku 4-go, skazanych wyrokiem pułkowym na dwa miesiące więzienia) osądziłem potrzebnem zaostrzyć wyznaczoną na nich karę, rozkazując, żeby uwięzionymi zostali przez miesięcy 6 w twierdzy Modlinie, przez który przeciąg czasu użyci być mają do robót w twierdzy." Jeden z licznych przykładów nadużywania przez Cesarzewicza jurysdykcyi wojskowej.

ność wszak chodziło, ale samo podjęte dzieło. Łukasiński, milcząc, spełnił swoją powinność. Z drugiej strony, czuł się związany danem słowem honoru. „W istocie, — zapewnia w późniejszem zeznaniu, a mogło w tem być tyle prawdy, że odtąd z konieczności akcyę własną ograniczył do minimum — nietylko wszystko porzuciłem, ale nadto trzymałem dziennik, w którym zapisywałem, co w którą godzinę czyniłem i gdzie byłem, ażebym mógł w razie podejrzenia usprawiedliwić się.“

Całe to śledztwo wrześniowe 1821 r. trzymane było przez W. Ks. Konstantego w największej tajemnicy. Ani o denuncyacyi Sznaydera, ani o swojem widzeniu się z Łukasińskim nie powiadomił nikogo, ani Namiestnika, ani nawet Nowosilcowa, ani naczelników policyi tajnej, Rożnieckiego i Lubowidzkiego. Ale milczenie Łukasińskiego wywołało jego podejrzliwość. Wkrótce doszło do ostrego zatargu z powodu sprawy majora Gołaszewskiego: szczegóły nie są bliżej znane; Łukasiński, jako członek sądu wojennego nad tym oficerem, miał odmówić podpisania przysłanego przez Kurutę, zredagowanego już z góry wyroku i skłonić sąd do wydania samodzielnego, łagodniejszego orzeczenia; po powrocie do domu został aresztowany, niebawem przeniesiony na reformę i natychmiast wysłany z Warszawy, naprzód do Krasnegostawu, potem do Łęczny i Siedlec, przy sztabie dywizyi ułanów, osobiście wolny, lecz właściwie internowany a oddany pod nadzór specyalny generała ks. Adama Wirtemberskiego. Działo się to w początku grudnia 1821 r.[1]) Zarazem zarządził W. Ks. Konstanty, ciągle w najściślejszym sekrecie przed Nowosilcowem, Rożnieckim, Lubowidzkim, na własną rękę, przez Mackrotta, śledztwo tajne w opróżnionem mieszkaniu Łukasińskiego w Warszawie, celem odszukania papierów związkowych. Robota była drażliwa, a nawet zdaniem Mackrotta „bardzo niebezpieczna,“ gdyż w tym samym domu byli zakwaterowani żołnierze niefrontowi z pułku grenadyerów gwardyi, którzy, przyłapawszy szpiegów, mogliby obejść się z nimi niedelikatnie; chodziło też o to, aby przedwcześnie nie zaniepokoić

[1]) Rozkaz dzienny W. Ks. Konstantego 26 listopada (8 grudnia) 1821 r.: „Przechodzi na reformę z pułku 4-go liniowego major Łukasiński.“ Ks. Wirtemberski był w stałych stosunkach z policyą; to też na liście alfabetycznej „osób należących do tajnej policyi rządu zeszłego“ ogł. podczas rewolucyi w czerwcu 1831 r., figuruje pod literą W: „Wojtaczyński dymisyonowany żołnierz, Jego Królewska Wysokość Ks. Adam Wirtemberski b. generał, Walter, dawniej posługacz w loży wolnomularskiej, Wejman Izrael“ i t. d.

Łukasińskiego. Jeden ze sprytniejszych agentów tajnych, Ludwik Grünberg, przebrany za pisarza biura wojskowego, wynajął pod koniec grudnia mieszkanie w tym domu; następnie, z zachowaniem wszelkich ostrożności, w drugiej połowie stycznia wprowadził on tam po północy Mackrotta i Szleya, dokonano szczegółowej rewizyi, lecz nic nie znaleziono; w początku lutego, przez dziewczynę pewną, kochankę lokaja Łukasińskiego, zrewidowano kufer przez niego zostawiony, lecz znaleziono tam tylko książki, papierów żadnych. Koszt tych nader skrupulatnych badań likwidował Mackrott na 1216 złp.[1]) Nie zaniechano jednak dalszych poszukiwań; oddano też pod ścisły nadzór tajny samego denuncyanta Sznaydra; tę ostatnią czynność powierzył Mackrott podrzędnemu agentowi Szymanowskiemu, który, jak się zdaje, sprzedał sekret Rożnieckiemu: i tym sposobem dopiero pierwsza, bardzo jeszcze niejasna wiadomość o całej tej sprawie, zaczęła przenikać do Nowosilcowa.

Ale ostatnie uderzenie przyjść miało zzewnątrz, zdaleka. Prowadzone śledztwo w sprawach studenckich zostało nasamprzód poparte—z Berlina. Tamtejszy poseł rosyjski, Dawid Alopeus, będący zarazem kreaturą rządu pruskiego, u którego był umocowany, w końcu grudnia 1821 r. doniósł Nesselrodemu, że władze berlińskie mają do dyspozycyi warszawskich ważne wyniki swoich własnych poszukiwań śledczych. Zaraz też w styczniu 1822 r. wysłany został obrany przez Nowosilcowa prokurator Faleński, zajmujący się dotychczas indagacyą młodzieży w Warszawie, jeden z najnikczemniejszych przedstawicieli magistratury ówczesnej Królestwa[2]). Ta pomoc pruska była niezmiernie na rękę Nowosilcowi (o ile nie była przez niego sprowokowaną za pośrednictwem konsula generalnego pruskiego w Warszawie Schmidta), który w możliwie najszerszem rozdmuchnięciu procesów studenckich, a stąd wogóle politycznych, widział sposób skuteczny, dźwignię archimedesową do zaatakowania całego bytu konstytucyjnego kraju. Jego raporty do Aleksandra z tego czasu, końca 1821 i początku 1822, są najwidoczniej przeniknione intencyą przerażenia monarchy, wywołania w nim paniki, powodującej następnie środki wyjątkowe,

[1]) Raporty Mackrotta 18 (=30, wszystkie daty na jego raportach są st. stylu), 19, 21, 24, 26 grud. 1821, 12, 23, 25 stycz., 7 kwiet. 1822.

[2]) Alopeus do Nesselrodego, Berlin, le 20 nov. (2 déc.) 1821 (depesza ta została zakomunikowana W. Ks. Konstantemu 12 stycz. 1822 w Kownie); Nowosilcow do Zajączka, 23 janv. 1822 r.; Faleński wysłany w końcu stycznia (pierwsza asygnacya 28 stycz.).

niekonstytucyjne [1]). W tym samym czasie dorwał się nareszcie Nowosilcow do owego utrzymanego przed nim sekretu, t. j. donosów Sznaydra; kazał go sobie zaraz sprowadzić, rozpytał go drobnostkowo i z największemi szczegółami, polecił mu złożyć na piśmie całe jego zeznanie. W. Ks. Konstanty objawił najmocniejsze niezadowolenie z powodu tej gorliwości Nowosilcowa; na owem zeznaniu pisemnem sam położył własnoręczne najpogardliwsze uwagi; uznał Sznaydra za łotra, co było prawdą zupełną, a denuncyacye jego za całkowicie potwarcze, wyssane z palca, co już było tylko częścią prawdy. Kiedy zaś Namiestnik, Zajączek, odpowiednio nastrojony przez Nowosilcowa, wyraził się, iż wierzy w zasadność relacyi Sznaydra, gdyż „sam nie ufa swemu narodowi, bo go zna, skłonny jest zatem mniemać, że to, co doniesiono o rzeczonych towarzystwach (tajnych), jest aż nadto prawdziwem,— wtedy W. Ks. Konstanty w największej pasyi wpadł na Zajączka i oświadczył mu w żywe oczy, „że on, Cesarzewicz, choć cudzoziemiec, jest przecie lepszym Polakiem od księcia Namiestnika, i że sam podejmuje się bronić Polaków przed Monarchą“ [2]). Tym sposobem ciągle jeszcze ograniczano się urzędownie do badań w sprawie studenckiej, i jeszcze w początku marca, w postaci zresztą dziwnie nielegalnej, przez „ustne polecenie“ (*sic*) Namiestnika, ustanowiona pod prezydencyą Haukego „Komisya do uskutecznienia śledztwa względem odbytego w Warszawie tajemnego związku pod tytułem związku przyjaciół,“ pomimo długiej swej nazwy, miała wyłącznie za zadanie indagacyę w przedmiocie owej „Pantakoiny“ i pokrewnych organizacyj akademickich [3]). W tem

[1]) Nowosilcow do Aleksandra 17 nov., 2 déc. 1821, 7 janv., 23 févr., 13 avr. 1822 (romantyczna historya zrabowania papierów dyplomatycznych feldjegra, wracającego z Berlina, przedstawiona Aleksandrowi, jako tajemniczy „complot,“ a jak się następnie okazało, prosta kradzież żołnierza i t. p.).— Zakaz stowarzyszeń tajnych, zawarty już w dekrecie Namiestnika z 6 listop. 1821, jednak został obowiązującym dopiero od daty ogłoszenia, 16 grud., por. Dzienn. pr. VII, 259.

[2]) Nowosilcow do Aleksandra, 27 avr. 1822: „S. A. J. a pris de l'humeur et a dit au prince Zajączek en ma présence des choses assez désagréables, comme par exemple, qu'il était, Lui, Monseigneur, quoique étranger, meilleur Polonais que le prince et qu'il prenait sur Lui de défendre les Polonais auprès de Votre Majesté.“

[3]) „Ustne zlecenie“ Namiestnika 6 marca, dopiero *ex post* zatwierdzone na nadzwyczajnem posiedzeniu Rady Administr. 8 marca 1822; ale pierwsze posiedzenie urzędowe Komisyi (w klasztorze dominikanów) odbyło się już 6 marca; raport Komisyi 19 czerwca 1822.

miejscu jednak przyszło powtórne, tym razem stanowcze ostrzeżenie policyjno-dyplomatyczne z zagranicy—a mianowicie z Paryża, od jednego z największych wrogów sprawy polskiej, tamecznego posła rosyjskiego Pozzo di Borgo. Stosunki związków tajnych polskich z Paryżem, były w ich działalności punktem najniebezpieczniejszym, najstaranniej też strzeżonym. Że istniały, nie może ulegać wątpliwości; w jakiej dokładnie postaci i rozmiarze—nie daje się dziś ściśle określić. Łukasiński umyślnie baczył, aby nie kompromitować się z tej strony. Nie zapobiegł jednak temu, że w Paryżu znalazły się osoby mniej pewne i mniej pozostające w styczności ze związkiem; był też między niemi znajomy Dobrogojskiego, młody Wielkopolanin Arnold Skórzewki. W końcu 1821 r. niejaki Jan Karski, były kapitan artyleryi za Księstwa, również za pośrednictwem łatwowiernego Dobrogojskiego, podjął się załatwić polecenia poufne w Paryżu. Łukasińskiemu wtedy bardzo zależało na tem, aby umieścić w pismach opozycyjnych francuskich zredagowany przez siebie artykuł, pod postacią korespondencyi z Warszawy, gdzie odsłaniał zarówno dokonywane w Królestwie represye przeciw młodzieży akademickiej, jakoteż przygotowania rządu celem utworzenia większości rządowej na przyszłym sejmie; był więc o tyle nieostrożny, że dał zgodę na użycie w tym wypadku pośrednictwa Karskiego. Karski otrzymał pieniądze na drogę; wyjechał z Warszawy w początku stycznia 1822 r., zatrzymał się w Kaliszu, gdzie miał oddać list Dobrogojskiego Dobrzyckiemu, w połowie stycznia był w Dreźnie, gdzie napróżno starał się wybadać Kniaziewicza, stąd udał się do Paryża. Podejmując się misyi, nie był on jeszcze szpiegiem urzędowym; ale spędziwszy kilka tygodni w Paryżu, gdzie powierzone sobie papiery — wspomniany artykuł i list do deputowanego Etienna — oddał Skórzewskiemu, potraciwszy co miał, postanowił sprzedać się. Udał się tedy w końcu lutego do ambasady rosyjskiej, zameldował się posłowi Pozzo di Borgo, i odkrył mu istnienie rozległej „konspiracyi," wygadał wszystko, co wiedział, poczem, oświadczywszy, że został „okradziony," poprosił o zasiłek. Pozzo, ostrożny, pieniędzy nie dał, kazał przyjść za tydzień i przynieść denuncyacyę na piśmie; tymczasem zaś zwrócił się do policyi politycznej paryskiej,— która, jak się okazuje, była najzupełniej na jego usługi do tego rodzaju funkcyi — zalecił jej zastosowanie tajnego nadzoru nad Karskim oraz wszystkimi przez niego zadenuncyowanymi Polakami, przemieszkującymi w Paryżu. Sprawdziwszy tym sposobem ścisłość informacyi Karskiego o jego stosunkach ze Skórzewskim i odebrawszy po tygodniu ową denuncyacyę pisemną, wręczył do-

nosicielowi skromny zadatek 300 fr. i o wszystkiem doniósł Nesselrodemu do Petersburga. Trafnie zaś sądząc, że najskuteczniej będzie można zużytkować Karskiego w Warszawie, skłonił go do powrotu, wypłaciwszy mu dalsze 2000 franków, przyczem tak się z nim ułożył, że Karski zobowiązał się za powrotem naprzód możliwie kompromitować członków związku, a potem dać się aresztować. Karski istotnie w maju wrócił, lecz w wykonaniu ułożonego planu skutkiem nieporozumienia ze strony policyi, czy też zbytniej jej gorliwości, został aresztowany na samej granicy i przywieziony do Warszawy. Zepsuło to poczęści szyki; częściowo naprawiono rzecz w ten sposób, że Karski już w Warszawie, w więzieniu napisał podyktowany mu przez policyę list do Dobrzyckiego, datowany rzekomo przed przejściem granicy, we Wrześni, i rzekomo u niego pochwycony przy aresztowaniu, a odsłaniający, pod pozorem relacyi z misyi paryskiej, istnienie tajnego związku i kompromitujący imiennie Dobrzyckiego i towarzyszy[1]). W. Ks. Konstanty, zawczasu z Petersburga i wprost z Paryża poinformowany o odkryciach Karskiego, spotykających się w wielu punktach z wcześniejszemi doniesieniami Sznaydra, teraz dopiero wziął rzecz całkiem na seryo i dał swobodę działania Nowosilcowi. Pisemne czynności śledcze prowadził pod bezpośrednim kierunkiem W. Księcia rosyjski ober-audytor sztabu generalnego Cesarzewicza, Jowiec, w największej tajemnicy przed związkowcami, nad którymi już wisiała zguba. Jeszcze w maju Łukasiński nie

[1]) Świadectwo abszytowe Karskiego (odbył kampanie 1809, 12, 13 r.) wyd. przez Wielhorskiego, 30 grud. 1815; paszport na wyjazd zagranicę wydany mu w Warszawie 13 grud. 1821, wizowany w Kaliszu przez komendanta placu 9 stycz. 1822, w Dreźnie 17 stycz., we Frankfurcie a. M. 25 stycz. 1822; w Paryżu zameldowany w hotelu Poniatowski, rue de Cléry, 1 lut.; zgłosił się do Pozza 28 lut.; notes policyi paryskiej dla Pozza, 20 avr.; Pozzo do Nesselrodego, Paris, 9 mar., 1, 21 avr., 4 mai; do W. Ks. Konstantego 12 avr.; W. Ks. Konstanty do Pozza, 19 mai; denuncyacya pisemna Karskiego (b. d.) dołączona do powyższych depesz Pozza; jego kwit własnor. na 2000 fr., dat. Paris. 26 avr. 1822; ułożone w policyi pismo Karskiego do Dobrzyckiego, „we Wrześni, 18 maja 1822," zaczynające się od słów „Kochany Dobrzysiu" a kończące: „bądź zdrów, kochaj mnie;" ułożone tamże, obciążające jego zeznanie warszawskie, 4 czerw. 1822. Informacye powyższe głównie wedł. Akt. min. spr. zagr. w Petersburgu. — Artykuł Łukasińskiego ogł. został w Constitutionnel, lundi, 18 févr. 1822, jako korespondencya z Warszawy, d. d. 27 janvier, t. j. z datą późniejszą dla niepoznaki; jest zredagowany bardzo zręcznie (zapewne przy udziale Machnickiego).

wiedział o niczem; wzięto od niego urzędową deklaracyę piśmienną, jaką odbierano wtedy od urzędników cywilnych i wojskowych na skutek zakazu towarzystw tajnych, iż do żadnego takiego towarzystwa nie należy. Nagle rozpoczęto aresztowania: wzięto nasamprzód w Kaliszu: Dobrzyckiego; b. porucznika Józefa Nagórskiego, szpiega, którego poprzednio przydano Dobrzyckiemu, jako pomocnika w urzędzie dla pilnowania go; b. kapitana obywatela ziemskiego, odgrywającego w tej sprawie niezbyt jasną rolę zapewne przez tchórzostwo; Jana Hugona Koszutskiego, assesora trybunału kaliskiego, dawniej studenta wrocławskiego, dzielnego, niezłomnej duszy człowieka; Antoniego Kolińskiego, też b. studenta wrocławskiego, teraz sekretarza prezydenta Komisyi wojewódzkiej kaliskiej; Ignacego Bobrowskiego i Michała Życa, urzędników biurowych tejże Komisyi, obu b. akademików wrocławskich. Zarządzono najściślejsze poszukiwania w Kaliszu i rzeczywiście w aktach deponowanych kontroli Komisyi wojewódzkiej znaleziono ów egzemplarz rytuału loży drugiego stopnia Wolnomularstwa Narodowego, pisany ręką Łukasińskiego a doręczony Dobrzyckiemu, który go w tych aktach ukrył. Prócz tego miano w ręku inny dokument, daleko ważniejszy pod względem treści, lecz w formie niedość autentyczny: odpis czwartego tytułu ustawy Towarzystwa Patryotycznego o utworzeniu gmin, dostarczony przez Sznaydra. Ponieważ obadwa dokumenty były ułamkowe, a nie posiadano dość dokładnych wiadomości o egzystencyi dwóch odrębnych organizacyj: Wolnomularstwa Narodowego i Towarzystwa Patryotycznego, więc niebardzo umiejąc je pokombinować, przypisywano jednej organizacyi wspólnej. Następnie aresztowano w Warszawie: Łukasińskiego (którego tymczasem sprowadzono z prowincyi jeszcze na wolnej stopie), Machnickiego i Adolfa Cichowskiego, b. porucznika, wtedy inspektora soli w Sieradzu [1]).

W początku lipca ustanowioną została dekretem Namiestnika nowa specyalna „Komisya śledcza względem wyśledzenia Wolnomularstwa Narodowego," złożona z najnikczemniejszych kreatur

[1]) Nowosilcow do Aleksandra, avril № 15 (w brulionie bez daty; z tego raportu widać, że Nagórski, który poprzednio otrzymał 800 rs., a teraz dodatkowo 100 dukatów, posłany był do Kalisza dla szpiegowania Dobrzyckiego), 27 avr., 17, 24 mai (dopiero 23 maja dowiedział się Nowosilcow od W. Księcia o aresztowaniu Karskiego), 1 juin 1822 (donosi o skonfrontowaniu Dobrogojskiego z Karskim w pałacu Brühlowskim i przyznaniu się zaskoczonego Dobrogojskiego).

Nowosilcowa: referendarza stanu Hankiewicza, Faleńskiego, prokuratora generalnego Podoskiego i radcy stanu Ilnickiego, przy udziale oberaudytora Jowieca, a pod faktycznym kierunkiem samego Nowosilcowa. Rozpoczęła ona swe czynności z początku sierpnia; w listopadzie uwolniła z więzienia Karskiego, Nagórskiego i Stamirowskiego; w początku czerwca 1823 r. wygotowała raport wnioskodawczy. W czasie śledztwa główni oskarżeni, osadzeni u Karmelitów, idąc za Łukasińskim, zajęli jedynie trafną postawę. A mianowicie Łukasiński przyznał przedstawiony sobie rytuał wolnomularsko-narodowy, przez siebie pisany,—ale zaprzeczył wręcz, aby wiedział cokolwiek o owym drugim dokumencie, tytule o gminach. Przyznawał istnienie Wolnomularstwa Narodowego, sprowadzał je do założeń legalnych, powoływał się na jego zamknięcie przed zakazem towarzystw tajnych z grudnia 1821 r. Ta obrona była tak konsekwentnie przeprowadzona we wszystkich jego zeznaniach, że mogłaby wyprowadzić ze zguby podsądnych — gdyby nie to, że jeden z nich, Dobrogojski, dał się oszukać interwentom, jakoby Łukasiński, Koszutski i Dobrzycki przyznali tytuł o gminach,— (jak się zdaje, okazano Dobrogojskiemu rzekome w tym względzie protokóły zeznawcze ze sfałszowanemi podpisami tamtych trzech, sposób stale w tej sprawie stosowany przez Nowosilcowa)—i wobec rzekomego ich przyznania, sam przyznał rzeczony dokument, a tem samem przypieczętował los swój własny i współoskarżonych. Raport Komisyi z czerwca 1823 r., nadzwyczaj zjadliwy i surowy, osłaniał jedynie donosicieli: Sznaydra, Karskiego, Nagórskiego i Stamirowskiego, niektórych innych, wplątanych ubocznie, jak np. Węgrzeckiego, uznawał za zasługujących na pewne uwzględnienie, najsurowiej natomiast zwracał się przeciwko Łukasińskiemu, Machnickiemu, Dobrzyckiemu i Koszutskiemu, zwłaszcza zaś przeciw Łukasińskiemu, uznanemu za *„principal moteur et chef.“* Powstawała również Komisya na nieprzełamany upór Machnickiego, który na wszystkie sztuki i groźby indagacyjne, odpowiadał jednostajnie takim dosłownie dylematem: „Albo rzecz, o którą pytany jestem, jest mi wiadoma, albo nie. W pierwszym przypadku postanowiłem nic nie wyjawić; w drugim — nic wyjawić nie mogę.“ Aleksander, przejeżdżając przez Warszawę dwukrotnie w czasie śledztwa, w samym jego początku, pod koniec sierpnia 1822 r., i pośrodku, w końcu stycznia 1823 r., był o przebiegu dokładnie informowany. W początku września 1823 r. podczas bytności monarchy w Brześciu, Nowosilcow przedstawił mu w imieniu swojem i Namiestnika Zajączka konieczność ustanowienia wyjątkowego Sądu Wojennego dla osądzenia sprawy

Łukasińskiego i towarzyszy, celem obejścia sądów zwykłych, na których trudno polegać; Aleksander wyraził na to w zasadzie zgodę, pod warunkiem, aby stosowny wniosek był mu przedstawiony przez Namiestnika, aby *odium* tego nieprawnego sądzenia nie spadło bezpośrednio na koronę. Zajączek istotnie w październiku 1823 w raporcie na Najwyższe imię zaproponował Sąd Wojenny, który też został ustanowiony dla sprawy Łukasińskiego mocą woli Najwyższej objawionej w styczniu 1824 roku. Rozkazem W. Ks. Konstantego z lutego do składu tego „Sądu Wojennego Najwyższego (*Conseil de guerre suprême*) w zastępstwie Sądu Sejmowego“ wyznaczeni zostali: generał dywizyi Hauke, dowódca korpusu artyleryi i inżynierów, jako prezes, generałowie brygady Kurnatowski i Blumer, pułkownicy Bogusławski i Skrzynecki, jako członkowie; oskarżać miał pierwotnie audytor generalny Krysiński, lecz ostatecznie na jego miejsce wszedł audytor Tarnowski, przy trzymającym pióro sekretarzu Kalińskim. Oddanych pod sąd było sześć osób: Łukasiński, Machnicki, Dobrogojski, Dobrzycki, Szreder i Koszutski. Łukasińskiego bronił mecenas Tokarski, Machnickiego—mec. Torosiewicz, Dobrogojskiego—mec. Krzywoszewski, Dobrzyckiego—mec. Majewski, Szredera—mec. Kiedrzyński, Koszutskiego — mec. Ogrodowicz. Sąd rozpoczął posiedzenia 3 czerwca 1824 r. i kontynuował je w sześciu seryach 4, 5, 8, 9 i 10 czerwca na odczytywaniu zeznań i akt, poczem, wysłuchawszy w trzech dalszych seryach 11, 12 i 14 t. m. mowy oskarżycielską i obrończe, wydał ostatniego dnia 14 czerwca, wyrok, skazujący Łukasińskiego na 9 lat ciężkiego więzienia, Dobrogojskiego i Dobrzyckiego na 6 lat; pozostałych trzech uwolniono, z oddaniem ich pod dozór policyjny. Ustęp motywów wyroku, odnoszący się do Łukasińskiego, stwierdzał, że „tenże był głównym i jedynym takowych (zbrodni stanu) zamiarów twórcą i przywódcą, że wysilał się w użyciu skrytych i łudzących środków ku wykonaniu onychże, w szczególności sam zajmował się redakcyą ustaw, oraz doborem związkowych, zamiar jego wspierających, rozkrzewianiem związku na wszystkich prowincyach dawnej Polski.“ Wyrok co do skazanych zapadł jednomyślnie; co do uwolnionych różnością głosów, przy wpływie uwalniającym Skrzyneckiego, który wszak sam do związku należał. Protokół dodatkowy wzmiankuje, iż skazani po ogłoszeniu im wyroku „wynurzyli jednozgodnie, iż ufność zupełną pokładają w nieograniczonej litości i łaskawości Najjaśniejszego Pana“—ale ten protokół, jednostronnie podpisany przez samego tylko audytora Tarnowskiego, bez śladu udziału podsądnych, zdaje się być sporządzonym *ex post* całkiem fikcyjnie; za-

dnej zaś prośby o ułaskawienie ze strony Łukasińskiego i spółtowarzyszy, ani śladu takiej prośby w aktach niema. Aleksander orzeczeniem, wydanem w Carskiem Siole, dopiero pod koniec sierpnia, konfirmował wyrok Sądu Wojennego, przyczem zmniejszył karę o 2 lata, t. j. Łukasińskiemu na lat 7, Dobrogojskiemu i Dobrzyckiemu na lat 4. Wyrok wykonany został publicznie w Warszawie na Placu Krasińskich 2 października 1824 r., wobec zgromadzonego wojska i ludu; sprowadzono skazańców pod eskortą; Łukasiński był w mundurze; kat zerwał mu szlify, złamał szpadę nad jego głową; pomocnicy kata ubrali jego i dwóch towarzyszy w szare kitle więzienne; posadzono ich na bruku i zaraz kowale okuli ich na butach w kajdany, wagi 22 funtów, poczem dano im w ręce taczki i kazano przy biciu w bębny przejść przed frontem wojsk. Łukasiński szedł pierwszy, nogi plątały mu się w kajdanach, wpijających się w długie aleksandryjskie botforty, był bardzo blady, ale pchał mocno taczki przed siebie, z głową podniesioną, wzrokiem wlepionem w linię frontową wojska, mijał ją, patrząc się prosto w oczy dowódców i żołnierzy. Natychmiast po tym okropnym obrzędzie wsadzono go z towarzyszami na furgon i pod osłoną żandarmów odwieziono do Zamościa, gdzie miał karę odsiedzieć. Tu przekuto go nazajutrz w nowe kajdany na nagiem ciele; była to ulga, bo od łańcuchów na butach porobiły się rany na ciele[1]).

Łukasiński umieszczony został w Zamościu w Kazamacie t. zw. lwowskiej, w pierwszej Kompanii poprawczej. Komendant twierdzy, pułkownik Hurtig, obchodził się z nim, jak i z innymi

[1]) Dekret Namiestnika o ustanowieniu Komisyi Śledczej, 8 lipca; Komisya odebrała papiery śledztwa przedwstępnego 9 sierp.; zaczęła swe działania 14 sierpnia; wniosek jej o wypuszczeniu Karskiego, Nagórskiego, Stamirowskiego, 12 listop. 1822. [Karski jeszcze znacznie później, naskutek Najwyższego rozkazu wyrażonego w odezwie Nesselrodego, Pétersb., 15 juin 1830, otrzymał 500 dukatów „à titre d'indemnité et de récompense," na co wydał własnor. „kwit na 500 duk. hollend. jako odebrałem... wyznaczone mi przez Najj. Pana... 27 lipca 1830"]; wniosek Komisyi o wypuszczeniu Sznaydra, 7 lut. 1823, zaakceptowany przez rezolucyę W. Księcia 10 lut.; Raport ogólny Komisyi śledczej 4 czerw. 1823; Nowosilcow do Zajączka, Brześć, 8 sept. 1823 (Particulière); Raport Zajączka do Aleksandra, octobre; odezwa min. sekr. st. Grabowskiego do Zajączka, Pétersb. 19 janv. 1824 o ustanowieniu Sądu Najw. Wojennego; W. Ks. Konstanty do Zajączka, 13 févr., o nominacyach do tego Sądu; protokóły Sądu i wyrok 14 czerw. 1824; wypis z protok. sekr. st., w Carskiem Siole, 24 sierp., o konfirmacyi wyroku; Konstanty do Zajączka 18, 30 sept.; Rozkaz dzienny kwatery głównej o wykonaniu wyroku, 2 paźdz. i 24, № 57; Łukasiński przywieziony do Zamościa 6 paźd. o 10 zrana.

więźniami, z surowością żołdacką. Wyznaczone było na głowę więźnia 10 groszy dziennie, z czego dowódca kompanii poprawczej, major Roznysłowski, strącał sobie jeszcze 2 grosze na pranie, golenie i szuwaks. Strawę dawano: półtora funta chleba, krupnik z kaszą jęczmienną, 1/3 funta bardzo lichego mięsa, wieczorem kaszę z grochem. Używano do ciężkich robót fortecznych codziennie, nie wyłączając niedziel, z wyjątkiem tylko 6 dni do roku na Boże Narodzenie, Nowy Rok, Wielkanoc i Zielone Świątki. W wielu wypadkach więźniowie poddawani byli karze cielesnej; używane były do tego kije przepisanej formy, grubości półtora cala, na rzemiennym temblaku. W końcu kwietnia 1825 r. zmarł Dobrogojski, dopiero w przededniu zgonu rozkuty z kajdan dzięki wstawiennictwu lekarza więziennego dr. Lubelskiego; przed samą śmiercią posłał przez spółwięźniów pozdrowienie Łukasińskiemu i prosił go o przebaczenie, że przez swoją nieroztropność podczas badania przyłożył się do wspólnej zguby. Odtąd Łukasińskiego przeniesiono na miejsce Dobrogojskiego do Kazamaty lubelskiej. Został on tu ulokowany nie we wspólnej wielkiej sali więziennej, lecz w sąsiedniej izdebce, gdzie mieściło się 10 więźniów. Między nim znajdował się sąsiadujący na tapczanie obok Łukasińskiego żołnierz Tadeusz Sumiński z pułku piechoty liniowej imienia W. Ks. Michała, skazany za zbiegostwo na lat 12 twierdzy a ułaskawiony przez W. Księcia Konstantego do lat 5, dziwnie śmiała i w prostactwie swojem nawskroś szlachetna natura. Łukasiński wieczorami, kiedy po robotach zamykani byli w ciemności, opowiadał tym prostym ludziom, towarzyszom niedoli, historye z Plutarcha, mówił im o Sparcie, Messynie i Tebach, o greckich bohaterach wolności, o cnotliwych spiskach, o obalonych tyranach i przywróconej narodowej swobodzie, mówił też o Polsce. D. 28 sierpnia 1825 r. o godzinie pierwszej z południa, kiedy oddział 200 więźniów, między którymi znajdowali się Łukasiński i Sumiński, wyprowadzony był przy bramie lubelskiej do robót pod strażą spieszonej kawaleryi i weteranów, Sumiński nagle wyskoczył z szeregu, rzucił się na jednego z ułanów, obalił go uderzeniem pięści, wyrwał mu pałasz i z okrzykiem: „koledzy, godzina wolności wybiła, niech żyje nam naczelnik Łukasiński,“ chciał pociągnąć za sobą towarzyszy, ale nikt, ani jeden człowiek się nie ruszył, powstało zamieszanie, wreszcie jeden z szaserów wytrącił Sumińskiemu pałasz, poczem go obezwładniono. Zarządzono natychmiast najsurowsze śledztwo. Z Warszawy przysłany został w tym celu generał Rautenstrauch. Sumiński, katowany bez miłosierdzia, wyznał wreszcie w mękach, że zachęcony był przez Łukasińskiego, który zamierzał wypędzić garnizon, objąć twierdzę w posiadanie, zażądać od mo-

narchy ułaskawienia, a w przeciwnym razie, założywszy miny, wysadzić się razem z twierdzą w powietrze. Łukasiński przyznał tylko tyle, że istotnie zachęcił Sumińskiego w zamiarze ucieczki. Śledztwo trwało kilka tygodni. W. Ks. Konstanty rozkazem 14-go października skazał Łukasińskiego i Sumińskiego na podwojenie terminu zamknięcia, a więc Łukasińskiego na lat 14, oraz na karę cielesną. W ostatniej jednak chwili W. Książę wyprawił do Zamościa szefa biura Komisyi wojny, przykomenderowanego do sekretaryatu generalnego Naczelnego Wodza, kapitana Hübnera, z rozkazem wykonania kary cielesnej jedynie na Sumińskim, a natomiast przedsięwzięcia natychmiastowej ponownej indagacyi Łukasińskiego w sprawie związków tajnych. 17 października wykonana została w Zamościu wobec całego garnizonu kaźń na Sumińskim; wprowadzono zarośniętego i wybladłego Łukasińskiego z odkrytą głową wewnątrz czworoboku, poczem w jego oczach Sumińskiemu, okutemu na rękach i nogach, wyliczono 400 kijów [1]).

Tegoż dnia 17 października Łukasiński poczynił daleko idące zeznania, uzupełnione nazajutrz. Odkrył istnienie Towarzystwa Patryotycznego [2]).

W końcu listopada na rozkaz W. Ks. Konstantego Łukasiński z zawiązanemi oczyma, owinięty szczelnie w bundę kozacką przez porucznika kozaków gwardyi cesarskiej został zabrany z Za-

[1]) Raport Hurtiga do W. Ks. Konstantego, Zamość, 30 avril 1825; raport Rautenstraucha 16 sept.; o Sumińskim por. rozkaz dzienny W. Ks. Konstantego, 3 lipca 1822 № 29; wiadomość o rzekomem skazaniu ich obu na śmierć i zamianie tej kary następnie na wieczne zamknięcie — fałszywa, rozpowszechniana później dla usprawiedliwienia zatrzymania Łukasińskiego; rozkaz W. Ks. Konstantego 14 paźdz. o zdwojeniu kary zamknięcia i karze cielesnej, zakomunikowany Hurtigowi w odezwie Kuruty 14 oct.; Kuruta do Hartiga, 14 oct. (*bis*) № 1905 jeszcze zaleca wykonanie niezwłoczne; Kuruta do Hartiga, 14 oct. (*ter*) № 1945 już nakazuje wstrzymanie kary cielesnej na Łukasińskim i zawiadamia o wysłaniu oddawcy tego rozkazu, Hübnera; Kuruta do Hurtiga, 16 oct. uprzedza o wyjeździe Kołzakowa dla uczestniczenia w badaniu Łukasińskiego (w pamiętnikach Kołzakowa ogł. w Russ. Star., ten ważny szczegół całkiem pominięty).

[2]) Zastrzegamy, że jakkolwiek katowanie przy indagacyach było wtedy rzeczą stałą — co zostało między innemi stwierdzone urzędownie w wyrokach Sądu apelacyjnego 7 kwiet. 1830 w sprawie szpiega Birnbauma z wprost okropnemi szczegółami (karmienie śledziami bez wody, bicie, zaciskanie piersi kobietom i t. d.) — jakkolwiek i katowanie Łukasińskiego jest rzeczą wysoce prawdopodobną (acz niedowiedzioną), to jednak nie przypisujemy jego zeznań naciskowi czysto fizycznemu, któremu on potrafiłby wydołać tak dobrze jak Machnicki. Wywód bliższy tej kwestyi, dotyczącej jego zeznań, dany będzie gdzieindziej, jako wymagający oddzielnego rozbioru.

mościa w nocy i wywieziony do Góry. Tu był badany ponownie przez Komisyę śledczą zesłaną z Warszawy z Nowosilcowem na czele i zeznania swoje uzupełnił. W Górze był więziony w koszarach pieszej artyleryi gwardyi. Należy stwierdzić, że skutkiem jego zeznań, jakkolwiek kompromitujących imiennie mnóstwo osób, nikt wszakże pierwotnie nie był aresztowany. Dopiero po wybuchu rewolucyi Dekabrystów w Petersburgu i wyjawionej w wynikłem stąd śledztwie petersburskiem, zwłaszcza skutkiem zeznań Antoniego Jabłonowskiego, tajemnicy istnienienia Towarzystwa Patryotycznego polskiego, na wyraźny rozkaz Mikołaja I rozpoczęły się dopiero w lutym 1826 roku aresztowania w Warszawie. Wtedy też Łukasińskiego sprowadzono z Góry do Warszawy i poddano tu nowym badaniom. Wszystkie te badania odbywały się w formie wyjątkowej, t. j. po za obrębem jakichkolwiek form legalnych i jakiejkolwiek instytucyi badawczej legalnej. Nawet przed Komitet Śledczy, ustanowiony w lutym 1826 r. w sprawie Sądu Sejmowego, Łukasiński nie był stawiony. Po raz ostatni i jedyny sposobem legalnym był badany przez Delegacyę Sądu Sejmowego w listopadzie 1827 r. Więziony był odtąd w Warszawie w absolutnej tajemnicy, w koszarach pułku wołyńskiego lejbgwardyi; czas jakiś w ludwisiarni; pod sam koniec trzymany był w koszarach weteranów rosyjskich przy ulicy Smoczej w małej izdebce półciemnej, gdyż jedyne okno było zabite po bokach i z wierzchu, tak że światło tylko przez mały otwór wchodziło; siedział tu podobno na stołku przymocowanym do ziemi, sam okuty w kajdany; w 1830 r. zdjęto mu łańcuchy z nóg. Po wybuchu rewolucyi, nazajutrz 30 listopada o 10 zrana, Wołyńcy, wziąwszy go w środek, uprowadzili go z sobą; przy wyjściu wojsk rosyjskich z Królestwa zabrano go, cofając się na Wysokie Litewskie i Białystok. Po raz ostatni widziano, jak go prowadzono przez Włodawę, w siermiędze, ciągnionego pieszo na postronku, z brodą po pas, pod strażą konną z dobytemi pałaszami. W końcu grudnia w Białymstoku został na rozkaz W. Ks. Konstantego oddany komendantowi VI korpusu piechoty generałowi Rosenowi, który posłał go do twierdzy Bobrujska, o czem doniesiono Mikołajowi. Ale Mikołaj na raporcie Rosena położył rezolucyę własnoręczną, nakazującą natychmiast przenieść Łukasińskiego do t. zw. „Sekretnego Zamku“ w Schlüsselburgu i „trzymać go tam w sekrecie, aby jego pochodzenie i nazwisko było znane tylko komendantowi twierdzy.“ Już w początku stycznia 1831 r. Łukasiński, sprowadzony do Schlüsselburga, został tam zamknięty w ciemnej sali oddzielnej w podziemiach Sekretnego Zamku. Tutaj był trzymany przez lat 37. Tajemnica była tak ściśle zachowywaną, że istnienie

tego więźnia stało się zagadką dla osób, najlepiej w tym fachu informowanych. Tak więc, w maju 1850 r., zarządzający Trzecim Wydziałem Własnej Jego Cesarskiej Mości kancelaryi, szef żandarmów, zwrócił się do ministra wojny z zapytaniem, jaka właściwie jest wina owego starca Polaka trzymanego w więzieniu i na jakiej podstawie jest więziony; minister wojny ks. Czernyszew w obszernej odpowiedzi swej do ks. Orłowa wyjaśnić mógł ostatecznie tyle tylko, że Łukasiński jest więziony na własny rozkaz Jego Cesarskiej Mości Mikołaja I. Po wstąpieniu na tron Aleksandra II siostrzenica Łukasińskiego w r. 1858 prosiła o widzenie się z więźniem, lecz otrzymała odmowę. W 1861 r. komendant twierdzy Schlüsselburskiej, z własnej inicyatywy zwrócił się do cesarza z prośbą o ulżenie losu 75 letniego starca Łukasińskiego, który już niedosłyszy, niedowidzi, dotknięty jest chorobą kamienia, a wciąż trzymany w podziemiach i Aleksander II rezolucyą położoną na piśmie komendanta zalecił przenieść Łukasińskiego do jaśniejszego pokoju i pozwolić mu na spacer wewnątrz twierdzy, co zostało wprowadzone w wykonanie w marcu 1862 r. W czerwcu t. r. na prośbę Łukasińskiego posłano mu księdza katolickiego, z którego rąk przyjął sakramenty. Ale ponowiona prośba rodziny o widzenie się spotkała się znowu z odmową. Waleryan Łukasiński, po czterdziestosześcioletniem więzieniu, w ośmdziesiątym drugim roku życia, zmarł w twierdzy Schlüsselburskiej dnia 27 lutego 1868 r.[1])

Szymon Askenazy.

---

[1]) W. Ks. Konstanty do Hurtiga, 27 novemb. 1825, № 2396: posyła kozaków Radudzina i Grekowa do zabrania Łukasińskiego; Kuruta do Hurtiga, 29 nov.: wyniesiony został 30 listop. o 8 wieczorem; badanie w Górze, 13 grud. 1825; następne badania 5, 9 stycz. 1826; zeznania protokół. Łukasińskiego przed Delegacyą Sejmową, 30 listop. 1827; Polak Sumienny, №№ 9, 19 z d. 14, 15 i 26 grud. 1830; Dziennik Powszechny № 353 z d. 23 grud. 1830; raport Rosena, Białystok, 15 grud. z dekretacyą Mikołaja: „z Bobrujska pod sekretem dostawić do Schlüsselburga;“ rozkaz min. wojny Czernyszewa do komendanta Schlüsselburga, 2 stycz. 1831, komunikujący „rozkaz Najwyższy aby dostawionego z Bobrujska przestępcę Królestwa P. Łukasińskiego przyjąć i trzymać w twierdzy Schlüsselburskiej najtajniejszym sposobem, jako zbrodniarza stanu, tak, aby prócz komendanta twierdzy nikt nie znał jego nazwiska ani skąd został przywieziony;“ Czernyszew do W. Ks. Konstantego, 8 stycz. 1831 r. (très confidentielle); Konstanty do Czernyszewa, z Wielkiej Brzostowicy, 13 stycz. 1831 (własnor.); Czernyszew do ks. Orłowa, 17 czerwca 1850, № 111; odezwa generał-adjutanta Dołgorukiego do ministra wojny 22 lut. 1862; odezwa Zarządzającego III Wydziałem wł. J. C. M. kancelaryi do Namiestnika hr. Berga, 25 listop. 1873, № 2629.

O twórczości Wyspiańskiego.

I.

Atmosfera krakowska. Malarstwo poety.

Takiego poetę, jak Wyspiański, mógł wydać tylko Kraków. Żaden ze znakomitych polskich pisarzy niezrósł się tak silnie z gruntem, na którym wykwitnął. Żeby zrozumieć i odczuć w pełni Wyspiańskiego, trzeba się wżyć w atmosferę krakowską, w której przenikają się prądy starej rodzimej tradycyi powiewami modernistycznej kultury. Trzeba odczuć woń powietrza, które opływa mury starego grodu, tchnące wymową wieków. Trzeba wcielić się w nastrój umysłowego życia, skupionego w niewielkiem ognisku, zrozumieć kłębienie się rozmaitych sprzecznych idei i żywiołów politycznych, umysłowych i artystycznych, które wirują i mięszają się ze sobą, jak pary w niewielkiem kotle, przyduszonym pokrywą.

Wyspiański urodził się w Krakowie 1869 r. Ojciec jego, w swoim czasie popularny rzeźbiarz, mieszkał i miał pracownię u podnóża Wawelu w domu Długosza, który zachował piętno dawnych czasów. Zewnątrz od ulicy Podzamcze, na ścianie przysłonionej okapem, kamień pamiątkowy z napisem, wyrytym gotyckiemi literami, z wizerunkiem Długosza, klęczącego u stóp Bogarodzicy. Brama niewielka, sklepiona ostrołukowo, wiedzie na małe czworokątne podwórko, ze szczątkami starych płaskich arkad przy ścianie. W sieniach okno u góry kwadratowe, zakratowane,

w podwórzu malownicze zakamarki. Jeden z tych zakątów krakowskich, które przenoszą nas żywcem w średnie wieki i owiewają atmosferą powagi i pobożności, wsiąkniętą w mury i cegły.

Chłopięcemi oczyma codziennie Wyspiański spoglądał na Wawel, to wzgórze pamiątek, którego każda grudka, każda piędź ziemi przesiąknięta jest prastarą tradycyą. Wzgórze uwieńczone najsławniejszą w Polsce świątynią, opasane teraz kręgiem zębatych murów fortecznych. Dawny zamek królewski, zamieniony na koszary, na redutę dziś już niegroźną, która jednak długo panowała nad miastem, mogąc je zalać deszczem ognia i ołowiu.

Gdy przejdziemy po stokach przez główną bramę w stylu militarno-austryackim i staniemy w środku wzgórza, uderza nas szereg jaskrawych kontrastów. Z jednej strony katedra, na którą składały się wieki, z kaplicami i pomnikami, z których każdy opowiada dzieje chwały i świetności minionej. Tum zbudowany na chwałę Boga i narodu a w środku pod arkadami, jedna z najstarszych zagadek dziejowych: trumna srebrna z prochami biskupa-męczennika, spoczywająca na barkach aniołów. Trumna uświęcona legendą kościelną, sprzeczną z najstarszem historycznem świadectwem mnicha Galla, który, zamiast świętości, wspomina o zdradzie.

Wyszedłszy z katedry, tuż naprzeciw zewnętrznych murów kaplicy Zygmuntowskiej, ze złotą łuską na dachu, spostrzegamy drzwi brudnej żołnierskiej kantyny, ziejącej atmosferą piwa i alkoholu. Na prawo w głębi strzela do góry komin wojskowej piekarni, na lewo domy koszarowe. Przeszedłszy na lewo sklepione sienie, wchodzimy na wspaniały dziedziniec zamkowy, okolony galeryami i gankami. Zaludniamy go w myśli tłumem rycerskich postaci, gwarem turniejów, przepychem festynów monarszych. Tymczasem oko nasze spoczywa na białej desce przy głównych drzwiach, opiewającej, że tu się mieści areszt wojskowy, w którym członkowie cesarsko-królewskiej armii pokutowali za przekroczenia drakońskiego regulaminu.

Na każdym kroku myśl, zwracająca się ku chwale przeszłości, rozbija się o prozę austryackiego militaryzmu. Zaduma wielkich marzeń pierzcha na widok szachownicy czarnożółtych kwadratów. Nigdzie z większą dotykalnością nie występuje sprzeczność pomiędzy wzlotami myśli narodowej a twardą bezlitośną teraźniejszością.

Wrażenia te odcisnęły się mocno na młodocianym umyśle poety, a potem urosły w obrazy ogromne.

Od Wawelu poczyna się wątek tworzywa poetycznego, a w ostatnich Wyspiańskiego dziełach zamyka się pieśnią o Wawelu, jako warowni ducha narodowego.

*

* *

Wyspiański należy do autorów, których biografia nie jest kluczem dla zrozumienia dzieł. Wiadomo, że ukończył gimnazyum Ś-tej Anny w Krakowie, że uczęszczał krótko na uniwersytet, studyując sztukę, literaturę i historyę, że pod okiem Matejki kształcił się w malarstwie, aby potem kroczyć drogami zupełnie odmiennemi. Studya artystyczne odbywał przez cztery lata w Paryżu i tam też od dwudziestego trzeciego roku życia rozpoczął pracę literacką, tając jej owoce przez kilka lat w cichości.

Gdy w r. 1897 wystąpił w Krakowie na widownię literacką, miał już zdobytą opinię wybitnego malarza jednego z pionierów „nowej sztuki.“ Przyłączył się do koła modernistów literackich, grupujących się około czasopisma: „Życie,“ które założył Ludwik Szczepański, usiłując stworzyć organ reformatorskiego ruchu w literaturze i sztuce. „Życie“ odegrało typową rolę w rozwoju tak zwanej „młodej Polski,“ chociaż, zewnętrznie biorąc, było efemerydą, tak jak wszystkie prawie pisma literackie w Galicyi.

Stary Kraków ze swymi pamiątkami, uniwersytetem, Akademią umiejętności i sztuk pięknych, ze swemi muzeami i szkołami stał się w ostatniej ćwierci zeszłego stulecia ogniskiem nie tylko narodowej tradycyi, ale i kultury przeważnie artystycznej. Fala tak zwanego ruchu pozytywistycznego po roku 1870, niedosięgła podnóża warowni polskiego konserwatyzmu. Zajęta polityką Galicya zachowawczo-katolicka była oporną wobec postępowych nowinek warszawskich, chociaż najbardziej wpływowa partya krakowska przyswoiła sobie zrazu program polityki realnej przyjętej przez „młodą prasę“ warszawską, program, który bardzo prędko pod wpływem nacisku rusyfikacyjnego zamienił się w kołach liberalnych na gorący patryotyzm. Galicyę ominął ruch pozytywno-wolnomyślny, który wywołał szeroką popularyzacyę wiedzy zachodniej w kołach inteligencyi polskiej w Królestwie i zaborze rosyjskim, aby potem zamienić się na stopniowe opadanie poziomu umysłowej kultury, gnębionej przez tryumfującą biurokracyę i szkołę przesiąkłą duchem policyjnym i nienawiścią dla społeczeństwa.

Gdy przy końcu zeszłego stulecia w literaturze i sztuce naszej, pod wpływem prądów zachodnich, zaczął się wzmagać nowy idealizm żywiołowy, idealizm bez ideałów, gdy pod jego tchnieniem zazieleniła się nowa ruń poezyi i sztuki, Kraków zajął z kolei stanowisko przodujące. Tam mogła wypowiedzieć swe słowo myśl polska, nieskrępowana kagańcem. Tam w cieniu starych murów poezya, marząc o wielkiej przeszłości, mogła wyrazić ból nad nędzą obecną. Tam z zachodu zawiewały nowe prądy artystyczne. Akademia malarska dała poparcie tak zwanym nowinom „secesyjnym," utworzyło się zbiorowisko literatów, poetów i artystów, pracujących w duchu nowej ewolucyi twórczej.

Było to w epoce bankructwa wielkich ideałów, które w Europie poczęło się od Sedańskiego pogromu, w epoce, na szczęście, mającej się obecnie ku schyłkowi. Tryumf brutalnych haseł siły i bezwzględności, wzrost militaryzmu, zasępił duchowy horyzont świata. Znikły jutrznie, które kołysały ludzkość w zaraniu stulecia. Atmosfera umysłowa stała się posępna, przesiąkła beznadziejnością i skondensowanym smutkiem.

Na niebie poezyi zawisły z północy ciągnące chmury ołowiane pesymizmu. Ideały odrzucono, jako grę złudzeń, zabawkę dziecinną. Umysły zwróciły się w głębie tajemnic duszy. Myśl wpłynęła na mistyczne „morze ciemności." Literatura stała się wymową dusz chorych, rozdartych, skupionych we własnym bólu, zatopionych w głębiach zagadnień i marzeń — rozkochanych w tajemniczości.

Myśl polska i uczucie polskie w Galicyi, pomimo wzrostu pracy narodowej i praktycznej polityki, cierpiały i cierpią także z powodu duchowego bankructwa. Kraj rozwija się żywotnie w zakresie spraw lokalnych, pracuje nad oświatą ludu, nad kulturą narodową, walczy z przeszkodami na polu ekonomicznem — ale żyje i działa w ramach państwa, niemającego twórczej idei, pasującego się z niemocą, szarpanego walkami egoizmów narodowych. Wskutek tego w Galicyi zagadnienia i sprawy małej polityki bywają traktowane pod kątem polityki wielkiej. Antagonizmy stronnictw przenikają poza sferę polityki w dziedzinę spraw ekonomicznych i lokalnych. Taktyka polityczna i stronnicza zabarwia czasami nawet sprawy oświaty lub kultury estetycznej, niemające związku rdzennego z polityką.

W samym Krakowie kultura naukowa i estetyczna, w pewnych kołach dochodząca do przerafinowania, zacieśnia się w ramach partykularza. Nie może się ona oprzeć na szerokiej rozlewności życia wielkich ognisk cywilizacyi i ustroju państwowego. Zależną jest także częściowo od przewagi czynników i koteryj

zachowawczych, nadających swoje piętno szczytowym przejawom ruchu naukowego i cywilizacyjnego.

W ubogim kraju ani sztuka, ani literatura nie mogą działać na szeroką skalę. Wybuchy twórcze, drgnienia nowych prądów estetycznych mają czasem silne napięcie, ale są krótkotrwałe. Stosunki artystyczne i literackie w sferze zacieśnionej przybierają zakwasy koteryjnych sporów i małostek, zależnych czasem od kramarskiego ducha samorządów municypalnych. Wśród biedy i ekonomicznego zastoju, zawiść fachowa staje się gorączkową, wytwarza koteryjne zabiegi i niechęci, które działają z daleko większą złośliwością, aniżeli na szerszej arenie współzawodniczej. W życiu artystycznem i dziennikarskiem wybuchają niepohamowane kłótnie, grasuje grymaśny hyperkrytycyzm. Z drugiej strony solidarne koterye czasem nadają sztuczne rozmiary forytowanym jednostkom. Na podłożu ambicyi prowincyonalnej rozwija się snobizm w stosunku do miejscowych wielkości i geniuszów.

Ruch modernistów, skupiających się na krótko około krakowskiego „Życia," które z realnem życiem niemiało nic wspólnego, niemógł się rozlać szeroko, nieposiadał bowiem siły epidemicznej, ani dość żywotności, aby wywołać przewrót umysłowy na wielką skalę. Egzotyzm, dekadentyzm, kult sztuki dla sztuki, były wynikiem kultury wyłącznie literackiej. Wpływały przedewszystkiem na piszących, budząc zrazu silną opozycyę opinii przeciętnej. Sztuka najnowsza ma pewną arystokratyczną wyłączność i pychę, lubi zamykać się w kółku wtajemniczonych. Jej wybrańcy chętnie grają rolę magów, odprawiających ofiary w ustronnych świątyniach i kapliczkach estetyzmu.

Wyspiański, jako poeta, w tym ruchu zajął odrazu stanowisko odrębne, jakby odosobnione. Niemożna go powiązać z żadnym prądem literackim ani społecznym w tej dobie, którą znamionuje rozkwit indywidualizmu, kult dla sztuki wyzwolonej, rozkochanie się w kapryśnem bogactwie marzeń i wyrafinowanie formy artystycznej. Podobnie, jak wszyscy artyści owego momentu, Wyspiański w literaturze zarysował się jako idealista instynktowny, oderwany od rzeczywistości, ale jako malarz i poeta był niepodobnym do nikogo z poprzedników ani współczesnych, nie miał on pokrewnych rysów z koryfeuszami literatury nadobnej, którzy urośli i rozwijali się na gruncie galicyjskim. Ani z Tetmajerem, który szarpał się pomiędzy tęsknotą do szczęścia i ukochaniem ponęt życia a pesymizmem, szukając ukojenia w nirwanie; ani z Kasprowiczem, który przeradzał się wtedy z poety uczuć społeczno-ludowych w ideowego symbolistę, skarżącego się na wiekuistą po-

tęgę zła i ból żywota. A już najmniej chyba miał wspólności z Przybyszewskim, który nadawał przez pewien czas ton zasadniczy tak zwanej „Młodej Polsce.“ Pomimo tej nazwy miała ona, zwłaszcza w początkach, mało polskości, rozmiłowana w egzotyzmie i przenosząca na nasz grunt wyrafinowanie zachodniej literackiej kultury. Przybyszewski ze swą metafizyką erotyczną i erotomanią w dramacie, z ponurym fatalizmem, kultem nagiej duszy, stanowił pod pewnymi względami antytezę Wyspiańskiego, który odrazu zwrócił się do tematów rdzennie polskich. Obaj byli podobni tylko w pojęciu dekadenckiem śmierci, jako mocy wyzwalającej i tryumfującej nad życiem. Wyspiański od pierwszych chwil swej poetycznej działalności ukazał się w poezyi, jako natura głęboko tragiczna, jako dusza przesiąkła bólem i goryczą czasów beznadziejnych, ale związana tajemniczo z nurtem rodzimej tradycyi, wykołysana pieśnią narodowej niedoli.

Obok Przybyszewskiego, który przodował w „Życiu“ i był już potęgą literacką, stanął on w r. 1899 na krótki czas, jako kierownik części artystyczno-rysunkowej tego pisma, oraz jako poeta rozpoczynający swój zawód. Ten fakt, że Wyspiański w swej dwuramiennej twórczości przeszedł z malarstwa do literatury, wyjaśnia cechy jego poezyi, a zwłaszcza zupełny brak pierwiastku subjektywnego. Różni się on zasadniczo od wielkich romantyków naszych tem, że myśląc i czując plastycznie, malowniczo, ukrywa swoje *ja* poza grą poetycznych obrazów. Kto go poznał bliżej wie, że pomimo zewnętrznej łagodności, spokoju „jezusowego,“ jest naturą dumną, zaciętą, ma zbyt pyszne przekonanie o swej wielkości. Jednak w dziełach swoich większych nie tworzy nic na podobieństwo własne, nie ujawnia rozkochania w sobie, nie rzuca światu w poezyach kawałów własnych cierpień, ani fragmentów życia. Nie zna w życiu wylewu uczuć serdecznych, szczerości otwartej, wybuchów gniewu, zawsze w wyrazie uczuć własnych powściągliwy i ztonowany. W towarzystwie małomówny, unikający dysput, trwały w sympatyach, zacięty w antypatyach, przesadnie grymaśny, drażliwy i bezwzględny na punkcie spraw osobistych, a nieszanujący cudzych drażliwości, zamknięty cicho w życiu domowem, zatopiony w bezustannej pracy twórczej, dla której powodzenie jest bodźcem i ostrogą.

* * *

Jako malarz nie poszedł za tradycyą krakowską; podczas pobytu w Paryżu przejął się wpływami sztuki angielskiej, japońskiej, potroszę i staroniemieckiej. Nie zatracił jednak artystycznej indywidualności w atmosferze paryskiej, w której, obok wspomnień wielkiej sztuki z różnych epok, kłębią się i ścierają najsprzeczniejsze czynniki, nowe prądy, nowe porywy indywidualne, nowe ideje i nowe szkoły i mody literacko-artystyczne, aby zyskać tam moc obiegową na świat cały.

Indywidualności średnie w tym kotle wrzącym i niespokojnym wirze mogą się zaprzepaścić, utonąć. Ale duch mocny, mający własne odczucie duszy i świata, został sobą, spotęgował własne zasoby artystycznej ekspresyi. Wyobraźnia Wyspiańskiego jest bujna, zdolna do wysokiego napięcia wizyjnego, umie się zdobyć na marzenia i halucynacye ogromne. Ani w malarstwie, ani w poezyi nie jest on kolorystą i niema poczucia bryłowatości. Stanowiąc zupełny kontrast z mistrzem Matejką, jest przedewszystkiem rysownikiem, uprawia pastel i witraż, nie tyka się malarstwa olejnego, nie próbuje rzucić przed oczy widza postaci wypukłych, scen tętniących grą barw, krzyczących kontrastami oświetlenia. Uległ wpływom japońskim, dlatego sztuka jego jest płaską, dlatego najchętniej zajmuje się sztuką stosowaną i ornamentacyjną.

Głównym środkiem jego artystycznej ekspresyi jest linia, kontur pełen oryginalnego wyrazu, wypełniony w robotach pastelowych barwą lokalną, traktowaną dyskretnie i płowo. Linia jego dosadna, ciężkawa, często falująca w skrętach, splątana zawile i wyginana, roztrzęsiona, nastrzępiona, ale niesłychanie oryginalna, wyczuta i pełna wyrazu. Jest zawsze szczerym, nie goni za efektem tanim, nie kokietuje widza, nie dba o wdzięk, nadaje linii swej męską wyrazistość, często naiwnie stylizuje. W postaciach i głowach kobiecych, daje charakterystykę z początku głównie figur małomieszczańskich, uwydatnia rysy typowe, unikając zawsze rozpraszania się na szczegóły. Z zamiłowaniem artysta rysuje także bardzo żywe oblicza dzieci małych, chorowitych i wynędzniałych. W portretach męskich pastelowych lub kredkowych kontury przerysowane, zgrubiałe, wpadają czasem w trywialność. W życiu praktycznem umie Wyspiański pogodzić się i żyć po molierowsku z prozą otoczenia domowego. Nic więc dziwnego, że w jednym z ostatnich swych portretów stworzył arcydzieło charakterystyki, przedziwny w swej prawdzie i gminności wizerunek kobiety z ludu, pełnej, zażywnej matki-karmicielki.

W sztuce ornamentacyjnej rozwija wielkie bogactwo stylizowanych motywów roślinnych, liści kasztanu, ostów, szałwii i brat-

ków, powojów, bławatków i nasturcyj. Czuje kontur, rysunek kwiatów, ale nieczuje ich miękkości i wdzięku. Skomponowana przez niego polichromia kościoła Franciszkanów w Krakowie pokryła mury barwnymi dywanami kwiatowemi. Wyspiański pierwszy u nas miał tyle śmiałości, aby wprowadzić do kościoła zdobnictwo w duchu nowszej angielskiej sztuki stosowanej, oparte na motywach naszej flory. Witraże w tymże kościele, przedstawiające „Ś-go Franciszka“ oraz „Stań się“ czyli skupienie żywiołów we wszechświecie, okazują wysokie napięcie duchowe i poczucie wielkości. W liniach pełnych wyrazu przedstawił ascezę świątobliwą i zdobył się na fantazyę w szerokim stylu biblijnej genezy.

Dotykając się tematów egzotycznych, kurczyła się zrazu jego fantazya malarska. „Skarby sezamu“ jedna z pierwszych pastelowych kompozycyj na szerszą skalę przedstawia dół czy wyrwisko, obok niego splątany szereg drobnych nagich figur kobiecych, nad nim wężowisko korzeni u spodu drzewa wyrwanego z gruntu. W głębi lasu majaczeją fantastyczne figury, wśród korzeni migają jakieś sznury modrawych klejnotów. Fantastyczność polega tu na plątaninie mnóstwa korzeni, włókien, wykrotów w liniach zawiłych, skręconych. Niema ani nastroju fantastycznego, ani polotu w tej kompozycyi, opartej na zwykłym motywie wywróconego przez burzę drzewa. Wizya niedosyć silnie się sformowała w wyobraźni artysty. Natomiast w technice rysunkowej znać chęć wywołania efektu skłębieniami i zwikłaniem konturów rysunku. W szkicu „Wodnik i nimfy,“ narysowanym dla „Paonu“ (kawiarni będącej przez pewien czas punktem zbornym modernistów) artysta puścił folgę ironii, jakby przedrzeźniając pomysły Böcklinowskie. Wodnik, szpetny brzuchacz, nimfy, dziewki nagie pospolite, bez wdzięku; ma to jednak pewien swojski charakter, kreślone z rozmachem i zapowiada w indywidualności poety nowy pierwiastek złośliwego humoru, który potem wykwitnie w najżywotniejszem jego dziele literackiem: „Weselu.“

Ilustracye do I księgi „Iliady“ (wydane w Krakowie 1903 r.) wskazują jak po swojemu Wyspiański wcielał się w podania heleńskie. Świat grecki przemawiał do niego tylko w epoce legendowej, pierwotnej. Pod względem rysunkowym dziewięć kompozycyj osnutych na tle epopei homerowskich imponuje oryginalnością motywów, bogactwem kompozycyi, ujętem jednak w szematyczne trochę ramy symbolizmu modernistów. Formy i proporcye są tu jeszcze słabe, ale rozmach niepospolity. Artysta działa za pomocą orgii skłębionych linij, daje kompozycye dosadne, bardzo szczere, bardzo oryginalne, efektowne. W stosunku do Homera są one zbyt

ostre, pozbawione piękna i harmonii, które już w tej epopei stanowią rdzenną właściwość geniuszu greckiego. Wyspiański niema w swej naturze zupełnie poczucia wdzięku; reprezentant sztuki najnowszej, która zabiła piękno dla *wyrazu*. Unikając stylizowania akademickiego i tak zwanego „mydlarstwa," to jest konwencyonalizmu form, wpada w drugą ostateczność, jakby w umyślne zamiłowanie do szpetoty. Niema także poczucia prostoty ani w rysunku, ani w słowie, jest zawsze niezwykłym, krętym, często wysilonym, jak większość artystów współczesnych. Dla tego też owe rysunki homerowskie, śmiało poczęte, dosadne, narzucające się wyobraźni widza, jako sceny wyraziste i pełne charakteru, nie mają ani stylu homerowego, ani prawdziwie helleńskiego nastroju. Nie chcąc naśladować wygładzonych konturów i sztucznej fizyognomii Kaulbacha i innych pseudo-klasyków niemieckich, artysta wpada w drugą ostateczność. Kto zna z pierwszej ręki epopeje homerowe – tego razić musi charakterystyka figur słowiańsko-barbarzyńska. Tymczasem Grecy już w owej epoce odznaczali się wysoką kulturą i delikatnością obyczajów. Wojownicy i bohaterowie podczas wojny trojańskiej, łajali się wprawdzie ostatniemi słowy, ale potrafią to i dzisiaj w parlamentach posłowie, a w prasie dziennikarze, dający gawiedzi skandaliczne widowisko. Jak byli Grecy delikatni i gościnni, świadczy o tem np. przyjęcie w Sparcie w dworcu Menelajowym Telemacha, który wyjechał w świat, aby odnaleźć ślady zagubionego rodzica (Odysseja, księga IV). Gościa zaproszono najprzód z wyszukaną grzecznością do kąpieli, aby odświeżył się i odpoczął po nużącej podróży, dano mu nowe szaty — nakarmiono, a potem dopiero spytano, kto on i w jakim celu przybywa. Trojanie także nie byli Irokezami, lubili pewien komfort i wygodę do tego stopnia, że damy trojańskie znakomitych rodzin nie karmiły same dzieci, ale dawały się zastępować przez mamki. W ślicznej scenie pożegnania Hektora z Andromachą dźwięczy taka miękka nuta rzewności, są tak pełne wdzięku szczegóły (jak np. przestrach dziecka na widok ojcowskiego szyszaka), że do dziś dnia zachwyca ten moment szlachetnością uczucia wcale nie prostaczą.

Tymczasem Wyspiańskiego Achilles jest brzydkim chłopcem o płowych, potarganych włosach, Thetyda, błagająca bogów za synem, tęgą chłopką polską w spódnicy, Zeus ma twarz zupełnie semicką, Apollo, grający na cytrze, ma oblicze niemiłe, bez wyrazu, ręce niekształtne, ogromne, kościste. Nawet w kompozycyach rysunkowo świetnych, jak „Cienie nad Styksem," płynące w przestwór z ogromnym rozpędem i uzmysłowionym dotykalnie krzy-

kiem bólu—postacie są chude, szpetne, ze słowiańskiemi twarzami. W „Jutrzence“ noc i poranek uosobione w figurach okręconych dziwacznie, koziołkujących niecstetycznie. Słowem obrazy homerowskie w plastycznem wcieleniu, tracąc swój właściwy charakter, przekształciły się wedle pojęcia legendowej przeszłości właściwej artyście, który ją widzi w zarysach zwichrzonych i surowych. Taka jest natura jego wyobraźni, że lubuje się w kształtach ostrych, ponurych, ogromnych. Jest duszą rdzennie polską, atawistycznie zasłuchaną w tradycyę naszą. Więc do greckich scen i postaci przymieszał sporo naszej charakterystyki, odczutej indywidualnie, chociaż w dramatach greckich tej przymieszki uniknął. Jako ilustracye Homera są te rysunki wprost fałszywe. Te bardzo interesujące parafrazy malarskie na temat „Iliady,“ mają charakter ludowo-legendowy, są obrazami świata, zaludnionego przez ludzi prostych, pierwotych, obcujących z bogami. Pod względem rysunkowym pełne świetnej fantazyi, oryginalnie skomponowane, ale nazbyt barbarzyńskie, półdzikie.

W zetknięciu z naszą przeszłością dusza Wyspiańskiego nastraja się tragicznie, albo pogrąża w zadumę grobową. Symbolem rozpaczy po utraconej królewskości narodu jest „Ś-ta Salomea,“ kompozycya witrażowa, przeznaczona pierwotnie do kościoła. Wychudzona, ascetyczna święta, wyciąga kurczowo dłonie, z których wypada korona. Ból duszy spazmatyczny, gorączkowy, wyraża się w liniach skręconych prawie konwulsyjnie. Postać skupia w sobie uczucie nieosobiste, spotężniałe. Utkwi nazawsze w pamięci każdemu, kto raz ją widział. Na taką ekspresyę może się zdobyć artysta, dla którego sprawa upadku narodu nie jest przedawnioną, ale stała się źródłem zawsze żywej boleści.

Z wnętrza rozkopanego w r. 1869 grobu króla Kazimierza Wielkiego, przemówiła do poety znikomość dawnej chwały potęgą śmierci zwycięskiej. Chwila ta, uwieczniona przez rysunek Matejki, zostawiła znamienne ślady w historyi sztuki polskiej. Na trupiej czaszce korona, szczątki płaszcza królewskiego, szkielet rycerskiej stopy z ostrogą—wszystko to razem było zjawą pełną dziejowego majestatu.

Wyspiański urodził się w tym roku, gdy grób rozkopano. Fakt, który znał z tradycyi, podziałał na niego, jakby widziane naocznie zdarzenie, którego obraz odbił się potem w paru scenach poetycznego rapsodu. Wnętrze grobu Kazimierza było zapewne przyczyną, że pojęcie bytu pogrobowego zrosło się w fantazyi artysty tak silnie z materyalnemi cechami trupiości i rozkładu. Świadczą o tem trzy wielkie projekty do witrażów skomponowa-

ne do okien Wawelowej katedry. Do wnętrza świątyni zaglądają widma przeszłości—ogromne postacie Kazimierza Wielkiego, Ś-go Stanisława, Henryka Pobożnego, księcia wrocławskiego, który w r. 1241 poległ w bitwie z Mongołami pod Lignicą. Witraż z Kazimierzem, nagrodzony przez Akademię Umiejętności, przedstawia szkielet monarchy, z koroną na głowie i płaszczem na ramionach. Sterczą przed oczyma ogromne piszczele, czaszka z jamami czarnemi i szeregiem wyszczerzonych zębów. Postać nadludzka, pogrążona w tonach szarawo-zielonych, okolona splotami linij powietrznych, dymów czy mgieł, działająca ekspresyą zolbrzymiałej śmierci. Można się niezgodzić na to szkieletowe pojęcie ducha wielkiego króla, ale przyznać trzeba, że to kompozycya niesłychanie oryginalna, mocna w technice, pełna grozy lubo nieco brutalnej. Natomiast dwa inne projekty witrażowe, pomieszczone obok „Kazimierza Wielkiego“ w Muzeum Narodowem w Krakowie, pomimo wielkiego rozmachu, należą do poronionych płodów fantazyi makabrycznej. Znać tu dziwne rozkochanie się w śmierci, *filotanatię*, która według mnie jest wprost antypatycznym rysem pewnych odłamów literatury i sztuki dekadenckiej. Niemogłem się dopatrzeć nic głębiej artystycznego w tej wyschłej mumii Ś-go Stanisława, z twarzą przegniłą, oczyma pół przymkniętymi, z wyrazem jakiejś starczej zapamiętałości i uporu, ani w postaci Henryka o szpetno-sennem obliczu, w pozie wykręconej wśród gzygzaków czerwonawych płomieni. Oba te projekty skomponowane w liniach grubych, ciężkich, wykręconych, mają szczegóły ciekawe pod względem technicznym. Trzeba jednak raz powiedzieć prawdę, choćby się zżymał na to snobizm modernistyczny, który otoczył postać Wyspiańskiego tumanami chwalby. Artystycznie biorąc te dwa witraże są poprostu szkaradne. Przykro jest oglądać w polskich świątyniach banalnie stylizowane okna witrażowe, tu zinkowe wyroby tyrolskie, ale byłoby wprost faktem godnym pożałowania, gdyby wykonano dla Wawelu te kompozycye ponure, ukazujące duchy, które żyją w pamięci narodu, postacie męczenników i królów—w kształtach trupio-zgniłej zmory.

Niepodobna mi także zachwycać się witrażem dla domu Towarzystwa lekarskiego w Krakowie. Ma niby symbolizować systemat słoneczny, a jest chaotyczną plątaniną motywów, linij i figur, niejasną w układzie, kłębkiem kształtów i symbolów niezdecydowanych i niecstetycznych. Ornamentyka natomiast sali tego domu, rysunek mebli i balustrady schodowej noszą piętno niezwykłej pomysłowości i zręcznego skombinowania motywów roślinnych z kształtami prostolinijnemi.

Jedna z ostatnich kompozycyj witrażowych Wyspiańskiego umieszczona nad organami w kościele Franciszkanów w Krakowie jest dziełem fantazyi niechorowitej a podniosłej. Wspaniale ponad żywiołami unosi się postać Boga-stworzyciela. Wyłania się On z bezmiaru i sam jest bezmiarem. *Natura naturans* ujęta w formę osobową. Kształty Jego, twarz i ręka łączą się z falującymi masami materyi. U dołu planety, słońca, mak, złotawe bańki wobec kosmicznego ogromu. Rzecz ogromna, zakrojona na miarę koncepcyi Michała Anioła, bijąca majestatem ducha i artyzmu. Niepodobała się podobno fachowym znawcom witrażu kościelnego. Do mnie jednak przemówiła jasnością i zakrojem kompozycyi ta postać Boga, pełna ogromu, łącząca wielkie zarysy z wirami otaczającego świata. Natomiast ogólny poklask znawców i nagrodę Akademii Nauk zyskał szereg pejzaży Wyspiańskiego, będących parafrazą jednego podmiejskiego motywu. Odczute oryginalnie, różnorodne w odcieniach i szczegółach, wyraziste w głównych zarysach, były one gamą artystycznie przetworzonych wrażeń, skradzionych przyrodzie.

Taki mi się wydaje w głównych zarysach ogół pracy malarskiej poety-artysty, który w zakresie techniki pastelowo-witrażowej ma szeroką skalę i wybitną oryginalność. W studyach i portretach stylizujący, omija szczegóły, szuka wyrazu zasadniczego; w charakterystyce oryginalny ale ciężkawy, unikający nie tylko wymuskania ale i piękności, staje się dopiero artystą dużej miary, gdy wyraża ból, grozę albo potęgę niezwykłą. Dotykając się tematów realnych, nadaje figurom i postaciom charakter przeważnie małomieszczański, bo z tej sfery wyrósł, w tej sferze życiowo się obracał, wyrastając ponad nią i ponad całe otoczenie swoje mocą uduchowienia i kultury. W studyach i portretach wyrazisty, często szorstki, w technice używający przeważnie motywów linearnych, splątanych i wykręconych. Poświęcając się sztuce ornamentacyjnej, mógł obejść się bez kolorowości, która nigdy nie jest u niego intensywną, polega na tonach ogólnych, najczęściej białych, czarnych i czerwonawych, nie zna gamy półtonów i odcieni.

Dopiero we wielkich kompozycyach występuje zasadnicza cecha jego twórczej wyobraźni: wizyjność, która zjawy fantastyczne kształtuje w formach ciężkich, silnie obrysowanych, dotykalnych a nieobłocznych, ani rozwiewnych. Ten malarski charakter posłuży mi do objaśnienia natury scen fantastycznych w jego dramatach. Rzecz prosta, że oba rodzaje twórczości musiały się plątać ze sobą i krzyżować wzajemnie. Przenikanie się żywiołu plastycznego z ideowym, wzajemne do siebie ustosunkowanie tych czynników—

co postaram się w dalszym ciągu na jaw wydobyć—decydują o barwie i naturze wewnętrznej jego dzieł poetycznych. Niewszystko w nich płynie z malarskości, owszem praca ideowa i czuciowa dopiero w poezyi u Wyspiańskiego dosięga *maximum* swego natężenia.

Malarskość jest przyczyną, że wewnętrzna konsekwencya i następstwo dzieł nie dadzą się ująć wyraźnie jako dyalektyczna konieczność. Poeta, wydawszy jeden utwór, przystępuje do drugiego z odmiennych przedsłanek, niewiążących się z poprzedniemi. Ma kilka sfer obrazowo-ideowych i przerzuca się od jednej do drugiej, rozwijając i akcentując stopniowo pewne właściwości swej techniki pisarskiej. Można wyraźnie wskazać malarskie pochodzenie niektorych postaci, szczegółów, w dramatach i rapsodach—ale samo malarstwo niemoże służyć, jako klucz do wyczucia i odgadnięcia wewnętrznych sprężyn ustroju poetycznego oraz szkieletu budowy dzieł. Wyspiański, jako poeta i malarz, przypomina bogate natury epoki Odrodzenia, ma się rozumieć, bez ich bujności duchowego zdrowia. Gdy jednak Leonard da Vinci lub Michał Anioł Buonarotti, jako plastycy, zdumiewali głównie potęgą talentów, wobec której wartość ich dzieł literackich i naukowych stała na drugim planie — u Wyspiańskiego, przeciwnie, dopiero poezya wyzwoliła i uskrzydliła główne moce duchowe. Jako malarz, Wyspiański jest osobistością oryginalną i wybitną - jako dramaturg, jednym z przodujących wyrazicieli naszej epoki w pieśni.

II.

Legenda. Warszawianka.

W stosunku do realizmu faktów dziejowych legenda jest skrystalizowanem kłamstwem. Jednakże we wnętrzu jej mieści się jakiś symbol, ułamek ludowej wiary, szczątek jakiegoś faktu, oplecionу zmyśleniem, czasem umyślnie przefantazyowany w danym duchu przez czynniki lub sfery, dla których taki a nie inny kształt legendy był pożądanym. Kraków jest klasycznym gruntem dla legendy, jako jedno z gniazd państwowości polskiej, której początki gubiły się w mrokach dziejowych. Rzecz dziwna, że w Krakowie nawet i w nowszych czasach pewne koteryе społeczne lub literackie tworzyły legendy, uchodzące niby za prawdę, chociaż były jej fałszywym surogatem.

Wyspiański rozpoczął swą poetyczną twórczość od poematu w dwu odsłonach „Legenda,“ osnutego na tle podania o Wandzie. Zaczął to dzieło pisać w Paryżu 1892 r. skończył w Krakowie

1897 r., więc tę pierwocinę literacką puścił w świat ostrożnie po namyśle i wykończeniu.

Bohaterce „Legendy“ kazano parokrotnie na scenach polskich mówić dużo patetycznemi wierszami, ale nikt przedtem nie tchnął w nią poetycznej krwi i duszy. Filologowie twierdzą, że samo imię Wanda przypomina nazwę wody albo fali (starosłowiańskie: *wanda*, duńskie: *wand*, litewskie: *wandu*, łacińskie: *unda*), że bohaterska córa Kraka „co nie chciała Niemca,“ jest legendowem upostaciowaniem górnego biegu Wisły. Idąc za podaniem, poeta spoił bohatera swego lirycznego dramatu z gruntem rodzimym, ze wzgórzem Wawelu, z korytem rzeki, płynącej gzygzakiem u jego podnóża. Cofnął się myślą w dal zamierzchłą, gdy na wzgórzu było drewniane grodzisko knezia, warownia z grubo ciosanych kłod jodłowych, gdy koło zakrętów rzeki szumiały dziewicze błonia i bory, sterczały skały dziewannami obrosłe.

W kompozycyi przeważa tu jeszcze żywioł malarski, niezmiernie oryginalny, ujęty w formę informacyj scenicznych. W świetlicy grodu ogromnej, pełnej pierwotnej prostoty, dzikości i powagi, powoli dogasa stary Krak, założyciel zamku. Koło knezia dwaj gęślarze Łopuch i Śmiech, pół-dziady, pół-dworzanie, czuwają, gawędzą, pośpiewują i pobrzękują na lirach. Dziwny jest spokój, smętna płynność i rozlewność tych scen wobec grozy sytuacyi. Tam, pod wzgórzem, córa kneziowa, niewiasta z mocą męską, broni zamku pod naporem zwycięskich Allemanów. Krak marzy o dawnej świetności, zbiera się z żalem opuścić na wieki Wisłę i grodzisko, z któremi związany jest tajemniczą spójnią—snuje pełne tęsknoty marzenia, zasłuchany w pogwary fali odległe. Wanda, gdy bój się chwilowo uciszył, schodzi do świetlicy, przerażona złemi wróżbami, które jednak nie złamią jej dzielności. Wie, że przeznaczeniem jej tu na tem wzgórzu trwać, opoki rodzimej bronić, a okupić dawne winy i krew brata ongi z miłości dla niej przelaną. Wanda należy do postaci tragicznych, które istnieją po to, aby szły na ofiarę wielkich przeznaczeń narodu. Czuje w sobie grozę przyszłych losów. U Wyspiańskiego los jest nieugięty, jak fatum starożytne, a nawet ściga swe ofiary z pewną złośliwą zaciętością. Krak, podniecając rycerskiego ducha Wandy, mówi z wysiłkiem przedśmiertnym, że powinna:

„orłów szerokie skrzydła rozwinąć,
orlich szpon ostrzem chwycić i szarpać,
na skały runę unosząc śmiertelną,
wysoko, niedostępnie gimąć...“

Wanda odpowiada na to z ponurą rezygnacyą:

„wysoko, niedostępnie ginąć,
w śmiertelnej ranie grot unosząc z sobą,
orłów szerokie skrzydła rozwinąć
i skryć się czarnych chmur żałobą!“

Takim od początku jest tragizm Wyspiańskiego, energiczny, złowrogi, zapatrzony w żałobę beznadziejną.

Po chwili Krak kona cicho, jakby zasnął ukołysany balladą gęślarzy. Wanda ze szlochem przypada do nóg ojcowych. Gwary bitwy rosną. Allemanowie nacierają silnie, szturmują do grodziska, dobijają się do świetlicy. Wanda, idąc za radą gęślarzy, oddaje się na ofiarę bogini Żywi, błagając, aby ochroniła zamek i zwłoki ojcowskie od pohańbienia. Ślubuje poświęcić jej ciało i żywot młody—za chwilową moc czynienia cudów. Niebo piorunami daje znać, że ślub przyjęty. Ogromna ulewa płoszy najezdzców. Wanda przy trupie ojca snuje w ciszy marzenia — zbyt przewlekłe. Zasypia. Wtem zjawia się korowód postaci wodnych, rusałów, wiślanek, wodników, wilkołaków, guślarów — cały lud dziwadeł i duchów, zamieszkujących głębią rzeki i przyległych okolic. Snuje się w czeredzie fantastycznej, oblany srebrną poświatą księżyca, unosi zwłoki Kraka na wieczny spoczynek na dno Wisły u stóp zamczyska. Scena ta jest niezmiernie malowniczą. Podobnie, jak w jednej ze scen poprzednich, gdy Krakowi majaczyły się senne widzenia—widać tu rys znamienny wyobraźni wizyjnej poety: postacie jego fantastyczne, zarówno majaki, jak duchy, mają zawsze plastykę zewnętrzną, nierozpływającą się w tumanach, jak np. niektóre wizye Słowackiego w „Zborowskim“ lub „Królu Duchu.“ Poeta nadał temu tłumowi widm rysy wyraźne w tonie ogólnym i ugrupowaniu, ale w słowach nieoddał odrębności figur poszczególnych, nieodróżniał w stylu i języku świata ludzi od świata duchów.

Kłębią się też fantastyczne böcklinowskie figury, rybo-ludzie, rusałki, dziewy wodne i pląsają w głębi fali wiślanej w drugiej odsłonie „Legendy,“ której scenerya przypomina Wagnerowskie „Złoto Renu.“ Wyspiański dzieli poziomo obszar sceny na dwie połowy. W niższej ukazuje widok wnętrza płynącej Wisły z ogromną skamieniałą postacią Kraka wrosłą na dno; w górnej promenadę pływający na wodzie zdobny kwiatami, a w głębi widok na zamek i brzegi odległe. W teatrze taka dekoracya technicznie przeprowadzić się nie da tak, aby osiągnęła efekt zamierzony. Wagner zadowolnił się tylko wodną głębiną—nasz poeta skomplikował tru-

dności wystawy, żądając nad głębią jeszcze widoku, skąpanego w blaskach powietrznych. Nabrawszy doświadczenia scenicznego, zupełnie zmienił tę scenerye w drugiej wersyi „Legendy,“ napisanej w siedm lat potem, przekształconej według późniejszej maniery techniczno-stylowej. Po szeregu scen fantastycznych, w których odzywa się nuta pieśni ludowej, pod wodą budzi się na chwilę Krak i słucha okrzyków zwycięstwa swego ludu. Wanda nocą zebrała resztę pachołów i rycerstwa i przepędziła wrogów. Na ten odgłos stary Krak zadrgał, nabrał mocy i ozwał się pod wodą tak płomiennie i szeroko, jak przedtem nie mówił za życia. Jego bytowanie pośmiertne poeta połączył po swojemu z formą materyalną. Krak czuje swe kamienne ciało, które krępuje zmartwychwstałą na chwilę moc uczucia. Po wysiłku zapada w sen na zawsze. Wanda zwycięska, spełniając śluby, rzuca się w toń, opada powoli na dno; rusałki otulają królewnę płaszczem kamiennym i układają do snu w głowach ojca.

Końcowe obrazy piękne, pełne świetlanej fantasmagoryi – ale słowa scen ostatnich mdłe, niedostrojone do sytuacyi. W umyśle poety malarska wizya była wyraźną. Zewnętrzny ruch scen i figur rozwija się barwnie i poetycznie, ale pod względem uczuć oraz indywidualizacyi figur zarysy dzieła są jakby niedokształcone, niedomodelowane. W poczęciu i nastroju widać zmysł wielkości, głębsze odczucie natur pierwotnych, prostych, półolbrzymich, zahartowanych w zapasach z wrogami, zbratanych z przyrodą. Krak i Wanda to zarysy na postacie symboliczne, streszczające wielkie siły plemienne. Uczucia ich silne, proste, dusze pełne sennej zadumy, otwarte na szmery zagrobowych tajemnic. Chwilami się podnoszą, rosną w oczach, mówią jak olbrzymy, wzlatują myślami w kręgi wiekuiste — potem słowa im na ustach bledną, natężenie poetyczne obniża się. Zwłaszcza w ostatnich scenach Wandzie brak bodaj kilku słów z pod serca wyrwanego żalu za życiem, miłości dla kraju i rezygnacyi heroicznej. Nietrzeba było tyrad, wylewów uczuciowych — wystarczyłoby kilka wierszy mocnych, skłębionych, drgających bólem i zamkniętych rozkazem tryumfującej duszy, która przez ofiarę idzie w wieczność. Wszyscy zresztą w „Legendzie“ mówią jednakowo, językiem rdzennie polskim, zabarwionym ludowo, przeczystym, dostojnym, mającym rytm jednostajny, archaiczny. Od początku do końca snuje się w tempie wolnem, chwilami wpadającym w *maestoso*, wiersz luźny, krótki, rytmiczny, zrzadka rymowany, potoczysty, na tle którego zadźwięczy chwilami liryczna zwrotka o rytmie ludowym. W jednym tylko momencie, gdy bitwa się zbliża za sceną, tempo odrazu staje

się rwiste, szybkie, słowa szczękają lub łomocą twardo. Po za tem język poetyczny płynie i przelewa się z wiersza do wiersza falisto, łącznie, niby niekończąca się melodya Wagnera. Poeta wyraża to graficznie odrębną punktacyą, zaczynaniem zdań i wierszy od małych liter, nawet po kropkach.

W tonie legendowym i pojęciu dramatu liryczno-oratoryjnem, znać wpływ autora „Pierścienia Nibelungów.“ Tekst „Legendy“ odpowiednio skrócony, według mnie jest dobrą kanwą do ilustracyi muzycznej, która wielu scenom i momentom mogłaby nadać odpowiedni stopień poetycznego napięcia. Wyspiański bardzo świadomie wyznaje zasadę niezależności od wpływów postronnych, twierdzi, że „nie trzeba dużo czytać“ aby nie zabić w sobie oryginalności. Mimo to wpływ Wagnerowski w „Legendzie“ jest namacalnym, jakkolwiek poeta nastrój mistrza „muzyki przyszłości“ przetworzył po polsku, począwszy od sceneryi dzieła, postaci, skończywszy na czysto rodzimym toku formy i języka.

Co najważniejsza, uosobił swojską przyrodę, wywołał tłumy widziadeł, któremi ją zaludnia wyobraźnia ludowa, oplótł całość przędziwem wierzeń i guseł wiejskich, ukazał widok na głębię pojęć starodawnych, pogańskich o stosunku człowieka do przeznaczenia. Ludzie prości, ogromni, poruszają się pod działaniem namiętności i uczuć silnych, niekomplikowanych. Nawet etyczne czynniki, jak poczucie obowiązku dla narodu, działają w nich mocą elementarnego, rasowego instynktu. Czują swój blizki związek z naturą, z którą współżyją albo walczą, widzą w niej tłumy istot sobie podobnych, złośliwych lub dobroczynnych. Z drugiej strony ciąży na nich ramię boskich zwierzchników, mocnych, nieubłaganych, jak żywioły przyrody, zazdrosnych o swą boską potęgę. Na tle pogańskiem ukazuje się tu stosunek człowieka do potęg zaświatowych, tajemniczych, z któremi utrzymuje związek dusza ludzka w swych nieświadomych głębiach. Ten rys mistyczny, bardzo znamienny dla umysłu poety, ukazuje się potem w rozmaitych odmianach i wcieleniach w dalszym pochodzie twórczej pracy Wyspiańskiego. Tak samo, jak inne zasadnicze rysy imaginacyi i artyzmu, tutaj tkwiące wyraźnie lub zarodkowo, potem rozwiną się w pełni przewyraziste.

Osnowa „Legendy“ jest nawskroś tragiczną. Poeta jednak usunął ze sceny stronę najbardziej dramatyczną: konflikt Wandy z Rytygierem i białowłosym ludem najeźdźców. Samą walkę ukazał w pantominie, jako część tła dla głównych figur. Zamiast wrzawy tryumfu, świtania nowych jutrzni dziejowych, wolał odkryć tajniki głębin wodnych, układających się w końcu do sennej ciszy.

Gdy gaśnie światło podwodne — wszystko znika — gaśnie i legenda, marzenie o prabycie narodu. Rozwiewa się jak sen — chwilami piękny, podniosły, chwilami mgławy, migający majakami słabszymi—jak to zwykle sny bywają. Ale sen niepodony do wszystkiego, co przedtem o Polsce podaniowej wyśpiewano i wymarzono. „Legenda“ nie przyszła na świat z podbijającym czarem fantazyi i siłą tragiczną, jak „Lilla Weneda“ i „Balladyna,“ nie wionęła odrazu zwycięskiem tchnieniem wielkiej poezyi. Nie miała tu posągowej linii i romantycznego patosu z fragmentu Krasińskiego dramatu „Wanda,“ ani szerokiej perspektywy patryarchalno-dziejowej, jak „Popiel i Piast“ Romanowskiego. Nie była nawet tak ułudnie żywym, realistycznym obrazem czasów pierwotnych, jak „Stara baśń“ Kraszewskiego. Miała jednak swoją odrębną atmosferę, tchnęła chłodnym, ale świeżym powiewem Wisły, mocą surową a męzką, dźwięczała poważną mową starego rapsodu. Był to obraz poetyczny o rysunku mocnym, lubo chwilami skręconym, kapryśnym, utwór, który uderzył techniką oryginalną, artystycznem nowatorstwem, wydobyciem w kilku scenach efektów nastrojowych, opartych na harmonii stanów duszy ludzkiej z tchnieniem przyrody. Pierwszy utwór Wyspiańskiego zwiastował dla poezyi naszej nowego artystę, który wystąpił w stroju niepożyczanym, z własną zadumą na twórczem obliczu.

*

* *

„Legenda“ obudziła zajęcie dla swych przymiotów artystycznych w kołach literackich — tymczasem „Warszawianka, pieśń z 1831 r.“ dramat jednoaktowy, drukowany i grany po raz pierwszy w r. 1898 na scenie krakowskiej w rocznicę powstania Listopadowego, odrazu wstrząsnął serca i umysły. Porwał dusze bolesnem napięciem uczucia narodowego. Poeta wyzwolił się z pod przewagi pierwiastku malarskiego, rzucił na deski sceniczne szereg scen przejmujących, w których biło tętno wielkiego dziejowego dramatu. Rzecz się dzieje w trzecim dniu bitwy Grochowskiej. W oddali huczą armaty — tym czasem w salonie dworku wiejskiego, zdobnym w stylu „empire,“ zebrało się grono wojskowych, dygnitarzy polskich, wśród których Chłopicki eks-dyktator, obecnie wyrocznia wojska i doradzca wodza naczelnego naszej ar-

mii. W towarzystwie krzyżują się rozmowy niespokojne, Chłopicki czeka wiadomości z boju o losach pozycyi i dywizyi, którą na zgubę przeznaczył, aby dowieść niedołęstwa jednego z dowódców. Generał jest jednym z tych orłów-strategów, którzy dla wielkich kombinacyj igrają z życiem i szczęściem ludzkiem. Tymczasem córki pani domu: ciemnooka, poważna Marya i białowłosa, łagodna Anna przy klawikordzie grają „Warszawiankę,“ pieśń patryotyczno-bojową Delavigne'a, do której polskiego przekładu napisał Kurpiński muzykę melodyjną, przejmującą. Pieśń ta przetrwała w ustnej tradycyi po dworkach, salonach wiejskich i miejskich, w pokoikach studenckich. Ja sam ją przed czterdziestu z górą laty nuciłem chłopięcemi usty. Poeta użył pieśni z prawdziwą maestryą artystyczną jako *leitmotivu*, wiążącego sceny pojedyńcze dramatu w dotykalnym wylewie zapału narodowego. Marzenia, nadzieje i pragnienia dusz polskich kołysały się w tych strofach gorących, które dziś jeszcze zapierają dech w piersiach i łzą wilżą oko...

Leć nasz orle w górnym pędzie,
Sławie, Polsce, Światu służ!
Kto przeżyje — wolnym będzie,
Kto umiera — wolnym już!

Tymczasem inaczej wypadki popycha naprzód fatalizm dziejowy. Chłopicki otrzymuje milczący raport od starego wiarusa o zgubie dywizyi, w której walczy narzeczony Anny, rwąc się do chwały... Scena ta bez słów, a jednak robi wrażenie niesłychane, przykuwa słuchaczy. Dlaczego? Bo mowa tu milknie, a przy dźwiękach muzyki odbywa się głęboki, skrzyżowany dramat wewnętrzny... Wiarus ranny, zbryzgany błotem, chwiejący się na nogach, z ostatnim wysiłkiem donosi o zgubie towarzyszy, oddaje w milczeniu raport i zwitek ze wstążką od zmarłego bohatera dla jego dziewy. Chłopicki czyta i zachowuje spokój zewnętrzny, aby zataić nieszczęście przed Maryą, która, grając na klawikordzie, wpija oczy w twarz wodza, szarpana złowrogiem przeczuciem. Dopiero w teatrze chwila ta sprawia efekt jeden z najsilniejszych, jakie daje sztuka sceniczna. Wyspiański umie wywołać takie momenty groźnej ciszy, w których kłębią się uczucia silne, tłumione, drga przyciszony strach, ból i męczarnia duszy — umie on wywołać zapomocą mimiki samej nastrój przenikający. Po tej scenie Marya chce wydobyć z generała tajemnicę, bada go i porwana szałem w rozpaczy staje ponura, jakby była Polonią symboliczną w żałobie, z grottgerowską grozą i gestem szerokim. Zwykła ko-

bieta, polska dziewica, nawet głęboko czująca, wybuchnęłaby żalem bolesnym, łkaniami i jękiem. Marya, w chwilach rozdarcia serca, okazuje zapamiętałą mściwość, wróży, jak Kassandra, polskim rycerzom zagładę w boju bez jutra. W oczach widza odbywa się tu dziwne *przemienienie*, jakby zamiast Maryi, polskiej dziewy, stanęła na scenie postać inna, koturnowa, wróżka czy furya, rzucająca groźby i klątwy. Niejestto symbolika, za pomocą której dana postać urasta, nabiera rozmiarów, reprezentując siłę lub ideę wyższą, ale zostając *sama sobą* w formie zewnętrznej. Dla mnie to nagłe przekształcenie Maryi w Polonię, potem w Kassandrę, i to w scenie mającej rysy realne, wydało się dowolnością, rwącą jednolitość postaci. Przecież symbol czy alegorya muszą mieć własną logikę; zmienność taka może być tylko cechą sennych marzeń. Uważano to jednak za przywilej czy też swobodę sztuki modernistycznej, a w przedstawieniu scenicznem głos i talent aktorki pokrył tę wewnętrzną niekonsekwencyę. Obu głównym postaciom Chłopickimu i Maryi poeta nadał rysy przeczuciowe w duchu dzisiejszego modernizmu, oboje widzą oczyma nawał klęsk, które mają spaść na ojczyznę w nierównej walce. Chłopicki chce zmagać się z losem. Gdy całe otoczenie błaga go, żeby przyjął dowództwo, staje przed biustem Napoleona, wygłasza wielką tyradę o jego sławie, jak bohater francuskiej tragedyi, deklamuje jak literat głęboko-piorunne zwroty o starożytnem fatum. Prawdę i szczerość poetyczną zwichnęło tu wprost nieszczęsne u Wyspiańskiego rozkochanie się w retoryce dramatu greckiego i pseudo-klasycznego, którą szczęśliwie zabił u nas Mickiewicz, odjąwszy poezyi i dramatowi polskiemu szczudła szkolarsko-akademickie. Wyspiański, będąc w Paryżu, rozsmakował się w tragedyach Kornela i Rasyna; gdy starał się o dyrektorstwo teatru krakowskiego w r. 1905, miał zamiar wprowadzać je na scenę. Byłby zapewne wystraszył z teatru publiczność (która chodziła tłumnie na dzieła wielkich poetów naszych oraz na jego poematy fantastyczne) gdyby, otrzymawszy dyrekcyę, naprawdę część repertuaru oparł na francuskich tragedyach wyszrubowanych, patetycznych, obcych naszemu smakowi, nielubianych w teatrze nawet w epoce, gdy arystarchowie warszawscy hołdowali kodeksowi Boileau i Laharpe'a. Wypowiedziawszy sporo nadętych wierszy, jak Cynna lub Mitrydat, Chłopicki zrywa się do boju, wyrusza na czoło armii. Za sceną brzmi pobudka — rusza na wroga konnica polska. Nieszczęsna Marya, dawszy folgę ponurym zapędom, znajduje na pianinie skrwawioną wstążkę, którą dała narzeczonemu. Przeczucie zmienia się w pewność rozpaczliwą—Marya

wybucha krzykiem szczerego bólu i skłania głowę przed potęgą, która w lód ścięła jej serce. Za sceną trąby grają — rycerstwo śpiewa na chwałę białego orła.

W pomyśle dramatu ujął poeta trafnie zasadniczy tragizm chwili dziejowej: walkę o cześć narodu bez nadziei zwycięstwa, której nie mieli zwłaszcza wodzowie. Pieśń rewolucyjna tętni zapałem, serca uderzają zgodnie pragnieniem wolności — ale nad ludźmi i wypadkami zawisła potęga Losu, posępna, nieubłagana, skazująca na zagładę wysiłki wojska i narodu. „Wiara się rozwiała—więc rycerze i boje stracone.“ Błysną jeszcze dni chwały, chwile wielkiego bohaterstwa, ale w końcu zwycięży potęga sławiona na różne tony w poezyach Wyspiańskiego: *Śmierć!*

Posępno-rycerski majestat ma to rwanie się do boju, romantyczny szał rozpaczy, ta żywiołowa siła, przez którą naród wyładowywa z siebie rewolucyę, tak samo, jak gotuje się do wybuchu wulkan, nie mogący utrzymać wewnątrz naporu lawy, siarki i płomieni. Odczuwszy ideową, mistyczną głębię tematu, Wyspiański okazał jednak swój zwykły brak zmysłu dla wielu stron świata rzeczywistego. Nieposiada on daru tworzenia indywidualności, odrębnych samych w sobie, żyjących albo życiem realnem, albo siłą poetycznego złudzenia. Nie zajmuje go prawie nigdy jednostka ani dusza ludzka sama w sobie, jako *mikrokosm*, tylko w stosunku do obrazu albo wizyi panującej w umyśle twórczym. Zdaje się, że Chłopickiemu miał zamiar nadać rysy wyraziste, wydobyć rozterkę mocnego ducha w godzinę wielkich przeznaczeń. Rysy te jednak utonęły w retoryce o splątanych myślach, mętnych uczuciach. Rozumie się, że postać Chłopickiego niepodobna do wizerunku historycznego; ale o taki formalizm nie trzeba procesować poety, gdyby zastąpił rysy dziejowe własną konstrukcyą figury, idealistyczną czy realną, ale jakąś *naprawdę* konstrukcyą. Jego deklamujący bohater niepodobny jest do Chłopickiego, jakiego znamy ze świadectw współczesnych, do generała *małomównego*, zaciętego w oporze, energicznego, z duszą zamkniętą w kręgach żołnierskiego honoru. Praktyczny strategik, dygnitarz, niemający szerszego politycznego umysłu, nie mógł się dać porwać i rozkołysać marzeniom narodowego zapału. Wybraniec narodu, człowiek przeznaczenia, nie zrozumiał w głębi duchowej budzących się potęg, nie umiał ująć w ręce steru wypadków, które stawiały go na czele. U Wyspiańskiego jest jakąś ponurą zagadką, mistykiem, który się mocuje z losem. Stoi na jednem miejscu i pozuje jak romantyczny *beau ténébreux*, jak posąg udrapowany w fałdy szarego płaszcza. Ma z początku orle spojrzenie i dumne słowa

na ustach. Gdy go wołają do czynu, deklamuje po aktorsku, zwycięża skrupuły drażliwości osobistej, idzie w bój ulegając bardziej namowom otoczenia, aniżeli pędowi własnej duszy. Z tych rysów dałaby się może wytworzyć figura wojownika, łamiącego się w wątpliwościach i popchniętego do czynu naporem wypadków zewnętrznych. Dzięki retorycznej manierze i splątaniu rysunku myślowego, zrobił poeta z Chłopickiego tylko efektowną rolę dla artysty, który musi inteligentnie wyrazić obrazowość, a nawet modernistyczną symbolikę frazesów wielomownego wojaka. Najsilniej i najgłębiej w dramacie działają chwile, w których brzmią tony pieśni patryotycznej. Sceny dramatyczne Chłopickiego i Maryi robią efekt głównie siłą wokalną, aktorską ekspressyą. Gdy się je słyszy po raz drugi, trudno się opędzić myśli, że te sceny są przestrojone, fałszywe, według nowej maniery — ale fałszywe. Za to w pierwszych scenach atmosfera danej chwili przedstawiona dobrze, przy końcu dramatu pożegnanie oficera z milutką Anną proste i pełne ciepła.

Wybór tematu, układ sytuacyi, ciągły ruch sceniczny, przejście od rozmowy potocznej do napięcia dramatycznego — wszystko to znamionowało narodziny nowego, prawdziwie dramatycznego talentu. Wyspiański dowiódł, że czuje perspektywę teatralną, rozumie niektóre sekrety techniki, umie wywołać efekty dramatyczne głębsze ze starcia sił wewnętrznych w człowieku i spotęgować je dobrze pomyślanymi akcessoryami zewnętrznymi. Niema tu właściwie akcyi, ale jest atmosfera tragiczna, nastrój głęboko przenikający, który chwyta za serce i dławi w gardle słuchacza. Pomimo przestrojonego patosu scen niektórych, dramat narzucił się publiczności z dziwnie suggestywną siłą. Dla czego? Działał tak przez swą rozpacz ponurą, drażniącą, przez namiętne, rozdzierające wybuchy bólu osobistego lub zbiorowego. Dla tego właśnie jest popularnym „Marsz Żałobny“ Chopin'a oraz ilustrujące go słowami „Dzwony“ Ujejskiego, pełne histeryi cmentarnej, rozszalałej ekstazy bólu. U nas są to bardzo lubiane numery koncertowe — grają je i deklamują zarówno artyści jak i dyletanci, bardzo często *na żądanie* słuchaczy. Nic w tem dziwnego. Naród nasz, który ma w niedalekiej przeszłości tyle posępnych wspomnień, naród, którego najświętsze ideały zdeptano, któremu zatruto radość życia, chociaż z natury jest pogodny i wesoły, któremu pobarbarzyńsku i bezcelowo wydzierano najdroższe prawa i skarby duchowe—ma na dnie duszy struny, drgające żywym oddźwiękiem wobec poezyi grobów i żałoby.

Wyspiański uderzył silnie w te struny, trafił do uczucia słuchaczy, zyskał poklask, obudził zapał, odrazu bezkrytycznie spotęgowany przez koteryę modernistów.

Literackie horoskopy uznały w nim nową, upragnioną i wyczekiwaną gwiazdę teatru i dramatu polskiego.

Józef Kotarbiński.

Optymizm w powieści angielskiej.

Próba ogólnej charakterystyki piśmiennictwa angielskiego w drugiej połowie XIX-go wieku ze stanowiska światopoglądu autorów, lub, wyrażając się dokładniej, ich stanowiska krytycznego do życia, doprowadziłaby nas do rezultatów dość ciekawych i nieprzewidzianych, a wyróżniających produkcyę pisarską Anglii z pomiędzy dorobku innych literatur. Gdy mianowicie zauważyć się daje wszędzie niemal w ciągu tych lat kilkudziesięciu wykwit skrajnego nieraz pesymizmu, w Anglii przeciwnie, znajduje ten kierunek niewielu bardzo wyznawców, choć w ich liczbie jednostki takiej miary, jak Swinburne. Poważna natomiast większość pisarzy tego okresu należy wyraźnie zupełnie do szkoły optymistycznej. Ocena, podjęta z tak wyłącznego stanowiska, jest oczywiście z konieczności jednostronną, a nie może przytem obejmować całokształtu twórczości duchowej epoki, przedewszystkiem zaś dzieł z zakresu czystej poezyi, gdzie lotna wyobraźnia unosi się wysoko po nad sfery rzeczywistości, nie wyrażając często wcale swego do niej stosunku. Ma ona wszelako swą racyę bytu, gdy zważymy, w jak znacznej ilości utworów pióra ze wszystkich dziedzin piśmiennictwa, filozofia życiowa autorów, czyli ich pogląd na zasadnicze zagadnienie istnienia, występuje z mniejszą lub większą wypukłością. Rozpatrywanie tych właśnie dzieł doprowadza nas do stwierdzenia decydującej przewagi tendencyj optymistycznych w literaturze angielskiej ostatniego okresu.

Optymizm ten uwydatnia się szczególniej w powieści, stanowiącej olbrzymi procent ilościowy w ogólnej wytwórczości książkowej. Istnieją w nim różne kategorye i odcienie. U autorów pośledniejszego typu, patentowanych bawicieli tłumów, uprawiających optymizm z wyrachowania, gwoli schlebiania gustom publi-

czności, sentymentalny jest najczęściej i łzawy, zawsze powierzchowny i trącący raz po raz fałszywą nutą. W dziełach tych pisarzy kwitnie niepodzielnie tryumf wiernej miłości i cnoty. I choćby nad głowami bohaterów zbierały się przez długie dwa tomy najcięższe chmury — do ostatnich jeszcze czasów jednotomowa powieść była, niestety, w Anglii rzadkim zjawiskiem — choćby czyhały na nich aż do końca największe przeciwności, ostatnie strony przyniosą zawsze rozwiązanie pomyślne i zgodne z wymaganiami zdawkowej moralności, choć przeczące nieraz wszelkim przewidywaniom logiki i zdrowego sensu.

Tej najliczniejszej grupy wulgarnych przedsiębiorców powieściowych, pomiędzy którymi nie brak zresztą ludzi talentu, nie można naturalnie brać w rachubę, kreśląc obraz ruchu literackiego. Ale optymizm nie jest ich wyłącznym udziałem. Objawia się on, jako wyraz głębokiego przekonania u pisarzy wielkiej miary, jednostek o wybitnej indywidualności twórczej i nosi wówczas odmienne zupełnie cechy: jest wiarą synów rasy silnej, zdolnej, wytrwałej i energicznej w zwycięskie urzeczywistnienie ideałów, które wypisali na swym sztandarze. To niezłomny i niezmożony optymizm Browning'a, nie ustającego w walce przeciw upadkowi ducha i słabości myśli, to podniosły optymizm Meredith'a, występującego w późnej starości pod godłem haseł demokratycznych, które przyświecały jego młodym latom.

Optymizm przybierał w ciągu ostatnich lat kilkunastu inne jeszcze, a wysoce niesympatyczne oblicze, którego szpetność przesłaniały przez czas dłuższy przed oczyma ogółu gromkie frazesy, deklamowane na pseudo-patryotyczną nutę. Był to optymizm zwolenników tej brzydkiej odmiany imperyalizmu, która przed laty kilku zamroczyła chwilowo najszlachetniejsze umysły. Teorya jedności państwowej i wspólnej obrony przeciw wrogom zewnętrznym w imię najlepiej pojętych interesów ogółu, sformułowana po raz pierwszy przez sir Charles'a Dilke'go w dziele *Greater Britain* (1868), wydała w następstwie różne niesmaczne płody, których ojcostwa wypierał się zresztą z wielką energią ten wybitny mąż stanu. Jednym z takich płodów był imperyalizm zaborczy, nieoglądający się najczęściej na żadne względy moralne. „Przy tworzeniu imperyi, mówi jeden z jego adeptów [1]), nie ma miejsca na odróżnianie tego co sprawiedliwe, a co występne. Jest tylko jedno prawo: prawo silniejszego i więcej uzdolnionego. Silny *powinien* panować, nie oglądając się na to, czy chce tego słaby."

[1]) George Griffith, „Men who have made the Empire."

Ten imperyalizm miał swą prasę, swych kaznodziei, swych uczonych, swych piewców, nastrajających swą lirę na nutę specyalnego, jak to łatwo zrozumieć, optymizmu. Wybitnymi jego wyrazicielami byli: poeta-laureat Alfred Austin i niemniej zdecydowany wyznawca dżingoistowskiego katechizmu Rudyard Kipling. Charakterystyczne w tym kierunku wyznanie wiary stanowi powieść tego ostatniego z życia szkoły angielskiej p. t. „Stalky and C-ny“ (1899), w której pisarz nie zawahał się uznać za najpożądańszy typ przyszłych obywateli Anglii trzech wychowańców tej szkoły, suchych egoistów, uważających podstęp za zasadę życia, wzrosłych w kulcie dla pięści i upodobania do okrutnych figlów. Daremnie szukalibyśmy u tych młodych „podpór społeczeństwa“ jakichś szlachetniejszych popędów, jakiegoś współczucia dla cierpień bliźniego. W końcu książki Stalky i dwaj jego przyjaciele bronią na dalekich posterunkach państwa twierdzy wielkości angielskiej i poskramiają skutecznie Afganów i Zulusów. Kipling roztkliwia się na myśl, co mogą zdziałać takie nieokiełzane siły, mając przed sobą szerokie pole popisów i perspektywę bogatych łupów. Trudno uwierzyć, że to ten sam pisarz, który rzekł niegdyś: „W drodze do Delhi spotkałem stu ludzi i wszyscy byli mi braćmi.“ [1]) Z rasy Stalky'ch nie wyrosną napewno krzewiciele braterstwa. Szczęściem, wbrew nadziejom Kiplinga, Stalky'ch jest w Anglii niewielu. Szał imperyalistyczny, który dosięgnął kulminacyjnego punktu podczas wojny transwalskiej i owładnął wówczas umysłami takich nawet piewców wolności, jak Swinburne, rozprasza się dziś, jak zła mara. Sam Kipling począł już od lat paru wznosić hymny na cześć wspólnej pracy w pokoju i braterskiego pojednania z wrogiem wczorajszej doby.

Zaznaczyliśmy wyżej, że optymizm popularnych pisarzy obliczony jest na zadowolenie gustów szerokich sfer publiczności. Rzeczywiście literatura zgody z życiem i szczęśliwych rozwiązań odpowiada ogólnej tendencyi ducha narodu. Jakkolwiek bowiem, jak to powiedział jeszcze Froissart, Anglik nieraz „weseli się smutnie,“ to jednak patrzy w życie z pogodą i upartą wiarą w urzeczywistnienie swych celów i dążeń. Należy przyznać, że wypadki „ery Wiktoryi,“ ostatniego okresu w ewolucyi dziejowej jego ojczyzny, nie przyniosły zaprzeczenia jego światopoglądom. W ciągu długoletnich rządów królowej, uzyskał jaknajszersze swobody obywatelskie. Widział wspaniały tryumf zasady demokratycznej,

[1]) Dewiza zbioru nowel „Life's Handicap.“

gdy bille lat 1867, 1884 i 1900-go powołały do udziału w życiu publicznem warstwy ludności, które dotąd były odeń usunięte, wlewając w organizm narodu świeże siły. Widział, jak stare drzewo anglo-saksońskiej swobody puściło w młodych koloniach potężne szczepy. Dominium kanadyjskie i republiki australskie zdumiewają świat cały zaprowadzeniem najwięcej demokratycznych form życia społecznego. Obywatel angielski ma niezaprzeczone prawo do spoglądania w przyszłość z mocnem przeświadczeniem, że ta przyszłość do niego należy. Era Wiktoryi umocnić go tylko mogła w jego zasadniczym optymizmie.

Inne jeszcze względy wpływają na kierunek jego gustów literackich. Należy pamiętać, że na wszystkich prawie szczeblach drabiny społecznej Anglik jest do pewnego stopnia businessmanem, pracującym przez cały dzień z wielkim ekspensem sił i energii. Wracając do swego „home“ po długich godzinach mozolnego wysiadywania nad cyframi lub kombinacyami giełdowo-finansowemi, pragnie przedewszystkiem zapomnieć o smutkach i *szarej* prozie życia, ciążącej nad duszą, jak owe mgły gęste, które spowijają niebo jego ojczyzny. Dlatego stroni w literaturze od pesymizmu i realizmu. Dlatego od stu z górą lat zmuszał autorów dramatycznych do dawania mu w 5-ym akcie szczęśliwych rozwiązań i żywi dotąd żal do Artura Pinera jednego ze swych ulubionych autorów scenicznych za samobójstwo bohaterki w najlepszej z jego sztuk „Druga pani Tanqueray.“ [1]) Dlatego przerażają go katastrofy, któremi Tomasz Hardy zakończa swe powieści „Tess of the d'Urbervilles“ i „Jude the Obscure,“ jakkolwiek wynikają one logiczne z całego toku rzeczy. Dlatego skąpił przez długi czas uznania Jerzemu Moore i Arturowi Morrison, dwóm najwybitniejszym przedstawicielom realizmu we współczesnej powieści angielskiej. Prawda życiowa raziła go wszakże do niedawna najwięcej, gdy schodziła na grunt uczuć i namiętności. Naród, który rozwiązał mnóstwo palących zagadnień, pozostających dotąd dla mieszkańców kontynentu w sferze pobożnych życzeń i dał swym obywatelom prawo roztrząsania publicznie najskrajniejszych doktryn filozoficznych i politycznych, trzymał się i trzyma poniekąd jeszcze w kwestyi stosunków mężczyzny do kobiety nieznośnego, płytkiego szablonu. Era Wiktoryi, skąd inąd tak pomyślna, była epoką rozkwitu purytanizmu, równie niemal ciasnego, jak za czasów Cromwella. Nałożył on piętno na ducha narodu i głosił

[1]) „The Second M-rs Tanqueray.“ 1893.

jakąś surową cnotę, nie znającą litości ni przebaczenia, a kroczącą prostolinijnie po drogach obowiązku, nie bacząc, że łamie nieraz ludzkie istnienia. Purytanizm ten zapuścił korzenie i w literaturze. Przez całe lat dziesiątki w żadnej niemal powieści nie ośmielono się wyprowadzać na scenę miłości, nie uświęconej przez kościół lub choćby urzędnika stanu cywilnego. Namiętność musiała uginać głowę przed prawem społecznem i pociągała za sobą tragiczny szereg opłakanych skutków. Nieubłagana Mrs. Grundy zamknęła przed autorami angielskimi całą bogatą sferę życia psychicznego i sypała gromy na tych, którzy powstawali przeciw jej wyrokom. Zasłaniała ona wstydliwie oblicze, gdy Hall Caine, traktując sytuacyę z wielką zresztą dyskrecyą—pozwolił bohaterowi swej powieści: „A Christian“ spędzić kilka godzin w objęciach kobiety ukochanej, wolnej, mającej prawo rozporządzać sobą, lecz nie będącej jego żoną. Domagała się wielkim głosem zniszczenia przez kata „ohydnego“ dzieła Grant Allen'a „The Woman who did,“ w którem autor pozwolił sobie przedstawić, jako typ dodatni — bez wielkiego co prawda powodzenia — kobietę, nie uznającą instytucyi małżeńskiej. Nie szczędziła wyrazów oburzenia dla Hardye'go, roztrząsającego kwestyę praw namiętności wobec kodeksu moralnego. I nie rozbroiły jej nawet smutne koleje tej namiętności, nigdy nie zaspokojonej i tragicznej; pragnęłaby, żeby autor skazał ją na zagładę z całym surowym pedantyzmem purytańskiej cnoty.

Od niedawna dopiero powieść i sztuka dramatyczna otrząsać się poczynają z więzów tej długiej tyranii i odnosić zwycięstwa nad wszechrozwielmożnioną hypokryzyą, czego najlepszym chyba dowodem są sława i rozgłos, jakie, mimo protestów Mrs. Grundy zdobyli ostatecznie Hardy, Moore, Morrison i zmarły przed paru laty Gissing. Zwraca tu uwagę szczegół charakterystyczny. Gdy na Morrison'a obruszyła się cała niemal prasa angielska z powodu jego powieści: „A child of the Jago,“ w której dał przejmujący obraz streszczającego się w kradzieży i prostytucyi życia mieszkańców Jago-Court, strasznego zakątka londyńskiego East-End'u, — gorącą obronę pisarza podjął kler opisywanej dzielnicy, z większą niż purytańska moralność odwagą spoglądający prawdzie w oczy.

Potrzeba wyzwolenia się z jarzma niedomówień i zasłon, narzucanych na całą rozległą dziedzinę objawów życia, staje się w każdym razie coraz ogólniejszą. Występując jako reakcya przeciw długoletniemu uciskowi pruderyi, objawiła się przed kilku laty w bujnym rozkwicie skrajnego erotyzmu, który grasował wówczas w literaturze powieściowej z żywiołową gwałtownością. Au-

torami utworów tej kategoryi były przeważnie kobiety. Tendencye te należą już dziś do przeszłości, teraźniejszość zaś wystawia, jako cel swój główny, dążenie do szczerości i prawdy życiowej. Mrs Grundy wypadło z rąk ostatecznie dzierżone przez długie czasy berło.

*

* *

Uczyniwszy zastrzeżenia co do zaznaczonych wyżej stron ujemnych, jakie era Wiktoryi zaszczepiła w życiu i literaturze, musimy jednak przyznać, że stanowi ona ogólnie jeden z najszczęśliwszych okresów w dziejach Anglii. Mówiliśmy już, że mógł on umocnić obywateli angielskich w ich zasadniczym optymizmie. Rzeczywiście, długie i spokojne panowanie starej królowej pozwoliło krajowi przekształcać się bez wielkich wstrząśnień na drodze prawidłowej ewolucyi wszystkich sił społecznych, stwarzając nadzwyczaj pożądane warunki dla płodnej pracy na wszystkich polach życia, a więc w nauce i literaturze. Silna i oryginalna indywidualność twórcza mogła wypowiadać się swobodnie i całkowicie. Nie odrywała jej od jej zadań i dążeń smutna rzeczywistość, która w mniej kulturalnych krajach, gdzie życie wyrosło potężnie nad tę rzeczywistość, wtłacza je w swe ciasne ramy, paczając i łamiąc istnienia. To też cechuje ten okres wystąpienie na arenę piśmiennictwa we wszystkich jego dziedzinach całej plejady świetnych talentów, okrywających je wielkim blaskiem. Poeci, powieściopisarze, historycy i uczeni, Ruskin, Rossetti, Morris, Swinburne, Stevenson, Freeman, Froude, Huxley, Tyndall, Spencer i tylu, tylu innych, świadczą wymownie o potężnym rozkwicie nauki i literatury. Sława wielu z pomiędzy nich odbiła się wszędzie szerokiem echem, a dzieła wywarły doniosły wpływ we wszystkich krajach cywilizowanych. Wobec innych jednak dzieje się dotąd niewytłómaczona niczem niesprawiedliwość i choć własne społeczeństwo przyznało im wreszcie przynależne miejsce w szeregu swych chwał najistotniejszych, utwory ich nie przeniknęły dotąd prawie na ląd stały. Do takich należą przedewszystkiem Jerzy Meredith i Walter Pater, których duchową fizyonomię pragniemy przypomnieć na tem miejscu. Pierwszy z pisarzy jest zarazem jednym z wybitnych przedstawicieli tej najszlachetniejszej postaci optymizmu, ja-

ką jest niezachwiana wiara w urzeczywistnienie wysokich ideałów moralnych i społecznych. Jest nim poniekąd i drugi, nie ustający w wysiłku i, pomimo przeszkód, jakimi usianą dlań była droga twórczości literackiej, nie znający zniechęcenia w dążeniu do osiągnięcia doskonałego piękna.

*

* *

Nadzwyczaj późno uznanie niepospolitego talentu Jerzego Meredith'a przez jego własne społeczeństwo i po za jego obrębem jest jednym z najwięcej zdumiewających faktów w dziejach piśmiennictwa angielskiego ubiegłego wieku. Pisarzem popularnym w ścisłem znaczeniu słowa nie stanie się zresztą nigdy ten poeta, goniący za jakiemś niedoścignionem może pięknem intellektualnem i ten myśliciel, którego organizacya mózgowa przedstawia jeden z najbogatszych wytworów kultury wieku. Zastęp tych, którzy ukochali treść jego ducha i umieli ocenić należycie jego niezwykłą indywidualność twórczą, pozostał, jak się zdaje, równie szczupły dziś, jak przed dziesięciu i dwudziestu laty. Zgodzono się wprawdzie obecnie, że Meredith należy do najczystszych chwał literatury angielskiej, żaden jednak z jego utworów nie doczekał się w ciągu półwiekowej działalności pisarskiej tego autora, więcej nad kilka edycyj, podczas gdy powieści pani Maryi Corelli rozchodzą się w kilkuset tysiącach egzemplarzy, a „Przygody Sherlocka Holmesa," niższy jeszcze gatunek pod-literatury, obiegają błyskawicą świat cały. Pierwsze kompletne wydanie dzieł Meredith'a ukazało się w r. 1885 [1]), t. j. w 40 lat po jego wstąpieniu na arenę piśmiennictwa. Długa i płodna karyera literacka znakomitego pisarza, nie znała rozgłosu ni łatwych powodzeń.

Urodzony w r. 1828, pisał już od lat prawie 30-tu, gdy wreszcie po ukazaniu się w r. 1879 powieści „The Egoist," uważanej przez samego autora za dzieło najdoskonalsze, krytyka zdecydowała się uznać ostatecznie, że na horyzont piśmiennictwa angielskiego weszła gwiazda pierwszorzędnej wielkości. Meredith miał wówczas lat 51 i, oprócz dwóch tomów poematów: *Poems i Mo-*

[1]) Wydane nakładem księgarni Chapman and Hall.

dern Love, dwóch fantazyj poetyckich w prozie — *The Shaving of Shagpat* i *Farina*, prawdziwych pereł werwy, dowcipu i wyobraźni i powieści „Próby Ryszarda Faverel'a," roztrząsającej najdonioślejsze zagadnienia psychologii wychowawczej, a stanowiącej wraz z *Egoistą* najwybitniejsze jego dzieło, napisał już był cały szereg utworów. *Evan Harrington*, *Sandra Bellour*, *Rhoda Fleming*, *Vittoria*, *Przygody Harry Richmond'a*, *Kariera Beauchamp'a*— powieści, z których każda prawie przedstawia nowy etap myśli pisarza, zjawiały się kolejno, przechodząc bez wrażenia. Czytała je i napawała się cenną substancyą ich treści, przybranej w przepychem iskrzącą formę, tylko szczupła garstka ludzi, którzy w każdej epoce stoją na straży skarbów jej duchowego dobytku i oddają im cześć należną. Do tej garstki należeli z pomiędzy braci Meredith'a po piórze: Tennyson, Stevenson, Rossetti, Swinburne, Henley, witający z radością ukazanie się każdego nowego płodu jego twórczości i równie wytrwale, jak nieskutecznie przywołujący nań przez długie lata uwagę krytyki i publiczności. Dopiero powodzenie *Egoisty*, którego bohater Sir Willoughby Patterne wszedł do galeryi tych wszechludzkich typów, jakie zdają się stanowić organiczną część społeczeństw, zaznaczyło w tym kierunku punkt przełomowy. Posypały się laurowe wieńce, przyszła spóźniona sława. W ciągu lat paru ukazało się kilka wyczerpujących monografij krytycznych, poświęconych Meredith'owi. Każde nowe jego dzieło, powieści, poematy, traktaty teoretyczne: *The Tragic Comedians* (1880), *Poems and Lyrics of the Joy of Earth* (1883), *Diana of the Crossways* (1885), *One of our Conquerors* (1891), *Lord Ormont and his Aminta* (1894), *The Amazing Marriage* (1895), *Comedy and the Uses of the Comic Spirit* (1897), *Odes to France* (1898)— wszystko to witane było całą powodzią artykułów i studyów krytycznych. Meredith'owi wolno było teraz pisać rzeczy słabe; utwory jego miały z góry już zapewnione uznanie. Ale pisarz, żyjący oddawna zdala od świata [1]), w samotności, której godziny wypełniała intensywna praca ducha, pozostał obojętnym na entuzyastyczne dytyramby, jak obojętny był poprzednio na zarzuty. Dążeniem życia, powinno być, według słów jego własnych, przygotowywanie dróg przyszłym pokoleniom. Pragnął tylko, by jego utwory wywarły wpływ w tym kierunku i nie pożądał żadnych innych laurów.

Czemu jednak przypisać długoletnie i niepojęte wprost zaślepienie zawodowych kierowników opinii literackiej? Dziś, gdy

[1]) W Boxhill, w hrabstwie Surrey.

w dalszym ciągu wolno nie czytać Meredith'a, lecz nie wypada pod groźbą wystawienia sobie świadectwa niższości umysłowej przyznawać się do tego, ani wyrażać o pisarzu inaczej, jak z pełnym namaszczenia zachwytem — starają się wytłómaczyć to „niedopatrzenie“ wielkiego talentu faktem, że ukazał się w niewłaściwej chwili. Gdy wyszły pierwsze jego utwory, sława Dickens'a i Thackeray'a jaśniała pełnym blaskiem, a George Eliot, świeżo dopiero odkryta przez krytykę, absorbowała wyłącznie jej uwagę. Podobne argumenta nie wyjaśniają jednak dostatecznie kwestyi. Długie zapoznanie talentu Meredith'a przypisać należy raczej jego bezwzględnej odrębności: nie zapożyczył on nic od swych poprzedników i wniósł do literatury zbyt wiele nowych pierwiastków, był w niej zjawiskiem całkowicie oryginalnem i nawskroś wyosobnionem. Typowy to bowiem mózgowiec, rozmiłowany w abstrakcyi, która w jego utworach wplata się wciąż w tok fikcyi, a zarazem poeta, obdarzony bujną wyobraźnią, umysł subtelny i skomplikowany, wielostronny i bogaty, ciekawy wszystkiego i wszystko pogłębiający, biegnący wciąż za nową myślą i nowym obrazem. Czytanie dzieł jego, tak jak wniknięcie w poezyę Browning'a, wymaga nietylko wysokiego poziomu intelektualnego, ale jeszcze ciągłego natężenia uwagi. Przeciętny czytelnik, lubiący prześlizgiwać się po wrażeniach, a szukający głównie w powieści ciekawej fabuły, odrzuci z pewnością z rozczarowaniem jego książkę. Dodać należy, że zrozumienie jej utrudni mu styl wysoce indywidualny, ukuty dla potrzeb organizacyi duchowej pisarza.

„Meredith—mówi o nim z racyi tego stylu Le Gallienne, jeden z najwięcej entuzyastycznych wogóle jego penegirystów — unika starannie nazywania rzeczy po imieniu. Zdaje się nawet znajdować szczególną przyjemność w spowijaniu prawdy w nieprzeniknione zasłony celem oszołomienia i podrażnienia czytelnika. Nie zwraca oczywiście żadnej uwagi na jego irytacyę, przeciwnie bawi się nią. — A do licha! tego już zanadto! wykrzykujemy wreszcie i zaczynamy przewracać kartkę za kartką, szukając drogi w ciemnościach. Kiedy nareszcie wyczerpiemy ostatecznie cierpliwość, uczynimy najlepiej, idąc do teatru. Lecz zabierzmy się nazajutrz ponownie do pracy, a zobaczymy, że tuman rozprasza się powoli, a z mgieł jego występują ku nam postaci i przedmioty.“

Styl Meredith'a przeładowany jest rzeczywiście nadmiarem ozdób, przenośni i porównań, które mącą jego jasność. Czytelnik, niewtajemniczony w jego misteryą, błąka się w labiryncie aforyzmów, dygresyj filozoficznych, kwiatów wymowy, maksym i epigramatów. Chwilami czyni na nim autor wrażenie prestydygitatora,

popisującego się najbardziej nieprzewidzianemi tours de force gimnastyki mózgowej i drwiącego z jego niepojętności. Lecz gdy wniknie w tę jedyną w swym rodzaju prozę i zżyje się z nią poniekąd, zacznie odkrywać jej czar specyalny, który coraz więcej pociągać go będzie. Nie jest bowiem ta kunsztowna proza sztuczną i przesadną, jakby to wnosić można z określenia Le Gallienne'a i zarzutów, czynionych Meredith'owi przez większość krytyków. To tylko wysoce odrębny sposób wypowiadania się człowieka, posiadającego wielką wiedzę, niezmierną erudycyę i arcybogatą wyobraźnię, któremu tłoczy się pod pióro nadmiar treści rzeczowej i który z swych refleksyj wysnuwa wywody z fantastyczną jakąś łatwością. Proces kojarzenia wrażeń odbywa się w tym mózgu w sposób wprost magiczny i niepokojący. Słowo goni za myślą, notując wszystkie jej drgnienia, a myśl pracuje nieustannie, bez wytchnienia. Meredith skarży się przed Marcelem Schwob'em, że dzwony z Bruges *przeszkadzały mu myśleć w nocy*. Zwierzenie to określa całego człowieka, w którego wszystkich utworach czuć tę niesłychaną, zadziwiającą, nieprawdopodobną a jednak urzeczywistnioną, nieustanną pracę mózgu, nie znającego nigdy zmęczenia. Przypomnijmy przytem, że w formie tych utworów znajdujemy równie bogatą różnorodność, jak w ich treści, że wywody, spostrzeżenia i wnioski, jakie nasuwa pisarzowi roztrząsanie poruszanych przezeń kwestyj, przybrane są kolejno w szaty powieści, poematu, fantazyi wschodniej i średniowiecznej lub krytycznego studyum, a obejmiemy dopiero wówczas jego duchową fizyonomię i zrozumiemy całą niepospolitą wielostronność jego talentu.

Jako powieściopisarz jest Meredith obserwatorem dyskretnym i przenikliwym, szukającym rozwiązania całej rozległej skali zagadnień psychologicznych, badającym wszystkie konflikty ideowe i wszystkie odcienie uczucia, studyującym mechanizm myśli w najwięcej skomplikowanych jego objawach. Mało dbając o anegdotyczną stronę swych utworów, zagląda w najtajniejsze zakątki duszy swych postaci z sumienną dokładnością uczonego, przygotowującego cenny preparat mikroskopowy. Nie czyni z nich bohaterów, wyrosłych wysoko nad tłum pospolity, lecz zwyczajnych ludzi, zbyt tylko może mądrych, dowcipnych i wymownych, ludzi nieraz błądzących i wykraczających przeciw prawu moralnemu. Chętnie prowadzi ich przez życie od lat młodzieńczych i lubi stawiać ich w wyjątkowych warunkach, by pokazać wpływ tychże na rozwój charakteru. [1]) Dążąc przedewszystkiem do psychologi-

[1]) Ryszard Feverel, Nevil Beauchamp.

cznej prawdy, nie nagina logiki faktów do umiłowanych przez publiczność szczęśliwych rozwiązań. Nie ściele też różami dróg miłości, którą łamie często surowa rzeczywistość życia. „Czy jest kobieta, wychodząca za mężczyznę, któremu dała swe pierwsze uczucie!“ wykrzykuje melancholijnie jedna z jego bohaterek.

Lecz kobiety Meredith'a rzadko poddają się przygnębieniu i nie upadają pod brzemieniem przeciwności. Nie są to powiewne i nadziemskie istoty, ani cieplarniane kwiaty romansów wielkoświatowych, które warzy pierwszy ostry powiew życia, ani jeszcze sentymentalne marzycielki z epoki romantycznej. Meredith przedstawia je nam, jako istoty mądre i śmiałe, silne i prawe, zdrowe i energiczne, a subtelne zarazem, pełne niewypowiedzianego czaru— prawdziwe jego duchowe córy, które też ukochał szczególną miłością. Są mu najmilszem otoczeniem, zaludnia niemi swą samotnię w Box-hill. Bo zarówno jak dla Balzac'a, istnieje dlań przedewszystkiem świat, który sam stworzył, a który zapełnia tworami swej wyobraźni. Czyni z nich towarzyszy dni swoich i rozstać się z nimi nie może. „A teraz powróćmy do rzeczywistości, zajmijmy się Eugenią Grandet,“ mówi Balzac do Juliusza Sandeau, opowiadającego mu po powrocie z podróży o chorobie siostry. Dla Meredith'a rzeczywistość—to Sandra Belloni, o której zawsze mówi z nieśmiałością w głosie, (a blush in the voice) to Clara Middleton (z Egoisty), to Renée de Croisnel (z Beauchamp's Career), w której jest „jeszcze zawsze potrosze zakochany,“ a która ma być upoetyzowanym portretem jego drugiej żony. W całej literaturze angielskiej powieściowej niema równie pięknej galeryi kobiecych typów. Jedne z nich olśniewają niepospolitemi zaletami umysłu i charakteru, w innych wielbimy kryształową czystość duszy, inne jeszcze — i tych jest wiele — pociągają nas całem tem uczuciem, jakie pisarz w nie włożył. Współobywatelki jego winne mu są wdzięczność i uznanie, a nie one tylko, gdyż jest Meredith wogóle gorącym rzecznikiem sprawy kobiecej, uważającym, że społeczeństwa, w których życiu duchowem kobiety nie biorą takiegoż jak mężczyźni udziału, muszą znajdować się na nizkim stopniu kultury.

Ciekawe w tym kierunku uwagi wypowiada w swym essay'u p. t. *Comedy and the Uses of the Comic Spirit* (1897), formułującym z nadzwyczajną ścisłością i elegancyą jego poglądy na rolę komedyi i uprawianie w życiu zmysłu komizmu. Meredith uważa komedyę za wielką reformatorkę społeczeństw, kwitnącą dopiero u narodów, które osiągnęły wysoki stopień cywilizacyi i urzeczywistniły równość społeczną płci obojga. Dowcip, połączony ze

spostrzegawczością i podbudzający działalność mózgową, dyalog pełen finezyi i subtelnych odcieni, wytworny uśmiech, wpleciony w życie — wszystko to uwarunkowane jest stanowiskiem kobiety w społeczeństwie. Tam, gdzie jest ono podrzędnem, rozlega się ciężki i masywny śmiech Farsy, wyraz uczuć wulgarnych. „Kobiety — mówi Meredith — powinny zrozumieć, że Muza komiczna jest najlepszą ich przyjaciółką. Ślepe są na własne interesy, zaciągając się pod sztandar sentymentalizmu.“ „Tam, gdzie nie przysługują im żadne prawa społeczne, nie ma komedyi. Tam, gdzie są niewolnicami domowemi — komedya przybiera najpierwotniejszą formę.“

Tu nasuwa się uwaga, że powieści autora, który tak wysoko ceni muzę komiczną, czynią wszystkie do pewnego stopnia wrażenie komedyj w wielkim stylu, w które życie wnosi nieraz pierwiastek tragiczny. Sam Meredith nazwał *Egoistę* komedyą opowiadaną. Każda z tych powieści jest szeregiem sytuacyj, rozgrywających się przeważnie w dyalogach, w których iskrzy najświetniejszemi błyskami dowcip, przedstawiający mało bardzo cech wspólnych z *humour'em* angielskim. Dźwięczy w nim raczej ironia Molière'a, arcymistrza tej komedyi, którą Meredith stawia na najwyższym szczeblu, widząc w niej najdoskonalszy wytwór zmysłu komizmu. Szkoda tylko, że w stosowaniu tego dowcipu nie umie autor utrzymać miary, używa go i nadużywa, szafuje nim z nieprzebraną hojnością człowieka, który wie, że skarbów swych nigdy nie wyczerpie. Męczy też nim nieraz w końcu.

Zasadnicze cechy umysłu i temperamentu Meredith'a znajdują odbicie w charakterze i budowie jego utworów, w ich wadach i zaletach. Spostrzegawczość jego i umiejętność wnikania wgłąb zagadnień i w treść rzeczy, określa naturę jego analizy psychologicznej, przeprowadzonej z niezmierną prawdą i ścisłością; przetworzenia i zmiany istoty duchowej jego postaci, umotywowane warunkami życia i rozwoju, przestudyowane są z drobiazgową dokładnością. Przenikliwa obserwacya sięga do wszystkich sfer społecznych i podejmuje badanie najróżnorodniejszych kwestyj. W *Próbach Ryszarda Faverel* pokazuje skutki bezwzględnego stosowania znakomicie obmyślonego systematu pedagogicznego, w którym przewidziano wszystko prócz indywidualności przedmiotu tych troskliwych zabiegów. W *Beauchamp's Career* polityczna walka dwóch partyj, konserwatywnej i liberalnej, wypełnia głównie powieść. Jedna z występujących w niej postaci, dr. Shrapnell, wybitny działacz obozu radykalnego, dzielny, wytrwały, silny, idący odważnie przeciw prądowi, należy do najulubieńszych typów Me-

redith'a, który czyni go głosicielem swych teoryj społecznych i politycznych. Jak już mówiliśmy, Meredith jest optymistą w najpodnioślejszem tego słowa znaczeniu: wierzy w tryumf prawdy i sprawiedliwości, w zwycięstwo idei demokratycznej. Ewolucya jest dlań prawem i koniecznością. Podobnie, jak bohater jego, nie lękał się iść przeciw prądowi i w chwili najbujniejszego rozkwitu dżingoizmu był jednym z niewielu, podnoszących głos protestu przeciw jego drapieżnym hasłom.

Analiza charakterów, zawsze znakomita, dosięga doskonałości w *Egoiście*, którego bohater, sir Willoughby Patterne streszcza w sobie wszystkie cechy gatunku. Jest sam dla siebie centrem wszechświata, około którego wszystko winno się obracać, słońcem, ku któremu biedz winny wszystkie hołdy. Pyszałkowatość i zarozumiałość, oschłość serca i nieświadome okrucieństwo, pewność siebie i solenne samouwielbienie przemawiają ze wszystkich słów jego i czynów. Ta nędza moralna kryje się pod nadzwyczaj pociągającą powierzchownością; sir Willoughby jest piękny, wytworny i inteligentny. Kreśląc go w taki właśnie sposób, unikając skarykaturowania typu, dał Meredith miarę swego niepospolicie subtelnego wyczucia. Nadzwyczaj prostą treść powieści stanowi walka tego Narcyza z dwiema kolejno narzeczonemi, które, przejrzawszy jego brzydotę duchową, porzucają go, by szukać szczęścia w lepiej dobranym związku. I oto Meredith pokazuje go nam wytężającego cały zasób swej inteligencyi, by zamaskować przed światem swe porażki i nie okryć się śmiesznością. Dręczony tą jedynie obawą, rzuca się wreszcie do stóp pogardzanej, a ślepo wielbiącej go dziewczyny, która widzi obecnie jego nicość moralną, błagając, by wyszła zań i ocaliła go od kompromitacyi w oczach „towarzystwa." W bezbrzeżnej małości tego człowieka, hojnie obdarzonego przez naturę, lecz rażonego nieuleczalnem kalectwem serca, leży cały dramat, który Meredith oddał z wielką plastycznością.

Nie mogę zastanawiać się tu nawet pobieżnie nad każdą z powieści wielkiego pisarza. Zaznaczę jeszcze, że w *Rhodzie Fleming* kreśli z przejmującą prawdą fatalne skutki ciasnoty pojęć i braku tolerancyi, że akcya w *Sandrze Belloni* toczy się na tle rewolucyi lombardzkiej 1848 roku, w której bohaterka bierze czynny udział, że wreszcie osnową powieści *The Tragic Comedians* jest miłość Lassalle'a dla Heleny von Doenniges, która była powodem jego tragicznej śmierci. „Mój bohater—mówi w przedmowie Meredith — mógłby dać powód do nowej Faustowskiej legendy. Podobnie jak Faust miał swego Mefistofelesa. Był wodzem i nadzieją swej

partyi; uwielbiali go jego zwolennicy i nienawidzili wrogowie. Najlepsi z pomiędzy spółczesnych oddawali hołd jego umysłowi. Postawiliśmy sobie za zadanie zbadać, dlaczego ten człowiek zginął przez miłość i dlaczego kobieta, którą kochał, oddała rękę jego zabójcy."

Wiedząc wiele kategoryj wrażeń i uczuć wywołuje w mózgu pisarza każda rzecz nowa, możemy przewidzieć z góry wady jego powieści. Niezmiernie ciekawe z punktu widzenia poruszanych w nich zagadnień psychologicznych i społecznych, są, niestety, przeładowane szczegółami, wadliwe w układzie, rozwlekłe i długie. Wogóle brak angielskiej powieści treściwości i skupienia, wynikającego z przewidującego doboru szczegółów, które czynią tak przezroczystą i jasną dobrą powieść francuską. Meredith, więcej niż ktokolwiek, grzeszy brakiem tego skupienia. W każdy ze swych utworów wplata poważną ilość niepotrzebnych rozdziałów i zbytecznych epizodów. Odpowiadający całemu składowi jego umysłu i niezmiernej jego wrażliwości styl fantastyczny i poetyczny, często namiętny, zawsze uczony i zawsze literacki, nie nadaje się również do powieści z życia spółczesnego, opisującej pospolite fakty codziennej egzystencyi. Dlatego też pełne życia, ruchu i prawdy psychicznej typy jego nie są właściwie żywemi postaciami, ale tworami nawskroś intellektualnymi, na które złożyła się w równej mierze mądrość filozofa i wyobraźnia poety.

Powieści Meredith'a „gwałcą więc zasady dobrej powieści," a opowiedziane w nich życie staje się, według trafnego określenia Artura Simons'a, „literaturą à propos życia." Są to utwory w wielkim stylu, ale nie można ich nazwać wielkiemi powieściami. Lecz ich bogactwo treściowe i poezya, tryskająca z nich żywym zdrojem, zamienia je w dzieła o wiele cenniejsze; czyni z nich piękne i szlachetne książki, w których znajdziemy zawsze hojną strawę dla ducha. Poezya szczególniej przybiera je w dziwną magię i krasi swym czarem sceny i epizody, rozsiane we wszystkich utworach, jak cudne oazy, a należące do najczystszych pereł piśmiennictwa angielskiego.

Pisarz, nawiedzany wizyami poety, posiadający jego gorącą wyobraźnię i subtelne wyczucie natury, nie umiał jednak owładnąć należycie formą poetycką. W jego dobytku literackim, zawierającym kilka grubych tomów dzieł poetyckich, znajdziemy niewiele utworów, stojących pod względem formy na wysokości myśli. Wiersz twardy i chropowaty toczy się często jak po grudzie. Wskutek zwykłej u autora przesadności w obrazowaniu i nadmiernego szafowania metaforą, staje się jednocześnie zawiły i ciemny. Podnosi

się jednak na prawdziwe wyżyny piękna w *Modern Love*, cyklu 50 sonetów, rozważających dramat wewnętrzny dwóch istnień, związanych z sobą na życie, pomiędzy któremi stopniowe zobojętnienie wznosi powoli mur nieprzebyty. Nie ma tam ostrych konfliktów, ani ubliżających godności obojga zatargów, lecz niepowrotnie zerwały się wszystkie węzły duchowej łączności. I pędzą ci ludzie dni ciężkie, coraz więcej od siebie dalecy, choć nadziewający wobec świata maskę zmarłego oddawna uczucia. Prześliczną idyllą w swej odrębnej formie jest *Love in the Valley*. Wreszcie tom p. t. *Radość ziemi* [1]) stanowi wspaniały hymn uwielbienia na cześć przyrody panteisty, czującego głęboko swoją z nią jedność. Lecz w późniejszych utworach, szczególniej w *Odes to France* (1898 r.), napisanych co prawda w późnej już starości, bo w 70-ym roku życia, wiersz staje się niezrozumiały i niemelodyjny w najwyższym stopniu. Zrzadka tylko rozświetlają te ciemności jaśniejsze błyski.

W całości jednak swej produkcyi stoi Meredith przed nami, jak dąb wspaniały, wyrosły wysoko nad otaczające krzewy. Nie ugiął go wiek, nie zmogło wyczerpanie. Umysł, który nie znał zmęczenia, pozostał w późnej starości wrażliwym na wszystkie objawy życia i wyczuwającym wszystkie jego drgnienia, a bogata jego substancya, przelana w twórczość pisarza, będzie zawsze cenną strawą tym, którzy hołdują ludziom wielkiego polotu myślowego i umieją patrzeć z nimi w tajemnice przyrody i duszy ludzkiej.

*

* *

Drugi z autorów, nie uznanych dotąd należycie w literaturze europejskiej, Walter Pater, [2]) wybitny krytyk, essay'ista, powieściopisarz, prowadzi nas na równie podniosłe, jak Meredith, wyżyny duchowe. W twórczości jednak dwóch pisarzy nie ma cech

[1]) „The Joy of Earth." 1883.

[2]) Istnieje, o ile nam wiadomo, przekład niemiecki dzieła o Odrodzeniu i przekład francuski „Imaginary Portraits." Na język polski przetłómaczony został przez autorkę niniejszego studyum essay o Leonardzie da Vinci, wydany przez czasopismo „Sztuka."

pokrewnych po za umiłowaniem piękna, wspólnego wszystkim naturom wyższej miary. Tu wszakże nawet zachodzą między nimi zasadnicze różnice wizyi. Meredith, patrząc na świat i życie bez złudzeń, nie odwraca wzroku od zjawisk brzydkich i ciemnych. Pater, zarówno w sferze abstrakcyi, jak w świecie zewnętrznym, chce widzieć i widzi jedynie piękno. Zamknął się w jego wyłącznej kontemplacyi, jest mu ono przedmiotem szczególnego nabożeństwa. Ten uczony profesor oksfordzkiego uniwersytetu, oddający się przeważnie studyom nad zagadnieniami filozoficznemi i moralnemi, miał duszę poety i artysty, czczącego piękno we wszystkich jego objawach. Należał przytem do nielicznego po wsze czasy zastępu pisarzy, którzy posunęli do najdalszych granic dbałość o wyrażanie swych myśli w skończenie doskonałej formie. Całe jego życie przedstawia ciągły wysiłek w tym kierunku, nieustanne zmaganie się z niedość posłusznem według jego zdania słowom i urabianie go w wymarzone harmonie.

Cel swój osiągnął pisarz całkowicie; wszystkie jego dzieła: essay'ie, powieści, traktaty filozoficzne są przecudnemi poematami w prozie, upajającemi niezrównaną muzyką tonów. Lecz każdy z tych poematów przedstawia rezultat długich miesięcy i całych lat pracy. Jedynym chyba w literaturze przykładem podobnej męki twórczej, równie gorączkowego naprężenia wszystkich sił myślowych w dążeniu do absolutnej doskonałości, jest Flaubert, trawiący nad każdą ze swych powieści kilka lat życia, przerabiający niektóre ich ustępy bez końca. Przez tydzień spędza dni i noce na napisanie dwóch stron „Pani Bovary," „rzucając się chwilami—jak pisze do przyjaciół — w bezbrzeżnem zmęczeniu na sofę, leżąc tak w odrętwieniu i tonąc w trzęsawiskach nudy." Niektórzy krytycy przywiązują, co prawda, bardzo względną wagę do tych wynurzeń epistolarnych wielkiego pisarza, sądząc, że bolesne szarpanie się ze słowem i treścią i „poty agonii" twórczej istniały czasami głównie w jego bogatej wyobraźni. Lemaître np. skłonny jest nawet do oskarżania go o lenistwo i wyraża przypuszczenie, że długie chwile, spędzane z fajką na samotnych zadumach i marzeniach, w których oczywiście odgrywała pewną i znaczną może rolę powieść, będąca w owej chwili na warsztacie jego ducha, przeradzały się w umyśle Flaubert'a w godziny strasznego wysiłku.

Odnośnie do Patera nie wyrażano dotąd nigdy podobnych wątpliwości. Posiadamy, o ile się zdaje, pewne zupełnie dane, dostarczone przez najbliższe jego otoczenie, a świadczące, że pisał po kilka miesięcy, po roku nawet, każdy z swych essay'ów, z których najdłuższy liczy stron kilkadziesiąt. Powieść swą „Maryusz

Epikurejczyk" opracowywał przez lat dwanaście. Oto co mówi o tem tragicznem szamotaniu się z formą ducha, spragnionego doskonałego piękna, Edmund Gosse [1]), znakomity krytyk angielski, a długoletni przyjaciel Patera. „Napisanie każdego zdania było dlań połączone z takim wysiłkiem, że gdyby nie podtrzymywała go niespożyta odwaga, wyrzekłby się był z pewnością literatury. Przypominam sobie, z jakim nieskończonym trudem napisał pierwszy rozdział „Maryusza;" trawiła go gorączka i dręczyła bezsenność, sprowadzając stan niesłychanej depresyi fizycznej. W następstwie, co prawda, tworzenie przychodziło mu z większą łatwością. Mówił, że gdyby mógł był żyć jeszcze lat kilka, nabrałby może *upodobania* do pisania; taką miał przynajmniej nadzieję."

Pater mylił się, sądząc, że przyjdzie mu dopiero nabierać „upodobania" do pisania; było mu ono z pewnością nieprzezwyciężoną potrzebą, tylko szło w parze z niezadowolnionem nigdy dążeniem do wypowiedzenia w idealnie doskonałej formie tej ekstazy piękna, jaka wypełniała całą jego duszę. Przetrawiła go też przedwcześnie; umarł w rok niespełna po owem melancholijnem zwierzeniu. Przeziębiony i poważnie chory, zerwał się z łóżka, by wykończać rozpoczęty essay o Pascal'u. Śmierć zaskoczyła go, siedzącego z piórem w ręku nad zdaniem, które cyzelował miłośnie. Słodki marzyciel, żyjący zdala od świata i jego zgiełku w świecie cudnych wizyj, samotnik, zapatrzony w epoki historyi, w których odnajdywał prądy i dążenia pokrewne tym, jakie nurtowały jego duszę—nie szukał nigdy sławy ani popularności. Jedna i druga zeszły nań po śmierci. Rozbrzmiewające zgodnym chórem hymny pochwalne krytyki, wynoszącej głębię jego myśli i szlachetną wytworność formy, uczyniły głośnem w szerokich sferach publiczności imię jego, znane dotąd tylko szczupłym zastępom wyznawców czystego piękna. W historyi piśmiennictwa angielskiego wyznaczono mu miejsce w szeregu wielkich prozatorów liryków XIX-go wieku, pomiędzy Ruskinem i Tomaszem de Quincey, twórcą przepięknych poematów w prozie, skończonych arcydzieł stylu, fantazyi i subtelnej, nieuchwytnej niemal ironii, przesnuwającej się przez wszystkie karty jego dzieła.

Walter Pater urodził się w r. 1839 w Shadwell nad Tamizą. Po ukończeniu studyów w Oksfordzie i otrzymaniu dyplomów uniwersyteckich poświęcił się karyerze profesorskiej; w r. 1866 napisał pierwszy swój essay o Coleridge'u. Rzecz to sucha i popra-

[1]) Critical Kit.-Kats. 1896.

wna, sumienny referat młodego uczonego, w którym daremnie szukalibyśmy wniknięcia w duszę fantastycznego mistrza nowych rytmów i wsłuchania się w melodyę tonów, płynących z jego liry. Zdawaćby się mogło, że autor widzi w Coleridge'u jedynie dyalektyka i teozofa, apostoła mistycznych teoryj filozoficznych. Rzeczywiście w owej epoce interesowały go prawie wyłącznie spekulacye metafizyczne, w czem nie różnił się zresztą od wielu wychowańców wszechnic angielskich, stanowiących ostatnie przybytki kultu transcendentalnej filozofii.

Dopiero wniknięcie w twórczość Goethe'go odkryło przed nim nowe światy i zaszczepiło, a raczej rozbudziło drzemiące na dnie duszy tęskne pożądanie piękna, które stało się odtąd męką i rozkoszą jego życia. Pod tem już wrażeniem napisał znakomity essay o Winckelmannie, włączony następnie do zbioru studyów o Odrodzeniu [1]). „Choć bowiem — mówi Pater w przedmowie do tego dzieła—żył Winckelmann w XVIII-ym wieku, to jednak duszą należał do wcześniejszego okresu. Ten hellenista, którego całe życie jest wytrwałem dążeniem do przeniknienia ducha Grecyi— to ostatni owoc Odrodzenia, wyrażający z zadziwiającą prawdą jego tendencye i cele.“ W duszy Patera tkwiły z pewnością również pierwiastki intelektualnego powinowactwa z ludźmi i prądami owej epoki. U żadnego z pisarzy, traktujących o niej, nie znajdujemy bowiem równie subtelnego ujęcia tego wspaniałego rozbudzenia umysłów i wyobraźni w całej różnorodności jego objawów, nikt nie wejrzał z większą prawdą w jego treść i istotę, nie wydzielił równie jasno najcenniejszych „czynników aktywnych“ geniuszu wielkich mistrzów tego okresu, czynników, w których krystalizowała się ich myśl twórcza. Nikt wreszcie nie oddał lepiej odeń niezrównanej słodyczy i głębokiego czaru poezyi i sztuki, czerpiących ze świeżych źródeł natchnienia i zrywających pęta, nałożone na nie przez średnie wieki.

Wraz z drugim zbiorem essay'ów, zatytułowanym „Imaginary Portraits,“ [2]) w którym wyróżniają się oryginalnością w traktowaniu przedmiotu i melancholijną poezyą formy rzecz o Watteau (A Prince of Court Painters) i arystokratyczna sylweta Sebastiana Storcka, wyrafinowanego holendra z XVII-go wieku, spoglądającego na świat z górnych wyżyn ducha, odwracającego się ze wstrętem od wszelkiej pospolitości—stanowi dzieło o Odrodze-

[1]) „The Renaissance, Studies in Art and Poetry,“ wydane u Macmillan'a.

[2]) Wydane u Macmillan'a, jak wszystkie inne dzieła Patera.

niu najwięcej znaną ogólnie z prac Patera. W dziedzinie krytyki estetycznej i filozoficznej pozostawił on po za tem szereg konferencyj o Platonie i Platonizmie, essay o stylu i studya o tragedyi greckiej. Odnajdujemy w tych dziełach wszystkie znamienne cechy tego niepospolitego i wytwornego talentu, który kojarzył głęboką wiedzę i znakomite wniknięcie w istotę przedmiotu z poetycznem wysoce jego wyczuciem i harmonijną muzyką formy.

Te kilka tomów studyów i essay'ów przedstawia wraz z filozoficzno-historyczną powieścią z epoki Marka-Aureliusza p. t. „Maryusz Epikurejczyk," która, jak już mówiliśmy, stanowi wynik pracy długich lat życia i fragmentem powieściowym „Gaston de La Tour," osnutym na tle francuskiego Renaissansu, całą spuściznę literacką Patera. W obu utworach powieściowych postawił sobie autor za zadanie dowiedzenie „potrzeby wierzeń religijnych" i w obydwóch pokazał nam ostatecznie niespokojne dusze sceptycznych dyletantów, szukających prawdy, lecz zarazem zadowolnienia swych uczuć estetycznych, równie dalekich w rezultacie od wszelkiej pewności, jak od wszelkiej wiary. Obadwa też, po za wysoką wartością treściową i przecudną kunsztownością formy, która dosięga w nich szczytnych wyżyn piękna poetyckiego, pociągają nas z innego jeszcze względu: streszczają one ideologię Patera, są wyrazem wahań i wątpliwości, które przez długie lata nurtowały jego duszę i ciężyły mu może nieraz boleśnie. Są jednem słowem, w znacznej mierze jego autobiografią.

By ułatwić zrozumienie tych dzieł, musimy zaznaczyć tu pewne szczegóły z życia pisarza. Pochodził on z osiedlonej przed wiekami w Anglii rodziny flamandzkiej, której potomkowie męscy pozostali wyznawcami religii katolickiej, podczas, gdy kobiety przystąpiły do kościoła anglikańskiego. Ojciec pisarza wprowadził w tym trybie nagłą modyfikacyę: odrzucił katolicyzm, nie przyjmując wzamian żadnej innej wiary. Młody Walter, wychowany całkowicie po za kościołem, był przez długie lata wyraźnym poganinem „uznającym jedynie moralne kierownictwo własnego sumienia." [1]) Z czasem jednak zaczęła objawiać się potrzeba dogmatu i pragnienie oparcia życia na podstawie trwałej jakiejś prawdy. Gosse sądzi nawet, że Pater skończyłby niezawodnie dni swoje w klasztorze, gdyby los pozwolił mu był żyć dłużej. Mimo, iż przypuszczenie to nie wydaje nam się dostatecznie uzasadnionem, to nie ulega jednak wątpliwości, że w duszy pisarza zrodził

[1]) E. Gosse.

się i wzrastał wciąż niepokój myśli, dręczonej zagadnieniami wiary, który znalazł odbicie w owych dwóch powieściach. Pater zamierzył dać w nich poniekąd apologię dogmatu chrześcijańskiego i pokazać drogi umysłu, kroczącego od zwątpienia do wiary po przez wszelkie teorye i systematy filozoficzne. Zobaczymy w jaki sposób założenie to uskutecznił.

Na życie Maryusza Epikurejczyka, rozmarzonego chłopięcia, pędzącego dni pełne poezyi, w kulcie dla bóstw i umiłowania piękna, kładzie cień pierwszy śmierć ukochanej matki, wnosząc zarazem w duszę pierwiastek jakiejś dziwnej trwogi wobec wyroków przeznaczenia i zagadnień bytu. I oto zaczyna zastanawiać się nad niemi i dążyć do rozwiązania dręczących niepewności. Pisarz pokazuje go nam, szukającego kolejno prawdy w nauce Platona, w doktrynie stoików, w teoryach cyrenejczyków. Żaden z tych systematów nie zadawalnia istotnych potrzeb jego duszy, na której dnie drzemie wciąż nieokreślony niepokój, zakłócający harmonię beztroskiego skąd inąd życia. Wówczas to spotyka przypadkowo młodego chrześcijanina Korneliusza, od którego wieje dziwna moc i pogoda. Z pierwszych rozmów z tym nowopoznanym, a już przyjacielem, wynosi przeczucie wyższych ideałów moralnych. W ciemnie zwątpienia, w których błąkał się bezpomocnie, wdziera się radosne światło dnia nowego. I choć wykwintnego epikurejczyka przejmuje lęk pewien wobec tej religii „biednych duchem," opartej na całkowitej abnegacyi i wyrzeczeniu się świata i jego uciech, to jednak czuje, że tryska z niej zdrój nowych nadziei, które wniosą w życie przyszłych pokoleń pierwiastki szczęścia. Gdy tak waha się jeszcze w niepewności, wpada wraz z Korneliuszem, w ręce wrogo dla chrześcijan usposobionego tłumu i, poświęcając się dla uratowania przyjaciela, umiera za wiarę, której nie był wyznawcą i której nie zostałby prawdopodobnie nigdy apostołem.

Taką jest treść melancholijnych dziejów duszy młodego sceptyka, kroczącego przez życie z niezaspokojonym głodem prawdy i szukającego jej nawet w męczeństwie. Dzieło, przedsięwzięte dla dowiedzenia konieczności wiary, chybiło założenia: bohater Patera nie będzie umiał aż do końca znaleźć ostatecznej odpowiedzi na swe wątpliwości.

Gaston de La Tour, duchowy brat Maryusza, błąka się, jak on, w lesie doktryn i systematów. W dziecinnych latach pragnął gorąco zrzec się uciech świata i poświęcić służbie bożej. Lecz obojętność na rzeczy wiary jego otoczenia, szczególniej zaś tych, którzy według jego mniemania powinni żywić dla niej święte za-

pały, oddziaływa powoli na jego wrażliwą naturę i zaraża go jadem sceptycyzmu. Jednocześnie rodzi się w jego duszy kult czystego piękna, którego nie może pogodzić z ideałem chrześcijańskim. Wczytuje się w Wirgiliusza i napawa Odami Ronsard'a, z których czerpie rozkosz niezrównaną, znajdując w nich oddźwięk wszystkiego, co go porusza do głębi. Na swą rozterkę duchową szuka daremnie lekarstwa w długich rozprawach z Montaigne'm, u którego gości przez rok cały, i w nauczaniu Giordana Bruno, którego wykładów słucha w paryskiej Sorbonie.

Tu przerwał nagle Pater swą powieść i nie posunął jej dalej. Pierwsze jej rozdziały, których treść tu przytoczyłam, wyszły w r. 1889, czyli na kilka lat przed jego śmiercią. Pozostałe po pisarzu notatki dowodzą, że nie przestał pracować nad nią. Dlaczego nie pokazał nam swego bohatera, znajdującego w dogmacie chrześcijańskim tę prawdę, której szukał nadaremnie w teoryach filozoficznych i moralnych? Czy nie czuł w sobie dostatecznej siły przekonania, czy też zwątpił, że zdoła ją wzniecić w innych? Zeszedł do grobu, nie pozostawiając odpowiedzi na te pytania. Wolno nam więc tylko wypowiadać na tym punkcie przypuszczenia, starając się szukać najwięcej zgodnych z treścią istoty duchowej tego filozofa i marzyciela, który dzielił życie między naukę i sztukę i, zatopiony w spekulacye filozoficzne, tęsknił jednocześnie do niedoścignionych ideałów piękna. Był zawsze wielkim artystą, przywiązującym o tyle tylko wagę do zjawisk życia i postaci myśli, o ile znajdował w nich urzeczywistnienie swych estetycznych dążeń. W religii również pociągało go prawdopodobnie głównie piękno symbolu; w kwestyi dogmatu pozostał aż do końca pełnym niepewności. I dlatego może zaniechał opowiedzenia nam dalszych losów duchowych Gastona de La Tour.

Marya Rakowska.

Ku humanizmowi.

Prorok symbolizmu francuskiego, Kamil Mauclair, między innemi pismami, mającemi na celu teoretyczne uzasadnienie tego kierunku, w książce swojej *Idées vivantes* ogłosił nader śmiałe studyum o „jedności w sztukach.“ Chodziło tam o wykazanie, że wszystkie sztuki piękne zlać się mogą w jednej, która wypowie się za inne własnemi środkami, bez względu na to, czy sama przez się należy do zakresu wrażeń słuchowych lub wzrokowych, czy sposób wyrazu jej jest statyczny lub dynamiczny.

Studyum to miało stanowić niejako wstęp do przyszłej estetyki, jako podstawy zasadniczej, przy ocenie wielkiej sztuki przyszłości, tudzież wytłómaczyć zdumionemu światu, na czem polegała genialność istniejących już arcydzieł szkoły symbolicznej, wyznawcy jej bowiem oddawna zapewniali o swych barwnych wizyach, odczuwanych słuchowo i o dźwięcznem widzeniu zjawisk świetlanych.

Już przedtem Jan Artur Rimbaud, wybitny poeta, jeden z najciekawszych ludzi, jako indywidualność artystyczna, pisze sonet o barwie samogłosek:

A noir, *E* blanc, *I* rouge, *U* vert, *O* bleu, voyelles
Je dirai quelque jour vos naissances latentes.
A, noir corset velu des mouches éclatantes
Qui bombillent autour des puanteurs cruelles.

I tak dalej idą wizye świata rzeczywistego, budzące analogicznie wrażenia barwne, związane z dźwiękiem każdej samogłoski. Inny poeta zapewnia, że harfy są białe, czerwone są trąby, skrzypce, już nie pamiętam jakiego miały być koloru, ale to pamiętam napewno, że każdy instrument przedstawiał najściślej okre-

ślonią, jedną z siedmiu barw widma słonecznego, a cała orkiestra tworzy arabeskową mozaikę, pełną kolorów i połysków.

Łatwo zrozumieć, że wrażliwi artyści, zasuggestyonowani w tym kierunku, mogli z całą dokładnością dosłuchiwać się na koncertach symfonicznych barwnych obrazów, i że pod wpływem z góry powziętych idei, doznawali wzruszeń, odpowiadających poznaniu wzrokowemu, co następnie stawało się punktem wyjścia twórczości w tym zakresie.

Niema słusznej racyi podejrzewać o nieszczerość tych wszystkich malarzy, rzeźbiarzy i petów, którzy usiłują w dziełach swoich wyrazić się dajmy na to muzycznie, jak również krytyków, którzy w dobre rezultaty usiłowań podobnych uwierzyli.

Oczywiście, każda ze sztuk rozporządza pewnym zakresem środków sobie właściwych, po za który wyjść nie jest w stanie; nie mniej przecież istota najpierwszej zasadniczej pobudki twórczej pozostawia na dziele piętno znamienne, wyczuwalne w zawiłym splocie czynników współrzędnych tem jaskrawiej, że jest ono zarazem charakterystyczną cechą indywidualności autora. Znając jego temperament, upodobania, skłonności, dopatrujemy się w utworze rysów, które odnosimy do jego właściwości osobniczych. Jeżeli artysta-malarz, dajmy na to, po za sztuką swoją jest jeszcze nadto artystą-muzykiem, to niewątpliwie muzykalność ta, jako jeden z zasadniczych składników osobowości artystycznej, zaznaczy się w jego utworach malarskich. Dla tego też niema wielkiej przesady, jeżeli ktoś w obrazach Whistlera, Klingera lub Muncha dopatruje się muzykalności, jakkolwiek niepodobna zgoła określić, na czem ona polegać może w plastycznem przedstawieniu, ograniczonem w czasie i przestrzeni. Wyczuwa się to jednak przez skojarzenie nieraz bardzo odległych, nieujętych w zdecydowane formy wrażeń, niegdyś otrzymanych, a tkwiących niejasno we wspomnieniu, które pod wpływem szczególniejszych podniet odżywają i wytwarzają nastrój, usposabiający do takiego a nie innego pojęcia. Jest to niejako uświadomione wnioskowanie, powstałe z pozaświadomych przesłanek.

Od syntezy wszystkich sztuk, jaką starał się osiągnąć Wagner w teatrze swoim w Bayreut, pan Mauclair przechodzi do „suggestyi jednoczesnej sztuk wszystkich za pomocą wyrazu jednej z nich“ i twierdzi, że potrzeba zlania się sztuk wszystkich w jedną, tak długo mająca mgławicowo w umysłach, urzeczywistniła się wreszcie pod wpływem muzyki. Dowodem tego ma być słuchanie partycyj Wagnerowskich w zwyczajnej sali koncertowej, kiedy nastrój muzyki wywołuje najpełniejszą wizyę plasty-

czną: krajobraz, jaki przedstawiać mają dekoracye, żywe figury osób działających i cały ruch sceniczny.

Jedynym sprawdzianem podobnie suggestyjnego oddziaływania muzyki, mogłyby być tylko wynurzenia człowieka wyrobionego muzycznie, ale wychowanego w zupełnem wyodrębnieniu od kultury ogólnej, to jest człowieka, któryby przynajmniej nie znał zupełnie legend, stanowiących treść tetralogii wagnerowskiej, i któryby nigdy nie bywał w teatrze na operach. W przeciwnym razie skojarzenie wspomnień świadomych i nieuświadomionych, ten cały kompleks czynników przenajróżnorodniejszych, stanowiących tło duszy współczesnej: wiedzy, uczuć, nawyknień, urabianych w jednakiem środowisku — to jest w ludzkości, z pewną kombinacyą słyszanych w danej chwili dźwięków, zmąci niewątpliwie czystość bezpośredniego wrażenia od dźwięków tych otrzymanego.

Ponieważ jednak niepodobna wyobrazić sobie w społeczeństwie osobnika tak wyodrębnionego, tak czystej, jakby to nazwał bakteryolog, kultury, ażeby usunąć ją z pod wpływu otoczenia, i tem samem przeprowadzić dokładną obserwacyę nad zachowaniem się jej wobec bodźców określonej natury, zgodzić się trzeba, że na tym punkcie braknie wprost materyału do badań ścisłych, zwłaszcza, jeżeli chodzi o rzecz tak subtelną, jak zagadnienie poznania zmysłowego.

Jest ono przedewszystkiem subjektywne, ale podlega pewnym prawom ogólnym, gdyż uwarunkowane jest ogólnemi prawami fizycznemi. Nasze narządy poznania są właściwe ludziom ziemskim, to jest istotom pewnego gatunku, zamieszkującym naszą planetę, to też istoty, narządami tymi obdarzone, bodźce zewnętrzne odczuwać będą w pewnym stopniu analogicznie, to jest po ludzku. Oczywiście podobieństwo będzie bliższe, im jednostki bliżej siebie stoją pod względem umysłowym, uczuciowym, kulturalnym, rasowym, towarzyskim, wreszcie poprostu fizyologicznym, gdyż wśród gatunku tego spotyka się okazy o mniej lub bardziej rozwiniętym systemie nerwowym. Suggestya muzyki, jak zresztą wszystkich innych sztuk pięknych, na ogół ludzki jest istotnie bardzo potężna i na tem właśnie polega ich rola społeczna i uspołeczniająca.

Ale suggestya ta może być w znacznym stopniu analogiczna, nigdy zaś identyczna. Dla tego też kategoryczne określenie samogłoski *A*, jako czarnej, lub uznanie tonu harf za biały, jest fantastyczną zabawką, zresztą bardzo miłą, gdyż utrwaloną w pięknem dziele sztuki, jakiem jest niewątpliwie sonet pana Rimbaud. Można sobie takie rzeczy wmawiać do syta, o ile jest dobra wo-

la po temu, ale można też, bez ubliżenia sztuce, absolutnie w podobne zapewnienia nie wierzyć. Szkoda tylko, że teorye w tym duchu tworzone, obniżyły poziom sztuki i jej znaczenie społeczne.

Pan Mauclair, naprzykład, utrzymuje, że malarstwo jest tylko analizą wrażeń świetlnych. Warto zacytować kilka zdań z tego ciekawego wywodu:

„Malarstwo ma za przedmiot—pisze on—wyłącznie ową analizę, a raczej, ściśle biorąc, sprowadzanie stopniowe analizy tej do wyrazu syntetycznego. Zgromadzenie różnych kolorów w pewnym porządku na płaszczyźnie, dla ozdoby i poruszenia imaginacyi, oto całe malarstwo. Żaden z prawdziwych malarzy, poczynając od Giotta aż do tego biednego, wielkiego a niedoskonałego Gauguina, który był właściwie prymitywistą zabłąkanym między nami, nie wyszedł po za powyższe określenie. Roskosz artystyczna rodzi się z harmonijnego kontrastu barw między sobą. Z punktu widzenia czysto malarskiego, obraz i dywan z Turkiestanu są jednoznaczne; a w gruncie rzeczy obraz jest mniej logiczny, i właśnie dywan posiada całkowicie racyę bytu, gdyż jest on prostokątem wielobarwnym, jedynie właściwym, jako dekoracya. Co się tycze w obrazie tematu i kompozycyi, tak jak je pojmuje Szkoła, to jest to błąd potworny. A jednak niepodobna prawie dziś jeszcze wykorzenić błędu tego, który każe sztuce wyrażać idee, zamiast tego, ażeby w niej właśnie znajdować motywy do rozmyślań."

Do rozmyślań takich pobudzić ma obraz, który, wedle określeń francuskiego estetyka, jest „jak dywan, rozwinięciem barw w arabesku dekoracyjnym."

Czyż tylko?

*

* *

Niewątpliwie wzór na barwny dywan, jako kompozycya dekoracyjna, może być równie dostojnem dziełem sztuki, jak obraz, przedstawiający pejzaż, scenę rodzajową lub nawet historyczną. Piękny pomysł w tym kierunku bywa wynikiem, jeżeli już nie natchnienia w najwyższem słowa tego znaczeniu, to przynajmniej szczęśliwszego usposobienia artysty, kiedy mu się wyobraźnia rozpłomieni grą kolorów, układających się harmonijnie w rytmicznym ruchu arabeskowych połączeń. Jest to także wzruszenie pewnego szczególniejszego rodzaju, nastrój właściwy danej organizacyi ar-

tystycznej, który stając się bodźcem twórczości, udzieli się następnie widzowi i wywoła wzruszenie mniej więcej analogiczne, w czem właśnie leży źródło rozkoszy estetycznej. Z całą stanowczością więc odrzucić należy w malarstwie wszelką hierarchiczność uzależnioną od tematów, zwłaszcza w tym sensie, w jakim to rozumie „szkoła;“ nie mniej przecie trudno się zgodzić na twierdzenie francuskiego estetyka, „że obrazy które przedstawiają pewne kolory, suggestyonują nam myśli, jakie budzą w nas dane kolory.“

Wypada stąd, że jeślibyśmy ujrzeli dywan, którego deseń arabeskowy utkany by był z identycznie tych samych barw, jakiemi, dajmy na to, Matejko wymalował swojego Stańczyka, to doznalibyśmy tej samej zadumy, myśli nasze pobiegłyby tymi samymi torami. Zresztą tą samą ilością szkarłatów i bistrów, które służyły do wyrażenia głębokiego smutku i żałości w jednym z najprzedziwniej odczutych obrazów naszej przeszłości historycznej, możnaby namalować martwą naturę, szyld sklepowy lub scenę pornograficzną. Według p. Mauclaira wrażenie byłoby zawsze jednakowe, gdyż jeżelibyśmy, jak zazwyczaj dowodzi, zamiast słowa szkarłat, podstawili dźwięk odpowiedni, to wychodząc z zasady, że muzyka jest kombinacyą dźwięków, stanowiących rozwinięcie toniczne i t. d. ergo... I występuje nagle cały aparat sylogistyczny średniowiecza, jakby wyjęty z ust jakiegoś mrocznego scholastyka, dowodzącego naukowo, dla czego Chrystus nie urodził się ogórkiem. Z szeregu przesłanek ustawionych jak równania algebraiczne wypada najkategoryczniej, że zarówno malarz, jak muzyk, nie koncypują bynajmniej dla jakiejś idei moralnej, ale „myślą pomarańczowo albo w tonacyi *re* major. Oczywiście, co się tycze malarstwa, mowa tu jedynie o impresyonizmie, gdyż ten właśnie kierunek zrodzić się miał bezpośrednio z symfonii, jak podobnie w poezyi, wiersz wolny z tego samego powstał źródła.

Ale wracając do oznaczenia roli malarstwa ze zwykłego ludzkiego punktu widzenia, to jest tak, jak je czuje przeciętny człowiek przystępujący do obrazu bez teoretycznych uprzedzeń, sprawa przedstawia się nieco inaczej. Jakkolwiek istotnie oko nasze nie jest całkiem obojętne na farby same przez się i pewne sympatyczne kombinacye barwne sprawiają nam przyjemność wprost fizyologiczną, często bardzo nawet intensywną, nie mniej przecież przyznać musimy, że wrażenia od obrazu otrzymane są zupełnie innej natury, niż od dywanu tureckiego lub perskiego. Patrząc na barwy w obrazie, myślimy nie o barwach, ale o rzeczy, którą

malarz barwami wyraził. Jeżeli wyraził on w nim tylko swoje zamiłowanie do migotliwej gry kolorów, bawimy się z nim tem migotaniem, jeżeli jednak zaklął na płótnie swoje wielkie ukochania: miłość ojczyzny, ludzkości, natury, swoje żale, tęsknoty, nadzieje i pragnienia, swoje myśli i dumania, wtedy wrażenia nasze, od utworów takich otrzymane, są nieskończenie głębsze i potężniejsze. Malarz, układając kolory na płótnie, nie tylko pieści oko harmonijnem ich zestawieniem, ale robi to dla tego, że odczuwa nawskróś ludzką potrzebę podzielenia się z innymi ludźmi swojemi wzruszeniami.

Scholastycyzm symbolistów przedstawił to z zupełnie innej strony. Zasklepiwszy się w dogmatyzmie jakichś prawd objawionych, umieścił sztukę ponad życiem, gdzieś w czarodziejskiej wieży z kości słoniowej—sztukę bezkrwistą, chromą i obłędną. Fałszywe teorye estetyczne wywołały skoszlawioną twórczość artystyczną.

Ale we Francyi zaczęła się na dobre reakcya przeciw mrokom symbolizmu w malarstwie, a zwłaszcza w literaturze. Jako hasło padło słowo „humanizm.“ Niby nowe Odrodzenie—powrót z ciemnych pieczar tępego dogmatyzmu średniowiecznego i ponurych majaczeń mistycznych do życia, do słońca, do ludzkości objawiło się, jako ideał estetyczny. Słowo to rzucił młody poeta, p. Ferdynand Gregh, w artykule, ogłoszonym w Figarze już w r. 1902.

„Poezya symbolistów—pisze on—a najlepsi z nich wyznają to szczerze, zbyt często wyrażała marzenia sztuczne i zimne, a nie życie samo. Stworzyli oni całą dekoracyę z mieczów, urn, chimer i jednorożców, które pójdą niebawem połączyć się w składzie rupieci niepotrzebnych z gondolami, płaczącemi brzozami, upiorami i t. p rekwizytami, jakie już w roku 1856 przestały się podobać. Nadużywali nadzwyczajności i zbyt często przemawiali żargonem, w którym nie było cienia francuzczyzny, zbyt pochopnie zgęszczali sztuczne mroki nad ideami, które nie zasługiwały bynajmniej na zaszczyt tajemniczości. Inspiracye ich za często były bizantyjskie. Nie tylko wyrzekali się wszelkiej sztuki o tendencyach filozoficznych, religijnych lub społecznych, ale nadto i przedewszystkiem, to nawet, co się tyczyło ich indywidualności, wyrażali w sposób tak niebezpośredni, że nieprzenikniona mglistość zasłaniała istotne wzruszenie. Nigdy w ich sztuce nie było wyznania osobistego, szczerego krzyku, uderzenia serca.“

Autor uważa, że podobna inkoherencya i mętność znużyła nas już, zniechęciła i pchnęła w kierunku dążeń do odnowienia ideałów artystycznych; wnosi więc:

„Ponieważ poeci każdego pokolenia z konieczności grupują się pod sztandarami wspólnej nazwy, sądzę zatem, że najwłaściwszem słowem, które określa ruch młodej generacyi — słowem pięknem, odmłodzonem i rozszerzonem w pojęciu, będzie humanizm. Oznacza ono, że urzeczywistniamy poezyę ludzką, po poezyi zbyt artystycznej parnasistów, lub zbyt mrocznej i oderwanej symbolistów. Nawiązuje ono tradycye z przewspaniałą plejadą twórców, którzy, zerwawszy z alegoryami średniowiecza, zwrócili się do sztuki starożytnej, jako źródła wszelkiego piękna i potrafili odnaleźć wśród ludzkości ideały ludzkie... Nie jesteśmy ani mistykami, ani niedowiarkami. Jesteśmy pogrążeni w życiu: trzeba je zrozumieć i przeżyć.“

„Poeci dnia dzisiejszego i jutra — woła na zakończenie pan Gregh — a pod słowem poeci rozumiem w najpiękniejszym sensie etymologicznym, tych wszystkich, którzy tworzą — będąc artystami, bądźmy jednocześnie ludźmi!“

Czytając powyższe słowa, znalazłem w nich jakby odpowiedź na pomieszczony na tem miejscu artykuł swój pod tytułem „Bizantynizm nowożytny.“ Zastanawiałem się tam nad rozpaczliwem poprostu obniżeniem poziomu sztuki w ostatnich czasach, a to pod wpływem modnych teoryj, narzucających artystom jakiś surowy rygor jednostronnego wypowiadania się. Zaczęły w malarstwie i rzeźbie obowiązywać średniowieczne symbole: wychudzone ascetycznie chimery, gryfy, demony, mistyczne nastroje, pełne mglistości i mroków, wogóle rzeczy zawiłe i niejasne, przedstawiane z pozorami prymitywnej naiwności, przez ludzi współczesnych bez najmniejszej wiary, przekonania i sentymentu w tym kierunku. Ale jakoby umyślna pierwotność wyrazu artystycznego, usuwała potrzebę studyów i wyrobienia zawodowego, wciągając w szeregi niby prawdziwych malarzy i rzeźbiarzy gromady dyletantów, nieuków i niedołęgów, którzy utrzymać się łatwo mogli w granicach niskiego poziomu wymagań technicznych, w tej sztuce zacieśnionej iście bizantyjskim kanonem. Nastąpiła wprost anarchia w twórczości i nieprawdopodobne przeszacowanie wartości artystycznej w krytyce.

I rzecz dziwna. Jakkolwiek historya się nie powtarza podobno, obserwować dziś możemy w ruchu artystycznym zjawisko, jakie się już spełniło przed wiekami w przeszłości. Istotnie, jak dawniej, zakrzepły w formalizmie bizantynizm, pod wpływem powrotu do życia, słońca, natury, ustąpił miejsca swobodnej, pełnej, potężnej sztuce Renesansu, tak obecnie ten sam zwrot chorą, anemiczną i wychudłą, za sprawą praktyk symbolistycznych, sztukę,

prowadzi na drogę odrodzenia. Jak dawniej mglista scholastyka dogmatycznego supernaturalizmu zastąpiona została przez jasne rozumowania humanistów, podobnie obecnie humanizm współczesny bałamutne teorye estetyczne symbolistów, dekadentów, mistyków i dziwaków wszelkiego rodzaju, zastępuje ogromnie ludzką, przystępną i oczywistą definicyą sztuki, że jest ona środkiem porozumienia się ludzi między sobą, środkiem potężniejszym od wielu innych, językiem powszechnym, zrozumialszym stokroć, niż wszelkie volapüki i esperanta.

Humanizm nie został jeszcze oficyalnie uznany, jako nazwa kierunku, ale jako objaw twórczy stał się już przedmiotem ankiety, której rezultaty panowie George Le Cardonnel i Charles Valley zamknęli w książce p. t. *La Littérature contemporaine (Societé du Mercure de France 1905)*. Zebrano tam opinie najsłynniejszych pisarzów francuskich, między którymi wielu kategorycznie oświadczyło, iż uznaje istnienie humanizmu, jako najnowszego zwrotu w sztuce, szczególniej stanowczo zwłaszcza obstawali przy tem zdaniu młodzi poeci z *Foi nouvelle*. Nie godzi się oczywiście na to wierny swoim dogmatom Mauclair i zapewnia, że taki rodzaj nie istnieje. Nie uznaje go też Brunetière i inni.

Nie mniej przecież *Temps* z 3 grudnia 1905 r. zdając sprawę ze wspomnianej książki, dodaje od siebie, że jednakże humanizm powstał, niezawodnie, gdyż manifestuje się w pracach najmłodszych malarzy, rzeźbiarzy i poetów.

A stało się to w sposób następujący:

„W czasie dziesięciu, jeżeli nie więcej, lat, pewna garść artystów uwzięła się robić rzeczy, które nie miały w sobie nic ludzkiego. Była to epoka owych „dekadentów," owych „wyrafinowanych," których wyszukane nadzwyczajności zbyt długo mąciły zdrową, przedziwną jasność umysłowości francuskiej. Pewnego dnia ludzie, którzy żywią uzasadnioną ambicyę kroczenia w awangardzie czasu swego, uprzykrzyli sobie dywagacye dekadentów, tej generacyi wytwornisiów, co jakoby na pniu rodziwym okwitła nie owocując. Sztuka uczłowieczyła się. Zaczęto znowu pisać do czytania, mówić, ażeby być zrozumianym. Po dniach mrocznych nastała godzina jasna, godzina wypoczynku. Zdania pisarzów nie są już bez głowy i ogona, ale mają początek, środek i koniec. Wiersz pogodził się nareszcie z rymem i sensem."

To samo mniej więcej powiedziećby można do niedawna o naszych stosunkach artystycznych. I u nas w ostatnich czasach odczuwać się daje dążność do przyznania sztuce jej znaczenia ludz-

kiego. Zwłaszcza w rozmowach z młodymi malarzami zauważyłem wyraźny zwrot w tym kierunku. Widzą oni potrzebę zbliżenia się do życia, do natury, przyczem uznają konieczność poważnych studyów, znajomości rysunku i innych rzeczy pomocniczych, jednem słowem konieczność zawodowego kształcenia się.

— Trzeba się uczyć — utrzymują — minął wiek złoty. Jeżeli nie minął, to mija w każdym razie czas, kiedy można było, bez wyrobienia fachowego, bez techniki, bez znajomości najelementarniejszych podstaw sztuki, malować obrazy o „bajecznym nastroju“ i byle tylko w tytule było coś z „nieskończoności,“ zyskać sobie uznanie, jako artysta wyższy stokroć od tych pospolitych „piłatów realistycznych.“

*

* *

Powracamy tedy do światła, rozumu, szczerości, prawdy, a więc i do realizmu, bo jakkolwiek utrzymywano stale, iż obniża on poziom boskiej sztuki, uczciwego malarstwa i rzeźby, bez tak zwanego realizmu, nie jestem w stanie sobie wyobrazić. Oczywiście mam tu na myśli najszersze pojęcie tego określenia, nie zaś jakiś zacieśniony kierunek artystyczny.

Tą mianowicie drogą, drogą najszczerszej prawdy w przedstawieniu przedmiotów świata rzeczywistego, wielu artystów dochodziło do najwznioślejszego idealizmu. Dość wymienić Jacka Malczewskiego, który rysując dokładnie najdrobniejsze szczegóły kształtu, wyraża przecież z przedziwną mocą suggestyi natchnione swoje wizye, pełne poezyi i natchnienia.

Ale sprawa, przedyskutowana spokojnie na Zachodzie, u nas, wśród domorosłych estetyków, spotyka jeszcze zawziętych przeciwników. Co najciekawsze, że panom tym wyobraża się, iż są propagatorami nowych rewolucyjnych idei, gdy tymczasem w istocie występują jako obrońcy starego porządku. Mam przed sobą szereg artykułów, gdzie jeden ze zdecydowanych nieprzyjaciół realizmu, wyznawców jego odsądza poprostu od czci i wiary, żywi dla nich w duszy „nieokreślone uczucie, złożone z litości, wstrętu i zdumienia,“ przyczem na widok dzieł w znienawidzonym duchu poczętych „ogarnia go nuda, zniechęcenie, gniew, rozpacz i t. p.

„Pierwszym wrażeniem każdego barbarzyńcy — pisze on na wstępie swej estetycznej enuncyacyi — na widok portretu, krajobrazu, czy jakiegokolwiek dzieła, w którem jest mowa o naturze, szczególniej zaś o tej, która nas bezpośrednio otacza — jest porównanie, o ile to jest podobne do przypuszczalnego wzoru. Człowiek taki przekonany jest, że zadaniem, celem, a nawet świętym obowiązkiem sztuki jest udawanie natury, wytwarzanie jej złudzenia za pomocą pewnych środków, których się trzeba uczyć tak, jak się uczy każdego innego rzemiosła.“

Otóż, jak świat światem, zawsze wymagano od portretu, ażeby był podobny i choć namiętny krytyk nazywa to barbarzyństwem, pod tym względem wymagania się nie zmienią. A nie zmienią się, choćby z tej prostej racyi, że pomimo wszelkich bałamuctw w podobnym rodzaju, biorąc rzeczy po ludzku, podobieństwo jest właśnie zadaniem portretu.

Rzecz nie może być piękna ani dobra, jeżeli nie odpowiada swemu przeznaczeniu. Tak np. najwspanialsza dekoracya, nie zastosowana do natury przedmiotu, jaki ma zdobić, jest zawsze ze stanowiska artystycznego chybiona.

W ogólnoludzkiem rozumieniu przeznaczeniem portretu jest to, ażeby przypominał osobę portretowaną.

Nie znaliśmy, co prawda, osobiście modeli Velasquez'a lub Van Dycka, nie mamy więc możności sprawdzenia, na ile portrety są podobne do oryginałów, nie mniej przecież oglądanie płócien tych słynnych portrecistów sprawiało i sprawia po wsze czasy szczerym plastykom niewypowiedzianą rozkosz estetyczną. Powiadam—szczerym plastykom, gdyż ludzie pozbawieni zdolności odbierania pełnych wrażeń z zakresu postrzegania wzrokowego, nie zawsze dopatrzą się pewnych szczególniejszych znamion, o które tu mianowicie chodzi.

Niewątpliwie utwory wielkich portrecistów posiadają bezwzględne zalety kolorytu, rysunku i układu, cały jednak najwyższy interes estetyczny, dla znawców zwłaszcza, leży w tem przedewszystkiem, że wyczuwają w nich owe uderzające podobieństwo, że odnajdują w rzeczonych wizerunkach zaklętą duszę żywego człowieka, to jest pełnię wszystkich najbardziej znamiennych cech osobniczych. Nie podobna przypuścić, ażeby jeden rys, jeden szczegół najmniejszy był, jak to mówią, z palca wyssany, gdyż wyrywałby się jak dysonans z logicznej konstrukcyi.

Zapewne zarówno Velasquez, kiedy malował księcia Olivareza, jak Van Dyck, portretując Karola I, znali ich nietylko z powierzchowności. Przenikliwem okiem przejrzeli oni te dusze ludz-

kie na wylot, co następnie załamało się pod pewnym kątem w ich duszach malarskich i dopiero w odpowiednio do temperamentu wyindywidualizowanej formie, wyraziło się w obrazie. Wchodziła tam tedy w grę czynność wyborcza, stosownie do sposobu odczuwania danej osobistości przez malarza, ale właśnie ten wyjątkowy, szczególniejszy dar wyboru cech najistotniejszych, rysów najkonieczniejszych, najbardziej charakterystycznych, sprawiał, że portrety te musiały być zdumiewająco podobne i z dwóch tych malarzy uczynił największych portrecistów świata.

Nieprawdą więc jest, ażeby pomimo całej, najdalej idącej indywidualizacyi, dobry portret mógł być niepodobny. Wymienieni artyści byli realistami najczystszej wody, a zarazem pozostali indywidualni w całem słowa tego znaczeniu. Takimi są dziś portreciści nasi: Wyczółkowski, Lenc, Pochwalski, takimi słyną w świecie całym: Whistler, Sergent, Carrière, Lenbach i inni.

Jakiś malarz-figlarz, któremu się robota nie udała, nie chcąc tracić umówionego honoraryum, wpierał w filistra, że tak właśnie być powinno, jeżeli się rzecz bierze pod kątem nieskończoności. Naiwni snobowie od nadzwyczajności wzięli to za dobrą monetę i ukuli teoryę na użytek nieudolnych portrecistów.

Zresztą w krajobrazie, czy innym utworze malarskim—drzewa, skały, obłoki, zwierzęta, ludzie i wszelkie przedmioty, jakie artysta zamierzył przedstawić, jakkolwiek odbiją się w wyobraźni jego pod kątem nieskończenie indywidualnym, jakkolwiek mogą być stylizowane w sposób najbardziej dowolny, muszą przecież w zasadzie być podobne do naturalnych drzew, skał, obłoków, zwierząt, ludzi, i wogóle przedmiotów istniejących w rzeczywistości, albo nie będą niczem wcale. Najbardziej dziwaczny potwór, zrodzony w rozgorączkowanej wyobraźni, jakieś pół psa, pół kozy, musi być w części psiej zupełnie do psa, a w koziej do kozy podobny; musi mieć budowę anatomiczną danego zwierzęcia, kształt, kolor i wszystkie inne cechy charakterystyczne. Wprawdzie u wielu symbolistów zwierzę takie przyjmie formę kiszki podgardlanej, płaskiego skrawka kolorowego papieru, rozdeptanej jagody, ale zawsze przypomnieć musi jakiś kształt ze świata rzeczywistego, albo poprostu będzie maznięciem zgoła nierozpoznawalnem.

To trudno, człowiek, pomimo wszystko, nie wymyślił jednego bodaj kształtu, któregoby nie widział w naturze.

Jakkolwiek subtelny estetyk drwi niemiłosiernie, że „prosię pospolite, przesiane przez temperament, stanie się klejnotem sztuki,“ jest istotnie prawdą i niewątpliwie będzie klejnotem sztuki obraz, przedstawiający prosię pospolite, jeżeli przesiało się ono

przez temperament naprawdę utalentowanego malarza, który umie, to co czuje, doskonale wyrazić po malarsku. Natomiast nie będzie klejnotem najgórniejszy symbol, jeżeli zechce go wypowiedzieć w obrazie człowiek nie posiadający odpowiedniego talentu malarskiego i odpowiednich środków tej sztuki.

Oczywiście lepiej, jeżeli artysta ma coś więcej do powiedzenia, jeżeli przerasta duchem otoczenie i może je za sobą porwać na wyżyny, w których sam przebywa, ale nie dowie się o tych wyżynach nikt, jeżeli artysta nie ma władnej, męskiej mocy przekonania nas o tem, — jeżeli nie umie malować.

Temperamentu, talentu, zdolności twórczych, nabyć, nauczyć się niepodobna. Nic już nie pomoże, jeżeli się tego w darze od nieba nie otrzymało, ale przez pracę i studya odpowiednie można w sobie wyrobić pewną, szczególniejszą umiejętność plastycznego widzenia, a co się tycze środków materyalnych sztuki, to trzeba się tego uczyć, jak każdego innego rzemiosła. O tem przekonany jest, zdaje się, każdy człowiek kulturalny, a wątpliwości mogą mieć jedynie właśnie barbarzyńcy.

Zachodzą wprawdzie różnice co do poglądów na metody nauczania, ale wszyscy się godzą na jedno, że jednakże malarzowi współczesnemu nauka nie zawadzi, nie obniży ona lotów jego fantazyi, nie stanie na drodze do bezpośredniości wynurzeń duchowych. Był to przesąd nader niebezpieczny, który istotnie protegował nieuctwo, ale na szczęście wyrastamy z niego po trochu.

Malarz przedewszystkiem posiąść powinien rzemiosło swej sztuki, opanować środki materyalne, ażeby właśnie zdobyć swobodę wypowiedzenia poczęć duchowych. I łudzą się ci, którzy przypuszczają, że „kiedyś rewolucyjne prądy sztuki współczesnej narzucą posłusznym, jak zawsze, tłumom nową sztukę — z ducha poczętą, duchem żyjącą, do duszy, nie do oczu bliźnich, przemawiającą.“

Wogóle każda sztuka, nawet przedstawiająca „prosię pospolite,“ przemawia do duszy, choć przedostaje się tam przez oko. Po za pewną niezmaczną dozą przyjemności, jak powiedziałem fizyologicznej, którą doznajemy wprost oglądając sympatyczne barwy, cała rozkosz estetyczna, jaką daje dzieło sztuki jest już natury duchowej. Właściwie przyjemności fizyologicznej dostarcza nie dzieło, ale farba sama przez się. Sprawić to może równie dobrze kawał barwnej materyi, kalejdoskop, zielona łąka, lub rozpłomienienie się szkarłatem nieba o zachodzie.

Dzieło sztuki, choćby to była tylko araboskowa kombinacya kolorów na kobiercu, wytworzy pewną łączność duchową między

twórcą i widzem, wzruszy go tem wzruszeniem, pod wpływem którego tworzył artysta. Oczywiście, im wzruszenie artysty było wyższego rzędu, tem silniej podziała na widzów. Podnieść on może otoczenie, natchnąć wielką ideą, uszlachetnić, jeżeli sam duchem je przerasta — prowadzić pieśniami do zwycięstw, jak Tyrteusz.

Nie wyobrażam sobie, jakim sposobem taka, według domorosłych naszych estetyków, sztuka przyszłości, trafi do duszy bliźniego, jeżeli nie przez oczy, uszy, jeżeli wogóle nie przyjmie form dostępnych dla zmysłowego poznania. Skoro zaś przyjmie takie formy ostatecznie, to mówiąc specyalnie, dajmy na to, o malarstwie, z konieczności zmateryalizuje się, zapożyczając barw i kształtów od natury, co znowu wyrazi się w sposób najbardziej trywialny za pomocą farb, pędzli, olejów i tym podobnych środków najzupełniej rzemieślniczych. Dlatego też nigdy niepodobna będzie zerwać z „dziecinnym przesądem o trzymaniu się natury," a środków sztuki trzeba się uczyć „jak każdego innego rzemiosła."

Daleko konsekwentniejszy w swych absurdach ezoterycznych jest inny estetyk, który poprostu zajrzał na dno duszy ludzkiej. Z tego, co tam widział, wnosi on, że środki ziemskie nie wystarczają do wypowiedzenia wielkich poczęć duchowych, więc szczery artysta „doznawszy chwili świętego mistycyzmu, kiedy się duch artysty zbliża ku nieznanemu" idzie spać, nie próbując nawet pisać, malować, rzeźbić. „Twórczość bowiem,—dowodzi dalej—jest potrzebą egoistyczną. Jako taka, najzupełniej wystarcza artyście, który przez to samo nie odczuwa potrzeby uzewnętrznienia swych wizyi."

Jest to bardzo radykalne postawienie sprawy. Ponieważ jednak artyści od najdawniejszych czasów uzewnętrzniają swoje wizye w dziełach sztuki, musimy się więc liczyć z tem zjawiskiem. Uzewnętrznieniem tem oddziaływują na innych, wypełniają zatem pewną funkcyę społeczną. Dlatego też nonsensem jest mniemać, iż sztuka może się zamknąć w niedostępnej wieży z kości słoniowej i w arystokratycznem odosobnieniu z góry patrzeć na pospolitość rzeczy ziemskich. Dostojna ta pani musi zejść na padół łez i niedoli między ludzi i żyć ich życiem, oddychać ich powietrzem, ale promiennym blaskiem swego pięknego oblicza rozpraszać ponure mroki trosk codziennych.

Musi ona czuć i rozumieć wszystko co ludzkie i być odczutą i zrozumianą przez ludzi.

Tak przedstawia mi się sztuka humanistyczna, ku której, nie wątpię, dążymy obecnie.

Jak analiza wrażeń świetlnych przeprowadzona przez impresyonistów nie utrwaliła wprawdzie tego kierunku, ale stała się punktem wyjścia do niezaprzeczonych zdobyczy kolorystycznych w malarstwie współczesnem, tak może subtelna analiza odczuwania estetycznego, która symbolistów pchnęła na błędne szlaki dywagacyj twórczych, jako podstawa teoretyczna rozszerzy zakres wykształcenia artystycznego twórców i publiczności.

Sztuki nie staną zapewne nigdy na tej wysokości suggestyonowania, ażeby środkami jednej z nich wyrazić się za wszystkie inne, ale artysta przyszłości, jak ongi mistrze Odrodzenia, posiadając tajemnice wielu sztuk, w zakresie każdej będzie się mógł wypowiedzieć pełniej i dokładniej.

T. Jaroszyński.

ROZMAITOŚCI.

Materyały do życiorysu Joachima Lelewela.

II.

Bluza Lelewela.

Każdy z nas ma przed oczyma podobiznę Lelewela w bluzie; do bluzy tej Lelewel bardzo był przywiązany, nietylko ze względów ekonomicznych, ileże „ochrania garderobę“ i może być „powalana tłustością,“ co nie tyle jest szkodliwe, „gdyby to fraczek spotkało,“ ale również jest ona dla niego symbolem pewnych przekonań, w które wierzy, którym służy i dla których życie poświęca. Mimo incydentu jaki zdarzył się 13 października 1833 roku w małem miasteczku belgijskiem, Assche, Lelewel z bluzą nie rozstaje się do śmierci, a inne stroje wtedy tylko odziewa, kiedy „zachować“ trzeba „etykietę.“

Zdarzenie, które poniżej podany dokument, sporządzony przez Lelewela samego, omawia, opisuje Zygmunt Miłkowski w *Sylwetach emigracyjnych* (Lwów, „Słowo Polskie,“ 1904, in 8-o, str. 34) jak następuje:

„Wkrótce po zamieszkaniu w Brukselli, do czego wygnanie z Paryża go (Lelewela) zmusiło, dowiedziawszy się o ważnych dokumentach i ciekawych numizmatach, znajdujących się w Namur, wybrał się do miasta tego piechotą w towarzystwie Worcla. Po obejrzeniu dokumentów, pobraniu notat i po przerysowaniu numizmatów, Worcel do Brukselli odjechał dyliżansem, Lelewel puścił się piechotą. We wsi jakiejś zwrócił na siebie uwagę żandarma, który, niezadowolony na zadawane mu przezeń pytania odpowiedziami, o nazwisko go zapytał.

— Lelewel... była odpowiedź.

— Lelewel?... Członek Rządu Narodowego Polskiego — wykrzyknął żandarm zdumiony.

— Tak.

Przestrzegaczowi porządku i bezpieczeństwa publicznego wydało się, że odpowiadający w ten sposób mizerak, jest albo oszustem, albo na umyśle pomieszanym, zaprowadził go więc do aresztu miejscowego. Władza miejska przesłała władzy wyższej do stolicy raport o uwięzieniu włóczęgi bez paszportu, mieniącego się Lelewelem. Do raportu dołączone były znalezione przy więźniu, okryte znakami, rzekomo kabalistycznymi, papiery, które policya miejska uznała za podejrzane. Awantura tem się zakończyła, że po parodniowym w więzieniu pobycie, Lelewel do Brukselli karetą burmistrza powrócił.

O wypadku tym opowiadanie słyszałem z ust znającego Lelewela blisko Worcla."

Opis ten zawiera pewne niedokładności, co już prostuje list Joachima Lelewela pisany do brata jego Jana z Brukselli w dniu 12 listopada 1833 roku [1]).

„...Dla tego (dla uzupełnienia pracy o numizmatyce) puściłem się na spacer pieszo do Gand, i oto wpadłem w szpony sędziego pokoju w Arsche (Assche). Posądzany o orangistwo (sprzyjanie wygnanej z Belgii, a panującej w Holandyi dynastyi Oranżu), a więcej znany z chciwości grosza i nikczemności, nie pierwszego mnie tak przywitał. Ale to nierzadko w całem Belgium. Z mego powodu poodkrywało się wiele takich nadużyć. Deputowany Bruker w czasie ostatniej sessyi wyjechał był na prowincyę. W Turnai pytają go o paszport, pokazuje go. Lecz paszportu termin od dni czterech już był wyszedł, a zatem żandarmy prowadzą go do stolicy. Piękna ta surowość urzędnika, ale śmiesznie głupia. Lepiej się stało z Ducpétiaux. Objeżdżał on niedawno więzienia, był w Malignes i właśnie wtedy jeden więzień z Malignes wymknął się. Ducpétiaux tedy z urzędu obwieszcza w całej okolicy, aby bezpaszportowych przytrzymywać dla schwytania zbiega, i sam w dalszą rusza objażdżkę. W jednem miasteczku zapytany o paszport, niema go. A wiesz mospanie nowe rozporządzenie Pana Ducpétiaux, aby przytrzymywać? Ale ja sam jestem Ducpétiaux. O ptaszku! jeszcze się Ducpétiaux zowiesz, niema eksplikacyi, pewnie ty ów łotr. Do kozy tedy i pod straż, i do Malignes odstawiony. Czy was doszły, czy nie wiadomości o mojem zdarzeniu, posyłam ci nowe „La voix du peu-

[1]) *Listy Joachima Lelewela.* Oddział pierwszy: Listy do rodzeństwa pisane. Poznań, J. K. Żupański, 1879, in 8-o. Tom II, str. 44.

ple“ [1]), gdzie główniejsze argumentacye sędziego pokoju wyczytasz, jak je na prędce zredagował. Cała ta historya obszerniej jest napisana, ale nie do druku [2]). Sędzia sprawił się nie jak sędzia, ale jak wartogłów. Burmistrz dobra duda, przyszedł w godzin kilka przez ciekawość i ucieszył się ze zdarzenia, wezwał mnie do napisania listu do Bruxelli, a sam miał nadzieję, że to zdarzenie pociągnie destytucyę sędziego pokoju. Zawiódł się dotąd, rzecz się ciszej skończyła. Stawiany byłem przed prokuratora, który wezwał sędziego instrukcyi. Zaledwie sędzia wszedł, a był znajomy, poznał mnie: „Jak się masz?“ A więc rzecz skończona! powiedział prokurator, weź swoje papiery. Kilka słów z sędzią pogadałem, kilka sędziego pokoju zacytowałem. To nie może być! — z podziwienia wymówili. Ale tak było! Zabrałem papiery i wyszedłem.“

*

* *

Ponieważ w opisie tego zdarzenia, który Lelewel zatytułował: *Bêtise et bonhomie ou mésaventure d'un littérateur*, znajduje się wzmianka o sporządzonym przy aresztowaniu protokóle, w końcu września r. z. zwróciłem się do sędziego pokoju w Assche, z prośbą o odszukanie tego dokumentu w miejscowych archiwach, albo też o wskazanie mi, gdzie obecnie znajdować się może. Pan Halplan, (?) sędzia pokoju w Assche, odpowiedział mi, że, mimo poszukiwań dokładnych w archiwach rozmaitych urzędów z r. 1833, śladu żadnego aresztowania Lelewela nie znaleziono i wyraził przypuszczenie, że aresztowanie to w Assche nie miało miejsca, inaczej bowiem, ponieważ inne tego rodzaju dokumenty się znajdują, protokół z tego powodu sporządzony, znalazłby się niezawodnie. Przesłałem tedy do Assche kopię opisu tego zdarzenia i jednocześnie zapytałem, czy było możliwe, po skonstatowaniu tożsamości osoby Lelewela, zniszczenie protokółu. „Przypuszczenie pańskie,—pisze

[1]) Czasopisma *La voix du peuple* znaleźć nie mogłem; nie posiada go Biblioteka polska w Paryżu, ani też Biblioteka Muzeum Rapperswilskiego. Z bibliotek cudzoziemskich szukałem bez skutku: w *Bibliothèque nationale* paryskiej, w *British Museum* i w Bibliotece Królewskiej, w Brukseli.

[2]) Przypuszczam, iż ten opis nie przeznaczony do druku — to właśnie dokument, który poniżej podaję zatytułowany: *Bêtise et bonhomie*, a znajdujący się w 2 egzemplarzach oryginalnych (brulionach) w archiwum Muzeum Rapperswilskiego.

mi p. Halplan (?) w liście z dnia 22 października 1905 r.—wydaje mi się prawdopodobne; kiedy się przekonano, że aresztowany rzeczywiście jest Lelewelem, zniszczono wszelkie ślady tej pomyłki.“ Starania moje zatem, uzupełnienia opisu protokółem urzędowym belgijskim, pozostały bez rezultatu.

Opis ten pisany przez Lelewela w języku francuskim, podaję w oryginale i w przekładzie polskim (w oryginale zachowuję pisownię Lelewela, niejednokrotnie błędną).

Bêtise et bonhomie ou mésavanture d'un littérateur.

Vous êtes Lelewel? disait le juge de Paix de la commune d'Assche le 13 octobre l'an 1833 vers 3 heures du midi. Vous dites que Vous l'êtes? Un Lelewel! ce célèbre président, cet homme que la politique expulsa de la France! à pied! dans une blouse! Comment se peut-il présenter ainsi? Certainement L. connait le Comité Polonais et le Comité ne l'aurait pas laissé aller à pied? Un L. sans passeport? Mais voyons vos papiers... Que ce que c'est?—Ce sont les desseins de monnaies anciennes de France et des autres pays. — Aha! les monnaies! voyons... oui, oui, on le saura mieux. — Les lettres adressées à L.? Les billetes de visites de L.? On peut très facilement se pourvoir de ces pièces du veritable L... Une lettre adressée à un juge d'instruction de Gand par un savant de Bruxelles, que vous n'avez pas rémis étant à Gand? voyons ce qu'il y a dedans! Un L. recommendé par un homme inconu! Un L. ne devait avoir qu'une recommandation du Gouvernement. Voyons votre petit porte-feuille! Bien tout ça bien. Que ce que ça? C'est un ancien passeport anglais pour l'Angleterre. Voyez Monsieur il y a un visa du bureau de l'exterieur, le visa de

Głupota i dobroduszność czyli przypadki literata.

Pan jesteś Lelewelem, mówił sędzia pokoju gminy Assche, dnia 13 października 1833 r. około 3 godziny po południu. Mówisz Pan, że nim jesteś? Lelewel, ten sławny prezes, ten człowiek, którego ze względów politycznych wydalono z Francyi! Pieszo! w bluzie! Jakżeż może się on on w ten sposób przedstawiać? L. niezawodnie zna Komitet Polski, a Komitet nie pozwoliłby mu iść pieszo! Lelewel bez paszportu! Ale, zobaczmy pańskie papiery... Co to takiego?— To są rysunki monet dawnych francuskich i innych krajów. — Aha, monet? Zobaczymy... tak, tak, przekonamy się. — Listy adresowane do L? Karty wizytowe L? Z łatwością zaopatrzyć się można w tego rodzaju dokumenty, należące do prawdziwego L... A oto list do sędziego śledczego w Gandawie, pisany przez jednego z uczonych brukselskich; listu tego pan nie wręczył będąc w Gandawie? zobaczymy, co zawiera! — Lelewel polecany przez osobę nieznaną! Lelewel może mieć tylko polecenie rządu! Proszę pokazać Pańskí pugilares! Dobrze. — Co to takiego? — To jest stary paszport angielski, na Anglię; widzi Pan na nim wizę biura dla spraw zagranicznych, zarówno wizę prefektury policyi: paszport ten jest

la prefecture de la police: ce passeport est ancien, il ne peut plus me servir, mais pour le moment il peut tenir lieu de celui que j'ai laissé à Bruxelles. Voyez mon signalement, que la police de Paris y insera.—Un passeport anglais, le signalement conforme, cela ne suffit point. Si vous doutez encore, je vous propose Monsieur, s'il vous plaiera faites me conduire à Bruxelles, à mes frais, tout droit à ma demeure que je vous indique, j'y montrerai mon passeport, si non on me conduira selon la loi; ou bien, s'il vous plaira mieux, je reste chez vous et j'écrirai à un de mes amis qui m'enverra mon passeport ici, pour vous le montrer. Il n'y a que trois lieux, c'est tout près, sa peut se faire aujourd'hui. — Monsieur! Vous vous dites L. et vous osez prendre ce nom? pour un L. j'aurai eu tous les égards possibles. Mais n'importe si vous êtes un imposteur, je suis content; si vous êtes le vrai Lelewel, je suis fâché mais toujours c'est très bien pour moi, je vous tiens. Et vous persistez de vous nommer L. venant de Bruxelles? celui qui etait forcé de sortir de France? Tous les journeaux auraient annoncé son arrivé à Bruxelles, s'il y ai arrivé. Et le voilà, il se trouve ici à pied. Un L. à pied dans ce costume! Moi-même si je l'aurai vu dans l'état de la necéssité je lui porterai mon denier. — Sa blouse est bien comme à Bruxelles, il n'a pas besoin de vos deniers et il parait que vous ne lisez pas les journeaux. — Et vous persistez de vous nommer L.? — Je le suis. — Allons, nous instruirons un procès verbal... Il est prêt, signez... Vous ne voulez pas signer?.. Non, Monsieur: votre écrit n'a pas des formes du procès verbal, vous faites un rapport

dawny, nie może mi już służyć, ale, narazie, czyż nie zastąpi tego, który zostawiłem w Brukselli? Proszę sprawdzić rysopis mój, sporządzony przez policyę paryską.—Paszport angielski mimo dokładnego rysopisu nie jest wystarczający. — Jeżeli Pan jeszcze wątpi i, ile na to się zgodzi, proponuje mu, aby mnie kazał odesłać do Brukselli, na mój koszt, wprost do mego mieszkania, które wskażę; przedstawię tam mój paszport, a gdybym tego nie zrobił, zostanę odstawiony tam, gdzie to nakazuje prawo; albo też, jeżeli Pan woli, zostanę tutaj, a wyślę list do jednego z moich przyjaciół, którzy mi przyszlą paszport do Assche, bym mógł go Panu pokazać, Bardzo stąd blizko: trzy mile zaledwie, rzecz dzisiaj może być załatwiona. — Mówisz Pan że jesteś L. i śmiesz przywłaszczać sobie to nazwisko! dla L. miałbym wszelkie względy. Ale co tam! cieszy mnie to, jeżeli Pan jesteś szalbierzem; jestem niezadowolony, o ile Pan jesteś prawdziwym Lelewelem, ale w każdym razie, bardzo to dla mnie dobrze, że mam Pana w swoim ręku. Nie przestajesz Pan nazywać się Lelewelem, idącym z Brukselli, tym Lelewelem, który był zmuszony opuścić Francyę? Wszakżeż, ile by przyjechał, wszystkie dzienniki zawiadomiłyby o jego przyjeździe do Brukselli. A oto znajduje się tutaj, pieszo. L. pieszo i w takim stroju! Gdybym go w tym stanie potrzeby widział, dałbym mu zapomogę. — Bluza Lelewela taka sama jest tutaj, jak w Brukselli, zapomogi nie potrzebuje, a wydaje mu się, że Pan gazet nie czytuje wcale. — Ciągle jeszcze mianujesz się pan L-em? — Jestem nim. — Dalej, sporządźmy protokół. — Już sporządzo-

de votre opinion au procureur du roi, vous m'accusez, ce serait absurde de ma part de le signer.—Bon, il ne veut pas signer. Il faut cacheter, ses papiers et les sceller d'un sceau de la commune. — Le sceau de la commune y est apposé. — Un L. doit avoir de l'argent et il ne lui manque rien: si vous êtes le veritable L., je veux vous faire la faveur de vous laisser loger pour cette nuit dans un hôtel. Demain vous serez conduit chez le procureur du roi mais vous devez payer les deux gensdarmes qui vous assisteront dans l'hôtel. — Un L. n'a pas d'argent et n'est pas riche, mais il demande quels frais peut occasionner cette assistance, peut-être qu'il en a autant avec lui.—Le brigadier de la gendarmerie fait opposition: il ne peut pas se passer de service de ses deux collègues, il recommande une chambre très commode dans la prison de la gendarmerie, où il n'y a qu'un voisin tranquil. La couverture y est bien chaude, vous y serez très bien; alons Monsieur, suivez nous.—La couverture échauffait assez les jambes de l'emprisonné, mais elle était un peu sale et déchirée par la chaine accrochée à la muraille pour enchaîner certains détenus.—Les verroux sont tombés, et les soufles du vent, qui entraient par un trou au haut de la muraille, raffraichissait l'enfermée.

Le bruit courru par toute la commune: le prisonier avant d'être enfermé etait conduit: tantôt chez le brigadier, tantôt chez l'assesseur, tantôt chez le juge de paix, tantôt dans une chancellerie et derechef chez le brigadier, enfin en prison. — En un quart d'heure on retire les verroux d'une ouvertare de la porte. — Vous y êtes bien?—bien. — Monsieur, une ny, niech Pan podpisze!... Niechce go Pan podpisać?... Nie, Panie: pismo pańskie nie ma cech protokółu, to tylko pańskie zdanie, które Pan przesyła prokuratorowi królewskiemu. Pan mnie oskarża: byłoby zatem absurdem z mojej strony, gdybym to oskarżenie podpisał.—Dobrze, on nie chce podpisać. Należy zapieczętować jego papiery i przyłożyć pieczęć gminną.—Pieczęć gminy została przyłożona.—L. powinien mieć pieniądze, i niczego mu nie brak: jeżeli Pan jesteś prawdziwym L. pozwolę Panu, w drodze łaski, spędzić noc w hotelu. Jutro będziesz Pan odstawiony do prokuratora królewskiego, ale musisz zapłacić dwóch żandarmów, którzy towarzyszyć ci będą w hotelu.—Lelewel nie ma pieniędzy i nie jest bogaty, ale zapytuje jakie koszty pociągnie za sobą to towarzystwo; może tyle, ile wyniosą, jeszcze przy sobie mieć będzie.— Brygadyer żandarmów stawia opozycyę: nie może się on obejść bez pomocy swych kolegów, i poleca pokój w więzieniu żandarmskiem, pokój bardzo wygodny, w sąsiedztwie którego jest tylko jeden więzień spokojny. Kołdra w nim jest ciepła i będzie Panu w nim dogodnie. — Dalej, Panie, proszę iść za nami.—Kołdra ogrzewała dosyć nogi więźnia, ale nieco była brudna i podarta przez łańcuch wiszący na ścianie, łańcuch w który niekiedy zakuwano więźniów.—Drzwi zaryglowano; podmuch wiatru wchodzącego przez otwór w górze muru, odświeżał aresztanta.

O zdarzeniu rozeszła się pogłoska po całej gminie: zanim więzień został zamknięty, prowadzano go do brygadyera, do asesora, do sędziego pokoju, do biur rozmaitych, znowu do brygadyera, wreszcie do więzie-

autre voix s'adresse au prisonnier, vous êtes polonais?—Oui, Monsieur.—Moi je suis l'ancien militaire qui a était en Pologne, qui combatait avec vos compatriotes.—A, soyez le bien venu.—Comment vous y êtes ?... Quelques paroles sur l'affaire de jour sont échangées. — Ma foi, s'adresse l'ancien militaire au geôlier, cet homme doit être d'une famille très distinguée, il a une instruction très soignée. C'est dans les familles les plus riches, les plus distinguées qu'en Pologne on donne de l'instruction elevée. Il parle très bien le français, il le prononce à merveille nous ne saurons pas mieux, et même nous ne pourons pas mieux y réussir. C'est vraiment la langue et l'accent d'un Français.—A cette apostrophe le prisonier s'éloigna de l'ouverture et se coucha sur sa paille. Le curieux se retira mécontant.

A six heures et demi vers le soir les verroux hurlent. Le porte s'ouvre. Le prisonnier vient-il d'être élargi? Non. Plusieurs personnes y entrent. Une d'entre elle demande le détenu un s'il connait les personnes du comité polonais à Bruxelles comme Mr. Gendebien! Je no le connais pas encore, puisqu'il était absent. — Oui, il était absent, et les autres? Je connais Mr. Lesbroussard. Et le prisonier nomme plusieurs autres. Je suis le bourgmestre de la commune, je'vous assure que tout ce qui s'est passé etait sans ma participation, a mon insu. Je suis aussi du comité polonais, et je suis amis des polonais. Si vous êtes L. écrivez à Mr. Lesbroussard, je le connais et je lui ferais parvenir votre lettre. Si, si j'écrirai. — Et bien venez avec moi. — Le prisonnier dans le chambre du brigadier écrivait une lettre.—Mais, dit-le nia. — Po upływie kwadransa odsunięto rygiel małego okienka, znajdującego się we drzwiach.—Czy Panu tam dobrze? — Dobrze. — Pan jesteś Polakiem, zwraca się inny głos do więźnia? —Tak, Panie. — Jestem dawnym żołnierzem, byłem w Polsce i walczyłem z pańskimi ziomkami.— A, bardzo mi miło. —Jak się Pan tutaj dostał? — Kilka zdań o zajściu całem wymieniono.—Ależ, zwraca się dawny wojskowy, do pilnującego, ten człowiek pochodzi z dobrej rodziny, ma wykształcenie bardzo staranne. Takie wykształcenie w Polsce dają tylko w bogatych i najlepszych rodzinach. Bardzo dobrze mówi po francusku i wymawia doskonale, nie potrafilibyśmy lepiej, a nawet może nie potrafilibyśmy wcale dojść do tej doskonałości. To język i wymowa rodowitego Francuza. Po tem odezwaniu się, więzień oddala się od okienka w drzwiach i kładzie się na słomie. — Ciekawy odchodzi z niezadowoleniem.

O pół do siódmej wieczorem rygle odsuwają z hałasem.—Drzwi się otwierają. — Czy więzień ma być zwolniony? — Nie. —Kilka osób wchodzi do celi. Jedna z nich zapytuje więźnia, czy zna członków Komitetu Polskiego w Brukselli, jak np. p. Gendebien. — Nie znam go jeszcze, ponieważ był nieobecny. — Tak, rzeczywiście był nie obecny, a innych?— Znam p. Lesbroussard, i więzień innych jeszcze wymienia.—Jestem burmistrzem gminy, zapewniam Pana, że to co się stało, stało się bez mego udziału, po za mną.—Jestem również członkiem Komitetu Polskiego i przyjacielem Polaków. — Jeżeli Pan jesteś Lelewelem, napisz Pan do P. Lesbroussard, znam go i poślę mu Pańskie pismo. — Dobrze, napi-

bourgmestre, n'oubliez pas le sceau de la commune que le juge de paix fit mettre sur vos papiers.—Bien. La lettre fini, et bien rentrez dans votre chambre, je vous enverrai une bouteille de vin, et vous irez demain dans une voiture, je prendrai pour vous une place. — Je ne bois pas de vin, et j'irai volontairement à pied. Mais non, vous partirez, et je vous enverrai une. Bonsoir. — Bonsoir. — Les verroux retombent, et le silence nocturne est retabli.

C'est la bouteille qui fait le nouveau fracas. — Peut-on avoir de la lumière? une chandelle ou une lampe?—Placez votre bouteille prés de la tête.— Mais la bouteille m'est inutile, je demande une chandelle ou une lampe. — Je le dirai au brigadier. — Encore une fois la curiosité du geôlier ouvre l'ouverture du haut de la porte. — Et la lumière? refusé.—Ne m'inquiétez plus. — Dormez bien jusqu'à demain.—Le silence retombe.

Le matin, les verroux et la porte de fer s'ouvrent.—Les bouteilles sont elles vides? — Non. — Allons, la voiture arrive.

Les gensdarmes, en grande tenue, conduisent la malheureuse blouse à l'hôtel d'ou va partir la diligeance. — Le brigadier, le bourgmestre, l'assesseur y sont. — Tout le monde avec affection demande le prisonnier, s'il a bien passé la nuit sur les courbures du grabat couvertes faiblement de la paille.—Point de réponse.

Votre lettre à Mr. Lesbroussard vous a devancée. — Il parait Mr. le bourgmestre qu'il y a chez vous, dans des pareils cas, un conflit des autorités. — Oui cette affaire appartenait à moi, mais on vous a conduit chez le juge de paix.—Mr. le bourgmestre, dit un des gensdarmes, vous me perszę. — Chodź Pan tedy ze mną. — Więzień napisał list w pokoju brygadyera.—Ale, rzecze burmistrz, nie zapomnij Pan o pieczęci gminnej, którą sędzia pokoju kazał przyłożyć na Pańskich papierach.—Dobrze.—Skończyłeś Pan już list, wróć tedy do swego pokoju; przyślę ci butelkę wina, a jutro pojedziesz dyliżansem, zamówię dla Pana miejsce. — Nie piję wina, a chętnie poszedłbym pieszo. — Ależ nie, pojedziesz Pan i przyślę Panu wina. Dobrywieczór. — Dobrywieczór.—Rygle zasunięto i cisza nocna panuje.

Butelka staje się znowu powodem hałasu. — Czy można mieć światło: świecę, albo lampę? — Postaw Pan butelkę przy wezgłowiu. — Ależ butelka jest dla mnie bez użytku, proszę o świecę, albo o lampę. — Zapytam brygadyera.—Raz jeszcze, przez ciekawość, pilnujący otwiera okienko we drzwiach.—A światło? — Odmówiono. — Proszę mi nie przeszkadzać więcej. — Śpij Pan dobrze do jutra. — Cisza znowu panuje.

Rankiem odsunięto rygle i rozwarto drzwi żelazne. — Czy butelki są próżne? — Nie. — Chcesz Pan kawy? — Nie. — Chodźmy, dyliżans odjeżdża.

Żandarmi, w galowych strojach, prowadzą nieszczęśliwą bluzę do hotelu z przed którego wyjeżdża dyliżans. — Czekają tam brygadyer, burmistrz i asesor. — Wszyscy ze współczuciem zapytują więźnia, czy dobrze noc spędził na nierównym tapczanie, zaledwie pokrytym słomą. —

Niema odpowiedzi.

List do p. Lesbroussard uprzedził Pana.— Wydaje mi się, Panie burmistrzu, że w podobnych, jak mój wypadkach, istnieje u was konflikt między władzami. — Tak, ta sprawa do

mettrez du vous dire que nous avons dans nos instructions, que nous pouvons aussi bien conduire devant le juge de paix.—Oui, Mr. le bourgmestre, dit le detenu, il me parait que votre autorité y est méconnue, et que vous êtes sans pouvoir, sans force.

La voiture part, on se sépara.

Arrivé dans la capitale au bout du Quai des Poissonières, près du pont sur la Seine, la voiture s'arreta; le détenu et les gensdarmes descendirent et la blouse fut conduite par les rues le plus peuplées: aux Poulets, aux Trippes, aux Herbes, de la Madeleine, de l'Empereur, jusqu'au palais de justice. — Les gensdarmes avaient la peine d'écarter les curieux garçons. — Dans le bureau du procureur les gensdarmes sont congédiés.— Le juge d'instruction est invité. — Il entre. — A, Mr. Lelewel comment va? Et bien la chose est finie, dit le procureur, prenez vos papiers.

Que de fois les blouses ne souffrent-elles des hommes du pouvoir, parcequ'elles sont blouses. Cette idée ne devait que satisfaire le détenu qui est prêt à se vouer pour leur cause.

mnie należała, ale zaprowadzono Pana do sędziego pokoju. — Panie burmistrzu, rzecze jeden z żandarmów, pozwoli Pan sobie powiedzić, że wedle naszych instrukcyj mamy również prawo zaprowadzić więźnia do sędziego pokoju. — Tak, Panie burmistrzu, odzywa się więzień, wydaje mi się, że Pańska władza jest zapoznana, że Pan nie masz żadnej władzy, żadnego znaczenia.

Dyliżans rusza w drogę, wszyscy rozstają się.

W stolicy dyliżans zatrzymuje się na Quai des Poissonières, w pobliżu mostu na Sennie.—Żandarmi prowadzą bluzę przez najwięcej ożywione ulice: aux Poulets, aux Trippes, aux Herbes, de la Madeleine, de l'Empereur, aż do pałacu sprawiedliwości; mają oni nie mało kłopotu z odpędzaniem ciekawych. W biurze prokuratora odesłano żandarmów i wezwano sędziego śledczego. — Sędzia śledczy wchodzi: A, Panie Lelewel, jak się Pan miewa?—Sprawa skończona, mówi prokurator — oto Pańskie papiery.

Wieleż to razy bluzy cierpieć muszą od ludzi znajdujących się u władzy, dla tego tylko, że są bluzami. Myśl ta sprawia zadowolenie więźniowi, który gotów jest poświęcić się ich sprawie.

Na tem opowiadanie kończy się; na jednym z egzemplarzy (jest ich dwa: jeden mniej, drugi więcej wykończony i wygładzony) znajduje się następujący dodatek:

Lorsque le juge de paix parlait de la loi, et il en parlait beaucoup, lorsqu'il se débordait avec sa considération envers Lelewel, celui-ci ne lui repondait que certainement le juge de paix doit mieux connaitre les lois de son pays; il doit les observer.

Kiedy sędzia pokoju mówił o prawie, a mówił o nim dużo, kiedy się rozwodził nad swem uznaniem dla Lelewela, ostatni odpowiedział tylko, że zapewne sędzia pokoju musi znać najlepiej prawa swego kraju i zachowywać je; ale, dodał, widzę, że

Mais je vois, ajoutait-il, que dans cette affaire vous n'agissait pas bien, et vous montrez singulièrement une mauvaise disposition envers un Lelewel en manifestant tant de satisfaction de ce que vous ne l'avez pas trouvé en règle.

Le juge de paix (wyraz nieczytelny): Soyez persuadé que je suis patriote, vous verrez que je suis patriote. L. lui repondait par les doutes: je doute de votre patriotisme, vous ne le témoignez point. Le juge de paix s'est tu pour un instant et un moment de silence suivi cette aventure malplacée.

w tej sprawie Pan nie dobrze postępuje, że Pańskie postępowanie, jest dowodem złego względem Lelewela usposobienia, ileże Pan zadowolniony jesteś, znajdując Lelewela nie w porządku.

Sędzia pokoju (wyraz nieczytelny). Bądź Pan przekonany, że jestem patryotą, zobaczysz Pan, że jestem patryotą. Lelewel odpowiadał sędziemu powątpiewaniem. Wątpię o pańskim patryotyzmie, nie dajesz Pan tego dowodów. Sędzia pokoju zamilkł na chwilę i nastąpiła cisza po tem przemówieniu nie na miejscu.

Ustęp niniejszy, w redakcyi ostatecznej, miał się zapewne znaleść w pierwszej części opowiadania, kiedy Lelewel z sędzią pokoju w Assche rozmawia; podaję jednak oddzielnie go, ponieważ nie mam żadnego dowodu, wskazującego miejsce, które mu autor przeznaczył.

*

* *

Zdarzenie opisane przez Lelewela miało miejsce w 1833 r. W dwa lata później w 1835 roku, brat Joachima, Jan Lelewel, znakomity inżynier, niestety, u nas zapomniany i nieznany [1]), który ile z korespondencyi sądzić można, miał dosyć ważny wpływ na Joachima, pisze do niego z Bernu pod datą 5 września (Arch. Rapperswilskie):

„... Gdybyś mi był 200 (franków) nieodesłał, miałbym jeszcze jedną usilną prośbę do uczynienia.—A ta jest zaniechania strojenia się w bluzę.—Bluza jest bardzo stosowna dla podróżujących po gó-

1) Listy Jana Lelewela, jak równie pamiętnik jego o wzięciu Pragi, przygotował do druku p. Jan Zakrzewski; miejmy nadzieję, że wkrótce ciekawa ta praca ujrzy światło dzienne. Wyjątek z listu Jana zawdzięczam p. Zakrzewskiemu, jak również wskazanie mi listów drukowanych Joachima, w których mowa o bluzie.

rach szwajcarskich; inaczej używana,—zwłaszcza na twojem ciele, nie może być uważana od innych, jak za cechę popularyzowania się, lub niesienia propagandy między tych, którzy raz wydobywszy się z bluzy, już nigdy do niej powrócić nie myślą, owszem wstręt i pogardę do niej zachowują. Mam przeto słodką nadzieję, że za pierwszym podreparowaniem się, zastąpisz bluzę sukienką taką, do jakiej od swej młodości przywykły byłeś."

A oto odpowiedź Joachima, znajdująca się w *Listach* drukowanych [1]), bez daty dokładnej, ale z roku 1835.

„... Owoż i moja bluza nie przypada Ci do myśli, mówisz, że dobra dla podróżujących, w podróży też jesteśmy. Mam teraz piękną garderobę, dla podróżnego nieco za ciężką. Mam garnitur, co mię przed trzema laty w Paryżu sto franków kosztował, lichy, słaby, ale pozorny, służy mi dotąd wszędzie. Mam drugi od dwóch lat, chcieli mi go Francuzi w Arras narzucić, zapłaciłem go, co kosztowało 100 franków. Ale te 100 franków poszło dla panien Pinard na dług komitetu narodowego. Ten garnitur od wielkiej gali, leży strzeżony od molów, ledwie siedm lub ośm razy miałem na sobie, jeśli się okoliczności nie zmienią może mi służyć będzie do śmierci. Bluza służy mi dla ochronienia mej garderoby, jednakże trzy lata wytrzyma, a może i dłużej; lepiej, że ona się bez szkody w kuchence, w której jadam, tłustością czasem powala, aniżeli, gdyby to fraczek spotkało. Jakieby mego położenia pod reparowanie nastąpić miało, tego ani przewiduję, ani pojmuję. Nie byłem nigdy w stanie stroić się, tem mniej teraz; nie stroiłem się w domu i łatałem sobie, teraz podłatuję się bluzą. Za cechę popularyzowania się lub propagandy, poczytana być nie może, bo jestem sobie śród miasta pustelnikiem. A gdyby i tak tę bluzę poczytano i uczczono, to powiem, że całe me życie jest propagandą, jeśliś tego bracie zbliska nie widział, to możesz teraz zdala odgadywać. Wreszcie bądź spokojny, nie straszę ja tą bluzą w kraju, gdzie powszechnie używana, gdzie jest pełno po pysznych estaminetach i nierzadka po kawiarniach, znają mnie tu tak i nikt mi to za złe nie poczytał. Jeśli będę do Anglii zaparty, tam pewnie bluzy nosić nie będę, bo nikt nie nosi. Wreszcie, zachowuję etykietę, a jeśli raz zdarzyło się, żem w mieszkaniu pani Ducpétiaux w niej się znalazł, to wybaczono, bo jej mąż millionaire całe rano w swej eleganckiej bluzie w domu siedzi. Niedawno odbyłem

[1]) Listy Joachima Lelewela. Oddział pierwszy: Listy do rodzeństwa pisane. Poznań, J. K. Żupański, 1879, in 8-o; tom II str. 70.

małą podróż pod Namur do Mielmont, do Gendebiena, gdzie całą familię w bluzach odwiedziłem, i trzy dni tam zabawiłem. Wracając wstąpiłem do Fischermont, gdzie także cała familia Beaulieu w bluzach . . .“

*

* *

Na zakończenie dodam, że bluza Lelewela znajduje się podobno w Muzeum narodowem polskiem w Rapperswilu; nie jest jednak wystawiona na widok publiczny.

Kazimierz Woźnicki.

PIŚMIENNICTWO.

Powstanie narodu polskiego 1830–31 r. w świetle krytyki mocarstw europejskich. Z rękopisów przełożył na język polski ***.

Od tłómacza dowiadujemy się, że przed kilku laty otrzymał od osoby zajmującej wyższe stanowisko urzędowe, rękopisy, będące wyrazem zapatrywań mocarstw europejskich na powstanie 1830 r., z poleceniem, aby je przełożył na język polski i wydał drukiem, jednak nie pierwej, aż po jej śmierci. Obecnie, gdy już osoba ta nie żyje, stosownie do jej życzenia, tłómacz wydaje powyższą pracę na użytek własnego społeczeństwa. Poznanie zapatrywań kompetentnych sfer mocarstw europejskich, zdaniem tłómacza, ma dla nas, Polaków, wielką doniosłość. W niepowodzeniach własnych, mianowicie tych, których sami byliśmy działaczami, jesteśmy sędziami samych siebie, musimy się usprawiedliwiać, musimy rozumować, musimy zgadywać, dla tego też wyrok nasz jest często stronniczy i mylny. Tymczasem w krytyce obcych zastajemy już zdania zupełnie gotowe, oparte na zimnem i bezstronnem rozumowaniu, których zatem przeistaczać nie mamy żadnego powodu. Zgodzimy się na to, co usłyszymy od obcych, ale nie zawsze zgodzimy się na to, co sami o sobie myślimy. Nie lepiejże więc szukać nauki u obcych, niż na drodze, na której za każdym krokiem musimy się spierać i rozłączać? Czujemy przeto wszyscy, jak ważną dla nas będzie nauką, co o nas mówią obce mocarstwa. Zresztą tłómacz nie powiedział nam wcale kto był ową tajemniczą osobą, która mu powierzyła rękopis. Nie wiemy nawet z jakiego języka przyswajał nam tłómacz pracę powyższą i co ważniejsza, nie rozumiemy, z jakiego powodu studyum przetłómaczone ma przedstawiać światło krytyki mocarstw europejskich. Jeżeli ministeryum wojny którego z państw poleciło jed-

nemu z wykształceńszych oficerów napisanie krytycznej historyi polsko-rosyjskiej wojny w r. 1831, to studyum powyższe nie stanie się bynajmniej krytyką tego jednego mocarstwa europejskiego, ale mniej lub więcej poważnem i uczonem zdaniem oficera armii tegoż mocarstwa. W akademiach wojskowych pruskich wykładano oddawna przebieg kampanii polsko-rosyjskiej w r. 1831 i drukowano studya krytyczne, jak to miało miejsce dawniej z generała Willisena „Theorie des grossen Krieges," lub kilkanaście lat temu z Kunza wykładami, wygłaszanemi w szkole wojskowej. Prace powyższe, zarówno jak i memoryał o wojnie 1831 r., złożony ministeryum wojny pruskiemu przez attaché militaire przy wojsku rosyjskiem, barona Canitz und Dallvitz, nie są bynajmniej krytyką mocarstw, czy jednego mocarstwa, ale studyum krytycznem oficera, do którego ministeryum wojny danego państwa miało zaufanie.

A teraz kilka słów o tem: czy zdanie obcych uczonych wojskowych, bądź cywilnych, może zasługiwać na absolutne zaufanie w naszem społeczeństwie? Tłómacz ma niewątpliwie słuszność, utrzymując, że obcemu łatwiej się zdobyć na przedmiotowość i bezstronność w sądzie, łatwiej uniknąć uprzedzeń i namiętnego rozdrażnienia. Z tem wszystkiem, jeżeli obcemu historykowi czy wojskowemu łatwiej jest zdobyć się na bezstronność, to w zamian za to trudniej mu zdobyć grunt przedmiotowy, t. j. zapoznać się ze wszystkiemi źródłami, które w nim jedynie mogą wyrobić ów sąd przedmiotowy, oparty na gruntownej znajomości rzeczy. Ileż to mieliśmy francuskich, bądź niemieckich historyj rewolucyi listopadowej, które były pisane pod wpływem wyłącznym sympatyi dla jednej ze stron wojujących. Czas dopiero, wydobywający z ukrycia coraz więcej źródeł, usuwa powoli wszelki pierwiastek nastroju indywidualnego, pozwalając zbadać gruntownie przedmiot. Dzieło generała Puzyrewskiego, kampanii polsko-rosyjskiej poświęcone, nie zdołało jeszcze ogarnąć i wyzyskać całego materyału źródłowego, który poznać należało. Puzyrewskiemu pozostały nieznane dokumenta urzędowe, znajdujące się w liczbie stu kilkunastu tysięcy, w archiwum sztabu generalnego w Warszawie. Przyszły historyk kampanii z r. 1831 będzie się musiał z niemi zapoznać, jeżeli zechce uniknąć błędów czy niedokładności. W końcu praca podana w tłómaczeniu, niewłaściwie została zatytułowaną. Nie jestto bowiem żadna historya powstania narodu polskiego, ale krytyczny pogląd na kampanię 1831 r. bez powoływania się na zdania teoretyków wojskowych niemieckich, którzy się tym przedmiotem z niezwykłą pilnością zajmowali. Niektóre z tych

studyów spoczywają dotychczas w manuskrypcie, jak np. rzecz o 1831 r. generała Brandta, inne zaś, jak prace Canitz-Dallvitza, Willisena i Kuntza, zostały już dawniej wydrukowane.

Rzecz o powstaniu narodu, którą tłómacz przyswoił naszej literaturze, ujawnia niewątpliwie oficera zawodowego, bardzo wykształconego i obdarzonego niezwykłym zmysłem krytycznym. Ocenia on siły wojenne stron obu, organizacyę armii, przymioty bojowe wszelkich broni z mniejszą może dokładnością niż Puzyrewski, ale za to pod względem krytyki strategicznych planów i wykazania błędów, jakie obie strony w ciągu kampanii popełniły, jest on niezmiernie ścisłym i krytycznym w sądzie. Wymotywowanemu i przedmiotowemu sądowi ulegają obie strony zupełnie tak, jak w dziele Kuntza i każdy manewr strategiczny, każde ważniejsze starcie ulega dokładnemu ocenieniu. Zwycięstwo Rosyan pod Grochowem, uważa autor na równi z Canitz-Dallvitzem za nierozstrzygające. Armia polska stała jeszcze na lewym brzegu Wisły w poważnej sile i trzymała przyczółek mostowy na Pradze obsadzony, mogła więc w każdej chwili wyruszyć na Rosyan. Dybiczowi zarzuca autor dużo błędów i dochodzi do przekonania, że ściganie i atak na Pragę musieliby Rosyanie, którzy ponieśli za dnia poważne straty, odbywać w ciemności. Z uwagi jednak, że korzyści zdobycia Warszawy, bezpośrednio po bitwie, były znaczne dla Rosyan i że wogóle mogły położyć kres wojnie, ryzyka takie w stosunku do możliwych korzyści, niebyłyby wcale za wielkie. Plan wyprawy na prawy brzeg Wisły (Prądzyński) nazywa autor bardzo zręcznym, który rozbił się właściwie o brak energii Skrzyneckiego i z tego powodu, że niedorósł on do kierowania większemi masami wojsk. Wprawdzie przyjmuje Skrzynecki rady i plany Prądzyńskiego, ale wykonanie ich przechodzi jego siły. Skomplikowany mechanizm kierowania komendą armii, potrzeba przystosowania się do szybko zmieniających się sytuacyj, które najczęściej trzeba odgadywać, oto przyczyny dla czego Skrzynecki mięsza się od samego początku i staje się niezdecydowany.

Prądzyński niechętnie patrzył na osłabianie siły głównej ekspedycyami, nie rokującemi wielkiego skutku, mimo to Skrzynecki trzymał się nieustannie tego systemu, począwszy od wyprawy Dwernickiego na Wołyń. Zdaniem autora, najodpowiedniejszem było dla Polaków: użyć całą swoją siłę w jednym kierunku, a mianowicie w kierunku głównej siły rosyjskiej. Słabe siły, nie dorastające pod żadnym względem nieprzyjacielowi, dzielić jest rzeczą zawsze niebezpieczną. Dążyć do jednego celu wyłącznie

i zupełnie, napiąć całą siłę, by osiągnąć ten cel, zamiedbywać cele poboczne—oto najlepsza zasada. A tu, jak w każdej wojnie, najważniejszym celem było pokonanie głównej siły nieprzyjaciela. Liczne wypadki oddzielania korpusów polskich od głównej armii, nie naprowadziły Skrzyneckiego na drogę zrozumienia, że tylko zjednoczonem wystąpieniem siły można osiągnąć powodzenie. Prócz tego Skrzynecki nie jest w stanie energicznie powziąć inicyatywy. Boi się on armat i kirasyerów feldmarszałka i myśli, że nie można zaczepić armii na stanowisku. Zawsze chce korzyść osiągnąć tylko bez ryzyka, jeżeli nie wydaje bitwy, to też i nic stracić nie może. Ale jakże chcesz wodzu — pyta go Prądzyński — wyjść wreszcie z tej sytuacyi? przez insurekcyę? czy interwencyę? czy przez bezpośrednią pomoc Bożą? Ale Bóg pomaga w wojnie tylko czynnemu. Kto się na nic nie odważa, nic też nie wygrywa.

Z powodu nieudanej wyprawy przeciw gwardyom rosyjskim, która była pomysłem Prądzyńskiego, pisze autor, że w wojnie 1831 r. uśmiechało się Polakom szczęście kilkakrotnie i to w wysokim stopniu. Jeżeli polski wódz nie umiał skorzystać z łask losu, to wina tego spada głównie na niezdolność i wieczne wahanie się Skrzyneckiego. Inny, jako tako zdatny wódz, musiałby pobić gwardyę rosyjską aż do zupełnego zniszczenia. Co się tyczy bitwy pod Ostrołęką, to naprężony stosunek między Skrzyneckim a Prądzyńskim, przyczynił się bardzo do klęski Polaków, ponieważ głównie ten stosunek uniemożliwił jednolite kierowanie bitwą. Wskutek odesłania części artyleryi i całego parku amunicyjnego, pozbawieni są Polacy w ciągu prawie całej bitwy współdziałania całej artyleryi. Ich pojedyńcze ataki rozbijają się bezskutecznie głównie o rosyjską artyleryę, która sama przez się już była bardzo silna, a przytem dobrze kierowana. Co się tycze bocznego marszu Rosyan do Osieka, to autor oświadcza, że tylko zachowanie się Prus umożliwiło wogóle ten kierunek operacyjny i jedynie z tego punktu widzenia straciła ta operacya cechę szalonego ryzyka. Przejście Wisły przez Rosyan dawało Polakom znowu niezmiernie korzystną sytuacyę do sprowadzenia taktycznego uderzenia. Jak pod Aspern zaatakował arcyksiąże Karol cesarza Napoleona, tak mogli Polacy napaść na feldmarszałka Paskiewicza podczas jego pięciodniowej przeprawy przez Wisłę i zniszczyć mu połowę armii. Ale Skrzynecki nic nie przedsięwziął przeciw Rosyanom.

Centralna pozycya Polaków w obwarowanym trójkącie: Warszawa-Modlin-Serock, dawała im zupełną swobodę operacyjną,

a ich armia, zebrana następnie pod Warszawą, była silniejszą niż każda z poszczególnych od siebie bardzo oddalonych grup armii rosyjskiej. Wystąpienie z ofensywą było dla Polaków odpowiedniejsze, gdyż ostatecznie stosunki po stronie polskiej parły do rozstrzygnięcia, a zwlekanie nie przynosiło im żadnej korzyści. Ale ażeby ofensywa mogła być skuteczną, trzeba było posiadać Łowicz. Opuszczenie Łowicza przez Polaków sprawiło, że wcale nie mogli oni wyzyskać Bzury do taktycznego uderzenia. Pozycya pod Bolimowem mogła wprowadzić Polaków w bardzo krytyczne położenie, albowiem Rawka nie stanowiła żadnej przeszkody w obejściu Polaków od lewego skrzydła i w odcięciu ich od Warszawy. Bądź co bądź nie spotkało Polaków, mimo kilkudniowego postoju pod Bolimowem, żadne nieszczęście, co mieli do zawdzięczenia nieśmiałości rosyjskiego wodza. Bezczynność całej głównej armii polskiej pod Warszawą nie miała na razie żadnego celu, albowiem feldmarszałek Paskiewicz nie czynił żadnych przygotowań, aby zaczepić Polaków, zanim otrzyma posiłki. Natomiast wyruszenie Polaków z ofensywą z całą siłą via Piaseczno przeciw rozrzuconej pod Nadarzynem i Błoniem armii rosyjskiej, mogło mieć powodzenie, a zwłaszcza sprowadzić rozstrzygnięcie, którego dłużej nie było celu odwlekać. Polacy mieli więcej szans do wystąpienia przeciw Paskiewiczowi z równemi siłami w otwartem polu, niż później z $^2/_3$ siły przeciw wzmocnionej o 32000 głównej armii rosyjskiej. A gdyby Polacy zostali nawet pokonani w tej bitwie, to zawsze pozostałaby możność cofnięcia się do obwarowań Warszawy i ewentualne przedsięwzięcie dywersyi na prawym brzegu Wisły.

Dopóki korpus Ramorina był w Warszawie, nie groziło stolicy Królestwa ze strony Paskiewicza żadne niebezpieczeństwo. 57000 Polaków mogło bez wielkiego trudu odeprzeć szturm 78000 Rosyan do oszańcowań Warszawy. Wysłanie Ramorina o 170 km. od Warszawy, było lekkomyślnością nie do pojęcia. Polacy winni byli być przekonani, że rozstrzygnięcie musi być wywalczone i że ono tylko pod Warszawą może mieć miejsce. Gdyby się jednak udało Polakom odeprzeć szturm i zadać Rosyanom klęskę pod Warszawą, co wcale nie było niemożliwem, to położenie armii rosyjskiej byłoby rozpaczliwe. Stan fortyfikacyj warszawskich i ich uzbrojenia pozostawiał dużo do życzenia. Załoga ich była niedostateczna i bardzo nieodpowiednio rozdzielona. Na froncie zaatakowanym rzeczywiście przez Rosyan, było tylko 5700 piechoty, 1500 jazdy i 58 dział polowych, a na czterech takich samych frontach było 19000 piechoty, 1900 jazdy i 36 dział polo-

wych. Przytem bardzo smutne stosunki panowały w komendzie Polaków. Na froncie zaatakowanym przez Rosyan komenderowało trzech zupełnie niezależnych od siebie generałów. Wiele warowni niemiało żadnej załogi z powodu braku żołnierzy, a żadna z nich nie była silnie obronną. Teren przed warowniami był bardzo płasko ufalowany, otwarty i przejrzysty, przeważnie piaszczysty.

O jednolitem kierownictwie ze strony polskiej w obronie Warszawy, ani mowy być nie mogło. Przedsięwzięte uderzenia ofensywne były odosobnione i dokonane z niedostatecznemi siłami, były frontalnie prowadzone i nie miały żadnego rezultatu. Przy silnem trzymaniu się frontu zachodniego razem z wojskiem Dembińskiego i przy energicznem natarciu zaczepnem całej, jednolicie kierowanej siły Umińskiego, przez Rakowiec na prawy bok rosyjskiego szturmu, dałoby się może osiągnąć, jeżeli niezupełne powodzenie, to przynajmniej tyle, że walka o Warszawę trwałaby 3—4 dni, w którym to przeciągu czasu Ramorino z wojskiem mógł przybyć i przywrócić równowagę sił. Chociaż Polacy pouczeni byli szturmem w d. 6 września o kierunku głównego szturmu Rosyan, mimo to rozdrobnili w d. 7 września swoje siły na całej linii. Nigdzie nie widzimy jednolitej masy, którąby była gotową napaść na bok Rosyan podczas dalszego prowadzenia szturmu na front zachodni. W d. 7 września były także chwile, w których jazda polska mogła odnieść znaczne korzyści. Lecz jazdy w odpowiedniej sile nie było na jednem miejscu, bo stała rozrzuconą na długiej linii obronnej.

Po stronie rosyjskiej uderza przedewszystkiem dobre użycie artyleryi, które należycie ułatwiło szturm kolumnom piechoty. Bardzo dobrze były zarządzone i przeprowadzone sposoby demonstracyi przeciw południowemu frontowi, które 6 września zatrzymały cały korpus Umińskiego zdala od głównego miejsca szturmu. Natomiast po zdobyciu Woli okazał Paskiewicz za wiele ostrożności, zamiast zaraz przeprowadzić szturm na drugą linię obronną. Wracając do oceny polskich wojsk, autor wyraził się w druzgocący sposób o działalności i nieposłuszeństwie Ramoriny, a charakteryzując główne postacie generałów polskich, oświadcza, iż najwięcej nadawał się na głównego wodza Dwernicki. Miał żądzę czynów, szybką decyzyę, a ufając swej dzielnej naturze, nie obawiał się płodnych umysłów, przeciwnie, szukał ich, jak ów Blücher, aby mu wskazywały kierunek, w którym mógłby użyć swych sił. Dwernicki miał także w tem podobieństwo do Blüchera, że był głównie dowódcą jazdy i to w najlepszym ga-

tunku, który odważnie i szybko nacierał na nieprzyjaciela i wskutek tego cieszył się największą popularnością u prostego żołnierza. Porównanie Dwernickiego do Blüchera znajdujemy zarówno u Willisena, jak u Kuntza i jest ono podobnież motywowanem, jak w powstaniu narodu, które nam w tłómaczeniu zostało obecnie podane.

Ostatecznie przychodzi autor do przekonania, że niezgodą zaszkodzili sobie Polacy najwięcej w tych doniosłych chwilach. Zamiast się łączyć w zgodzie i iść razem do wspólnego celu, sami się rozdzielali i sami z sobą walczyli. To wszystko było przyczyną dla czego na nich spadł cios tak wielki i może jeszcze nie raz spadnie. Do pracy dołączono ciekawy raport generała Berga o pertraktacyach jego z Krukowieckim w celu kapitulacyi Warszawy. Projekt Krukowieckiego skutkiem jego dymisyi nie utrzymał się i Warszawa musiała się poddać na daleko gorszych warunkach. Nigdy może niezgoda Polaków nie została bardziej ukaraną, jak w owej nieszczęsnej chwili.

Ostatecznie przyjrzawszy się całej pracy, która nam została podana w polskiem tłómaczeniu, winienem powtórzyć, że nie przynosi nam ona nic nowego. Krytykę podobną i ocenę sił polsko-rosyjskich podali nam oddawna pisarze wojskowi niemiecko-rosyjscy, tylko że ich studya są szczegółowsze, poparte licznemi mapami, a niekiedy (Puzyrewski) dokumentami archiwalnymi. Z tem wszystkiem przyznać należy niewiadomemu autorowi niezwykły dar spostrzegawczy i gruntowne wykształcenie wojskowe. Kiedy Zamoyski Andrzej w swych pamiętnikach, wydanych niedawno przez Kraushara, utrzymywał z dziwną pretensyonalnością, że Skrzynecki był od początku do końca jedynym kandydatem na naczelnego wodza, nieznany autor motywuje jasno i przekonywująco, że w chwili, gdy Skrzyneckiego wybrano, jedynym kandydatem na wodza był Dwernicki, porównywany przez wszystkich autorów niemieckich z Blücherem. Niepojmuję jedynie dla czego wydawcy nadali pracy tłómaczonej niewłaściwy tytuł i dla czego ukryli nazwisko autora, kiedy wyjawienie nikomu i to żadnej ujmy przynieść nie mogło.

A. R.

ALEKSANDER KRAUSHAR. *Obrazy i wizerunki historyczne.*

Na tom powyższy złożyły się prace napisane po wydaniu Drobiazgów historycznych (1891—1892) oraz kartek historycznych

i literackich. W tomie tym, jak nas autor w treściwej przedmowie objaśnia, znajdują się rzeczy przygodne, opracowane bądź pod świeżem wrażeniem ciekawszego jakiego, przy poszukiwaniach archiwalnych odnalezionego faktu dziejowego, lub też z powodu jakiego rękopisu rzadkiego, rzucającego światło na stosunki i ludzi wieków ubiegłych. Jest to więc zbiór szkiców ułożonych nie koleją wieków, do których się odnoszą, lub też wedle porządku ich powstania, lecz powiązanych ze sobą nicią umiłowanych rzeczy swojskich, o ile posługują do uwydatnienia obrazu kultury naszej, obyczaju lub wizerunku wybitniejszej jakiej postaci dziejowej. W owej mozaice różnobarwnej mieszczą się również kamyki nieoszlifowane, z których talent powieściopisarza-artysty mógłby wysnuć ponętne dla miłośników romantycznych wydarzeń tematy.

Najsamprzód spotykamy się z Albertem Sarmatą (Wojciech Turski), t. j. z postacią zagadkową człowieka, który wybujałością swej natury, jako publicysta, mówca, agitator i żołnierz znaczące w rocznikach krajowych swej epoki pozostawił ślady. Spotykamy go raz w stosunkach blizkich z jakobinami w Paryżu, później jako agenta tajnego w Konstantynopolu, a w r. 1809 jako pułkownika jazdy w batalionach Kniaziewicza, gdzie w przeddzień bitwy pod Hohenlinden podaje się do dymisyi, aby wyjechać do Paryża i tam sobie wyjednać nową misyę do Carogrodu. Przeważnie oceniano działalność Turskiego ujemnie. Był to znamienny okaz retora i deklamatora politycznego, nie pozbawionego być może dobrych poniekąd intencyj, lecz pozbawionego tych czynników etycznych, które są właściwością istotnie wielkich i naśladowania godnych indywidualności. Do odtworzenia postaci Turskiego autor posługiwał się przeważnie archiwami paryskiemi, a więc źródłem w tym wypadku doniosłości pierwszorzędnej. Na drugiem miejscu spotykamy się z epizodem z dziejów Targowicy p. t. Niedoszły pojedynek ks. Józefa Poniatowskiego ze Szczęsnym Potockim. Powodem wyzwania były niestosowne odzywania się Szczęsnego o wodzach polskich z kampanii 1792 r. Zuchwałe listy Szczęsnego do ks. Józefa i do króla Stanisława zmusiły ks. Józefa do przesłania listownego wyzwania Szczęsnemu. Dopiero wyzwanie zmusiło Potockiego do przemówienia z innego tonu. Przesłał on ks. Józefowi skromne usprawiedliwienie zakończone słowami: jeśli ci to usprawiedliwienie nie jest dostateczne, przybędę i wpakuj mi w łeb dwie przeznaczone na to kule. Siewers postarał się jednak, aby ks. Józef został wydalony z Wiednia, a w kraju aby mu położono sekwestr na wszystkie majątki.

W pierwszych odgłosach Konrada Wallenroda autor przedstawił nieprzyjemności i kłopoty, jakich nabawił zebranych wieczorek literacki, wyprawiony Mickiewiczowi w Petersburgu przez Polaków. Opis tej uroczystości został zamieszczony w Gazecie Polskiej, skutkiem czego Nowosilcow przesłał generałowi Kurucie ostrzeżenie dotyczące nieprawomyślności Mickiewicza. Władze rządowe zaczęły się doszukiwać tendencyj nieprzyjaznych dla rządu w Konradzie Wallenrodzie, ale ostatecznie cesarz Mikołaj rozkazał całą sprawę „pozostawić bez dalszych następstw.“ W „Katastrofie Kargowskiej“ przedstawił autor epizod z r. 1793, a mianowicie drobną potyczkę pod Kargową, gdzie oficer polski komenderujący szczupłą załogą, odmówił poddania miasta przeważającym siłom pruskim i walczył do ostatka z bohaterskiem męstwem. Jakby na ironię nie ocalało ani jedno nazwisko obrońców Kargowy, natomiast ocalały nazwiska dowódców pruskich, którzy pewni swej przewagi nie oszczędzali przeciwników. W nowych źródłach historycznych do sprawy księżnej Lubomirskiej autor wsparł się na ciekawych dokumentach odnalezionych w archiwum ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu. Na podstawie wyczerpujących dokumentów autor przyszedł do przekonania, że wszystkie usiłowania obrońców księżnej Rozalii rozbiły się o opór Robespierra, który, na wniosek prokuratora Fouquier Tinville, wysłał do opactwa lekarzy: Thery i Noury, dla sprawdzenia stanu zdrowia księżnej i po otrzymaniu od nich świadectwa, że księżna w stanie macierzyństwa nie znajduje się, wyjednał dekret znoszący udzieloną zwłokę w egzekucyi i nakazał bezzwłoczne stracenie ci devant księżnej Lubomirskiej.

W „Zamachu Ankarströma“ przypomniał autor ciekawe pamiętniki oficera polskiego, które się ukazały w Paryżu w r. 1797 p. t. „Histoire de l'assassinat de Gustave III roi de Suède, par un officier polonais, témoin oculaire.“ Podobno owym oficerem polskim był Mikołaj Potocki, ówczesny poseł polski przy dworze szwedzkim. Znajdował się on osobiście na balu maskowym, na którym zabito króla, a co gorsza, miał czarną maskę, jak Ankarström i z tego powodu był nieco poturbowanym przez gwardzistów. Podług świadectwa Potockiego, lud Stockholmu z obojętnością przypatrywał się męczarniom Ankarströma i radby był zdwoić cierpienia królobójcy. Epizodowi z pod Maciejowic poświęcił autor także uwagę, zastanawiając się nad tem, jaki udział w pochwyceniu Kościuszki miał Fedor Łyseńko. Zestawiając opowiadanie Łyseńki z inną relacyą, autor dochodzi do przekonania, że bohaterski czyn Łyseńki polegał na płatnięciu szablą przez

głowę powalonego już Kościuszki, co z punktu widzenia rycerskości, nie można uważać za podstawę do stawiania pomnika nieśmiertelności żołnierzowi, który wbrew prawu wojny, dogodził swemu animuszowi, znęcając się nad bezbronnym przeciwnikiem.

W opowiadaniu Zbyszewskiego o kapitulacyi Warszawy w 1794 r. autor streszcza dokument, który się znajduje w muzeum Świdzińskich. Zbyszewski opisuje w nim przebieg szturmu do Pragi i udanie się delegowanych od miasta do zwycięskiego Suworowa. Suworow, przeczytawszy list od króla, miał wykrzyknąć: „Vivat, vivat! Mir wieczysty z walecznym polskim narodem. My nie zrodzeni do tego, abyśmy się bili wzajemnie. Jeden nasz początek. Nie będę już maczał tego oręża we krwi narodu, godnego prawdziwego szacunku i poważania.“ Autorowi uszedł uwagi drugi dokument, znajdujący się w Bibliotece Krasińskich. Jest nim urzędowe sprawozdanie delegowanych do Suworowa, złożone municypalności, która daleko szczegółowiej, a przedewszystkiem wiarogodniej opowiadała przebieg swej misyi do Suworowa. O niegdyś kaplicy Szujskich w Warszawie przytoczył nam autor rezultat badań prof. Cwietajewa, porównał go z wersyami Bartoszewicza, Sobieszczańskiego, Balińskiego, Lipińskiego i doszedł do przekonania, że wątpliwej zasadności są orzeczenia, iż budynek ów był najprzód skarbcem a następnie lodownią ogrodową. W danym wypadku murowany i ozdobiony filarkami kamiennymi budynek, z kamienną, w kostki czarne i białe, posadzką, ze sztukateryą wewnętrzną i z wyżłobionem nad drzwiami wejściowemi zagłębieniem prostokątnem, z niszą zagadkową, bynajmniej nie okazuje rzekomo gospodarskiego swego pochodzenia.

W epizodzie historycznym z r. 1812, przedstawił nam autor Napoleona po Berezynie, przejeżdżającego tajemniczo przez Warszawę. Nawet dygnitarze władz miejscowych powierzali sobie tylko na ucho pogłoskę o przejeździe cesarza. W godzinę dopiero po jego wyjeździe, pisze Niemcewicz, przyjaciel z rady ministrów pod tajemnicą największą powierzył mu, że z Caulaincourt'em był razem cesarz Napoleon, dniem i nocą do Paryża śpieszący. Niezawodną jest rzeczą, że tylko ścisły nadzór władz francuskich nad prasą warszawską sprawił ową maskowaną obojętność mieszkańców wobec wypadków groźnych ówczesnych. Nie objaśniano też publiczności o pojedyńczych katastrofy epizodach, lecz okłamywano ją spóźnionymi biuletynami zwycięstw, dawniej już odniesionych, a tymczasem, jako jedyny objaw życia publicznego, podawano ckliwe sprawozdania o komedyach i operach. Z życia Heleny z Massalskich, księżnej de Ligne, ułożył autor wdzięczną

kartkę obyczajową z końca XVIII wieku. Następnie poświęciwszy pobieżnie uwagę trzem żonom Szczęsnego Potockiego, wspomniał autor o księżnej Łowickiej. Autor utrzymuje, że postać księżnej Joanny w oświetleniu zarysu Karnowicza pozostałaby wyrazistą i zagadkową, gdybyśmy nie mieli dla jej zrozumienia tego właśnie materyału autentycznego, który ujawniony został w życiorysie księżnej Joanny, opartym na wyjątkach z korespondencyi jej poufnej i ogłoszonym w Przeglądzie Polskim z r. 1882. Nie ulega wątpliwości, że praca, którą autor przytoczył, będzie stanowiła zawsze najważniejsze źródło do historycznego portretu księżnej Łowickiej, ale niezależnie od tego w literaturze rosyjskiej ukazały się od tego czasu poważne dzieła, jak prace generała Szildera, które dużo sympatycznego światła rzuciły na postać księżnej Łowickiej. Wydano także pamiętniki Francuza, domownika W. Księcia, któremu się zdawało, że księżna Łowicka żywiła dlań idealne uczucie.

Nowe szczegóły o frankistach w Offenbachu odkrył autor w archiwum państwowem w Darmsztadzie; szczegóły te zawarte były w tomie akt, obejmujących wszelkie decyzye władz sądowych, wydane na żądanie wierzycieli masy spadkowej Franków, począwszy od r. 1816, jako też zeznania wszystkich osób, które dwór Franka i córki jego podczas przebywania ich w Offenbachu nad Menem składały. Z zeznań owych przekonano się, że wszelkie dochodzenia nie mają celu i massa upadłości Franka umorzoną została. Usiłowano jeszcze do 1827 r. wznawiać zbyteczną formalistykę biurową w przedmiocie poszukiwań wymarzonych, rzekomo ukrywanych, bogactw rodziny Franków, lecz poszukiwania owe do żadnego rezultatu nie doprowadziły i utonęły w aktach sądowych, dopiero po latach kilkudziesięciu (1898) odnalezionych. Kilka interesujących szczegółów dorzucił autor do historyi rodu Giżów—z którego pochodziła słynna kochanica Zygmunta Augusta, Giżanka — a przedewszystkiem Mikołaja Giża, burmistrza starej Warszawy. Przypomniał nam też autor i stryja JMci Pana Paska, stryja, który, jak się pokazuje, był takim samym, jak i Jan Chryzostom, paliwodą i rębaczem i że charakterystyczne cechy rodowe, ujawniające się w czynach naszego pamiętnikarza, stanowiły właściwość usposobienia i pana sędziego smoleńskiego—stryja Jana Chryzostoma.

W poglądach politycznych Maurycego Mochnackiego w r. 1826 autor konstatuje, że Mochnacki rozmaite, a dziwne, przechodził ewolucye zanim skrystalizował się w jędrnych artykułach „Nowej Polski.“ Rok 1826 był niejako etapową stacyą na drodze

rozwoju pojęć młodego myśliciela, który oddany pod opiekuńcze skrzydła radcy stanu Kalasantego Szaniawskiego, pod jego kierunkiem pisywał czas niejaki nieszczere, konserwatywno-reakcyjne referaty, wprost sprzeczne z wyznawanemi przedtem poglądami i przekonaniami. Nowicyat Mochnackiego u radcy Szaniawskiego trwał niecałe dwa miesiące. Zakończył się dymisyą formalnie zażądaną i udzieloną, oraz przejściem młodego pisarza do redakcyi Izydy. Z owej właśnie cenzorskiej czynności Mochnackiego ocalał jeden jedyny dokument, a były nim uwagi nad dziełem profesora nauk społecznych lipskiego uniwersytetu, Henryka Politza, p. t. „Die staatensysteme Europas und Amerikas seit dem Jahre 1783 geschichtlich und politsich dargestellt.“ W artykule „Rylejew i Niemcewicz,“ autor przytoczył ciekawy list Rylejewa do Niemcewicza, w którym tenże dedykuje polskiemu poecie przetłómaczoną ze śpiewów jego historycznych „Dumę o Glińskim.“ Rylejew czuje, iż przekład dalekim jest od przedmiotu i wdzięków oryginału, lecz pochlebia sobie, że dobra chęć wynagrodzi w oczach szlachetnego patryoty nieudolność rymotwórczą.

W końcowych szkicach znajdujemy nieznaną relacyę o śmierci Zygmunta Augusta. Autor owej relacyi Kasper Trzykowicz, podkomorzy mielnicki, poseł na sejm w r. 1569, w liście przesłanym 18 lipca 1572 r. do niewiadomego z nazwiska korespondenta, opisuje zgon króla, z którego widać, że nie należał do jego zwolenników za życia. Podane przezeń szczegóły tchną niechęcią, nienawiścią niemal dla pamięci zgasłego monarchy, i są niejako odbiciem usposobienia obecnych, przedewszystkiem zaś najbliższego otoczenia królewskiego, dla osoby ostatniego Jagiellona. Pisząc o liście drugiego Dymitra Samozwańca do Mikołaja Wolskiego, który się znajduje w archiwum Medyceuszów we Florencyi, autor stwierdza, co już i Szujski zauważył, że ów drugi Dymitr był „kreaturą polską“ i że we wszystkiem do rad swego kierownika Miechowickiego się stosował. Nasuwa się przeto logiczny domysł, że autorem listu mógł być jedynie Miechowicki i że zwrócenie się jego do Mikołaja Wolskiego było w danej chwili jedynie politycznym i wysoce zręcznym manewrem. Sympatyczne wspomnienie poświęcił autor Klaudyi Potockiej, która nie była wprawdzie geniuszem myśli i czynów, ale indywidualnością tak wpływową i potężną, że otoczyła ją już za życia aureola czci ogólnej, że pociągnęła ku sobie nie tylko bezkrytyczne tłumy, lecz nawet najwybrańsze serca i umysły tych, którzy stanowili i stanowić będą po wieki ozdobę i zaszczyt narodu. „Ta kobieta,

pisał o Klaudyi Potockiej Mickiewicz, godzi z rodzajem ludzkim i może natchnąć znowu wiarą w cnotę i dobroć na ziemi.“

W wywiadach pruskich z r. 1834 przedstawił autor niezbyt zaszczytną misyę niejakiego radcy policyjnego Wedeke, dawnego oficera pruskiego, który podjął się otaczać tajną opieką emigracyę polską w Niemczech i wiadomości poufne rządowi cesarskiemu przesyłał. Sympatyczne, a co więcej rzeczywiście zgodne z prawdą wspomnienia, poświęcił autor Julianowi Bartoszewiczowi, Józefowi Rollemu (Dr-owi Antoniemu J.), Edwardowi Siwińskiemu i Henrykowi Merzbachowi, księgarzowi-poecie, którego ojcem duchowym był Heine i on nastroił pierwsze tony jego lutni. Ostatni szkic w owym tomie obrazów poświęcony został życiu potocznemu w ogłoszeniach dziennikarskich. W obrazach historycznych Kraushara, które są istotnie szkicami bezpretensyonalnymi a interesującymi, odnajdujemy wiele dokumentów, które się kryły po archiwach zagranicznych i krajowych, wiele druków rzadkich, o których oddawna zapomniano. Materyał archiwalny, czy też drukowany, który autor spożytkował w tym tomie, przyczyni się niewątpliwie do wyjaśnienia niejednego szczegółu historycznego, do ściślejszego opisu nie jednego wypadku. Przytem opowieść łatwa, jasna i nie goniąca za retorycznemi efektami, nadaje obrazom historycznym Kraushara istotny interes. Prócz tego obrazy historyczne stanowią dla autora zaszczytny dowód jego nieustającej i wytrwałej pracowitości.

A. R.

IGNACY CHRZANOWSKI. *Marcin Bielski.* Studyum literackie. 1906.

Zdaniem autora, Bielski był o wiele niższy od Reja zdolnościami i werwą pisarską, od Górnickiego wykształceniem i pięknością wysłowienia się, z Kochanowskim wcale się nawet mierzyć nie mógł, ale miłością ojczyzny ani jednemu z nich nie ustępował, pracowitością niezawodnie ich przewyższał: szczęśliwszy dla tego, że ojczyznę swoją nie tylko mądrością i radą zdobił i wspomagał, ale jej piersią własną bronił. Marcin Wolski, który się potem Bielskim przezwał, rycerz, kronikarz, poeta—sługiwał w młodości wojskowo pod takimi mężami, jak Kamieniecki, Tworowski, ks. Konstanty Ostrogski, Tarnowski i Bernard Pretficz. Do późnej starości przechował też pamięć o ich tryumfach wojennych, z goryczą wyrażając się o młodych, że w kartach i kuflu utopili ducha rycerskiego. Bielski urodził się w r. 1495 w Wielkopolsce.

Jego miejscem urodzenia była Biała pod Pajęcznem, w ziemi Sieradzkiej. Nazywano go mimo to szlachcicem z mazowieckiej ziemi, gdyż gniazdem Prawdziców było Mazowsze. Bielski bywał na dworze Janusza, księcia mazowieckiego, i swem okiem widział, jak „przez miary pijał ksiądz Janusz z dworzany swymi trojnik z muszkatele mieszając.“ O Mazowszu też śpiewał: „Bo tam ziemia bardzo ludna — Pani gładka, panna cudna.“ A choć posagom mazowieckich niewiast nie bardzo wierzył, chwalił Mazowsze za to, iż tam radzi po polsku czytają. Autor ma co do tego poważne wątpliwości i twierdzi, że to taka sama prawda, iż Mazurzy w XVI wieku radzi czytywali, jak to, że ślepy bywa Mazur do dziewiątego dnia.

Gdzie chodził Bielski do szkół i czy po ukończeniu nauk szkolnych był uczniem krakowskiej akademii — tego nie wiemy, niepewną bowiem jest rzeczą: czy zapisany w spisach studentów w r. 1509 jakiś Martinus Nicolai de Voliia Szelejewska, to on właśnie. Wogóle o jakichś zagranicznych studyach Bielskiego nawet mowy być nie może, a pisma jego nie dowodzą wcale, aby słuchał wykładów w krakowskiej wszechnicy. Zresztą, jeżeli przez czas jakiś był uczniem wszechnicy krakowskiej, to tylko dowód, że nie wiele z niej wyniósł. Młodość swoją spędził Bielski na magnackim dworze Piotra Kmity, na którym roiło się od infamisów, łotrów, od pijaków i rozpustników, od złodziejów i mężobójców, ale także roiło się od rycerzy walecznych i mężów uczonych. W r. 1531 walczył Bielski w bitwie pod Obertynem, potem pod Wiśniowcem, a jakiego rodzaju pełnił służbę na dworze Kmity, o tem nie wiadomo, i tylko przypuszczać można, że go Kmita, tak jak Tęczyński Reja, zaczął w listy wprawować. Służąc na dworze Kmity, bywał Bielski często w Krakowie i tam dostał się w wir prądów reformacyjnych, ale z tem wszystkiem nie odstąpił katolicyzmu i nie przeszedł na protestantyzm. Humanizm nie trafił Bielskiemu ani do przekonania, ani do serca. Wśród humanistów czuł się nie swoim, lgnął on do owych bakałarzów, którzy chociaż polorem i wykształceniem nie mogli się równać z humanistami, w istocie jednak zdziałali wraz z drukarzami większą od nich sprawę, bo tłómacząc na polski różne pisma łacińskie, utorowali literaturę narodową.

W r. 1537 wydrukował Bielski „Żywothy Philosophów,“ a w roku 1551 „Kronikę wszystkiego świata na sześć wieków.“ Pierwszy utwór dedykował Kmicie, drugi Zygmuntowi Augustowi, pisząc na czele: „Idźcie naprzód ku królowi—ku jego majestatowi.“ W roku 1540 wprowadził Bielski w swoją „kuczę ubogą,“ jako małżon-

kę, pannę Siemkowską z Sieradzkiego, Okszycównę, i tym sposobem spowinowacił się z Rejem i Orzechowskim. Bielski nieustannie tęsknił za miastem, gdyż na wsi nie mógł sobie dobrać odpowiedniego towarzystwa, bo nie lubił braci szlachty, „co się w biesiadach trunkowych kochają, a stąd gardła, zdrowia marnie utracają, jako się trafiło w Sieradzu w r. 1553, na co patrzył: popiwszy się urodziwi mężowie z domów slacheckich, zabiło ich się pięć razem z arkebuzów.“ Aby też nie wpaść w melancholię, Bielski dość często zaglądał do Krakowa, choć na dłużej nie mógł przyjeżdżać, aby nie zaniedbywać gospodarstwa. Fortuna jego była bardzo skromna a kłopotów wiele: „Niema wołów, niema koni—Jeden kłopot drugi goni. Trzeba zaprządz do grabarki—Sucho na młyn, rzadkie miarki.“ W dodatku, gdy mu w domu poprzybywało „błazenków przyrodzonych,“ t. j. dzieci, gnębiły go wydatki. „Trzeba na żonę, na dzieci—Przeto z mieszka grosz wyleci.“ Kłopoty gospodarskie niepochłaniały jednak Bielskiego tak, aby miał porzucić zajęcia literackie. Z dumą też pisze: „Toć są moje krotofile—Jeden z przodu, drugi w tyle. Książki a papieru karta—Miasto wyżełka a charta.“ W r. 1556 wydał Bielski w Krakowie przełożony z łacińskiego Nowy Testament, w r. 1569 Sprawę Rycerską i tak pracował do samej śmierci, która nastąpiła w r. 1575.

Po szczegółowej i gruntownej ocenie każdego z utworów Bielskiego, autor w końcu pracy podał nam charakterystykę Bielskiego w następujących słowach: Bez porównania niższy od Reja talentem, nie posiadający ani tej fantazyi, ani werwy pisarskiej, ani tej wrażliwości na otoczenie i zmysłu spostrzegawczego, przewyższał go Bielski znacznie kulturą umysłu, rozwagą i powagą. Obydwaj byli samoukami, ale Bielski usilną pracą wchłonął w siebie bez porównania więcej wiadomości i wiedza jego była bez porównania gruntowniejsza. Bielski poczytywał, tak jak Rej, cnotę za skarb drogocenny, ale zdawał sobie jasno sprawę z tego, że bez prawdy niema dobra, bez mądrości niema cnoty, a z głupstwa wszystkie nieprawości idą. Największą też zasługą Bielskiego, że zachęcił społeczeństwo do nauki, nad którą nie może być wymyślone większe dobrodziejstwo, i w ten sposób przemawiał Bielski do szerokich warstw społeczeństwa polskiego. Bez nauki, zdaniem Bielskiego, niema cnoty, dobrej sławy, szczęścia: to właśnie skłoniło go do napisania „Żywotów Filozofów.“ Bez znajomości historyi człowiek nie będzie wiedział, jak żyć na świecie, stąd „Kronika świata.“ Bez znajomości sztuki wojskowej, Polak nie będzie umiał ojczyzny bronić, stąd „Sprawa Rycerska.“ A tak od pierwszego do ostatniego swego dzieła oświecał Bielski swoje spo-

łeczeństwo, namawiał je do nauki, którą sam nad wszystko ukochał, a której potrzebę nie wszyscy rozumieli. On pierwszy w naszej literaturze występuje przeciw dyletantyzmowi, który jest odwieczną naszą wadą, z którego nie uleczyliśmy się do dziś dnia jeszcze. A jakiż środek zaleca Bielski do nabycia nauki? Pracę, pracę i raz jeszcze pracę. Jego zdaniem trzy rzeczy urabiają dobrego męża: rozum, nauka i doświadczenie; ale te rzeczy trzeba nabyć, „bo się żadny z tymi dary z matki nie urodzi.“

Drugą myślą przewodnią Bielskiego jest, że zanik ducha rycerskiego, zadomowienie, „zależenie w pokoju“ są dla Polski, jak dla każdego państwa zgubne. Nie on jeden usiłował w społeczeństwo wpoić to przekonanie, ale nikt na to nie nastawał tak usilnie i tak wytrwale, jak on. I tutaj okazała się wyższość umysłowa Bielskiego nad Rejem, który nibyto namawiał szlachtę do ćwiczenia się w rzemiośle rycerskiem, a w istocie odwodził ją od niego, zalecając żywot człowieka poczciwego na wsi. Wogóle porównanie działalności literackiej Bielskiego z działalnością Reja, doprowadza do wniosku, że tamten rozwijał się i postępował, ten cofał się i kostniał. Rej zaczął od orlich lotów, ale skończył na pełzaniu żółwia, na uwielbianiu kwietyzmu, na łonie wsi spokojnej, wsi wesołej. Bielski inaczej. Jego początki były bez porównania skromniejsze. Zaczął od pełzania żółwia, t. j. od niewolniczego przekładu średniowiecznych żywotów. Potem jednak, chociaż się nie zdobył na orli lot ani jednego razu, rozwijał się i kształcił dzięki mrówczej pracy, coraz to więcej, to też nie stał się filistrem, ani apoteozował nigdy kwietyzmu szlacheckiego, przeciwnie, walczył z nim wytrwale i na starość zagrał swemu narodowi pobudkę wojenną. I on wierzył w miłosierdzie Boże niemniej gorąco, jak Rej; ale rozumiał, że Bóg wtedy dopiero ludziom dopomoże, kiedy oni sami sobie dopomagać będą, więc nawoływał do samopomocy, do obrony przed omylnemi zaburzeniami świata tego.

W historyi literatury polskiej nie posiada Bielski tak wybitnego stanowiska, jak Rej, nie położył około jej rozwoju tak olbrzymich, tak nieśmiertelnych zasług. Pomimo, że zaczął wcześniej pisać od Reja, nie jest on jej ojcem i nie on stworzył szkołę literacką, tylko Rej; nie jego, ale Reja pisma są zwierciadłem życia polskiego w XVI w. i żywej mowy polskiej. Nie mniej przeto zdobył sobie i Bielski piękne imię w literaturze polskiej i sumiennie zapracował na wdzięczną pamięć, jako ten, który jeszsze od młodych lat pisał wszem polskie rzeczy rad, który, jeżeli nie pierwszy, to w każdym razie jeden z pierwszych drogę impro-

sorom podał, pisma polskie imprymować i jako jeden z dobrych synów ojczyzny nieustannie wołał:

Ale wżdy wiernym stróżom i raz i powtore
Niech wolno będzie wołać, kiedy gore, gore.

W studyum swem literackiem, Bielskiemu poświęconem, autor zajął się szczegółowo i gruntownie każdym utworem Bielskiego. Krytyka, jaką w tem studyum znajdujemy, zdobywa czytelnika swą logiką i wyrozumieniem, a poucza niezwykłą erudycyą. W studyum o Bielskim dał nam autor wykończony i wyczerpujący portret literacki tegoż pisarza i to na bogatem tle cywilizacyjnem XVI wieku. Studyum też powyższe pozostanie cennem uzupełnieniem historyi literatury polskiej, literatury w XVI wieku, i zdobędzie niewątpliwie autorowi należyte uznanie.

A. R.

J. T. KS. LUBOMIRSKI. *Adam Kisiel, wojewoda kijowski.* 1905.

Rudawski, historyk XVII stulecia, w następujący sposób charakteryzuje działalność Kisiela. Ciężkie czasy uszczupliły jego majątek, zewsząd go otaczały zasadzki: nieprzyjaźń i niestałość Polaków, oszukaństwo kozackie, groziło mu niebezpieczeństwo dniem i nocą: w domu, w drodze i na każdem miejscu. W skwary i w mrozy, mimo nieprzyjaciół licznych, sam jeden, znany czy nieznany, odbywał podróże, gdy tego potrzeba i okoliczności wymagały. Zdziwi się potomność, jak mógł ten człowiek przebyć wszystkie koleje pokoju i wojny, nie mając nic za sobą, prócz potęgi rozumu. Pisząc o r. 1648, Rudawski tak się wyraża o Kisielu: Nie tajno było Chmielnickiemu, jak wiele znaczył w Senacie Kisiel, którego każde słowo było mądre i głębokie, tak, że w owym czasie tylko jeden udzielać mógł Senatowi rad, jak sprawować Rzeczpospolitą. Sprawdziło się wszystko, cokolwiek powiedział, powiodło się to tylko, co on poradził. Był to jeden z tych Małorusów, powiada historyk rosyjski Kulisz, którzy urządzali i bronili Polski z większem staraniem, niż sami Polacy.

Ród Kisielów nie był prawdopodobnie pochodzenia słowiańskiego, sądząc ze skandynawskiego brzmienia przydomku, „Swentoldycz.“ Adam Kisiel, urodzony około roku 1600, wykształcenie pobierał w Akademii Zamoyskiej, a pod świętobliwym hetmanem Żółkiewskim swoje żołnierskie tirocinium odprawował. Młody Kisiel, przygotowując się do wyprawy chocimskiej, spisał testament d. 11 czerwca 1621 r. W testamencie owym bardzo troskliwie dba

o dobro swojej rodziny, ale niezapomina o pożytkach Rzeczypospolitej. Karol Chodkiewicz zaś poświadcza jego obecność w wojsku. Brał udział także w wojnie szwedzkiej pod Gniewem, gdzie według późniejszego przywileju króla Władysława IV. „Przed wszystkimi z chorągwią, okrywszy się sławą w ogniu nieprzyjacielskim,“ stracił dwóch braci stryjecznych. Podczas wojny z Moskwą w r. 1633, Kisiel z nieznacznym oddziałem wojska broni od strony Putywla Siewierszczyzny i korzystając z przyjaznych stosunków z Zaporożem, wysyła siczowe oddziały pod Smoleńsk. Towarzyszy nadto Mikołajowi Potockiemu w wyprawie przeciw Pawłowi Michniewiczowi i jego tłumom powstańczym, „głową i sercem“ wspierając hetmana. Potocki odsyła Kisielowi wziętych do niewoli jeńców. Ten ich do swojej dragonii wciela lub obdarza wolnością.

Działalność i zasługi Kisiela nie ograniczały się na wyprawach wojennych i pracach ekonomicznych. Donioślejsza była jego działalność na polu społecznem i politycznem. Po Ostrogskich i Zasławskich, Kisiel rzeczywiście stał się wobec Rzeczypospolitej przedstawicielem i „uznaną głową Rusi.“ Do owego podniosłego stanowiska powoływało Kisiela gorące przywiązanie do wiary ojców, wykształcenie, dar wymowy, obszerne posiadłości ziemskie, bystrość rozumu, tudzież przychylność trzech królów: Zygmunta III, a szczególniej tak sprzyjającego Rusinom Władysława IV oraz Jana Kazimierza. W r. 1629 król Zygmunt III Kisiela naznacza posłem swym na synod partykularny obrządku grecko-wschodniego z Kijowa, z serca tego życząc, „aby rozdwojenie mogło być usunięte.“ Na sejmie elekcyjnym, po śmierci Zygmunta, Kisiel broni zawzięcie zasady tolerancyi religijnej i zrównania praw obywateli różnych obrządków. Duchowieństwo grecko-wschodnie wynosi Kisiela na stanowisko naczelne. W uznaniu jego zasług w sprawach religijnych, biskup mścisławski, późniejszy metropolita kijowski, Kossow, poświęca Kisielowi ułożony w języku polskim Paterikon albo żywoty Ś-tych Peczerskich, jako pobożnemu, statecznemu wschodniej cerkwi synowi (1635).

Kisiel wpisuje się w poczet bractwa lwowskiego i jako pierwszy w rzędzie braczyków kładzie podpis swój w języku polskim. Wpływ bowiem tego, jako języka państwowego, szerzył się bez nawoływania, a tem bardziej przymusu, siłą cywilizacyjną. Nadto Kisiel zakłada trzy monastery greckie, męski w Niskiwiczach i żeńskie: w Maksucie i Mohylanach. W tym ostatnim przełożoną była matka Kisiela. Papież Urban VIII, w r. 1643, w breve swem, wystosowanem do dwóch Rusinów, Piotra Mohyły i Adama Kisie-

la, jako do mężów naczelnych swego narodu, wyraża się o Kisielu, iż powagą, nauką i mądrością słusznie jaśnieje. Z drugiej strony Mohyła naznacza go w swym testamencie (1646) jednym z opiekunów założonej przez siebie wyższej szkoły w Kijowie. W roku 1647 Władysław IV wysyła Kisiela w poselstwie do Moskwy, który tam, jako wyznawca kościoła wschodniego, mógł budzić zaufanie, występując w ważnej sprawie zaprzysiężenia umowy Polanowskiej oraz zawarcia sojuszu przeciw chanowi tatarskiemu. Jednocześnie z zajmowaniem poważnego stanowiska wśród Rusinów, Kisiel sprawował urzędy i różne dostojeństwa w Rzeczypospolitej. W r. 1648 został mianowany przez Władysława IV wojewodą bracławskim; właśnie wtedy nastąpił zatarg między dwoma narodami. Kisiel w liście do Chmielnickiego tak przedstawia gwałty kozackie: Ołtarze Bogu poświęcone, zarówno polskie, jak ruskie, sprofanowane, płeć białogłowska i niewinne dziatki zamordowane i wszystkie okrucieństwa, jakich nie czynią nam Turcy i Tatarowie, przez chrześcijan nad chrześcijanami spełnione.

W piśmie zaś do prymasa, w tymże roku, Kisiel tak przedstawia położenie rzeczy: Straszna rerum metamorphosis, jaka w ojczyźnie naszej nastąpiła, zniesione wojska Rzptej i na głowę porażone, hetmani mizernymi więźniami, servi nunc dominatores nobis.

Kiedy Chmielnicki obległ Lwów i posunął się aż pod Zamość, wtedy między zbuntowaną Rusią a zachwianą w posadach Rzptą stanął Kisiel. Posiadał on zaufanie stron obudwu, choć byli i tacy, co go nazywali lwem władzy głodnym, a Jeremi Wiśniowiecki pomawiał go o to, że wobec Wazów ubiega się o koronę polską. Kisiel stawiał jednak swój program zawsze otwarcie i szczerze. Radził on przebaczyć kozakom i to przebaczyć szczerze, bo nieprzyjaciel ten znajduje się we wnętrznościach Rzptej. Zwycięstwo zaś nad poddanymi ani uczciwe, ani korzystne, bo Rzpta, zniósłszy kozaków, będzie miała mniejsze siły przeciw Tatarom, a więc rozum każe w niepamięć puścić krzywdę, na którą niema sposobów. Ugłaskawszy pierwej domowych nieprzyjaciół, snadniej z postronnymi wojować, niż tępić własnych poddanych. W imię tych zasad Kisiel prowadził mądrą, rozjemczą swą działalność między Polską a Rusią. Jako jeden z komisarzów sejmowych po trzykroć udawał się do Chmielnickiego. Tłumy rozszalałego chłopstwa, nieuznające żadnej karności, witały Kisiela obelgami, wołając: „I ty, Kisielu, kość z kości naszych, odszczepiłeś się i przestajesz z Lachami.“ W r. 1651 prowadzi Kisiel razem z hetmanem Potockim układy w Białocerkwi, podczas których o mało co nie

postradał życia. Zawsze ożywiony duchem pojednawczym, ale nauczony przykrem doświadczeniem, radzi królowi myśleć o uzbrojeniu: niech plebs zobaczy, że fidem servamus i siły ad reprimendum gotowe.

Po klęsce pod Batohem, Kisiel, jako wojewoda kijowski na zamku w Kijowie przebywając, w grożącem niebezpieczeństwie przez kozaka ostrzeżony, nie czekając dnia, w nocy począł umykać. Przybył do Brześcia Litewskiego na sejm, który uchwalić miał nowe pobory dla dalszej walki z Chmielnickim i tam zakończył życie 3 Maja 1653 roku. Znękany wypadkami w r. 1651 wyrzekł Kisiel te pamiętne słowa: „O mnie nic! Straciłem zdrowie, a tom tu jest; umrę przy ojczyźnie, a nie przy Chmielnickim.“ Słowa powyższe będą dla Kisiela trwałym i pięknym pomnikiem. W końcu pracy księcia Lubomirskiego znajdujemy szczegóły, dotyczące grobowca Kisiela, a cała książeczka jest cennem przypomnieniem działalności męża, którego zasługi i poświęcenia niedocenione zostały za życia. „Umrę przy ojczyźnie, a nie przy Chmielnickim.“ Ojczyzna też winna wiekuistą pamięć zachować o mężu tak podniosłego charakteru, a autorowi należy się szczera podzięka, że nam o tym obowiązku przypomniał swą pracą, jak zawsze, rozumną i pożyteczną.

A. R.

MAURYCY STRASZEWSKI. *Filozofia Św. Augustyna na tle epoki.* Kraków. Spółka Wydawnicza Polska 1905. Str. 386.

Dzieło profesora D-ra Straszewskiego powstało z wykładów uniwersyteckich, jest ich rozszerzeniem i pojawia się, jako całość w formie wykładów. Postać Św. Augustyna i jego filozofia rysuje się nie tylko „na tle epoki,“ w której ten wielki myśliciel żył i działał, lecz także na tle głębszem i obszerniejszem; autor podaje bowiem na początku szkic rozwoju filozofii w Grecyi starożytnej i nowej pracy myśli w pierwszych wiekach chrześcijaństwa (wykład I—III), jak również: obraz stosunków politycznych i społecznych w świecie starożytnym od czasów Aleksandra W. aż pod koniec wieku IV po Chrystusie (wykład IV). Po tym historycznym wstępie zawiera wykład V żywot Augustyna i wiadomości o jego najważniejszych pismach; wykłady zaś VI—XI obejmują systematyczne przedstawienie jego filozofii, t. j. teoryę poznania, psychologię, naukę o Bogu i o stosunku Jego do świata, o stanowisku człowieka w całości stworzenia i wreszcie historyozofię Augustyna. W wykładzie XII znajduje się ogólny pogląd

na działalność filozoficzną Augustyna, jego wpływ na czasy późniejsze i znaczenie dla doby obecnej.

Oryginalnie pojmuje autor postać Juliana Apostaty. Jego nienawiść do chrześcijaństwa pochodzi — zdaniem prof. Straszewskiego — stąd, że Julian nie znał chrześcijaństwa czystego, prawdziwego, lecz poznał tylko jego zwyrodniałe rozgałęzienie, jakiem był aryanizm. Nic więc dziwnego, że pogoda olimpijska bóstw helleńskich temu wielbicielowi Grecyi więcej uśmiechać się musiała, aniżeli kary, któremi go w chłopięcych latach straszyły mnichy aryańskie. „Juliana Apostatę można zupełnie słusznie nazwać ofiarą aryanizmu“ (str. 98).

„A teraz porównajmy dziecinne lata Juliana Apostaty i Augustyna: Tamtego mnichy aryańskie straszyły piekłem, tu matka mówiła dziecku o Bogu, jako o Miłości najwyższej. Czyż w oświetleniu takiem nie staje się dla nas rozwój obu umysłów zrozumialszy?...“ (str. 130). Biblia formą swoją raziła Juliana, nie podobała się z początku także i Augustynowi. Pragnień duszy Augustyna nie zaspokoiły jednak ani piękność klasycznej poezyi, ani fantastyczne manichejskie kosmogonie, ani dyalektyka sceptycyzmu czy neoplatonizmu, ani życie hulaszcze. Dążył on do prawdy z całym zapałem bujnej, afrykańskiej natury i przebywał długie walki wewnętrzne, których dzieje kreśli nam z taką bezpośredniością i gorącością uczucia w swoich „Wyznaniach.“ Uznał wreszcie za pierwszą daną sobie rzeczywistość: duszę własną, a za najwyższą: Boga chrześcijańskiego, o którym słyszał już w dziecięcym wieku z ust matki. „Został chrześcijaninem, bo kim innym zostać nie mógł, szukając, podobnie jak to czyni myśl nowożytna, prawdy faktycznej, rzeczowej, a nie słownej“ (str. 329). Etapy rozwoju jego w tym kierunku można określić wpływem, jaki na Augustyna wywarły: „Hortensius“ Cicerona, pisma Akademików, dzieła Platona i Plotina, następnie wiadomość o nawróceniu się retora Wiktoryna na chrześcijaństwo, wreszcie żywot Św. Antoniego eremity i Listy Św. Pawła.

Rozwój duchowy Augustyna odzwierciedla w sobie te zmiany, które przechodziła umysłowość europejska w czasach starożytnych w ciągu przeszło dziesięciu wieków. Spostrzega to prof. Straszewski i trafnie przeprowadza w szczegółach. W wyższym jednak stopniu, aniżeli starożytni, odznacza się Augustyn skłonnością do myślenia ścisłego, badawczego i zwrotem do rzeczywistości. Te dążenia jego umysłu zbliżają go do kierunków naszej epoki. Harnack, profesor uniwersytetu berlińskiego, podnosi w swych wykładach znaczenie pism Ojców Kościoła dla obecnej chwili; po-

dobnie prof. Straszewski wykazuje, że Augustyn jest na schyłku starożytności pierwszym człowiekiem nowożytnym.

Umysłowość nowożytną wyróżniają, zdaniem prof. Straszewskiego, dwie cechy: dążność do badawczego przenikania rzeczywistości tak zewnętrznej, jak wewnętrznej i krytycyzm. Obydwie te cechy znajdują się w pismach Augustyna w stopniu wysokim i uwydatniają się w jego analizach psychologicznych. Jego spostrzeżenia wewnętrzne dokonywane są w sposób tak ścisły i metodyczny, jakby pochodziły od przyrodnika lub lekarza. Krytycyzm nie pozwolił mu pozostać trwale przy fantasmagoryach Manichejczyków, chociaż wyobraźnia lgnąć mogła do ich pomysłów. Od teoryj naukowych żądał Augustyn, aby tłómaczyły fakta. „Nie o zręczność w rozumowaniu, nie o wymowne wyłuszczenie tu chodzi, lecz o usuwanie i rozjaśnianie trudności, wynikających z rozpoznawania faktów“ (str. 138). W zasadniczem założeniu teoretyczno-poznawczem jest Św. Augustyn poprzednikiem Kartezyusza, a w kwestyi znaczenia wrażeń zmysłowych poglądy jego spotykają się z najnowszemi teoryami uczonych naszych czasów.

Psychologizm, zwrot na wewnątrz, wnikanie we własne stany, śledzenie najtajniejszych drgnień duszy — charakteryzuje niektóre kierunki najnowszej literatury i jest także charakterystyczną cechą „Wyznań“ Św. Augustyna. Z dokładnością i sumiennością obserwacyi, o której wyżej była mowa, łączy się w nich bystrość krytyki i głębokość psychologiczna. „*Confessiones*“ posiadają dlatego w rozwoju europejskich literatur znaczenie wprost epokowe. „Wieki średnie z materyału naukowego „Wyznań“ nie korzystały, nie były bowiem do tego dojrzałe, pełną dłonią zaczęła z niego czerpać dopiero myśl nowożytna“ (str. 123). „Wyznania“ są jednak nie tylko pierwszą książką nowożytną, są one nadto „pierwszą księgą, zawierającą *badania psychologiczne*, oparte nie na abstrakcyach, lecz na materyale faktów, czerpanych z rzeczywistego życia“ (str. 118). Profesor Straszewski nazywa nawet Augustyna „ojcem psychologii“ (str. 183), wyodrębnił on bowiem materyał faktów tej nauki i wskazał metodę badania, polegającą na umiejętnem stosowaniu doświadczenia wewnętrznego. Zdawał sobie jasno sprawę ze stosunku życia organicznego do życia duszy; wyróżniał dokładnie funkcyę organu cielesnego od samego czucia. „Co jest psychicznem, a co jest organicznem, rozumiał lepiej, aniżeli możnaby to wywnioskować ze stanu nauki ówczesnej“ (str. 188). Zgromadził wielki zasób faktów psychologicznych i rzucił na nie jasne światło swojej refleksyi. Wnikając w jedno konkretne życie wewnętrzne, myśl Augustyna zaczęła uwydatniać te

wszystkie wspólności, które tworzą naturę dusz ludzkich. Augustyn, „śledząc metodycznie rozwój duszy własnej, przedstawia go nieraz jako objaw pewnej prawidłowości, zarysowującej się w życiu duchowem ludzi w ogóle“ (str. 119). Wyróżnia on stopnie rozwoju życia duchowego i zajmuje się podziałem zjawisk duchowych. Zastanawia się nad znaczeniem wrażeń zmysłowych i nad stosunkiem czucia do ruchu; spostrzega trafnie szczegóły, odnoszące się do zewnętrznych objawów uczuć i dążeń: wyraz twarzy, skinienie oczu, ruchy innych członków, dźwięk głosu są „naturalnym językiem wszystkich ludów.“ W rozdziale o pamięci, która zajmuje u niego środkowe stanowisko w życiu duchowem człowieka, przeprowadza analizę psychologiczną w sposób mistrzowski. W związku z pamięcią przedstawia wyobraźnię i samowiedzę (memoria sui). Popędy mają, według Augustyna, źródło w dążeniu do samozachowania. Głęboka jest u Augustyna refleksya o wzrastaniu namiętności, które się zjawia w razie zaniedbywania się jednostki ludzkiej w pracy nad sobą. Najważniejszą rolę w psychologii gra dla Augustyna zagadnienie woli. Wolność — to nie jest niezależność od wszelkich przyczyn w ogóle. „Wolnym jest ten, kto w działaniu nie jest krępowany przyczynami od niego niezależnemi, kto przyczynę działania nosi w sobie samym (str. 206).

W zakresie *teoryi poznania* pismo *„Contra Academicos“* zawiera argumenty Augustyna przeciw sceptykom, wykazujące niewzruszoność podstaw poznania ludzkiego. W dyalogu *„De ordine“* zwraca Augustyn uwagę na dążność umysłu naszego do jedności; tam także wskazuje na funkcye rozumowe rozróżniania i łączenia (distinguendi et connectendi). Stwierdzenie, iż nad wszystkie wątpliwości wyższą jest dla istoty świadomej faktyczna oczywistość własnego istnienia, znajduje się w Augustyna „Rozmowach ze samym sobą“ czyli *„Soliloquia.“* W tym względzie przeprowadza prof. Straszewski parallelę między stanowiskiem Augustyna a Kartezyuszowskiem: „Cogito ergo sum.“ Chcąc szczegółowo to porównanie przedstawić, trzebaby podać tok myśli, odnoszących się do tej kwestyi u obu wspomnianych filozofów—co w sprawozdaniu zajęłoby zbyt wiele miejsca. Odsyłam więc do str. 172 i 176 pracy prof. Straszewskiego (str. 372 zawiera nadto analogiczny tekst z dzieła „De Trinitate“). Zwracam uwagę na to zestawienie, odznaczające się taką bystrością myśli i krytycyzmem i dodam, że, zdaniem prof. Straszewskiego, Św. Augustyn we wskazaniu na fakt pewności bezpośredniej naszego własnego istnienia i w rozumowaniach, na tym fakcie opartych, jest nie tylko poprzednikiem Kartezyusza, ale także głębszym od niego myślicielem. Na innem

miejscu wskazuje znowu prof. Straszewski, że w zrozumieniu znaczenia metody badawczej wyprzedza Augustyn Leonarda da Vinci. Odróżnianie, występujące u Augustyna, między wiedzą zmysłową, a wiedzą wyższą, opartą na rozumie, odpowiada pojęciom Platona i pozostaje od nich w zależności. Znamienia prawdy szukać należy, zdaniem Augustyna, nie zewnątrz w otoczeniu, lecz w zgodności umysłu z własnemi swojemi zasadami. W tem przeniesieniu podstaw pewności do podmiotu zbliża się pogląd Augustyna do stanowiska krytycznego Kanta. Augustyn, uznając podmiotowość tej „treści rozumowo-pojęciowej“ naszej wiedzy, dowodzi jednak, że ona mimo to może „wyprowadzić nas za granice wiedzy zmysłowej, doświadczalnej i otworzyć nam widoki na dziedzinę przedmiotowości wyższej, zakres zmysłowości przekraczającej“ (str. 167). W zapatrywaniu swem na wartość wiedzy zmysłowej, był Augustyn „podmiotowemu idealizmowi o wiele bliższym, niż wielu przypuszcza“ (str. 199). Prof. Straszewskiemu „zależało na zwróceniu uwagi na niezmierną augustyańskiej teoryi poznania doniosłość dla czasów dzisiejszych. Wyprzedza on na lat przeszło tysiąc te wszystkie kierunki nowożytnej filozofii, które w teoryi poznania obierają sobie stanowisko podmiotowe i krytyczne, nie popadając jednak w sceptycyzm.“ Z drugiej strony można uważać Augustyna za ojca tych wszystkich kierunków, którym nie wystarcza wiedza, oparta na zmysłowem doświadczeniu, ani też wiedza, posługująca się rozumowaniem dyalektycznem, lecz które „zmierzają do rozszerzenia naszego widnokręgu umysłowego przez doświadczenie wewnętrzne i przez wyzyskiwanie odpowiednie wszystkich najtajniejszych doznań duszy“ (str. 181).

Głębokością *metafizyczną* odznaczają się poglądy Augustyna na istotę Boga i stosunek Boga do stworzenia. I ta strona nauki Św. Augustyna występuje w dziele prof. Straszewskiego bardzo wydatnie; autor rozważa poglądy metafizyczne Augustyna w związku logicznym, który je między sobą łączy i zarazem przedstawia inne kierunki umysłowe, jak manicheizm i neoplatonizm, wobec których Augustyn afirmował stanowisko chrześcijańskie. Przy rozważaniu trudnych kwestyj metafizycznych, odnoszących się do jedności Bożego istnienia, rzuca wiele światła porównanie krytyczne poglądów Plotina, Augustyna i Spinozy na istotę Boga i wskazanie na punkt wyjścia i różnice stanowisk tych myślicieli. Różnice, jakie występują między zapatrywaniami Augustyna a dwóch wspomnianych filozofów, pochodzą nie tylko stąd, że Augustyn został chrześcijaninem, ale także stąd, że oparł się na bezpośredniej rzeczywistości, a nie na abstrakcyach. Dla niego czemś

najpierwotniej danem jest własne istnienie duchowe i osobiste. „Plotin rozpoczyna i opiera się na pojęciu Jedności pierwotnej, Spinoza zaczyna od określenia pojęć takich, jak przyczyna w sobie, substancya, Bóg — przeciwnie Augustyn rozpoczyna od faktów. Przedewszystkiem szuka jakiegoś najpierwotniejszego faktu, któryby oczywistością swoją uniemożliwiał sceptycyzm; otóż takim faktem jest dla niego przeświadczenie bezpośrednie o bycie duchowym, osobistym, czynnym.“ „Zamiast zaczynać od dogmatów metafizycznych, zacznijmy tylko filozofować na podstawie faktów bezpośrednio nam danych; uznajmy tylko, że nie jest prawdą, jakoby byt w sobie nie był dla nas zgoła dostępny, mamy go bowiem we własnej jaźni, jako coś osobistego i czynnego, a wówczas przedstawi nam się teizm, jako jedynie możliwa filozoficzna wiara“ (str. 224, 225). Rozbiór zagadnienia czasu u Augustyna (Confessiones XI, 14—28) jest psychologicznie głęboki i metafizycznie ważny ze względu na pojęcie stosunku Boga bez początku, do świata, początek posiadającego. Platońskim ideom odpowiadają u Augustyna myśli Boże; do ich urzeczywistnienia nie potrzebuje Bóg żadnego materyału: „Myśli Boże stają się rzeczywistością mocą woli Jego“ (str. 240). Stwarzając świat, Bóg „myślom tym moc działania nadaje (str. 247).

W rozdziale o *historyozofii* Św. Augustyna wykazuje autor, dlaczego w starożytności u Greków i Rzymian nie było jeszcze filozofii historyi, chociaż rozwinęła się w tak świetny sposób historyografia i tak znakomitych miała przedstawicieli. Początki myśli o szerokim widnokręgu dziejów zjawiły się u Proroków izraelskich; Św. Paweł zaś w swej mowie w Atenach na Areopagu dał tło i ramy do chrześcijańskiej filozofii dziejów. Na tej podstawie budował Augustyn i w swem sławnem dziele „*De civitate Dei*“ przedstawił myśli o znaczeniu historyi rodu ludzkiego. Wyjaśnienie, co tworzy właściwie treść dziejów i do czego one zmierzają— znajduje się w drugiej połowie dzieła; pierwsza część bowiem poświęcona jest krytyce i polemice przeciw poganom, którzy po zdobyciu Rzymu przez Gotów pod dowództwem Alaryka, chcieli na religię chrześcijańską zwalić winę tej klęski. W pozornym chaosie dziejowych wypadków umiał Augustyn spostrzedz myśl ogólną; uwydatnił harmonię na tle kontrastu. „Piękność wieków zasadza się nie na słów przeciwieństwie, lecz na wymowie wypadków i na prądów przeciwnych zwalczaniu się“ (str. 313). Prof. Straszewski odpowiada na pytanie, dlaczego Augustyn był pierwszym historyozofem; on dopiero wzniósł się na tak wysokie stanowisko, z którego ogólny pogląd na przebieg historyi był możliwy. W śla-

dy Augustyna wstępują późniejsi: Dante, Bossuet, a do pewnego stopnia także i Vico.

Kwestye teologiczne, odnoszące się np. do Opatrzności i utrzymywania świata, do początków złego i odpowiedzialności moralnej, pomijam w tem sprawozdaniu; stronę teologiczną pracy prof. Straszewskiego niech oceniają teologowie. Zapewne i dla nich trudną jest odpowiedź na zapytanie, czy nauka Augustyna o przeznaczeniu (praedestinatio), która później wywołała wiele nieporozumień, w drastycznej swej formie nie zawiera przesady.

Słuszny niewątpliwie jest podział autora, który neoplatonizmu nie zalicza do greckiej filozofii—jak to czyni Zeller—lecz do nowej epoki, rozpoczynającej się z chrześcijaństwem. Prof. Straszewski wykazuje wspólności i różnice, jakie zachodzą między neoplatonizmem a chrześcijańskim poglądem na świat; wypowiada również przekonanie, że neoplatonizm był wrogim dla chrześcijaństwa. Twierdzenie ostatnie jednak może nie jest trafne w całej swojej rozciągłości. Zapewne, że niektórzy filozofowie nowoplatońscy występowali do walki przeciw chrześcijaństwu; gdyby jednak zasady filozoficzne Plotina były tak z chrześcijaństwem niezgodne, jak to prof. Straszewski przedstawia, trudnoby było wytłómaczyć: 1) dlaczego myśl chrześcijańska wiele z neoplatonizmu korzystała i 2) dlaczego Augustyn, który „odrazu zdawał sobie sprawę z wszelkich dalszych wyników najlżejszego zboczenia od prawd zasadniczych chrześcijaństwa“ (str. 332), mimo tej swojej myśli: „i później wyrażał zapatrywanie, że żadna szkoła filozoficzna nie zbliżyła się tak do chrześcijaństwa—jak szkoła nowoplatońska“ (str. 145).

Mówiąc o zwrocie do świata wewnętrznego, wskazuje autor, że starożytni przeważnie zajmowali się zjawiskami zewnętrznemi; poznawanie zaś wewnętrznych stanów duchowych, zaczęte przez Sokratesa, w całej pełni urzeczywistniło dopiero chrześcijaństwo. Sokrates uznał poznanie samego siebie za warunek prawdziwej mądrości; na tej drodze postępował dalej Platon. Chrześcijaństwo jednak dopiero było zdolne do pochwycenia świata wewnętrznego w całem jego bogactwie. „W świetle prawd chrześcijańskich, zaczęła dusza ludzka odczuwać z jednej strony wielką godność swoją, a z drugiej całą wartość tak ujemną, jak dodatnią, życia doczesnego; zaczęła więc obliczać się sama ze sobą“ (str. 118). Warto jednak przypomnieć, że w Grecyi już Pitagorejczycy czuli potrzebę takiego zwrotu na zewnątrz i jako środki do uzyskania skupienia wewnętrznego znane im były: ćwiczenie się w milczeniu i rachunek sumienia.

Spostrzedz można w książce prof. Straszewskiego pewną niechęć do Arystotelesa. Zapewne, że Arystoteles nie był tak głębokim psychologiem, jak Św. Augustyn, nie każdy jednak zgodzi się na twierdzenie autora: „Psychologia Arystotelesa jest tylko zbiorem komunałów na powierzchni życia duchowego dostrzeżonych“ (str. 125).

Wydanie jest staranne; co do pisowni widoczna jest jednak tu i owdzie pewna niejednolitość. Jakiś złośliwy chochlik znowu, wywołał przestawienie wyrazów, którego wynikiem jest niejasność treści: „możemy wznieść się do bezpośredniego Boga w świadomości oglądania“ (str. 179), zamiast: „możemy wznieść się do bezpośredniego oglądania Boga w świadomości naszej.“

Tego rodzaju niedokładności, czy usterki, nie zmniejszają oczywiście wartości dzieła, w którem i teorye filozoficzne Augustyna występują w jasnym wykładzie i gdzie pełno jest pomysłów śmiałych i głębokich i rzutów oka na przeszłość i teraźniejszość. W pięknej pracy prof. Straszewskiego widocznem jest, iż jej autor wzniósł się na wysokie stanowisko myśli, które mu pozwala odkrywać wspólności w odległych nawet zakresach. Wystarczy zwrócić uwagę na ciekawe porównanie między pojęciem augustyańskiej predestynacyi a buddhyjskiem „*Karma*“ (str. 296) albo na zestawienie twierdzenia Augustyna, iż przyczyny nędzy ludzkiej tkwią w niewiedzy i w chuci, z analogiczną nauką, jaką w Indyach głosił Buddha (str. 283) — albo wreszcie na podkreślenie faktu, że w krytycyzmie Kanta i we filozofii XIX w. dochodzą do znaczenia najoryginalniejsze pomysły Augustyna, jak: „Idealność“ i podmiotowość kategoryj, tudzież ich apriorycznoś, dalej teorya pamięci, nauka o kojarzeniu się wyobrażeń, o podmiotowym charakterze jakości zmysłowych, o syntetycznej działalności w myśleniu i t. d.“ (str. 352).

Przy przedstawianiu poglądów filozoficznych Augustyna rozważa autor wiele kwestyj, które nie tylko dla Augustyna mają znaczenie, np. że przyznawanie zbyt wielkiej wartości wrażeniom zmysłowym przeszkadza do wzniesienia się na stanowisko prawdziwie krytyczne (str. 140). Obszerniej rozwija prof. Straszewski kwestyę znaczenia doświadczenia wewnętrznego—przeciw różnym poglądom bałamutnym na źródło wiedzy o zjawiskach duchowych (str. 190 i n.).

Ostatni rozdział (wykład XII) jest syntezą pracy. Zamyka w swych ramach ogólny obraz filozofii Augustyna, historyczny przebieg wpływu jego myśli w epokach następnych, a wreszcie przyczyny, dlaczego Augustyn posiada szczególne znaczenie dla

naszej epoki: krytycyzm, zwrot do psychologizmu i doniosłość zagadnienia religii. Interesujące jest zestawienie postaci Augustyna i Nietzschego. „Obaj żyli na wewnątrz, obu paliła ta sama namiętność, to jest pragnienie i miłość prawdy.“ „Jednostka duchowa była dla obu wartością jedyną, prawdziwą.“ Nietzsche jednak afirmował skrajny indywidualizm, nie liczący się z granicą, której nazwą: sprawiedliwość. „W dobie, w której myśl ludzka do takiego zerwała się szturmu, pożyteczną może będzie rzeczą przypomnieć światu innego tytana myśli, tego, który szturmując niebiosa, zdołał jednak przedewszystkiem siebie samego przezwyciężyć“ (str. 354).

Autor kończy pracę słowami R. Euckena, wyjętemi z jego „Lebensanschauungen der grossen Denker:“ „Jeżeli teraźniejszość pragnie podjąć na nowo zagadnienie religii i z najgłębszej pochwycić je strony, to w celu historycznego rozejrzenia się musi sięgać—do Augustyna, jako do punktu, w którym cały rozwój późniejszy znajduje się w tworzeniu“ (str. 355).

Książka prof. D-ra Straszewskiego odznacza się piękną formą i jest przeznaczona nie tylko dla uczonych badaczy (przytaczanie źródeł i uwagi krytyczne znajdą oni na końcu dzieła), ale także dla wszystkich umysłów wykształconych. Nie mniejszymi jej przymiotami są: gruntowność i oryginalność. Zdaniem prof. A. Miodońskiego (Przegląd Polski“ 1906, zeszyt XI, str. 331) „geneza — i znaczenie systemu augustyańskiego przedstawia się tutaj o wiele dokładniej i wszechstronniej, niż np. w pracy Hertlinga“ (Augustin, Mainz, 1902), wiadomo zaś, że Hertling jest cenionym specyalistą w zakresie filozofii Ojców Kościoła i wieków średnich. Zapał, z jakim prof. Straszewski pisał swoje dzieło, udziela się i czytelnikowi—i każe mu podziwiać Augustyna, którego tajemnica geniuszu może tkwi w tem, że „złożyły się na niego trzy czynniki, t. j. wielka, ale już upadająca, kultura klasyczna, dalej chrześcijaństwo, a wreszcie afrykańska rasa matki pierwotna, niewyczerpana jeszcze wcale przez cywilizacyę, gorąca, jak słońce tamtejsze, a pełna tajemnic, to groźnych, jak rozpalone pustynie piaszczyste, to cichych i słodkich, jak zielone wśród piasków oazy“ (str. 346).

Dr. Wojciech Gielecki.

Kronika miesięczna.

Z chwili obecnej. — Projekt samorządu miejskiego. — Instytut pedagogiczny im. Elizy Orzeszkowej. — Młodzież polska zagranicą i konieczność zorganizowania dla niej pomocy materyalnej.

Duma rosyjska należy do przeszłości, a tem samem i reprezentacya polska w Petersburgu więcej nie istnieje.

Fakt ten postawił nas wobec zagadnień wagi pierwszorzędnej. „Jutro“ nasze zapadło znów za tajemniczą zasłonę, której najbystrzejsze oko przebić nie zdoła, a którą uchylić mogą dopiero konsekwentnie rozwijające się wypadki historyczne.

Duma nowa ma się zebrać za 7 miesięcy, w marcu roku przyszłego. Okres to w czasach zamętu rewolucyjnego i anarchii powszechnej aż nadto długi, aby w ciągu niego rozegrać się mogły rzeczy najdalej idące.

Dwumiesięczny żywot „Dumy“ dowiódł wyraźnie, że pomiędzy rządem a narodem istnieje głęboka przepaść, głęboka różnica zapatrywań na konstytucyę i rolę reprezentacyi ludowej. Różnica ta zaznaczyła się od samego początku, od pamiętnej odpowiedzi na mowę tronową, od votum nieufności dla gabinetu aż do ostatniej odezwy do ludu, która spowodowała konflikt ostry i finał smutny.

Tymczasem wciąż trwają podmuchy tego wichru, który zrywa się na wielkich obszarach państwa, pogrążonego w mroku ciemnoty i spychanego w otchłań zupełnej ruiny ekonomicznej. Fala się podnosi i grzmi złowróżbnie. Hasła przewrotu znajdują posłuch w masach, a rząd zdezorganizowany i słaby nie będzie już miał wędzideł tak silnych, nie będzie już mógł budować tam tak mocnych, aby budzący się ruch utrzymać w jakiemś określonem łożysku i nie dopuścić do krwawej powodzi.

Dla nas — dla Polski, która siłą wypadków przeżywać musi z Rosyą ten kataklizm dziejowy — chwila obecna jest niezwykle ważna. Musimy wytężyć wszystkie siły w tym kierunku, aby zbliżająca się burza, o ile nie ominie naszego kraju zupełnie, wyrządziła mu szkody jaknajmniejsze.

Na arenie parlamentarnej reprezentacya nasza mogła iść ręka w rękę z reprezentacyą rosyjską tam, gdzie szło o ustalenie ogólnych zasad konstytucyjnych. I Koło Polskie istotnie dało dowody żywej sympatyi dla rosyjskiego ruchu wolnościowego, mimo, że sprawa polska traktowana była w Dumie ozięble i obojętnie. Ale z chwilą kiedy parlament przestał istnieć, kiedy reprezentacya rosyjska rzuciła rządowi swemu rękawicę przez wydanie znanej odezwy wyborskiej — sojusz przestał obowiązywać, bo warunki odrazu się zmieniły.

Naród rosyjski walczy w Rosyi i dla Rosyi i jakikolwiek będzie wynik tej walki — to, co jest rosyjskie, pozostanie rosyjskiem. Istotne i prawdziwe dobra narodu, tak moralne, jak i materyalne, nie będą narażone na żaden uszczerbek, nikt na nie ręki nie podniesie, nikt nie będzie usiłował wydzierać ich z pod stóp i z duszy narodu.

Inne zgoła jest nasze położenie. Zagrożeni ze wszystkich stron, oszańcowaliśmy się ostatnim wysiłkiem i na tych szańcach stoimy w imię najświętszych obowiązków względem ziemi ojczystej i w imię najszczytniejszych nadziei. Przez teraźniejszość idziemy do przyszłości, która organicznie musi być związana z naszą przeszłością. Nic nam nie wolno uronić, niczego zgubić, o niczem zapomnieć.

I dla tego w ruchu rewolucyjnym rosyjskim bez względu na to, czy doprowadzi on do wielkich zwycięstw, czy do wielkiej klęski — nie możemy się angażować, bo zyski nasze na tej drodze są bardzo niepewne.

Reformy polityczne i reformy społeczne, jakie w najlepszym razie osiągnie rewolucya rosyjska, nie są dla nas wszystkiem, nie mogą zaspokoić najgorętszych naszych żądań, które skupiają się w zasadniczem pragnieniu nieskrępowanego niczem, swobodnego rozwoju życia narodowego. Nasza tedy walka jest przedewszystkiem walką o te prawa narodowe, które nam odjęto.

Te prawa tymczasem dla rewolucyi rosyjskiej są rzeczą zupełnie podrzędną, jak podrzędną były dla Dumy, gdzie najliberalniejsza partya Konstytucyjnych Demokratów nie potrafiła zamaskować swojej obojętności na sprawę autonomii Polski, gdzie pa-

dały dźwięczne słowa i jaskrawe frazesy, ale gdzie nie było wyraźnej dobrej woli.

Zapewne — nie mieliśmy w Dumie nieprzyjaciół. Nie brzmiała tam nigdy nuta tej ślepej i nierozumnej nienawiści, tak długo podsycanej w narodzie rosyjskim przeciw nam przez dawnych i nowoczesnych Katkowów, ale — nie mieliśmy też przyjaciół szczerych, nie mieliśmy otwartych obrońców naszych praw słusznych, nie mieliśmy rzeczników naszej sprawy. Najlepszy to dowód, że ta sprawa nie zajmowała nikogo głębiej.

I nie mogło być inaczej, bo Duma rosyjska troszczyła się przedewszystkiem o Rosyę, o jej interesy, o interesy narodu rosyjskiego, nawet o interesy państwa rosyjskiego, którego potęga mocarstwowa przy tym lub innym ustroju nie może być bez znaczenia dla kochającego kraj Rosyanina. Interesów innych narodów Duma nawet nie rozumiała, bo gdyby zdawała sobie z nich sprawę nie postawiłaby kwestyi agrarnej tak, jak ją postawiła, nie parłaby do szablonowego załatwienia najważniejszej sprawy w jeden i ten sam sposób w całem państwie, mimo odmiennych warunków ekonomicznych, przyrodzonych i społecznych tam i tu.

Ale — powtarzamy — tam jeszcze, na arenie parlamentarnej możliwe było współdziałanie, możliwy był sojusz, możliwa wspólna walka z biurokracyą. W chwili obecnej jednak sytuacya przedstawia się inaczej.

Zrozumiało ją i oceniło trafnie Koło Polskie, wstrzymując się od podpisania odezwy wyborskiej i sądzimy, że reprezentacya nasza postąpiła tu w myśl głębokiego przekonania wszystkich, miłujących kraj, gdyż podpisanie tej odezwy pociągałoby za sobą poważne obowiązki na przyszłość. Byłoby ono wyrazem zupełnej solidarności z ruchem rosyjskim i oddaniem narodu polskiego pod pośrednią komendę przewódców tego ruchu.

Tymczasem naród polski w chwili tak ważnej dla siebie nie może być pod niczyją komendą. Dziś, kiedy zaczynają ważyć się jego losy w największej i najnieszczęśliwszej dotąd dzielnicy, kiedy decyduje się przyszłość 15 milionów Polaków, zamieszkałych w Królestwie i w kraju zabranym, kiedy życie tych milionów zaczyna tętnić krwią odnowioną — naród, jako taki, musi mieć ręce rozwiązane i musi sam stanowić o sobie, bo on sam wie najlepiej, czego mu potrzeba i w jakim kierunku pójść powinien.

On wie, że mu ani krwią szafować nie wolno, ani zatracać dóbr, zdobytych przez długowiekową kulturę, ani sprzeniewierzać się tej cywilizacyi, która od tysiąca lat budowała swój dom w Polsce Piastów i Jagiellonów nie po to, żeby ją pierwszy wicher,

idący od wschodu, zmiótł i zniszczył. On wie, że w sobie samym ma takie jeszcze zadatki życia i taką wolę do tego życia, że potrafi je sobie urządzić sam, zgodnie z wymaganiami czasu i postępu.

Naród polski bynajmniej nie żąda też od narodu rosyjskiego, aby ten reformował jego stosunki społeczne i ekonomiczne według modły, obmyślanej przez marzycieli i utopistów. Nie żąda od rewolucyi rosyjskiej uregulowania kwestyi agrarnej przez zniesienie własności prywatnej i dla tego z tą rewolucyą nie może iść ręka w rękę, ale musi zająć wobec niej stanowisko wyczekujące.

Zresztą — mamy już za sobą gorzkie doświadczenie.

Długotrwałe strajki, ruina naszego przemysłu, anarchia, panująca wśród warstw robotniczych, wreszcie rozwielmożniający się coraz bardziej bandytyzm i zdziczenie ludności — oto skutki solidarności proletaryatu polskiego z proletaryatem rosyjskim, oto owoce posłuszeństwa komendzie, która szła z Petersburga i z Moskwy.

Dziś już w Polsce dzieją się rzeczy, które napełniają smutkiem i grozą ludzi, patrzących w przyszłość.

Jesteśmy na brzegu przepaści, ale tę przepaść widzimy przynajmniej przed sobą i mamy jeszcze czas na to, aby na krawędzi jej stanąć i nie pójść dalej. Tymczasem rewolucya rosyjska, przy zupełnem solidaryzowaniu się z nią narodu, w odmiennych znajdującego się warunkach, byłaby dla nas lawiną, wtrącającą Polskę na długie lata w otchłań zupełnej anarchii, bo nie można się już dziś łudzić tem, że gruntowna przebudowa państwa rosyjskiego dokona się szybko. Trwać ona może całe lata i długo jeszcze proces rozkładowy porządku obecnego będzie wytwarzał atmosferę zamętu i bezładu we wszystkich dziedzinach życia.

A dla nas ten zamęt i bezład są w skutkach swoich daleko gorsze, niż dla Rosyi, która po pierwsze jest sama panią u siebie, po drugie ma życie daleko prostsze i daleko mniej złożone. To, co tam będzie tylko wstrząśnieniem, u nas może być zagładą. To, co tam będzie powiększeniem majątku narodowego, u nas może być jego utratą, a tracić nic nie możemy, bo mamy już i tak niewiele.

I dla tego naród polski, który był i jest sprzymierzeńcem ruchu wolnościowego w Rosyi, bo wierny swoim tradycyom pierwszy odzywa się na dźwięk haseł, o które bojował przez całe stulecie ubiegłe, wobec wypadków chwili staje na uboczu, gdyż obo-

wiązkiem jego jest siły swoje skupić i wytężyć ku obronie zagrożonych dóbr swoich i ku zdobywaniu praw, gwarantujących mu rozwój życia i twórczości własnej.

*

* *

Zgodnie z uchwałą Komitetu ministrów, zatwierdzoną w dniu 19 czerwca 1905 r. i zalecającą między innemi wprowadzenie samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem, obradowała w Warszawie specyalna komisya, powołana do opracowania zasad autonomii miast polskich. Rezultatem tych obrad jest memoryał, opracowany przez gruntownego znawcę naszych stosunków miejskich, mec. Ad. Suligowskiego i przedstawiony komisyi do zatwierdzenia i przesłania dokąd należy.

Memoryał ten daje całkowity obraz rocznej blizko działalności komisyi samorządnej, tudzież motywuje ważniejsze paragrafy projektowanej ustawy.

Ze względu na ważność tej sprawy dla całego kraju, pozwolimy sobie streścić na tem miejscu niektóre momenty obszernej pracy p. Suligowskiego.

Pierwszą kwestyą, jaka nastręczyła się przy układaniu projektu samorządu miejskiego, była sprawa ustalenia pojęcia gminy miejskiej, jako związku terytoryalnego. Gdy wytworzyła się już u nas bezstanowa gmina wiejska, konieczną jest rzeczą stworzyć obok niej terytoryalną gminę miejską. Jakoż w projekcie ustawy dla miast Królestwa Polskiego ustalono pojęcie gminy ze stanowiska terytoryum i zamieszkującej je ludności. Jednocześnie wypadło też określić kompetencyę tej gminy, t. j. oznaczyć zadania, jakie wybrani z pomiędzy mieszkańców miasta obywatele sami, bez udziału władz rządowych, w sferze spraw miejscowych realizować powinni. Nie poprzestano tu na tem, co przewidują ustawy miast rosyjskich, ale obok opieki nad porządkiem zewnętrznym miast, obok troski o opatrzenie biednych i o dostarczenie im pomocy lekarskiej, zaprojektowano obarczenie samorządu miejskiego staraniami o oświatę warstw niższych, powierzając nadto temuż samorządowi czuwanie nad moralnością publiczną, pośrednictwo w wyszukiwaniu pracy, pośrednictwo w kierunku godzenia w razie zatargów pracobiorców z pracownikami, zakładanie lom-

bardów i kas oszczędnościowych, współdziałanie w kierunku dostarczenia tanich mieszkań ubogiej ludności, wreszcie urządzenie policyi miejskiej, sanitarnej, budowlanej i targowej.

Brak oświaty elementarnej — mówi p. Suligowski dalej — równa się kalectwu. Obywatel, nie umiejący czytać ani pisać, nie potrafi ocenić zdania innych, a tembardziej prowadzić rządów miejskich i dla tego obywatele nie umiejący czytać nie powinni być dopuszczeni do wyborów.

Ograniczenie to, które zapewne spotka się z zarzutami wstecznictwa ze strony zwolenników „powszechności, równości, tajności i bezpośredniości“ wszelkich wyborów, wydaje nam się jednak całkowicie słuszne, a nawet pożyteczne, jako zachęta do nauki dla tych, którzy czytać nie umieją, a pragną brać udział czynny w życiu miejskiem, czy to przez wybory, czy też przez sprawowanie urzędów z wyboru.

Uważając przecież to odsunięcie analfabetów od głosowania za pewnego rodzaju ich upośledzenie, memoryał proponuje, aby celem wynagrodzenia niejako warstwom nieczytelnym tej ujmy w prawach obywatelskich, miasto zajęło się zakładaniem szkół elementarnych i wogóle zakładów naukowych niższych. Zarząd miejski — w myśl projektu — powinien się wogóle opiekować warstwą ludności biedniejszej, zaspakajać jej potrzeby, dążyć do podniesienia jej sił fizycznych, moralnych i materyalnych, zapewnić jej pomoc lekarską, czuwać nad polepszeniem warunków miejscowych pod względem sanitarnym, wreszcie zakładać biblioteki, czytelnie, warsztaty wzorowe i t. d.

Celem przeprowadzenia wyborów wyborcy podzieleni zostają na dwa koła, z których każde wybierze połowę radców miejskich. Pierwsze koło obejmuje obywateli, posiadających tytuł własności, utrzymujących w mieście przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, honorowych obywateli miasta, duchownych wyznań chrześcijańskich, obywateli, posiadających stopnie naukowe i prawników. W ten sposób inteligencya miasta będzie miała zapewnioną reprezentacyę w radzie.

Do drugiego koła należą, wedle projektu, wszyscy, nie włączeni do koła pierwszego, a liczący 25 lat wieku i umiejący czytać i pisać.

Podział ten, który właściwie mówiąc nie wytrzymuje krytyki, utworzony został jedynie ze względów praktycznych, gdyż przy tym tylko podziale jest rękojmia, że przynajmniej połowa członków rady miejskiej będzie się składała z ludzi oświeconych

i przygotowanych do podjęcia trudnych, związanych z zarządem miasta, zadań.

Inaczej — przy głosowaniu wspólnem, dziś zwłaszcza, wobec łatwości, z jaką znajdują posłuch wszelkie hasła demagogiczne, zarząd miasta mógłby się dostać w ręce ludzi, niewątpliwie także dobrą ożywionych wolą, ale zbyt łatwo dających się prowadzić na pasku, bo nie zdolnych do oryentowania się w zawiłych nieraz sprawach, które wymagają trzeźwej krytyki ekonomicznej i prawnej. Zbyt odległa od nas jest już epoka samorządu z przed roku 1830, aby jakiekolwiek ślady jej mogły przetrwać w ludności. Wszyscy — od góry do dołu — nie jesteśmy należycie przygotowani do prowadzenia spraw miejskich i trzeba życia przynajmniej jednego pokolenia, aby przygotowanie to objęło wszystkich mieszkańców miasta.

Najważniejszą część projektu stanowi określenie stosunku samorządu miejskiego do istniejących w kraju, lub mogących funkcyonować w przyszłości, państwowych władz administracyjnych.

Sprawa ta jest zawiła ze względu na to, że chodzi tu o wykonywanie kontroli zwierzchniczej nad samorządem miejskim.

System ustaw rosyjskich, poddających najkompletniej samorząd miejski władzy gubernatora i funkcyonującego przy nim urzędu do spraw miejskich, był źródłem poważnych zawikłań w Rosyi, gdyż pozbawiał on samorząd koniecznej do prawidłowego działania samodzielności, a nie zabezpieczał go od błędów i pomyłek; sprowadzał samowolę i szykany tam, gdzie się tego najmniej należało spodziewać, a nie zapewniał istotnej kontroli tam, gdzie potrzeba jej była umotywowaną.

System ten naturalnie odrzucono, załatwiając sprawę w ten sposób:

Tworzą się w Warszawie oparte na siłach krajowych z wyboru dwa naczelne organy samorządne: rada samorządna krajowa i zarząd samorządny krajowy. Pierwsza ma charakter organu, dającego ogólną dyrektywę, drugi—sprawuje kontrolę zwierzchniczą nad samorządami miejskim i ziemskim i w pewnych wypadkach skupia w sobie działalność obu. Wszystkie kwestye i spory w zakresie spraw samorządnych załatwiane być mają ostatecznie w tych dwóch organach naczelnych.

Obok tego zaproponowane zostało zorganizowanie w Warszawie komitetu do spraw spornych miejscowych. Komitet ten ma być złożony w połowie z osób mianowanych przez koronę, w połowie z przedstawicieli społeczeństwa. Będzie on rozpatrywał ostatecznie wszelkie spory jurysdykcyjne, jakie mogą powsta-

wać pomiędzy administracyą państwową z jednej strony a administracyą samorządną — z drugiej.

Takie organy naczelne mogą zapewnić krajowi własną kontrolę nad samorządem, nawet w wypadku, gdyby na inne, pomyślniejsze postawienie sprawy należało czekać jeszcze dłużej.

Memoryał p. Suligowskiego kończy się słowami: „Komisya uświadamiała sobie całą trudność podjętego zadania, polegającego na wprowadzeniu instytucyj samorządnych do rządzonego centralistycznie i biurokratycznie Królestwa Polskiego.“

To trudne zadanie, jak widzieliśmy, zostało jednak rozwiązane o tyle pomyślnie, że projekt ustawy dla samorządu miast w Królestwie Polskiem ma ramy dość szerokie i uwzględniając bacznie warunki obecne, jednocześnie z łatwością może być zastosowany do przyszłej autonomii.

P. Suligowskiemu, który niemało sił swoich i wiedzy włożył w prace komisyi, obradującej od października 1905 roku do 18 lipca 1906 r. (dzień przedstawienia memoryału) i który w tej komisyi, stojąc zawsze na gruncie interesów kraju, społeczeństwa i miasta, musiał stoczyć nie jedną walkę z wyrazicielami poglądów z interesami tymi sprzecznych, którego wreszcie dziełem jest obszerny, a tu w grubych zaledwie zarysach naszkicowany memoryał — należy się całkowite uznanie i wdzięczność za spełnienie tej misyi obywatelskiej, podjętej w tak ważnej chwili, kiedy przed miastem otwiera się nowa epoka i kiedy po dniach ciężkich doświadczeń z upragnieniem oczekuje ono na moment wyzwolenia z ciężkich oków biurokratycznego zarządu, pełne sił i ochoty do życia samodzielnego, do rozwoju i postępu, do uwzględniania potrzeb i dobra swoich mieszkańców.

*

* *

Sprawa uczczenia zasług pisarskich i obywatelskich Elizy Orzeszkowej weszła na tory realne.

Komitet jubileuszowy, zgodnie z życzeniem, niejednokrotnie wyrażonem przez przedstawicieli różnych sfer społeczeństwa na zebraniach przedwstępnych, postanowił stworzyć w Warszawie instytut pedagogiczny im. Orzeszkowej.

Myśl ta przyjęta została przez wszystkich z należnem jej uznaniem, w ten sposób bowiem jednocześnie zapełniona zostanie bardzo poważna luka w organizacyi naszej pracy oświatowej.

Szkoła polska jest przed nami. Częściowo nawet już ją osiągamy w postaci prywatnych zakładów naukowych z językiem wykładowym polskim. Niestety jednak dla tej szkoły nie mamy jeszcze dostatecznego zastępu odpowiednio przygotowanych nauczycieli.

Dotychczasowe opłakane warunki naszego szkolnictwa sprawiły, że zawodowi pedagogicznemu poświęcały się przeważnie jednostki, które wchodziły na tę drogę przez prosty przypadek, przez splot warunków, zmuszających je naprzód do guwernerki po domach prywatnych, potem do zajmowania posad w szkołach dla ustalenia bytu. Nauczycieli-Polaków z idei, z powołania, takich, którzy poświęcali się na to, ażeby stać na wyłomie i bronić szańców wypieranej zewsząd polskości, mieliśmy niewielu, a chociaż mieliśmy — to i ci nie zawsze byli należycie przygotowani do pełnienia swoich trudnych obowiązków. Zapał i dobra wola zastępowały im wykształcenie fachowe.

Kraj nasz nie posiadał ani dotąd nie posiada instytutu pedagogicznego nawet o takim programie, jak galicyjskie seminarya nauczycielskie. Nauczyciel ludowy kształcił się u nas w szkole, która uprawiała przedewszystkiem politykę i pilnowała „błagonadiożnosti“ przyszłych kandydatów na pedagogów i przewodników dziatwy polskiej. Poziom naukowy tych szkół znany jest powszechnie, więc go tu dotykać nawet nie będziemy.

Nauczyciel szkół średnich, Polak, kształcił się w gimnazyum rosyjskiem, a potem w uniwersytecie rosyjskim, który nie posiadał wcale katedry pedagogii, bo miał na widoku wychowanie urzędników nie pedagogów.

Nauczycielka pensyj żeńskich miała jeszcze gorsze warunki. Całem jej przygotowaniem było ukończenie 6-iu klas i złożenie następnie egzaminu rządowego w gimnazyum na t. zw. „patent nauczycielski.“ Na takiż sam patent składali w okręgu naukowym egzamina mężczyźni, którzy nie mieli ani ukończonego gimnazyum, ani ukończonego uniwersytetu. Poprostu więc może być rzeczą zadziwiającą, że pomimo takich warunków, nasz świat pedagogiczny liczy wśród siebie pracowników, mogących sprostać zadaniu. To już ich własna zasługa, ich bohaterstwo w przebijaniu się przez mroki do światła.

Ale — tak dalej być nie może. Doszliśmy do chwili przełomowej i jesteśmy w przededniu własnej oświaty narodowej, któ-

rej ster w naszych spocznie rękach. Spada też na nas już dziś odpowiedzialność wobec przyszłych pokoleń za to, co postanowimy, co przedsięweźmiemy, jak pokierujemy nawą, która skołatana długotrwałą burzą, powinna iść teraz prosto i równo do jasnego brzegu.

I zdaje się, że społeczeństwo całe rozumie doniosłość chwili i rozumie tę odpowiedzialność, jaka ciąży na niem, bo oto zajęto się troskliwie stworzeniem na odpowiedniej postawionego stopie seminaryum dla nauczycieli ludowych, *seminaryum*, z którego wyjdą naprawdę *siewcy*, rzucający dobre ziarno.

Jednocześnie zaś i komitet jubileuszowy postanawia uczcić Orzeszkową ufundowaniem instytutu pedagogicznego, któryby zapewnił krajowi zastępy zdolnych nauczycieli.

Znakomita poetka, Marya Konopnicka, która gorąco tę myśl popiera, tak o niej mówi w pięknej odezwie swojej do społeczeństwa:

„Mamy ją (Orzeszkową) uczcić umocnieniem podwalin życia, umocnieniem skrzydeł nadziei. Mamy ją uczcić zażegnięciem u serc naszych tego „kagańca oświaty," który „żywi" przed narodem poniosą. Mamy otworzyć bijący zdrój ducha, zdrój, którego wody przeniknią wszystkie warstwy życia i nawzajem siłą ich przeniknione będą. Mamy ją uczcić położeniem kamienia węgielnego pod gmach, pod twierdzę słoneczną, z której rozchodzić się będzie na kraj cały armia światła. Mamy złączyć z jej jasnem imieniem powstanie i byt rozsadnika oświaty narodowej, ufundowanie tego, co dla nas samych niezbędne, nieodzowne, pod groźbą zmarnienia przyszłych wysiłków — konieczne. A mamy uczynić to wszyscy, bez ograniczeń, bez wyłączeń, w powszechnem czuciu konieczności takiej. Zaprawdę, przedsięwzięcie, godne wielkiej pracownicy jutra, której ducha znojem krzepiliśmy się lat tyle; godne dziejowego momentu, z którym jest organicznie złączone i z którego wywołał je potężny, nie dający się już stłumić krzyk życia. Zbudziło się życie. W zmierzchach ubiegającej nocy drogi sobie szuka. Światła dla życia i światła dla dróg jego..."

..."O wy wszyscy, którzy się błąkacie w grubym pomroku i w ucisku czasów, o wy, którzy krzywdzicie i w życiu krzywdzeni jesteście, w tragicznych, na oślep życiu zadawanych razach; wy, którzyście widzieli dzieci wasze, grzęznące w zaćmieniu i serc i umysłów; wy, którzy czujecie śmiertelny ciężar waszej nieudolności przy rozdmuchywaniu drobnych iskier ducha w wyjałowionem popielisku życia; o wy wszyscy, którzy łaknie-

cie dnia, do brzasków przyszłości wyciągacie ręce, oto wchodzę w progi wasze, potrząsam skarboną: *Na światło!*

„Na światło dla świątyni narodowej myśli! Na światło dla kościoła przyszłości narodu!

„Odprawiono w tym kościele długą „czarną jutrznię," straszne, beznadziejne „officium tenebrarum." Pogaszono w kolei czasu wszystkie płomyki na trójkącie męki przed ołtarzem Świętego Ducha narodu. Samą nawet paschalną świecę, znak zmartwychpowstania, zdmuchnięto. Zaćmiły się jasne witraże, z których nam wykwitała stara chwała nasza, z których promieniały ku nam i nadzieje nasze. Zaćmiły się Orły i Pogonie. Archanioł, na mieczu sparty, upiorem zda się w tym zmierzchu i straszącą marą. Białe hostye braterstwa zdeptane. Zgłuszony organ, który grzmiał na rezurekcyę ludom, oniemiał dzwon, obwołujący dzień sądu, dzień sprawiedliwości dziejowej. Zmierzch zapadł na srebrne *vota* męczenników ducha; na posągi wieszczów i proroków ludu. Ciemność, spustoszenie dokoła. I tylko tam, gdzie święte świętych—czucie życia—zatajone mieszka, tam tylko płonie drgający krwawo kaganek — serce narodu. Na ten kaganek wprost idę. On jeden rozświetla mi drogę. Idę i wstrząsam skarboną: „Na światło!"...

„Na światło!"

To płomienne wezwanie poetki powinno przebiedz głośnem echem całą ziemię polską i trafić do serc i umysłów milionów, tylko bowiem świadoma wola ogółu może to wielkie dzieło dźwignąć i byt jego utrwalić.

Nie łudźmy się bowiem. Przedsięwzięcie jest bardzo poważne i bardzo kosztowne. *Instytut pedagogiczny*, jeżeli ma odpowiedzieć swoim zadaniom, to znaczy, jeżeli ma być ogniskiem wiedzy pedagogicznej i stróżem jej postępu, musi być postawiony odrazu na poziomie wysokim, musi być uposażony szczodrze we wszystko, co jest dla nauki potrzebne, co ma jakikolwiek związek z dziedziną pedagogii. A na to trzeba znacznych funduszów.

I jeszcze jedno. Dla nauczycieli potrzeba także nauczycieli, a tych prawie już zupełnie nie mamy, przyszły więc instytut musi w początkach swojej działalności posiadać odpowiednie środki i na kształcenie profesorów dla siebie, dla swoich uczniów. Już dziś należałoby kandydatów na przyszłych profesorów wysłać za granicę i dać im możność przeprowadzenia studyów naukowych w innych krajach, zaznajomienia się na miejscu z metodami nauki, z najnowszemi zdobyczami pedagogiki współczesnej. Odgrodzeni od świata murem cenzury, zakazów policyjnych, pasportów

i wszelkiego rodzaju utrudnień, a przytem ubodzy pedagogowie nasi w przeważnej ilości daleko zostali w tyle za Europą, ale że nie brak wśród nich ludzi wybitnych i zdolnych, więc przy pomocy ze strony społeczeństwa, łatwo mogą oni przygotować się do roli, która ich czeka. Ale niema czasu do stracenia. Trzeba działać szybko i działać łącznie, trzeba, ażeby wszyscy stanęli do apelu i nie kierując się sympatyami lub antypatyami partyjnemi — bo instytucya będzie stała poza obrębem wszelkich doktryn i wszelkiej polityki, gdyż inaczej nie byłaby tem, co inicyatorowie widzieć w niej pragną — śpieszyli z pomocą materyalną i moralną przedsięwzięciu, które, o ile zostanie szczęśliwie doprowadzone do końca — będzie chlubnym pomnikiem obywatelskich i narodowych uczuć, ożywiających pokolenie współczesne.

*

* *

Po zamknięciu uniwersytetu warszawskiego część młodzieży naszej rozpierzchła się po kraju, aby wziąć czynny udział w życiu, część zaprzęgła się do twardej pracy na chleb po rozmaitych biurach i kantorach, część wreszcie wyjechała za granicę, aby tam kontynuować przerwane studya. W Krakowie, we Lwowie, w Niemczech, w Szwajcaryi, a nawet i we Francyi potworzyły się nowe, dość liczne kolonie studentów polskich, ożywionych jaknajwiększym zapałem dla nauki, ale nie posiadających odpowiednich środków na kształcenie się zagranicą.

Położenie materyalne młodzieży naszej znane jest ogólnie. Tu, w kraju, większość walczy z nędzą i przebija się przez uniwersytet z trudem przy pomocy korepetycyj lub innych zajęć pobocznych. Te wszystkie zajęcia zagranicą nie istnieją jednak, a zwłaszcza nie istnieją dla obcych, dla cudzoziemców, nie posiadających ani języka w stopniu dostatecznym, ani nie obeznanych z odmiennemi formami życia na zachodzie. A przytem utrzymanie kosztuje zagranicą drożej. Kto więc nie posiada rodziców zamożnych i nie może liczyć na stały, określony zasiłek z domu, ten po wyczerpaniu się pierwszych funduszów narażony jest na bardzo przykre przejścia.

I tak właśnie stało się z naszymi emigrantami doby najświeższej. Dowiadujemy się o tem z odezwy zarządu zjednocze-

nia towarzystw młodzieży polskiej zagranicą, która to odezwa, nadesłana dziennikom warszawskim, w bardzo smutnych kolorach maluje położenie ogromnej większości studentów polskich w Niemczech, Szwajcaryi, Francyi, a nawet w Galicyi, gdzie są oni wśród swoich.

Wyjeżdżano z kraju z niewielkiemi środkami, licząc bądź na to, że stosunki jakoś się na miejscu ułożą i że przy silnej woli i wytrwałości wszystko zwyciężyć można, bądź na istniejące przy Muzeum Rapperswylskiem stypendya imienia ś. p. Krystyna Ostrowskiego. Ale podań o te stypendya już w ubiegłym roku szkolnym była taka obfitość, że zaledwie $^1/_3$ część ich mogła być uwzględniona w granicach funduszów rozporządzalnych. Nadto wskutek braku środków wysokość stypendyum pojedyńczego waha się między 25 a 40 frankami miesięcznie, co nie pozwala umrzeć z głodu, ale też żadną miarą nie może wystarczyć na życie i na opłacenie kosztów nauki.

Widząc ten stan opłakany swoich współkolegów, zarząd zjednoczenia postanowił zwrócić się do społeczeństwa z wezwaniem o pomoc.

„Krzywda społeczna — mówi odezwa — krzywda, wynikająca z tego złamania życia wielu, prawdopodobnie bardzo pożytecznych w przyszłości pracowników, powinna zwrócić na siebie uwagę ogółu...

„Na zażegnanie *najpilniejszych* potrzeb w nadchodzącym roku szkolnym potrzeba jeszcze 27,000 franków, a tych w kasie stypendyalnej niema...

„Wyrażamy więc nadzieję, że na to rozpaczliwe wołanie o pomoc odezwie się całe społeczeństwo polskie.“

Istotnie sprawa jest ważna i pilna. Wyjątkowe położenie kraju, którego obie szkoły wyższe—i uniwersytet i politechnika— nie funkcyonują, którego młodzież musi wskutek tego albo całkowicie zaniechać studyów, albo przerwać je na czas nie dający się jeszcze w tej chwili określić, albo wreszcie—co jest jedynem wyjściem w tej chwili z sytuacyi — wyjechać zagranicę dla ukończenia nauki — położenie to każe nam poważnie zastanowić się nad zorganizowaniem pomocy materyalnej dla studentów-wychodźców.

Konieczne jest zebranie na ten cel jakiegoś większego funduszu, który do czasu spolszczenia uniwersytetu i politechniki byłby źródłem zasiłków dla najbardziej potrzebujących.

Ale może zasiłkom tym nie należałoby nadawać ani formy stypendyów, ani formy zapomóg bezzwrotnych, ale jedynie formę

pożyczek długoterminowych, bezprocentowych, spłacanych ratami po ukończeniu nauk i po zdobyciu stanowiska.

Za normę takiej pożyczki przyjąćby należało 480 rubli rocznie, czyli 40 rb. miesięcznie, co mniej więcej daje już wszędzie możność skromnego życia. Gdyby więc ktoś przebywał za granicą całe nawet jeszcze cztery lata (przeciętny okres studyów) to zaciągnie ogółem pożyczkę w kwocie 1920—2000 rubli. Taką pożyczkę stopniowo, po upływie lat 5-iu lub 6-iu każdy będzie mógł spłacać, rozkładając swój dług na raty tej samej wysokości, co zasiłek, pobierany w czasie studyów.

Młodzież prawdopodobnie najchętniej przyjęłaby taką formę pomocy społecznej, tembardziej, że dziś korzysta ona w niejednym wypadku z pożyczek prywatnych, zaciąganych bądź u znajomych, bądź u zamożniejszych członków rodziny. Uspołecznienie zaś tego rodzaju pomocy szkolnej miałoby jeszcze tę dobrą stronę, że każdy śmielej zwracałby się do instutucyi publicznej w poczuciu, że nie prosi ani o łaskę, ani o jałmużnę, ale bierze na własne barki ciężar zobowiązania, którego dotrzyma, ufny w swoje siły i zdolności. Naturalnie — i tu możliwe są straty spowodowane przez śmierć przedwczesną, chorobę nieuleczalną lub życiowe wykolejenie się „dłużnika," ale nie może to być uważane za przeszkodę do urzeczywistnienia tej myśli, która oddawna już tuła się w naszem społeczeństwie, a która teraz, wobec wyjątkowej sytuacyi, powinnaby znaleźć wykonawców w osobie ludzi możnych i ofiarnych.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Zjazd Rejowski. Zapowiadany kilkakrotnie i kilkakrotnie odkładany zjazd Rejowski przyszedł wreszcie do skutku i odbył się w Krakowie w dniach 1—3 lipca b. r. Uroczystość rozpoczęła się odśpiewaniem przez chór akademicki pieśni z XVI wieku: *Gaude Mater Polonia*, poczem zabrał głos prezes Akademii Umiejętności *Stanisław hr. Tarnowski*. Zaznaczył, że po obchodach, poświęconych pamięci Długosza i Kochanowskiego, przyszła kolej na obchód poświęcony pamięci Mikołaja Reja. Jest to pisarz XVI w., w którym najwięcej się odbija umysłowość szlachcica polskiego tegoż wieku. To jest jego cecha, wartość i wdzięk. On pisał językiem polskim pierwotnym, przyrodzonym. On jest jednym z naszych największych pisarzy, co do samorodności i oryginalności. Rozpatrując dzieła Mikołaja Reja, wyjawił mówca jego zapatrywania społeczne, polityczne i religijne, wskazał na jego miłość ojczyzny, przejawiającą się we wszystkiem, co pisał, kładąc wszędzie piętno polskie, piętno własnej indywidualności. Jego „Zwierciadło“ jest naprawdę zwierciadłem, odbijającem Polskę XVI w. Na zakończenie wyraził hr. Tarnowski podziękowanie rodzinie hr. Rejów za dar i fundacyę, utworzoną z okazyi jubileuszu i zjazdu Rejowskiego. Następnie zabrał głos prof. *Józef Kallenbach* ze Lwowa. Mówił o literaturze jubileuszowej Mikołaja Reya, bardzo obfitej a na stołach auli rozłożonej. Mówca podniósł pracę prof. Czubka i Łosia około wydania z filologiczną ścisłością: „Żywota człowieka poczciwego“ i „Figlików“ przez p. Wittyga. Dalej podnosił mówca prace Ign. Chrzanowskiego, dr. Sinki, monografię Al. Brücknera, Bronisława Chlebowskiego. Wymienił wreszcie mówca trzy zbiorowe księgi na jubileusz Reja wydane we Lwowie, Warszawie i Krakowie.

Na posiedzeniu popołudniowem, tegoż dnia odbytem, wybrano prezydyum zjazdu: Prezesami honorowymi zjazdu wybrani zostali *Antoni Małecki* ze Lwowa

i prof. *Władysław Nehring* z Wrocławia. Prezesem rzeczywistym *Tadeusz Korzon* z Warszawy. Wiceprezesami: prof. *Józef Kallenbach* i prof. *Jan Baudouin de Courtenay*. Sekretarzem generalnym prof. *Wiktor Czermak*. Sekretarzami: dr. *Bronisław Gubrynowicz* i *Witold Nowodworski*. Po ukonstytuowaniu prezydyum, pierwszy zabrał głos prof. *Finkel* i odczytał odczyt p. t.: „Stan naszej wiedzy o polityce ostatnich Jagiellonów.“ Mówca opowiedział w szerokich zarysach sposób załatwiania spraw politycznych państwa polskiego za ostatnich Jagiellonów. Podał zarysy tej polityki odnośnie do Polski, Czech i Węgier w interesie dynastycznym i odnośnie do państw sąsiednich. Zestawiając dezyderata naukowe w tym kierunku, wskazał na konieczność: 1) Zbadania stosunków państw Jagiellońskich w epoce 1492 — 1526. 2) Wyzyskanie archiwów wiedeńskiego i królewieckiego z epoki 1533 — 1548. 3) Dla dziejów Zygmunta Augusta odszukanie lub zestawienie aktów podkanclerskich. 4) Zbadanie dokładne walki o Bałtyk. 5) Zestawienie rozwoju sejmowania polskiego od 1505—1548, powstanie i ostateczne wykończenie programu t. zw. egzekucyi.

Tegoż dnia zawiązaną została, w celu ustalenia pisowni polskiej, sekcya ortograficzna zjazdu. Przewodniczącym sekcyi obrany został prof. Baudouin de Courtenay, zastępcą Adam Kryński, sekretarzem Ignacy Stein.

W dn. 2 lipca na drugiem z kolei posiedzeniu zjazdu doc. Uniw. Jagiel. dr. *Tadeusz Grabowski* odczytał referat p. t.: „Najważniejsze dezyderaty w sprawie badań nad piśmiennictwem religijnem w Polsce XVI w.“ Referent przedstawił dzieje innowierstwa polskiego. Znajomość tego całego ruchu dotąd jest niedostateczna, dla tego referent stawiał następujące postulaty: 1) Przeprowadzić publikacye obozów inowierczych, a nie, jak było dotąd, żeśmy uwzględniali tylko królewieckie. 2) Ogłaszać akty i protokóły inowierczych synodów. 3) Brak monograficznych opracowań Glicznera, Wolana, Czechowicza, Frycza, Hozyusza i in.

Na następnem posiedzeniu (III-ciem z kolei) odbytem tegoż dnia, prof. *Bruchnalski* ze Lwowa odczytał dwa świetne referaty. W pierwszym referent stawia sobie pytanie: skąd płynęła u Reja chęć służenia własnemu społeczeństwu? Podstawą jej była „etyka streszczająca się w stałe i niezachwianie przestrzeganej bezinteresowności.“ Cel ten przyświecał Rejowi w całej jego twórczości. Służyć zaś Rej chce swemu społeczeństwu przez danie mu wzoru, parenezy, jak ma postępować. Dla lepszego oświetlenia przedmiotu referent przedstawia historyczny rozwój parenezy od czasów starożytnych przez cały ciąg średniowiecza i renesansu; przystępuje wreszcie do Reja, analizuje jego twórczość i wykazuje, jak u niego parenezа się pojawia, rozwija, największy wreszcie wyraz znajduje w „Zwierciadle,“ o którem powiada dr. Bruchnalski, że jest zbiorem traktatów i rozpraw według rozwoju parenetyki starożytnej, średniowiecznej i renesansowej, które, złączone w całość organiczną, dają utwór w moralistyce pod względem syntezy najwyższy o ideale człowieka w ogóle. Drugi referat prof. *Bruchnalskiego* p. t. „Epistulografia, jako źródło literatury renesansowej w Polsce“ stwierdza przedewszystkiem, że teoryą i historyą sztuki pisania listów zajmowano się u nas bardzo mało. Referent przechodzi dzieje epistulografii polskiej od czasów najdawniejszych aż do XVI w., wykazując jej genezę i źródła, które szukać należy u starożytnych: Cycerona,

Seneki i Pliniusza. W końcu swego referatu stawia życzenie wydania kodeksu listów XVI w. Wobec znacznego materyału w tym kierunku, proponuje wydać tylko listy, tyczące się jedynie historyi literatury renesansowej.

W dn. 3 lipca na IV-tem z kolei posiedzeniu zjazdu prof. *Władysław Abraham* odczytał referat p. t.: „Stan ustawodawstwa Kościoła polskiego w chwili wybuchu reformacyi.“ Za podstawę w ustawodawstwie kościelnem u nas, przyjętemi zostały statuty kardynała Mikołaja Trąby i Jana Łaskiego. Źródłem jednak, na podstawie którego statuty te sporządzone zostały, były w przeważnej części poprzednie statuty dyecezalne. Po wywodach ogólnych i podaniu zarysu dziejów ustawodawstwa dyecezalnego aż do r. 1576 czyli wydania statutów Karnkowskiego, referent wyraził konieczność wydania zabytków ustawodawstwa prowincyonalnego dyecezalnego z w. XVI z objaśnieniami oraz naukowego opracowania dwóch głównych statutów: Łaskiego i Karnkowskiego.

Drugim referatem z zakresu umiejętności prawnych, był referat prof. *Oswalda Balzera* p. t. „Stan i potrzeby nauki prawa polskiego ze względu na historyę jego w XVI w.“ Znakomity badacz naszego prawodawstwa, na życzenie zjazdu wykazał dotychczasowe postępy nauki prawnej ze szczególnem uwzględnieniem badań nad wiekiem XVI i w długim wywodzie, opartym na głębokiej znajomości przedmiotu, wykazał te liczne braki w zakresie badań nad stosunkami prawnemi w Polsce XVI w. Na tą epokę przypada przekształcenie naszych urządzeń społecznych, a równocześnie z niem także odbywają się ważne przemiany w organizacyi państwowej Polski. W tym także wieku rozrasta się bujnie i rozkwita, jak nigdy potem za istnienia Rzeczypospolitej, literatura nasza prawnicza. Powstają wtedy, pomyślane na szerokie rozmiary, wielkie próby kodyfikacyjne prawa polskiego, a także praw partykularnych. Kodyfikacye te nie tylko ustalają to, co dawny zwyczaj i dawne ustawy wytworzyły, ale wprowadzają także reformy i to nieraz wielce doniosłe. Obecnie, kiedy nauka prawa polskiego zajmuje tak liczne umysły, kiedy żyjemy w epoce odrodzenia tej nauki—badania nad prawodawstwem XVI w. powinny zająć miejsce przodujące, być jednem z głównych zadań nauki prawniczej w Polsce. Przyczynić się do tego może względnie dokładne już zbadanie pomników średniowiecznych prawa polskiego, przeważnie dotąd przez prawników badanych. W d. c. swego referatu prof. Balzer wykazał główne postulaty naukowe dla badań nad XVI w.

Następnie prof. *Jan Łoś* przedstawił referat nieobecnego na zjeździe prof. *Władysława Nehringa*, p. t. „O języku polskim XVI w.“ Po omówieniu literatury tego przedmiotu, autor wysunął dwie kwestye: ortografii i języka XVI w.“ Pierwsza z nich ma już współczesną literaturę a zasługę niemałą mają tu drukarze Scharffenbergowie i Januszewski. Druga kwestya samego języka jest już obszerniejszą. Konieczną jest rzeczą sporządzenie wykazu form konjugacyjnych i deklinacyjnych i przeprowadzenie badań nad bibliami polskiemi w XVI w. Referat prof. Nehringa uzupełniał swojemi własnemi uwagami prof. *Łoś*, mówiąc o kwestyi, której prof. Nehring nie poruszył, mianowicie „o sposobie wydawania zabytków językowych XVI w.“

Na posiedzeniu IV-tem na porządku dziennem było „Sprawozdanie sekcyi ortograficznej,“ obradującej pod przewodnictwem prof. Baudouin de Courtenay

i Kryńskiego. Wzięto za podstawę dla obrad „Projekt ustalenia pisowni polskiej," wygotowany przez prof. Brücknera. Nie mogąc na razie opracować całego materyału, a pozostawiając to przyszłej komisyi przez Akademię wyznaczonej, zadecydowano tylko: 1) Aby w końcu wyrazów obcych pisać bezwzględnie *j* np. Azja, natomiast zostawić, odpowiadającą stanowi wymawiania, swobodę w środku wyrazów np. Dania i dopuścić pięć sposobów pisania wedle pięciu typów wymawiania (*dja, dyja, dija, dya, dia*). 2) W wyrazach obcego pochodzenia a spolszczonych typu algebra pisać *gie, kie* np. algiebra. 3) Co do zakończeń zaimkowo-przymiotnikowych *ym, em, ymi, emi*, w liczbie pojedyńczej pisać zawsze we wszystkich rodzajach *ym, im*, w liczbie mnogiej raczej *ymi* niż *emi*, co jest jednak dozwolone. 4) Bezokoliczniki od tematów na *g* pisać przez *c* np. biec, móc. 5) W imiesłowach na *szy* należy zaniechać pisania *ł* np. biegszy. 6) Pisać fonetycznie przedrostki *s, z, ws, wz, ł* : *j*, tak jak się je wymawia np stok, spływać. 7) Sprawą niepewności, co do niektórych wyrazów na *u* : *ó, ż* : *rz* zajmie się komisya językowa Akad. Umiejętności.

Szereg prelekcyj zjazdowych zakończył się referatem prof. dr. *Czermaka* p. t. „Stan naszej wiedzy o stosunkach wewnętrznych Litwy w XV i XVI w.," gdzie prelegent wykazał potrzebę zajęcia się dziejami wewnętrznemi Litwy, sprawą dotąd u nas prawie nie tkniętą, a przez rosyjskich uczonych nie zawsze trafnie wyjaśnianą.

Ostatnie posiedzenie zajęła „sprawa wydawnictwa naukowej encyklopedyi polskiej." Jak wiadomo od dwóch już lat specyalna komisya, z łona Akademii wysadzona, pracuje nad zorganizowaniem tego wydawnictwa, na tak szerokie ramy zakrojonego. Obecnie, korzystając ze zjazdu Rejowskiego, Akademia przedłożyła wyniki swych dotychczasowych zabiegów zjazdowi. Referat w tej sprawie przedłożył dr. *Stanisław Estreicher* i wyjaśnił program wydawnictwa, który jako już na tem miejscu omówiony, wnet po jego ogłoszeniu drukiem, w paru słowach tylko streścimy. Encyklopedya ma na wzór tego rodzaju wydawnictw zagranicznych zreasumować wyniki badań naukowych nad kulturą polską we wszelkich jej przejawach, ma przedstawić historyę kultury polskiej w każdym czasie i na całem terytoryum, gdzie język polski rozbrzmiewa, ma objąć dzieje kultury polskiej aż do chwili bieżącej, z uwzględnieniem wpływów ościennych na rozwój tej kultury wpływających. Okazowy zeszyt tego wydawnictwa ma się ukazać w 1907 r., a rozpoczęcie druku całości ma nastąpić w 1908 r. i o ile się uda w ciągu jednego roku, ogromne 25-cio tomowe dzieło ma być ukończone.

Po wyczerpaniu tego ważnego tematu w długiej i interesującej dyskusyi, przemówił prof. Ulanowski, reasumując piękne wyniki zjazdu, służące za dowód ogromnej intensywności myśli polskiej, nie dającej się odwieść od pola pracy nawet zawichrzeniem dni przełomowych. Przemowę swoją zakończył życzeniem, aby następne obrady odbyły się w sercu Polski — w Warszawie.

Zaszczyt zamknięcia zjazdu przypadł w udziale prezesowi jego, Tadeuszowi Korzonowi, który w podniosłem przemówieniu streścił prace zjazdu i w zakończeniu wspomniał o tych górnych chwilach, jakie synowie ciemiężonego narodu, któremu dzieje piszą jakieś tajemne baltazarowe głoski, przebyli w złotych czasach renesansu, obcując z Rejem i jego wielkimi rówieśnikami.

— Wreszcie doczekała się Warszawa „Towarzystwa opieki nad historycznemi pamiątkami i zabytkami sztuki i kultury polskiej.“ Ustawa, zatwierdzona przez władze, przed paru dniami została drukiem ogłoszona. Biuro tymczasowe Towarzystwa mieści się w kancelaryi adw. przys. Włodzimierza Powichrowskiego (Włodzimierska 14). Według wzmiankowanej ustawy, Towarzystwo następujące przedsiębierze starania:

1) wyszukuje i inwentaryzuje pamiątki i zabytki polskiej sztuki i kultury;

2) gromadzi pomienione zabytki drogą kupna, darowizn, zapisów i t. p.;

3) otacza opieką, zabezpiecza od zniszczenia środkami technicznemi i prawnemi ruiny zamków i baszt, pomniki, domy starodawne i wszelkie budowle, mające znaczenie historyczne, archeologiczne lub artystyczne i przedsiębierze wszelkie środki, zapobiegające uszkodzeniu ich i zagładzie. Nadto odnawianie zabytków artystycznych i pamiątek historycznych nieruchomych, czy to prywatnych, czy też publicznych, miejskich i kościelnych, jedynie za wiedzą i opinią Towarzystwa uskutecznionem być może;

4) nabywa na własność nieruchome pamiątki i zabytki, lub też wyjednywa u rządu wywłaszczenie ich na użytek publiczny;

5) pomieszcza na domach i miejscach, upamiętnionych wydarzeniami dziejowemi lub pobytem znakomitych mężów, tablice z odpowiedniemi napisami;

6) mianuje na całem terytoryum swojej działalności, gdzie się okaże potrzeba, korespondentów, działających z ramienia i dla celów Towarzystwa;

7) urządza w lokalu Towarzystwa lub w miejscach publicznych odczyty i pogadanki bądź w ograniczonem kole swoich członków, bądź dla szerszych kół publiczności;

8) prenumeruje fachowe czasopisma i gromadzi dzieła, celom Towarzystwa odpowiednie, dla użytku zarządu i członków Towarzystwa;

9) wydaje własne czasopismo lub obiera jeden z istniejących już organów prasy za swój specyalny organ, w którym Towarzystwo pomieszczać będzie prace naukowe swoich członków, dotyczące zabytków i pamiątek, peryodyczne sprawozdania ze swojej działalności i poszczególnych swych członków, oraz sprawozdania z ogólnych zgromadzeń Towarzystwa;

10) utrzymuje stosunki z polskiemi i zagranicznemi Towarzystwami i instytucyami, których cele są pokrewne celom Towarzystwa.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Krytyka. Czerwiec. Międzynarodowa ankieta w sprawie polskiej; głosy pp.: Fryderyka Bajera, prezydenta międzynarodowego biura pokoju w Kopenhadze, Aleksandra Barwińskiego, posła do Rady państwa we Wiedniu, prof. Hansa Delbrücka, redaktora „Preussische Jahrbücher“ w Berlinie, prof. Wilhelma Foerstera, prezesa Towarzystwa „Ethische Kultur“ w Berlinie, prof. Ernesta Hasse'go w Lipsku, dr. Herolda, posła na Sejm i do Rady państwa w Pradze, prof. Achille Loria w Turynie, prof. dr. T. G. Masaryka w Pradze, J. Nowikowa w Odesie, Lwa Tołstoja w Jasnej Polanie, prof. H. Vambe-

ry'ego w Budapeszcie; — Stefan Żeromski: Zemsta jest moją, Wacławowi Sieroszewskiemu hołd i miłość; — Ślaz: Rewolucya i artyzm, rozmyślania na dobie (dokończ.); — Edward Leszczyński: Modlitwa (poezya); — M. Römer: Stosunki etnograficzno-kulturalne na Litwie (dok.); — H. Heine: Pieśni czasu, przełożył Władysław Nawrocki, Dobosz, Zwyrodnienie, Henryk, Podróż życiowa, Nowy szpital żydowski w Hamburgu (poezye); — M. Uliński: Morris Rosenfeld, szkic literacki; — Tadeusz Miciński: Kniaź Potiemkin, dramat w 4 aktach, akt drugi (c. d.); — Bolesław Raczyński: Ruch muzyczny w Krakowie; — Władysław Zieliński: Przegląd prasy polskiej i obcej.

— Przegląd Polski. Czerwiec. X. Stanisław Kobyłecki T. J.: Metafizyka w psychologii; — dr. Władysław Kozicki: Św. Sebastyan, Studyum porównawcze z dziejów sztuki włoskiej z 11 rycinami (dok.); — Kazimierz Wojczyński: Tłómaczenie Catulla, ser. II; — Konrad Ostrowski: Hr. de Gobineau i jego filozofia arystokratyzmu; — Zdzisław Jachimecki: Mozart (dok.); — Sprawy krajowe. XLI. Z dziedziny kwestyi kobiecej: Kilka słów z powodu zamierzonej organizacyi szkoły żeńskiej imienia św. Scholastyki w Krakowie; — Zygmunt Stefański: Teatr krakowski; — Witold Noskowski: Muzyka w Krakowie; — *** Przegląd polityczny; — Kronika literacka przez dr. A. Sokołowskiego, Ledjana, A. M. L., dr. J. Flacha i A. E. Balickiego.

— Przegląd Powszechny. Czerwiec. Ankieta Przeglądu Powszechnego o obecnych zadaniach katolicyzmu w Polsce (dok.); Odpowiedzi: Cecylii Plater-Zyberkównej, prof. dr. Leona Mańkowskiego, dr. Franciszka Bujaka, dr. Teodora Rzymskiego, Michała Doryckyja, teologa ruskiego duchownego seminaryum w Przemyślu, prof. dr. Kornelego Hecka, ks. Józefa Olszowieckiego; — ks. Romuald Kompen T. J.: Okres rzymski w twórczości Mickiewicza; — ks. J. Rostworowski T. J.: Pod dzisiejszą apologetyką: liberalny katolicyzm (dok.); — ks. Wiktor Wiecki T. J.: Wobec ostatnich wypadków we Francyi; — ks. Urban T. J.: Z nowszego ruchu cerkwi rosyjskiej; — Przegląd piśmiennictwa polskiego przez: dr. A. Mazanowskiego, ks. W. Szczepańskiego, W. Gostomskiego; — Z piśmiennictw obcych przez: ks. R. Kudasiewicza, ks. J. Rotha, dr. A. Chybińskiego i T. Wodzicką; — Zapiski bibliograficzne.

— Przegląd prawa i administracyi. Czerwiec. Dr. Jan Spyra: Czek fałszywy a fałszowany (§ 20 ust. czek.); — Dr. Julian Makarewicz: Słuszne prawo (c. d.); — dr. Tadeusz Bujak: O pisarzach pokątnych na podstawie referatu przedstawionego w krakowskiem Towarzystwie prawniczem w d. 26 stycznia 1996 r.; — dr. Juliusz Nowotny: Kilka uwag o psychologii zeznań (c. d.); — dr. Ernest Till: Z dziedziny materyalnego prawa konkursowego, Prawo odrębnego zaspokojenia (c. d.); — O przejęciu długu, trzy odczyty, ułożył dr. Stanisław Dniestrzański (c. d.); — Projekt ankiety powołanej ze strony Wydziału krajowego dla dania opinii o reformie ustawy naftowej; — Praktyka cywilno-sądowa przez A. Dolnickiego i Teodora Bordolego; — Praktyka karno-sądowa przez dr. Ryszarda Leżańskiego; — Zapiski literackie; — Zbiór ogłoszeń firmowych Trybunałów handlowych nr. 6.

— Szkoła. Czerwiec. Odezwa do P. T. Zarządów oddziałowych Towarzystwa pedagogicznego; — Kornel Jaworski: Płace nauczycielskie w Przedli-

tawii, a) Szkoły ludowe, b) Szkoły wydziałowe; — F. Hollitscher: Wychowanie w seminaryach nauczycielskich;—A. A.: Polskie Muzeum szkolne we Lwowie;— Edward Pawłowski: Zjazd delegatów seminaryów nauczycielskich; — Z teki pesymisty (sylwety z natury);—Korneli Jaworski: Płace nauczycielskie w świetle liczb; — J. Mgr.: Echa słowiańskie „Slovenska Matica;“ — Leon Silberstein: Badania hygieniczne uczniów;—J. L.: Święto kwiatów we Lwowie.

— Świat słowiański. Czerwiec. Zygmunt Stefański: Pangermanizm i Austrya; — Bohdan Ł.: Rusini w Dumie; — Tadeusz Stanisław Grabowski: Nauczycielki Chorwackie; — Stanisław Wroński: Korespondencya z Petersburga (c. d.); — Przegląd prasy słowiańskiej; — Recenzye i Sprawozdania; — Kronika.

— Wiadomości matematyczne. Tom X, zesz. 1, 2, 3. W. Biernacki: Wahadło wykładowe; — T. Friesendorff: Zastosowanie Termodynamiki do Teoryi sprężystości; — H. A. Lorentz: Termodynamika i teorye kinetyczne, przekład; — R. Merecki: Obserwatoryum astronomiczne im. Jędrzejewicza za rok 1904 i 1905;—R. Merecki i St. Bouffall: Stacya centralna meteorologiczna przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, 1905; — Przegląd literatury; — Bibliografia.

— Zdrowie. Czerwiec. Rzewień czyli rabarber i jego pożyteczność dla zdrowia (z ryciną);—10 przykazań hygieny ciała i ducha;—Maślanka, jako środek leczniczy; — Przestrogi i rady;—Choroby płuc: Rozedma płuc, Krwiopłucie, Obrzęk płuc, Zgorzel czyli gangrena płuc;—Choroby opłucnej: Zapalenie opłucnej: Odma piersiowa, Woda w piersiach czyli puchlina piersiowa, 10 przykazań dla cierpiących na płuca;—W dodatku: O krzyczącej niedorzeczności i strasznej szkodliwości szczepienia ospy.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

Garski Stanisław dr.: Materyalistyczne pojmowanie dziejów a etyka. Studyum społeczno-filozoficzne. Lwów, 1906. Pol. Tow. Nakładowe. Skł. gł. w Warszawie, E. Wende i Sp. 8-o, str. 78.

Łukaszkiewicz J. A. ks.: Żywot błogosł. Jana z Dukli. Wyd. ludowe z XXV książ. V. i VI. za maj i czerwiec 1906 r. Lwów, 1906. Nakł. komitetu wydaw. ludow. 8-o, str. 132.

Nusbaum Henryk dr.: Nienawiść. Odczyt wygłoszony w Warszawie w marcu 1906 r. Warszawa, 1906. Nakł. E. Wende i Sp. 8-o, str. 43.

Schaur Paweł dr.: Apologia chrześcijaństwa. Część druga „Bóg i objawienia.“ Tom V. Bibl. Dziel Chrześcij. zt. 64 Warszawa, 1906. 8-o, str. 215 + 49 do 64.

Tyszkiewicz Michel le C-te: Pensées d'Aristophane, Platon, Aristote, Pascal, Rousseau, Voltaire, Danton, Robespierre, J. de Maistre, Goethe, Herder, Lamartine, Renan, Nitzsche, Roosevelt etc. etc. sur la démocratie et la doctrine socialiste, réunies et publiées par... Paris 1906. 8-o, str. 80.

HISTORYA.

Bartoszewicz Kazimierz: Konstytucya 3 maja (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791). Warszawa, 1906. Bibl. Dzieł Wyborowych № 437. 8-o, str. 154.

Carlyle Tomasz: Rewolucya francuska, w przekładzie Adolfa Strzeleckiego. Śmierć Ludwika XV. Warszawa, 1906. 8-o, str. 35.

Czermak Wiktor prof. dr.: Dzieje Polski. Tom pierwszy. Od początków do X wieku. Opracował ... Tom ten zawiera przeszło 100 ilustracyj w tekście i 18 na osobnych kartonach. Wiedeń, 1906. Nakł. Franciszka Bondego. 8-o, str. VII + 337.

Kruszka Wacław ks.: Historya polska w Ameryce, początek, wzrost i rozwój dziejowy osad polskich w Północnej Ameryce (w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie). Wydawn. poprawione i ilustrowane. T. VIII. Milwauke, 1906. 8-o, str. 160.

Majewski Erazm: Hipoteza Kossinny o germańskiem pochodzeniu indoeuropejczyków a prawda w nauce. Studyum krytyczne. Warszawa, 1905. Odb. z t. VI „Światowita." Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. od 89 — 144.

Rembowski Aleksander: Pisma ... t. III, studya historyczno-polityczne, krytyki naukowe. Z częściowej zapomogi Kasy im. J. Mianowskiego. Warszawa, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 830.

Warmiński I. ks. dr.: Andrz. Samuel i Jan Seklucyan z polecenia Towarzystwa Przyjaciół. Napisał ... Poznań, 1906. Księg. G. Gebethner i Sp. w Krakowie. 8-o, str. XVI i 550.

HISTORYA LITERATURY. — BIBLIOGRAFIA.

Biblioteka Uniwersytetu Ludowego imienia Adama Mickiewicza: Spis książek ułożonych według działów. Kraków, 1906. Nakł. Bibl. Uniwers. Ludowego. 8-o, str. VIII + 160.

Estreicher Karol: Bibliografia polska XIX stulecia, lata 1881—1900. T. I. A. — F. Kraków, 1906. Nakład Spółki księgarzy polskich. Gebethner i Wolff w Warszawie. 8-o, str. 2 nl. i 415.

Finkel Ludwik dr.: Bibliografia historyi polskiej, współdzielnie z dr. Henrykiem Sawczyńskim i członkami kółka historycznego uczniów uniwersyt. lwow., zebrał i ułożył ... Cz. III, zesz. III (ostatni). Kraków, 1906. Nakład. Akad. Umiej. Spółka wyd. polska. 8-o, str. od 1675 — 2150 + XLVIII.

Tretiak Józef: Mickiewicz i Puszkin. Studya i szkice (z 2-ma portretami). Warszawa, 1906. Nakł. Księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 334.

NAUKI PRAWNO-POLITYCZNE.

Bellami Edw.: Idealny ustrój społeczny, zt. I. Warszawa, 1906. Nakł. Czasopisma „Grom.“ 8-o, str. 48.

Studnicki Władysław: Konstytucya Rosyjska i prawno-państwowe stanowisko Królestwa Polskiego. Warszawa, 1906. Nakł. księgar. E. Wende i Sp. 8-o, str. 68.

Suligowski Adolf: Projekty ustaw samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem, zebrał i słowem wstępnem opatrzył ... Warszawa, 1906. Dodatek do „Słowa.“ Skład głów. w księgar. Gebethnera i Wolffa. 8-o, form. duży, str. 35.

Wróblewski Władysław dr.: Roszczenia jednostki wobec administracyi państwa, ze szczególnem uwzględnieniem prawa wodnego i kwestyi prawomocności administracyjnej. Kraków, 1906. G. Gebethn. i Sp. 8-o, str. 152.

Zoll Fryderyk (starszy): Historya prawodawstwa rzymskiego. Cz. II. Historya źródeł prawa prywatnego. Kraków. Nakładem autora. 8-o, str. nlb. 5 i 161.

PEDAGOGIA. — SZKOLNICTWO. — PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

Dąbkowski A.: Zbiór zadań arytmetycznych na klasę wstępną i I-szą. Ułożył ... Liczby całkowite do tysiąca. Liczby wielorakie. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 136.

Dickstein S.: Początkowa nauka geometryi w zadaniach. Wydanie czwarte, znacznie rozszerzone, z 28 rysunkami. Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 217.

Krasnowolski Antoni: Gramatyka łacińska szkolna. Opracował ... Część I. Nauka o formach (Morfologia). Warszawa, 1906. Nakład M. Arcta. 8-o, str. 127.

Siedm odczytów o wychowaniu, wypowiedzianych z okazyi dwudziestopięciolecia Stowarzyszenia Matek chrześcijańskich w Krakowie. Kraków, 1905. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 179.

Szajowski Edward: Unarodowienie szkoły w duchu postępowym. Lwów, 1906. Nakładem autora. 8-o, str. 104.

Weiner Stanisław dr.: Nowa ustawa o Radzie szkolnej krajowej. (Geneza i rozbiór krytyczny). Rzecz czytana dnia 24 marca 1906 r. na zebraniu koła krakow. Tow. nauczycieli szkół wyższych. Kraków, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 31.

NAUKI PRZYRODNICZE.

Brzeziński J.: Myxomonas betae, pasorzyt buraka. Odb. z t. XLVI, ser. B. Rozpr. wydz. mat.-przyr. Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej., Spółka wyd. polska. 8-o, str. 7.

Forel August: Zagadnienia seksualne, roztrząsane ze stanowiska nauk przyrodniczych, psychologii, hygieny, i socyologii, przełożone z niemieckiego przez dr. Władysława Witwickiego, Tadeusza Witwickiego i Witolda Schreibera. T. II. Lwów, 1906. Nakł. B. Połonieckiego. Skł. głów. E. Wende i Sp. 8-o, str. 426.

Friedberg Wilhelm: Zagłębie mioceńskie Rzeszowa. Cz. II. Odb. z t. XLVI ser. A. Rozpr. wyd. matem.-przyrodn. Nakł. Akad. Umiej., Spółka wydaw. polska. 8-o, str. 26.

Kozłowski Wł. M.: Przyczynowość, jako podstawowe pojęcie przyrodoznawstwa. Warszawa, 1906. Głów. Skład u E. Wendego i Sp. 8-o, str. 43.

Romer Eugeniusz: Epoka lodowa na Swidowcu. Odb. z tomu XLVI. ser. A. Rozpr. wydz. mat.-przyrodn. Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiejętn., Spółka wydawn. polska. 8-o, str. 71 z 8 ryc. i 3 tabl.

Siemiradzki Józef dr.: Monografia warstw paleozoicznych Podola. Odbit. z t. XXXIX komisyi fizyograficznej. Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej., Spółka wydawn. polska. 8-o, str. 101 z 7 tabl. in 4-o.

Smoluchowski M.: O drodze średniej cząsteczek gazu i o związku jej z teoryą dyfuzyi. Odb. z t. XLV ser. A. Rozpr. wydz. mat.-przyr. Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej., Spółka wyd. polska. 8-o, str. 13.

Stolyhwo K.: Czaszki peruwiańskie. Odb. z t. XLV ser. B. Rozpraw wydz. mat.-przyr. Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej., Spółka wydawn. polska. 8-o, str. 74.

Wiśniowski T.: Uber die Fauna der Spasser Schiefer und das Alter des massigen Sandsteins in den Ostkarpaten Galiziens. Krakau, 1906. 8-o, str. 240—254 z tabl.

POWIEŚĆ. — POEZYA.

Andrejew Z.: Żywot Bazylego Fiwejskiego. Przekład Stanisławy Kruszewskiej. Warszawa, 1906. Nakł. księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 136.

Bassara Antoni St.: Z pod trzech zaborów, obrazek sceniczny w 1 akcie. II. Wojna narodowa, obrazek sceniczny w 1 akcie. Bibl. teatrzyków dla dzieci i młodzieży, t. II. Lwów, 1906. Nakł. Maniszewskiego i Kędzierskiego. 8-o, str. 22.

Dygasiński Adolf: Na odlocie. Nowele. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. J. Lisowskiej. 8-o, str. 105.

Gomulicki Wiktor: Zakazane. Warszawa - Lwów, 1906. Książnica, tom 4. 8-o, str. 139.

Kipling Rudyard: Druga księga puszczy, przełożył Józef Czekalski. Wyd. 2. Warszawa-Kraków, 1906. Nakł. tłómacza. 8-o, str. 284.

Nowaczyński Adolf: Jegomość Pan Rey w Babinie, świecka krotofila w trzech sprawach na czterechsetny anniwersarz. Kraków, 1906. Nakład Wacława Wiedigera. 8-o, str. 151.

Przerwa-Tetmajer Kazimierz: Bajeczny świat Tatr. Z ilustracyami. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. podł. str. 156.

Reymont Wł. St.: Chłopi, powieść współczesna, III. Wiosna. Warszawa-Kraków, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 480.

Schwob Marcel: Księga monelli, przełożyła Bronisława Ostrowska. Lwów, 1907 (!). Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. 8-o, str. 132.

Sienkiewicz H.: Pisma, t. XXVII—XXIX. Quo vadis T. I—III. Wyd. nowe. Kraków, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 309 + 235 + 345.

Słowacki Juliusz: Wybór pism. Wyd. 2, poprawione i uzupełnione. Warszawa-Kraków, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 16-o, str. 548, z portretem autora.

Żeromski Stefan: Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku. Wyd. drugie, t. I, II, III. Nakł. księg. Gebet. i Wolffa.

PUBLICYSTYKA. — BROSZURY POLITYCZNE.

Dąbrowa Wiesław: Morderstwa socyalistyczne. Lwów, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 22.

Gloger Zygmunt: Kwestya litewska. Petersburg 1905. W Warszawie skł. głów. w księg. Lisowskiej. 8-o, str. 4.

Górski Piotr i Staniszewski Stanisław: Projekt reform agrarnych w Królestwie Polskiem. Opracowany przez ... Warszawa, 1906. Nakł. Prawdy. 8-o, str. 31.

Hammerstein L. v. T. J.. Sprawa robotnicza wobec wiary i społeczeństwa, przełożył z niem. i uwagami zaopatrzył Władysław Horowicz. Poznań, 1906. Księg. Kroniki Rodzinnej. 8-o, str. 98.

Marx Karol: Rewolucya i Kontrrewolucya w Niemczech. Tłómaczenie z niemieckiego, ze wstępem K. Kautsky'ego Warszawa, 1906. „Bibliot. Naukowa." 8-o, str. 154.

Newroza rewolucyjna. Według d-rów Cabanèsa i L. Nassa. Opracowała K. Płońska. Warszawa, 1906. Bibl. Dz. Wybor. № 435, 8-o, str. 154.

Potocki Tomasz: Kwestya agrarna w oświetleniu urzędowem. Warszawa, 1906 Skł. głów. w księg, Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 39.

RÓŻNE.

Jeziorański Leon: Księga adresowa przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskiem III. Przy współpracownictwie Komitetu Redakcyjnego, złożonego z pp. Piotra Drzewieckiego, Henryka Karpińskiego, i Aleksandra Rosseta. Opracował i wydał ... Warszawa, maj 1906 r. Wydawn. rok trzeci. Staraniem Stowarzysz. Techników w Warszawie. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. duży.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

PROBLEMAT AGRARNY

w guberniach wielkorosyjskich i u nas.

Pod znakiem kwestyi agrarnej odbywać się będzie i odbywa się rewolucya rosyjska, jak pod znakiem kwestyi robotniczej odbywała się rewolucya 1848 r. we Francyi.

Ruch polityczny jakkolwiek nie jest w ogromnej większości wypadków wywołany czynnikami gospodarczemi, jakkolwiek ma częstokroć cele nie gospodarczej natury, jednak wysuwa cele gospodarcze popularne dla mas, w zamiarze pozyskania ich siły fizycznej dla swego spotęgowania. Ruch polityczny staje się tem silniejszy, im bardziej niezadowolone ze swego bytu gospodarczego a posiadające wiarę w przeobrażenie go masy, doń się przyłączają. Stąd kwestya *ziemi* weszła na porządek dzienny współczesnego kryzysu państwowego w Rosyi, gdy oświecone warstwy społeczeństwa rosyjskiego wysunęły sprawy wolności politycznej.

„Ziemia i wolność“—dawne hasło rewolucyonistów rosyjskich z 5-go i 6-go dziesięciolecia, dziś staje się sztandarem Izby państwowej rosyjskiej. W Rosyi z jej 86% ludności wiejskiej musiała sprawa ziemi wejść na plan główny w pierwszej jej reprezentacyi i wejść może z uszczerbkiem sprawy jej wolności, jakkolwiek tej sprawie gwoli podjętą była przez konst. dem. rosyjskich.

Głody peryodyczne w Rosyi i nędza chroniczna chłopa rosyjskiego dostarczała opozycyi rosyjskiej materyału do oskarżeń rządu. Rzecz więc naturalna, że opozycya rosyjska musiała w okresie kryzysu politycznego Rosyi postawić te sprawy na porządku dziennym. Głód 1905 i 1906 r. zrobił ją bardziej aktualną jeszcze. Lecz głośniej niż głód wołały o nią rozruchy agrarne.

W 1905 r. gdy szereg porażek armii rosyjskiej zachwiał powagę rządu, rozpoczęło się wrzenie w Rosyi, nie noszące w wielu

wypadkach charakteru politycznego. Różne grupy ludności, nie oglądając się na rząd i normy prawne, usiłowały zadość uczynić swym wymaganiom drogą strejków i rozruchów. Walka ekonomiczna, której objawy ulegały presyi państwa policyjnego wystąpiła w szamotaniach się, silnem reagowaniu na wszelkie prawdziwe lub urojone krzywdy. Obok strejków po miastach, rozpoczęły się po wsiach rozruchy agrarne. Przyczem na gruncie głodów, trapiących wieś rosyjską, na gruncie pojęć, zrodzonych przez gminną własność (obszczyny) ziemi w Rosyi, rozruchy agrarne w guberniach rdzennie rosyjskich nabrały specyficznego charakteru. W powiatach Dmitriewskim, Siewskim i Głuchowskim (gub. Niżnienowogrodzkiej) zrujnowani gospodarczo, głodni chłopi rzucili się na dwory i gospodarstwa wielkich właścicieli. Na zapytanie władz: „czegożeście chcieli?“ odpowiadali chłopi: „chcieliśmy jeść!“ Gdy chłopi poraz pierwszy przyszli do Dołbenkińskiego dworu, poprosili najpierw, by im dano jeść. Rabunek i palenie dworów, zjawiło się samo przez się, jako wyraz instynktów i uczuć tłumu chłopów rosyjskich. Grunt był podatny do rozruchów. W nocy 27 (15) lutego 1905 r. przyszli włościanie na folwark kupca Czerniczina, rozbili zamki w składach i wywieźli owies — podaje korespondent Ruskich Wiedomosti, Maksimow. Wypadek ten był niby hasłem do rabunku innych większych gospodarstw. W ciągu 5 dni zrabowano ich dziesiątki całe na przestrzeni 150 wiorst kwadratowych. Częstokroć przychodziła najpierw niewielka grupa dla obejrzenia dworu, na który napaść miano, komunikowano nawet, że chłopi przyjdą któregoś dnia. W dzień wyznaczony zapalano wiechy słomiane w pobliżu dworu, na sygnał ten zjeżdżali się chłopi, przybywało wozów coraz więcej, od 500 — 700 niekiedy. Zebrawszy się chłopi napadali na dwór, podchodząc, strzelali kilkakrotnie ze strzelb. Po wyłamaniu zamków w śpichrzach, napełniano zbożem wozy, rabowano przeważnie zboże, inne produkty rzadko, oprócz śpichlerzy nie ruszano więc często zamków u innych budowli. W Prilepach chłopi zrabowawszy zboże, nie tknęli cukrowni, u Piotrkowskiego gorzelni. Ale wódka i podniecenie tłumnym rabunkiem wywoływały częstokroć orgie niszczenia — palono, niszczono wszystko: zdemolowano i spalono dwór w Głamazdynie wraz z gorzelnią, gorzelnię Chinelską, cukrownię Michałowską.

W początkach marca rozpoczęły się rozruchy agrarne w powiecie Trubczewskim. Zaczęto od wyrąbywania lasów wielkiej własności ziemskiej, a wieczorem 14 (2) marca i rano 15 (3) zdemolowano 4 gospodarki. Wszędzie rozpoczynano od rabunku zbo-

ża, wywożono, następnie karm dla bydła, a potem bito okna, rozwalano piece, łamano meble, niszczono książki, papiery, pościel— wogóle wszystko, co się zniszczyć dało.

W wielu miejscowościach chłopi realizowali swe pretensye w sprawach oddanych do sądu lub spornych. W powiecie Bałaszewskim gub. Saratowskiej chłopi wsi Romanowskiej wywieźli siano skoszone i wyrąbali las, twierdząc, iż podług posiadanych przez nich dokumentów las i łąka do nich należą. W parę tygodni potem wyrokiem saratowskiego sądu okręgowego przyznano im ziemię sporną istotnie. W warunkach normalnych chłopi czekaliby wyroku sądowego, w podnieceniu okresu wojny i przeobrażeń, w okresie osłabienia autorytetu państwa, działali na własną rękę. Analogicznych wypadków było dużo. W marcu, w powiecie Charkowskim włościanie wyrąbali las p. Tlota, jako rosnący na gruncie spornym, wkrótce przyszli jednak do porozumienia z właścicielem; ten ostatni miał na koszt własny wynająć geometrę dla wymierzenia gruntów spornych, obowiązując się zwrócić ziemię, jeżeli się okaże własnością chłopów; do pilnowania zaś zrąbanych spornych drzew postawiono straż wspólną.

Wypadki podobne nie były negacyą prawa własności prywatnej, ale ostrą formą sporu o nią; ostrość ta mówi o naprężeniu żądzy własności.

Poza granicami Wielkorosyi i Ukrainy rozruchy agrarne odbywały się na wiosnę 1905 r., lecz nosiły inny charakter. W gub. Witebskiej włościanie wyrąbali lasy tych właścicieli ziemskich, którzy zbyt skwapliwie ściągali odszkodowania za wszelkie szkody leśne. W gub. Nadbałtyckich, gdzie rozruchy przybrały rozmiary tak znaczne, były one, co się tyczy samej sprawy agrarnej, ruchem strejkowym robotników rolnych i wyrąbywaniem lasów. W Królestwie odbywał się ruch strejkowy robotników rolnych.

Zabieranie ziemi wielkich właścicieli ziemskich, odbywało się tylko na terenie wielkorosyjskim. W powiecie Buzułuckim chłopi, którzy otrzymali ziemię przy uwłaszczeniu (t. zw. darstwienniki) zabrali majątek ziemski właściciela, gdy ten sprzedał go w inne ręce i podzielili ziemię według „dusz," t. j. cyfry ludności męskiej.

W gub. Saratowskiej jeden właściciel, którego ziemia otaczała wokół wieś sąsiedzką, tamował przejazd i nakładał na chłopów często kary pieniężne. Gromada postanowiła odebrać mu ziemię i rozdzielić ją pomiędzy chłopami.

W maju, w powiecie Lipenickim włościanie posadzili właściciela wsi Stiżakowo do powozu i kazali mu wyjechać, dokąd mu się żywnie podoba, oznajmiając, iż ziemię zabierają sobie. W pow.

Borysowskim był również wypadek zaorania pól właściciela większej posiadłości przez gromadę chłopską i rozdania gruntów chłopom. „Syn Otieczestwa," organ który propagował *„czornyj pieriedieł"* (podział gruntów) podaje, że były wypadki zajęcia gruntów w powiatach: Pskowskim, Siergackim, Czystopolskim, Bogurosławskim, Mikołajewskim, Syzrańskim, Nowoczerkaskim, Rostowskim, Symferopolskim, Dnieprowskim i Kiszyniowskim. Możliwe, że wiele wypadków zwykłych, sąsiedzkich sporów o ziemię, zaliczono tu do świadomej akcyi chłopów o podział gruntów. Były miejscowości, w których włościanie pod wpływem rozsiewanych pogłosek o nadziale gruntów przestali dzierżawić zwykle dzierżawioną ziemię. W podnieconej atmosferze zaostrzył się również spór o cenę dzierżawy.

Rozruchy agrarne jesienią 1905 r. były o wiele bardziej rozpowszechnione i o wiele silniejsze niż na wiosnę. Nieurodzaj objął 11 rolniczych gubernij Rosyi: Tulską, Riazańską, Penzeńską, Symbirską, Niżegorodzką, Kazańską, Orłowską, Kurską, Tambowską, Woroneską i Saratowską. Zamiast przeciętnych w tych guberniach 491 mil. pudów zebrano 310. Ucierpiały szczególniej gub. Tulska, Riazańska, Penzeńska, Woroneska i Saratowska, w których otrzymano mniej lub około $\frac{1}{2}$ zbioru przeciętnego. Dodać do tego należy traf, że skutkiem posuchy nastąpił nieurodzaj ogólny w Rosyi.

Pierwszemi symptomatami rozruchów i konfliktów, powstałych na gruncie nieurodzaju, było wykoszenie łąk dworskich. U hr. Szeremetjewa włościanie skosili zielony owies na karm dla swego bydła. W powiecie Bobrowskim były wypadki samowolnego korzystania gromady z łąk, podług taksy przez nią ustanowionej. Te i tym podobne rozruchy nie nosiły jeszcze charakteru negacyi wielkiej własności; wdzierali się w jej sferę chłopi pobudzani nadzwyczajnym nieurodzajem. Po zbiorach ruch chłopski przybrał charakter bardziej groźny. W ostatnich dniach czerwca chłopi zniszczyli i spalili dwa dwory szlacheckie w pow. Saratowskim. W powiatach Bałaszowskim, Atkarskim, Pietrowskim i Wierchniedniepprowskim, zaraz po ukończeniu żniwa, włościanie zaczęli zwozić zboże dworskie do swych śpichrzy. W pow. Atkarskim, Biełgorodzkim i Dmitriewskim, gdzie były rozruchy na wiosnę, włościanie palili zboże dworskie zebrane w kopy. Był to akt jakiejś dziwnej rozpaczy i złości: „nie będę miał zboża, będę głodny, niech nie mają i inni;" ten syllogizm barbarzyński — oto pojęcie na jakie zdobyli się chłopi gub. Saratowskiej i Samarskiej.

Głód wstępował w swe prawa, administracya zaś w wielu miejscowościach zamiast przyjść z pomocą, czyniła chłopom tru-

dności w korzystaniu z magazynów zapasowych. Jesienią rozpoczął się rabunek dworów, rabowano też przedewszystkiem zboże. Częstokroć owo zabieranie zboża odbywało się na mocy uchwał gminnych. W pow. Pietrowskim, we wsi Klucze, rabunek majątku Jermołajewa odbywał się na mocy uchwały gminnej: „całe zboże w jego śpichrzach podzielić postanowiliśmy między poszczącemi wsiami, gdyż nie posiadamy środków do życia, ani rachujemy na pomoc rządu.“

Ruch ten nie był z natury swej skierowany przeciw tym lub owym typom własności ziemskiej, nosił charakter ruchu wywołanego potrzebą znalezienia środków spożycia, głodem. Włościanie napadali nie tylko na dwory, ale na stacye kolei żelaznej, na których były zapasy zboża np. w gub. Saratowskiej na stacyach: Żonachow, Turkow, Romanowka, Żernowka.

Głody w Rosyi — zjawisko to dosyć zwykłe. W 1891, 1892, 1897 przeżywała Rosya głody, lecz gdy wówczas chłop rosyjski znosił je biernie, a najenergiczniejszemi objawami jego protestu było rzucanie się pod pociąg, wywożący zboże z gubernii dotkniętej głodem, w okresie rewolucyi zmieniła się psychologia tego chłopa, uległ on ogólnemu prądowi walki.

Przegrana wojna pozbawiła go wiary we wszechmoc rządu, walka z rządem, której odgłosy dolatywały doń, podniecała. Partya socyalistów-rewolucyonistów, t. zw. S. R. znalazła grunt odpowiedni dla swej akcyi w chłopstwie rosyjskiem. W swych koncepcyach ekonomicznych, partya ta jest jakąś mieszaniną socyalizmu zachodnio-europejskiego z ideologią rosyjskiej „obszczyny“ gminnego władania ziemią. Podział generalny gruntów — „Czornyj pieriedieł,“ przeniesienie zasad „obszczyny“ na całe terytoryum państwowe, było to dawnym ideałem partyi t. zw. *„Ziemli i woli“* z przed lat 30-tu, oraz jej następców: *„Czarnego pieriediełu“* i *„Narodnej woli“* z 9-go lat dziesiątka. Ideową spuściznę partyi tych odziedziczyła *S. R.* Terrorystyczna działalność *S. R.* zaznaczona jest takiemi punktami jak zabójstwo Plehwego, ks. Sergiusza i t. p. Propaganda *S. R.* natrafiając we wsi wielkorosyjskiej na sferę pojęć i ideałów powstałą z gruntu *„obszczyny,“* wywoływać musiała skutek doraźny. Pod wpływem propagandy *S. R.* chłopi w gub. Kurskiej, Saratowskiej i Samarskiej jesienią 1906 r. palą dwory i zabierają ziemię. Palenie dworów motywowali *S. R.* tem, że gdyby je pozostawić w całości, właściciel ziemski, który opuścił wieś podczas rozruchów, będzie mógł niebawem wrócić, odbudowanie zaś dworu spalonego wymagać będzie około 2 lat, gdy włościanie będą już faktycznymi panami ziemi, którą podzielą między siebie.

Palono dwór i zabudowania gospodarskie również ze względów strategicznych; w tych bowiem jedynie budowlach mogliby się utrzymać kozacy z większem bezpieczeństwem niż po chatach włościańskich. Ten wzgląd oczywiście wysuwany był przez prasę sympatyzującą z rozruchami, nie zaś przez włościan, zgoła nie pożądających mieć kozaków po swych chatach.

Podniecająco oddziałał również na chłopów strejk kolejowy w październiku 1905 r. „Gdy wybuchł strejk kolejowy—pisze Maksimow w „Synie Otieczestwa"—chłopi wyrzekli: baczność! Zaczęli się tłumnie schodzić do stacyj na kolejach zwożących delegatów wszystkich linij drogi Riazańsko-Uralskiej do Saratowa, wypytywali delegatów, co się po miastach dzieje i w wielkiem podnieceniu wracali do domu. Od 12 (25) października rozlewa się nowa fala ruchów agrarnych po całej gub. Saratowskiej. Podług danych oficyalnych spalono i obrabowano w tej gubernii 272 dwory. Ruch rozpowszechnił się następnie w całej niemal Samarskiej, Tambowskiej i Kurskiej gubernii — drugiem samodzielnem ogniskiem zamieszek. Spalono lub zrabowano podług obliczeń oficyalnych 2000 dworów, straty wyniosły 29 mil. rubli.

Zwolennicy podziału gruntów mają skłonność do przedstawiania wszelkich konfliktów między chłopami a wielką własnością ziemską, jako objawu rozruchów agrarnych, które zdaniem ich rozlały się na całem terytoryum państwa, wywołane pragnieniem nowego nadziału. Tak jednak nie jest, chociaż sporadyczne wypadki na wzór wielkorosyjski, zdarzały się i w innych miejscowościach, prócz gub. Charkowskiej i Czernihowskiej; lecz były one wywołane szaloną agitacyą lub też wynikły na tle długotrwałego konfliktu między danym właścicielem ziemskim a chłopami.

Tylko w gub. Saratowskiej, Tambowskiej, Czernihowskiej i Kurskiej włościanie dzielili między siebie ziemię szlachecką. Tam też uważać należy rozruchy za objaw dążności chłopów do przekształcenia stosunków agrarnych.

Jak tłumiono rozruchy agrarne? W sposób równie, a nawet jeszcze bardziej, barbarzyński niż się one odbywały. W jednej tylko wsi (w gub. Saratowskiej) chłopi batożyli właściciela ziemskiego, a chłosta masowa mężczyzn i kobiet wsi całej, trzymanie całemi godzinami tłumów na klęczkach, strzelanie do zgromadzonych włościan—oto zwykłe sposoby, któremi tłumiono rozruchy. Gazety rosyjskie donosiły, iż gubernator tambowski Bohdanowicz radził sprawnikowi Borysoglebskiemu i Zamarskiemu: „Mniej aresztujcie, więcej rozstrzeliwajcie." Ów Zamarskij uczył asesorów policyi (stanowoj pristaw): „Porzućcie wszelkie przekonywania,

im więcej będzie u was zabitych, tem większą będzie wasza zasługa w oczach władz, tem silniejsze pozostawicie po sobie wrażenie.“ „*Nasza Żizń*“ donosiła, iż w gub. Saratowskiej po rozruchach chłopskich nastąpiło katowanie włościan, którzy brali udział w rozruchach przez tych, którzy udziału nie brali. „Był to pogrom ludności włościańskiej przez chuliganów i *kułaków*.“ Fakt powyższy świadczy, iż wśród chłopów rosyjskich zarysował się w sprawie rozruchów rolnych antagonizm; bogatsi t. zw. *kułaki*, posługując się najbiedniejszym proletaryatem wsi, uderzali na tych, którzy rabowali dwory. Chęć bicia i znęcania się, wódka, którą go poczęstowano, wystarczała, aby część wiejskiego proletaryatu, t. zw. „*gołod*“ rzuciła się na resztę współmieszkańców swej wsi. Ohydne sceny, okrucieństwa i znęcania się podawał korespondent „Naszej Zizni.“ Była to działalność czarnej seciny. Ale rabunkowi dworów towarzyszyły częstokroć fakty analogiczne.

Rosyjskie *czarne* i *czerwone seciny* są w gruncie rzeczy sobie pokrewne tak, iż zaklasyfikowanie do tej lub owej kategoryi tłumu, będącego sprawcą rozruchów, zależy od dowolności klasyfikatora. Przewodniczący na zjeździe wszechrosyjskiego związku chłopskiego, członek biura zjazdu, 21 (8) listopada podczas rozpraw zjazdowych o rozruchach chłopskich zakomunikował: Gdym w swoim okręgu organizował chłopów, a potem przybyłem znowu po 2 tygodniach, nie poznałem swych zorganizowanych: podczas mej nieobecności zjawił się manifest październikowy i wybuchł następnie ruch czarnej seciny, który się odbił na chłopach. Mówili oni: „W Rostowie rzną *Żydów* i *kupców*, którzy ściągnęli grosze — powinniśmy też rozpocząć ich rzeź.“ W gub. Czernihowskiej rozruchy antysemickie przeszły bezpośrednio w rabunek i niszczenie dworów. W gub. Saratowskiej na parę miesięcy przed rozruchami agrarnemi odbywało się bicie nauczycieli, lekarzy, felczerów i funkcyonaryuszy ziemstw. Delegat gub. Ekaterynosławskiej opowiadał: Były i u nas pogromy Żydów, ale tam gdzie działa Związek, pogromów nie ma. We wsi Szerokiej pop skierował chłopów na Żydów, ale gdy Związek chłopski nie dopuścił do rozruchów antysemickich, chłopi chcieli rozbić gospodarkę popa[1]).

Dezorganizacya państwowa Rosyi z jednej strony, z drugiej to podniecenie, w którem znajduje się ludność, wreszcie barbarzyństwo chłopa we wschodniej i południowej Rosyi—wszystko to stwarza grunt do rozruchów agrarnych.

---

[1]) Materyały do kwestyi chłopskiej. Sprawozdanie ze zjazdu wszechros. Związku chłopskiego (10 listopada, wydawn. „*Nowyj Mir*“).

Tę żywiołową siłę chłopską pragną wyzyskać dla swych celów różne grupy polityczne i w różnym prą chłopów kierunku.

Znaczny odłam władz i duchowieństwa prawosławnego skierowywał ich przeciw Żydom i liberalnej inteligencyi; partye socyalistów-rewolucyonistów i socyalistów-ludowców („narodnikow“) przeciw dworom, wskazując jako cel rozruchów agrarnych zdobycie całej ziemi przez chłopstwo; konstytucyonaliści-demokraci pragnęli pozyskać chłopa przez podniesienie popularnego wśród ludu *nadziału uzupełniającego*. Kwestya agrarna w Rosyi, stanowiąc w swem zaognieniu jeden z pierwiastków kryzysu rosyjskiego, nie na podstawie praw ekonomii i agronomii rozwiązywaną będzie.

Rozruchy chłopskie występują, jako argument za reformą agrarną. Prawda, kontrargumenty rządu były silne... Ale wobec kryzysu państwowego, represye nie wystarczą na długo. Najbardziej demoralizują wojsko właśnie odgłosy rozruchów agrarnych i wieści o ich tłumieniu; składa się ono bowiem z synów włościańskich przeważnie. Wojna i zamieszki zdemoralizowały armię, wywołały w niej rozkład. Przy tłumieniu rozruchów agrarnych we wsi rosyjskiej, nie można już być całkowicie pewnym wojska.

Za czasów Plehwego rząd rozszerzył na całą Rosyę instytucye strażników wiejskich, dawniej już wprowadzoną w Królestwie. Mieli oni gwarantować spokój wsi, dziś jednak sami spokoju nie znają i pod presyą chłopów w wielu miejscowościach Rosyi podają się do dymisyi.

Rosya przeżywała wielokrotnie rozruchy chłopskie znacznych rozmiarów. Najznaczniejsze—nie mówię o dawnych „Pugaczowszczyznach“ przypadły na r. 1862 wobec zamętu, wywołanego przez reformę włościańską 1861 r., nie wywołały one jednak przeobrażeń w przyjętych zasadach reformy agrarnej. Uspokojenie się włościan nastąpiło, gdy przekonali się o nieskuteczności rozruchów. Ruchy rolne z przed 1861 przyczyniły się jednak w znacznej mierze do reformy włościańskiej z 1861 r. W 1854 i 1855 rozszerzyły się one na gub. Riazańską, Włodzimierską, Niżnienowogrodzką, Tambowską, Penzeńską, Saratowską, Symbirską, Woroneską i Kijowską. W ciągu następnych lat kilku rozruchy chłopskie zdarzały się w licznych miejscowościach. Historycy zniesienia pańszczyzny w Rosyi twierdzą, że obawa przed ekscesami chłopskiemi zniewoliła wielu przedstawicieli szlachty rosyjskiej, zasiadających w komitetach, przystać, a nawet pożądać reformy. Owoż zwolennicy nadziału uzupełniającego radzi są rozruchom chłopskim, gdyż sądzą, że skłonią one do likwidacyi wielkie gospodarstwa i wykup przez państwo stanie się rzeczą popularną.

Ten fakt, że i prawica *Dumy* rosyjskiej z hr. Heydenem na czele, zgadza się na nadział uzupełniający w wielu wypadkach, mówi o niezupełnej bezzasadności owej idei. Trzeba to, ma się rozumieć, przyjąć z pewnem ograniczeniem. Trzeba, aby niebezpieczeństwo dla mienia właścicieli ziemskich było już bardzo wielkie, jeżeli mają się zgodzić na odstąpienie dóbr za jakieś 30—40% ich wartości, gdyż wobec 21 miliardowego długu państwowego, który już ma Rosya, i wobec tendencyi do wzrostu długów państwowych, papiery indemnizacyjne będą stały nie wyżej 30—40% a mogą spaść niżej nawet. Nadział uzupełniający zarysowywa się w oczach wielu, jako przesypanie ziemią wybuchającego na wsi pożaru. Nadział odbędzie się—chłop się uspokoi, a przez to uratowane będą większe posiadłości ziemskie. Lecz gdzie zasada, na mocy której ma być dokonany ów nadział, któraby więc normowała jego rozmiary. Całkiem co innego działo się przy znoszeniu stosunków pańszczyźnianych, tam dzielono między szlachcicem a chłopami ziemię, która była we wspólnem posiadaniu, którą rozrządzał szlachcic nieraz z ograniczeniem, odnośnie do gruntów chłopskich, jak np. w Królestwie Polskiem od r. 1846, lecz która była w poglądach chłopów i niechłopów własnością wspólną szlachcica i chłopa; na własności tej leżały pewne zobowiązania pierwszego względem drugiego, np. zobowiązanie do zapomogi w razie nieurodzaju lub pożaru. Chłop pańszczyźniany posiadał też prawo historyczne do gruntu uprawianego przezeń i przez jego przodków, do gruntu, wydzielonego mu faktycznie w dziedzictwo. Oddanie gruntu tego włościanom z indemnizacyą na rzecz dziedzica, było to naturalnem rozwiązaniem kwestyi. Zasada nadziału i rozmiar jego leżały w naturze stosunków. Dziś mamy całkiem coś innego. Mamy wielkie i drobne posiadłości wzajem od siebie odseparowane. Podział gruntów chłopskich, odbywający się peryodycznie w gminie (obszczynie) rosyjskiej wyłania i czyni popularną wśród chłopa rosyjskiego ideę generalnego podziału gruntów.

Na obu zjazdach wszechrosyjskich nie byli obecni albo nie zabierali głosu przedstawiciele zagrodowej Rosyi, a tembardziej krajów o drobnej własności prywatnej, pisze p. Groman we wstępie do referatu o drugim wszechrosyjskim zjeździe chłopskim. Co zaś do samej zasady nadziału, to delegaci chłopscy, czyli najbardziej *uświadomieni chłopi*, wyrażali optymistyczną zasadę: „Ile trzeba, tyle dostań," jak mówił delegat gub. Włodzimierskiej. Chłopi nie mają pojęcia o ilości ziemi, którąby mogła pójść do podziału. Operowanie wielkiemi cyframi, chociażby powiatu, przerasta niedyscyplinowane władze umysłowe chłopa. Wie on, że

ma ziemi mało, w pobliżu zaś leży wielki majątek szlachecki. Stosunek obszaru tego majątku do swego gruntu on sobie uprzytomnia, stosunek obszaru gruntów wielkiej posiadłości do wsi chłopskiej, stosunek ilościowy pierwszej kategoryi ludności do drugiej, są to rzeczy dlań niezrozumiałe. Stąd pożądliwość chłopska co do ziemi nasycić się nie da nadziałem pewnej ilości bezrolnych i małorolnych. Parcie masy chłopskiej może być olbrzymie, tembardziej, że mowy i uchwały w Dumie sankcyonują w oczach chłopów ich chęć zawładnięcia ziemią.

Widzieliśmy, że wśród chłopów gub. Saratowskiej obok, że tak powiem, rewolucyi agrarnej, spotykano i kontrrewolucyę, której nosicielami byli chłopi zamożniejsi. Włościaństwo nie jest jednolitą masą społeczną; nawet tam, w Rosyi, gdzie istnieje obszczyna, wyłoniła się na wsi grupa chłopów zamożniejszych z pośród ogólnego tła nędzy chłopskiej. Chłopi ci, pomimo iż są nieliczni, częstokroć sterują sprawami gromady. Na Wołyniu, Podolu, na Litwie i Białej Rusi, warstwa tych chłopów jest bardziej liczną, względnie liczniejszą jest ona w Królestwie. Owoż wobec tego, że warstwa ta nic nie zyska przy nadziale uzupełniającym, a niesie on dla nich zarodek niebezpieczeństwa—wyrównywanie gruntów w przyszłości, chłopów tych można zmobilizować do walki przeciw nadziałowi uzupełniającemu drogą wywłaszczenia.

Im niższą dla danej gubernii będzie norma, poza którą chłop nie otrzyma nadziału uzupełniającego, tem liczniejszą utworzyć można będzie rzeszę przeciwników wywłaszczenia większych obszarów.

Idea nadziału uzupełniającego jest o tyle dla tej kategoryi chłopów pociągającą, o ile przedstawia się im w postaci dodatku proporcyonalnego do gruntów posiadanych. A. Jermołow, exminister rolnictwa, czyni słuszną uwagę, że zapragną nadziału nietylko małorolni, lecz również uposażeni w ziemię włościanie, nawet wcale jej nie potrzebujący, jak w latach głodu przy rozdawaniu zapomóg, bogaci chłopi, mający dziesiątki korcy na sprzedaż, domagają się energicznie wydania im zboża („*carskago pajka*“) na równi z chłopami ubogimi, cierpiącymi głód istotnie. (A. S. Jermołow. Nasz pozemielnyj wopros, str. 6).

Sprawa wywłaszczania gruntów dla nadziału, spotyka najpierw kwestyę, jaki zapas ziemi posiada Rosya w postaci gruntów państwowych, apanażów i obszarów dworskich. Ogólny obszar ziem skarbowych w Rosyi Europejskiej (z ziemią Terską i Kubańską oraz gub. Stawropolską włącznie) na mocy danych ministeryum rolnictwa i dóbr państwa z 1901 r. wynosił 112,800,000 dziesięcin, ale z tej przestrzeni do 108,024 tys. dziesięcin znajdu-

je się pod lasem, a 88,840,000 dzies. przypada na gub. północne: Archangielską, Wołogodzką i Ołoniecką; 16,270,000 dzies. w gub. Nowogrodzkiej, Permskiej i Wiackiej. Ogólną przestrzeń lasów skarbowych w pozostałych guberniach Rosyi Eur. obliczają na 13,000,000 dziesięcin, lecz z tego 6 milion. dzies. blizko przypada na lesiste gub. Kostromską, Kazańską, Ufimską, Niżnienowgorodzką, Mińską (Polesie) Wołyńską, Petersburską, Grodzieńską, w pozostałych zaś wszystkich 7 mil.—w tej liczbie około miliona w krajach Kubańskim i Terskim (lasy górskie). Część przestrzeni leśnych w guberniach północnych i północno-wschodnich przy znacznych kosztach może być obrócona na kulturę rolną, łąki i pastwiska, w guberniach środkowych, południowych, południowo-wschodnich i południowo-zachodnich czynić tego nie należy. Stąd ziemie leśne w tamtych guberniach nie nadają się do nadziałów, gdyż jak uczy doświadczenie, oddanie lasów w nadział chłopom, pociąga za sobą wytrzebienie, na czem najbardziej cierpią interesy tejże ludności. Lasy zachowuje najlepiej skarb państwa.

Z wyjątkiem lasów jest jeszcze w posiadaniu skarbu w Rosyi Europejskiej 4,200,000 dziesięcin ziemi skarbowej, ale stąd odjąć trzeba znaczną część ziem, które mogą służyć celom gospodarczym, tylko jako sianożęcie i pastwiska, przestrzenie piaszczyste, grunta słone, bezwodne, niezdatne pod kulturę i zaludnienie. Ziem takich w samej gubernii Astrachańskiej liczą około stu tysięcy dziesięcin, niemało jest ich w południowej części gub. Samarskiej w gub. Taurydzkiej i innych. Przestrzeń ogólną ziem tych oblicza Jermołow na $\frac{1}{2}$ miliona dziesięcin. Pozostaje więc 3,700,000 dzies. Lecz grunta te są rozłożone na całej przestrzeni Rosyi nierównomiernie.

W gub.	Samarskiej	1,400,000 dzies.
„	Chersońskiej	311,500 „
„	Saratowskiej	222,300 „
„	Taurydzkiej	205,000 „
„	Ekaterynosławskiej . . .	90,000 „
„	Charkowskiej	77,000 „
„	Tambowskiej	68,000 „

W innych zaś guberniach bardzo niewiele. Np. w Połtawskiej 3607, w Tulskiej 746, Kurskiej—190 dziesięcin, a są to właśnie gubernie, w których brak ziemi najbardziej się daje we znaki chłopom. Na terenie dawnej Rz-tej, której $\frac{1}{3}$ stanowiły dobra koronne, edukacyjne, klasztorne, zostały one w znacznej mierze zmarnowane, porozdawane generałom rosyjskim. Najwięcej ziemi skar-

bowej oraz różnych instytucyj posiada gub. Mińska ze względu na puszczę Białowieską.

Gubernie:	Ziemia skarbu i apanaży	Innych instytucyj
	tys.	dzies.
Mińska	893	77
Mohilewska	121	69
Witebska	204	47
Wileńska	385	30
Grodzieńska	484	61
Kowieńska	200	29
Wołyńska	593	145
Podolska	159	147

Królestwo liczy ziemi skarbowej 669 tys. dziesięcin.

Ziemie te, których $^{9}/_{20}$ stanowią lasy, bezwarunkowo nie mogą odegrać rozstrzygającej roli w załatwieniu kwestyi agrarnej.

Znany statystyk rosyjski Kaufmann dał próbę obliczenia, ile potrzeba byłoby ziemi dla doprowadzenia jej do norm 1861 roku. To samo uczynili profesorowie Czuprow, Den, Manuiłow i inni. Wszyscy oni jednak, wobec luk rosyjskiej statystyki, zniewoleni byli operować przestarzałym materyałem statystycznym, dochodzić do odpowiednich danych na mocy szacowania.

Statystyka rosyjska nie posiada wszystkich danych o dzisiejszym lub przynajmniej wczorajszym podziale własności. Dlatego to badacze rosyjscy zwracają się do statystyki własności ziemskiej na podstawie badania z 1877 r., czasami zaś do badań z 1887 r., które pod wieloma względami ustępują pierwszym. Każdy z tych statystyków otrzymał cyfrę ludności rolniczej w 1905 r. drogą szacowania, gdyż najświeższe dane w kwestyi rzeczonej były zaczerpnięte z rezultatów spisu jednodniowego, t. j. były nietylko przestarzałe, ale nie ścisłe, w chwili bowiem spisu znaczna część ludności wiejskiej szukała, jak zawsze przez zimę, po miastach tymczasowych zarobków.

Podług obliczeń Kaufmanna dla uzupełnienia nadziałów włościańskich do wyższych norm 1861 r. brak 73 mil. dziesięcin. Po oddaniu chłopom wszystkich ziem skarbowych i apanażów, ów deficyt wynosić będzie 67 mil. dziesięcin, gdy więc grunta wielkiej własności obliczają w tych guberniach na 39 mil. dzies., brakuje 28 mil. dzies. Tylko w guberniach Taurydzkiej, Chersońskiej, Symbirskiej, Samarskiej i Petersburskiej wielka własność wraz z własnością rządową pokrywa całkowicie nadział włościański.

Najbardziej optymistycznemi obliczeniami były prof. Czuprowa, który przyszedł do wniosku, że dość połowy własności wielkiej dla uzupełnienia nadziałów chłopskich do norm 1861 r., gdyż podług obliczeń jego dość podzielić między bezrolnych i małorolnych 35,6 mil. dzies. dla osiągnięcia normy powyższej. Wśród licznych, bijących w oczy błędów metodycznych obliczenia, spotykamy u Czuprowa nieuwzględnienie przyrostu ludności od 1897 r. t. j. niemal w ciągu 10-lecia. Owóż Den przyjmuje dane Czuprowa z wprowadzeniem poprawek najniezbędniejszych i oblicza, że włościanie winni otrzymać 46.4 mil. dzies., uwzględniając naturalny przyrost ludności od 1897 do 1904 r., jako 12,14% oraz ludność włościańską, która podczas spisu 1897 r. znajdowała się w miastach.

Obliczenie Kaufmanna jest ściślejsze. Obliczył on ludność włościańską w 1904 r. na mocy danych komisyi Centrum i przyrostu ludnościowego w różnych kategoryach własności rolnej od 1857—78 r. Kaufmann brał pod uwagę ludność przypisaną do gmin, bez względu na jej zamieszkanie, na wsi czy w mieście, co bezwarunkowo zwiększało nadmiernie cyfrę osób, mających korzystać z nadziału; uwzględnienie jednak w pewnej mierze ludności włościańskiej po miastach jest niezbędnem, gdyż znaczna część robotników rosyjskich, są to związani z rolą chłopi, którzy w razie przyjęcia zasady nadziału małorolnych i bezrolnych, pretendowaliby do owego nadziału.

Statystyka zawodowa rosyjska czeka jeszcze na opracowanie, w braku więc danych dla większej jednostki gospodarczej, prowincyi, zapożyczamy dane z pracy Szestakowa: „Robotnicy i rękodzielnicy Kompanii Emil Zindel“ (Moskwa 1900):

Porzucających fabrykę podczas robót rolnych w polu 11,9%
Nieporzucających podczas robót polnych, lecz prowadzących gospodarkę przy pomocy rodziny. . . . 61,4%
Nieprowadzących gospodarki samodzielnej, lecz oddających grunt w dzierżawę. 12,3%
Nieposiadających gruntu na wsi. 10,8%

Danych tych nie można bezwarunkowo uważać za ogólne dla całej Rosyi, a nawet dla całego okręgu moskiewskiego; przedsiębiorstwa, wymagające bardziej ukwalifikowanego robotnika, mają i tam używają wyłącznie niemal robotników, którzy oddawna zerwali związek z ziemią, nie ulega jednak wątpliwości, że nadział uzupełniający wywołałby powrotną falę wędrówki z miasta na wieś.

Chociaż sprawa nadziału uzupełniającego jest nader popularną w Rosyi i znajdowała większość wśród kadetów rosyjskich,

nie mówiąc już o większości Dumy, nie posiada statystyka rosyjska zadawalających swą pewnością danych, ile niezbędnie potrzeba ziemi dla uwłaszczenia włościan podług norm 1861 r., czy należałoby użyć wszystkich, czy tylko połowy gruntów wielkiej własności.

Wobec tego, że statystyka rosyjska w kwestyi agrarnej jest niewystarczającą, przestarzałą, każdy inny parlament rozpocząłby nie od wniosków, dotyczących samego już rozwiązania tej kwestyi, ale od organizacyi statystyki agrarnej, ankiet agrarnych i t. d.

Postępowałaby tak Izba, zajęta pracą prawodawczą, pracą reform organicznych. Ale Izba, zaabsorbowana walką o swój byt i przewagę nad instytucyami innemi, uczynić tego nie mogła, ona rzucała tylko hasła bojowe w celu mobilizacyi mas. Jednem z tych haseł było uzupełniające uwłaszczenie włościan, wywłaszczenie wielkiej własności.

*

* *

W adresie Dumy państwowej, będącym odpowiedzią na mowę tronową, a zawierającym z natury rzeczy program Izby, spotykamy już ustęp o dodatkowym nadziale i wywłaszczeniu własności prywatnej: „Najbardziej liczna część ludności — pracujące włościaństwo z niecierpliwością czeka zaspokojenia swej dotkliwej potrzeby ziemi i pierwsza Duma rosyjska nie spełniłaby swej powinności, gdyby nie wypracowała prawa dla zaspokojenia tej nieodbitej potrzeby, używając w tym celu ziem skarbowych, apanażów, gabinetu, klasztorów i przymusowego wywłaszczenia ziem właścicieli prywatnych.“

Rzecz dziwna, za adresem, a więc za ową zasadą, głosowali posłowie polscy z Litwy i z Rusi, głosowali posłowie polscy z Królestwa, jakkolwiek ostatnich od głosowania winnaby była wstrzymać chociażby ta okoliczność, że nad ich żądaniem włączenia do adresu sprawy autonomii Królestwa, komisya adresowa, a za nią Izba, przeszły do porządku dziennego.

21 (8) maja 1906 r. na posiedzeniu Dumy sekretarz jej odczytał wniosek agrarny, zawierający postulaty następujące:

1) „Zwiększenie ilości ziemi, będącej w użytku uprawiającej ją ludności t. j. bezrolnych i małorolnych włościan oraz innych kategoryj rolników, gruntami państwowemi, dworu i gabinetu,

cerkiewnemi i drogą przymusowego wywłaszczenia w tym celu na koszt państwa, w rozmiarach potrzebnych ziem prywatnych właścicieli z wynagrodzeniem właścicieli dzisiejszych według słusznej oceny, t. j. odpowiednio do normalnych dla danej miejscowości dochodów przy warunkach samodzielnie prowadzonej gospodarki, bez brania pod uwagę cen dzierżawnych, stworzonych przez brak ziemi.

2) „Wywłaszczone ziemie zaliczone są do państwowego zapasu ziemskiego. Zasady, na mocy których ziemie z tego zapasu oddawane są ludności potrzebującej jej, winny być ustanowione odpowiednio do właściwości własności i użytkowania ziemi w różnych prowincyach Rosyi.

Uznając za przewodnią zasadę polityki agrarnej — oddanie ziemi do rąk pracujących, uważamy, że zasady powyższe mogą być rozwinięte w sposób następujący:

I. Prawo do rozszerzenia użytkowania ziemi przyznać należy małorolnym i bezrolnym rodzinom rolniczym, prowadzącym gospodarkę na ziemiach tak nadziałowych, jak należących do nich w charakterze własności prywatnej. Tam, gdzie istnieje specyalna klasa bezrolnych robotników wiejskich, ci ostatni będą zaopatrzeni w ziemię na zasadach ogólnych. Przepisy specyalne określają udzielanie gruntów rodzinom, które zaniechały prowadzenia gospodarki wskutek małorolności, jeżeli zechcą one odtworzyć własną gospodarkę. Miejscowym instytucyom urządzającym winno być pozostawione wszczynanie spraw o zmianę kategoryi osób, które stosownie do okoliczności miejscowych, winny być zabezpieczone ziemią.

II. Dla każdej miejscowości (gubernii, okręgu, powiatu lub jego części) winien być ustanowiony rozmiar normalny zaopatrzenia w ziemię, do którego, przy istniejącym zapasie ziemi i biorąc pod uwagę możliwe dobrowolne wysiedlenie się, winna być doprowadzona ilość gruntów w ręku ludności rolniczej. Uznanem jest przytem za pożądane doprowadzenie rozmiarów zaopatrzenia do normy konsumcyjnej, t. j. do takiej ilości ziemi, która względnie do warunków miejscowych z przyjęciem pod uwagę innych zarobków i dochodów, gdzie takowe istnieją,—byłaby dostateczną do pokrycia przeciętnych potrzeb w spożyciu, mieszkaniu, odzieży i niesienia powinności. Obliczenie normy ziemi robione jest na jednostkę konsumcyjną.

III. Zaopatrzeniu w ziemię, w rozmiarach wskazanych, winni podlegać ci rolnicy, którzy albo wcale nie mają nadziałowej lub własnej ziemi, albo mają ją w normie mniejszej od ustanowionej dla danej miejscowości.

IV. Na wytworzenie zapasu państwowego, jak już było powiedziane, oprócz ziem państwowych, apanażowych, gabinetowych, cerkiewnych, klasztornych, winny iść również grunta wywłaszczone przymusowo od posiadaczy prywatnych, poszczególnych osób i instytucyj.

V. Przy wywłaszczeniu gruntów właścicieli prywatnych należy ustanowić zasadę następującą:

a) bez żadnego ograniczenia winny być wywłaszczone wszystkie grunta, zwykle do 1-go stycznia 1906 r. oddawane w dzierżawę za pieniądze, na część lub na odrobek, a także grunta uprawiane przeważnie inwentarzem chłopskim oraz grunta nieuprawne, ale uznane za zdolne do uprawy. Oprócz tego dla każdej miejscowości prawo winno określić wyższy rozmiar ziemiowładania przy warunkach gospodarki rzeczywiście własnej (inwentarz własny) t. j. ustanowić maksymalną normę posiadania ziemi; wszystko, co się okaże powyżej tej normy, ulega wywłaszczeniu bez wszelkich ograniczeń.

b) Grunta, nie przewyższające rozległością normy maksymalnej i uprawiane za pomocą inwentarza własnego winny również ulegać wywłaszczeniu przymusowemu, jeżeli miejscowa ludność rolnicza nie może być dostatecznie zaopatrzoną z innych gruntów tej miejscowości, albo jeżeli wywłaszczenie jest niezbędnem dla usunięcia szkodliwej szachownicy i innych ważnych braków w rozmieszczeniu nadziałów i składzie ich gruntów.

a) Nie ulegają wywłaszczeniu:

1) Niewielkie posiadłości, nie przewyższające normy pracy, określonej podług warunków miejscowych.

2) Pastwiska miejskie, a także grunta, należące do małych miasteczek, ziemstw, zakładów naukowych i dobroczynnych instytucyj, o ile służą bezpośrednio do celów społeczno-sanitarnych, naukowych i t. p.

3) Grunta pod domostwami, ogrodami owocowymi i warzywnymi (prócz oddawanych w dzierżawę), zasiewy leśne, winnice, chmielniki, szkółki i t. p. z wyjątkiem jednak wypadków, gdy wywłaszczenie tych gruntów jest niezbędnem do usunięcia szkodliwej szachownicy.

4) Grunta, na których zbudowane są zakłady fabryczne lub rolniczo-przemysłowe, t. j. grunta, dla nich niezbędne technicznie, znajdujące się pod zabudowaniami, składami i t. p. Ale grunta, służące do zaspokojenia potrzeb gospodarczych tych przedsiębiorstw, winny ulegać wywłaszczeniu narówni z innemi, lecz z usta-

nowieniem pewnego porządku i stopniowego przejścia ich do państwowego zapasu ziemi.

5) Posiadłości gruntowe, które przez centralną (sic!) instytucyę urządzającą uznane będą za niezbędne do zachowania ze względu na ich charakter wyjątkowy i korzyść społeczną.

VI. Grunta z zapasu państwowego oddawane są do użytkowania długoterminowego, na czas, ustanowiony przez instytucye odpowiednie, bez prawa odstępowania wtórnego. Za wszystkie owe grunta, oddane z zapasu państwowego, pobierana jest opłata, której rozmiar określa dochód z ziemi odpowiednio do planu ogólnego opodatkowania ziemi.

VII. Z państwowego zapasu ziemi oddaje się do użytkowania grunta najpierw miejscowej małorolnej i bezrolnej ludności,— prawo określa, co rozumieć pod ludnością miejscową. Po zaspokojeniu potrzeb ludności miejscowej, pozostałe wolne grunta państwowego zapasu ziemi przeznaczają się dla kolonistów, którzy nie zostali zaopatrzeni dostatecznie w ziemię w miejscowości dawnego zamieszkania.

VIII. W miejscowościach, obfitujących w lasy, mogą iść na zaopatrzenie w ziemię rolników lasy, nieposiadające znaczenia ochronnego. Lasy w innych miejscowościach pozostają do rozporządzenia państwa w rozmiarach, odpowiednich do potrzeb ludności. Porządek zaopatrzenia ludności w materyał leśny z tych lasów określają przepisy specyalne.

IX. Ustanawiając zasady ogólne reformy agrarnej, prawo pozwalać winno na to, by instytucye miejscowe zwracały się z propozycyami pewnych zmian w tych normach odpowiednio do warunków miejscowych, lecz zachowując niewzruszenie zasadę reformy — trwałe zaopatrzenie w ziemię ludności rolnej drogą wywłaszczenia przymusowego.

X. Prawo winno ustanowić system i porządek instytucyj centralnych i lokalnych do przygotowania i przeprowadzenia reformy agrarnej. Instytucye te winny przystąpić do zbierania i opracowywania niezbędnych materyałów, kierując się normami, ustanowionemi przez prawo, łącznie z ludnością miejscową.

Wnioskodawcy proszą o wybór komisyi z 33 członków, dla roztrząśnięcia i wniesienia do Dumy projektu sprawy agrarnej, proszą o oddanie tego wniosku do komisyi.

Podpisani: 1) W. Jakuszkin, 2) A Medwiediew, 3) W. Janowskij, 4) M. Kommissarow, 5) G. Kostrominow, 6) Ks. P. Dołhorukow, 7) P. Postowcew, 8) Miklaszewskij, 9) Z. Nowosilcow, 10) A. Wiazłow, 11) A. Sadurin, 12) Mikieszin, 13) Imszenieckij, 14)

J. Szczepkin, 15) A. Chartochej, 16) Bałachencew, 17) P. Owczinikow, 18) P. Safonow, 19) A. Tokarskij, 20) A. Saweljew, 21) G. Szelgorn, 22) M. Hercensztein, 23) P. Kryłow, 24) I. Prisieckij, 25) M. Lebediew, 26) A. Popow, 27) P. Tołstoj, 28) W. Bałasnikow, 29) N. Szirkin, 30) L. Sicinskij, 31) P. Kirilenkow, 32) I. Zamysłow, 33) Z. Frenkel, 34) T. Sztejngel, 35) A. Swieczin, 36) N. Mietelnikow, 37) D. Protopopow, 38) W. Dołżenkow, 39) Jollos, 40) Mich. Petrunkiewicz, 41) Ks. Szachowskij, 42) Maslennikow.

Widzimy, że z wybitnych k-dów, dawnych działaczy ziemskich, podpisali ów projekt: W. Jakuszkin, ks. P. Dołhorukow, Petrunkiewicz i ks. Szachowskij.

1 czerwca (19) maja Duma państwowa otrzymała projekt agrarny trudowików, brzmienia następującego:

§ 1. Prawodawstwo agrarne winno dążyć do tego, aby ustanowić takie porządki, przy których wszystka ziemia z jej wnętrzem i wodami należałaby do całego narodu: przytem grunta niezbędne do gospodarki wiejskiej mogłyby tylko tym być oddawane, kto będzie je obrabiał pracą własną. Wszyscy obywatele winni mieć równe prawo do korzystania z nich.

§ 2. W tym celu winien być utworzony społeczny zapas ziemi, do którego winny wejść wszystkie grunta skarbowe, apanaże, gabinetowe, klasztorne i cerkiewne, do tego zapasu winny być włączone przymusowo grunta właścicieli ziemskich, o ile rozmiary posiadłości poszczególnej nie przenoszą ustanowionej dla danej miejscowości normy pracy.

§ 3. Grunta nadziałowe oraz posiadłości prywatne, nie przenoszące normy pracy, pozostają w ręku teraźniejszych ich posiadaczy, ale winny być przyjęte środki prawodawcze do zapobieżenia skupieniu w jednym ręku gruntów powyżej normy pracy i zabezpieczenia stopniowego przejścia ich na własność społeczną.

§ 4. Wynagrodzenie za grunta wywłaszczone przymusowo, ustępowane dobrowolnie do społecznego zapasu ziemi winno odbywać się na koszt państwa. Rozmiar tego wynagrodzenia oraz wypadki wywłaszczenia bez wynagrodzenia, będą określone nie wcześniej, jak po omówieniu sprawy całej reformy agrarnej przez lud na miejscu (Patrz § 18).

§ 6. Wnętrze ziemi i wody, o ile nie były dotąd eksploatowane przez ich właścicieli, winny być uznane za własność społeczną narodową. Porządek ich oddania do eksploatacyi instytucyom i osobom prywatnym winien być ustanowiony przez ustawy specyalne.

§ 7. Porządek przejścia na własność społeczną wnętrza ziemi i wód, które już są eksploatowane, a także gruntów, znajdujących się pod zakładami przemysłowemi i miastami, winien być uregulowany ustawą specyalną, zanim przejdą one na własność społeczną, prawa właścicieli do przyrostu wartości, o ile to zależy nie od pracy i kapitału, lecz od warunków społecznych, winny być ograniczone.

§ 8. Z zapasu społecznego wydzielane są najpierw grunta niezbędne na potrzeby państwowe i społeczne, przechodzą one w zawiadywanie instytucyj społecznych i państwowych.

§ 9. Pozostała ziemia, o ile takowa użyta być może do gospodarki wiejskiej, oddaje się do użytkowania wszystkim, pragnącym ją obrabiać własną pracą, przytem pierwszeństwo ma ludność miejscowa nad przybyłą, rolnicza nad nierolniczą. W każdym razie każdy pracujący ma prawo do otrzymania siedziby w miejscowości, w której mieszka i do nadziału w tej miejscowości, gdzie są ziemie wolne.

§ 10 Udzielenie ziemi ze społecznego zapasu odbywa się w granicach normy pracy, jeżeli przytem po nadziale pozostanie jeszcze ziemia, to znajduje się ona w zawiadywaniu instytucyj państwowych lub społecznych, jako zapas na potrzeby społeczne albo na wypadek przyrostu miejscowej ludności, oraz na nadziały kolonistów z innych miejscowości.

§ 11. Jeżeli w danej miejscowości nie wystarczy ziemi na nadziały dla całej ludności rolniczej, to wszyscy, mający mniej normy spożywczej, otrzymują prawo przesiedlenia się na koszt państwowy do tych miejscowości imperyum, gdzie jest nadmiar ziemi.

§ 12. W razie zmiany warunków gospodarczych miejscowości zmienioną być może ustanowiona dla niej norma pracy i zjawiający się u poszczególnych gospodarzy nadmiar ziemi ulega wywłaszczeniu. Również przy zmianie warunków ulega zmianie i norma konsumcyjna, w zależności od której pozostawać będzie również prawo przesiedlenia się na koszt państwowy.

§ 13. Grunta otrzymane z zapasu społecznego winny być, w razie zaniechania gospodarki lub zmniejszenia jej rozmiarów, zwrócone, państwo zaś wypłaca wartość wszystkich melioracyj dokonanych, lecz nie wyzyskanych jeszcze. Odstąpienie drogą prywatną ziemi, pochodzącej z zapasu społecznego, jest zakazanem.

§ 14. Ci, którzy otrzymali grunta z zapasu społecznego, opłacają specyalny podatek ziemski, który winien być ustanowiony odpowiednio do jakości położenia i obszaru gruntu.

§ 15. Ci, którzy otrzymali grunt z zapasu społecznego, a nie posiadają środków do zaopatrzenia się we wszystko niezbędne przy gospodarce, winni otrzymać pomoc na koszt państwa w formie zapomóg i zaliczek.

16. Zawiadywanie zapasem społecznym z wyjątkiem gruntów, mających znaczenie ogólno-państwowe, winno być oddane w ręce samorządów miejscowych, wybranych na mocy powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania, a działających samodzielnie w zakresie, ustanowionym przez prawo.

§ 17. Do czynności przygotowawczych w sprawie reformy agrarnej i do uregulowania stosunków gospodarczych w okresie przejściowym winny być ustanowione w ciągu okresu tego miejscowe komitety gubernialne, powiatowe i gminne (albo inne, stosownie do warunków miejscowych). Komitety winny być wybrane na zasadzie powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania.

§ 18. Komitetom powierza się:

a) organizowanie swobodne i szerokie, przy udziale całej ludności, rozważanie zasad ogólnych i wszystkich szczegółów reformy agrarnej,
b) zebranie danych co do ilości i podziału gruntów, cyfry i skład ludności potrzebującej ziemi; projektowanie norm pracy i normy spożycia, opracowanie planu reformy agrarnej zgodnie z warunkami miejscowemi,
c) ustanowienie aż do dokonania reformy cen dzierżaw, zarobku, długości dnia roboczego, regulacya stosunków między właścicielami ziemskimi a pracującymi, w razie sporów i nieporozumień między nimi.

§ 19. Organizacya komitetów miejscowych i plan ich działalności winny być określone przez prawo.

§ 20. Wybory do komitetów miejscowych, a także rozwiązanie reformy agrarnej na miejscu, winno być określone przez prawo.

Elaborat ten podpisało 104 członków Dumy, cała niemal grupa pracy. Jest on konsekwentniejszym od projektu kadetów. Rosya przeobraża się w jedną „obszczynę“ typu wielkorosyjskiego, złożoną z „obszczyn.“ Postęp techniczny przyniesiono w ofierze zasadzie zrównania ekonomicznego. Postępowi rolnictwa danej miejscowości, polegającemu na zwiększeniu natężenia, stanęłaby na zawadzie okoliczność, że pociągałoby to zmniejszenie norm pracy, owej maksymalnej miary nadziału, stąd prowadziłoby do uszczuplenia rozmiaru gospodarstw.

Projekt trudowików oświadcza wyraźnie, że pragnie skończyć z prywatną własnością ziemską. Projekt kadetów pragnie doprowadzić grunta małorolnych do pewnych norm i udzielić ziemi bezrolnym, co wobec obliczeń Kaufmanna zniweczyłoby wielką własność. Następnie, projekt kadetów jest za wywłaszczeniem nietylko w celu bezpośredniego zaspokojenia włościan, lecz i w celu stworzenia zapasu ziemi, a co najważniejsze, gdyby nawet, jak twierdzi prof. Czuprow, połowa posiadłości wielkich właścicieli pozostała po uzupełniającem wywłaszczeniu, ów eksperyment musiałby być powtarzany aż do skutku, aż do zaniku wszelkiej większej własności.

Projekt trudowików nie ma zamiaru liczyć się z przemysłem wiejskim, projekt kadetów nie wyłącza od uwłaszczenia gruntów, służących do zaspokojenia potrzeb gospodarczych wielkich zakładów, stąd szachuje cukrownie, ale stawia te ziemie na dalszym planie wywłaszczenia, szuka jakby kompromisu z interesami techników.

Projekt kadecki czyni wolnem od wywłaszczenia wzorowe gospodarstwa, mówiąc (§ 5) „nie podlegają wywłaszczeniu posiadłości gruntowe, które uznane będą przez centralne instytucye urządzające za niezbędne dla zachowania, wskutek ich wyjątkowego znaczenia społecznego.“ Charakterystycznem jest, że projekt kadetów powierza to nie lokalnym instytucyom samorządnym, ale centralnym. Nosi on wogóle charakter bardziej centralistyczny, niż projekt trudowików. Pierwszy może iść w parze z kapitalistycznemi przedsiębiorstwami rolnemi państwowemi, z nowym monopolem rolnym państwa, drugi oparty jest na gminach i organach samorządu lokalnego.

Projekt kadetów stawia, jako warunek wywłaszczenia, odpowiednie wynagrodzenie właścicieli ziemskich, projekt trudowików sprawę wynagrodzenia odsuwa aż do załatwienia kwestyi w komitetach miejscowych, przypuszcza przy tem wypadki wywłaszczenia bez odszkodowania. Wywłaszczenia bez odszkodowania większej własności domagają się socyaliści-rewolucyoniści rosyjscy, którzy urabiali grupę pracy i są głównymi sprawcami awantur agrarnych.

Zatrzymujemy się szczegółowo na projektach reformy agrarnej, wniesionych do Dumy, gdyż przez fakt rozwiązania Dumy, nie zostały one pozbawione znaczenia politycznego. Będą one osią walki wyborczej przy najbliższych wyborach. Oprócz tego te kierunki myśli społecznej i politycznej w Rosyi, które wyłoniły owe projekty, nie zanikły wraz z rozwiązaniem Izby państwowej, tkwiąc głęboko w psychologii społeczeństwa rosyjskiego.

Oderwana od gruntu realnego przez brak możności oddziaływania nań, myśl inteligencyi rosyjskiej chwytała chciwie produkty myśli zachodnio-europejskiej. Przytem idąc w kierunku najmniejszego oporu, weszła nie w dziedzinę wolności jednostki, poszanowania jej praw, nie w dziedzinę indywidualizmu i politycznego liberalizmu, lecz w dziedzinę kierunków socyalistycznych. Kierunki socyalistyczne w Rosyi nie mogły się przejawić, jako czynnik polityki społecznej, były tylko negacyą własności prywatnej, gdy inteligencya rosyjska z książki barona Haxhausena o istnieniu „obszczyny“ w Rosyi—polegającej na peryodycznych podziałach gruntów chłopskich—przyszła do przekonania, że Rosya jest bliższa ustroju socyalistycznego, niż zachód, na którym ciąży, jakby grzech pierworodny, pojęcie prawa rzymskiego.

„Odrywając się od Rosyi, Polska odrywa się od nowego życia“—pisał Hercen w 1861 r., lecz niech się stanie jej wola. Inni publicyści rosyjscy nie okazywali tego liberalizmu względem Polski, co Hercen, dla nich wyższość form własności rosyjskiej—ów dogmat ich myślenia społecznego—służył do ideologii rusyfikacyi. W publicystyce rosyjskiej wyrażano żal, że Milutin nie zaprowadził „obszczyny“ w Królestwie Polskiem.

W dziewiątym lat dziesiątku toczyli spór marxiści z narodnikami Rosyi. Pierwsi dowodzili, że „obszczyna“ nie jest bynajmniej nosicielką lepszej przyszłości, ale jest zabytkiem barbarzyństwa, tamującym rozwój kultury, czemś, co musi być z fatalną koniecznością zniesione przez rozwój kapitalizmu w Rosyi. Inni tkwili w dawnej ideologii obszczyny. Zdawało się, że narodnicy zostali pobici na głowę, jednak poglądy ich, będące podstawą kierunku socyalistów-rewolucyonistów Rosyi odbiły się w programach partyj rosyjskich, w akcyi parlamentarnej.

Projekty, które miały zmobilizować chłopów, zaszachowały wielką własność, mającą kontakt z kamarylą dworską, i były przeszkodą w dojściu k-dów do władzy. Projekt wywłaszczenia, będąc awanturą ekonomiczną i finansową, zagraża i tak już opłakanym finansom Rosyi, stąd też znajduje znaczniejszy opór u rządu, niż można byłoby przypuścić z jego tradycyjnego stosunku do własności.

Zrealizowana reforma agrarna w Rosyi wedle projektu kadetów, musi wywołać obawę wzmocnienia liczebnie armii biurokratycznej, zwiększenia władzy rządu nad społeczeństwem. Wobec tej obawy socyalni demokraci rosyjscy wysunęli z inicyatywy Kautskiego, jednego z najwybitniejszych teoretyków socyalnej demokracyi niemieckiej, postulat, by dokonywanie reformy agrarnej

na miejscu oraz zawiadywanie sprawami rolnemi powierzono organom samorządu lokalnego, obranym na mocy formuły czteroczłonkowej. Nie jest to jednak bynajmniej gwarancya przed zbytnią przewagą państwa, gdyż wobec określenia zasad reformy przez państwo, będzie ono utrzymywało kontrolę nad całą sprawą agrarną. Państwo na mocy własnego suwerenetetu będzie mogło w każdej chwili zmienić, uszczuplić kompetencyę organów samorządu lokalnego. W rezultacie reformy agrarnej „grupy pracy“ znalazłoby się gminne władanie pod kontrolą władz w rodzaju *ziemskich naczelników*. Przed kilkunastu laty w wielu miejscowościach Rosyi *ziemscy naczelnicy* zaprowadzili na cząstce gruntów gminnych uprawę społeczną, t. zw. „*obszczestwiennyja zapaszki*,“ co wywołało protesty chłopskie, dochodzące do rozruchów. Biurokracya rosyjska, nie nawykła do szanowania praw jednostki tak w zakresie sfery prawa publicznego, jak i prywatnego, skłonną jest do eksperymentów komunistycznych.

Chłop wielkorosyjski, pozbawiony indywidualnej własności ziemskiej, mogący być pozbawiony przez „mir“ gruntu uprawianego, nie posiada sfery, do której inni, ów „mir“ lub *ziemski naczelnik*, stojący nad „mirem,“ nie mogliby wtargnąć, która byłaby wyłączną sferą praw jego. Brak praw w sferze prywatnej osłabia dążność do walki o prawo w sferze publicznej. Chłop wielkorosyjski jest w swych instynktach jak najbardziej obcy poszanowaniu praw jednostki.

W artykule p. S. Kotlarewskiego spotykamy odbicie poglądów analogicznych na konsekwencye reformy agrarnej. „Nie może nie wzbudzić trwogi owa chwila — czyni trafną uwagę p. S. Kotlarewskij — gdy w rękach rosyjskiej władzy państwowej znajdzie się rozrządzanie najważniejszą gospodarczą wartością kraju. Mimowoli występuje tu skojarzenie myślowe nie z Australią i Nową Zelandyą, lecz z pierwotnymi despotami wschodnimi, z peruańską monarchią Inków, z rządami Jezuitów w Paragwaju.“

Przez długi czas inteligencya rosyjska nie doceniała znaczenia form politycznych Zachodu, obecnie nastąpiła reakcya w kierunku przeciwległym. Dziś panuje w Rosyi jakaś zabobonna wiara we wszechmoc formułki: „równe, bezpośrednie, powszechne prawo wyborcze.“ Forma polityczna oparta na zasadzie powyższej jest ważnym czynnikiem zrównania, ale to zrównanie w Rosyi może nosić charakter zrównania w nędzy, w bezprawiu. Historya Francyi świadczy, że tradycye obyczajowe biurokracyi przeżywają formę rządów, gdy państwo o tradycyach biurokratycznych stanie się szafarzem ziemi i kredytu oraz wszystkiego,

bez czego jest niemożliwa produkcyjna praca rolna, gdzież tu pole dla rozwoju jednostki? Żywotny w historyi Rosyi duch hr. Arakczejewa—pisze Kotlarewskij—prawdopodobnie nie odmówiłby położenia swego podpisu pod projektem reformy agrarnej dziś występującej [1]).

„W każdym z nas jest atom Arakczejewa, jest kropla Murawjewa“ – pisał, zwracając się do rosyjskiego społeczeństwa w 1864 r. Hercen. Nie wchodząc w to, ile słowa te odpowiednie w owej chwili, są odpowiednie w dobie obecnej, twierdzimy, że w projektach agrarnych, które wyłoniły się w Dumie, były i atomy Arakczejewa i krople Murawjewa.

O atomach Arakczejewskich mówiliśmy powyżej, teraz pomówimy o kroplach Murawjewskich w projektach agrarnych. Są one przedewszystkiem narzuceniem krajom nie wielkorosyjskim reformy, opartej na projektach i ideałach, które wyrosły na gruncie „obszczyny“ wielkorosyjskiej. Są one narzuceniem krajom, wegietującym względnie pomyślnie w porównaniu do Rosyi centralnej i wschodniej, tych form własnościowych, które tam wywołały głody peryodyczne. Szachują one ekonomicznie bogatsze prowincye Rosyi.“ Wskazywało się niejednokrotnie — powiada cytowany przez nas S. Kotlarewskij – że przy bardzo nierównomiernem zaopatrzeniu włościan w ziemię w różnych miejscowościach Rosyi, reforma, oparta na zasadach państwowego zapasu ziemi, wywołałaby przesiedlenia z miejscowości bardziej zaludnionych. Gdyby chodziło tylko o stworzenie zapasu kolonizacyjnego, to przeciw temu nie należałoby oponować. Ale tu ma się na widoku coś innego i większego; pojmuje się możliwość przerzucania chłopów Kurskich do gub. Kijowskiej, Kijowskich do Samarskiej, stąd ewentualność nowej „wędrówki narodów,“ rządzonej przez instytucyę centralną, regulującą stosunki agrarne. Nie mówimy tu o perspektywie niezbędnej w tym wypadku wojny cywilnej, mówimy o wywołanym tu stanie chaotycznym całej ludności rolniczej państwa. Dobrobyt prowincyj, które stanęły na wyższym stopniu gospodarczym, będzie z konieczności obniżony do poziomu najbardziej potrzebujących, najbardziej cierpiących na ciasnotę rolną. U podstawy tego planu występuje zrównanie à tout prix, chociażby do ogólnej nędzy, która jest ciężką spuścizną rosyjskiej bezprawnej przeszłości, gdy panowało zrównanie w bezprawiu.“

Czyż to nie demokratyzm Murawjewski?

---

[1]) Swoboda i kultura № 8 str. 576.

Upaństwowienie ziemi w Rosyi jest dla nas oraz dla ludów nierosyjskich tego państwa wielkiem niebezpieczeństwem.

„Przy braku samodzielnego bytu państwowego, upaństwowienie ziemi byłoby dla nas niepożądanem. Wypartoby wówczas żywioł polski z ziemi oddawna przezeń zajętej, uczynionoby to w Niemczech i Rosyi. Zwiększenie władzy nad ziemią państw, nie będących organizacyami naszych, jeno obcych sił narodowych, dałoby możność tym państwom rozproszyć nas po całej ich przestrzeni“ (Pisaliśmy w 1900 r. „Wykład ekonomii politycznej“ str. 263).

Żywiołowi polskiemu w Królestwie, jako mieszkającemu w zwartej masie, nie zagraża takie niebezpieczeństwo, jak na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Postaranoby się wywołać kolonizacyę z Królestwa do wschodnich kresów państwa, na nawóz dla Mongołów; losem jej byłoby obniżenie się kulturalne, cywilizacyjne, nawet przy większym dobrobycie materyalnym. Konsekwencye polityczne takiej kolonizacyi uważalibyśmy za najbardziej niepożądane. Lecz o eksterminacyi żywiołu polskiego w Królestwie, a także skolonizowaniu go przez chłopów rosyjskich, mowy być nie może, chyba z wyjątkiem powiatu Zamojskiego, gdzie wywłaszczona ordynacya, zajmująca znaczną część powiatu, mogłaby być uznana za „ziemię posiadającą znaczenie państwowe“ i rozkolonizowana przez ludność rosyjską. Ale co się tyczy innych ziem Polski historycznej, liczącej przeszło 3 mil. ludności polskiej, dla nich proponowane eksperymenty agrarne byłyby klęską.

Cała historya tych ziem w ciągu ostatnich lat stu kilkudziesięciu tego dowodem.

Po pierwszym i drugim rozbiorze rozpoczęły się konfiskaty i rozdawnictwo ziemi koronnej generałom rosyjskim; to samo odbywało się po 1831 r. Wobec jednak posiadania przez Polaków prawa kupna ziemi, ziemia nabywców rosyjskich przechodziła do rąk polskich i przed 1863 r. stosunek ziemi rosyjskiej do polskiej równał się 1 do 70. Przyszły potem konfiskaty, sekwestry, przymusowa sprzedaż — przyszło to, co nosi popularną nazwę prawodawstwa Murawjewa.

Cyrkularz zawiadowcy dóbr państwa Zielonego, rozesłany zarządom Izb dóbr państwa 25 lutego (9 marca 1867 r.) poucza folwarki skarbowe w gub. zachodnich oddawać w dzierżawę wyłącznie osobom pochodzenia nie polskiego, zwłaszcza duchowieństwu prawosławnemu, starowiercom i całkiem lojalnym chłopom miejscowym. O dzierżawcach i o proponowanych przez nich warunkach zawiadamiać polecono generał-gubernatorów, którzy mieli komunikować o nich ministeryum.

D. 5 (17) marca 1864 r. wydano Zasady ulg, przywilejów i zapomóg pieniężnych, dawanych przy kupnie majątków skarbowych i prywatnych w gub. zachodnich. Z ulg tych mogli korzystać mieszkańcy wszystkich gub. Imperyum pochodzenia nie polskiego oraz nie Żydzi. Kupujący majątek, zastawiony w instytucyi kredytowej lub obciążony długiem skarbowym, mógł albo przenieść na się ów dług w rozmiarze, nieprzewyższającym wartości majątku, albo wypłacać 5% świadectwami indemnizacyjnemi i 5% renty, podług wartości nominalnej. 2) Kupujący majątek bez zapomogi albo bez przekazania długu na sumę nie mniejszą niż 15 tysięcy rb. lub z zapomogą i z przekazaniem długu na sumę nie mniejszą niż 30 tys. rb otrzymuje prawo pędzenia wódki bez względu na to, do jakiego stanu należy, a jeżeli jest kupcem 1-szej lub 2-giej gildyi, otrzymuje tytuł obywatelstwa dziedzicznego (patomstwiennawo paczotnawo graždanstwa). 3) Kupujący majątek korzysta z zapomogi rządowej, ze stworzonego na ów cel funduszu specyalnego; zapomoga ta zalicza się do opłaty ceny sprzedażnej, a następnie amortyzuje się na mocy przepisów bankowych w ciągu 37 lat za pomocą wnoszenia po 6% rocznie; w ten sposób amortyzuje się przeprowadzony na kupującego dług skarbowy.

Oprócz tego, dla wzmocnienia pierwiastku rosyjskiego rozprzedano osobom pochodzenia rosyjskiego bez licytacyi, za bezcen, pozostałe po nadziale dobra państwowe.

10 (23) grudnia 1865 r. zakazano Polakom kupna majątków w dziewięciu gub. zachodnich.

W 1887 r., następnie w 1892 i w 1895 r. wydane były prawa, skierowane przeciw własności ziemskiej cudzoziemców, wywołały one przejścia do rąk rosyjskich dóbr Hohenlohowskich (po-Radziwiłłowskich) i wielu innych.

W grudniu 1883, a raczej w styczniu 1884, wydane zostały prawa, zakazujące dzierżawy długoterminowej oraz zastawu majątków osobom pochodzenia polskiego.

Konfiskaty, przymusowa sprzedaż ziemi po 1863 r., owe rozporządzenia, skierowane ku tępieniu polskiej i wzmocnieniu rosyjskiej własności ziemskiej, rozporządzenia, z których uwzględniliśmy tylko ważniejsze, odsyłając czytelnika do cennej pracy mecenasa B. Olszamowskiego [1]), wytworzyły na ziemiach Polski historycznej, własność rosyjską i zmniejszyły znacznie własność polską.

[1]) B. Olszamowski. Prawo do ziemlewładienji w Zapadnom Kraje.

Stosunek jednak obszaru własności polskich do rosyjskich przedstawia się w tym kraju, jak następuje:

	Polska własność	Rosyjska własność	
Gub. Kowieńska . . .	75%	14%	ogólnej
„ Wileńska . . .	73%	20%	przestrzeni
„ Grodzieńska . .	53,6%	40%	wielkiej
„ Mińska	49,7%	41%	własności
„ Podolska. . . .	48,3%	49%	
„ Wołyńska . . .	47,9%	45,4%	
„ Witebska. . . .	40,6%	42,3%	
„ Mohylowska . .	33%	63,6%	
„ Kijowska . . .	—	59,3%	

Większa własność rosyjska, jako produkt sztuczny, musiałaby zniknąć drogą parcelacyi lub przejścia do rąk polskich, o ileby nastąpił w kraju tamtym wolny obrót ziemią.

Wielka własność rosyjska nie odgrywa roli w życiu tamtego kraju; absentyzm wielkich właścicieli rosyjskich jest niemal regułą. Majątki polskie i rosyjskie są przeważnie gospodarowane przez Polaków.

Wielkich właścicieli Polaków podług danych Komitetu Ministrów w gub. Witebskiej, Mińskiej, Mohylewskiej, Kijowskiej, Wołyńskiej, jest 19,863, niemal 20,000 z 10 blizko tysiącami wielkich właścicieli w gub. Kowieńskiej, Grodzieńskiej i Wileńskiej, cyfra większych właścicieli Polaków 9-ciu gub. zachodnich dochodzi do 30 tysięcy.

Przeciętna własność polska jest większą od rosyjskiej.

	Właściciele ziemscy prawosławni, starowiercy i protestanci	Katolicy
Gub. Witebska	6,669	2,564
„ Mińska[1]).	8.706	4,554
„ Mohylowska	11,395	2,722
„ Kijowska	5,776	1,054
„ Podolska.	4,612	1,225
„ Wołyńska	13,741	3,414

[1]) W pracach mińskiego gub. komitetu o potrzebach przemysłu rolnego spotykamy statystykę podziału własności ziemskiej polskiej i białoruskiej, zaczerpnięte z danych Ministeryum Spraw wewnętrznych.

Ilość dziesięcin	Białorus. i ros. właśc.	Polscy
Od 5—25	5172	1996
25—60	1325	995

Otóż stosunek przestrzeni polskiej własności do niepolskiej (własność katolików przyjmujemy za polską, inne za niepolską) jest bardziej dla nas korzystną, niż stosunek ilościowy właścicieli Polaków do nie Polaków. Pochodzi to stąd, że największe dobra ziemskie znajdują się w rękach polskich.

Uzupełniający nadział do wyższych norm nadziału z 1861 r. wywołałby w kraju tamtym, według obliczeń Kaufmanna, znaczny deficyt ziemi. Gub. Wileńska miałaby 960 tysięcy dzies. defic.

„	Kowieńska. . .	11	„	„	„
„	Grodzieńska . .	838	„	„	„
„	Witebska . . .	1000	„	„	„
„	Mohylowska . .	1107	„	„	„
„	Podolska . . .	1536	„	„	„
„	Wołyńska . . .	20	„	„	„
„	Kijowska . . .	2485	„	„	„
		7027			

Tylko gub. Mińska miałaby nadwyżkę około 62 tysięcy dziesięcin. Deficyt ziemi dziewięciu gubernii, Litwy, Białej Rusi, Wołynia, Podola i Ukrainy wynosi ¼ deficytu ziemi, obrachowanej przez Kaufmanna dla 44 gub. Rosyi Europejskiej. Dowodzi to, że dokonanie nadziału uzupełniającego w tym kraju natrafia na większe trudności w samym stosunku ilościowym ludności do ziemi, niż w Rosyi. Tu przypomnę, że, o ile byli obecni na zjeździe włościańskim wszechrosyjskim delegaci owych gubernij, to albo nie zabierali głosu, albo nie wypowiadali się za wywłaszczeniem.

Posłowie tych gubernij, nawet należący do stanu włościańskiego, byli przeciwnikami tworzenia zapasu państwowego ziemi oraz oddawania ziemi na własność. Wyjątek stanowił poseł adwokat z Kowna, Bramson, który podpisał projekt trudowików. Ludność tamtych stron pamięta, jak osadzono starowierców na zgliszczach wsi litewskich zniweczonych w 1864 r. W 1865 r. Ministeryum dóbr państwa poleciło oddać grunta pozostałe w 6 guber-

Ilość dziesięcin		Białorus. i ros. właśc.	Polscy
Od	60—200	1300	668
	200—500	433	340
	500—1000	202	208
	1000—2000	107	184
	2000—5000	95	125
	5000—10000	32	39
	ponad 10000	23	36 (str. 15 z re-

feratu Lubańskiego o ziemskiej gospod. w gub. Mińskiej).

niach północno-zachodnich po wysiedleniu nieprawomyślnych rodzin wyłącznie Rosyanom i starowiercom, tylko ich również osiedlać na gruntach zapasowych, wogóle skarbowych oraz fermach, leżących na granicy Królestwa.

Projekty, wniesione do Dumy, nawet projekt grupy pracy, wyłącza z pod kompetencyi organów samorządu grunta, „posiadające szczególne znaczenie dla państwa.“ Pod tą rubryką znaleźć się może ziemia dla kolonizacyi rosyjskiej w wielu miejscach Polski historycznej.

Rząd podejmował wielokrotnie kolonizacyę chłopską rosyjską w guberniach litewsko-ruskich, a nawet w Królestwie. Ostatnia próba kolonizacyjna rosyjska na Litwie przypada w 1903 r. Błędem byłoby przypuszczać, żeby ze zmianą formy rządu, zmieniła się dążność Rosyi do umacniania się w krajach zdobytych na Polsce. Sorel zwrócił uwagę na to, jak rządy rewolucyjne kontynuowały tradycyjną politykę Francyi Richelieu'go.

Tradycyjne dążności Rosyi do wzmocnienia rosyjskości na Litwie i Rusi będą musiały przybrać tylko inną formę: jedną z tych form jest unifikacyjna reforma agrarna.

30 tysięcy rodzin większych właścicieli, wyrwanych z głębi tamtego kraju nie obejmuje całego bilansu naszych strat narodowych w tych dzielnicach. Większość dzierżaw, nawet w dobrach rosyjskich, znajduje się w rękach polskich, administratorowie, służba folwarczna jest przeważnie polska na Litwie, Białej Rusi i w krajach południowych. Ilość rodzin polskich, żyjących z rolnictwa w tych krajach, można szacować śmiało na kilkaset tysięcy, ilość osób na 2,000,000. Jest to wobec absentyizmu rosyjskich właścicieli ziemskich jedyny kulturalny pierwiastek w kraju. Reformy agrarne czy to kadeckie, czy grupy pracy wykolejają tych ludzi. Wykolejeni nie będą mogli być podporą samorządu lokalnego w kraju i samorząd ów nie będzie czynnikiem podniesienia kultury krajowej, techniki rolnej. Ludność miejska, jako dyletant w sprawach rolnych, jako nieznająca dobrze warunków życia chłopskiego, o ileby nawet pragnęła pracować rzetelnie w samorządzie ziemskim, nie oddda mu tej usługi, co inteligencya i pół inteligencya wiejska.

Odmienny rozwój dziejowy i inne warunki uwłaszczenia w Rosyi i w ziemiach Polski historycznej, włączonych do państwa rosyjskiego, nadają kwestyi agrarnej w Rosyi i Polsce odmienny charakter, jak się przekonamy w dalszym ciągu pracy naszej. Nasze stosunki agrarne nie wymagają tej chirurgicznej operacyi, jaką pragnie dokonać Rosya, rozdrażniona swem niedomaganiem gospodarczem.

Wł. Studnicki.

PAMIĘTNIK.

(Strofy liryczne).

1.

...Nauczycielka wiejska...

O, jakże to brzmi sielankowo i ideowo! Czuję zapach sianokosów, słyszę szum jodeł rodzimych w tem słowie!... Nauczycielka wiejska!... Pamiętam, że w czwartej klasie pisałam ćwiczenie na temat: „Czem chciałabym zostać po ukończeniu pensyi?“ i rozrzewniłam wszystkie moje koleżanki opowieścią wymowną o urokach tego posłannictwa...

Któż z nas choć raz w życiu nie marzył o całopaleniu bezinteresownem? Któż z nas przez pięć minut życia ducha nie był Farysem? Los wybrał sobie to jedno z tysiąca rozwianych marzeń i spełnił je. Tu mogłabym wtrącić zdanie o ironii losu, ale nie wtrącę. Idea zblizka, to gromada brudnych dzieciaków, którym trzeba wszczepiać w tępe mózgownice ziarna wiedzy elementarno-dozwolonej, wzamian za wikt i opierunek.

Stało się tak, bo „żyć trzeba“ i na mocy tego pewnika, wiedząc, żem tylko cztery klasy ukończyła, przyszłam do przekonania, że mi nic innego nie pozostaje. Zawszeć to lepiej, niż zarabiać „igłą,“ do której czuję najzupełniejszy wstręt, lub wyjść za mąż *rozsądnie*, do czego czuję wstręt jeszcze większy.

Zresztą, wyznaję z rumieńcem wstydu dziewiczego, los nie wiódł mnie na pokuszenie, bo w konstelacyi mych satelitów nie świeciła, ach, niestety, gwiazda kandydata do małżeństwa z rozsądku!...

Nauczycielka wiejska, przeciętna kropelka w oceanie ludzkości!... Gdyby mi kto był powiedział przed laty, że przyjdzie

dzień, kiedy sama sobie powiem:—trupio spokojnie, bez uniesień, bez rozpaczy: „Jestem taka sobie, arcy przeciętna... Nic we mnie niema...“

Ha, ha!... Marzenia! marzenia! Nic nie zdziałałam na świecie... prócz marzeń—ale one były już za to, jak się należy! Życia, *mego* życia bez nadzwyczajności — nie rozumiałam. Na dnie duszy niosłam pewność aprioryczną, żem stworzona do wielkich przeznaczeń!

„Kiedyś...“ Nieokreśloność czasu, przestrzeni, bezkreśność cudów... Idę ulicą, jadę wagonem, i jedno słowo czyjeś przenosi mnie w zaczarowane okręgi tego „kiedyś.“ W świat z za lustra... Np. kiedy chłopczyk sąsiada przyniósł do domu złapaną sikorę...

Ptak latał po pokojach, tłukł się o szyby...

„Kiedyś.“ Jedna sikora? O, nie!... To już ptaszarnia, gmach tęczowy, ściany z drutu, kręgi powietrzne... Skrzydła złote i koralowe, gardła ze szmaragdów, połyski i upierzenia migotliwe, tysiące gwizdów, śpiewów, okrzyków... Sen z jakiejś wyspy południowej, gdzie pną się liany... Ja, zwyczajna, nieuczona dziewczyna, staję naprzeciw ciebie, o przyszłości!... Przyszłości niewyczerpalna, wspólna dla największych i najmniejszych tej ziemi!... Od skromnej chwili obecnej jeden skok do obrazów chimerycznych, widziadłowych... Wzywam je... i stają się... Na moje zaklęcie...

Aż przyszła chwila, kiedy czad się rozwiał, zostało odurzenie niezdrowe, jak po haszyszu... Zabrakło mi życia... Zapragnęłam rzeczywistości... I znalazłam się wobec pustki, ze śmiertelną tęsknotą... Z tęsknotą, na której określenie brak nawet wyrazu...

2.

Po co to piszę?

Czy żeby oszukać marzenia pensyonarki... marzenia o twórczości, sławie, powodzeniu, upojeniach?

Piszę to dla siebie, wiem, że piszę dla siebie. A przecież, mimo wiedzy, wbrew wiedzy, oczekuję jakiegoś tajemniczego „kogoś,“ kto odczyta te elukubracye. Kiedyś, może po mojej śmierci... I mimowoli piszę na korzyść swoją...

To obcowanie z za grobu pociąga mnie bardziej, niż wymiana słowa konkretnego. Gadać!... Cóż jest brutalniejszego... Nie umiem mówić zresztą... Czy przez nieśmiałość, czy przez dumę... Gdy chcę usta otworzyć, wszystko zastyga mi w gardle... Jakieś wewnętrzne „po co?“ Jestem niezgrabna, wyglądam na mruka...

...Nauczycielka wiejska...

Nic już ze mnie nie będzie. Jakież to okropne słowo! Jaki okropny stan ducha, kiedy się dochodzi do takiej mogilnej pewności...

Więc co? próbuję się buntować. Gdybym była napisała dwanaście tomów lichych powieści, lub namalowała pół tuzina portretów rodzinnych, lub wybębniała Griega po koncertach dobroczynnych... Czy to byłoby już co innego?

Nie. Nie idzie o czyn dokonany, lecz o duszę, o nastrój twórczy duszy... Te światy niestworzone, te ogromy niezdobyte, tę całą moc potencyalną czułam niegdyś w sobie...

Dziś... nie czuję... Nic nie czuję...

Zjadły mnie dnie szare, godziny porywów bezsilnych i rezygnacyi z musu. „Miernota.“ Musiałam nią się stać, inaczej byłabym oszalała. Instynkt samozachowawczy rozpostarł skrzydła nademną, wyorał źdźbła buntów i odrębności. Taka sobie nauczycielka wiejska... I nic nie będzie...

Zdaje mi się, że widzę, jak powoli, nieznacznie, wdeptują duszę ludzką w szare, grzązkie błoto, rozmiażdżając na kształt, podobny do tysięcy innych rozmiażdżonych kształtów... O, życie niezdobyte!... Wszystko pozostało gdzieś na wyżynach, o których mi marzyć już nie wolno.

O, gdyby zerwać pamięci nić...
Czem byłam niegdyś, czem mogłam być...

O, gdyby strącić obraz z powieki
Tych dumnych wyżyn, tych jasnych chmur,
Które zamknięte dzisiaj na wieki
Dla połamanych mych, biednych piór...

Co uważałam za lepsze życie? Do czego się wyrywałam?

Gdy miałam lat piętnaście, naturalnie uniwersytet. Nie z miłości do wiedzy czystej, bynajmniej. W tym wieku *sapientia* nie wypełnia pożądań, a ja nigdy szczególnego pociągu do wiedzy nie czułam. Uniwersytet przedstawiał mi się raczej, jako furta do świata, do wolności. Wiedza — był to niby jeden urok więcej, atu kokieteryi, nimb w oczach młodych entuzyastów, rzeczników „emancypacyi.“ Byłam głupia, jaknajcałkowiciej, ale wojowałam językiem na prawo i lewo, ucierałam się z ciotkami, burzyłam się w cudzem, a najbardziej we własnem rozumieniu... Życie, jednem słowem, tak czy owak, w tej lub innej formie. Dążenie do życia, ślepe, żywiołowe pragnienie stworzenia sobie takiej formy egzystencyi, w której najlepiej wyładowałyby się nagroma-

dzone zapasy. Tak jak kiełki ziarn przebijają ziemię... I czując niejasno, że trzeba być silną, że trzeba *brać* życie, pozwalałam nieść się biernie fali, wprzęgłam w jarzmo, wbrew woli, wbrew pragnieniom...

Dlaczego?

Ot, nie umiałam żyć...

Zostałam nauczycielką, bo to było najprostsze, najpewniejsze. Pewne! Nie wiem, skąd we mnie obawa największego uroku życia: niepewności, nieokreśloności. Im starszą jestem, tem bardziej rozrasta się we mnie ta obawa atawistyczna. Inaczej nie mogę jej nazwać, tak bardzo nie zgadza się z całą mną, z temperamentem moim, nawet z wyrozumowanym poglądem na życie.

Dziś, o dziesięć lat starsza, stoję u przełomu losów i znów nawiedza mnie genialna myśl, że trzeba „coś zrobić...“ Czuję, że to może ostatni raz już... i wiem, że nic nie uczynię... dziś, po dziesięciu latach i morzu gorzkich rozczarowań, ani na włos nie mędrsza... I wiem, że aż do końca iść będę tą drogą, przeklinając siebie i wiecznie wzdychając nad „zmarnowanem życiem...“

3.

...Bez żagli, wiosel, łódź moja płynie
W przestrzeń tajemną...
Po zachmurzonej, mrocznej głębinie
Bez żagli płynie...
Za mną — noc z ciszą martwą i ciemną,
Mgły nieskończone i noc przedemną...
...Bez żagli płynie.

Na szlaku moim uwiędły róże,
Zgasł uśmiech słońca
W kłębach chmur rudych, w gromów purpurze
Uwiędły róże...
Płynę i płynę... Pierś moją trąca
Tęsknota wieczna, gorzka, paląca...
...Uwiędły róże...

Płynę i nie wiem, dokąd i po co
Niesie ta fala
Łódź moją błędną... łódź mą sierocą...
Dokąd i po co?...
Czy mi gdzieś przystań ogień rozpala?...
Czy się przybliża?... czy się oddala?...
...Dokąd i po co?...

4.

Kiedy się zniżyły loty mych piór? Kiedy wyniszczała siła odśrodkowa?

Ludzie wgłębiają się ostrzem myśli na samo dno zagadnień życia. Życie tworzy nowe problemy. Coraz się zmienia kształt świata... A ja, zakrzepła w codziennym kołowrocie, zasłuchana w melancholijną pieśń duszy... Zawsze w sobie.

Myślę znów o Bolku. Czytałam dziś w gazecie, że grano jego dramat. Co teraz porabia? Próby teatralne, atmosfera sztuki, przedstawienie, tłumy, oklaski... Kontakt bezpośredni ze światem wybrańców, których słowo kieruje ludźmi... Bolek, ten uczniak, którego regularnie codzień spotykałam w ogrodzie Saskim, idąc do klasy... Bolek, który przynosił mi swoje wiersze do oceny, bo miałam między koleżankami reputacyę „poetki."

Więc on doszedł.

A ja?

Owijam się w togę nieprzystępności... Milczenie wyższe jest od mowy. Ja, z hardą, milczącą duszą, to głębia niezbadana, to tajemnica. On — to słowo, które się już wypowiedziało, Sezam, który się otworzył, wielkość określona i wymierna. Wiecie, co może wam rzec, co rzekł. Tego, co jest we mnie — nie znacie. Nie dowiecie się nigdy, jakie wartości mogę wam narzucić. Duma jestem tem wszystkiem, co jest mojego, chmurnego, nieznanego wam... Ale z tą dumą moją stoję gdzieś na boku, odrzucona przez potężny rytm życia. A Bolek, zwyczajny Bolek, który niczego nie żądał i o niczem nie marzył...

„Stworzona do wielkich przeznaczeń..."

I nic się nie stało... Płomienie spopielały... Żyzna gleba stała się ugorem...

Niepamięci... nakryj mnie płaszczem...

5.

Po co piszę to wszystko?

Czemuby raczej nie zdusić, nie zmiażdżyć w sobie, resztek buntu, być jedną z tysiąca, kazać milczeć na wieki

„pieśni, której nie było dane ożyć w słowie..."

Ach! zaraz cisną mi się na usta słowa nienapisanego nigdy poematu:

Pieśń moja nieskończona... Tam, w głębi, drżą jeszcze
Niewyrażone myśli, niewyłkane dreszcze...

Wierzę w to, na nieszczęście wierzę, że jest jeszcze coś: tragedya moja...

Czuję się silna, zbobywcza... Czuję się na siłach wyzywać i zwyciężać! Stanąć przeciw światu i świat podbijać! Ja, prosta, głupia dziewczyna, nauczycielka wiejska z Zalesia, czuję w sobie Moc — moc królewską!

Chcę sławy, chcę upojeń, chcę miłości!

Miłości...

W piersi zrywa się fala ciepła, nieprzemożona... Wzbiera, piętrzy się, objęłaby świat cały... Serce się rozszerza... Kochać... o, Boże... Kochać... Jednego człowieka... jedynego na całym świecie... Mieć duszę swoją — bliźką — najdroższą... Żyć dla niego, żyć w nim, przez niego...

Precz, precz... Wracajcie dnie powszednie... Precz wy, zbyt piękne, zbyt szalone, zbyt nieprawdopodobne pokusy!...

Ciężko mi na duszy... Ciężko...

Wybiegam nad rzekę, siadam na wierzbie pochyłej. Wicher wyje. Powietrzem lecą tchy posępne... dziwne, bezkształtne postacie, zmiatające piasek z drogi długiemi szatami. Coś szlocha... szlocha do bólu, do obłędu, do roztopienia się wszystkiego w bezmiernej otchłani płaczu... Lecą liście, ostatnie liście. Rzeka poczerniała, wiatr bije z wściekłością o zbełtane fale.

Kruki wspomnień zbiegły się nademną. Czynią sobie żer ze mnie. A krew płynie. I znów ta bajka-farsa. Stara, jak świat... znana, jak świat... Bajka życia. O człowieku, co kochał gwiazdy, a zatopił się w błocie, w trzęsawisku lepkiem i brudnem. Próżne wysiłki... idzie coraz dalej na dno... coraz głębiej...

...I pocałował zwierciadło,
I cały stał się — błotem...

Duszę bym wydarła, żeby tego człowieka uratować. Szałem modlitwy rozpacznej wołam: „przejrzyj!...“ Usłysz mnie!... Słuchaj mej udręki!... Gdybym mogła w ciebie przelać moje jasnowidzenie... Że nie to jest treścią życia... Że poświęcasz duszę dla mirażów błahych... Gdybyś mi uwierzył... Gdybyś chciał mnie zrozumieć...

...Lecz że modlitwa dziecka nic nie może —
Smutno mi, Boże...

I zwolna, zwolna mierzchnie wszystko, rozpływa się w szarości przedwieczornej... Wierzba skrzypiąca... Drobne, równole-

głe fale... Wracam omgloną drogą. Dłoń na oczach... perły łez w wodę... Istna Niobe!...

Chybiony efekt! Nawet płakać niema dla kogo. Nikt tu cierpień mych nie widzi. I znów chałupa i ta sama izba... I znów chwile szare, chwile monotonne, chwile beznadziejne... Trupia cisza odpowiada okrzykom wzburzonego serca... Wieś już śpi. W oparach mdło łyskają kaganki z jednego, dwóch okien. Woda szumi na grobli. Psy gdzieś urągają przejeżdżającemu zwolna wasągowi.

I znowu noc...

Czarna, straszna noc, w której drgają tętna milionowych tworów. Oblegają duszę, szarpią ją strachem płaskim, ślepym, niewytłómaczonym. Czasem, na dworze, pies zestrachany szczeknie urywkowo i milknie. Wraca cisza, straszna cisza pustkowi. Szelesty odpowiadają sobie po kątach. Za oknem Warta, burzliwa czarność... tajemnicze *Coś*... nieprzeniknione, milczące, martwe.

Życie moje, żywe życie szarpie się i rozbija o ten sen śmierci, o tę twardą, kamienną nicość. Ratunku! Doszłam do lat dwudziestu sześciu i nie żyłam... Ani chwili... Wieczne pragnienie, wieczne oczekiwanie czegoś... Co nie przyszło... Wybujałe marzenia i gnuśna rzeczywistość... A ja chcę, ja pragnę, ja żądam życia! O Boże!... W ciało mi się wgryzają pręty mej klatki! Krew tryska z ran. Szaleję!.. Krzyczę!.. Szlocham!.. Miażdży mnie fatalność, spycha na dno nędzy, w otchłań czarną, w paszczękę rozpaczy, nad wygony ciemne, gdzie błądzi Samobójstwo... Szlocham bez łez...

Przez noc całą... I znów przychodzi dzień, zwlekam się z łoża tortur, przywdziewam maskę z kamienia, wypełniam obowiązki. I nawet uspokajam się. Po okropnej nocy następuje dzień omdlały. Ciało wydręczone nie ma już sił do cierpień. Siedzę w trupim spokoju. Owłada mną jakieś zwierzęce przywiązanie do życia, radość czysto fizyczna z tego, że chodzę, jem, patrzę. Człowiek, to jak trzcina: nie wiem, jak deptany, odgina się nanowo.

Och, jakże się nienawidzę za tę sprężystość glisty, za tę wytrzymałość płazu, który, zmiażdżony, zdeptany, jeszcze z mułu i błota podnosi głowę — ha! ha! ha!... do słońca!...

6.

Siedzę i rozmyślam.

Plączą mi się ułożone niegdyś wiersze:

> Znasz li ten kraj, gdzie biały bez rozkwita,
> Gdzie cicha wieś, w koronę wierzb spowita... i t. d.
>
> . . . . . .

Znasz li ten kraj, gdzie niegdyś, ach, przed laty,
Pod nogi nam los pieśni słał i kwiaty...
I marzeń rój — ach, cudne te marzenia!...
I uczuć szał — ach, niema z nich i cienia!...
Tam, ach, tam...

Poezya...

Moja miłość — jeśli to miłość była — nie miała tła z wierzb kwitnących i marzeń wiosennych. Wkoło nas huczało miasto — brudne, zapylone miasto, ziejące kopciem, duszne od skwarów letnich, z całym smutkiem umierających drzew. Marzenia?... nie było marzeń... tylko nerwy i pożądanie... I nawet nie pożądanie... Tylko obawa, rozpaczliwa obawa samotności, lęk duszy rozbitej i wykolejonej — pragnienie łatania pustki swej i nędzy cudzą nędzą...

Szukaliśmy się, jak dwa rozbitki na szczątku łodzi... by się wzajem podtrzymywać, i wzajem spychać w otchłań.

Szukaliśmy się, jak usychający bluszcz czepia się próchniejącego dębu. Każde z nas szukało w drugiem ucieczki od siebie, od zdradzonych marzeń, od rezygnacyi na dolę gnuśną i codzienną. Chcieliśmy się krzepić cudzą siłą... a kiedy przekonaliśmy się wzajem, że nic z nas niema, odwróciliśmy się od siebie.

Prawda?...

O, pamiętam jeszcze ten dzień letni, duszny, przepojony zapachem akacyi. Słońcie gasło gdzieś w wylocie ulicy, zapadało w obłok krwawego kurzu... Wysuwały się pierwsze gwiazdy samotne, nieśmiałe... Szliśmy zwolna, tuż przy sobie, okrążani tłumem, a samotniejsi, niż te gwiazdy... sami tylko, dla siebie... Szliśmy — i wracali — i nie mogli się rozstać... Szukałeś rąk mych co chwila, co minuta...

Pamiętam, jakeś łkał nieprzytomnie:

— Stacho, Stacheczko... ulituj się... ja płomienieję... ja cię chcę mieć blizko, bardzo blizko...

Uciekłam, zamknęłam drzwi na klucz... Stałeś pod oknem przez noce całe... I to się powtarzało co dzień. Przez ów niezapomniany miesiąc... I gdybym zamiast tego upartego „nie...“ Gdybym cię nie była odpychała...

Ale tyś się znużył kruszeniem kopii o niezdobytą bogdankę... Zwyciężył zdrowy rozsądek... Związywać życie... Z taką sobie nauczycielką... Szlak karyery taki obiecujący... Umiałeś usunąć się w porę... Zapomniałeś mnie?... Nie sądzę... I ja ciebie zapomnieć niemogę... Pamiętam cię przez dni bólu, który mi sprawiłeś. Pamiętam cię przez łzy moje.

Uciekłam od ciebie, bo nie umiałeś żyć. Boś sobie życie złamał i mnie złamałbyś... Uciekłam, jak żyjący ucieka od trupa... Ale żal mi...

Czemuś ty żyć nie umiał?

O mój nienazwany, którego ust nie dotknęłam ani razu... którego nie nazwałam po imieniu ani razu... Czy ci lepiej bezemnie? Powiedz!

Wiem. Jesteś w wielkiem mieście. Idziesz, podziwiając na zimno „owoce kultury europejskiej," układając efektowne zdania do najbliższego artykułu wstępnego. Idziesz, przeklinając w duszy kulturę i siebie, potrącany przez tłum obcy i wrogi, z uczuciem żrącej samotności, z nieświadomem poczuciem czegoś chybionego, fałszywego, sztucznego.

Ach! pomyśl... Gdybyśmy byli razem... Gdybym oparła głowę na twem ramieniu... Gdybyśmy w przyszłość patrzyli we dwoje... Czyż życie nie byłoby lżejsze, piękniejsze, powabniejsze?

...W tej chwili żyć nie mogę bez ciebie.

Tak, tęsknię... Perswaduję sobie, ośmieszam cię, mówię, że nieszczęściem byłbyś dla mnie, że zmarnowałeś swoje życie i mojebyś zmarnował...

...Wiem, że napróżno dusza się roztrwania,
Za tem widziadłem kruchem i zwodniczem,
Że to obłędem było — a jest niczem...
Wiem... i mrę w szponach wolnego konania...

Cały dzień dzisiejszy smutny i przeklęty, myśl, jak urzeczona krąży wkoło ciebie... Tak mi ciężko... tak mi ciężko... Ah, tak tęsknię... Śmieszny, brzydki, nudny, stetryczały, stary kawalerze. Ludzie śmieją się z ciebie... I ja się śmieję...

I kocham cię...

7.

Melancholia... Melancholia...

Idę, jak codzień, brzegiem rzeki, wskróś kłębiących się mgieł... Dal cała przesnuta oparem, wytchniętym z wód, niby szatami bezcielesnych nimf mokradeł... Lasy dymią, jak wielkie czasze ofiarne...

Zwolna wlecze się za mną piosnka:

Mam ci ja woliki, mam ci ja koniki,
Mam ci ja wo - li - ki...
A dziewczyny ja nie mam, co ma koraliki,
Co ma ko - ra - li - ki...

Dwa, trzy takty, tęskne, urwane... Bezbrzeżna żałość, tęsknota... Idę, a za mną wloką się skrzydła złamane tej piosnki wiejskiej.

Słyszałam ją niegdyś. Gdzie?... Kiedy?... Może nad kołyską... Nie wiem...

Jak mi smutno, ach, jak smutno...

Śmiertelnym smutkiem wieje na mnie od lasów, od rzeki, od torfowisk, utopionych w rosie. Może to duszyczki tych bagien... matka malarya o płonących oczach, co łowi rok rocznie legiony w swe sieci żarłoczne. A może ja przyniosłam w sobie ten smutek śmierci, co zatruwa wszystko dokoła mnie? We dnie i w nocy... W poranek majowy, i w wilgotny wieczór jesienny, jak dzisiaj...

Słucham ciszy...

Jak daleko od świata... Boże, czyż istotnie gdzieś, kędyś, są ulice, lampy elektryczne, gwar, ludzie?

Zda mi się, żem księżniczką zaklętą. Tylko nie w pałacu, nad jeziorem śpiących nenufarów, pomiędzy kolumnami z marmuru. Mój pałac, to szkoła z najjaśniejszym portretem, z rzędami ławek, na których mrowią się cuchnące dzieciaki...

Coraz dalej usuwam się od życia. Dawniej, niegdyś, był to przynajmniej żywy, krwią ociekający, dramat. Czułam węzły, łączące mnie z organizmem powszechnym, miałam około siebie bratnią wielość... Teraz to już cień cienia, jakieś nikłe, wiotkie, bezkrwiste wspomnienie... Wygnanka ze świata żywych, nauczycielka wiejska na puszczy, jedyna dusza na obszarze nieba i ziemi — zwieram się w sobie, przywykłam mówić z sobą tylko, porozumiewam się mrugnięciem oczu, odcieniem myśli...

Kiedy popękały te nici? Kiedy uczułam ostrą przeciwstawność i samotność mego ja? Jak zburzyć ten mur szklany? wkoleić się w życie, odegrać czynną rolę, nie odczuwać tej strasznej granicy między *mną* a *nie-mną?* Boję się, że z czasem zniknie wszelki grunt wspólny... Zdziczeję tu, będę, jak człowiek z innej planety.

A ja żyć chcę! Wszystko buntuje się we mnie przeciw tej śmierci przedwczesnej! Fizyolog powiedziałby, że to zmysły. Nie! to nie są zmysły... Nie powiem, żem z kamienia. Lubię oczy rozszerzone... i słowa duszone namiętnością... Lubię, gdy się we mnie kochają. Ale lubię to jak sport, dla efektów teatralnych. Jestto erotyzm na zimno, marzycielstwo zmysłowe. Tyś tego nie rozumiał... Dla ciebie istnieje tylko pociąg brutalny

i żywiołowy. I dlatego rozeszliśmy się... W uszach mi jeszcze brzmi twoje uparte, bezmyślne:

„Nie rozumiem... nic nie rozumiem...

Myślę teraz często, że może nietylko miłość karyery... Gdybym nie mówiła wciąż „nie“ i “nie...“ Ach, czyż można wiedzieć!... Życie jest tak splątane i tyle złożonych przyczyn składa się na jeden prosty, zwyczajny fakt...

8.

Codzienność pożera mnie, przytłacza, wdeptuje w ziemię. Księgo marzeń moich, marzeń chimerycznych!.. Stopcie się krwawe kwiaty w płomieniu, co oczyszcza... Niechże raz wyrwę się ze snu w kłębach haszyszu... Ocknij się duszo do czynu... Zdaje mi się, że gdybym była tam — na świecie, zdolnabym była rozpalić ognie Rewolucyi, wieść, jak nowa Joanna d'Arc, hufce za sobą, ziemię ściągnąć z jej dróg na nowe tory.

„Stworzona do wielkich przeznaczeń.“

Drogi strome, drogi trudne, drogi bohaterskie... Wieniec męczeński w krwawej aureoli. Umierać, jako posiew przyszłości, z którego wyrosną kwiaty bujne.

Znów marzenia... Jak pająk siatką, tak ja, to nawet, co z natury swej urąga marzeniu — owijam w opony rojeń. Czyn, rozwłókniony na pasma, piękniejszy stokroć — chorobliwym urokiem owocu, zgniłego wewnątrz, tęczami bańki mydlanej, która kolorów zapożycza ze światów nieistniejących.

Ratunku! Ratunku! Czytać lub pisać, lub bodaj kapy szydełkowe robić — byle uciec od siebie, od obłędu, który przystawia do drzwi moich twarz szyderską i szepcze po nocach wyrazy w niesłychanej mowie jakiejś. Dotykam palcem czoła, pytam się głośno: „Czy prawda, że dwa razy dwa — cztery?“ Ten pewnik matematyczny uspakaja mnie. A więc nie zwaryowałam jeszcze. Nie... Mówię głośno, czekam na odpowiedź... Echo tylko... I tylko mówi Cisza... Ta tajemnicza, niezgłębiona Cisza... Czekam na coś... Co ma przyjść... Na coś, co się stać musi... Łowię uchem dźwięki... Drżę...

I nic... nic...

A potem zawsze ta sama konkluzya:

Myślisz, marzysz, rozpaczasz i uspokajasz się, a wszystko pod korą zdarzeń... Życie rzeczywiste przepływa gdzieś zdala od ciebie... A może ono stoi — tylko ty płyniesz, płyniesz... i ockniesz się już po za grobem...

9.

Nagła zmiana — przewrót — niespodziewana znajomość.

Panienki „ze dworu,“ uprzejmość, zaprosiny, wizyta...

Ten dwór, otoczony dużym parkiem, sterczy za wsią, niby symbol wspaniałości doczesnych. Nawet w umyśle Wojciecha Zatory, który chronicznie „prawuje się“ i mawia, że on taki pan, jak i sam pan—nawet w tym rebelii tkwi przekonanie, że „dwór— to dwór.“

A przytem, czytało się tyle powieści moralnych o paniczu pięknym i szlachetnym, który pokochawszy ubogą, lecz cnotliwą panienkę i t. d. Więc z drżeniem odświętnem moja marna osoba przekraczała próg tej wyspy szczęśliwości.

Na jawie wygląda to nieco prozaiczniej, choćby dlatego, że niema, niestety, panicza, lecz tylko trzy panienki! Wszystkie trzy niezmiernie wesołe, uprzejme, i jakby zakrzepłe w pewniku, wyssanym z mleka macierzyńskiego, że należy być uprzejmą. Gdyby im się zdarzyło znaleźć wobec faktu, na który niema przepisu w rocznikach bądź maminej, bądź pensyjnej mądrości, stanęłyby bezradne i wykolejone. A wszystko z pozorami stanowczości, z mnóstwem frazesów w rodzaju: „Trzeba być praktyczną...“ „trzeba być samodzielną“ — frazesów, które duch czasu rozsiewa po błoniach i zaszczepia w mózgi automatów ludzkich.

Ale zacznijmy od początku.

Nie!... odwykłam od życia rzeczywistego, nie umiem opisywać faktów.

Więc wizyta we dworze... Sama pani widzialna i niewidzialna, zasnuta w obłok swej godności, dobrotliwie łaskawa, królowa, nie zapominająca ani na chwilę o tronie. Pan serdecznie-rubaszny, ojcowskie uśmiechy, na których dnie leży coś nie coś nie bardzo ojcowskiego... Na szczęście, nie jestem ładna...

Panienki — patrz wyżej.

I takie wrażenie, jakgdyby wszyscy, zatopieni w uprzejmości po uszy, nie widzieli mnie wcale, patrzyli gdzieś mimo, w dal, w przestrzeń, po nad czerepami takich nędznych, jak ja, istot, rozsypując uprzejmość dobroczynnie i żywiołowo, jak słońce promienie. Ta uprzejma ekspansywność sprawiała, że zasuwałam się coraz głębiej w siebie, mruk jeszcze kapitalniejszy, niż zwykle. Chwilami porywała mnie pokusa głucha i głupia: cisnąć coś o ziemię, zrobić skandal... Za tę ich zręczność światową, której mnie brak, za te ich ręce wypieszczone, przy których moje narządy

chwytania wyglądają jak obraz nędzy i rozpaczy... Czułam się, razem z moją duszą i subtelnością, ordynarnym chamem.

Myślałam:

— Dlaczego dokucza mi mierność? Dlaczego, jak rana rozpalona boli mnie ubóstwo? Nie powinna mi imponować ogłada panien Rzeczyckich. Nic wogóle imponować mi nie powinno. Tyle dziewcząt idzie tą, co ja, drogą, i to dziewcząt naprawdę lepszych... Drogą idei. Gdybym ja miała ideę! Gdybym po za sobą czuła zwarty mur piersi ludzkich, złączonych jednym celem! Ale ja idę w pojedynkę. Wiem, że po za mną nie stoi nic, że tylko nędza zmusza mnie do tego. I to mi odbiera śmiałość.

Nie umiem być sama.

By żyć samotnie, trzeba mieć osobliwy hart, albo osobliwe wykształcenie. Trenować się w kunszcie samotności. Przeciętny człowiek musi żyć w określonej gromadzie ludzkiej. Musi należeć do partyi. Na idących pojedyńczo patrzą dziwnie dziko.

10.

A, prawda, zapomniałam. Jest jeszcze jeden pan.

Dawny nauczyciel synka, umieszczonego w gimazyum, niby rządca, niby sekretarz, niby urzędnik do szczególnych poleceń. Uśmiechnięty, wesoły — żartobliwo, lecz z szacunkiem przekomamarza się z panienkami, przysługi oddaje pani, rozprawia z panem. I dla mnie znalazł odrazu ton właściwy: koleżeński a wylany. Co nie przeszkadza, że gdyby nastrój domu się zmienił, i on by mnie unicestwił. Tamci gniew we mnie wzbudzili. On — pogardę.

Służalec.

Rozumiem służalstwo z musu, z wyrachowania, ale służalstwo z amatorstwa...

Jednego nie mogę przeniknąć. Czy ten człowiek jest szczery? Czy bierze za dobrą monetę serdeczność swoją i umiarkowaną poufałość z panienkami? Czy też w głębi duszy ma jasnowidzenie? W takim razie — albo musi drwić gorzko... albo płakać nad sobą.

A może się mylę. Może taki służalec „sapiens“ widzi jedno tylko: cel — miskę soczewicy. I to go wprawia w stan hypnozy. Ma jednak coś swojego, niezależnego od gustów domu. Nawet wbrew. Bo gdy pani Rzeczycka ganiła go, że grosz wyrzuca, bronił z zapałem swych „namiętności.“

Oto — biblioteka.

Kupuję książki: rzadkie i pospolite, nowe i używane, druki, rękopisy, gotykiem, na bibule, foliały z trupiemi głowami w tytułach... nawet w językach, których nie zna. I dziwił się, gdybym powiedziała, że książek nie zbieram, a nawet rozdarowałam te, które posiadałam, wyjeżdżając na wieś. W tej chwili dopiero zauważyłam to w sobie. Nie mam instynktu kolekcyonerstwa. Nawet instynktu własności. Nie pragnę posiadać. Chcę mieć to tylko, co mi potrzebne dla mojej osoby. Reszta nuży mnie i nudzi, jak niepotrzebny balast. Mam widać duszę komunistyczną. Byłażbym już zupełnym człowiekiem przyszłości?

11.

Piszę powieść.

Chcę się oszukać, w ten sposób wyładować nadmiar sił twórczych.

Pod czaszką mam nawał wizyj, ale widzę je jako symbole, nie jako typy. Mogę je pomyśleć — nie mogę wyrzeźbić. A potem sam proces pisania ostudza we mnie bezpośredniość natchnienia. A tak mi potrzeba pisać... tak potrzeba! U mnie twórczość jest tęsknotą. Za życiem, za lepszym światem, za faktami wymarzonymi...

Gdybym była szczęśliwa—nie pisałabym.

Co jest istotą twórczości? Zdaje mi się, że stosunek krytyczny do otaczających nas rzeczy. Pisać — to znaczy protestować. W formie nienawiści lub w formie miłości. Ale dążyć do czegoś i coś burzyć.

A talent?...

Skąd we mnie ten popęd pisarski? Skąd ta niewytłómaczona pewność, że byłabym pisarką, gdybym się nie zwichnęła. Dziadek mój pono wierszami grzeszył. I jedna z ciotek, zwyczajna, nieuczona dziewczyna, smarowała ody do księżyca. Brat mój stryjeczny debiutował nowelami i nawet już drukował... zanim go życie, nieco tragicznie, nie osadziło na miejscu... Kuzynka zasypywała redakcye utworami, którym w „odpowiedziach“ stale przypisywano znamiona talentu, chociaż znajdowano „ale,“ które na razie druk uniemożliwiały.. Zdaje mi się, że talent musi przejść ewolucyę, od niższych do coraz wyższych organizacyj, zanim nareszcie nie zabłyśnie prawdziwą różą, wspaniałym kielichem purpurowym. Może dopiero w drugim, trzecim pokoleniu to się stanie. I ja, razem z temi strofami, skończę, jak i moi poprzednicy, w koszu redaktorskim.

12.

Pisałam list kobiecie wiejskiej do syna w Warszawie, który służy w handlu win, bierze 25 rb. na miesiąc, ma stosunki „z samą jenteligencją“ i coś nie coś zaczyna już się wstydzić matki w chustce na głowie. Kazała mi upiększyć, „jak tam paniusia potrafi,“ żeby było po pańsku, ale ja przepisywałam wprost z jej dyktanda i gdyby ów syn był nie subiektem w handlu win, lecz poetą, toby skamieniał z zachwytu, czytając tę prozę.

Biblijna prostota i jędrność... Głęboka mądrość rezygnacyi, strofy jak w marmurze kute... Ani jednego wyrzutu... Niobe patrząca suchem okiem w otchłań Fatum...

Wdowa, wyrobnica, temi zmarszczonemi rękami wychowała pięcioro dzieci. Pracowała i głodziła się... Teraz syn się żeni z panną z magazynu... Ona błogosławi na niewidziane przyszłej synowej, której boi się strasznie... i tylko prosi nieśmiało: „pisz, mój synu najukochańszy, pisz często, bo gdy list dostanę, to jak bym cię widziała, a jak listu nie mam, to mi się zdaje, że się mnie wstydzisz.“ I już do śmierci pracować będzie, nie widząc nawet syna, nie śmiąc marzyć o wnuczętach, których nie upiastuje.

Zdawało mi się, że wybuchnie nagle: „Po co?... Po com ja żyła? Po co głodna byłam przez dnie i noce, miesiące i lata? przez 65 lat mego życia...“ Ale nie... Obtarła usta fartuchem i pocałowała mnie w rękę. A gdym cały list odczytała, rzekła:

— Paniusia niezgorzej pisze, prawie tak dobrze, jak pan flejczer z miasteczka.

Jest to mój pierwszy wawrzyn literacki...

Czemuż ja nie jestem poetą? Czemu nie potrafię stworzyć eposu? Ta kobieta zawiędła, o zapadłych oczach, w szarej chuścinie... i głos cichy... i te ręce namulone... cały poemat pracy, wypisany grubemi żyłami i węzłami, i białe ściany szkoły, i świeca, rzucająca mętne światło na pokój...

13.

Mała Józówna, bita przez ojca, który z kolei jest paryasem swego gospodarza, ma kota. Józówna wogóle nic nie ma, bo nawet podartą chuścinę „użycza“ jej z łaski gospodyni. Ale ma kota.

Własność istoty, która cała jest jednym siniakiem... Jakież to dno nędzy! I posiadanie to jest zresztą tylko przywilejem tłuczenia kota, tak, jak ją ojciec tłucze — nie łoży bowiem żadnych trudów na jego utrzymanie... Kot żyje własnym przemysłem;

dusi myszy, ptaki, młode kurczęta, za co bierze cięgi. Wyrobiło się w nim przekonanie, że proces jedzenia jest zbrodnią. Gdy go spotkam nad jakim ochłapem, ucieka z najeżoną sierścią i podkurczonym ogonem.

Spytałam Józówny: czyj to kot?

Odpowiedziała:

— Mój...

Trudno opisać akcent tego: „mój."

Prawo życia i śmierci... Bezdeń pychy.

Tak silny jest instynkt posiadania w człowieku... Gospodarz bije ojca — ojciec, ciebie, moja Józówno. Ty z nasypką oddajesz to kotowi. Gdyby kot był mocniejszy od ciebie, nie biłabyś go. Kot, jeśli myśli, wyobraża sobie zapewne taki ideał: „ludzie będą myszy łapali, a my, koty, cały dzień będziemy chlapały mleko."

To jest logika życia, sprężyna mechanizmu społecznego...

14.

Znów wizyta we dworze. Czasem mi się zdaje, że szczęściem jest, iż słyszę głos ludzki... inaczej rozpłynęłabym się w oceanie myśli. I z radością witam ten jedyny dopływ wieści od żywych — zaproszenie... Lecz zaledwo przebędę godzinkę, męczę się niesłychanie. Ciąży mi otoczenie innych. I znów wydzieram się od ludzi w moją samotnię...

Tu mi jest wygodniej samej ze sobą.

...Idą dnie za dniami, noce za nocami. Wicher jęczy i świszcze. Fale deszczu dzwonią o szyby. Ostatnie liście tłuką się beznadziejnie o pnie gołych drzew, o zmurszałą, żółtą trawę. Po brudnym, posępnym dniu idzie ciemna, burzliwa noc. Godziny, jak kruki, kraczą na zegarze szkolnym.

Rozpamiętywania.

On i ja — ja i on... błędne koło wspomnień... Może to już tylko zwierciadła mych własnych myśli... obrazy duszy, nie rzeczywistości... Alboż jest rzeczywistość? Ja ją widzę inaczej, on inaczej. I dlatego nigdy zrozumieć się nie mogliśmy.

Czy to z oddali, po odtrąceniu sztucznych uroków, nie jest historyą, starą jak świat?... Uwodzenie nauczycielki... Parę komplimentów, jako wstęp... Powiedział: Bądź moją kochanką... a gdy odparłam: „nie," obraził się i odszedł.

Na romanse czasu niema... Simple comme le jour. I tylko ja ze swym sentymentalizmem mogłabym tu upatrywać tragedyę,

łamania się wewnętrzne i t. d. Nieszczęściem mojem jest ten sentymentalizm. Jestem tkliwa i czuła, jak stara Niemka.

15.

Umarł mój krewny daleki, Władek, suchotnik.

Tak się rwał do „samoistności,“ starał o posadę, zbierał pieniądze, by się ożenić. Człowiek ten cały był wysiłkiem „dojścia,“ wypłynięcia na wierzch na targowisku życia. I już. Koniec. Nic mu nie potrzeba. Śmierć jednym ruchem przekreśliła długie formuły wyliczeń matematycznych.

Czy nie lepiej było tych dni kilku użyć na wyzyskanie szczęścia, takiego, jakie tylko było możliwe? Mówię to nie do ciebie, nieboszczyku Władku. Mówię pod innym adresem... Do ślepej zaciekłości człowieka, który także stara się *zdobywać*... Mną od pewnego czasu owładnęła dumna pogarda dla wszystkich tak zwanych dóbr ziemskich... Rzeczy zewnętrzne tak nic nie wpływają na harmonię, na równowagę ducha, bez której żadne szczęście nie jest możliwe...

Jest że to mistycyzm? Nie. Raczej epikureizm wysubtelniony, skierowany na wewnątrz. Mam to przekonanie najmocniejsze, że żadna rzecz ze świata nie może nastroić mnie na *dur*. Moll — to zasadniczy ton mego ducha. W sobie niosę wyrok swój...

Biedy Władek... Tak się starał, dwoił, troił!... Nieraz go podziwiałam z zazdrością. Jak on zręcznie przewijał się po tej arenie, gdzie homo homini lupus... Jak trafnie umiał stawiać kroki... Ja nie umiem. Wykładać przez trzy godziny dzieciom arkana czytania i pisania—oto jedyny występ czynny, na jaki mogę się zdobyć. Gdy pomyślę, że żyjąc na świecie, musiałabym ruszać się, chodzić, walczyć i wywalczać—mrowie mnie przechodzi. Zaszywam się pod siedm skór, kurczę w sobie, jak borsuk na sen zimowy.

Nieśmiałość nie jest najlepszym darem w walce o byt...

16.

Poezyi nieco:

Tęsknię do ciebie... Wieczorną godziną,
Jak sznur jaskółek myśli mi się winą,
Gdzieś w dal bezkresną, gdzieś w tę pustkę siną...

Tyś był mi życiem... jak słońce dla zbóż
Dziś tęsknię tylko... dziś nie kocham już...

Miłość z łez, szału i płomieni cała
W własnym się żarze strawiła, wytlała.
Dziś jako łuna blada jeno pała.

Kolory życia spełzły z zimnych lic...
Widmo tęsknoty — pastelowy szkic...

Tak serdecznego życia miazga żywa
Powoli z ciała się wysupłowywa,
Niby jesienne pajęczyn przędziwa.

Zakrzepła w piękność, na której lśni krzyż:
W piękność posągów muzealnych nisz...

I tak dalej... o tak dalej...

Nie chce mi się kończyć. Nie widzę nic, nie czytam nic... Wiecznie czerpać z tej płytkiej bezdni zwanej moją duszą... Słowo! Kiedyż cię odnajdę? Słowo tajemnicze...

I spłynie mi wszystko, co wre, kłębi się, żyje na dnie duszy... i męczy mnie po nocach.

„Świat mój... mój własny... W głuchą, nocną ciszę
Bicie rozgłośne pulsów jego słyszę...“

Zegar stanął. Świeca się dopala i gaśnie. Nie mam drugiej. Pogrążona jestem w ciemności... nie wiem, która godzina. Koło mnie Wieczność przepływa... światy w proch kruszy i nowe wywołuje z nicości...

17.

Nagły promień życia... Krzyk głośny i rzeczywisty, co przerwał pajęczynę snów...

Mniejsza o to, co i jak. Jadę, wyjeżdżam!... Rzucam Zalesie na długo, może na zawsze. Już pisałam po zastępczynię. Pakuję rzeczy gorączkowo. Śpiewam, nie wierzę sobie, to znów za bardzo wierzę... Zdaje mi się, że zawsze wiedziałam, iż tak być musi, tak się skończy. Krótko mówiąc, ciotka panien Rzeczyckich wyjeżdża za granicę. Włochy... Paryż... marzenia, najśmielsze marzenia...

Zabiera mnie, jako towarzyszkę...

Do życia! Do życia!

O moje sny, szalone sny młodości!... Świat! Świat!.. Kłębią się namiętności, dzieją wywroty, kształtuje oblicze historyi! Żyłam zawsze w marzeniu, o trzy łokcie nad ziemią... Nawet gdy on był przy mnie... Nie piłam uroku chwili... marzyłam raczej, jakby to być powinno. Ale dziś pęka zasłona fatalna, roz-

wiewają się mgły. Dość snów martwych, rezygnacyi, strupieszałego spokoju! Chcę żyć... Na ziemi... Zwykłem życiem... ale żyć!... Chcę, żeby koło mnie przelewały się fale wiecznie nowego, wiecznie płodnego, twórczego życia. Chcę czerpać coraz nową treść dla siebie, chcę poznawać, działać; brać udział w kształtowaniu nowych zjaw bytu.

Tam—przestworza bez granic, jeziora zaklęte, bory odwieczne, puszcze szumiące, góry niebotyczne... Miasto umarłe o białych kolumnach i zamyślonych portykach... Myśl lotem ptaka nurza się w nieskończoności. Świat rozwiera ramiona i mówi mi: „bierz...“

O życie!... jak ja kocham ciebie!...

Rozglądam się po ścianach. Tyle dni tu przepłakałam, tyle myśli zakrzepło w mur i drzewo... Moja następczyni zachoruje chyba na chroniczny sentymentalizm. Pozostaną tu po mnie mikroby, w ilości zdolnej cały świat przemienić w łzawnicę...

Śmieję się sama z siebie. Żyję — nie żyję, płynę na skrzydłach... Po nad drobiazgami, po nad całą ziemskością...

I myślę, że na tem polega urok podróży. Człowiek odrywa się od swego otoczenia, od szarych, drobnych nitek, od ssawek codzienności. Człowiek w podróży jest bezimiennością, bez domu, bez mebli, bez interesów, bez wszystkich balastów ustroju kapitalistycznego. Żyje chwilą.

O uroku!... O szczęście!...

Wybiegam przed dom, przebijam wzrokiem mgły, w których, jak w tkaninach srebrnych, tkwią oka świateł. Przenikam wszechświat. Niemożebne zdaje mi się możebnem. Z duszy mej, jak z obłoku wiosennego, tryskają ustawne łzy niewymownego szczęścia. Takam silna już teraz. Co będzie dalej, gdy przekroczę jutro, gdy wejdę do ziemi obiecanej...

Nagle, jak daleki dzwon pogrzebowy, nasępia się zwątpienie.

Może ta chwila wniebowzięcia jest właśnie cudem?... Może już nigdy, we śnie ani na jawie, serce nie biło takiem rozszerzonem tętnem?... Może już nigdy, we Włoszech, czy gdzieindziej, nie będę tak łkała z upojenia bezprzedmiotowego.

Uderza we mnie jasnowidzenie.

Bierz — chwytaj — ciesz się...

Ale już znika...

18.

Warszawa.

Zaraz na wstępie odebrałam list od mej „chlebodawczyni,“ że sprawy majątkowe zatrzymują ją jeszcze na wsi; prosi więc,

żebym na nią zaczekała w Warszawie. Co też czynię z lekkiem, uradowanem sercem.

Upaja mnie, oszałamia ruch i różnorodność obrazów. Zastygłam na wsi między kilkoma znanemi na pamięć obliczami. Oczu nie chciało się podnosić, wiedząc, że się nie zobaczy nic nowego, ani ciekawego.

A tu co krok rozmaitość. Niby plamy zmienne, ruchome, różnobarwne. Kobiety, szczególniej. Takie mnóstwo fizyognomij, oczu, rysów. Żywe, rozjaśnione, zawsze prawie powabne.

Odszukałam moje koleżanki. Niektóre wyszły za mąż. Inne wyjechały. Kilka, mniej więcej bez zmian, wlecze jak ja, z dnia na dzień taczkę żywota. Najbardziej zbliżyłam się do Władzi Brzeskiej. Władzia wykierowała się na wielką pedagogiczkę, znakomitość w swoim rodzaju. Należy do najrozmaitszych kół, co wieczór bywa na jakiejś sesyi. Przez godzinę, którą spędziłam u niej, przewinęło się z ośm osób w przeróżnych sprawach. Wszyscy szepczą tajemniczo, wyrażają się półsłówkami, robią wrażenie zamaskowanych spiskowców. Władzia traktuje mnie dość łaskawie, ale obiecała wciągnąć do pracy. Mimochodem powiedziała, że styka się wciąż z ludźmi wybitnymi i wymieniła kilka nazwisk istotnie głośnych.

— Co jabym tu mogła robić i jak?

— Zobaczymy, zobaczymy—odpowiedziała mi z tym samym skupionym, wielomówiącym uśmiechem.

Wracałam wieczorem sama... przez ulice Warszawy.

Tak, jak niegdyś... Na każdym kroku bije wspomnienie. Z każdego kamienia, z każdego zakątku... Krzyczy na mnie: „patrz!“ I serce ściska się... myśl spłoszona ucieka boleśnie... precz, precz, dalej!... Zapomnieć!...

Weszłam do kawiarni, gdzie chodziliśmy niegdyś na gazety. Bufetowa poznała mnie. Spytała:

— A gdzie pan, proszę pani?

To jedno wystarczyło. Łzy napłynęły mi do oczu. Zapłaciłam i wyszłam bez odpowiedzi.

A wspomnienia rozwijały się coraz dalej.

Powozy turkotały w stronę teatrów. Znów widzę nas dwoje, jak spieszymy na „Halkę,“ na „Cyganeryę.“ Siedzieliśmy przytuleni do siebie, w ciemnej sali, z oczami w oczach...

Jak ten człowiek wsiąknął mi w serce, w nerwy, w życie!...

Czasem, na ulicy, zdaje mi się nagle, że poznaję ociężały, kołyszący się chód jego i pochyloną głowę... Przystaję, kamienieję. I potem dopiero usta zmartwiałe szepczą:

— Nie!... Omyliłam się.

Nie wiem wtedy, czy cieszę się, czy żałuję...

Palącym żalem...

Ach, dość... Czemprędzej w inną stronę oczy i myśli... bo gdy się zbyt długo nad tem zastanawiam, otwiera się otchłań bólu, który pochłania mnie, życie moje, wszelką radość tego świata... Miłość beznadziejna!... Jakie to głupie!... W dwudziestym siódmym roku życia kochać bez wzajemności... Gdyby to choć miłość była!.. Ale on mnie nie kochał nigdy. Ani ja jego. Potrzebny mi jest do życia, jak dopełnienie moje, jak uzupełnienie. Jego śmiałość, zręczność życiowa, wiara w siebie, umiejętność panowania nad ludźmi, jego niepospolity dar wymowy wreszcie — to przeciwieństwo moje, to idealne dopełnienie wszystkich braków, które w sobie odczuwam.

On jest dla życia — ja dla refleksyi.

Czy ja wiem zresztą?...

Wiem tylko, że coś nas wiąże. I dla tego, po latach niewidzenia, po najuroczystszem zerwaniu, spotkawszy się, zaczęlibyśmy mówić do siebie, jak gdybyśmy się wczoraj rozstali.

19.

Wiec!

Władzia przyszła po mnie, cała stylowo czarna. Odczytała starannie kartkę z adresem i podarła. Weszłyśmy wysoce konspiracyjnie na trzecie piętro. Otworzył nam student w binoklach i cichutko wsunęłyśmy się do środka.

Duże, puste mieszkanie zamieniono naprędce na salę obrad. W największym pokoju stał stół z zapaloną lampą i kilka krzeseł. Inne pokoje oświecały mdło świece w butelkach. Na podłodze leżały palta i kapelusze. Grupy osób chuchając w pięście, rozprawiały szeptem. Władzia znalazła wnet mnóstwo znajomych i mnóstwo spraw do każdego, przebiegała więc z pokoju do pokoju, ciągnąc mnie, nieszczęśliwą ofiarę, za sobą. Wysłuchałam dwudziestu zaczętych i ucinanych rozmów, dowiedziałam się o losie tyluż osobników, występujących pod pseudonimami, i z przerażenia zaczęło mi się mącić w głowie.

— Jak ty możesz podołać wszystkiemu i spamiętać!..

Władzia odparła z roztargnieniem, nie bez wyższości:

— Zobaczysz, zobaczysz...

I szłyśmy dalej, ja już zupełnie wytrącona z równowagi. W samotni mojej odwykłam od czynu, przyzwyczaiłam się każdą rzecz oplątywać wiekuistemi: skąd? dla czego? jak? po co? A ży-

cie nie ma czasu na refleksye. Życie nie ogląda się. Czyni fakty i idzie prosto, dalej, naprzód!..

Życie!.. Od tych gromadek szepczących, biły we mnie fale siły jakiejś, co nadchodzi, żywiołowa, i odnawia treść życia.

Upojenie biło mi do głowy, jak wino mocne.

Coraz więcej osób przybywało... Zaczęło się robić ciasno. W końcu zdawało mi się, że to huf jakiś niepowstrzymany, ławica ryb, o brzeg bijąca, ruch konieczny, jak prawo przyrody. A przecież tłum ten, to jednostki, rządzące się wolą: różnolite, sprzeczne żywioły. Jakaż siła skuwa je dziś?.. Jakaż bezinteresowność olbrzymia!..

Chyba niema na świecie ludzi, bardziej wykształconych w bezinteresowności, od nas. Uczymy się, myślimy, rozwijamy się, dzięki cudzej ofiarności. I z drugiej strony, pracujemy, narażamy swobodę i życie — nigdy dla siebie...

I wreszcie się zaczęło...

Cisza, natężona cisza, w której słychać paręset oddechów, i czasem nerwowy, tłumiony kaszel.

Stary pan mówił:

— Oto ogień, przytłumiony od lat dziesiątków, wzbija się na nowo. Oto zaschła krew bohaterów ożyła znów i dojrzała do czynów... Oto zdławiony krzyk „wolności“ przerwał tamy i wzbija się do nieba... jednolity, gromowy, z miliona piersi... Zdaje się, że to Geniusz życia obudził się, i przedziera krępujące go szmaty. Zdaje się, że woła konieczność historyczna ze wszystkich zakątków kraju... ze wszystkich sfer... Nawet dzieci. Niesłychany pęd... ruch fal morskich, jak przypływ i odpływ — posłuszny niewidzialnym sobie prawom. Przypominają się krucyaty dziecięce, kiedy legiony niemowląt, pędziły na oślep, wiedzione przez jakiś Rozkaz nieodgadniony...

I gdy mówca umilkł, gdy zerwał się oklask przelotny i ucichł ze względów ostrożności policyjnych—aż mnie zabolał ten powrót do rzeczywistości... Wyprzedziłam bieg czasu—byłam już u brzegu wysp szczęśliwości, do których dopiero zdążamy...

Potem przemawiał Jan Orecki, znany w literaturze.

Dziwna, ciekawa postać. Brzydki, o rysach ostrych, jakby zmiętoszonych życiem. A jednak coś jest w tej twarzy, co przykuwa. Mówi nerwowo, dławiąc się wyrazami... mowa jego, jak i rysy, jest nierówna, pełna wybuchów hamowanych. Ten człowiek wygląda, jakby w nim coś wrzało i coś tłumił ustawicznie.

Za sąsiada miałyśmy owego studenta-odźwiernego. Odprowadził nas do domu. Nazywa się Maryan Zręcki. Władzia chcia-

ła mnie zaciągnąć do siebie, ale mnie pilno było do samotności. Teraz chodzę po pokoju... Przetrawiam...

Więc tak się dzieje na świecie...

Mnie się zdawało, że „dziś“ i wszystko co w niem istnieje — to coś zakrzepłego, wiecznego... Pozwalałam sobie na westchnienia ciche, ostrożne... i trwałam w rezygnacyi wygodnej a obmierzłej... A życie nie stało ani na chwilę. Pod korą ziemi biegnie rzeka, rozgałęzia się. Ogarnia wszystkie dziedziny życia... podlewane krwią ofiarną.

O bohaterstwo ludzkie!... O legiony, idące na śmierć bez zmrużenia powiek... O jakże mi wstyd mej bierności!.. Że spędzałam dnie i miesiące w Zalesiu, jęcząc na taczkę obowiązków, trawiąc się myślami i głupią miłością.

Otom cała, jak pochodnia płonąca... Otom gotowa do Czynu.

20.

Ni z tąd ni z owąd przyszedł do mnie pan Maryan.

Tak samo, jak Władzia, należy do stu stowarzyszeń, biega z sesyi na sesyę, kołacze do stu bram, rozrywa się formalnie. Słuchałam z zazdrością. To są ludzie, którzy umieją tak łatwo wkolcić się w bieg życia, iść z nim. Ja zawsze czuję obcość. Zawsze „ja“ — i „wy.“

On powiada, że czyni to wszystko dla zapełnienia pustki. Pustki, która toczy, żre, trawi... Przypomniałam sobie zapał, z jakim zbierał głosy, stawiał postulaty, gromił niepowołanych wichrzycieli...

— Pan... i pustka?

— Tak, pani... Biegam, krzyczę, zabijam się pracą... aby zagłuszyć... Bo kiedy człowiek zostaje sam, dusza aż wyje...

Potem zaproponował spacer.

Poszliśmy w Alee. Pusto było, głucho. Szliśmy obok siebie, a echo rozdzwaniało te kroki. Skręciliśmy nad Wisłę.

— Mam słabość do wody, mówił Maryan. Czuję nostalgię za nią. I gdy chodzę z kimś miłym, przyjemność byłaby niezupełną, gdybym nie popatrzał na Wisłę.

Czy to miał być komplement?.. Odpowiedziałam milczeniem. W nim jest dwóch ludzi. Jeden — to zaciekły społecznik, z wieców. Drugi — to ten znużony, w którym „wyje pustka.“ Ten drugi milszy mi jest i bliższy. Tamten odpycha mnie, jak coś obcego, coś żywiołowo przeciwnego... jak człowiek, w stadyum duszy, które ja dawno minęłam, nie przeżywszy...

21.

Odczuwam ruch, przejmuję się i gorączkuję, ale on nie jest mną, ani ja nie jestem nim. Pod wodzą Maryana przebiegam z wiecu na wiec. Gdy on w pocie czoła zajęty jest formułowaniem wniosków, ja obserwuję.

Dwa, trzy punkty nieruchome — to słońca. Znani literaci, działacze, przywódcy. Wkoło nich krąży sztab słońc wielkości drugorzędnej: literaci mniej zdolni, działacze mniej wybitni. Dokoła nich szeroki krąg „inteligencyi," której granice są tak rozlewne, że aż niejasne. A więc: nauczyciele, nauczycielki, studenci, panny z aspiracyami, słuchaczki różnych lekcyj zbiorowych, panowie w pelerynach, panowie, o których wiadomo że „piszą" i „drukują," choć nie wiadomo — co i gdzie. Naokoło tych wreszcie, nieskończony klan „publiczności," do którego należą wszyscy, niewłączeni do kręgów wyższych...

Oczywiście, jest ustawiczne ciążenie z dołu do góry i punktem honoru okazywanie, że się należy do koła wyższego, niż w istocie. Wielkości rosną i giną z szybkością przerażającą. Co dnia dowiaduję się o jakiemś nowem nazwisku, które, niby Afrodyta z piany morskiej, wykwitło z łona bezimienności. Ktoś napisał stuwierszowy artykuł lub przemawiał przez pięć minut — i już nosi wysoko głowę, tajemniczemi półsłówkami daje poznać swe misye historyczne, na resztę śmiertelników patrzy z pobłażliwą wzgardą.

Są osobistości typowe, zło konieczne każdego zebrania. Taki np. „pan, co oponuje," albo „pan, co mówi."

Nie było jeszcze zgromadzenia, aby z pośród publiczności nie wyrósł nagle mówca przygodny. Najczęściej nie ma nic do powiedzenia, rozwałkowywuje tylko to, co wszystkim wiadomo. Gada pięć, dziesięć minut... siada wreszcie, by po pięciu minutach zerwać się znowu. Przewodniczący się wścieka, niecierpliwsi sykają, ten i ów chichocze w kułak. A on gada...

Drugi typ, to pan z opozycyi. Uniesiony manią wielkości, chcąc się wyróżnić, przeczy z zasady wszystkiemu, co słyszy. Unosi się, pieni, gardłuje, zbija jednego przeciwnika, drugiego, trzeciego, to, co mówią, to, co powiedzieli, to, czego sam bronił przed godziną...

Trzeci kwiat, wyrosły na niwie krasomówstwa naszego, to tak zwany „kolporter zdań znakomitych mężów."

Zna osobiście najwybitniejszych ludzi, obchodzi tedy szerokie łany publiczności i każdemu szepcze poufnie, co myśli o danej

sprawie pan A... B... C... Aby zaś zaznaczyć indywidualność swą, dodaje:

— Ale ja się z nim nie zgadzam...

Spotykam zastępy pań i panienek. Przychodzą codzień, słuchają w milczeniu, odchodzą. Nazajutrz toż samo...

Po co?

Podobno i takie osobniki potrzebne są, jako piony. Zresztą, każda rzecz na tym świecie ma strony dobre, złe... i śmieszne. Jest dużo piany, dużo ambicyjek i pustego krzyku... Ale umysły pracują. I nad wszystkiem góruje jednak — idea.

Moja Władzia stanowi ogniwo pośrednie między „inteligencyą“ a „publicznością,“ dopuszczana jednak bywa i do „literatury.“ Między koleżanki z pedagogii wnosi słowa mistrzów. Urządziła nawet wiec u siebie, na którym powtórzyła dosłownie wszystko, czego się tam nasłuchała, ale przyparta do muru, zawikłała się w dowodzeniach i poniosłaby sromotną klęskę dyalektyczną, gdyby jej Maryan nie był wyratował.

Ale trzeba widzieć jej postać wysmukłą w czerni i ton, jakim oznajmia:

— Mówiono mi wczoraj, w gronie ludzi wybitnych...

Codzień wpada do mnie, podniecona, opowiada, jak przekonała tego i owego. Cieszy się i ja się z nią cieszę; potem idziemy gdzieś razem, spotykamy studentów, cieszymy się dalej, albo, dla rozmaitości, kłócimy się z nimi. Władzia coś robi... tak mi się przynajmniej zdaje. A ja... tyle tylko, że chodzę. Słucham i nie mogę oprzeć się natrętnej myśli: „Tyle słów! Tyle słów!..“

Słowami nie zdobyto Bastylii...

Chociaż... gdy mówi Orecki, czuję, że są słowa, które mogą się stać żagwią — mieczem — i historyą. Przenika mnie wskróś kości dreszcz... Czuję płomień w sobie, przez sekundę czuję się Grażyną i Joanną d'Arc. W jaskrawych ogniach błyska mi droga Czynu, którą iść należy...

Milknie—i we mnie gaśnie zdolność do czynu. I znów jestem w dusznym pokoju, w tłoku ludzi, w powodzi słów, z których wyplątać się nie umiem...

Maryan przychodzi, czasem znużony, że aż mi go żal. Całemi dniami gna, jak potępieniec, po piętrach i suterynach, a wieczorami przychodzi do mnie, rzuca się na otomanę i prosi, aby mu wolno było nic nie mówić.

— Po co? Po co? Po co to wszystko?... Praca, nauka, idea i t. d. nie gasi głodu prawdy, głodu życia. Człowiek dość długo karmił się tęczami i poezyą. Brutalność krzyczy: „jestem.“

Mówił to i patrzył na mnie. Nie rozumiem dobrze tych formuł tajemniczych... Ale nie lubię takich spojrzeń. Wynalazł, że mam ładną rękę i wziął ją dla bliższego rozpatrzenia. I tego nie lubię. Żyję teraz w takiem napięciu, oczekiwaniu, pogoni za nieuchwytnem „coś“ życia, że sprowadzenie dróg na jakieś określone poziomy, do mianowników wiadomych, byłoby mi rozczarowaniem, zawodem, klęską...

Trwało to zresztą chwilę tylko.

Mówiliśmy o Zalesiu. Pytał mnie się o lud, o jego umysłowość, pragnienia, dążenia. Ze wstydem musiałam powiedzieć, że nie wiem.

— Jakto? Pani? Nauczycielka wiejska? Żyjesz między ludem i nie znasz go?

— Znam Tomaszową, moją niewolnicę „do wszystkiego.“ Znam z imienia i z nazwiska rodziców płci obojej, mych uczniów... U niektórych bywałam, coprawda, najczęściej, gdy mi trzeba było jajek i masła.

— Ale co myślą? co czują?..

— Wiem, że kochają ziemię, że są chciwi, skryci, wytrwali i pobożni.

— Wszystkie te ogólniki zresztą znaleźć można w każdej powieści ludowej.

— Czemu jednak sięgać tak daleko? Czy znam uczniów moich?... Czy spojrzałam choć raz inaczej na nich, jak na wieloosobowe stado, któremu trzeba z mozołem wpajać czytanie „ruskie?...“ Czy nie wyczekiwałam, jak zbawienia, końca godzin szkolnych?...

— Jak to można!.. jak można... — perorował Maryan. Właściwie nie perorował, tylko marzył głośno. Co można zrobić... i co należy...

Zazdrości mi bielonej izby, smugów na horyzoncie, sinych dymów nad smugami.

— Ach, utopić się w ciszy lasu, w poezyi legend, w źródłach żywej, prostej twórczości. My tu żyjemy w brzydocie sztucznej i niepotrzebnej, pędzimy z meetingu na meeting, męczymy się w prozie...

Oparłam głowę na rękach.

Opowiadałam mu o dniach samotnych, o dniach tęsknoty... O rozpaczy, że uciekają tak marnie chwile młodości... O bólu, gdy czujesz się coraz dalej od życia, gdy na milczącą duszę opadają chusty ciężkie — całuny śmiertelne — warstwy grobowe... O nastrojach samobójczych...

— Czy znalazła tu pani przynajmniej zapełnienie pustki?

Zamyśliłam się.

— Nie wiem.

Stoję wobec życia, ale też, jako widz tylko. Daję się nieść fali, nic nie czyniąc. Zawsze bierna... Zawsze czekam na akt piąty... na sens moralny.

Interesuje mnie Orecki. Pewna jestem, że w życiu tego człowieka musi być tragedya. Powiedziałam to Maryanowi. Ofiarował się nas zapoznać.

22.

Po wiecu wyszliśmy razem. Maryan przyprowadził go do mnie i rzekł:

— Orecki, literat.

Ukłon. Zakłopotanie. Milczenie pięciominutowe.

— Pani nie jest mieszkanką Warszawy?

Jak na człowieka niepospolitego, wstęp dość pospolity.

— Nie, panie.

Maryan wszczął gawędę „de publicis.“ Słuchałam, obserwując. Są mężczyźni, których nie znoszę: pełni pychy jakiejś męskiej, zarozumiałości. Wnet budzi się we mnie chęć deptania... Orecki zarozumiały nie jest, przeciwnie, nadto skromny, brak mu wiary w siebie. Tylko — jest nawskroś mężczyzną. Ani źdźbła zrozumienia duszy kobiecej. Czuję to... i to mnie odpycha.

Tymczasem rozmowa zjechała powoli na szlaki osobiste.

Dowiedziałam się, że Orecki spotkał mnie kiedyś na ulicy z Maryanem i zainteresowałam go. Dowiedziałam się, że jest żonaty, ale żony nie kocha. Kocha natomiast inną — i kochając ją, ożenił się ze starszą od siebie, obojętną kobietą.

— Dla czego?

— Tak jakoś...

Piękne uzdolnienie życiowe, ani słowa! Coś niby ja... Rozumiem teraz, co znaczą te fałdy tragiczne i wybuchy pod maską lodu i nierówność całej postaci.

Wzięłam go pod rękę. Sprawiło mu to widoczną przyjemność. Przycisnął lekko dłoń moją do siebie. Chodziliśmy bardzo długo i strasznie późno już wracali do domu. Orecki mówił coraz czulej, żem miła, ogromnie miła, piramidalnie miła... Żal mu było rozstawać się z takim skarbem, więc uparł się, żeby pójść jeszcze na czarną kawę. Obeszliśmy pół miasta ceremonialnym marszem, pod rękę, nareszcie trafiliśmy na dworzec. Tu Orecki zdążył jeszcze pokłócić się z żandarmem, a że Maryan miał po-

wody unikania bliższych stosunków z władzą, wymknęliśmy się cichaczem, zostawiając Oreckiego na ofiarę filarom istniejącego systematu państwowego.

Nazajutrz, o jedenastej rano, zaledwiem zdążyła się ubrać... dzwonek — Orecki.

— Chciałem zobaczyć, czy pani w dzień równie jest miła...

— Cieszę się, że pan się wyplątał szczęśliwie z objęć wczorajszych...

— Zostawiliście mnie nieszlachetnie...

— Maryan utrzymuje, że w walce o byt zwyciężają osobniki, hołdujące zasadzie: „zmykaj kto może.“

— Co pani zamierza dziś wieczorem?

— Nic.

— Może wybierzemy się gdzie razem?

— Dobrze. Uwiadomię Maryana.

— A bez Maryana nie można?

— Bez Maryana nie można.

— Pani się w nim kocha! — oznajmił, przeszywając mnie wzrokiem.

— Co za przenikliwa znajomość tajników serdecznych! Winszuję pańskim powieściom!

— Nie piszę powieści, jak to pani powinna wiedzieć z podręczników literatury.

— Wtedy, gdym ja się uczyła literatury, gwiazda pańska jeszcze nie weszła.

— Tak, pani to niewiasta z epoki romantycznej... Dawno już to zauważyłem...

Nagle zadzwoniono.

Oddano mi list od pani Rzeczyckiej.

Trzęsącemi rękami rozerwałam kopertę. Mrowie mnie przeszło. Wobec „niepewnego stanu bezpieczeństwa,“ żąda, żeby z nią wyjechać natychmiast zagranicę.

Opuściłam ręce.

Teraz wyjeżdżać? Z gwaru narad, z zebrań wieczornych, z atmosfery gorącej?

Nigdy! Przenigdy!

Orecki patrzył we mnie.

— Czy co złego?

— Tak... Nie... Przeszło już...

— Napewno?

— Napewno.

Postanowiłam. Napiszę odmownie. Niech zabierze moją zastępczynię z Zalesia.

— Od kogo ten list?

— Od pewnej niewiasty...

— Niewiasty? Aha, zaraz uwierzę! Nie blednie się tak, odbierając listy od niewiast!...

— Nie kłamię nigdy.

— Wszystkie wy kłamiecie, o pani...

Zaproponował, byśmy pojechali za miasto na obiad.

— A żona?

— O, przywykła do tego, że po kilka dni nie bywam w domu.

— Nie chcę sięgać po cudzą własność. Powiedziano bowiem: ani wołu, ani osła...

— Omyliłem się wczoraj na pani. U wrót sentymentalizmu kończą się afekty moje.

Pomimo to siedział aż do wieczora.

Poszliśmy razem na zebranie, gdzie miał przemawiać.

Nigdy jeszcze tak nie mówił. Płomienie z ust mu płynęły. Zdawało się, że zdruzgocze wszystko, co stoi, co tamuje pochód Przyszłości... Znikła z przed oczu sala, byliśmy gdzieś, w przestrzeni, gdzie słowa są symbolami z płomienia.

Skończył — i nikt ruszyć się nie śmiał.

Patrzyłam z za łez. Czyż to ten człowiek, który mówi o kobietach, i nie przychodzi do domu na obiad? Ludzie do historycznych misyj stworzeni powinni stać na piedestale. Powinno się ich widzieć tylko przez mgłę kadzideł...

Orecki wyrwał się z koła otaczających go wielbicieli i dopędził mnie już na ulicy.

— Czemu taka smutna? Panno Stasiu... Ja się tak bardzo cieszyłem na wieczór dzisiejszy... jak dzieciak.

Pocałował mnie w obie ręce.

— Dobrze mi z panią. Stęskniłem się już do pani przez te dwie godziny... Chodźmy na spacer...

Wstrząsnęłam głową:

— Maryana niema.

— Możemy posłać po niego...

Spochmurniał.

— Ile pani ma lat? — spytał nagle.

— Dwadzieścia cztery — odrzekłam, i zaraz spoliczkowałam się myślą za to nędzne kłamstwo.

— I taka już zimna... Wystygła — czy nierozbudzona? A może...

Odsunął się odemnie. Do siebie raczej mówił:

— To ja taki przeklęty... Nic i nigdy... Wszystko ucieka przedemną...

Weszliśmy do mego pokoiku. Cisza, jak zawsze. Mrok zapadał... mrok, co rozmarza...

— Gdyby pani wiedziała, jaki ja nieszczęśliwy... Każdy krok w życiu zatruty i chybiony. Każdy krok to męczarnia...

— Małżeństwo?

Małżeństwo... i wszystko...

I coraz ciszej mówić zaczął o kobiecie, którą kochał...

Mówił, jak przez sen. Wspominał każdy dzień, każde jej słowo... Utonął w tem rozpamiętywaniu. Zapomniał o mej obecności. A raczej, pamiętał tylko, że jest ktoś, kto nie będąc ani stołem, ani piecem, słucha i rozumie.

Szeptał jak do siebie, patrząc na dno zagubionych widm błękitnych.

Powiało na mnie mrozem... Obcością chmurną, lodowatą. Takie wrażenie, że gdybym umierała tu, w oczach jego, onby spojrzał mimochodem i dalej marzył...

Poczułam, jacy my dalecy... Siedząc przy sobie, każde patrzy w swoją duszę... Między nami stoi zimny, twardy, wiekuisty mur...

— Ach,—zawołał nagle — precz z tem wszystkiem! Co tam!

Pochylił się, objął mnie, przycisnął do siebie i pocałował.

Zerwałam się, i z całych sił — huknęłam go w twarz.

— Co to znaczy? — zagrzmiał z wściekłością.

— Pan szukasz we mnie zapomnienia, kochając inną...

Zakryłam twarz rękami. Zaczęłam strasznie płakać.

— Ludzie znieważają mnie, nikt się nie troszczy o mnie, obcam wśród przyjaciół.

I taki żal... Ten sam zawsze, stary, zadawniony... Że ten, kto mógł mi być podporą życia, przy którym byłam silna i śmiała...

...Czemu mnie zostawiłeś samą!...

Zawsze on... Zawsze on...

— Ach, te komedye babskie! Nie znoszę kobiet płaczących!— krzyknął Orecki w pasyi.

— Trzeba było wziąć cyrkówkę.

Porwał się, popatrzył na mnie z nienawiścią i gniewem, i uciekł trzasnąwszy drzwiami...

23.

O rety! rety! umrę ze śmiechu!

Byłam z Władzią na koncercie, spotkałyśmy Bolka i odnowiły znajomość.

Od pięciu dni asystuję, jako widz, najbardziej górnemu z flirtów.

Władzia, zaciągnięta w pancerz niewidzialnej godności, rzuca słowa na wzór Pytyi delfickiej. Od ciągłego ocierania się o twórców, i ją zaczyna piec żądza sławy. „Postanowiła“ napisać dramat.

Bolek, poczciwy zawsze i bajecznie głupi, mimo gloryi autorskiej, dostraja się jak może, do tego tonu szczytnego. Pływają w obłoku, i tylko czasem słyszę zwrotkę w rodzaju:

— Ach... — wzdycha Władzia — chciałabym od siebie, poprawić, odnowić życie...

— Nigdy pani nie znajdzie zadowolenia, bo pani nie umie kochać... — wyrokuje ponuro Bolek.

Maryan ma teraz okres żarliwości społecznej. Lata, jak kot z pęcherzem, z zebrania na zebranie, wlokąc mnie za sobą.

Zauważyłam już kilka nawiązujących się małżeństw na tle sympatyj społecznych. Życie tych kółek, krążąc, niby ziemia dokoła osi, posuwa się jednak i naprzód.

Ale to jeszcze nie życie prawdziwe. To tylko krzątanina gorączkowa, wytężona pogoń za niczem, dobrowolne usztucznianie życia, byle się oszołomić.

W sumie, każdy patrzy na te zebrania, jak na coś, co już jest czynem. Potem opowiada mniej wtajemniczonym bajki z tysiąca i jednej nocy i zyskuje tanie wawrzyny bohatera.

Poznałam niektórych ludzi „wybitnych.“ Ani nie umieją więcej odemnie, ani nie są zdolniejsi. Tylko, są to ludzie ze zmysłem życia. Umieją suggestyonować tłum. Nie na długo... czasem na przeciąg dnia... Niejeden zagaśnie potem nazawsze w mrokach zapomnienia. Ale swój dzień miał.

Świat to targowisko, na którem trzeba się przebijać łokciami.

A ja?

Nie umiem wykazywać siebie. Siedzę na boku, wtulona w bierność istot upośledzonych.

Trudno. Rezygnuję z roli przodowniczej. Stworzona jestem na uczonego, który patrzy na sprawy świata poprzez szyby swej pracowni...

24.

Ogarnęło mnie zniechęcenie...

Bez granic... Bez granic...

Dziś rozumiem Maryana, gdy mówi: „dusza mi wyje w pustce.“

Pustka, pustka, pustka...

Żre mnie, wycieńcza, zabija... Wszystko, co robię, co robić mogę, wydaje mi się taką kroplą—takim atomem—takiem nic... Jest obok mnie, nie we mnie. Czynię tak, jakbym uczyła dzieci — chłodno. To nie ofiarność płomienna, Czyn samorzutny, Krzak gorejący Objawień boskich, o którym mówił Orecki.

Potrzeba mi całopaleń, ofiary. Człowiek każdy czuje potrzebę oparcia na fundamencie ideowym gmachu żywota. Czuję potrzebę metafizyki. Moją metafizyką jest ofiarność społeczna. Chcę wtopić się cała w Czyn, utonąć w nim... Chcę wstrząsnąć posadami świata. Patrzeć na stawanie się Wiekopomnego. Trawią mnie głody twórcze. Pod czaszką kłębią się myśli nowe, doktryny moje własne, całe systematy filozoficzne, ale nie umiem dać im wyrazu. Między mną a czynem, choćby czynem w słowie, leży przepaść.

Ta twórczość niewyładowana gna mnie, męczy, prowadzi nad brzeg otchłani, wściekłości i obłędu. Godzinami leżę bezwładna na sofie, przezieram nawskroś, nicuję wszystkie wartości świata. Wszystko wydaje mi się, jak mary posępne, jak cienie z latarni magicznej.

Nic... nic...

Nawet tęsknoty... za *nim*... już nie czuję...

Miłość.

Czemże są pocałunki, padające na zimne, wzdrygające się usta? Całował mnie Orecki, a ja płakałam z upokorzenia, z tęsknoty, z żalu za tem, że nie wiem nawet, cobym na miejsce to postawić chciała.

Marzenia młodzieńcze... przeczucia pensyonarki... Czy istniała wogóle miłość, ów kwiat błękitnych poetów?... Czy nie znikła z powierzchni ziemi, wraz ze złotym wiekiem ludzkości?

Widzę dokoła różne uczucia: pociąg zmysłowy, zaufanie wzajemne, zadowolenie próżności, chęć usłania razem gniazda...

Miłości nie widzę...

I tak mi smutno...

„Sentymentalizm!“ drwi Orecki.

Dobrze. Wiem.

Jeden sentymentalista...

Mężczyźni są inni. Oni mają pracę, cele określone, fach, do którego przygotowują się przez pół życia. Kobieta i miłość, co u mężczyzny na jedno wychodzi, to godzina odpoczynku i zabawy. Kobieta pragnie nie mężczyzny, lecz miłości. Życia miłości, życia całego... Miłość przerasta tkanki jej, jest jej potrzebą przyrodzoną... Dlatego ta przepaść między mężczyzną i kobietą, gdzie on pragnie godziny rozkoszy, a ona wyrywa się do misteryów cudownych, do uniesień nadludzkich...

Powiedzcie Oreckiemu czy Maryanowi, żeby wykreślił miłość z reszty dni swoich — a nie wiem, czy się nawet wzruszy. Mnie gdyby ktoś przepowiedział: „nie pokochasz już nigdy, nie będziesz kochaną“ — odebrałabym sobie życie...

MARION.

SOKOLNICKI i KRUKOWIECKI.

Epizod historyczny z lat 1813 — 1816.

(ZE ŹRÓDEŁ ARCHIWALNYCH).

Przypominam sobie, że gdy w roku 1868 historyk Ludwik Kubala wydał był piękną monografię o „*Jerzym Ossolińskim*,“ ja, pisząc o tej pracy w jednym z dzienników warszawskich i oddając hołd należnego jej uznania, uczyniłem równocześnie uwagę, że rozpoczęcie życiorysu Ossolińskiego od opisu jego zgonu, przeciwstawienie splendoru życiowego owego męża stanu, złorzeczeniom współczesnych, które towarzyszyły jego zwłokom do grobu i poza grobem, nie daje się usprawiedliwić ani istotą biograficznego zadania, ani też chronologią wydarzeń w życiu danej jednostki, które z natury rzeczy poczynają się od jej urodzenia, a kończą na grobowej trumnie...

Tak oceniwszy swego czasu nieprawidłowy rzekomo, zdaniem mojem, układ monografii sympatycznego dziejopisa, nie przewidziałem, że sam kiedyś znajdę się w położeniu analogicznem i że rozpocznę opis jednego z epizodów życiowych nowoczesnego niefortunego bohatera, Jana hr. Krukowieckiego, od obrazu zaniku jego sławy w chwili zgonu, od przeciwstawienia rozgłosu jego działalności na polu walk europejskich, owej ciszy i zapomnieniu, którą potomność otoczyła martwe zwłoki dzielnego ongi żołnierza, uczestnika bojów napoleońskich od ich początku aż do nieszczęsnego ich epilogu z roku 1814, człowieka, który w czasie powstania listopadowego, jako gubernator wojenny Warszawy, dawszy dowody wielkiej energii i stanowczości w działaniu, powołanym był następnie przez połączone Izby do najwyższej godności pre-

zesa rządu narodowego, człowieka, o którym Mochnacki nawet, broniąc go przed zarzutami spiskowania przeciw władzy, wyraził się, „że on jeden, pomimo podeszłego wieku, zdolnym był do czynów godnych rozpaczy konającego Narodu.“

A jednak, gdy Jan hr. Krukowiecki w roku 1850 zamknął w Warszawie powieki, o zgonie owego blisko ośmdziesięcioletniego starca przemilczały dzienniki miejscowe... Nie znalazł się nikt, ktoby nad grobem jego wygłosił pożegnalne słowo, ktoby potomnym podał choćby krótką historyczną ocenę działalności walecznego i odważnego żołnierza... Fakt kapitulacyi stolicy, związany z jego nazwiskiem, zaciężył brzemieniem klątwy na pamięci wojownika i zawarł usta tym nawet, którzy w fakcie jego zesłania w głąb Rosyi, po upadku rewolucyi, mogli byli znaleźć choćby słowo usprawiedliwienia dla owej ofiary losu.

Znalazł się wprawdzie, w lat dziesięć po upadku powstania, jedyny obrońca czci żołnierskiej Krukowieckiego w osobie nieposzlakowanego patryoty i zasłużonego pisarza, Karola Forstera, który w dziele swem „*Pologne*,“ wydanem w Paryżu w r. 1840, pierwszy rozgrzeszył go z win rokowań kapitulacyjnych z roku 1831. Nie poprzestał na tem apologeta i po latach trzydziestu kilku od chwili wygłoszenia pierwszej swej obrony, szerzej rozwinął pogląd na lojalność działań Krukowieckiego w chwilach upadku listopadowego powstania, w dziele: *Teka narodowa* № 3, Berlin, 1873.

Nie ocaliło to jednak Krukowieckiego przed surowym wyrokiem historyi... Do dziś jeszcze postać jego nie wyłoniła się z poza chmur podejrzeń i inwektyw, rzuconych na nią przez współczesnych; do dziś dnia na tle obrazu krwawych zapasów resztki walecznych z pod bastyonów Woli z przemagającą siłą oblegającej ich armii, rysuje się chmurna postać człowieka, który pierwszą odezwę do Paskiewicza z oświadczeniem kapitulacyi Warszawy własnym opatrzył podpisem. Bezowocnemi okazały się wszelkie usprawiedliwiające taki krok powody, bezowocną ofiara krwi jego potomka, którą w roku 1863 pragnął zatrzeć wobec narodu stygmat potępienia, ciążący na głowie rodzica.

Nie mam na celu w epizodzie niniejszym stanąć po stronie obrońców działań Krukowieckiego z roku 1831. Zamierzam jedynie na podstawie nieznanego dotychczas ogółowi materyału, dobytego z niedostępnych przez czas długi kryjówek archiwalnych, odtworzyć jedną wcześniejszą chwilę z życia tej historycznej postaci i oświetlić ją wysoce charakterystycznym rysem stosunków, wytworzonych w zaraniu dziejów Królestwa Kongresowego, gdy

złożony w roku 1815, z rozkazu cesarza Aleksandra I, sąd wojenny miał sądzić — i, jak się zdaje, osądził surowo—tryb działań generała brygady Krukowieckiego podczas walki narodów pod Lipskiem z roku 1813 i orzec zarzuconą mu przez generała dywizyi Sokolnickiego winę, której następstwem było jakoby rozluźnienie węzłów karności między niedobitkami korpusu polskiego po batalii lipskiej, odstępstwo wielu z pomiędzy nich z pod narodowego sztandaru i przyłączenie się zdrady do szeregów zwycięzców.

Dziejowy splot wypadków ma niekiedy dziwaczne kaprysy... Jeśli na tle tak niezwykłego faktu, jakim był wyrok ferowany pod egidą zwycięzców pod Lipskiem przeciw generałowi armii zwyciężonych, iż niewykonał należycie obowiązków żołnierza, dodać jeszcze charakterystyczniejszy szczegół, mianowicie, iż nad wydaniem potępiającego Krukowieckiego wyroku pracował z rozkazu cesarza Aleksandra... senator Nowosilcow; jeżeli zważymy, że w owym sądzie wyjątkowym, zebranym początkowo pod zwierzchnim nadzorem Wielkiego Księcia Konstantego, wodzowie polscy z pod Lipska: Dąbrowski, Zajączek, Sierawski, Kamieniecki, Izydor Krasiński i inni, roztrząsali szczegółowo wszystkie fazy walki narodów odbyte w pamiętnych dniach 17, 18 i 19 października 1813 r. zakończone pogromem Napoleona; jeśli zważymy, że wymownym obrońcą generała Krukowieckiego był podczas owego sądu poeta i retor Ludwik Osiński, prokuratorem zaś i obrońcą z ramienia oskarżyciela generała dywizyi Michała Sokolnickiego, Krysiński, b. audytor wojenny; jeśli zważymy, że zapoczątkowanie owego sądu odbyło się w trakcie rokowań kongresu wiedeńskiego z roku 1815, w pierwszych chwilach wskrzeszonego Królestwa Kongresowego, obwieszczonego narodowi listem cesarza Aleksandra, przywiezionym do Warszawy przez generała Krukowieckiego; jeśli wreszcie zważymy, że nienawiści między generałami Krukowieckim i Sokolnickim, doprowadzonej do czynnej obrazy ostatniego, podczas festynu odrodzenia Królestwa, święconego 11 kwietnia 1813 r. w pałacyku Łazienkowskim, położył kres ostateczny dzień 23 września 1816 r., gdy generał Sokolnicki, uderzony na placu Saskim przez rozhukanego konia, legł trupem wśród rewii wojska polskiego; jeśli te wszystkie, niezwykły interes historyczny budzące, fakty skojarzymy z osobą główną niniejszego opowiadania, znajdziemy być może klucz do zrozumienia psychologii Krukowieckiego, którego życie całe było splotem czynów niezwykłych, ujawniających temperament niepokiełznany, atawistyczny rys charakteru zawadyaków i rębajłów z wieku XVII, rys żołnierza, o którym Niemcewicz, wzmiankując o dodatnich jego

stronach, pisze jednocześnie, że „był ognistej krwi, płomień ognisty nosił w swoich żyłach, niecierpiał zwierzchnich, przykry z równymi, kłócący się z każdym zwierzchnikiem i już do roku 1815 miał za sobą 27 pojedynków“ (Pamiętn. II, 208); i o którym Andrzej hr. Zamoyski w *Pamiętniku* swoim (T. I, str. 208) pisze krótko, że był „intrygantem,“ że podczas powstania listopadowego, dążąc do regencyi, sprowadził jakoby rzeź 15 sierpnia (ibid str. 241).

Cisza grobowa, otaczająca żywot historyczny tak niezwykłego człowieka, nie może stanowić zasłużonej kary za spełnioną przezeń—rzeczywistą lub urojoną—wobec narodu winę. Jakimkolwiek w życiu swojem, jako człowiek, obywatel i żołnierz, był Krukowiecki, zespolił on nazwisko swoje z epizodami, które w dziejach nowoczesnej Polski do przełomowych należąc, wyjaśnienia i historycznego oświetlenia wymagają. Mniej od Krukowieckiego głośni działacze znaleźli biografów i monografistów. Krukowieckiemu wydzielono w słownikach encyklopedycznych kilkanaście zaledwie wierszy i to wyłącznie z uwagi na rolę, jaką w powstaniu i w chwili agonii tegoż, był rozegrał. O jego żołnierskiej, podczas epopei napoleońskiej, karyerze, stanowisku służbowem w armii Królestwa Kongresowego, trybie życia po upadku powstania listopadowego, o czasach wygnania do Rosyi, powrotu do kraju i usunięciu się zupełnem od życia nie tylko publicznego, lecz nawet i towarzyskiego w epoce rządów Mikołaja I w Warszawie, aż do dnia cichego w jej murach zgonu, o tych wszystkich faktach, jak dotąd, nie posiadamy żadnych wskazówek.

W zamiarze odtworzenia jedynego epizodu z żywota Krukowieckiego, będącego przedmiotem niniejszego zarysu, zwróciłem się do Wład. Mickiewicza z prośbą o wskazanie mi źródeł do żywota tego żołnierza, możliwie w zbiorach poemigracyjnych Biblioteki polskiej w Paryżu znajdować się mogących. Poszukiwania w tym kierunku okazały się bezowocnemi. Oprócz niewielkich wzmianek biograficznych o Krukowieckim, zarejestrowanych w Zbiorze Ducketta, t. XII, *Dictionnaire de la conversation et de la lecture* etc. z r. 1861 i krótkiego życiorysu, zamieszczonego w *Słowniku Larousse'a* w t. IX, nadto w *Lexiconach* niemieckich, powtarzających jeden za drugim znane fakty, nie znalazło się źródło obfitsze do biografii Krukowieckiego.

Pomyślniejszy rezultat uwieńczył poszukiwania moje, gdy zwróciłem się do akt stanu służby oficerów b. wojska polskiego, przechowywanych w archiwum akt dawnych b. Namiestnika w Królestwie Polskiem. W księdze *„Rodowód generałów, oficerów bez*

wojskowego urzędu i oficerów wojskowych sztabu dywizyi II, piechoty Nr. 25“ odnalazły się obfitsze dane do poznania karyery żołnierskiej Krukowieckiego z przed roku 1817, lecz w nich nie wyjaśniono bliżej jednego, ważnego szczegółu o służbie Krukowieckiego w armii austryackiej, podczas kampanii przeciw Francyi w roku 1796 prowadzonej, gdzie pełnił czynności adjutanta przy generale Wurmserze.

Czytamy w rodowodzie, że Jan hr. Krukowiecki urodził się w Galicyi i że wszedł w służbę do wojska polskiego w grudniu 1806 r. Wiadomo skądinąd, że przed zaciągnięciem się do armii polskiej, służył w wojsku austryackiem i tam odbył pięć kampanij. Opuścił austryackie sztandary na własne żądanie, a z przyzwolenia dworu wiedeńskiego. Poprzednio zaś nauki wyższe odbył w akademii lwowskiej i w Terezyanum w Wiedniu, gdzie przyswoił sobie znajomość języków: łacińskiego, francuskiego, niemieckiego i angielskiego. Do wojska polskiego wstąpił, jak rzekliśmy, w grudniu 1806 r. 10 marca 1807 r. mianowany był szefem batalionu I-go pułku piechoty. W tymże roku odbył całą kampanię zimową i letnią, dowodził 12 maja bitwą pod Rudą, gdzie odniósł ranę w głowę. W r. 1809, jako adjutant komendant przy księciu Józefie i szef sztabu przy generale Dąbrowskim, był w bitwie pod Raszynem. Podczas potyczki pod Grochowem, wysłany był z Modlina na lewy brzeg Wisły z jednym batalionem, w celu uczynienia Austryakom dywersyi pod Bielanami i tym sposobem odciągnięcia ich uwagi od Grochowa, czego skutecznie dopełnił. Odparł pod Żeraniem 26 maja 1809 r. przeprawę arcyksięcia Ferdynanda przez Wisłę, a zabrawszy wtedy w niewolę pięć berlinek, jedną z nich wraz z załogą zatopił.

W dniu 11 czerwca 1809 r., pod Jedlińskiem, mając oddział 800 żołnierza i dwa działa, wstrzymał atak 6,000 Austryaków z dziewięcioma działami pod wodzą generała Mohra i tym czynem ocalił korpus ks. Zajączka.

14 lipca wszedł pierwszy na czele przedniej straży do Krakowa.

W r. 1812 był w bitwie pod Smoleńskiem i podczas odwrotu armii z pod Moskwy, gdzie miał przestrzeloną rękę. W r. 1813, mianowany generałem brygady przez króla Saskiego, księcia warszawskiego, walczył pod Interlacken, Dennewitz, Torgau i Apolonsberg. Wziął szturmem Koswig.

Za dotychczasowe odznaczenia się w bitwach: w dniu 8 listopada 1807 r., ozdobiony był krzyżem legii honorowej za potyczkę pod Rudą. W r. 1808 otrzymał krzyż wojskowy polski.

Dnia 22 sierpnia 1812 r. otrzymał krzyż oficerski legii honorowej. 28 października 1813 r. dostał mu się krzyż komandorski i w tymże roku przedstawiony został królowi przez generała Dąbrowskiego do krzyża komandorskiego polskiego.

Po wyliczeniu wszystkich owych oznak nagrody za waleczność w służbie sztandarów polskich, stan służby zamieszcza lakoniczną notatkę, iż generał Krukowiecki „był w trzechdniowej batalii pod Lipskiem“ i że „w roku 1814 był przy ataku Paryża.“ Dwie owe daty stanowią znamienny zwrot w karyerze rycerskiej owego żołnierza. Udział w batalii lipskiej dowodziłby jego wierności sztandarom napoleońskim. Z tą wszakże wiernością nie licował bynajmniej pochód z wojskiem sprzymierzonych na Paryż...

W rzeczy samej, zwrot ów nadspodziewany w karyerze żołnierskiej dowódcy, który, walcząc zrazu w szeregach narodowych, jako podkomendny księcia Józefa, zwrócił następnie swój oręż przeciw Napoleonowi, mało co w następstwach swoich różnił się od postępku pruskiego generała Yorka, który podczas odwrotu z Moskwy zdradził swego naczelnego wodza i do jego przeciwników się zaciągnął, mało się również różnił od zdradzieckiej taktyki wojsk saskich, które podczas lipskiej batalii, nadspodziewanie armaty swoje przeciw towarzyszom broni skierowały.

W tej to właśnie niezaszczytnej zmianie frontu spoczywa zarodek zarzutów, które na nazwisku Krukowieckiego na długo jeszcze przed ostatecznem ich z racyi kapitulacyi Warszawy z roku 1831 przypieczętowaniem zaciężyły.

Wiedziano zawsze, że na tem nazwisku leży plama zdrady sztandaru, lecz nie miano dostatecznych pod tym względem dowodów.

Zaczęły się one powoli wynurzać z toni historycznych wspomnień a dziś, zbrojne w szereg dat i dokumentów, stają z potwierdzeniem stanowczem owych dotychczasowych ogólnikowych potępień, by stwierdzić smutną i dla pamięci Krukowieckiego niezaszczytną prawdę, że instynkt narodowy, odwracający się od pewnych osobników, rzadko kiedy się myli i że w narodach nieszczęśliwych nadczułość w sprawach honoru rycerskiego częstokroć aż nazbyt jest usprawiedliwioną.

Już podczas bitwy pod Lipskiem, podczas przełomowych dni 17 i 18 października 1813 r. konduita Krukowieckiego w charakterze dowódcy 18 brygady 4-go korpusu generała Dąbrowskiego była zagadkową, lecz o nieprawidłowości jego działań nic nie wspomina Tadeusz Wyleżyński w źródłowym opisie lipskiej batalii drukowanej w roku 1841 w *Bibliotece Warszawskiej* (T. II,

249 — 315), owszem Wyleżyński poświadcza, że wszyscy „Polacy w owych krwawych dniach walczyli mężnie i zaszczytnie, *jedno tylko wojsko saskie* odznaczyło się niecnym postępkiem.“

Inny w tej mierze pogląd wynurzył gen. Kołaczkowski we *Wspomnieniach*, wydanych w Krakowie w roku 1899 (Tom II, str. 100—105).

Po katastrofie pod Elsterą jazda brygady ułanów, dowodzonej przez Krukowieckiego, wynosiła jeszcze 3,000 koni w zupełnym porządku. Dowództwo naczelne objął nad nią generał Sokolnicki, jako rangą najstarszy. Pod jego rozkazami pozostawali: książe Sułkowski, Krukowiecki, Weissenhof, Kwaśniewski i Taliński. Generał Dąbrowski, któremu właściwie należała się komenda, dowodził piechotą.

W dniu 19 października 1813 r. Sokolnicki poprowadził jazdę polską w bok traktu do Lützen i stanął o godzinę drogi od Altranstaedt, frontem do Pegau. Pragnąc zająć umysły żołnierzy, przygnębione stratą naczelnego wodza, rozkazał Sokolnicki jeździe wykonać nocny atak na korpus austryacki gen. Giulay. Oparli się temu rozkazowi dowódcy polscy, a na ich czele Krukowiecki, który — jak pisze Kołaczkowski — „znany od dawna w wojsku z niesfornego umysłu, dla podkomendnych przykry, starszym zawsze nieposłuszny, zabrawszy głos i wsparty przez generała Kwaśniewskiego, krzykacza z czasów Madalińskiego, oświadczył wręcz Sokolnickiemu, iż wojsko za nim nie pójdzie.

— Dosyć tych bojów—rzekł—wszystko od dawna stracone, trzeba nam myśleć o zachowaniu tych szczątków walecznego wojska dla ojczyzny!

Wobec takiej niekarności, Sokolnicki zawahał się i od rozkazu danego odstąpił...

„Ta słabość ze strony Sokolnickiego—pisze dalej Kołaczkowski — któremu należało aresztować dwóch nieposłusznych generałów i pod sąd oddać, najgorsze skutki wywarła na karność naszego wojska. *Odtąd początek sejmików między oficerami i dezercyi pomiędzy żołnierzami.*

„Nad ranem, generał Krukowiecki, nie zameldowawszy się swemu dowódcy, od żadnego z kolegów nie upoważniony, pojechał do głównej kwatery cesarskiej do Altranstaedt i zastał cesarza w karecie, wśród gwardyi. Zbliżywszy się do niego, *ów Tersytes naszego wojska*, najbezczelniej w imieniu wszystkich polskich dowódców oświadczył, iż do generała Sokolnickiego żadnego nie mając zaufania, proszą cesarza, ażeby nad nimi dowództwo powierzył ks. Sułkowskiemu.

„Cesarz, dobrze obeznany z podobnemi scenami pomiędzy oficerami legionów polskich w czasie kampanii włoskiej, lekko te oznaki niesubordynacyi pominął. Ważniejszemi sprawami, jak godzeniem generałów polskich między sobą, zajęty, odpowiedział dosyć obojętnie:

— Dobrze, niech książe Sułkowski obejmie dowództwo nad Polakami, skoro im tak do gustu przypada.

„Pochwyciwszy tę odpowiedź, generał Krukowiecki przylatuje do naszej jazdy i słowa cesarskie generałowi Sokolnickiemu przekazuje. Zacny wódz, żalem przejęty na tę wiadomość, nie wyrzekłszy i słowa, odstąpił komendy księciu Sułkowskiemu i do swojej dywizyi powrócił.“

Od tej chwili, jak świadczy gen. Kołaczkowski, intryganci, na których czele stanął Krukowiecki, starali się opanować wodzem naczelnym, następcą ks. Józefa, człowiekiem, mimo zalet rycerskich, „słabego charakteru.“ Nic innego nie mając na myśli, tylko opuszczenie szeregów Napoleona, nie doszedłszy do Renu, zaczęli szerzyć niekarność w wojsku polskiem. Dezercya z pod sztandarów stała się tak powszechną, iż pewnej nocy batalion grenadyerów gwardyi polskiej, wraz z pułkownikiem Kurcyuszem, przeszedł do nieprzyjaciela.

„Nie doszliśmy do Fuldy—pisze Kołaczkowski—a już 500 ludzi brakowało w szeregach. Jednej nocy prawie cała kompania saperów z namowy sierżanta starszego znikła z biwaku.“

Wreszcie i książe Sułkowski, dowiedziawszy się o zmianie usposobienia w wojsku, podał się do dymisyi i ze sztabem swoim przeszedł do sprzymierzonych.

Pozornie Krukowiecki pozostał w szeregach.

„Intryganci, na czele ich Krukowiecki, pozostali przy armii, nie przestając burzyć oficerów niższych przeciw starszym. Krukowiecki użył do tego generała Kwaśniewskiego, który przed frontem poważył się zelżyć generała dywizyi Sokolnickiego i za to jednak pod sąd nie poszedł!“

Komendę naczelną nad niedobitkami wojska polskiego powierzył cesarz Napoleon gen. Dąbrowskiemu.

*

* *

O trybie działań następnych generała brygady Krukowieckiego dowiadujemy się z lakonicznych słów jego akt stanu służby: „W r. 1814 był przy ataku Paryża...“

W tych słowach tkwi geneza nienawiści gen. Sokolnickiego do Krukowieckiego i źródło sprawy, której wyjaśnienie podają nam nieznane dotąd historykom dokumenta archiwalne, w archiwum Nowosilcowa, w kancelaryi generał-gubernatora warszawskiego odnalezione, stanowiące źródło niniejszego zarysu.

I.

Abdykacya Napoleona.—Cesarz Aleksander w Paryżu.—Misya Krukowieckiego do Londynu.—Broszura bezimienna.—Akt oskarżenia przeciw Krukowieckiemu.—Osnowa zarzutów.

Abdykacya Napoleona w Fontainebleau stała się dla wielu dowódców polskich hasłem odstąpienia od sztandaru pokonanego bohatera i przyłączenia się do koalicyi sprzymierzonych. Podczas bytności cesarza Aleksandra I w Paryżu, zaczęli oni głośno oświadczać się z wiernością dla zwycięzców, a złudzeni łaskawemi słowy Imperatora, rozpoczęli akcyę w kierunku zwerbowania niedobitków armii polskiej dla sprawy powrotu do ojczyzny. Wincenty hr. Krasiński miał poprowadzić ośmiotysięczną kolumnę różnej broni żołnierza przez nieprzychylne i wrzące pomstą Niemcy; generał Krukowiecki zaś otrzymał od Aleksandra I upoważnienie do wyjazdu do Anglii w celu wyjednania od rządu tamecznego wolności dla jeńców polskich i przyłączenia ich do współbraci, powracających do kraju.

W czasie, gdy Krukowiecki przebywał w Anglii, ukazała się w końcu r. 1814 w Paryżu broszura, drukowana w zakładzie Antoniego Bailleul, pod tytułem: *„Journal historique des opérations militaire de la 7-e division de cavalerie légére polonaise, faisant partie du 4-me corps de la cavalerie de réserve, sous les ordres de M. le Général division Sokolnicki, depuis la reprise des hostilités au mois d'août 1813, jusqu'au passage du Rhin, au mois de Novembre de la même année; redigé sur les minutes autographes, par un témoin oculaire.“*

Broszura pomieniona składała się z 84 stronic w 16-co, bez nazwiska autora na czele, jedynie w końcu kursywą zaznaczono: *Signé, Al... A... Chef de bataillon du Génie.*

Pierwsze karty owe *Dziennika historycznego* stanowią niejako źródłowy obraz działań bojowych dywizyi 7-ej lekkiej jazdy polskiej, złożonej z brygad 17-ej i 18-ej, jako części IV korpusu rezerwowego jazdy pod rozkazami generała dywizyi Michała Sokolnickiego. Lecz, poczynając od str. 66, broszura przeistacza się w formalny akt oskarżenia skierowany przeciw generałowi Janowi hr. Krukowieckiemu, dowódcy brygady 18-ej, obciążający go winą zdezorganizowania nietylko owej brygady, lecz i całej kolumny polskiej, ocalałej z pogromu lipskiego, winą niekarności żołnierskiej względem naczelnego wodza korpusu IV-go, wreszcie winą podstępnego usunięcia od dowództwa naczelnego nietylko Sokolnickiego, lecz i generała Dąbrowskiego i zastąpienia go przez nieudolnego księcia Sułkowskiego z mocy nieprawnie wyjednanego rozkazu Napoleona.

Oto osnowa główna owych ciężkich zarzutów w porządku podanym w *Dzienniku historycznym:*

Siedmnastego października roku 1813 ośmnasta brygada wysłaną została przez gen. Dąbrowskiego na rekonesans na drugi brzeg Elstery (str. 66).

Ośmnasta brygada, przybywszy nad wieczorem do korpusu księcia Poniatowskiego, zawiadomiła, że jest odciętą od swego korpusu przez przeważną jazdę nieprzyjacielską (str. 66).

Przybycie 18-ej brygady do korpusu księcia Poniatowskiego, pod owym pozornym motywem, było ze strony generała Krukowieckiego, jej dowódcy, czynem nieprawidłowym (str. 66).

Książe Poniatowski rozkazał generałowi Sokolnickiemu ustawić ośmnastą brygadę w szeregach jazdy 4-go korpusu rezerwowego i użyć jej jako części integralnej owego korpusu (str. 66).

Generał Krukowiecki, nie czekając rozkazu, przekroczył tamy Loessnigu w chwili, gdy generał Sokolnicki zamierzał natrzeć na nieprzyjaciela siłami 18-ej brygady, która jeszcze żadnej służby w VIII korpusie nie spełniła i była jak najmniej strudzoną (str. 68).

Generał Krukowiecki, przekraczając tamy Lessnigu, pociągnął za sobą takim czynem i namową część brygady XIX-ej (str. 68).

Takim postępkiem naraził gen. Krukowiecki bezpieczeństwo gen. Sokolnickiego, pozostawiwszy go odosobnionym na rozległej płaszczyźnie z jedną pikietą eskorty rezerwowej i z Krakusami na czele (str. 68).

Generał Taliński przebył tamy Kunewitz w celu uszykowania swej brygady w szyku bojowym u spodu płaszczyzny (*au bas du plateau*), podczas gdy generał Krukowiecki dotarł do tam Ku-

newitz i rozmieścił się obok jazdy gwardyi cesarskiej poza Probstheidą (str. 69).

Rozkazy gen. Sokolnickiego przesłane były generałowi Krukowieckiemu do Probstheidu przez pierwszego adjutanta, Różyckiego (str. 69).

20 października 1813 roku generał Sokolnicki, dawszy rozkaz oddziałowi, by stanął do boju w największej cichości, nie znalazł już ani 18-ej brygady, ani Krakusów na polu Schkeitbar (str. 77).

Generał Krukowiecki, opuściwszy z brygadą 18-tą stanowisko swoje w Schkeitbar, w celu udania się do Lützen, pociągnął za sobą Krakusów (str. 77).

Taki krok ze strony gen. Krukowieckiego pozbawił generała Sokolnickiego możności nagłego zaskoczenia, bez użycia broni, trzech batalionów grenadyerów i strzelców austryackich, co mogło było być spełnionem w ciągu jednego kwadransa (str. 77).

Dał on już w dniach poprzednich dowód swego ducha niekarności, opuszczeniem zaszczytnej placówki, nie zważając na bezpieczeństwo obozu (str. 77).

Gen. Krukowiecki wygłosił buntownicze wymysły (str. 77).

Usiłował przekonać walecznych Polaków, którzy nigdy nie paktowali ze swym obowiązkiem, iż nie wypada im już więcej bić się z nieprzyjacielem, którego tylokrotnie turbowali (str. 77).

Wygłaszał owe buntownicze poglądy przez motywa osobiste, które mu nakazywały unikać spotkania z Austryakami, jako zbiegowi z pod ich sztandarów (str. 78).

Okrzykami buntowniczemi i bezładem przez nie wywołanym, obudził czujność nieprzyjaciela, który ze swej strony uszedł pospiesznie (str. 78).

Trzy bataliony grenadyerów i strzelców austryackich biwakowały rzeczywiście w pobliżu korpusu polskiego (str. 78).

Po takiem wystąpieniu generała Krukowieckiego można było się spodziewać kroków bardziej gwałtownych po człowieku, którego zły duch niekarności zawsze wyprowadzał ze szranek obowiązku (str. 78).

Generał Sokolnicki pragnął zapobiedz czynem stanowczym skandalowi, wywołanemu przez gen. Krukowieckiego (str. 78).

Przewidując grom, który mu miał spaść na głowę, usiłował zatrzeć zbrodnią niesłychany czyn swój i z rozmysłem uciekł się do kroku, który zuchwalstwem swojem udał mu się wbrew wszelkiemu spodziewaniu (str. 79).

Nie mając żadnego upoważnienia, poważył się dotrzeć do drzwiczek karety cesarza i przedstawił się tam, jako delegat

wszystkich oficerów korpusu z żądaniem zamianowania księcia Sułkowskiego ich wodzem (str. 79).

Generał Sokolnicki stawił się bezzwłocznie po gen. Krukowieckim przed cesarzem, w celu potępienia samozwańca i prosił o zamianowanie wodzem generała Dąbrowskiego, jako najstarszego, lecz nie został wysłuchanym, z powodu, że zuchwalstwo gen. Krukowieckiego zbyt wielkie uczyniło wrażenie (str. 79).

Gen. Krukowiecki podszedł zaufanie cesarza i przypieczętował hańbę swego postępku zbrodnią, wprowadziwszy w błąd Napoleona (str. 79).

Wybór księcia Sułkowskiego na naczelnego wodza był zarodkiem prawie, że doszczętnego rozluźnienia korpusu, którego duch karności dotąd utrzymywał w spójni (str. 79).

Od tej chwili, będącej doskonałem odtworzeniem sławetnego *veto*, nie stało już ni ducha, ni duszy w armii polskiej (str. 79).

Korpus polski stał się od tej chwili błędną gromadą, którego rozluźnione członki błądziły samopas, a który spieszył się jedynie dla dotarcia do schroniska (str. 79, 80).

Wielu wojskowych polskich przeniosło ponad to cel powrotu, gdyż krok wodza, ks. Sułkowskiego, aż nazbyt usprawiedliwiał w oczach słabych, środek, który jedynie rozpaczą mógł być podyktowany (str. 80).

150 orderów legii honorowej było danych przez Napoleona, w celu uśmierzenia zamętu w armii polskiej (str. 81).

Stronniczość samowolna naczelnego wodza, ks. Sułkowskiego, pozbawiła owych oznak większość walecznych i obdarzyła niemi tych, którzy na nie nie zasługiwali, w tej liczbie 18-tą brygadę (str. 81).

Generał Krukowiecki wyłudził w taki sposób krzyż komandorski, otrzymawszy niedawno przedtem krzyż oficerski (str. 81).

Generał Sokolnicki, nie chcąc figurować w liczbie tych, których nie praca, lecz favor odznaczyły owemi zaszczytnemi oznakami, sam wykreślił nazwisko swoje z ich listy w obecności całego korpusu (str. 81).

II.

W sądzie poprawczym paryskim. — Wykrycie nazwiska autora broszury. — Generał Sokolnicki. — Kongres wiedeński. — Krukowiecki u cesarza Aleksandra. — Ustanowienie komisyi śledczej. — Festyn i awantura w Łazienkach. — Aresztowanie Krukowieckiego.

Dowiedziawszy się o treści broszury bezimiennej po powrocie z Anglii do Paryża, udał się bezzwłocznie generał Krukowiecki

do jej wydawcy, Bailleul'a, z ofiarowaniem znacznej kwoty za dobrowolne wyjawienie nazwiska autora pamfletu.

Wydawca dał odpowiedź wymijającą, wskutek czego Krukowiecki wniósł do Sądu poprawczego skargę, z żądaniem ukarania Bailleul'a za potwarcze oskarżenie.

Wystraszony księgarz, pragnąc zwolnić się od odpowiedzialności osobistej, zeznał przed sądem, jako podznaczonym w końcu inicyałami: *Al... A. Szef batalionu inżynierów*, jest generał dywizyi—Michał Sokolnicki.

Osiągnąwszy w taki sposób cel główny procesu, pośpieszył Krukowiecki w styczniu 1815 r. do Wiednia, gdzie od 1 października 1814 r. gromadziły się zastępy monarchów europejskich i towarzyszących im dostojników, by w wykonaniu traktatu paryskiego otworzyć kongres w sprawie uregulowania na nowych podstawach stosunków narodów Europy. Świetniejszego zebrania potentatów nigdy przedtem świat nie oglądał.

Wśród zabaw, które na pozór zdawały się być jedynym celem zjazdu wiedeńskiego monarchów, dyplomatów i śmietanki towarzystwa europejskiego, wśród balów, obiadów, przedstawień teatralnych, turniejów, igrzysk wojskowych, wśród marnotrawnego używania grosza publicznego na przyjęcia dworskie, które pochłaniały kilkadziesiąt tysięcy guldenów dziennie, zaledwie mało zbywało czasu monarchom na załatwianie próśb natury prywatnej, któremi ich zarzucano.

A jednak intencya cesarza Aleksandra w wyróżnieniu generałów polskich, tych zwłaszcza, co jeszcze przed wkroczeniem wojsk sprzymierzonych do Paryża, opuścili sztandar Napoleona, była tak widoczną, że nie trudno było generałowi Krukowieckiemu dotrzeć osobiście do Cesarza z zażaleniem na generała Sokolnickiego i domagać się zadośćuczynienia za rzekomo doznaną odeń krzywdę.

W dniu 9 lutego 1815 r., otrzymawszy w Burgu audyencyę, przedstawił Krukowiecki cesarzowi Aleksandrowi prośbę w języku francuskim, następującego w przekładzie brzmienia:

> Najjaśniejszy Panie! W epoce, gdy Wasza Cesarska Mość, kierowana uczuciami szlachetnemi i wspaniałomyślnemi względem Polaków, wysłała mnie do Anglii w celu zgromadzenia znajdujących się tam jeńców wojennych, generał dywizyi Sokolnicki, korzystając z mej nieobecności i wyjazdu z armii polskiej, polecił pod imieniem szefa batalionu Alfonsa wydrukować pamflet, przepełniony fałszywemi faktami,

ubliżającemi honorowi naczelnego wodza ks. Sułkowskiego, dotkliwiej jeszcze mojemu, najhaniebniej zaś sławie korpusu polskiego. Ponieważ w kampanii 1813 r. znajdowałem się w ciągu dni dwóch bezpośrednio pod rozkazami generała Sokolnickiego, który nie żaląc się na mnie, ani też nie obwiniwszy mnie, przedstawia mnie w owym pamflecie, jako człowieka, który obowiązkom swoim i honorowi swemu ubliżył; z tego powodu błagam Waszą Ces. Mość, byś raczył ustanowić nademną sąd wojenny w celu rozpatrzenia mego postępowania. Jeślim zawinił, winienem podledz karze i dla tego błagam o łaskę, bym został ukarany według całej surowości praw wojennych w przekonaniu, że takaż surowość kary spotka i potwarcę i że proces wydrukowany i ogłoszony publicznie, przywróci wszędzie, gdzie pamflet był rozpowszechniony, honor armii i mój własny. Gdy zaś każdy podwładny winien dążyć przedewszystkiem do tego, by tryb jego działania i jego charakter były dobrze znane jego zwierzchnikom, byłbym szczęśliwy, gdyby sąd wojenny, mający mnie sądzić, odbył się pod prezydencyą Jego Cesarzewiczowskiej Mości W. Księcia Konstantego, naszego Naczelnego Wodza.

Pozostaję z najgłębszem uszanowaniem
Waszej Cesarskiej Mości
najposłuszniejszym i najwierniejszym sługą
Jan hr. Krukowiecki,
generał brygady.

Wiedeń, 9 lutego 1815 r.

Dwa miesiące upłynęły od dnia wręczenia cesarzowi Aleksandrowi powyższej prośby, gdy w d. 5 kwietnia 1815 roku Wielki Książe Konstanty zakomunikował gen. Krukowieckiemu odezwę w języku francuskim, zawiadamiającą go, że z rozkazu cesarza ustanowił Komisyę śledczą (*Conseil d'enquête*) w przedmiocie zbadania zarzutów, uczynionych skarżącemu ze strony gen. Sokolnickiego, który się do ich autorstwa przyznał (*dont le gen. Sokolnicki s'est declaré l'auteur*). Komisya ustanowioną została w osobach: generałów dywizyjnych: Zajączka, jako prezesa, Izydora Krasińskiego i Haukego, oraz generałów brygady: Sierawskiego i Kurnatowskiego. Audytorem naczelnym zamianowany został Krysiński.

Jednocześnie w tychże słowach zawiadomił W. Książe generała dywizyi Zajączka o celu i składzie Komisyi śledczej; nazajutrz zaś d. 6 kwietnia 1815 r. nadesłał mu oryginał skargi gen. Krukowieckiego, podanej cesarzowi we Wiedniu.

W trakcie przygotowań do czynności Komisyi powierzonej zaszedł wypadek nieoczekiwany, świadczący o rozjątrzeniu Krukowieckiego przeciw gen. Sokolnickiemu i o nieokiełznanej bucie pierwszego, nieliczącej się ani z warunkami karności względem władzy zwierzchniej, ani z elementarnemi wymaganiami przyzwoitości, która niedopuszcza publicznej burdy w sprawie pod orzeczenie Sądu podanej.

W dniu 11 kwietnia 1815 r. po nadejściu do Warszawy wiadomości o wskrzeszeniu Królestwa, cały jeneralitet polski postanowił uczcić ów fakt dziejowy uroczystym festynem w Łazienkach. Teatr na wyspie oświetlony był rzęsiście lampionami, na scenie zaś wystawiono operę Kurpińskiego *Jadwiga*, na której w otoczeniu wojskowych obu narodów znajdował się Wielki Książe.

Przedstawienie poprzedził wielki obiad składkowy w pałacyku. Przy stole biesiadnym zasiedli obok W. Księcia: feldmarszałek hr. Barclay de Tolly, hetman hr. Platow, generał piechoty Sakin, generał gubernator Łanskoj, a przy nich wszyscy generałowie polscy. Toast pierwszy wzniósł generał Zajączek na cześć cesarza, generał Dąbrowski na cześć W. Księcia, generał Sierakowski wypił zdrowie Barclaya de Tolly, ks. Sułkowski toastował na cześć wojska rosyjskiego, w końcu Wielki Książe pił zdrowie wojska polskiego (*Gaz. Warsz.* № 30 z r. 1815).

Podczas owego podnieconego nastroju umysłów, generał Krukowiecki zbliżył się do gen. Sokolnickiego i nastąpiwszy mu na nogę, „głośno rzucił mu w twarz dotkliwą wobec całego grona biesiadników obelgę“ (Niemcewicz: *Pamiętn.* II, 217).

Niesłychany ów afront, w obecności księcia krwi przez wojskowego spełniony, ogólne wywołał oburzenie. W. Książe polecił bezzwłocznie aresztować Krukowieckiego i rozwinąć w tej sprawie dochodzenie. Aresztowanie przeszkodziło gen. Sokolnickiemu w rozprawieniu się z napastnikiem, w drodze pojedynku. Nazajutrz, d. 12 kwietnia 1815 r. wniósł on do W. Księcia skargę następującego w przekładzie brzmienia:

„Z rozkazu Jego Ces. Mości i na prośbę generała brygady Krukowieckiego, Jego Cesarzewiczowska Mość W. Ks. Konstanty ustanowił Komisyę śledczą, w celu rozpatrzenia zarzutów temuż generałowi uczynionych w broszurze, do której autorstwa się przyznaję, pomimo, że była wydrukowaną bez mego upoważnienia

i wbrew moim intencyom. Wybór członków tejże Rady był dostateczny dla wzbudzenia ufności w człowieku honoru, wspartym na poczuciu prawdy i stałości zasad w postępowaniu. Ofiarowałem się ze złożeniem dowodów. Są one niewzruszone i dlatego postanowiłem oczekiwać ich rozbioru z bierną rezygnacyą.

„Z tem wszystkiem, bez względu na tak poważny areopag, na wyższość rangi i godność osób zgromadzonych w dniu wczorajszym w Łazienkach, między któremi znajdowały się damy z najwyższych sfer towarzyskich, nie zważając nawet na miejsce i pobudki zebrania, zaszczyconego obecnością W-go Księcia, generał brygady Krukowiecki uczynił mi afront i znieważył publicznie, pomimo, że starałem się uniknąć z nim spotkania.

„Odwołuję się zatem do sprawiedliwości Komitetu z prośbą o ocenienie jego postępku z całą surowością zasad honoru i karności wojskowej, będącej dźwignią służby i podstawą armij i państw.

„Domagam się, by Rada rozpoznawcza zmienioną została na Sąd wojenny w celu równoczesnego osądzenia i przestępstwa ostatniego i wykroczeń uprzednich, lub też, by nie czekając rezultatu jego narad, ustanowić bezzwłocznie sąd oddzielny dla zawyrokowania w sprawie oskarżenia ostatniego.

Warszawa, d. 12 kwietnia 1815 r.

Sokolnicki,
generał dywizyjny.

Skardze gen. Sokolnickiego nie dano na razie zadośćuczynienia. Natomiast w dniu 18 kwietnia 1815 r. Komisya śledcza zwróciła się do gen. Krukowieckiego z odezwą następującą:

„Gdy JW. gen. dywizyi Sokolnicki powołany przez Komisyę, ażeby zarzuty w broszurze swojej przeciw W. generałowi czynione, a na str. 66 do 81 inclusive znajdujące się, dowodami poparł, odwołuje się do świadectwa następujących osób, jako to:

„W. gen. dywizyi Dąbrowskiego, gen. dywizyi ks. Sułkowskiego, gen. brygady Rautenstraucha, pułkowników: Redla, Morawskiego, Siemiątkowskiego, Kosseckiego, Dwernickiego, Oborskiego i Madalińskiego, majora Żuchowskiego, dawnego szefa sztabu dywizyi Jabłkowskiego, szefów szwadronów: Szymańskiego, Różyckiego, Starzyńskiego, Jagmina, kapitanów: Wężyka, Lewińskiego, Valentina, Rządkowskiego, Starzyńskiego, Jezierskiego, Sosnkowskiego, Cylińskiego.

„Komisya, uwiadamiając o tem W. generała, ma honor wezwać go, aby oświadczył, czyli ma do uczynienia jakową excepcyę prawną przeciw któremu z wymienionych świadków, a w tym

wypadku oczekuje od niego wyrażenia powodów, jakieby mu służyć mogły do żądania excepcyi.“

Nazajutrz po otrzymaniu powyższej odezwy generał Krukowiecki w deklaracyi, zredagowanej stylem oschłym i stanowczym, odmówił Komisyi prawa do wysłuchania świadków przez gen. Sokolnickiego proponowanych, natomiast zażądał, by czynność Komisyi śledczej zredukowaną była do ocenienia dwóch jedynie inkryminowanych okoliczności: natury zarzutów i ich autorstwa.

Oto brzmienie deklaracyi Krukowieckiego:

„Do Komisyi śledczej: Przy przejeździe moim przez Paryż, zawiadomiony o ukazaniu się pamfletu (*libelle*) (tak nazywa prawo każdą bezimienną broszurę, atakującą honor i dobre imię człowieka), w którym, niezależnie od wielu kłamliwych zarzutów, honor mój i cześć armii polskiej, do której należałem, zbezczeszczone zostały, udałem się do Wiednia w celu uproszenia Jego Ces. Mości, by nakazał złożenie przeciw mnie Sądu wojennego, wobec którego gen. Sokolnicki, rzeczywisty autor broszury, byłby obowiązany dowieść prawdziwości zarzutów, podniesionych przeciw mojej czci i czci korpusu mego.

„Jego Ces. Mość, po odczytaniu mojej skargi i artykułów inkryminowanych, przychylił się do mojej prośby, jako słusznej i dając mi na wyjezdnem mojem do Warszawy instrukcyę, nadmienił:

— Przesyłam, generale, prośbę twoją bratu mojemu, W. Ks. Konstantemu, z rozkazem ustanowienia żądanego przez ciebie Sądu wojennego.

„Komisya śledcza, o której ustanowieniu Jego Cesarzewiczowska Mość raczyła mnie zawiadomić, nie mogła, jak tylko z przytoczonych w prośbie mojej, przesłanej Sądowi wojennemu, ocenić:

1. Czy mój honor i sława korpusu polskiego, były zaatakowane w owej broszurze.

2. Czy generał Sokolnicki jest autorem broszury, noszącej na tytule inne, aniżeli jego nazwisko.

„I dlatego to, na prośbę Komisyi śledczej, bym oświadczył, czy nic nie mam przeciw osobistościom ją składającym? odpowiedziałem, że przeciw wyborowi osób do Rady nic do nadmienienia nie mam, gdyż nie obawiam się wyroku nawet nieprzyjaciół moich.

„Co zaś do prawa analizowania w owej broszurze artykułów, godzących na mój honor i cześć korpusu polskiego, nie akceptuję

nie tylko wyroku, lecz nawet śledztwa Komisyi, gdyż to należeć może jedynie do Sądu wojennego, mającego się odbyć publicznie, według zasad praw wojennych polskich.

„Nie uważam się przeto za obowiązanego do odpowiedzi na pytania Komisyi rozpoznawczej, zakomunikowane mi 18 kwietnia odnośnie do świadków, ani też na żadne inne, mogące mi być przedłożone, z wyjątkiem tych, jakieby miały związek z powyższemi dwoma artykułami.

„Pozostaje mi więc jedynie prosić Komisyę śledczą o zawiadomienie mnie, kiedy Sąd wojenny, nakazany przez Jego Cesarską Mość będzie mógł się odbyć.

Warszawa, 19 kwietnia 1815 r.

Hr Krukowiecki,
Gen. brygady.

Tegoż dnia zwrócił się gen. Krukowiecki do Wielkiego Księcia Konstantego z przedstawieniem następnego brzmienia:

„Wasza Cesarzewiczowska Mość! Najjaśniejszy Cesarz po przeczytaniu mej prośby i artykułów pamfletu, ubliżających mojemu honorowi, uznał nie tylko za słuszne, lecz i za konieczne, by sprawa moja poddaną była orzeczeniu Sądu wojennego. Z takiem przeświadczeniem i uspokojeniem przybyłem tutaj.

„Gdy Waszej Cesarzewiczowskiej Mości podobało się zarządzić uprzednio ustanowienie Komisyi śledczej drogą przesłania jej mojej złożonej Najjaśniejszemu Panu prośby, ja, nie znając zupełnie procedury sądowej, mniemałem, że jest to nowa do załatwienia konieczna formalność. Lecz z biegu nadanego przez Komisyę sprawie, spostrzegłem, że ta przyswaja sobie atrybucye Sądu wojennego, na co zgodzić się nie mogę. Zamiast orzec: 1) czyli honor mój przez ową broszurę zbezczeszczony został; 2) pozostawić mi możność udowodnienia, że generał Sokolnicki jest jej autorem, pod pozorem skrócenia procedury i z naruszeniem form ustanowionych, Komisya owa zwraca się do generała Sokolnickiego z zapytaniem, czyli się uznaje być autorem tejże broszury? i w tejże samej odezwie imputuje mu prawo, w razie gdyby do autorstwa broszury przyznał, zakomunikowanie Komisyi gotowości swej do udowodnienia zarzutów w broszurze ogłoszonych.

„Krok tak nieprawidłowy i wysoce sprawie mojej ubliżający, jakkolwiek ukryty pod pozorem chęci skrócenia procedury, nastręcza Komisyi możność stanowienia nietylko o naturze, lecz o rzeczywistości dowodów w sprawie podniesionych zarzutów, co już wyłącznie do atrybucyj Sądu wojennego należeć może. Wasza

Cesarzewiczowska Mość uzna zresztą łatwo różnicę wynikającą dla mnie z tego: czyli świadkowie są słuchani i konfrontowani przez Sąd wojenny publiczny, jak tego się domaga regulamin, czy też gdy zjawiają się prywatnie.

„Pozwalam sobie załączyć tu przekład odpowiedzi, przesłanej przezemnie Komisyi śledczej, na odezwę w przedmiocie świadków, przez generała dywizyi Sokolnickiego powołanych, a z treści owej odezwy w kopii przy niniejszem załączającej się. Wasza Cesarzewiczowska Mość raczy się przekonać, że po smutnem doświadczeniu, przezorność nakazuje mi być na baczności z Komisyą, przyswajającą sobie prawa rozległe, których nie posiada, a która nawet, wymagając odemnie odpowiedzi czyli mam coś do nadmienienia przeciw świadkom, przysyła mi ich listę bez objaśnienia mnie, którzy z nich są wskazani przez owego generała dla udowodnienia tego lub owego ustępu jego broszury, co znowu nie jest bez znaczenia.

„Błagam przeto najusilniej Waszą Cesarzewiczowską Mość, o przyłożenie swej dłoni do wszelkich węzłów proceduralnych sprawy tej najważniejszej w mem życiu, w której domagam się najsurowszej sprawiedliwości i środka zapobieżenia, by stronniczość, w jakiejkolwiekbądź formie się ujawniała, nie mogła mi szkodzić usiłowaniem złagodzenia surowości prawa i łagodnego wyrokowania w sprawie, która nie może i nie powinna zakończyć się inaczej, jak tylko aktem surowości bezwzględnej.

„Racz Wasza Cesarz. Mość przyjąć zapewnienie najgłębszego mego uszanowania

Warszawa, 19 kwietnia 1815 r.

Jan hr. Krukowiecki,
gen. brygady.

Zażalenie powyższe nie odniosło spodziewanego skutku. Przeciwnie, postawiona przez generała kwestya kompetencyi Komitetu rozpoznawczego, roztrzygniętą została przez W. Księcia w sposób wręcz oczekiwaniom gen. Krukowieckiego przeciwny. Nastąpiło to na skutek raportu Prezydującego, generała Zajączka, złożonego W. Księciu d. 20 kwietnia 1815 r., w którym to raporcie Komitet rozpoznawczy wyraził zdziwienie, iż gen. Krukowiecki czyni trudności w zbadaniu sprawy, której wyjaśnienia sam się domagał, nie mniej, że nie życzy sobie wyświetlenia swoich postępków wojskowych, za które w broszurze obwiniony został.

Dnia 21 kwietnia 1815 r. otrzymał gen. Krukowiecki rozkaz w słowach stanowczych, a nawet szorstkich, poddania się woli Komitetu.

„Zawiadamia mnie raportem generał dywizyi Zajączek — pisał W. Książe Konstanty — że Pan odmawiasz odpowiedzi na pytania stawione Mu przez Komitet, który ustanowiłem *w celu zbadania* zarzutów podniesionych przeciw Panu w broszurze generała dywizyi Sokolnickiego.

„Rozkazuję Ci, generale, byś odpowiedział w sposób najkategoryczniejszy na pytania, mające Ci być zadane przez Komitet i oświadczam Ci, że najmniejszy opór w uczynieniu temu zadość uważać będę za akt niesubordynacyi i niepoddania się woli Jego Cesarskiej Mości, a gdybyś się okazał winnym, Sąd wojenny będzie natychmiast ustanowiony dla osądzenia Ciebie za przestępstwo wojskowe, według całej surowości prawa.“

O takim rozkazie, danym gen. Krukowieckiemu tegoż dnia 21 kwietnia, Wielki Książe zawiadomił gen. Zajączka z nadmienieniem, że uzyskane w śledztwie wyjaśnienia służyć mają za podstawę dla zawyrokowania w Sądzie wojennym (*à l'effet d'obtenir des eclaircissemens relatifs aux griefs, qui doivent être portés à la connaissance du Conseil de guerre*).

Czasowa niedyspozycya generała Sierawskiego, członka Komitetu, spowodowała opóźnienie biegu śledztwa, o czem gen. Zajączek zawiadomił W. Księcia w raporcie z d. 27 kwietnia, lecz W. Księciu widocznie zależało na przyspieszeniu procedury, gdyż nakazał bezzwłoczną kontynuacyę śledztwa, z zaleceniem, by jego rezultaty przedstawione były w mieszkaniu obłożnie choremu gen. Sierawskiemu.

W d. 18 maja 1815 r. gen. Krukowiecki ponownie odwołał się do W. Księcia z zażaleniem i prośbą, aby świadkowie powołani do zeznań w jego sprawie, wysłuchani byli na posiedzeniu publicznem, wobec całej Komisyi, w Warszawie, nie zaś przez audytorów delegowanych, co mogłoby wywołać nieporozumienie i wpłynąć na przewłokę w biegu sprawy.

Zapytanie w tym przedmiocie uczynił i Prezydujący, gen. dywizyi Zajączek, w d. 19 maja t. r.

Zanim nastąpiła w tej sprawie decyzya, W. Ks. Konstanty w odezwie do gen. Zajączka z d. 21 maja zauważył, że powoływanie świadków do Warszawy mogłoby spowodować niepożądane dla służby wojskowej następstwa, lecz jeśli takie żądanie oparte jest na prawie, którego W. Książe nie zna, prawo takie powinno mu być uprzednio przedstawione.

Równocześnie d. 24 maja W. Książe zawiadomił gen. Zajączka, że zajęcia drugiej dywizyi infanteryi wymagają nieodzownie obecności generała dywizyi Izydora Krasińskiego i dlatego na

jego miejsce zamianowany został członkiem Komisyi generał dywizyi Kamieniecki, by w ten sposób nic nie tamowało przyspieszenia wykonania woli cesarskiej.

Zaszła tymczasem okoliczność, niezgodna widocznie z intencyami podsądnego, gdyż w dniu 29 lipca 1815 r., Komisya otrzymała odezwę gen. Krukowieckiego tej osnowy:

„Z uwagi, że generał Izydor Krasiński zastąpiony został przez generała Kamienieckiego, sądziłem, że tenże gen. Krasiński nie będzie już wezwany do wyrokowania ostatecznego w sprawie, rozpoczętej przez Komitet rozpoznawczy. Przekonanie to, tem bardziej było uzasadnione, że gdy generał Krasiński widział się ze mną, oświadczył mi w obecności wielu osób, że bardzo jest zadowolony z tego, że nie ma obowiązku mieszać się do tak niemiłej sprawy (*de ne plus se meler d'une affaire si désagréable*). Mówił następnie dużo o moim procesie i między innemi rzekł: „Śmiałem się w sobie ze śledztwa przeciw Panu uformowanego, odnoszącego się do sprawy 18 października, gdyż sam byłem świadkiem naocznym, żeś Pan przez cały ów dzień był czynnym.“ Ponieważ słyszę, że ów generał ma wstąpić ponownie do składu Komitetu, uważam się w prawie żądać jego wyłączenia i ośmielam się prosić Komitet o przedstawienie tego żądania komu z prawa należy.

„Sądzę, że ów Szanowny Członek Komitetu sam będzie przeświadczony o słuszności mojej reklamacyi z uwagi, że rozmawiając dużo ze mną o sprawie mojej w miejscu mego aresztowania, w charakterze byłego Członka Komisyi i niemającego zamiaru powrócenia do niej, nie powinien nadal w niej zasiadać.

„W przeciwnym razie, mógłbym nadmienić, że albo generał Krasiński nie powinien był rozmawiać ze mną po swojem pierwszem wystąpieniu z Komisyi, albo że nie powinien obecnie do niej wracać. Taktowność owego generała byłaby w zgodzie z moją uwagą, by nikt nie miał prawa sądzić, że słowa przezeń wyrzeczone do mnie w obecności wielu osób, zmierzały do wybadania mnie w celu zaszkodzenia mej sprawie. Nie wyłączałem zrazu generała Krasińskiego, ze względu, iż fakt tu przytoczony miał miejsce w trakcie procesu.

„Proszę Komisyę o przedstawienie tej uwagi komu z prawa należy.

„Nadmieniam nadto, że nie spytano mnie dotąd, czyli pragnę mieć za sędziego Kamienieckiego, jak to uczyniono przy otwarciu czynności Komisyi.

„Dla ratowania mego honoru, ustawicznie atakowanego, proszę Komisyę o załączenie moich uwag, niezbędnych niewątpliwie do postanowienia wyroku.

„Podałem o to prośbę do Najjaśniejszego Pana i wyrok ten pozyskam, abym wiedział, czy jestem winien, czy też nie.

„Mam zaszczyt etc.

Krukowiecki.

O liście tym doniósł w d. 29 lipca 1815 roku gen. Zajączek W. Księciu w chwili, gdy Komisya była już na ukończeniu swej czynności (*au moment on le conseil d'enquête alloit terminer ses travaux*) z nadmienieniem, że gen. Krukowiecki wyłącza ze składu Komisyi gen. Krasińskiego, którego raz już akceptował. Gdy zaś prawo podobnego wypadku nie przewidziało, Komisya prosi w tej mierze o decyzyę W. Księcia.

W odpowiedzi na to zapytanie W. Książe w dniu 31 lipca 1815 r. wyraził zdanie, że ponieważ sam gen. Krukowiecki przyznaje, iż gen. Krasiński korzystnie się o nim odezwał, przeto nie powinienby jego postanowień mieć w podejrzeniu (*ses decisions ne doivent pas lui paraître suspectes*).

III.

Prace Komisyi śledczej.—Cztery główne punkty oskarżenia.—Bitwa pod Lipskiem.—Po zgonie księcia Józefa.—Działania brygady Krukowieckiego.

Tak stała sprawa do początku sierpnia 1815 r., gdy po raz pierwszy Komisya śledcza zredagowała treść zarzutów, podniesionych przeciw gen. Krukowieckiemu w broszurze gen. Sokolnickiego.

„Zarzuty pomienione—zdaniem Komisyi—dają się sprowadzić do czterech głównych punktów oskarżenia:

Punkt pierwszy: „Generał Krukowiecki opuścił w dniu 17 października 1813 r. dywizyę generała Dąbrowskiego bez rozkazu"

Oskarżenie to stwierdzone jest zeznaniem generała Dąbrowskiego i przyznaniem się generała Krukowieckiego.

Dla złagodzenia swej winy generał ów twierdzi, że otrzymał od księcia Poniatowskiego rozkaz przyłączenia się doń ze swą brygadą. Gdyby tak było, czy książe nie uprzedziłby o tem generała Dąbrowskiego? Zresztą książe Poniatowski nie mógł wydać takiego rozkazu bez upoważnienia cesarza, albowiem ge-

nerał Dąbrowski, dowodząc korpusem oddzielnym, nie zależał bynajmniej od księcia. Ów mniemany rozkaz był zatem jedynie zezwoleniem na przyłączenie się do korpusu księcia, zezwoleniem wyłudzonem drogą fałszywego zapewnienia ze strony generała Krukowieckiego, że jazda nie mogła nadal działać na stanowisku, zajętem przez generała Dąbrowskiego, czemu ten ostatni przeczy stanowczo w swem zeznaniu.

Co więcej, generał Rautenstrauch stwierdza, że słyszał księcia Poniatowskiego mówiącego: *„Krukowiecki przyłączył się do nas bez upoważnienia.“*

Generał Toliński zeznaje wprawdzie, że był obecny przy tem, gdy książe Poniatowski mówił do Krukowieckiego, by przyprowadził swą brygadę, lecz generał Toliński mógł był przyjąć przyzwolenie za rozkaz.

Zresztą, jakże powiązać ów rozkaz z raportem generała Krukowieckiego, złożonym wieczorem tegoż dnia generałowi Dąbrowskiemu a datowanym z obozu 8-go korpusu, w którym prosi tegoż generała o dalsze rozkazy. Jeżeli je otrzymał już od księcia Poniatowskiego, to pocóż było żądać ich zkądinąd?

Wszystkie przytoczenia i twierdzenia gen. Krukowieckiego są niejasne, lecz co jest niezbicie jasnem, to to, że generał Krukowiecki opuścił dywizyę Dąbrowskiego bez rozkazu.

Punkt drugi: Zarzucają generałowi Krukowieckiemu, że *opuścił 18 października stanowisko pod Wachau bez rozkazu; zarzucają mu również niewykonanie rozkazu zakomunikowanego mu tegoż dnia przez generała Sokolnickiego za pośrednictwem majora Różyckiego.*

Punkt pierwszy tegoż oskarżenia nie jest stwierdzony przez większość świadków, zeznających, że widzieli tegoż dnia w marszu eszelony brygady gen. Krukowieckiego z resztą korpusu. Lecz inna jest sprawa z punktem drugim. Major Różycki zeznaje, że poniół rozkaz generałowi Krukowieckiemu, by osłonił swą brygadą prawe skrzydło korpusu, i że ten rozkaz wykonany nie został. Przyznaje to sam gen. Krukowiecki w wyjaśnieniu danem na piśmie. Przytacza na swe usprawiedliwienie, że nie mógł się utrzymać w miejscowości, w której go znalazł adjutant, gdyż tracił wiele żołnierza. Gdyby się tak rzeczy miały istotnie, generał Krukowiecki nie mniej byłby winnym nieposłuszeństwa.

Punkt trzeci: Zarzucają generałowi, że *opuścił 20 października korpus generała Sokolnickiego bez rozkazu, gdy ten ostatni biwakował pod Skeytbar.*

To nieposłuszeństwo stwierdzone jest przez samego generała Krukowieckiego. Przyznaje on w swem objaśnieniu, że opuścił

generała Sokolnickiego, w celu odnalezienia generała Dąbrowskiego.

Punkt czwarty zarzuca gen. Krukowieckiemu głosy buntownicze podczas nocy z 19 na 20 października.

Zeznania większości świadków są w tej mierze wymijające.

Z tem wszystkiem pułkownik Oborski zeznaje stanowczo, że wzburzenie gen. Krukowieckiego, jak również jego mowy, źle oddziałały na umysły żołnierzy.

Pułkownik Morawski również zeznaje, że głosy generałów, a głównie generała Krukowieckiego, wzburzyły i spaczyły ducha armii.

Major Starzyński oświadcza, że słyszał gen. Krukowieckiego, mówiącego głośno: „Nigdy nie byłem legionistą i nie przeprawię się przez Ren.“

Kapitan Starzyński również donosi o takiem odezwaniu się gen. Krukowieckiego. Widzi w niem źródło odstępstwa, które omal, że nie zbezcześciło armię.

W nocy z 19 na 20 października generał Krukowiecki (co sam przyznaje w swem wyjaśnieniu), dał zlecenie księciu Sułkowskiemu, by zapytał generała Sokolnickiego, ich wspólnego wodza, dlaczego ociąga się z pochodem? i że armia nie jest już w stanie wydania pomyślnej walki.

Jakże to mógł podwładny generał ośmielić się takim językiem przemawiać do swego wodza? I w jakim czasie? W chwili niepowodzenia, gdy obowiązkiem każdego z nich było podtrzymywać ducha armii.

Gdy się przedstawia sobie dowódcę, obnoszącego się przez dni kilka ze swym niepokojem, wzburzeniem, przechodzącego ze swą brygadą z jednego obozu do drugiego bez rozkazu, nie znajdującego ani miejsca, ani wodza odpowiednich dla siebie, mającego minę zupełnie niezależnego i samowolnego, krytykującego działania swoich zwierzchników i siejącego nieufność, wygłaszającego takie buntownicze zdania, jak: „nie byłem nigdy legionistą i nie przeprawię się przez Ren,“ intrygującego w sprawie złożenia swego Naczelnika, nie podobna wstrzymać się od myśli: Biada armii, mającej takich żołnierzy! Tem więcej są oni niebezpieczni, ile że młodzież nierozważna żywi w duszy podziw dla buntujących się przeciw władzy wyższej i uważa za heroizm to, co jest jedynie skutkiem złośliwości lub szaleństwa.

Im bardziej się zastanawiamy nad ową nieszczęsną sprawą, tem bardziej jest się przekonanym o tem, że generał Krukowiecki *jest winowajcą* i że zasługuje na oddanie go pod sąd wojenny.

Generał Sokolnicki jest winnym nie przyaresztowania go i niedoniesienia o nieposłuszeństwie generała Krukowieckiego.

Jest on winnym złośliwego użycia określenia: *dezerter* przeciw Krukowieckiemu w swej broszurze, co jest kalumnią.

Co się tycze wydrukowania i ogłoszenia broszury, generał Sokolnicki, przyznając się do jej autorstwa, oświadcza uroczyście, że się to stało bez jego wiedzy i udziału.

Nie ma dowodu, któryby temu przeczył.

Dan w Warszawie 5 sierpnia 1815 r.

Zajączek,
generał dywizyi.

IV.

Raport Komisyi śledczej złożony W. Księciu. — Treść zeznań świadków. — Obrona generała Krukowieckiego. — Opinia Komisyi śledczej.

Dnia 7 sierpnia 1815 r. Komisya śledcza złożyła W. Ks. Konstantemu szczegółowy raport o swojej działalności w tej sprawie.

Jest on następującego w przekładzie polskim z oryginału francuskiego brzmienia:

„Rada rozpoznawcza zwołana rozkazem W. Ks. Mości z dn. 24 marca (5 kwietnia) za № 229, złożona z generałów dywizyi: Zajączka (Józefa) Prezydującego, Krasińskiego (Izydora), Haukego (Maurycego), z generałów brygady: Sierawskiego (Juliana), Kurnatowskiego (Zygmunta), audytora generalnego: Krysińskiego (Ksawerego). w przedmiocie zbadania zarzutów, podniesionych przeciw generałowi brygady Krukowieckiemu, w broszurze zatytułowanej: *Journal historique* etc.; po otrzymaniu od generała Sokolnickiego oświadczenia, iż się do autorstwa pomienionej broszury przyznaje, ma zaszczyt przedstawić Waszej Ks. Mości rezultat swoich dochodzeń, przy załączeniu dla większego wyświetlenia faktów, wyciągów następujących z materyału dowodowego:

1. Szczegółów, odnoszących się do stosunków służbowych, jakie zachodziły między gen. brygady Krukowieckim a generałem dywizyjnym Sokolnickim, z poglądem na działania wojsk polskich od 17 do 20 października 1813 r.

2. Zarzutów, uczynionych przez generała dyw. Sokolnickiego, gen. brygady Krukowieckiemu i wyłuszczonych w pomienionej broszurze.

3. Obelg, uczynionych generałowi Krukowieckiemu we wzmiankowanej broszurze.

Wyliczenie zarzutów opartych na powadze oświadczeń zobopólnych generałów Sokolnickiego i Krukowieckiego, jak również na zeznaniach świadków, według których Rada rozpoznawcza uważa zarzuty:

1. Jako dostatecznie stwierdzone.
2. Jako nie dostateczne, nie stwierdzone.

1.

Szczegóły, odnoszące się do stosunków służbowych między generałami Sokolnickim a Krukowieckim, jak również pogląd na działania wojenne wojsk polskich od 17 do 20 października 1813 roku.

a) Szczegóły odnoszące się do stosunków służbowych.

Korpus 4-ty jazdy rezerwowej pod rozkazami hrabiego de Valmy składał się:

Z 7-ej dywizyi, dowodzonej przez gen. dywizyi Sokolnickiego i z 8-ej, dowodzonej przez generała dywizyi księcia Sułkowskiego. Dwie owe dywizye tworzyły brygady: 17, 18, 19 i 20, z których dwie pierwsze należały do 7-ej, dwie ostatnie do dywizyi 8-ej.

18 brygada pod rozkazami gen. bryg. Krukowieckiego przyłączoną była do dywizyi generała Dąbrowskiego, 20-ta zaś, dowodzona przez generała Weyssenhoffa do 1-go korpusu armii francuskiej.

Po opuszczeniu korpusu przez hr. Valmy, dla poratowania zdrowia, zastąpił go w dowództwie generał Sokolnicki.

18-ta brygada przybywa 17 wieczorem do 4-go korpusu rezerwy i po uzyskanem od księcia Poniatowskiego zezwoleniu staje pod rozkazami generała Sokolnickiego, który ustawia ją w szeregach z kawaleryą korpusu rezerwowego.

19 października w dniu zgonu księcia Poniatowskiego, generał Sokolnicki obejmuje dowództwo nad korpusem polskim, jako najstarszy z obecnych podówczas wodzów.

Z rozkazu Napoleona dowództwo korpusu polskiego oddanem zostaje 20 października księciu Sułkowskiemu.

b) Działania wojsk polskich.

4-ty korpus kawaleryi rezerwy zajmuje 17 października stanowisko między Doesen i Wachau.

Przybywa podówczas brygada 18-ta i staje, jak wyżej nadmieniono, w szeregach z kawaleryą rezerwy.

Podczas, gdy korpus 8-my przybiera stanowisko bardziej ześrodkowane pod Lipskiem, 18 tegoż miesiąca 4-ty korpus rozwija swoje szwadrony od doliny Wachau aż do wałów Loessnigu, pozostawiając placówki wielkie i vedety złożone z regimentu Krakusów na froncie doliny, dla osłonięcia 8-go korpusu. Rankiem tegoż dnia nieprzyjaciel zaatakował Krakusów, ci się cofają, walka zatem zawiązuje się z 4-ym korpusem kawaleryi rezerwy i trwa do popołudnia, wtenczas, gdy 4-ty korpus, zmuszony uledz przed liczbą, cofa się poza wały Loessnigu

Z brzaskiem dnia 19 października 4-ty korpus zajmuje stanowisko na starej drodze z Lützen, ze strony Ploegnitz, które opuszcza, następnie kierując się z Ribbach na Schkeitbar w celu osłonięcia wielkiej kwatery głównej. 18-ta brygada otrzymuje rozkaz udania się wielką drogą do Knautnauendorf, pozostawienia tam małego oddziału obserwacyjnego i kontynuowania pochodu pospołu z Krakusami aż do Schkeitbar, dla zajęcia stanowiska przy zbiegu dwóch dróg z Zwenckau i Pegau.

Dwaj żołnierze austryaccy, wzięci w niewolę, sprowadzeni są w nocy z 19 na 20 do naczelnego wodza i według słów broszury, zapewnili, że stanowią część trzech batalionów austryackich, które, po przebyciu Elstery w pobliżu Zwenckau, mieli rozkaz ruszenia forsownym marszem w celu przybycia nadedniem do Weissenfels, lecz, będąc zmęczeni, zatrzymali się dla odpoczynku na godzin kilka. Zresztą trzy bataliony austryackie były bez artyleryi i kawaleryi.

20 października 4-ty korpus przybył do Lützen.

2.

Zarzuty czynione przez gen. Sokolnickiego generałowi brygady Krukowieckiemu w broszurze pomienionej brzmią:

A) na str. 66, dzień 17 października.

17 października, generał brygady Krukowiecki posłany na zwiady za Elsterę przez generała dywizyi Sokolnickiego, pod którym służył, opuścił dywizyę tegoż generała pod pozorem, że jest odcięty od swego korpusu przez przeważne siły nieprzyjacielskie i przyłączył się do korpusu księcia Poniatowskiego.

B) na str. 68 i 69, dzień 18 października.

Podczas, gdy 4-ty korpus rezerwy kawaleryi rozwijał swe szwadrony od doliny Wachau, aż do wałów Loessnigu, osłaniając 8-my korpus, zajmujący z wielką armią stanowisko skoncentrowane pod Lipskiem, 18 października generał Sokolnicki pragnął wzmocnić się brygadą Krukowieckiego dla rozproszenia nieprzyjaciela, atakującego Krakusów. Lecz ów generał, nie czekając rozkazów, przeszedł wały Loessnigu i pociągnął za sobą bądź przykładem danym, lub też namową, część brygady 19-ej, pozostawiając naczelnego wodza na płaszczyźnie rozległej z jedną tylko pikietą w eskorcie i z Krakusami na froncie. Przebywszy wały Kunnewitz, generał brygady Krukowiecki ulokował się ze swą brygadą za Probstheyda, pod bokiem gwardyi cesarskiej.

C) Strona 77 i nast., dzień 19 października.

19 października generał Krukowiecki, otrzymawszy rozkaz zajęcia stanowiska przed Schkeytbar, opuścił je własnowolnie, pociągając za sobą Krakusów, z którymi przybył do Lützen, w chwili właśnie, gdy brygada przezeń dowodzona, miała być użytą do zaskoczenia trzech batalionów austryackich i gdy generał Sokolnicki dawał już rozkaz swym żołnierzom wyruszenia na owe trzy bataliony.

D) Generał Krukowiecki usiłował podówczas namówić żołnierzy, by się nie bili, budząc w ich umysłach wątpliwość, co do celu, dla którego dotychczas krew swą przelewali. Czynił to dowódca z pobudek osobistych, nie chcąc się narażać na spotkanie z Austryakami, *jako ich dezerter* (*comme leur deserteur*).

E) Strona 78—79, dzień 20 października.

20 października generał Krukowiecki, nie czekając przybycia kolumny pod Lützen, poważył się, bez żadnego upoważnienia, przedstawić się u drzwiczek karety Napoleona, jako niby delegowany wszystkich Polaków, by uprosić cesarza o przelanie naczelnego dowództwa na księcia Sułkowskiego.

3.

Obelgi zamieszczone w broszurze:

A) Na str. 78.

Generał Sokolnicki oskarża generała Krukowieckiego o dezercyę z pod sztandarów austryackich.

B) Na tejże stronie.

Generał Sokolnicki, mówiąc o generale Krukowieckim, tak się o nim wyraża: „należało spodziewać się kroków bardziej bun-

towniczych ze strony człowieka, którego zła wola wysuwała zazwyczaj poza przepisane granice.

C) Na str. 81.

Mówiąc o krzyżu komandorskim, udzielonym gen. Krukowieckiemu, pisze:

„Intrygował dla pozyskania krzyża komandorskiego, który też pozyskał, jakkolwiek został oficerem legii na krótko przedtem. Postępek jego, wyżej wyłuszczony, świadczy, jaką drogą nań zasłużył.“

Komisya rozpoznawcza, mając honor przedłożenia, w taki sposób Waszej Książęcej Mości wszystko, cokolwiek uważała za potrzebne dla wyjaśnienia faktów i zawartości broszury, nie dotykając wszakże opowieści historycznej działań wojskowych dywizyi 7-ej, przystępuje do klasyfikacyi oskarżeń na podstawie zeznań donosiciela, oskarżonego, świadków i dowodów, które posłużyły do jej orzeczenia i dzieli takowe:

1) na udowodnione należycie i

2) na nienależycie udowodnione.

OSKARŻENIA NALEŻYCIE STWIERDZONE:

1. Że generał brygady Krukowiecki opuścił własnowolnie dywizyę, będącą pod rozkazami gen. Dąbrowskiego.

Dowody:

a) Własna odpowiedź generała Krukowieckiego na pytanie 2 Komisyi, w której przytacza: „Po powrocie mej brygady z rekonesansu, podjętego w d. 17 października 1813 r., otrzymałem od generała dywizyi Dąbrowskiego rozkaz następujący: „Generale! Nie mogąc być użytym tutaj z kawaleryą, staraj się przebyć z drugiej strony rzeczkę, kierując się przez Schönfeld, gdzie będziesz operował po stronie prawej.“

„Przedstawiwszy wszystkie trudności przebycia w tym punkcie rzeczki, z uwagi na zły stan mostu przez generała dywizyi samego uznany nocy poprzedniej, otrzymałem w odpowiedzi:

„Że należy użyć wszelkich środków dla naprawy mostu w celu uskutecznienia przeprawy, że bramy miasta były już zawarte, że kawalerya nie mogła być użytą i że według wszelkiego prawdopodobieństwa pozycya ta będzie wkrótce opuszczoną.“

„Stosownie do tego rozkazu, udałem się w pochód z brygadą, kierując się drogą prostą ku wiosce wskazanej etc.“

Tu generał Krukowiecki opowiada, że w czasie pochodu napotkał nieprzyjaciela, którego rozproszył, lecz spostrzegłszy, że inna kolumna, przybywająca z Euteritz, zagroziła uderzeniem na tyły, powrócił ze swą brygadą do generała Dąbrowskiego dla zasięgnięcia dalszych rozkazów, wyrażonych jakoby w takich słowach:

„Staraj się, generale, przebyć rzeczkę wszędzie, gdzie tylko to będzie możliwem. Dasz mi znać o tem, gdzie się zatrzymasz, bym ci mógł wręczyć rozkazy, jakie otrzymamy."

Generał Krukowiecki mówi dalej, że był zmuszony w ogrodzie pewnym transportować po deskach (*sur des planches*) każdego konia osobno. Oto są jego własne słowa:

„Tak uskuteczniwszy swą przeprawę przez rzeczkę, brygada zajęła stanowisko za miastem, na drodze do Weissenfels. Ulokowana następnie poza przedmieściem Grimma i dowiedziawszy się od oficerów, przybyłych z korpusu księcia Poniatowskiego, że tenże był w oddaleniu jednej mili od stanowiska przezemnie zajmowanego, że wiele ucierpiał dni poprzednich i że się spodziewał napadu, zdecydowałem się, wskutek przedstawień wodzów i oficerów dwóch regimentów, niemniej widząc nadto, że nie będzie mógł nic pomódz dywizyi generała Dąbrowskiego, pospieszyć z pomocą ze swą brygadą księciu Poniatowskiemu, aż do otrzymania rozkazów dalszych od generała Dąbrowskiego, dowodzącego dywizyą. Z tych pobudek udałem się z pułkownikami: Siemiątkowskim, Kosseckim, Dwernickim i Stryjeńskim do księcia Poniatowskiego, któremu złożyłem raport z wypadków, zaszłych 16 i 17 października, jak również z położenia, w jakiem się znajdowała podówczas dywizya generała Dąbrowskiego, prosząc równocześnie księcia o dozwolenie brygadzie przyłączenia się do jego korpusu i wyjednania od Napoleona, by upoważnił ją do ostatecznego wcielenia się do korpusu 8-go.

„Książe się na to zgodził etc."

b) Zeznanie generała brygady Rautenstraucha w odpowiedzi na 3 pytanie z d. 13 maja i na pytanie 2 z 29 t. m.:

„Książe oświadczył w mojej obecności, że Krukowiecki przybył bez upoważnienia."

c) Zeznanie pułkownika Siemiątkowskiego w odpowiedzi na pytanie 5 z dnia 18 maja:

„Wiem, że nie było zupełnie wojsk nieprzyjacielskich między 18 brygadą a dywizyą generała Dąbrowskiego, gdyż przedzielało je miasto Lipsk jedynie. Przekonani, że nie będziemy mogli nic pomódz dywizyi generała Dąbrowskiego z drugiej strony tegoż

miasta i dowiedziawszy się, że książe Poniatowski tylko o kwadrans drogi był od nas oddalony, udałem się pospołu z generałem Krukowieckim, Kosseckim i Dwernickim etc.“

Odpowiedź na pytanie 7 z dnia 30 maja:

„Po przebyciu Lipska dowiedzieliśmy się od pewnego oficera polskiego, że książe Poniatowski, znajdował się w pobliżu. W tem położeniu będąc nieczynni w miejscu, w którem się znajdowaliśmy, oddzieleni od generała Dąbrowskiego miastem Lipskiem, byłem obecny, jako będący podówczas pułkownikiem czwartego regimentu, że podczas deliberacyi między generałem Krukowieckim a innymi oficerami wyższymi, była mowa o wysłaniu delegacyi do księcia Poniatowskiego dla zasięgnięcia jego rozkazów lub dla połączenia się z nim.“

d) Zeznanie generała Dąbrowskiego na pytania: 5, 6, 7, 8, 9, 11, 12 i 13:

Odpowiedź na pytanie 5.

„Maszerując z Schönfeld dla zajęcia stanowiska przy Euteritz, posłałem generała Krukowieckiego z kawaleryą na prawe skrzydło moje.“

Odpowiedź na pytanie 6:

Mówiąc o pierwszym rozkazie, na który się powołuje generał Dąbrowski objaśnia: „Nic o tem nie wiem i nie przypominam sobie.“

Odpowiedź na pytanie 7.

„Nie przypominam sobie rozkazu drugiego, na który się generał Krukowiecki powołuje. Przeciwnie, otrzymałem od marszałka Neya rozkaz bronienia się do ostateczności i mogłem użyć kawaleryi podczas nocy dla wykonania rekonesansu na Gölitz.“

Odpowiedź na pytanie 8.

„Nie widziałem brygady generała Krukowieckiego w utarczce z nieprzyjacielem, lecz jedynie w chwili, gdy się w bezładzie cofała.“

Odpowiedź na pytanie 9.

Mówiąc o trzecim rozkazie, na który się generał Krukowiecki powołuje: „Nie przypominam sobie owego trzeciego rozkazu, jednakowoż, ponieważ gen. Krukowiecki cofał się przed frontem moim, możliwem jest, że mu dałem rozkaz przebycia mostu, będącego za szpitalem na lewem skrzydle i którego broniłem przeciw Francuzom, usiłującym go podpalić.“

Odpowiedź na pytanie 11.

„Generał Krukowiecki nie doniósł mi zupełnie o stanowisku, jakie zajmował.“

Odpowiedź na pytanie 12.

„Ulokowany ostatecznie poza przedmieściem Grimma nie prosił mnie zupełnie o pozwolenie udania się do księcia Poniatowskiego i bynajmniej mnie o tem nie uprzedził.“

Odpowiedź na pytanie 13.

„Nic mi nie doniósł o zamiarach swoich co do przyłączenia swej brygady do 8-go korpusu armii.“

Aleksander Kraushar.

IMPROWIZACYA

Adama Mickiewicza.

I.

Poezyę polską dziewiętnastego wieku rozpoczyna pieśń nowa, na świeżo nawiązanej strunie potrącona, prosta, jak odezwanie się dziecka, a mocna i wierna, jak przysięga.

Stworzona gdzieś pod obcem niebem i na obcej ziemi, może w marszu, może w nocy przed bitwą, i przyniesiona na ustach aż nad Wartę i Wisłę, przenikła ona cały horyzont swej ziemi, wrosła w bruki miast i w serca pokoleń i jak błyskawica oblatuje odtąd granice swego imperyum, czujna, zaniepokojona, szukająca choćby jednej piersi w każdem pokoleniu, piersi, w której mogłaby się zwinąć, spotężnieć i wypaść z niej piorunem natchnienia.

Była to pieśń legionów.

Kiedy stare pokolenie szło już do grobów z rozpaczą, kiedy Naruszewicz wpadł w melancholię, Zabłocki wesołek przywdziewał habit, Kniaźnin w obłędzie śledził godzinami cień wskazówki kompasu, a Trembecki wersalczyk biegał bosonóż w sukmanę odziany po trawnikach tulczyńskich ogrodów, kiedy miasta polskie szły, podobnie jak ludzie, w ruinę, pełne domów bez mieszkańców, bez okien, z trawą zarastającą chodniki, kiedy ptaki sybirskie poraz pierwszy siadać poczęły na polskich mogiłach — ta radosna, krzepka pieśń żołnierska zaczynała sobą nową przyszłość, szła w nią krokiem pośpiesznym i nieulękłym, z bronią w ręku, w szarym płaszczu wojackim na ramionach—i młodzież wiodła za sobą.

Zaczynała ona nowy wiek, nową historyę i nową literaturę.

*

* *

Oczy po za siebie obracając, widziała ona jedynych swoich spadkodawców w konfederackich „rycerzach Maryi.“

Byli to ludzie wiary, natchnienia i heroizmu, najpierwsi poeci nowej ery, co pieśni swoje pisali w takt kopyt końskich i wykonywali je żywotem. Szli oni, jak lwy samotne, niewielką a wspaniałą gromadą, wbrew losom, wbrew nadziei, wbrew obłąkanemu narodowi, w same oczy ponurej śmierci, modląc się po drodze do Boga, „który jest mocny i możny w boju i na trzech palcach cały świat utrzymuje.“

„Abyś od nas nieporządną miłość życia doczesnego oddalić raczył —

„Abyś śmierć słodką i miłą za wiarę, wolność i ojczyste prawa uczynić raczył“ —

tak dopraszali się, w piersi bijąc, i chórem śpiewali pieśń, niezłomną i wysoką na wysokość ich królewskich umysłów:

Morze się burzy, ziemia się wali,
Mięsza się niebo, powietrze,
Niech się świat cały na nas obali,
Wzruszy nas, ale nie zetrze.

Na gwałtownym przełomie wieków stanęli ci ludzie odchodzący, aby ogień tradycyi oddać legionom, a samym pójść pod ziemię kończyć rasę dawną, orlą, patryarchalną, rasę Horsztyńskich, Sołtyków, na pół obłędnych teraz królów Lirów, jednemu Bogu tylko zdolnych uniżyć głowy i kolana. I rasa ta w istocie skończyła się razem z nimi. Już tylko pozostałe jej resztki wchodzą w wiek 19-ty, błąkają się w tłumie ludzi odmiennych, odcinają się od tła urokiem swej postaci, noszą w sobie czar tradycyi, widoczny w każdem ich odezwaniu się, w każdym ruchu stylowym i skończonym, w całym ich porządku myślenia i postępowania, podległym tylko cenzusowi własnej, zawsze czujnej, nobilitas. Mieli oni w sobie powagę patrycyuszów, a wdzięk i pogodę ludzi wschodnich. Ruch myśli naukowej i filozoficznej był im prawie obcy; jeśli czytali co (na starość zwłaszcza), to chyba Volumina legum, stare kroniki, żywoty świętych, pamiętniki Janczara, Żółkiewskiego i t. p., ale nigdy to, co w kulturze europejskiej było wysokie i szlachetne, nie było im obojętne. Jak ongi z ludzi tego pokroju wyszło pokolenie humanistów i renesansistów i stworzyło w Słowiańszczyźnie typ człowieka wolnego, tak i obecnie rasa ta, gdyby przyszła była do dominującego w narodzie znaczenia, mogła stać się podłożem nowej, twórczej pracy na wschodzie Europy.

Czuł to dobrze Mickiewicz, kiedy patrząc na czasy Stanisława Augusta, szukał wpośród tych ludzi powinowactwa ze sobą i z całym ruchem romantycznym. Ponad literaturę arystokratów ducha, utalentowanych satyryków, kpiarzy, programowiczów, broszurowych postępowców, konnesserów i kolekcyonistów, przekładał on tych ludzi, co zamiast menueta nucili ranne wigilie i antyfony, nie bardzo znali się na rusztowaniu myśli Roussa czy encyklopedystów, ale mieli w sobie zato wiedzę powinności i nieomylny instynkt lotu w rozpołożeniach swej duchowej ojczyzny.

Ludzie ci odeszli w ciemność nie przemówiwszy głośno przez nikogo. Pozostały po nich zaledwie nieme tradycye. Te wziął w siebie Kościuszko, przez nie wyrósł Woronicz, pieśniarz wiary rycerskiej a nie reakcyjnej, one to padły w legiony.

Literatura stanisławowska nie przejęła od nich nic i nic z nimi nie miała wspólnego.[1]) W rękopisach, podawana z ręki do ręki, krążyła garść pieśni konfederackich, w rękopisach obiegały kraj hymny i widzenia Woronicza, rękopiśmienną przeważnie, przez profesorów słowa nieuznaną, była też literatura legionów.

Mickiewicz ludzi pokolenia tego, coprawda, nie odtworzył, jego Pan Tadeusz opowiadał o Polsce „od szarego końca.“ Niema ich także u Krasińskiego. Malczewski pierwszy dał ich szkic pośpieszny w Mieczniku; aż dopiero Słowacki, spotkawszy się z nimi, stanął jak pod urokiem. Głosić ich odtąd rozpoczął i Boga samego prosił, by mu dozwolił „te Barszczany śpiewać—i wielkie bardzo a rozpaczne boje;“ tak powstał Horsztyński z wysmalonemi gdzieś w kaplicy cmentarnej oczyma, Beniowski z Pamfilem i Wernyhorą, ksiądz Marek w drewnianym Barze niby w polskiem Betleem nad dzieciątkiem pochylony, tak Srebrny Sen, na stepach, Salomei, w dymach jałowcowych i krwawych włosach pożarów.

Nie mówił o nich autor Dziadów, ale oni przemówili przez niego; zagrali w jego piersi głosami gromów i aniołów, dali natchnieniom jego żywiołową moc ludzi z czasów reformacyi. Stało się to na drodze bezwiednej tylko tradycyi, tkwiącej w samej masie narodowej, ale stało się w sposób tak stanowczy, że każde głębsze, przeżyte wstrząśnienie strącało z organizacyi litewskiego śpiewaka wpływy z nią niezgodne, czasowe, a powracało go coraz bardziej przymusowo i elementarnie tym naczelnym, tradycyjnym instynktom. W nim znalazła usta dla siebie etyczna wo-

[1]) Z wyjątkiem jednego Staszica.

la rasy. Gdyby wstali z grobu dawni rycerze Baru czy Cecory, gdyby ludzie tacy, jak Skarga, Długosz, Kochowski, Łaski, Starowolski, mogli czytać psalmy Krasińskiego czy Słowackiego o sobie oktawy, to przecież braćmi poczuliby się tylko Mickiewiczowi.

Wiara rycerska, Lohengrinowska, wiara obrońców świętego Graala pociąga go stopniowo w swe przepaście, pochłania w sobie jego indywidualność, czyni zeń nawet człowieka niewspółczesnego. Jak u Ryszarda Wagnera, rośnie w nim pogarda do świata nowoczesnego, i powiedzmy, do człowieka nowoczesnego. Kiedy poezya europejska uświadamia i objawia to, co się tworzy na nikłej, rozmigotanej granicy ludzkiej osobowości, co jest nowe, odmienne, skomplikowane, to Mickiewicz przekreśla całą prawie sztukę współczesną, wierzy w nową, która wyjdzie z przemienionego człowieka, wierzy w cud i władzę cudu większą niż władza artysty, cofa się w głębie cedrowych borów pełnić straż przy krwi Chrystusowej, a gdy się zjawia wpośród ludzi, to tak, jak rycerz z bretońskiej legendy, w błękitnej zbroi, z mieczem w ręku, aby „rycerstwu nie dać w barbarzyństwie brnąć.“

*

* *

Ten dominujący ton jego natury zlewa się i łączy z uczuciem narodowości, z jej namiętnością duchową i tęsknotą fizyczną.

Powiedzieliśmy, że literaturę naszą wieku 19-go rozpoczyna pieśń legionów i odtąd cała prawie twórczość słowa polskiego jest rozprowadzeniem na olbrzymiej orkiestrze duchów tego małego zrazu a mocnego dźwięku. Wiek 18-ty w najtragiczniejszych nawet momentach nie zdobył się na żadną żywszą ekspresyę polskiego uczucia w poezyi. Wpośród ludzi słowa, co mieli w sobie świadomość patryotyzmu, wiedzą o swoich stąd płynących obowiązkach, u takiego zatem Naruszewicza, Krasickiego, Karpińskiego i innych, świadomość ta nie była w zgodzie z całą treścią i poziomem ich codziennego życia, duchowego ich samorządu. Tem się też tłómaczy mała wydajność ich reformatorstwa, omdlałe tony ich luteń.

Szukając przyczyn tego zdumiewającego zjawiska, dochodzimy do przekonania, że leżą one w samej istocie polskiego patryotyzmu. Uczucie to miało w sobie zawsze silny element metafi-

zyczny. Nie należy przez to rozumieć przywiązania do katolicyzmu; był czas, że Polska miała charakter różnowierczy, że senat był prawie cały antikatolicki, a jednak wszyscy ci ludzie schodzili się z sobą w uczuciu narodowem; ani kalwini, ani luteranie nie dawali się w przywiązaniu do Rzpltej prześcignąć „papistom.“ Religijność tego uczucia polegała raczej na nieujętej, niewypowiedzianej i niezrealizowanej tęsknocie do bytowania w absolutnej czyli złotej wolności, tak, że przymus li moralny i godna człowieka dobrowolność stawała się jedyną zasadniczą podstawą zbiorowej egzystencyi narodowej. Narodowość tak pojęta uważana jest za ustanowienie boże, godne tego samego szacunku, jaki oddajemy prawom moralnym, -służy bowiem temu samemu celowi, ma swe posłannictwo utrwalenia wolnego ducha porządku na ziemi. Tem samem i wyobrażenie ojczyzny, wcześnie rozwinięte u Polaków, obejmuje nie samą ziemię i naród wraz z jego językiem, ale i ogół tych wszystkich środków i ustanowień, które służą do wytworzenia i zachowania typu człowieka wolnego.

Tak urobione pojęcie patryotyzmu łączyło się też przedewszystkiem z przywiązaniem do kultury chrześcijańskiej i stawało w jej obronie zawsze, impulsywnie, nawet wbrew chwilowym widokom interesu państwowego. Konstytucya polska oparta była o sumienie obywateli, a nie o tron lub racyę stanu — wymagała też wskutek tego od narodu ciągłej podniosłości ducha, przyznawała mu dojrzałość uczucia, która się nazywa ofiarą. Kiedy sumienie to uległo zachwaszczeniu przesądem, kiedy z przyćmieniem oświaty wiara straciła duchowy element ruchu i natchnienia, równo z tem upada i patryotyzm.

Przychodzą wreszcie reformatorzy i rozpoczynają pracę odrodzenia: roznoszą płonące wici, koszą chwasty, zrębują przesądy, tną drogę ku światłu, wywołują odrodzenie polityki, oświaty, języka, wykonują pracę olbrzymią. Posiadają wielkie talenty, nie zbywa im na siłach i umiejętności; jednej im tylko rzeczy brak: odczucia i zrozumienia historycznej istoty polskiej psychiki. Oparci o francuski intelektualizm wieku oświecenia, tracą związek z masą narodową, nie umieją czerpać z niej sił, ani sił tych w gminie szlacheckim rozbudzać. Targają ręką ćwiczoną za struny ironii, szyku, dowcipu, rezonują, tłómaczą, gromią czasem;—porwać za sobą narodu nie mają sił.

Pierwszy człowiek natchniony od czasów Sobieskiego zjawia się dopiero w Kościuszce. Przeszedł pomiędzy wypadkami, jak żywe nieprawdopodobieństwo i pokazał drogę legionom. Po nim przychodzi drugi człowiek tej rasy — Mickiewicz.

II.

Z tych dwóch elementów zasadniczych, wiary i wolności, wyrosła Improwizacya.

Zajmuje ona w twórczości Mickiewicza punkt środkowy i dominujący, z którego jawi się przed nami cały horyzont czasu, który minął i czasu, który nadejść miał dopiero dla poety.

Zawiera ona w sobie prawie wszystkie elementy natury Mickiewiczowskiej w stanie przejścia z jednej równowagi do drugiej. Jestto twórczy moment przewrotu i nowej zjawy; jako taki nadaje się on szczególniej do zdania sobie sprawy, jakie są twórczości tej cechy główne i jaki ona świat otwiera przed nami.

*

* *

Są dwa rodzaje tworzenia. Jeden Sofoklesowy, sen na jawie, naśladujący wielkie dzieło stworzenia. Rodzaj ten zna dystans i miarę; w radości czy bólu nie zapomina o geście i nie przekroczy granicy, gdzie stoi Apollo Wyzwalający.

Tak powstał ponad człowiekiem fikcyjny świat bogów i ludzi, całe ziemie, wyspy i królestwa potężniejsze od tych, które są. Tak powstało imperyum Illuzyi.

Achilles, Antygona, Helena, Beatrycze, Don-Kichot, Książe Niezłomny, Hamlet, Falstaff, Don-Juan, Faust, Mefisto i t. d., wszyscy ci ludzie żyją między nami z oczywistością większą niż postacie historyczne, wywierają wpływ niemal codzienny, rozmnażają się w żywych oleodrukach, stanowią linie każdego spektrum współczesnej inteligencyi, zadają pytania, które niepokoją albo rzucają odpowiedź na ukryte w głębi sumień pytania, wywołują wewnętrzne przewroty ducha, tracą władzę zepchnięci przez swoich następców, stanowią wspólną międzynarodową rodzinę krwi mięszanej, zaopatrzoną w obywatelstwo całego świata.

Jak ogromną może być moc czynu artystycznego, tego żywe przykłady dały nam Ateny. Homer tam wychowywał, posągi uczyły wiary, teatr był szkołą bohaterstwa i miejscem osądu pokoleń. Zeus Fidiasza miał „powiększyć ogólną pobożność w kra-

ju.“ W czasie oblężenia jednego z miast greckich postawiono za warunek pokoju wydanie wszystkich rzeźb. Miasto odrzuciło to żądanie i biło się do upadłego. Po wystawieniu dramatu Frynikosa p. t. „Zburzenie Miletu,“ wzruszenie słuchaczy było tak wstrząsające, że nazajutrz skazano poetę na grzywny i dramat zakazano. Kiedy w Orestei wbiegały na scenę gromady Eumenid, powstawał popłoch, dzieci marły ze strachu, kobiety roniły, zbrodniarze przyznawali się do win. Przykłady tego rodzaju możnaby cytować bez końca.

Romantyzm polski rozszerzył znacznie granice królestwa illuzyi i stworzył cały szereg postaci, z których każda ma swój legion pośród żywych. Jest tam Gustaw i Konrad, Kordyan, Anhelli, Książe Niezłomny, hr. Henryk, Irydion i tylu innych. Władza ich była zawsze wielką, ile że czyn artystyczny, jako wolny i całkowity, odpowiadał najlepiej temperamentowi narodu. Czy zarazem władza ta była zawsze prawowitą, o tem należałoby się obecnie przekonać na nowo.

*

* *

Improwizacya należy do innego rodzaju tworzenia. Jest ona rozmową z Bogiem, stanowi okruch wielkiego dyalogu ciągnącego się przez wieki, w którym człowiek traci dystans w stosunku do tego, co tworzy, wypowiada całą swoją duszę.

Tak powstawały psalmy, hymny wed, tak tworzono najstarsze w świecie pieśni akkadyjskie, podobnie wyrywał z siebie potężny Eschylos wielkie sceny „Prometeusza,“ na tej wysokości zapalały się wizye Apokalipsy, podnosił głos Hiob utrapiony, tym ogniem owionięty Powerello z Assyżu grał na drewienkach i śpiewał canzony do siostry śmierci.

Podobnie powstała Improwizacya. Stworzył ją patos, kosmiczna siła duszy, która ją stawia na granicy między bezmiarem a chwilą, u progu rzeczy bezimiennych; stworzył ją patos, a skrzydła do lotu dały radość i męka ponad siły. Stąd ten obłędny, piorunowy blask myśli, nierówny, nagły, poszarpany, w lwich podrzutach, w rozpędzie głazów miotanych przez wybuch—i ten zarazem mocny, pozasłowny, organowy rytm improwizacyi, bijący jak morze o brzegi.

Lot jej idzie przez całe imperyum duszy, przebłyska przez wszystkie stulecia, zbiera w sobie treść życia „człowieka wiecznego“ na ziemi. Choć stworzył ją moment szlachetnego bólu narodowego, jest ona jednak przedewszystkiem obrachunkiem pomiędzy światem a zaświatem, między stworzeniem a twórcą, kiedy na ostatnim tego stworzenia stopniu staje człowiek i wzywa milczącą Otchłań do odpowiedzi.

Przez wszystkie uprzednie warstwy wieków przebija się też ognista strzała poematu, nim padnie u podnóża Bóstwa; warstwy te leżą jedne na drugich tak, jak były złożone w organizacyi samego poety, i sięgają od czasów pierwotnych do dziś. Dolatuje z niej głos Hioba, bunt serca Sakya-Muni, bunt myśli Prometeusza, rozdarcie piersi Jeremiasza, dumny śpiew duchowej Salaminy, mistyczne władze świętych 13-go wieku, renesansowe poczucie potęgi człowieka, nagłe zwątpienie o etycznym ładzie świata, zwątpienie posunięte aż do wzgardy i przesytu, harda niepodległość moralna wbrew wszystkiemu; a obok tego całe chóry dziejów własnej ziemi, jej tęsknota do absolutnej wolności, jej indywidualizm nieugięty, jej szlachetne cierpienie patryotyczne, a wkońcu już tylko własny przebłysk jasnowidzeń poety, własny głos jego samotny, dominujący.

W tym obszarze duchowym Improwizacyi leży też jej waga w życiu poety. Pierwszy to moment harmonizowania rozległych, różnorodnych, sprzecznych nawet z sobą elementów. W naturze Mickiewicza zlewały się oba prądy rozdzielające społeczeństwo od pół wieku i dążyły do stworzenia nowego typu w narodzie; istniała w nim tradycya i wiara staropolska w rodzaju Skargi i Sołtyka, obok intellektualizmu pokolenia, które reprezentował Trembecki, Śniadeccy; a ponad niemi, powyżej, krążyła „myśl jego wewnętrzna, samotna, wielka, melancholijna,“ dojrzana przez Mochnackiego i nazwana „gwiazdą na firmamencie jego poezyi.“

Usiłowanie to nie małych wymagało sił i zasobów duchowych, jeśli się zważy na całokształt i powagę myśli europejskiej, pchniętej od czasów odrodzenia i reformacyi na drogę badania eksperymentalnego i opartej na planie czysto intellektualnym. Potęgę tej pracy, tak oczywistej i tak dobroczynnej, miał zawsze Mickiewicz na oku, i zrozumieniu prawa postępu nie sprzeniewierzył się nigdy; zawsze patrzył przed siebie, reakcyi czy kościelnej, czy romantycznej, czy politycznej dał w prelekcyach odprawę należytą. Ale zarazem pod ciężarem tej cywilizacyi odczuwał on ucisk na duszy nie do zniesienia, cierpiał w niej i łamał się

już to z nią, już to z samym sobą. Uciskiem tym był strach przed *koniecznością.*

Przymusu przyczynowego, który ma jakoby obejmować tak samo człowieka, jak przyrodę, takiego ujęcia świata nie znosiła jego twórcza i wolna indywidualność. Czuł w sobie inną logikę uczucia działającą, a świat i jego prawa zamknięte w sile własnej woli. Gdy jednak filozofia niemiecka w osobie znanych Mickiewiczowi Szuberta i Schellinga zatrzymywała się na tym stopniu refleksyjnego ujęcia, autor Dziadów szedł dalej i dla tych zasad szukał w życiu oparcia. Odróżniał intellekt od ducha, uczonego od mędrca, który być winien w jego oczach poetą i świętym, opierał się o hierarchię wartości, w której powyżej siły myślowej leżą uczucia moralne, zakładał protest przeciw wszystkiemu, co tę hierarchię obala i cierpiał głęboko, patrząc, jak splątane węzły dziejowych omyłek i zbrodni wytworzyły chaos potworny, okradający człowieka z najlepszych jego przeznaczeń.

Romantyka niemiecka, wychodząc z tych samych założeń, zdobyła się wprawdzie na Nowalisa i Heinego, nie wydała jednak indywidualności przełomowej. Ostatni jej rycerz, Ryszard Wagner, ogarnięty pogardą do świata nowoczesnego i uczuciem absolutnej samotności, uznał, że najwyższem objawieniem się człowieka w życiu może być tylko sztuka i to sztuka istniejąca w umysłach nielicznych jednostek, przeto rewolucyjna. W sztuce jedynie człowiek czuć się może wolnym. Das Ideale—*und* das Leben oczywiście.

Protest Mickiewicza, zwrócony przeciw współczesnej cywilizacyi, musiał z natury rzeczy pójść dalej i podobnie, jak Byron uderzyć o etyczne podstawy samego bytu. Czy złemu człowiek tylko jest winien? Czy nie tkwi ono w samej istocie wszelkiego życia? Czy życie to nie wymknęło się z rąk bóstwa i nie poszło torem fatalnym? Czy bóstwo to jest za słabe, aby pomódz szlachetnym wysiłkom człowieka i samo szuka pomocy, aby się z olbrzymiej sieci bytu wyplątać—czy może istotą jego jest właśnie rozum bezlitośny?

Myśli te jak błyskawice zapalały się i gasły we wszystkich dziełach poety, gromadziły i potęgowały coraz groźniej, a źródłem ognistem ich buntu było pytanie tak dawne, jak myśl człowieka—dlaczego istnieje niezawinione cierpienie? I jak usunąć je?

*

* *

Z całego szeregu utworów, powstałych na gruncie tego samego uczucia, dwa szczególnie należy nam rozpatrzeć na tem miejscu, jako zagadnienia kulturalne, i ustalić stosunek Improwizacyi do nich.

Są to utwory, oparte o kultury zamknięte w sobie, pierwotne i odrębne: Księga Hioba i Eschylosa dramat „Prometeusz.“ Dochodzą one nędzy człowieka, ważą w ręku wartość życia samego i szukają dróg oswobodzenia.

W utworze pierwszym, wschodnim, nieznanego autora semickiego pochodzenia, cały dramat rozgrywa się w naszych oczach, w sferze przyczyn i skutków zarówno ziemskich, jak nadziemskich. Widzimy, jak nagle człowiek bez skazy, patryarcha, rolnik, wódz, dobry ojciec i senator w narodzie, strącony zostaje na dno nędzy. Traci dzieci, rodzinę, dom własny i zdrowie. Odstępują go wszyscy. „Przeklnij Boga i umrzyj!“—mówi mu żona zrozpaczona. Ciemność go ogarnia, a w sumieniu jego czystem powstaje palące pytanie: za co? dlaczego? Myśl ta jest mu „cięższą nad piasek morski,“ pod jej ciężarem dusza jego gnie się i jęczy. Przyjaciele dorzucają w serce tego człowieka rozżarzonego łuczywa: musiałeś być winny, tylkoś się taił przed światem.

I Hiob przeklina własny swój los, błogosławi grobowi, rozpacza. Ale gdy się myślą wzniesie do Boga, pada głową w proch i poddaje się jego woli. Próbuje wprawdzie dochodzić rozumem natury swego nieszczęścia, czyni kilka kroków w ciemności—i cofa się. „Przecz dana jest *światłość* mężowi, którego droga skrytą jest, a którego Bóg ciężkościami ogarnął?“ (III, 23). Pocóż jesteśmy obdarzeni rozumem, jeżeli losu własnego ani przewidzieć, ani zrozumieć nie możemy?

Cofa się przeto Hiob, człowiek wschodu, i wolę swą wraz ze światłem myśli składa u stóp Pana. „Przyznaję, żem nie zrozumiał; dziwniejsze są te sprawy, niżbym je mógł pojąć i ogarnąć“ (XLII, 3). Cierpienie ma swój cel, dość na tem. Jaki—to już Bogu wiadomo.

Umysł do objęcia życia i spraw jego nie wystarcza. Wyższą ponad umysł jest wiara. Przez wiarę, w głosie wichru ciągnącego stepem, przychodzi na Hioba jasnowidzenie.

Poeta potęguje ten pogląd w sposób podobny, jak w Improwizacyi. O serce Hioba toczy się walka za chmurami pomiędzy Bogiem a szatanem, bo na tem sercu oparł Jehowa całą ufność swoją w wartość dzieła stworzenia. Ufność ta bezwzględną nie jest, wszakże już dwukrotnie uległa załamaniu. Wie o tem ten, który straciwszy wiarę w siebie, dąży do nicości i świat ku niej wie-

dzie. Przeto lotem ciemnej błyskawicy przebłyska nad domem Hioba, mięsza się między chóry „synów bożych“ i staje przed Panem; a gdy go Bóg zapytuje o Hioba, rzucając imię tego człowieka, jak ciężki wyrzut w duszę szatana, ten odpowiada na to z ironią przenikliwego egoizmu: „Azaż się Hiob darmo Boga boi?...“

I wówczas rozpoczyna się próba—pokuszenia.

Konrad Hiobem nie jest, ma jednak w sobie jego elementy. Filozoficznych nie dotykamy na razie. Artystycznie tu i tam akcya rozpada się na dwa horyzonty widzenia: jeden objęty wzrokiem Hioba i Konrada — i drugi sferyczny, w obu poematach zamknięty w prologu. W Improwizacyi ponadto sfera druga wkracza w akcyę pierwszego planu, a to w postaci chórów krążących dokoła duszy Konrada.

*

* *

Inaczej życie i człowieka pojmuje geniusz grecki, inną też daje odpowiedź na pytanie o naturze niezawinionego cierpienia.

Mit o Prometeuszu symbolizował w Grecyi cześć dla ognia wyniesioną ze wspólnej siedziby Aryów. Cześć ta trwała w Atenach do późna, jakkolwiek połączona była z pewną lękliwością. Prometej bowiem, uwolniony przez Heraklesa, miał nosić przymusowo na palcu pierścień żelazny, wykuty z ogniwa dawnego łańcucha niewoli, z wprawionym okruchem granitu. W ten sposób Zeus przypominał mu swe pioruny.

W dniu święta Lampadoforyi grono młodzieńców konnych wyruszało galopem z Ceramiki do Kolonos, gdzie był wzniesiony ołtarz dla Prometeusza. Jeden z jeźdźców trzymał w ręku płonącą pochodnię i naglił konia do biegu, by ją żywą dowieść do ołtarza. Miało to imitować ucieczkę Prometeja z ogniem wykradzionym.

Kult ognia był też, jak wiadomo, najstarszym obrzędem religijnym świata. Według podań starożytnej Righ-Wedy sam bóg Agni zstąpiwszy na ziemię, jako błyskawica, skrył się przed oczyma ludzi; jeden z półbogów dopiero wydał go napowrót człowiekowi, nauczył go wydobywać ogień z iskier, wywoływanych przez szybki obrót kija w drewnianym krążku. Kij ten nazywano Pramathyus, od słowa pramantka, wydzierać, zabierać (w sanskrycie

medyjskim).[1]) I tu również bóg Indra, Zeus indyjski, karze ludzi piorunem za dumę i zuchwalstwo, jakiem napełniło ich posiadanie ognia. Podobnyż antagonizm pomiędzy bóstwem a człowiekiem budzi w Grecyi dar Prometeusza.

Bogowie Olimpu obawiali się początkowo pokolenia ludzi. Z lękiem uzurpatorów, niepewnych władzy, zdobytej przez podstęp i zbrodnię, patrzyli nieufnie na tych nowych mieszkańców świata. Niedawne czasy szturmu Gigantów na Olimp stały im żywo w pamięci. Być także może, iż Zeus, który wyszedł z chaosu, lecz sam był bogiem harmonii i miary, chciał mieć spokojnym i nieświadomym cały okręg natury, którą uciszył i do równowagi doprowadził. Niech więc i człowiek będzie nieświadomy. (Pessymizm bogów).

Jakkolwiekbądź i Zeus nie odrazu dosięga swej doskonałości i ojcowstwa. Ten sam władca uczczony przez Eschyla w Orestei, występuje w „Prometeuszu“ jako tyran. Walka uczyniła go okrutnym; panowanie jego co dopiero ustalone; dawne, nieujęte, ślepe potęgi kosmiczne, praojce i macierze bytu, jak Chaos, Uranos, Gea, Noc, Moiry, Okeanos, Kabiry, Kurety, Telchiny, Hekatoncheiry, zapadły się w głębie bezimienne; na ich miejscu zabłysnął areopag bogów nowych. Z obawy przed nowym buntem i przewrotem gasi Zeus jednym podmuchem wszystkie ogniska na ziemi, a kiedy litosny Tytan wraca ludziom wykradzioną iskrę, olimpijczyk krzyżuje go na skałach Kaukazu i puszcza nań żarłocznego sępa.

Po temat prometejski sięgnął Eschylos, starszy brat Mickiewicza. Stosunek jego do Sofoklesa i późniejszej tragedyi greckiej jest taki, jak stosunek Mickiewicza do Słowackiego. Było coś tytanicznego w naturze tego człowieka, żołnierza z pod Maratonu i Salaminy, wodza, kapłana i śpiewaka w jednej osobie. Gwałtowny rytm jego krwi zamieniał w patos każdy wybuch jego uczucia, między olbrzymów przenosił jego imaginacyę, a co najważniejsza, sercu jego kazał wiecznie łamać się z zagadkami losu, dziedzicznych zbrodni i przekleństw, dochodzić starć między bogami i ludźmi, ścierań się praw dawnych z nowemi.

„Prometeusz w okowach“ to jeden z tych wysiłków torowania sobie drogi do prawdy niezmiennej a nieukrzywdzającej. W każdem słowie tego śmiałego dramatu pali się i przebłyska płomień sprawiedliwości, oświeca ponuro całą scenę ukrzyżowania. Poeta siada u stóp Prometeja, z uwielbieniem słucha jego

[1]) Paweł de Saint-Victor: Bogowie i ludzie. Łódź, 1886. I, 122.

słów i cały obraz kaźni Tytana przedstawia w sposób potępiający wyrok i trybunał. Szalona to odwaga młodego serca, odwaga prawości, którą Eschyl kierował się zawsze.

Należał on do wtajemniczonych, przejął wskazówki kapłanów egipskich, nauczył się myśli swoje okrywać w symbole, pod których szatą słowną kryło się znaczenie teozoficzne; również w Atenach brał udział w obrzędach eleuryskich, nosił w ręku mistyczny cystus.

Myt o Prometeuszu traktuje Eschylos tak, że poza pierwszym planem obrazowym otwiera się przed nami nagle i na chwilę rozległa głębia bytu; myśl tragika spada w nią jak ołowianka, dosięga samego dna greckiego ducha.

Ogień, który znosi Prometeusz, jest dlań ogniem ludzkiej piersi, owym soma indyjskich kapłanów, jest wielką, twórczą potęgą samowiedzy. Jako taki skupia on w sobie ducha rasy helleńskiej, stanowi uosobienie duchowej mocy człowieka. Przez prometejską iskrę swej istoty człowiek opanowuje naturę, pozbywa się lęku, coraz bardziej staje wolnym, zbliża do samoistności.

Kiedy nagie Oceanidy otaczają dokoła skutego Tytana i śpiewem starają się ból jego złagodzić, Prometej przerywa posępne owe milczenie, wraca myślą do swoich chwalebnych przewin.

„Nie sądźcie, abym z dumy może czy z uporu
Zaciskał czoła. Ach! to serce me samotne
Kąsa myśl, w jak bezradnem jęczę poniżeniu.“[1])

On bogom panującym do zwycięstwa dopomógł, to wszystkim wiadomo. Ale o tem może nie jest im wiadomo, jak ciężko on, Prometej, ukrzywdził ludzi: dał nierozumnym rozsądek, ciemnym światło.

„Bo wprzódy mając oczy nie widzieli; słysząc
Tak, jakby nie słyszeli; podobniejsi raczej
Do sennych mar, idących poprzez długie wieki,
Ślepo mięszali wszystkie rzeczy. Nieświadomi
Ani sztuki ciesielstwa, ni głazów budowy,
Wkopani w ziemię, jako mrówek rojowiska
Mieszkali w norach . . . . . .
. . . . . bez myśli czynili wszystko
Na ślepy traf.“[1])

On ich nauczył śledzić bieg gwiazd, wynalazł naukę liczb, on darzył sztuką pisania, rozwinął w nich matkę wszelkiej wie-

[1]) Z. Węclewski: Tragicy greccy. T. I. Poznań, 1883. Str. 219.

dzy—pamięć. Ujarzmił siłę dzikich zwierząt, spoił belki pierwszego okrętu. Wspomniawszy na to, tem boleśniej spogląda na stan swój obecny. On, twórca sztuk i nauk tylu, jakże teraz czuje się bezradnym. .

— Chwiejesz się niepewny, jak lichy lekarz, tknięty ciężką niemocą — czyni uwagę przodownica chóru Oceanid.

To oprzytomnia Tytana. Nie lubi, by się nad nim litowano. Raczej niech podziwiają jego wynalazki i sztuki.

— Gdy kto na zdrowiu zapadł — on nauczył przyrządzać zbawienne leki.

— Wieszczenie od niego pochodzi, czy to ze snów, czy z lotu ptaków o krzywych szponach—i ogień ofiarny on rozpalił.

— Z łona ziemi wydobył żelazo, złoto, srebro, miedź. Od niego to mają wszelki kunszt śmiertelni. Oto jego wina.

„Litowałem się nad ludźmi — przeto nie ulitowano się nademną.“

A w toku tych scen i tych wynurzeń, mały rzut myśli, przelatujący nagle jak błysk niepowrotny. W nim leży punkt środkowy mytu.

Przodownica chóru Oceanid zapytuje go:

— Czy nie posunąłeś się dalej poza to?

Tytan rzuca odpowiedź krótką, niejasną, zamkniętą w sobie, choć zazwyczaj chętnie rozwija swe opowiadania.

PROMETEUSZ:

Za moją sprawą ludziom życia los zakryty.

PRZODOWNICA CHÓRÓW:

Jakiż na tę niedolę wynalazłeś środek?

PROMETEUSZ:

Nadzieje ślepe w piersiach ludzi zaszczepiłem.[1])

Nadzieje ślepe.

Takim jest cenny dar prometeizmu.

Wspaniała ułuda myśli—według Eschylosa. Entuzyazm, naukowy czy socyalny, w obu razach zaprawiony szlachetnym kłamstwem szczęśliwości. Nauka da w ręce człowieka potęgę równą bogom, nowe reformy ludzkich stosunków otworzą przed nim szczęście maksymalne. W tejże za szczęściem ludzkiem pogoni jawią się bohaterzy myśli i czynu, niesieni wichrem oślepiającego entuzyazmu. Po nich i przez nich przychodzi dopiero entuzyazm mas. Bez prometejskiej ślepoty ogarnęłaby człowieka posępność i bezdążenie. Tą ślepotą jest jednak nadzieja. „Bolesna, ale świę-

[1]) J. w.: str. 212.

ta mistyfikacya“ — pisze na podobny temat (w liście do Reeva) Krasiński.

Zda się, że te słowa mają skrzydła huczące w locie, jak ocean; przelatują ponad amfiteatrem całego Akropolu, ponad Grecyą, poprzez całe wieki.

— „Za moją sprawą ludziom życia los zakryty.“

Oblicze losu tego musi mieć w oczach Eschyla coś złowrogiego, kiedy pomiędzy losem a wzrokiem człowieka potrzeba było rzucić cudowną zasłonę. Wie o tem Prometej i ludzie z jego piętnem na czole. Los to posępny, jak sama konieczność.

Bo ponad ludźmi i bogami włada nieubłagana Anańke, panuje Fatum uosobione w trójcy wszechpotężnych Mojr. W ich piersi niema serca. Działają one jedynie przez nieodpartą przyczynowość siły.

Duch zbudzony, duch wolny w poczuciu własnem i świadomem, kiedy okrąży cały horyzont bytu, zapadnie na dno rzeczy, przeniknie związek ich sił i niezmienne następstwo fenomenów, duch ten właśnie na drodze myślenia, które prowadzić winno do wolności, staje nagle wobec faktu konieczności wszystkiego, co jest, konieczności wszystkiego, co będzie.

„Jasno wszystko przewiduję,
Co nastąpi w przyszłości; żadna klęska na mnie
Nie spadnie niespodzianie — a los przeznaczony
Winienem znieść, jak można zgodnie — ja, com świadom
Niepokonanej niczem konieczności siły.“[1])

Po za moc przewidywania prometeizm nie wychodzi, zmienić porządku ustanowionego przez fatum, złamać go—nie czuje w sobie sił. Ponad fatum nie istnieje dla niego nic.

W samej przeto istocie jego siły już leży bezsilność. Zaczyna się ona tam, gdzie się zaczyna pełna świadomość wieczystej *niewoli*, gdzie wzrok obejmuje „życia los.“

Jedynie radosną jest półświadomość. Działa, entuzyazmuje, uwalnia, przyrzeka więcej niż zdolna dotrzymać. Taką jest np. Sofoklesowa rozkosz bytowania.

Pod tą jednakowoż grecką radością bytu, o której tyle słyszeliśmy, tai się daleki, przemocny lęk, zawsze czujny u Eschylosa, zawsze obsiadający gzymsy amfiteatru w postaci bezlitośnych Erynij.

Cały jego obraz życia zamknięty w cyklu tragedyj, to jeden vallis lacrimarum, przez który przeciągają żałobne wichry jego

[1]) J. w.: str. 207.

chórów. Gorączka jego tworzenia takie robi wrażenie, jak gdyby człowiek ten szukał oswobodzenia swej piersi, osłabienia i zniewolenia losu—przez piękno.

Tak postępuje młodość. Patrzy ona w same oczy bytu, dotyka czuciem samej istoty życia.

Każdy tedy prometeizm ma swoje skały Kaukazu. Drogi wolności, na które geniusz ludzki miał odwagę wstąpić i złamać na nich swą pierwotną wegetatywną równowagę, drogi te doprowadzają go w rezultacie do stanu najboleśniejszego: do bezтwórczości.

„... Nie sądziłem, że w takiej niedoli
Przyjdzie mi marnieć bezczynnie na skale
Do pustki i odległej góry przykutemu.[1])
. . . . . .
.... „takie dla śmiertelnych wymyśliłem sztuki,
A sam teraz, gdy o mnie chodzi, nie postrzegam
Sposobu, by się z nędzy wydobyć....[2])

Czy to los jego ostateczny, skończony?

Nie. To tylko przełom. Bolesny, dłużący się, uciążliwy— a po nim nowa losu odmiana. Nie wolność, nie niewola, nie wyzwolenie własną mocą dokonane. Przyjdzie Herakles oswobodziciel. Przyjdzie siła, co rozerwie okowy. Ale Prometej zejdzie z gór z głową pochyloną w rezygnacyi. Na jego ręku pozostaną ślady niewoli, palec ujęty w żelazny pierścień z granitem przypominać mu będzie jego wieczyste poddaństwo.

„... Bólem i bezlikiem cierpień
Złamany, z tych nareszcie więzów będę zwolon.“[3])

Siła i inteligencya — a ponad niemi fatum i odwet, „Mojr trójca i Erynie niezabyte,“ podtrzymywały w greckiej myśli zręby budowy świata. Po jej gzymsach zawrotnych błądził człowiek, oparty w sobie na tych samych podstawach, poddany prawom tym samym. Tęsknocie do innych uzasadnień niedowierzał, i czynił ją twórczynią świata złudzeń, doskonałego imperyum Apolla. Do stylu przyrody Grek dodawał styl własny.

Jakoż w istocie Apollo coraz bardziej przesłania Prometeusza, mimo że tytan w stosunku swoim do człowieka przerastał Olimp cały, był jedynym ogólnoludzkim bohaterem. Ale ręce je-

[1]) J. w.: str. 213.
[2]) J. w.: str. 220.
[3]) J. w.: str. 221.

go ze śladem oków niewiele już miały do dania; on sam stracił wiarę w siebie, jakże miał ją budzić u innych. Szczodrzej obdarowywał Apollo. Prometej błąkał się pomiędzy ludźmi, podszeptując niekiedy swe myśli duchom bratnim. On to może był owym dajmonios Sokratesa, bratem stoików, doradzcą Temistoklesa, jego to smutna duma przemówiła w dewizie, jaką Arystoteles położył na swych dziełach: „one są ogłoszone i nie są ogłoszone.“

Spadek jego pracy ducha nie stwarzał wolności, ale dawał niezależność. Niezależność, to wolność bierna, to niezłomność ducha wobec siły losu. Prometeizm opierał człowieka o siebie samego, o własną indywidualność. *On ją stwarzał.* Była to wolność smutna i wiedza takaż sama; jednakowoż szlachetna nieskończenie.

Tak rozstrzyga człowiek zachodni, aryjczyk, zagadnienie losu.

III.

W Improwizacyi podejmuje poeta polski to samo pytanie z chwilą, gdy nadludzkie cierpienie uczyniło duszę jego do tych zagadnień dojrzałą. Są to zagadnienia podstawowe, elementarne; takie lub inne ich postawienie tworzy styl człowieka zasadniczy. Cierpienie niezawinione jest bowiem tylko formą rudymentarną pytania o wartości życia i ofiary, a od rozstrzygnięcia tych dwóch pytań zależy główny kształt i kierunek kultury.

Podobny moment zapytań przychodzi na Mickiewicza w zwykłym, ludzkim rzeczy porządku. Po raz pierwszy sfinks ten zajrzał mu w oczy w Wilnie, w czasach, w których akcya Dziadów rozgrywa się; nie bez powodu do tych nocy bazyliańskich doczepiono Improwizacyę. Burza rozpaliła się, odeszła—ale pęknięcie w duszy pozostało. Z głębi jego wynurzył się wkrótce potem ciemny bohater Wallenrod.

Że jednak przejścia powyższe nie wywołały zupełnego rozdarcia, tłómaczy się to mocą intuitywnych przeświadczeń, w krwi płynących instynktów poety. Elementy jego natury broniły go. Był człowiekiem wiary. Sama istota jego czucia miała w sobie skrzydła bezmiaru i z nieomylnym instynktem podszeptywała mu widzenia natchnione.

Uczucie to nie jest u niego wyrozumowane ani wypotrzebowane.

Jest raczej chłopskie. W kilkadziesiąt lat później będzie on zapewniał Towiańczyków, że do takiej wiary, jaką ma chłop

polski, daleko im, bo też „taką wiarę może mieć tylko syn, co na piersiach Ojca spoczywa.“

Dla autora Ody duch świata mieszka w ludziach, nikt mu się nie odejmie. Wierzy on w prawo ofiary bez zdawania sobie sprawy, inaczej mówiąc kocha je. Nie dochodzi dlaczego, nie prawuje się. Takiem jest naturalne ciążenie jego myśli, do tego zmierza jego instynkt pierworodny.

Stąd jego poezya bohaterstwa.

Słowacki w tym samym wieku opiewa awanturników, siłaczy uczuć indywidualnych. U Mickiewicza związek jego duszy z Ogółem—co stanowi *religii* jego istotę—nigdy nie bywa zupełnie przecięty. W jednym Farysie wybucha w nim żywioł siły radosnej a bezcelowej, zjawia się boskie wystarczanie sobie bez wieczystego misereor turbae. Jest to moment, próba siły, jakby pieśń przed bitwą.

Inaczej jednak przedstawi się ten stan młodzieńczej równowagi, gdy nadejdzie ciężka próba życia, gdy się zjawi twarde w duszy pytanie, jak przeprowadzić prawo ofiary po przez horyzont pełnoletności ducha, o co oprzeć etykę ofiary, jak rozwiązać antagonizm między indywidualizmem a uniwersalizmem w człowieku, czem uzasadnić zawierzenie szlachetniejszym w życiu instynktom.

Przypatrzmy się temu procesowi.

Pierwszy ślad doznanego wstrząśnienia odciska się w wierszu p. t. „Żeglarz,“ pisanym ze śmiertelną, samotną powagą, jaką się w utworach poety spotyka tu po raz pierwszy. Przez formę chropawą, na pół szkolną, przebija się ciężki trud człowieka, który przeżył rozpaczliwy zawód po raz pierwszy i teraz, po rozbiciu, czyni swój nowy bilans życiowy, hamletowskie być albo niebyć.

O morze zjawisk! Skąd ta noc i słota!
Była jutrznia i cisza, gdym był blizki brzegu,
Dziś jakie fale, jaki wicher miota,
Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu,
A więc—porzucić korab żywota...?
. . . . . .

Bo komu Piękność raz w życiu odsłoniła swe oblicze—i odeszła,

Ach, jakaż później czczość w obszarach świata
Już niedość krzepią i cnoty słodycze.
. . . . . .

Zawód tak trudny! Zakończyć tak snadnie!
Nie będziem dłużej ćmieni, więcej kołatani,
Lecz wszystko z nami w tych falach przepadnie —?
. . . . . .
Co żyje, niknie, tak na mnie świat woła,
Za cóż głos ten wewnętrznej wiary nie wyziębi,
Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła
I raz rzucona krąży po niezmiernej głębi,
Póki czas wieczne toczyć będzie koła?

Odtąd ta sprawa zasadnicza zagarnia i pochłania stopniowo jego duszę. Cały trud jego życia dąży do stworzenia affirmatywu. Ma on w sobie żywiołową niechęć do niebytu i wszystkiego tego, co wiedzie doń. Żywi obawę o człowieka, właściwą naturom odkupującym; ma zarazem obawę o naród.

Dwa te stany stają się w nim tak dominujące, że całe chóry duszy żywej, którą żyje człowiek jemu współczesny, nie przychodzą w nim wcale do głosu. Byron tworzy Don Juana, Shelley wprowadza żywioły kosmiczne, Puszkin pisze Onegina, Krasiński Nieboską, Słowacki rzuca całe gamy uczuć i postaci; Mickiewicz zapatrzony w swój cel, zawsze szukać będzie typowego wyrazu dla uczuć typowych, zawsze ramionami tyrana podtrzymywać budowę żywota.

Wkrótce potem spada nań proces polityczny za należenie do stowarzyszenia filaretów, a z nim nowy życia horyzont, „nowy widok świata i ludzi.“ Przechodzi przez niezawinione cierpienia, jest wygnany z ziemi rodzinnej na zawsze, otoczony na każdym kroku ciemnem podejrzeniem, ma zwichnięty zwykły bieg życia, patrzy na ruinę najlepszych sił polskiej młodzieży, najczystszych jej usiłowań. Ulega prześladowaniu dlatego tylko, że jest Polakiem. W liście do generała żandarmeryi A. Benkendorfa, ogłoszonym po raz pierwszy w miesięczniku rosyjskim *Byłoje* z kwietnia b. r., stwierdza Mickiewicz dobitnie, że sama komisya śledcza znalazła w ich stowarzyszeniu studenckiem „jedną tylko winę — *miłość narodu*, nie mówiąc zgoła, jak i dlaczego jest ona zakazaną.“

Nie cierpi tu młody poeta za naród ani z narodem; cierpi tylko dlatego, że należy do danego narodu. Jest to najzjadliwsza forma bólu. Tu, w nocach więziennych, pod wpływem doznanych obrzydzeń, które pozostają odtąd we wzgardliwych cieniach jego ust, budzi się w nim po raz pierwszy gniew serca, świta myśl szlachetnego buntu przeciw takiemu porządkowi rzeczy. Improwizacya nietylko w technice Dziadów wywodzi stąd swój rodo-

wód. Nie miała tu ona jeszcze tej siły indywidualnej i tych do rządu dusz uroszczeń, one zjawiły się później, w miarę rosnącej świadomości o własnej potędze; ale już w niej był ów „gniew nadprzyrodzony," o którym mówi gdzieś Norwid, że:

Gołębia kształt ma, żądło ma mistyczne,
Gdy serce dłużej cierpiąc, już byłoby
Nie sercem, ale podłości organem.

To, co przeżył tu, poszło z nim w dalszą wędrówkę. Nie był on z rasy ludzi rezygnujących, gdzie chodziło o jego święte ukochania. Walczył z losem, nie był skłonny do passywnego bohaterstwa Anhellich.

„Zemsta!...
Z Bogiem... a choćby mimo Boga!"

Tak powstaje Konrad Wallenrod, o którym tyle rozpraw napisano, dochodząc prawdziwej myśli Mickiewicza, a który jest tylko jego najgłębszym smutkiem i niewolą, jego sybirskim etapem w drodze do królewskiej, niepokalanej ofiary. Zawsze czujna myśl jego pali się jednak zamgloną gwiazdą i nad tym ciemnym rycerzem, tworząc kontrast światłocienia o niezmierzonej melancholii.

Jest to jego pierwsza próba rozwiązania zagadnień narodu— bez narodu. Mickiewicz stawiał je tu jako zagadnienie osobiste i tak też je rozwiązywał. Znał siebie i wierzył w siebie; narodu nie znał i wiarą objąć nie umiał. Wiara ta była już w narodzie żywą, tworzącą i działającą, ale nieujętą dotąd w jedną myśl przewodnią, a przeto pozbawioną kierownictwa. Wymagała pracy, zjednoczenia. Mickiewicz czuł to — wiednie czy bezwiednie, odpowiedzieć trudno—i myśl tę organizującą zastąpić chciał w Wallenrodzie przez indywidualność naczelną.

W Improwizacyi czyni on krok naprzód, ale w tym samym kierunku, domaga się rządu dusz, moralnego autorytetu, któryby również zamiast idei narodowej stworzył naczelną dyktaturę uczucia. W ten sposób, dążąc ciągle do uproszczenia sfinksowego zadania, którego rozwiązanie ciąży jego duszy, przekonywuje się z czasem, że trud ten wzrasta, obejść się nie da, dokonany być musi.

*

* *

Każdy prawie utwór Mickiewicza jest drogą do czynu, do zasadniczego czynu życia, którego ten człowiek poszukuje; każdy z nich stanowi czyn jego wewnętrzny, który za pomocą słowa sam się w sobie zbiera, sposobi i przychodzi do poznania siebie. Są to czyny jego artystyczne. Przez nie rozwija Mickiewicz coraz czyściej i doskonalej pojęcie czynu wolnego. Następują też one po sobie z konsekwencyą stałą, a wszystkie zmierzają do wyjścia po za słowo, po za granice czynu widzianego, lecz niespełnionego, wszystkie stanowią jedno introibo do głównego czynu odkupienia.

Jako natura etyczna dąży autor Dziadów do działania żywem słowem i czynem wpośród ludzi żywych, czuje zawsze pewną nieufność do swoich utworów, do książek wogóle. Zarazem jednak smutek ludzi etycznych towarzyszy mu długo, schodzi na dno jego duszy. Jestto nieubłagany smutek ludzi postawionych między Apollinem a czarą świętego Graala.

Mickiewicz, w miarę jak odchodził od Apolla, czuł, że czyn moralny, że działanie żywiące nie zdoła ugasić w nim ognia twórczego, ani go wyczerpać na swoim planie utylitarnym. Sztuka dawała mu przynajmniej fikcyę wolności, w niej i przez nią mógł być szczery, mógł realizować najwyższe swoje uczucia. Autor Ody dążył jednak do opanowania rzeczywistości, do czynu. Czyn ten atoli, jeśli zostać miał w zgodzie ze światem, z którego biegiem i budową tak trudno było pogodzić się poecie, czyn taki spokojnie pożyteczny krępował tysiącem względów tego, co go tworzył, nie oddawał najlepszych jego intencyj, nie obejmował całkowitej prawdy jego duszy; bo gdyby objął ją, gdyby z całą jej siłą przemówił, stałby się czynem rewolucyjnym zarazem. Zawsze w przeciętnej etyce dobrego uczynku jest część rezygnacyi z naszego istotnego sumienia, a tem samem część niewoli. Stąd smutek ludzi etycznych jest bezradością rezygnacyi.

Z tych to powodów sztuka jest tak radosną ulgą człowiekowi. Przez nią duch zażywa we śnie wolności, jakiej w życiu zdobyć nie miał sił.

Grecya uznała ten to czyn artystyczny za jedynie wolny, za metafizyczny. Mickiewicz należy do ludzi, którzy wierzą jednak w najwyższą potęgę woli, we wszechmoc czynu wolnego, z którego wysnuwa się postęp, wyłania królestwo boże.

Należy tu nam zwrócić baczniejszą uwagę na naturę tego czynu wolnego, nazwanego przez nas metafizycznym, to znaczy wychodzącego po za normy zwykłego działania.

W każdym czynie naszym odnaleźć możemy przeważny procent elementów przymusowych, tudzież pewną domieszkę woli twórczej. Przymusowość ta wynika z praw natury, którym jesteśmy poddani, z instynktów, nałogów i obciążeń dziedzicznych, z obyczajów i norm kulturalnych w czuciu i myśleniu wprowadzonych. Jak z tego widzimy, to, co nazywamy bezwolnością naszego działania, jest tem samem mieszaniną rzeczy niewolnych z elementami, które ongi wynikły z indywidualnej woli twórczej, później jednak stały się czucia i myślenia naszego przymusowością. Do ostatnich policzymy np. pewne pojęcia kulturalne i konwenansowe.

Im większą jest przewaga tych to żywiołów i pobudek przymusowych, tem mniejszym będzie udział woli twórczej w działaniu, tem bardziej niewolnym będzie czyn.

Mickiewicz czuł to wyraźnie, że wola jest największem misteryum świata, a czyn wolny, z ducha dobyty, niezmącony przymusem, największą świata potęgą.

Dopóki też autor Dziadów zatrzymuje się przy czynie niezupełnym, póty jest zrezygnowanym. Twórczość jednak jego artystyczna jest dowodem, jak zawsze poszukuje on tego działania, któreby stało na wysokości jego siły twórczej.

Improwizacya jest właśnie tym jego czynem artystycznym, w którym wyraża się moment najwyższego poszukiwania czynu wolnego, metafizycznego.

Tym czynem jest dla Mickiewicza „rząd dusz“—inaczej mówiąc mesyanizm. Nie w samej wprawdzie Improwizacyi, ale przez nią, przez jej konsekwencye dochodzi on do natury czynu odkupującego, mesyanicznego. „Rząd dusz“ jest ostatnim stopniem doń.

Utarło się, upowszechniło mniemanie, że mesyanizm jest w życiu Mickiewicza rzeczą przypadkową, zapożyczoną z zewnątrz, a będącą czemś w rodzaju deski ratunkowej wynalezionej w momencie rozpaczy. Tymczasem sama mesyanizmu Mickiewiczowskiego istota wybucha już w Improwizacyi, jako natury jego element naczelny.

Natura jego etyczna, dążąca do absolutu, do życia w bezmiarze wolności, dojść musiała w poszukiwaniu czynu metafizycznego do mesyanizmu.

Pierwszy jego akt, akt wewnętrzny, polega bowiem na oswobodzeniu siebie, na wyjściu po za przypadkowość i czasowość swej natury, na dojściu do sił absolutnie wolnych i twórczych. Wiedzie ku temu droga pożegnań, samotności, wysiłku, ciągła praca przemiany, tęsknota poszukiwania, niezatrzymana pielgrzym-

ka, gorzki napój łez, jadowite momenty znużenia, zapadanie się całego świata pod stopami; a wpośród nich godziny wielkich jasnowidzeń.

Na tej zaś wysokości, jaką daje wyzwolenie własne, przychodzi zarazem umiłowanie w sobie zbiorowego człowieczeństwa i nieodparta świadomość zbiorowej odpowiedzialności.

Tak to poczucie wolności twórczej prowadzi do czynu ofiary, oswobodzenie własne przechodzi w dzieło oswobodzenia człowieka. Jest to czynu tego prawo rozwoju.

Akt ten drugi, czyn odkupienia, nazywamy mesyanizmem. Dążyć on musi do „rządu dusz“ według praw swej natury przewodniej.

W kursach literatur słowiańskich daje Mickiewicz określenie mesyanizmu następujące:

Różnica—mówi on—jaka zachodzi między ludźmi, zależy od różnego stopnia rozwinięcia ich ducha. Duch więcej rozwinięty ma naturalne posłannictwo prowadzić ludzi w tej mierze niższych. Jest to główny dogmat mesyanizmu. Duch, który pracuje, który się podnosi, który bezustanku szuka bóstwa, otrzymuje przez to samo światło wyższe, zwane słowem, i staje się objawicielem (T. III, l. 2).

Tak przeto rozpęd Improwizacyi nie zjawia się, jako rzecz przypadkowa, pobudzona lekturą tego lub innego poematu, ale jest przejściem koniecznem, przełomowem, stanowi organiczny moment życia poety.

> Nigdym nie czuł, jak w tej chwili,
> Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili —
> . . . . . .
> Dziś jest *chwila przeznaczona.*

Moment ten, położony między aktem dojścia do potęgi a działaniem, bywa jednak zarazem godziną tak zwanych *pokuszeń.*

IV.

Na czem polega natura pokuszenia?

Geniusz ludzki może być albo wyzwolony albo wyzwalający. Pierwszy przechodzi świat w twórczym spokoju i pewnej, biernej jakby przymusowości. Czystość i pogoda towarzyszą mu zawsze,

okolony snem swego bytu ulata tam, dokąd go niosą niezmącone lotki jego skrzydeł.

Takim bywa kobiecy geniusz uczucia. Nie staje się on takim, nie rozwija; on nim jest. AVE MARIA, GRATIÆ PLENA. Jest to stan Łaski. Siła obniżająca niema tu przystępu. Z podobnym spokojem tworzy Giotto, Rafael, Mozart.

Inaczej geniusz wyzwalający. Ten zda się piastować w sobie pełnię ludzkiej natury z jej bezmiarem możliwości, wszystkie jej upragnienia, wszystkie jej poszepty, zapamiętania, natchnienia i skruchy, począwszy od zbrodni do świętości; a ponad tą duszą żywiołową unosi się duch czysty, sędzia i ochroniciel, który ją przenika i w ogniu swym przetapia jak piorun. Igne me examinasti—głosi jeden z napisów we florentyńskiem San Marco.

Stąd istoty tego pochodzenia mają w sobie poczucie win całego świata, choćby same zostały bez winy. Bez podobnego poczucia nie dążyłyby do odkupienia. W tem leży misteryum ich natury.

Najgłówniejsza i najkrwawsza ich praca toczy się w samotnem z sobą obcowaniu, przez błyskanie wewnętrzne sił uwikłanych w ciemności, przez tęsknoty i omdlenia niewypowiedzialne, przez mocowania z wielmożnym olbrzymem niewoli. Późniejsze lata działań i nauki, to tylko jedna opowieść o znalezieniu swej drogi królewskiej.

Na tej drodze wracają oni do swej treści absolutnej i zupełnej, nieprzemijającej, w której tkwią wszystkie indywidualności. Tem samem droga do ich wolności prowadzi przez pokonanie empiryi, która dzieli jaźń jedną od drugiej i służy do nieporozumień. Ludzie ci czują dobrze, że cała ich treść jest od empiryi zgoła niezależna; świadomość faktów zewnętrznych, świadomość własnego ciała i środowiska jest dla nich świadomością formalną.

Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra —
Potrzeba mi lotu,
Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,
Tam dojdę, *gdzie graniczą stwórca i natura.*

Jedyna ich pewność realna, to świadomość czuciowych przeświadczeń. Prawda teoretyczno-poznawcza, zgodność naszych wyobrażeń z faktami, schodzi w tym stanie ducha na stopień prawdy formalnej. Prawdą żywą staje się tylko przeżycie, pozadoświadczalne wyczucie, które się w samym fakcie życia objawia. Prawda zatem jest nieskończoną i objawiającą się, jak nieskończonem i objawiającem się jest życie.

Gdyby było możliwe porozumiewanie się ludzi po za empiryą, bezpośredniem pozamyślowem wyczuciem, w takim razie, rzecz prosta, przekazywanie własnego spojrzenia w głąb bytu nie napotykałoby na trudności przekonywania. Starczyłoby jedno tchnienie, jeden potężny akt woli. Rząd dusz należałby do najsilniejszego, a działanie jego byłoby równie nieodparte i natychmiastowe, jak działanie sił grawitacyjnych.

Człowiek jednak jest zlepkiem różnorodnych energij, które go odgraniczają i skazują na duchową samotność. Treść jego własna zamknięta jest w okolach fenomenów intellektualnych, instynktowych i materyalnych, skąd wydobywać się może na zewnątrz tylko w formie symbolów.

Symbolami temi są słowa, dźwięki, kolory, kształty, gesty; mosty łącz ponad przepaściami dusz.

Konrad w Improwizacyi skarży się głęboko na tenże ucisk indywidualnej samotności.

> Gdzie człowiek, co z mej piersi całą treść wysłucha,
> Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha —
>
> Nieszczęsnym ten, kto tworzy tylko dla człowieka.
>
> Język kłamie głosowi a głos myślom kłamie;
> Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,
> A słowa myśl pochłoną i tak drżą nad myślą,
> Jak ziemia nad połkniętą niewidzialną rzeką.
> Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieką,
> Gdzie pędzi, czy się domyślą?

I myśl jednak stanowi blady ledwo symbol uczucia. Doskonałe to narzędzie rozumu, zdolne jest dać w rękę człowieka potęgę, do jakiej rozum doprowadzić może, a więc opanowanie natury, organizacyę fizycznej przewagi, zawładnięcie światem empirycznym („Myślom oddałeś świata użycie“). Uczucie jednak myślą i słowem potęgi swojej wyzwolić niezdoła.

I tu powstaje w duszy Konrada zapytanie będące w związku z naturą pokuszenia; zapytanie co do dróg i sposobów oddziaływania na ludzi.

Największą z tajemnic życia jest wola. Z niej płyną wszystkie fenomeny świata, ona świat ten i całość objawów jego z siebie snowa, na sobie nosi i przywraca do swojej jedności; w niej znosi się dualizm siły i materyi, jak również antagonizm wolności i konieczności, praw natury i twórczej swobody. Wytwarza się dziś wpośród przyrodników przekonanie, że w gruncie rzeczy niema praw natury, są tylko jej ustalone sposoby działania, zwyczajowe prawa charakteru.

Stąd wola skupiona i świadoma siebie jest najwyższem i najsilniejszem prawem natury. W niej leżą uśpione prawa nowe i światy nowe, ona ma moc zatrzymywać czy odginać prawa istniejące.

Mickiewiczowi zjawy te obce nie były, doświadczył ich zapewne osobiście, czy w drodze samopoczucia, czy także eksperymentalnie, odpowiedzieć trudno. Jeżeli jednak w Improwizacyi mówi on wyraźnie o „władzy nad przyrodzeniem," to nie mówi tego ani lekkomyślnie, ani dla fikcyi poetyckiej. W logicznym związku jego przeświadczeń jest ta władza, to poczucie potęgi własnej woli, naturalnym i nieodzownym ogniwem. Bez tego poczucia władzy w momentach wyjątkowych i bez jej sposobu działania nie byłby on doszedł do postulatu rządu dusz, jaki stawia w Improwizacyi.

W chwilach mej siły — wysoko
Kiedy na chmur spojrzę szlaki
I wędrowne słyszę ptaki
Żeglujące na ledwo dostrzeżonem skrzydle —
Zechcę — i wnet je okiem zatrzymam jak w sidle;
Stado pieśń żałosną dzwoni
Lecz póki ich nie puszczę, twój wiatr ich nie zgoni.
. . . . . .
. . . . . .
Czuję w sobie, że gdybym mą wolę
Ścisnął, natężył i razem wyświecił
Możebym sto gwiazd zgasił i drugie sto wzniecił.

Oddziaływanie natomiast człowieka na człowieka, woli świadomej na wolę świadomą, odbywa się wśród warunków innych, inne też przybierać musi formy.

Może ono zachodzić:

— albo na drodze przymusu fizycznego,
— albo na drodze myślowej, intellektualnej,
— albo na tle artystycznem,
— albo wreszcie na zasadzie etycznego, osobistego działania.

Sposoby te winny być w zgodzie z planem, na którym działać im przypadło. Dyktatura Cezara czy Napoleona, gest legislatywnego przymusu, będzie w odpowiedniej harmonii z ideą fizycznego, administracyjnego porządku. Tenże sam środek zastosowany do celów etycznego odrodzenia, stworzyć może coprawda czyn uniwersalny, skrzywi jednak jego naturę wolną.

I droga opracowań myślowych nie jest zdolną wytrzymać naporu sił twórczych i gwałtownych poruszeń wolnego ducha. Czy możemy ciemnemu od urodzenia odtworzyć naturę koloru zapomocą wyjaśnienia jego fizycznej natury lub najsubtelniejszych przenośni? Czy nie tak jest w istocie, że zrozumieć możemy tylko to, co możemy wyczuć? Czyż nawet sposób zrozumienia przyrody nie jest taki sam, jak sposób zrozumienia człowieka?

Natura myśli nie jest zdolną objąć ludzkiej natury. Po za jego siłą intellektu istnieją w nim wyższe stany przeżycia, dalekie wyżyny pozamyślowe, nieujęte językiem jej, niepochwycone jej logiką. Tam się rodzi wola czynu odkupującego, i niesie z sobą bezsłowny huragan wolności.

Praca myśli zdolna jest dać w ręce człowieka władzę nad przyrodą, tudzież władzę historyczną, wyczerpać zatem jego czyn fizyczny. Prowadzi również do zwalania przesądów, do oparcia życia na hierarchii siły realnej. W zakresie jednak czynu metafizycznego potęga jej ma znaczenie czysto pomocnicze.

A jeżeli chodzi o określenie czynu metafizycznego, niech nam będzie wolno zwrócić uwagę na notatkę u jednego z ewangielistów, że na kilka godzin przed uwięzieniem Jezusa *przyszli Grecy do Jeruzalem pytając o niego*. Jezus usłyszawszy to zawołał: „Przyszła godzina...“ — i w tejże chwili zdecydował się na śmierć. Nastąpiła ona nazajutrz. (Joannes XII, 27).

V.

Konrad wie, że ma w sobie siłę, która go stawia po nad naturą, daje mu ojcowstwo duchowe w narodzie, że żywi w sobie uczucie, co się samo w sobie chowa jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa; czuje on również, że natura prawdy w nim żywiącej wychodzi po za zakres myślowego i artystycznego działania. Tą jego prawdą jest czyn metafizyczny odkupienia narodu, powrócenia mu jego duchowej wolności.

Ludzie jednak ani prawdy jego przyjąć, ani władzy uznać nie są skłonni.

Tylko ludzie
Nie służą mi, nie znają —
Ja na nich szukam sposobu...

Sposób to prosty i doraźny:

Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem
Chcę wywrzeć na ludzkie dusze;
Jak ptaki i jak gwiazdy rządzą nam skinieniem
Tak bliźnich rozrządzać muszę.

I tu odrzuca on stopniowo środki działania wyżej wymienione:

Nie bronią —
Nie pieśniami —
Nie nauką —
Nie cudami - -

Odrzuca również drogę cudu, władzy magów. Jego serce pożąda czynu natychmiastowego, szuka zbawienia dla umiłowanej rzeszy.

Nazywam się Milion — bo za miliony
Kocham —
— cierpię, szaleję —

Naród stanął nad przepaścią, złowrogie fatum zagraża mu.

. . . . . objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia
. . . . . .
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić
Chcę nim cały świat zadziwić!

Prawdziwa miłość jego jest dumną z przedmiotu swego ukochania a zarazem tak pełną, że niema w niej miejsca na nienawiść. Konrad zapomina o wrogach swego ludu, nie wzywa już ani zemsty, jak dawniej, ani nie pobudza Boga do niej.

Wybiera natomiast drogę, na której następuje pierwszy moment jego załamania, — drogę tajemniczego despotyzmu uczuć. Upojony mocą twórczą, a razem prawie szalejący pod wpływem bólu jeremiaszowego, rzucany z jednej ostateczności w drugą, niezdolny już do opanowania, raczej pchnięty rozpędem nagromadzonych elementów uczucia, oddaje on serce swoje pod przewagę

despotycznego porywu, gubi szacunek dla wolnej woli człowieka, sięga po tajny rząd dusz przez masową hipnozę woli.

Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie
zawsze — tajemnie:
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tem się uszczęśliwią,
A jeżeli się sprzeciwią
Niechaj cierpią i przepadną.

Jest to prawdziwa tragedya Króla-Ducha rasy. Co u Słowackiego było widzeniem, to u Mickiewicza staje się. Improwizacya uważana być może za jeden z nienapisanych ostatnich rapsodów Juliuszowej epopei.

W naturze Mickiewicza tkwił niezaprzeczony i niezwalczony nigdy w zupełności instynkt królewskiego despotyzmu. Kiedy w szerokich dalekoplanowych pomysłach do Króla-Ducha, duch Jagiełły przechodzi w Mickiewicza, (na którym opis ten opiera się jako na jednej z kolumn żywota), Słowacki nazywa go wówczas „duchem straszliwym“ i naturę jego porównuje do piorunu.[1]) „Adam jest straszny!“—pisze w swym pamiętniku pod rokiem 1850 nieskłonny do lęku S. Goszczyński.

Był to wprawdzie despotyzm uczuć, w istocie swojej jednak miał on tę samą cechę uzurpacyi tronu duchowej władzy nad narodem. Mickiewicz pokonywał i tępił go w sobie, — ale jeszcze

[1]) Juliusz Słowacki: Zawisza Czarny. Warszawa, 1906, str. 15 — 16.

Chorus: Z temi trąb cudownemi głosami odchodzi
I znika nam na zawsze z oczu król Jagiello...
Aż się z piany Niemnowej Afrodę urodzi
I rozpocznie piękności tajemnicze dzieło
Aż się indyjskie kwiaty na sosnach pokażą
Aż dawna prawda spojrzy księżycową twarzą.
. . . . . .
. . . . . .
Od straszliwego ducha odwracajmy oczy
Prędzej go zobaczymy, niżbyśmy żądali,
Bo jako piorun nagle z pod ziemi wyskoczy,
Jak kądziel się na wietrze wypadków zapali
I z ramami polskiemi starą pierś pokaże
I otoczą go wkoło litewscy guślarze.“

Wezbrana fala tego polskiego wszechpoematu miała zabrać ze sobą i duszę Mickiewicza z całą jej twórczością.

w kilkanaście lat później spotykamy w jego listach do Towiańskiego następujące bolesne wyznanie:

„Doszło było do tego (w posiedzeniach Koła), że wyzywający (do podniesienia ducha) podobni się stali do słabnących tyranów, którzy tylko w krwawej kąpieli ciepło znajdują. Brano kąpiel z ducha bratniego! ...Wydobywaliśmy życie sztuczne: kazaliśmy braciom robić ruchy, często ze stanem ich wewnętrznym niezgodne; odejmowaliśmy braciom ostatnią już wolność, szanowaną przez wszystkie tyranie, wolność milczenia.“

Nie mamy tu, jak widzimy, do czynienia z fikcyą artystyczną, lecz z krwawym pokutniczym osądem. Tej samej natury jest powyższy ustęp z Improwizacyi.

I ta żywiołowość w działaniu, ta wola do potęgi, ulega obecnie w Konradzie załamaniu w momencie najwyższego napięcia swych władz. Stanąwszy nad lucyferyczną otchłanią indywidualizmu, gdy już tylko jeden krok dzieli go od rzucenia się w odmęt na zawsze i nieodwołalnie, ulega on nagle uderzeniu przez głębokie poczucie winy. Jest to moment, błysk zaledwie,—ale w tym błysku postrzega Konrad daleki horyzont Monsalwatu—i zapadającą się przed nim drogę, którą iść był powinien.

Człowiek, który przestaje rozwijać się w zgodzie ze sobą całym, powraca do swego rozwoju przez poczucie winy.

Z największem poczuciem potęgi zeszła się w tej chwili przełomowej największa świadomość winy. Z ich starcia wyrósł nowy stan duchowy Mickiewicza, nowa uzyskana równowaga.

Na czem polegała jej istota?

*

* *

Aż dotąd, do Improwizacyi, szedł jej autor rozpędem żywiołowym indywidualizmu, podniesionego do wysokości *bohaterstwa*. Jak każdy żywioł w tej potędze, nie zna on prawie idei, nie przez nią tworzy, nie dla niej czuje się bohaterem. W stosunku do idei ojczyzny, nie on od niej, lecz raczej ona od niego staje się zależną (Walenrod); nie pochłania go ona w znaczeniu społecznem, staje się jedynie sposobnością do wybuchu gwałtownych namiętności jego duszy, kiedy ta w swobodzie swej doznała z powodów politycznych bolesnego ograniczenia.

Naczelną jednak władzą duszy w tym czasie (1825 — 1829) staje się u niego namiętność wielkiego przeżycia, bezmiaru boski szał, któremu całe powietrze w Arabistanie starczy ledwo na jedno odetchnięcie. I przychodzą nań okresy, kiedy ta siła wyrywa się zeń samorzutnie, bez rozmysłu, bez planu, bez przynależności do jednej zasady wspólnej, bez celu, bez idei działania.

Taka jest natura Farysa.

Taka jest natura samego bohaterstwa. Hannibal, Mitrydates działają pod wpływem jednej wielkiej namiętności, Aleksander W. zna tylko jedną własną gwiazdę, Napoleon również.

Dla takiej natury nie istnieje dobro i zło, nie istnieją pojęcia ludzkie, nie istnieje nawet człowiek; jest w niej tylko rozpęd wyjścia po za człowieka, po za to, co człowiek może. Instynkt taki nie cofnie się wskutek tego przed czynem zbrodniczym nawet, byle wielkim; odrzuci natomiast rzecz niską, brudną, podłącą. Dla bohatera nie egzystuje dobro i zło, powtarzamy, lecz jedynie wielkość i płaskość. I w tem leży sprzeczność między bohaterstwem a etyką chrześcijańską. Dusza heroiczna inne ma nakazy kategoryczne, inny kanon swego sumienia, kanon wspólny wszystkim ludziom tej miary. Etyka jej, to wola do potęgi, uderzająca jak piorun, wola bez kresu, bez szczytu, upojona własną mocą, zahypnotyzowana własną możliwością.

Stąd mogła się ona rozwinąć w czasach antycznych — i nowożytnych. Rycerz średniowieczny walczy natomiast za ideę wiary i podlega mnichowi, jak bojownik indyjski.

Nadchodzi czas, kiedy w Mickiewiczu budzi się w całej pełni bezwzględny żywioł heroizmu, odrzuca wszelkie oparcie, pragnie istnieć sam dla siebie, wbrew nadziei, mimo rozpaczy. Wie on, że wola bohaterska wywołuje przyrost życia, z ludzi szarych tworzy olbrzymów chwili, dobywa z nich siły nieskończone. Z tego poczucia własnej potęgi chce on uczynić dogmat naczelny życia i twórczości. Przez Walenroda, przez Farysa dochodzi on w ten sposób do momentu samoubóstwienia w Improwizacyi, rozkoszuje się własnem mistrzowstwem, wyciąga dłonie między gwiazdy, nieśmiertelność czuje, nieśmiertelność tworzy, rzuca pod nogi wszystkich poetów i proroków świata, w potędze twórczej czuje się Bogu równorzędnym, pragnie dzielić z nim panowanie.

Człowiekiem gardzi („Gardziłem ludźmi, nie znałem aniołów“) — i kocha go. Gardzi, jako człowiekiem słabym („ludzie— skazitelni, marni“); kocha jako możliwość do potęgi („chcę nim cały świat zadziwić“). Wie on, że wola wielka twórczą jest nawet wtedy, kiedy gardzi.

Ale Konrad i kocha człowieka, a to uczucie jest w nim źródłem nowych upragnień.

Z nich rodzi się Mickiewiczowski *mesyanizm*.

Jest to uczucie wychodzące po za heroizm, po za Farysa — Wallenroda — Konrada — po za siebie wreszcie, — jest to wiara w uczucie odkupujące, a więc nietylko wybawiające, w uczucie, które łączy w sobie czystość i heroizm, i stąd ma moc przewodniczenia. Człowiek niem uposażony, będzie bez win, wypróbowany, aniołom oddany pod straż, zbrojny w miłość i potęgę.

On pokaże drogę, natchnienie, obudzi, ubogaci.

On się nie zabłąka na drodze ofiary, bo jego heroizm wolnym będzie od miłości własnej. Będzie on posiadał potęgę, nie dbając prawie o nią; raczej powiedzieć można, że potęga będzie miała jego w posiadaniu.

Nie znajdzie on w sobie pogardy, bo wszystkich umiłuje, wszystko wyrozumie.

Walczyć będzie tylko ze złem, podbijając sumienia, pokonywując piorunami mocy duchowej, a gdy trzeba będzie — gromami pokory. Bo on zarazem pokornym będzie — jako syn człowieczy.

Miłość ocali go, miłość oczyści go, ona odejmie dziełom jego i uczuciom jego jakąkolwiek skazę samolubstwa. Dlatego ofiara jego będzie odkupującą. Będzie miała moc oczyszczania innych.

Człowiek taki złączy w sobie potężny indywidualizm z ideą bezosobową. A przez pokolenie, wychowane w takich uczuciach zjawi się narodowi heroizm mesyaniczny.

Samo bohaterstwo, odwaga w boju i ofiarność życia, nie zbawi nas. Da sławę, da zwycięstwa, da śmierć chlubną na polu chwały — ale nie zbuduje takiego narodu, narodu indywidualistów. Potrzeba siły wyższej, doskonalszej, potrzeba człowieka messyanicznego, potrzeba idei mesyanicznej w narodzie.

Mickiewicz potępia w sobie Konradyzm. Geniusz to narodu oczyścił go, zjawił mu się w grozie swej mocy i bólu, i rozegrał wszystkie struny jego serca. Przemówiły uczucia najczystsze, najofiarniejsze, nastąpiła ekspiacya win.

Improwizacya jest przejściem od idei bohaterstwa w poecie do mesyanizmu.

VI.

Takim jest lot zasadniczej myśli w Improwizacyi.

Należałoby teraz iść za tokiem myśli i falowaniem uczuć w samym poemacie, wyśledzić wszystkie drobne iskry, z których począć się miały przyszłe pożary, objąć okiem granice natury Słowianina, który w krwi swojej wziął dziedzictwo młodej rasy a starej kultury.

Należałoby również przeprowadzić analogię między Improwizacyą a Prometeuszem Goethego, Manfredem i Kainem Byrona, postawić granicę między tem, dokąd doszedł Mickiewicz wraz z myślą europejską, a odkąd rozpoczyna się jego nowy, twórczy element.

Pracy tej jednak wypadnie nam zaniechać, by nie zgubić w szczegółach głównej idei utworu. Ograniczymy się natomiast do kilku uwag i gloss, dotyczących tak formy, jak treści.

*

* *

Całą Improwizacyę przebiega rytm podobny do rytmu krwi. Da się ona wyraźnie podzielić na części naprzemian po sobie następujące, w których uczucie Konrada raz skupia się i zbiega w sobie coraz gwałtowniejszym malstromem — to znowu po tym okresie utajenia się i pozornego uspokojenia wybucha na zewnątrz i rozbiega, jak krew pchnięta skurczem nabrzmiałego serca.

Jest w niej cały dramat, poprzedzony wstępem, który stanowi, jakby przygotowanie się doń, próbę własnych sił i uprawnień.

Pierwsze słowa Improwizacyi są tylko odepchnięciem łodzi od brzegu. Ulga samotności, zwrot o ludziach—pozorny to i tymczasowy szept ust, gdy dusza myśli już o czem innem i słucha bijących godzin przeznaczenia.

Potem miłosne powitanie pieśni i pierwszy poryw potęgi. Na całym obszarze stworzenia—on i pieśń, którą duch jego stworzył i w niej się przegląda. Jeszcze chwila, a twórca zapamięta je się w swojem stworzeniu i cały staje się pieśnią. Wielbiąc

pieśń, wielbi własną potęgę, rozkoszuje się radością bytu i tworzenia i wzywa Boga na świadka swoich słów.

Ty Boże, ty naturo,—dajcie posłuchanie!

Już w nim dojrzewa rola wielkiego czynu, dojrzewa sama po za granicami świadomości i płynie dnem jego ducha. Istotę czynu tego znamy już. To ów czyn jego żywota, czyn metafizyczny, wolny akt wyzwolenia ludu duchem własnym.

I znów przeskakując słabe analogie literackie z Goethego i Alfreda de Vigny,[1]) zwrócimy tu uwagę na uderzające podobieństwo z improwizacyą Mojżesza, zawartą w piątej księdze jego imienia.

Oto stary wódz i prawodawca. Stanął u progu ziemi upragnionej i poczuł, że śmierć się zbliża doń. Zwołuje lud, by go pożegnać, daje mu ostatnie wskazania. I wówczas pod wpływem szalonej radości z dokonanego czynu żywota i przejęty zarazem lękiem przed czynem, który nadejść miał dla jego narodu, Mojżesz rozpoczyna pieśń mimowolną, inwokacyę do nieba i ziemi: „Słuchajcie niebiosa, a mówić będę; niech słucha i ziemia wymowy ust moich.“[2])

Tak przemawia świadomość wolnego, zbawczego czynu.

A potem—rozprężanie się w sobie bohaterskiej woli do potęgi. Duch olbrzymieje, kładzie dłonie na bezmiernych gwiazd obszarach i dobywa z nich strumienie melodyi. Miliony tonów płyną, całe niebiosa napełnione harmonią.

Po krótkim momencie ekspanzyi—moment skupienia się, powrotu w siebie. On nie ginie, nie rozpływa się w naturze. On czuje i tworzy—jest. Z góry króluje przyrodzeniu.

Sam śpiewa. Głos jego, jak wicher żałobny, wyrywa się z głębi piersi, które żal, burza uczuć, szał jakiś słoneczny rozsadza. On głos ten widzi tak, jak słyszy grę świateł i barw. Zmysły spłomienione stapiają się w nim w jedno samorodne uczucie.

Ogarnia go poczucie boskie. To już nie człowiek średniowieczny, naczynie nędzy, glina w ręku lepiarza. To Prometeusz. Jemu i Bogu jeden jest początek, ta sama siła żywi obu, obu obdarza nieśmiertelnością. Był zawsze i zawsze będzie. Ogarnia go rozkosz potęgi. Potęga ta z natury swojej dążyć musi do absolutnej wolności, wolność zaś taka jeśli bezmiłosna i o siebie

[1]) M. Kawczyński: Przyczynek do wyjaśnienia Improwizacyi Mickiewicza i trzeciej części Dziadów. Kraków, 1893.

[2]) Deuteronomium. XXII. 1. 2.

tylko oparta, dążyć musi do podbijania, do zwierzchnictwa, do absolutnego panowania; wtedy dopiero czuje się u kresu.

Więc jak uprzednio rzucił Konrad całą naturę pod swoje nogi, tak obecnie rzuca do stóp i „depce“ wszystkich tych, co ponad świat ten wyrośli. Stanąć mu trzeba na ostatnim stopniu stworzenia, być „pierwszym z ludzi i aniołów tłumu;“ będzie to dlań uprawnieniem do rozmowy z Bogiem w imieniu całego stworzenia.

I tu rozpoczyna się dramat.

Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra—
Potrzeba mi lotu!

Porywa go fala mistycznego wzlotu. Jednem pchnięciem wydobywa się z sideł czasu i przestrzeni—zatraca świadomość ciała—już ziemia i gwiazdy po za nim, jak iskry na głębinie nocy; tam staje, „gdzie graniczą Stwórca i natura.“

Już to nie człowiek. To duch uniesiony wichrem płomienistym. Jakaś wielka i wieczna pamięć rzeczy otwiera się w nim jakby dwa skrzydła czas obejmujące; a pamięć ta oprzytomnia w nim, budzi nową moc: miłość swego narodu.

Ta miłość jest w tej chwili drugiem jego uprawnieniem, z jakiem staje do wielkiej rozprawy.

Wówczas zwraca się do Boga.

Następują słowa nabrzmiałe bólem miłości, rozśpiewane do szaleństwa bezmiernem ukochaniem swego ludu. Znikł na chwilę lucyferyczny władca potęg niepodległych—przemawia wielki orędownik. Całe chóry dziejów podnoszą się i płyną przez obszar jego wzburzonego ducha, od Chrobrego piorunów do sejmu grodzieńskiego milczenia i przez chwilę obecną, jeremiaszową, aż po krańce widnokręgu czasów.

Naród cały umiłował, krew jego i prochy jego i przyszłe losy jego; pragnie go zbawić, dźwignąć, uszczęśliwić. Uszczęśliwić nie w znaczeniu maksymalnego szczęścia socyologów i ekonomistów. On pragnie widzieć ze swego ludu naród bohaterów, który odrodzi oblicze ziemi i świat napełni podziwem.

Nie mam sposobu!...
I tu przyszedłem go dociec.

Oto jego żądza serdeczna. Jeszcze chwila a rządza ta wybuchnie w słowach wyrwanych z samej głębi:

Daj mi rząd dusz!

Przemówiła wola do potęgi.

Gra tych dwóch sił, woli do potęgi i miłości do odkupienia, miota teraz jego duszą, rzuca ją raz do stóp Bóstwa, to znowu zapala buntem, zamąca władze jego świadomości i kończy się stopniową przewagą woli absolutnej. Żal przemienia się w oskarżenie, oskarżenie wyrasta w wyzwanie, a wyzew przechodzi w moment buntowniczego bluźnierstwa.

Ale ponad kołowaniem i zmaganiem się tych sił w duszy Konrada istnieje w nim wyższa władza ducha, czujna, samotna i osądzająca, która od pierwszej chwili buntu, gdy ku Konradowi zbliżają się wizye ciemnych i jasnych sił, skomunikowanych z jego duszą, słyszy i widzi wszystko, obejmuje okiem sytuacyę z doskonalszych ducha regionów. Władza ta, to głos sumienia, to bóstwo w Konradzie samym, a raczej w poecie mieszkające. Władza ta była czynną nietylko po, ale i w czasie tworzenia Improwizacyi, tworzenia, które odbywało się niejako na kilku tłach równocześnie. W ten sposób Konrad, będąc samym poetą, nie obejmuje go w zupełności. Poetą jest cały poemat, a przeto i Konrad i Ksiądz Piotr. Konrad jest tu raczej skomplikowanym stanem współczesnej przeszłości, ostatniem jej wezbraniem, jedną z dwóch zasadniczych możliwości w naturze Mickiewicza, która to możliwość w tej godzinie uległa stanowczemu przełamaniu.

Głosy chórów prawych i lewych odzywają się nad Konradem tuż po chwili, gdy siły jego rytmem dośrodkowym porwane, stwarzają w nim stan najwyższego skupienia. Jest to ustęp w Improwizacyi złożony ze zdań urwanych, dwuwierszowych, podobny do gromady błyskawic. Każdy z dwuwierszy zawiera zapytanie i odpowiedź, każde z tych zapytań dotyka istoty bytu.

Czem jest me uczucie?
Iskrą tylko!
Czem jest me życie?
Ach, jedną chwilką!

Pierwsze z pytań zwraca się do elementarnego, zasadniczego objawu bytu, do czucia. Czucie to spłynęło w tej chwili w organizacyi Konrada w jedno wrażenie skry, w jeden punkt żarliwy, promieniejący. Objaw to znany ekstatykom. Święta Teresa opisując go w swej autobiografii, rozróżnia cztery stopnie „zachwycenia;“ pierwszy określa jako *osamotnienie* od świata; drugi stopień nazywa *iskrą*.

Pytanie drugie porusza istotę życia. Gdy istota czucia trwa, to zjawa życia jest tylko („ach“) jednym kruchem czasu, na któ-

rym iskra ta rozprzędła się w przemijającej osnowie. Życie przebłyśnie, iskra zostanie, do istoty swej powróci znów.

Dwa dalsze pytania, z głębi nadlatujące, szukają odpowiedzi na zagadkę natury i dziejów.

> Lecz te, co jutro rykną, czem są dzisiaj gromy?
> Iskrą tylko!
> Czem jest wieków ciąg cały, mnie z dziejów wiadomy?
> Jedną chwilką.

Ta sama wola, w skrze zawarta, ma w sobie treść całej natury, z tej treści rozwija się ona w sposób konieczny. Wszystko co będzie, jest już in nuce.

Ta sama wola stwarza dzieje, wysnuwa z siebie całe wieki na znikomych krosnach czasu. Czem jest cały byt empiryczny? Jednym błyskiem w oceanach bezczasu, jedną nikłą illuzyą.

A potem nawrót myśli do człowieka.

> Z czego wychodzi człowiek, mały światek?
> Z iskry tylko.
> Czem jest śmierć, co rozprószy myśli mych dostatek?
> Jedną chwilką...

Brama śmierci zatrzymuje nietylko zmysły lecz i myśli człowieka. Myśl, rozum intellektualny, należą również do chwilowych, formalnych zjaw życia, są szóstym zmysłem natury. Kto odchodzi bramą śmierci, nie zabiera z sobą logiki i światopoglądów.

Wreszcie zagadnienie końcowe. Czem była twórcza istota bytu przed wyłonieniem świata? Czem będzie świat „gdy on go pochłonie," gdy wróci inwolucyjnie do swego początku?

I znów w odpowiedzi dwa widzenia:

Iskra i chwila. Principium i świat fenomeniczny.

Tę iskrę wnętrzną uchwycić w sobie, rozpalić — tę chwilę twórczą „przedłużyć i rozdalić"—oto droga do czynu nieśmiertelnego, do dzieła stworzenia lub zniszczenia. Bo chwila i iskra, gdy się przedłuża, rozpala—stwarza i zwala.

A potem przychodzi moment najmocniejszego zacierpienia bólem swojej ziemi, krzyk za miliony—i własnowolne, zrozpaczone rozdzieranie węzłów między człowiekiem a celami świata.

Jeśli naturalne prawa siły deptać mają z woli bóstwa prawa uczuć i upragnień człowieka, jeśli ten ma mieć berło i królowanie, kto używa rozumu swego do przystosowania się ładowi bytu, jeśli antagonizm między etyką przyrody a postulatami ludz-

kiego sumienia ma być zawsze rozstrzygany przegraną najlepszych naszych dążeń i przeświadczeń — to człowiekowi, który z tym boskim porządkiem pogodzić się nie umie i nie chce, nie pozostaje nic innego, jak rzucić w obszary świata swój protest, swe liberum veto i walczyć — i walczyć na to, aby zginąć.

Niech się rozegra bój, bój na serca między człowiekiem a bóstwem. Z Bogiem złączone przymierze wszystkich rozumów ziemi; z Konradem stanie cały naród.

Będzie to nowy bunt aniołów. Ich bronią, czyny serdeczne; ich tarczą, pogarda świata i rozumu jego; ich zwycięstwem, śmierć. Lepiej-bo paść, niż żyć rozumem świata.

Fala wezbranej krwi uderza Konradowi na mózg. Już stoi u proga słów nieodwołalnych, już kołysze w swem ręku pocisk, co ma uderzyć w pierś Boga — gdy nagle — staje się coś, co mu wraca w jednym przebłysku przytomność. Pada słowo obelgi. Może jego myśl je pomyślała, może jego usta je wyrzekły; ale nie jego wola była tu czynna. Konrad postrzega, że nie jest sam, że jest igraszką potęg ciemnych, które opętały jego wolę; i ta świadomość działa na jego mózg, jak uderzenie: Konrad pada bezprzytomny.

*

* *

Kiedy powstanie, będzie już przemieniony. Odchodzi w życie, zabierając z sobą problem i epilog niedokończonego poematu. Poemat ten (Dziady III) z natury swych założeń dokończonym być nie mógł; jego bowiem ideą zasadniczą był czyn odkupujący. Idea ta opuszcza bohatera (Konrada) przed końcem poematu; przechodzi ona częściowo na księdza Piotra, głównie zaś ulega przesunięciu w przyszłość wizyjną, nieokreśloną. [1])

VII.

Z przeżycia Improwizacyi wynosi teraz autor Dziadów, obok świtającej idei mesyanicznej, element drugi, osobisty: pokorną z siebie rezygnacyę. Z siebie, to znaczy z królewskiej myśli wy-

[1]) Powód podany przez prof. Kallenbacha w rozprawie „O Improwizacyi A. M." mianowicie mechaniczne połączenie przejść Konrada z losem Filaretów, jest powodem drugorzędnym.

swobodzenia narodu przez własną indywidualność, z ambicyi przewodniczenia.

Zwycięża w poecie ksiądz Piotr, „sługa pokorny i cichy," potomek Hioba, człowiek wschodu. Na tej drodze powraca Mickiewicz obecnie do społeczeństwa i odzyskuje spokój na czas pewien. Rezultatem tego powrotu, tego zatracenia się w narodzie, są dzieła jego dwa: „Pan Tadeusz" i „Historya Polski." Obie te prace przypadają na okres rezygnacyjny między Improwizacyą a Towianizmem.

Dusza jego wyrównuje się obecnie jak wieczorna szyba jeziora, omija szczyty i burze natchnienia, powraca do codzienności, a w tak ukojonej i pogodzonej z dolą nieodmienną powstaje teraz jeden zasadniczy ton muzyczny: ton tęsknoty wygnańczej za krainą swej młodości, krainą, która razem z tą młodością zdawała się oddalać niepowrotnie.

Tylko w tym stanie tęsknoty bez dążenia i w tej fazie zatracenia się indywidualności poety w narodzie powstać mogło epos współczesne w Europie, wytrzymane w przedmiotowości. Pan Tadeusz wznosi się wśród poezyi swego wieku, jak oczywisty anachronizm. Epos bowiem wymaga zgody zupełnej z kulturą istniejącą, miłosnego ujęcia jej w sobie bez cienia własnej odmienności. Dlatego też powstaje on z reguły w czasie, gdy styl epoki przybrał już pewne formy typowe, ustalone, bez odmian i wykroczeń indywidualnych. Tak rozpowiada Homer o Grekach na ziemi i niebie, w podobnym momencie zasiada Dante na tronie wieków średnich sądzić żywych i umarłych.

Kultura polska przeszła już była w tych właśnie czasach zapóźnionych z okresu feudalnej typowości w okres nowy przemian indywidualnych. Na tę przełęcz czasów historycznych przypadła młodość Mickiewicza. Na to samo stanowisko powrócił on teraz nietylko we wspomnieniach, ale i w uczuciach.

Pan Tadeusz—to jego pożegnanie młodości i pożegnanie ojczyzny dawnej, odchodzącej Rzpltej. Nadchodziły inne czasy; inną, nową trzeba było z piersi swoich dźwigać ojczyznę.

Więc jeszcze jedno spojrzenie wstecz, jedno zachwycenie jej oczyma, a potem...

A potem ciężki trud żywota.

I w tym trudzie poczęte dzieło drugie. W miarę jak przeznaczenia własnego losu ustępują w nim na plan dalszy, a wiara w chwilę mesyaniczną odchodzi gdzieś w głąb nieba, w miarę tego zbliża się doń zagadka duszy narodu i jak sfinks domaga się odpowiedzi.

Mickiewicz podejmuje zadanie. Praca jego na emigracyi, służba jego narodowi, począwszy od Ksiąg Pielgrzymstwa, jest ciągłem zgłębianiem zasadniczej myśli narodowej, dochodzeniem przeznaczeń rasowych. Jakoż na lata całe człowiek ten zapada jak nurek w głębie dziejów, przechodzi wstecz przez rozłogi wieków ubiegłych, otwiera groby, słucha szeptu starych ksiąg i dokumentów, wypatruje oczyma każdego człowieka, w którym błysła myśl narodowa, każdy czyn, który tej myśli był czynem— a kiedy powraca z tej dalekiej w przeszłość wyprawy, powraca z gwiazdami w ręku.

Idąc po linii uczucia narodowego w Mickiewiczu (a więc w romantyzmie), po linii, która szczytu swego dosięga w okresie Towianizmu, wypada nam zwrócić tu uwagę na ważny fakt w dziejach myśli polskiej ubiegłego wieku, fakt, że Mickiewicz czasów emigracyjnych dźwiga na sobie całą pracę odrodzenia uczuć i wiary narodowej. Wszyscy twórcy tego czasu, Słowacki, Krasiński, C. Norwid, wreszcie Goszczyński, pchnięci zostają atrakcyjną jego siłą naokół jednej idei; wszyscy oni tracą w nim swoje zrozpaczenie, w jakie stopniowo pogrążyła się cała emigracya; w jego uczuciu odradzają swoje, jego oczyma ogarniają czasów horyzont, przez jego odgadnięcie w sobie ducha narodowego i ukazanie w dziejach oblicza Polski, zwolnieni są z brzemienia smutku, rozkwitają nowem natchnieniem.

Lata jego wykładów z katedry paryskiej stają się przełomowemi. Po utworach tak bezbrzeżnie smutnych, jak „Sen Cezary“ i „Legenda“ (1840), pojawia się „Przedświt“ (1843); po „Lilli Wenedzie“ — „Ksiądz Marek“ i „Samuel Zborowski.“ Pogrobowiec romantyzmu, smętny samotnik pustych międzyczasów, Cyprian Norwid, wysoko niesie w dłoniach płomień otrzymany, aby go przekazać dniom dzisiejszym.

Przez ten wielki trud Mickiewicza emigracya została spełniona. Było to jej potrzebą i obowiązkiem w tej epoce niejako pozahistorycznego bytowania narodu, wyjaśnić historyczny charakter polskiego patryotyzmu i postawić w punkcie jego centralnym zasadę humanitarną. Bez tej pracy myśl nasza narodowa stać się mogła czemś talmudycznem, położyć w poprzek świata— i to położyć na to chyba, aby być przez prawo postępu zgniecioną.

Praca ta należy już w połowie do następnego okresu, okresu pokonywania rzeczywistości świata przez rzeczywistość własną.

*

* *

Już poprzednio zauważyliśmy, że wskutek złamania się w poecie wiary w siebie, odrzucił on wraz z potępionym w sobie indywidualizmem także i swą szlachetną wolę do wartości, swą myśl królewską władzy ducha i natchnienia.

Element mesyaniczny zapadł głęboko na dno jego duszy i umilkł, jakby w oczekiwaniu na przeznaczoną chwilę i przeznaczonego człowieka. W życiu codziennem, bieżącem wzięła natomiast przewagę na czas długi rezygnacyjna pokora.

Poddaje się losowi, poddaje hierarchii tradycyjnej, przyjmuje rzeczywistość, jaką ona jest, cierpiąc bez stawiania oporu, przechodząc bez walki koło tego, co własne jego sumienie uważa za złe. Chce samego siebie zdogmatyzować, uprościć, chce swój instynkt ofiary zamknąć w formę gotową, historycznie wytworzoną, myśli czy nie zostać księdzem, obrońcą duchowej tradycyi. Wchodząc w społeczeństwo z powrotem, wykonuje on zarazem akt pokory i posłuszeństwa, godzi się z kulturą współczesną, idzie po drodze utartej z wyrozumowanego obowiązku.

W miarę tego traci on wolność duchową. Źródła twórczości jego słabną. Nie będąc wolnym, nie może być szczerym, nie wypowiada się w słowach swych i uczynkach całą pełnią swego jestestwa. Naród pojęty, jako obowiązek, jako potrzeba pomniejszenia się i rozdrabniania w pracy połowicznej, wywiera nacisk na jego duszę, zamiast ją pobudzać, mnożyć w siły i do dojrzałości czynnej doprowadzać.

Każdy człowiek, żywiony duchem, jest pokorny. Jestto pokora człowieka wolnego, uszlachetniająca i miłosna. Jest jednak i pokora słabości; odejmuje ona i zubaża, a wystawiona na próby, zawodzi.

Mickiewicz mięsza teraz oba te pojęcia; podobnie miesza i ludzi. Z Witwickim, B. Zaleskim i innymi tego typu pisarzami i poetami na emigracyi zawiązuje on obecnie ścisłe węzły przyjaźni i zasiada z nimi do owej „wieczerzy pańskiej poetów polskich,“ o której pisał Słowacki, że mimo całej dla niej rewerencyi, nie sądzi, aby ona była „obrazem wieku i jego dążeń.“

Była to atmosfera, w której egzystować mógł Zaleski, człowiek innego niż Mickiewicz pokroju. Dla Zaleskiego problemy nie istniały. Grał on na tematach zużytych ze śpiewną łatwością słowa, ale do przyrostu duszy w narodzie nie przyczynił się, do dorobku kultury narodowej dorzucił nazbyt mało. Kierunek, z jakim płynął, prowadził współczesnych do bezczynności, bezradności, a w rezultacie do legalizacyi złego. Niesprzeciwianie się zło-

mu jest szlachetne, gdy pochodzi z siły; ale gdy pochodzi ze słabości?... [1])

Bohdan Zaleski nie był człowiekiem wolnym, za mało miał na to odwagi. Zrzekł się odpowiedzialności, przestał dążyć po światło, pozostał też zawsze małoletnim, a nawet z natury rzeczy popadł w moc przesądu. Mickiewicz, będąc duchem wolnym i stworzonym do pełnej wolności, obecnie utraca ją dobrowolnie, schodzi pomiędzy ludzi nieruchomych, zatrzymuje zegar ducha na tej samej godzinie.

Czy tego rodzaju ofiara z własnego ducha jest zgodna z prawem ofiary, na to szukać będziemy odpowiedzi na innem miejscu. Mickiewicz idzie jednak ku niej z poczucia poprzedniej winy, pożąda jej dla odpoczynku, dla spokoju przed gwiazdą przeznaczeń dręczącą i gwałtowną. Doszedłszy jednak do punktu, który był konserwatyzmem, poczyna zwolna zamierać w tej atmosferze. Ginie od smutku. Wszystkie jego listy z tych lat mają w sobie muzykę beznadziejności, [2]) wszystkie drobne wiersze z tego czasu wezbrane są łzami.

Zagubił myśl królewską swego życia. Rozpoczął się dramat powolnego marnienia. Arena jego ducha, gdzie toczył się bój

---

[1]) Łatwo też było B. Zaleskiemu zachować się w pokorze całe życie, pisać „Świętą Rodzinę," srogo napominać Mickiewicza w czasach Towianizmu. Tenże sam jednak Zaleski wypada tak prędko z równowagi ilekroć przypadkowo zacierpi bierna jego ambicya osobista. Wiadomo w jakich wyrażeniach traktował Słowackiego w listach do Mickiewicza.

Pokora jego była lękiem o samego siebie, o sprawę swej prawowierności. Gdy pewnego razu dał się on porwać duchowi Mickiewicza i począł mu przytakiwać, a tegoż dnia wieczorem zaziębił się i zachorował, unikał odtąd swego przyjaciela, uważając, że został ukarany przez Opatrzność za swoje zuchwalstwo.

Po przemowie, mianej nad świeżym grobem Mickiewicza, zapisuje Zaleski w pamiętniku swoim następujące pro memoria: „Stanąłem nad grobem. Zacząłem mówić z łaską bożą najwyraźniejszą, poszło mi dobrze i pomimo, że pismo niewyraźne, a stąd nieczytelne, wygrzmiałem jednym tchem głos, który sprawił wrażenie. Uścisków co niemiara od rodaków." (Wład. Mickiewicz: Żywot A. M. IV, 484).

[2]) Wyjątek z listu do Ign. Domejki 1838 r.: „Ja zdaje się być zdrowy, wszakże niedobrze się mam na umyśle. Czuję się ciągle rozstrojony i drażliwy. Różne smutki, o których byłoby długo pisać, głębiej mi wyrdzawiły duszę, niż się sam spodziewałem. Niewiem, czy to się skończy jaką chorobą, czy się przeważy, *jeśli nie wylezę jak wąż ze starej skóry.*

o wielki, wolny czyn, o odkupienie własnej ziemi, stawała się podobną do ruin Kolosseum, po których błądziły teraz cienie jego wielkich upragnień. Idea mesyaniczna odeszła na gwiazdy; w życiu pozostał kompromis z dobrym, biernym, połowicznym, zrezygnowanym człowiekiem historycznym.

Ale już zdala, zdala, nadciągała burza gorejąca.

Artur Górski.

Ruch literacki w Niemczech.

Stoimy obecnie w Niemczech pod znakiem pamiętników z półświatka i fantazyj wojennych. A w teatrach repertuar składa się z dramatycznych (jeżeli wolno użyć tego określenia) waryacyj na temat Sherloka-Holmesa.

Małgorzata Boehme, autorka cieszących się olbrzymim powodzeniem śród najszerszych kół publiczności niemieckiej „Pamiętników Upadłej," stała się matką nowego odłamu piśmiennictwa, a literatura zyskała, niestety, nowy zastęp współpracowniczek z jaskiń wielkomiejskich wyuzdań, zakopconych restauracyj „z usługą damską," z krętych uliczek bocznych pełnych zaduchu, złych instynktów i brudu. Dyletantki te mają sporo czasu na pisanie pamiętników i dostateczną dozę śmiałości. Zaledwie upłynęło pół roku od czasu ukazania się „Pamiętników" Małgorzaty Boehme, a już wyszły aż 3 inne książki podobnej treści: „Dziennik innej upadłej," wydany przez Felsecka, Pamiętniki kelnerki Mietze Breidenbach i „Spowiedź Upadłej," napisana przez Jadwigę Hard. Co to będzie dopiero, gdy wszystkie inne „panie tego zawodu," które pod wpływem „nowego" ruchu literackiego chwyciły za pióro, zaczną wydawać kroniki swego kolorowego żywota i wyznania swoich „światopoglądów?" Na szczęście każda pospolitość prędzej czy później musi stracić wziętość, ponieważ olbrzymia liczba „uzdolnionych" przyczynia się prędko do zdyskredytowania całego gatunku, nawet w oczach przeciętnego filistra, o niezwykle skromnych wymaganiach estetycznych. Pomimo tej pociechy na przyszłość musimy się liczyć z faktem, że pospolitość, jak złe robactwo obsiadła teraźniejszość, zabierając powietrze, soki i światło wszystkiemu, co wielkie, piękne i wzniosłe.

Pod względem społecznym „pamiętniki" te, jako jeden z wielorakich objawów ogólnej emancypacyi dzisiejszej, świadczą o nie-

ustannie wzrastającej potędze słowa pisanego, które dosięga dziś już nawet nizin spowitych dotychczas w pogardliwe milczenie nocy. Czyż dziwić się należy, że głos tych nizin błotnych podobniejszy jest do rechotania żab, niż do dźwięku mowy ludzkiej?

Ale wszak to skarga, krzyk rozpaczy bezradnej, błąkający się po nocach wielkomiejskich, oskarżenie, pierwszy przebłysk świadomości! Dla pewnych warstw pamiętniki te będą miały swoje znaczenie kulturalne.

Pod względem literackim nie posiadają żadnej wartości. Tak np. wydawca „Dziennika innej upadłej," Rudolf Felseck, uważał za stosowne, jako pendant do zretuszowanego „pamiętnika" Małgorzaty Boehme, dać nam niezretuszowany pamiętnik kobiety z półświatka, która większą część życia spędziła w domach publicznych Hamburga. Pamiętnik ten, którego autentyczność w zamiarach wywołania sensacyi poświadczona została rejentalnie, odsłania w brutalny i dość niezdarny sposób wszystkie ohydy życia w domach rozkoszy i systemu handlu żywym towarem. Nawet wiązankę różnych listów autentycznych z półświatka, nie mających wprawdzie żadnego bezpośredniego związku z pamiętnikiem i nie odznaczających się bynajmniej treścią godną uwagi, wciela bezkrytyczny, skwapliwy wydawca, dla którego każdy odpadek przedstawia widocznie rzecz dającą się spieniężyć, do swej książki. Książka ta wraz z pamiętnikiem kelnerki Mietze Breidenbach stoi znacznie jeszcze niżej, niż cytowane dzieło Małgorzaty Boehme. Trochę więcej rzeczywiście ciekawego materyału przedstawia książka Jadwigi Hard: „Spowiedź Upadłej." Spotyka się tam od czasu do czasu epizody dające się znakomicie zużyć literacko, tematy dla pióra Maupassant'a, z których autorka nie potrafiła jednakże należycie skorzystać.

Na pograniczu pomiędzy powyższemi książkami i utworami literackiej wartości, stoją utwory Hansa Ostwalda, autora pieśni z rynsztoka, który wystąpił niedawno z nowem dziełem„ Berliner Dirnentum," Juliusza Bab'a (Berliner Bohne) i Stefana Grossmana (Oesterreichische Strafanstalten).

*

* *

Już w „Fauście“ znajdujemy charakterystyczny wyraz owej pasyi przeciętnego obywatela niemieckiego do politykowania przy kufelku.

> Nichts bessres weiss ich mir an Sonn und Feiertagen
> Als ein Gesprüch von Krieg und Kriegsgeschrei.
> Wenn hinten, weih, in der Türkei
> Die Völker auf einander schlagen.

Wydarzenia polityczne ostatnich lat, które jak sensacyjne widowiska przesunęły przed zdziwionym wzrokiem całego świata, dostarczyły i piwoszom niewyczerpanego zasobu tematów do dyskusyj, musiały spotęgować wrodzone ich skłonności do politykowania i przyczyniły się w znacznej mierze do powodzenia dzieła, które od kilku miesięcy jest na ustach całej czytającej publiczności niemieckiej i aż daleko poza granice „Państwa“ wywarło wpływ. Dziełem tem jest „Gwiazda Morska“ (Seestern). Autor niewiadomy. Tym razem chodzi o wojnę przyszłości, a przedmiot opracowany przez autora z pewnym poetycznym rozmachem, podyktowany został nietylko chęcią wywołania sensacyi, ale zupełnie szczerą obawą o przyszłość Niemiec, w razie wojny europejskiej. Pod tym względem „Gwiazda Morska“ jest dalszym ciągiem utworów w rodzaju „Jena i Sedan,“ „Zapfenstreich“ i t. p., od których różni się jednakże zasadniczo swym przyjaznym dla rządu i armii niemieckiej nastrojem.

Obawy wyciągnięte z obecnej niepomyślnej dla Niemiec konstelacyi politycznej, ujęte zostały w ogólno zrozumiałe formy. Na lądzie zwyciężymy, ale co się stanie z nami na morzu w razie wojny? Tak zdaje się mówić autor do wszystkich tych, którym przyszłość Niemiec leży na sercu. Pod jego piórem pytanie to przybiera kształty bitew morskich, kadłubów olbrzymich pancerników francusko-angielskich, sunących nocą po przez burzliwe pustynie wodne morza Północnego, ziejących ogniem i zniszczeniem na porty nadbrzeżne niemieckie, których słaba flota niemiecka nie jest w stanie obronić. W wojnie europejskiej, która w „Gwieździe morskiej“ staje się powodem pożaru całego świata, stawia autor po jednej stronie trójprzymierze, po drugiej Anglię i Francyę. Rosya, Stany Zjednoczone i Japonia zachowują się neutralnie. Zamiarem jego jest wykazać przedewszystkiem słabość Niemiec na morzu, a dalej potrzebę ogólno europejskiego przymierza, jeżeli Europa pragnie zachować swą przewagę polityczną wobec naporu żółtej i czarnej rasy, wobec wyznawców Mahometa, a zwłaszcza wobec niebezpiecznego konkurenta ame-

rykańskiego, Stanów Zjednoczonych, które dążą do federacyi Panamerykańskiej. Wszystkie te kwestye polityczne potrafił autor ubrać w szatę interesującą i częstokroć nawet poetyczną. Szczególniej opisy bitew morskich, które z punktu wojenno-technicznego nie są podobno bez zarzutu, zasługują na uwagę. Wojna rozpoczyna się napadem Anglików na wyspy samoańskie i utarczką morską w pobliżu Apii, głównego portu samoańskiego Niemiec. Następuje znakomicie opisana blokada ujścia Elby, Cuxhavenu (portu wojennego strzegącego przystępu do Hamburga), bitwy na morzu Śródziemnem, bombardowanie portów włoskich, walna bitwa morska pod Helgolandem, ciekawy napad Anglików na Kiel. W miarę rosnącego pożaru wojny, dzikie ludy afrykańskie poczynają się burzyć i chwytają za broń. Cała Afryka w płomieniach! Narody wyznania mahometańskiego kupią się w koło sztandaru proroka i grożą Europie nową plagą. W końcu osłabienie walczących dosięga tego stopnia, że zawarcie pokoju staje się koniecznością. Teraz to występują dopiero Stany Zjednoczone i Japonia i zaczynają dyktować swoje warunki. Europa traci wszystkie swe kolonie i wraz z niemi swe pierwszeństwo w polityce międzynarodowej. Tak brzmi przestroga autora „Gwiazdy morskiej," która znalazła posłuch w jaknajszerszych kołach społeczeństwa niemieckiego. Cały zastęp utworów, traktujących o tymże samym przedmiocie (pomiędzy nimi szczególniej „Hamburg i Brema w niebezpieczeństwie" przez Hanzę, „Niemiecko-angielska wojna" przez Beowulfa, „Listy z Elby" przez Moriturus'a) świadczy wymownie o zaniepokojeniu umysłów, które udzieliło się nawet sąsiadowi po drugiej stronie morza Północnego. Odpowiedź angielska na „Gwiazdę morską" nie dała na siebie długo czekać. Czytelnicy felietonów „Daily Mail" z gorączkową uwagą mieli sposobność śledzić przebieg możliwego napadu Niemiec na Anglię, opisanego przez Wiliama Le Queux (Inwazya roku 1910), któremu gazeta za tę pracę sensacyjną zapłaciła przeszło milion marek honoraryum. Opis pana Le Queux traktuje o wtargnięciu Niemiec do Anglii po raptownym, niespodzianym napadzie floty niemieckiej na angielską. Armia niemiecka, wylądowana w Anglii, staje się panią sytuacyi i zapewnia Niemcom kompletne zwycięstwo. Zakończenie to istnieje jednakże tylko w przekładzie niemieckim, w którym się książka najprzód ukazała. Publiczność angielska, biorąca gorący udział w losach wojny opisanej przez pana Le Queux, przeszkodziła temu pokonaniu Anglii na papierze. Wzburzenie umysłów dosięgło takiego stopnia i groźby czytelników „Daily Mail" tak zastraszyły redakcyę, że volens nolens trze-

ba było zakończenie zmienić i skończyć tryumfem Anglii. Dzieło to o dwóch zakończeniach, jednem niemieckiem (w przekładzie Traugotta Tamm'a) i drugiem angielskiem ma być przestrogą dla Anglii, aby sobie zbytnio nie lekceważyła rosnącej z każdym dniem potęgi Niemiec. Strzeżcie się! oceniacie fałszywie siłę Niemiec na morzu — woła autor. A cóż będzie, jeżeli, zanim się zdołacie ustrzedz, Niemcy wylądują w Anglii jedną ze swoich wyćwiczonych armij, jedną z najlepszych armij w Europie? Wizya autora angielskiego pozbawiona jest poezyi, odznacza się za to ogromną dokładnością i zadziwiającą znajomością przedmiotu. Nie poeta to pisał, ale polityk, który miał zgoła inne cele niż piękno i harmonię artystyczną na względzie.

*

* *

Pięknym poematem wojennym, wspaniałą epopeją, w której historya ujęta została w odpowiednie ramy, jest utwór historyczny wiedeńczyka Jakóba Wassermanna: „Aleksander w Babilonie.“ Wassermann, znany i ceniony twórca znakomitej „Renate Fuchs,“ dał nam w tym ostatnim utworze nowy dowód swego wyjątkowego talentu. Mamy przed sobą powieść historyczną traktowaną bardzo oryginalnie. Wizye zamierzchłej przeszłości, oglądane z archeologiczną dokładnością Flauberta, ale okiem subtelnego malarza i wyrażone z poczuciem stylistycznem tak wielkiem, że utwór cały tworzy jakby jedną wspaniale zharmonizowaną pieśń. Przytem tło historyczne i perspektywy dziejowe utrafione zostały po mistrzowsku. Psychologia dziejów ludzkich tworzy jakby akompaniament polifoniczny do pieśni o samotności wielkiego człowieka. Tym wielkim, samotnym jest Aleksander Wielki, król macedoński i zdobywca świata, wódz wielkiego pochodu Europy na Wschód, gdzie w tajemniczych, potwornych objęciach Azyi tonie energia, przepadają siły zwycięzców greckich. Mamy wizyę dwóch odrębnych światów: wschodniego i zachodniego, wizyę chwili znamiennej, w której światy te dwa zdają się łączyć w uścisku konwulsyjnym, ażeby się znów na wieki rozpaść. Jedna z owych chwil dziejowych, które napełniają serce nieokreślonem uczuciem lęku, wobec znikomości wszystkiego, co ludzkie.

Wcieleniem czarodziejskiej potęgi Wschodu jest w poemacie Wassermanna Babilon — leniwa, bogata stolica, tajemnicze serce Wschodu, którego samo imię wystarcza, aby zastępy Aleksandra wprawić w szał dzikich pożądliwości. Chwilę powrotu zwycięskich wojsk Aleksandra z wyprawy do Indyj i pochód przez pustynie perskie ku błogosławionym dolinom Eufratu i Tygrysa obiera poeta za punkt wyjścia dla swej epopei, która właściwie nie jest niczem innem, tylko krótkim względnie opisem (cała powieść obejmuje około 300 stronic) tego pochodu, godów weselnych Aleksandra z córką nieszczęsnego Daryusza Statejrą, przybycia do Babilonu, obchodu pogrzebowego na cześć Hefestiona, jedynego przyjaciela i powiernika Aleksandra i tragicznej śmierci Aleksandra Wielkiego. Ale tak, jak Homer, opiewając gniew Achillesa daje nam cały obraz wojny trojańskiej, Wassermann nie poprzestaje na opisaniu tego pochodu Aleksandra, lecz kreśli całą historyę wypraw Aleksandra, odsłania i udostępnia tajniki jego wielkiego, samotnego żywota. Aleksander Wielki Wassermanna jest typem iście królewskim (główne zarysy portretu Plutarcha zostały zachowane), o pewnych cechach napoleońskich, typem imponującym majestatem swego ducha i wzbudzającym zarazem współczucie ludzkie przez swą samotność królewską i ową smutną świadomość podłości ludzkiej, która w całej swej nagości objawia się każdemu posiadającemu władzę. Obok Aleksandra uwydatnione są w powieści Wassermanna postacie Hefestiona, przyjaciela Aleksandra i brata przyrodniego króla Archideosa, w którym poeta stworzył kontrast wielkiego władcy. Słaby, nieudolny, marzyciel bez energii, bez zmysłu do pojmowania ludzi i świata, błąka się ta karykatura wielkości, jak cień, w ślad za swym wielkim bratem i pożądliwie wyciąga chude swe ręce po władzę. W chwili jednakże, gdy po nagłej śmierci Aleksandra, śród zamętu i anarchii panującej w obozie macedończyków pożądana władza dostaje się wypadkowo w jego dłonie, widzimy, jak się pod ciężarem tym załamuje. Reszta osób powieści nie występuje poza ramy obrazu.

Na pierwszy rzut oka powieść Wassermanna wykazuje rażące podobieństwo z Salambô Flauberta. Taż sama archeologiczna dokładność, toż samo mistrzowstwo w sposobie realistycznego odbudowywania z gruzów gmachów odwiecznych, też same do pewnego stopnia akcesorya. Zasadniczą różnicę stanowi styl obu twórców. Zamiast chłodnego, zupełnie nieosobistego stylu Flauberta mamy tutaj ton jakiejś przytłumionej, wschodniej namiętności, która ma w sobie coś biblijnego i Sienkiewiczowsko-

malowniczego zarazem. Proza Wassermanna o monotonnej, zadziwiająco pięknej melodyjności, która działa, jak szmer wodotrysku na podwórzu haremowym podczas upalnych popołudniowych godzin, przyczynia się w znacznej mierze do spotęgowania wrażenia tego poematu.

Dla przykładu przytaczam wyjątek z rozdziału o Babilonie.

„Tymczasem Charippos wędrował spokojnie przy boku Greka przez ulice i bramy, przez mosty i rozległe place. Poseł dążył z wielkim pośpiechem naprzód, nie oglądając się poza siebie. Mijali zamknięte świątynie, przed któremi stały olbrzymie ołtarze na lwich nogach, przecinali ulice szerokie, tak proste, jakby je kto cyrklem wymierzył. Odblask latarni, iluminacyj, pochodni i płonących pod gołem niebem ogni, odbijał się pysznie i fantastycznie na glazurze glinianych cegieł wysokich murów. Widzieli sterczące wieżyce, połyskujące w niepewnem, czerwonem świetle, jakby z mgieł zbudowane, pełne rzadkich upiększeń i dumnie-wysokie. Około pałaców przechodzili, skąd żaden głos nazewnątrz nie przesiąkał. Jakby we śnie stały olbrzymie budowle na przestronnych tarasach i lwy o twarzach ludzkich spoglądały na wspinające się węże z bronzu — wszystko dziwnego życia pełne, pełne wszystkich potworności ruchu bez ruchu samego. Posągi z czarnego kamienia wyłaniały się w ponurym majestacie z ciemności. Były to wcielenia pra-mocy, z której twory w niemej walce się wyzwalają i miały oczy z kości słoniowej, ze złotemi źrenicami, a poza nieruchomym uśmiechem ich warg dumała chytrze noc śmierci. Mijali wiszące ogrody, wznoszące się jak okiem sięgnął w swym przepychu palmowym, pełne kląbów z wawrzynu, złoconych kolumn; ciężkie zapachy, jakby dech obarczony tajemnicami, zwiewał ku nim słaby podmuch nocny i pieszczotliwie rozlegał się od czasu do czasu śpiew słowika.

„Z bijącem sercem wchłaniał Charippos wizyę niespodzianą tego miasta...“

Ton taki zachowuje autor z niewzruszonem poczuciem stylu przez ciąg całego poematu, nawet w tak dramatycznych momentach, jak śmierć Aleksandra.

„Wtem, naraz — już dniało — głos jakiś krzyknął imię Aleksandra z wyrazem zdumienia i przerażenia. W swym przeraźliwym biegu dosięgnął Aleksander placu przed pałacem. Większa część tych, którzy go w tym stanie ujrzeli, poznała go dopiero wtedy, gdy głos ów się rozległ. Na domiar spostrzeżono biegnących Mediosa, Peithona i Eumenesa, którzy z wyczerpania i strachu zaledwie się na nogach utrzymać mogli. Najprzód żołdactwo

się rozstąpiło. Aleksander stał pośrodku, nie mogąc iść dalej. Zatoczył się, chwycił rękoma powietrze... Twarz jego była koloru siarki. Oczy tak płonęły, jakgdyby chciały wkrótce całe ciało pożreć i spalić. Macedończycy rzucili się ku niemu. Rozległy się okrzyki zwierzęce. Byłażto miłość, boleść? albo nienawiść, gniew? Może świadomość upokorzeń, których przez niego doznali? A może wspomnieli o wyrzniętych towarzyszach, o krwi serdecznej, którą on wylał? albo o życiu, pełnem fantastycznego przepychu i awanturniczej wielkości, do którego on im otworzył wrota? Czyliż była to chwila zemsty za to, że ich Azyi zaprzedał? Nie byliż w stanie znieść widoku jego niemocy, niemocy tego Aleksandra, którego jako syna Bożego czcili? Strach ich opanował przed jego śmiercią i gniew, że ich samych na pastwę losu pozostawiał w Babilonie? To nie byli ludzie. Rzucili się nań. Jedni opasali go ramionami, jakgdyby go całować chcieli, ale ramiona ich dusiły go tak, że oddech tracił. I runęli z nim na ziemię. Drudzy, pchani naprzód przez dziki tłum, deptali po jego ciele, po piersiach... Coraz bardziej bezprzytomni, chwycili go za ramiona, barki, włosy... Ze stu ran już krew broczyć poczęła, gdy naraz wycie jednego z oprzytomniałych wytrzeźwiło ich z szału.

„Nastała śmiertelna cisza. Tłum się powoli rozstępował, krąg rozwarł się. Aleksander leżał tam, leżał, leżał... pan świata leżał tam!...“

*

* *

Jednym z najmłodszych powieściopisarzy niemieckich, najbardziej dziś cenionych, narówni z Wassermannem, jest Tomasz Mann. Młody ten autor zadebiutował przed kilku laty na szerszej arenie powieścią swą „die Buddenbrocks,“ którą publiczność i krytyka przyjęła z prawdziwym entuzyazmem. Powieść ta o niezwykłych rozmiarach (1100 stronic) opowiada dzieje trzech generacyj bogatej rodziny kupieckiej w Lubece; przytem na uwagę zasługuje nie architektonika tego kolosu powieściowego, który możnaby poniekąd nazwać nieforemnym, ale niezmiernie barwny, oszlifowany styl i znakomita charakterystyka. Z drobiazgową miłością zatapia się poeta w szczegóły owego zasobnego życia,

które upływa śród nieustannych zabiegów o dobra ziemskie, sutych obiadów, mgieł północnych i sztywnego, pełnego godności kupieckiej, ceremoniału. Rzeczowy, zolowsko-naturalistyczny ton jego opowieści łączy się korzystnie z subtelną domieszką ironii, która utworom Manna nadaje specyalną, bardzo charakterystyczną i interesującą fizyognomię. Tomasz Mann jest satyrykiem, ale satyra jego ma w sobie coś ze słowiańskiej dobroci Gogola, tylko że łzy, przez które się poeta uśmiecha, nie są tak obfite. To raczej mglista melancholia owych miast północnych, muskanych szarem skrzydłem morza; miast dostatnich, zamożnych, bogatych nawet, w których kupią się przedziwne bogactwa wszystkich stref i wytwory wszystkich kunsztów, w których jednakże dusza śpi snem ciężkim, a wesołość jest rzadkim gościem. Do takiego tła nadaje się zimno-lśniący połysk satyry o zatartych konturach, które nieznacznie zlewają się, giną w mgłach szarzyzny codziennej, jak blask latarni w rudych mgłach londyńskich. Satyra Manna posiada też pewne podobieństwo do amerykańskich utworów tego rodzaju. Więcej w niej jednakże smutnej dobroci Bret Harta niż figlarności żonglerskiej Marka Twain'a. Wytworne poematy Manna zajmują pośrednie miejsce pomiędzy utworami satyrycznemi literatury rosyjskiej i amerykańskiej. W literaturze niemieckiej belletrystyczne utwory Manna zajmują stanowisko znamienne i charakterystyczne, jak to będę miał sposobność w dalszym ciągu mego sprawozdania wykazać. Najbardziej wartościowem dziełem Tomasza Manna jest zbiór nowel, wydanych pod tytułem „Tristan.“ W ostatnich czasach zwrócił się poeta do tematów zgoła innych, o czem świadczy wyszła niedawno trzyaktowa praca sceniczna „Fiorenza.“ Zwrot to podwójny: pod względem formy i pod względem treści—ale niekorzystny. Przedewszystkiem trzyaktowym tym obrazom scenicznym brak siły dramatycznej. Szczególniej pierwsze dwa akty przeładowane są do tego stopnia akcesoryami historyczno-artystycznemi, że nawet w czytaniu nużą. Na scenie muszą działać wprost usypiająco. Cóż nam potem, że Lorenzo dei Medici odtworzony został jaknajwierniej, według portretu Vasariego w Uficyach, że Marsilio Ficino jest dokładną kopią pomnika, wykonanego przez Andrea Ferucci i znajdującego się w katedrze florenckiej, że filozof-humanista Angelo Poliziano ani na włos się nie różni od znanego wizerunku na medalu złotym, że wesoły i rubaszny Luigi Pulci, jakby żywcem wzięty jest z fresku znajdującego się w kaplicy Brancacci, że wytworny i zniewieściały Pico della Mirandola odpowiada portretowi w Uficyach, że Piero dei Medici jest zupełnie

takim, jakim go przedstawia biust Pollajnola, znajdujący się w Bargello, że piękna, wyniosła kochanka Lorenza dei Medici Fiore łączy w sobie zalety dziewcząt Ghirlandaja z kaplicy Santa Maria Norella i portretów Boticellego pięknej Simonetty Vespucci, kochanki Giuliana dei Medici i Lukrecyi Tornabuoni z królewskiej galeryi obrazów w Berlinie... Cóż nam potem?... kiedy portretom i posągom tym brak krwi, kiedy słowa ich zbyt często przypominają nam kroniki. Dopiero w ostatnim, trzecim akcie, u łoża Lorenza dei Medici, gdzie toczy się walka zapamiętała pomiędzy fanatycznym mnichem Savonarolą a umierającym protektorem pogańskiej joie de vivre Lorenzem dei Medici, doznajemy pierwszych dreszczów przejęcia. Są w tym trzecim akcie ustępy, które budzą nadzieje i oczekiwania, że zdolny autor poematów epickich i na deskach teatralnych zdobędzie z czasem powodzenie.

Szczytu swej dotychczasowej twórczości dosięgnął Tomasz Mann w jednej z nowelek wydanych pod tytułem „Tristan.“ Jest to krótkie, pod względem stylistycznym świetne, fantastyczne opowiadanie o szafie (tytuł nowelki „Szafa“), w której młody podróżnik Albrecht van der Qualen znajduje co noc w obcem mieście cudną, młodą, zupełnie nagą postać kobiecą i słucha jej opowieści, cichym, melodyjnym głosem szeptanych. Mistrzostwo, z jakiem poeta (ten jeden utwór już wystarcza, aby go tak nazwać) potrafił połączyć najzwyczajniejszą rzeczywistość z tem fantastycznem widzeniem dziewczyny w szafie, dokopać się w szarej powszedniości prażródeł cudu przypomina żywo najlepsze momenty twórczości E. T. A. Hoffmanna, słynnego autora „Eliksirów dyabelskich,“ z którym wogóle Tomasz Mann posiada pewne pokrewieństwo duchowe. Łagodna, wytworna ironia Manna tworzy w połączeniu z ową fantastyką, noszącą specyalne północno-niemieckie zabarwienie, znakomicie zrównoważoną całość.

Dziś, w dobie odżycia poezyi romantyka-realisty E. T. A. Hoffmanna, pokrewieństwo duchowe Manna posiada doniosłe znaczenie. Posiadamy coprawda znakomite utwory nowelistyczne tego rodzaju, napisane mistrzowską ręką Hoffmannsthal'a, i twórczość utalentowanego wiedeńczyka Ryszarda Schaukala przesiąknięta jest nawskroś duchem Hoffmannowskim, a cały zastęp młodych szuka nieustannie, idąc śladami E. T. A. Hoffmanna, łączników pomiędzy dzisiejszą trzeźwością, a światem romantyki, fantazyi. Pomimo tego poezya Manna łącząca w oryginalny sposób ironię z fantastyką pokrewną Hoffmanowskiej, wzbogaca nutą zupełnie odrębną zdobycze tego całego zastępu twórców.

Wspominając o E. T. A. Hoffmannie, należy uczynić wzmiankę o jego najpierwszym komentatorze i heroldzie Grisebachu, którego niedawno w cichej, eleganckiej berlińskiej pracowni na Kurfürstendam zaskoczyła śmierć. Grisebach już od dłuższego czasu usunął się z areny wielkiego świata. Dzieł jego („Der Neue Tannhäuser," „Tannhäuser in Rom"), które niegdyś cieszyły się wielkiem uznaniem, nikt dziś już nie czyta. Temperament jego makartowski, przed którym pokolenie ósmego lat dziesiątka biło czołem, przestał imponować. Dziś trywialne utwory jego czynią wrażenie źle opowiedzianych przygód miłosnych filistra, jego niedbała forma, niewolniczo trzymająca się wzorów Heinowskich i nigdy nawet w przybliżeniu nie dosięgająca piękności i naturalności pierwowzoru, działa na wysubtelnione poczucie estetyczne twórców dzisiejszych, jak świętokradztwo. Jedyną zasługą Grisebacha, dającą rękojmię, że imię jego nieczupełnie zostanie wymazane z dziejów literatury niemieckiej, jest praca nad wskrzeszeniem poezyi E. T. A. Hoffmanna. Na tem polu krytycznem praca Grisebacha w połączeniu z usiłowaniami Hansa von Müllera i Ryszarda Schaukala, wydała plon obfity.

Pod względem talentu, polotu i siły najwięcej do Hoffmanna zbliżony jest, jako twórca, Ryszard Schaukal. Ryszard Schaukal jest jednym z najsubtelniejszych stylistów nowoczesnych. Poeta, którego liryka pod względem technicznym obejmuje całe ostatnie dziesięciolecie rozwoju niemieckiej poezyi od pierwszych wpływów dekadentów, szczególniej Verlaine'a, aż do ostatnich konsekwencyj szkoły Stefana George. Bystry psycholog, badacz tajników duszy ludzkiej, zimny na pozór, jak stal szabli damasceńskiej, niedostępny i ekscentryczny poeta ten posiada imponującą skalę uczucia, ukrytego pod lodem szyderstwa i realistycznej pozy. Uczucie to, dotychczas nie wyzwolone, wre i kłębi się pod olbrzymim naciskiem jego stylizmu, ale coraz głośniejsze szmery i detonacya świadczą o zbliżaniu się chwili wybuchu. Ostatnie dzieła Schaukala: „Babunia" (książka o „śmierci i konaniu" poświęcona znanej poetce austryackiej baronowej Ebner von Eschenbach) i „Kapelmistrz Kreisler" są wymownemi objawami tego wyzwalającego się uczucia. Przedewszystkiem „Kapelmistrz Kreisler." Z wielką miłością i zadziwiającą dokładnością stworzył Schaukal w dziele tem portret swego poprzednika Hoffmanna vel kapelmistrza Kreislera (nazwiska tego używał również Hoffmann, jako pseudonimu). Portret łączy umiejętnie rysy charakterystyczne obu poetów. W tej spowiedzi artystycznej, pełnej szalone-

go entuzyazmu i wprost fanatycznego uwielbienia piękna i sztuki, dosięga Schaukal poraz pierwszy szczytów, przekracza wał lodowy stylizmu. Duże piękności zawiera również „Babunia."

*

* *

Równocześnie prawie z temi dwoma utworami Schaukala ukazało się dzieło innego wiedeńczyka, które w świecie artystycznym wywołało cały huragan oburzeń i napaści. Mam na myśli „Prodromos" Piotra Altenberga. Dziełem tem zrobił Altenberg niemałą niespodziankę swym wielbicielom i przeciwnikom. Subtelny poeta, malarz miniaturowych wycinków z życia (Wie ich es sehe," „Was der Tag mir zuträgt") przedzierzgnął się nagle w rzecznika hygieny. Prodromos jest nowożytną dyetetyką, przyobleczoną w formę aforystyczną. Czy utwór ten można nazwać wogóle dziełem sztuki? Łatwiej chyba odpowiedzieć na to pytanie przecząco, pomimo, że budowa, zestawiona bardzo misternie z drobnej mozaiki trafnych spostrzeżeń, robi wrażenie obmyślanej i z finezyą wykonanej pracy. Aforyzmy łączą się, splatają w jedną nieprzerwaną girlandę myśli, mają swój rytm specyalny, swoje crescenda i diminuenda—swój styl. Ale treść!... treść!...

Dotychczas nikt jeszcze nie pokusił się o to na seryo, aby pisać ody na cześć Tamar Indien Grillon, Cascara Sagrada, Vinum Conduzango, pasty do zębów, przepisów kulinarnych, rosołów z kury, francuskich serów śmietankowych, masażu wibracyjnego i t. p. Pomimo niezwykłej erudycyi stylisty Altenberga dziedzina ta nie da się zdobyć dla sztuki i książki jego nie można nazwać utworem artyzmu. Patrząc jednakże na Prodromos z innego punktu widzenia, niepodobna odmówić mu doniosłego znaczenia. W naszej dobie walk o nowy wyraz, nowy styl, o przepojenie całego życia pięknem i harmonią, winniśmy równocześnie pamiętać o potrzebach cielesnych. Altenberg zdołał w Prodromos ująć wszystkie te potrzeby cielesne nowoczesnego człowieka w zupełnie nową, niezwykle jędrną i charakterystyczną formę. Książka ta jest napomnieniem zarazem i pobudką. Prawdziwa kultura jest jedynie możliwa na zdrowej podstawie cielesnej, o którą dbać powinniśmy. Mens sana in corpore sano! Ale w jaki sposób osiągnąć to zdrowie cielesne? Dyetetyka przodków naszych nie na-

daje się dla dzisiejszej, bardziej wysubtelnionej, nerwowej konstytucyi. Owe dawne, prymitywne środki domowe, systemy hartowania się, owo rozrzutne szafowanie olbrzymiemi zasobami sił odziedziczonych, ustąpić musi rozumnej, intensywnej gospodarce. System trzypolowy przeżył się. Musimy się uciec do bardziej skomplikowanego płodozmianu. Plan tego płodozmianu szkicuje Altenberg. Chodzi tu przedewszystkiem o uduchownienie wszystkich funkcyj cielesnych. Ciało powinno być drogocennem, starannie pielęgnowanem naczyniem ducha, maszyneryą, która przy możliwie małem natężeniu sił, możliwie wysokie osiąga rezultaty. Nie dlatego, aby rdzewieć w bezczynności, ale dlatego, aby przy całem naprężeniu sił módz osiągnąć rzeczy dotychczas niedościgłe. „Kulawemu pomagać chodzić?!? Nie, chodzącemu do lotu dać siły!“—woła Altenberg. Nie w alkoholu, morfinie, haszyszu, nikotynie, opium leżą siły pomocnicze ducha, który w swem nieustannem dążeniu naprzód ciągle kształtuje skorupę człowieczą, czyniąc ją coraz podatniejszą swojej woli, nie przez sataniczne wyniszczanie ciała (materyi), przez histeryczne głodzenie instynktów i epileptyczne ekstazy słomiane osiągnąć można doskonałość! Nie zdobędą jej również ci, którzy myślą, że suty obiad, nadprogramowa doza snu i bezczynności potęguje energie życiowe. Jeszcze nikt nie zdobył nagrody, jako atleta, kto się stale i odpowiednio nie ćwiczył i muskułów w należyty sposób nie rozwijał. Każdy cel wymaga systematycznej, wysilonej pracy: Siły wołu nie przyswoimy sobie przez to, że go całego połkniemy, gdyż, jak słusznie powiada Altenberg: „On ne vit pas de ce qu'on mange, on vit de ce qu'on digére.“ W jaki sposób najkorzystniej, najintensywniej, a równocześnie najbardziej racyonalnie, prowadzić taką gospodarkę sił fizycznych, stara się Altenberg w Prodromos dobitnie wytłómaczyć. Dzieło to, które autor nazwał próbą fizyologicznej romantyki, zasługuje na jaknajszersze rozprzestrzenienie, jako bardzo pocieszający objaw w naszych do pewnego stopnia nerwowo przeczulonych, a cieleśnie jeszcze nawpół chorych czasach.

*

* *

W sprawozdaniu mojem w zeszycie lutowym Biblioteki, pisząc o grupie południowo-niemieckich poetów, pomiędzy którymi Hermann Hesse i Edward Straus zajmują najwybitniejsze miejsce, wspomniałem pobieżnie o Ludwiku Finkhu, którego debiut pierwszy uwieńczony został dużem powodzeniem. Ludwik Finkh wystąpił na początku roku bieżącego w sposób sensacyjny, odrazu aż z trzema dziełami: z dwoma tomami poezyj „Róże“ i „Biskra,“ przypominającemi w charakterze wdzięczną poezyę miłosną Bierbauma, znacznie jednakże pogłębioną, i z powieścią „Der Rosendoktor.“ Powieść ta, poświęcona Hermanowi Hessemu, czyni wrażenie wyznań autobiograficznych. Niektóre z poezyj, zawartych w zbiorze poezyj „Róże,“ przeplatają treść opowiadania, w którem postać przypominająca bohatera słynnej powieści Hessego „Piotr Camenzind“ odgrywa znamienną rolę i ilustruje widocznie wzajemny stosunek obu autorów. Pozatem łączą oba utwory liczne analogie formalne. Powieść Finkha zwraca na siebie uwagę tonem słonecznej pogody i wielkiego umiłowania. Możnaby ją nazwać wielką pieśnią pochwalną na cześć życia i na cześć... kobiety. Uwielbienie to dla rodu kobiecego w naszym wieku bezwzględnej otwartości działa jak anachronizm, przyczyniło się jednakże w wysokim stopniu do powodzenia tego bardzo miłego i świeżego poematu prozą. Porównywano autora i nie bez słuszności, do owego trubadura średniowiecznego (zwanego „Frauenlob“), którego grobowiec znajduje się w jednym z krużganków prastarej katedry mogunckiej i którego trumnę słynne z piękności obywatelki Moguncyi same zaniosły na miejsce wiecznego odpoczynku — z wdzięczności.

Czy kobiety dzisiejsze okazałyby się równie wdzięcznemi, jak owe średniowieczne obywatelki Moguncyi, jest rzeczą bardzo wątpliwą.

Na nowożytne, niezależne kobiety zbyt gorące, przesadne pochwały i różowe uogólnienia Finkha nie wywarły zapewne wrażenia, zobowiązującego do wdzięczności, a owe inne, których zapatrywania nie różnią się wiele od zapatrywań średniowiecznych obywatelek Moguncyi, czytają niewątpliwie z przyjemnością tak piękne, serdeczne wyznania, ale czyżby im mogły wierzyć, wobec nieubłaganej bezwzględności życia dzisiejszego?

Bądź co bądź, młody autor, pomimo całego swego różowego optymizmu, który pachnie wiosną, sprawia i na bardziej krytycznie usposobionym czytelniku wrażenie niezwykle sympatyczne. W poezyach tych, pełnych zapachu róż, na stronicach powieści tej, opiewającej w tonie źródlanej świeżości, dzieje serca, przepełnionego

po brzegi miłością, historyę młodzieńca, który głód cierpi, aby ukochanej róże kupować i w końcu dla szczęścia jej i przyjaciela wyrzeka się swoich starszych praw, brzmi taka szczera miłość życia, taka czystość uczucia i dobroć, że nie podobna nie polubić autora. Z czasem, gdy niebezpieczne uogólnienia ustąpią miejsca obserwacyom chłodniejszym, gdy autor nauczy się uczucia swoje trzymać w karbach — o, bo jakiegoż panowania nad sobą trzeba dla namiętności, aby się stała twórczą!—a pomimo tego zachowa swą teraźniejszą szlachetność, można będzie po Ludwiku Finkhu spodziewać się rzeczy znacznie jeszcze lepszych.

*

* *

Śmierć jest jednym z najpewniejszych mierników wielkości ludzkiej. Wielkie duchy urastają po śmierci do rozmiarów olbrzymich, a małe nikną, kurczą, ulatniają się. Chcąc dziś np. skonstruować postacie Goethego, Mickiewicza, Słowackiego i nadając im ciała, odpowiadające ich dzisiejszej wielkości, ich dzisiejszemu znaczeniu, trzebaby było stworzyć olbrzymów, sięgających czołami dumnemi chmur. Takich rozmiarów dosięgła w oczach potomstwa ich prawdziwa wielkość! Jednym z tych, których śmierć powiększyła, jest Fryderyk Nietzsche. Dotychczas postać jego rosła nieustannie. Każda nowa publikacya z weimarskich archiwów filozofa-poety była nowym przyczynkiem do jego sławy. Spory snop światła na ostatnie lata życia Nietzschego rzuciło kilka nowych publikacyj.

Przedewszystkiem zasługuje na uwagę korespondencya Nietzschego, której tom trzeci wyszedł z druku. Ciekawe są również pamiętniki przyjaciela Nietzschego, profesora Overbecka, oraz krótka korespondencya jego z kompozytorem Piotrem Gastem, w której zawarty jest dokładny opis historyi obłędu Nietzschego.

Ostatni tom korespondencyj daje nam poznać w całej pełni wielką samotność filozofa. Z każdego niemal wiersza jego listów wygląda widmo samotności. Samotny był, napróżno ręka jego szukała dłoni przyjaciela, napróżno rozsyłał pisma swe, rzucał krwawe ochłapy serca do nóg tym, których uważał za zdolnych do pojęcia i zrozumienia go. Nikt nie przychodził. Przeciwnie, osamotnienie stawało się coraz większe. Stosunek i wymiana my-

śli z ulubionym nauczycielem, Fryderykiem Rietschlem, zostały przerwane od czasu wystąpienia ucznia w obronie Ryszarda Wagnera i jego sztuki, i nawet później, gdy Nietzsche, zwróciwszy się do pozytywizmu, oddalił się od Wagnera, na nowo nawiązany stosunek z Rietschlem nie powrócił do dawnej zażyłości. Różnica wieku i zapatrywań zbyt już była wielka.

Za jednego z najbliższych przyjaciół Nietzschego uchodził Jakób Burckhardt, profesor historyi przy uniwersytecie w Bazylei, długoletni kolega Nietzschego i autor znanej „Historyi odrodzenia we Włoszech.“ Czytając jego chłodne, prawie ceremonialne odpowiedzi na pełne wylania listy Nietzschego, widzimy, że i w tym stosunku wielki samotnik łudził się potężnie co do uczuć swego otoczenia. Dość zagłębić się w ton listów Burckhardta. Każdy nosi niezatarte ślady wielokrotnych poprawek, dobierania słów, pełen jest ogólników mało mówiących i nieszczerych. Pomimo tego przenikliwy psycholog i świetny stylista Nietzsche nazywa Burckhardta jednym ze swych najlepszych czytelników. „Jedno słówko odpowiedzi ze strony Pańskiej uczyniłoby mnie szczęśliwym“ pisze Nietzsche w jesieni z Turynu, na kilka miesięcy zaledwie przed katastrofą. Ale napomnienie to, do którego dołączone było ostatnie dzieło Nietzschego: „Der Fall Wagner“ i poprzedni przed rokiem pisany list, towarzyszący przesyłce „Genealogii Moralności“ pozostały niestety bez odpowiedzi, ponieważ Burckhardt, jak sam potem wyznał siostrze Nietzschego, pism tych nie zrozumiał. Odpowiedzi Burckhardta na poprzednie przesyłki dzieł Nietzschego działają dziwnie. O „Wiedzy radosnej“ pisze: „Wogóle obawiam się, że wiele z tego, co Pan pisze (a może nawet najlepsza część) przechodzi zdolności mojej starej głowy;“ o „Zaratustrze:“ „przekonałem się teraz, jak powierzchownie traktowałem rzeczy przez cały ciąg mego życia,“ o „Poza Dobrem i Złem:“ „przecenia Pan stanowczo moje zdolności...“ Wszystko to brzmi bardzo pochlebnie dla Nietzschego, ale niezbyt pocieszająco ze względu na przyjacielską wymianę myśli; kto tak pisze, nie jest w stanie być współczującym i współrozumiejącym towarzysza, a o takich przecież Nietzschemu przedewszystkiem chodziło.

„Dwóch mam tylko czytelników, pisze Nietzsche w liście swym do Burckhardta, Pana i Pańskiego zwolennika i wielbiciela we Francyi, Hipolita Taine'a. Proszę mi nie brać za złe, że czasami na pocieszenie mówię sobie: dotychczas mam dwóch czytelników, ale jakich!“ Listy Taine'a, pisane w tonie ugrzecznionym, nie wychodzą poza granice zwykłych formalności. Za każde otrzymane dzieło (Nietzsche wysyłał mu regularnie ukazujące się w dru-

ku prace swe) dziękuje uprzejmie, dotykając bardzo zlekka treści. O głębszem wniknięciu w idee Nietzschego mowy być nie może.

Korespondencya z młodym, obiecującym, przedwcześnie zmarłym filozofem, baronem Henrykiem von Stein (Stein napisał jako 20-to letni młodzieniec dzieło filozoficzne: „Ideały Materyalizmu. Filozofia liryczna Armanda Pensier"), który miał dużo pokrewieństwa duchowego z Nietzschem i był, o ile sądzić można, jakby stworzony na ucznia Nietzschego, nacechowana jest takim tragizmem, tak wstrząsający nam przedstawia obraz samotnika z Sils Maria, że niepodobna jej czytać bez wzruszenia. Szczególniej ów list Nietzschego napisany po bytności Steina w Sils Maria, gdzie Nietzsche stale w lecie mieszkał i zawierający w formie poetycznej ukryte zaproszenie do wspólnej pracy dla wspólnego ideału, jest wcieleniem owej nieobjętej, przepastnej, nigdy nie zaspokojonej tęsknoty za przyjaźnią i zrozumieniem ludzkiem, która bywa zazwyczaj udziałem wszystkich wielkich samotników, tutaj na ziemi.

Oh Lebens Mittag! Feierliche Zeit!
Oh Sommer-Garten!
Unruhig Glück im Stehn und Späbn und Warten!
Der Freunde harr'ich Tag und Nacht bereit:
Wo bleibt ihr Freunde? Kommt! S'ist Zeit! S'ist Zeit!
etc. etc.

(Południe życia! Godzino świąteczna! Ogrodzie w przepychu letniej piękności! Szczęście niespokojne czekania i wyglądania! Na przyjaciół czekam dnie i noce całe. O, gdzież jesteście? Chodźcie! Czas już, czas! i t. d.)

I jakaż była odpowiedź Steina na to tak serdeczne, doniosłe zaproszenie? „Na taką odezwę, szanowny przyjacielu, pozostaje tylko jedna odpowiedź: przyjechać, poświęcić się w zupełności, jako najszlachetniejszemu zawodowi, pracy nad zrozumieniem tego, co Pan masz do powiedzenia. Tego niestety nie mogę. Przyszła mi jednakże inna myśl do głowy: raz na tydzień schodzę się z dwoma przyjaciółmi dla czytania ustępów z leksykonu Wagnerowskiego..." i w związku z opisem tego stowarzyszenia ośmiela się młodociany „przyjaciel" zaproponować mistrzowi udział listowny w tych błahych dyskusyach trzech niedojrzałych, zapalonych wagneryanów. Ironia losu! Na korzyść Steina należy nadmienić, że podróż jego z Beyreutu do Sils Maria połączona była z misyą tajną nawiązania nowych stosunków pomiędzy Wagnerem i Nietzschem. Prawdopodobnie już wówczas (w sierpniu 1884 r.) prze-

konał się jednak, że to nie było rzeczą łatwą i, oddawszy się czarowi obcowania z Nietzschem, misyę swą odłożył na później. Powyżej cytowany list musiał być widocznie próbą spełnienia wziętego na się w Beyreucie zobowiązania, bądź co bądź bardzo niezręczną i niestosowną.

Jedynym punktem jaśniejszym w stosunku do świata zewnętrznego w ostatnich latach samotności Nietzschego była ożywiona wymiana listów z Jerzym Brandesem, która bez przerwy trwała przez rok cały od 20 listopada 1887 r., do 23 listopada 1888 roku, t. j. do chwili zachorowania Nietzschego. Brandes był wówczas jedynym (wyjąwszy Piotra Gasta) człowiekiem, który się tak żywo zainteresował twórczością Nietzschego i o ile możności starał się nie tylko wniknąć w ducha jego filozofii, ale odczytami swemi i studyami literackiemi przyczynił się niemało do zwrócenia nań uwagi szerszych kół.

„Tak lekko, dobrze, silnie się teraz czuję, pisze Nietzsche do Brandesa w maju 1888 r. z Turynu, że najpoważniejszym rzeczom nawet przyczepiam mały ogonek błazeństwa. Skąd się to wszystko wzięło? Czy to przypadkiem nie są dobre *wiatry północne*, którym to wszystko mam do zawdzięczenia. Te wiatry północne, które nie zawsze z Alp wieją? bo czasami aż z K o p e n h a g i !...

Brandes też po zachorowaniu Nietzschego był pierwszym, który w przychylny sposób odezwał się o nieznanym filozofie w prasie niemieckiej.

Korespondencya z Brandesem była może wówczas, w tym okresie zupełnego osamotnienia, jedynym miłym łącznikiem Nietzschego ze światem, gdyż nawet długoletni stosunek zażyłości do szlachetnej i dobrej, ale na punkcie kultu Wagnera zaślepionej starej przyjaciółki Malwiny von Maysenbug (korespondencya z nią zajmuje prawie połowę około 300 stronic trzeciego tomu) uległ był wówczas raptownej zmianie pod wpływem wystąpienia Nietzschego przeciw Wagnerowi. Nawet ukochana siostra Nietzschego, Elżbieta Förster, która później tak znamienną rolę grała podczas dalszego przebiegu choroby brata, jako jego opiekunka i wydawczyni jego dzieł pośmiertnych (Elżbieta Förster wydała również korespondencyę Nietzschego) bardzo rzadkie dawała wówczas znaki życia z Ameryki południowej, gdzie z mężem swoim dłuższy czas bawiła.

Sam był! I to w chwili najwyższego natężenia duchowego, bajecznej, getowsko jasnej twórczości i przygotowywania się do głównego dzieła swego życia „Umwertung aller Werte“ (Przeszacowanie wszystkich wartości), którego fragmenty imponujące przej-

mują dzisiejszego czytelnika żalem i smutkiem. W samotności tej w mieszkaniu właściciela kiosku dla sprzedaży gazet w Turynie, u którego Nietzsche w ostatnich czasach swej świadomości ziemskiej mieszkał, otworzyła mu się naraz przepaść obłędu.

Nagły obłęd Nietzschego był z początku w rękach przeciwników silnym argumentem przeciw jego filozofii. Argumentem tym straszyli „maluczkich duchem.“ Z drugiej strony jednak sensacya, którą wywołali, przyczyniła się jakby na złość ich zamiarom, do nieoczekiwanej popularności Nietzschego, która, jak dziś widzimy, była śmiesznem nieporozumieniem.

Na ostatni akt tragedyi życia Nietzschego rzuca jaskrawe światło korespondencya przyjaznego Nietzschemu profesora Overbecka, z wielbicielem Nietzschego, kompozytorem Henrykiem von Köselitz, którego znamy z pism Nietzschego pod pseudonimem Piotra Gasta. Overbeck na zasadzie kilku listów Nietzschego, bardzo niepokojącej treści, postanowił niezwłocznie udać się do Turynu w celu zapobieżenia skandalowi i, przyjechawszy już za późno, zajął się przewiezieniem chorego do Bazylei, gdzie go tymczasem umieszczono w domu obłąkanych. Korespondencya ta obejmuje okres 14-tu miesięcy, od stycznia 1889 do marca 1890 r. t. j. od zachorowania Nietzschego do przewiezienia go z zakładu do mieszkania prywatnego matki i zawiera wstrząsające szczegóły i opisy „zmierzchu bohatera myśli.“

Opublikowanie tych niezmiernie ważnych dokumentów wraz z pamiętnikami niedawno zmarłego profesora Overbecka zawdzięczamy redakcyi wybitnego miesięcznika „Neue Rundschau.“

Obłęd Nietzschego nie był dziedziczną chorobą, ale jak to teraz z zupełną dokładnością widzimy, wynikiem jego szalonej pracy, środków sztucznych, których używał przeciw bezsenności, samotności i przedewszystkiem jego bezwzględnej autoanalizy. Analizy, którą z całą bezwzględnością badacza filozof stosował względem samego siebie i która stała się głównem źródłem niebezpieczeństwa i w końcu zgubą jego. Obłęd Nietzschego nie był przypadkiem, ale koniecznym, naturalnym wynikiem jego filozofii, a nie filozofia jego wynikiem jakoby obłędnych instynktów! — Dlatego słusznie możnaby go nazwać męczennikiem i bohaterem własnej idei, nowożytnym wcieleniem tęsknoty Prometeuszowej, która w walce zapamiętałej o światło wiedzy, poznania, o sens bytu stoczyła się w przepaście wiecznej nocy.

W jednym ze swoich aforyzmów stawia Nietzsche pytanie, czy badacz byłby w stanie popełnić zbrodnię jedynie dla wiedzy. Zbrodnię tę i to w dodatku względem siebie samego, popełnił Nie-

tzsche, ale sposób w jaki ją popełnił i cele, dla których tak postąpił, rozgrzeszają go. „Życie Nietzschego uczy nas osądzać sprawiedliwie koniec jego, cenić go, jako godne zakończenie“—pisze Overbeck w swoich pamiętnikach.

Pamiętniki Overbecka poświęcone są wyłącznie Nietzschemu. Znajdujemy tam sporo ciekawych i bardzo trafnych spostrzeżeń, dotyczących osoby i filozofii Nietzschego, oryginalne porównania krytyczne i zestawienia pomiędzy Nietzschem, Pascalem, Legardem, Herderem, Proudhonem, Russem i Stirnerem, analizę stosunku Nietzschego do chrześcijaństwa, antysemityzmu i moralności, krytykę idei o nadczłowieczeństwie i wiecznem kole powrotu wszechrzeczy, hipotezy o podwójnej moralności: moralności władców i niewolników. Błędnem jest mniemanie Overbecka, że Nietzsche nie posiadał dostatecznych zdolności artystycznych na twórcę i usiłowanie zakwestyonowania wszelkich śladów polskości w jego charakterze i sposobie myślenia. Overbeck nazywa sympatye polskie Nietzschego fantastycznemi mrzonkami, zapominając o tem, że tak silne sympatye same przez się są już dowodem. Pamiętniki Overbecka przedstawiają nam jednego z tych ścisłych, zawsze trzeźwych i sceptycznych pozytywistów z drugiej połowy XIX wieku, którym brak najważniejszych danych do zrozumienia rzeczywistej wartości Nietzschego. Pomimo uznania i przyjaźni nawet, żaden z nich nie był w stanie podnieść się na wyżyny współtwórczości duchowej z poetą-filozofem. Fakt, nad którym Nietzsche sam bolał najwięcej, i który w znacznej mierze przyczynił się do osamotnienia ostatnich coraz bardziej natchnionych lat jego życia. Wszystkie umysły w Niemczech o instynktach optymistycznych, twórczych znajdowały się wówczas jeszcze pod czarem wielkiego czarownika Wagnera. Oto treść ostatniego aktu w tragicznej walce dwóch bratnich duchów, której epilog dają dziś: siostra Nietzschego Elżbieta Förster-Nietzsche, opiekuńczy duch archiwum Nietzschego w Weimarze i [1]) genialna kierowniczka przedstawień teatralnych w świątyni sztuki w Beyreucie.

Jan Kaczkowski.

[1]) Cosima Wagner, żona Ryszarda Wagnera.

ROZMAITOŚCI.

TEMPUS EDAX?

(Kilka kartek ze szkicownika).

Znacie może bajkę o tajemniczych skarbach, co leżą w dalekiej krainie, przy wielkim ruchliwym gościńcu, niczem nie zakryte a przez nikogo nie naruszane?

Bajka mówi, że przechodnie idą mimo i nie dostrzegają niczego. Trudną jest sztuka dojrzenia ich wśród pospolitego otoczenia. Wymaga ona sporego nakładu pracy, a zresztą udaje się tylko tym szczęśliwcom, którym już przy urodzeniu dobra wróżka-feja nałożyła na oczy przejrzystą opaskę-niewidkę, z cudownego utkaną muślinu.

Bajkę rozumie każdy i każdy wie, o czem ona prawi, bo skarbów podobnych mamy wiele. Jest jednak wśród nich jeden, lepiej może od innych oczarowany. Ci, co go znają, mówią o nim stanowczo zamało. Nie zawsze zresztą z winy samolubstwa. Wrażenia, jakie na widok jego doznajemy, nie są łatwe do opisania, jak wszystko, co się dzieje wśród milczenia. Jak każda impresya przelotnymi są ptakami.

. . . . . .

Spróbujmy jednego z nich zatrzymać.....

. . . . . .

Zbocze zachodnie Wawelu; partya „na Rybakach,“ w mroźny, pogodny poranek grudniowy.

Zdala zaśnieżone, miękkie zarysy pogórza, wokół spokój pól wydłużonych,—bliżej szmat rzeki wiecznie przelewającej swe wody.

W tem otoczeniu i na tem tle biją w oczy dwie jasne dziwaczne plamy: mniejsza pomidorowo-ceglasta,—większa kremowa; obie pokrzywionymi konturami mocno podkreślone i ujęte. To dwa staroświeckie dworki, o skromnym, ale wdzięcznym baroku zbudowane, — jeden z resztą ornamentów i z wystającą podsibitką — drugi z lekkim ryzalitem i z wielkim, podwójnym, załamanym dachem.

Z im większą wpatrywałeś się uwagą, tem silniej pociągał cię osobliwy tej grupy charakter.

Wszystkie linie, wszystkie krawędzie, gzemsy czy żłobkowania porzucały więzy przez człowieka im narzucone, wszelką regularność, kierunek jednolity, wszelki związek z libelką. Ogarnęło je lekkie drganie. Każda falowała w biegu.

I szczególniej domek niższy przechodził cały pod rozkazy pana nowego. Wielka siła podziemna w dół go ciągnęła. Zapadał się bokiem, chylił i węgły rozluźniał. I stał tak, oparty o dworek piętrowy — stał w tych niedbałych liniach, doskonale zestrojony z całem otoczeniem, nawet z pobliską niesforną gromadką chochołów-karzełków, cichy — rzekłbyś — spokojnie uśmiechnięty do jasnej, delikatnej tarczy słońca porannego.

„Przestałem być, ja i mój sąsiad — mówił — tworem rąk ludzkich wyłącznie. Nie im zawdzięczamy nasz wdzięk nowy. Stajemy się czemś więcej, synami natury. Siły jej krążą już w całym naszym organizmie. Rozmiłowana w nieskończonem bogactwie kształtów, wypiera ona styl człowieka i ubiera nas w styl własny. Od niej to mamy tę rozmaitość linij. Nawet cerę zmieniamy...“

I był urok wielki w tem przechodzeniu domków pod wielkie, nieśmiertelne żywotne prawa przyrody.

*

* *

Kto naturę czci prawdziwie, kto wie, jakie sympozyon gotuje ona tym, co z pokorą wnikają, wczuwają się w jej majestatyczną duszę, ten uraduje się widząc, że przecież wbrew wyobrażeniu ogółu, władza jej nie kończy się tam, gdzie przyszedł człowiek ze swą sztywną miarą murarską. Natura nie daruje banalnym budowlom ich beznadziejnie sztywnych, nudnych i kanciastych

linij. Zmiękczy je i zetrze ich twardość, a złagodzi tony barw brutalne. Zaś gdy napotka prawdziwego artystę, podaje mu dłoń przyjazną i wtedy nad dziełem jego rozgrywa się misteryum cudowne. Zwykły przechodzeń nie zwraca na nie uwagi, bo jak wszystkie dawne misterya, trwa ono długo i odbywa się w uroczystym spokoju.

Mówimy wtedy o patynie, ale czy, przeciętnie biorąc, nie zamało zwracamy uwagi na piękno nieskończone tego zjawiska, na skomplikowaną jego organizacyę, na nieprzerwaną jego ciągłość i zakres rozległy?

Największą popularność zdobyła sobie patyna rzeźb, delikatna, woskowa powłoka marmurów i zieleń bronzów-antyków. Dlaczego jednak ta właśnie ma prym trzymać? [1]) Przyroda tworzy może piękniejsze jeszcze cuda.

Ogarnij wzrokiem całość miast starych, ot naprzykład, małych, stylowych miasteczek niemieckich, szczęśliwie ustrzeżonych przed ręką przesadnie restaurujących drapimurków wielkomiejskich. Na wszystkiem tkwi jakby opar misterny, rozsnuty wszędzie, przejrzysty a jednak przyćmiewający koloryt dawniej krzykliwy. Mimo niewyczerpanej rozmaitości odcieni, wszystko sprowadzone do prześlicznego, wspólnego, jakby pastelowego, zasadniczego tonu.

To znów Jej dzieło.

Na prastarej wieży ciosowej, zwiesza zimne, popielato-czarne smugi, uwydatniające srebrzystą biel południowej ściany; — odwieczne dachy gontowe powleka różnorodną polichromią, raz szorstką, raz pluszową, podobną kręgom barw na powłoce wód zaspanych, błotnych; — tynk długich ścian i murów obleka w dziwny woal smutku, w oponę zmurszałą, w szatę zgrzybiałych a ponurych starców...

Spojrzyj na ów barokowy pałacyk! Tu znów dachówka przepojona głębokim tonem wiśniowym; linie portalów i krawędzie facyaty wprawione w owo cudowne leciuchne drganie; — dekoracyjne figury nabierają coraz grymaśniejszego wyrazu i ruchu. Stoją stare amorki, w szarozielonych czepcach z narośli, z płachtami płamistemi na ramionach...

---

[1]) Nawiasem można dodać, że tendencya do zamglonych linij w nowoczesnej rzeźbie (Rosso, Rodin i w. in.) da się *między innemi* przedstawić także, jako naśladowanie i uprzedzanie efektów, jakie czas, przyroda, z biegiem lat wprowadza.

Któż zdoła zliczyć i opisać te tysiączne pomysły przyrody? Cała skala nastrojów i uczuć przebiega jej dzieła. Szczytem skali jest może ów jasny uśmiech, jakim zakwitają białe, zwietrzałe, utrącone szkarpy i pinakle gotyckie. Dziwne wesele wśród ruiny.

. . . . . .

To też niema nic nieznośniejszego nad „święte“ oburzenie, z jakiem pewna grupa ludzi, patrząc na te rzeczy, mówi o nieporządku, o brudzie, o niedbałości. Wprowadź znawcę tego gatunku np. do Stephansdomu we Wiedniu i pokaż mu pomnik Fryderyka III-go. Pokaż mu te zakurzone lwy-antropidy, małpo-żaby, węże, psy rogate, kruki i krogulce, wszystkie te potwory, co tam w dole szczerzą na się zęby, wytrzeszczają ślepie, wzajemnie kąsają się i wiją w dziwnej procesyi, wśród czaszek ludzkich za balustradą grobowca. Nasz kochany towarzysz będzie się przedewszystkiem gniewał na służbę kościelną, za jej niedbalstwo, za ten pył, który na wszystkiem spoczywa i nie pozwala mu — jak mówi — widzieć to wszystko „dokładniej.“ Nie rozumie biedak, że ten fantastyczny wieniec straciłby połowę swego widziadłowego charakteru, gdyby się z niego starło wiekowy kurz białawy, co, odrzynając ostro tylko kudły zwierząt, stapia tło ze straszydłami, powleka miękką błoną ich cielska i lędźwie, nietoperzowe skrzydła na jaszczurczych grzbietach.

Ale z ludźmi owymi niema co długo rozprawiać, bo gdziekolwiek się znajdą, będą zawsze niepoprawni. Zachowają się tak, jak pewien „turysta,“ którego podczas wakacyi poznałem. Dużo opowiadał on o swych dla natury afektach, a celował w zajmowaniu praktycznego względem niej stanowiska. Znaleźliśmy się raz pod wieczór w wielkim wąwozie górskim. Zmrok zapadał, chmurno było i mglisto, świeżo po deszczu; ale zato partye i widoki mieliśmy niezwykłe.

Pamiętam do dziś te mgiełki-obłoczki, wałęsające się niedbale lub opadłe sennie na aksamitne, ponure, nieprzeniknione zastępy smereków. Nad nimi bastyony skalne, zimne, nagie, w łachmanach z chaszczów i kęp krzaczastych — zmoczone. A wszystko przetkane delikatnie wibrującym oparem mglistym. — Cisza. — Chwilami tylko daleki śpiew pastuchów — dzikie, gardłowe, urywane zawodzenie...

Nasz znajomy odczuł to wszystko i pojął doskonale! Całą drogę tłómaczył towarzyszom, że widok byłby o wiele ładniejszy,

gdyby mgły nie było, — że teraz jest błoto, że mu palto wilgocią przejdzie... (Trwożliwszych uspokajam, że kataru nie dostał).

. . . . . .

Źle byłoby, gdybyśmy gwoli malowniczości zostawili nietknięte wszystkie zniszczone budynki, pozwalali murom wybrzuszać się, a tynkowi czy cegłom spadać na głowy przechodniów. Ale czyż przy odnawianiu starych budowli, tak u nas, jak zagranicą, *nie zamało* trzymano się dotąd nowszego prądu w tej dziedzinie, który każe jaknajmniej „czyścić“ i wymieniać, jaknajmniej autentycznych szczegółów architektonicznych składać w lapidaryach, jaknajwięcej zostawiać na miejscu i tylko ubezpieczać, wzmacniać? Ruch ten każe nie zapominać, że nawet „bezstylowe“ dodatki mogą mieć malowniczy rysunek lub ciekawe proporcye!

Tak, i proporcye! Starzy mistrze posiadali i w tym kierunku talent i dar wielki, nieraz może nieuświadomiony, — a owoce jego i objawy odkrywa z radością oko znawcy nawet na *niepozornych* dla zwykłego przechodnia budynkach.

Mówiąc o tych ostatnich, warto może podnieść, jak wiele to takich zabytków traci rok rocznie Warszawa. Myślę o jej barokowych domach i pałacykach, pełnych wdzięku, którego nie zastąpią wyciągnięte pod sznur, wielce „europejskie“ domy czynszowe.

Czyż chorując na (imitowany) kult dla ideału t. z. „nowoczesnego“ miasta, będziemy ślepi na niezrównany urok starych budowli i ulic, które są o wiele mniej proste, długie, wielkie, szerokie i „czyste,“—lecz o tyleż więcej wykazują bogactwa, fantazyi i delikatnego poczucia artystycznego twórców?

Czyż będziemy czekać, aż zagranica, aż ludzie wysokiej nauki i prawdziwie kulturalnego smaku zwrócą uwagę na piękność barokowej Warszawy, jak to świeżo uczynił prof. Jorga w swych wspomnieniach z podróży.

Obyż zorganizowano wreszcie opiekę nad tem, co pozostało! Przyjdzie czas, kiedy i szersze warstwy zrozumieją, że tu nie chodzi o sam szacunek dla starości i historyi.

Z naciskiem należałoby powiedzieć to samo o odniesieniu do patyny, szczególniej ze względu na przeciwne, niedawno wygłoszone zdanie jednego z zasłużonych krakowskich konserwatorów, który w zamiłowaniu patyny widzi tylko pociąg ku starożytności i urok tradycyi, — przecząc istnieniu wdzięku niezależnego od historyi.

Kto podobne wygłasza zdanie, ten zapoznaje doniosłe, estetyczne znaczenie, jakie ma dla Krakowa patyna jego starych budowli.

Nieraz spotyka się np. w różnych sferach zdanie, że front (północny) skarbca na Wawelu nie został „całkiem“ odrestaurowany, że jest jeszcze zbyt zaniszczony. A jednak czyż nie powinniśmy właśnie największą wdzięczność odczuwać dla restauratorów, za to, że nie „wyczyścili“ całej tej ponurej ściany kamiennej z grynszpanowemi i czarniawemi smugami, i z rdzą ciekącą po białem tle zwietrzałego kamienia. Ta surowa, bezładna mozaika jest sama, jak fragment prastarej epopei, ma w sobie szczególną, posępną, nieprzystępną, niezrozumiałą dla masy — poezyę.

. . . . . .

Zezwól, czytelniku, na jedno jeszcze wspomnienie...

. . . . . .

Wielka nawa kościoła gotyckiego. Na ścianie bocznej,—zabłąkany może z królewskiej świetlicy — gobelin przepyszny, ze schyłku średniowiecza, illustrujący starą legendę. Jakiś władca w długiej, powłóczystej szacie wskazuje niedbale ręką na swego sąsiada. Po bokach kilka osób, też w strojach świątecznych, ciężkich, bogato sfałdowanych. Za niemi, zadumane twarze innych członków orszaku. Postacie wielkie. Stosownie do ówczesnej, a dziś powracającej, maniery, wypełniają sobą całe pole obrazu, co im wyrazistości dodaje.

Koloryt niezbyt ciekawy. Lecz zato rysunek!

Wyszedł on z pod ręki niezrównanego mistrza. Wskazują to szczególniej twarze, świetnie nakreślone,—te rysy delikatne, te brwi, co biegną tak wdzięcznie łukiem wysokim.

Od całego „arrazzi“ wionie urok wielki, a jednak, jednak, nie jest on wyłączną artysty-człowieka zasługą.

Bo oto przyszedł mistrz drugi. Ten prószy lekko a bez przerwy pyłem przejrzystym; rozluźnia delikatnie nić czarną, którą śmiało rysy twarzy podkreślono; strzępi pasma na szatach wzorzystych; nieznacznie obciąga ku dołowi ciężki gobelin.

I oto kontury dawniej za ostre nabierają słabej ale dostrzegalnej falistości, miękną;—linie twarzy stają się dziwnie subtelne, eteryczne; rysy wydłużają się, wyszlachetniają, chwila — a zadrżą zlekka.

I nachodzi cię wrażenie, że „arrazzi“ ma jakieś swoje, własne, dziwne życie. Przyćmione postacie zdają się spokojnie unosić,

trwać w powietrzu z własnej mocy, jak trwają, jak unoszą się postacie snów naszych.

A oczy ich! Ach, te spłowiałe, blade, niebieskawe oczy!

To więcej niż sen; to myśl—marzenie. Nie patrzą na świat realny, — patrzą dalej — w taką dal...!

. . . . . .

A teraz pomyślmy, że to wszystko określono zwrotem: „Tempus edax“ (homo edacior), że ten zwrot przyjął się tak powszechnie! Jakże z tych czterech słów wyłania się duch Rzymu, zamiłowanego więcej w dosadnem, niż artystycznem określaniu — w krótkiem raczej „ustaleniu“ faktycznego stanu rzeczy, niż w dłuższych na dany temat medytacyach. Czy nie brzmi to zdanie trochę, jak formułka z pandektów?

Nie jest ono zresztą pozbawione wszelkiej słuszności, ale... ale to nie wszystko—to nie tak. Są jeszcze inne punkty widzenia.

Nie mówmy o Nim: „Tempus edax.“ Oddajmy Mu cześć należną i wymówmy słowa inne:

„altissimo poeta.“

M. M.

ALEKSANDER REMBOWSKI.

Ledwie przycichły dzwony żałobne, rozkołysane nad mogiłą ś. p. prof. Hieronima Łopacińskiego, a już zabrzmiały na nowo, aby zwiastować polskiemu światu naukowemu stratę jeszcze cięższą, jeszcze bardziej niepowetowaną.

Umarł Aleksander Rembowski.

Nazwisko jego łączy się ściśle z naszą *Biblioteką*, której był długoletnim, stałym współpracownikiem. Dla czytelników naszych nie jest też obca płodna i wielostronna działalność tego pisarza, który zostawia po sobie bogatą puściznę naukową. Rozejrzy się w tej puściźnie i oceni ją właściwie pióro fachowe, w ramach szerszych niż obecne wspomnienie pozgonne. Tu—możemy tylko oddać hołd, należny pamięci zmarłego i pod pierwszem wrażeniem poniesionej straty zaznaczyć ogólnikowo jej doniosłość.

Aleksander Rembowski urodził się w r. 1847 w Klonowie, w Kaliskiem. Nauki gimnazyalne pobierał w Piotrkowie, gdzie pod wpływem nauczyciela, wykładającego wówczas historyę w szkole tamtejszej, gorąco rozmiłował się w dziejach ojczystych. Ten pierwszy impuls był tak silny, że przewodniczył Rembowskiemu w dalszych studyach, podjętych w następstwie planowo i zakrojonych szeroko.

Jako słuchacz Szkoły Głównej, gdzie studyował prawo, Rembowski skłaniał się już bardzo wyraźnie ku dziedzinie prawno-historycznej. Przeniósłszy się następnie do Heidelberga w dalszym ciągu pracował w obranym kierunku, specyalizując się w dziedzinie t. zw. nauk kameralnych, ze szczególnem uwzględnieniem prawa państwowego i administracyjnego.

Tak przygotowany stanął Rembowski na mało u nas uprawianym zagonie i zaczął go pracowitą ręką swoją obsiewać. Łą-

cząc w sobie wytrawną i głęboką znajomość dziejów ojczystych z szerokiem i gruntownem wykształceniem prawnika, odczuwał on, jak nikt inny, wszystkie anomalie naszego życia prawno-publicznego, kłócącego się na każdym kroku z przewodniemi zasadami polskiej myśli politycznej. Tej myśli szukał zaś wytrwale i odnajdywał ją w formach nieskażonych i u Ostroroga i u króla Stanisława Leszczyńskiego i w ustawodawstwie konstytucyjnem r. 1791. W pracach jego jest też widoczna dążność do nawiązania w nauce tej nici, którą wichura dziejowa zerwała, a opłakane dzieje ostatnich lat 40 stargały niemal doszczętnie.

Z tych względów każdy historyk i każdy prawnik polski musi się zapoznać bliżej z takiemi pracami Rembowskiego, jak jego rozprawa heidelberska: „Die polnische Agrargesetzgebung und Stadtgemeindeordnung von 1791," „Stanisław Leszczyński, jako statysta," „Jan Ostroróg i jego memoryał o naprawie Rzeczypospolitej wobec historyi, prawa i nauki politycznej," „Konferencya i rokosz w dawnem prawie państwowem polskiem" i t. d.

Ta dziedzina stanowiła atoli jeden tylko dział w pracy Rembowskiego. Obok badań historyczno-prawnych w dorobku jego naukowym widnieją dzieła o charakterze czysto-prawniczym. Rozległy umysł Rembowskiego, zaprawiony w najlepszej szkole do pracy samodzielnej, twórczej, polegającej nietylko na szperactwie naukowem, na gromadzeniu szczegółów dla innych i dokładnej znajomości literatury danego przedmiotu, ale i na budowaniu własnem — dążył zawsze i wszędzie do szerokiej syntezy. Ostrożny w tworzeniu na swoją rękę koncepcyj naukowych, ale śmiały w sądzie i łatwo oryentujący się w najzawilszych kwestyach, Rembowski był niezmiernie sumiennym badaczem prawa państwowego i administracyjnego. Szczególnie interesowała go *gmina*, jako najniższy, a zarazem najważniejszy organ samorządu, na którym wspiera się, jak na fundamencie, cała konstrukcya społeczno-państwowa. Studyom nad gminą poświęcił też Rembowski wiele czasu i śmiało powiedzieć można, że lepszego znawcy ustawodawstwa w tym kierunku i gruntowniejszego badacza tego przedmiotu w nauce polskiej nie było, a i nie prędko zapewne zjawi się ten, kto lukę, wytworzoną przez śmierć Rembowskiego, wypełni.

Praca jego „O gminie, jej urządzeniu i stosunku do państwa," a dalej rozprawy takie, jak: „Publiczne gospodarstwo gminy," „Uwagi nad ustawą dla gmin wiejskich" i cały szereg drobniejszych przyczynków, wyjaśniających rozmaite strony urządzeń samorządnych w kraju naszym i zagranicą — świadczą najwymowniej, jak głęboki, przenikliwy i wszechstronny był umysł ich autora.

Prace te stanowią też prawdziwą chlubę naszej nauki i zapewniają w niej Rembowskiemu na długo imię trwałe.

Krytyka fachowa bardzo wysoko stawia całą działalność naukową Rembowskiego na tem polu, uważając dzieło „O gminie“ za ostatni wyraz tego, co w czasie, kiedy autor pracę swoją wydawał, można było o ustroju gminnym powiedzieć.

Historyk i prawnik, uprawiający niwę prawa publicznego, z konieczności Rembowski dotykał się ciągle polityki, zwłaszcza tej, która narodowi naszemu wyrządziła tyle krzywd i zatrzymała na długo jego normalny rozwój kulturalny. Polityka ta zajmowała go, a nastręczające się kwestye bieżące budziły w nim potrzebę wypowiadania się i informowania opinii publicznej o tem, co dzień dzisiejszy przynosił. I potrzeba ta była tak silna, że poważny uczony nie wahał się w swoim czasie stanąć w szeregu współpracowników „Gazety Polskiej,“ na której łamach z górą przez lat dziesięć prowadził dział przeglądów politycznych.

Praca dziennikarska nie starła jednak w żarnach swoich autora „Gminy“ i nie oderwała go bynajmniej od warsztatu naukowego. Powoli dojrzewały na nim prace większe, o których wyżej była już mowa, a jednocześnie schodziły z niego bardzo często liczne krytyki i sprawozdania z dzieł historycznych i prawnych. Sprawozdania te drukowane w rozmaitych pismach (przeważnie w *Bibliotece Warszawskiej*, *Niwie*, *Atenæum*, *Kuryerze Warszawskim*, *Gazecie Polskiej*, *Tyg. Ilustrowanym*, *Gazecie Sądowej*), podznaczone zawsze skromnemi literami A. R., były nieraz swojego rodzaju studyami krytycznemi.

Mając niepospolity dar mówienia w sposób jasny i przystępny o trudnych nawet kwestyach, a nadto rozporządzając piórem, które z łatwością naginało się do wymagań szerszych sfer czytelniczych, Rembowski w ciągu długoletniej działalności swojej zaznajomił inteligencyę polską z bardzo długim szeregiem dzieł naukowych historycznych i prawnych, pojawiających się w naszej i w innych literaturach. Nie było chyba książki ważniejszej, którejby sam nie przeczytał, nie ocenił i, doszedłszy do wniosku, że zawiera ona rzeczy, mogące obchodzić ogół polski, nie napisał o niej i nie wykazał, na czem jej wartość polega i co tam jest dla nas pożytecznego lub ciekawego.

Znakomicie ułatwiało mu pracę w tym kierunku stanowisko bibliotekarza księgozbioru Ordynacyi Krasińskich, gdzie przez długie lata w ciszy pięknego pawilonu bibliotecznego mógł pracować w skupieniu, z całkowitem oddaniem się swojej umiłowanej nauce.

Tam, zbadawszy dokładnie materyały archiwalne do dziejów słynnego pułku szwoleżerów, którego historya tak blizko związana jest z rodem hr. Krasińskich, Rembowski przygotował do druku monografię tego pułku. Obszerne to dzieło, wkraczające przedmiotem swoim w dziedzinę wojskowości, dowiodło, że i ta dziedzina nie była mu obcą, jak zresztą wszystko, co dotyczyło Polski i jej przeszłości.

Ostatnie lata życia, czując może zbliżający się kres (aczkolwiek bynajmniej nie ustawał w pracy bieżącej) — poświęcił Rembowski zgromadzeniu swoich pism ulotnych, obejmujących trzy obszerne tomy. „Pisma“ te zawierają niezmiernie cenny materyał dla każdego, kto zapragnie poznać bliżej zakres pracy zmarłego. Z tych trzech ksiąg wyziera ku nam oblicze człowieka, który z hasłem *nulla dies sine linea* zabrał się do pracy i przerwał ją dopiero wtedy, kiedy uniemożliwiła mu ją ciężka choroba i wślad za nią idąca śmierć. Zdaje się, że Rembowski nie znał wypoczynku i nie miał nigdy spokojnych, niezamąconych myślą naukową „wczasów,“ bo kiedy sam przestawał pracować, wówczas czytał i przetrawiał prace innych.

Umysł jego, niezmiernie chwytliwy, zaczepiał się nieustannie o coraz to nowe kwestye, badał, szukał, sądził. Zupełnie wolny od jakiegokolwiek doktrynerstwa, objektywny do tego stopnia, iż nieraz dla uniknięcia zarzutu podmiotowości wstrzymywał się umyślnie z wypowiedzeniem kategorycznego zdania, zapalony do rzeczy swojskich, ale nie zaślepiony w ich ocenie, schylający czoło przed nauką obcych, ale nie trzymający się jej wzorów niewolniczo — szedł Rembowski w obranym kierunku wytrwale, zdobywając niepospolitą wiedzę i erudycyę w zakresie swojej nauki.

Ogólnie mu przyznawano, że był najlepszym i najgruntowniejszym u nas znawcą ustroju samorządnego, historyi stanu włościańskiego w Polsce, stosunków, panujących w państwach konstytucyjnych Europy i wogóle prawa publicznego, które u nas, dzięki specyalnym warunkom życia, tak bardzo w ostatnich kilkudziesięciu latach zostało zaniedbane.

I dziś, kiedy okowy, krępujące nasz rozwój zaczynają pękać, kiedy duch czasu rozsadza stare formy bytu państwowego mocarstwa, od którego jesteśmy zależni, kiedy bądź co bądź zbliża się era życia konstytucyjnego, kiedy miejsce samowoli administracyjjne muszą zastąpić stosunki praworządne — dziś właśnie, kiedy *prawo publiczne* staje się nauką, niezbędną dla każdego obywatela, bo kierującą jego krokami w życiu zbiorowem — dziś nam zabrakło najgruntowniejszego znawcy tego prawa—Aleksandra Rembowskiego.

Światła jego rada, której ostatnio zasięgała zorganizowana z inicyatywy władz administracyjnych komisya, obradująca nad samorządem miejskim u nas, nie istnieje dla nas więcej. W dziełach jego będziemy mogli szukać tylko wskazań i światła na tę drogę, która nas czeka. A że nam te wskazania i światło Rembowski zostawił po sobie, za to winniśmy mu wdzięczność.

Jego pracy, jego wiedzy, jego miłości, jaką żywił w sercu dla kraju ojczystego, jego uczuciom obywatelskim i prawości charakteru należy się hołd ze strony współczesnych, a ze strony potomnych pamięć, która — wierzymy w to mocno — nietylko nie wygaśnie, ale utrwali się, gdy z konieczności pokolenie młodsze będzie musiało nieraz obcować z Rembowskim, jako ze swoim nauczycielem i przewodnikiem w rozstrzyganiu spraw, ważnych dla kraju.

I to będzie niewątpliwie największą nagrodą pośmiertną dla pisarza, który całe życie swoje strawił na służbie nauki.

Z. D.

PIŚMIENNICTWO.

WARSCHAUER. Der polnische Reichstag von 1603 in der historischen Ueberlieferung und in der Darstellung des Schillerschen Demetrius. Vortrag gehalten in der öffentlichen Sitzung der Historischen Gesellschaft für die Provinz Posen. 1905.

Autor znany naszej literaturze, dzięki pożytecznemu i sumiennemu wydawnictwu ksiąg miasta Poznania, wydrukował odczyt swój, który wygłosił w Towarzystwie historycznem poznańskiem (niemieckiem). Odczyt powyższy poświęcony został pamięci Schillera a raczej polskiego Sejmu w r. 1603, który niemiecki poeta przedstawił w dramacie swym niedokończonym p. t. „Demetrius.“ Autor zaznacza, że Schiller, zarówno jak i historyk Ranke, najwięcej czuł pociągu do epok wielkich dziejowych katastrof, które się odgrywały w XVI i początku XVII wieku. Autor opisuje szczegółowo scenę sejmową z 1603 roku, którą Schiller zamieścił w swym Demetriusie, nadmieniając przytem, iż genialny poeta niemiecki zamierzał ową historyczną scenę poprzedzić kilkoma obrazami humorystycznemi z życia politycznego polskiego, w którychby przedstawiono przedewszystkiem wybór posła na Sejm. Schiller naszkicował sobie w ogólnych zarysach ową scenę, która się miała odbywać w winiarni. Szlachta nadworna wojewody miała przeprowadzić na posła swego kandydata, którego największym przymiotem był silny głos. Podczas wyboru przekupstwo miało odegrywać pewną rolę. Wtem nadchodzi niespodziewanie wieść o wystąpieniu na jaw samozwańca. Szlachtę cieszy prawdopodobieństwo wojny z Rosyą, zaspakajającej nienawiść narodową i odpowiadającej widokom rzeszy awanturniczej. Szlachta przepija gęsto w imię obfitych zysków, jakie wojna z Rosyą przyniesie. Uboższe szaraki zastawiają swe posiadłości wraz z chłopami, byle tylko za otrzymany tym sposobem pieniądz nabyć konia i zbroję.

Tłumowi szlacheckiemu pochlebia to niewątpliwie, że Rosyi narzuci monarchę, przytem obliczają w cichości pieniądze, jakie im Demetrius napędzi do kieszeni. Rozmyślne kłamstwo powiększa do niemożliwości pożądliwość szlachty. W dodatku Maryna nie zaniedbuje przekupstwa, aby pozyskać szlachtę dla swoich widoków. Göthe zauważył, że w tej scenie Schiller chciał stworzyć obraz podobny do tego, jaki spotykamy w Wallensteinie. Ostatecznie Schiller usunął zupełnie powyższą scenę z Demetriusa, a to dla tego, aby nie osłabiać wrażenia, jakie czyniła scena sejmowa.

Następnie autor wskazał nam źródła, które służyły Schillerowi, jako materyał informujący w dziejach ruskich i polskich. Najpoczytniejszą wówczas historyą Rosyi była książka, napisana przez Francuza Levesque, który od roku 1755 był profesorem szkoły kadetów w Petersburgu. Napisana przezeń historya Rosyi otworzyła mu później wrota do Akademii francuskiej i Schiller nie miał najmniejszego powodu, aby jej odmawiać wiarogodności. Drugą historyą Rosyi znaną Schillerowi, a która przebieg Sejmu polskiego w r. 1603 zupełnie w ten sam sposób opisywała, była książka Müllera, która wyszła w Petersburgu w r. 1760. Dodać do tego można jeszcze obszerne dzieło: Allgemeine Weltgeschichte, wydrukowane w Lipsku w roku 1787, które taki sam opis Sejmu z 1603 r. zawierało. Poważniejszych polskich źródeł Schiller nie znał, ale ażeby odtworzyć wiarogodnie na scenie Sejm polski, musiał się posiłkować książkami, które jako tako ze stosunkami polskiemi obznajomione były. Wiadomości też o Sejmie polskim czerpał Schiller z dwóch książek: 1) Lauterbacha polskiej kroniki, która się ukazała w r. 1727 w Frankfurcie i Lipsku. Lauterbach był pastorem we Wschowie (Fraustadt) i seniorem gmin luterskich w Wielkopolsce. Druga książka, z której korzystał Schiller, napisana została przez londyńskiego lekarza, Bernarda Connor, który w końcu XVII stulecia był lekarzem przy dworze Jana III i wydrukował pracę p. t.: Opisanie Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Praca powyższa ukazała się w roku 1700 w niemieckim przekładzie, z którego Schiller obficie korzystał, układając sobie podług niej scenarium Sejmu polskiego.

Scena niemiecka odstąpiła od obrazu sejmu polskiego, jaki jej Schiller nakreślił. Mniejsze sceny niemieckie nie były w możności zastosowania się do intencyi Schillera, ale i największe berlińskie sceny były dalekiemi od wykonania woli wielkiego poety. Wszędzie obraz sejmu był wadliwie przedstawiany i arcybiskup gnieźnieński, gdy w sejmie przemawiał, zwracał się na scenie niemieckiej tyłem do króla. Sejm z r. 1603 przedstawiony przez

Schillera, nie ze wszystkiem odpowiada prawdzie historycznej i w wielu punktach może być uważany, jako utwór wyobraźni. Istotnie w Krakowie odbył się na początku r. 1603 sejm w obecności Zygmunta III, ale prymas Karnkowski był nieobecny z powodu obłożnej choroby. Lew Sapieha był istotnie wpływową na tym sejmie osobistością, tylko nie piastował godności wojewody kijowskiego, jak to chce mieć Schiller, ale był kanclerzem wielkim litewskim. Przebieg sejmu odbywał się w rzeczywistości nieco inaczej niż u Schillera. Przedmiotem obrad sejmowych nie mogło być uspokojenie szlachty i rozwiązanie rokoszu; albowiem rokosz zawiązanym został dopiero w r. 1605. Nie był też sejm z r. 1603 zerwany, albowiem uchwalono na nim podatek i odpowiednie prawo znajduje się w Zbiorze Praw (Volumina Legum). W ogóle w owym czasie sejm nie mógł być jeszcze w tej formie zerwanym, jak opisuje Schiller; zerwanie sejmu skutkiem liberum veto pojedyńczego szlachcica, mogło mieć miejsce dopiero w kilkadziesiąt lat później. Ważnem jest także i to, że na sejmie w r. 1603 Dymitr samozwaniec nie ukazał się wcale, ani sejm się nie zajmował jego sprawą. Sejm zamknięty został już 3 marca, a Dymitr ukazał się dopiero w połowie tego roku na dworze swego możnego protektora wojewody sandomirskiego. Wreszcie sejm polski z tego czasu nie mógł jeszcze przedstawiać tak imponującego obrazu jaki nakreślił w swej książce Connor w końcu XVII wieku. Za czasów Zygmunta III obradowali jeszcze senatorowie i posłowie w izbach osobnych, porozumiewając się za pośrednictwem deputacyi.

Z Wielewickiego „Historia diarii i t. d.“ i ze sprawozdań nuncyusza polskiego Rangoni, wiemy obecnie z całą dokładnością, że Dymitr samozwaniec znajdował się w Krakowie od 6 marca aż do 25 kwietnia 1604 roku, w towarzystwie swego przyszłego teścia, wojewody Mniszcha. Podczas jego pobytu, sejmu wcale nie było, ale król przyjął na prywatnej audyencyi w obecności kilku senatorów. Dymitr zrobił wogóle korzystne wrażenie, ale nie zawdzięcza on tego swej osobistości. Do niej tylko przyczepiono zuchwały i awanturniczy plan, aby za pośrednictwem Dymitra wprowadzić do Rosyi łacińskie chrześcijaństwo i uczynić ją zależną od Papieża. Prawdopodobnie, zdaniem autora, myśl powyższa wyszła od Jezuitów, których najwierniejszym zwolennikiem był Zygmunt III. Schiller zamierzał nawet napisać scenę między Dymitrem a jezuitą, który go chciał nawrócić na katolicyzm, później jednak odstąpił od zamiaru, chociaż historyczny Dymitr dnia 17 kwietnia 1604 r. w krakowskim klasztorze jezuickim

odstąpił greckiej wiary i przyjął katolicyzm, za co mu polityczna pomoc przyrzeczoną została.

Dopiero na sejmie w r. 1605 poruszył Zygmunt III sprawę Dymitra i zapytał sejmujące stany o zdanie w tej chwili, gdy już samozwaniec przedsięwziął awanturniczą wyprawę. Gdy sprawa Dymitra stała się przedmiotem obrad, na czele opozycyi przeciw planom królewskim stanął nie Lew Sapieha, oddany zupełnie królowi, ale dawny kanclerz koronny i hetman, Jan Zamoyski. Z fragmentów znaną jest mowa Zamoyskiego i w ogólnym tonie przypomina ona mowę, którą Schiller włożył w usta Lwa Sapiehy. Wpływ Zamoyskiego był też dostatecznym, aby powstrzymać sejm od powzięcia uchwały, któraby zamiarom królewskim sprzyjała. Jakkolwiek Schiller, wprowadzając na scenę postać Dymitra i sejm polski, korzystał z niepewnych źródeł i popełnił skutkiem tego szereg pomyłek, jednakże ducha historycznej prawdy pochwycił on niezaprzeczenie. Nie nadaremnie był Schiller współczesnym podziałom Polski. Prawdopodobnie nad temi doniosłemi wydarzeniami historycznemi zastanawiał się niejednokrotnie i scena sejmu polskiego jest wypływem i wcieleniem poetycznem jego ówczesnego nastroju oraz poglądu na wadliwości ustroju Rzeczypospolitej polskiej.

Odczyt Warschauera napisany bez drażniącej nasze społeczeństwo tendencyi zawiera wiele interesujących szczegółów, dowodzących znajomości przedmiotu i jako objaśnienie Schillerowskiego Dymitra, jest ciekawym i pouczającym.

A. R.

MICHAŁ RAWITA-WITANOWSKI. *Kłodawa i jej okolice pod względem historyczno-ludoznawczym.* Warszawa, 1904. Str. 285.

Znany z licznych prac naukowych autor: *Historyi miast i mieszczan w krajach dawnego Państwa Polskiego*, oraz *Monografii Łęczycy*, wydał w roku zeszłym z udziałem zapomogi kasy Mianowskiego nową pracę pod powyższym tytułem. Wydanie staranne, indeks osób i miejscowości, odpisy ciekawych przywilejów i ustaw, oraz illustracye wedle rysunków Jana Olszewskiego, stawiają tę książkę w rzędzie najlepszych robót, w tym kierunku ukazujących się w Warszawie w latach ostatnich. Najdawniejszy przywilej, dotyczący Kłodawy, pochodzi z czasów Kazimierza Wielkiego (1365). Pozwala on Miłosławowi z Kłodawy osadzić tamże wieś na prawie niemieckiem i nadaje sołectwo. Jagiełło w r. 1430 obdarza to miasto prawem magdeburskiem. Kazimierz Jagiellon-

czyk bawi wielokrotnie w Kłodawie, zwołuje tu sejmik szlachty wielkopolskiej r. 1485.

Liczne pożary a następnie najście Szweda niszczą miasto bezustannie. Lustracya z r. 1661 najlepiej maluje stan jego zniszczenia. W dodatku panuje zaraza od r. 1708 do 1712.

W r. 1812 spędzają tu czas dłuższy Francuzi, a kościół kollegiacki, zamieniony przez nich na magazyn prowiantowy, tak zniszczał, że w r. 1819 trzeba go było rozebrać. Był to najciekawszy zabytek Kłodawy. Zbudował go był Władysław Herman pod wezwaniem Św. Idziego ex voto po narodzeniu się jego syna w r. 1085, o czem wspomina Gallus. Jagiełło osadził przy tym kościele w 1429 kanoników lateraneńskich i utworzył kollegiatę zakonną.

Kollegiata kłodawska otrzymała wielką ilość zapisów i nadań, a liczne wsie okoliczne dawały jej obfitą dziesięcinę. Przetrwała aż do r. 1809, w którym ją suprymował prymas Raczyński, zamieniając kościół na parafialny. Wkrótce potem runął ten prastary zabytek; nie pozostał po nim żaden opis, ani zdjęcie rysunkowe. Autor powiada, że był to kościół romański z cegły palonej, o sklepionem presbiteryum a trzech nawach belkowanych. Użytek palonej cegły przy budowie romańskiej z czasów Wł. Hermana uważam za niemożebny. Wiadomo bowiem, że w Polsce przed XII w. tego materyału nie używano. Jeżeli części ceglane wchodziły w skład kościoła, należy je odnieść do późniejszej epoki, mojem zdaniem najprawdopodobniej kazimierowskiej. Jedynemi pozostałościami z kościoła św. Idziego, jakie do nas doszły, to płyta grobowa Sierakowskich, przeniesiona w epoce zburzenia dawnej kollegiaty do kościoła Karmelitów, i trzy kontesyonały inkrustowane, rokokowe. Na podstawie notatki z połowy XVIII w. znalezionej w kodeksie sepultur tegoż kościoła, uzupełnionej wiadomościami ze Starowolskiego, podaje autor szereg napisów nagrobnych, w których spotykamy nazwiska Merwicyuszów, Umińskich, Przyjemskich, Ponentowskich, Komarzewskich, Mniewskich, Sierakowskich, Rozenów i inne. W końcu znajdujemy spis znanych proboszczów kłodawskich. Następne rozdziały poświęca autor opisom zachowanych zabytków Kłodawy. Kościół Bożego Ciała modrzewiowy sięga ostatnich lat XIV w. obecnie używany jako cmentarna kaplica, przez pewien czas po zburzeniu kollegiaty był parafialnym kościołem, zawiera stare obrazy, bliżej nie zbadane. Kościół i klasztor Karmelitów, fundowany przez Krzykowskich w połowie XVII w., murowany zaś kościół konsekrowano w 1755 r. Jest to zwykła budowa w stylu tej epoki, o sklepieniach beczkowych

z gurtami, a jednym z cenniejszych jej szczegółów jest ambona w kształcie łodzi piotrowej. Szpital Św. Ducha założony w XV w. przez jednego z kanoników regularnych Sędziwoja Czechela, uległ ruinie wraz z kościołem Św. Idziego.

Kollegiata kłodawska utrzymywała szkołę, którą zwano nawet akademią. Wydała ona wielu znakomitych uczniów i miała dobrych nauczycieli i rektorów, których spis autor nam podaje. Zwiniętą została u schyłku XVIII w. Wskrzeszona przy klasztorze, przetrwała ona do pierwszej połowy następnego stulecia. Pozostała po niej biblioteka jest w więcej niż opłakanym stanie. Następuje opis urządzeń sądowniczych i ratusza kłodawskiego, istniejącego już w XV w. Starożytną tę budowę drewnianą rozebrano w końcu XVIII w., a kiedy rozebrano kollegiatę, użyto cegły na wzniesienie istniejącego dziś ratusza o formach neoklasycznych, najprostszych. Starostwo kłodawskie tworzyło aż do Jana Kazimierza jedną całość ze starostwem przedeckiem. Od tego króla rozdział nastąpił. Skutkiem czego było, iż w Kłodawie z biegiem czasu powstać musiała rezydencya starościńska. Kazimierz Dąmbski wzniósł tu za Augusta III pałac i założył wielki przy nim ogród. Z pałacu dotrwały do naszych czasów tylko oficyny.

Obszerniejsze wywody czyni autor o wójtowstwie, jego przywilejach i własności, o warunkach rozwoju przemysłu i handlu w Kłodawie i cechach rzemieślniczych, a wreszcie przeszło 70 stronic poświęca ustępowi, p. t.: Strony kłodawskie pod względem etnograficznym. W nim wiele ciekawych szczegółów, dotyczących ubiorów i pożywienia, zabudowań, sprzętów i narzędzi rolniczych, zwyczajów i obrzędów, zabobonów etc. Starannie wydane pieśni i podania, przysłowia, zagadki, tworzą materyał folklorystyczny wysokiej wartości, a to tembardziej, że autor uzupełnia ten rozdział objaśnieniem właściwości mowy w łęczyckiej ziemi i obszernym słownikiem miejscowej gwary ludowej. Na zakończenie pracy pod nagłówkiem: „Dyplomataryusz“ podane zostały odpisy szeregu przywilejów miejskich od 1365 do 1766 r., kościelnych 1469—1608, przywileje i uchwały cechowe 1535—1821 i wyjątki z księgi protokółów sądu magdeburskiego w Kłodawie, których autor znalazł dwa tomy, obejmujące lata 1607—1608 i 1661—1747. Obchodzić one powinny tych, co pracują nad dziejami prawodawstwa polskiego.

I tak autor dotknął w swojej pracy całego szeregu umiejętności, poczynając od szczegółów z archeologii przedhistorycznej, a kończąc na znawstwie gwary współczesnej. Pod względem hi-

storyi sztuki, dla której szczupłe pole pozostało w Kłodawie, mogę zaznaczyć oprócz sprawy ceglanej budowy romańskiej kościoła Św. Idziego, drobną usterkę dotyczącą ołtarza w nim wystawionego w 1742 roku. Autor powiada, że był tryptykiem, rzeźbionym w drzewie, co tembardziej jest nie możliwem, że mowa o całości biało lakierowanej ze złoceniami, a więc o czysto rokokowej kompozycyi. Zresztą cała praca przedstawia się poprawnie i pod względem korekty, a zwłaszcza języka, nie pozostawia nic do życzenia. Wystarczy przebiegnąć źródłowe cytaty, aby przekonać się o sumiennej pracy zasłużonego badacza, wnikającego w najdrobniejsze szczegóły. Przeszłość Kłodawy wskrzeszoną wydarł on zapomnieniu niechybnemu, gdyż owe miasto, niegdyś kwitnące, zamienionem zostało w 1836 r. na rosyjski majorat, a w trzydzieści lat później pozbawione praw miejskich. Tak więc tam, gdzie groziło niebezpieczeństwo największe zatarcia śladów prastarej naszej kultury, znalazła się dobroczynna ręka, niosąca umiejętną pomoc i opiekę.

D-r Emmanuel Swieykowski.

MARYA KONOPNICKA. *Głosy ciszy.* Warszawa, 1906. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Str. 150.

W ciszy i skupieniu dojrzewa duch ludzki. W ciszy i skupieniu poczynają się jego najgłębsze procesy twórcze. Z ciszy i skupienia idzie natchnienie poety, kierujące śmiały swój lot ku niebotycznym wyżynom, gdzie milknie zgiełk i gwar życia, pełnego walki o chleb, miłość i władzę. W oderwaniu dopiero od poziomych trosk i krwawej niedoli istnienia, ukazuje się oczom człowieka to, co nie przemija, co jest wieczne. W ciszy i skupieniu poznaje on prawdę bożą, którą nosi we własnej piersi, jak ziarno, rzucone na plon.

I słusznie uczyniła Konopnicka, nazywając ostatni tom swoich utworów „Głosami ciszy," bo zawarła w nim owoc głębokich swoich rozmyślań i szczerych natchnień, szybujących bardzo wysoko.

Duch poetki rozpiął tu swoje skrzydła do lotu, na jaki stać tylko ptaki królewskie. W „Głosach ciszy" słychać szum tych orlich skrzydeł, jakich nikt przyprawić sobie do ramion nie może, ale z jakiemi przychodzi się na świat po to, aby być „wieszczem" swego narodu. Górny, bardzo górny lot! To jakby szereg

objawień ducha, wzbijającego się w momentach swego jasnowidzenia w te regiony niedościgłe, gdzie

„Anioł twój staje w płomieniska zorzy
Nieskończoności,
Szala się bóstwa w tobie na mgnienie przechyla
I cudem
Duch twój przez mgnienie owo, nie jest twój—lecz boży.
A ta jest chwila
Współpracy twojej z nieśmiertelnym trudem
Ducha, co tworzy
Światło wieczności...“

Twórczość poetycką Maryi Konopnickiej zdawna znamionował silnie rozwinięty pierwiastek „uduchowionej mądrości,“ jeżeli tak nazwać można dążność do potrącania o najwyższe zagadnienia bytu i rozwiązywanie ich nie za pomocą zawiłych dociekań metafizycznych, ale przez intuicyjną prężność ducha, rozsadzającego obręcz istnienia i wznoszącego się śmiało w strefy, gdzie „Bóg i Natura to jedno.“

Ten właśnie pierwiastek znalazł teraz swój pełny i—śmiem twierdzić—*doskonały* wyraz w „Głosach ciszy.“

Poetka rozumie dziś lepiej, niż kiedykolwiek, że

„Ten co się o prawdę kusi,
Duchem swym wystąpić musi
Z granic czasu i przestrzeni,
A przejść miedzę omamień i znikomych cieni“—

i dla tego nie trąciła tu ona o żadną z tych strun, które nawiązała dawniej, służąc wyraźnie pewnym ideom i prądom, a których brzmienie ściśle było określone granicami „czasu i przestrzeni.“

Te struny w ostatnich utworach Konopnickiej milczą. Odzywają się za to inne, o stroju nieskończenie wyższym i wspanialszym. Serce poetki ogarnia teraz wszystko i wszystkich. Ból nędzarza wydziedziczonego nie zmniejszył się w jej oczach i nie przestał w jej duszy wołać o sprawiedliwość, nie zapanował też nad nim ból inny — *ból istnienia wogóle*, ale — podporządkował go sobie o tyle, że *człowiek*, jako taki, wysuwa się teraz u Konopnickiej na plan pierwszy, bez względu na swoją nędzę lub dostatek.

O, vos omnes, qui transitis per viam — brzmi motto Jeremiaszowskie, położone na pierwszej stronicy książki. Tak. Wy wszyscy, którzy przechodzicie przez to życie, którzy jesteście wędrow-

cami, spójrzcie za siebie i spójrzcie przed siebie. Otwórzcie oczy ducha!

Człowieku!
Nie lękaj się śmierci, ale

„Uczyń swojem życie świata!
Wśród światów wszechogromu
Czuj się, jak wpośród rodu i w ojcowym domu,
A jako idziesz w komnatę z komnaty,
Tak przechodź światy,
Przechodź istnienia,
A mów „odmieniam życie," a nie „śmierć mnie zmienia."

Człowieku!

„Iskrę słońca masz *w sobie*,
Nie zdmuchnioną i w grobie.
Czemu ziębniesz wśród cienia?
Czemu błąkasz się w nocy?
Roztlij ją, jak pochodnię,
Na twe drogi przewodnie,
Rozdmuchaj do płomienia,
Do jasnego ogniska,
Niech cię grzeje, niech błyska
Żarem czucia i mocy..."

Wiara w siłę ducha ludzkiego, w jego nieśmiertelną moc wznoszenia się coraz wyżej, mimo chwilowych upadków i potknięć na drodze, oślizgłej i ciężkiej, wiara wreszcie w *samo życie*, które nie jest dzikim krzykiem niedoli, ale melodyą *najczystszą*,

Którą śpiewa harfa złota
Pod dotknięciem palców Mistrza"

ta wiara jest dobrą i krzepiącą wiarą Konopnickiej. Umie ona wykrzesać z niej jasne promienie nadziei i otuchy i umie tę nadzieję i otuchę wlewać w tych, co przyjdą w jej pieśni szukać ochłody od znoju życia i wskazań słonecznych na dalszą drogę.

W ten sposób poetka spełnia wobec swego pokolenia najzaszczytniejszą i najwyższą rolę, jaką poecie dano jest spełnić, jeżeli potrafi być, jak te orły hoże

„U których skrzydeł duch wisi narodu,
Iżby go niosły pod słońce i zorze
W godzinę wschodu..."

Z. D.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI. *Miasto.* Powieść. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. Str. 357.

Miasto! Kto z nas nie zna tego potwora kamiennego, w którym wiecznie grzmi i huczy fala życia, tu i ówdzie płynącego jasnym, kryształowym strumieniem, a dalej rozlewającego się w mętną bajorę brudów i upodlenia ludzkiego.

Miasto. Tak. To ognisko kultury współczesnej. To wielki warsztat nauki, sztuki, literatury. To mózg całego kraju, ośrodek cywilizacyjny, który promieniuje na daleką przestrzeń. Tu zbiegają się wszystkie arterye życia i krew swoją przynoszą, tu przemysł i handel budują potęgę materyalną narodu, tu wzmożona, nie licząca się z żadnemi przeszkodami, praca święci swoje tryumfy.

Ale jednocześnie *miasto* — to stek nędzy i niedoli ludzkiej. Obok dobrobytu i bogactwa piętrzy się tu ubóstwo, ciemnota i zbrodnia. Na ulicach rozbija swoje namioty rozpusta, pod blichtrem dostatku kryje się szantaż, podstęp, zwykłe oszustwo, wyzysk najhaniebniejszy. Na każdym kroku przeciwieństwa, na każdym kroku kontrasty. A olbrzymia machina życia pochłania to wszystko, wciąga i w szalonym, wirującym pędzie obraca, miażdży, wysysa.

Co za bogate pole obserwacyi dla powieściopisarza, ile typów, ile nieskończonych odmian „człowieka,“ walczącego tu o złote runo swojego szczęścia, co za sploty stosunków, okoliczności, wypadków, jaka niezmierzona kopalnia „rozmaitości,“ z których składa się napozór jednolite życie danego społeczeństwa.

Nie dziw, że wszystko to pociągnęło ku sobie autora „Chimery,“ który w naszej „młodej“ literaturze jest jednym z tych, co najlepiej umieją *patrzeć*.

Jaroszyński, jako powieściopisarz, posiada ogromną umiejętność dostrzegania w życiu tych szczegółów, które nie każdemu wpadają w oko, a przy których pomocy doskonale określa się człowiek. Za pośrednictwem tych właśnie szczegółów z łatwością rysuje on ludzi i wydobywa na jaw ich *cechy istotne*.

W „Mieście“ mamy całą galeryę typów, w ten właśnie sposób rysowanych. Autor nie poświęcił nigdzie zbyt wiele miejsca zapoznaniu nas ze swoimi bohaterami, nie opisywał ich powierzchowności, nie zapuszczał zbyt głęboko sondy psychologicznej w ich dusze, nie tłómaczył nam, czem jedni różnią się od drugich, a przecież z taką łatwością rozgatunkowaliśmy sobie wszystkich i zobaczyliśmy każdego takim, jakim był istotnie.

I dr. Tomasz, i Jadwiga, i Irena, i Nossek, i Korewicz są nam po przeczytaniu powieści tak dobrze znani, jakbyśmy ich mieli sposobność obserwować przez długie lata. Ta umiejętność „rysowania ludzi“ jest ogromnym atutem w ręku powieściopisarza, który bierze sobie za temat do powieści takie rojowisko ludzkie, jak miasto, gdzie wszystko się plącze, gubi, zaciera, utożsamia i przystosowuje do otoczenia, gdzie nad indywidualnością jednostki ciągle pracuje jakiś hebel, zestrugujący z niej cechy odrębne, gdzie szara masa przytłacza swoim ogromem barwniejsze plamy.

Z tej „szarej masy“ Jaroszyński wyłowił przedewszystkiem dwa typy, zasługujące na bliższą uwagę. Człowieka nauki—d-ra Tomasza i piękną histeryczkę—Irenę. Obie postacie mają w sobie pierwiastek tragiczny, który też w toku powieści wyzwala się z siłą, przynoszącą autorowi prawdziwy zaszczyt.

Irenę dr. Tomasz ratuje od upadku, zatrzymuje ją na krawędzi przepaści i żeni się z nią po to, aby po dwóch latach pożycia, stracić ją i następnie raz jeszcze spotkać, jako metresę bogatego panicza.

Romans Tomasza z Ireną, niezwykle pociągający ze względów psychologicznych, pochłonął jednak tak dalece uwagę autora, iż zboczył on nieco z drogi, zakreślonej sobie pierwotnie. „Miasto,“ które powinno byłoby zająć plan pierwszy, ustąpiło miejsca przygodom miłosnym Tomasza i Ireny. I stało się to z oczywistą krzywdą czytelnika, który z samego tytułu spodziewa się więcej. I nietylko z tytułu, ale także z szeregu tych obrazów życia miejskiego, jakie autor zdążył mu pokazać.

Tu Jaroszyński złożył dowód poważny bystrości, z jaką patrzy na zjawiska życia zbiorowego i umiejętności, z jaką potrafi być w tem życiu przewodnikiem innych. Nadto pokazał, że umie, jako artysta, panować nad większym materyałem kompozycyjnym.

Z. D.

Kronika miesięczna.

Chwila obecna. — Wzrost anarchii i przygotowanie gruntu dla rewolucyi społecznej. — Towarzystwo opieki nad dziećmi. — Szkoły, zakładane przez Macierz Polską.

Chcąc dokładnie zobrazować chwilę obecną, musielibyśmy powtórzyć za dziennikami całe mnóstwo faktów, jakie w ciągu ostatnich kilku tygodni zaszły, w tych faktach bowiem odzwierciedla się życie, to specyficzne życie doby obecnej, które płynie mętnym, chaotycznym potokiem, nie dającym się ani ująć w żadne karby, ani uczynić podatnem do badania objektywnego.

Nie możemy jednak powtarzać rzeczy znanych. Poprzestaniemy więc na zaznaczeniu tylko jaskrawych momentów rewolucyi i anarchii u nas i sprobujemy z ogólnego nastroju wyciągnąć te wnioski, jakie wyciągnąć się dadzą. Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na sprawę robotniczą. Zaogniona przez agitatorów socyalistycznych przedstawia ona obecnie błędne koło, z którego wyjście jest niezmiernie trudne. Waśni partyjne pomiędzy robotnikami jeszcze pogarszają sytuacyę, a rozlew krwi bratniej pogłębia przepaść, jaka wytworzyła się pomiędzy obozem narodowym a socyalistycznym. Wypadki wydalania z fabryk „za przekonania“ powtarzają się ciągle.

Oto niedawno w jednej z odezw, wydanych przez narodowych robotników i robotnice fabryki „Labor,“ czytaliśmy następujące słowa znamienne:

„Żądamy od całego ogółu polskiego poparcia moralnego i materyalnego, żądamy sądu nad naszem postępowaniem, żądamy satysfakcyi za haniebne obelgi i za nędzę, jakich stajemy się ofiarą.

„Żony i dzieci nasze wołają głosem wielkim „chleba!“ Doprowadzeni do ostateczności, nie cofniemy się przed niczem i sta-

niemy do walki ostatniej na śmierć i życie, zarówno z tymi, którzy są bezpośrednimi sprawcami naszej niedoli, jak i z tymi, co przez swe niedołęstwo i tchórzostwo tolerują w podległych sobie zakładach teror i gwałt.“

Socyaliści ze swej strony wydają odezwy treści wręcz przeciwnej. Piętnują w nich oni zachowywanie się narodowców w wyrazach, które znają tylko słowniki *Robotnika* i *Czerwonego sztandaru*.

Rozjątrzenie wzajemne dochodzi do granic ostatecznych i nie ma prawie żadnej nadziei na porozumienie i uspokojenie rozigranych namiętności — tembardziej, że zdziczenie mas robotniczych szybkim krokiem posuwa się naprzód i że ci nawet, co do niedawna wahali się przed użyciem broni, uciekają się teraz do pomocy browningów przy załatwianiu rachunków partyjnych.

Zabicie W. Baranowskiego przez socyalistów i krwawy odwet za tę śmierć, zgotowany socyalistom przez narodowców, są wymownym i smutnym tego dowodem.

Wina oczywiście w znacznej mierze spada tu na agitatorów, którzy, zamiast łagodzić stosunki, zaostrzają je przez rzucanie nieopatrznych frazesów i wypowiadanie mów podniecających.

Ci sami agitatorowie nie wahają się mówić ludowi bezustannie o rewolucyi, która jakoby bliższa jest w tej chwili zwycięstwa, niż kiedykolwiek.

Tymczasem zamiast rewolucyi widzimy na każdym kroku typową anarchię, bo nawet czyny, które obałamucona opinia publiczna zalicza nieraz do kategoryi rewolucyjnych, są nawskroś anarchiczne.

Napad na pociąg kolei Herbskiej, ograbienie poczty na kolei Wiedeńskiej, zamachy na stójkowych, rewirowych i żołnierzy, wreszcie cały szereg zabójstw politycznych, dokonanych w ostatnich czasach, noszą na sobie znamiona pospolitych zbrodni i są dowodem tego zdziczenia, do jakiego doprowadzono u nas część ludności.

Nie dziw, że na tym gruncie bandytyzm rozrasta się coraz bardziej i korzystając z płaszcza rewolucyi, śmiałemi krokami dąży naprzód. Na ulicach Warszawy panują wyłącznie trwoga i zgroza. Ludność spokojna, ta ludność, która pragnie istotnej wolności, opartej na poszanowaniu praw jednostki i narodu do wszechstronnego życia, która w ewolucyi społecznej widzi środek na zagojenie krwawych ran, zaogniających się w obecnej atmosferze coraz silniej — ta ludność narażona jest z jednej strony na niebezpieczeństwo utraty życia od kuli karabinowej, z drugiej — na grabież uliczną i napaść ze strony bandytów.

„Krwawa środa“ (tak nazwano słusznie dzień 15 sierpnia) kosztowała Warszawę drogo. Rewolucyjna taktyka socyalistów wywołała bowiem straszny odwet ze strony wojska, które strzelało „nie szczędząc ładunków.“ I tak jest na każdym kroku, i tak jest niemal codziennie. Rewizye uliczne, popłochy masowe, salwy wojska, napady, kradzieże, najścia zbrojne—oto atmosfera jednego z większych miast w Europie środkowej, słusznie roszczącego sobie pretensye do miasta cywilizowanego.

Społeczeństwo, które w tej atmosferze zaczyna się już dusić, niema środka na wprowadzenie ładu i porządku. Biernie zachowywać się ono musi wobec barbarzyństwa i zdziczenia, a partye skrajne, które jedynie mogłyby temu przeciwdziałać, zachowują się tak, jakby popierały bandytyzm.

Zresztą wszystko tu się splata w jakiś węzeł coraz trudniejszy do rozwikłania i w pewnych wypadkach trudno orzec, co czynią bandyci zwyczajni na własną rękę, a w czem inicyatywa wychodzi ze strony najbardziej waryackiej partyi—P. P. S.

Obłąkańczą taktykę tego odłamu socyalistów polskich zaczęły już nawet piętnować — Socyalna Demokracya i Proletaryat, które zdają sobie sprawę z tego, że jednym ze źródeł bandytyzmu jest brak świadomości i jakichkolwiek przebłysków rozumu w działalności P. P. S.

Proletaryusz niedawno pisał pod adresem P. P. S., co następuje: „lekkomyślne wzywanie do rewolucyi jest albo demagogią i szarlataństwem politycznem, albo wypływa z umysłowej niepoczytalności,“ a następnie w obszernym wywodzie wykazał, w jakim stopniu, pośrednio Polska Partya Socyalistyczna przyczyniła się do rozrostu bandytyzmu.

To samo, *mutatis mutandis*, wypowiedział *Czerwony sztandar*. A przecież te głosy trzeźwiejsze nic a nic nie wpłynęły na zachowanie się partyi. Przeciwnie, odpowiedziała ona na nie nowemi zamachami, nowemi waryackiemi wystąpieniami i nowym stekiem bredni rewolucyjnych w swoim organie, *Robotniku*.

Dość wziąć do ręki którykolwiek z numerów tego pisma, aby przekonać się, jak „agitatorowie“ lud kształcą i jakie wskazują mu drogi. Jeżeli francuskie dziennikarstwo z epoki rewolucyi wielkiej, aby się przypodobać ludowi, przemawiało do niego językiem hal targowych, to język ten jednak jest językiem salonów w porównaniu z tonem i charakterem artykułów *Robotnika*, pisanych najwstrętniejszymi wyrazami, które dyktuje nienawiść do wszystkiego, co narodowe.

Oto jedna z prób „uświadamiania“ robotnika polskiego:

„Ludu roboczy polski — woła organ oficyalny P. P. S. — Nie wystarcza, jeżeli na widok tych coraz częściej powtarzających się, coraz podlejszych mordów wyrywa ci się z piersi okrzyk: „psy wy — nie ludzie“ i ten drugi jeszcze: „na latarnię z nimi, na latarnię.“

„Proletaryat musi masą swoją iść do walki, a najpewniejszą drogą do zwycięstwa jest dokładna świadomość tego, z kim walczyć trzeba i jakiemi środkami. Oto pod przykrywką haseł religijnych, narodowych, nawet gimnastycznych i wszelkich innych, a zawsze i tylko w obronie kieszeni posiadających, zakrada się do ciebie nieprzyjaciel, często wpełza na twoje łono, probuje zyskać sobie zaufanie twoje, żeby cię tem pewniej ugodzić. Gdy ty, brocząc krwią, walczysz piersią z całą potęgą samowładztwa, on za tobą organizuje bandy kontrrewolucyi i gdzie może kąsa cię na śmierć. Sposobi się fizycznie i moralnie do zduszenia wszystkich wysiłków twoich ku poprawie doli twojej i zdobycia wolności. To jest cała i skrytobójczo-zdradziecka akcya. W tym celu tworzy się bandy łamistrajków, podbechtuje włościaństwo, wypuszcza sforę księżą i zbroi z żywiołów burżuazyjnych niby bezpartyjne „Sokoły,“ przygotowując całkiem jawnie sojusz z rządem.

„Coraz częściej, jako sposób walki z tobą, powraca mord. Potem na twoje ciepłe zwłoki, aby je lepiej strawić, rzyga tłuszcza patryotyczna lepkie błoto oszczerstw, jak wąż-dusiciel, ośliniający ofiarę swoją, zanim ją połknie.

„I do czego to wszystko zmierza? Zamiary kontrrewolucyi są te: wytrącić ci wszelką broń z ręki, złupić cię z wywalczonych i posiadanych przez ciebie swobód, uniemożliwić ci każdy strajk, rozbić każde zebranie, a jeżeli i to nie wystarczy, zgotować ci choćby rzeź, aby cię na długo odrętwić...“

Dosyć tej smutnej cytaty. Jako jeden z akordów agitacyi rewolucyjnej powyższy ustęp *Robotnika* oświetla całą ohydę niecnej roboty P. P. S. wśród ciemnych warstw. Taki jest siew, który rzucają pomiędzy lud apostołowie wolności, miłości i braterstwa.

Po przeczytaniu tego elaboratu partyjnego możemy jeszcze raz stwierdzić, że cała akcya P. P. S. jest na wskroś anarchistyczna. Tu już wyraźnie idzie o wywołanie „wojny wszystkich przeciw wszystkim,“ o rzucenie klasy robotniczej na inne warstwy społeczeństwa, o niszczycielską i burzycielską działalność, bez względu na przyszłość narodu, na jego najświętsze obowiązki wobec przeszłych i przyszłych pokoleń.

Na szczęście okres upijania się frazesem rewolucyjnym nie może trwać długo u robotników polskich, bo nędza otwiera im już dziś oczy na robotę socyalistów. Ta sama nędza, którą oni używali dotąd, jako motywu agitacyjnego, obraca dziś warstwę robotniczą przeciw socyalizmowi i zaciąga ich stopniowo pod sztandary narodowe, bo ślepi nawet zaczynają widzieć, że wyczerpanie ekonomiczne kraju dłużej trwać nie może.

Jesteśmy zrujnowani. Strajki, waśnie partyjne, walki bratobójcze, bandytyzm — wszystko to razem wytrąciło nas nietylko z normalnego stanu, ale sparaliżowało na długo możność prawidłowego rozwoju i postępu. Cofnęliśmy się o całe lata...

Zdawałoby się, że taki stan kraju i zresztą nietylko kraju naszego, bo podobne objawy rozstroju całego życia są również i w innych częściach państwa rosyjskiego—powinien skłonić rząd do rychlejszego wprowadzenia w życie reform zapowiedzianych, reform, od których jedynie zależy uspokojenie umysłów i stworzenie warunków, umożliwiających spokojną pracę. Gdzietam! Rząd rosyjski powtarza ciągle starą swoją piosnkę: „naprzód spokój, potem reformy.“

I oto znów tworzy się błędne koło, z którego niema wyjścia. Bezwartościowość zupełną tego hasła wykazuje już choćby to, że władze rządowe mimo całego wysiłku ze swej strony, mimo krwawych rozpraw, wypełnienia ulic miasta aż po brzegi wojskiem— nie mogą osiągnąć żadnego rezultatu pozytywnego w walce z anarchią, że nie są w możności zapewnić nikomu, nawet swoim wybitnym przedstawicielom, otaczanym specyalną opieką, bezpieczeństwa życia i mienia.

Ani stan wojenny, ani jego obostrzenia, ani nawet stan oblężenia, który wisi obecnie w powietrzu—nic nie zdziałają. W biały dzień, w oczach wojska i policyi, bandyci rabują, a anarchiści strzelają do upatrzonych z góry ofiar. Cierpi zaś na tem wszystkiem ta właśnie część ludności, która szczerze i istotnie pragnie spokoju i dla tego spokoju pragnęła poświęcić nawet własne swoje siły, proponując zorganizowanie samoobrony.

Niestety, departament policyi wyjaśnił stanowczo i kategorycznie, że organizowanie takiej samoobrony obywatelskiej jest niedopuszczalne i że wszelkie w tym kierunku próby będą ścigane karnie.

A więc co pozostaje? Tylko bierne wyczekiwanie ze strony społeczeństwa i tylko droga reform ze strony rządu.

A jednak ani rząd, ani nawet pewien odłam prasy rosyjskiej zdają się zupełnie tego nie rozumieć.

Znane ze swoich tendencyj *Nowoje Wremia* po ostatnich wypadkach w Królestwie w ten sposób pisało: „Na wojnę trzeba odpowiedzieć wojną. Trzeba rozrzucić gniazdo i zadusić kruka-zabójcę. *Powinien i może* to uczynić ten sam żołnierz rosyjski, który stoi teraz i napróżno strzeże sklepu monopolowego.“

W innej gazecie („Oko“) zjawił się list, nadesłany z Warszawy, a domagający się postawienia na czele rządu w Królestwie Polskiem kogoś w rodzaju Murawiewa.

Rewelacye oficera załogi warszawskiej, p. Adamowicza, zwróciły na siebie powszechną uwagę i dobrze są u nas znane, jako wezwanie do „otwartej walki“ z wrogiem „podziemnym,“ którym jest całe społeczeństwo polskie, sprzyjające anarchistom.

Najciekawsze jednak, bo najmniej spodziewane było stanowisko, jakie zajęła wobec nas półurzędowa *Rossija*, organ przyboczny ministra-premiera Stołypina.

Wszystkie te głosy prasy rosyjskiej świadczą o dwóch rzeczach zasadniczych:

1-o że władze, rządzące Królestwem Polskiem albo zupełnie nie oryentują się w sytuacyi, albo ze złą wolą w fałszywem przedstawiają świetle stan kraju,

2-o że Rosyanie, mieszkający w Warszawie, grzeszą w ten sam sposób.

Trzeba istotnie albo złej woli, albo ślepoty, ażeby tak mylnie informować społeczeństwo rosyjskie o tem, co dzieje się w Królestwie Polskiem, gdzie może nigdy nie było tak jednolitej opinii, jak obecnie. Cały kraj jest przeciwny anarchii, gorąco pragnie ładu i porządku i potępia działalność socyalistów, skierowaną głównie przeciw własnemu społeczeństwu.

Czas doprawdy, żeby prasa rosyjska starała się mieć lepsze informacye z Królestwa i nie drukowała na łamach swoich bezsensownych wynurzeń pierwszego lepszego urzędnika, który, siedząc przy biurku, snuje sobie fantastyczne wnioski i posyła je do Petersburga, jako dowód swej gorliwości służbowej. Korespondent taki nie zna społeczeństwa, bo go znać nie może. Stosunki polsko-rosyjskie, jakie wytworzyły się u nas po powstaniu, uniemożliwiły jakiekolwiek zbliżenie towarzyskie Rosyan z Polakami i odgrodziły jednych od drugich murem, który dopiero gruntowna zmiana polityki rządowej może usunąć. Zkąd więc pp. korespondenci *Nowego Wremieni*, *Oka* i *Rosii* czerpią swe wiadomości? na czem opierają swoje poglądy? gdzie widzą fakty na poparcie swoich twierdzeń? Oczywista rzecz, że tylko we własnej,

bujnej wyobraźni, która, wierna dawnym tradycyom, wszędzie i we wszystkiem upatruje „intrygę polską.“

Nie nowa to zresztą taktyka! Zwalanie wszystkiego na kresy i odwracanie opinii rosyjskiej ku Polsce, jako ku ognisku „kramoły,“ nieraz oddała rządowi usługi.

Czasy jednak zmieniły się o tyle przynajmniej, że wydobywanie tej broni starej z arsenału politycznego już nie uchodzi.

Naród polski zna dobrze swoje drogi i nie da się z nich obecnie sprowadzić. Bezstronna część społeczeństwa rosyjskiego wie o tem dobrze, po co więc, w jakim celu i kogo tumanić? Czy mamy to uważać za prowokacyę, czy za chęć zburzenia tego mostu, jaki powiew wolności zaczął budować między narodem polskim a rosyjskim, czy tylko za wynik złych informacyj?

Historya odpowie na to niewątpliwie—my możemy tylko czekać, jak czekamy na wszystko, na zduszenie anarchii, na zaprowadzenie reform, na wolniejszy oddech dla zmęczonych długim uciskiem piersi. Rząd jednak widocznie czekanie to chce przedłużyć *ad infinitum*, jak zresztą przedłuża je dla całej Rosyi, która również ma już dosyć krwi, łez, pożogi, bomb i grozy stanów wojennych. A jednak — nie da się zaprzeczyć — że i tam i u nas szybkie wprowadzenie reform odrazu umożliwiłoby istnienie tym grupom społecznym, na których prędzej czy później rząd będzie musiał się oprzeć i które pozyskać sobie musi pewnemi ustępstwami. Te grupy stanęłyby wówczas do walki z anarchią, a chociaż odniesienie zwycięstwa wobec nad miarę zabagnionych i zaognionych stosunków nie przyszłoby im łatwo, to przecież przyszłoby prędzej, niżeli w obecnych warunkach przyjść może.

Nieporozumienie na tym punkcie wytwarza w tej chwili stan wprost rozpaczliwy i jeżeli mamy prawo zamknąć oczy na to, co dzieje się w Rosyi, to nie możemy przeoczyć żadnego z tych nieszczęść, ku którym stale i konsekwentnie popychany jest nasz kraj. Grozi nam całkowita dezorganizacya życia, doszczętna ruina ekonomiczna, upadek kulturalny i zdziczenie obyczajowe szerokich warstw ludności, która pozbawiona chleba i światła, idzie łatwo w kierunku najskrajniejszych haseł przewrotowych, mających na celu rewolucyę społeczną.

Podkreślaliśmy już to niejednokrotnie na tem miejscu, dziś jednak uważamy za swój obowiązek publicystyczny powtórzyć to dosadniej, niż kiedykolwiek, bo groza położenia jest coraz większa, a linia oporu coraz słabsza.

W tej chwili nie mamy jeszcze możności przeciwdziałania złu, ale chwila taka niewątpliwie nadejdzie i dla tego należy ją

mieć na uwadze zawczasu, bo lepiej jest niebezpieczeństwo przecenić, niż nie dojrzeć go przed sobą wcale.

Zbrojna rewolucya polityczna zbankrutowała. Nawet socyaliści w większości przestali już wierzyć, aby się ona udać mogła. Ale rewolucya społeczna ma natomiast wobec wzrastającej anarchii szanse do wybuchu coraz większe i jeżeli wybuchnie—przepłynie krwawą rzeką przez całe państwo, zalewając i nasz kraj nieszczęśliwy i na takie próby bolesne wydany.

Nie widzieć niebezpieczeństwa z tej strony byłoby więc błędem nie do darowania. Widząc je zaś, należy przygotować siły do odporu i tępić na naszym gruncie zasady nihilizmu wschodniego, z istoty swojej tak obcego naszej kulturze zachodniej.

*

* *

Powstała w naszem mieście instytucya ogromnej doniosłości społecznej—Towarzystwo opieki nad dziećmi.

Wśród morza nędzy, jaka już oddawna istnieje w Warszawie, a jaka w ostatnich latach wskutek głębokich wstrząśnień ekonomicznych doszła do rozmiarów niebywałych—dzieci należą do istot najnieszczęśliwszych.

One—przyszła nadzieja i siła społeczeństwa, w zaraniu swego istnienia skazane są na głód i chłód, na brak opieki moralnej, na zgubne oddziaływanie środowiska, w którem ciemnota rodzi występek i zbrodnię, a brak środków do życia sieje ziarno nienawiści społecznej.

Znamy dzieci warszawskie z ulicy i nieraz widząc rozłobuzowaną ich gromadkę, w nieludzki sposób wydrwiwającą obłąkanego, znęcającą się nad psem lub kotem, wreszcie śmiało stawiającą pierwsze kroki na drodze rozpusty i wyuzdania — zadajemy sobie pytanie, co z nich wyrośnie.

Jednocześnie z kroniki bieżącej drobnych faktów życia codziennego, dowiadujemy się coraz częściej o przestępcach małoletnich, a statystyka nożowiectwa dostarcza aż nadto wiele faktów wymownych, świadczących o tem, że ta zaraza wcześnie przenika do umysłów dzieci i pcha je na drogę zbrodni.

Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności oddawną zwracało na to uwagę i wytężało wszystkie swoje siły w kierunku ratowa-

nia dzieci, zwłaszcza sierot, od zagłady i upadku. Stworzyło ono szereg ochron i sal zajęć, prowadziło i prowadzi domy wychowawcze dla dziewcząt i dla chłopców, ale nie mogło i nie może podołać całemu ciężarowi obowiązków.

Kiedy przed kilku laty ks. Zdzisław Lubomirski otwierał we Frascati wystawę robót dziecięcych, wykonanych w salach zajęć i urządzał pamiętny „przegląd“ wychowańców i wychowanek Towarzystwa, zaznaczył wyraźnie, że jest to kropla w morzu, że, chcąc istotną rozciągnąć opiekę nad dziećmi Warszawy, należałoby czynić przynajmniej dziesięć razy tyle, ile się czyni obecnie, bo liczba dzieci, pozostających w nędzy, wzrasta szybko i określa się już dziesiątkami tysięcy.

I w słowach tych nie było wcale przesady. Wypadki dwóch lat ostatnich udowodniły to aż nadto wyraźnie.

Z bezmiarem nędzy, panującej w rodzinach robotniczych, zetknął się poraz pierwszy oko w oko komitet ratunkowy, powołany do bytu w roku ubiegłym i przekonał się, że żadna pomoc doraźna nie zażegna klęski, że trzeba tu pomocy stałej, zorganizowanej na szerszych podstawach.

W tym celu grono osób postanowiło urządzić na próbę t. zw. *Zimowiska* dla biednych dzieci warszawskich. Jakoż odrazu przystąpiono do dzieła i w porozumieniu z ludnością prowincyi urządzono kilkanaście *gniazd*, w których dzieci, czy to w dworach wiejskich i na plebaniach, czy u mieszczan, czy nawet u włościan, znalazły opiekę i chleb. Zaraz jednak w początku tej działalności okazało się, że i tu trzeba odrazu podstaw szerszych. Stworzenie Towarzystwa, obejmującego cały kraj, nastręczyło się, jako postulat nieodzowny.

I Towarzystwo takie powstało. Celem jego i dążeniem zasadniczem jest połączenie w jedno wszystkich usiłowań rozbieżnych i zgrupowanie pod swoją egidą wszystkich instytucyj, poświęconych sprawie dziecięcej.

Ustawa jednak nie zamierza bynajmniej krępować w tej dziedzinie inicyatywy prywatnej, przeciwnie, Towarzystwo chętnie będzie pomagało do zakładania instytucyj oddzielnych, informując jedynie ofiarodawców i ludzi dobrej woli, jakiego rodzaju instytucye w zakresie opieki nad dziećmi są najpilniej potrzebne i najbardziej pożądane.

Zakres działania Towarzystwa jest szeroki, jak szeroką jest kwestya niedoli dziecięcej. Zamierza ono nieść dzieciom ubogim i opuszczonym pomoc materyalną, moralną i umysłową i to od

niemowlęctwa aż do pełnoletności. Nadto rozciąga także opiekę nad kobietami ciężarnemi i karmiącemi.

Wśród dzieci nie czyni ono żadnej różnicy i przygarnia do siebie wszystkie, moralnie zaniedbane i występne, zdrowe i słabowite, fizycznie i umysłowo upośledzone, nie wyłączając idyotów, obłąkanych, epileptyków i t. d.

Rzecz naturalna, że Towarzystwo stoi poza wszystkiemi stronnictwami i występuje pod hasłami najczystszego humanitaryzmu.

Rozpoczynając działalność swoją w chwili przełomowej, bardzo niefortunnej dla przedsięwzięć, wymagających dużego nakładu pieniężnego i obficie płynącej ofiarności społecznej, wśród chaosu rewolucyjno-anarchicznego i wśród nędzy, wołającej o szybką, nie dającą się odłożyć nawet do jutra, pomoc, Towarzystwo potrafiło odrazu stanąć do pracy.

Oto skromne owoce dotychczasowych jego wysiłków — skromne wobec ogromu zadań, wprost jednak zdumiewające wobec trudnych warunków i braku środków odpowiednich.

Z ogłoszonego w m-cu sierpniu sprawozdania dowiadujemy się, że pierwszy wyjazd dzieci na t. zw. *Zimowiska* (o których wyżej) nastąpił dn. 20 stycznia r. b. Ostatnia zaś partya wyjechała dn. 25 lipca.

Ogółem w ciągu półrocza wysłano 438 chłopców i 527 dziewcząt, razem 925 dzieci. Z tej liczby na 1 sierpnia pozostało na wsi chłopców 239, dziewcząt 336, razem 575 dzieci.

Licząc do dn. 1 sierpnia średnio najdłuższy okres czasu przebyły dzieci w gnieździe „Szczebrzeszyn“ w lubelskiem (ochrona na 30 chłopców warszawskich założona była w Latyczynie u d-ra Villaume) i w gnieździe „Korzeniste“ w łomżyńskiem u p. Kisielnickiej. W tych dwóch gniazdach dzieci przebyły średnio po 156 dni. Największą ofiarę co do sumy ilości dni, danych dzieciom, poniosły gniazda: Służewo-Aleksandrów 7554 dni, Korzeniste 6564 dni, Turek 5622 dni, Szczebrzeszyn 5312 dni, Sieradz 4519 dni, Kutno 4411 dni i Wieluń 4065 dni.

Wykaz tych miejscowości świadczy o dużem zainteresowaniu się prowincyi sprawą niedoli dzieci warszawskich.

Wszystkie dzieci razem przebyły na wsi dni instytutowych 98882, a że ogółem dzieci na „wyżywienie“ wysłano 965, przeto średnio licząc, jedno dziecko przebyło na wsi 103 dni.

Z ogólnej liczby 965 dzieci 169 znalazło pomieszczenie w chatach włościańskich, 233 u mieszczan, 567 u inteligencyi i we dwo-

rach, 171 dzieci uczęszczało do ochron i szkółek. Większość pozostałych uczyła się w domu u opiekunów.

Na wiosnę r. b. zorganizowany został nadto specyalny *Oddział Wakacyj*, w celu dopomożenia biednym uczniom i uczenicom do wyjazdu na kilka tygodni na wieś. Dzięki gościnie, zaofiarowanej przez ludzi dobrej woli, wysłano 92 dziewcząt i 50 chłopców, razem 142 młodzieży.

Sumarycznie tedy Towarzystwo Opieki nad dziećmi wysłało w r. b. na wieś dzieci i młodzieży szkolnej 1107, w tem dziewcząt 619, chłopców 488. Wszyscy razem do dn. 1 sierpnia przebyli na koloniach wiejskich 102944 dni, co średnio czyni 93 na jedno dziecko.

Przez styczeń, luty i marzec utrzymywany był dla dzieci, wyjeżdżających na wieś, hotelik-schronisko, przez który przeszło 793 dzieci, z których na kolonie wiejskie wysłano 695 dzieci, rodzicom zwrócono 89 dzieci, do szpitala miejskiego odesłano 2, uciekło z hoteliku do rodziców 7 dzieci.

W dniu 14 maja otworzony został *Dom Opieki* (Piękna № 9), przez który każde dziecko przejść musi, zanim przyjęte zostanie pod stałą opiekę T-wa.

W Domu Opieki dziecko przebywa do czasu, kiedy zgromadzone zostaną dokładne wiadomości co do stanu majątkowego jego rodziców czy opiekunów i co do umysłowego i moralnego rozwoju samego pupila.

Zależnie od potrzeb dziecka i możności ich zaspokojenia dziecko umieszczone zostaje przez T-wo w instytucyach istniejących lub u osób prywatnych, lub też przeznaczone do ochron, jakich Towarzystwo opieki nad dziećmi kilka już urządziło w Warszawie i na wsi. Do dnia 1 sierpnia, a więc przez półtrzecia zaledwie miesiąca przez Dom Opieki przeszło 130 chłopców i 106 dziewcząt, razem 236 dzieci, z których na kolonie wiejskie wysłano 131 dzieci, w zakładzie ks. Siemca umieszczono 3 dzieci, w Ignacowie u Sióstr Miłosierdzia 3, w Schronisku Dzieci Maryi 2, rodzicom wydano 20 dzieci, w szpitalach miejskich umieszczono 28 dzieci, chorych na choroby zakaźne.

W szpitaliku Domu Opieki leczyło się w tym czasie 27 dzieci.

Urządzenie Domu Opieki, który piszący te słowa zwiedził szczegółowo, zasługuje na zupełne uznanie. Stoi ono całkowicie na poziomie wymagań hygieny, porządku i wygody, graniczącej niemal z pewnym komfortem. Niektórzy czynią nawet z tego zarzut instytucyi. Nie sądzimy jednak, aby ten zarzut był uzasadniony, gdyż przeniesienie dziecka do atmosfery życia kulturalne-

go nie może pozostać bez wpływów dodatnich. Wyrwane z objęć nędzy, z otoczenia przygnębiającego i smutnego, przekonywa się dziecko, że przecież można żyć inaczej, że czystość ciała i mieszkania osiąga się stosunkowo niewielkim nakładem pracy, że trzeba dążyć do zapewnienia sobie w życiu tego, co to życie czyni lżejszem i milszem. Nabycie zaś w dzieciństwie pewnej kultury pozostanie już dobrym zadatkiem na przyszłość i obudzi w podrastających dzieciach wyraźne dążenie do więcej cywilizowanych warunków istnienia, nawet przy skromnym zarobku rzemieślnika lub robotnika.

Dziecko dostać się może do Domu Opieki wprost z ulicy. Każdy przechodzień, który je spotka błądzące samopas lub zaprawiające się do żebraniny, może je wziąć za rękę i przyprowadzić do zakładu.

Pierwszym etapem nowego przybysza jest *przytułek noclegowy*. Skromny, niewielki pokój o kilku łóżkach, zawsze gotowy jest na przyjęcie małych gości, którzy na zaspokojenie pierwszego głodu otrzymują zaraz szklankę mleka i idą spać. Nazajutrz kąpią się, myją, strzygą, czeszą i przebierają. Potem bierze je na egzamin lekarz zakładu, aby przekonać się, czy są zdrowe i czy można je dopuścić do obcowania z innemi dziećmi. Dzieci chore pozostają albo w miejscowym izolowanym szpitaliku, albo—w wypadkach chorób zakaźnych idą do szpitali miejskich—zdrowe przechodzą pod opiekę dozorczyń i ochroniarek. Tam wśród rówieśników spędzają czas bądź na zabawach zbiorowych, bądź na zajęciach kształcących i rozwijających umysł, przy Domu Opieki bowiem istnieje wzorowo prowadzona przez p. Stefanię Marciszewską szkoła ochroniarek.

O tej szkole godzi się powiedzieć obszerniej.

Sprawa ochron w kraju naszym wysunęła się ostatniemi czasy naprzód. Nie trzeba dodawać, że siłą ochrony, tak w mieście, jak i na wsi, siłą, która nadaje wartość całej instytucyi, jest jej kierowniczka, czyli owa skromna ochroniarka, do niedawna pozostająca zupełnie w cieniu i nie zwracająca na siebie uwagi społeczeństwa.

Ochroniarka tymczasem, jak słusznie twierdzi p. Marciszewska, ma być *tym ideałem*, jaki pragniemy widzieć w ludzie naszym. I nie może być inaczej. Będąc bowiem wychowawczynią ludu, ochroniarka nadawać będzie dzieciom wioski lub miasta charakter, kształcić ma wyobrażenia, uszlachetniać uczucia, rozwijać umysł. W jej ręce, jak w ręce artysty, składa naród bryłę surowego materyału, z którego ona ma wytworzyć arcydzieło człowieka. A je-

śli weźmiemy na uwagę, że ochroniarka u nas, szczególniej na wsi, musi być nauczycielką młodzieży i zarazem kierowniczką matek, to przyznać musimy, że są to obowiązki tak szczytne, tak ważne i tak odpowiedzialne, że z pewną obawą każda do tej pracy iść powinna.

Bez gruntownego więc i specyalnego przygotowania zadaniu tak trudnemu podołać nie można.

I dla tego dobra szkoła ochroniarek posiada niezaprzeczenie wielkie znaczenie dla całej sprawy wychowania narodowego.

Szkoła jednak, jako taka, bez praktyki jest niczem, bo sama teorya, w najprzystępniejszej nawet podana formie, nie wystarczy. Każda uczenica powinna bezwarunkowo widzieć zastosowanem w życiu to, co słyszała w teoryi. Na to przy szkole ochroniarek musi być wzorowa ochrona, połączona z salą zajęć. W ten sposób uczenice mają możność praktycznego poznania dzieci, gdyż obcują z niemi ciągle, w każdej chwili dnia.

W tak wyjątkowo szczęśliwych warunkach jest właśnie szkoła p. Marciszewskiej, założona przy Domu Opieki, gdyż ma ona ogromne pole zajęć praktycznych dla swoich uczenic.

Obcowanie z dziećmi odbywa się tam pod kierunkiem doświadczonych i wykwalifikowanych dozorczyń, uczenice zaś robią spostrzeżenia, notatki i sprawę z nich zdają na zebraniach tygodniowych, dowiadując się, o ile sąd ich jest słuszny, trafny i sprawiedliwy. Tą drogą poznają też one swoje strony ujemne i dodatnie w obcowaniu z dziećmi.

Szkoła wskutek tego, narówni z całem *Towarzystwem Opieki nad dziećmi* zasługuje na specyalną uwagę społeczeństwa i nie wątpimy ani na chwilę, że byt obydwu tych instytucyj szybko utrwalony zostanie.

*

* *

Zarząd główny Macierzy szkolnej złożył Kuratorowi Warszawskiego okręgu naukowego podanie o pozwolenie otwarcia szkół w początku nadchodzącego roku szkolnego w różnych stronach kraju.

Ogółem Macierz szkolna w roku bieżącym zamierza powołać do istnienia 153 szkoły męskie, w tem 24 szkoły średnie (8-io, 6-io

i 4-o klasowe), 1 szkołę 4-o klasową żeńską, oraz 128 szkół mieszanych jednoklasowych po miastach i wsiach.

Praca to ogromna i materyalny wysiłek wielki, przy współudziale ogółu jednak cel zostanie osiągnięty. A współudział ten jest coraz żywszy na całym obszarze kraju. Z uznaniem musimy zaznaczyć na tem miejscu, że hasła Macierzy, mimo, iż prasa socyalistyczna, a za nią także prasa pseudo-postępowa, starały się osłabić zaufanie społeczeństwa do jedynej jego instytucyi oświatowej, na szerokich opartej podwalinach, że hasła te, znalazły przecież odgłos wszędzie. Koła Macierzy tworzą się nie tylko w miastach, miasteczkach i podrzędnych osadach, ale nawet po wsiach, które dotąd nie brały żadnego udziału w życiu zbiorowem narodu.

Pozwala to przypuszczać, że poczucie potrzeby oświaty jest tak silne wśród ogółu, iż nic go nie osłabi, że pomimo najtrudniejszych warunków, praca rozpoczęta pójdzie naprzód i prowadzić nas będzie do lepszej, jaśniejszej przyszłości.

Pole, na którem do niedawna jeszcze nie wolno było stanąć do roboty, dzisiaj otwarte jest dla wszystkich. Każdy ma obowiązek stanąć na niem i cegłę swoją przyłożyć do wielkiego gmachu, którego fundamentem jest dobra szkoła ludowa polska. Nikt nie może się usuwać od tego, ani wymawiać tem, co poprzednio stanowiło osłonę wszelkiego niedołęstwa i apatyi. Teraz zdajemy egzamin z naszych sił społecznych, z naszego wyrobienia i dojrzałości w dziedzinie pracy zbiorowej.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Dnia 12 czerwca 1906 r. odbyło się posiedzenie lwowskiego Towarzystwa Historycznego, na którem prof. Uniw. dr. Bruchnalski przedłożył rozprawę p. t. „*O Piaście.*"

Studya nad wyjaśnieniem, jaka treść kryje się w podaniach o Piaście, mają wielką doniosłość w nauce. Z nich bowiem wnioskuje się o początku dynastyi i państwa polskiego. Taka lub inna odpowiedź rzuca decydujące światło na charakter tworzenia się państwa polskiego.

Ze studyów, które dotąd kwestyi Piasta poświęcono, wybiły się trzy przedewszystkiem: prof. Wojciechowskiego, historyka; prof. Brücknera, lingwinisty i St. Ciszewskiego, etnografa. Według teoryi uczonego pierwszego „*Piast*" nie jest żadnem imieniem, ani nazwiskiem, lecz oznacza urząd dworski: *majordoma*, który jak w państwie frankońskiem Merowinga, tak u nas strącił Popiela i tron książęcy po nim opanował. Zdaniem prof. Brücknera, podanie o „Piaście," to — wierutny wymysł czasów późniejszych, analogon tylko do baśni czeskich o Przemyślu i Przemysłowicach, bez wszelkiej wartości historycznej. Pan Ciszewski wreszcie zwrócił uwagę na instytucyę prastarą, właściwą wszystkim narodom pierwotnym, t. z. *atałykat*, pewnego rodzaju opiekę czyli zastępstwo ojca, i sprzęgnął go z majordomatem polskim. Lecz p. Ciszewski, aczkolwiek rozporządzał materyałem bardzo bogatym, nie zstąpił po za w. XI, a skutkiem tej okoliczności praca jego, jak gdyby utknęła w połowie drogi.

Autor odczytu podjął na nowo sprawę zawiłą, a opierając się na wynikach p. Ciszewskiego i swoich własnych studyach, wykazał: 1) że „*Piast*," według praw, rządzących powstawaniem dynastyi, nie mógł być ani imieniem osobistem praojca, ani *mianem żadnego urzędu*, lecz że urząd taki, jak majordomat, tkwił w nim *in potentia*, i 2) że historya atałykatu, zastosowana do podania o „Piaście," nakazywałaby — po odrzuceniu dodatków pewnych — podanie to w owej formie, w jakiej przechowało się w najstarszej kronice t. z. Galla, przyjąć za prawdziwą tradycyę dworską.

W szczególności, a w następstwie dalszem z argumentów, przez prelegenta naprowadzonych, wynikałoby, że: 1) *chłop*, którego imienia nie znamy, był *atałykiem*, czyli *ojcem przybranym* Popielidy ostatniego; 2) że *żona* owego chłopa, imiennie przez tradycyę zapamiętana, była mu *mleczną matką*; 3) syn ich obojga, *Ziemowit* był mu *bratem mlecznym*; 4) *książę Popiel* zaś, w uroczystości postrzyżyn Ziemowita udział biorący, był wobec postrzyganego chłopca t. z. *ojcem postrzyżynowym*, a zarazem *adoptującym*.

Wiążąc fakty powyższe w całość, nadto uwzględniając jedną okoliczność, w kulturze pierwotnej znaczenie pierwszorzędne mającą, okoliczność, na podstawie której *pokrewieństwo sztuczne* stawiane było, lub nawet jeszcze dzisiaj stawiane jest wyżej od *pokrewieństwa rzeczywistego*, przyjąć należy za pewnik logiczny, że *po zejściu rodziny Popielidów niewiadomo, jakim, czy naturalnym, czy gwałtownym dziedzicem ich został Ziemowit, pierwszy książę*, syn „*piasta*," *Piastowic*.

Na tem samem posiedzeniu zamianowało Towarzystwo Historyczne zasłużonego uczonego, prof. Władysława Nehringa z Wrocławia, członkiem honorowym.

NOWE KSIĄŻKI.

— Henryk Sienkiewicz. Na polu chwały. Powieść historyczna z czasów Jana Sobieskiego z illustracyami St. Sawiczewskiego. Warszawa. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skład główny w księgar. E. Wende i Sp. 8-o, maj., str. 351.

Jeszcze jedną perłę dorzucił Sienkiewicz ze skarbca swego talentu naszej literaturze. Powieść piękna, barwna, plastyczna, ze znakomitą charakterystyką epoki i ludzi, czyta się z nieustającem zajęciem, a do piękniejszych jej kart czytelnik po kilka razy z lubością powraca. Ale żadna powieść Sienkiewicza, tak jak ta, biernie nie została przyjętą; po kilku miesiącach w prasie cicho, ani jednej dotąd obszerniejszej recenzyi. Czy to czas rewolucyjny, czas strejków temu jest przyczyną?

W notatce „o nowych książkach," zanim ukaże się w „Bibliotece Warszawskiej" obszerne sprawozdanie, wzmiankę tylko czynimy, jako o znakomitym utworze, gdzie z zadziwiającą prawdą, jak w kalejdoskopie życia, przesuwają się prawdziwe, zda się żyjące postacie, z rozmachem prawdziwego talentu odtworzone. Jest ich cały szereg, nowa galerya typów sienkiewiczowskich. Anulka Sienińska—typ Polki cichej, z rezygnacyą niepowodzenia życia przenoszącej, a niosącej wysoko sztandar ideałów moralnych. Pągowski—starzec samolubny, zazdrosny, pyszałkowy, dla poddanych nielitościwy. Jacek Taczewski — oblubieniec Sienińskiej, syn podupadłego rodu, jest obrazem materyalnej dekadencyi znakomitego rodu, ale dobry i prawy żołnierz. Cypryanowicz—uszlachcony Ormianin, widzący niebezpieczeństwa, w jakie wpada Rzeczpospolita i chcący im zaradzić. Tryskający życiem, ale i sławni głupotą Bukojemscy. Opijus, pieniacz Krupecki i zjadliwe, jak gadziny, jego siostry, stare panny — to postaci, jakich plastyka i wyrazistość raz jeszcze każe uchylić czoła przed talentem Sienkiewicza. Ale jest i zawód. Mieliśmy ujrzeć Sobieskiego pod Wiedniem „na polu chwały" w majestacie sławy, jeszcze mo-

że większym i piękniejszym, niż żyje w tradycyi, bo zdobić go miał talent Sienkiewicza. I tu zawód. Powieść się kończy z chwilą, gdy hufce dążą pod Wiedeń, a dostosowana do powieści pieśń Kochowskiego, którą śpiewają wojska, kończy się słowami „na polu chwały," co wyjaśnia tytuł powieści.

— Andrzej Samuel i Jan Seklucyan. Z polecenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu napisał *Ks. Dr. I. Warmiński*, członek tegoż towarzystwa. Poznań, 1906. 8-o, str. XVI + 550.

Jest to jedno z najznakomitszych dzieł, poświęconych wiekowi XVI, które w roku Jubileuszu Reyowskiego ukazały się na półkach księgarskich. Ks. Warmiński przynosi tu historyi naszej literatury całą wiązkę nowych nieznanych dotąd szczegółów niejednokrotnie bardzo ważnych. Tu dopiero po raz pierwszy znajdujemy prawdziwy obraz czynności reformatorskich Seklucyana, tu po raz pierwszy spotykamy się z prawdziwą i udowodnioną charakterystyką sprytnego, a przewrotnego eks-księdza. Dowiadujemy się także, że owo sławne tłómaczenie Nowego Testamentu t. zw. królewieckie zarówno jak i „Ortografia Seklucyana" nie wyszły bynajmniej z pod jego pióra. Autorem tych ważnych w naszej literaturze XVI w. utworów jest Stanisław Murzynowski. Dowodzi tego autor w III-cim rozdziale § 5-go, gdzie niezbite na to dowody przytacza. Seklucyan nie jest więc tak zasłużonym w naszej literaturze autorem, za jakiego go miano, jest prędzej sprytnym i wielce zasłużonym wydawcą, który umiał wyzyskać okoliczności, aby nie tylko dla siebie korzyść wyciągnąć, ale także dla rozwoju literatury polskiej nie małe położyć zasługi.

Część pierwsza dzieła obejmuje początkowe losy mnicha Samuela i Jana Seklucyana do r. 1544. Część druga wyjaśnia dalsze ich losy i daje obraz całej spuścizny literackiej Seklucyana, uwzględniając nie tylko kwestye bibliograficzne i wydawnicze, ale w pierwszym rzędzie krytyczną ich ocenę filologiczną i literacką. W dodatkach autor pomieszcza *in extenso* 27 listów i dokumentów wyjaśniających dziwne koleje życia Seklucyana i służących jako *pièces justificatifes* do przytoczonych w dziele dowodzeń. Dokładny indeks osób i miejscowości zakończa to wielce pracowite dzieło.

F. P.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Boniecki Adam: Herbarz Polski. Tom IX — Zeszyt VI. 4-o, str. 201 — 240; od Kamieńscy — Karczewscy.

— Ekonomista. Zesz. II. B. Wasiutyński: Administracya lokalna Królestwa Polskiego, (1807—1905) wobec samorządu ziemskiego;—Wł. Grabski: Płace i zarobki ludności wiejskiej w oświetleniu warsz. komit. statystycznego;—Z. Grotowski: Rozwój instytucyj dobroczynnych w Warszawie;—Al. Szczepański: Listy z Niemiec;—B. Wasiutyński i J. Szyc: Kronika ekonomiczna;—Ruch cen i kursów;—Rozbiory i sprawozdania;—Przegląd czasopism;—Bibliografia.

— Kwartalnik Teologiczny. Zeszyt III i IV. Ks. Pr St. Chodyński: Biskupi Suffragani włocławscy (c. d.);—Ks. Dr. Fr. Gabryl: Realizm i nominalizm w dziejach filozofii (c. d.);—Ks. A. F. Sobalski: Listy znakomitych mężów wieku XVI w roku 1678 zebrane w trzy księgi przez Bisk. St. Karnkowskiego (c. d.);—E. Sleszyński: Testament Anny Maryi z książąt Ostrogskich Chodkiewiczowej;—Ks. L. Jarosiński: O godności stanu kapłańskiego i wypływających stąd obowiązkach kapłana, praca konkursowa (c. d.); — Ks. Ł. Janczak: Z dziejów klasztoru księży Trynitarzy w Orszy (c. d.); — Ks. Dr. Fr. Gabryl: Dusza w psychologii najnowszej;—Ks. Prof. Dąbrowski: O istocie przeistoczenia; — Ks. J. Gołąb: O tłómaczeniu nowego testamentu przez Ks. J. Wujka (dok.);—Ks. A. Szaniawski: Z mego archiwum;—Ks. A. Szaniawski: Pisma św. Jana od Krzyża, w przekładzie z oryginału hiszpańskiego;—Ks. A. Szaniawski: Najnowsze odkrycia w teoryi budowy Psalmów (.c d.); — Ks. A. Szaniawski: Księga praw najstarsza w świecie. Kodeks Hammurabi'ego, króla Babilony (r. 2250 przed Chr.) (c. d.); — Ks. A. Szaniawski: Słownik biblijny wedle najnowszych wzorów: francuskich, angielskich i niemieckich; — Krytyka i bibliografia.

— Ognisko. Czerwiec. G. N.: Eliza Orzeszkowa; — K. Laskowski: Pod Lipskiem;—A. L.: Historya o dwóch braciach;—Lew Tołstoj: Czemu?; — Or-Ot: Pieśń o dziejach naszych; — U Cesarzowej Chińskiej; — K. Niedzielski: Z tronu na stracenie;—E. Doyle: Geniusz śledczy;—Dr. K. Brzeski: Aseptyk;—L. Peretz: Dusza;—St. Bosakowski: Henryk Ibsen;—E. Żmijewska: Sprawy kobiece;—Rozmaitości.

— Przegląd historyczny. Tom III. Zesz. 1. (Lipiec i Sierpień). Próbki najnowszej krytyki, przez Al. Brücknera.—Sprawa zastawu ziemi Dobrzyńskiej, przez Władysława Opolczyka i pierwsze lata sporu (1391—1399). Szkic historyczny (Zastaw Złotoryi i ziemi dobrzyńskiej), przez Maryana Goyskiego.—Szkice z dziejów szlachty mazowieckiej (Mazurowie w świetle cudzych opinij), przez Władysława Smoleńskiego. — Przegląd dziejów wewnętrznych Rosyi (1814—1830), przez Szymona Askenazego. — Legion awanturników (Epizod z roku 1848), przez Br. Lozińskiego. — Z archiwum byłego trzeciego wydziału w Petersburgu (Mickiewiciana), przez Al. Krausbara.—Druki litewskie. Studyum historyczno-statystyczne (z tablicą graficzną), przez M. Bernsztejna.—O prawie przyzwalania krewnych na pozbywanie nieruchomości w Wielkopolsce aż do ustawodawstwa Kazim. Wielkiego, przez Nor. Michalewicza.—Sprawozdania, Miscellanea.

— Rozprawy Akademii Umiejętności, wydział filologiczny, serya II, tom XXVIII, ogólnego zbioru tom 43. Kraków, 1906. Nakł. Akademii Umiej. Spółka Wyd. Polska. 8-o, str. 488.

— Zdrowie. Zesz. 7. Lipiec. L. Rutkowski: Pomoc lekarska dla ludności wiejskiej;—M. Osmała: O niehygienicznem odżywianiu się robotników;— Dr. Żenczykowski: W sprawie nowego typu ochrony. Wydział hygieny ludowej;—Dr. Józef Jaworski: O sekcie Maryawitów ze stanowiska hygieny społecznej;—Dr. J. Polak: Zdrowie Publiczne wobec stronnictw i Izby państwowej. Wydział szpitali i przytułków.—Program działalności Komitetu dla walki z ra-

kiem, opracowany przez dr. J. Jaworskiego. Odezwa do kobiet. Kwestyonaryusz w sprawie raka macicy.—Z ruchu i potrzeb hygieny Polski. Dział sprawozdawczy.—Z towarzystw hygienicznych oraz im pokrewnych. — Ze zjazdów i wystaw. — Wiadomości drobne.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA. — PSYCHOLOGIA.

Apokalypsis Jana Teologa. Tłómaczenie z greckiego, z tekstem greckim i uwagami. Berlin, 1905. Skł. gł. w księg. Gebethn. i Wolffa. 8-o, str. 292.

Encyklopedya podręczna, kościelna. Opracowana pod kierunkiem Ks. ks.: St. Galla, J. Niedzielskiego, St. Przezdzieckiego, A. Szlagowskiego, A. Tauera i red. ks. Z. Chełmickiego. C. D. Tom VII—VIII. Warszawa, 1906. Skł. w księg. Gebethnera i Wolffa. Wydaw. Bibl. Dzieł Chrześcij. zeszt. 65 i 66. 8-o, str. 421 + 65 — 96.

Gabryl Fr., Ks. Dr. Prof. Uniw. Jag.: Psychologia. Kraków, 1906. Nakł. autora, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 472 i 2 nl.

Kozłowski W. M: Wykłady o filozofii współczesnej. Lwów, 1906. Nakładem Księgarni Polskiej. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 358.

Ks. Krynicki Władysław: Wymowa święta. Wydanie Bibliot. Dzieł Chrześcijańskich.

Muklanowicz Józef: Lenistwo. Warszawa, 1905. Wyd. Książek dla wszystkich, M. Arcta. 16-o, str. 64.

Rostworowski Jan Ks. T. J.: Liberalny katolicyzm (Broszury o chwili obecnej, zeszyt II). Kraków, 1906. Nakł. Redakcyi wydawnictw Tow. Jez. 8-o, str. 60.

Straszewski Maurycy, zw. profesor filozofii w uniw. Jagiellońskim. Filozofia św. Augustyna na tle epoki. Kraków, 1905. Nakładem Spółki Wydawniczej Polskiej. 8-o, str. 386.

Vianney Jan Marya bł.: Kazania niedzielne i świąteczne, wydał w skróceniu z francuskiego i zaopatrzył przedmową ks. dr. Jakób Górka, prof. semin. biskupiego w Tarnowie, tom I i II. Lwów i Kraków, 1906. Skł. głów. Z. Jeleń w Tarnowie. 8-o, str. XVI, 503 i 2 nl. z portretem błogosław., 2 nl. i 355.

HISTORYA LITERATURY. — BIBLIOGRAFIA.

Estreicher K.: Bibliografia polska, 140,000 druków, część III, tom. X, lit. L—Lz., ogólnego zbioru tom XXI, stulecie XV—XVIII w układzie abecadłowym. Kraków, 1906. Wyd. Akad. Umiej. 8-o, str. IX, 550 i IX.

Galle Henryk: Stylistyka i teorya literatury. Wykład systematyczny oraz wypisy i ćwiczenia stylistyczne. Wydanie drugie, przejrzane i poprawione. Warszawa, 1906. Nakładem M. Arcta. 8-o, str. 375.

Grabowski Tad. St.: Szkice i rozprawy z piśmiennictw słowiańskich. Anton Askerc, poeta słowiański. Sylweta jubileuszowa (1855—1906). Kraków, 1906. Gebethner i Sp. (Odb. ze „Świata Słowiańskiego"). 8-o, str. 39 z portretem poety.

Tenże: Z dziejów literatury kalwińskiej w Polsce 1550—1650, odbitka z Rozpr. Wydz. filolog. Akad. Umiej. Kraków, 1906. Nakł. Akademii Umiej. Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 239.

Kielski Bolesław: O wpływie Moliera na rozwój komedyi polskiej, studyum historyczno-literackie. (Odb. z Rozpr. Wydz. filolog. Akad. Umiej.). Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej. Spółka Wydawn. Polska. 8-o, str. 182.

Wojciechowski Konstanty Dr.: Zwięzły podręcznik historyi literatury polskiej. Wydanie drugie poprawione. Lwów, 1906. Nakładem księgarni Stanisława Köhlera. 8-o, str. IX i 204.

HISTORYA.

Acta Tomiciana, tomus duodecimus epistolarum, legationum, responsorum, actionum et rerum gestarum. Serenissimi principis Sigismundi primi regis Poloniae, magni ducis Lithuaniae, per Stanislaum Gorski, canonicum cracoviensem et plocensem, a. d. MDXXX. Posnaniae, 1906. Sumpt. Biblioth. Kornicensis. (Wydał Celichowski). 4-o, str. 2 nl. i 435.

Berg Mikołaj Prof.: Zapiski o polskich spiskach i powstaniach. Przekład z rosyjskiego. Część I. Warszawa, 1906. Bibl. Dzieł Wyborow. № 438. 8-o, str. 167.

Część II. Warszawa, 1906. Bibl. Dzieł Wybor. № 439. 8-o, str. 188.

Część III. Warszawa, 1906. Bibl. Dzieł Wyb. № 441. 8-o, str. 149.

Gomulicki Wiktor: Rewolucya Kościuszkowska, z 12 ilustracyami. Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda i Synów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 40.

Goyski Maryan Dr.: Wzajemne stosunki Polski, Litwy i Zakonu w latach 1399 — 1404, studyum historyczne. Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 66 i nl. 1.

Góral Bolesław E. Ks.: Zasady interpunkcyi Polskiej. Milwaukee Wis. Lwów, 1905. Nakł. „Orędownika Językowego." 8-o, str. 32 i 2 nl.

Helenius Eu.: Listki z Ukrainy. Tom III-ci. Kraków, 1902. Nakładem autora. 8-o, str. 255.

Hirschberg Aleksander: Maryna Mniszchówna. Lwów, 1906. Nakł. Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, str. VII, 339 i IV z ilustracyami.

Kraushar Aleksander: Miscellanea historyczne. VI. Z archiwum senatora Nowosilcowa. Uwagi nad Konstytucyą Królestwa z r. 1815. Warszawa,

1906. Nakł. „Przeglądu historycznego.“ Skł. gł. w księg. Gebethn. i Wolffa. 8-o, duże, str. 10.

— VII. Z archiwum senatora Nowosilcowa. Memoryał więzienny Maurycego Mochnackiego z r. 1824. Warszawa, 1906. Nakł. „Przeglądu historycznego.“ Skł. gł. w księg. Gebethn. i Wolffa. 8-o, duże, str. 12.

— VIII. Trzy sceny sejmowe w zamku Kólewskim w Warszawie 1611—1791—1818 z ilustracyami. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, duże str. 7.

— IX. Z archiwum b. Trzeciego Wydziału w Petersburgu. Mickiewiciana. Warszawa, 1906. Nakł. „Przegl. historycz.“ 8-o, duże, str. 8.

ETNOGRAFIA.

Kolberg Oskar: Śląsk Górny, materyały etnograficzne zebrane przez... z papierów pośmiertnych, wydał Seweryn Udziela (odbitka z „Materyałów antropol. archeol. Akad. Umiej.). Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej. Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 74.

S. S. L.: Przyczynki do etnografii Wielkopolski (Odbitka z Materyałów komisyi antropol. archeol. Akad. Umiej.). Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej. Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 139, z 5 kolorowemi tablicami.

PRAWO. — EKONOMIA. — NAUKI PRAWNO-POLITYCZNE.

Birencweig Bernard, magister prawa i administracyi, adwokat przysięgły przy Warszawskiej Izbie Sądowej. O małżeństwie cywilnem ze stanowiska historycznego, państwowego, kościelnego i obyczajowego. Kraków-Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 80.

Bouglé C., Dr.: Demokracya wobec wiedzy. Przełożyła z francuskiego dr. Felicya Nossig. Lwów, 1907. Pol. Tow. Nakładowe w Warszawie. Skład głów. E. Wende i Sp. 8-o, str. XV + 405.

Grużewski Bolesław: Sądownictwo Królewskie w pierwszej połowie rządów Zygmunta Starego. Studya nad historyą prawa polskiego, wyd. pod redakcyą O. Balzera, tom II, zt. 4. Lwów, 1906. Skł. gł. w księg E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 124.

Kautsky Karol: Kwestya rolna w Rosyi. Przełożył S. Posner. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. Naukowej. 8-o, str. 45.

Tenże: Republika a socyalna demokracya we Francyi. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. Powszechnej. 8-o, str. 156.

Menger Antoni, Prof. Dr.: Nowa nauka o państwie. Przekład z upoważnienia autora. Wydanie drugie, przejrzane i poprawione. Lwów, 1907. Polskie Tow. Nakł. w Warszawie. Skł. gł. E. Wende i Sp. 8-o, str. XV + 372.

Niewiadomski R.: Materyały i uwagi do oceny gospodarki finansowej Państwa Rosyjskiego. Warszawa, 1906. Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 64.

HISTORYA SZTUKI.

Sokołowski Maryan: Dwa gotycyzmy: wileński i krakowski w architekturze i złotnictwie i źródła ich znamion charakterystycznych. Odb. z t. VII Spraw. Komisyi do badania historyi sztuki. Kraków, 1906. Nakł. Akademii Umiej. 8-o, str. 40 i fig. 14.

Teka grona konserwatorów Galicyi zachodniej, tom II. Kraków, 1906. Nakładem Grona Konserwatorów Galicyi zachodniej. Spółka Wydaw. Polska. 8-o, str. VII, 599 i 1 nl., z 258 ilustracyami w cynkotypii, 3 w światłodruku i 3 tablicami w heliograwiurze.

NAUKI PRZYRODNICZE.

Neumar Melchior, Prof. Dr.: Dzieje ziemi. W opracowaniu prof. dr. Wiktora Uhliga. Tom pierwszy. Geologia ogólna, 368 rysunków w tekscie, 2 mapy, 15 tablic, z których 2 kolorowe. Przełożyli z 2-go wydania niemieckiego: Jan Zaleski, Zygmunt Weyberg, Stanisław Janiszewski. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. d-ra Józefa Mianowskiego; wydał Józef Morozewicz. Warszawa, 1906. Skład główny w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. XVI i 763.

Sędziak Jan: O stanie laryngologii, rynologii i otiatryi w Polsce wieku XIX. Odbitka z „Nowin Lekarskich."

Szyszłowski Wincenty, Dr.: Ewolucya materyi. Nowa wiedza. Atom. Życie. Myśl. Dusza. Bóg. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 40.

Wszechświat i Człowiek. Dzieje badań przyrody i zastosowania jej siły na pożytek narodów. Przełożył Stanisław Kramsztyk. Tom II. Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda i S-ów. 8-o, str. 553 + IX.

PEDAGOGIA. — PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

Krasnowolski Antoni: Gramatyka języka polskiego, szkolna w czterech kursach koncentrycznych. Opracował ... Kurs II-gi. Warszawa, 1906. Systematyczny kurs nauk. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 166.

Leder A.: Gramatyka niemiecka. Etymologia, Ortografia i Składnia. Ułożył ... Podług pierwszego wydania, zatwierdzonego przez Ministeryum Oświaty i Finansów dla użytku w szkołach z wykładowym językiem niemieckim. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. L. Fiszera. 8-o, str. 94.

Łojko M. i Osterloff W.: Podręcznik do nauki języka niemieckiego, według metody poglądowej. Ułożyli ... Część I, początki języka. Wydanie drugie poprawione. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 110.

Sempołowska Stefania: Niedola młodzieży w szkole galicyjskiej. Kilka słów o narodowej szkole w Galicyi. Kraków, 1906. Nakł. administracyi „Naprzodu.“ 8-o, str. 58.

Sokolnicka E.: Kurs elementarny: Zoologii, Botaniki, Mineralogii. Cz. I Zoologia. Wydanie pierwsze. Łódź, 1906. Nakł. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 126.

Streusand B.: Zbiór zadań arytmetycznych dla szkół początkowych. Część I. Warszawa, 1906. Nakł. Jana Fiszera. 8-o, str. 126.

Weychertówna Wł.: Nauka poprawnego wysławiania się i pisania, oraz wskazówki dla czytających książki. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. Polskiej J. Sikorskiej. 8-o, str. 113.

POWIEŚĆ. — POEZYA.

Czechow A.: Wybór 20 obrazków, satyr, humoresek i karykatur. Z rosyjskiego przełożył Zygmunt Świątopełk Słupski. Poznań, 1906. Nakł. Z. Słupskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff. 8-o, str. 148.

Gamaston (G. Kamieński): Fata morgana. Powieść. Warszawa, 1906. Nakł. „Wędrowca.“ Skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 165.

Irzykowski Karol: Nowele. Warszawa - Stanisławów, 1906. Skł. gł. w księg. Jana Fiszera. 8-o, str. 182.

Jaczewski Cezary: Oko Ahura-Mazdy, powieść na tle legendy o Zaroastrze. Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 351.

Jeske-Choiński Teodor: Małżeństwo, jakich wiele. Studyum powieściowe. Warszawa, 1906. Biblioteka Dzieł Wyborowych № 440. 8-o, str. 135.

Konopnicka Marya: Głosy ciszy. Kraków, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa w Warszawie. 8-o, str. 153.

Missona Kazimierz: Dziady, dzieło Adama Mickiewicza w 6 odsłonach, ułożył ... Kołomyja, 1906. Na składzie w księgarni F. Westa w Brodach. 8-o, str. 74 i 4 tablice nut.

Mrozowicka Irena: Złote mosty. Powieść. Spółka Wydawn. Polska. Kraków, 1906. 8-o, str. 214.

Odrowąż W.: Dwa szkice. Kraków, 1906. Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 147.

Płażek Feliks: Elektra. Tragedya. Lwów, 1906. Księgarnia Polska. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o.

Rodziewiczówna Marya: Błękitni. Powieść. Warszawa, 1906. Nakł. „Wędrowca.“ Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 434.

— Na wyżynach. Powieść. Nakł. „Wędrowca.“ Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 527.

— Straszny dziadunio. Powieść. Warszawa, 1906. Nakład „Wędrowca.“ Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str 139.

Romanowski Mieczysław: Wybór pism, wydał Tadeusz Pini. Lwów, 1905. Biblioteka Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Tom I, 8-o, str. 152; tom II, str. 128.

Strzelecki Adolf: Jak we śnie. Powieść. Warszawa, 1906. Skład głów. w księgarni A. G. Dubowskiego. 8-o, str. 171.

Sue Eugeniusz: Żyd wieczny tułacz. Warszawa, 1906. Nakładem księg. S. Bukowieckiego. 8-o, str. t. I. 205, t. II 202, t. III 209, t. IV 212, t. V 211, t. VI 230, t. VII 143, t. VIII 112, t. IX 166, t. X 182, t. XI 179, t. XII 192.

Zola Emil: Germinal. Tłómaczył z francuskiego F. Mirandolla. Lwów, 1906. Nakładem W. Podwińskiego. Skł. główny w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 473.

PUBLICYSTYKA.

Gałęzowski Józef: W sprawie Muzeum narodowego polskiego w Rapperswilu, wykaz błędów i niedorzeczności zawartych w broszurze pod tytułem: „Gdzie się podział skarb narodowy, historya miliona narodowego w Rapperswilu.“ Kraków, 1906. Skład głów. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 64.

Jeziorański Józef: Sprawa agrarna w Rosyi. Napisał ... Dodatek do „Słowa.“ Warszawa, 1906. Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 27.

Moszyński Jerzy: List otwarty do J. E. ks. bisk. Edwarda Roppa, członka Izby deputowanych w Petersburgu. Kraków, 1906. Skł. główny G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 30 i 1 nl.

Nusbaum Henryk D-r: Głos antysyonisty do polskiej inteligencyi żydowskiej zwrócony. Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 26.

Piotrowski Stanisław: Bezrobocie powszechne. Studyum. Warszawa, 1906. Nakładem księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 17.

Potocki Tomasz: Kwestya agrarna w Rosyi. Warszawa, 1906. Skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 35.

Zimmermann K., Ks.: Kilka zdań o potrzebie działalności społecznej duchowieństwa Poznań, 1906. Księgarnia św. Wojciecha. 8-o, str. 73 i 1 nl.

Związki katolickie w Niemczech: Z myśli społecznej III. Warszawa, 1906. Nakł. księg. M. Szczepkowskiego. 8-o podł., str. 52.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

№ 7.



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

Treść: Gospodarka Finansowa Miasta Warszawy,—przez Stefana Gorskiego.

Gospodarka Finansowa
MIASTA WARSZAWY.

D. Wydatki miejskie.

Gorzej od działu dochodów przedstawiają się w budżetach wydatki miasta Warszawy. Na każdym kroku spotykamy się tu z rubrykami pełnemi niespodzianek, zgoła niepojętych dla każdego z ekonomistów zachodnich.

Pozycye ogólne rachunku nie rażą jeszcze zbytnio, choć wydatki na szkoły przedstawiają obraz iście śmieszny w stosunku do sum przeznaczanych na policyę. Zasiłki na szpitale i zakłady dobroczynne wydają się niczem w stosunku do kosztów utrzymania straży ogniowej, ale wszystko to jeszcze cyfry wystawione w ryczałtowem brzmieniu — inaczej wyglądają szczegóły tych wydatków. Rozchody na utrzymanie korpusu żandarmskiego, wydziału śledczego, koszty przejazdów i przeprowadzania się na „kresy“ urzędników miejskich pochodzenia rosyjskiego, oraz dla tychże funkcyonaryuszów dodatki pieniężne za służbę w granicach Królestwa Polskiego, a nadto premia na wychowanie dzieci, dalej „wydatki tajne“ i „do rozporządzenia“ — wszystko to pozycye niezwykłe, wprowadzające mieszkańca Europy Zachodniej w dziedziny nieznanych i nieprzewidywanych odkryć.

My, niestety, do tak układanych budżetów przywykać byliśmy zmuszeni. W syntezach preliminarzy, pomieszczanych w prasie warszawskiej, cenzura skrzętnie usuwała wszelkie krytyczne oświetlania gospodarki magistrackiej. Rozporządzanie się pieniędzmi publicznemi stolicy, odbywało się niemal bez kontroli i bez głosu ogółu mieszkańców. Budżety miasta Warszawy układa Magistrat, a rozpoznaje komitet, w skład którego wchodzą: gubernator warszawski, oberpolicmajster, prezydent miasta, zarządzający izbą skarbową i izbą kontroli, przedstawiciele warszawskiego okręgu komunikacyi, warszawskiego okręgu żandarmeryi, oraz 3 — 4 obywateli miasta, *wyznaczonych przez generał-gubernatora*. Taki skład komisyi budżetowej trwa od lat dziesiątków, bo od r. 1870. Głosy obywateli miejskich giną wobec przewagi wybrańców urzędniczych. Rutyna biurokratyczna w budżetach, miała istnienie swe z góry zapewnione. Ustosunkowanie wzajemne pozycyi wydatkowych pozostaje wciąż niemal bez zmiany.

Jedną z główniejszych pozycyj wydatków miejskich stanowi spłata długów. Jest to głównie amortyzacya pożyczek kanalizacyjnych i wydatków związanych z tą amortyzacyą. Dalekie są widoki umorzenia tych pozycyj. Owszem, sumy spłatne wzrastają i wzrastać będą z rokiem każdym. Od roku 1891, aż po rok 1903, widzimy więcej, niż podwojenie się wydatków amortyzacyjnych. Przez zaciągnięcie w r. 1903 VII-ej pożyczki miejskiej (4½%) długi Warszawy wzrosły jeszcze bardziej i na dzień 1 stycznia 1906 r. wynosiły łącznie rb. 44,750,400 kop. 86. Rat amortyzacyjnych w r. 1903 spłacono 1,425,291 rb., na rok 1906 przewidzianą jest suma spłatna 2,285,993 rb. Wogóle umorzenie ostateczne dotychczasowych zobowiązań miejskich przewidziane jest, aż w roku 1952. Nie stanowi to rubryki na *minus* w gospodarce Warszawy, owszem, długi byłyby cechą dodatnią rządów miejskich, o ile pożyczki obracanoby z myślą polepszania urządzeń publicznych. Aby jednak kapitał osiągnięty z ostatniej pożyczki (33 mil.) był wślad za zrealizowaniem obligów należycie zużytkowany—tego, niestety, powiedzieć się nie da. Unieruchomione pieniądze przynosiły przez dłuższy czas znaczne straty, pozbawiając ogół tych melioracyj miejskich, które Warszawę wznieść miały bardzo wysoko na poziom iście europejski. Administracyjno-biurokratyczny brak pośpiechu w wykonywaniu zamierzonych prac, jak zwykle, stanął na przeszkodzie do podjęcia wielu dzieł pierwszorzędnego znaczenia. Pieniądze leżały w banku, ogół zaś nie miał z pożyczki najmniejszych korzyści. Pomówimy o tem obszerniej jeszcze na innem miejscu.

WYDATKI.

ROK	1891	1892	1893	1894	1895	1896	1897	1898	1899	1900	1901	1902	1903
	RUBLE												
Długi { pożyczki. .	663.300	654.460	653,038	658,914	650,388	654.120	744,492	754,128	1,170,635	1,179,725	1,337,230	1,394,944	1,425.291
Długi { inne zobow.	77,151	68.356	67,685	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Administracya miejska	179,639	188.800	214.988	205,928	218,545	235.931	235,705	289,332	289.740	284.774	286.719	285.826	293,837
Lokał w ratuszu . . .	16.427	16.360	16.154	16,494	9.070	17.550	17,370	24,447	16.808	20.251	12.183	9.877	13,356
Wagi i miary, służba .	590	661	870	570	1,231	2,492	714	505	562	734	578	1,042	—
Wodociągi i kanały (administracya i eksploatacya).	217.464	255.167	231.164	267.841	324,085	348.487	414,619	391,940	464.577	477.296	551.228	586,331	682,751
Rzeźnie	40.041	37,362	59,165	55,997	56.274	41,404	48.233	49,375	65,886	63.699	87,285	145.988	101.264
Policya.	613,360	674.565	652.543	669.834	683,039	689,172	523,205	495,295	522,179	547.596	539.323	535,121	541,126
Lokal w rat. i cyrkuły .	100.866	102.866	89,158	78,342	90.057	106.509	93,177	95,698	107.988	102.411	129.490	109.207	113,658
Straż ogniowa. . . .	159,452	170.198	167.395	171,167	167,171	174,997	159.317	160.394	176,202	177.349	175.009	174.920	168.433
Lokale oddziałów . .	19.347	161.834	10,524	3,492	20.499	23.237	12.035	8.607	16.289	21.052	10.392	19,393	18.417
Emerytury	11.102	11,714	13,969	15.875	13.878	13.882	14.244	13.063	17,439	14.040	13.676	13.547	14.210
Sądy	104.725	104.602	104.211	107.315	114,458	114.269	113,845	128,212	128.069	128.027	129.455	128,024	161,697
Podatki	13,863	13.178	13.088	13.329	4.084	5.286	4,964	7.065	9.167	10.960	16.802	12.473	13,461
Bruki, chodn. i skwery	346.387	327.339	525.828	712.115	918,395	1,089,794	1,360,295	1,344,462	1,111,552	1.287.558	1.435.060	1.352.659	1,457,966
Oświetlenie.	154.229	161.937	165,308	187,436	198,455	208.097	213,122	211.267	215.275	214.714	226.342	233.117	243,591
Różne	19,651	52,595	39.732	35,879	47,121	67,582	133,125	20.237	31.334	40.795	122.300	40.877	40.268
Wydat. na potrz. wojska	10,073	11.055	7,816	8.410	7,669	7,098	8.163	9,876	8,328	8.869	9.625	20.025	14.045
Szkoły.	131,800	129.309	142.605	144,702	147.007	149.519	158,393	211,518	285.184	332.204	338.720	337,710	340.333
Rada Dobr. i Szpitale .	145,973	143,801	153,407	150.489	149.074	154.182	154,764	169,028	197.475	195,905	185.593	197.277	205,104
Zasiłki skarbowe . . .	79.095	79,154	79.354	79.854	79,854	82,457	79,854	79,854	80.164	79,854	81.815	81.460	81,220
Wydat. nieprzewidziane	15,299	18,480	15,049	15,000	15,029	15.100	15,000	15.000	14,967	15,000	14.995	14.997	15,000
Za nabyte grunta . . .	—	—	—	—	—	—	—	61.736	235,165	203.321	68.843	202,639	269,213
Zasiłki urzęd. Rosyan.	—	—	—	—	—	—	—	18,031	20.305	28.710	30.952	27,077	34,465
Razem . .	3,119,804	3,238,994	3,428,051	3,598.984	3,915,384	4.201.164	4,504,636	4.559,072	5,185.324	5,434.843	5.803,617	5,923,523	6,248,705
Zwrotne	119,337	85,194	143,107	125.876	314,767	296,349	321,017	790,323	897,036	398,714	422.496	580.920	637.610
Nadzwyczajne	1,207.139	1,376.531	2,103.029	2.244,408	1,690,219	1.629.411	2.563,342	3.371,987	2,597,064	3,772.027	2,988.188	1.466.867	1,291,555
Ogółem . .	4,446,280	4,700,719	5,674,187	5,969,268	5,920,370	6,126,924	7,388,995	8,721,382	8,679.424	9,605,584	9,324.301	7,971,310	8,177,870

Administracya miejska i lokal dla niej stanowią z kolei jeden z poważniejszych wydatków Warszawy. Nie można zarzucić aby magistrat miał być przeładowany urzędnikami, lub pensye były zbyt wygórowane. Podług wykazów „Słowa“ [1]) najwyższe wynagrodzenia pobierali prezydent i wice-prezydent (14 tys.), reszta urzędników *przeciętnie* otrzymuje po 700 rb. rocznie. Etat najwyższy, przyznany radcy magistratu wynosi 1,500 rb., najniższy zaś—kancelisty 240 — 250 rb. Skromne wynagrodzenie pobierane przez urzędników Polaków wzrasta znacznie, gdy chodzi o oficyalistów rosyjskich, dla których istnieją specyalne pensye stale rozmiarami wzrastające. W roku 1898 dodatki do pensyi wynosiły 18,031 rb., w r. 1903 wzrosły do 34,465 rb. W ciągu pięciu lat ujawniła się więc tendencya prawie zdwojenia wydatków w tym kierunku. Dodać tutaj należy, że z przytoczonych powyżej pozycyj wydatkowych, na rzecz urzędników magistratu przypada mniej niż 10%, zaś pozostałe 90% otrzymują urzędnicy policyi pochodzenia rosyjskiego.

Podnoszące się stale rozchody na utrzymanie i eksploatowanie wodociągów i kanalizacyi stanowią rubrykę normalną. To samo dałoby się powiedzieć o rzeźniach, gdyby przy wzrastających wydatkach znać było większy ład w tych zakładach, przedstawiających istny obraz nędzy i rozpaczy.

Rzeźnie miejskie w Warszawie są prawdziwą hańbą rządów magistratu. W bydłobójniach tych brak wszystkiego, czegokolwiek wymaga hygiena, aby się tam znajdowało. Rzeźnie warszawskie — według charakterystyki p. A. Suligowskiego [2]) — są to „ciemne, brudne i pełne błota jamy, w których się dokonywa szlachtowanie w sposób zaiste dziki i barbarzyński. Nad każdą sztuką siedzi brudny rzeźnik, który ze świeczką na patyku w zębach i przy jej blasku wśród ciemności, zwiększonej masą wyziewów i oparów, operuje swoją ofiarę. Podłoga pokryta jest grubą warstwą błota, pomieszanego z krwią i wydzielinami zabitych zwierząt. Zabity wieprz idzie do kąpieli, w której — zdarza się niekiedy — już 100 sztuk korzystało z obmycia. Przy nędznej też świeczce lub lampce dokonywają się oględziny weterynaryjne i wątpić można, czy przy największej skrupulatności weterynarzy dadzą się uniknąć pomyłki i niedopatrzenia.“ Przy wzorowym po-

[1]) „Budżet m. Wsrszawy na rok 1897“ „Słowo“ 1896. № 227.

[2]) „Warszawa i jej przedsiębiorstwo miejskie“ str. 61.

rządku. rzeźni wydatek w r. 1903 rb. 101,264 na ich utrzymanie byłby nawet nie wystarczający, ale wobec dzisiejszego bezładu— jest to pozycya zbyt poważna. Wiemy, że koszty te wywoływane są głównie podtrzymywaniem walących się bud rzeźniczych. Ale jest to jedną z najsmutniejszych form nakładów, ponoszonych z funduszów publicznych. Takie bezcelowe podtrzymywanie starych ruder, tembardziej przemawia za nieodzownie rychłem zbudowaniem nowych rzeźni.

Wszystko jest niczem jednak w budżecie warszawskim w stosunku do wydatku na utrzymanie policyi i uposażenie szkół miejskich. „Słowo“ oblicza, że w roku 1897 na rzecz policyi każdy z mieszkańców (przeciętnie) wnosił po 1 rb. 1½ kop., na utrzymanie zarządu miasta składał po 40 kop., na oświatę dawał nie więcej nad 23½ kop.! Cyfry wymowne. W roku 1897 w rubryce szkół figurowała suma 158,393 rb.; miasto jednak wydatkowało właściwie mniej o 18,098 rb., które daje gmina żydowska na utrzymanie początkowych szkół wyznaniowych i o 6,937 rb., których udziela skarb na szkoły początkowe rzemieślnicze. Nadto z sumy tej wykreślićby należało pieniądze nie przeznaczone na szkoły *miejskie*, lecz jako zapomogi dla zakładów naukowych *rządowych*.

Wydatki na utrzymanie szkół stopniowo rosną wprawdzie w budżetach Warszawy, od r. 1897 w ciągu trzech lat następnych powiększyły się niemal o 2½ raza. Ale w stosunku do ogółu rozchodów miejskich wydatki szkolne sięgają zaledwie 5½% budżetu, kiedy Berlin w roku 1896/7 wydatkował na cele szkolne 12 mil. marek, a Lipsk udzielił na szkoły prawie piątą część budżetu. Na cele szkolne więcej od Warszawy wydatkowały nawet miasta w głębi Rosyi. Znani badacze spraw oświatowych pp. Falbork i Czarnołuskij [1]) wskazują, że w grodach wewnętrznych gubernij Rosyi na naukę elementarną wydatkowano średnio 8.25% ogółu wydatków budżetowyh.

Natomiast „co do wydatków na policyę, to Warszawa — pisze „Słowo“ [2]) — wraz z kosztem najmu i utrzymania lokalów dla biur policyjnych oraz z kosztem dywizyonu żandarmskiego (73,000 rb.) udziela z funduszów miejskich prawie 13⅔% ogółu budżetu. Berlin wydaje nieco wyżej nad 7%. W Warszawie wydatek ten spada w wysokości 1 rb. 1 kop. na głowę mieszkańca, kiedy

[1]) „Narodnoje obrazowanije w Rasii.“

[2]) „Budżet m. Warszawy na rok 1899,“ „Słowo“ r. 1899 № 275.

w Berlinie każdy mieszkaniec płacił w r. 1896/7 na policyę prawie 93 kop., ale łącznie z kosztem utrzymania straży ogniowej, który to koszt wyodrębniony jest w budżecie Warszawy i stanowi 3.7% ogółu wydatków. Dodając ten koszt do wydatków na utrzymanie policyi otrzymamy, że w Warszawie budżet udziela na policyę, straż ogniową i żandarmów przeszło 17% ogółu wydatków, Berlin przeszło 7%, a Petersburg 14½%. Warszawa góruje nad innemi miastami, a dodać tu jeszcze wypada, że do kosztów utrzymania policyi przykłada się skarb, który od lat kilku daje kasie miejskiej 150 tys. rubli corocznie nie objęte w rachunku powyższym.“ Temu zasiłkowi tylko budżet warszawski miał do zawdzięczenia, że od roku 1897 koszt utrzymania policyi nie zwiększył się, lecz obniżył, inaczej sięgałby już niezawodnie 20% ogółu wydatków miejskich. Tak zwany zewnętrzny porządek miasta czyli budowa nowych i utrzymanie istniejących bruków i chodników, zakładanie i konserwacya plantacyj i ogrodów i t. p., w ciągu lat 1891—1903 kosztował coraz więcej i wzrósł w budżecie więcej niż czterokrotnie z 346,387 rb. podniósł się do 1,457,966 rb. Ze względu na pierwszorzędne znaczenie w mieście dobrych bruków nie wypada żałować sum poważnych łożonych, na te cele. Stan bruków w Warszawie w istocie zyskał ogromnie w ostatnich latach, inna rzecz, że nakłady w tym kierunku czynione są nader jednostronnie, wciąż z uwagą o dobry wygląd i wygodę śródmieścia, z całkowitem zaniedbaniem ulic t. zw. „podrzędnych,“ a mających ogromne znaczenie handlowe. Sprawiedliwość jednak każe przyznać, że po licznych nawoływaniach prasy taktyka w tym względzie polityki gospodarczej magistratu warszawskiego zaczyna coraz częściej iść w kierunku istotnego interesu miasta.

Oświetlenie miasta pochłania wciąż wzrastające koszty. Wobec ogromnego rozwoju Warszawy nie wydawałyby się jednak cyfry te wygórowane, gdyby nie to, że daleko umiejętniej z oświetleniem poradzić sobie umiały zachodnie miasta zagraniczne i polskie. Warszawa ponosi ¼ milionowe wydatki na oświetlenie, nie posiadając własnej gazowni. Berlin tymczasem mając swoją miejską gazownię wykazuje w r. 1898 z górą 5 mil. czystego zysku z eksploatacyi własnego przedsiębiorstwa. Poznań w r. 1899 dał z swojej gazowni 116,273 mar. dochodu. Lwów w r. 1900 — 137,500 kor. „Gazownia — słusznie podnosi prof. Głąbiński [1]) — stanowi najrentowniejsze przedsiębiorstwo dla miasta, oszczędza mu znacz-

[1]) Stanisław Głąbiński „Finanse st. m. Lwowa.“ Lwów 1901, str. 56—57.

nych wydatków na oświetlenie i przysparza pokaźnego dochodu na ogólne cele gminne.“ Warszawa cały przypuszczalny zysk z własnej gazowni, aż do r. 1906, oddawała kasie Tow. desauskiego, mającego monopol na oświetlenie gazem całego miasta.

Z ważniejszych pozycyj budżetów Warszawy wypada jeszcze rozważyć zapomogi miasta na rzecz rady dobroczynności publicznej i szpitali. Jest to jedna z czarniejszych plam gospodarki biurokratycznego magistratu. O sprawie tej pomówimy nadto w rozdziale następnym.

Pozostają jeszcze do oświetlenia *„nadzwyczajne dochody i wydatki“* m. Warszawy wykazane w tablicy statystycznej. Dochody nadzwyczajne stanowią głównie fundusze osiągnięte z realizacyi pożyczek, zaciągniętych na urządzenie wodociągów i kanalizacyi miasta. Na ten cel zaciągnięto pięć pożyczek, które przyniosły miastu przeszło 17 milionów rubli. Suma ta wraz z funduszami, czerpanemi z ogólnych zasobów miasta, dała możność zbudowania w ciągu lat 1883—1903:

w Warszawie:	kanałów różnej średnicy	148403,42	kilometry
	rur wodociągowych	„ 216493,38	„
na Pradze:	„ „	„ 28226,40	„

Nadto zbudowano stacyę pomp, filtry, osadniki, stacyę przepompowywania i t. d. Sieć kanalizacyjna i wodociągowa rozszerza się i uzupełnia z rokiem każdym, zaś kanalizacya Pragi będzie dokonaną niezwłocznie po otrzymaniu od władz wojskowych gruntu do urządzenia na Pradze ujścia kollektora głównego do Wisły.

E. Rezultaty gospodarki magistrackiej.

Olbrzymi wzrost Warszawy dokonywał się w ostatnich lat dziesiątkach mimo woli magistratu, mimo jego trosk i lekceważonych zabiegów. Miasto potężniało dzięki swojemu położeniu geograficznemu i wzmaganiu się przemysłu. Do wyniesienia Warszawy do normy europejskiej, biurokratyczny zarząd miejski nie ma prawa rościć sobie najmniejszych zasług. Rozwój miasta dokonywał się koleją wypadków. Historya rządowego magistratu nie ma nic do uwydatnienia na chlubę misyi swojej kulturalnej. Jedynie wodociągi, kanalizacya i tramwaje, mogłyby służyć za punkt pogodniejszy w dziejach gospodarki warszawskiej. I tu jednak zasługa nie biurokracyi, ale gen. Starynkiewicza, a zasługa dlatego jedynie, że potrafił biurokracyi tej wyrość ponad głowę

i wykazać życzliwość dla tego miasta, które dawało mu gościnę i stanowisko wydatne.

Ogólnie, magistrat nie posiadał najmniejszych kwalifikacyj do odpowiedzialnego gospodarzenia w wielkiem mieście o wymaganiach europejskich ludności warszawskiej—wymaganiach zresztą całkowicie uprawnionych przez historyę i cywilizacyę.

Warszawa rosła i potężniała. Przyrost ludności zaznacza się w niebywałem tempie:

w r.	1878	Warszawa liczyła	315,199	mieszkańców
„ „	1888	„ „	444,814	„
„ „	1898	„ „	601,408	„
„ „	1901	„ „	711,988	„

Uwydatnia się również rozwój budowlany w Warszawie. Statystyka wykazuje w roku 1901 budowli:

mieszkalnych domów mur. 4,926 niemieszkal. budowli mur. 208
„ „ drewn. 1,001 „ „ drewn. 1,181

Troska magistratu warszawskiego o „dobro“ miasta uwydatniała się zawsze jedynie tylko w zewnętrznych cechach, z całkowitem lekceważeniem istotnych potrzeb wewnętrznych kulturalnego środowiska. Warszawa po wielu nawoływaniach zyskuje nareszcie niezłe bruki, powstają nowe skwery i parki, lepsze oświetlenie, plantacye miejskie sprawiają widok estetyczny. Rządy administracyjne magistratu, doprowadzają natomiast do:

a) ruiny szkolnictwa,
b) niebywałego wzrostu analfabetyzmu,
c) wzmożenia się objawów upadku moralności śród uboższej lud.,
d) bankructwa szpitalów,
e) braku przytułków miejskich dla nędzarzy,
f) braku kulturalnych instytucyj miejskich, w rodzaju wystaw, muzeów, czytelni, łaźni i t. d.
g) braku domów robotniczych miejskich,
h) zaniedbania powiśla i udaremnienia rozwoju najpiękniejszej dzielnicy miasta,
i) ignorowania zaprowadzenia rozumnych a koniecznych przedsiębiorstw miejskich,
j) narażania Warszawy na liczne ciężary budżetowe, bez korzyści dla mieszkańców,
k) nieumiejętnego spożytkowania pożyczek zaciągniętych,
l) niekonomicznego rozporządzania funduszami publicznymi.

Są to główniejsze tylko punkty, nasuwające się bezpośrednio do ich uwydatnienia. Wszystkich szkód, jakie miastu wyrządziły

wieloletnie rządy magistrackie w Warszawie nie dałoby się ująć w kilku wielkich tomach. Nie mając żadnych widoków rozwoju ewolucyjnego, magistrat warszawski długo utrzymywał w swej żelaznej ręce rozkładową gospodarkę stolicy. Zarysowywujące się wciąż nowe szczerby w kompleksie machiny miejskiej zatuszowywano, nie nadając im rozgłosu, owszem, tłumiąc wszelkie głosy ostrzegawcze o wzmagającej się wciąż ruinie.

Warszawa na cele szkolnictwa w r. 1898 wydatkowała 2,58% ogółu budżetu [1]), Berlin—16,06%, Petersburg—6,94%. Warszawa w roku 1897 liczyła 46,53% analfabetów, Petersburg — 37,2%. Pod względem ciemnoty mas, miasto nasze mogło się równać jedynie z najbardziej zapadłymi kątami w głębi Rosyi. Liczba kradzieży, oszustw, zabójstw, napadów nożowców—wzmagała się w Warszawie z niebywałą siłą, były to jedynie rezultaty złej gospodarki miejskiej. Gdzie potrzeba oświaty, tam środki policyjne nie ukrócą zła, nie ukróciły go też, aż po dzień dzisiejszy. Zabiegi o rozwój oświaty musiały więc siłą rzeczy przechodzić w ręce konspiracyi. Wymagało tego dobro kraju i interes narodu. Magistrat nie silił się na wydatki dla szkoły, szkoły zresztą najgorszej, będącej narzędziem zamiarów politycznej natury. Szkole tej społeczeństwo samo wreszcie ogłosiło bojkot i odwróciło się od niej.

Uczelnie warszawskie przedstawiały jeszcze braki i innej natury. „Z badań sanitarnych, przez lekarzy szkolnych w 76 szkołach początkowych — pisze dr. Józef Polak [2]) — okazało się, że braki pomieszczeń czynią je, jeżeli nie zupełnie nieodpowiedniemi, to w każdym razie nadzwyczaj niepożądanemi. Żądana norma minimalna powietrza nigdy nie mogła być osiągnięta skutkiem braku wentylacyi. Zdaniem referentów, szkoły nie czynią zadość nawet minimalnym wymaganiom hygieny, których niezachowanie—bezustannie i niepostrzeżenie zgubnie wpływa na zdrowie uczniów i daje początek różnorodnym chorobom, znanym pod ogólnym terminem chorób szkolnych.“ Tyle o wadach lokali, wynajętych w braku własnych gmachów miejskich, mówią lekarze, zbadawszy opłakany stan tych pomieszczeń. Długo lekceważona przez magistrat warszawski potrzeba wzniesienia specyalnych do-

[1]) W. Załęski „Królestwo Polskie pod względem statystycznym.“ Warszawa, 1900. Str. 186.

[2]) „Raport o szkołach początkowych miejskich w Warszawie“ z dnia 10 września 1899 r.

mów szkolnych, ma nadto jeszcze i błędy natury gospodarczej. Znawca stosunków ekonomicznych Warszawy, p. A. Suligowski, oblicza, że posiadając własne gmachy szkolne, kasa miejska otrzymałaby conajmniej 9,500 rb. rocznej oszczędności, nie mówiąc już o korzyściach dla uczniów. „Umieszczanie młodzieży w budynkach najętych — pisze ekonomista prof. Głąbiński [1]) — jest w ogólności dla celów szkolnych nieodpowiednie, a nadto dla finansów miasta niekorzystne, ponieważ czynsze najmu i adoptacya kosztują gminę stosunkowo więcej, niż koszta kapitału potrzebnego do budowy własnych gmachów szkolnych.“ To też wszystkie miasta na Zachodzie stale dążyły do wznoszenia wciąż nowych domów. Podług obliczeń prof. Głąbińskiego Lwów do roku 1901 wzniósł już 14 gmachów dla szkół ludowych z pomieszczeniem dla 200 klas i na budowie tych domów gmina robi znaczne oszczędności w wydatkach. Warszawa przystąpiła do naśladowania Lwowa, dopiero po zaciągnięciu ostatniej 33 mil. pożyczki.

Nie do lepszego stanu gospodarka warszawska doprowadziła szpitalnictwo miejscowe. W myśl najgorszego prawa, szpitale oddane w ręce rady dobroczynności publicznej, doprowadzone zostały do kompletnej ruiny. Magistrat wydzielał subsydya z ramienia rządu obsadzanej radzie, która gospodarowała w szpitalach najniesforniej, traktując je z iście wrodzoną sobie tendencyą macoszą. W stosunku do wzrostu ludności, liczba łóżek w szpitalach warszawskich stale malała. Jedno łóżko:

w r. 1867 przypadało na 128 mieszkańców
„ 1902 „ 260 „

Dr. W. Męczkowski, autor gruntownej pracy o „Stanie i potrzebach szpitali“ [2]) wskazuje, że w Warszawie w roku 1903 w stosunku do 700,000 ludności powinno było być 4,200 łóżek, gdy tymczasem w mieście liczono 2,705 łóżek publicznych i 145 prywatnych, a zatem potrzeba było nowych łóżek szpitalnych 1,320. Gospodarka finansowa rady dobr. przedstawia istnie obraz horendalny, lekarze w szpitalach płatni śmiesznie mało, natomiast zaległości szpitalne ściągane opacznie i leniwie; przeciętny wydatek dzienny na jednego chorego wynosił w szpitalach warszawskich 92 kop., w miastach zagranicznych: 2, 3, 5 rb.! Zaprowadzony w Warszawie podatek szpitalny przy nieodpowiedniem jego ściąganiu spadł do połowy, a w braku umiejętności wyszukiwania prawi-

[1]) „Finanse stoł. m. Lwowa,“ str. 64.
[2]) Praca № 3. (Bibl. Warsz. Lipiec r. 1905).

dłowych dróg dochodów, szpitale doprowadzono do kompletnego bankructwa finansowego.

Brak troski ze strony miasta w zaopiekowaniu się szpitalnictwem, brak nadewszystko w zarządzie udziału obywateli i hygienistów warszawskich, doprowadził i tu do ruiny systemu. Abnegacya w zakresie dobroczynności publicznej przejawiała się zresztą nietylko w zakresie szpitali, oto miasto nie pomyślało nawet o stworzeniu choćby jednego przytułku dla kalek — wszystkie ciężary ustawicznie spadały li tylko na społeczeństwo i gdyby nie działalność Towarzystw filantropijnych, utrzymywanych z dobrowolnych składek, ludność Warszawy doprowadzoną byłaby do ostatniej nędzy, o jakiej dzieje nie miały pojęcia.

Kiedy tak opłakane rezultaty przyniosły systemy biurokratyczne w zakresie dobroczynności w Warszawie, to cóż mówić o działalności kulturalnej zarządu magistrackiego! Tu polityka zgoła nic podejmować nie pozwalała. Ani jednej czytelni miejskiej, ani jednej biblioteki, domów ludowych, teatru miejskiego! Zbiory muzealne z zakresów sztuki długo leżały gdzieś na strychu i tylko przypadek zrządził, iż odnaleziono je kiedyś i rozmieszczono w kilku pokojach przy Placu Teatralnym. O tworzeniu większego jakiegoś muzeum miejskiego, pouczającego dla mas najszerszych, nie było nawet mowy. Wszystko cokolwiek ma Warszawa do poszczycenia się przed Zachodem, zawdzięcza tylko i jedynie zabiegom społeczeństwa, któremu na każdym kroku stawiano tamy w podejmowanych, najobojętniejszych nawet pod względem politycznym, twórczych pracach kulturalnych.

Administracyjny system zarządzania miastem nie wykazał sprawności i żywotności ani w jednym kierunku. I wtedy nawet, kiedy dokonywano operacyj pomyślnych, nie umiano ich wyzyskać na pożytek Warszawy.

Zaciągnięta w r. 1903 wielka pożyczka miejska w sumie 33 mil. powitaną została przez ogół nadzwyczaj życzliwie. Dwa banki zagraniczne: Crédit Lyonais i Deutsche Bank pokryły większą część sumy, resztę pożyczki sfinansowały banki krajowe. Miasto pozyskało pieniądze na dogodnych warunkach po $4\frac{1}{2}\%$, tak, iż część sumy użyto celem dokonania konwersyi dawnych 5% obligacyj.

Nową pożyczkę zamierzono użyć wyłącznie na ulepszenia miejskie. Projektowano więc przeznaczyć na:

1) rzeźnię centralną	rb.	4,500,000
2) trzeci most.	„	4,500,000
3) tramwaje elektryczne	„	4,800,000
4) trzy nowe halle	„	1,500,000

5) dwa gmachy szkolne . . . . . rb. 400,000
6) rozszerzenie wodociągów i kanalizacyi „ 5,500,000
Razem . . rb. 21,200,000

Pomyślnie zaciągniętej pożyczki, wobec panującego biurokratyzmu administracyjnego, nie umiano wszakże użyć należycie na pożytek miasta. Jedyną cechą dodatnią wyzyskania pożyczki mogło być niezwłoczne użycie jej na cele zamierzone. Stało się jednak inaczej. Preliminarz budżetu na rok 1904 wskazuje, że z realizacyi 33-milionowej pożyczki osiągnięto 32,340,000 rb. i że z gotowizny tej użyto:

na spłatę obligów 5% . . . . . 8,339,600 rb.
na opłatę agentów realizujących kupony . . 20,850 „
na pokrycie połowy kosztów realizacyi poż. . 6,600 „
na druk obligów i połączone z tem koszty. 219,000 „
Ogółem . . 8,586,000 rb.

Pozostałe 23,754,000 rb. złożono na lokacyę procentową w bankach prywatnych, otrzymując 3 i 4%. Prasa warszawska całą tę operacyę lokacyjną słusznie poddała ostrej krytyce i ze wszech stron zaatakowała magistrat. „Budżet nie wskazuje — pisało „Słowo“ [1]) — jaka część kapitału daje niższy, a jaka przynosi wyższy procent, bierzemy najdogodniejszą dla kasy miejskiej kombinacyę, że cały kapitał przynosi 4%, a przeto sumę 950,000 rb. rocznie. Ale ta sama kasa, począwszy od 1 października 1903 r. opłaca kupon od całych 33,000,000 (amortyzacya pożyczki odłożona do r. 1909), co stanowi 1,485,000 rb. i na mocy kontraktu z syndykatem płaci tytułem podatków francuskich 29,000 rb., ogółem 1,514,000 rb. rocznie. Że zaś z procentów od zlokowanego kapitału osiąga 950,000 rb. i nie płaci kuponu od pożyczek skonwertowanych (8,339,600 × 5%) 416,900 rb., zyskuje więc 1,367,000 rb. rocznie. Ale skoro opłata procentów od zaciągniętych 33 milionów rubli stanowi 1,514,000 rb. przeto do nowej pożyczki dopłaca się 147,000 rb. rocznie (1,514,000 — 1,367,000 rb.). Strata nawet prawdopodobnie, a raczej na pewno jest większą, skoro nie cały kapitał przynosi 4%, które przyjęliśmy za podstawę powyższego rachunku.“

Takim stawał się rezultat finansowy z unieruchomienia 23 milionów rubli. Miastu wyrządzała się szkoda, bo Warszawa nie zyskiwała zamierzonych urządzeń, pożyczka zaś zaciągnięta w zasadzie 4½% kosztowała faktycznie 5%.

[1]) „Skutki chwiejności w gospodarstwie miejskim“. — *Słowo* 1904. № 128.

Z przedsięwzięć miejskich, na które zaciągano pożyczkę, jedynie roboty kanalizacyjne i wodociągowe nie ulegały większej zwłoce. Inaczej działo się, niestety, z innemi zamierzonemi urządzeniami.

Tak ważna dla przyszłości Warszawy budowa trzeciego mostu po dziś dzień znajduje się zaledwie w fazie robót przygotowawczych, zaś sposób urządzenia zjazdu od Alei Jerozolimskich do mostu, dotąd jeszcze nie spotkał się z decyzyą.

Halle targowe widzimy zaledwie jedne na placu Mirowskim. Rzeźnia zaś miejska dotąd nie wyszła ze sfery projektów, lubo już w budżecie na rok 1898 figurował kredyt w wysokości 300,000 rb. na kupno placów w miejscowości „Koło,“ obranej pod budowę rzeźni. Place te nabywano przez 4 lata i zakupiono ogółem około 600 tys. łokci kwadratowych. Zostały też plany wypracowane szczegółowo. W roku 1904 miasto znów przeznaczyło 603,000 rb. na dalsze zakupno placów, ale do budowy rzeźni nie przystąpiono dotąd, marząc o wciąż nowych projektach i nowych placach w innych miejscowościach.

Do budowy tramwajów elektrycznych miasto przystępuje zaledwie w roku bieżącym.

Z większą gorliwością przystąpiono do budowy gmachów szkolnych, ale domów tych potrzeba miastu stokroć więcej.

Chcąc być sędzią sprawiedliwym, nie wszystkie przecież stawiane rozwojowi miasta tamy przypisywać należy jedynie zarządowi warszawskiemu. Owszem, zarządy te wykazywały nie raz więcej zabiegów, niżby je o to posądzać można było. Działał tu jednak głównie „system“ ta zmora ewolucyi Warszawy i kraju całego. Prezydent miasta gen. Bibikow na usprawiedliwienie gospodarki niejednokrotnie publicznie to wyjawiał, że zarówno inicyatywa, jak i zakres kompetencyi i egzekutywy warszawskiego magistratu, wciąż jest w zależności od przestarzałych, lecz dotąd obowiązujących przepisów, od których zarządowi uchylić się nie wolno. „Wiele wydatków — pisał w swym komunikacie do prasy warszawskiej gen. Bibikow, — które przeciętnemu badaczowi wydałyby się *nieprodukcyjnemi* lub *nie odpowiadającemi* ich *właściwemu* przeznaczeniu, dla magistratu *stanowią* wprost przepis *obowiązujący*.“

Obok przepisów w zarządzie miejskim, działają jeszcze nadto i specyalne zlecenia i okólniki. Takim rozporządzeniom kasa miasta Warszawy ma do zawdzięczenia znaczny uszczerbek, który poniosła stolica przez zmniejszenie ostatnio kapitału zapasowego z 2,786,200 rb. (umieszczonych w 4 proc. rencie państwowej) —

na 2,201,098 rb. Taka gospodarka nie może nie wyrządzać mieszkańcom dużej krzywdy. „Już jedna instytucya hygieniczna użyteczności publicznej — pisze dr. L. Wernic [1]) — zdaje się kąpiele ludowe, doznała ze strony magistratu odmowy, a jednocześnie zapomogi dla budowy aresztów policyjnych, dla lombardu miejskiego i wydatki z powodu wojny na Wschodzie, obok stałych a bardzo znacznych na utrzymanie nader licznych więźniów politycznych, na opłatę stanu wojennego, wynoszą krocie tysięcy rubli (przeszło pół miliona rubli). Zapasowy kapitał magistratu wynoszący 2½ miliona rubli, obecnie dogorywa — topniejąc do 350,000 rubli.“

I nie łudźmy się, aby w sposobach zarządzania miasta, przy obecnym ustroju administracyjnym, zachodzić mogły jakiekolwiek zmiany zasadnicze, mimo rzeczowej krytyki, mimo nawoływań! Gospodarka warszawska pozostawać będzie tak długo ze wszystkiemi wadami, tamującemi rozrost miasta, aż nadejdzie tyle wyczekiwany samorząd i uzdrowi stosunki, i stworzy nową, świetną przyszłość dla stolicy autonomicznego Królestwa Polskiego.

Stefan Gorski.

Ważniejsze prace, dotyczące gospodarki m. Warszawy:

F. M. Sobieszczański. „**Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu m. Warszawy od najdawniejszych czasów aż do r. 1847.**“ Warszawa 1848.
Tenże. „**Warszawa**“ w Encyklopedyi Powszechnej (starej).
W. Załęski. „**Rys statystyki porównawczej m. Warszawy.**“ 2 Części. Warszawa 1872-3.
Tenże. „**Finansy m. Warszawy podczas okresu 12-letniego.**“ Warszawa 1905.
Br. Chlebowski i W. Załęski „**Warszawa**“ w Słowniku Geograficznym.
A. Suligowski „**Warszawa i jej przedsiębiorstwa miejskie.**“ Warszawa 1903.
Tenże. „**Miasto analfabetów.**“ Kraków 1905.
Tenże. „**Zapiska o sistiemie gorodskoho uprawlonja w gub. Carstwa Polskaho.**“ Petersburg 1905.
W. Korolyński. „**Dawne rady miejskie i powiatowe.**“ Warszawa 1906.
A. P. „**Koszta oświaty w Królestwie Polskiem.**“ Warszawa 1905.
Dr. W. Męczkowski. „**Stan i potrzeby szpitali Król. Polsk.**“ Warszawa 1905.
Preliminarze budżetów p. t. „**Rozpiś dochodow i rozchodow goroda Warszawy**“ wraz z dodatkiem ogłaszanym corocznie.
Artykuły w czasopismach.

[1]) „Zdrowie“ 1906. Zeszyt IV-ty.

Od redakcyi „PRACY.“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materyałów, informacyj i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacyj.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa Druk A. Ginsa.

№ 8.



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

Treść: Wartość pieniężna produkcyi rolnej,— przez Jordana Kańskiego.

Wartość pieniężna produkcyi rolnej

gubernii Piotrkowskiej[1]).

Jakość i ilość produkcyi rolnej Królestwa Polskiego i składowych jego części spotykamy w licznych pracach, tak z inicyatywy prywatnej podjętych, jak i w sprawozdaniach urzędowych. Prace powyższe, nie dotykając wcale *wartości pieniężnej produktów rolnych*, odnoszą się przeważnie do trzeciej ćwierci ubiegłego wieku. W latach późniejszych, oprócz urzędowych sprawozdań z każdej po szczególe gubernii, podawanych w t. zw. „Rocznikach gubernialnych," a nadto oprócz powszechnie znanego dzieła J. Blocha p. t. „Ziemia i jej odłużenie w Królestwie Polskiem" nie posiadamy pracy, w której możnaby znaleźć materyały statystyczne, dotyczące stosunków rolnych *całego* Królestwa.

Gubernia Piotrkowska w granicach dzisiejszych istnieje od r. 1867. Znaczenie jej ekonomiczne w produkcyi rolnej całego Królestwa określa wyraźnie cenna praca Witolda Załęskiego, p. t. „Statystyka porównawcza Królestwa Polskiego."

Odpowiednie zestawienie wykazów liczbowych, zaczerpniętych z przytoczonego wyżej źródła, doprowadza do następujących wniosków:

[1]) Jakkolwiek studyum to dotyczy względnie odległej epoki bo lat 1882—1891 to jednak drukujemy je ponieważ zawiera dane których niemamy w żadnej innej pracy dotyczącej rolnictwa naszego. Następnie powodujemy się myślą, że praca p. Kańskiego zachęci innych do podobnych studyów nad różnemi częściami kraju naszego i nad epoką bardziej zbliżoną do naszej. (P. R.).

1) *Przeciętny roczny wysiew i zbiór oziminy, jarzyny i kartofli*, w 7-ioletnim okresie czasu, od r. 1867 do 1873 włącznie, sięgał następujących rozmiarów:

	a) w całem Król. Pol.		b) w gub. Piotrkowskiej	
	wysiano 1000 korcy	zebrano 1000 korcy	wysiano 1000 korcy	zebrano 1000 korcy
pszenicy ozimej . . .	817	3604	80	280
żyta ozimego	2886	12082	336	1200
żyta i pszenicy jarej .	69	384	3	13
owsa	2194	10464	279	1192
jęczmienia	846	4064	208	468
tatarki	368	1194	26	97
grochu, prosa i rzepaku	377	1944	30	178
kartofli	5603	29544	914	4446
Razem .	13100	63200	1876	7874

2) W tym-że 7-mioletnim okresie gubernia Piotrkowska, pod względem ilości produkcyi rolnej, zajmowała 4-te miejsce w następującym szeregu:

Ogólnej produkcyi rolnej całego Królestwa Polskiego:

1) gub. Płocka . .	13,53%	6) gub. Radomska . .	8,65%
2) „ Warszawska .	13,34	7) „ Suwalska . .	8,30
3) „ Kaliska . .	12,51	8) „ Kielecka . .	6,85
4) „ Piotrkowska .	12,45	9) „ Siedlecka . .	6,75
5) „ Lubelska . .	10,74	10) „ Łomżyńska .	6,47

i 3) Stosunek procentowy *zbiorów główniejszych płodów rolnych* w pojedyńczych guberniach, do *ogółu zbiorów* tych płodów w całem Królestwie Polskiem, w okresie lat 1867—1873, przedstawiał się jak następuje:

	pszenicy	żyta	owsa	jęczm.	kartofli
W gub. Płockiej	21%	15%	14%	9%	12%
„ Warszawskiej . .	11	14	12,5	7	23
„ Kaliskiej. . . .	13	13	10	11,5	11
„ Piotrkowskiej . .	8	9	11,5	11,5	15
„ Lubelskiej . . .	16	9,5	11,5	16	11
„ Radomskiej. . .	8	9	11	10	6
„ Suwalskiej . . .	4	11	10	12	6,5
„ Kieleckiej . . .	7	4	6,5	11	5
„ Siedleckiej . . .	6	7,5	7,5	8	6,5
„ Łomżyńskiej . .	6	8	5,5	4	4

Podane wyżej obliczenia, chociaż nie stoją w ścisłym związku z wartością produktów rolnych gub. Piotrkowskiej, zasługują jednak na szczególną uwagę, gdyż dosyć jasno określają stanowisko każdej gubernii w ogólnej produkcyi rolnej całego Królestwa Polskiego. Nadto, wobec braku wykazów statystycznych za lata bezpośrednio następujące po r. 1873, rezultaty powyższe mogą ułatwić chociażby przybliżone tylko obliczenia wytwórczości rolnej w latach ostatnich całego Królestwa i każdej gubernii z osobna.

Przystępując do oznaczenia *przybliżonej wartości pieniężnej produktów rolnych gub. Piotrkowskiej* (o dokładnem obliczeniu wartości nie może jeszcze być mowy), nie przypadkowo, lecz rozmyślnie wybrałem do tych badań *10-cioletni okres czasu — od r. 1882 do 1891 włącznie.* W dziejach rolnictwa krajowego okres ten posiada b. doniosłe znaczenie, ze względu na okoliczność, że pierwsze 3 lata tego okresu dają się zaliczyć do nader pomyślnych dla miejscowych rolników, a to za sprawą wysokich cen sprzedażnych rozmaitych gatunków zboża, gdy przeciwnie, poczynając od r. 1885 ceny tychże produktów zaczęły szybko spadać, wskutek wzmożonego dowozu na rynki polskie, znacznie tańszych produktów rolnych Cesarstwa. Ostatnie zjawisko jest następstwem jednoczesnego pomnożenia dogodnych komunikacyj, łączących Cesarstwo z Królestwem i zaprowadzenia nowych taryf przewozowych, wywierających wpływ ujemny na interesa naszych rolników. Nadto, na wybór tego *10-cioletniego* okresu wpłynęło i to, że nie natrafiłem na zbytnie trudności w zgromadzeniu danych statystycznych, odnoszących się do tego przeciągu czasu.

Dane te ująłem w tablice, które podaję niżej pod literami A. B. C. i D.

Podług obliczeń dokonanych przezemnie w r. 1890 (i szczegółowo podanych w „*Tygodniu gwiazdkowym*“ z r. 1891) ogólna powierzchnia gub. Piotrkowskiej wynosi 2,198,986 morgów. W tej liczbie mieściło się:

Tab. A.	GRUNTÓW: a) dworskich		b) włościańsk.		c) skarb., miejskich, państw. i kol. żelazn.		Razem wszyst. gruntów	
	w %-ch ogólnej powierz. gubernii	w morgach	w %-ch ogólnej powierz. gubernii	w morgach	w %-ch ogólnej powierz. gubernii	w morgach	w %-ch ogólnej powierz. gubernii	w morgach
Ornych .	21,5%	472,289	32,9%	722,957	1,9%	41,200	56,3%	1,236,446
Łąk . . .	3,2%	68,098	3,4	76,124	0,7	13,120	7,3%	157,342
Lasów i pastwisk .	20,5%	452,080	6,1	133,374	5,5	121,010	32,1%	706,464
Nieużytk..	2%	45,630	1,7	38,258	0,6	14,846	4,3%	98,734
Razem	47,2%	1,038,097	44,1%	970,713	8,7%	190,176	100%	2,198,986

Wysiew i zbiór płodów rolnych na całej powierzchni gruntów ornych gub. Piotrkowskiej na podstawie wykazów, podawanych w rocznych „sprawozdaniach gubernatora“ (z uwzględnieniem zamiany czetwerti na korce, 1 czetwert'=1,64 korca), wynosił w okresie 1882 — 1891:

Tab. B.	Wysiew w 1000-ch korcy			Zbiór w 1000-ch korcy		
	oziminy	jarzyny	kartofli	oziminy	jarzyny	kartofli
w r. 1882	413	417	840	1902	2240	4954
„ 1883	417	472	917	1633	2055	3705
„ 1884	423	450	898	1952	2071	4305
„ 1885	456	492	984	2000	2062	5292
„ 1886	433	448	951	1657	2120	4588
„ 1887	451	415	998	1940	2117	5309
„ 1888	444	392	982	1986	2011	5176
„ 1889	449	445	1053	1491	1290	5150
„ 1890	461	415	1022	1921	2014	4997
„ 1891	457	446	1174	1122	1684	3177
Średni roczny z 10-ciu lat	440	439	982	1760	1966	4665

Już przy pobieżnem nawet przyjrzeniu się szczegółom *Tab. B* przekonać się można: 1) że jak *wysiewy* tak i *zbiory* oziminy, jarzyny i kartofli ulegając w ciągu 10-ciolecia, wybitnym nieraz wahaniom, stopniowo wzrastały i 2) że w latach 1883, 6 i 9-m a szczególnie w r. 1891 rolnicy mieli znacznie mniejsze plony, aniżeli w latach pozostałych. Pomimo przytoczonych zalet, *Tab. B* nie może być przyjętą za podstawę do obliczenia wartości produkcyi rolnej dla tego, że nie zawiera w sobie niezbędnych wskazówek, co do ilości *wysiewu* i *zbioru* każdego rodzaju zboża ozimego i jarego, a nadto nie daje pojęcia o wysiewach i zbiorach na polach dworskich, włościańskich i innych.

Niedokładności powyższe usunięte zostały przez podaną niżej *Tab. C*, której szczegóły otrzymane z odpowiedniego zestawienia urzędowych sprawozdań o wysiewach i zbiorach, dokonanych we wskazanem 10-cioleciu, oddzielnie w każdym powiecie gub. Piotrkowskiej, doprowadzają do wniosków następujących: najprzód, że w przeciętnym rocznym z 10 lat *wysiewie: oziminy* (440,000 kor.) *jarzyny* (439,000 kor.) *kartofli* (982,000 kor.) mieści się w %-ch ogólnego wysiewu:

Tab. C.	oziminy		jarzyny					kartofli
na gruntach	żyta	pszenicy	żyta i pszenicy jarych	owsa	jęczmienia	tatarki	żyta i pszenicy jarych	
dworskich .	30,8%	8,2%	0,3%	25,1%	8%	1,2%	5,4%	34%
włościańsk.	52%	5%	0,2%	36%	10,8%	2,6%	5,9%	61,5%
pozostałych	3,5%	0,5	„	3,3%	0,8%	0,2%	0,2%	4,5%
Razem .	86,3%	13,7%	0,5%	64,4%	19,6%	4%	11,5%	100%
	100%		*100%*					

a powtóre, że *przeciętny roczny urodzaj z lat 10-ciu*, dostarczył rolnikowi gub. Piotrkowskiej, łącznie na polach dworskich, włościańskich i pozostałych:

Tab. D.

żyta ozimego	3,8	ziarna
pszenicy ozimej	5,5	„
żyta i pszenicy jarych	3,5	„
owsa	4,5	„
jęczmienia	5	„
tatarki	3	„
pozostałych zbóż jarych . . .	4	„
kartofli	4,75	„ [1]

Stosując podane w *Tabelkach C i D* normy *wysiewów* i *zbiorów* do danych liczbowych, zawartych w *Tab. B*, a nadto, zamieniając, dla ujednostajniania rachunku, miarę zbożową na wagę (korce na pudy) przyjdziemy do wniosku, że *przeciętny wysiew i zbiór produktów rolnych w gub. Piotrkowskiej—w latach 1882-1891* daje się ująć w następujący szereg liczb:

[1]) Na podstawie badań, umieszczonych w dziele *J. Blocha* p. t. „Ziemia i jej odłużenie w Królestwie Polskiem“ 1891 *średni urodzaj* w całem Królestwie wyraża się w sposób następujący:

	na gruntach dworskich	— włościańskich	
żyta	4,3	3,5	korcy z 1 morgi
pszenicy	5,9	4,1	„ „ „
owsa	—	4 —	„ „ „
jęczmienia	—	4,6 —	„ „ „

Tab. E.	*Wysiano* 1000 pudów na gruntach				*Zebrano*
	dworskich	włościańskich	innych	Razem	Łącznie na wszystkich gruntach 1000 pudów
pszenicy	217	132	13	362	1991
żyta	784	1317	89	2190	8322
pszenicy i żyta jar.	7	5	„	12	42
owsa	382	556	61	999	4495
jęczmienia . . .	175	235	17	427	2135
tatarki	26	57	4	87	261
pozostałych jarych	141	155	5	301	1204
kartofli	2338	4228	308	6874	32652

Przeciętne ceny roczne 1 puda główniejszych produktów rolnych w ciągu 10-ciolecia 1882—1891 oparte na źródłach urzędowych, oraz na wiadomościach zebranych pośród osób wtajemniczonych w stosunki miejscowego handlu zbożowego, wreszcie na podstawie własnych notowań, dosięgały wysokości wskazanej w *Tab. F.*

Tab. F.	Średnia roczna cena 1 puda:					UWAGA
	pszenicy	żyta	owsa	jęczmienia	kartofli	
	W KOPIEJKACH:					
Roku 1882	180	125	114	106	20	Ponieważ dla oznaczenia cen pozostałych produktów rolnych dla każdego roku nie można było znaleźć dokładnych wskazówek, przeto w następnych obliczeniach przyjęte będą, jako *Średnie ceny 1 puda* pszenicy i żyta jarych . . 80 k. tatarki . . 80 k. pozostałych zbóż jarych 100 kop.
„ 1883	182	115	114	96	18,5	
„ 1884	160	105	105	90	19	
„ 1885	108	70	75	75	14	
„ 1886	100	62	75	70	11	
„ 1887	95	60	77	65	10	
„ 1888	100	70	80	75	12	
„ 1890	105	73	72	80	11	
„ 1890	100	85	80	85	13	
„ 1891	140	130	86	110	27,5	
Średnia z 10-cioletn. okresu	127	89,5	87,5	85	15,5	

Zestawienie odpowiednich danych, wskazanych w *Tab. E i F*, daje już możność ostatecznego określenia *przeciętnej rocznej, z okresu 1882—1891 r., wartości pieniężnej płodów rolnych gub. Piotrkowskiej*, a mianowicie:

Tab. G. Nazwa płodów rolnych	Średni roczny *zbiór w pudach*	Średnia cena 1 puda w kopiejkach	Średnia z lat 10-ciu *wartość* produkcyi rolnej *w rublach*	% ogólnej *wartości* wszystkich płodów rolnych	
pszenica ozima .	1,991,000	127	2,528,570	11,4%	oziminy 44,9%
żyto ozime . .	8,322,000	89,5	7,448,190	33,5%	
pszen. i żyto jare	42,000	80	33,600	0,2%	
owies.	4,495,000	87,5	3,933,125	17,7%	jarzyny 32,4%
jęczmień . . .	2,135,000	85	1,814,750	8,2%	
tatarka	261,000	80	208,800	0,9%	
inne zboża jare .	1,204,000	100	1,201,000	5,4%	kartofle 22,7%
kartofle	32,652,000	15,5	5,061,000	22,7%	
Razem .	—	—	**22,232,095**	—	

A więc, *przeciętna roczna, z 10-ciu lat (1882 — 1891) wartość pieniężna całkowitej produkcyi rolnej gubernii Piotrkowskiej* przedstawia się w postaci bardzo poważnej summy — *22¼ milionów* rubli. Prawie ¼ część tej summy powinna być wykreślona z pozycyi *dochodu* miejscowych rolników, jako przedstawiająca wartość ziarna zużytego na zasiewy; pozostałe zaś ¾ części produktów rolnych, mają wystarczyć na pokrycie wszystkich potrzeb miejscowych i ciężarów przywiązanych do roli, a tylko cena sprzedażna, zbywającej od tych potrzeb *reszty*, uważaną być może za *czysty dochód* rolnika. Głębsze zastanowienie się nad warunkami, w jakich znajduje się rolnictwo miejscowe, ten najpoważniejszy i najtrwalszy warsztat dobrobytu ogólnego, upoważnia do wniosku, że, gdyby wartość produkcyi rolnej, dosięgała rok rocznie wysokości summy podanej wyżej, a nadto—gdyby cały szereg ciężarów przywiązanych do roli: stopa procentowa, cena najmu, oraz ceny produktów i przedmiotów niezbędnych w gospodarstwie domowem i rolnem, mogły odznaczać się umiarkowaną jednostajnością, w takim razie rolnicy miejscowi zdołaliby utrzymać równowagę w budżetach własnych, a nawet w obec rozpowszechnionej już pracy i utrwalonej oszczędności — mogliby zapewnić sobie i następcom swoim nie tylko znośny byt, lecz i pewność utrzymania w swych rękach rodzinnego zagonu. Atoli nieubłagane fakty stają coraz częściej w sprzeczności z przytoczonymi wyżej desideratami. Nie wdając się w szczegóły poruszonej sprawy, bowiem przekroczyłoby to zakres i przeznaczenie niniejszego studyum, ograniczę się do przytoczenia dwóch charakterystycznych i zupełnie wiarogodnych dowodów, świadczących o stopniowym zaniku pomyślności i prawidłowego rozwoju miejscowego rolnictwa. Przebywa ono

w badanym okresie i następnych latach ciężką niemoc i wymaga nieodzownie zastosowania energicznych, a skutecznych środków zaradczych.

Do rzędu tych miarodajnych dowodów zaliczam: *stopniowy, a nader wybitny spadek wartości produkcyi rolnej, poczynając od r. 1885 go, wobec ustawicznego wzrostu ciężarów państwowych i gminnych, a następnie nadmierne obciążenie posiadłości ziemskiej wierzytelnościami różnej natury, zkąd niewypłacalność dłużników i jako skutki ostatniej, przymusowe sprzedaże nieruchomości.*

Co do *pierwszego:* podana wyżej przeciętna roczna wartość *zbóż ozimych i kartofli*, razem wziętych [1]) wynosiła prawie 13 milionów rubli (patrz. Tab. G.) gdy z zestawienia odpowiednich danych, (*Tablice B, C i F.*) wypada, że wartość tychże płodów rolnych w *kolejnych latach badanego 10-ciolecia* przedstawia cyfry znacznie niższe, mianowicie:

Tab. H	wartość oziminy	wartość kartofli	RAZEM
	R U B L		
w roku 1882	14,642,550	6,935,600	21,578,150
„ 1883	12,793,780	4,797,975	17,591,755
„ 1884	12,730,350	5,725,650	18,456,000
„ 1885	8,518,820	5,186,160	13,704,980
„ 1886	6,470,840	3,532,760	10,003,600
„ 1887	7,291,800	3,716,300	11,008,100
„ 1888	8,531,200	4,347,840	12,879,040
„ 1889	6,687,200	3,965,500	10,652,700
„ 1890	9,681,900	4,547,270	14,229,170
„ 1891	8,529,400	6,115,725	14,645,125

Ostatnia kolumna *tablicy* powyższej przekonywa, że we wskazanym 10-cioletnim okresie wartość oziminy i kartofli stopniowo się zmniejszała. Dwa razy t. j. w latach 1886 i 1889-m, spadała do 50% przeszło wartości obliczonej dla roku 1882-go. W tym samym czasie, jak to wskazuje następna *Tabl. I.*, ogólna summa ciężarów państwowych i gminnych, przywiązanych do roli, znakomicie się wzmogła, nie mówiąc już o opłatach sądowych, stemplowych i innych, które z konieczności musiały powiększyć ogół wydatków przeciętnego rolnika.

[1]) Zboża jare opuszczam dla tego, że dla oznaczenia wartości ich pieniężnej, należy posiłkować się mniej dokładnemi wskazówkami.

Ogólne sumy podatków i innych obowiązujących poborów na początku i końcu badanego 10-ciolecia, przedstawiają się dla gub. Piotrkowskiej, jak następuje:

Tab. I.	Podatki gruntowy i podymny z posiadłości dworskich	Podatki gruntowy i podymny z gruntów włościańskich i osad rolnych	Wszystkie opłaty t. zw. specyalne	Opłaty gminne	RAZEM
		R U B L I:			
w r. 1882	277,527	434,711	570,286	190,000	1,472,524
„ 1891	332,033	445,388	1,047,888	315,000	2,140,209
W ogóle w przeciągu lat 10-ciu przybyło ciężarów	54,506 czyli 19,2% pierwotnej summy	10,627 czyli 2,4%	447,552 [1]) czyli 83,7%	125,000 czyli 65,7%	667,685 czyli 45,2%

A więc współcześnie ze spadkiem cen głównych produktów rolnych, od 32 do 54% w porównaniu z rokiem 1882, ogólna summa ciężarów z tytułu podatków państwowych i gminnych podniosła się o 45%.

Co do drugiego: *Obciążenie długami* prywatnymi posiadłości ziemskiej w gub. Piotrkowskiej, w przybliżeniu nawet obliczyć się nie da. Badanie tej sprawy co do kilkudziesięciu pojedyńczych posiadłości, doprowadziło do wniosku, że summa wyłącznie tylko długów hypotecznych, ciążących na tychże nieruchomościach, znakomicie przewyższa połowę rzeczywistej ich wartości. Skala odsetek od długów hypotecznych w rzadkich tylko wypadkach bywa niższą od 8%; długi niehypotekowane, jako mniej pewne, opłacają zwykle daleko wyższe procenta; szczególnie nadmierny ciężar %-ów ponoszą drobni właściciele, którzy nieraz są w konieczności opłacania po 1 kopiejce od rubla tygodniowo, t. j. 52% rocznie. Brak odpowiednich danych o stopniu odłużenia *ogółu własności ziemskiej gub. Piotrkowskiej*, można bodaj w pewnej części zastąpić przez niżej podaną *Tabl. K*, której szczegóły są wyborną illustracyą stosunków ekonomicznych, w okresie 1882—1891 r., bardzo poważnej części dóbr, bo co do obszaru wynoszącej ¾ ogółu gruntów *dworskich* w gubernii, obciążonych pożyczką Tow. Kredytowego Ziemskiego.

[1]) Z tej summy około ¼ części płacą miasta.

Tab. K

	Liczba dóbr obciążonych pożyczką Tow. Kred. Ziemskiego	Ogólna summa pożyczek obciążających dobra stowarzyszonych	Liczba dóbr zalegających w opłatach T-wa i zostających pod ostrzeżeniem	Liczba dóbr sprzedanych z publicznej licytacyi za długi Tow.	Liczba morgów sprzedanych za długi Towarzystwu	Szacunek dóbr sprzedanych z publicznej licytacyi	Summa otrzymana za dobra sprzedane z publicznej licytacyi	Straty właścicieli i wierzycieli hypotecznych z powodu sprzedaży dóbr przez Tow. Kr.	
								w rublach	w %-ch szacunku dóbr
w r. 1882	790	5,484,470	110	—	—	—	—	—	—
„ 1883	790	5,536,120	169	1	2,168	108,000	80,001	27,999	26%
„ 1884	812	8,167,700	168	6	3,302	291,700	209,103	82,597	28%
„ 1885	820	8,510,600	203	9	6,961	322,753	268.369	54,384	17%
„ 1886	749	10,486.000	201	11	14,199	550,000	393,381	156,619	28%
„ 1887	771	10,834,500	218	14	15,055	500.000	263,830	236,170	47%
„ 1888	795	11,098,450	277	14	6,833	390,000	204,153	185,847	49%
„ 1889	831	11,325,450	273	11	4,502	280,269	142,261	138,008	49%
„ 1890	829	11,473,650	320	15	9,454	548 000	317,943	280,057	42%
„ 1891	837	11,508,050	325	21	17,227	1,066,212	530,843	535,369	50%
Przeciętna z lat 10-ciu	804	8,442,490	226	10	—	—	—	—	—
	—	—	—	łącznie z lat 10-ciu 102	79,701	4 056,934	2,509,884	1,547,050	40,5%

Spadek cen produktów rolnych w połączeniu ze *wzrostem ciężarów państwowych i gminnych* (ujawnione w *Tab. H i I.*) musiały sprowadzić następstwa widoczne przy uważnem przyjrzeniu się powyższej *Tab. K.* Poucza ona, że w badanym okresie, przy nieznacznem tylko powiększeniu się liczby dóbr obciążonych pożyczką Tow. Kr. Ziemskiego, ogólna summa obciążenia tychże dóbr podniosła się z 5½ do 11½ millionów rubli; że liczba dóbr zalegających w opłatach rat—potroiła się w końcu tegoż okresu; że liczba dóbr sprzedanych za dług Towarzystwa z publicznej licytacyi i ogólna ich powierzchnia wzmagała się w przerażająco szybkiem tępie i zresztą, że z pierwotnego szacunku dóbr wystawionych na sprzedaż, a wynoszącego przeszło 4 miliony rubli, osiągnięto ze sprzedaży tychże dóbr tylko 2½ miliona rubli. Straty więc stąd wynikłe przewyższyły 1½ miliona rubli, czyli 40,5% pierwotnej wartości dóbr sprzedanych.

Warunki, jeśli nie identyczne, to przynajmniej bardzo zbliżone do podanych wyżej, spotykamy w całym szeregu lat następnych aż do dnia dzisiejszego, nie tylko w gubernii Piotrkowskiej lecz i w innych dzielnicach Królestwa. Świadczy to, że niepomyślny stan rolnictwa krajowego jest zjawiskiem stałem i niemal powszechnem, wymagającem poważnych a energicznych *środków zaradczych*, gwoli zabezpieczeniu bytu olbrzymiej większości ludności miejscowej, wyłącznie z roli czerpiącej źródła utrzymania. Pomimo spo-

tęgowanych zabiegów licznych rolników naszych — zabiegów skierowanych ku podniesieniu kultury ziemi i rozwojowi różnych gałęzi przemysłu rolnego, wreszcie dążących do powołania do życia innych urządzeń, mających na celu podniesienie miejscowego rolnictwa—dobroczynnych skutków tych usiłowań spodziewać się można dopiero wówczas, gdy zarówno więksi, jak i mniejsi właściciele ziemscy uznają konieczność umiejętnej, *zsolidaryzowanej pracy* we własnych gospodarstwach. Praca powyższa winna znaleźć jednolity kierunek w odpowiednio zorganizowanej *zwierzchniej instytucyi krajowej*, ześrodkowującej w sobie wszystkie sprawy rolnictwa dotyczące. Instytucya taka stanąć powinna na czele istniejących już dzisiaj, lecz słabo jeszcze funkcyonujących, towarzystw rolniczych, spółek włościańskich i innych niezbędnych urządzeń rolnych, zaś wespół ze specyalną *instytucyą kredytowo-melioracyjną*, służyć powinna rolnictwu krajowemu nie tylko radą i wskazówką, lecz w miarę możności i potrzeby, czynną pomocą.

Byłoby bardzo do życzenia, żeby instytucya, o jakiej mowa, mogła powstać jednocześnie z zapowiedzianym dla kraju naszego i spodziewanym w niedalekiej przyszłości *samorządem*.

Jordan Kański.

Od redakcyi „PRACY.“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materyałów, informacyj i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacyj.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa.

№ 9.



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

Treść: Prusy zachodnie,—przez A. C.

Prusy Zachodnie.

Szkic.

I. Ziemia.

Prusy Zachodnie w rzędzie dwunastu prowincyj państwa pruskiego są tworem najmłodszym. Do r. 1878 stanowiły one jedną całość z dzisiejszymi Prusami Wschodnimi. Trudności, jakie nastręczała administracya prowincyi tak obszernej (razem 62,481 kw. kil.) zniewoliła rząd pruski do odłączenia od niej dwóch zachodnich obwodów rejencyjnych i ukonstytuowania ich, jako osobnej prowincyi z siedzibą władz prowincyonalnych w Gdańsku. Powierzchnia jej wynosi podług najnowszych pomiarów 25534,9 kw. kil., a zatem zajmuje ona pod względem wielkości obszaru wśród prowincyi państwa pruskiego ósme miejsce. Administracyjnie dzieli się na dwa departamenta: gdański (7954 kw. kil.) i kwidzyński (17570 kw. kil.). Departament gdański dzieli się na 12 powiatów, z których największy kartuski (1396 kw. kil.), najmniejszy gdański dolny 353 kw. kil.). Departament kwidzyński dzieli się na 15 powiatów, największy wałecki (Deutsch Krone), (2158 kw. kil.) najmniejszy sztumski (641 kw. kil.).

Prusy Zachodnie tworzą kraj pagórkowaty, nader licznemi rzekami i jeziorami przerznięty. Wzgórza te przedzielone są pogłębieniem Wisły na dwie grupy: pasmo wzgórz pomeralskich na

zachód i pasmo wzgórz pruskich albo mazurskich na wschód od Wisły (pomerellischer und preussischer oder masurischer Höhenzug). A ponieważ cechę ich charakterystyczną stanowi niesłychana ilość jezior, zazwyczaj przerzynających je w kierunku południowo-północnym, przeto w nowszej terminologii geograficznej ustaliła się na oznaczenie ich nazwa pojeziorza (Seenplatte). Z pojeziorza mazurskiego mała tylko cząstka wchodzi w skład Prus Zachodnich, gdyż tylko zachodnia krawędź jego do nich należy, podczas gdy wschodnia gałęź sięga Niemna, a południowa doliny Narwi i Biebrzy.

Znaczniejszą spłazinę pomorskiego pojeziorza zajmuje część Prus Zachodnich na zachód od Wisły. Granice jej stanowi Bałtyk, którego wody od wzgórz pobrzeżnych po sam niemal Gdańsk wąziutkim tylko paskiem ziemi są oddzielone, na wschód wybrzeże Wisły, bardzo wysokie w północnym swoim końcu pod Gdańskiem, lecz zniżające się coraz więcej ku południowi na południe; wybrzeże południowe, rozciągające się w lekkich spadkach wzdłuż doliny Noteci aż do rzeki Drawy (Drage). Na zachód ta część Prus Zachodnich, podobnie jak część po lewym brzegu Wisły położona na wschód, granic naturalnych nie ma, gdyż pomorskie pojeziorze ciągnie się dalej na Pomorze i do Meklenburgii.

Cały ten obszar rozpada się na trzy naturalne części: na północno-pomerelską wyżynę, puszczę tucholską i południowo-pomerelskie wzgórza. Wyżyna północno-pomerelska, także Szwajcaryą Kaszubską zwana, składa się z nieregularnych, często gęsto jeziorami i dolinami rzek przeciętych grup wywyższeń, pełnych krajobrazowego uroku. Ich węzeł stanowi powiat kartuski, którego średnie wywyższenie ponad powierzchnię Bałtyku wynosi 147 m. Stąd rozbiegają się one w promieniach do przyległych powiatów gdańskiego, wejherowskiego, kościerskiego i bytowskiego. Największą wysokość osięga ta część pojeziorza w tak zwanej Górze Wieżowej (Turmberg 332 m.). Jest to największe wyniesienie w całej wschodnio-europejskiej nizinie pomiędzy Uralem a Skagen Horn. Powierzchnia tej całej wyżyny wynosi około 60 mil kwadratowych.

Puszcza tucholska, około 50 mil kw. rozległa, tworzy zagłębienie z miernie wyniosłymi brzegami. Grunt jej jest piaszczysty, pokryty chójkami, i z powodu swej jednostajności nie przedstawia zbyt ponętnego widoku. Tylko w bliskości jezior i rzek ta jednostajność zmienia się o tyle, iż miasto chójek widzi się brzozy, olsze, osice, modrzewia i klony. Nawet drzewa, które już wyginęły w reszcie Europy, rosną tu jeszcze sporady-

cznie. Są to cisy (taxus baccata), starannie pielęgnowane, jako osobliwość przez pruskich urzędników leśnych. Przemysł leśny kwitnie też tutaj we wszelkich formach. Natomiast pod uprawę roli ziemia tutaj mało się nadaje i na sypkim piasku tucholacy uprawiają zazwyczaj tylko tatarkę, owies i kartofle. Także chów bydła z powodu braku pastwisk mało jest rozwinięty. Jedyny wyjątek stanowik krawędź wschodnia puszczy tucholskiej, w łagodnych spadkach spuszczająca się ku Wiśle. Tutaj bowiem piasek zmięszany jest z gliną i z tego powodu pod cele rolnicze wielce jest przydatny.

Krawędź południowa puszczy tucholskiej podnosi się do znaczniejszej wysokości i znów zwolna spada ku dolinie Noteci, tworząc tak zwaną południowo-pomerelską krainę pagórkowatą. Wzgórza wznoszą się tutaj niekiedy do znacznej wysokości. Z góry Dąbrowy pod Szrockiem w powiecie wałeckim widzieć można siedm miast: Krojankę, Łobżenicę, Piłę, Trzciankę, Uść, Czarnków i Wałcz. Ziemie na zachód od Głdy (Küddow) mają miejscami grunt suchy i piaszczysty, przypominający niekiedy puszczę tucholską. Na wschód natomiast od tej rzeki piasek zmięszany jest z gliną i daje wyborny grunt żytni. Żyto też z okolicy Chojnic i Sompolna uchodziło, obok żyta z okolicy Skwierzyny, przez czas długi za najlepsze na giełdzie berlińskiej.

Środkiem pomiędzy tymi dwoma głównymi odłamami prowincyi zachodnio-pruskiej toczy Wisła swe żółte wody do Bałtyku. Tworzy ona dolinę 2,5—8, miejscami nawet do 12 km. szeroką, a w dolnym swym biegu rozgałęzia się w potężną deltę, 45 km. długą i 55 szeroką. W swoim 224 km. biegu po wstąpieniu na pruskie teritorium, tworzy ona 11 grup żuław, obejmujących około 2000 kw. kil. najżyżniejszej ziemi. Ale zdradliwość tej kapryśnej rzeki naraża ich mieszkańców na tysiączne szkody i utrapienia, mianowicie w czasie powodzi i ruszenia kry. Pierwsze następuje regularnie w miesiącach: od czerwca do sierpnia, gdy idące z Karpat rzeki poboczne, zwłaszcza San, wzbiorą przez deszcze i dają Wiśle od razu wielkie masy wód. Drugie mianowicie przez to niebezpiecznego nabiera charakteru, iż ujście rzeki leży o 5° dalej na północ, niż jej źródła. Zamarza ono zatem prędzej przy średnim lub niskim stanie wody, a idący z wodą sryż (Grundeis) podsuwa się pod niego i tworzy wespół z nim skorupę potężnej miąższości. Od ujścia zamarzanie posuwa się wgórę rzeki, ale skorupa lodowa jest tutaj cieńsza i dla tego prędzej topnieje, ile że w okolicach źródeł rzeki wiosna już często następuje, podczas gdy przy jej ujściu panuje jeszcze zima. Skut-

kiem tego masy lodu, spływające rzeką, piętrzą się pod i nad sobą albo, gdy i ujście jest wolne, zatrzymują się przy ostrych skrętach lub na miejscach wąskich i wypełniają całe koryto, a po za niemi zatrzymują się wody, przerywają tamy lub wierzchem ich rozlewają się w przyległe niziny, zanosząc piaskiem urodzajne niwy.

Przeciw tym zdradom i kaprysom rzeki broni się człowiek z wysiłkiem całej swojej energii, już to wzmacniając i podwyższając tamy, już też starając się uregulować jej bieg i ująć go w pewne karby. W celu ułatwienia spływu do morza masom wody i lodu wykopano nakładem 20 milionów marek nowe 7 km. długie koryto, odłączające się od gdańskiej Wisły 1,5 km. poniżej miejsca, w którem oddziela się od niej Wisła elblągska, i koryto to oddano 31-go marca 1895 r. do użytku. Prócz tego nie ustają usiłowania pogłębienia rzeki przynajmniej na $1^2/_3$ m. przez zwężenie jej koryta. W tym celu niedzielona Wisła ma być 375 m. szeroka, rozdzielona 250 m. a Nogat 125 m. W czasie ruszenia lodów jednakże cała przestrzeń między tamami, które miejscami są 3 km. od siebie odległe, ma się wypełniać wodą.

Północną granicę Prus Zachodnich w całej jej rozciągłości stanowi Baltyk. Jest to dość miałka odnoga oceanu, gdyż przeciętna jej głębokość nie przechodzi 60—80 m. Zawartość soli w jej wodzie wynosi 0,66% (w wolnym oceanie 3,5%) i jest jeszcze mniejsza tam, gdzie, jak przy Sopotach, wpływają weń wielkie rzeki. Także drugiego znamienia charakterystycznego oceanów, przypływu i odpływu morza, nie spostrzeżono w Baltyku mimo najdokładniejszych mierzeń. Natomiast silne wichry wschodnie podnoszą nieraz w zachodniej części jego wody do niezwykłej wysokości i wywołują w niej straszliwe powodzie morskie (Sturmflut). Dno jego jest piaszczyste, nieraz usiane kamieniami i opuszcza się bardzo wolno. Brzegi jego są płaskie. Tylko pod Rixhöft wznosi się brzeg do 52 m. wysokości i niemal tyleż pod Oxhöft.

W wody Prusy Zachodnie są nader obfite i już ojciec Długosz w swym opisie Polski zalicza je do najcenniejszych ozdób nowonabytej prowincyi. Wisła przyjmuje z prawej strony Drwęcę, 135 kil. długą, Ossę 50 kil. długą i Liwnę 85 kil. długą. Z lewej strony wpadają do niej Brda 150 kil. długa, Czarna Woda 120 kil. długa, Mątwa 90 kil. długa, Wierzyca 100 km. długa i Motława 45 km. długa z 80 kil. długą Radunią. Całe porzecze Wisły wynosi około 200,000 kw. kil. i jest po porzeczu Renu 225,000 kw. kil. największe w Prusiech. Do Noteci najznaczniejszy dopływ stanowi Głda. Oprócz tego wytryskują na pojeziorzu

pomerelskiem liczne rzeki, które wpadają wprost do morza. Najznaczniejsze z pomiędzy nich są Leba, Lupowa, Miałka i Wieprz (Wipper). Wszystkie rzeki mają spadek nadzwyczaj bystry i zawierają w sobie masę niezużytej dotychczas siły pędzącej.

Ilość jezior jest niezliczona, jakkolwiek wiele z nich zostało w czasach ostatnich spuszczonych. Po lewej stronie Wisły naliczono ich 302, po prawej ilość ich również jest bardzo wielka, ale dotąd w ścisłą liczbę nieujęta. Jakeśmy wyżej powiedzieli, wszystkie jeziora ciągną się od południa ku północy.

Pod względem składu ziemi badania geologiczne wykazały niewątpliwie, iż cały obszar, stanowiący dzisiejsze Prusy Zachodnie powstał w epoce najnowszej, polodowej, i że trzy czynniki wpłynęły głównie na jego ukształtowanie: przesuwanie się lodowców, osady i warstwowanie. Lodowiec pokrywający Europę aż do średniogórza niemieckiego i do głębi Rosyi w wysokości co najmniej 1700 m. miał punkt wyjścia ze Skandynawii, jak tego dowodem eratyczne głazy oderwane przezeń z gór skandynawskich i przeniesione przy posuwaniu się w te strony. Przez kolosalny nacisk, wywołany przez posuwanie w jego głębi, starł on na glinę, żwir lub piasek, kwarc, feldszpat, błyszcz, wapno i piaskowiec, leżące w dolnych pokładach. Gdy wreszcie słońce przeniknęło atmosferę wyziewów i stopiło lodowiec, powstała wszystko zalewająca masa wody, której siła erozyjna nadała wzgórzom ich kształt dzisiejszy a odpływając, wyżłobiła w nich doliny i zagłębienia, służące dzisiaj, jako łożyska jeziorom i rzekom.

Tak więc zawdzięczają te strony obecne ukształtowanie swej powierzchni epoce alluwialnej. Zostały wszakże pewne resztki formacyi tercyarnej w węglu brunatnym i bursztynie. Węgiel brunatny powstał przez zbutwienie i zwęglenie lasów pierwotnych skutkiem diluvium. Lasy te składały się, jak świadczą resztki roślinności w węglu znalezione, z drzew iglastych, które dzisiaj istnieją jeszcze w centralnej Ameryce, a dalej z topoli, olch, fig, szakłaku, gardenij i t. d. Pokłady węgla brunatnego znajdują się w okolicach Świecia, Rixhöft, Okrywia i Radłowa, ale leżą zbyt głęboko naprzemian z pokładami piasku i innych gatunków ziemi, iżby exploatacya ich zyski jakie przynieść mogła. W podobnyż sposób w stojących wodach, przez chemiczne przemiany obumarłych roślin, powstały torfowiska. Są one nader liczne w tych stronach, a miejscami tak rozległe, iż przez swe sąsiedztwo wyziębiają przyległe pasy urodzajnej ziemi.

Bursztyn jest również wytworem starszej epoki tercyarnej. Pochodzi on z zaginionych lasów drzewa bursztynowego, rodzaju

koniferów, których płynna żywica w przeciągu lat tysięcy w kopalinę się zamieniła. Podług badań geologów i botaników było ich 6 — 7 gatunków, z których jeden, pinus succifera, pokrywał wielką część północnej Europy i osobliwie częstym był w Skandynawii. Zasklepione w bursztynie owady z rodzaju arachnoidów i myriopodów są pod względem kształtu i organizacyi wielce odmienne od dziś istniejących.

Klimat Prus Zachodnich musiał być w czasach przedhistorycznych o wiele cieplejszy niż dzisiaj. Podług profesora Heera z Zürichu bowiem tak flora węgla brunatnego, jak koniferów bursztynowych, wymaga przeciętnej temperatury co najmniej + 17,5° Celsiusza. Ale są pewne ślady, iż i w czasach historycznych nie był on tak przykry, jak dzisiaj. Albowiem jeszcze w XIV wieku istniały w Prusach Zachodnich winnice, których winogrona dawały niezgorsze wino. Dziś hodowla wina już nie jest możliwą, bowiem podług obserwacyi stacyi meteorologicznej w Neufahrwasser średnia temperatura wynosi + 8° Celsiusza. Niektóre okolice w głębi kraju nawet tej wysokości nie osiągają. I tak w Toruniu wynosi ona 7,8°, w Chojnicach 6,6°, a w położonych wysoko Kartuzach nawet tylko 4,6°. Nadto odznacza się ona wielką różnicą ekstremów. Upały letnie bywają niesłychane, tak iż termometr podnosi się niekiedy do + 32,25° C. Za to zimą opada do — 27,4° C. Niekiedy zmiany temperatury następują zupełnie nagle i ten sam termometr, który za dnia pokazywał + 22,5—27,4° C., w nocy opada na + 2,5°.

Najznamienniejszą cechą klimatu zachodnio-pruskiego są nieustające wiatry. Krajowiec, urodzony i wychowany w ich nieustannym szumie, przyzwyczaja się do nich tak, iż ich nie słyszy, ale przybyszowi z stron dalszych, spokojniejszych, dają się one nieprzyjemnie we znaki. Jest zaś to zjawisko tem dokuczliwsze, iż zwłaszcza na wiosnę, przeważają wiatry wschodnie i północno-wschodnie. Skutkiem tego owa pora roku, przyrównywana do wieku złotego przez poetów, jest tutaj najnieznośniejszą w całym roku. Przysłowie: „do św. Ducha nie zdejmuj kożucha,“ ma tu swoje pełne znaczenie. Szczególnie dokuczliwie dają się odczuwać zimne wiatry w częściach wysoko położonych kraju, jak np. na Kaszubach. Ale i w nizinach stanowią one dodatek życia niebardzo pożądany. Niekiedy występują one z wielką zdradliwością. Ustępują bowiem na czas jakiś cieplejszym prądom powietrza i pozwalają się rozwinąć wegetacyi. Ale około św. Jana znów nagle się zjawiają i sprowadzają nocne przymrozki, które, gdy padną na kwiecie, niszczą nieraz całą nadzieję rolnika.

Jeśli wiosna jest długa a chłodna, to za to lato bywa krótkie, lecz gorące. Trwa ono zazwyczaj od św. Jana do św. Bartłomieja (24-go czerwca—24-go sierpnia) i wykazuje w miesiącu lipcu przeciętnie + 17,3—18,1° C. Dzień najdłuższy trwa w Gdańsku 17 g. 9 min., w Toruniu 16 g. 52 min. Najpiękniejszą porę roku stanowi w tych stronach jesień ze swem łagodnem ciepłem i stosunkowym spokojem atmosfery.

Od tych stosunków klimatycznych zawisłe jest rolnictwo, które tutaj walczyć musi z niejednemi trudnościami, nieznanemi gdzieindziej. Na wiosnę bowiem rolnicy późno wyjechać mogą w pole. Żniwa nie rozpoczynają się przed połową lipca i trwają do końca sierpnia. A że pierwsze przymrozki następują bardzo często już w początkach listopada, więc prace skupiają się w przecięciowo krótkim przeciągu czasu, a zatem wymagają większego zasobu inwentarza i robotnika. Uprawa roli kosztuje tu zatem drożej, a ceny zboża z powodu większego oddalenia od Berlina, głównego targowiska zbożowego w Niemczech, są niższe.

Samo przez się rolnictwo w Prusach Zachodnich, mianowicie w okolicach lepiej od natury uposażonych, stoi na bardzo wysokim stopniu technicznego rozwoju i nie jedna majętność może tu iść o lepszą z najlepiej zagospodarowanemi włościami prowincyj zachodnich. Celom rolniczym służyło 1,554,867 ha. t. j. 61% całego obszaru. W tej sumie było roli ornej 1,385,371 ha., łąk 169,496 ha. Stosunek łąk do roli ornej miał się zatem jak 1 : 8, co uważać należy za ilość wystarczającą. Więc też i chów bydła był wysoko rozwinięty. Było bowiem podług spisów z r. 1900 w Prusach Zachodnich koni 244,000, bydła 638,500 sztuk, owiec 620,000, świń 627,000: t. j. na 100 ludzi przypadało koni 15,6, bydła 40,8, owiec 39,7 i świń 40,1. Zatem Prusy Zachodnie pod względem relatywnej ilości koni i owiec zajmowały w rzędzie prowincyi państwa pruskiego miejsce drugie, pod względem ilości bydła miejsce szóste, a pod względem ilości świń, miejsce ósme.

Jakość pojedyńczych sztuk bydła była naturalnie wielce rozmaita i zależała od warunków, jakie nastręczała ziemia pod względem ich wyżywienia. Odpowiednio do tego najgorsze okazy koni i bydła spotykały się na lewym brzegu Wisły, w puszczy tucholskiej i na Kaszubach. Niepomyślne warunki naturalne, pogarszało jeszcze zacofanie mieszkańców, bowiem tucholak, zwłaszcza Kaszuba, o zasadach racyonalnego chowu bydła, mało ma wyobrażenia, a jego zamknięty charakter czyni go nieprzystępnym dla wszelkiej nauki. Mając odchować klacz lub krowę, kieruje się wyłącznie względami finansowymi i prowadzi je

do ogiera lub stadnika, za którego najmniej może zapłacić. Ale i tu postęp zaczyna przenikać. Urządzenie gęstych stacyj królewskich ogierów odniosło już swoje skutki. Również zdziałały wiele dobrego stowarzyszenia rolnicze, przez zakupy na swój rachunek stadników i wieprzy rozpłodowych i oddawanie po stacyach odpowiednich i za miernem wynagrodzeniem do publicznego użytku.

Oprócz tych głównych gatunków zwierząt domowych liczono w r. 1900 w Prusach Zachodnich 196,077 gęsi, 162,093 kaczek, 1,716,182 kur, 256,647 jędyków, 10,385 perlic i 110,106 ułów. Pszczelnictwo z powodu obojętnego zachowania się ludności nie znajduje się na zbyt wysokim stopniu rozwoju, jakkolwiek i tutaj przykład nauczycieli i niektórych księży pszczelarzy działać poczyna zachęcająco. To samo powiedzieć można o rybołóstwie, do którego Prusy Zachodnie przy wielkiej obfitości wód, jakby umyślnie były stworzone. Ryby są wszelkiego gatunku: okunie, szczupaki, lipnie, sielawy, liny, węgorze, karpie, bleje, leszcze, jazgarze, karasie, pstrągi, płotki, kiełbie, a czasami z Bałtyku przybywają do rzek łososie i pstrągi morskie, w ujściach zaś niektórych wód, jak Wierzycy i Czarnej wody, są minogi. Ale ilość ryb zmalała już to wskutek zasadzek licznych nieprzyjaciół z świata zwierzęcego, jak wydr, czapel, kormoranów i mew, już też skutkiem bezmyślnej gospodarki rabunkowej ludzi. Ostatniej zapobiegają skutecznie przepisy o ochronie ryb w czasie ikrzenia, o przyrządach do ich chwytania i wielkości ok w sieciach, o urządzeniu miejsc ochronnych do składania ikry i wylęgania zarybku i t. p. Ze swej strony Niemiecki Związek Rybacki i podobnież związki prowincyonalne niepoślednio się przyczyniły do rozpowszechnienia znajomości zasad racyonalnej gospodarki rybnej przez wydawanie objaśniających tablic poglądowych, broszur i pism peryodycznych, badanie jakości wód, udzielanie rad i wskazówek chcącym zaprowadzić w swych wodach gospodarstwo rybne, dostarczanie odpowiedniego zarybku, jedynie za zwrotem kosztów transportu i t. p. I raków rzeki i jeziora Prus Zachodnich zawierały niedawno temu niesłychaną obfitość i zaopatrywały niemi, przez osobnych handlarzy, smakoszów Berlina i Paryża. Dziś atoli rak i w tych stronach stał się rzadkością, w znacznej części przez nierozumne wyławianie i sprzedawanie młodych raków, a głównie przez zarazę, jaka wśród nich grasowała przed kilku laty.

Lasy zajmowały w prowincyi zachodnio-pruskiej w r. 1900 ogółem 554,648 ha. t. j. 21,7% całego obszaru. Z tych należa-

ło do korony 43 ha., do skarbu państwa 335,939 ha., do stowarzyszeń 1,257 ha., do osób prywatnych 192,045 ha. Było zatem w rękach stałych (kategorya 1—4) 65% lasów, w rękach niestałych 35%. Nadto w czasach ostatnich państwo skupować poczęło wiele wydm i nieużytków i zalesiać je. Lasy składały się przeważnie z drzew iglastych. Było bowiem lasów liściastych tylko 61,664 ha., iglastych zaś 492,983 ha. Wśród drzew liściastych przeważały dęby, a wśród iglastych sosny, jako rodzaj drzew do budowy najprzydatniejszy, a zatem i pod względem handlowym przedstawiający najpomyślniejsze warunki zbytu. Rzadszymi były buki i świerki, a jeszcze rzadszymi modrzewie.

Pod względem krajobrazowym Prusy Zachodnie wyróżniają się korzystnie od równego, jak stół, a nudnego, jak słota, przyległego Księstwa. Wprawdzie i w nich niema zachwycających ogromem widoków alpejskiej przyrody, ani bujnej piękności południowych stron, ale wdzięk niewątpliwy niektórych części polega na szczęśliwem połączeniu gór, lasów, rzek i jezior. Osobliwie dwa diametralnie przeciwległe ich końce, północno-zachodni około Kartuz, Kościerzyny, Wejherowa i Gdańska, i południowo-wschodni około miasteczka Górzna, formacyą swej powierzchni, jak niemniej ciemną zielenią swych sosnowych lasów, przypominają wielce urocze widoki Turyngskiego lasu, a nawet przewyższają je pod względem piękności przez dodatek jezior. Ale i część wschodnia powiatu brodnickiego około Rosoch, Grzmiący i Tęgówca, a dalej niektóre miejscowości wzdłuż Ossy i Wisły jak Rogoźno, Słup, Grudziądz, Sartowice, Świecie i Chełmno, położeniem swojem zdolne są zwrócić na siebie uwagę nawet wybrednego turysty.

Dla miłośnika sztuki i archeologa, Prusy Zachodnie przedstawiają pole nadzwyczaj interesujących spostrzeżeń. Zakon krzyżacki zostawił tu ślady niezatarte swej potęgi i możności. Gdańsk sam, owa Wenecya północy, ze swymi kościołami, ratuszem, domami gdańskich patrycyuszów, przedstawia materyał do osobnego studyum. Odrestaurowany zamek malborski jest w każdym razie w swoim rodzaju największą osobliwością w całej wschodniej Europie. Opactwa w Oliwie i Pelplinie posiadają w swych kościołach najwspanialsze okazy gotyku. Ale i dalszym stronom nie zbywa na cennych zabytkach przeszłości. Kościoły takie, jak w Toruniu, Kwidzynie, Chełmnie i Chełmży stanowićby mogły ozdobę niejednego wielkiego miasta. Nader liczne są także zabytki świeckiej architektury. Do nich zaliczamy zamki, dziś z nielicznymi wyjątkami, jak zamek w Gniewie, w gruzach leżą-

ce, lecz w tym stanie spustoszenia tem większe budzą zajęcie. Najeżona nimi była osobliwie Ziemia Chełmińska, jako najwięcej narażona na najazdy nieprzyjaciół, Prusaków, Litwinów, a później Polaków. Jeden z nich tylko dochował się jako tako w całości t. j. zamek golubski. Wszystkie inne rozebrane zostały z rozporządzenia rządu pruskiego po okupacyi kraju przez Fryderyka II i tworzą dzisiaj mniej lub więcej interesujące ruiny. Najznaczniejszą i najciekawszą wśród nich jest ruina zamku radzyńskiego. Tworzy ona czworobok regularny, na czterech rogach wieżami opatrzony. Piąta wieża, od strony północnej, była nadzwyczaj wielka i silna, i tworzyła, wąskim dziedzińczykiem od reszty gmachu oddzielona, jak w wielu innych zamkach krzyżackich, odrębną warownią, w której załoga nawet po zajęciu reszty zamku przez nieprzyjaciół mogła się jeszcze przez czas jakiś trzymać. Ściana południowa i część wschodniej wraz z dwiema wieżami narożnemi, bramą wchodową i sklepami, dość dobrze się zachowała. Sklepienie wewnątrz zamku przez wandalów, burzących go dla zyskania cegły do swych budowli, złamane zostały, ale resztki ich do dziś dnia wyraźnie poznać dają wielkość i śmiałość ich konstrukcyi pierwotnej.

II. Ludność.

Ludność prowincyi zachodnio-pruskiej wynosiła w r. 1867 ogółem 1,282,842 głów czyli 50,2 głowy na kw. kil. Z tych mieszkało w miastach 315,365 czyli 14,6%, po wsiach 967,477 czyli 75,4%. W r. 1900[1]) ludność Prus Zachodnich wynosiła 1,563,658 głów t. j. 61,2 na kw. kil. Z tych mieszkało w miastach 565,966 czyli 36,1%, po wsiach 997,692 czyli 63,9%. Wzrosła zatem ludność Prus Zachodnich w ciągu tych 33 lat o 280,816 głów czyli o 0,64% rocznie. Przyrost ten uważać należy za bardzo słaby i tylko dwie prowincye miały jeszcze słabszy, t. j. Prusy Wschodnie (0,33%) i Pomerania (0,49%). Nadto przyrost ten ujawnił się wyłącznie w miastach, których ludność wzrosła o 250,601 głów czyli o 79,3%, podczas gdy ludność wiejska pomnożyła się tylko o 30,215 głów czyli o 3,01%. Wzięły zatem i Prusy Zachodnie udział w ogól-

[1]) Wyniki popisu ludności z r. 1905 nie zostały jeszcze opublikowane.

nym procesie przesuwania się ludności ze wsi do miast, jaki od r. 1870 ogarnął całe Niemcy. Ten napływ mieszkańców do miast, był i w tem podobny do ogólno-niemieckiego ruchu ludności, iż zyskały na nim najwięcej cztery miasta największe. Na ich czele stoi Grudziądz, którego ludność wzrosła o 18,701 głów, t. j. o 128,5%, dalej Toruń z przyrostem 13,016 głów czyli 81,3%, Elbląg z przyrostem 21,354 głów czyli 67,9% i Gdańsk z przyrostem 51,588 głów czyli 57,9%.

Pod względem wyznaniowym było w Prusach Zachodnich w r. 1867 — 640,760 ewangielików, 614,542 katolików i 26,717 żydów, t. j. 49,9% ewangielików, 47,9% katolików i 2,1% żydów. W r. 1900 natomiast liczono w Prusach Zachodnich 744,993 czyli 47,5% ewangelików, 800,395 czyli 51,2% katolików i 18,226 czyli 12,% żydów. Widzimy zatem, iż w ciągu tych 33 lat katolicy, mimo sztucznego wzmocnienia protestantyzmu przez kolonizacyę i parcelacyę Landbanku, zyskali w Prusach Zachodnich absolutną przewagę. Do tego wyniku przyczyniły się głównie dwie okoliczności: większa mnożność ludności polsko-katolickiej i jej niższość kulturalna. Sztuka zapobiegania rodzeniu dzieci, nie zupełnie obca już dzisiaj nawet chłopu niemieckiemu, nie przeniknęła jeszcze w sfery polsko-katolickie i dla tego rodziny polsko-katolickie bogatsze są w dzieci niż ewangielicko-niemieckie. Nadto wyższa oświata wywołuje wyższe potrzeby i pretensye życiowe. Tych prowincya zachodnio-pruska ze swym przykrym klimatem, swą stosunkowo nieurodzajną glebą i brakiem przemysłu, zadowolnić nie może. Skutkiem tego wśród wyżej oświeconej ludności niemiecko-ewangielickiej widnieje silny popęd do emigracyi do innych, lepiej postawionych prowincyj. Zaostrzenie przeciwieństw religijnych i narodowych także ze swej strony przyczyniło się niepoślednio do uprzykrzenia pobytu w tych stronach ludziom spokojnym. Komu zatem z Niemców uda się zdobyć tyle grosza, iż jako tako wyżyć się spodziewa gdzieindziej, ten otrząsa z nóg pył ziemi niegościnnej i przenosi się w strony, w których czuje się więcej wśród swoich niż w tym chaosie przeciwieństw narodowych, religijnych i kulturalnych. Przychodzi mu zaś to tem łatwiej, iż miasta zachodnio-pruskie prócz Gdańska, nie mają ludności zdawna nasiedziałej i z miejscem urodzenia od kilku pokoleń zrosłej, lecz składają się z elementów fluktujących i z miejscem swego pobytu tylko materyalnymi względami związanych.

Inny zupełnie obraz przedstawia pod tym względem ludność polska. Chłop polski, nieznarowiony słodyczami wyższej kultury, skromny w swych wymaganiach i w pracy wytrwały, znajdzie wy-

żywienie jeszcze tam, gdzie z swojemi wyższemi potrzebami zmarniałby chłop niemiecki. Do swego rodzinnego kąta jest on wielce przywiązany, a jedynem jego marzeniem jest nabyć na własność kawałek ziemi, namiętność, którą nieraz na jego szkodę wyzyskiwali nieuczciwi spekulanci na polu parcelacyi, nawet Polacy. Dla tego też, wychodząc za granice swej rodzinnej prowincyi za wyższym zarobkiem, zapuszcza się on do Danii, Szwecyi, i idzie z myślą, aby zebrać nieco kapitału i osiąść na własnej grzędzie. Zaoszczędzone grosze składa pilnie w polskich bankach, a przez to przykłada się do podniesienia siły finansowej polskiego społeczeństwa. W wielu atoli wypadkach osiada stale za granicą i przepada dla kraju.

Pod względem rozmieszczenia ludności niemieckiej i polskiej, możemy jako ogólne prawidło przytoczyć, iż lepsze kawały ziemi zajmuje ludność niemiecka, pośledniejsze polska. I tak niezdobytą warownię chłopa niemieckiego stanowią żuławy, mianowicie najżyzniejsze ich części, żuławy gdańskie, malborskie i kwidzyńskie. Ale i w mniej żyznych chełmińskich i toruńskich żuławach chłop katolicki stanowił tylko sporadyczne zjawisko. Powiatów, w których w r. 1895 przeważała ludność ewangielicka, było w Prusach Zachodnich jedenaście, t. j. elblągski miejski, elblągski wiejski, gdański miejski, gdański dolny, malborski, kwidzyński, grudziąski, suski, człuchowski, złotowski i wałecki. Najwięcej ewangielicki charakter miały powiaty elblągski miejski, elblągski wiejski, gdański dolny i suski, w których ludność katolicka wynosiła 9038; 7312; 4231 i 6084 głów, t. j. 19, 19, 12 i 12%. We wszystkich innych przeważała ludność katolicka i to najwięcej w powiatach kartuskim, wejherowskim, puckim, lubowskim, tucholskim i chojnickim, gdzie wynosiła ona 46,259; 36,645; 18,763; 43,957; 21,961 i 43,057 głów, czyli 75, 73, 77, 82, 77 i 76% całej ludności. Były to powiaty najbiedniejsze. Albowiem podczas, gdy taksa kadastralna wydajności do podatku gruntowego wynosiła na całą prowincyę przecięciowo 10,97 marki za ha. ziemi ornej, a 16,06 za ha. łąki, to w powiecie kartuskim wynosiła ona 4,70 i 8,23 marki, w powiecie wejherowskim 5,07 i 8,62 marki, w powiecie puckim 9,79 i 7,05 marki, w lubawskim 5,09 i 10,97 marki, w tucholskim 7,44 i 6,66 marki i w chojnickim 6,66 i 7,05 marki.

W innych powiatach ludność katolicka z ludnością ewangielicką była gruntownie przemięszana. Ale i tutaj ewangielicka ludność rolnicza widocznie w korzystniejszych pracowała warunkach, niż katolicka. Wykazać się to daje przynajmniej co do stosunku ilości łąk i ziemi ornej, a zatem co do możności trzymania lepsze-

go i liczniejszego inwentarza w Ziemi Chełmińsko-Michałowskiej[1]). Miały tu bowiem gminy wiejskie

w POWIATACH	przeważnie katolickich		przeważnie ewangielickich		na 10,000 ha. ziemi ornej łąk	
	ziemi ornej	łąk	ziemi ornej	łąk	w gminach przeważnie	
					katolick.	ewang.
1) Lubawskim	44074	3081	877	100	835	1140
2) Brodnickim	28294	2459	10310	1027	849	996
3) Wąbrzesk..	11877	897	7516	986	756	1312
4) Toruńskim.	10554	805	11206	2086	763	2398
5) Chełmińsk.	10224	756	12034	2952	740	2454
6) Grudziądzk.	9927	638	17276	2042	691	1182
7) w cał. ziemi	115648	9236	59219	9793	799	1656

Pojęcie „ewangielik“ odpowiada w Prusach Zachodnich zupełnie pojęciu „Niemiec“ i dla tego wszystkich ewangielików z dodatkiem Żydów do Niemców zaliczyć należy. Inaczej ma się rzecz z katolikami. Najpierw bowiem w każdem mieście, a zwłaszcza w większych miastach, jak Gdańsk, Toruń, Grudziądz, jest mniejsza lub większa kolonia katolików-Niemców. W południowozachodniej zaś części departamentu kwidzyńskiego Niemcy-katolicy zwartą ławą mieszkają i po wsiach. Mianowicie, w południowozachodnim kącie powiatu chojnickiego i przyległych częściach powiatów tucholskiego i złotowskiego mieszka ludność katolickoniemiecka, zwana kosznajdrami. Nazwa ich i pochodzenie nie są dotychczas dostatecznie wyjaśnione, lecz zdaje się, iż przyszli z Fryzyi jeszcze za czasów krzyżackich i osiadłszy tutaj, zdołali w czasach późniejszych ocalić swą plemienną indywidualność aż do obecnej chwili. Jest to rasa z fryzyjska ociężała, ale nadzwyczaj wytrwała. Do kościoła katolickiego są oni szczerze przywiązani, co im wszakże nie przeszkadza równie szczerze nie lubić swych spółwierców katolików-Polaków. Ale i od swych ewangielickich spółplemieników trzymają się zdaleka i żyją najchętniej i kojarzą się pomiędzy sobą. Rzeczywista ich liczba nie jest wiadoma, ile że i granice ich rozsiedlenia nie są dotychczas ściśle określone.

[1]) Por. Wisła 1900.

Z tych tedy powodów nie godzi się pojęć „Katolik“ i „Polak“ w Prusach Zachodnich uważać za indentyczne. Mimo to przy oznaczeniu stosunku liczebnego obydwóch narodowości względnie o wiele bliżej dochodzi się prawdy, identyfikując te dwa pojęcia niż biorąc za podstawę cyfry tak zwanej statystki narodowościowej. Kto, jak piszący, był komisarzem popisowym na większy okrąg, ten wie, z jakiemi trudnościami zbieranie wiarogodnego materyału jest połączone. Najprzód stoi na przeszkodzie wynalezieniu prawdy niewiadomość liczących, którzy, mianowicie po wsiach, częstokroć mimo najlepszej woli nie są w stanie pojąć różnicy pomiędzy „Polak“ a „katolik,“ i „Niemiec“ a „ewangielik.“ Do tej niewiadomości przybywa często zła wola. Liczący, zwłaszcza jeśli jest urzędnikiem, pragnąłby naliczyć jak najwięcej Niemców w swoim okręgu i dla tego zalicza do narodowości niemieckiej każdego Polaka, który łamanym językiem zdoła wybełkotać po niemiecku bodaj kilka słów w związku. Ale zła wola istnieje często i po stronie liczonych. Jedni są pod względem narodowościowym obojętni i nie mają nic przeciwko temu, że ich zaliczają do narodowości niemieckiej, inni mają powód taić się ze swoją narodowością i sami siebie wraz z rodziną, wbrew prawdzie, podają za Niemców. Z tych tedy powodów cyfry urzędowej statystyki, odnoszące się do narodowości, pozbawione są, jak dotychczas, wszelkiej naukowej wartości.

Pod względem etnograficznym lud polski na kilka grup się rozpada. Różnice etnograficzne leżą nie tylko w pewnych odcieniach dyalektycznych wymowy, ale i w pewnych właściwościach lokalnych charakteru. W powiecie starogardzkim, kwidzyńskim i tczewskim, pomiędzy miastami Starogardem, Tczewem, Gniewem i Nowem, po lewej stronie Wisły, mieszkają Kociewiacy, plemię dorodne, rozgarnione a harde i butne. W ziemię uposażeni są bogato, gdyż siedzieli dawniej dzierżawą na ziemiach starościńskich i klasztornych, skutkiem czego przy uwłaszczaniu ich przez rząd pruski posiadłości ich nie ulegały żadnej redukcyi. Jest zatem Kociewie ziemią klasyczną gburów zachodnio-pruskich, którzy tu posiadają 1—4 włók chełmińskich ziemi.[1]) Niestety w czasach dawniejszych wielu najbogatszych gburów, nie znajdując oparcia w polskich stanach wyższych, a czując się czemś lepszem od zwyczajnego gbura, szukało i znalazło oparcie w mierniejszych klasach niemie-

[1]) Włóka chełmińska = 16,6104 ha = 30 mórg polskich.

ckich i z czasem zupełnie się zgermanizowali. Ich dyalektyczne właściwości wyrażają się przedewszystkiem w sposobie konjugacyi na eli (deli, breli, porąbywieli) i wymawiania brzmienia nosowego ę jako ân (świânty Welânty, gânś, a nawet lan zamiast len).

Na zachód od nich, w ziemi niegdyś lasem pokrytej, a zatem niezbyt urodzajnej, mieszkają Lasacy. Główne jakoby jądro ich siedzib stanowią wsie Czarnylas, Zelgoszcz i Bukowiec w powiecie starogardzkim. Lasacy są antypodami Kociewiaków. Żyją bowiem w warunkach o wiele trudniejszych. Głeba ich jałowa wielokrotnie mech i wrzos wydaje. Stąd też chaty ich nędzne, inwentarz zagłodzony.

Rzadko tylko Lasak konia trzymać może, lecz zazwyczaj do pracy w polu używa krowy. Niewydajność roli, na której siedzi, zmusza go do szukania innych zarobków. Pracują zatem w lesie lub prowadzą drobny handel drzewem lub wychodzą na robotę poza granice swej ciaśniejszej ojczyzny.

Na południe od nich, w borach tucholskich, żyją Borowiacy. Warunki ich bytu są niemniej trudne, bo ziemia piaszczysta mało wydaje, a chleb jest u wielu z nich przysmakiem, którego rzadko tylko udaje się im zakosztować. Pomimo tej biedy przedstawiają Borowiacy plemię hardsze i butniejsze niż potulni Lasacy. Pochodzi to może po części i stąd, iż pomiędzy nimi znajduje się wiele dawniejszej drobnej szlachty. Podług dawniejszego prawodawstwa pruskiego bowiem, kradzież drzewa za trzecim razem poczytaną była za zbrodnię i pociągała za sobą, jeśli podsądny był szlachcicem, utratę szlachectwa. A że kradzież drzewa w tych stronach po dziś dzień bardzo jest rozpowszechniona, więc tysiące rodzin szlacheckich na tej drodze straciły szlachectwo. Obok kradzieży drzewa kwitnie tu w wysokim stopniu kłusownictwo. Borowiak bowiem z bronią palną bardzo dobrze obchodzić się umie i ma żyłkę niepohamowaną do praktycznego zastosowania tego kunsztu. Stąd przychodzi on często w kollizyę z prawami i jego stróżami, urzędnikami leśnymi, z którymi bez ustanku żyje na stopie wojennej.

Na północ od Borowiaków i Lasaków, w północnej części powiatów chojnickiego i człuchowskiego, w południowo-zachodniej części powiatu starogardzkiego, a dalej w powiatach kartuskim, kościerskim, wejherowskim i pruskim aż po sam brzeg Bałtyku, rozsiadło się plemię Kaszubów. W północnej i wschodniej części powiatu wejherowskiego i zachodniej gdańskiego, nie tworzą oni już ciągłej całości, lecz żyją w rozbiciu wśród osad niemieckich i przeznaczeni są widocznie na rychłą zagładę. Jakoż wiele osad

w tej stronie, które około połowy przeszłego wieku były kaszubskiemi, dziś często niemiecki mają charakter, jak między innemi Sopoty. Osobliwie łatwo niemczy się drobna szlachta kaszubska. Także wśród duchowieństwa jest wielu księży kakatystów, których kolebka stała pod kaszubską strzechą. Do tego procesu germanizacyjnego przyczyniają się niemało gimnazya w Wejherowie i Chojnicach. Zresztą o Kaszubach w czasach ostatnich tyle u nas pisano, iż chcieć o nich powiedzieć coś nowego byłoby marnem przedsięwzięciem.

Ludność polska na prawym brzegu Wisły rozpada sią na dwie grupy, oazę sztumską i Ziemię Chełmińsko-Michałowską, szerokim pasem ludności niemieckiej w powiatach kwidzyńskim i suskim oddzielone. Od ludności polskiej po prawym brzegu dzielą ją zupełnie niemieckie powiślańskie żuławy. Tylko powyżej Torunia wąski pasek ludności polskiej prowadzi przez Wisłę. Ludność polska Ziemi Chełmińskiej napłynęła, jak się zdaje, z Ziemi Dobrzyńskiej i Michałowskiej. Także Kujawy dostarczyły pewien kontyngens osadników. Sztumska oaza polska natomiast powstała w wieku XVII i XVIII przez zabiegi sztumskich starostów, którzy z Polski i Kaszub sprowadzili licznych osadników.

Chłop zachodnio-pruski, w powszechności gburem zwany, pod wielu względami przedstawia typ zupełnie odmienny od chłopa poznańskiego. Przedewszystkiem wyróżnia go od niego korzystnie pewna samodzielność i poczucie osobistej godności. Strój ludowy zarzucił on dawno i zrównał się pod tym względem z stanami wyższymi. Wraz ze strojem pozbył on się wobec nich uczucia zależności i psiej uniżoności. Za nogi nie ściska nigdy, a w rękę całuje rzadko, i to tylko ludzi, którzy wiekiem, stanowiskiem lub zasługami budzą w nim szacunek. Zagadnienia, przez „ty“ nie znosi, lecz wymaga tytułu „panie.“ To uczucie niezależności rozciąga on do pewnego stopnia i na swoich duszpasterzy i umie rozróżniać pomiędzy ich duchownym a świeckim charakterem. Z tego powodu księża, pragnący nadużywać swej duchownej władzy do świeckich celów, mają nieraz trudne zadanie. Przez długie i wielostronne zetknięcie z Niemcami przyswoił on sobie część zalet ich charakteru, przedewszystkiem oszczędność, wytrwałość i pracowitość. Jego sposób myślenia jest trzeźwy, praktyczny. Do abstrakcyi się nie zapala i wierzy tylko temu, kogo zna dokładnie. Pod względem politycznym przedstawia on materyał wyborny, niestety dotychczas surowy, gdyż pracy nad jego intelektualnem podniesieniem i uświadomieniem było zbyt mało.

W ogólnych zarysach te same cechy charakterystyczne posiada i polski lud roboczy. I w nim tkwi poczucie osobistej godności w stopniu o wiele wyższym niż u chłopa poznańskiego. Batożenia, jakie często, nazbyt niestety często, zdarza się w Księstwie, absolutnie nie znosi i wogóle nawet wobec swoich chlebodawców kark trzyma sztywno. Za to pod względem, że tak rzekę, fachowego wykształcenia, przewyższa on o całe niebo chłopa poznańskiego i robotnik z niego wyborny. Cechą niesympatyczną atoli w jego usposobieniu jest jego uprzedzenie do klas wyższych. Jest on wobec nich strasznie niedowierzającym i dla tego podziałać nań niełatwo.

Przedstawicielami inteligencyi polskiej są po wsiach szlachta i księża. Niestety szlachty pozostało bardzo mało,[1]) a wśród księży, Niemców-hakatystów sporo, zwłaszcza na dobrych probostwach. W miastach reprezentują inteligencyę księża, adwokaci i lekarze. Dawniej bywali także nauczyciele szkół wyższych i sędziowie, lecz nauczycieli rząd pruski wyplenił, przenosząc ich do innych prowincyj, a sędziów skazał na powolne wymarcie, nie mianując nowych. Jest zatem inteligencya polska w Prusach Zachodnich zbyt mało liczna, aby ujawnić mogła jakąkolwiek siłę. W miastach nadto, żyjąc wśród Niemców i będąc od nich zależną, ma ona ręce związane. Dla tego życie narodowe w tych stronach słabem bije tętnem, ile że walka cała przybiera coraz więcej charakter walki ekonomicznej. Kwestya bytu absorbuje zatem w pierwszej linii siły duchowe i fizyczne społeczeństwa i skutkiem tego jego poziom naukowy stale się obniża. Ludzi z akadamicznem wykształceniem spotyka się jeszcze tylko niemal wyłącznie wśród starszej generacyi obywatelstwa. Młodsza generacya, zmuszona troskę o chleb powszedni kłaść na pierwszem miejscu, poprzestaje zazwyczaj na uzyskaniu świadectwa do jednorocznej służby wojskowej, poczem do praktycznych przechodzi zajęć.

Temu obniżeniu poziomu umysłowego społeczeństwa zapobiedz miało założone w r. 1875 za inicyatywą Zygmunta Działowskiego z Mgowa, Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Podług intencyi założyciela miało ono tworzyć ognisko, w któremby się koncentrowały wszelkie zasoby duchowe społeczeństwa zachodnio-pruskiego, miało budzić wśród niego ruch naukowy i bronić je przed

[1]) Z 321 majętności ziemskich z 158318 ha. w ziemi Chełmińsko-Michałowskiej należy tylko 62 z 37806 ha. do Polaków. A w Ziemi Chełmińsko-Michałowskiej, stosunki dla Polaków są jeszcze najpomyślniejsze.

zastojem. Niestety, siły nie dopisały dobrym chęciom i po niejakim czasie Towarzystwo usnęło. Zbudził je z martwych w r. 1893 ks. Kujot, człowiek rzeczywiście uczony, specyalista w zakresie swej rodzinnej prowincyi i autor wielu niesłychanie mozolnych monografij z tego zakresu. Jego to osobista zasługa, jeśli Towarzystwo dotychczas powtórnie nie upadło. Ale wiedzie ono żywot suchotniczy i zbiera się zaledwie raz w rok, aby wysłuchać wykładu zazwyczaj w milczeniu, bo dyskusya się nie wywiązuje. Wydaje także Roczniki, które jednakże zasilane bywają niemal wyłącznie przez zagranicznych uczonych, zwłaszcza galicyjskich. Natomiast zasługą jego naukową jest wydawnictwo tak zwanych Fontes t. j. źródeł oryginalnych do historyi dyecezyi chełmińskiej z biskupiego archiwum w Pelplinie. Także utrzymywanie zbiorów starożytności za zasługę policzone mu być winno.

Po miastach ludność polska liczebnie niewątpliwie wzrasta. Miejscami widać nawet pewne zawiązki stanu średniego. Ale te zawiązki bardzo jeszcze są słabe, jak wogóle pod względem ekonomicznym i socyalnym ludność polska po miastach niewielką tylko przedstawia siłę. Dowodem tego, wybory do rad miejskich. Odbywają się one na zasadzie demokratycznej w trzech klasach, unormowanych podług wysokości płaconego podatku. W bardzo więc niewielu miejscowościach Polacy w trzeciej klasie zdolni są przeprowadzić swoich kandydatów. Ale stosunki, acz bardzo powoli, zmieniają się jednak na lepsze. Są bowiem, czego nie było jeszcze przed trzydziestu laty, po wszystkich niemal miastach jako tako prosperujące składy polskie, są i rzemieślnicy polscy, zażywający ogólnej wziętości. Spółki pożyczkowe normują i ułatwiają kredyt, a pomyślny ich rozwój przedstawia skalę wzrastającego znaczenia ekonomicznego ludności polskiej. Oprócz spółek rozwinął się w czasach ostatnich inny rodzaj przedsiębiorstw finansowych, obliczonych na wyzwolenie kupującej publiczności polskiej od zależności od Żydów. Są to tak zwane domy towarowe, przedsiębiorstwa zbiorowe, których członkowie niewielkie ponosząc ryzyko, płacą tylko zazwyczaj 10 mk. wstępnego i za interesa spółki ręczą swoim majątkiem do pewnej jedynie wysokości. Najdawniejszem tego rodzaju przedsięwzięciem jest „Kupiec w Prusach,“ założony za inicyatywą ks. Bolta, patrona tego rodzaju associacyi na Prusy Zachodnie.

Podtrzymywaniu świadomości narodowej wśród polskiego drobnego mieszczaństwa służą towarzystwa przemysłowe. Istnieją one po wszystkich miastach, gdzie istnieje ludność polska, i mają nieraz z wielu trudnościami do walczenia, ale się trzymają. Temu

samemu celowi służą liczne przedstawienia amatorskie. Najważniejsze zadanie przypada wszakże w tym względzie prasie. Dzienników politycznych wychodzi w Prusach Zachodnich pięć: Gazeta Toruńska w Toruniu, Gazeta Gdańska w Gdańsku, Pielgrzym w Pelplinie, Gazeta Grudziądzka w Grudziądzu i Przyjaciel w Toruniu. Z tych Gazeta Toruńska w pierwszej linii dla inteligencyi zachodnio-pruskiej jest przeznaczona, ale zadanie swoje spełnia źle, gdyż redagowana jest bez wszelkiego talentu publicystycznego i nakładu pracy, tylko za pomocą nożyc i niebieskiego ołówka. Byłoby to zatem smutnym dowodem ciasnoty horyzontu politycznego inteligencyi zachodnio-pruskiej, gdyby Gazeta Toruńska służyć mogła za miarę jej pojęć i wyraz jej opinii. Ale inteligencya jej nie czytuje, tylko informacyi politycznej szuka już to w Dzienniku Poznańskim, już też, niestety! w Gazetach niemieckich.

Gazeta Gdańska przeznaczona jest, jak opiewa jej tytuł, w pierwszej linii dla Gdańska i przyległych okolic, zwłaszcza Kaszub. Traktuje jednakże sprawy ogólne z szerszych punktów widzenia i trzyma środek pomiędzy pismem ludowem a organem inteligencyi. Więcej ludowy charakter ma Pielgrzym, lecz nie cieszy się zbyt wielką liczbą abonentów. Jedynem pismem, jakie lud zachodnio-pruski rzeczywiście czytuje, jest Gazeta Grudziądzka. Liczba przeszło 5000 abonentów, jakich posiada, jest miarą jej wpływu i znaczenia a cokolwiekby zresztą powiedzieć można o twórcy jej p. Kulerskim, tej zasługi odmówić mu nie może nawet najzawziętszy nieprzyjaciel, iż nauczył on lud polski czytać gazety i rozbudził w nim myśl polityczną. Z tego powodu może nawet żałować należy, iż, zostawszy posłem, nie może równie pilnie oddawać się zajęciom redaktorskim. Odtąd bowiem gazeta jego straciła nieco i na wartości i na wziętości, ile że wrogowie jego, którzy są bardzo liczni i bardzo wpływowi, w walce przeciwko niemu nie przebierają w środkach.

Ludność niemiecka po wsiach jest w całych Prusach Zachodnich dolnosaskiego pochodzenia. Tylko w obwodzie rejencyjnym kwidzyńskim na pograniczu Prus Wschodnich w tak zwanem Oberland osiadł żywioł górnoniemiecki i ludność ta mówi górnoniemieckim językiem podczas, gdy wszędzie indziej chłopi posługują się dolnoniemieckiem narzeczem. Ci Dolnoniemcy przybyli do Prus ze stron rozmaitych i przynieśli ze sobą, podług miejsca pochodzenia, prócz różnic dyalektycznych różnice w stroju i obyczaju. A ponieważ swych właściwości trzymają się z iście niemieckim uporem; przeto nierzadko się zdarza, iż w dwóch są-

siednich wsiach mieszkańcy mówią dwoma rozmaitemi niemieckiemi narzeczami. Wogólności atoli przyjąć można za zasadę, iż Niemcy na zachód od Brdy należą do westfalskiego, na wschód od Brdy włącznie z Żuławiakami i na północ od Ossy, do dolnosaskiego szczepu w ściślejszem znaczeniu. Żuławiacy zawierają prócz tego sporą przymieszkę pierwiastków fryzyjskich i flandryjskich. Są to menonici, którzy w wieku XVII wygnani z Holandyi, w Polsce znaleźli gościnne przyjęcie i tutaj osiedli. Niemcy natomiast, zamieszkali wśród Kaszubów i w Ziemi Chełmińsko-Michałowskiej, pochodzą ze Szwabii i po dziś dzień mówią swym szwabskim językiem, który w porównaniu z dolnoniemieckiem narzeczem wykazuje tak znaczne różnice, iż porozumieć im się trudno. W ostatnich czasach przybył do tej mięszaniny szczepów nowy element. Są to emigranci z Rosyi, osadzeni w majątkach kolonizacyjnych. Osobliwie Wołyń dostarczył ich znaczny kontyngens, ale są i tacy, którzy pochodzą i z dalszych stron państwa rosyjskiego.

Miasta zachodnio-pruskie nie są z krajem organicznie związane. W innych stronach, gdzie stosunki rozwinęły się bardziej naturalnie, miasta wyrosły z otaczającego je życia i wiele nici subtelnych płącze się pomiędzy niemi, a otaczającym je krajem. Na Pomorzu np. małomieszczanin jest kość z kości i krew z krwi okolicznego chłopa, w stroju, obyczaju i języku na włos mu podobny. W Prusach Zachodnich takiej wspólności między mieszczaninem a chłopem niema. Mieszczanin mówi bez wyjątku językiem górnoniemieckim, a w stroju jest mu o tyle podobny, o ile chłop zarzucił swój strój ludowy. Nie są tedy miasta zachodnio-pruskie niczem innem, jak targowiskami, na które, chłop i ziemski obywatel zwozi swój towar, aby go zbyć jak najkorzystniej i zaopatrzyć się w swoje potrzeby. W czasach ostatnich atoli i ten stosunek czysto komercyjny się nadwątlił. Albowiem skutkiem udoskonalenia komunikacyi, wiejskiemu producentowi i odbiorcy nastręcza się nieraz sposobność korzystniejszego zbytu swych produktów i zaspokojenia swych potrzeb w miastach większych z pominięciem mniejszych. Z powodu tego braku węzłów moralnych pomiędzy wsią a miastem nie zdarza się też tak dobrze, jak nigdy, iżby właściciel ziemski, wzbogaciwszy się lub zdawszy majątek dzieciom, osiadł w któremkolwiek z większych miast prowincyi i wzbogacał ich życie nietylko swą rentą, ale i swemi wyższemi nawyknieniami towarzyskiemi i sportowemi skłonnościami.

Ilość Żydów zmniejszyła się w Prusach Zachodnich w ciągu 33 lat o 8491 głów czyli o 31,8% a wątpić nie należy, iż ostatni

popis ludności wykaże dalszy ich ubytek. Przyczyny tej ich emigracyi—są po części ekonomicznej, po części towarzyskiej natury. Podniesienie socyalne mas ludowych, towarzystwa kredytowe wszelkiego rodzaju, wreszcie surowość sądów w ściganiu przestępstw lichwiarskich, zacieśniły im znacznie pole łatwych zarobków. Nawet handel nie jest już wyłącznie w ich rękach, lecz składy chrześcijańskie, polskie i niemieckie, czynią im znaczną konkurencyę. Do tego przychodzi zmiana radykalna ich towarzyskiego położenia. Dawniej bowiem, za ery „liberalnej,“ bogatsi Żydzi uznawani byli za równouprawnionych członków burżuazyjnego towarzystwa i przypuszczeni byli przez nie do spólności pożycia, a nawet w Vereinach i zabawach jego wybitny nieraz brali udział. Dzisiaj antysemityzm cichaczem przeniknął i te sfery i na Żyda patrzą w nich ze źle tajoną nienawiścią i pogardą. Wiedzą o tem Żydzi i czują się nieswoimi. Uzbierawszy tedy nieco grosza, co zawsze jeszcze im się udaje, przenoszą się dalej na zachód. W 99 ze stu przypadków celem ich wędrówki jest Berlin, gdzie tworzą zwartą a wspierającą sią nawzajem falangę i są jakby u siebie w domu. Na kresach wschodnich miejsca po nich pozostają niezajęte. Dawniej szczerby, powstałe w szeregach żydowskich przez emigracyę, zapełniały się z łatwością przez przybyszów z miast sąsiednich Królestwa, którzy przez wpływy swych spółplemieników zyskiwali wkrótce naturalizacyę. Dziś i rząd pruski wstąpił na tory antysemickie, bo Żydom, przybywającym z zagranicy, naturalizacyi pod żadnym warunkiem nie udziela i w wyjątkowych tylko razach zezwala na dłuższy ich pobyt za paszportem. Nic tu nie pomaga, iż Żydzi, chcąc się przypodobać rządowi i uchodzić za niepodejrzanych patryotów niemieckich, w walce jego przeciw Polakom występują, jako jego najgorliwsi sojusznicy i z zapałem witają wszelkie nowe prawo, skierowane przeciw ludności polskiej.

W chwili obecnej pomiędzy ludnością polską a niemiecką na całej linii brzmią hasła bojowe. Po stronie niemieckiej jest bezwarunkowa przewaga inteligencyi i kapitału, a nadto stoi za nimi rząd z wybornie działającym aparatem administracyjnym i niesłychanie bogatymi zasobami. Zdawaćby się zatem mogło i zdawało się księciu Bismarkowi przy rozpoczęciu walki, iż ta dobrze zorganizowana i we wszelki rynsztunek wojenny zaopatrzona falanga, w pierwszym ataku złamać i zmiażdżyć powinna, źle przygotowanego do walki na wielką skalę i w zasoby wojenne ubogiego przeciwnika. A mimo to stanowczych korzyści po stronie niemieckiej dotychczas nie widać. Jedynym namacalnym

rezultatem jest zakupienie przez kolonizacyę około 30,000 ha. ziemi, po większej części z rąk niemieckich, i osadzenie na nich kilkunastu tysięcy kolonistów. Cel główny wszelkiej walki, osłabienie przeciwnika tak, iżby w kapitulacyi widział jedyny środek ocalenia, nie został jednakże dotychczas osiągnięty, ale przeciwnie, siła jego odporna została zwiększona, albowiem warownia jego ducha stoi dotychczas cała i nietknięta i wszelkie zabiegi wniknienia do niej pozostały daremnemi.

Skąd to pochodzi?

Przyczyn tego zjawiska jest wiele. Nasamprzód brak po stronie niemieckiej owej siły czarownej, która w życiu ludzkiem jedynie tworzy cuda, brak idealności, i stąd płynący brak rzeczywistych zapałów. Cel walki, wytępienie obcej narodowości tylko dla tego, że obca, jest sam w sobie niemoralny i zapalić się do niego nie może żaden człowiek humanitarnie lub po chrześcijańsku myślący. Wzięli tedy prowadzenie walki hakatyści w swe ręce i gdyby krzykiem zdziałać coś można, od ich patryotycznego wrzasku jużby dawno zwalić się musiała warownia polskości, jak ongi od dźwięku surm izraelskich zwaliły się mury jerychońskie. Ale po za tym krzykiem nie ma nic wyższego, idealniejszego, nie ma przedewszystkiem ducha ofiarności i poświęcenia. Przeciwnie, ci, którzy krzyczą, chcą brać a nie dać i ich krzyk o zagrożeniu niemieckości przez zastraszająco wzbierającą falę polonizmu, na to tylko jest obliczony, aby rząd pobudzić do otworzenia na nowo swej kiesy na ich korzyść.

Ta czczość wewnętrzna ich haseł jest też powodem, iż nie pociągają za sobą masy niemieckiego narodu. Ostmarkenvereiny przedstawiają niknącą jego mniejszość, a gdyby odliczyć tych, którzy z musu i konieczności zapisali się w ich szeregi, pozostałaby zaledwie garsteczka. Większość Niemców zachowuje się zatem wobec działalności hakatystów obojętnie, a część ich pewna jest jej nawet wprost przeciwna. Za to posiadają oni wpływy wielkie w sferach rządowych i pchają rząd do coraz nowszych środków gwałtownych przeciw narodowości polskiej. Ale w tych to właśnie środkach gwałtownych leży zbawienie dla wielkiej masy Polaków Prus Zachodnich, ponieważ temi środkami właśnie rząd pruski wychowuje w nich systematycznie i rozwija świadomość narodową. Do r. 1870 świadomość ta była bardzo słaba, a wojna, w której Polacy z chlubą walczyli ramię do ramienia z Niemcami, utrwaliła lud polski w jego patryotyczno-pruskich uczuciach. Gdyby tedy naówczas rząd pruski starał się był przez odpowiednie środki wyzyskać dla swych celów to usposobienie, niebezpieczeń-

stwo byłoby wielkie, iż masa polskiego ludu zgermanizuje się najpierw wewnętrznie co do ducha, a później, po upływie może jakich stu lat, i zewnętrznie pod względem języka i obyczaju. Ale od tego niebezpieczeństwa uchronił lud polski ks. Bismark, podejmując walkę przeciw kościołowi, która lud nasz po raz pierwszy przyzwyczaiła do widzenia w państwie pruskiem potęgi wrogiej temu, co miał najdroższego t. j. religii. Ale Kulturkampf skończył się kompromisem pomiędzy państwem a kościołem, a ks. Bismark, zaklinając się, iż do podjęcia go skłonił jedynie wzgląd na wzrastacy wpływ polonizmu, ostrożnie dodawał, iż, zwalczając polonizm, tylko szlachtę i duchowieństwo ma na oku, natomiast nie wątpi o lojalności ludu polskiego. Czyny jego nie odpowiedziały tym słowom. W r. 1886 nastąpił szereg rozporządzeń, które jakby wprost obliczone były na to, aby podniecić i obudzić do życia słabo pulsujący instynkt narodowy w masach ludowych. Wydalenie około 30,000 Polaków, pochodzących z Królestwa, dotknęło wyłącznie klasy niższe i zaniosło ból i gniew pod strzechy, biednych, podczas gdy klasy wyższe księża i szlachta, wcale na tem nie ucierpieli. Tak samo było z kolonizacyą. Szlachcie nastręczyła się sposobność pozbycia się za wysoką cenę swych obdłużonych majątków, a chłop nie mógł nabyć, choćby najmniejszej parceli. W szkole nauczyciel znęcał się nad dziećmi chłopa z powodu niemieckiego języka, szlachcic słał swe dzieci, przygotowane dostatecznie w niemieckiem, do szkół wyższych, gdzie w każdym razie lepszego doznawały obejścia. Ten system przeciw chłopu polskiemu wymierzony, ukoronowało prawo z r. 1904, utrudniające polskim instytucyom finansowym możność parcelowania majątków, a chłopu możność założenia zagrody na własnej ziemi.

Tym sposobem udało się rzeczywiście rządowi pruskiemu w narodowo indyferentnym chłopie polskim obudzić poczucie narodowej odrębności i stworzyć warunki pomyślne do dalszej pracy nad jego uświadomieniem. Ale praca ta tylko w tym razie skuteczną być może, jeżeli stanom wyższym uda się podnieść jego i własny poziom umysłowy. W tem bowiem leży słabość położenia ludności polskiej nad Wisłą, iż stopień jej oświaty jest zbyt niski. O przyczynach tego niepocieszającego zjawiska mówiliśmy wyżej, nad skutecznemi sposobami zaradzenia złemu niechaj zastanawiają się inni.

A. C. .

Spis nazw geograficznych różnobrzmiących w polskim i niemieckim języku, a w tej pracy wzmiankowanych:

1. Brda=Brahe
2. Chełmża=Culmsee.
3. Chojnice=Konitz.
4. Czarna woda=Schwarzwasser.
5. Człuchów=Schlochau.
6. Gniew=Mewe.
7. Kartuzy=Carthaus.
8. Kościerzyna=Berent.
9. Kwidzyna=Marienweder.
10. Liwna=Liebe.
11. Mątwa=Montau.
12. Nowe=Neuenburg.
13. Puck=Putzig.
14. Radunia=Radaune.
15. Radzyn=Rehden.
16. Rogoźno=Rogenhausen.
17. Sąpolno=Zempelburg.
18. Starograd=Stargard.
19. Susz=Rosenberg.
20. Tczew=Dirschau.
21. Wałcz=Deutsch Krone.
22. Wejherowo=Neustadt.
23. Wierzyca=Ferse.
24. Złotów=Flatau.

Biblioteka Głogów

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa. Druk A. Gluna.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z roku 1906.

HISTORYA.

Str.

WALERYAN ŁUKASIŃSKI, — przez *Szymona Askenazego* . . . . . 1 i 248
SOKOLNICKI I KRUKOWIECKI, — przez *Al. Kraushara* 479

SZKICE POLITYCZNE.

NA ROZDROŻU, — przez *Adama Krasińskiego* 209

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

GOSPODARCZE NIEDOBORY NASZEGO KRAJU, — przez *Kazimierza Rakowskiego* 125
PROBLEMAT AGRARNY, — przez *W. Studnickiego* 417

LITERATURA.

NAD GŁĘBIAMI (powieść), — przez *Dr. T. Konczyńskiego* 31
WROGOWIE (nowella), — przez *Aleksandrę Suszczyńską* 229
PAMIĘTNIK (powieść), — przez *Mariona* 446

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Str.

O KSIĄŻCE I OKOŁO KSIĄŻKI, — przez *M. Konopnicką* 52
POD ZNAKIEM TYMCZASOWOŚCI, — przez *W. Bogusławskiego* 78
H. BALZAC, — przez *Wł. Jabłonowskiego* 104
O TWÓRCZOŚCI WYSPIAŃSKIEGO, — przez *Józefa Kotarbińskiego* . . . 293
OPTYMIZM W POWIEŚCI ANGIELSKIEJ, — przez *Maryę Rakowską* . . 316
KU HUMANIZMOWI, — przez *T. Jaroszyńskiego* 337
IMPROWIZACYA ADAMA MICKIEWICZA, — przez *A. Górskiego* . . . 511
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez *Jana Kaczkowskiego* . . . 554

ROZMAITOŚCI.

MATERYAŁY DO ŻYCIORYSU JOACHIMA LELEWELA, — przez *Kazimierza Woźnickiego* . . . . . 165 i 351
TEMPUS EDAX? — przez *M. M.* 574

KRYTYKA.

Moje przeprawy. Pamiętnik Andrzeja Zamoyskiego. Tom II. Z autografu wydał, opatrzył wstępem i epilogiem Aleksander Kraushar, — przez *A. R.* 170
Aleksander Kraushar: Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk. Księga IV. Czasy polistopadowe, — przez *A. R.* . . . 176
Mieczysław Srokowski: Krew, — przez *Z. D.* 180
Pamiętnik literacki. Rocznik IV. Zeszyt IV. Pamięci Mikołaja Reja z Nagłowic 1505—1905, — przez *Z. D.* 183
Powstanie narodu polskiego 1830 — 31 r. w świetle krytyki mocarstw europejskich, — przez *A. R.* 363
Aleksander Kraushar: Obrazy i wizerunki historyczne — przez *A. R.* . . 369
Ignacy Chrzanowski: Marcin Bielski. Studyum literackie. 1906, — przez *A. R.* 375
J. T. Ks. Lubomirski: Adam Kisiel, wojewoda kijowski, — przez *A. R.* . 379
Maurycy Straszewski: Filozofia Św. Augustyna na tle epoki, — przez *Dr. Wojciecha Gieleckiego* 382
Warschauer: Der polnische Reichstag von 1603 in der historischen Ueberlieferung und in der Darstellung des Schillerschen Demetrius. Vortrag gehalten in der öffentlichen Sitzung der Historischen Gesellschaft für die Provinz Posen. 1905, — przez *A. R.* 586
Michał Rawita-Witanowski: Kłodawa i jej okolice pod względem historyczno-ludoznawczym, — przez *d-ra Emmanuela Świeykowskiego* 589

Str.

Marya Konopnicka: Głosy ciszy, — przez *Z. D.* 592
Tadeusz Jaroszyński: Miasto. Powieść, — przez *Z. D.* 595

KRONIKA MIESIĘCZNA.

LIPIEC:

Walka partyjna.—Terror ekonomiczny a bandytyzm. — Perspektywy anarchii. — „Macierz szkolna.“ — Towarzystwo kursów naukowych w Warszawie 186

SIERPIEŃ:

Z chwili obecnej.—Projekt samorządu miejskiego.—Instytut pedagogiczny im. Elizy Orzeszkowej.—Młodzież polska zagranicą i konieczność zorganizowania dla niej pomocy materyalnej 391

WRZESIEŃ:

Chwila obecna. — Wzrost anarchii i przygotowanie gruntu dla rewolucyi społecznej. — Towarzystwo opieki nad dziećmi.— Szkoły, zakładane przez Macierz Polską 597

NEKROLOGIA.

ALEKSANDER REMBOWSKI, — przez *Z. D.* 581

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

LIPIEC 198
SIERPIEŃ 405
WRZESIEŃ 611

DODATEK „PRACA.“

PRZY ZESZYCIE LIPCOWYM (№ 7): Gospodarka finansowa miasta Warszawy, — przez *Stefana Gorskiego* 1
PRZY ZESZYCIE SIERPNIOWYM (№ 8): Wartość pieniężna produkcyi rolnej gubernii Piotrkowskiej, — przez *Jordana Kańskiego* 1
PRZY ZESZYCIE WRZEŚNIOWYM (№ 9): Prusy zachodnie,—przez *A. C.* 1